



**vikram  
CHANDRA**

**ŚWIETE  
GRY**

ŚWIATOWE WYDARZENIE LITERACKIE ROKU 2006!



**vikram**  
**CHANDRA**

**ŚWAETE**  
**GRY**



Z języka angielskiego  przetłóżył Witold Zurylak

WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

## Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
- Dedykacja
- Osoby
- Dzień z życia policjanta
- Oblężenie w Kailáspadzie
- Ganeś Gaitonde sprzedaje swoje złoto
- Zmierzając do domu
- Ganeś Gaitonde zdobywa ziemię
- Na tropach kobiet
- Interludium: dom w odległym mieście
- Grzebanie umarłych
- Ganeś Gaitonde wygrywa wybory
- Stary ból
- Interludium: wielka gra
- Pieniądze
- Ganeś Gaitonde zostaje zwerbowany
- Kobieta w tarapatach
- Ganeś Gaitonde zostaje ponownie zwerbowany
- Spotkanie z pięknnością
- Ganeś Gaitonde odkrywa siebie
- Śledztwo w sprawie miłości
- Ganeś produkuje film
- Interludium: pięć fragmentów rozproszonych w czasie
- Ganeś Gaitonde tworzy się na nowo
- Koniec świata

- Ganeś Gaitonde udaje się do domu
- Bezpieczeństwo
- Interludium: dwie śmierci daleko od domu
- Mere Sahiba
- Podziękowania
- Słowniczek
- Przypisy



Z języka angielskiego przełożył:

Witold Kurylak

Tytuł oryginału: SACRED GAMES

Copyright © 2001 by Vikram Chandra

Copyright © 2007 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2007 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Anna Rzędowska, Karina Stempel

Konsultacje merytoryczne: Krzysztof Iwanek

ISBN: 978-83-7508-052-0 (oprawa miękka)

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel./fax(22)72130 00

e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysyłkowa:

[www.merlin.com.pl](http://www.merlin.com.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

Skład i łamanie: Studio Graficzne Sonia Draga Group  
Katowice 2007. Wydanie I Druk: GGP Media, Pdsneck, Germany

Dla Anuradhy Tandon i S. Hussaina Zaidi

# Osoby

**Sartadź Singh:**

sikhijski inspektor policji w Mumbaju

**Katekar:**

posterunkowy, partner Sartadźa Singha

**Śalini:**

żona Katekara

**Mohit i Rohit:**

ich synowie

**Kamala Pandej:**

stewardessa, mężatka, kochanka pilota linii lotniczych, Umeśa

**Kamble:**

ambitny podinspektor policji, partner Sartadźa Singha

**Parulkar:**

zastępca komendanta policji w Mumbaju

**Ganei Gaitonde:**

słynny hinduski gangster, mafioso, szef Firmy G w Mumbaju

**Sulejman Isa:**

straszliwy muzułmański gangster i mafioso, szef konkurencyjnego gangu w Mumbaju

**Paritosz Śah:**

wyjątkowo utalentowany finansista pracujący dla mafii, między innymi dla Ganeśa Gaitondego

**Kanta Bai:**

businesswoman prowadząca interesy z Paritoszem Śahem i Ganeśem Gaitondem

**Badrija:**

ochroniarz Paritosza Śaha

**Andźali Mathur:**

agentka rządowego wywiadu, prowadząca śledztwo w sprawie śmierci Ganeśa Gaitondego

**Ćhota Badrija:**

ochroniarz Ganeśa Gaitondego, młodszy brat Badriji

**Julia (Dźodźo) Mascarenas:**

realizatorka programów telewizyjnych, agentka początkujących aktorów i modeli... a także luksusowa stręczycielka

**Mary Mascarenas:**

siostra Dźodźo, pracująca jako fryzjerka

**Wasim Zafar Ali Ahmad:**

pracownik opieki społecznej w ubogiej dzielnicy Mumbaju, człowiek o aspiracjach politycznych

**Prabhdźot Kaur, Nikki:**

pochodząca z Pendżabu matka Sartadźa Singha

**Nawnit:**

jej ukochana najstarsza siostra

**Ram Pari:**

służąca matki Nikki w Pendźabie

**Banti:**

prawa ręka Ganeśa Gaitondego i organizator jego działań

**Bipin Bhonsle:**

hinduski polityk fundamentalistyczny, któremu Ganeś Gaitonde pomaga w wyborach na urząd publiczny

**Śarma (alias Trivedi):**

sprzymierzeniec Bipina Bhonslego, pośrednio pracujący również dla Swami Śridhara Śukli

**Garu-dzi:**

hinduski guru i nacjonalista, światowej sławy przewodnik duchowy, który zostaje mentorem Ganeśa Gaitondego

**Subhadra Dewalekar:**

żona Ganeśa Gaitondego i matka jego synka

**K. D. Jadaw (alias pan Kumar):**

jeden z pierwszych oficerów indyjskiego wywiadu, oficer prowadzący Ganeśa Gaitondego i wychowawca Andźali Mathur

**Mr Kulkarni:**

agent wywiadu, po odejściu K. D. Jadawa prowadzący Ganeśa Gaitondego

**major Śahid Khan:**

agent pakistańskiego wywiadu, mózg operacji fałszowania indyjskich banknotów

**Śambhu Śetti:**

właściciel baru Delite Dance

**Iffat-bibi:**

ciotka ze strony matki Sulejmana Isy, pełniąca funkcję jednego z najważniejszych rewidentów jego gangu w Mumbaju

**Madźid Khan:**

inspektor policji w Mumbaju, kolega Sartadźa Singha

**Zoja Mirza:**

aktorka, wschodząca gwiazda indyjskiego przemysłu filmowego

**Adil Ansari:**

wykształcony, ale biedny człowiek z małego miasteczka, który ucieka do Mumbaju przed gwałtownymi konfliktami w rodzinnym Biharze

**Śarmin Khan:**

uczennica liceum, córka majora Śahida Khana, który przeniósł się do pracy w Waszyngtonie, zabierając ze sobą całą rodzinę – żonę, córkę i matkę

**daddi:**

pochodząca z Pendżabu matka Sahida Khana; dla rodziny jest muzułmanką, ale w rzeczywistości skrywa tajemnicę



## Dzień z życia policjanta



Biały szpic o imieniu Pusia wyleciał z okna piątego piętra budynku w Pannie, z nowiutkiego domu, wokół którego wciąż jeszcze stały rusztowania malarzy. Przez całą drogę w dół Pusia wyła cieniutkim głosikiem pieska salonowego, jak biały czajniczek, z którego uchodzi para. Potem odbiła się od maski daewoo cielo i poturlała się w pobliże grupki uczennic oczekujących na autobus do szkoły przyklasztornej St. Mary. Krwi pojawiło się wyjątkowo mało, ale na widok mózgu Pusi dziewczynki wpadły w histerię, tymczasem zaś widoczny w górze mężczyzna, który wcześniej zakręcił nad głową pieskiem trzymanym za nóżkę i cisnął nim w otchłań, ten mężczyzna, niejaki Mahesz Pandej z Mirage Textiles, oparty o parapet, wychylał się teraz z okna i głośno się śmiał. Pani Kamala Pandej, która, zwracając się do Pusi, zawsze mówiła o sobie „mamusia”, teraz, słaniając się na nogach, pobiegła do kuchni i z magnetycznego uchwytu porwała nóż długi na dwadzieścia i szeroki na pięć centymetrów. Kiedy Sartadź i Katekar wyważyli drzwi do mieszkania numer 502, pani Pandej stała przed zamkniętymi drzwiami do sypialni, wpatrując się w znajdujące się mniej więcej na wysokości piersi kółko gęste od pięciocentymetrowych ran w drewnie. Na oczach Sartadźa westchnęła, podniosła rękę i ponownie wbiła ostrze. I dopiero kiedy chwyciła nóż oburącz, udało się jej wyjąć go z drzwi.

– Pani Pandej – odezwał się Sartadź.

Odwróciła się do nich, wciąż ściskając broń w uniesionych dłoniach. Jej blada twarz pokryta była smugami po zaschniętych łzach.

– Pani Pandej, jestem inspektor Sartadź Singh. Proszę odłożyć nóż. – Zrobił krok do przodu, podnosząc ręce do góry i ukazując jej otwarte dłonie. – Proszę – powtórzył.

Ona stała jednak nieruchomo z szeroko otwartymi i martwymi oczami, jedynie przedramiona lekko jej drżały. Znajdowali się w wąskim przedpokoju i Sartadź czuł za sobą obecność Katekara, który chciał minąć go i wystąpić do przodu.

Zatrzymał się. Jeszcze jeden krok i znalazłby się w zasięgu noża.

– Policja? – dobiegł ich głos zza drzwi sypialni. – Policja?

Pani Pandej nerwowo drgnęła, jakby nagle coś sobie przypomniała: – Ty bydlaku, ty bydlaku – powiedziała i ponownie uderzyła nożem w drzwi. Była już zmęczona i czubek ostrza odbił się od drewna, rysując jego powierzchnię. Sartadź chwycił rękę kobiety i wykręciwszy ją w nadgarstku, z łatwością rozbroił desperatkę. Teraz jednak ona rzuciła się z pięściami do drzwi, gniotąc i łamiąc swoje bransolety, a ten jej ostatni furiacki wybuch złości trudno było pohamować czy opanować. W końcu udało im się usadowić ją na zielonej kanapie w salonie.

– Zastrzelcie go – powiedziała. – Zastrzelcie. – A potem objęła rękami głowę. Na jej ramieniu widać było zielono-błękitne siniaki. Katekar szeptał coś przy drzwiach sypialni.

– O co się pokłóciliście? – zapytał Sartadź.

– On chce, żebym już więcej nie latała.

– Co takiego?

– Jestem stewardessą. On myśli...

– Tak?

Miała przestraszone jasnobrązowe oczy i pytania policjanta wyraźnie ją rozzłościły.

– Myśli, że skoro jestem stewardessą, to podczas postojów zabawiam pilotów. – Odwróciła twarz do okna.

Katekar wyprowadzał właśnie jej męża, trzymając mu rękę na ramieniu. Pan Pandej podciągnął swoją jedwabną piżamę w czerwono–czarne pasy i uśmiechnął się poufale do Sartadźa.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, że przyjechaliście.

– Widzę, że lubi pan bić żonę, panie Pandej – warknął Sartadź, pochylając się do przodu. Katekar energicznym ruchem usadził mężczyznę, kiedy ten wciąż jeszcze miał otwarte usta. Bardzo ładnie to zrobił. Katekar był starszym posterunkowym, wieloletnim podwładnym, ale w rzeczywistości kolegą. Z przerwami pracowali razem już prawie siedem lat. – Lubi pan ją bić, a potem wyrzuca pan przez okno biednego szczeniaka, tak? A na koniec wzywa nas, żebyśmy pana uratowali?

– Powiedziała, że ją biję?

– Mam oczy. Sam widzę.

– To niech pan spojrzy na to – Pandej wykrzywił twarz. – Proszę, niech pan tu popatrzy. – Podciągnął lewy rękaw piżamy, ukazując błyszczący srebrny zegarek i cztery równo rozmieszczone zadrapania, sine i głębokie, biegnące od wewnętrznej części nadgarstka i wokół przedramienia w kierunku łokcia. – Mam ich więcej – dodał. Opuścił nisko głowę, sięgając ręką do kołnierzyka, aby go odchylić. Sartadź wstał i obszedł niski stoliczek. Na łopatkę pana Pandeja widniała pofałdowana, czerwona pręga, której końca nie było widać.

– A to skąd? – zapytał Sartadź.

– Złamała mi na plecach kaszmirską laskę. Taką grubą – odparł pan Pandej, z kciuka i palca wskazującego robiąc kółko.

Sartadź podszedł do okna. Wokół małego, białego ciała w dole zebrał się krąg chłopców w mundurkach, popychających jeden drugiego bliżej

środku. Dziewczynki ze szkoły St. Mary piszczały i dłońmi zasłaniały usta, prosząc chłopców, żeby dali sobie z tym spokój. W salonie pani Pandej siedziała z podbródkiem wciśniętym w klatkę piersiową i jasnym wzrokiem patrzyła na swojego męża.

– Miłość – powiedział Sartadź łagodnie. – Miłość to morderczy gandu. Biedna Pusia.

– Namaskar, Sartadź Saab – zawołał PSI Kamble przez cały komisariat. – Parulkar Saab pytał o ciebie.

Pokój miał jakieś osiem metrów długości i znajdowały się w nim cztery biurka ustawione w poprzek. Na ścianie widniał prawie dwumetrowy plakat Sai Baby, na biurku Kamblego wizerunek Ganeśi za szkłem, a Sartadź już wcześniej miał ochotę umieścić na drugiej ścianie obrazek guru Gobinda Singha, by w ten dosyć pokretny sposób dopomnieć się o poszanowanie sekularyzmu. Pięciu posterunkowych wyprężyło się na baczność, a po chwili opadło z powrotem na plastikowe krzeselka, rozsiadając się wygodnie.

– Gdzie jest sahib Parulkar?

– Z dziennikarzami. Częstoje ich herbatą i opowiada im o naszych nowych inicjatywach w zakresie zwalczania przestępczości.

Parulkar był komendantem policji w strefie trzynastej i miał biuro bardzo blisko, w drugim budynku, w którym znajdowała się siedziba komendy strefy. Uwielbiał dziennikarzy i miał wyjątkowy talent do zabawiania ich, a do tego jeszcze ostatnio zaczął wykazywać dryg do deklamowania dwuwierszy podczas wywiadów. Sartadź nieraz już zastanawiał się, czy aby zastępca komendanta nie ćwiczy wieczorami z tomikiem poezji przed lustrem.

– To dobrze – stwierdził Sartadź. – Ktoś musi im powiedzieć o naszej ciężkiej pracy.

Kamble parsknął śmiechem.

Sartadź usiadł przy biurku obok Kamblego i otworzył egzemplarz „Indian Express”. Dwóch członków gangu Gaitondeggo zastrzelono podczas akcji lotnych brygad w Bhajanderze. Policja dostała poufną informację i dopadła ich, kiedy wchodzili do biura tamtejszej fabryki. Wezwali ich do poddania się, ale oni zaczęli strzelać do policjantów, ci odpowiedzieli ogniem i tak dalej, i tak dalej. W gazecie opublikowano kolorowe zdjęcia tajniaków pochylających się nad dwoma podłużnymi czerwonymi plamami na ziemi. Wśród innych wiadomości znalazła się również informacja o dwóch włamaniach w Andheri East i jednym w Worli, a to ostatnie zakończyło się zasztytowaniem dwojga młodych ludzi. Czytając gazetę, Sartadź słyszał, jak siedzący naprzeciwko Kamblego starszy mężczyzna opowiada o powolnej śmierci. Jego osiemdziesięcioletnia mauiś spadła ze schodów i złamała biodro. Przyjęto ją do polikliniki Siwsagar, gdzie ze swoim zwykłym, stoickim spokojem znosiła nieustający ból w starych kościach. Przecież w czterdziestym drugim roku szła razem z Gandhim i wtedy doznała swojego pierwszego złamania, kości obojczyka, od uderzenia lathi konnego policjanta, a później przetrzymała gołą podłogę celi aresztu. Miała tę staroświecką moc, wedle której obowiązkiem człowieka na tym świecie było poświęcenie własnej osoby. Kiedy jednak odleżyny utworzyły głębokie, czerwone rany na jej rękach, ramionach i plecach, nawet ona stwierdziła, że być może nadszedł czas umierać. Starszy mężczyzna nigdy wcześniej nie słyszał, żeby mówiła coś podobnego, ale teraz jęczała, że pragnie umrzeć. Minęły dwadzieścia dwa dni, zanim zaznała ulgi, dwadzieścia dwa dni, zanim nadeszła ta błogosławiona

ciemność. Sam byś się rozplakał, mówił ten starszy mężczyzna, gdybyś ją zobaczył.

Kamble przerzucał strony rejestru. Sartadź w pełni wierzył w opowieść starszego mężczyzny i rozumiał jego problem – poliklinika Siwsagar nie mogła wydać mu ciała, jeśli wcześniej nie otrzyma wystawionego przez policję zaświadczenia o braku zastrzeżeń. Odręcznie napisana notatka na papierze listowym Rady Miejskiej Brihanmumbai stwierdzała, że policja uznaje daną śmierć za naturalną, że nie popełniono żadnego przestępstwa, a ciało można wydać krewnym. Taka procedura miała zapobiec uznawaniu morderstw – zabójstw dla pozyskania posagu i tym podobnym – za wypadki, a do obowiązków podinspektora Kamblego należało podpisywanie takich dokumentów w imieniu baczących na wszystko, ubranych w mundury khaki strażników miasta Mumbai. Chociaż jednak formularze leżały tuż obok łokcia Kamblego, on gryzmolił coś w swoim rejestrze. Starszy mężczyzna, ze złożonymi rękami i z opadającymi na czoło siwymi włosami, patrzył na obojętnego policjanta wilgotnymi oczami.

– Proszę, sir – powiedział.

Sartadź pomyślał, że w sumie całe to przedstawienie zostało dobrze przemyślane i że żal jest szczery, chociaż ten fragment o Gandhim i złamanych obojczykach był przesadzony i nadmiernie melodramatyczny. Zarówno ten starszy mężczyzna, jak i Kamble wiedzieli, że przed podpisaniem zaświadczenia należy wnieść stosowną opłatę. Prawdopodobnie Kamble zażąda ośmiuset rupii, starszy mężczyzna będzie chciał dać jedynie pięćset lub coś koło tego, ale tematyka poświęcenia starych ludzi została już wyeksploatowana w filmach i Kamble był całkowicie odporny na numer z degeneracją Indii. Zamknął swój czerwony rejestr i sięgnął po zielony. Baczenie się w niego wpatrywał. Stary



mężczyzna podjął swoją historię, zaczynając od upadku na schodach. Sartadź wstał, przeciągnął się i wyszedł na dziedziniec komisariatu. W cieniu biegnących od frontu arkad i pod cynowym portykiem jak zawsze kłębił się tłum naganiaczy, pasożytów, krewnych osób osadzonych w areszcie, posłańców i przedstawicieli lokalnych biznesmenów, osób zabiegających o względy oraz nielicznych ludzi naznaczonych piętnem nieszczęścia i nagłej niedoli, teraz spoglądających na niego z nadzieją pomieszaną z goryczą.

Sartadź minął ich wszystkich. Cały kompleks był otoczony ponad trzymetrowym murem, zbudowanym z tej samej brunatnej cegły co komisariat i siedziba komendy strefy. Oba budynki były dwupiętrowe, z identycznymi dachami z czerwonej dachówki i łukowatymi oknami. W tych ponurych łukach, w grubości ścian i bezwzględny ciężarze fasad kryła się jakaś nadzieja, jakaś otucha masywnej potęgi, a zatem prawa i porządku. Wartownik stanął na baczność, kiedy Sartadź wkroczył na schody. Na długo zanim dojrzał gabinet Parulkara, wciąż jeszcze lawirując w labiryncie boksów zastawionych stertami papierów, Sartadź usłyszał dobiegający stamtąd śmiech. Zastukał energicznie w lśniące, drewniane drzwi gabinetu komendanta, a potem je otworzył. Roześmiane twarze na moment odwróciły się w stronę przybysza, ten zaś zauważył, że na spotkaniu pojawił się nawet przedstawiciel dziennika o zasięgu krajowym, aby wysłuchać opowieści o nowych pomysłach Parulkara albo przynajmniej jego poezji. Jego osoba stanowiła świetny temat artykułu.

– Panowie, panowie – Parulkar podniósł rękę, wskazując wchodzącego funkcjonariusza. – Oto mój najdzielniejszy policjant, Sartadź Singh. – Przy akompaniamencie przeciągłego brzęku dziennikarze odstawili filiżanki i sceptycznie popatrzyli na Sartadźa. Parulkar obszedł biurko, trzymając się

za pas. – Przepraszam na moment. Musimy porozmawiać na zewnątrz, a potem on opowie wam o naszej inicjatywie.

Parulkar zamknął drzwi i poprowadził Sartadza na tyły gabinetu, do malutkiej kuchenki, w której pysznił się nowy nabytek, błyszczący filtr wody firmy Brittex. Ponaciskał przyciski i błyszczący strumień popłynął do trzymanej przezeń szklanki.

– Bardzo smaczna woda, taka czysta, sir – odezwał się Sartadz. – Naprawdę bardzo dobra.

Parulkar dużymi haustami pił ze stalowego kubka.

– Zażyczyłem sobie najlepszego modelu – powiedział. – Uważam, że czysta woda to podstawa.

– Oczywiście, sir. – Sartadz upił łyk. – Najdzielniejszy, sir?

– Oni lubią dzielnych. A i dla ciebie lepiej będzie, żebyś był dzielny, jeśli chcesz zostać w tej robocie.

Parulkar miał opadające ramiona i gruszkowate ciało, z którym nawet najlepsi krawcy nie mogli sobie poradzić, i już teraz jego mundur był pognieciony, w zasadzie jak zwykle. Mówił przygaszonym głosem, patrząc na bok z jakąś rezygnacją, której Sartadz nigdy wcześniej nie widział.

– Czy coś się stało, panie komendancie? Jakież komplikacje z naszą inicjatywą?

– Nie, nie, z inicjatywą wszystko w porządku. Nie w tym rzecz. Chodzi o coś innego.

– Tak, panie komendancie?

– Chodzi im o mnie.

– Komu?

– A komuż by? – zapytał Parulkar wyjątkowo szorstko. – Rządowi. Chcą się mnie pozbyć. Uważają, że już i tak za daleko zaszedłem.

W tej chwili Parulkar pełnił funkcję zastępcy komendanta policji, a niegdyś był zwykłym podinspektorem. Piął się po szczeblach kariery, zaczynając od służby w policji stanu Maharastra, aż udało mu się dokonać tego prawie niewyobrażalnego przeskoku do zaszczytnej służby w krajowej policji indyjskiej, a osiągnął to sam jeden, wyłącznie dzięki swojej ciężkiej pracy, poczuciu humoru i wielu długim godzinom pracy. Była to zdumiewająca i niespotykana kariera, a obecnie Sartadź uważał go za swojego mentora. Opróżnił kubek i nalał sobie jeszcze wody z nowego filtra Brittex.

– Ale dlaczego, panie komendancie? – zapytał Sartadź. – Dlaczego?

– Byłem zbyt blisko poprzedniego rządu. Uważają mnie za człowieka Kongresu.

– Czyli mogą chcieć się pana pozbyć. To nic nie znaczy. Ma pan jeszcze wiele lat do emerytury.

– Pamiętasz Dharmeśa Mathidzę?

– Tak, to ten facet, który postawił nasz mur. – Mathidża był przedsiębiorcą budowlanym, jednym z tych, którzy odnieśli zdecydowany sukces na obszarze północnych przedmieść. Jego ambicję, podobnie jak pot na czole, było widać gołym okiem. W rekordowym czasie rozbudował mur otaczający teren na tyłach komisariatu, wokół ostatnio wyrównanego obniżenia terenu. Teraz z okien budynku widać było świątynię Hanumana, mały trawnik i młode drzewka. Parulkar miał obsesję na punkcie udoskonalania. Często powtarzał: musimy się doskonalić. Firma Mathidża i Synowie udoskoniła komisariat, wszystkie prace wykonując, oczywiście, za darmo. – I co z tym Mathidżą, panie komendancie?

Parulkar sączył wodę małymi łydkami, płuczac nią usta.

– Wczoraj z samego rana wezwano mnie do dyrektora naczelnego.

– Tak?

– Do dyrektora dzwoniło z ministerstwa spraw wewnętrznych. Mathidża zagroził wniesieniem skargi. Powiedział, że zmuszałem go do wykonywania prac budowlanych.

– To jakieś bzdury. Przecież sam przyszedł. Tyle razy przychodził tu do pana. Wszyscy to widzieliśmy. Robił to z radością.

– Nie chodzi o ten mur. U mnie w domu.

– W pańskim domu?

– Pilnie potrzebna była naprawa dachu. Jak wiesz, mój dom jest bardzo stary. To prawdziwe gniazdo rodowe. A do tego potrzebna była nowa łazienka. Mama i moje wnuczki ponownie się tam sprowadziły. Chyba o tym słyszałeś.

– I co dalej?

– Te prace wykonał Mathidża. Dobrze się spisał. Ale teraz mówi, że ma nagranie, w którym słyhać, jak go straszę.

– Pan?

– Pamiętam, że kiedyś zadzwoniłem do niego, żeby się pospieszył. Żeby zakończył pracę przed porą monsunową. Być może użyłem kilku ostrzejszych słów.

– Ale co z tego, panie komendancie? Niech idzie z tym do sądu. Niech robi, co chce. Przekona się, co możemy zrobić tutaj z jego życiem, sir. Na jego budowach, we wszystkich jego biurach....

– Sartadżu, to tylko ich wymówka. W ten sposób chcą wyrzucić na mnie nacisk i dać mi do zrozumienia, że jestem osobą niepożądaną. Oni się nie zadowolą moim przeniesieniem, chcą się mnie pozbyć.

– Będzie się pan bronił?

– Tak. – Ze wszystkich znanych Sartadżowi graczy politycznych Parulkar był najlepszy. Arcymistrz subtelnej sztuki kontaktów, zakulisowych machinacji i rozmów kularowych, doskonały w uszczęśliwianiu ministrów

i członków korporacji, zapewnianiu zysków w interesach, poklepywaniu się po plecach i wymianie uprzejmości z komisarzami policji, w drobnych przysługach doskonale wyważonych i rozdzielanych, a także pamiętanych, w interesach załatwianych, a potem szybko zapominanych. Prawdziwy miłośnik subtelnej gry. Po prostu mistrz w tej dziedzinie. Nie do wiary, że był aż tak zmęczony. Stał teraz z wymiętym kołnierzykiem, a krągłość jego brzucha już nie była dziarska, lecz ciężka od żalu. Wypił kolejny kubek wody, tym razem bardzo szybko. – Lepiej idź tam do nich, Sartadź. Czekają na ciebie.

– Przykro mi.

– Wiem.

– Panie komendancie... – Sartadź pomyślał, że powinien coś dorzucić, coś, co by oddało jego wielką wdzięczność i jednoznacznie by wyraziło, ile Parulkar dla niego znaczył. Coś o tych wspólnie spędzonych latach, o sprawach rozwiązanych, a także o tych zaniechanych i porzuconych, o tym, ile się od niego nauczył, jak żyć, pracować i przetrwać w tym mieście jako policjant. Ale zdołał tylko wyprężyć się na bacność. Parulkar skinął głową. Zrozumiał.

Przed wejściem do gabinetu Sartadź poprawił koszulę i przesunął dłonią po turbanie. Następnie wkroczył do środka i opowiedział reporterom o większej liczbie patroli na ulicach, o współpracy ze społeczeństwem, o ścisłym nadzorze i przejrzystości działań; o tym, jak to będzie lepiej.

Na lunch Sartadź zjadł uttapam, przysłane na komisariat z pobliskiej restauracji Udipi. Ostry smak chilli działał orzeźwiająco, ale po posiłku Sartadź nie był w stanie podnieść się z krzesła. Pomimo lekkości stawy czuł, że znużenie go przygniata, wprost miażdży. Z wielkim trudem wstał i odsunął ławkę spod ściany, a potem zdjął buty i wyciągnął się na desce. Skrzyżował ramiona na piersiach. Jeden głęboki oddech, potem następny i

coraz mniej odczuwał wbijającą się w udo krawędź, rozkołysana senność pozwoliła zapomnieć o drobiazgach, a otaczający go świat rozmył się w jakiejś dziwnej bieli. Czająca się wewnątrz ciała energia spowodowała jednak, że poczuł potężny gniew i po chwili przypomniał sobie, dlaczego jest tak niespokojny. Wszystkie sukcesy Parulkara mają zostać wymazane, mają stracić na znaczeniu w związku z zaplanowaną kompromitacją. A kiedy już nie będzie Parulkara, co się stanie z Sartadźem? Co się stanie z nim? Ostatnio Sartadź odnosił wrażenie, że niczego w życiu nie osiągnął. Miał już ponad czterdzieści lat, był rozwiedzionym inspektorem policji z przeciętnymi perspektywami zawodowymi. Jego rówieśnicy zdążyli się wspiąć dużo wyżej, tylko on dreptał w miejscu, wypełniając swoje obowiązki. Kiedy wybiegał myślami w przyszłość, widział, że nie zdoła osiągnąć tyle, co jego ojciec, i zdecydowanie dużo mniej niż powszechnie szanowany Parulkar. Jestem zupełnie do niczego, pomyślał Sartadź, i ogarnęło go przygnębienie. Usiadł, potarł twarz, energicznie potrząsnął głową i włożył buty. Sztywnym krokiem poszedł do pomieszczenia od ulicy, w którym podinspektor Kamble delikatnie masował sobie brzuch. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Smakował ci lunch? – zapytał Sartadź.

– Doskonale, pierwszorzędne birjani z nowej restauracji Laziz przy drodze S.T. – odparł Kamble. – W takim fikuśnym glinianym garnku. Tu, w Kailashapada, popadamy w beznadziejny snobizm. – Wyprostował się i nachylił w stronę Sartadźa. – Posłuchaj. Znałeś tych dwóch gandu, których lotne brygady dorwały wczoraj w Bhajanderze?

– Gang Gaitondego, tak?

– Zgadza się. Wiesz, że gangi Gaitondego i Sulejmana Isy znowu walczą ze sobą, prawda? Słyszałem, że te dwie wczorajsze ofiary to supari od Firmy S. I że chłopaki z lotnych brygad zarobili dwadzieścia lakhów.



– W takim razie lepiej dostań się do brygad.

– Stary, a jak myślisz, na co ja zbieram? Słyszałem, że aktualna stawka, żeby tam się dostać, wynosi dwadzieścia lakhów.

– Bardzo drogo.

– Bardzo – przyznał Kamble. Twarz mu płonęła, wszystkie pory skóry były szeroko otwarte i rozpalone. – Ale tu chodzi o pieniądze, mój drogi, a żeby zarobić kasę, trzeba ją najpierw wydać.

Sartadź skinął głową, a Kamble ponownie zagłębił się w rejestrze. Pewnego razu Sartadź usłyszał od skazanego za morderstwo właściciela domów w slumsach gorzki sekret życia w metropolii: *paisaphęk, tamaśa dekh*. Dosłownie wpadli na siebie na rogu w basti w Andheri. Od razu się rozpoznali, chociaż Sartadź był w cywilnym ubraniu, a właściciel domów dorobił się sporego brzucha. Sartadź zagaił: „Are, Bahzad Hussain, czy nie powinienes teraz odsiadywać piętnastu lat za zlikwidowanie Anwara Jedy?”, na co Bahzad Hussain roześmiał się nerwowo i odrzekł: „sahibie inspektorze, wie pan, jak to jest, dostałem zwolnienie warunkowe i teraz w mojej kartotece jest napisane, że zbiegłem do Bahrajnu, *paisaphęk, tamaśa dekh*<sup>1</sup>”. To była absolutna prawda, jeśli miało się pieniądze do szastania, można było oglądać spektakl, sędziów niefrasobliwie podskakujących na trapezie, polityków skaczących przez obręcz, wesołych gliniarzy z czerwonymi nosami. Bahzad Hussain miał sporo wdzięku i tyle zdrowego rozsądku, aby spokojnie przyjść na komisariat i z wielką pewnością siebie poprosić jedynie o filiżankę herbaty i możliwość zadzwonienia do kilku osób. Żartował i dużo się śmiał. Tak, on szastał pieniędzmi i oglądał spektakl. To całe policyjne dżhandzat było stratą czasu, niczym więcej. *Paisaphęk, tamaśa dekh*.

W tej chwili przed Kamblem stała cała rodzina, matka, ojciec i syn ubrany w niebieski mundurek z krótkimi spodenkami. Ojciec, krawiec,

wrócił do domu z warsztatu wczesnym popołudniem, żeby zabrać jakiś zapomniany wcześniej materiał na ubranie. W drodze powrotnej poszedł skrótem i zobaczył swojego syna, który w tym czasie miał być w szkole, jak z jakimś faltu ulicznikami gra w kamienie pod murem fabrycznym. Teraz mówiła matka:

– Saab, ja go biję, ojciec krzyczy na niego, a to nic nie pomaga. Nauczyciele już się poddali. A on nam pyskuje, mój własny syn. Myśli, że jest taki mądry. Uważa, że nie musi chodzić do szkoły. Mam już tego dość, saab. Niech pan go weźmie. Niech pan go wsadzi do więzienia.

Wykonała ruch, jakby wypuszczała coś z rąk, i końcem swojego niebieskiego pallu wytarła oczy. Patrząc na jej dłonie i dobrze umięśnione przedramiona, Sartadź uznał, że pracuje w osiedlu Siwa jako bai, że myje naczynia i pierze ubrania żonom pracowników szczebla kierowniczego. Jej syn stał ze spuszczoną głową, pocierając jednym butem o drugi. Sartadź kiwnął palcem.

– Chodź tutaj. – Chłopiec podszedł, szurając nogami, nieco bokiem. – Jak masz na imię?

– Saileś. – Był dość bystrym trzynastolatkiem. Elegancko ułożone włosy opadały na kark, w czarnych oczach miał błysk.

– Dzień dobry, Saileśu.

– Dzień dobry.

Sartadź uderzył mocno dłonią w stół. Tak głośno, że Saileś drgnął i cofnął się. Policjant chwycił go za kołnierz i pociągnął wokół biurka.

– Uważasz, że jesteś twardy, Saileśu? Jesteś taki twardy, że nikogo się nie boisz? Pozwól, że ci pokażę, co robimy z takimi twardymi tapori jak ty, Saileśu. – Sartadź przeszedł z nim przez pokój, przez drzwi i zaprowadził go do pokoju przesłuchań, przy każdym kroku unosząc chłopca nad ziemię.

Na końcu tego pokoju, w pobliżu skutych, kucających więźniów, siedział Katekar z drugim policjantem.

– Katekar! – zawołał Sartadź.

– Słucham, panie komendancie.

– Który z nich jest najtwardszy?

– Ten, panie komendancie, uważa się za twardziela. Narain Swami, kieszonkowiec.

Sartadź potrząsnął Sailesem, aż głowa mu się zatrzęsała, i warknął: – Ten oto wielki facet myśli, że jest twardszy od nas wszystkich. Pokażemy mu. Dajmy Narainowi Swamiemu mały pokaz dum, niech sobie ten wielki facet popatrzy.

Katekar podniósł skulonego Naraina Swami i zmusił go, żeby się nachylił, ten zaś próbował opierać się i brzęczał łańcuchami, ale kiedy na jego plecach wylądowało z niesamowitym trzaskiem pierwsze uderzenie otwartą dłonią, zrozumiał, o co chodzi. Przy drugim zawył jak należy. Po trzecim i czwartym już łkał: – Proszę, saab, proszę. Wystarczy. – Po szóstym Saileś ronił już rześiste fey. Odwrócił głowę, ale Sartadź chwycił go za podbródek i zmusił, aby zwrócił wzrok na kaźń.

– Chciałbyś coś jeszcze zobaczyć, Saileśu? Wiesz, co robimy potem? – Sartadź wskazał na grubego białego pręta, biegnącego tuż pod sufitem od jednej ściany do drugiej. – Wsadzamy Swamię na ghor. Przywiązujemy go za ręce i nogi do pręta i lejemy pattę. Katekar, pokaż mu pattę.

Ale kiedy Saileś zobaczył szeroki kawał taśmy, wyszeptał: – Nie, proszę, nie.

– Co?

– Proszę, nie.

– Chcesz tu skończyć, Saileśu? Jak Narain Swami?

– Nie.

– Co, proszę?

– Nie, saab. Proszę.

– A tak właśnie skończysz. Jeśli dalej będziesz się w ten sposób zachowywał.

– Nie będę, saab. Nie będę.

Sartadź odwrócił go i trzymając mu dłonie na ramionach, poprowadził do drzwi. Narain Swami trwał zgięty w pół, szczerząc zęby w odwróconym uśmiechu. Kiedy już wyszli, Saileś usiadł na metalowym krzeselku z butelką coca-coli między kolanami i w ciszy słuchał Sartadźa. Powoli sączył napój, a Sartadź opowiadał mu, jak kończą tacy ludzie jak Narain Swami, bici, wyniszczeni, uzależnieni, w więzieniu lub na przepustce, zmizerniali, wyczerpani i w końcu martwi. I to wszystko dlatego, że nie chodzili do szkoły i nie słuchali mamy.

– Ja będę chodził – powiedział Saileś.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – Saileś dotknął gardła.

– Lepiej, żebyś dotrzymał słowa – pogroził Sartadź. – Nie cierpię ludzi, którzy łamią obietnice. Dorwę cię.

Saileś skinął głową i Sartadź wyprowadził go na dwór. Przy furtce stała jego matka. Podeszła do Sartadźa i uniósłszy zaciśnięte dłonie, otworzyła je. W prawej znajdował się skręcony koniec jej pallu, a w lewej starannie złożony banknot sturupiowy.

– Saab – powiedziała.

– Nie – odparł Sartadź. – Nie.

Widział jej wypomadowane włosy i zaczerwienione oczy. Uśmiechnęła się leciutko, wyżej uniosła dłonie i szerzej je otworzyła.

– Nie – powtórzył Sartadź. Odwrócił się i odszedł.

Katekar jechał swobodnie, z gracją baletnicy wyszukując przerwy pomiędzy innymi samochodami. Sartadź odsunął fotel do tyłu i sennie patrzył, jak kolega zmienia biegi i zgrabnie prowadzi suzuki gypsy między ciężarówkami i samochodami, mijając je w odległości zaledwie kilku centymetrów. Sartadź już dawno temu nauczył się relaksować. Co prawda, wciąż jeszcze co kilka minut zdawało mu się, że zaraz dojdzie do kolizji, ale od Katekara nauczył się nie przejmować. To kwestia pewności siebie. Trzeba jechać do przodu i zawsze w ostatniej chwili ktoś się usuwa. I zawsze to ten drugi gandy. Katekar podrapał się po kroczu, mruknął: „Ech, behenćod” i spiorunował wzrokiem kierowcę piętrowego autobusu, zmuszając go do całkowitego zatrzymania. Skręcili w lewo, a Sartadź uśmiechnął się, widząc, jakim zamaszystym łukiem Katekar pokonuje zakręt.

– Powiedz mi, Katekarze – odezwał się Sartadź – kto jest twoim ulubionym bohaterem?

– Filmowym?

– A jakimże innym?

Katekar był zakłopotany.

– Jak już oglądam telewizję... – Trącił dźwignię zmiany biegów i wytarł jakiś pyłek z przedniej szyby. – Kiedy leci tam jakiś film... – czyli zawsze – lubię oglądać Dewa Ananda.

– Dewa Ananda? Naprawdę?

– Tak, sir.

– Ale on jest również moim ulubionym aktorem. – Sartadź lubił te stare, czarno-białe filmy, w których Dew Anand pojawiał się na ekranie nachylony pod nieprawdopodobnym kątem, niewiarygodnie żwawy i nad wyraz układny. W tej jego koślawej doskonałości znajdował jakieś szczególne pokrzepienie, nostalgię za prostotą, której sam nigdy nie zaznał.

Spodziewał się jednak, że Katekar okaże się wielbicielem Amitabha Baććana albo entuzjastą mięśniaków, Sunila Settiego czy Akszaja Kumara, których wielkie postacie widniały na plakatach filmowych, jak jakieś gigantyczne i potężne okazy nowych gatunków. – Katekarze, który film z Dewem Anandem najbardziej lubisz?

Ten uśmiechnął się i przechylił głowę na bok. To był ruch charakterystyczny dla Dewa Ananda.

– No oczywiście *Guide*, panie komendancie. Bez dwóch zdań.

Sartadź skinął głową.

– Oczywiście. – *Guide* nakręcono w jaskrawych kolorach lat sześćdziesiątych, co tylko dodawało smaczku gorącej miłości Dewa do Wahidy, a także pomagało przeżywać gorycz ostatecznej tragedii. Sartadź zawsze z ciężkim sercem oglądał przeciągającą się śmierć przewodnika, tę całą jego samotność i wygasłą miłość. Ale oto okazało się nieoczekiwanie, że również Katekar jest wielbicielem Dewa. Sartadź roześmiał się i zaśpiewał: – Gata rahe mera dii... – Katekar kiwnął głową, a kiedy Sartadź zapomniał słów po „Tu hi meri manzil”<sup>2</sup>, dośpiewał następny dwuwiersz, aż do samej antry. Teraz już uśmiechali się obaj.

– Dziś już się nie robi takich filmów – westchnął Sartadź.

– Nie, już nie – przyznał Katekar. Przed nimi rozpościerała się pusta teraz droga, aż do skrzyżowania w Karanth Čauk. Mknęli obok skupisk domów mieszkalnych, ulokowanych za długim zielonym murem po prawej, a po lewej widzieli niechlujne chałupy basti, wychodzące bezpośrednio na drogę. Katekar łagodnie zatrzymał się na światłach, płynnie wyhamowując z szalonej prędkości do zera.

– Krążą plotki o sahibie Parulkarze – powiedział, palcem wskazującym przecierając wewnętrzną stronę kierownicy.

– Jakie plotki?



– Mówi się, że jest chory i że rozważa możliwość odejścia z policji.

– A na co jest chory?

– Na serce.

Skoro już musiały pojawić się jakieś pogłoski, ta brzmiała nieźle. Może to sam Parulkar zaczął coś takiego rozpuszczać, kierując się podstawową zasadą operacyjną, która mówi, że utrzymanie tajemnicy jest niemożliwe, że wkrótce wszyscy coś będą wiedzieć i lepiej samemu wpłynąć na nieuniknione, absurdalne domniemania, ukierunkować je i jakoś wykorzystać.

– Nic nie wiem o jego odejściu – powiedział Sartadź – ale rozważa różne możliwości.

– Ze względu na serce?

– Coś w tym stylu.

Katekar kiwnął głową. Nie wyglądał na zbytnio zmartwionego. Sartadź wiedział, że Katekar nie należy do wielkich wielbicieli Parulkara Saaba, chociaż w obecności Sartadźa nigdy złego słowa by na niego nie powiedział. Raz stwierdził jednak, że mu nie ufa. Nie wyjaśnił, dlaczego, a Sartadź złożył jego podejrzenia na karb zatwardziałego antybraminizmu. Katekar nie ufał braminom, jak również nie lubił Marathów za ich charakterystyczną dla średniej kasty zachłanność, chciwość i te ich pretensje warny kszatrija. Sartadź widział, że z punktu widzenia Katekara, z punktu widzenia kasty OBC, te uprzedzenia są w pełni uzasadnione. Katekar nieraz powtarzał, że wystarczy tylko spojrzeć na historię. A Sartadź zawsze, nie pytając o nic, przyznawał, że przez wszystkie stulecia kasty zacofane traktowano straszliwie. Spierał się jednak z Katekarem na temat polityki kastowej w czasach ubiegłych oraz obecnych i kwestionował jego wnioski. Na szczęście te ich niebezpieczne dyskusje zawsze toczyły się na stopie przyjacielskiej. Ostatecznie, Sartadź i tak był zadowolony, że Katekar

w swoich opowieściach w żaden bezpośredni sposób nie odnosi się do zadzierających nosa sikhijskich Dżattów. Znali się od dawna i Sartadź miał do niego pełne zaufanie.

Zjechali na wąski parking przed restauracją Sindur, która reklamowała się świetną kuchnią indyjską i kontynentalną. Sartadź sięgnął za swój fotel po białą torbę Air India. Przecisnął się obok peugeota, minął panwałę przy wejściu, a potem przepuścił szereg ubranych w białe koszule pracowników szczebla kierowniczego. Po drugiej stronie ulicy widział wielki, biały szyld z czerwonym napisem „Delite Dance Bar and Restaurant”. Koszula Sartadźa była zupełnie przemoczona i od ramion aż po pas lepiła mu się do pleców. Restauracja Sindur miała kompletny wystrój ślubnej śamiiany, poczynając od instrumentów orkiestry za kasą, a kończąc na okalających menu ozdóbkach mehndi. Katekar usiadł naprzeciw Sartadźa w czteroosobowym boksie i obaj z ulgą opuścili głowy pod silnym strumieniem zimnego powietrza ze znajdującego się bezpośrednio nad nimi wentylatora. Kelner przyniósł dwie pepsi i zaczęli pić łączywie, ale zanim skończyli połowę, pojawił się przy nich Śambhu Śetti. Wsunął się na miejsce obok Sartadźa, schludny i zadbany jak zawsze, w niebieskich dżinsach i niebieskiej dżinsowej koszuli.

– Witaj, saab.

– Wszystko w porządku, Śambhu?

– Tak, saab. – Uścisnął im dłonie. Jak zawsze, Sartadź przez chwilę poczuł zazdrość z powodu żelaznego uścisku ręki Śambhu, tych jego napiętych mięśni ramion i gładkiej twarzy dwudziestoczwolotka. Pewnego razu, rok temu, odchylił się w boksie i podniósłszy koszulę, pokazał im swój kaloryferek na brzuchu, trójkąciki mięśni biegnące do klatki piersiowej. Kelner przyniósł Śambhu świeży sok ananasowy. Nigdy nie pił napojów gazowanych ani też z cukrem.

– Byłeś na trekkingu, Śambhu? – zapytał Katekar.

– Wybieram się na początku przyszłego tygodnia, przyjacielu. Na lodowiec Pindari.

Między Sartadźem a Śambhu, na czerwonej sztucznej skórze siedziska, leżała gruba, brązowa koperta. Sartadź przesunął ją sobie na kolana i uchylił skrzydełko. Wewnątrz znajdowało się dziesięć plików banknotów sturupiowych w paczkach po dziesięć tysięcy rupii, obwiązanych bankową recepturką.

– Pindari? – zapytał Katekar.

Śambhu był zaskoczony.

– Człowieku, czy ty w ogóle wyjeżdżasz z Mumbaju? Pindari jest w Himalajach. Powyżej Nainitalu.

– Aha – odparł Katekar. – Na ile wyjeżdżasz?

– Na dziesięć dni. Nie martwcie się, wrócę przed następnym terminem.

Sartadź wyciągnął spod nóg torbę Air India, rozpiął zamek i włożył kopertę do środka. Komisariat i Delite Dance Bar miały comiesięczną umowę. Zarówno Śambhu, jak i on sam byli jedynie przedstawicielami dwóch organizacji; jedna dawała, a druga zbierała. Nie były to prywatne pieniądze, a oni spotykali się już od ponad roku, od czasu kiedy Śambhu został kierownikiem Delite, i przypadli sobie do gustu. Śambhu był porządnym gościem, kompetentnym, skromnym i bardzo wysportowanym. Próbował nakłonić Katekara do wspinaczki.

– To oczyści ci głowę – mówił. – Jak myślisz, dlaczego wielcy jogowie zawsze wybierali się w góry na tapasję? To kwestia powietrza. Pomaga w medytacjach, przynosi pokój. To dobrze robi.

Katekar uniósł pustą szklankę po pepsi.

– Moja tapasja jest tu, bracie. Tylko tu, co noc, odnajduję oświecenie.

Śambhu roześmiał się i stuknął się szklanką z Katekarem.

– Tylko nie spal nas tą twoją płomienną ascezą, o panie. Będę musiał przysłać ci apsary, aby cię ugłaskać.

Zachichotali wszyscy, a Sartadź aż się uśmiechnął na myśl o Katekarze siedzącym po turecku na jeleniej skórze, promieniującym blaskiem skumulowanej energii. Szarpnął za zamek torby, a potem stuknął Śambhu łokciem.

– Posłuchaj, Śambhu–ryshi – powiedział. – Musimy zrobić nalot.

– Co, znowu? Przecież mieliśmy nalot pięć tygodni temu.

– Chyba z siedem. Prawie dwa miesiące. Musisz pamiętać, Śambhu, że zmienił się rząd. Dużo się zmieniło. – Rzeczywiście, dużo się zmieniło. Partia Rakszak stworzyła nowy rząd stanowy. To, co kiedyś było prężną organizacją prawicową, dumną ze swoich zdyscyplinowanych, groźnych kadr, obecnie starało się przekształcić w partię mężów stanu. Jako stanowi ministrowie i sekretarze gabinetu złagodzili swój grzmiący nacjonalizm, ale nie zaniechają walki z degeneracją kulturową i zachodnią korupcją. – Obiecali zreformować miasto.

– Tak – odparł Śambhu. – Ten sukinsyn Bipin Bhonsle. Odkąd został ministrem, ciągle wygłasza przemówienia o zlikwidowaniu korupcji. I po co ten cały szum o ochronie indyjskiej kultury? Ostatnio wciąż się o tym gada. A kim my jesteśmy, jak nie mieszkańcami Indii? Czy nie chronimy swojej kultury? Czy dziewczyny nie tańczą hinduskich tańców?

Właśnie w tej chwili to robiły. W świetle lamp dyskotekowych wirowały do muzyki filmi, stosownie ubrane w coli i sari, a mężczyźni wyciągali do nich ręce z wachlarzami dwudziesto–i pięćdziesięciorupiiowych banknotów. Ale pomysł, by posłużyć się Dance Bar jako przykładem świątyni kultury, był tak zuchwały, że Sartadź i Katekar zaniemówili.

– Śambhu... – odezwali się jednak obaj po chwili.

– Dobra, dobra – podniósł obie ręce. – Kiedy?

- W przyszłym tygodniu – odparł Sartadź.
- Zróbcie to przed moim wyjazdem. W poniedziałek.
- W porządku. A więc o północy. – Zgodnie z nowym rozporządzeniem bary miały być zamykane o dwudziestej trzeciej trzydzieści.
- Och, nie, saab. Pozbawiacie chleba biedne dziewczęta. To zdecydowanie za wcześnie.
- O wpół do pierwszej.
- Najwcześniej o pierwszej, błagam. Miejcie litość. Już i tak tracą połowę nocnych zarobków.
- Zgoda, o pierwszej. Ale lepiej, żeby było tu jeszcze kilka dziewczyn, kiedy przyjedziemy. Musimy jakieś aresztować.
- Co za sukinsyn z tego Bhonslego. Najpierw zamykanie barów, a teraz ta nowa śośa z aresztowaniem dziewczyn. Dlaczego? Po co? One przecież tylko zarabiają na życie.
- Nowa śośa to bezwzględna dyscyplina i uczciwość, Śambhu. Pięć dziewczyn w suce. Może znajdziesz jakieś ochotniczki. Niech podadzą dowolne nazwiska. I nie potrwa to długo. Będą w domu o trzeciej, najpóźniej o wpół do czwartej. Odwieziemy je.
- Śambhu skinął głową. Wyglądało na to, że rzeczywiście lubi swoje dziewczyny, i to z wzajemnością, a z tego, co Sartadź słyszał, nigdy nie zabierał tancerkom z napiwków więcej niż standardowe sześćdziesiąt procent. Od tych najbardziej popularnych brał tylko czterdzieści. Zadowolona dziewczyna lepiej zarabia, powiedział kiedyś Sartadźowi. Był dobrym biznesmenem. Sartadź uważał, że chłopak daleko zajdzie.
- Zgoda, szefie – rzekł Śambhu. – Będziemy gotowi. Nie ma sprawy.
- Kiedy tyłem wjeżdżali w gęstniejący ruch uliczny, on stanął im na drodze, wciąż się uśmiechając.
- O co chodzi? – zapytał Sartadź.

– Wiesz, saab, kiedy powiem dziewczynom, że to pan we własnej osobie przyjeżdża na nalot, mogę się założyć, że będę miał z dziesięć ochotniczek.

– Posłuchaj, ćutija... – zaczął Sartadź.

– A nawet dwanaście, jeśli będzie je pan eskortował w furgonetce – dodał Śambhu. – Manika bez przerwy pyta o pana. Jest taki dzielny, mówi. Taki przystojny.

Katekar był bardzo poważny.

– Znam ją. Miła domatorka.

– Ma jasną karnację – powiedział Śambhu. – Dobrze gotuje, haftuje.

– Sukinsyny – rzucił Sartadź. – Behenćody. Ruszaj, Katekar, jedziemy. Jesteśmy spóźnieni.

Katekar prowadził, nawet nie próbując ukryć uśmiechu, równie wielkiego jak u Śambhu. Tuż przed maską samochodu przemknęła chmara wróbli, jak oszalałe pikujących z nieba. Był już prawie wieczór.

Na komisariacie czekała na nich sprawa morderstwa. Starszy inspektor Madźid Khan, który akurat pełnił dyżur, powiedział, że pół godziny wcześniej dzwoniono z Nawnagaru, z Bengali Bury.

– Nie ma kto się tym zająć – dodał. – Wypadło na ciebie, Sartadźu.

Sartadź kiwnął głową. Śledztwa w sprawie morderstwa na trzy godziny przed końcem służby każdy oficer najchętniej by uniknął, chyba że w grę wchodziłaby sprawa wyjątkowo interesująca. Bengali Bura w Nawnagarze była bardzo biedna, a trupy tam znalezione były po prostu martwe, pozbawione wszelkich krzepiących perspektyw pochwał w raporcie, sławy w mediach albo pieniędzy.

– Napij się herbaty, Sartadźu – zaproponował Madźid. Przewertował pliki banknotów z Delite, a potem włożył je do szuflady po prawej stronie biurka.

Później przeniesie te pieniądze do kasetki w znajdującej się za jego biurkiem szafce firmy Godrej, gdzie trzymano większość funduszu operacyjnego komisariatu. Sama gotówka, a żadna rupia nie pochodziła z oficjalnego, państwowego budżetu. Ten nie wystarczał nawet na papier, na którym śledczy spisywali panćanamy, ani na pojazdy, którymi jeździli, ani na paliwo, które zużywali, ani nawet na herbatę, którą wypijali oni sami i tysiące ich gości. Część pieniędzy z Delite Madźid zatrzyma w charakterze dodatku do swoich poborów starszego inspektora, a część zostanie przekazana dalej, w górę.

– Nie, lepiej nie – odparł Sartadź. – Lepiej tam pojechać. Im wcześniej tam dotrzemy, tym wcześniej będziemy w łózkach.

Madźid pogładził się po wąsach, ekstrawagancko podkreślonych do góry, jak u jego ojca, wojskowego. Miał do nich wielką słabość i dbał o nie, stosując zagraniczne maści i delikatnie je przycinając, chociaż stanowiły przedmiot kpin i szyderstw.

– Wspominała cię twoja bhabhi – powiedział. – Kiedy przyjdiesz na kolację?

Sartadź wstał.

– Podziękuj jej ode mnie, Madźid. Może w następnym tygodniu, dobrze? W środę? Khima, tak? – Żona Madźida nie była zbyt dobrą kucharką, ale jej khima nie było takie złe, i Sartadź upodobał sobie tę potrawę. Od czasu, kiedy się rozwiódł, żony jego kolegów regularnie go dokarmiały, i podejrzewał w tym jakiś spisek. – Zbieram się.

– W porządku – powiedział Madźid. – W środę. Umówię się z generałem i dam ci znać.

W dżipie Sartadź rozmyślał o tej szczęśliwej parze, o Madźidzie i Rehanie. Kiedy siedział przy ich stole i spożywał ich jedzenie, widział, jak oszczędne są ich gesty, jak z każdego najprostszego zdania można wyczytać

całą historię wspólnie spędzonych lat. Obserwował szesnastoletnią Farah, z desperacją drażniącą się z trzynastoletnim Imtiazem, niecierpliwym i pewnym siebie. A potem z całą rodziną swobodnie rozkładał się na dywanie i oglądał jakiś ulubiony teleturniej. Oni chcieli, żeby został z nimi, on zazwyczaj nieustannie myślał o tym, że chciałby już sobie pójść. Za każdym razem bardzo chętnie przyjmował ich zaproszenie, ciesząc się, że może przebywać w normalnym domu, z normalną rodziną, z rodziną. Ale ich szczęście przyprawiało go o ból w piersi. Zdawało mu się, że powoli przyzwyczajają się do samotności, na pewno się przyzwyczajają, ale jednocześnie wiedział, że nigdy tak do końca się z nią nie pogodzi. Jestem straszny, pomyślał, tak źle i tak niedobrze. A potem w zawstydzeniu obejrzał się na czterech policjantów, którzy w identycznych pozach siedzieli z tyłu, mocno przyciskając do piersi swoje dwa karabiny i dwie lathi. Wszyscy wpatrywali się w brudną, metalową podłogę, lekko się kolebiąc to na jedną, to na drugą stronę. Za nimi widać było żółte niebo z dryfującymi smużkami błękitu.

Ojciec zamordowanego czekał na nich na skraju Nawnagaru, pod łagodnym zboczem, zabudowanym rudarami od nali do drogi. Był mały i nijaki, taki człowiek, który całe życie spędził, schodząc wszystkim z drogi. Sartadź ruszył za nim nierównymi uliczkami. Chociaż szli w górę zbocza, inspektor miał wrażenie, że schodzi w dół. Wszystko stawało się coraz mniejsze, ciaśniejsze, wąskie uliczki między krzywymi ścianami z tektury, tkanin i drewna, pokryte plastikiem, zapadające się dachy. Znajdowali się prawie w samym środku Bengali Bury, najbiedniejszej części Nawnagaru. Większość ze stojących tu chat była niższa od wyprostowanego mężczyzny, ubrani w wystrzępione łachmany mieszkańcy siedzieli w wejściach, a przed policjantami biegły bose dzieciaki. Na twarzy Katekara malował się wyraz wściekłej pogardy dla mieszkańców dźhoparpati, dopuszczających do tego,



żeby zwały brudu i śmieci zalegały pół metra od drzwi ich domostw, żeby ich małe córeczki kucaly i robiły kupę dokładnie w tym miejscu, gdzie bawią się ich synowie. To właśnie tacy ludzie rujnują Mumbai, często mówił do Sartadża, ci ganwarowie, którzy przybywają z Biharu albo Andhry, czy też z tego maderćodowego Bangladeszu, i żyją tu jak zwierzęta. Ci tutaj rzeczywiście są z Bangladeszu, pomyślał Sartadź, chociaż bez wątpienia mają dokumenty zaświadczające, że pochodzą z Bengalu, że każdy z nich jest prawdziwym obywatelem Indii. W każdym razie nie było dokąd ich odesłać, w tej swojej podmokłej delcie nie mieli nawet pół bigha własnej ziemi, która by ich pomieściła. Nadciągali tysiącami, aby nająć się do służby albo pracować przy drogach i na budowach. A jeden z nich leżał tu teraz martwy.

Upadł na progu. Górna połowa ciała znajdowała się wewnątrz chaty, rozrzucone stopy na zewnątrz. Był młody, jeszcze nie skończył dwudziestu lat. Miał na sobie drogie tenisówki Keds, porządne dzinsy i niebieską koszulę bez kołnierzyka. Na przedramionach widniały głębokie do kości rany cięte, częste u ofiar napadów z użyciem siekiery, broniących się przed uderzeniami. Rany były czyste i z jednego końca głębsze. Zamiast małego palca lewej dłoni widniał niewielki, krwawy kikut, a Sartadź wiedział, że nie ma sensu go szukać. Okolica roiła się od szczurów. Niewiele dało się zobaczyć w chacie, trudno było cokolwiek rozpoznać w tętniących życiem ciemnościach. Katekar włączył latarkę i w kręgu światła Sartadź zaczął odganiać muchy. Rany cięte widniały na klatce piersiowej i czole, a jedna, pokaźna, prawie przecięła szyję chłopaka. Prawdopodobnie był już żywym trupem po tamtych ranach, ale zabiła go ta właśnie, z głuchym łomotem zwała go na ziemię. Pod nogami mieli ciemne, wilgotne błoto.

– Nazwisko? – odezwał się Sartadź.

– Jego, saab? – zapytał ojciec. Odwracał wzrok, starał się nie patrzeć na syna.

– Tak.

– Śamsul Śah.

– A twoje?

– Nurul, saab.

– Użyli siekier?

– Tak, saab.

– Ilu ich było?

– Dwóch, saab.

– Znasz ich?

– To Bazil Ćaudri i Faradž Ali, saab. Mieszkają w pobliżu. To koledzy mojego syna.

Katekar gryzmolił w swoim notesie, poruszając ściśniętymi wargami przy pisaniu nieznanym mu nazwisk.

– Skąd pochodzisz? – zapytał Sartadź.

– Z wioski Duipara w regionie Capra, dystrykt Nadia, Bengal Zachodni, saab. – Te wszystkie słowa zostały wypowiedziane bardzo pośpiesznie. Sartadź zdawał sobie sprawę, że starzec ćwiczył je wiele razy po nocach, uczył się z dokumentów, które kupił natychmiast po przybyciu do Mumbaju. Morderstwo z udziałem Bengalczyków należało do rzadkości, ponieważ ludzie ci na ogół byli uniżeni, pracowali, starali się zarobić na życie i nie ściągać na siebie uwagi za wszelką cenę.

– A tamci? Też są stamtąd?

– Ich rodzice pochodzą z Ćapry.

– Z tej samej wioski?

– Tak, saab. – Mówił z bangladeskim akcentem z naleciałościami urdu. Sartadź nauczył się już rozpoznawać tę wymowę. Kłamał tylko w kwestii

kraju, w którym wioska się znajdowała, i tyle. Reszta była zgodna z prawdą. Ojcowie ofiary i zabójców prawdopodobnie wspólnie dorastali, pluskając się w tych samych strumieniach.

– Czy ci dwaj są z tobą w jakiś sposób spokrewnieni?

– Nie, saab.

– Widziałeś to zdarzenie?

– Nie, saab. Ludzie mnie zawołali.

– Jacy ludzie?

– Nie wiem, saab. – Z końca dróżki dobiegały pomruki. Słyszeli wznoszące się i cichnące głosy, ale nikogo nie było widać. Żaden z sąsiadów nie chciał mieć do czynienia z policją.

– Do kogo należy ten dom?

– Do Ahsana Naima, saab. Ale jego tu nie było. W domu była tylko jego matka, teraz jest u sąsiadów.

– Widziała to?

Nurul Śah wzruszył ramionami. Nikt nie chciał być świadkiem, ale tej starej kobiecie nie uda się tego uniknąć. Może będzie się tłumaczył krótkim wzrokiem.

– Twój syn uciekał?

– Tak, saab, stamtąd. Siedzieli w domu Faradża.

Czyli zamordowany chłopak starał się dotrzeć do domu. Musiał być wycieńczony i chciał się gdzieś schronić. Drzwi składały się z kawałka blachy, zawieszanej na trzech drutach na umieszczonym poziomo kawałku bambusa. Sartadź odsunął się od ciała, od tego ciężkiego zapachu krwi i mokrej gliny.

– Dlaczego to zrobili? Co się stało?

– Oni wszyscy razem pili, saab. Pokłócili się.

– O co?

- Nie wiem. Saab, złapiecie ich?
- Zapiszemy to – odparł Sartadź.

O jedenastej Sartadź stał pod silnym strumieniem zimnej wody, wystawiając do niego twarz. Ciśnienie w rurach było bardzo dobre, nie spieszył się więc z wyjściem spod prysznica, podsuwając pod chłodny bicz to jedno ramię, to drugie. Wbrew samemu sobie i pomimo szumu wody w uszach myślał o Kamblem i o pieniądzach. Kiedy Sartadź był żonaty, czerpał pewną dumę z tego, że nigdy nie bierze pieniędzy, ale po rozwodzie zdał sobie sprawę, jak bardzo pieniądze Meghi chroniły go przed światem, przed biedą ulic, na których mieszkał. Dziewięćset rupii miesięcznie, otrzymywane w formie ryczału na koszty dojazdu, ledwo wystarczało na trzydniowy zapas paliwa do jego motocykla bullet, a z wielu banknotów, które codziennie rozdawał swoim informatorom, może jeden czy dwa pochodziły z tego maleńkiego przydziału dla khabari, a już na pewno nie pozostawało nic na śledztwo w sprawie śmierci młodego mężczyzny w Nawnagarze. Dlatego też teraz Sartadź brał pieniądze, i to chętnie. Pieprzony sardar już nie ma za szwagrów bogatych sukinsynów, więc ocknął się: wiedział, że policjanci i inni ludzie mówią to z satysfakcją, i mają rację. Ocknął się. Odetchnął głęboko, poruszył głową i w tym momencie mocne uderzenie centralnej części strumienia łupnęło go prosto między oczy. Głowę wypełnił mu gwałtowny szum.

W jego salonie panowała absolutna cisza. Wiedział, że jeszcze nie czas na sen, bez względu na to, jak bardzo jest zmęczony i jak bardzo pragnie odpoczynku. Położył się na sofie, z whisky Royal Challenge i butelką wody na stoliku obok. Pił małymi, odmierzonymi łykami, w regularnych odstępach. Pozwalał sobie na dwie szklaneczki na koniec dniówki, a ostatnio musiał zwalczać chęć sięgnięcia po trzecią. Leżał z głową daleko

od okna, by móc patrzeć w niebo, wciąż rozjaśnione światłami miasta. Po lewej widział długi, szary wieżowiec, przekształcony przez ramę okienną w jakąś zwieńczoną blankami abstrakcyjną konstrukcję, a po prawej tak zwaną ciemność, łagodnie rozpadającą się w oczach w bezkształtną i niesłabnącą żółtą iluminację. Sartadź wiedział, skąd się to wszystko bierze, jaka jest tego przyczyna, ale jak zawsze czuł podziw. Pamiętał, jak grał w krykieta na ulicy Dadar, szybkie puknięcia piłeczki tenisowej i twarze kolegów, a także to uczucie, że swoim sercem mógłby objąć całe miasto, od Kolaby po Bandrę. Teraz zrobiło się już zbyt obszerne, wymykało się mu, dochodziły kolejne rodziny, aż wytworzyła się ta chłodna i nieskończona poświata, której nie można było poznać ani się jej wymknąć. Czy naprawdę istniała ta mała, pusta uliczka, dobra na dziecięce gry w krykieta i na zabawy w dalba–ispies czy tik karbillę, czy też skradł ten obraz z jakiegoś czarno–białego materiału filmowego? Podarował sobie w formie prezentu to wspomnienie szczęśliwszego miejsca?

Wstał. Oparł się o framugę okna i przechylił szklaneczkę, aby wysączyć ostatnią kropelkę trunku. Wysunął głowę na zewnątrz, by poczuć lekki wiaterek. Horyzont był zamglony i odległy, a poniżej ostro świeciły światła. Spojrzał w dół i daleko na ziemi, na parking, dostrzegł jakiś błysk, kawałek szkła, może miki. Nagle pomyślał, że łatwo byłoby wysuwać się tak coraz dalej, przechylić się, aż jego własny ciężar pociągnąłby go w dół. Oczami wyobraźni widział, jak spada, widział szaleńczo łopoczącą białą kurtkę, a pod nią nagą klatkę piersiową i brzuch, ciągnącą się nada, spadające z nóg niebiesko–białe, gumowe, kąpielowe ćappale, obracające się stopy, i zanim się zamknie pełny obrót, trzask czaszki, krótki, a potem cisza.

Cofnął się od okna. Bardzo ostrożnie odstawił szklanę na stolik. Skąd się to wzięło?

– Skąd się to wzięło? – zapytał na głos. A potem usiadł na podłodze i zauważył, że odczuwa ból przy zginaniu kolan. Bolały go uda. Położył obie dłonie na stole i spojrzał na białą ścianę naprzeciwko. Był spokojny.

Katekar jadł resztki niedzielnej baraniny. W dolnej części jego pleców, po prawej stronie, znajdował się mięsień, który drgał boleśnie, ale przed Katekarem leżała ta gęsta, gorąca pociecha w postaci baraniny z prostą obfitością ziemniaków i ryżu oraz z tą piekącą rozkoszą marynaty z zielonego chilli, dzięki czemu z palącymi wargami mógł zapomnieć o kurczach mięśni albo przynajmniej je zignorować.

– Dołożyć ci? – zapytała Śalini.

Pokręcił głową. Usadowił się wygodnie w fotelu i beknął.

– Może ty byś coś zjadła? – powiedział.

Śalini pokręciła głową.

– Już jadłam – odparła. Potrafiła oprzeć się pokusie baraniny późnym wieczorem, ale nie tylko dlatego jej ręce były tak szczupłe, jak w dniu ich ślubu, prawie dziewiętnaście lat temu. Katekar obserwował, jak jednym zgrabnym ruchem przekręciła kurek gazu w lewo, redukując duży płomień i w końcu gasząc go zupełnie. W jej ruchach była jakaś ujmująca dokładność, kiedy teraz przepłukiwała i układała w stos naczynia do umycia nazajutrz, jakaś czysta wydajność, bardzo funkcjonalnie istniejąca w tym należącym do niej kawałku przestrzeni. Była szczupła, skromna i zaspokajała jego apetyty.

– Chodź, Shalu – powiedział, zdecydowanym ruchem ocierając usta. – Już jest późno. Kładźmy się.

Patrzył, jak wyciera stół, energicznie, z brzękiem szklanych bransolet. Kholi był niewielki, ale w środku panował nienaganny porządek. Kiedy skończyła, złożył nogi stołu i podniósł blat, opierając go o ścianę. Dwa

krzesła powędrowały do kątów. Kiedy ona porządkowała kuchnię, on rozwinął dwie ćatai w miejscu, gdzie wcześniej stał stół. Potem położył na jej ćatai materac oraz poduszkę, dla siebie zaś jedynie poduszkę, ponieważ jego plecy tolerowały tylko twarde podłoże, i już posłania były gotowe. Nalał sobie wody z garnka matka, wziął opakowanie proszku do zębów Monkey, po czym wyszedł na dwór i ruszył uliczką, ostrożnie stawiając kroki. Mieszkali w nadzwyczaj gęstym skupisku kholi, w większości porządnie zbudowanych, pakka, z drutami elektrycznymi biegnącymi nad dachami i w drzwiach. O tej porze kran wodociągu miejskiego był już oczywiście suchy, ale pod stojącym za nim ceglany murem znajdowała się kałuża wody. Katekar oparł się o mur, wysypał nieco proszku na palec wskazujący i umył zęby, oszczędnie używając wody, tak że kiedy wypluwał ostatni łyk, usta miał już czyste.

Kiedy wrócił do kholi, Śalini leżała na boku, tyłem do wejścia.

– Byłeś? – zapytała, nie odwracając się. Odstawił szklankę na półkę w kuchni. – Lepiej idź – powiedziała Śalini. – Bo za godzinę się obudzisz.

Na drugim końcu uliczki znajdował się zakręt, potem następny, a dalej otwierała się przestrzeń zbocza opadającego aż do szosy. Z ziemi unosił się intensywny fetor, w którym Katekar teraz kucnął, i ku swemu zdumieniu wypuścił gwałtowny strumień w dół pochyłości. Westchnął i popatrzył na zbliżające się i znikające w dole światła. Wróciwszy do kholi, wyłączył żarówkę, zdjął banian i spodnie i opuścił się na swoją ćatai. Leżał płasko na plecach, z prawą nogą odsuniętą w bok, lewym ramieniem i udem dotykając materaca Śalini. Po chwili ona uniosła się i powoli się przy nim ułożyła. Czuł jej łopatkę na piersiach, jej biodro przy wzniesieniu swego brzucha. Wtuliła się w niego, a on się nie ruszał. W panującej wokół ciszy, sam również nie wydając żadnego dźwięku, słyszał dochodzący zza czarnej płachty, dzielącej kholi na dwie części, podwójny oddech ich synów. Mohit

i Rohit, jeden miał dziewięć, a drugi piętnaście lat. Katekar wsłuchiwał się w dźwięki swojej rodziny, i po chwili, pomimo panujących ciemności, zaczął rozróżniać kształty, domowe kształty. Na półce po jego stronie płachty stał mały kolorowy telewizor, a obok fotografie jego rodziców i rodziców Śalini, wszystkie udekorowane girlandą, podobnie jak umieszczone w złotej ramce zdjęcie chłopców w zoo. Kalendarz reklamowy mydła Lux odwrócony na karcie z czerwcem, z wizerunkiem Madhubali. Poniżej zielony telefon z blokadą na tarczy. W nogach ćatai wirujący wentylator stołowy. Wiedział, że za głową ma radiomagnetofon i kolekcję kaset z piosenkami ze starych filmów w języku marathi. Dwa czarne kufry ustawione jeden na drugim. Ubrania na haczykach, jego koszula i spodnie na wieszaku. Półka Śalini z mosiężnymi posążkami Ambabai i Bhawani i ozdobiona girlandą fotografia Sai Baby. I kuchnia, od sufitu do podłogi zastawiona półeczkami, na których stoją całe rzędy błyszczących, stalowych naczyń. A po drugiej stronie czarnej tkaniny półki ze szkolnymi podręcznikami, dwa plakaty Saćina Tendulkara z kijem krykietowym, małe biurko zarzucone wysoko ołówkami, zeszytami i starymi czasopismami. Metalowa szafka z dwiema identycznymi przegródkami.

Katekar się uśmiechnął. Lubił przeglądać w nocy swój dobytek, czuć, że jest pewny i rzeczywisty pod spojrzeniem jego zamykających się oczu. Leżał znieruchomiały w półśnie, wciąż jeszcze za bardzo przytomny, po plecach przebiegał mu dreszcz, ale Katekar nie mógł dźwignąć ciężaru swojego ciała i zbliżyć się do żony. Otaczały go przedmioty, które otrzymał od życia, i choć wiedział, jak krucha jest ta fortyfikacja, i tak czerpał z niej pokrzepienie. Tutaj był spokojny. Czuł, jak jego ociężałe ramiona i nogi stają się coraz lżejsze, i z zamkniętymi oczami unosił się w powietrzu. Spał.



Trzymając mały, zgrabny pilot do telewizora, Sartadź przeskakiwał z wyścigów samochodowych w Detroit na dubbingowany amerykański program o kobietach detektywach, potem na ślimaka, śliskiego i brązowego w jakiejś ogromnej krętej rzece, a następnie na program z najlepszymi piosenkami filmowymi. Dwie bohaterki w czerwonych minispódniczkach, uśmiechnięte i krągłe, niespełna osiemnastoletnie, tańczyły na szczycie łuków ruin pałacu, oplecionych winoroślami. Sartadź ponownie nacisnął guzik w pilocie. Na tle drgających, błyskawicznie zmieniających się obrazów z wiadomościami blond prezenterka muzyczna jak najęta trajkotała o jakimś piosenkarzu bhangra z Londynu i o jego nowym albumie. Prezenterka była Induską, ale na imię miała Kit, a na jej obnażone ramiona spływały świetliste blond włosy. Machnęła ręką w stronę kamery i nagle znalazła się w ogromnej lustrzanej sali, od końca do końca wypełnionej szczęśliwymi tancerzami, poruszającymi się zgodnym rytmem. Kit roześmiała się, a kiedy kamera przysunęła się do jej twarzy, Sartadź dostrzegł piękne rysy, jednocześnie z zadowoleniem podziwiając smukłe nogi. Wyłączył telewizor i wstał.

Zesztywniały podszedł do okna. Za żółtymi lampami, syczącymi na terenie sąsiedniego budynku, rozpościerała się czerń morza, a dużo dalej jasnoniebieskie i pomarańczowe plamki oznaczające Bandrę. Przez dobrą lornetkę można było dostrzec nawet Nariman Point na drugim brzegu, w linii prostej niezbyt odległy, ale lądem oddalony przynajmniej o godzinę jazdy pustymi nocą drogami, i bardzo daleko od strefy trzynastej. Sartadź poczuł nagły ból w klatce piersiowej. Miał wrażenie, że trą o siebie dwa kamienie. Nie krzesaly jednak ognia, tylko mętny i miarowy żar, jakieś nieustające i niespokojne pragnienie. To uczucie zaczęło dławić go w gardle i ostatecznie podjął decyzję.

Po dwunastu minutach szybkiej jazdy przejechał pod estakadą i znalazł się na autostradzie. Upajały go puste połączenie drogi, płynnie przesuwaną się pod palcami kierownicą i śmiał się z prędkości. Ale między jasno oświetlonymi sklepami w Tardeo utworzył się korek i Sartadź nagle poczuł złość na samego siebie, już chciał zawrócić. Kiedy stukał palcami po desce rozdzielczej, naszło go pytanie: „Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz? Dokąd jedziesz tym samochodem byłej żony, który zostawiła ci z grzeczności i który może się rozsypać pod twoją gąnd na tej dziurawej jak sito drodze?”. Ale było za późno, już przejechał ponad połowę trasy, i chociaż ta pierwsza, szczęśliwa chwila minęła, jechał dalej. Nim zaparkował samochód i wszedł do Kawiarni, zrobiła się prawie pierwsza, a on czuł się bardzo zmęczony. Ale w końcu tu dotarł i widział tłum przy tylnym wyjściu, jedynym otwartym po oficjalnej godzinie zamknięcia o jedenastej trzydzieści.

Ludzie rozsunęli się, by go przepuścić. Był od nich starszy, to prawda, może nawet dużo starszy, ale nie widział powodu do ciekawskich spojrzeń i tej ciszy, która zapadła na jego widok. Ubrani w luźne, lśniące koszule, sukienki chyba najkrótsze, jakie widział w życiu, irytowali go. Kręcił się niepewnie przy wejściu, aż w końcu jakaś dziewczyna ze srebrnym kółkiem w dolnej wardze sięgnęła do drzwi i przytrzymała je przed nim. Zanim zdążył pomyśleć, że powinien jej podziękować, stał w środku, a drzwi się zamykały. Wyprostował się i znalazł miejsce w kącie przy barze. Trzymając kufel beczkowego piwa w dłoni, miał już jakieś zajęcie, odwrócił się więc twarzą do pomieszczenia. Otaczał go zbity tłum i nie widział dalej niż na metr, a ludzie dookoła rozmawiali z ożywieniem, pochylając się ku sobie i przekrzykując muzykę. Szybko wypił piwo, jakby tylko na tym mu zależało. Zamówił następne. Przyglądał się po kolei każdej kobiecie, których było wszędzie pełno, i wyobrażał sobie, że jest z każdą z nich. Nie,

zbyt daleko wybiegał myślami, wymyślał więc, co mógłby im powiedzieć. Dzień dobry. Nie, cześć. Cześć, jestem Sartadź. Spróbuj mówić tylko po angielsku. I z uśmiechem. Ale co dalej? Starał się podsłuchać ludzi po lewej. Rozmawiali o muzyce, o jakimś amerykańskim zespole, o którym on nigdy nie słyszał, co akurat wcale go nie dziwiło.

– Ten ostatni kawałek był za wolny – powiedziała dziewczyna zwrócona plecami do Sartadźa. Nie dosłyszał odpowiedzi stojącego przed nią chłopaka z kucykiem, ale druga dziewczyna, z zadartym nosem, rzuciła:

– Kurde, on był spoko. – Sartadź wysączył ostatnią kroplę i otarł usta. Pragnienie, które go tu przywiodło z drugiego końca miasta, nagle zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie ciemny osad goryczy. Zrobiło się bardzo późno, a on już miał dość.

Szybko zapłacił i wyszedł. Wokół drzwi kręcili się już inni ludzie, ale zapadła ta sama cisza, widział te same spojrzenia, te same naszyjniki z koralików, kolczyki w rozmaitych częściach ciała i wystudiowane niechlujstwo, i zrozumiał, że jego eleganckie niebieskie spodnie wyróżniają go jako osobę zupełnie tu obcą. Zanim doszedł do końca uliczki, zwątpił również w stosowność swojej białej koszuli z przypinanym kołnierzykiem. Ostrożnie skręcił w prawo na główną drogę, przekraczając ciała dwóch śpiących na chodniku chłopaków, i ruszył w stronę Crossroads Mail, gdzie wcześniej zaparkował. Bezszelestnie stąpał po zaśmieconym chodniku, a nad głową majaczyły mu pozamykane drzwi sklepów. Nie mogą być tak pijany po dwóch piwach. Latarnie zdawały się jednak być bardzo odległe, a powieki ciążyły mu jak kamienie.

Pojechał do domu. Padł na łóżko. Teraz mógł już spać, sen kładł się ciężko na jego ramionach, przygniatając go jak czarne osuwisko. Potem zaś nagle zdał sobie sprawę, że jest rano, a jego uszy pękają od przenikliwego zgrzytania telefonu. Po omacku ruszył w jego stronę.

- Sartadź Singh? – Głos był męski, apodyktyczny i władczy.
- Tak?
- Czy chcesz dorwać Ganeśa Gaitondego?

## Obleżenie w Kailaśpadzie



Nigdy się tu nie dostaniecie – powiedział przez głośnik Gaitonde po trzech godzinach bezowocnych prób sforsowania drzwi. Najpierw wypróbowali przecinak, ale to, co z odległości metra zdawało się być drewnem, okazało się jakimś pomalowanym metalem. Co prawda pod ostrzem ukazało się coś białego i rozległ się ostry dźwięk przypominający dzwon świątyni, ale drzwi się nie poddały. Potem wzięli się za nadproże, używając narzędzi pożyczonych od drogowców, ale nawet kiedy sami drogowcy zabrali się do pracy, fachowo i zamasyście uderzając dwuręcznymi młotami i dysząc przy tym, jak należy, beton beztróska odbijał ich uderzenia, a umieszczony przy drzwiach głośnik Sony śmiał się z nich.

– Jesteście zacofani – trzeszczał Gaitonde.

– Ja nie mogę wejść, ty nie możesz wyjść – powiedział Sartadź.

– Co? Nie słyszę cię.

Sartadź podszedł do drzwi. Budynek miał kształt sześcianu, białego z zielonymi oknami, i stał na dużej parceli w Kailaśpadzie, położonej na nieustannie rozwijającym się północnym skraju strefy trzynastej. To właśnie w to miejsce, otoczone ciężkim sprzętem grzebiącym w bagnach i powoli rozciągającym Mumbai wzdłuż i wszerz, przybył Sartadź, żeby zaarrestować wielkiego Ganeśa Gaitondego, gangstera, szefa Firmy G, przebiegłego i zawsze wychodzącego cało z wszelkich opresji.

– Gaitonde, jak długo masz tam zamiar siedzieć? – zapytał Sartadź, wyciągając szyję. Głębokie, okrągłe oko kamery nad drzwiami przesunęło się na boki, po czym spoczęło na nim.

– Wyglądasz na zmęczonego, Sardardźi – odezwał się Gaitonde.

– Jestem zmęczony – odparł inspektor.

– Dziś jest bardzo gorąco – zabrzmiało współczująco. – Nie wiem, jak wy, sardarzy, wytrzymujecie pod tymi turbanami.

W policji służyło dwóch sikhijskich komendantów, ale Sartadź był jedynym sikhijskim inspektorem w całym mieście i przyzwyczał się już, że jest rozpoznawany przez swój turban i brodę. Słyszał również z kroju spodni, które uszył w bardzo popularnym wśród gwiazd filmowych butik w Bandrze, jak również z charakterystyki, którą zamieścił kiedyś magazyn „Modern Woman” w artykule *Najprzystojniejsi kawalerowie w mieście*. Z kolei Katekar, który właśnie w tej chwili wyłonił się zza rogu i z rękami w kieszeniach stanął na szeroko rozstawionych nogach, miał wielki badzioch, sterczący nad paskiem jak walizka, kwadratową twarz i bardzo grube ręce. Pokręcił głową.

– Gdzie idziesz, Sardardźi?! – zapytał Gaitonde.

– Muszę się zająć kilkoma sprawami – odparł Sartadź. Razem z Katekarem poszli za róg, gdzie inspektor zobaczył drabinę, którą przystawili do wentylatora.

– To nie jest wentylator – oznajmił Katekar. – Tylko tak wygląda. Z tyłu jest beton. Wszystkie okna są takie same. Cóż to za budynek, panie inspektorze?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Sartadź. Odczuwał głęboką satysfakcję, że nawet Katekar, człowiek urodzony w Mumbaju i wyznający najwyższej klasy cynizm rodem z Bhuleśwaru, jest zaskoczony tym odpierającym wszelkie ataki białym sześcianem, który nagle wyrósł w Kailaśpadzie, z czarną, obrotową kamerą Sony nad drzwiami. – Nie wiem. A poza tym on jakoś dziwnie mówi. Jakoś smutno.

– Z tego, co o nim słyszałem, lubi cieszyć się życiem. Dobre jedzenie, dużo kobiet.

– Dzisiaj jest smutny.

– Ale co on robi tu, w Kailaśpadzie?

Sartadź wzruszył ramionami. Ten Gaitonde, o którym czytali w raportach policyjnych i w gazetach, flirtował z obwieszonymi biżuterią gwiazdkami, finansował polityków, kupował ich i sprzedawał, powiadano, że jego dzienne wpływy z różnych, prowadzonych w Mumbaju kryminalnych dhandach przekraczają roczne wpływy dużych korporacji, a jego imieniem straszy się krnąbrnych. Wystarczyło wspomnieć, że tak powiedział Gaitonde Bhai, a już uparciuch odzyskiwał zdrowy rozsądek, znikwały wszystkie przeszkody i nastawał pokój. Od wielu lat przebywał jednak na wygnaniu – podobno mieszkał w złoconym jachcie gdzieś u brzegów Indonezji – daleko, ale przecież w zasięgu rozmowy telefonicznej. A to oznaczało, że równie dobrze mógłby być w sąsiedztwie, albo też, jak ku zdumieniu wszystkich się okazało, w brudnej Kailaśpadzie. Dzwoniący z samego rana z poufną informacją człowiek nagle odłożył słuchawkę, a Sartadź wyskoczył z łóżka, po czym szybko wkładając spodnie, zadzwonił na komisariat, i do Kailaśpady ekspresową karawaną najeżoną karabinami zjechał na sygnale oddział policji.

– Nie wiem – odparł Sartadź. – Ale skoro tu jest, już go mamy.

– Tak, to cenna zdobycz, panie inspektorze – przyznał Katekar. Patrzył zdecydowanie snobistycznie, jak zawsze, kiedy uważał, że Sartadź jest naiwny. – Ale na pewno chce pan go mieć? Może należałoby poczekać na kogoś wyższego rangą?

– To zajęłoby dużo czasu. Mają inne ważne sprawy. – Sartadź żywił gorącą nadzieję, że nie przybędzie tu żaden komendant, który mógłby przechwycić jego zdobycz. – A poza tym, ja już mam Gaitondego, tylko on

jeszcze o tym nie wie. – Odwrócił się, by wrócić pod drzwi. – Dobra, odetnijcie mu zasilanie.

– Sardardzi – odezwał się Gaitonde – jesteś żonaty?

– Nie.

– Ja kiedyś byłem...

I nagle urwał, jak nożem uciął.

Sartadź odwrócił się od drzwi. Teraz wszystko była kwestią czasu. Po godzinie, dwóch w skwarowym czerwcowym słońcu ten pozbawiony wentylacji i zasilania budynek przemienił się w piec, w którym nawet Gaitonde, choć chadzał wieloma ścieżkami, poznał mnóstwo więzień i w niejednym slumsie bywał, poczuje się jak w piekle. A poza tym Gaitondemu świetnie się ostatnio wiodło, w związku z czym lekko zmiękł, więc może wystarczy jednak godzina. Ale Sartadź zdążył zrobić dwa kroki, gdy poczuł niskie buczenie, najpierw pod palcami stóp, a potem w kolanach. Po chwili ponownie usłyszał głos Gaitondego.

– I co, myślałeś, że tak łatwo ci pójdzie? Wystarczy odciąć zasilanie? Uważasz mnie za głupca?

W tym sześcianie musiał być generator. Gaitonde był pierwszym człowiekiem we wszystkich miejskich więzieniach, a być może nawet pierwszym człowiekiem w całym Mumbaju, który miał telefon komórkowy.

– Nie, nie uważam cię za głupca – odrzekł Sartadź. – Przyznaję, że ta budowla robi wrażenie. Kto ci ją projektował?

– Nieważne, kto to projektował, Sardardzi. Ważne, jak chcesz się dostać do środka.

– Może byś tak po prostu wyszedł na zewnątrz? Obu nam to zaoszczędzi czasu. Tu na dworze jest naprawdę bardzo gorąco i zaczyna mnie boleć głowa.



Zapadła cisza, wypełniona jedynie szmerem głosów gapiów, którzy zebrali się na końcu uliczki.

– Nie mogę wyjść.

– A dlaczego?

– Jestem sam. Jestem tu zupełnie sam.

– Myślałem, Gaitonde, że ty wszędzie masz przyjaciół. Wszyscy wszędzie są przyjaciółmi bhai Gaitondego, prawda? W rządzie, w mediach, nawet w policji. Jak to możliwe, że jesteś sam?

– Czy ty wiesz, Sardardźi, że ja otrzymuję podania? Podejrzewam, że dostaję więcej podań niż wy, policyjne ćutija. Nie wierzysz mi? Czekaj, przeczytam ci jedno. Zaraz, poczekaj. Tu mam jedno. Przyszło z Wardhy. Posłuchaj.

– Gaitonde!

– „Szacowny Sri Gaitonde”. Słyszysz, Sardardźi? „Szacowny”. I dalej... „Mam dwadzieścia dwa lata i mieszkam w Wardha, w stanie Maharasztra. Aktualnie robię dyplom magisterski z handlu, a licencjat ukończyłem na czwórkę z minusem. Ponadto jestem znany na swojej uczelni jako najlepszy sportowiec. Jestem kapitanem drużyny krykieta”. Potem leci cały stek bzdur o tym, jaki to on jest śmiały i silny, że jest postrachem całej miejscowości. No, dobra, potem pisze: „Jestem przekonany, że mógłbym być panu przydatny. Już od dawna śledzę pańskie śmiałe poczynania w naszych gazetach, bardzo często zamieszczających opowieści o pana wielkiej władzy i dużych wpływach politycznych. Jest pan największym człowiekiem w Mumbaju. Bardzo często omawiamy z kolegami pańskie słynne przygody. Pozwalam sobie przesłać panu mój życiorys i kilka wycinków prasowych o sobie. Mogę dla pana wykonywać dowolną pracę, jaką uzna pan za stosowną. Jestem bardzo biedny, Śri Gaitonde. Głęboko

wierzę, że pomoże mi pan zacząć prawdziwe życie. Z wyrazami szacunku, Amit Śiwradź Patii”. Słyszałeś to, Sardardźi?

– Tak, Gaitonde – odparł Sartadź. – Słyszałem. Sprawia wrażenie dobrego rekruta.

– Sprawia wrażenie niezłego gnoja, Sardardźi, loru – powiedział Gaitonde. – Nie zatrudniłbym go do mycia moich samochodów. Ale nadałby się na policjanta.

– Mam już tego dość, Gaitonde – stwierdził Sartadź. Katekar stał z naprężonymi ramionami i patrzył spode łba na kolegę. Chciał, aby ten przeklął Gaitondego, aby go uciszył i powiedział mu, jaki z niego jest behenćod, że go zwiążą i wsadzą mu lathi w ten jego brudny gand. Sartadź uważał jednak, że obrzucanie wyzwiskami stukniętego człowieka siedzącego w betonowej kostce nie do zdobycia byłoby wyjątkowo bezsensowne, nawet gdyby dostarczyło chwilowej satysfakcji.

Gaitonde roześmiał się gorzko.

– Czyżbym cię uraził, saab? Czy powinienem okazać więcej szacunku? Czy powinienem opowiedzieć ci o cudownych i zdumiewających wyczynach policjantów, naszych obrońców, którzy oddają życie na służbie i nigdy nie myślą o korzyściach osobistych?

– Gaitonde?

– Co?

– Wróć tu. Muszę się napić czegoś zimnego.

Gaitonde zrobił się dobroduszny, serdeczny.

– Tak, tak, jasne, idź się napić. Tam musi być bardzo gorąco.

– Coś dla ciebie? Może napój gazowany Thums Up?

– Ja mam tu lodówkę, ćiknija. To, że jesteś taki ładny i przystojny jak na prawdziwego bohatera przystało, wcale nie oznacza, że jesteś nadzwyczajnie bystry. Idź, napij się czegoś.

– Tak zrobię. Wrócę tu.

– A co mógłbyś innego zrobić, Sardardzi? Idź, idź.

Sartadź ruszył ulicą, a Katekar dołączył do niego. Popękany czarny asfalt topił się i migotał w upale. Ulice opustoszały, znudzeni brakiem wybuchów i pocisków głodni gapie odeszli na lunch. Między zakładem krawieckim Bhagwan Tailors a sklepem muzycznym Trimurti znaleźli knajpkę o jednoznacznej nazwie Best Cafe, ze stolikami rozrzuconymi na świeżym powietrzu pod drzewem nim i terkoczącymi czarnymi wentylatorami. Sartadź rzucił się na szklankę coli, a Katekar sączył świeży sok z limety z wodą sodową, lekko tylko słodzony. Starał się schudnąć. Z miejsca, w którym siedzieli, widzieli biały bunkier Gaitondeggo. Dlaczego gangster znowu pojawił się w mieście? Kim był informator, który go wydał Sartadźowi? Te wszystkie pytania musiały poczekać. Najpierw trzeba złapać tego człowieka, pomyślał Sartadź, potem można zastanawiać się, dlaczego, kiedy i jak. Pociągnął kolejny łyk.

– Wysadźmy to w powietrze – zaproponował Katekar.

– Czym? – zapytał Sartadź. – A poza tym on na pewno by zginał.

Katekar się uśmiechnął.

– Zgadza się, panie inspektorze. I co z tego?

– A co na to powiedzą chłopaki z wywiadu?

– Sahib, proszę wybaczyć, ale chłopaki z wywiadu to w większości beużyteczni bhadrowie. Dlaczego nie wiedzieli, że on coś takiego buduje?

– No cóż, musieliby choć trochę pomyśleć, prawda? – odrzekł Sartadź. Rozsiadł się wygodnie w krześle. – Jak myślisz, znajdziemy tu jakiś spychacz?

Sartadź kazał sobie przynieść przed bunkier metalowe krzeselko i usiadł na nim, przykładając do twarzy chłodny, wilgotny ręcznik. Chciało mu się spać. Kamera wideo milczała nieruchoma.

– Aj, Gaitonde! – zawołał Sartadź. – Jesteś tam?

Kamera wydała z siebie charakterystyczny brzęczący, mechaniczny szum, powęszyła po omacku i w końcu odnalazła Sartadźa.

– Jestem – odrzekł Gaitonde. – Napiałeś się? Może zamówię ci przez telefon jakąś przekąskę?

Sartadźowi przyszło na myśl, że Gaitonde nauczył się mówić w ten władczy sposób z filmów, od Prythwiradźa Kapura, który, ubrany w bonzurkę, protekcjonalnie traktował maluczkich.

– Dziękuję, nie trzeba. Może byś zamówił coś dla siebie?

– Nie chcę jedzenia.

– Będziesz głodny? – Sartadź rozważył możliwość wzięcia Gaitondego głodem. Ale przypomniał sobie, że Gandhidźi potrafił całe tygodnie przetrwać jedynie na wodzie i soku. Spychacz nadjedzie za godzinę, najpóźniej za półtorej.

– Mam tu dużo jedzenia, wystarczy na całe miesiące. A już bywałem w życiu głodny – powiedział Gaitonde. – Bardziej głodny, niż możesz to sobie wyobrazić.

– Posłuchaj, tu jest za gorąco – powiedział Sartadź. – Wyjdź stamtąd i w komisariacie opowiesz mi, jaki byłeś głodny.

– Nie mogę wyjść.

– Ja się tobą zajmę, Gaitonde. Wiem, że mnóstwo ludzi chce cię zabić. Ale zapewniam cię, że nic ci nie grozi. Nie mamy nic w zanadru. Wyjdiesz, i w sześć minut dotrzemy do komisariatu. Będziesz całkowicie bezpieczny. Stamtąd będziesz mógł zadzwonić do swoich przyjaciół. Będziesz bezpieczny, ekdam bezpieczny. Obiecuję.

Ale Gaitondegogo nie interesowały obietnice.

– Dawno temu, kiedy byłem bardzo młody, po raz pierwszy wyjechałem z kraju. Popłynąłem łodzią. W tamtych czasach na tym polegało robienie interesów: żeby wsiąść na łajbę, popłynąć do Dubaju, do Bahrajnu, i wrócić ze złotymi sztabkami. Byłem rozgorączkowany, ponieważ nigdy wcześniej nie wyjeżdżałem z kraju. Nawet do Nepalu, rozumiesz. No dobra, Sardardzi, do rzeczy: mieliśmy taką małą łódź, było nas pięciu, a wokół morze, słońce, ta cała ćutmari atmosfera. Przywódcą był Salim Kaka, Pasztun wzrostu sześciu stóp, z długą brodą, porządny człowiek z mieczem. Był tam również Mathu, chudy jak szczapa, nieustannie dłubiący w nosie i pozujący na twardziela. Ja, wówczas dziewiętnastoletni, na niczym się nie znałem. Płynęli też z nami Gaston, właściciel łodzi, i Pascal, jego pomocnik, dwóch niskich mężczyzn gdzieś z południa. Całą transakcję zorganizował Salim Kaka, przez swoje kontakty, łódź wynajął za swoje pieniądze, i to on wiedział, kiedy wypłynąć, kiedy wrócić, cała eskapada była jego pomysłem. Mathu i ja byliśmy jego ludźmi, przez cały czas staliśmy za nim. Nadążasz?

Katekar przewrócił oczami.

– Tak – odparł Sartadź – Salim Kaka był szefem, ty i Mathu dla niego pracowaliście, a Gaston i Pascal płynęli łodzią. Łapię.

Katekar oparł się o ścianę obok drzwi i wysypał sobie na dłoń pan masalę. Głośnik błyskał ostrym srebrem metalu. Sartadź zamknął oczy. Gaitonde mówił dalej.

– Nigdy wcześniej nie widziałem tak ogromnego nieba. Fioletowo–złoto–fioletowe. Mathu bez przerwy czesał i trefił włosy, żeby wyglądać jak Dew Anand. Salim Kaka usiadł z nami na pokładzie. Miał ogromne stopy, kwadratowe i kanciaste, spękane jak kawałki drewna, a do tego miał gładką i czerwoną jak płomień brodę. Tej nocy opowiedział nam o swojej

pierwszej robocie, jak to obrabował angadię przewożące pieniądze z Suratu do Mumbaju. Dorwali tego angadię, kiedy wysiadał z autobusu, wrzucili go do tyłu ambassadora i z rykiem silnika odjechali do pustego godown chemicznego w przemysłowej strefie Wikhroli. W tym godown zdjęli z niego koszulę, banian, spodnie, po prostu wszystko, i znaleźli, zaszyte w nogawkach, na udach, cztery lakhi w pięćsetrupiowych banknotach. W pasie na pieniądze było jeszcze szesnaście tysięcy. Kiedy już wychodzili, on tam stał, jak go Bóg stworzył, z trzęsącym się wielkim brzuchem, dłońmi przykrywając skurzonego laudę. Wszystko jasne?

Sartadź otworzył oczy.

– Kurier, dorwali go, zarobili trochę kasy. I co z tego?

– Ale to jeszcze nie koniec tej historii, mój mądry panie Sardardzi. Salim Kaka już miał zamknąć drzwi, ale w tym momencie obrócił się i zawrócił. Chwyciwszy tego gościa za gardło, podniósł go i włożył mu kolano między nogi. „Daj spokój, Pasztunie Salimie” – zawołał ktoś do niego – „nie ma czasu brać się za jego gand”. A Salim Kaka, który właśnie obmacywał tyłek tego angadia, odrzekł: „Czasami, jeśli ściśniesz piękny tyłeczek, jakby to była brzoskwinia, może nam ukazać wszystkie tajemnice świata” i uniósł małą, brązową, jedwabną paczuszkę, którą angadia przyklepił sobie taśmą za jądrami. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście najwyższej jakości diamentów, skrzących się i lśniących, które w następnym tygodniu sprzedali u pasera za pięćdziesiąt procent wartości, przy czym dola samego Salima Kaki wyniosła jeden lakh, a było to w czasach, kiedy lakh coś jeszcze znaczył. „Ale” – powiedział Salim Kaka – „ten lakh był tu najmniej ważny, pieniądze to tylko pieniądze”. Od tego bowiem czasu jego gwiazda lśniła, zasłynął jako bystrzak. „Wycisnę cię jak brzoskwinie” – miał zwyczaj mówić, podnosząc wyrazistą brew, a biedny nieszczęśnik wyrzucał z siebie pieniądze, kokainę, tajemnice, po prostu wszystko.

„W jaki sposób przejrzałeś tego angadię, Salimie Kako?” – zapytałem, a on odparł: „To bardzo proste. Spojrzałem na niego od drzwi, a on ciągle czegoś się bał. Kiedy trzymałem nóż przy jego gardle, powiedział do mnie drżącym, dziecięcym głosem »Proszę, bap, nie zabijaj mnie«. Nie zabiłem go, nadal żył i trzymał tego swojego laudę, stracił pieniądze, które i tak nie należały do niego, my odchodziliśmy, czego więc jeszcze się bał? Człowiek, który się boi, to człowiek, który ma coś jeszcze do stracenia”.

– Pasjonujące – stwierdził Sartadź. Poruszył się na krześle i natychmiast tego pożałował, ponieważ dotknął łopatką rozgrzanego metalu. Poprawił turban, starając się oddychać powoli, równomiernie. Katekar wachlował się złożoną popołudniówką, patrząc nieprzytomnym wzrokiem spod zwiotczonego czoła, a przez leniwie poruszające się powietrze wciąż płynął głos Gaitondego, zabarwiony chłodnym, elektronicznym sykiem.

– Ponieważ byłem ambitny, od tego czasu postanowiłem zawsze trzymać się na baczności. Tamtej nocy położyłem się na dziobie, jak najbliżej napływającej wody, i marzyłem. Czy już ci mówiłem, że miałem wtedy dziewiętnaście lat? Miałem dziewiętnaście lat i myślałem o samochodach i wysokich domach, i o tym, jak przy trzaskających fleszach wchodzić na jakieś przyjęcie.

W pewnym momencie podszedł Mathu i usiadł obok mnie. Zapalił papierosa i mnie też poczęstował. Zaciągałem się tak mocno jak on. W ciemnościach widziałem tylko jego falistą grzywkę, wychudłe ramiona i próbowałem przypomnieć sobie rysy jego twarzy, zbyt kościstej, żeby w jakimkolwiek stopniu przypominać twarz Dewa Ananda, ale Mathu nie ustawał w swoich staraniach, codziennie wcierając talk w tę swoją szpiczastą, szczurzą twarz. Nagle poczułem do niego jakąś życzliwość. „Czyż to nie jest piękne?” – zapytałem. Roześmiał się. „Piękne? Możemy zatonać” – odrzekł – „i nikt nie będzie wiedział, co się z nami stało.

Możemy zniknąć, phat, zapaść się”. W ciemnościach z jego papierosa unosiły się spirale dymu. „Co masz na myśli?” – spytałem. „Ach, ty żałosny, durny dehati” – odrzekł. – „Czy ty nie rozumiesz? Nikt nie wie, że tu jesteśmy”. „Ale przecież” – powiedziałem – „wiedzą o tym ludzie Salima Kaki, wie o tym jego szef”. Czułem, jak się ze mnie śmieje, podskakiwały jego kolana, oparte o moje ramiona. „Nie, wcale nie wiedzą”. Nachylił się do mnie i szeptał, czułem jego banian i widziałem błady blask jego oczu. „Nikt o tym nie wie, on nic nie powiedział swojemu szefowi. Nie łapiesz? To jego własny interes. A jak myślisz, dlaczego siedzimy na tej małej khatarze, a nie na jakimś trawlerze? Dlaczego z nim płyniemy, cuchnący brudną wioską dehati i jakiś żółtodziób, zupełnie nowy w firmie? No? Jak myślisz? To jest własna akcja Salima Kaki. On chce się uniezależnić, a czego potrzeba, żeby się uniezależnić? Kapitału. O to chodzi. Dlatego siedzimy tu beczynnienie w tej ćodu rzeźącej blaszanej pułapce, o krok od wielkich ryb. On sądzi, że zarobi tyle, żeby zacząć od nowa świetną i błyskotliwą karierę. Kapitał, chodzi o kapitał, rozumiesz?”.

W tym momencie usiadłem. Położył mi dłoń na ramieniu i wstał. „Gandu” – powiedział – „jeśli chcesz mieszkać w mieście, musisz wybiegać myślami naprzód, z góry przewidywać trzy ruchy i przejrzeć kłamstwo, aby ujrzeć prawdę, a potem przejrzeć tę prawdę, żeby dostrzec kłamstwo. A potem, jeśli chcesz żyć na odpowiednim poziomie, potem będziesz potrzebował funduszy. Pomyśl o tym”. Poklepał mnie po ramieniu i odszedł. Przez moment widziałem jego twarz w przyćmionym świetle, kiedy schodził do kabiny. I rzeczywiście, zastanowiłem się nad tym.

Stojący pod głośnikiem Katekar pokręcił głową w lewo i w prawo, aż Sartadź dosłyszał delikatne trzaski kości w jego karku.

– Pamiętam tego Salima Kake – cicho powiedział Katekar. – Widziałem go w Andheri, jak chodził sobie w czerwonej lungi i jedwabnej kurcie.



Kurty miewał w różnych kolorach, ale lungi zawsze była czerwona. Pracował dla gangu Hadži Salmana, a w Andheri miał kobietę, pamiętam, że tak słyszałem.

Sartadź skinął głową. Katekar miał obrzmiałą twarz, jakby dopiero co zbudził się ze snu.

– Miłość? – zapytał Sartadź.

Katekar uśmiechnął się.

– Sądząc po tym jedwabiu, pewnie tak – odparł. – A może chodziło tylko o to, że ona miała siedemnaście lat i tyłeczek jak brykająca łania. Wydaje mi się, że była córką mechanika samochodowego.

– Nie wierzysz w miłość, Katekarze?

– Saab, ja wierzę w jedwab i we wszystko, co jest miękkie, a także w to wszystko inne, co jest twarde, ale...

Głośnik nad ich głowami zadudnił.

– O czym tam mamroczenie, Sardardzi?

– Nie przerywaj sobie, mów dalej – odrzekł Sartadź. – To tylko drobne polecenia.

– W takim razie słuchaj. Następnego popołudnia zauważyliśmy pływające w wodzie gałęzie drzew, kawałki starych skrzynek, podskakujące na wodzie butelki, opony, a raz nawet cały dach pływający do góry nogami. Gaston nie schodził teraz z pokładu, jedną ręką objąwszy maszt, bez ustanku patrzył przez lornetkę we wszystkie strony. Zapytałem Mathu, czy już jesteśmy blisko. On tylko wzruszył ramionami. Salim Kaka wyszedł w nowej kurcie. Stał na dziobie, patrząc na północ, i widziałem, jak stuka palcami po srebrnym tawizie na piersi. Chciałem zapytać go, gdzie jesteśmy, ale z jego twarzy biła jakaś powaga, które mnie powstrzymała.

Sartadź pamiętał zdjęcia Gaitondego, jego przeciętnej wielkości ciało i przeciętną twarz, ani brzydką, ani piękną, wszystko błyskawicznie

zacierające się w pamięci pomimo jaskrawoniebiesko–czerwonych swetrów z kaszmiru, wszystko zupełnie przeciętne. Ale teraz był ten jego głos, cichy i nagły, więc Sartadź nachylił głowę w stronę głośnika.

– W ostatnim, zanikającym świetle dnia, tuż przed nadejściem nocy, ujrzelśmy na północy migoczący, czerwony punkcik. Rzuciliśmy kotwicę, a potem popłynęliśmy w jego stronę pontonem. Mathu wiosłował, naprzeciw niego siedział Salim Kaka, pilnując naszej latarni, a ja znajdowałem się między nimi. Spodziewałem się jakiejś ściany, którą widziałem w pobliżu Wrót Indii, ale tam było tylko górujące nad naszymi głowami wysokie sitowie. Salim Kaka sięgnął po drąg i przepychał nas przez ustrojone pióropuszcami brzegi, które skrzypiały i szeptały, i chociaż nikt mi nie kazał, trzymałem w dłoni swoją ghorę, naładowaną i gotową do strzału. Po chwili deski pod moimi stopami zaszurały o twardą ziemię. Z latarką w dłoni Salim Kaka poprowadził nas w głąb wyspy, bo okazało się, że to miękkie, wilgotne wzniesienie w bagnach jest wyspą. Szliśmy długo, może z pół godziny, w świetle wschodzącego księżyca podążając za Salimem Kaką. Na ramieniu niósł brązową, płócienną torbę, wielką jak worek na pszenicę. Po pewnym czasie ponad szczytami łądyg ponownie ujrzałem latarnię. Była nią przywiązana do słupa pochodnia. Czułem zapach łożu; płomienie wyskakiwały w górę na ponad pół metra. Pod słupem stało trzech mężczyzn. Ubrani byli jak ludzie z miasta, i w migoczącym świetle dostrzegłem ich jasną skórę, krzaczaste ciemne brwi, wielkie nosy. Turcy? Irańczycy? Arabowie? Do dziś tego nie wiem, ale dwóch z nich miało karabiny, z lufami wymierzonymi jedynie nieco w bok od nas. Pod palcem czułem chłodny, ale mokry od potu spust pistoletu. Wzdrygnąłem się i pomyślałem: „Otworzą ogień i nas wszystkich wykończą”. Odetchnąłem głęboko, odwróciłem dłoń, wyczuwając pod kciukiem kolbę, i obserwowałem ich. Salim Kaka i jeden z tych ludzi

rozmawiali, pochyleni ku sobie. Torba przeszła z ręki do ręki, a w drugą stronę powędrowała walizka. Dostrzegłem jakiś żółty błysk i usłyszałem trzask zamykanych zamków. Ręka mnie bolała.

Salim Kaka cofnął się i zaczęliśmy ostrożnie oddalać się od tych cudzoziemców. Czułem na karku gładką i wilgotną krawędź łodygi, ale nie potrafiłem odnaleźć drogi, czułem jedynie poddający się nacisk roślinności i panikę. W tym momencie Salim Kaka odwrócił się i zanurkował w krzaki, jedynie słaby promień latarki znaczył jego ślad, a Mathu poszedł za nim. Ja ruszyłem jako ostatni, bokiem, ze spiętym karkiem, nisko trzymając dłoń z rewolwerem. Wciąż jeszcze widzę wzrok tamtych trzech mężczyzn. Widzę blask metalowych obręczy wokół wylotów luf karabinów oraz ukryte w cieniu ich oczy. Szliśmy bardzo szybko. Miałem wrażenie, że lecimy, a wysoka trawa, która początkowo mnie ciągnęła i chwytła, teraz delikatnie muskała mnie po bokach. Salim Kaka odwrócił głowę i zobaczyłem jego szalony uśmiech. Byliśmy szczęśliwi, biegliśmy przed siebie.

Salim Kaka zatrzymał się na brzegu małego strumienia, w którego dnie woda wydrążyła wyżłobienie głębokości około metra, i prawą nogą sięgnął w dół, szukając oparcia dla pięty. Mathu zerknął na mnie, jego twarz była poszatkowana przez mizerne światło księżyca, a ja spojrzałem na niego. Zanim jeszcze Salim Kaka postawił swój krok, wiedziałem, co zrobimy. Poczulem, jak odbity od powierzchni wody huk rewolweru uderza mnie w brzuch. Wiedziałem, że kolba zraniła mnie u nasady kciuka. Przejrzałem na oczy dopiero, kiedy ustąpił oślepiający błysk, mój żołądek skręcał się, rozluźniał i ponownie skręcał, a na dnie rowu stopy Salima Kaki drobiły miarowo, jakby on wciąż szukał drogi do łodzi. Woda kłębiła się i gotowała. „Strzelaj, Mathu!” – rozkazałem. – „Strzelaj, madercodzie”. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem od wyjścia na brzeg. Mój głos brzmiał dziwnie mocno i stanowczo, zdawał się zupełnie obcy. Mathu

przekrzywił głowę i wymierzył. Kolejny błysk jeszcze raz wydobył zarośla z cienia, ale stopy nadal wierzgały, maszerując gdzieś niestrudzenie. Wycelowałem rewolwer w krąg spienionego wiru i już po pierwszym strzale ten cały ruch ustał, ale i tak strzeliłem drugi raz, na wszelki wypadek. „Chodź” – poleciłem – „wracajmy”. Mathu skinął głową, jakbym to ja dowodził, wskoczył do rowu i po omacku zaczął szukać walizki. Pod wodą żarzyła się latarka, błyszcząca, żółty pęcherzyk, obejmujący dokładnie pół głowy Salima Kaki. Chwyciłem ją, przechodząc przez strumień, chociaż przez całą powrotną drogę do pontonu wiszący nisko na naszych głowami tłusty księżyc oświetlał szlak do bezpiecznego miejsca.

Sartadź i Katekar usłyszeli, że Gaitonde coś pije. Wyraźnie słychać było kolejne, długie łyki i powolne opróżnianie szklanki.

– Whisky? – wyszeptał Sartadź. – Piwo?

Katekar pokręcił głową.

– Nie, on nie pije alkoholu. I nie pali. Ten don bardzo dba o zdrowie. Codziennie ćwiczy. Pije tylko wodę. Bisleri z plasterkiem limety.

Gaitonde mówił dalej, teraz już wyraźnie się spieszył.

– Kiedy następnego dnia na naszej łodzi wstało słońce, Mathu i ja nadal byliśmy na nogach. Całą noc przesiedzieliśmy w kabinie naprzeciwko siebie, z walizką wciśniętą pod koję Mathu, choć nadal widoczną. Trzymałem rewolwer na kolanach i widziałem, że Mathu swój ma pod udem. Deski nad moją głową skrzypiały pod skradającymi się krokami. Gastonowi i Pascalowi powiedzieliśmy, że wpadliśmy w zasadzkę, zastawioną przez policję tego kraju, w którym się właśnie znaleźliśmy. Pascal rozplakał się, i teraz obaj poruszali się bardzo delikatnie, pełni szacunku dla naszej żałoby. Za głową Mathu widziałem ciemnobrązowe drewno i białą plamę jego baniana, unoszącą się i opadającą, w miarę jak łódź kołysała się na falach. Dzielił nas jakiś rozpościerający się między

nami mglisty dystans, a ja dokładnie wiedziałem, co Mathu w tej chwili myśli. Podjąłem decyzję. Położyłem rewolwer na poduszce i ułożyłem nogi na koi. „Idę spać” – oznajmiłem. – „Obudź mnie za trzy godziny, wtedy ty odpoczniesz”. Odwróciłem się do drewnianej ściany, plecami do Mathu, i zamknąłem oczy. U dołu moich pleców, gdzieś bardzo nisko, jakiś jeden punkt na mojej skórze przez cały czas drżał i dygotał. W każdej chwili spodziewał się kuli. Nie mogłem tego opanować. Ale utrzymywałem równy oddech, przyciskając kłykcie do warg. Jeśli człowiekowi na czymś zależy, pewne sprawy może kontrolować.

Obudziłem się wieczorem. Przez luk do kabiny wpadało intensywne, pomarańczowe światło, barwiąc drewno na kolor ognia. Miałem wrażenie, że język wypełnia mi usta i całe gardło, a kiedy próbowałem ruszyć ręką, poczułem, że jest wstrętne ciężka i obrzmiała. Pomyślałem, że chyba jednak kula odnalazła do mnie drogę, albo też ja znalazłem drogę do kuli, ale kiedy się poruszyłem, poczułem bolesne walenie serca i usiadłem. Brzuch miałem zlany potem. Mathu spał, z twarzą wtuloną w poduszkę. Wsunąłem rewolwer za pas i wyszedłem na pokład. Pascal odwrócił do mnie tę swoją czarną buźkę i uśmiechnął się. Nad nami piętrzyły się chmury, ogromne i nabrziałe, wznoszące się coraz to wyżej na czerwonym niebie. A nasza łódź jak gałązka na powierzchni wody. Nogi mi dygotały, i kiedy usiadłem, cały się trząsałem. Drżałem na całym ciele, po chwili przestawałem, i potem znowu drżałem. Kiedy się ściemniło, poprosiłem Pascala o dwa mocne worki. Podał mi dwa białe worki marynarskie, wykonane z grubego płótna i ściągane na sznurek.

„Obudź się” – powiedziałem do Mathu, kiedy zszedłem na dół i kopnąłem w jego koję. Obudził się i zaczął po omacku szukać swojej broni, ale nie mógł jej znaleźć, dopiero ja mu ją wskazałem, leżała wciśnięta między materac a ścianę. „Uspokój się, ty nerwowa ćut. Po prostu się

uspokój. Musimy się podzielić”. „Nigdy więcej tego nie rób” – odrzekł. Mruczał, przeciągał się, rozpościerając ramiona, jak kogut straszący pióra. Uśmiechnąłem się do niego. „Posłuchaj” – powiedziałem – „ty behenćodowy, zaspany synu maderćoda Kumbhkarana, chcesz swoją połowę czy nie?”. Przez chwilę kalkulował w głowie, wciąż cały nadęty i nabzdyczony, ale zaraz odprężył się, wybuchając śmiechem. „Tak, tak” – powiedział. – „Pół na pół. Pół na pół”.

Złoto to dobra rzecz. Tak miło i gładko przepływa i prześlizguje się przez palce. Kiedy jest bardzo czyste, ma ten zdrowy, czerwonawy poblask, kojarzący się z rumianymi jak jabłka policzkami. Ale tego popołudnia, kiedy przekładaliśmy kolejno sztabki z walizki do worków, jedną do jednego, a potem jedną do drugiego, najbardziej cieszyła mnie ich waga. Sztabki były niewielkie, tylko nieco dłuższe niż szerokość mojej dłoni, dużo mniejsze, niż się spodziewałem, sprawiały jednak wrażenie tak zwartych i zbitych, że z trudem powstrzymywałem się, żeby wszystkich nie przełożyć do mojego worka. Miałem rozpaloną twarz, a serce ściśnięte, i wiedziałem, że postąpiłem słusznie. Kiedy doszliśmy do ostatniej sztabki, która mnie przypadła w udziale, włożyłem ją do lewej kieszeni spodni, gdzie mogłem ją czuć przez cały czas, jak uderza o moje ciało. Potem wsunąłem rewolwer z drugiej strony, za pasek. Mathu skinął głową. „No to prawie załatwione” – powiedział. – „Jak sądzisz, ile to jest warte?”. Uśmiechał się z wolną, z wahaniem. Dłubał w nosie, jak zwykle, kiedy był zdenerwowany, czyli prawie zawsze. Spojrzałem na niego i poczułem jedynie pogardę. W jednej chwili nabrałem absolutnej pewności, że on już zawsze będzie taporim, niczym więcej. Choćby pracowało dla niego nawet dziesięciu czy dwunastu ludzi, on będzie tylko zestresowanym, drugorzędnym, miejscowym błaznem, beznadziejnym prymitywem z pistoletem i siekierą za pazuchą, niczym więcej. Jeśli będziesz myśleć tylko

o rupiach, zostaniesz jedynie targającym śmieci bhangim, nikim innym. Ponieważ lakhy są brudne, a krory to gówno. Pomyślałem, że najważniejsze to mieć zagwarantowaną przyszłość, bezgraniczne możliwości. Wcisnąłem worek pod swoją koję, stopą dopychając wystającą część, a Mathu patrzył na mnie z szeroko otwartymi oczami. Odwróciłem się do niego plecami i śmiejąc się do siebie, wyszedłem na pokład. Nie bałem się już. Teraz już go znałem. Tej nocy spałem jak niemowlę.

Katekar prychnął i pokręcił głową.

– I przez całe lata co noc spał snem sprawiedliwego, podczas gdy na lewo i prawo trup słał się gęsto. – Sartadź uniósł dłoń ostrzegawczo, a Katekar otarł pot z twarzy i mruknął: – Oni wszyscy są, cholera, tacy sami, chciwe maderćodowe sukinsyny. Problem pojawia się, kiedy jeden z nich ginie, bo pięciu stara się zająć jego miejsce.

– Cicho – odezwał się Sartadź. – Chcę tego posłuchać.

Głośnik znowu zacharczał.

– Dwa dni później ponad wodami dostrzegłem odległy pagórek. „Co to jest?” – zapytałem Gastona. „Dom” – odparł. Stojący na dziobie Pascal wychylił się w stronę horyzontu i krzyknął w stronę jakiejś innej łodzi: „Aaahooooooooo”, a ten przeciągły okrzyk i odbijająca się echem odpowiedź spowiły moje ramiona. Byłem w domu.

Pomogliśmy wciągnąć łódź na plażę i pożegnaliśmy Pascala i Gastona. Mathu szeptał im jakieś groźby, ale ja odepchnąłem go na bok niezbyt delikatnie i powiedziałem: „Słuchajcie, chłopaki, nic o tym nie mówcie, siedźcie cicho, a znowu zrobimy wspólnie interes”. Dałem im po jednej sztabce ze swojej działki, uścisnąłem im ręce, a oni się uśmiechnęli i już na zawsze zostali moimi kumplami. Mathu i ja poszliśmy drogą do przystanku autobusowego, targając na plecach swoje worki. Machnąłem na przejeżdżającą motoriksę i skinąłem głową Mathu. Zostawiłem go tam,

stojącego z palcem w nosie, spowitego spalinami. Wiedziałem, że chciał iść ze mną, ale miał o sobie zbyt wygórowane mniemanie i wcześniej czy później na pewno zmusiłby mnie do tego, żebym go zabił. Nie miałem dla niego czasu. Jechałem do Mumbaju.

Głośnik ucichł. Sartadź podniósł się, odwrócił i rozejrzał się po ulicy.

– Hej, Gaitonde? – powiedział.

Po chwili nadeszła odpowiedź:

– Tak, Sartadżu?

– Przyjechał spychacz.

I rzeczywiście, na końcu ulicy pojawił się czarny potwór, chrapliwym szcękaniem natychmiast ściągając tłum gapiów. Maszyna poruszała się ze swoistą godnością, a jej operator miał na głowie czapkę godną prawdziwego fachowca.

– Zabierz tych ludzi z drogi – polecił Sartadź Katekarowi. – A spychacz dawaj tutaj. Niech kieruje się w to miejsce.

– Teraz słyszę – odezwał się Gaitonde. Soczewki kamery kręciły się niespokojnie.

– Wkrótce też zobaczysz – odparł Sartadź. Policjanci przy furgonetkach sprawdzali swoją broń. – Posłuchaj, Gaitonde, bardzo mi się nie podoba ta farsa. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale spędziliśmy popołudnie na rozmowie. Zachowujmy się jak dżentelmeni. Nie musimy się do tego posuwać. Po prostu wyjdź i pojedziemy na komisariat.

– Tego nie mogę zrobić – odparł Gaitonde.

– Daj spokój. Przestań zachowywać się jak jakiś czarny charakter z filmu, stać cię na dużo więcej. Skończ z tą dziecinadą.

– To jest gra, mój drogi – odrzekł Gaitonde. – To tylko gra, to jest lik.

Sartadź odwrócił się tyłem do drzwi. Chciał się napić herbaty, wręcz rozpaczliwie jej pragnął.



– Zgoda. Jak się nazywasz? – zapytał operator spychacza, opartego o gargantuiczną gąsienicę.

– Baszir Ali.

– Wiesz, co masz robić? – Baszir Ali miał w dłoniach swoją niebieską czapkę. – To na moją odpowiedzialność. Wydaję ci polecenie jako policjant, więc niczym nie musisz się przejmować. Rozwalmy te drzwi.

Baszir Ali odchrząknął.

– Ale sahibie inspektorze, tam w środku jest Gaitonde – powiedział niepewnie.

Sartadź chwycił Baszira za łokieć i podprowadził go do drzwi.

– Gaitonde?

– Tak, Sardardźi?

– Tu jest Baszir Ali, operator spychacza. Boi się nam pomóc. Boi się ciebie.

– Baszirze Ali – odezwał się Gaitonde. Głos był władczy, jak głos cesarza, pewny swoich słów i wielkoduszności.

Baszir Ali patrzył w środek drzwi. Sartadź wskazał na kamerę wideo, a Ali zrobił wielkie oczy na jej widok.

– Tak, Gaitonde Bhai? – powiedział.

– Nie martw się. Ja ci nie wybaczę – Baszir Ali zbladł jak ściana – ponieważ nie ma tu czego wybaczać. Obaj jesteśmy w potrzasku, ty z tamtej strony drzwi, a ja z tej. Rób, co ci każą, skończ robotę i wracaj do domu, do dzieci. Nic ci się nie stanie. Ani teraz, ani później. Daję ci słowo. – Nastąpiła pauza. – Słowo Ganeśa Gaitondego.

Zanim Baszir Ali wspiął się na fotel operatora w kabinie spychacza, dotarło do niego, że będzie odgrywał główną rolę w tym spektaklu. Założył swoją czapkę, zawadiacko przekręcając ją do tyłu. Silnik stęknął i

rozległ się miarowy ryk Sartadź nachylił się do głośnika. Gwałtowna fala gorąca i bólu przeszła lewą stronę jego głowy, od karku do skroni.

– Gaitonde?

– Mów, Sardardzi, słucham cię.

– Po prostu otwórz drzwi.

– Ty chcesz, żebym po prostu otworzył te drzwi? Przecież ja to wiem, Sardardzi, wiem.

– Co wiesz?

– Wiem, czego ty chcesz. Chcesz, żebym po prostu otworzył te drzwi. A potem chcesz mnie zaarrestować i zabrać na komisariat. Chcesz być bohaterem opisywanym w gazetach. Pragniesz awansu. Dwóch awansów. A w głębi duszy pragniesz jeszcze więcej. Chcesz być bogaty. Chcesz być bohaterem słynnym na całe Indie. Chcesz, żeby prezydent odznaczył cię medalem w święto republiki. Chcesz, żeby kolorowa telewizja pokazała, jak otrzymujesz ten medal. Chcesz, żeby cię widywano z gwiazdami filmowymi.

– Gaitonde...

– Ale wiesz, ja przez to przeszedłem. I pokonam cię. Nawet w tej ostatniej rozgrywce cię pokonam.

– Jak? Masz tam w środku jakichś ludzi?

– Nie. Ani jednego. Już ci mówiłem, jestem tu sam.

– Podkop? Ukryty w środku helikopter?

Gaitonde zachichotał.

– Nie, nie.

– W takim razie co? Masz baterię działek przeciwlotniczych?

– Nie, ale i tak cię pokonam.

Spychacz lśnił na czarnej drodze, a po jego obu stronach kroczyli policjanci z ponurymi minami. Ich możliwości wyboru kurczyły się,

prowadząc ich teraz nieuchronnie do tych metalowych drzwi, a oni szli zdeterminowani, bezradni i przerażeni.

– Gaitonde – Sartadź przetarł oczy. – Ostatnia szansa. Wychodź, jar. To naprawdę jest bardzo głupie.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

– W porządku. W takim razie nie zbliżaj się do drzwi, kiedy będziemy wchodzić. I trzymaj ręce do góry.

– Nie martw się – odparł Gaitonde. – Nie jestem niebezpieczny.

Sartadź stał wyprostowany, tyłem do drzwi, i sprawdzał swój rewolwer.

Zakręcił bębenkiem i zobaczył żółte, grube naboje drzemiące spokojnie w metalu. Przedzierający się przez podeszwy jego butów żar palił go w stopy. Nagle głośnik ponownie przemówił, wprost w jego łopatkę.

– Sartadź, nazwałś mnie jarem. W takim razie coś ci powiem. Obojętnie, czy duży, czy mały, żaden dom nie jest bezpieczny. Wygrać to znaczy wszystko stracić, a zwycięstwo zawsze jest po stronie gry.

Sartadź czuł w piersiach delikatne drżenie głośnika. Ryk maszyny wprost wciskał go w drzwi, a on miał już tego dość. Zatrzasnął bębenek i zszedł z ganku.

– Dobra – krzyknął. – Ruszać, ruszać, ruszać. – Machnął rewolwerem w stronę drzwi. Głośnik ponownie zabrzączał, ale Sartadź już nie słuchał.

Kiedy odchodził, zdawało mu się jeszcze, że spod ryku silnika usłyszał ostatni fragment, jakby pytanie:

– Sartadźu Singhu, czy wierzysz w Boga?

Sartadź zawołał:

– Dawaj, Bashir Ali, dawaj. – Bashir Ali uniósł rękę, a Sartadź wskazał na niego wyprostowanym palcem. – Rusz tę maszynę.

Bashir Ali skulił się na swoim wysokim siedzisku, a jego kolos ruszył do przodu, minął Sartadźa i z głuchym zgrzytem uderzył w budynek, wzbijając

całą chmurę pyłu. Po chwili jednak, kiedy spychacz się cofnął, okazało się, że budynek wciąż stoi nienaruszony i nienaruszalny, a drzwi nawet się nie wgniotły. Uszkodzeniu uległa tylko kamera wideo: leżała przy drzwiach, równo rozplaszczona w połowie swojej długości. Ze stojącego w oddali na ulicy tłumu dobiegły przeciągłe gwizdy. Przybrały na sile, kiedy Bashir Ali wyłączył silnik.

– Co się stało? – zapytał Sartadź, kiedy Bashir Ali zszedł w cień spychacza.

– A czego się spodziewacie, skoro nie pozwalacie mi pracować po mojemu?

Obaj wycierali tynek z nosów. Po skąpanej w słońcu stronie spychacza tłum wyśpiewywał: „Jai Gaitonde”.

– A ty wiesz, jak to zrobić?

Bashir Ali wzruszył tylko ramionami.

– Mam pewien pomysł.

– W porządku – stwierdził Sartadź. – Dobra. Rób, jak uważasz.

– No to zejdźcie mi z drogi. I zabierzcie ludzi sprzed budynku.

Bashir Ali zakręcił swoim rumakiem na żwirze, a Sartadź zrozumiał, że ma do czynienia z prawdziwym artystą. Prowadził maszynę zwinnymi ruchami, pstrykając i uderzając dłonią w dźwignię, pochylając się w stronę wykonywanych skrętów, solidaryzując się ze zgrzytem zębatach przekładni. Podniósł, a potem opuścił lemiesz, bardzo precyzyjnie ustawiając jego dolną, wysuniętą krawędź na wysokości drzwi. Cofnął się o trzy metry, sześć, dziesięć, ramieniem radośnie obejmując oparcie fotela. Natarł na budynek z ukosa, a mijając Sartadźa, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tym razem rozległ się jęk metalu, a kiedy ustały gwałtowne wstrząsy maszyny, Sartadź zobaczył, że drzwi zostały wyrwane, wciśnięte do środka. W ścianie pojawiła się metrowa szczelina.

– Cofnąć się! – krzyknął Sartadź. Biegł do przodu, z rewolwerem w wyciągniętej ręce. – Cofnąć się, cofnąć się. – Bashir Ali odsunął się na bok i Sartadź stanął oparty o framugę. Katekar oparł się z drugiej strony. Ze środka buchnął lodowaty wiatr, Sartadź poczuł, jak suszy mu pot na twarzy i przedramionach. Nagle, przez moment, poczuł, że zazdrości Gaitondemu tej klimatyzacji, tej możliwości sterowania polarnym klimatem, którą zapewniła mu zuchwałość. Temu uczuciu, również przez krótką chwilę, towarzyszyło coś jeszcze, wznoszący się gdzieś z dołu, z okolic jego bioder, nieproszony i przyprawiający o mdłości, jak utrzymująca się na powierzchni strużka żółci, drobny pęcherzyk podziwu. Sartadź odetchnął głęboko.

– Sądysz, że budynek wytrzyma? – zapytał.

Katekar skinął głową. Przez drzwi zaglądał do środka, a jego twarz aż pociemniała z wściekłości. Sartadź czubkiem języka dotknął górnej wargi, poczuł jej suchość, a potem obaj weszli do środka. Inspektor ruszył przodem i przy pierwszych wewnętrznych drzwiach Katekar szedł tuż obok. Za nimi słychać było szelest stóp pozostałych policjantów. Sartadź starał się nasłuchiwać przez gromkie dudnienie swojego serca. Już wcześniej zdarzało mu się uczestniczyć w podobnych szturmach, ale doświadczenie wcale mu nie pomagało. W budynku panował ziąb, oświetlenie było komfortowe i przyciemnione. Pod stopami mieli dywan. Znaleźli cztery kwadratowe pokoje, wszystkie pomalowane na biało i wszystkie puste. W centrum budynku znajdowały się bardzo strome, prawie pionowe metalowe schody, prowadzące w dół, przez otwór w podłodze. Sartadź skinął głową na Katekara, a potem ruszył za nim. Metalowe drzwi na dole otwarły się z łatwością, ale były bardzo ciężkie, i kiedy w końcu Katekarowi udało się je w pełni otworzyć, inspektor zobaczył, że są grube jak wrota do bankowego skarbcza. W środku panowały całkowite ciemności.

Sartadź mimowolnie drżał. Minął kolegę i po lewej ujrzał niebieskawe światółko. Katekar precyzyjnie przycisnął się obok niego i stanął z boku, a potem, ostrożnie stawiając kroki, ruszyli z bronią wyciągniętą przed siebie. Jeszcze jeden krok, i w tym momencie, z innego miejsca, Sartadź dojrzał jakąś postać, czyjeś barki przed rzędem zamglonych monitorów, brązową dłoń przy kontrolkach na czarnym panelu sterowania.

– Gaitonde! – wykrzyknął Sartadź, chociaż wcale krzyknąć nie chciał; stosowniej byłoby posłużyć się lekko karcącym tonem, więc stłumił głos: – Gaitonde, powoli podnieś ręce do góry. – Postać w ciemności nie poruszyła się. Policjant boleśnie zacisnął palec na spuście i z trudem powstrzymał się, żeby nie wystrzelić. Spróbował jeszcze raz. – Gaitonde. Gaitonde?

Z prawej strony Sartadża, tam, gdzie stał Katekar, dało się słyszeć delikatny trzask, i kiedy inspektor odwracał głowę, pokój zalał biały, neonowy blask, obfity, wszechogarniający i czysty. A w tej ogólnej iluminacji siedział Gaitonde, w pełni ukazała się jego postać, z czarnym pistoletem w lewej dłoni i bez połówki głowy.

Prawe oko Gaitondego było wybałuszone i nabiegłe krwią z jakąś szaleńczą intensywnością. Sartadź widział delikatną siateczkę różowych linii, głęboką czerń źrenicy, wyciekający z wewnętrznego kącika błyszczący płyn mimowolnie skojarzył mu się ze łzą. Ale była to jedynie reakcja ciała na gigantyczne uderzenie, które wyrwało po drugiej stronie twarzy wszystko powyżej podbródka, tnąc od lewego nozdrza w górę, aż do czoła, i rozbryzgując kremową papkę na białym suficie. W surowej czerwieni mięsa, w miejscu, w którym urywał się nagle grymas zaciśniętych warg Gaitondego, skrzył się jak perła zęb, cały i nieuszkodzony.

– Panie inspektorze – odezwał się Katekar. Sartadź drgnął i popatrzył w kierunku wskazywanym przez lufę rewolweru kolegi, w stronę drzwi w

białej ścianie. Dokładnie w miejscu zetknięcia się ostrej jasności i ciemności, w tym cieniu, widniały dwie drobne, bosc stopy, z palcami skierowanymi do góry. Sartadź podszedł bliżej, i chociaż nie widział wyraźnie ciała, jedynie mankiety białych spodni, rozpoznał, po tej niewyraźnej rozłożystości bioder, że przed nim leży kobieta. Katekar znalazł kolejny przełącznik i teraz już ją widzieli, tak, to była kobieta, ubrana w obcisłe, białe spodnie, nisko opuszczone, Sartadź wiedział, że nazywają się biodrówki. Miała też różowy, obcisły top, a cały ten jej strój był elegancki. Odsłaniał jej brzuch, musiała być dumna z wąskiej talii i idealnego pępka. W jej piersiach, tuż pod pokrytym meszkiem punktem na klatce piersiowej, w miejscu zapinania bluzki, widniała dziura.

– Zastrzelił ją – stwierdził Sartadź.

– Tak – odparł Katekar. – Musiała stać w drzwiach.

Twarc miała odwróconą w lewą stronę, a długie włosy opadały na jej policzek.

– Sprawdź resztę – polecił Sartadź.

W kwadratowym pokoju, w którym leżała dziewczyna, znajdowały się ustawione rzędem trzy nagie łóżka, a przy każdym biała szafka. Bardziej przypominało to dormitorium. Pod ścianą rower treningowy i rząd ciężarków na stojaku. Stare czarno-białe filmy na DVD. Stalowa szafka z rzędem karabinów AK-56, a poniżej pistolety. W łazience były prysznic i toalety w stylu zachodnim, znalazł też trzy szafy wypełnione męskimi ubraniami, półbutami i innymi butami.

Katekar zakończył przegląd w centralnym pokoju, po czym obaj stanęli nad ciałem Gaitondego.

Za plecami Sartadża tłoczyła się cizba uzbrojonych policjantów, przepychających się łokciami i stukających kolbami karabinów, wysuwali

głowy, chcąc zobaczyć, jak skończył wielki Gaitonde i jego zamordowana przyjaciółka.

– Wystarczy – odezwał się Sartadź. – Co to ma być, darmowa tamaśa? Pokaz filmu? Wszyscy wychodzić. – Ale zdawał sobie sprawę z tego, że mówi z ulgą w głosie, z którego teraz ustąpiło napięcie, a oni uśmiechali się do niego, odwracając się i odchodząc. Oparł się na skraju długiego biurka i czekał, aż zniknie to dziwne wrażenie miękkości w kolanach. Z krzesła Gaitondego jedna po drugiej nieprzerwanie spadały krople.

Katekar, zawiąawszy palce w niebieską chusteczkę, po kolei otwierał i zamykał stojące pod ścianami białe szafy. Zawsze bardzo metodycznie sprawdzał wszelkie ślady po strzałach, a Sartadź uspokoił się, widząc jego szerokie, pewne ramiona i poważnie zaciśnięte szczęki.

– Nic tu nie ma, panie inspektorze – powiedział Katekar. – Zupełnie nic.

W biurku, tuż obok nogi Sartadźa, była szuflada. Policjant dobył własnej chusteczki i pociągnął za uchwyt. Na samym środku równiutko leżała mała, czarna książeczka.

– Dziennik? – zapytał Katekar.

Był to album. Czarne strony pokrywała lepka folia, pod którą umieszczono fotografie. Sartadź ostrożnie przejrzał kolejne kartki, delikatnie trzymając je za same rogi. Kobiety, niektóre bardzo młode, w pozowanych studyjnych ujęciach, patrzące przez ramię, opierające twarze na dłoniach i podnoszące biodra, przyzwoicie ubrane, ale wszystkie atrakcyjne.

– Wszystkie jego kobiety – powiedział Sartadź.

– Wszystkie jego randi – poprawił Katekar. Zrzucił swoją niebieską chusteczkę na palec wskazujący i ostrożnie otworzył stojącą po drugiej stronie biurka i sięgającą do pasa szafę na dokumenty. Nawet w cichym



szumie generatorów Sartadź dosłyszał jego głośne westchnienie. – Panie inspektorze.

Szafa na dokumenty była wypełniona pieniędzmi. Leżały tam zupełnie nowe, pięćsetrupiowe banknoty, w schludnych kupkach, jeszcze z banderolą Central Bank of India i obwiązane gumkami, pogrupowane po pięć w paczuszki zawinięte w szeleszczącą, kurczliwą folię. Katekar włożył dłoń w górną warstwę, w szczelinę między stosikami. Z tyłu było tego więcej. A dalej jeszcze więcej.

– Ile tego jest? – zapytał Sartadź.

Katekar w zamyśleniu stukał delikatnie w ściankę szafy.

– Jest pełna, aż po samo dno. Tu jest masa pieniędzy. Pięćdziesiąt lakhów? Chyba więcej.

Żaden z nich nigdy i nigdzie nie widział takiej sumy. Trzeba było podjąć decyzję, popatrzyli sobie szczerze w oczy i Sartadź zdecydował. Kolanem pchnął drzwi, zamykając szafę.

– Tego jest za dużo – orzekł.

Katekar tylko westchnął. Przez moment był wyraźnie smutny, to wszystko. Ale przecież to on udzielił Sartadźowi tej ważnej lekcji sztuki przetrwania, mówiącej, że jeśli nie posiada się dostatecznych informacji, rzucanie się na wielkie łupy oznacza prowokowanie nieszczęścia. Otrząsnął się teraz z tego oczarowania wielkimi pieniędzmi, mocno sapiąc i uśmiechając się szeroko.

– Pieniędzmi Gaitondeggo zajmą się ważni ludzie – powiedział. – Opuścimy?

– Opuścimy.

**B**unkier był wypełniony ludźmi. Wszędzie uwijali się technicy i fotografowie, starsi oficerowie z trzech stref i z wydziału kryminalnego.

Gaitonde siedział pośrodku, dobrze oświetlony i dziwnie teraz mały. Sartadź patrzył na Parulkara, który pochylał się nad ciałem Gaitondego, pokazując coś jakiemuś komendantowi innej strefy. Parulkar był w swoim żywiole, dyskutował z ważnymi osobistościami o zakończonej sukcesem operacji, a Sartadź był mu za to wdzięczny. Był pewny, że Parulkar oszlifuje i upiększy całą historię, przypisując mu większe zasługi, niż w rzeczywistości mu się należały. Miał do tego talent. Pod tym względem Sartadź mógł na nim polegać.

Trzech mężczyzn zeszło szybkim krokiem po schodach. Sartadź nigdy ich wcześniej nie widział. Pierwszy miał włosy tak krótko przycięte przy czaszce, że inspektor widział skórę głowy przezierającą przez schludną szarość. To on odezwał się do Parulkara, machając kartą identyfikacyjną. Parulkar słuchał i chociaż nic nie dał po sobie poznać, Sartadź zauważył, że wyraźnie zeszywniał. Skinął głową, a potem poprowadził tego płaskogłowego i pozostałych dwóch do Sartadźa.

– To jest ten oficer – powiedział Parulkar do płaskogłowego. – Inspektor Sartadź Singh.

– Jestem SP Makand z CBI. – Płaskogłowy był bardzo oschły. – Znaleźliście coś?

– Pieniądze – odparł Sartadź. – I album. Jeszcze nie sprawdziliśmy jego kieszeni, czekaliśmy, aż...

– To dobrze – powiedział Makand. – Przejmujemy tę sprawę.

– Możemy jakoś pomóc?

– Nie. Będziemy w kontakcie. Niech wasi ludzie się zwijają. – Towarzysze Makanda już chodzili po pokoju, polecając technikom, aby się pakowali.

Sartadź skinął głową. Spodziewał się, że zabiorą mu sprawę Gaitondego. To, że Gaitonde pojawił się w strefie trzynastej, było czymś

niewytłumaczalnym, a fakt, że jego kariera tak nagle skończyła się w Kailaśpadzie, był zdecydowanie zbyt wspaniałym zawodowym prezentem, żeby tylko Sartadź miał się nim cieszyć. Życie nie pozwalało sobie na tak czyste uśmiechy fortuny. Niemniej jednak to odsunięcie od sprawy – chociaż zakomunikowane przez Makanda, człowieka z elitarnej, centralnej agencji – zdecydowanie zbyt go zaskoczyło. Ale nawet obecny tu Parulkar, bezbarwny jak deśi masło, nie protestował i nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Sartadź poszedł zatem za jego przykładem, zawołał Katekara i wyszedł na zewnątrz.

Zapadł już wieczór. Sartadź stał w cieniu metalowych drzwi i widział reporterów czekających za rzędem policyjnych dżipów. Obok niego Parulkar poprawiał się przed spotkaniem z prasą.

– Panie komendancie – odezwał się Sartadź – dlaczego oni nas wyrzucili? CBI już nie potrzebuje wsparcia lokalnych służb?

Parulkar wsunął koszulę w spodnie i poprawił pasek.

– Sprawiali wrażenie bardzo spiętych. Wydaje mi się, że obawiali się, żeby coś nie ujrzało światła dziennego.

– Czyżby chcieli coś ukryć?

Parulkar przechylił głowę i pozwolił sobie przybrać pozę osoby przebiegłej.

– Beta – powiedział – jeśli ktoś pozwala sobie być wobec nas tak niegrzeczny, zazwyczaj oznacza to, że stara się coś ukryć. Chodźmy. Chodźmy powiedzieć naszym przyjaciółom z prasy, jak to doprowadziłeś do upadku wielkiego dona Ganeśa Gaitondeggo.

Sartadź stanął więc w blasku fleszy i opowiedział dziennikarzom o swoim wielkim wyczynie. Powiedział im, że rozmawiał z bandytą, zanim rozwalili te drzwi, że sprawiał on wrażenie człowieka, który się nie boi i zachowuje rozsądek. Nie opowiedział im historii Gaitondeggo o złocie. Nie

powiedział też, ani im, ani Katekarowi czy Parulkarowi, o tym pytaniu, które, jak mu się wydawało, na koniec zadał mu Gaitonde. I tak przecież nie był pewien, czy je słyszał. Opowiedział więc reporterom o anonimowym telefonie dzisiejszego ranka i o tym, co się wydarzyło później, i że nie ma pojęcia, dlaczego don postanowił się zabić.

Później jednak, kiedy wieczorem był już w domu, przypominał sobie ten górnolotny styl wypowiedzi Gaitondego, szybko wypowiedane słowa i ten jego smutek. Nigdy wcześniej nie spotkał gangstera, a kiedy w końcu ścieżki ich życia skrzyżowały się, tamten umarł. Zasypiając, Sartadź przypominał sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał czy też czytał o Gaitondem, te wszystkie pogłoski i legendy, raporty służb wywiadowczych i wywiady w magazynach informacyjnych. Próbował jakoś połączyć wizerunek publiczny z głosem, który sam słyszał, ale bez powodzenia. Z jednej strony był słynny gangster, a z drugiej ten człowiek z dzisiejszego popołudnia. Ale czy to wszystko miało jakieś znaczenie? Gaitonde nie żyje. Sartadź odwrócił się na drugi bok, z determinacją uklepał poduszki i złożywszy głowę, zasnął.

## Ganeś Gaitonde sprzedaje swoje złoto



Jak tam, Sardardzi, słuchasz mnie jeszcze? Czy jesteś gdzieś tam na tym świecie? Czuję twoją obecność. Co było potem, chciałbyś się dowiedzieć, co potem. Szedłem pod rozdartym przez chmury wirującym niebem, czując niezmiennie ciężenie złota na plecach i widząc przed sobą miasto. Miałem dziewiętnaście lat i złoto na plecach. Oto byłem ja, Ganeś Gaitonde, odziany w brudną, niebieską koszulę, brązowe spodnie, podarte buty na gumowej podeszwie, bez skarpetek, z czterdziestoma siedmioma rupiami w kieszeni, z rewolwerem za pasem oraz złotem na plecach. Nie miałem dokąd pójść, nie mogłem wrócić do tego budynku w Dadarze, gdzie dotychczas spałem przy pachnącym przyprawami magazynie restauracji. Gdyby zaczęli szukać mnie ludzie Salima Kaki albo też gdyby w ogóle ktoś zaczął mnie szukać, nie mogli mnie tam znaleźć, nikt nie mógł mnie wytropić, jak jakiegoś głupka, i zabić jak psa. Od kiedy znalazłem złoto, przestałem być ufny. Zacząłem odczuwać problemy ludzi bogatych. Pomyślałem sobie: na tym całym świecie mam jedynie czterdzieści siedem rupii i rewolwer oraz tę ogromną masę metalu. Złoto na plecach nic mi nie daje, muszę więc je sprzedać. Złoto nie ma żadnego znaczenia, dopóki go nie sprzedam. A jak sprzedać złoto, tak dużą jego ilość? Gdzie to sprzedać? Dopóki tego nie sprzedam, będę ubogim człowiekiem. Ubogim człowiekiem targanym problemami bogaczy.

Uśmiechnąłem się, a potem roześmiałem. Musiałem pilnie znaleźć schowek, szybko, zaraz, ale cała sytuacja była również zabawna. Zaśpiewałem *Mere deski dharti sona ugle, ugle hire moti*<sup>3</sup>. Ale dziesiąta

trzydzieści rano to nie jest dobra pora na włączenie się po peryferiach Boriwali z naładowanym ghorą i złotem, zwłaszcza kiedy człowiek jest przytłoczony tym ciężarem i bardzo zmęczony. Wokół ciągnęły się pola i tylko gdzieś widać było skupiska drzew i budynków, małe chatki zgromadzone na podobieństwo wiosek, ale wcześniej czy później ktoś zauważy, zapyta, będzie czegoś chciał. Zostały mi tylko trzy kule. A poza tym nie miało to znaczenia, nawet trzydzieści czy trzysta kul nie zrobiłoby żadnej różnicy, gdyby tylko ktoś dowiedział się, co niosę.

Po prawej stronie ciągnął się płot z drutu kolczastego, ogradzający kępę drzew. Spojrzałem za siebie, przed siebie i podjąłem decyzję. Prześlizgnąłem się pod spodem, wciągnąłem za sobą worek i szybkim krokiem, ale nie biegnąc, właśnie szybkim krokiem poszedłem w kierunku drzew. Kucnąłem w cieniu i czekałem. Poruszałem rękami, żeby pozbyć się skurczu, który mnie chwycił od trzymania worka, od noszenia tego ciężkiego ładunku. Gdyby coś miało się zdarzyć, zdarzyłoby się w tym momencie. Od razu opadła mnie chmara drobnych owadów, byłem już gotów znieść ich ukąszenia, ale one poruszały się tylko dygoczącą chmurą wokół moich ramion, wprawiając w drganie powietrze. W tym migoczącym kręgu przypomniałem sobie zbocze góry widziane przez okno, trzepoczące na lekkim wietrze kartki szkolnego podręcznika, nieustanne szlochanie mojej matki w drugim pokoju. Nieustanne. Wystarczy – machnąłem ręką przed twarzą i wyrwałem się z tego wszystkiego. Poruszałem się do przodu w kuckach, przesuwając się przez ciemności pod gałęziami, w kierunku tafli wody, którą teraz już widziałem. Była to niewielka sadzawka, zagnieżdżona w zagłębieniu w kształcie spodka, porośnięta na brzegach żółtymi wodorostami. Ponownie przykucnąłem, trzymając przed sobą worek. W okalającym sadzawkę miękkim błocie nie było żadnych śladów stóp, żadnych ścieżek w ostrej trawie, żadnego mężczyzny ani żadnej

kobiety aż do samego drutu kolczastego po drugiej stronie wody, ani też dalej, na drodze. Niemniej jednak postanowiłem odczekać jeszcze pół godziny. Mocno ścisnąłem gładką sztabkę w kieszeni, oddychając powoli. Śledziłem opalizujące ważki błyskawicznie nurkujące nad wodę. Zdecydowałem się nigdy już nie potknąć się, nie zsunąć się w ten powolny wir przeszłości. Miałem za sobą jakieś życie, ale ono minęło. Dla Ganeśa Gaitondego istniał tylko ten dzień, noc po tym dniu i wszystkie następne dni.

W stosownej chwili wycofałem się pomiędzy drzewa, w najciemniejszy cień. Wybrałem drzewo i zacząłem kopać. Ziemia była sypka, ale wysuszona, więc szło mi powoli i szybko zdarłem sobie palce. Powinienem był wcześniej znaleźć coś do kopania, może jakiś kawałek puszki. Błąd w planowaniu. Ale skoro już zacząłem, kopałem dalej, pełnymi garściami wydobywając ziemię. Gdy dotarłem do twardszej warstwy, usiadłem i zacząłem ryć ją piętami, aż trochę ją rozbiłem. Pracowałem ciężko i pot się ze mnie lał, ale kiedy przerwałem pracę, okazało się, że nie jest to żaden dół, tylko jakieś płytkie zagłębienie pod ciemnym pniem. Byłem jednak zmęczony i głodny, i to musiało wystarczyć. Pierś mi falowała. Pociągnąłem za sznurki przy worku i wyjąłem dwie sztabki, a potem przez minutę lub dwie wpatrywałem się w nie, migoczące tym łagodnym złotawobrazowym blaskiem w cieniu poprzetykanym jaśniejszymi plamami. Następnie worek wylądował w zagłębieniu, a ja na powrót zacząłem drapać ziemię, żeby go przykryć. Wyglądało to teraz jak niewielki wzgórek, więc rzuciłem się pod drzewa zbierać kępy trawy, liście i gałązki, żeby ułożyć je na nim i uklepać. Wstałem i spojrzałem na tę kompozycję. Wyglądała jak przypadkowe wzniesienie, takie, które mogło znajdować się pod dowolnym drzewem i w tym półmroku nie wzbudzało podejrzeń, chyba żeby ktoś na tym usiadł. Ale dlaczego ktoś miałby tu przychodzić, po co

miałby tu zaglądać i siadać? Czułem pewność, że to miejsce jest bezpieczne. Postanowiłem jednak jeszcze raz cofnąć się do ogrodzenia i wrócić na to miejsce, żeby upewnić się, że znajdę drogę powrotną. Ale zrobiłem to tylko raz. Potem przetoczyłem się pod ogrodzeniem i ruszyłem drogą, pewnym krokiem skręcając na rogu, chociaż w trzewiach ciążyła mi ta przygniatająca strata, ten ciężar, który tak bardzo mnie bolał, że aż obiema rękami musiałem trzymać się za brzuch. Ryzyko jest ryzykiem i właśnie stąd się bierze zysk. Jak nie ma, to nie ma. Trzeba ryzykować, żeby robić interesy. Robić interesy.

Znałem tylko imię i nazwisko: Paritosz Śáh. Słyszałem je dwa razy, raz od niejakiego Azama Śeikha, który właśnie wyszedł po czteroletniej odsiadce za kradzież z włamaniem. Już w ciągu dwóch dni wykonał kolejną robotę, za dnia włamał się i ograbił mieszkanie nowożeńców w Santa Cruz East.

– Dobra żonka poszła na rynek kupić warzywa na obiad dla swojego mężusia – opowiadał Azam – a my w tym czasie zabraliśmy jej złoty naszyjnik, bransolety i kolczyki na uszy, a także jej kolczyk do nosa, wszystko oprócz mangalsutry, a Paritosz Śáh dał nam za to wszystko uczciwą cenę.

Podczas przerwy w pracy stałem za drzwiami do kuchni w restauracji, w której pracowałem jako kelner, i słuchałem tych przechwałek, a kiedy Azam Śeikh zobaczył moje stopy pod drzwiami, przeklął mnie i się zamknął. Poszedłem sobie. Obsługujący go kelner powiedział mi później, że Azam Śeikh zostawił napiwek w wysokości trzech rupii, po półtorej godziny objadania się kebabami tangdi i śamm i picia piwa, ale nim minął miesiąc, z satysfakcją dowiedziałem się, że Azam Śeikh wrócił do więzienia, że złapano go podczas kolejnej roboty w Santa Cruz East, po tym jak pokojówka obudziła się i zaczęła krzyczeć. Złapali go sąsiedzi i pobili do



krwi. Azam Śeikh miał teraz spore kłopoty, a ja z tego powodu odczuwałem satysfakcję, a także z powodu nazwiska Paritosza Śaha.

Drugi raz usłyszałem je, jak już poznałem się bliżej z Salimem Kaka, zdobyłem jego zaufanie. Wraz z Mathu i Salimem Kaka wybraliśmy się do Boriwali poćwiczyć strzelanie. Na polanie w dżungli obaj z Mathu wystrzeliliśmy po sześć razy, a Salim Kaka pokazywał nam, jak stanąć, jak chwycić broń; myśmy ładowali i przeładowywali tak długo, aż zaczęliśmy to robić szybko i bez trudu, a ja wręcz z zamkniętymi oczami. Salim Kaka, zadowolony, szturchnął mnie w ramię. Pozwolił nam oddać jeszcze po dwa strzały. Eksplozje przetaczały się po moich ramionach, głośniejsze niż w moich wcześniejszych wyobrażeniach, a potem wzdłuż kręgosłupa. Wprost nie posiadałem się z radości, a nad naszymi głowami wirowały ptaki.

– Nie ściskaj tak swojego samuna – powiedział Salim Kaka. – Trzymaj go spokojnie, mocno, z uczuciem.

Cel narysowany był kredą na pniu drzewa, a ja odstrzeliwałem drzazgi z samego jego środka.

– Z uczuciem – powiedziałem, a Salim Kaka śmiał się wraz ze mną.

Podczas długiego marszu z dżungli, kiedy szliśmy pod nagimi, brunatnymi gałęziami przez wszechobecne cierniste krzewy, Salim Kaka straszył nas opowieściami o panterach. Niecałe dziesięć dni temu w tej właśnie dżungli zginęła dziewczynka zbierająca drewno.

– Pantera zbliża się tak szybko, że nie można jej dostrzec, czuje się tylko jej zęby na karku – powiedział.

– Odstrzelę jej oczy – odparłem i zakręciłem swoim rewolwerem.

– Oczywiście, maderćodzie – wtrącił Mathu – w końcu jesteś strzelcem na medal.

Splunąłem tylko i odpowiedziałem:

– Dostanę jeszcze pieniądze za skórę pantery. Obedrę behenćoda ze skóry i ją sprzedam.

– Komu, ćutija? – ciekaw był Mathu.

Pokazałem palcem na Kake.

– Paserowi Kaki.

– Nie – stwierdził Salim Kaka – jego interesuje tylko biżuteria, brylanty, złoto i droga elektronika.

– A nie twoja wyliniała skóra pantery – dorzucił Mathu i wybuchnął śmiechem.

Kiedy później Mathu stał przy drodze, z podniesioną ręką czekając na motoriksę, Salim Kaka kucnął przy mnie i wspólnie sikaliśmy pod murem. Gapilem się w ten mur, trzymając się prosto, nagle zirytowany perspektywą czekającej nas długiej jazdy pociągiem, a potem autobusem i pieszo drogą do domu i do łóżka.

– O co chodzi, jar? – odezwał się Salim Kaka. – Ciągłe myślisz o tej twojej skórze pantery? – Zęby Salima Kaki były zbrązowiałe od tytoniu, ale silne i mocne. – Nie martw się, skórę możesz zanieść do Paritosza Śaha, z tego co słyszałem, ten gość bierze wszystko.

– Kto to taki? – zapytałem.

– Nowy paser w Goregaon. Bardzo ambitny – odrzekł Salim Kaka.

W tym momencie Mathu zatrzymał riksę, Salim Kaka otrzepał swój interes i wstał, ja też wstałem i się zapiąłem, a Salim Kaka uśmiechnął się do mnie i tak poszliśmy razem, poklepując się po ramionach. Siedzieliśmy ściśnięci w telepiącym się i podskakującym na wybojach pojeździe, a Salim Kaka pośrodku trzymał czarną torbę z rewolwerami. Były jego, do niego należały. Trzymał torbę przy sobie.

Wybrałem się więc do Goregaon, co nie było takie trudne, ale Paritosz Śah był zaledwie jednym człowiekiem w tej okolicy zamieszkałej przez

lakh ludzi i trudno byłoby szukać jego ogłoszenia wśród umieszczonych na dworcu billboardów reklamujących seksuologów, agentów nieruchomości i handlarzy cementu. Kupiłem gazetę, przed dworcem znalazłem wadapauwalę i coś zjadłem, a potem zastanowiłem się nad problemem. Kiedy piłem herbatę kupioną od ćajwali na następnym stoisku, zarysowało mi się rozwiązanie.

– Bhidu – powiedziałem do ćajwali. – Gdzie jest najbliższy komisariat policji?

Wąskimi uliczkami ze sklepikami i thela po obu stronach poszedłem na komisariat. Przemykałem szybko, schylając się i przeciskając przez tłum, pobudzony herbatą i żądny dalszych wydarzeń. Znalazłem komisariat i stanąłem przed długą, niską, brunatną fasadą, opierając się o maskę samochodu. Nawet z tej odległości miałem doskonały widok przez frontowe drzwi na sekretariat, zastawiony długimi biurkami, i widziałem też, co znajduje się dalej, te zatłoczone biura, aresztantów siedzących rzędem w kucki, nagie cele w głębi. Niewielki tłumek od frontu przemieszczał się, poruszał i zmieniał, ale przez cały czas tam był, a ja przerzucałem strony gazety i patrzyłem. Potrafiłem rozpoznać gliniarzy, nawet tych w cywilu, po fałdzie tłuszczu na karku i wyprostowanej sylwetce, przywodzącej na myśl kobrę, siedzącą w samym środku świeżej bruzdy i napiętą jak sprężyna, z rozpostartym kapturem, drżącą z mocy i arogancji. Ich oczy ziały agresywnością. Jednak szukałem czegoś innego.

Dopiero o drugiej trzydzieści, po dwóch nieudanych próbach, udało mi się znaleźć informatora. Najpierw pojawił się gość z wąskimi biodrami, który wymknął się chyłkiem z bramy i ruszył na drugą stronę, zachowując ten obleśny dystans, charakterystyczny dla urodzonego kieszonkowca. Szedłem za nim przez pół mili, ale w końcu nabrałem nieufności do jego długich rąk, które zamykały się i otwierały z psią, pazerną zachłannością.

Powróciłem do swojego punktu obserwacyjnego pod komisariatem i skoncentrowałem uwagę na starszym mężczyźnie, w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. Wyszedł przez główne drzwi, zatrzymał się tuż przed bramą i jednym ruchem kciuka otworzył paczkę papierosów. Trzy razy postukał papierosem w paczkę, powoli i miarowo, a potem z tą samą niespieszną pewnością siebie zapalił go i się zaciągnął. Poszedłem za nim, spodobała mi się falista linia siwych włosów na jego karku oraz niepozorna, szara koszula safari. Kiedy przechodził przez ulicę, podszedłem do niego i poprosiłem o papierosa, ale ten mężczyzna spojrzał na mnie z nieskrywaną życzliwością, bez śladu podejrzliwości, od razu więc zorientowałem się, że jest zupełnie przyzwoitym obywatelem. Był po prostu interesantem, który przyszedł na komisariat zgłosić kradzież roweru czy też poskarżyć się na hałaśliwych sąsiadów, i z pewnością nie miał pojęcia, kim jest Paritosz Śah. Wziąłem papierosa, podziękowałem mu i wróciłem na swoje stanowisko obserwacyjne.

Właśnie przydeptywałem niedopałek piętą, kiedy usłyszałem tę kobietę. Głos miała niski, wyraźnie kobiecy, ale basowy i donośny, kłóciła się z kierowcą motoriksy, mówiła mu, że co tydzień jeździ tą samą trasą i że jego licznik był wyłączony, bo dwanaście sześćdziesiąt to może mu zapłacił jakaś ćutija świeżo przybyły ze stanu Uttar Pradeś, ale na pewno nie ona. Zasłaniał ją pojazd i rikszarz, widziałem jedynie pulchne ramiona i obcisłą, żółtą bluzkę, a kiedy mężczyzna krzyknął, że spuszcza cenę do dziewięciu rupii, przez moment dostrzegłem ciemnoczerwone sari, mięsiste plecy i pulchną talię, szybki, rozkołysany krok, przy czym całość wyglądała dosyć podejrzanie. Zacząłem się niecierpliwić. Już nie przyglądałem się innym osobom wchodzącym i wychodzącym z komisariatu, czekałem tylko na nią. Kiedy pojawiła się czterdzieści pięć minut później, wiedziałem, co mam zrobić.

Przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła w oczekiwaniu na transport, z jedną wielką ręką opartą na biodrze, drugą machając władczo na każdą z głośnym trąbieniem przejeżdżającą obok riksę. Odetchnąłem i podszedłszy bliżej, dostrzegłem pod farbowanymi henną włosami workowate policzki, wyraźne brwi, wielkie, złote kolczyki w kształcie lotosu. Była dość stara, czas odcisnął na niej swoje piętno, musiała być po czterdzieście lub po pięćdziesiątce, już dawno minęła jej młodość. Podobała mi się jej przysadzista, pochylona do przodu postawna sylwetka, szeroko rozstawione mocne stopy. Pallu zwisało niedbale z jej ramienia, w sposób niezbyt skromny.

– W dzisiejszych czasach trudno znaleźć riksę – odezwałem się.

– Zjeżdżaj, chłopcze. Nie jestem randi – warknęła. – Chociaż i tak nie wyglądasz, jakby było cię na jakąś stać.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zdążyła mnie obejrzeć.

– Nie szukam randi.

– Tak tylko mówisz. – Zwróciła twarz w moją stronę i wybałuszyła nieco oczy, ale nie wyglądała przy tym brzydko, raczej niezwykle, nadało to jej obliczu jakiś niepokojący wyraz, jakby była gotowa zaraz wyskoczyć z jakąś wstrząsającą niespodzianką. – W takim razie czego chcesz?

– Chciałem zadać pytanie.

– Dlaczego miałabym ci odpowiedzieć?

– Potrzebuję pomocy.

– To od razu widać. Nie potrafisz rozpiąć spodni i chcesz, żebym ci go wyciągnęła. Dlaczego miałabym brudzić sobie ręce? Czy przypominam twoją matkę?

Roześmiałem się, świadomie obnażając zęby.

– Nie. Ani trochę. Ale i tak możesz mi pomóc.

Jadąca w drugą stronę motoriksza zwolniła i zarzucając, przejechała na naszą stronę ulicy. Zanim pojazd jeszcze się zatrzymał, kobieta chwyciła żelazny pręt nad licznikiem i wskoczyła na siedzenie.

– Jedź – rzuciła do kierowcy.

– Paritosz Śah – powiedziałem, garbiąc się i pochylając do wnętrza. Zauważyłem, że wzbudziłem jej zainteresowanie.

– A co z nim?

– Muszę go znaleźć.

– Musisz?

– Tak.

Przesunęła się do przodu na swoim fotelu i spojrzała na mnie groźnym wzrokiem.

– Zbyt nędznie wyglądasz, żeby być khabari. Oni starają się wyglądać schludnie i wzbudzać zaufanie.

– Nie jestem khabari – odrzekłem. – Nie wiedziałbym, komu donieść.

– Wsiadaj – poleciła. Zrobiła mi miejsce na popękany skaju, wydała polecenie rikszarzowi i ruszyliśmy pyrkającym pojazdem przez nieznane mi uliczki. Budynki zbliżały się do siebie, teraz już dotykały się ścianami, a na ulicach pełno było ludzi, którzy odsuwali się na bok, żeby przepuścić nasz pojazd. Zerknąłem na lewo, a potem wyjrzałem do tyłu, przez owalne okienko w brezencie.

– Uspokój się – powiedziała kobieta. – Jesteś bezpieczny. Gdybym chciała cię skrzywdzić, nie ocalałaby cię nawet ta wielka ghora w twoich gaciach.

Spojrzałem w dół. Przez poplamiony, niebieski materiał trzymałem rewolwer. Puściłem go i zacząłem lewą ręką masować prawą.

– Nigdy nie byłem w tej okolicy – powiedziałem.

– Wiem – odparła. Nachyliła się w moją stronę – Jak się nazywasz?

– Mam na imię Ganeś. A ty?

– Kanta Bai. Co masz dla Paritosza Śaha?

Zbliżywszy usta do jej ucha powiedziałem:

– Złoto. – Przysunąłem się jeszcze bliżej. – Sztabki.

– Nic nie mów, Ganeśu, dopóki nie wysiadziemy.

Pojazd zatrzymał się na ruchliwym bazarze pełnym hurtowni z ubraniami. Kiedy wysiedliśmy, poprowadziła mnie krętymi, zwężającymi się uliczkami. Dobrze ją tu znano, przechodnie pozdrawiali ją po imieniu, ale ona spiesznie szła dalej, ani na chwilę się nie zatrzymując. Uliczka kończyła się murem, w którym widniał wyłom, dziura z poszarpanymi krawędziami porozbijanych cegieł, a po drugiej stronie znajdował się basti. Jak najostrożniej stawiając nogi, próbowałem nadażyć za jej szybkim krokiem. Tutaj chałupy stały ciasniej, a w niektórych miejscach budynki pakka zbliżały się do siebie tak bardzo, że chwilami zdawało mi się, że idziemy tunelem. Mężczyźni, kobiety i dzieci schodzili z drogi Kanta Bai. Na parapetach i w drzwiach siedzieli chłopcy i młodzieńcy, a ja czułem na karku ich wzrok, ale starałem się trzymać prosto i blisko Kanta Bai.

Najpierw wyczułem wszechogarniający intensywny zapach brązowego cukru gur, a potem wymiotów. Skręciliśmy w prawo i minęliśmy niskie drzwi, za którymi dostrzegłem metalowe stoliki oraz siedzących przy nich i pijących mężczyzn. Na stoliku w pobliżu wejścia jakiś chłopiec ustawił talerz z dwoma gotowanymi jajkami, a siedzący tam klient wytrząsnął ze szklaneczki do ust ostatnie mleczne krople. Kanta Bai obeszła budynek, tymczasem rozlegające się wokół wycie turbiny elektrycznej przeszło w niższą tonację. Zostawiła mnie w ciemnym pomieszczeniu po sufit wypełnionym workami z gur.

– Zaczekaj tu – poleciła, więc czekałem. Na moich ramionach osiadał ciepły zapach, brunatny jak dno rzeki. Przez nieustające zgrzytanie silnika

dochodziły mnie wysokie dźwięki płynące z radiodbiornika znajdującego się w pomieszczeniu od frontu, w barze. Tylko pojedyncze, najwyższe dźwięki piosenki docierały do mnie jak piana, a ja zastanawiałem się nad jakością produktu Kanta Bai. W roboczy dzień po południu siedziało tam dosyć dużo klientów, może ze dwudziestu. Powoli sączyli destylowane na zapleczu sadi i satrangi ze szklaneczek po osiem i dziesięć rupii. Interes był niezły, surowiec tani i legalnie dostępny, a koszty niewielkie. Natomiast zapotrzebowanie na dobry desi alkohol było stałe i niezmiennie, ciągłe i potężne jak tupot stóp na okolicznych uliczkach. Pochyliłem się i przez zasłonę w drzwiach widziałem bose stopy pracowników Kanta Bai i wleczone worki, od czasu do czasu błyskały też krągłości butelek. Rozpoznawszy jej sari, zdążyłem się odwrócić, i kiedy odsunęła zasłonę, stałem w drugim końcu pomieszczenia. Wystraszyłem się na widok jej oczu, jarzących się biało pomimo błotnistej ciemności worków z gur.

– Rozmawiałam przez telefon z Paritoszem Śahem – powiedziała.

Nie potrafiłem wydusić z siebie słowa, nagle ogarnęło mnie przerażenie, że jestem tu sam, niedoświadczony, sam z tym swoim złotem. Skinąłem głową i jednocześnie, jakby mimochodem, oparłem się ramieniem o framugę drzwi. Położyłem dłoń na biodrze i jeszcze raz kiwnąłem głową.

Kanta Bai wyglądała na lekko rozbawioną. Delikatny uśmiech zadowolenia przemknął przez jej usta.

– Pokaż to swoje złoto – rzuciła.

Skinąłem głową. Nadal nie czułem się bezpieczny, żołądek podchodził mi do gardła, ale to było niezbędne. Poszperałem w prawej kieszeni, przełożyłem sztabki do lewej ręki i pokazałem je, dwa ciężkie kawałki złota na otwartej dłoni.

Kanta Bai wzięła sztabki, oceniła ich masę, i zwróciła mi je. Nie spuszczała wzroku z mojej twarzy.



– Możesz się z nim zaraz zobaczyć. Jeden z moich ludzi cię zaprowadzi.

– Dobrze – odparłem, już odzyskawszy głos i pewność siebie. Sztabki powędrowały z powrotem do mojej kieszeni, a ja wygrzebałem cienki zwitek banknotów i rozłożyłem je w wachlarz.

– Nie możesz mi zapłacić.

– Proszę?

– Ile tam masz?

Odwróciłem dłoń w stronę światła.

– Trzydzieści dziewięć rupii.

Parsknęła śmiechem na te słowa, jej policzki pomarszczyły się, a z oczu zrobiły się cieniuteńkie szparki.

– Baćca, idź się spotkać z Paritoszem Śahem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miał u mnie dług wdzięczności. Trzydzieści dziewięć rupii nie zrobią z ciebie radży Bhodża Mumbaju.

– Ja również będę miał u ciebie dług – powiedziałem. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Rozsądne podejście – odparła. – Może jednak dobry z ciebie chłopak.

Paritosz Śah był człowiekiem rodzinnym. Czekałem na niego w przedpokoju na drugim piętrze, w pobliżu schodów, z których co jakiś czas napływał ostry smród uryny. Budynek był sześciokondygnacyjny i bardzo stary, z bambusową ramą przywiązaną i przybitą gwoździami do chwiejącej się fasady, oraz z niepokojącymi szczerbami w dekoracyjnej ślimacznicy na balkonach. Na drugim piętrze roiło się od męskich przedstawicieli rodziny Śahów. Nieustannie mijali miejsce, w którym człowiek Kanta Bai mnie zostawił, wołali do siebie Ćaću, Mamu i Bhai i zupełnie nie zwracali na mnie uwagi. Mijali moją brudną koszulę i wytarte spodnie, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Banda szpanerów ze złotymi pierścieniami, w przeważającej większości noszących białe ubrania w stylu safari, widziałem

ich białe buty i białe ćappale ustawione w niechlujnych rzędach przy drzwiach, w pobliżu umundurowanego strażnika. Gdzieś tam, w środku, znajdował się azyl Paritosza Śaha, strzeżony przez siwego, starego mućcara, który siedział na stołku uzbrojony w absurdalnie długą śrutówkę. Nosił niebieski mundur z żółtym galonem i miał przeogromne, zakręcone na końcach wąsy. Po dwudziestu minutach w towarzystwie przechodzących Śahów i smrodu uryny poczułem się nieco urażony, i z nieznanych mi powodów ta moja uraza skupiła się na pasie z amunicją, który staruszek miał przełożony przez pierś, na popękanej skórze tego pasa i na trzech cylindrycznych, czerwonych łuskach. Wyobrażałem sobie, jak wyciągam rewolwer i pakuję kulę w sam środek tego pasa amunicyjnego, tuż nad obwisłym brzuchem. Myśl była zupełnie absurdalna, ale spodobała mi się.

Po następnych dziesięciu minutach stwierdziłem, że mam dość. Albo teraz, albo pošlę mu kulę w pierś. Czułem pulsujący ból w głowie.

– Posłuchaj, mamu – odezwałem się do strażnika, który właśnie ogryzkiem ołówka badał swoje lewe ucho. – Powiedz Paritoszowi Śahowi, że przyszedłem tu ubić interes, a nie żeby tu stać i wachać jego latrynę.

– Co? – Ołówek opuścił ucho. – Co takiego?

– Powiedz Paritoszowi Śahowi, że sobie poszedłem. Poszedłem gdzie indziej. Jego strata.

– Zaczekaj, zaczekaj. – Staruszek odchylił się do tyłu i wetknął swoje wąsiska przez drzwi. – Badrija, posłuchaj, co ten facet mówi.

Pojawił się Badrija, dużo młodszy i bardzo wysoki kulturysta, który miał zapewne bezszelestnie stapać bosymi stopami. Stanął w drzwiach z rękami opuszczonymi i odsuniętymi od ciała, a ja byłem pewien, że z tyłu, pod czarną koszulą safari, ma broń zatknęta za pas.

– Jakies problemy?

Było to wyzwanie, niewątpliwie, a ten mężczyzna z kamienną twarzą należał do prawdziwych twardzieli, ale ja działałem pod wpływem szaleńczego impulsu, wyczerpany długim dniem i ogarnięty falą gniewu.

– Zgadza się, jest problem – odparłem. – Mam już dość czekania na tego waszego maderćoda Paritosza Śaha.

Staruszek najężył się i zaczął gramolić ze swojego stołka, ale Badrija powiedział spokojnie.

– Paritosz Śah jest człowiekiem zajęтым.

– Ja również.

– Naprawdę?

– Tak.

I na tym się skończyło. Ramiona strażnika drżały z przerażenia. Niezgrabnie trzymał karabin, uchwycony daleko od łoża, a że stał mocno przechylony, z jedną nogą opartą na poprzeczce stołka, miał trudności z utrzymaniem równowagi. Obserwowałem i jego, i Badriję. To było absurdalne, żeby znaleźć się tak blisko nagłej śmierci w tym brudnym korytarzu, z nozdrzami wypełnionymi smrodem, tak nierozsądne, żeby już prawie otrzymać pieniądze, ale jednak ich jeszcze nie otrzymać, jakże to niedorzeczne być Ganeśem Gaitondem, zawsze trzymającym się na uboczu biedakiem w tym mieście, to wszystko było pozbawione sensu, i chyba dlatego też wezbrało we mnie jakieś radosne podniecenie, jakaś beztroska i szalona odwaga. Tu i teraz. Oto jestem. I co mi zrobicie?

Badrija powoli uniósł lewą rękę.

– W porządku – powiedział. – Pójdę zobaczyć, czy jest już wolny.

Wzruszyłem ramionami.

– Okay – odparłem, ponieważ lubiłem to angielskie słowo, jedno z kilku angielskich słów, które wówczas znałem. – Okay, poczekam.

Przez kilka następnych minut uśmiechałem się do tego mućcahara, wprawiając go w coraz większe przerażenie, co widać było po trzęsących się na śrutówce dłoniach. Zanim Badrija wrócił, byłem pewien, że samym wzrokiem doprowadziłbym do ataku serca tego wiekowego żołnierza z jego wojskowymi wąsami. Ale miałem sprawę do załatwienia.

– Wejdz – rozkazał Badrija, zdjąłem więc buty i poszedłem za nim. Aneks prowadził w labirynt korytarzy, z identycznymi czarnymi drzwiami po obu stronach. – Podnieś ręce – powiedział Badrija. Skinąłem głową i, wciągnąwszy brzuch, uniosłem przód koszuli, a Badrija delikatnie wyjął mój rewolwer. Fachowo przerzucił nim w dłoni, patrząc wzdłuż lufy. W skupieniu podniósł ją do nosa. Miał wydatną klatkę piersiową i gruby kark.

– Niedawno z niego strzelano – stwierdził.

– Zgadza się – odparłem.

Badrija odwrócił rewolwer w dłoni i chociaż nie miałem pojęcia, jak tego dokonał, widziałem, że zrobił to bardzo zręcznie.

– Odwróć się – polecił Badrija. Błyskawicznie obmacał mnie z góry na dół, przebierając palcami pod pachami i po udach, jedynie na krótką chwilę zatrzymując się na sztabkach w kieszeniach. Wszystko zostało wykonane bardzo profesjonalnie, bez śladu wrogości, a ja nabrałem lepszego zdania o Paritoszu Śahu, który w swojej ekipie miał takich ludzi jak Badrija. – Ostatnie drzwi po lewej – rzucił siłacz z pożegnalnym klepnięciem.

Paritosz Śah leżał bokiem na białej gaddzie, wsparty na okrągłej poduszce. Pokój był prawie pusty, z gładkimi i błyszczącymi ścianami wyłożonymi brązową boazerią, z zawieszonym pod samym sufitem żyrandolem z mlecznego szkła. Klimatyzacja była nastawiona na tak niską temperaturę, że wchodząc tam, poczułem ból. Tuż obok gaddy stały rzędem trzy czarne aparaty telefoniczne. Paritosz Śah wyglądał na wyraźnie odprężonego i leniwie podniósł rękę, wskazując mi niski taboret.

– Usiądź – polecił.

Zająłem miejsce, czując obecność stojącego z tyłu po lewej Badriji i słysząc cichy trzask zamykanych czarnych drzwi.

– To ty jesteś tym chłopakiem – powiedział Paritosz Śah. Sam nie był dużo starszy ode mnie, może sześć czy siedem, najwyżej dziesięć lat, ale otaczała go aura ogromnej i jakiejś znużonej pewności siebie. – Imię? – zapytał, a ja zdałem sobie sprawę, że to jego zwiotczone ułożenie na miękkiej gaddzie, jego jedna noga zgięta pod spód i ten jego spokój, wszystko to ostrzega: nie próbuj mnie oszukać, chłopcze.

– Ganeś.

– Lekkomyślny z ciebie chłopak, Ganeśu. Ganeś, i jak dalej?

– Ganeś Gaitonde.

– Nie pochodzisz z Mumbaju. Skąd jesteś, Ganeśu Gaitonde?

– To nieistotne. – Odchyliłem się na taborecie i wyjąłem dwie sztabki. Położyłem jedną obok drugiej, na gaddzie Paritosza Śaha.

– Mógłbyś sprzedać je pierwszemu lepszemu jubilerowi z Marwaru. Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Zależy mi na dobrej cenie. I mogę przynieść więcej.

– Ile więcej?

– Dużo więcej. Jeśli za te uzyskam dobrą cenę.

Paritosz Śah podniósł się do pionu, jak dziecięca lalka z ciężarkiem na dole. Zauważyłem, że ręce i ramiona ma cienkie, ale za to ma okrągły brzusek, na którym teraz złożył ręce.

– Pięćdziesięciogramowe sztabki. Jeśli będą w porządku, za każdą dostaniesz siedem tysięcy rupii.

– Cena rynkowa za pięćdziesiąt gramów to piętnaście tysięcy.

– To cena rynkowa. Dlatego właśnie złoto jest przemycane.

– Mniej niż połowa to zdecydowanie za mało. Trzydzieście tysięcy.

– Dziesięć. Więcej nie mogę dać.

– Dwanaście.

– Jedenaście.

Skinałem głową.

– Stoi.

Paritosz Śah szepnął coś do jednego z czarnych telefonów, jednocześnie drugą, wolną ręką wyciągając srebrną szkatułkę, zawierającą pokryte srebrzystymi cętkami pan, supari i elaichi. Pokręciłem głową. Ja chciałem dostać pieniądze, pieniądze, na których mógłbym zacisnąć dłoń, chciałem mieć pieniądze w kieszeni, chciałem mieć gruby plik banknotów, tak gruby, żeby wystarczyło na srebrne szkatułki, miękką gaddę i czerwone narzuty, na gramofony i czyste łazienki, i na miłość, tyle szeleszczącego papieru, żeby wystarczyło na uzyskanie pewności siebie i bezpieczeństwa, i na życie. Czułem suchość w ustach. Mocno ścisnąłem złożone dłonie i nie zwalniałem tego uścisku przez cały czas, kiedy najpierw rozległo się delikatne pukanie w drzwi i kiedy potem drzwi zostały zamknięte, a Badrija postawił małą wagę i położył dwa stosy pieniędzy, jeden gruby, a drugi cienki.

– Tylko sprawdzimy – powiedział Paritosz Śah. Po kolei brał koniuszkami palców sztabki i układał na szalce, ważąc je precyzyjnymi, małymi odważnikami. – Dobrze. – Uśmiechnął się. – Bardzo dobrze. – Patrzył na mnie wyczekująco. Pieniądze leżały na gaddzie, ale ja powściągnąłem swoją wolę jak rozedrganą, stalową sprężynę i uspokoiłem się, nie dając po sobie poznać, że coś widzę, aż w końcu Paritosz Śah wyciągnął swoje smukłe palce i przesunął stosik o jakieś pięć centymetrów. Dopiero wtedy go wziąłem, ręką, która drżała tylko nieznacznie.

Wstałem. Cały pokój się zakołysał, w moje oczy wdarły się mleczone prostokąty białego światła i widziałem jedynie migoczący blask białego

bezkresnego nieba.

– Nie jesteś zbyt rozmowny – odezwał się Paritosz Śah.

– Następnym razem będę rozmowniejszy. – Badrija otworzył już drzwi, za którymi ciągnął się bardzo długi korytarz, i w końcu wyszedłem z pieniędzmi w kieszeni i już prawie bez zawrotów głowy. Swobodnie schyliłem się, żeby założyć buty, a kiedy się podniosłem, w lewej dłoni trzymałem cienki zwitek trzydziestu dziewięciu rupii. Wsadziłem je za pas amunicyjny starego strażnika, wcisnąłem je głęboko, przy okazji przecierając skórę tego pasa. – Masz, mamu – powiedziałem. – A jak przyjdę tu ponownie, nie każ mi czekać na zewnątrz.

Mężczyzna zaczął się jąkać, a Badrija wybuchnął gromkim śmiechem. Podał mi rewolwer i uniósł brew.

– Zatrzymałeś jedną sztabkę.

Szybkim ruchem ręki sprawdziłem komory, tak fachowo, jak tylko potrafiłem.

– Ta nie jest na sprzedaż – odparłem.

– Dlaczego?

Schowałem rewolwer i uniosłem dłoń w geście pożegnania.

– Nie wszystko jest na sprzedaż. – Znalazłem się już na ulicy, ale nadal miałem się na baczności. Zatrzymałem się przed sklepem Bata i w szybie wystawowej sprawdziłem, czy ktoś się gdzieś nie czai. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś mnie będzie śledził, że Paritosz Śah szybko przekalkulował i wysłał kogoś, na przykład Badriję, żeby za mną poszedł i dowiedział się, gdzie można znaleźć dużo złota. To byłoby zupełnie logiczne. Ale w szybie nie pojawiły się żadne postacie prześladowców, ruszyłem więc dalej powoli, często zatrzymując się za węglami domów i przyglądając się twarzom przechodniów. Byłem czujny, ale jednocześnie odprężony, pierwszy raz w życiu czułem się na tych miejskich uliczkach jak

u siebie, jak panisko patrzyłem z litością na piękne, malutkie bungalowy, które teraz mijalem, oświetlone łagodnym wieczornym światłem, na szczęśliwe, bogate dzieci biegające tam i z powrotem. Nic nie było mi już tu obce. Przez cały czas bardzo się jednak starałem nie wpaść w samozadowolenie, trzymać w pogotowiu ostrze nieufności wobec tej euforii po udanej transakcji, tego podniecenia wywołanego przeskokiem, który dokonał się dzięki jednemu rzutowi kostką, toczącą się gładko do nieuniknionego zwycięstwa. Zachowaj czujność. Uważaj, uważaj. Wypadły dobre numery, ale plansza się porusza. To, co teraz jest białe, będzie czarne. Wspinaj się wysoko i szybko, bo długie węże nie śpią. Weź udział w tej grze.

Stałem przed świątynią. Rozejrzałem się w lewo i w prawo, zupełnie nie wiedząc, jak się tu znalazłem. Po jednej stronie ulicy widać było budynki mieszkalne, po drugiej jakieś niższe zabudowania, spadziste, pokryte dachówką domy włókniarzy, spedytorów, listonoszy. Świątynia stała na rogu i prawdopodobnie właśnie rozbrzmiewające bicie dzwonów ściągnęło mnie w to miejsce, na ten dziedziniec, pod wysoki, szafranowy szczyt jej dachu. Oparłem się o słup i jeszcze raz rozejrzałem się, czy nikt za mną nie podąża, czy nie widać jakiegoś groźnego cienia wśród riks i ambassadorów. Jeśli gdzieś tam się czaili, cuchnąc niegodziwością i chciwością, równie dobrze mogłem przeczekać w świątyni, jak w każdym innym miejscu. Świątynie nie były mi potrzebne, gardziłem kadzidłem, pokrzepiającymi kłamstwami i pobożnością, nie wierzyłem w żadnych bogów ani boginie, ale tu było schronienie. Zdjąłem buty i wszedłem do środka. Wierni siedzieli po turecku na gładkiej posadzce, stłoczeni na całej długości pomieszczenia. Ascetycznie białe ściany oświetlone były jarzeniówkami, ciemne głowy kołysały się w morzu jaskrawych sari, fioletowych, błyszcząco zielonych, błękitnych i ciemnoczerwonych,



ciągnącym się aż do pomarańczowej figury lecącego Hanumana, z gracją trzymającego nad głową górę. Znalazłem miejsce pod tylną ścianą i tam spocząłem, z nogami podwiniętymi pod siebie, natychmiast się odprężając. Na podium przed Hanumanem usiadł mężczyzna w szafranowych szatach, a ja czułem, z jaką łatwością i siłą wpływa do mojej głowy jego nauka, ta stara opowieść o Wahnie i jego bracie Sugriwie, o konflikcie, wyzwaniu, pojedynku, o bogu przyczajonym pośród drzew. Dobrze znałem wszystkie zawłościami opowieści i tylko kiwałem głową, w miarę jak rozwijała się ta prastara akcja, jak toczył się rytm wykładu. Kiedy kapłan z wyciągniętymi rękami recytował dwuwiersze, wierni wtórowali mu, a głosy kobiet wznosiły się wysoko pod strop pomieszczenia. Nadleciała strzała i Walin padł trafiony, zwijając się na ziemi i piętami szorując po poszyciu leśnym, a ja podniosłem kolana, oparłem na nich głowę i czułem się bardzo dobrze.

Obudziłem się, kiedy potrząsnął mną kapłan w szafranowych szatach.

– Beta – powiedział – czas do domu. – Miał siwe włosy i szelmowską twarz. – Pora zamykać. Hanuman–dzi musi iść spać.

Mocno roztarłem ból w karku.

– Tak. Pójdę sobie. – Wszyscy już wyszli.

– Hanuman–dzi to rozumie. Byłeś zmęczony. Długo pracowałeś. On wszystko widzi.

– Jasne – odparłem. Jakież nieprawdopodobne historie opowiadają sobie starzy i słabi, pomyślałem. Wyprostowałem nogi, wstałem i potykając się, ruszyłem w kierunku stojącej przed Hanumanem zamkniętej skrzynki na datki. Wyciągając banknot pięćsetrupiowy z cieńszego zwitku, przypomniałem sobie, że kiedy Paritosz Śah wręczał mi pieniądze, nie przeliczyłem ich. Zachowałem się jak zupełny amator, nigdy nie wolno mi tego powtórzyć.

Wsunąłem pieniądze do otworu i zobaczyłem, że po prawej czeka na mnie kapłan z thali pełną prasad. Nastawiłem prawą rękę i wyszedłem ze świątyni, jedząc ten mały, cukrowy peda. Z ustami zalewanymi nadmiarem śliny, czułem się wypoczęty, a życie było bardzo słodkie.

Teraz nie było już tłumów, w których mogliby się ukryć zabójcy, i kiedy szedłem szybko drogą, głośno chrzęszcząc butami, czułem się bezpiecznie. Latarnie uliczne oświetlały długi odcinek drogi, nie pozostawiały żadnych ciemnych plam, a ja byłem zupełnie sam. Skinąłem na riksę i trzy zakręty i pięć minut później znalazłem się na stacji. Zapłaciłem rikszarzowi i już dochodziłem do okienka kasy, kiedy jakiś mężczyzna, oparty o żelazne ogrodzenie, podniósł brodę, pytając: „Czego byś sobie życzył?”. Nie zatrzymałem się, ale zbyt długo na niego patrzyłem, i teraz szedł obok mnie, szepcząc znaczącym i wesołym tonem naganiacza:

– Czego potrzebujesz, szefie? Chciałbyś się zabawić, han? Charas, calmpose, mam wszystko. Potrzebujesz kobiety? Spójrz na tamto auto. Wszystko na ciebie czeka.

Po drugiej stronie ulicy stał samochód, ukosem do ściany zamkniętego sklepu. Opierał się o nie kierowca, a ja dostrzegłem żarzący się biri i wiedziałem, że ten mężczyzna patrzy prosto na mnie. Biri drgnął, a kierowca zapukał w tylną szybę samochodu. W środku poruszyła się jakaś postać i po lewej stronie wychynęła w światło latarni kobieca głowa. Widziałem tylko czarny blask jej włosów i intensywny żółty kolor sari, ale to mi wystarczyło, żeby zorientować się, jakiego to rodzaju wypacykowaną randi sprzedawał z samochodu ten ćut na stacji. Roześmiałem się i zapłaciłem za bilet.

Alfons mnie jednak nie odstępował.

– Dobra, szefie – szeptał poufale w drodze do wejścia na peron. – Nie doceniłem cię, saab. Ty chcesz czegoś lepszego. Masz wyrafinowany gust,

pomyliłem się. Po prostu wyglądasz trochę, no wiesz... Ale mam dziewczynę dla ciebie, szefie. – Cmoknął w palce. – Jej mąż pracował w banku, był wielkim sahibem, biedaczysko, a potem miał wypadek. Jest teraz zupełnym kaleką. Nie może pracować. To ona musi zarabiać na rodzinę, cóż począć? Bardzo luksusowa. Tylko dla wybranych dżentelmenów, w jej własnym mieszkaniu. Mogę cię tam od razu zabrać. Sam zobaczysz, szefie, jaka z niej wytworna ćiz. Wykształcona w szkole prowadzonej przez zakonnice.

Zatrzymałem się.

– Czy ma jasną karnację?

– Jak Hema Malini, bhiru. Jak tylko dotkniesz jej skóry, przejdzie cię prąd. Jest jak świeża malai.

– Ile?

– Pięć tysięcy.

– Nie jestem turystą. Tysiąc.

– Dwa tysiące. Nic nie mów. Jak zobaczysz tę dziewczynę i uznasz, że nie jest warta tych pieniędzy, dasz mi tyle, ile będziesz chciał, a ja odejdę cichutko, bez słowa. Uwierz mi, gdybyś zobaczył ją przed bankiem jej męża, nigdy byś nie pomyślał, że ona może coś takiego robić, biedna kobieta. Wygląda jak jakaś ptaak memsaab.

– Jak masz na imię?

– Radża.

Włożyłem bilet do tylnej kieszeni.

– Zgoda, Radża – powiedziałem. – Tylko mnie nie rozzłość.

Zachichotał.

– Nie, saab, nie. Chodźmy.

Miała jasną karnację, to prawda. Otworzyła drzwi i nawet w niewyraźnym, docierającym z windy świetle zauważyłem, że ma jasną

skórę, nie tak bladą jak Hema Malini, ale jasną, jak pszenica po południu. Siedziała na brązowej sofie, kiedy Radża przeliczył swoje dwa tysiące i, skłoniwszy się, wyszedł. Miała na sobie matowe, zielone sari ze złotymi obszyciami, okrągłe złote kolczyki i siedziała bardzo przyzwoicie, opanowana, ramiona trzymając wysoko, a ręce złożone na kolanach.

– Jak masz na imię? – zapytałem.

– Sima – odparła, nie patrząc mi w oczy.

– Sima. – Przeprowadziłem z nogi na nogę przy drzwiach, nie bardzo wiedząc, co mam teraz zrobić. Byłem już odpowiednio doświadczony, ale w zupełnie innych warunkach, i widok lśniącego, szklanego stolika udekorowanego wazonem z kwiatami, obrazu na ścianie, na którym widać było jedynie rozbryzgane plamy kolorów, krótki, brązowy dywan, wszystko to sprawiło, że nie mogłem ruszyć się z miejsca. Ale ona wstała i poszła w głąb mieszkania, a ja mężnie ruszyłem za nią, oglądając wszystko, połączyć jej bluzki rozciągniętej na zapadniętej rzece jej kręgosłupa i biały aparat telefoniczny we wnęce ściennej korytarza. Włączyła lampę w sypialni, a kiedy odrzuciła narzutę, poczułem się niepewnie: to wszystko było zbyt profesjonalne. Już wcześniej widziałem tak samo składaną pościel tak sam ręcznik.

– Poczekaj – powiedziałem i wróciłem do przedpokoju. Łazienka była czysta i z pewną satysfakcją długo sikałem do wykonanego w stylu zachodnim sedesu. W tym momencie zauważyłem, że obok kranu nie ma mydła, nie ma też żadnego wiaderka. Zapiąłem rozporek. Szafki w kuchni były puste, nie znalazłem tam żadnego talerza, garnka, nawet gazu czy kuchenki, tylko obok zlewu dwie szklanki suszące się do góry dnem. Teraz już byłem pewien, że zostałem wystrychnięty na dudka. W tym mieszkaniu nikt nie mieszkał, ani saab z banku, ani jego porządna żona, nie było żadnego kaleki ani memsaab, tylko wystrojona i upudrowana dziewczyna.

Leżała na łóżku naga, jedynie w kolczykach, z rękami skrzyżowanymi na drobnych piersiach i z brzuchem unoszącym się i opadającym w wąłym cieniu kości biodrowej, z jedną stopą założoną na drugą. Stałem nad nią, głośno oddychając przez usta.

– Mów po angielsku – powiedziałem.

– Co?

W jej oczach widać było autentyczne zaskoczenie, a mnie to jeszcze bardziej rozzłościło.

– Powiedziałem ci. Mów po angielsku.

Miała spiczasty nosek i mały, cofnięty podbródek, i jeszcze przez chwilę wyglądała na zdumioną, a potem lekko roześmiała się, gorzko rozbawiona.

– Mam mówić? – zapytała. Potem przeszła na angielski, a jej słowa grzechotały po mojej głowie, wiedziałem, że są naprawdę angielskie, czułem to po trzaskających spółgłoskach. – Bas? – zapytała.

– Nie – odparłem. Miałem erekcję, czułem drżenie w lędźwiach. – Nie przestawaj. – Mówiła po angielsku, podczas gdy ja zrzucałem ubranie. Odwróciłem się, żeby zdjąć spodnie i ukryć przed nią rewolwer. Kiedy znowu na nią spojrzałem, patrzyła w sufit i mówiła po angielsku. Rozsunąłem jej stopy. – Nie przestawaj – powtórzyłem. Poruszałem biodrami i wdzierałem się w nią, a ona odwróciła twarz na bok i dalej mówiła. Podniosłem się i ujrzałem skórę na jej karku, piaskową w świetle lampy, i słyszałem, jak ona mówi. Nie rozumiałem ani słowa, ale ten dźwięk budził w mojej głowie jakieś wściekłe podniecenie. A potem poczułem, jak gdzieś, daleko w dole, coś się przelewa, i znieruchomiałem.

Byłem bardzo zmęczony, Sardardzi. Szedłem pochylony do przodu. Wracałem po swoje złoto. Szedłem siłą rozpędu, prawie upadając przy każdym kroku, ale mój strach wzmagał się za każdym razem, kiedy uginały

się pode mną wyczerpane kolana. Byłem już blisko złota, rozpoznawałem kolejne skrzyżowania dróg, kształty pojedynczych budynków i ukrytych w cieniu drzew. Noc, choć bezksiężycowa, była jasna, i na otwartym terenie wyraźnie widziałem czerń leżącej przede mną drogi i biel kamienia milowego. Złota nie było, ktoś je zabrał, czułem w piersiach ziejącą dziurę. Nie było go, zniknęło z mojego życia. Powinienem się poddać. Z łatwością znalazłbym sobie kawałek trawy przy drodze, mogłem się tam położyć i zasnąć. Przestań. Idź dalej, Ganeśu Gaitonde. Dziś wygrałeś wszystkie rozgrywki. Wygraj ponownie. Przecież dokładnie wiesz, gdzie jesteś.

Bez problemu precyzyjnie określiłem właściwy odcinek ogrodzenia. Policzyłem słupki, rozejrzałem się w jedną i drugą stronę i przeturlałem się pod drutem. Kiedy znalazłem się pod drzewami, otoczyły mnie piekielne ciemności i się zgubiłem. Z ręką wyciągniętą do przodu spieszenie pokonywałem przestrzeń. Nie wiedziałem, jaką odległość przebyłem, ale czułem i sięgnąłem, i zatrzymałem się w odpowiednim momencie, i skręciłem w prawo. Jeszcze krok i znalazłem to drzewo. Przesunąłem dłoń w dół pnia, ale ziemia pod spodem była płaska. Obszedłem cały pień, macając wokół obiema rękami. Po dwóch, może trzech okrążeniach oparłem się o niego ramieniem i wydałem przeciągły jęk zawodu. Ganeśu Gaitonde, Ganeśu Gaitonde. Po omacku ruszyłem do następnego drzewa, aż zatrzymałem się, kiedy otarłem sobie o nie głowę. Dookoła, dookoła. A potem do następnego. Mój płacz przeszedł już w wycie, w przeciągłe zawodzenie, unoszące się w ciemnościach pod sklepieniem liści. Ani się nie wzmagał, ani nie milkł. Nagle ucichłem, ponieważ obie moje dłonie wyczuły jakieś zgrubienie. Wzgórek wznosił się na powierzchni ziemi, wypełniając obie moje dłonie. Delikatnie wymacałem jego kształt, z jednej strony wznoszący się w stronę drzewa, i z drugiej, aż do samego końca pochyłości. Jęknąłem i wbiłem w niego obie dłonie. Jak oszalały zacząłem

w nim ryć i z radością powitałem ból w palcach. Najpierw wyczułem materiał, a następnie cudownie znajomy prostokątny kształt. Sięgnąłem rozdygotaną ręką i nagle wszystko znalazło się przede mną. Całe, nienaruszone i moje. Z rękami po łokcie zanurzonymi w ziemi opuściłem głowę i chłonałem zapach trawy, moich pach i mojego ciała, i wiedziałem, że świat należy do mnie. Z nastaniem świtu zwinąłem się wokół tego wzgórka w kłębek i zasnąłem z rewolwerem pod piersią.

## Zmierzając do domu



Sartadża obudził reporter, który chciał poznać jego zdanie na temat wykorzystywania polityków przez Ganeśa Gaitondego, na temat korupcji w systemie prawnym i ostatnich skandali w policji. Sartadź uciął potok pytań krótkim: „Bez komentarza” i rzucił słuchawką. Odwrócił się na drugi bok, wcisnął twarz w poduszkę, ale przez powieki już sączyło się światło, a umysł zaczął pracować. Sartadź westchnął i wstał z łóżka. Zdążył zauważyć, że wcale nie jest łatwo cieszyć się trzydniową sławą drugorzędnego gwiazdora. Z półotwartymi oczami obszedł łóżko dookoła, wspominając, jak to Gaitonde uwielbiał udzielać wywiadów. Ten sukinsyn lubił mówić, pomyślał Sartadź i otworzył drzwi do łazienki.

Na śniadanie zjadł trzy tosty z masłem i rozmoczoną pomarańczą, popijając zbyt długo stojącym na palniku ćajem. W „Indian Express” Gaitonde był niusem z pierwszej strony, pozując dumnie na szczycie góry, a że zajmująca trzy kolumny relacja była bardzo wnikliwa, Sartadź przeczytał ją od deski do deski, niespodziewany sukces, wielka władza, misterne intrygi, egzekucje, zasadzki, cała ta gra. Wymieniono, oczywiście, nazwisko Sartadża Singha jako nieustraszonego dowódcy oddziału policyjnego, ale nie pojawiła się żadna wzmianka o martwej kobiecie, ani słowa. Świat się dowiedział, że Gaitonde zmarł samotnie.

Zadzwoił telefon. Sartadź nie odebrał, a przenikliwe brzęczenie rozchodziło się po jego karku. Czuł, że to jakiś dziennikarz, ale w końcu poddał się i podniósł słuchawkę.

– Inspektor Singh?



Był to osobisty asystent Parulkara, Sardesai. Mówił swoim charakterystycznym, bardzo nosowym półszepcem.

– Sahib Sardesai – odezwał się Sartadź. – Wszystko w porządku? – Zazwyczaj rozmowy z biura Parulkara łączyła centrala zlokalizowana poza jego gabinetem.

Sardesai dzwonił tylko w wypadku spraw pilnych i poufnych albo gdy w grę wchodziły jakieś machlojki wydziałowe.

– Tak, nic się nie dzieje. Ale sahib Parulkar chciałby, żebyś jak najszybciej stawił się w jego biurze.

– Teraz?

– Teraz.

Wiadomo było, że Sardesai już nic więcej przez telefon nie powie. Nawet w kontaktach osobistych słynął z tajemniczości, jak przystało zresztą na osobistego asystenta. Sartadź odłożył słuchawkę i pospieszył pod prysznic. Od dawna znał Parulkara i wiedział, że ten nie wzywałby podwładnego z domu bez ważnego powodu. Inni oficerowie tak robili, traktując osoby niższe rangą jak służących. Ale Parulkar nie był arogancki, tylko dumny z pracy, którą wykonywali jego ludzie. Dlatego właśnie odnosił sukcesy. I dlatego na jego wezwanie Sartadź bezzwłocznie przygotował się do wyjścia.

Synowie Katekara pochylali się nad ojcem. Otworzył oczy, a oni, rozchichotani, klęczeli tuż przy ćatai i ciągnęli go za palce u nóg. Obaj mieli na sobie wyprasowane szare, krótkie spodnie, białe koszule i krawaty w niebiesko–czerwone paski. Obaj mieli po lewej stronie głowy identyczne, ostre jak brzytwa, idealnie proste przedziałki.

– Gdzie wasza matka? – wymamrotał Katekar. Usta wypełniał mu smak żrącej i nieprzyjemnej pozostałości po cebuli.

– Poszła na rynek warzywny – odparł Rohit.

– Za pięć minut gotowi na zewnątrz.

Uciekli, kiedy on warknął groźnie i zaczął się podnosić, udając, że zaraz się na nich rzuci. W kuchni spryskał wodą twarz i ramiona. Czekali na niego na dworze, plecami oparci o ścianę, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami założonymi do tyłu. Stanęli na baczność, a Katekar skontrolował ich buty, koszule, a także książki w niebieskich tornistrach. Obrzęd zakończył się wręczeniem każdemu po dziesięć rupii. Katekar zwolnił ich z przeglądu i chłopcy ruszyli uliczką, a on za nimi. Mohit cieszył się z kieszonkowego, ale Rohit zaczął je już traktować jako ledwie dziesięć rupii i pragnął tych wszystkich rzeczy na świecie, których za dziesięć rupii kupić nie można. Jakiś jadący na skuterze człowiek wolno pokonywał zakręt i bracia rozstąpili się, żeby go przepuścić. W porannym słońcu Katekar dostrzegł złoty puszek na policzku Mohita i szybko odwrócił wzrok, obawiając się przyszłości, kładącej się ogromnym ciężarem na jego sercu.

– Tato?

– Szybko, szybko – powiedział. – Bo spóźnimy się na autobus.

Kiedy już im pomachał i popatrzył, jak ich autobus linii 180 wciska się w gęstniejący ruch uliczny, kupił egzemplarz „Loksatta”, złożył go i wsunął pod ramię. Czytał, stojąc w kolejce do toalety publicznej i trzymając między stopami wypełnioną wodą puszkę po oleju Dalda. Wybuch bomby w Izraelu, cztery ofiary śmiertelne. Wymiana ognia na linii kontrolnej w Kaszmirze, napięta sytuacja w Srinagarze. W Ghatkopardze oszustka wyłudzała biżuterię od gospodyń domowych. Przywódcy Partii Kongresowej zaprzeczają pogłoskom o sporach wewnętrznych. Na pierwszej stronie znajdowała się historia o Gaitondem, o jego długiej historii wymykania się prawu i balansowania na krawędzi życia i śmierci. Reporter stawiał pytanie, dlaczego Gaitonde się zabił, ale nie potrafił

sformułować żadnej sensownej teorii. Ludzie wokół Katekara plotkowali i śmiali się, ale wszyscy wiedzieli, że nie należy przeszkadzać mu w czytaniu. W miarę jak kolejka przesuwała się do przodu, popychał swoją puszkę z wodą, nie odrywając wzroku od wiadomości.

Kiedy już wyszedł z toalety, spokojny i odprężony minął rząd mężczyzn. Wylewnie witał się ze wszystkimi po kolei, ale nie zatrzymywał się, żeby poplotkować. Zdecydowanym krokiem zmierzał do domu i dotarł tam dokładnie na czas. Właśnie kiedy wychodził zza rogu, Śalini otwierała wielką stalową kłódkę. Katekar zamknął za sobą drzwi i opuścił zasuwę. Zdjął kurtę i powiesił ją na ostatnim haczyku po lewej, tam gdzie zawsze.

– Wody wystarczy na twoją kąpiel – powiedziała Śalini z kuchni. Podała mu zielony ręcznik, ale kiedy odwróciła się w stronę kuchni, on dotknął jej karku, dokładnie w miejscu, w którym łukiem przechodził w ramiona. Zadrżała i zachichotała. – Przestań – rzuciła, ale kiedy położył się na swoim ćatai, skuliła się na nim, mocno się do niego przyciskając. Przesunął jej dzwoniącą bransoletami rękę na swoje podbrzusze. Głowę miała mocno wtuloną w jego piersi. Nawet po tych wszystkich wspólnie spędzonych latach, w takim momencie nie potrafiła patrzeć na niego, wiedział, że nie pozwoliłaby mu odwrócić swojej twarzy w jego stronę, jeszcze nie teraz. Powoli wypuszczał powietrze, a dobiegający spomiędzy ich ciał szklisty brzęk przyspieszał, przechodząc w lekkie dzwonienie. Śalini przesunęła się, szybkim ruchem podciągnęła sari, i przywarli do siebie, poszukując się nawzajem, aż w końcu ona go znalazła. Położył dłonie na jej biodrach i zamknął oczy.

A potem poczuł jej usta, drobne, ciepłe i zwinne, przywierające do linii jego podbródka.

Śalini wyprawiła go z garścią prasad ze świątyni Dewi Padmatawi. Katekarowi szczególnie smakowały delikatne kawałki kokosa. Religia to sprawa kobiet, a także przekleństwo narodu, ale mleczny miąższ kokosa był zmysłowym prezentem, i po drodze Katekar czuł dreszcz przenikający jego ramiona.

Uliczka była wąska, w niektórych miejscach tak wąska, że gdyby Katekar wyciągnął ręce, mógłby dotknąć ścian budynków po przeciwnych stronach. Większość drzwi otwarto, żeby wpuścić świeże powietrze do mieszkań. Jakaś babcia siedziała na schodku przed swoim domem, trzymając na kolanach nagusieńkiego wnuka o ciemno natłuszczonej skórze, i śmiała się do jego uśmiechniętych, bezzębnych, różanych ust. Katekar skręcił za rogiem, obok małego sklepu, w którym sprzedawano papierosy, szampony, pan i baterie, a potem odsunął się na bok, żeby przepuścić rząd młodych kobiet, które zgrabnie przekraczały rynną rynsztoka, upudrowane i ubrane w stosowne do sklepu i biura śalwar-kamiz. Katekar śledził szelest czerwono-żółtej tkaniny. Jedną stopę oparł na biegnącej u dołu ścianie pięciocentymetrowej rurze. W zeszłym roku komitet mohalli zebrał fundusze na położenie tego odgałęzienia wodociągu, ale warunkiem jego działania było odpowiednie ciśnienie w miejskiej magistrali, leżącej w pobliżu głównej drogi. Teraz zbierali pieniądze na pompę.

Na Maganchand Road thelawalowie ułożyli już wysokie stosy owoców, a sprzedawcy ryb wykładali na stołach bangdy, bombile i paplety. Stłoczone auta powoli poruszały się w gęstwinie godzin szczytu. Dotarwszy na przystanek autobusowy, Katekar stanął na samym skraju luźnej grupki. Rozłożył gazetę i czytał wstępniak, traktujący o upadku państwa obywatelskiego w Pakistanie. Nadszedł piętus, a Katekar zaczekał, aż tłum przecisnie się do przodu. W końcu konduktor uciął tę nieustającą

przepychankę i dał sygnał dzwonkiem. Kiedy autobus już ruszał, Katekar uniósł rękę, a konduktor zrobił mu miejsce na stopniu, energicznie i z szacunkiem kiwnąwszy mu głową. Katekar jeździł tym autobusem od ośmiu lat, od czasu kiedy kupił tu kholi, i wszyscy obsługujący tę linię konduktorzy wiedzieli, że jest policjantem. Dzisiejszy konduktor, o imieniu Pawle, zostawił Katekara i udał się na tył pojazdu, stukając kasownikiem przy kolejnych pasażerach, a potem, przepychając się, wrócił na przód. Katekar wsłuchiwał się w dźwięk spadających monet. Mieszkańcy lubili narzekać na okropieństwo porannego tłoku, narastające z roku na rok, ale Katekar uwielbiał ten ogromny zgiełk przemieszczających się milionów, te pędzące podmiejskie pociągi oblepione wylewającymi się przez drzwi ciałami, donośny tupot i gwar tłumu w wysokiej hali dworca Churchgate. Dzięki temu czuł, że żyje. Od niecierpliwego ryku klaksonów drżały mu przedramiona. Wychylił się z autobusu, całym ciężarem wisząc na metalowej poręczy. Przez ulicę przebiegała grupka studentek. Lawirowały między samochodami i ze śmiechem nawoływały się nawzajem. Katekar postukał palcami po boku autobusu i śpiewał pod nosem: „*Latpat lat pat tudzha calana mothia nakhrijača...<sup>4</sup>*”.

**W** gabinecie Parulkara czekała jakaś kobieta. Oprócz niej był tam jeszcze ten gość CBI, Makand, który przejął bunkier Gaitondego, a teraz siedział przed biurkiem Parulkara, świecąc głową gładką jak szara stal. Sartadź spokojnie prężył się w postawie na baczność, aż Parulkar poprosił go, żeby usiadł.

– Potrzebuję twojej pomocy, Sartadżu – odezwał się Parulkar – w sprawie Gaitondego.

– Tak, panie komendancie – odparł Sartadź, trzymając się prosto na krześle.

– Sami ci wytłumaczą, czego im trzeba.

Sartadź skinął głową.

– Tak jest. – Poruszył się na krześle i odwrócił w stronę Makanda, pochylając się do przodu w geście, który, jego zdaniem, miał oddawać stosowną uwagę i zaangażowanie. Ale to kobieta się odezwała.

– Chcielibyśmy porozmawiać o śmierci Gaitondego. – Głos miała oschły i mocny. Nic nie uszło jej uwagi, zauważyła tę jego odruchową arogancję.

– Tak – odparł Sartadź. – Tak, hm, proszę pani.

– To pani Mathur, zastępca komendanta policji – odezwał się Parulkar. – DCP Andźali Mathur. To ona prowadzi śledztwo. – Sartadź widział, że Parulkara bawi i ona, i on, i oni, i figle, które człowiekowi płata ten współczesny świat.

Andźali Mathur skinęła głową i nie patrząc na Parulkara, podjęła temat:

– To do pana zadzwoniono wczoraj z informacją, gdzie można znaleźć Gaitondego?

– Tak, pani komendant.

– Dlaczego właśnie do pana, inspektorze?

– Proszę?

– Jak pan sądzi, dlaczego właśnie do pana zadzwoniono?

– Nie mam pojęcia, pani komendant.

– Czy znał pan wcześniej Gaitondego?

– Nie, pani komendant.

– Nigdy go pan nie spotkał?

– Nie, pani komendant.

– Czy rozpoznał pan głos w telefonie?

– Nie, pani komendant.

– Długo pan z nim rozmawiał, zanim weszliście do domu.

– Czekaliśmy na spychacz.

– O czym rozmawialiście?

– To on mówił, pani komendant. Opowiadał długą historię o początkach swojej kariery.

– Tak, swojej kariery. Czytałam pana raport. Czy powiedział, dlaczego znalazł się w Mumbaju?

– Nie.

– Jest pan tego pewien?

– Tak, pani komendant.

– Czy powiedział cokolwiek o swoich zamiarach, coś o tym domu? Czy mówił o czymś jeszcze?

– Nie, pani komendant. Jestem tego pewien.

Zastępca komendanta policji Andźali Mathur była zainteresowana postacią Gaitondego i pragnęła szczegółów, ale Sartadź nie miał jej nic do przekazania. Patrzył na nią beznamiętnie i czekał.

– A ta martwa kobieta? – zapytała w końcu. – Znał ją pan?

– Nie, pani komendant. Nie mam pojęcia, kim była. Napisałem to w raporcie. Nieznana kobieta.

– Czy ma pan jakieś podejrzenia?

Katekar twierdził, że była to jakaś randi ze świata filmi, ale te wnioski wpływały tylko z charakterystycznego ubrania martwej kobiety. Podobne stroje Sartadź widywał jednak w bardzo drogich klubach w mieście. Nie miał podstaw przypuszczać, że ta kobieta była dziwką.

– Nie mam, pani komendant.

– Jest pan pewien?

– Tak. – Zdecydowanie była sceptyczna, niespiesznie kształtowała ocenę jego osoby, a on spokojnie znosił jej badawcze spojrzenie. W końcu zauważył, że podjęła decyzję.

– Inspektorze, będę musiała prosić pana o wykonanie dla nas pewnej pracy. Ale przede wszystkim powinien pan wiedzieć, że nie jesteśmy z CBI. Jesteśmy z RAW. Proszę jednak zachować tę informację dla siebie. Nikt inny nie powinien się o tym dowiedzieć. Jasne?

Wcale nie było jasne, dlaczego to właśnie RAW, słynny Wydział Badań i Analiz – z całą swoją aurą tajemniczości i egzotyczną reputacją – miałyby się znaleźć tu, w biurze Parulkara. Ganeś Gaitonde był wielkim przestępcą, więc nic dziwnego, że centralne biuro śledcze prowadzi dochodzenie w jego sprawie, to trzyma się kupy. Ale RAW miało podobno zajmować się walką z zewnętrznymi wrogami państwa poza terenem Indii. Co więc robili tutaj, pytając o Kailaspadę? A ta Andźali Mathur wcale nie przypominała międzynarodowego tajnego agenta. Ale może właśnie o to chodziło. Miała owalną twarz i gładką, jasną skórę. W jej włosach nie było sinduru, ale kobiety już nie obnosiły się tak otwarcie ze swoim szczęśliwym stanem małżeńskim, Megha nigdy tego nie robiła. Sartadź poczuł, że ogarnia go jakiś niepokój, jakby brodził w wodzie, która szybko wciąga go w odmęty, jakby znalazł się w wirze jakichś nieznanych prądów, postanowił więc zastosować zasadę Parulkara grzecznej uniżoności wobec przedstawicieli sarkam.

– Tak, pani komendant – powiedział. – Całkowicie jasne.

– To dobrze – odrzekła. – W takim razie niech się pan tego dowie. Proszę się dowiedzieć, kim była ta kobieta.

– Tak jest.

– Dysponując lokalnymi kontaktami i wiedzą, łatwiej będzie panu zdobyć te informacje. Ale nasze zainteresowanie tą sprawą powinno być utrzymywane w najgłębszej tajemnicy. Chcielibyśmy, aby pan nad tym dla nas pracował, pan i ten policjant, Katekar. Tylko wy dwaj. I tylko wy dwaj wiecie o tym zadaniu. Nikt więcej w komisariacie nie może o tym wiedzieć.



W grę wchodzi sprawy bezpieczeństwa najwyższej rangi. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest.

– Prowadząc dochodzenie, proszę zachować jak największą dyskrecję. Po pierwsze, należy dowiedzieć się, kim była ta kobieta, co łączyło ją z Gaitondem, co robiła w jego domu. Po drugie, musimy dowiedzieć się, po co Gaitonde przyjechał w Mumbaju, od jak dawna tu był, co podczas tego pobytu robił.

– Tak jest, pani komendant.

– Proszę znaleźć wszystkie osoby, które mogły z nim pracować. Ale proszę działać dyskretnie. Nie możemy pozwolić, żeby zrobił się szum wokół tej sprawy. Proszę trzymać to w tajemnicy, niezależnie od podejmowanych działań. Ponieważ to pan znalazł Gaitondego, nikogo nie będzie dziwić, że pan się nim interesuje. Jeśli więc ktoś będzie pana wypytywał, proszę odpowiedzieć, że wyjaśnia pan pewne szczegóły. Jasne?

– Tak, pani komendant.

Przesunęła po blacie stołu grubą kopertę. Zwyczajną, białą, z numerem telefonu wypisanym na środku czarnym tuszem.

– Podlega pan mnie i tylko mnie. W tej kopercie znajdzie pan kopie zdjęć z albumu, który znajdował się w biurku Gaitondego. A także zdjęcia tej martwej kobiety. Ponadto są tam klucze znalezione w kieszeni denatki. Jeden wygląda jak klucz do domu, a drugi do samochodu, do maruti. Jest jeszcze trzeci, ale nie mam pojęcia, do czego. – Klucze były spięte stalowym kółkiem.

– Tak jest, pani komendant.

– Jakież wątpliwości? Pytania?

– Nie, pani komendant.

– Jeśli będzie pan miał jakieś pytania czy też informacje do przekazania, proszę dzwonić pod numer zapisany na kopercie. Sahib Parulkar poinformował mnie, że należy pan do jego najbardziej zaufanych ludzi. Jestem pewna, że uda się panu coś znaleźć.

– To bardzo łaskawe ze strony sahiba Parulkara. Zrobię, co w mojej mocy.

– Śabaś – powiedział Parulkar, z twarzą kamienną i nieodgadnioną. – Możesz odejść.

Sartadź wstał, zasalutował mu, wziął kopertę i energicznym krokiem wyszedł. Kiedy znalazł się na zewnątrz, w jasnym świetle poranka, zamrugał i na chwilę zatrzymał się przy poręczy, ważąc kopertę w dłoni. Czyli sprawa Gaitondego nie jest zamknięta. Niewykluczone, że można dokonać jeszcze jakichś wyczynów, zdobyć jakieś laury. Być może Ganeś Gaitonde miał jeszcze dla Sartadźa jakieś podarki. Nieźle to się prezentowało – wybrano go do prowadzenia tajnego śledztwa w imię bezpieczeństwa narodowego, ale Sartadź czuł jakiś niepokój. W tej niecierpliwości Andźali Mathur dało się wyczuć strach. Gaitonde nie żyje, ale strach przed nim pozostał.

Sartadź przeciągnął się, zrobił kilka wymachów ramionami i odpędził bzyzącą koło twarzy muchę. Zbiegł po schodach i zajął się swoją pracą.

Biuro Madźida Khana wypełniał tłum przedstawicieli lokalnego stowarzyszenia kupców. Protestowali przeciw oburzającej bierności policji wobec częstych prób wymuszeń, z którymi członkowie tej organizacji mieli do czynienia w ostatnich kilku miesiącach. Sartadź zajął krzesło w głębi pomieszczenia i słuchał, jak Madźid ich uspokaja, próbuje złagodzić ich wzburzenie, jednocześnie prosząc o współpracę.

– Nic nie możemy zrobić, jeśli nas nie wezwiecie, jeśli będziecie się im podawać i płacić – mówił. – Ale jeśli poinformujecie nas z odpowiednim wyprzedzeniem, zrobimy, co się da. – Po piętnastu minutach takiej rozmowy kupcy w końcu wstali, pokręcili brzuchami i wyszli, ale dopiero po tym, jak ich prezes, szczególnie tłusty, żujący pan osobnik, wspomniał, że oprócz tego obciążenia, którym jest życie w ciągłym strachu, musi ponosić wiele poważnych wydatków związanych z odbywającym się w przyszłym miesiącu ślubem córki. Nawet w tych ciężkich czasach wesele powinno być odpowiednio wystawne, obecnie ludzie tyle oczekują, a w końcu ślub ma zaszczyścić sahib MLA, a także sahib Ranade. Prezes kupców skłonił się głęboko, ściskając dłoń Madżida, ale pozostawił za sobą sygnał, że ma dojście do sahiba MLA, a co za tym idzie, istnieje realna możliwość, że potrafi doprowadzić do przeniesienia policjanta na jakąś odległą i nieciekawą placówkę.

– Sukinsyny – powiedział beznamiętnie Madżid, kiedy już kupcy opuścili biuro.

– Sukinsyny – potwierdził Sartadź, wstając, żeby zająć krzesło naprzeciw biurka. Drewno było jeszcze ciepłe po kupcu i poprawiał się w nim nerwowo.

– Słyszałem, że miałeś bardzo ważne poranne spotkanie z ważniakami z CBI.

– Tak, tak. – To, że Madżid w ogóle wiedział o spotkaniu, było normalne, ale Sartadźa wciąż jeszcze czasami zaskakiwała szybkość, z jaką wiadomości rozchodziły się po komisariacie. – Właśnie w tej sprawie chciałem się ciebie poradzić, szefie. Proszę. – Sartadź rozłożył na biurku Madżida zdjęcia z albumu Gaitondego. – Znasz którąś z tych kobiet?

Madżid obiema rękami głaskał swoje wąsy, sprawdzając, czy są odpowiednio ułożone i kształtne.

– Aktorki? Modelki?

– Tak. Albo coś w tym rodzaju.

Madźid przekładał kolejne zdjęcia.

– Mają coś wspólnego z Gaitondem?

– Tak. Po prostu ciekawi mnie to.

– Starasz się zachować dyskrecję, przyjacielu. Ale nie musisz mi nic mówić. Ja wcale nie chcę wiedzieć. – Madźid pokręcił głową. – Jedna wydaje mi się znajoma, może dwie, ale nie potrafiłbym podać ci nazwisk. W Mumbaju pełno jest takich dziewczyn. Wszystkie podobne. Pojawiają się i znikają.

– A ta? – Zdjęcie przedstawiało zbliżenie denatki. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyje, niezbitcie wskazywały na to sine usta, bezwładne, nagie ramiona i zupełna obojętność wobec przyglądającego się jej z bliska aparatu.

– To ta kobieta z domu Gaitondeggo? – zapytał cicho Madźid. – Ta, którą ukrywają przed prasą?

– Tak.

Madźid pozbiierał fotografie i przesunął je z powrotem w stronę Sartadźa. Odchylił się w fotelu i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Nie, baba, nie wiem. Nic nie wiem. A ty, Sardardźi, uważaj. Nie sil się na zbytnią odwagę. Sahib Parulkar będzie chciał cię osłaniać, ale on sam ma kłopoty. Biedaczysko, zdaniem partii Rakszak nie jest dostatecznie dobrym hindusem.

– W takim razie gdzie tu miejsce dla nas? – zapytał Sartadź. – Ja też nie jestem zbyt dobrym hindusem.

Madźid uśmiechnął się, wyszczerzając zęby, a wyglądał przy tym jak chłopiec, pomimo okropnego dostojeństwa swoich wąsów.

– Sartadźu – powiedział. – Z ciebie nie jest nawet dobry sikh.

Sartadź wstał.

– W czymś muszę być dobry. Ale wciąż nie wiem, w czym.

Madżid zagulgotał przeciągłym śmiechem.

– Are, Sartadżu, byłeś dobry z kobietami. Jeśli więc chcesz się czegoś dowiedzieć o tych kobietach, zapytaj inne kobiety.

Sartadź machnął lekceważąco ręką i wyszedł. Ale nie mógł zaprzeczyć, że Madżid – ten ociężały Pasztun z wielkimi stopami – miał dobry pomysł, żeby to kobiety wypytać o kobiety. Dzień się jednak dopiero zaczynał i kobiety oraz narodowe bezpieczeństwo będą musiały trochę poczekać. Najpierw trzeba się zająć sprawą morderstwa.

Ten cały rejon śmierdzi – powiedział Katekar, parkując gypsy w wąskiej przestrzeni między dwiema ciężarówkami.

Niewątpliwie unosił się tu ciężki zapach, który musieli znieść, idąc drogą, ale Sartadź pomyślał, że ze strony Katekara to trochę nie w porządku, uważać ten rejon za szczególnie śmierdzący. Całe miasto co jakiś czas śmierdziało. W końcu mieszkańcy Nawnagaru musieli gdzieś składować swoje śmieci. To nie ich wina, że miejskie śmieciarki zajeżdżały tu tylko raz na dwa tygodnie, jedynie nieznacznie uszczuplając tę pofałdowaną górę odpadów po lewej.

– Cierpliwości, maharadź – powiedział Sartadź. – Wkrótce opuścimy ten smród.

Katekar nadal jednak był uszczypliwy. Sartadź rozumiał, że ponurego nastroju kolegi nie wywołuje sam smród, lecz to, że w ogóle musi być tu, w Nawnagarze. I co z tego, że jakiegoś tam bangladeskiego chłopaka zabili jego jara? To była poślednia sprawa o pomniejszych możliwościach i z łatwością można by przeprowadzić dochodzenie na papierze, tak jak na papierze każdego ranka punktualnie przyjeżdżały miejskie śmieciarki. Nikt

specjalnie by się nie przejął, gdyby ta sprawa pozostała niewykryta, więc to głupota tu przychodzić, znosić ten smród i tych obrzydliwych obcokrajowców. Ale Sartadź chciał przeprowadzić śledztwo. Twierdził, że ambicją prawdziwego policjanta jest rozwiązywanie spraw i posuwanie się do przodu, chociażby tylko o włos, ale zdawał sobie również sprawę, że to też tylko upór. Nie lubił, kiedy w jego rewirze ginęli ludzie, i wściekało go to, że mordercom zbrodnia może ujść na sucho. Wiedział, że i Katekar rozumie, iż to nie za sprawą idealizmu Sartadź brnie przez pewne sprawy. To po prostu kwestia jego kiry. Nieraz już się tak działo, że Sartadź uparcie podążał za jakimś tropem, i chociaż Katekar odnosił się do tego z dezaprobatą, zawsze dotrzymywał mu towarzystwa. Czasami Sartadź nawet się zastanawiał, dlaczego Katekar nie poprosi o zmianę partnera czy choćby o przeniesienie na jakieś bardziej intratne stanowisko. Z pewnością potrzebował pieniędzy. Ale Katekar zawsze dawał upust niezadowoleniu, po czym i tak mu towarzyszył. Sartadź zszedł właśnie z drogi i zaczął się wspinać po zboczu, pewien, że Katekar znajduje się nieco z tyłu, ubezpieczając go z lewej.

W porannych godzinach Nawnagar był odrobinę mniej zatłoczony, ale poruszając się w labiryncie uliczek, Sartadź i tak odczuwał napierające na niego kholi. Na widok munduru ludzie schodzili z drogi i przywierali do ścian, a i tak musiał przechodzić bokiem, żeby się o nich nie ocierać. W tym mieście bogaci dysponowali pewną wolną przestrzenią, klasa średnia miała jej mniej, a biedota wcale. Właśnie dlatego Papa-dźi po odejściu na emeryturę przeniósł się do Pune. Powiedział, że chce budzić się i patrzeć w dal, chce czuć, że na tym świecie jest jeszcze trochę wolnego miejsca. Papa-dźi znalazł sobie własny skrawek trawy i ogród warzywny za domem, ale Sartadź podejrzewał, że czasami tęskni za tymi przypominającymi tunele uliczkami slumsów Mumbaju, za tymi rudarami, które z każdym

rokiem powoli przesuwały się do przodu, gdzie każde dodane pomieszczenie zajmowało teren i już się z niego nie wycofywało. A z pewnością do śmierci nie przestał ich wspominać.

Papa-dzi nigdy nie opowiadał żadnej historii związanej akurat z Nawnagarem, być może dlatego, że nigdy nie wydarzyło się tu nic szczególnie spektakularnego czy też wyjątkowo groteskowego. Ale często powtarzał Sartadźowi, że droga do apradhi wiedzie przez rodzinę. Jak znajdziesz matkę i ojca, mawiał, znajdziesz złodzieja, mordercę, fałszerza. I dlatego też Sartadź i Katekar poszukiwali teraz w Nawnagarze krewnych Bazila Caudriego i Faradża Alego, którzy zabili swojego kolegę, Śamsula Śaha. Zgodnie z oczekiwaniami, najbliższe rodziny morderców uciekły. Spakowali, co się dało z dobytku, zamknęli swoje kholi i ulotnili się w dniu morderstwa. Po wyłamaniu zamków Sartadź i Katekar znaleźli w środku wiekowe materace, puste jutowe worki i starą kolorową fotografię rodziny Bazila Caudriego. Na tym zdjęciu Bazil był zaledwie dziesięcioletnim chłopczykiem w jasnoczerwonej koszuli, ale teraz przynajmniej Sartadź wiedział, jak wyglądali jego rodzice. Nie miał wątpliwości, że wcześniej czy później ich odnajdzie. Byli biedni, będą musieli sprzedać kholi, ich przetrwanie zależało od kontaktów w Nawnagarze. Zniknąć było dużo trudniej, niż to się ludziom zazwyczaj wydawało. Zadanie policjanta polegało na zebraniu nitek ich życia i podążaniu za nimi.

Przeprowadzone tego ranka w Nawnagarze przesłuchania zaowocowały pewnymi informacjami, i chociaż żadne z nich nie dawały szans na przełom w sprawie, wszystkie były dosyć użyteczne. Bangladescy sąsiedzi ofiary i apradhi byli posępni i skryci, i zapewniali, że o niczym nie wiedzą. Kiedy jednak Katekar pochylił się nad nimi złowieszczo, a Sartadź zagroził im wyprawą na komisariat i szybką deportacją, przyznali, że być może coś wiedzą, jakieś bardzo znikome coś.

Śamsul – ten zabity – oraz Bazil pracowali jako kurierzy, a Faradz chwycił się różnych dorywczych prac w okolicy. Ale przez kilka ostatnich miesięcy cała trójka miała bardzo dużo pieniędzy i nikt nie wiedział skąd ani dlaczego.

W przeszukanych przez Sartadza i Katekara pustych kholi trudno było zauważyć ślady jakichkolwiek pieniędzy. Rodziny tych apradhi zabrały ze sobą swoje luksusy. Ale w domu zamordowanego chłopaka znajdował się nowiutki kolorowy telewizor, w części kuchennej stała duża kuchenka gazowa, błyszczące, stalowe garnki, a jego ojciec wyznał, że kilka dni temu zmarły syn kupił nowy kholi.

– To był dobry chłopak – powiedział Nurul Śah.

Kholi, bardzo mały, składał się tylko z jednego pomieszczenia przedzielonego wyblakłą, czerwoną szmatą. Zza zasłony dochodziły Sartadza szepty i szelest kobiecych sukien. Potrzebowali więcej przestrzeni, a ten dobry chłopak im to załatwił. Rodzina właśnie miała przenieść się do nowego kholi, kiedy okrutnie odebrano im syna.

– Takie duże, nowe mieszkanie musiało sporo kosztować – zasugerował Sartadz.

Nurul Śah opuścił głowę i wbił wzrok w posadzkę. Miał rzednące siwe włosy, a jego silne, naprężone ramiona świadczyły o życiu spędzonym na ciężkiej pracy.

– Sąsiedzi mówią, że wasza rodzina nagle się wzbogaciła – ciągnął Sartadz. – Powiadają, że wasz syn dobrze traktował swoje siostry. Ze kupił matce nowe okulary.

Nurul Śah ścisnął mocno splecione dłonie, aż pobieleły mu czubki palców. Zaczął szlochać, zupełnie bezgłośnie.

– Podejrzewam – odezwał się Sartadz – że gdybym zajrzał za zasłonę, znalazłbym tam inne drogie przedmioty. Skąd twój syn miał na to wszystko



pieniądze?

– Hej! – huknął Katekar – Sahib inspektor zadał ci pytanie. Odpowiadaj.

Sartadź położył dłoń na ramieniu Nurula Śaha i nie zwalniał uścisku, chociaż mężczyzna zadrżał w przerażeniu.

– Posłuchaj – rzekł bardzo łagodnie. – Nic się nie stanie ani tobie, ani twojej rodzinie. Nie zależy mi na tym, żeby sprawiać wam kłopoty. Ale twój syn nie żyje. Jeśli nie powiesz mi wszystkiego, nie zdołam ci pomóc. Nie znajdę tych sukinsynów, którzy to zrobili.

Mężczyznę przerażała obecność policjanta w jego domu, to, co się wydarzyło, i to, co mogło się jeszcze wydarzyć, ale próbował zebrać się na odwagę i coś powiedzieć.

– Twój syn robił jakieś interesy, jakieś hera–pheri. Jeśli powiesz mi wszystko, znajdę tych ludzi. W przeciwnym razie oni uciekną. – Sartadź wzruszył ramionami i wyprostował się.

– Ja nic nie wiem, saab – odezwał się Nurul Śah. – Nic nie wiem. – Drżał na całym ciele i kulił się. – Pytałem Śamsula, co robi, ale on nigdy nic mi nie powiedział.

– On i ci dwaj, Bazil i Faradź, robili coś razem?

– Tak, saab.

– Czy był z nimi ktoś jeszcze?

– Był jeszcze bhai Rejaz.

– To jakiś ich znajomy?

– Starszy od nich.

– Nazwisko?

– Tylko tyle wiem: bhai Rejaz.

– Jak on wygląda?

– Nigdy go nie widziałem.

– Gdzie mieszka?

– Cztery uliczki dalej, saab. Przy głównej drodze.

– Mówisz, że on mieszka tu w Nawnarze, w Bengali Burze, i nigdy go nie spotkałeś?

– Nie, saab. Rzadko wychodzi z domu.

– Dlaczego?

– On jest Biharczykiem, saab – odrzekł Nurul Śah, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Ale Biharczyk też zniknął ze swojego kholi, który zajmowała już inna rodzina. Sartadź i Katekar odnaleźli właściciela domu, tęgiego Tamila, mieszkającego po drugiej stronie Nawnagaru. Już w dniu morderstwa zauważył, że pomieszczenie jest niezamieszkałe, więc następnego dnia szybko je posprzątał i ponownie wynajął. Nie, niewiele może powiedzieć o tym Rejzie, tyle że płacił z góry i nie sprawiał żadnych kłopotów. Jak wyglądał Rejaz? Wysoki, szczupły, młoda twarz, ale gęste, siwe włosy. Tak, zupełnie białe włosy. Ten człowiek mógł mieć czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, trudno powiedzieć. Gładko się wysławiał, bez wątpienia był wykształcony. W swoim kholi nie zostawił nic oprócz kilku książek, które właściciel jeszcze tego samego popołudnia sprzedał w znajdującym się przy głównej ulicy sklepie z papierem i raddi. Nie, nie ma pojęcia, jakie to były książki.

Sartadź i Katekar stanęli więc na skraju Nawnagaru, poniżej małego, mieszczącego się tam świata.

– W porządku – odezwał się Sartadź, patrząc na nieuporządkowane, tarasowo schodzące w dół, pordzewiałe blaszane dachy. – Czyli szefem jest ten Biharczyk.

– To on wszystko planuje. Ta trójka to jego chłopaki. – Ogięciem niebieską chustką Katekar przetarł twarz, a potem kark i przedramiona. – Robią kasę.

– W jaki sposób? Oszustwa? Kradzieże? A może są bandziorami działającymi dla jakiegoś gangu?

– Może. Ale nigdy o czymś takim nie słyszałem, nie słyszałem o Bengalczykach w gangu.

– Ci chłopcy tu dorastali, może najbardziej są jednak Indusami. Ale najważniejszy jest tu ten Biharczyk. To zawodowiec. Żyje spokojnie, nie afiszuje się pieniędzmi, a kiedy pojawiają się jakieś kłopoty, błyskawicznie się zwija. Gdziekolwiek się znajduje, ci chłopcy są z nim.

– Tak, saab – przyznał Katekar. Schował chustkę. – W takim razie odszukajmy tego Biharczyka.

– Tak, odszukajmy go.

Poszukiwania Biharczyka musiały jednak poczekać, dopóki Sartadź nie wywiąże się z pewnych zobowiązań. Pilnowanie porządku publicznego często wymagało odłożenia jednej sprawy, żeby poświęcić się innej. Sartadź musiał teraz zająć się czymś zdecydowanie nieoficjalnym, co nie miało nic wspólnego z żadną sprawą, i musiał zrobić to sam. Podrzucił Katekara na dworzec i udał się w kierunku południowym, do Santa Cruz. Miał spotkać się z Parulkarem w efektownym, nowym budynku tuż przy Linking Road, obok lodziarni Swaradź. Zaparkował na tyłach i zachwyił się zielonymi marmurami w holu oraz elegancką, stalową windą. Mieszkanie, w którym czekał na niego Parulkar, rzekomo należało do jego siostrzenicy. Ta siostrzenica pracowała w banku, a jej mąż zajmował się importem i eksportem, ale oboje niedawno przekroczyli trzydziestkę, a mieszkanie było bardzo duże i bardzo drogie. Na tabliczce widniał wykonany złotymi literami napis „Namdźoszi”, ale Sartadź był pewien, że w rzeczywistości mieszkanie z trzema sypialniami należy do Parulkara. Nie ulegało to wątpliwości. Ta swoboda, z jaką siedział po turecku na ogromnej sofie w saloniku, jak pulchny, ubrany w mundur khaki mędrzec,

przywodziła na myśl człowieka, który zarządzał swoją imponującą nieruchomością oraz swoim losem.

– Wchodź, wchodź, Sartadźu – powiedział Parulkar. – Musimy się pospieszyć.

– Przepraszam, panie komendancie. Strasznie duży ruch na ulicach.

– Cały czas mamy strasznie duży ruch. – Ale Parulkar nie ganił go, traktował go po ojcowsku, z cierpliwością, miał jedynie na uwadze swój napięty harmonogram. Wskazał na stojącą na stole oszronioną szklanę z wodą. Sartadź zdjął srebrne wieczko i, pijąc, podążył za Parulkarem przez ocieniony salonik do sypialni.

Parulkar zamknął za nimi drzwi i cichym krokiem obszedł wysokie, białe łoże, kierując się na drugi koniec pokoju. Otworzył szafę i wyciągnął z niej czarny worek marynarski.

– Dzisiaj czterdzieści.

– Tak, panie komendancie – odrzekł Sartadź. Parulkar miał na myśli czterdzieści lakhów. Były to ostatnio pozyskane, nieoficjalne dochody przełożonego, a Sartadź miał przewieźć je na wyspę Worli i przekazać konsultantowi Parulkara, Homiemu Mehcie, który z kolei zajmie się przekazaniem ich na konto w banku szwajcarskim, pobierając jedynie niewielką prowizję. Sartadź przewoził pieniądze Parulkara raz na kilka tygodni, i już dawno temu przestał się dziwić wysokościom kwot. Ostatecznie Parulkar był komendantem bardzo bogatej strefy. Zajmując intratne stanowisko, czerpał obficie z szemrzącego źródła gotówki. Uwielbiał zarabiać pieniądze, chociaż nie był zachłanny i bardzo ostrożnie nimi dysponował. Jego osobisty asystent, Sardesai, zajmował się zbieraniem funduszy, ale Sardesai nie miał pojęcia, co się z nimi działo, kiedy już oddał je Parulkarowi. Ten przekazywał je Sartadźowi, a on konsultantowi, Mehcie. Z kolei Sartadź wiedział tylko, że następnie

pieniądze w jakiś sposób znikają z Indii i ponownie wypływały za granicą, gdzie leżały sobie bezpiecznie i przynosiły odsetki w twardej walucie.

Parulkar wysypał gotówkę na narzutę łóżka i przekazał worek Sartadźowi.

– Osiemdziesiąt paczek pięćsetrupiowych banknotów – powiedział. Mieli do siebie pełne zaufanie, ale przestrzegali tego rytuału za każdym razem, kiedy pieniądze jechały do konsultanta. Sartadź zebrał spory pakiet pieniędzy i włożył do worka. Miał tak zrobić osiemdziesiąt razy, obserwowany przez Parulkara, dopiero wtedy mogli się zgodzić, że liczba się zgadza.

– Co masz zamiar zrobić w sprawie Gaitondego? – zapytał Parulkar, patrząc na dłonie Sartadźa.

– Właśnie chciałem pana o to zapytać.

Parulkar podciągnął nogi na łóżko i ponownie zajął swoją medytacyjną pozę.

– Niewiele wiem o firmie Gaitondego. Był taki facet, niejaki Banti, który zajmował się ich interesami w Mumbaju. Bystry facet, chłopcy Sulejmana Isy postrzelili go i wylądował na wózku inwalidzkim, ale był najbardziej zaufanym człowiekiem Gaitondego i dalej rządził ze swojego wózka. W pewnym czasie wystarczyło po prostu wybrać się do Gopalmathu i można tam było spotkać Bantiego, ale po tym, jak go postrzelono, zaczął się ukrywać. Poproś Mehtę o numer Bantiego, on na pewno go ma. – Mehta, jako zarządzający pieniędzmi, zachowywał neutralność w wojnach gangów. Wszystkie strony sprawiedliwie korzystały z jego usług i w równym stopniu go ceniły.

– Dobrze, panie komendancie.

– Ale najlepsze informacje o Gaitondem możesz uzyskać od jego wrogów. Zadzwoń w kilka miejsc i skontaktuję cię z kimś. Z kimś, kto

jest dobrze, powiedzmy, że nawet bardzo dobrze poinformowany.

– Dziękuję panu. – Parulkar chciał przez to powiedzieć, że wykorzysta swoje kontakty w firmie Sulejmana Isy w celu znalezienia kogoś, z kim Sartadź mógłby porozmawiać. Parulkar był związany z firmą już od wielu lat, a nawet dziesięcioleci, więc źródło informacji, które załatwi dla Sartadźa, z pewnością będzie wysokiego szczebla. Była to zatem wielka przysługa, jeszcze jedna w długim łańcuszku uprzejmości, które Parulkar wyświadczał Sartadźowi. – Czterdzieści, panie komendancie – powiedział Sartadź, wkładając ostatni stosik do worka. – Panie komendancie, o co w zasadzie tu chodzi? Gaitonde nie żyje, dlaczego oni teraz szukają o nim informacji?

– Nie wiem, Sartadźu. Ale musisz uważać. Z tego, co się dowiedziałem, w tę sprawę z Gaitondem zaangażowane jest również IB.

– IB? Dlaczego?

– Kto to może wiedzieć? Ale wygląda na to, że jest to ich wspólna operacja. IB pozwala, aby RAW zajmowało się szczegółami, więc RAW rozmawia z tobą i ze mną. Kiedy te wielkie agencje angażują się w jakąś sprawę, lepiej, żeby szarzy policjanci pilnowali własnego nosa. Wykonuj swoją robotę, ale nie próbuj odgrywać przed nimi bohatera.

Sartadź zapiął worek. Czyli nie tylko międzynarodowi agenci chcieli wiedzieć, jak skończył Gaitonde. Biuro wywiadowcze, zajmujące się sprawami kontrwywiadu na terenie kraju, również wykazywało zainteresowanie tą sprawą. Sartadź poczuł się bardzo mały w tym towarzystwie.

– Oczywiście, panie komendancie. Nigdy nie gram bohatera. Jestem na to za mały.

Parulkar kiwał się do przodu i do tyłu, rechocząc ze śmiechu.

– W dzisiejszych czasach nawet niscy ludzie stają się bohaterami, Sartadźu. Świat się zmienił, mój drogi.

Przez chwilę Sartadź pomyślał, że Parulkar zaraz wyrecytuje jakiś dwuwiersz, ale on się spieszył i zakończywszy wystąpienie na słowach „mój drogi”, wysłał swoje pieniądze i inspektora w drogę.

– Pozdrów ode mnie Bhabidźi – powiedział tylko i podniósłszy rękę, zakończył spotkanie.

Jadąc na Worli, Sartadź myślał o Papi-dźi. Większość ludzi pamiętała jego ojca jako wysokiego mężczyznę, ale on miał tylko pięć stóp i siedem i pół cala wzrostu. To, że nosił się prosto, miał muskularne ramiona i wspaniałe wąsy, oraz, a może przede wszystkim, zawsze perfekcyjny turban, dawało mu prezencję, która wyolbrzymiała go we wspomnieniach. Jego syn, Sartadź, był o cały cal od niego wyższy, ale wiedział, że nie robi podobnego wrażenia, ani swoją osobą, ani reputacją. Papa-dźi był bardzo porządnym człowiekiem. Zawsze kładł nacisk na to, żeby turban był jak najsztwniejszy, ubranie jak najlepsze, ale dochowywał wierności temu stylowi przy swoich zarobkach, nosił więc tę samą niebieską dwurzędową marynarkę przez całe dziesięciolecia ślubów i oficjalnych uroczystości. Po jego śmierci Sartadź znalazł tę marynarkę w kufrze, starannie przesypaną naftaliną i zawiniętą w szeleszczący papier. A teraz, tak długo po śmierci Papy-dźi, obcy ludzie wciąż jeszcze mówili do Sartadźa: „Och, jesteś synem sahiba Sardara? To był porządny człowiek”. Rok temu, w Crawford Market, pewien handlarz diamentami poklepał ze smutkiem Sartadźa po ramieniu i rzekł: „Beta, twój ojciec był jedynym uczciwym policjantem, jakiego znałem”. Inspektor skinął głową i mruknął: „Tak, był dobrym człowiekiem”, i odszedł, sztywno trzymając ramiona.

Sartadź skręcił w stronę morza, a po chwili zawrócił przed autobusem i zjechał na chodnik. W sklepie wielobranżowym po prawej roіło się od dzieciaków w mundurkach. Kupowały lody. Wyglądały na trzecią lub czwartą klasę, ale ich tornistry były ogromne i bardzo ciężkie. Ci uczniowie byli jeszcze za mali, by wiedzieć, że miejsca na uczelniach medycznych są przedmiotem handlu, że szkoły zarządzania są dostępne tylko dla tych, których na to stać. Sartadź wyciągnął worek marynarski Parulkara z za przedniego fotela i powoli przeszedł między dziećmi. Kiedy był w ich wieku, już od roku co najmniej znał Parulkara, wtedy młodego, szczupłego podinspektora, ulubionego celi Papy-dzi. Papa-dzi lubił Parulkara, uważał go za inteligentnego, sumiennego i oddanego pracy. Często przyprowadzał Parulkara do domu na kolację, mówiąc: „Ten chłopak nie ma żony i czasami musi zjeść jakieś porządne domowe jedzenie”. Ale Ma nigdy tak naprawdę nie przekonała się do Parulkara. Była, oczywiście, uprzejma, ale od samego początku mu nie ufała. „Tylko dlatego, że bez końca słucha tych twoich opowieści, sądzisz, że to twój wierny bhakt” – powiedziała do Papy-dzi. „Ale zapamiętaj moje słowa, ci Marathowie są zbyt sprytni”. I na nic się zdało tłumaczenie jej, że Parulkar nie jest Marathem, tylko braminem. „Kimkolwiek jest, to cwaniak” – mówiła. Jej niechęć do Parulkara pogłębiła się jeszcze, kiedy zaczął się on wspinać po szczeblach kariery, a kiedy minął stanowisko Papy-dzi i dalej awansował, zupełnie przestała o Parulkarze wspominać. Mówiła o nim „ten człowiek” i nawet nie dyskutowała, kiedy Papa-dzi opowiadał o ludzkim przeznaczeniu i o tym, jak to każdy z nas powinien być wdzięczny za to, co mu dał Waheguru.

Sartadź ruszył wąskimi schodami, biegnącymi obok sklepu wielobranżowego w górę, do malutkiego biura Mehty. Mehta przez całe życie pracował w tych czterech małych boksach, a mieszkał niedaleko, w



przestronnym, ale skromnym mieszkaniu z widokiem na morze. Był parsem, schludnym i dyskretnym dżentelmenem, jak zawsze ubranym zupełnie na biało.

– Are, Sartadźu, wchodź, wchodź – wyciągnął ponad stołem swoją delikatną dłoń, aby szybko i lekko uścisnąć rękę policjanta. Był chudy, ale elegancki, a Sartadź zawsze podziwiał jego elegancko przystryżone siwe włosy. Homi Mehta przypominał mu czarno-białe filmy pokazywane w telewizji w niedzielne popołudnia, i z łatwością mógł wyobrazić sobie go, jak mknie nadmorskim bulwarem w czarnym packardzie victoria.

– To od sahiba – Sartadź położył worek na biurku.

– Tak, tak – odparł Mehta. – Ale kiedy przyniesiesz mi jakieś własne pieniądze, młody człowieku? Powinieneś oszczędzać na przyszłość.

– Jestem biedny, wuju – odrzekł Sartadź. – Jak można odkładać, kiedy trudno powiązać koniec z końcem?

Taką rozmowę Sartadź odbywał z Mehtą za każdym razem, kiedy tu przychodził, ale dzisiaj Mehta nie miał zamiaru tak szybko mu odpuścić.

– Are, co ty mi tu opowiadasz?! Człowiek, który dorwał Ganeśa Gaitondego, nie ma ani trochę pieniędzy?

– Nie dostałem żadnej nagrody.

– Powiadają, że dostałeś z Dubaju sporą kasę za wpakowanie kulki w głowę Gaitondego.

– Wuju, ja nie zabiłem Gaitondego. Sam się zastrzelił. I nikt mi nic nie zapłacił.

– No, dobra, baba. Nic nie mówiłem. To ludzie gadają, rozumiesz, ludzie.

– Mehta przeliczał pieniądze Parulkara, układając paczuszki w równe stosiki po prawej stronie biurka. Był człowiekiem skrupulatnym i bardzo drobiazgowym w rachunkach. Dawno temu, podczas jednego z ich pierwszych spotkań, rzekł Sartadźowi: „W tym świecie pełnym

nieuczciwości ja jestem człowiekiem w pełni uczciwym”. Powiedział to bez żadnej dumy, było to jedynie stwierdzenie faktu. Wytłumaczył Sartadźowi, że cały przepływ pieniędzy do kraju i z kraju ostatecznie zależy od konsultantów. Nazywano ich również menedżerami, w Delhi byli dyrektorami, ale jakkolwiek ich zwać, wszystko zależy od ich uczciwości. Pieniądze pochodziły z lewych interesów, z łapówek, przekupstwa i defraudacji, z wymuszeń i morderstw, a menedżerowie zajmowali się nimi dyskretnie i z zawodową uczciwością. Za ich sprawą znikwały, a potem, również dzięki nim, pojawiały się ponownie. Byli anonimowymi czarodziejami, pełniącymi kluczową rolę we wszystkich interesach, w związku z czym znali wszystkich.

– Wuju, potrzebuję pomocy – powiedział Sartadź.

– Mów, w czym rzecz.

– Sahib Parulkar powiedział, że możesz wiedzieć, jak mógłbym się skontaktować z jednym z ludzi. Gaitondego.

– Z którym?

– Z Bantim.

Starszy człowiek nie dał po sobie poznać, że wie, o co chodzi. Wytarł palce w chusteczkę higieniczną i zabrał się za kolejny stosik pieniędzy.

– Muszę go zapytać – rzekł w końcu. – Co mu przekazać?

– Chciałbym tylko z nim porozmawiać. Zadać mu kilka pytań o Gaitondego.

– Chcesz zadać mu kilka pytań o Gaitondego. – Mehta skinął głową i wyrównał ostatni stos pieniędzy. – Dobra. Masz nową komórkę, zapisz mi numer.

Sartadź uśmiechnął się i zapisał numer na bloczku papieru. Stary Mehta niczego nie przeoczył, nawet tego małego wybrzuszenia w górnej kieszeni. Sartadź w końcu poddał się i kupił telefon, chociaż przez całe lata upierał

się, że komórki są zbyt drogie, a abonament za wysoki. Ostatecznie zresztą przepłacił, kupując małą motorolę, ponieważ była taka srebrzysta i taka elegancka. Wciąż pozostała lśniąca i nieużywana, i Sartadź jeszcze nikomu nie podał swojego numeru, ale Homi Mehta był człowiekiem wiekowym, mądrym i bystrookim.

– Proszę, wuju – powiedział Sartadź. – Dziękuję.

– W porządku. W sumie czterdzieści. – Mehta pogłaskał pieniądze.

Sartadź wstał.

– Zgadza się. W takim razie do zobaczenia następnym razem.

– Następnym razem przynieś mi coś, co mógłbym ulokować dla ciebie.

Pomyśl o starości.

Sartadź uniósł rękę i zostawił Mehtę z pieniędzmi. Kiedy był jeszcze żonaty z Meghą, Mehta ciągle powtarzał mu, żeby oszczędzał na przyszłe dzieci. Po rozwodzie dał sobie z tym spokój i zaczął przypominać mu o wieku i upływie lat. Chyba faktycznie wyglądam już staro, pomyślał Sartadź.

W sklepie na dole znajdowała się teraz inna grupka dzieci, starszych, już nastolatków, bardziej kulturalnych i grzeczniejszych niż te poprzednie. Piły pepsa i colę, szepcząc między sobą. Sartadź był już w połowie drogi do dżipa, kiedy postanowił zawrócić do sklepu i kupić sobie loda chocobar. Obecnie można kupić inne, bardziej wymyślne lody, ale Sartadź lubił ten dawny smak produktu firmy Kwality, tę nieco oleistą czekoladę z wanilią w środku. To był smak jego dzieciństwa. Nastolatki tręcały się łokciami: zobacz, ten śmieszny policjant sardar chrupie chocobar. Sartadź tylko uśmiechnął się i szedł dalej, i zanim dotarł do dżipa, oblizywał już goły patyk. Zmiażdżył go między zębami, tak jak zawsze robił to w dzieciństwie, wyrzucił i odjechał.

W godzinach szczytu ruch uliczny zgęstniał i zamienił się w zastygłą masę. Sartadź rozsiadł się wygodnie, przygotowany na długą jazdę. Powietrze drżało nad metalowymi dachami pojazdów, a w pewnym momencie zapadła zupełna cisza, kiedy kierowcy wyłączyli silniki, aby przeczekać ścisk. Sartadź odkleił spocone plecy od fotela, oparł przedramiona na kolanach, zwiesił głowę i wbił wzrok w zakurzoną czerń swoich butów. Słońce skupiało swój żar na jego ramionach i karku, ale nie miał gdzie się przed nim schować. Kierowca autobusu przyglądał mu się beznamiętnie przez okno, a kiedy Sartadź go na tym przyłapał, ten odwrócił wzrok, obracając się w swoim wysokim fotelu. Za kierowcą widać było przez szybę wystające biodro jakiegoś manekina. Sartadź przebiegł wzrokiem rząd witryn sklepowych, które rozmywały się w oślepiającym świetle nieba, i wyobraził sobie ogromnej długości wyspę, całą zakorkowaną i znieruchomiłą w niekończących się godzinach wieczornego szczytu, poruszającą się zrywami i drobnymi, odbijanymi podskokami. Westchnął, a potem wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Ma? – zapytał.

– Sartadź.

– Peri pauna, Ma.

– Dżite raho, beta. Czytałam o tobie w gazecie.

– Tak, Ma. – Przez drogę przetoczył się pomruk uruchamianych silników i Sartadź przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Złapałeś wielkiego bandytę, dlaczego nie zamieścili twojego zdjęcia?

– Ma, ważna jest praca – odparł Sartadź, rozbawiony tą pompatycznością, zarówno jej, jak i swoją. – A nie jakieś zdjęcia w gazetach. – Był pewien, że zaraz usłyszy jej ripostę, ale ona już zmieniła temat.

– Skąd dzwonicz?

– Skąd? Z Mumbaju, mammo.

– Pytam cię, z jakiego miejsca w Bombaju?

Nic nie uszło uwagi tej żonie policjanta.

– Właśnie wracam z Worli – odpowiedział Sartadź.

– Ho, ho, czyli w końcu masz komórkę.

– Tak, Ma. – Dla niej samej wszelkie nowinki techniczne nie miały żadnego znaczenia, mówiła, że nie chce mieć magnetowidu, bo nie wiedziałaby, jak go obsługiwać, ale od dawna namawiała Sartadźa, żeby kupić sobie telefon komórkowy.

– Jaki masz numer? – zapytała.

Sartadź podyktował jej numer, dodając jeszcze:

– Pamiętaj, nie dzwoń do mnie, kiedy jestem na służbie.

Roześmiała się.

– Ja pełniłam służbę, zanim jeszcze przyszedłeś na świat. I zawsze to ty do mnie dzwonisz z pracy. Tak jak teraz.

– Tak, tak. – Pewnie siedziała właśnie na sofie w swoim malutkim saloniku, na podwiniętych nogach, drobną dłonią trzymając przy uchu wielką, czarną słuchawkę. Słyszał jej uśmiech. W ubiegłym roku straciła na wadze i pomimo drobnych zmarszczek i siwych włosów wciąż czasami wyglądała jak szczupła, młoda dziewczyna, którą Sartadź znał z fotografii.

– Ale ja teraz nie pracuję. Stoję w korku.

– W tym Bombaju nie da się teraz żyć. Jest taki drogi. I za dużo ludzi.

Miała rację, ale dokąd miałyby się udać? Być może za jakiś czas znajdzie się dla Sartadźa mały domek w jakimś innym miejscu. Obecnie nie potrafił sobie jednak wyobrazić, że mógłby na stałe wynieść się z tego brudnego, niesamowitego miasta. Krótkie wakacje raz na jakiś czas zupełnie Sartadźowi wystarczały.

– Ma, w tę sobotę przyjadę do Pune.

– To dobrze. Już od miesiący cię nie widziałam.

Sartadź był w Pune dokładnie cztery tygodnie wcześniej, ale wiedział, że nie ma sensu się spierać.

– Potrzebujesz czegoś stąd?

Dla siebie nic nie chciała, ale podyktowała mu całą listę rzeczy dla różnych mauśi, tau, siostrzenic i bratanków. Nie było sensu mówić mamie, że w tak sporym mieście jak Pune niewątpliwie można już kupić te rzeczy. Ona uważała, że w pewnych sklepach w Mumbaju należy bywać, a także miała instrukcje, które należało przekazać określonym sprzedawcom, znanym jej od dziesięcioleci. Sartadź zawsze przyjeżdżał do Pune z torbą, zawierającą jego ubrania, i z walizką wypchaną dziecięcymi ubrankami, mithai, słonymi przekąskami i szamponami, żeby Ma mogła je rozdawać liczным bliskim i drogim jej osobom. Żyła w Pune blisko rodziny i Sartadź mógł być pewien, że dzięki niej zawsze będzie na bieżąco z siecią krewnych, która rozciągała się aż po Pendżab, a nawet dalej. Uważał ją za nierozzerwalnie związaną z tą rodziną, podczas gdy on sam czuł się wyobcowany, nie do końca z nimi rozdzielony, ale jakby się oddalił, jak planeta, która, wirując, za bardzo odsunęła się od swojej gwiazdy. Lubił słuchać jej opowieści o rodzinnych sporach i dramatach sprzed lat, o ile tylko mógł uniknąć ich fatalnego przyciągania i nie musiał w nich uczestniczyć. Przypomniała sobie o książce z dziecięcymi wierszykami, którą właśnie kazała Sartadźowi przywieźć, i zaczęła opowieść o swoim ćaci, rzekomo mówiącym po angielsku.

Opowiadała mu tę historię już wielokrotnie, ale Sartadź z przyjemnością wysłuchał jej ponownie, śmiejąc się we wszystkich stosownych miejscach.

Przy świątyni Siddhi Winajaka pożegnał mamę i z uśmiechem na ustach rozsiadł się w fotelu. Myśl o bliskim wyjeździe do Pune sprawiła mu przyjemność. Przy wejściu na drogę prowadzącą do Siddhi Winajak kłębił

się tłum wiernych zanoszących usilne błagania i wyrazy wdzięczności. Świątynia pięła się aż po swoją złotą iglicę, lekko wznosząc ogrom swojej symetrii do nieba. Sartadź zastanawiał się, czy Ganeś Gaitonde miał jakieś specjalne miejsce, do którego wyjeżdżał z miasta, jakieś miasteczko albo wioskę, które mógł nazwać swoim miejscem rodzinnym. Będzie musiał zapytać o to Katekara.

Na koniec Ganeś Gaitonde wspomniał coś o Bogu i wierze. Teraz na pewno już wie, czy istnieje Bóg, w którego można wierzyć, czy też nie. Sartadź niezbyt przejmował się duszą bandyty, ale wiedział, że nadszedł już czas przyjrzeć się jego ciału, a także zwłokom tej kobiety. Unikał tego do tej pory, ale będzie musiał to zrobić. Przeklął Ganeśa Gaitondego i pojechał dalej.

Zgodnie z oczekiwaniami Sartadź następnego dnia rano Katekar zaprotestował przeciwko wizycie u Gaitondego. Powiedział, że ten człowiek nie żyje, i zarówno on, jak i ta kobieta pozostaną martwi, nie ma więc żadnej potrzeby do nich się zbliżać, absolutnie żadnej.

– Możesz zostać na zewnątrz – powiedział mu Sartadź. – Ale już powinieneś się przyzwyczaić do oglądania zwłok.

Kostnica znajdowała się w starym budynku z piaskowca, podziurawionym i poplamionym, chociaż wciąż eleganckim, ozdobionym wysokimi łukami i kwiatową kamieniarką. Stał ukryty w zielonym cieniu ogromnego figowca na tyłach szpitala K.D. Sartadź wysadził Katekara przed bramą szpitala, a sam objechał budynek i zaparkował pod murem upstrzonym plamami po pan. Pomimo całego swojego racjonalizmu Katekar panicznie bał się kostnicy, pracujących tam lekarzy i ich współpracowników, nawet tego szmaragdowego światła pod figowcem. Mówił, że to całe miejsce cuchnie, że wyczuwa to z terenu szpitala,

wydzielają się stamtąd jakieś żółte miazmaty, które wpełzają w ubrania, zagnieżdżają się w kieszeniach i tam już pozostają. Sartadźowi nawet podobała się ta nieoczekiwana zabobonność u człowieka tak powściągliwego jak Ganpatrao Popat Katekar, prawdziwy pozytywista. Dzięki temu Sartadź mógł mu coś wytknąć, kiedy Katekar z wyższością szydził z różnych romantycznych poglądów Sartadźa.

Inspektor minął okienko informacji, obleżone przez grupkę niespokojnych ludzi, którzy przyszli tu w poszukiwaniu zaginionych krewnych i znajomych. Przeszedł ciemnym korytarzem i minął podwójne szklane drzwi z napisem „Zakaz wstępu”. Za porysowanym, metalowym biurkiem, w mętym świetle jarzeniówek siedział pracownik w brązowych krótkich spodenkach i koszuli. Przywitał Sartadźa muzułmańskim salaam, a ten wziął głęboki oddech, mrugnął i otworzył kolejne drzwi wahadłowe, tym razem drewniane i pomalowane na zielono. Po drugiej stronie znajdowało się dosyć duże pomieszczenie, wielkości okazałej sali weselnej, dobrze oświetlone przez dwa kwadratowe świetliki i dwa rzędy świetlówek. Kamienna, gładka, brązowa posadzka opadała ku środkowi, w kierunku kwadratowego otworu kanalizacyjnego. Na kamiennym stole po lewej leżały dwa nagie, brunatne ciała, oba męskie. Wierzch czaszki ciała leżącego dalej usunięto, a biegnący dookoła ślad precyzyjnego cięcia nadawał postaci wygląd bohatera kreskówki, któremu można odkręcać głowę. Przy łokciu, na tacy, w formie schludnej, szarej kupki leżał mózg. A tu, po prawej, doktor Ćopra, analityk nad otchłanią, pracował sprawnie. Właśnie wybierał jelita na wielką tacę. Sartadź odwrócił głowę.

– Doktor Ćopra?

– Och, Sartadź. Chwileczkę, chwileczkę.

Sartadź patrzył na ścianę, przebiegał wzrokiem pęknięcia w szarym tynku, śledząc je aż do sufitu, a potem z powrotem na dół. Następnie zajął



się zardzewiałymi prętami w zamkniętych oknach, policzył je i przeanalizował ich grubość. Tymczasem z prawej strony dochodziły delikatne cmoknięcia i dźwięki jakby mielenia wilgotnej substancji. Sartadź był tu już wielokrotnie, ale kiedy po raz pierwszy przyszedł do prosektorium doktora Óopry, starał się obserwować wszystko bez odrazy czy też perwersyjnego zafascynowania, kierując się zasadą, że policjant musi patrzeć niewzruszenie na wszystko, z czego tak naprawdę składa się ten świat; musi to wszystko poznać bez wzdragania się. I oglądał to, co doktor Óopra mu pokazywał, znosił ten widok bez specjalnych problemów, w sumie nie było to aż tak przerażające, po prostu skomplikowany wewnętrzny mechanizm ciała, hydrauliczne urządzenia obdarzone jakąś złożoną, surową harmonią. Ale powłoki zwłok podążyły za nim i nie odstępowały go we śnie, jasna obwódka na trzecim palcu zaciśniętej w pięść dłoni, plemienny tatuaż na podbródku kobiety, szkarłatne drobinki pomadki na dolnej wardze, niezbyt wyraźne, ale bardzo charakterystyczne. Gromadził fragmenty zmarłych, drobne wspomnienia ich życia, których noszenie przecież kosztowało, i w końcu stwierdził, że już nie ma tej młodszej dumy, że raczej zachowa swoje chęci i wykorzysta je w pracy, do swoich własnych spraw. Przestał więc się przyglądać.

– Skończone – oznajmił doktor Óopra.

Sartadź usłyszał trzask gumowych rękawiczek i odwrócił się, nie opuszczając jednak głowy. Ujrzał twarz martwego człowieka i na moment utkwiał w niej spojrzenie. A potem dostrzegł gęstą szopę włosów doktora Óopry. Był on najbardziej owłosionym człowiekiem, jakiego zdarzyło się Sartadźowi spotkać. Chociaż dopiero minęła dwunasta, policzki i szczękę doktora już pokrywał ciemny cień, a znad jego klatki piersiowej wysuwało się gęste czarne futro, zasłaniając połowę szyi. Mył właśnie ręce w umywalce.

– Sahibie doktorze – odezwał się Sartadź. – Chciałbym zobaczyć Gaitondeggo i jego przyjaciółkę.

– Dobrze – odparł doktor. – Są w chłodni.

– Już po sekcji?

– Are, Gaitonde to był wielki bhai, prawda? On i jego przyjaciółka wpełzali się bez kolejki. – Doktor roześmiał się, zupełnie radośnie i szczerze. – Chcesz, żeby chłopcy wyciągnęli ich z chłodni? Szybciej będzie, jeśli tam pójdziemy.

W jego postawie, w tym podniesieniu krzaczastych, wiszących brwi majaczyło jakieś wyzwanie: jeśli jest pan w stanie to znieść, panie policjancie. Katekar wprost nienawidził komory chłodniczej. Wszedł do środka tylko raz, kiedy z Sartadźem szukali ciała jakiegoś khabari. Katekar przyłożył wtedy dłoń do ust i odwróciwszy się na pięcie, szybko wyszedł i zatrzymał się dopiero pod figowcem. Sartadź został w środku i odnalazł szukane przez nich ciało. Potrafił dokonać tego wcześniej, może zrobić to i teraz. Wzruszył ramionami.

– Możemy iść do chłodni.

Prowadziło tam zacienione przejście, osłaniające przed oślepiającym popołudniowym światłem. Sartadź zmrużył oczy i szedł, ale teraz nie można już było uciec przed tym zapachem. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w długim ciemnym korytarzu, a zapach wciskał się Sartadźowi w policzki. Zamknięte okna powstrzymywały panujący na zewnątrz upał, te płynące wprost ze słońca gwałtowne fale gorąca, a powietrze w przejściu było przesycone śmierdzącymi wyziewami z dwóch rzędów ciał zawiniętych w prześcieradła i ułożonych pod ścianami na podwójnych regałach. Prześcieradła były wilgotne, a posadzka pod regałami obślizgła.

Sartadź skinął głową pracownikom siedzącym przy biurku na końcu korytarza. Czuł, jak do gardła podchodzi mu czkawka, i nie chciał otwierać

ust.

– Sahib inspektor – odezwał się jeden z asystentów, wstając z krzesła. – Dawno tu pana nie było. – Czytał jakąś powieść w języku hindi, a jego kolega pisał list. Drugi asystent również wstał.

– Śmierdzi tu gorzej niż ostatnio – powiedział Sartadź, mijając biurko. Mówił ostrożnie, powoli wypowiadając słowa.

– Are, saab – odrzekł asystent czytający powieść. – Niech tylko poczeka pan, aż wsiądzie klimatyzacja. Wtedy dopiero pan poczuje.

– Niech tylko poczeka pan, aż zaczną padać i przez ściany zaczną sączyć się woda – dodał ten drugi, z wielką satysfakcją w głosie. – Wtedy dopiero jest zabawa.

Lubimy ponarzekać, że jest źle, pomyślał Sartadź, i wyobrazić sobie, że na pewno będzie jeszcze gorzej. I tak jednak umiemy przetrwać, miasto potyka się, ale idzie dalej. Może pewnego dnia to wszystko po prostu się rozpadnie, lecz nawet w tej myśli jest jakaś satysfakcja. Niech ten maderćod się rozleci.

Doktor Óopra skinął na swoich asystentów. Drzwi do komory chłodniczej były wykonane z błyszczącej stali, wprost lśniły nowością, dając obietnicę najnowszej techniki i sterylności. Asystent–czytelnik dotknął ciężkiej klamki u drzwi, a potem swojego gardła, i bezgłośnie wypowiedział mantrę. Chwyciwszy klamkę, odchylił się do tyłu, a drzwi się otworzyły.

– Zapraszam – rzucił doktor Óopra.

W środku znajdowały się rzędy przemieszanych ciał, tak jak Sartadź pamiętał to z poprzednich wizyt. Leżały nagie na wykafelkowanej posadzce, ściśnięte ramię przy ramieniu, ramię na ramieniu, od jednego końca długiego pomieszczenia do drugiego. Każde ciało miało z przodu szew, szerokie pętle grubej czarnej nici w miejscach długich nacięć

wykonanych w celu wykonania autopsji. Rdzawa ciemna skóra, zmatowiała jak błoto, nastroszone, skamieniałe włosy łonowe. Sartadź pomyślał, że wcale nie jest tu tak zimno. Nazywają to miejsce komorą chłodniczą, ale w niektórych restauracjach jest zimniej, pokój na piętrze w barze Delite jest zimniejszy. Do jego uszu docierał monotony, niepewny podmuch klimatyzacji.

– Panie są po tej stronie – odezwał się doktor Óopra.

W tej kostnicy, gdzie wszelka cielesność i zmysłowość nie miały już racji bytu, zachowywano przyzwoitość. Panie leżały jedna na drugiej w małym boksie po lewej, oddzielonym osobnymi metalowymi drzwiami. Asystenci sięgnęli do środka i poprzekładali ciała, szarpiąc je i ciągnąc, aż coś stuknęło w drzwi z radosnym bim–bam. Sartadź zaniepokoił się o ręce asystentów, którzy nie używali rękawiczek. Miał nadzieję, że potem je myją.

– Saab – odezwał się autor listu.

Znaleźli ją.

Sartadź cofnął się o krok. Buty lepiły mu się do podłogi.

Od przodu zobaczył dobrze już znane mu cięcie. Usta nabrały spękanej, sinej bladości starych świec i obkurczyły się, odsłaniając górne zęby. Znajdujące się w kartotece zdjęcie z autopsji spłaszczyło jej kości policzkowe, a spiczasty nos uczyniło niewidocznym. Ale właśnie nos był kiedyś złamany, widniało w nim niewielkie wgniecenie. Po śmierci stała się niezbyt ładna, ale zarówno na jej ramionach, jak i po bokach jej ciała widać było mięśnie, i Sartadź wyobraził ją sobie w żwawej postawie tancerki, promienną i dumną ze swojej figury.

– Nieznana denatka – czytał doktor Óopra z długiego arkusza. – Pięć stóp, trzy i pół cala, pięćdziesiąt kilogramów, czarne włosy do ramion, oczy czarne, na prawym kolanie blizna długości dziesięciu centymetrów, ostatni

posiłek spożywała około ośmiu godzin przed śmiercią, przyczyna zgonu: pojedyncza rana postrzałowa w mostek, pocisk przeszedł pod kątem w górę i wyszedł z ciała przy czwartym piersiowym nerwie rdzeniowym, powodując rozległe uszkodzenia płuc i rdzenia kręgowego. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Natychmiastowa śmierć. Sartadź zastanawiał się, czy dziewczyna zdążyła zrozumieć, że ona nadchodzi, czy zobaczyła uniesioną lufę, a nad nią poczerwieniałe oko Gaitondego.

– Żadnych znaków szczególnych oprócz tej blizny?

– Żadnych.

– Dobrze – stwierdził Sartadź. Czasami ciała zmarłych przekazywały coś nowego, czego się wcześniej nie znało, ale historia tej dziewczyny była krótka. Życie nie pozostawiło na niej zbyt wielu śladów.

– A teraz Gaitonde – powiedział doktor Cōpra, odwracając się.

– Tak, Gaitonde.

Sartadź ruszył za doktorem wąską ścieżką między ciałami. W wielu miejscach posadzkę zalewały płyny z ciał, jasne ścieżki białka i prawie czarne, gęste wydzieliny. Sartadź ostrożnie stapał. Gaitonde leżał pośrodku rzędu identycznych postaci, wyróżniając się jedynie roztrzaskaną głową. Odsłonięte wewnętrzne partie ciała szerniały.

– Pięć stóp i sześć cali, sześćdziesiąt dziewięć kilogramów, wcześniej dwa razy postrzelony – pokazał doktor Cōpra. – Co ciekawe, jedną ranę odniósł w pośladek. Wielki Gaitonde musiał zmykać, kiedy go postrzelono. Druga rana w lewym ramieniu, o tu.

Sartadź nachylił się nad ciałem Gaitondego i zauważył piękny profil, szlachetną brew. Urodzony król, pomyślał Sartadź, a może mędrzec. Pewnie czasami przyglądał się sobie w lustrze i zastanawiał się, kim zostanie.

Doktor Óopra gładził włosy na grzbiecie swojej prawej dłoni. Urządzenie klimatyzacyjne włączyło się z cichym pomrukiem i nagle znad ciała Gaitondego i całej reszty uniosła się cuchnąca woń.

– Dziękuję, sahibie doktorze. – Sartadź miał już dość. Wyprostował się i szybkim krokiem wyszedł. Musiał się odwrócić bokiem, aby minąć asystentów, którzy właśnie wnosili denatkę przez drzwi z powrotem do boksu. Przeszedł obok nich. Przez naroża głównych drzwi sączyło się światło i w tym blasku Sartadź dostrzegł leżący na podłodze obszarpany skrawek czarnego ciała, mały fragment szczęki połączonej z trzema zębami. Zrobił duży krok i uciekł w światło słoneczne.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał lekarz.

Sartadź stał przy figowcu, jedną ręką opierając się o jego ziarnistą korę, i dyszał.

– Dlaczego w tym gaudu miejscu nie może być chłodno? Dlaczego?

– Urządzenia klimatyzacyjne się psują, instalacja jest stara i bezpieczniki się topią, a ludności jest za dużo. Ta kostnica jest za mała.

Rzeczywiście, to nie w porządku obarczać winą dobrego doktora Óoprę. On przecież nie mógł nic poradzić na brak pieniędzy, elektryczności, miejsca i na nadmiar zmarłych.

– Przepraszam, doktorze. – Sartadź wykonał zamaszysty gest, niezręcznie starając się objąć wszystko dookoła. Doktor Óopra skinął głową i uśmiechnął się. – Dziękuję – dodał Sartadź.

– Mam nadzieję, że warto było ich zobaczyć.

– Tak, tak. To było bardzo przydatne. – Kiedy jednak Sartadź szedł do dżipa, wcale nie był pewien, czy to prawda. Teraz pragnienie ujrzenia ich ciał, jeszcze niedawno tak sensowne, zdawało się dziwaczne. I czego się dowiedział? Nie miał pojęcia. Strata czasu. Chciał jak najszybciej oddalić się stąd, wrócić na komisariat, ale kiedy doszedł do dżipa, poczuł, że nie

jest w stanie wsiąść do środka. Przez niskie ogrodzenie z pomalowanych połówek cegieł dostał się na teren pozostałości dawnego ogrodu, znalazł miejsce porośnięte wypaloną, brunatną trawą i zaczął wycierać podeszwy butów, tarł nimi tam i z powrotem tak długo, aż łodyżki łamały się z cichym trzaskiem, a jego rozkołatane serce się uspokoiło.

**K**iedy Katekar wrócił do domu, Śalini właśnie gotowała. Sprzątała w domu lekarza w Sat Bangli, ale zajmowała się tylko jednym domem, nie tak jak inne kobiety, które miały trzy czy nawet cztery roboty dżaru–katka. Pieniądze od doktora były potrzebne, ale doszli do wniosku, że Śalini powinna czekać w domu, kiedy chłopcy wracają ze szkoły, powinna być w domu po południu i wczesnym wieczorem, aby czuli jej obecność i aby miała na nich oko. Niemniej jednak pieniądze zdecydowanie były mile widziane. A poza tym dobrze znać lekarza z kliniki, tak na wszelki wypadek. Katekar rozłożył swoją matę i poduszkę. Śalini gotowała, lubił, kiedy kręciła się po kuchni, usypiał go ten brzęk łyżek, szybkie ruchy noża, buzowanie płomieni na kuchence, radosne skwierczenie, kiedy wrzucała na patelnię garść goda masali. Odprężał się przy cichym ruchu powietrza z powoli obracającego się stołowego wentylatora. Z łatwością zapadał w drzemkę w ciągu dnia, magazynował sen, tak jak wielbłąd gromadził wodę. W życiu policjanta było to niezbędne. Westchnął przeciągle.

Kiedy się obudził, w kholi było ciemno, a z zewnątrz dochodziły odgłosy wieczornej krzątany. Przekręciwszy rękę, zobaczył, że jest wpół do siódmej.

– Gdzie są chłopcy? – zapytał. Nie musiał odwracać głowy, wiedział, że Śalini siedzi w drzwiach.

– Bawią się – odparła.

Usiadł i przetarł oczy. Kuchenka zagrzecgotała, pompowana przez Śalini, a potem ujrzał twarz swojej żony, jak brązowa wyłania się z cienia.

– Kłóć się – powiedział i nie musiał dodawać, że nie ma na myśli chłopców.

– Tak. – Amrytrao Pawar i jego żona Arpana mieszkali dwa kholi dalej, i już od chyba jedenastu lat nieustannie się kłócili, tak przynajmniej wydawało się sąsiadom. Cztery lata po ślubie Pawar znalazł sobie inną kobietę. Arpana odeszła, wróciła do swoich rodziców, ale zapewniano ją, że to tylko przelotny romans, że Pawar zostawił tę drugą kobietę i że to już skończone. Wróciła, ale potem ta druga kobieta urodziła dziecko i teraz Pawar utrzymywał dwa domostwa. On i Arpana nie chcieli się ani ugodzić, ani rozejść, natomiast ciągle się kłócili. Dla sąsiadów Arpany ta druga kobieta była wciąż tą drugą kobietą, przez tych jedenaście lat Arpana nigdy nie wymówiła jej imienia, a Pawar nigdy o niej nie opowiadał.

Katekar i Śalini wypili herbatę, siedząc naprzeciw siebie. Na leżący między nimi talerz nałożyła kande pohe, które on tak lubił.

– Wczoraj rozmawiałam z Bharti.

Bharti była jej młodszą siostrą, żoną handlarza złomem w Kurii. W złomie musiało być sporo pieniędzy, ponieważ Bharti zawsze ich odwiedzała w nowym sari. Kiedy przyjechała w zeszłym roku dzień przed Gudi-Parwą, miała na sobie nowe złote bransolety, imponująco grube i błyszczące, i przywiozła nie tylko całe sznury bataśi, ale również wielkie, pachnące paczki puranpoli i ćirote dla chłopców. Katekar obserwował swoich synów oblizujących lśniące, słodkie palce i patrzył na twarz żony, kiedy odkładała pudełka i otrzymane właśnie nowe sari, i dziwił się, że hojność może być najsubtelniejszą bronią, zwłaszcza w rywalizacji między siostrami. Pociągnął długi łyk herbaty.

– I co? – zapytał.



– Kupują również następny kholi – powiedziała Śalini.

– W ćaulu?

– A gdzieżby indziej?

Riposta nadeszła bardzo szybko i była bardzo ostra, a Śalini nie ustępowała przed jego lekko zdziwionym spojrzeniem. Teraz jej siostra i szwagier zburzą ściany, połączą pokoje i będą mieli dom na miarę swego poczucia wartości.

– Mają trójkę dzieci – powiedział Katekar. – Potrzebują miejsca.

Śalini prychnęła i sięgnęła po talerz z ciasteczkami.

– Co, te małe tapori potrzebują pałacu do mieszkania? – Wstała i zaczęła zbierać łyżki, podzwaniając miską. – Bharti zawsze była utracjuszką, nawet jako dziewczynka. Oni w ogóle nie myślą o przyszłości. Ich dzieci zejną na złą drogę, zobaczysz.

Kochała swoje siostrzenice i siostrzeńca, tuliła ich i dużo bardziej im pobrażała niż własnym synom, a Katekar zdawał sobie z tego sprawę. Włożył koszulę i spodnie. Tymczasem ona zdążyła już wyszorować garnek i odwiesić go na miejsce. Uśmiechnął się do niej.

– Wczoraj słyszałem dowcip – powiedział.

– Jaki?

– Pewnego razu Laluo Prasad Jadaw spotkał japońskiego biznesmena, który przyjechał do stanu Bihar. Japończyk powiedział mu: „Premierze–dzi, pański stan dysponuje wspaniałymi zasobami. Jeśli dacie nam wolną rękę na trzy lata, my zmienimy go w drugą Japonię”. Lalu popatrzył na niego bardzo zaskoczony i odrzekł: „A mówią, że wy, Japończycy jesteście tacy efektywni! Trzy lata?! Dajcie mi wolną rękę na trzy dni, a ja zmienię Japonię w drugi Bihar”.

– Niezbyt śmieszne. – Uśmiechała się jednak.

– Are – odparł Katekar – ta wasza rodzina w ogóle nie ma poczucia humoru.

Ten temat drażyli całymi latami: jego rodzina była rozrzutna, ale lubiła się bawić; jej była gospodarna, ale nudna. Te różnice znalazły odbicie w ich synach, Rohit wdał się w Katekara, a Mohit w matkę. Śalini myślała teraz o swoich dzieciach.

– Skończysz na tyle wcześnie, żeby wpaść do Patila?

Patii był krawcem, właścicielem warsztatu mieszczącego się dwie uliczki dalej, wciśniętego w długi wąski budynek, stojący na resztkach rozbitego muru i nieużywanego rynsztoku. Patii zasypał rynsztok, postawił tylną ścianę, położył dach i teraz zatrudniał przy maszynach do szycia dwóch pełnoetatowych krawców. To on szył chłopcom mundurki szkolne, porządne, na tyle mocne, że Mohit mógł nosić to, z czego wyrósł Rohit.

– Nie dzisiaj – odrzekł Katekar. – Odbiorę to jutro. Spodnie do kolan i koszula, tak?

– Tak – odparła Śalini. Jej złość ustąpiła. Spodobało się jej, że mąż pamięta, o co go prosiła.

Chmury na zewnątrz ułożyły się w cudowne, pomarańczowe warstwy. Było za wcześnie na deszcz, ale Katekar czuł go w powietrzu. Niebo przedstawiało niezwykły widok, ale nikt nie zatrzymywał się, aby je podziwiać. Katekar szedł szybkim krokiem przez plac zabaw, skracając sobie drogę do przystanku autobusowego. Myślał o seksie. Zaraz po ślubie z Śalini, zanim przyszedł na świat Rohit, był niezbyt wiernym małżonkiem. Z perspektywy czasu wyglądało to na jakieś gorączkowe szaleństwo, te wizyty w tancbudach i pieniądze wydawane na panienki, na brudne pokoiki, na taksówki późno w nocy. Śalini wówczas ledwo wyrosła z wieku dziewczęcego, a on co noc opuszczał głowę na łuk jej szyi, w uścisku jej

rąk na swoich ramionach odnajdując pożądanie równe jego własnemu, może bardziej dyskretne, ale równie natarczywe, równie ogniste. Wciąż jednak chodził do innych kobiet, do randi. Nie było ku temu żadnego powodu, jedynie palące pragnienie, które wzbudzały w nim obce, bezimienne brzuchy skryte pod tanim, przezroczystym nylonem. Był to przejaw jakiegoś powszechnego szaleństwa, na które godzili się wszyscy mężczyźni na świecie, a on przynajmniej zachował na tyle zdrowego rozsądku i wiedzy – nawet w tych dawnych czasach, kiedy same dziewczyny zaskakiwała jego ostrożność – aby zawsze używać prezerwatywy. Kiedy jednak urodził się Rohit, kiedy przytulił do piersi drobne ciało swojego syna i poczuł ogromny, nieodparty ciężar miłości, prawie niemożliwe się stało wydawanie ciężko zarobionych pieniędzy gdzie indziej. Pojawiły się nowe pilne potrzeby, najważniejsze wśród wszystkich pragnień: mundurek szkolny, książki, buty, olejek do włosów, kij do krykieta, wieczory przy plaży Ćaupati. Zdarzało mu się jednak powracać do tamtych kobiet, choć wiedział już, ile dziecięcego szczęścia mieści się w banknocie dwudziestorupowym, w dwóch kulfi spożywanych w promieniach zachodzącego nad spokojnym morzem słońca, chociaż miał dwóch synów i musiał dbać o ich przyszłe życie. Ale zdarzało się to rzadko, te kobiety można by policzyć na palcach jednej ręki, choć lat minęło dwa razy więcej. Ach, ci mężczyźni, mówiła czasami Śalini, jest w nich jakieś szaleństwo. Nigdy się nie odzywał, ale wielokrotnie chciał jej powiedzieć, że to szaleństwo drzemie w ich kościach, nie w sercach ani w głowach. Logika nie zawodzi, po prostu niekiedy słabnie, jest nieco zmęczona i chce sobie odpocząć. Ale ja walczę o ciebie.

Na maidanie, na ciasno stłoczonych pitchach wytyczonych pod kątem względem siebie, odbywał się chyba z tuzin meczów krykieta. Zawodnicy drużyn atakujących z różnych rozgrywanych aktualnie meczów obiegali się

nawzajem. Na tym wąskim kawałku ubitej żółtej ziemi, wciśniętym między mulistą nale, a tylną ścianę miejskiego śamsan ghatu, ganiało się, lekko licząc, kilkuset chłopców. Katekar szedł wzdłuż muru, prawym ramieniem ocierając się o skomplikowane zawijasy graffiti i porwane plakaty. Czasami martwił się, że dzieci bawią się pod murem, za którym płoną ciała, że kłębiący się dym brudnym popiołem opada na boiska. Ale miejsce do kremacji zwłok jest potrzebne, a dla graczy jedyną alternatywą był skraj basti, na otwartej drodze obok przejeżdżających samochodów. W każdym razie dzisiejszego dnia nie było ognia, nie było dymu. Tego dnia nie było już żadnych ciał. Mohit siedział na niewielkim wzgórku, obok sterty ćappali. Patrzył w stronę morza, rozmarzony i szczęśliwy, a Katekar poczuł, że coś ściska go w piersiach. Rohit był podobny do ojca – pewny siebie, praktyczny, często zabawny – ale to Mohit, zamyślony, zamknięty w sobie, przysparzał Katekarowi ogromnych zmartwień. Ambicja i gniew Rohita mogą ściągnąć na niego kłopoty, ale co będzie z tym małym, wrażliwym Mohitem? Co się stanie z taką delikatnością? Katekar kucnął przy synu.

– Nie grasz? – zapytał.

– Papo – Mohit wzruszył ramionami. Odwrócił wzrok i przygryzł dolną wargę, jak zawsze, kiedy był speszony.

– W porządku, synu – Katekar poklepał Mohita po ramieniu. Często mówił swoim synom, że sport kształtuje charakter. – Nie masz ochoty?

Mohit szybko pokręcił głową. Katekar chciał zapytać: „O czym teraz myślałeś? Co widziałeś w tym małym skrawku bladego horyzontu między budynkami?”. Uśmiechnął się jednak tylko i pogładził go po głowie.

– Gdzie jest twój brat?

– Tam.

Rohit był rzucającym. Cisnął szybką piłkę, trochę zbyt gwałtowną, ale nadał jej właściwą prędkość. Batsman zupełnie się z nią minął, ledwie ją

zdażył zauważyć, a łapiący gładko ją wychwycił i płynnym ruchem odesłał do Rohita. Rohit pobiegł z powrotem do bramki, rozluźniony, już myśląc o następnym podaniu. Był dobrym zawodnikiem, Katekar widział to po jego swobodnej i naturalnej pozie, po pewności siebie i naukowej precyzji, kiedy machnięciem ręki kazał podejść bliżej swoim graczom z pola, ty w lewo, jeszcze trochę, tak, tam. W tym momencie zobaczył ojca i nagle się zatrzymał. Przez moment Katekar dostrzegł, że syn jakby się wzdrygnął, zmarszczył brew, urażony, że mu się przeszkadza, że ojciec wtrąca się w jego sprawy. Zaraz potem uśmiechnął się i ruszył w jego stronę. Katekar machnął do niego, żeby wracał: rzucaj. Rohit wrócił na linię, wziął rozbieg, ale choć teraz jego ruchy były poprawne, piłka poszła na wide. Następna była krótka.

Katekar wstał.

– Mohit – powiedział. – Nie wracaj za późno do domu. Ucz się dobrze. Zobaczymy się jutro.

– Tak, papo – odrzekł Mohit.

Katekar uścisnął ramię syna i odszedł. Chociaż go kusiło, nie odwrócił głowy, żeby zobaczyć, jak Rohit radzi sobie w grze.

**W** nalocie na Delite Dance Bar uczestniczył również podinspektor Kamble.

– Będę waszym tajnym agentem – powiedział i głośno roześmiał się ze swojego dowcipu, ponieważ w Delite znano go lepiej niż niektóre z pracujących tam tancerek. Zawsze siedział w najlepszym, centralnym boksie przed parkietem, a w każdym jego rachunku pojawiały się specjalne rabaty. Siedząc w furgonetce jadącej do Delite, prezentował cudowny nastrój i sypał dowcipami. – Czy wiecie, jak można zmieścić trzydziestu mieszkańców Marwaru w maruti 800? Wystarczy wrzucić do środka

banknot sturupiowy. – Siedzący z tyłu furgonetki policjanci, w tym dwie kobiety, roześmiali się.

– Skąd u ciebie taki dobry humor, Kamble? – zapytał Sartadź. – Jak ci dzisiaj poszło?

Kamble pokręcił głową, przez chwilę siedział cicho, ale zaraz odzyskał radosny nastrój. Przez całą drogę towarzyszył im jego śmiech. Pod Delite, kiedy już zaparkowali furgonetkę i czekali na wyznaczoną godzinę, Kamble wyszedł z budynku, niosąc butelkę whisky i wodę. Odciągnął Sartadźa na bok, z dala od policjantów, i poprowadził go kawałek dalej ulicą. Ubrany był we wciśniętą w niebieskie džinsy białą koszulkę Benettona, z rękawami w zielone paski, i intensywnie pachniał mocną piżmową wodą po goleniu. Odchylił się do tyłu i podniósł jedną stopę, a potem drugą, ukazując imponująco skomplikowane i kolorowe adidas.

– Takie buty to jest coś, nie? – powiedział.

– Tak. Zagraniczne?

– Tak jest, szefie. Nike.

– Chyba kosztowne.

– Kosztowne to pojęcie względne. Kiedy masz kasę, koszty maleją. Nie masz pieniędzy, koszty rosną.

– A ty masz kasę?

Kamble, z głową opuszczoną nad szklanką, przyglądał się Sartadźowi przez chwilę.

– Założmy – rzekł w końcu. – Założmy, że bystry młody policjant ma jakiegoś khabari, bardzo użytecznego, który przynosi informacje tylko raz na jakiś czas, ale kiedy już przynosi, jest to ekdam pewna informacja.

– Kim jest ten khabari? Kto to taki?

– Mniejsza o khabari. To nieistotne. Istotne jest to, że inteligentny młody policjant dzisiejszego ranka dostał cynk: otóż pewien lokalny drobny

złodziejaszek, niejaki Adżaj Mota, ma schowane w swoim kholi kradzione telefony komórkowe. Są to zupełnie nowe telefony, rozumiesz, skradzione podczas włamania trzy dni temu, w sklepie w Kuria.

– Świetnie. I ten policjant idzie i aresztuje Adżaja Motę?

– Nie, nie, nie. To byłoby zbyt proste, szefie. Nie, ten khabari wie, gdzie mieszka Adżaj Mota. Ale policjant jeszcze nie zwija tego sukinsyna. Nie, on poświęca trochę czasu, ubiera się po cywilnemu, bierze tego khabarięgo, czeka w pobliżu basti Adżaja Moty, i każe khabariemu, żeby wskazał mu tego sukinsyna, kiedy on wychodzi z torbą na ramieniu. Jest w tym, oczywiście, pewne ryzyko: co by było, gdyby Adżaj Mota wybrał inną drogę? Ale wybrał. Policjant zostawia tego khabari i podąża za Adżajem Motą. Śledzenie w gęstym ruchu ulicznym to kolejne ryzyko. Nie jest to łatwe, ale policjant ma motocykl, Adżaj Mota jedzie zaś samochodem. Auto tego apradhięgo jedzie przez dziesięć minut, potem apradhi wysiada i wchodzi do sklepu. Dwadzieścia minut później wychodzi ze swoją torbą na ramieniu. I w tym momencie policjant go zatrzymuje, khata–khat, chwytą go za kołnierz, pokazuje mu rewolwer, wali po pysku, jesteś aresztowany, behenćodzie, będziesz mówić? I z miejsca policjant zaciąga go do tego sklepu, pcha go na zaplecze, a tam jest paser, przed którym leżą te skradzione telefony. I tak policjant aresztuje dwie osoby, odzyskuje skradzione rzeczy, a w torbie Adżaja Moty znajduje się czterdzieści tysięcy rupii.

– Tylko czterdzieści tysięcy? Ile tam było telefonów?

Kamble roześmiał się i opróżnił swoją szklanę, chwytając na wysunięty język kilka ostatnich kropeł. Był bardzo zadowolony.

– Mniejsza o to, ile tam było telefonów, sahibie Sartadżu – odparł, prostując się. – Najważniejsze, że źli ludzie zostali złapani – pokiwał

palcem. – Muszę znowu napełnić szkło, szefie. Ciągle muszę to robić. – I odszedł, nucąc coś sobie pod nosem.

Podczas nalotu Sartadź myślał o sukcesie Kamblego. On miał rację, źli ludzie zostali złapani. Sam Kamble wziął sobie sporą porcję gotówki, prawdopodobnie mniej więcej połowę z tego, co było w torbie, a może też jeden lub dwa telefony. Te pieniądze stanowiły nagrodę za wzorową służbę, za jego czujność i podejmowane ryzyko. Świetnie się dziś spisał i teraz świętował. Zasłużył na to.

Nalot na Delite przebiegał w sposób zorganizowany. W swoim biurze Śambhu ustawił szeregiem pięć dziewcząt czekających na aresztowanie. Jadły paję i żartowały sobie z policjantów i ich pałek, podczas gdy pozostałe wyszły na zewnątrz do umówionych, jak zawsze, taksówek, które odwiozły je do domów. Stanowiły efektowną i atrakcyjną grupkę dziewcząt, w większości młodych, a niektóre z nich były naprawdę śliczne, umalowane mocno jak gwiazdy filmowe i dumne ze swoich kształtnych talii.

Do Sartadza podszedł Śambhu, za nim w odległości kilku metrów zdążał Kamble. Byli kolegami, w podobnym wieku, obaj kulturyści, ale Śambhu miał szczupłą i rzeźbioną sylwetkę, a Kamble ciało zwaliste, zaokrąglone.

– W porządku, saab – odezwał się Śambhu. – Możecie je aresztować.

Jedna z policjantek stała przy furgonetce, a druga otworzyła drzwi Delite i zawołała dziewczyny. Aresztantki wyszły gromadą na ulicę i wsiadły do tyłu, chwiały się, wstępując na platformę, a ich eleganckie obcasy błyskały w czerwonym świetle neonu Delite.

– Nadal wybierasz się na tę swoją przechadzkę? – Katekar zapytał Śambhu.



– To wyprawa – odparł Śambhu. – Przechadzka jest wtedy, kiedy idziesz po pan do sklepu na rogu.

– Tak, na wyprawę, jedziesz tam?

– Jutro.

– Tylko nie spadnij z jakiejś góry.

– Tam jest bezpieczniej niż tutaj, szefie.

Sartadź obserwował Kamblego, który coś sobie nucił. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z wyprostowanymi ramionami i rozsuniętymi na boki łokciami. Sartadź obszedł go dookoła.

– Możesz powiedzieć temu młodemu policjantowi, że moim zdaniem to była dobra robota.

Kamble wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiem mu, szefie – odparł. Znowu zaczął sobie nucić i tym razem Sartadź rozpoznał tę piosenkę, „*Kja se kja ho gaja, dekhte dekhte*”. Kamble podniósł ręce, schylił głowę i zrobił kilka tanecznych kroków. „*Tum pe dii a gaja, dekhte dekhte*”<sup>5</sup>.

– Zbieramy się – oznajmił Katekar. – Jedziesz z nami?

– Nie – odparł Kamble. Ruchem głowy skinął w stronę Delite. – Jestem umówiony.

Nie wszystkie dziewczyny w Delite zostały aresztowane, nie wszystkie też pojechały do domu.

– Baw się dobrze – powiedział Sartadź.

– Zawsze dobrze się bawię, szefie – odrzekł Kamble.

Sartadź klepnął dłonią w bok furgonetki i odjechali.

– Sahibie Sartadźu – usłyszał krzyżącego za nim Śambhu. – Pan też może się dobrze bawić. Raz na jakiś czas trzeba się zabawić. Zabawa to dobra rzecz. – Kamble śmiał się, Sartadź słyszał ten jego śmiech.

Dopiero po przyjeździe na komisariat zorientowali się, że zamiast pięciu, aresztowali sześć tancerek. Dziewczyny siedziały rzędem na ławce w pokoju przesłuchań i wtedy Sartadź zdał sobie sprawę, że jest ich sześć, a tą dodatkową jest Manika. Spuściła głowę i patrzyła na niego z fałszywą skromnością, z założoną na głowę ćunni, wlepiając w niego ogromne, ciemne oczy, obraz prawdziwej skromności, a pozostałe dziewczyny wybuchły śmiechem. Sartadź wziął głęboki oddech i wyszedł z pokoju.

– Chyba w ten sposób Kamble i Śambhu rozumieją zabawę – powiedział do Katekara.

– Panie komendancie, ja z tym nie miałem nic wspólnego – odparł Katekar.

Powiedział to z tak poważną miną, że Sartadź uwierzył w jego słowa.

– Przysyłaj je pojedynczo. Będę w gabinecie.

– Tak jest, pojedynczo.

Katekar stał przy drzwiach, policjantki wprowadzały kolejno dziewczyny, a potem wycofywały się do drzwi. Sartadź zapisywał imiona i nazwiska: Sunita Singh, Anita Pawar, Rekha Kumar, Nina Sanu, Śilpa Cawla. Wszystkie od razu podawały mu nazwiska, odprężone i zupełnie niespieszone jego osobą, pewność siebie traciły dopiero, kiedy wyjmował zdjęcia z albumu Gaitondego i pokazywał im je, jedno po drugim. Wtedy wszystkie kręciły głowami, zdecydowanie i z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie, nie, nie – mówiła Śilpa Cawla, kiedy pokazywał jej kolejne fotografie młodych kobiet, kusząco uśmiechniętych w łagodnym świetle.

– Zanim powiesz nie, najpierw spójrz na zdjęcie – polecił Sartadź. Palcem wskazującym postukał w postać młodej kobiety w niebieskim kapeluszu. – Spójrz na nią.

– Nie znam jej – odparła Śilpa Cawla przez zaciśnięte zęby. Kiedy pokazał jej zachowaną na sam koniec fotografię martwej kobiety, Śilpa

Cawła odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona. – Dlaczego mnie wypyujesz? Dlaczego mi to wszystko pokazujesz? Nie mam pojęcia, kto to jest. – Silpa Cawła, o pseudonimie zapożyczonym od dwóch gwiazd, była oburzona, zła i przerażona, a Sartadź nie miał żadnych dowodów, że dziewczyna kłamie.

– Dobra – powiedział do Katekara. – Dawaj tu Manikę.

Była starsza od pozostałych, może nawet przekroczyła trzydziestkę, chociaż trzeba było bardzo dokładnie się przyjrzeć, żeby to zauważyć, ale nawet wtedy jej wiek przejawiał się głównie nieco znużoną pewnością siebie, śmiałym wypięciem piersi do przodu i tym nieskrywanym zainteresowaniem jego osobą. Stojący przy drzwiach Katekar i policjantki wymieniali znaczące uśmiechy, a Sartadź cieszył się, że są zbyt daleko, żeby słyszeć, co mówi Manika.

– How are you? – zapytała po angielsku.

– Chciałbym zadać ci kilka pytań – odparł Sartadź w języku hindi, urywanymi słowami.

– Pytaj – stwierdziła. Była ciemna, szczupła i bardzo wysoka, mogła mieć z pięć stóp i osiem cali wzrostu, i choć nie należała do idealnych piękności, dołeczki w jej policzkach, wysunięty podbródek i niezmiernie żywe spojrzenie powodowały, że Sartadź się peszył.

– Czy znasz te kobiety?

Przerzucała fotografie, dokładnie przyglądając się każdej z nich.

– Och – powiedziała przy trzeciej. – Ale brzydka bluzka. Tylko spójrz na te falbany przy rękawach, wygląda jak trefniś. Tak poza tym to jednak zupełnie ładna dziewczyna. Ktoś powinien ją nauczyć, jak się ubierać.

– Znasz ją?

– Nie – odparła Manika i wyjąwszy mu z ręki pozostałe zdjęcia, rozsiadła się wygodnie na krześle. Miała na sobie czarne ghagra coli ozdobione

srebrnymi cekinami, tak gęsto ponaszywanymi z przodu, że zdawały się tworzyć zbroję na cienkiej tkaninie. Tylko ona przysłała w swoim tanecznym stroju.

– Kim są te kobiety, sahibie inspektorze? – Teraz znowu była uwodzicielska. – Czy to dziewczyny, z którymi chciałbyś się zapoznać?

– Znasz którąś?

Milczała, a jej dłonie przestały się poruszać. Sartadź wiedział, że Manika patrzy na zdjęcie martwej kobiety.

– Znasz ją? – Pokręciła głową. – To bardzo ważne, żebyś mi powiedziała, jeśli ją znasz.

– Nie, nie znam jej. Co się z nią stało?

– Została zamordowana.

– Zamordowana?

– Zastrzelona.

– Przez mężczyznę?

– Tak, przez mężczyznę.

Odłożyła fotografie na biurko, obrazkami do spodu.

– Oczywiście, że przez mężczyznę. Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle wami się przejmujemy. Naprawdę nie wiem.

Sartadź słyszał dochodzące z korytarza buczenie światełek oraz dalekie dźwięki kroków przed komisariatem.

– Masz rację – powiedział. – Ja też na ogół tego nie wiem.

Uniosła brwi, jakby oceniając go z niedowierzaniem, ale nie czuło się w tym wrogości, jedynie jakieś znużone nieprzekonanie.

– Czy mogę już iść? – zapytała cicho.

– Tak. Jakie nazwisko mam zapisać?

– Jakie chcesz.

Zaczął pisać, ale przerwał, gdy wstała. Ćunni zsunęła się z jej ramion, kiedy się odwracała, i zobaczył, że coli związane jest na plecach czarnymi sznureczkami, podkreślając piękne kształty jej łopatek i długą, brązową kolumnę pleców. Pomyślał, że kręcąc piruety na parkiecie, na pewno strzela oczami w kierunku siedzących w boksach i wpatrujących się w nią w ciemnościach mężczyzn.

– Powiem ci – odezwała się od drzwi. Zdążyła zrobić zaledwie cztery kroki, ale już powrócił ten jej uśmiech, zawadiacka ironia.

– Co mi powiesz?

Wróciła do biurka, odkryła zdjęcia wizerunkiem do góry i, zaczynając od martwej kobiety, pstryknięciem długiego czerwonego paznokcia odsuwała fotografie na bok, drugą ręką przytrzymując ćunni przy piersiach.

– Ta – powiedziała.

– Co z nią?

– Będziesz musiał być dla mnie bardzo miły – powiedziała. – Na imię ma Kavita, a przynajmniej tak mówiła, kiedy tańczyła w Pritam. Przestała tańczyć, bo zagrała jakieś rólki w filmach wideo. Potem słyszałam, że zdobyła rolę w jakimś serialu. Mieszkała wtedy w Andheri East, jako sublokatorka. Ta Kavita zawsze miała dużo szczęścia. Rzadko się zdarza, żeby któraś z nas zaszła tak daleko.. Nawet jednej na tysiąc się to nie udaje. Jednej na dziesięć tysięcy.

– Kavita. Jesteś pewna, że to ona? To jej prawdziwe imię?

– Oczywiście, że jestem pewna. A czy jest to jej prawdziwe imię, sam już będziesz musiał ją zapytać. Będziesz miły?

– Oczywiście, że tak.

– Kłamiesz, ale jesteś mężczyzną, więc ci wybaczam. Czy wiesz, dlaczego ci to powiedziałam?

– Nie.

– Mężczyzna, który to zrobił, to rakszasa. Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, ty też jesteś rakszasa. Ale może ty złapiesz tamtego rakszase. I go ukarzesz.

– Może – odparł Sartadź. Mężczyzna, który to zrobił, został już złapany, ale i tak się wymknął, a co do kary, to inspektor nigdy nie wiedział, czy jest zbyt wielka, czy zbyt mała. Ja ich łapię, bo taka moja rola, a oni uciekają, bo taka ich rola, i świat się kręci. Ale nie mógł tego tłumaczyć Manice, powiedział więc: – Dzięki.

Kiedy już wyszła, kiedy już wsadzili je wszystkie do furgonetki i odesłali do domu, Sartadź podrzucił Katekara na róg Śriram Road, w pobliże jego mieszkania. Katekar uniósł dłoń do piersi i odwrócił się, a wtedy Sartadź zapytał:

– Jak wygląda rakszasa?

Katekar nachylił się do okna.

– Nie wiem, sir. W telewizji mają długie czarne włosy i rogi. A czasami spiczaste zęby.

– I co, chodzą i jedzą ludzi?

– Wydaje mi się, że to ich główne zajęcie, sir.

Obaj się roześmiali. Po całym dniu pracy udało im się dokonać małego postępu w prowadzonym śledztwie, byli więc zadowoleni.

– Przydałoby się coś takiego podczas przesłuchań – powiedział Sartadź.

– Rogi i zęby jak u wilka.

W drodze do domu przyszło mu jednak na myśl, że skoro większość przesłuchiwanym przez niego ludzi jest tak przestraszona, może on już ma zbyt wielkie kły. To widok munduru ich tak przerażał, przywołując powtarzane od pokoleń opowieści o brutalności policji. Nawet ludzie potrzebujący pomocy zachowywali ostrożność podczas rozmów z policjantami, a ci, którzy pomocy nie potrzebowali, starali się zachowywać

aż nazbyt przyjaźnie, na wypadek gdyby mieli jej kiedyś potrzebować. Policjanci byli potworami, żyjącymi z daleka od innych ludzi. Ale Parulkar powiedział kiedyś Sartadźowi: „Jesteśmy dobrymi ludźmi, którzy muszą być źli, żeby zachować kontrolę nad najgorszymi ludźmi. Bez nas nic by tu nie zostało, byłaby tylko dżungla”.

Niska żółta mgła przesuwała się za mijanymi budynkami. Na ulicach panowała cisza. Sartadź wyobraził sobie, jak te miliony mieszkańców teraz śpią, bezpieczni przez kolejną noc. Ten obraz sprawiał mu satysfakcję, lecz nie tak wielką, jak niegdyś. Nie wiedział, czy to dlatego, że teraz jest w większym stopniu rakszasa, czy może w mniejszym. Ale miał do wykonania pracę i ją wykonał. Teraz potrzebował snu. Pojechał do domu.

## Ganeś Gaitonde zdobywa ziemię



Zająłem teren między N.C. Road a wznoszącym się nad nią wzgórzem. Znasz basti Gopalmath, od N.C. Road aż na samą górę i szerokie na sześć kilometrów, od Sindh Čauk do skrzyżowania G.T.? W tym czasie był to zupełnie pusty teren, jałowa ziemia pokryta chwastami i krzakami – po prostu tereny miejskie. Właścicielem było państwo, czyli nikt. A ja to sobie wziąłem.

Wiesz, jak to się robi, Sartadź. To łatwe. Opłacasz trzech ćutija we władzach miasta, odpowiednio smarujesz, a potem zabijasz lokalnego dadę, któremu wydaje się, że należy mu się jakiś procent od twoich poczynań, jakby to było jakieś przysługujące mu z urodzenia behenćodowe prawo. I już. Ziemia należy do ciebie. Wziąłem ją więc i była moja.

Ze sprzedaży złota miałem pieniądze. Paritosz Śah, ten pochodzący z Gudżaratu grubas, poradził mi, żebym wszystkie włożył w jakiś interes: tu kupić, tam sprzedać.

– Wciągu roku mogę ci podwoić tę sumę – powiedział – a nawet potroić.  
– Wiedział dokładnie, ile mam, ponieważ to on kupił ode mnie całe złoto.

Leżał elegancko rozłożony na gaddzie, z jedną poduszką pod ramieniem, drugą pod kolanami, a ja go słuchałem. Rozważyłem ten pomysł, ale w głębi duszy czułem, że człowiek jest niczym, jeśli nie ma ziemi. Można marzyć o miłości, o przyjaźni, o pieniądzach, ale ostatecznie jedyną wartościową rzeczą na tym świecie jest ziemia. Na ziemi można polegać.

– Paritosz–bhai – powiedziałem w końcu. – Ufam ci, ale pozwól, że zrobię to po swojemu.



Uważał mnie za głupca, ale ja już wcześniej widziałem tę ziemię, przemierzyłem ją wzdłuż i wszerz i wiedziałem, że to odpowiednie miejsce, przy drodze i niedaleko dworca kolejowego. Daliśmy więc pieniądze władzom miejskim, jednemu urzędnikowi i dwóm kierownikom, i ziemia była już moja, mogłem się na niej budować.

Wtedy pojawił się problem z Anilem Kurupem. Wykarczowaliśmy krzaki, ludzie mojego wykonawcy wykopali ziemię pod fundamenty na kholi i właśnie czekaliśmy na ciężarówkę z cementem, kiedy chłopcy Anila Kurupa zatrzymali ją, zaraz po zjeździe z głównej drogi, i zabrali do wioski Gopalmath, leżącej jakąś milę dalej. Nie zobaczyliśmy już naszego cementu, dostaliśmy natomiast kartkę papieru z numerem telefonu.

– Jesteś baćca znikąd – wrzeszczał do mnie Anil Kurup, kiedy do niego zadzwoniłem. – I wydaje ci się, że możesz wejść do mojej wioski i napluć mi w twarz. Maderćód, tutaj bez mojej wiedzy nikt nie sprzedaje nawet kury. Wsadzę ci tę ciężarówkę cementu w twój gand i odeślę cię do tego rynsztoka, z którego przyszedłeś.

Starłem się zachować spokój i poprosiłem o dzień do namysłu. Sklął mnie jeszcze od ostatnich i w końcu kazał mi zadzwonić nazajutrz. Miał rację, oczywiście. Dorastał w Gopalmacie i to był jego teren, co do tego nie było wątpliwości, rządził tu jak król. Niewiele było w tym jego radź, tylko kilka sklepików, jakiś warsztat, może dwa, niemniej należało to do niego.

Cztery dni później wybrałem się na spotkanie się z nim do Gopalmathu. Zabrałem ze sobą Ćhotę Badriję. Pamiętasz tego wielkiego osiłka Badriję, goryla Paritosza Śaha? Otóż ten Ćhota Badrija był jego młodszym bratem. W rzeczywistości nazywał się Badrul–Ahmed, jego starszy brat miał zaś na imię Badruddin, a to dlatego, że pewien pir bractwa sufich powiedział ich ojcu, że powinien synom dać imiona zaczynające się od „Ba”, ponieważ zapewni to im sukcesy i dobrobyt. Mieli więc te swoje wyszukane długie

imiona, ale dla nas zawsze byli po prostu Badriją i Čhota Badriją. Z Badriją spotykałem się za każdym razem, kiedy odwiedzałem Paritosza Śaha, i przypadliśmy sobie do gustu, gdy więc zaczynałem swoje przedsięwzięcie, poprosił mnie, żeby wziął do siebie jego młodszego brata, który powinien wejść w życie. Okazało się, że Čhota jest jeszcze potężniejszy, większy niż starszy brat, po prostu wielki jak góra. Był dobrym chłopakiem, dobrze ułożonym i posłusznym, cieszyłem się więc, że będzie mi towarzyszył. „Twoja prośba jest dla mnie rozkazem” – powiedziałem jego bratu.

Tego popołudnia jednak, spotykając się z Anilem Kurupem, chciałem odmówić i zachować to, co moje. Poszliśmy z Čhotą Badriją do Gopalmathu, wówczas smutnego, małego śmietniska, jedna katćca droga, skupisko ruder w otoczeniu palm i pól oraz kilka sklepów przy głównej ulicy. Anil Kurup czekał na nas na tyłach dhaby tuż przy głównej ulicy, w jedynym wówczas miejscu w całym Gopalmacie, w którym był telefon.

Jego ludzie przeszukali nas, zabrali nam ghory, które zrobiły na nich duże wrażenie. Chyba nie spodziewali się, że przyjdziemy z bronią. Było ich pięciu. Poprowadzili nas przez drzwi do pokoju na zapleczu, obok wielkich karhai wypełnionych smażącymi się puri i bhadźija. Anil Kurup siedział przy stole i pił piwo. Była dopiero druga po południu, a ten wstrętny sukinsyn miał już czerwone oczy i bekał. Miał grube wargi, włosy opadały mu na czoło, a na nogach nosił białe ćappale. Na stole przed nim położyłem, zawinięte w gazetę, dwadzieścia tysięcy w gotówce.

– To za mało – powiedział.

– Bhai – odparłem. – Resztę dam wkrótce, w przyszłym tygodniu, obiecuję. A to przyniosłbym wcześniej, tylko nie wiedziałem.

– Co z ciebie za bezmózgi behenćod? – zapytał. – Nie sprawdzasz, co to za teren, na który wkraczasz, i zaczynasz kopać?

– Przepraszam – odrzekłem. I tylko wzruszyłem ramionami, uniżony i bezradny.

Roześmiał się na moje słowa, plując piwem na stół.

– Siadajcie – powiedział. – Obaj. Piwa?

– Może tylko ćaj, Anil bhai – odparłem.

– Jeśli ja proponuję, macie napić się piwa.

– Tak, Anil bhai.

Ponownie się roześmiał, a znajdujący się w pomieszczeniu trzej jego ludzie natychmiast mu zawtórowali. Podano nam piwo, każdemu wręczono butelkę i szklanekę, i zabraliśmy się do picia.

– Skąd jesteś, baćca? – zapytał.

– Z Nasiku.

– Trzeba wychować się w Mumbaju, żeby wiedzieć, jak się sprawy mają – rzekł. – Nie można tak przychodzić i zachowywać się jak ćutija, bo skończysz z mózgiem na drodze.

– Tak, Anil bhai – odparłem. – Badrija, pan ma absolutną rację – dodałem. – Musimy słuchać, co mówi Anil bhai.

Anil Kurup był nadęty jak dobrotliwa ropucha.

– Are, przynieście nam jakieś bhadźija – rozkazał. – I jajka.

Dwaj chłopcy stanęli na baczność i wybiegli z pokoju. Pozostał tylko jeden, podpierający ścianę po mojej prawej stronie.

– Bhai, chciałbym poprosić o radę – odezwałem się.

– Pytaj, pytaj.

– Chodzi o władze miejskie i o wodę. – Podrapałem się po nosie.

W tym momencie Chota Badrija stracił swoją butelkę piwa ze stolika.

– Moderćod – zaklął i schylił się. Podniósł się błyskawicznie, w mgnieniu oka wstał i pochylił do przodu, a jego ręce znalazły się po drugiej stronie stołu tak szybko, że zanim można było połapać się, co się dzieje,

Anil Kurup kołysał się na krześle, a z jego prawego oka wystawała drewniana rączka.

Trzymaną w ręce butelkę rozbiłem na twarzy gościa po prawej. Zakwiczał i skulił się, a ja przeszedłem obok niego i zatrzasnąwszy drzwi, zaryglowałem je i całym ciałem oparłem się o nie. Wiedziałem, że żaden z ludzi Anila Kurupa nie ma broni, a nasze ghory nie były naładowane, więc nie obawiałem się, że jakaś kula mogłaby przebić się przez drzwi, jedynie ci głupcy Anila Kurupa w nie walili, wrzeszcząc jak opętani.

– Uspokójcie się – krzyknąłem do nich. – Przestańcie! Praszant. Wind. Amar. On nie żyje. Anil Kurup nie żyje. A na zewnątrz są nasi ludzie i jeśli nas zabijecie, to oni was wszystkich też pozabijają. Znam wasze imiona. Znam imiona was wszystkich, a moi ludzie wiedzą, kim jesteście. Nas możecie dorwać, ale oni was wszystkich zabiją. Amar, po prostu cofnij się i zastanów się nad tym. On nie żyje.

Anil Kurup był martwy, krew spływała mu po policzku. Kiedy znaleźli nasze pistolety, przestali nas przeszukiwać, a Ćhota Badrija pod nogawką spodni ukrył szpikulec, taki jak do rozbijania lodu, umocował go sobie po wewnętrznej stronie lewej nogi za pomocą trzech kawałków plastra. Ćhota Badrija był aż nazbyt silny, a kiedy wbił ten szpikulec prosto w prawe oko Anila Kurupa, zrobił to ze wszystkich sił, napierając całym ciałem. Był bardzo szybki i nic na to nie mogli poradzić. Dopiero później, kiedy ich szef już nie żył, mogli nas zabić. Ale ja ich zakrzyczałem. Powiedziałem, że uczynię ich bogatymi, że Anil Kurup był tylko głupim sukinsynem, że od lat ich okradał i oszukiwał, że skoro teraz nie żyje, głupotą z ich strony byłoby za niego umierać. A gdyby spróbowali nam coś zrobić, zginą nieuchronnie, moi chłopcy przyrzekli, że mnie pomszczą. Powiedziałem im, żeby wyjrzeli na zewnątrz, a tam, po drogiej stronie drogi, oczywiście stała szóstka moich ludzi.

Wyszliśmy z tego żywi, Čhota Badrija i ja, i znowu mieliśmy swoje pistolety pod koszulą.

– Ależ to była mówka, Ganeśu bhai – powiedział Čhota Badrija, kiedy już opuściliśmy Gopalmath. A potem się uśmieł. Musiał zatrzymać się na środku ścieżki, opuścił głowę, oparł dłonie na kolanach i się śmiał. Walnąłem go w plecy i uśmiechnąłem się. Dokonaliśmy tego. Naprawdę to zrobiliśmy, Sardardzi. Jeśli zapytasz o historię Ganeśa Gaitondego, wszyscy zaczną od tego miejsca, od tej dhaby w Gopalmacie. Zdaję sobie sprawę, że opowieść o tym, jak zabiłem Anila Kurupa, była już tyle razy powtarzana, że nie wydaje się prawdziwa. Pojawiła się w pięciu różnych filmach, a w ostatnim miałem to zrobić – to znaczy postać oparta na mojej osobie – małym pistoletem przypiętym do kostki. Ale to wszystko tak właśnie wyglądało. I wydarzyło się to naprawdę, choćby wydawało się nie wiadomo jak nieprawdziwe po tylokrotnym powtarzaniu.

Wiadomość o moim zwycięstwie nad Anilem Kurupem rozeszła się po okolicy i ludzie zaczęli przychodzić do mnie, żeby załatwić różne sprawy, żebym dał im pracę i zapewnił ochronę, pomógł im w kontaktach z policją i lokalnymi władzami. Moja wojna z nim była krótka i bezwzględna, i dopiero kiedy było już po wszystkim, zdałem sobie sprawę, że musiałem ją stoczyć nie tylko dla tego terytorium, ale również dla uprawomocnienia swojej władzy. Teraz byłem znany jako Ganeś Gaitonde z Gopalmathu i nikt nie mógł zakwestionować mojego prawa pobytu w tym mieście. Odniosłem sukces na kilku frontach.

Ale dlaczego odniosłem sukces? Wygrałem, ponieważ zanim poszedłem do domu Anila Kurupa, dowiedziałem się wszystkiego o tym człowieku. Znałem jego przeszłość, jego mocne strony, wiedziałem, jakiej broni używa, jak nazywają się jego poplecznicy i jak długo z nim są. Poświęciłem czas na to, żeby go sprawdzić, wszystkiego się o nim dowiedzieć, a on – ten

arogancki gandu – nic o mnie nie wiedział. Dlatego też wygrałem. Ale dlaczego Ćhota Badrija poszedł za mną w paszczę śmierci? Ledwo mnie znał, wiedział, jak szaleńczo ryzykowny jest mój plan, a jednak ze mną poszedł. Mogę ci powiedzieć, że poszedł ze mną, bo mu kazałem. Większość ludzi ma taką potrzebę, żeby ktoś nimi kierował, a niewielu jest tych, którzy potrafią przewodzić. To ja miałem problem, ja musiałem dokonać wyboru i ja podjąłem decyzję. To ja postanowiłem, a Ćhota Badrija i inni podążyli za mną. Ci, którzy nie potrafią podejmować decyzji, są podatną gliną w rękach tych, którzy to robić potrafią. Uczyniłem ze swoich ludzi broń twardą jak diament i zbudowałem basti w Gopalmacie. Nie skąpiłem na materiały ani też na samą budowę, zgodnie z planem postawiliśmy bardzo solidne, przestronne i bardzo pakka kholi. Wystarczyło na nie popatrzyć, dotknąć solidnych cegieł i tynku, z miejsca widać było, że te domy przetrwają, że nawet w najcięższe monsuny te uliczki nie zostaną zalane. Rozeszła się wieść: Ganeś Gaitonde nie rozrzęcza cementu piaskiem, daje towar wart swojej ceny.

Gopalmath szybko się zapełniło, ludzie czekali w kolejce na te kholi, zanim je skończyliśmy, zanim uprzątnięto teren, zanim jeszcze wyobraziliśmy sobie rzędy domów. Basti rozprzestrzeniało się po jednej i po drugiej stronie drogi, wspinało się na wzgórze, zdawało się rosnać z dnia na dzień. Od samego początku mieliśmy tu przedstawicieli Dalitów i OBC, Marathów i Tamilów, braminów i muzułmanów. Społeczności zamieszkiwały blisko siebie, uliczka przy uliczce. Ludzie lubią przebywać obok tych, których znają, ciągnie swój do swego, i nawet w tej gęstwinie całych krórów zamieszkujących to miasto, w tej dżungli, gdzie człowiek może stracić imię i stać się kimś innym, nawet najniżsi z najniższych szukają sobie podobnych, aby wraz z nimi żyć w dumnej publicznej nędzy. Dostrzegłem to i wydało mi się dziwne, że spośród tysięcy ludzi nikt nie ma

odwagi żyć samotnie. Ale było mi to na rękę, oni się tłoczyli i spośród nich zebrałem ludzi, którzy utworzyli moją firmę. Nazwano nas Firmą Gaitondegó albo Firmą G i szybko zdobyliśmy sławę. Nie trafiliśmy jeszcze do gazet, ale znali nas mieszkańcy basti na północy i na wschodzie Mumbaju, a także policja i inne firmy.

Zaczęły przychodzić do mnie matki.

– Ganeśu bhai, praca na poczcie dla mojego syna – prosiła jedna.

– Umieść go gdzieś, Ganeśu bhai – mówiła inna – sam wiesz najlepiej.

Chcieli pracy, sprawiedliwości i błogosławieństwa. A ja dawałem im to wszystko, do tego zaś wodę i elektryczność dostarczaną przez druty przeciągnięte od linii biegnących w pobliżu głównej drogi. Mieszkałem u stóp wzgórza Gopalmathu, w pakka domu, w którym znajdowały się dwie sypialnie i wielki centralny przedpokój, a każdego ranka na schodach zbierał się tłum osób szukających pomocy, petentów, kandydatów oraz, a jakże, wyznawców. Przychodzili prosić o różne rzeczy i aby mi się pokłonić.

– Chcieliśmy tylko ujrzeć twój darśan, Ganeśu bhai – mówili niektórzy, więc im to umożliwiałem, a oni patrzyli na mnie, splatali dłonie i wycofywali się, zabierając ze sobą dobre słowo dla ochrony przed określonymi nieszczęściami w przyszłości. Ja również otrzymywałem od nich błogosławieństwa, a także pieniądze, gotówkę od kupców, sklepikarzy, właścicieli warsztatów i właścicieli dhab z całego rejonu; a my ochranialiśmy ich oraz ich dobytek. Przychodzili do mnie skłóceni biznesmeni, a ja wysłuchiwałem wszystkich stron sporu i wydawałem werdykt, sprawiedliwy i obowiązujący od zaraz. Egzekwowali go moi ludzie, czasami siłą, jeśli było trzeba, i za ten mandwali, a także za to, że mogli uniknąć wiecznego i bezużytecznego włączania się po sądach, wszyscy uczestnicy zatargu płacili mi procent od spornej kwoty. Pieniądze

napływały i wypływały. Po ośmiu miesiącach zatrudniałem trzydziestu siedmiu ludzi, głównie, co prawda, zabijaków, ale miałem też innych, do załatwiania różnych spraw, oraz takich, którzy zajmowali się ludźmi z policji, ludźmi z władz miejskich i ludźmi z zakładu energetycznego. Naturalnie wyczuwałem coś, czego nigdy nie musiał uczyć mnie Paritosz Śah, wiedziałem, że aby zarobić pieniądze, trzeba wydawać pieniądze. Miałem dobre układy z inspektorem, który nadzorował nasz rejon z ramienia komisariatu G.T. Nazywał się Samant, co tydzień spotykaliśmy się z jego podinspektorami i podsuwaliśmy im koperty. Daliśmy im wiele tysięcy, ale to były tylko pieniądze. Szczodrze je wydawałem i coraz więcej do mnie przyplęwało.

Tego roku świętowaliśmy Diwali z rozwieszonymi wzdłuż wszystkich głównych uliczek sznurami lampek elektrycznych, z wielkim podium na centralnym ćauku, ze śpiewaniem bhadźanów i z mithai, a na koniec, po zapadnięciu ciemności, stanąłem w bramie swojego domu i rozdawałem dzieciakom z basti całe kosze bomb, rakiet i phuldźari. Niebo nad Gopalmath roziskrzyło się kaskadami złotych i srebrnych strumieni, a odgłosy detonacji oznajmiały powrót dobra i zwycięstwo cnoty nad śmiercią. Mój dom rysował się na tle nieba migoczącymi punktami światła, w ciemnościach nie widziałem ścian, ale płomienie z setek dijas mówiły mi, że mam własne miejsce, swoją ziemię, i czułem, że jestem w domu. Kiedy tak stałem, przyszedł do mnie Paritosz Śah, z Kanta Bai i Bada Badriją, i wciągnął mnie do środka.

– Powitajmy Lakszmi – powiedział.

Usiedliśmy na dwóch zsuniętych gaddach i graliśmy w karty. Powiedziałem, że niezbyt radzę sobie z kartami.

Kanta Bai roześmiała się.



– Ganeśu Gaitonde, nigdy nie spotkałam bardziej szalonego gracza niż ty. I ty mówisz, że nie potrafisz grać w tinpatti? Jak to możliwe? Ale ja cię nauczę. – Siedziała po turecku z poduszką na kolanach, na których spoczywały jej łokcie, kiedy bardzo szybko tasowała karty. Furkotały pod jej palcami. – Paritoszu bhai, wyciągnij no coś dobrego – poleciła.

Musieliśmy posłać po lód, a trzech chłopaków poszło na bazar Wjas, gdzie wyciągnęli z restauracji właściciela sklepu z artykułami gospodarstwa domowego Parthiw, żeby otworzył swój kram, ponieważ Paritosz Śah nie mógł pić Johnnynego Walkera ze stalowych kubków, a ja nic innego nie miałem. Wyjął przyniesione przez moich chłopaków lśniące nowe szklanki i powiedział, że wcale nie są takie złe. Kiedy uniosłem swoją szklankę w dłoni, przejechałem palcem po ostrych krawędziach wzoru na ścianie, poczułem masywność szkła i musiałem przyznać, że ma rację. W tym momencie wiedziałem już, że dobre trunki należy pić z odpowiedniego szkła. Paritosz Śah podniósł szklankę i lekko nią potrząsnął, trzymając ją tuż przy swojej uśmiechniętej twarzy.

– Szefie, posłuchaj tego dźwięku – powiedział. – Posłuchaj, posłuchaj. – Uniosłem szklankę do ucha i kiedy nią potrząsnąłem, usłyszałem delikatną, doskonałą muzykę, wygrywaną przez lód uderzający o szkło. – Cheers – wzniósł toast Paritosz Śah. Zawahałem się, to było angielskie słowo, które już wcześniej słyszałem, ale nigdy go nie używałem.

– Chee–yers – powtórzył Paritosz Śah.

– Cheers – odparłem.

Kanta Bai roześmiała się i rozdała karty.

Pociągnąłem łyczek Johnnynego Walkera i nagle to wszystko mi się spodobało, smak napoju, lód na zębach, zimna, gładka powierzchnia pod dolną wargą.

– Cheers – powiedziałem raz jeszcze, i zrozumiałem, że do Johnnynego Walkera potrzebny jest zupełnie inny dom, zupełnie nowa sceneria.

Graliśmy w karty. Przez całą noc przegrywałem. Banknoty przechodziły z mojej strony na ich stronę, ale byłem szczęśliwy. Wiedziałem, że do mnie wróca, niech Lakszmi odejdzie w szczęściu, nie obawiaj się, ona wraca, obdarzając cię błogosławieństwem, bierze cię na kolana i przytula, jak syna. Szczęście Lakszmi polega właśnie na tym odchodzeniu i przychodzeniu. Ciskaliśmy więc kartami na stół, i choć pieniądze wypływały z moich rąk, ja byłem zadowolony, powrócą pomnożone i większe, przyjdą od Paritosza Śaha i z jego interesów, z tych jego znajomości wśród wszystkich okolicznych biznesmenów, którzy dorobili się fortuny, którzy jedli i pili w moim królestwie i od których należny był mi hołd, od Kanta Bai, z tego jej samogonu satrangi, oraz od tych setek ludzi, którzy to pili, i od kolejnych tysięcy, którzy będą to pić, jeśli tylko ja jej pomogę, a cała ta noc Diwali była wspaniała. Ktoś włączył magnetofon i popłynęły słowa piosenki, *dżab tak he dżan, dżan–e dżahan*<sup>6</sup>, z zewnątrz dochodziły wybuchy i długie, histeryczne stukotanie całych ladhi petard, a myśmy grali, krąg graczy wciąż się powiększał, Paritosz Śah opowiadał dowcipy, później przyjechał inspektor Samant i przyłączył się do nas, pokazał nam, jak się gra w paplu, a kiedy pallu Kanty Bai zsunęło się z jej ramienia, ona zarykiwała się śmiechem, patrząc na Ćhotę Badriję, który wstydliwie odwrócił twarz od jej wylewających się nad bluzką obfitych krągłości, karty fruwały, a ja przegrywałem i przegrywałem.

Obudziłem się pod prześcieradłem ściągniętym z gaddy. Chyba musiałem sam ściągnąć je w nocy, by ochronić się przed syczącym wentylatorem stołowym, ustawionym na wysokie obroty. Pokój był pusty, zaśmiecony niedopałkami papierosów, brudnymi talerzami i pustymi szklankami. Podniosłem się i poczułem, jak ból wciska mi się przez kark wprost do

głowy. Rozejrzałem się za moimi ćappalami, ale w końcu dałem sobie spokój i boso wyszedłem na dwór. Chota Badrija spał tuż za progiem, w koszuli powalanej wymiocinami, śmierdzącymi tak, że zacząłem się dusić, pognałem więc do furtki i, schyliwszy się, zwymiotowałem gwałtownie i choć niewiele udało mi się z siebie wyrzucić, nawet ta odrobina była ostra i gorzka jak trucizna. Jeszcze nie zaczęło szarzyć, droga w obu kierunkach była zupełnie pusta, i do Gopalmathu mógł wejść każdy, mógł wejść do mojego domu i zabić mnie we śnie. Byłoby to bardzo proste. Odwróciłem się i wszedłem do domu, a potem po schodach na dach. Usiadłem na zbiorniku z wodą i czekałem nadejścia dnia. Byłem spragniony, ale nie chciałem pić. Chciałem zapamiętać ten ból i tę odrazę.

Powoli z ciemności, jakby w kolejnych odsłonach, wyłaniały się kształty tego, co zbudowałem. Używany przez nas cement był już poplamiony i brunatny, a ludzie, którzy przenieśli się do kholi, dodali temu miejscu kolorytu, błękitu i zieleni swoich ubrań rozwieszonych w drzwiach, plastik na dachach migotał perłowo, na murze widniały czerwone hasła i wielobarwne plakaty z kobietami, a wszystkie te kholi stały blisko jeden drugiego, tworząc gęstą mozaikę prostokątów i kwadratów powiązanych drutami elektrycznymi, połączeniami poprowadzonymi z jednego miejsca w drugie i wiążącymi wszystko w całość. To wszystko należało do mnie.

Przez dach wychynęła głowa Choty Badriji.

– Bhai? – zapytał.

– Tutaj.

Wszedł na dach i zobaczyłem, że włosy ma zaczesane do tyłu i wilgotne. Umył się i włożył świeżą koszulę. Był grzecznym chłopcem.

– Będziemy sprzedawać alkohol – powiedziałem – ale w tym domu nikt nie wypije już ani kropli.

– Bhai?

– Ani satrangi, ani narangi, ani Johnny’ego Walkera, nic z tych rzeczy.

– Tak, bhai.

– A teraz zrób herbatę. I poszukaj czegoś do jedzenia.

Interes się rozwijał. Moi ludzie zbierali hafty od kupców i biznesmenów wokół całego Gopalmath, aż do prowadzącej do Gaikwaru drogi, stanowiącej granicę między moim terenem a obszarem należącym do Gangu Cobra. Nie wymyśliłem tej nazwy, naprawdę nazywali się Gang Cobra, jak jakaś ekipa dowodzona przez Prana i Randžita w filmie sprzed trzydziestu lat. Należał do nich cały wschodni teren, aż do wiosek rybackich przy Malad Creek, więc zajmowali się również przemytem i ogólnie rzecz biorąc, byli mocni, bardzo mocni, potężniejsi od nas, a do tego pieniądze lały się u nich strumieniami. Nigdy nie spotkałem ich szefa, niejakiego Radżesza Paraba, byłego artysty, który przybył tu z Hadži Mastanem i obecnie musiał mieć z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Ale widywałem jego ludzi, na ulicach i od czasu do czasu w barach. Nie chodziłem tam, żeby się napić, zdajesz sobie sprawę, że po tej pierwszej nocy z Johnnym Walkerem nie wziąłem już alkoholu do ust, ale ze względu na kobiety, kelnerki i tancerki. Moi ludzie poszli za moim przykładem, nikt nie sięgał po alkohol, nawet po piwo. Nigdy ich o to nie prosiłem, nigdy nie wprowadziłem takiego zakazu, ale kiedy ja przestałem pić, Ćhota Badrija również przestał i potem stało się to w naszych szeregach zwyczajem. Byłem z tego zadowolony: wspólna rezygnacja z czegoś spowodowała, że chłopcy się do siebie zbliżyli, stanowili zespół. Nie myślałem o tym, rzucając alkohol, ale kiedy zobaczyłem, jak to na nich działa, zachęcałem ich do tego. Mówiłem im, że człowiek z Firmy G nigdy nie traci głowy, zawsze jest czujny. Czuwa nawet we śnie. Bierzcie kobiety, powiedziałem, to przyjemność godna mężczyzny, rozrywka dla żołnierza, możecie ich nawet brać po pięć czy dziesięć. Ale wlewanie trucizny we własne gardło,

żeby samemu się ogłupiać i ograniczać, to zabawa dla maderćodowych idiotów. Niech Gang Cobra tak się bawi.

Wiedziałem, że nadciąga wojna. Była nieunikniona. Już wcześniej zdarzały się drobne konflikty między ich ludźmi a moimi, groźne spojrzenia rzucone, gdy mijali się na ulicy, trącanie się barkami w holu kinowym, przepychanki, szepty w gali. Ale między nami panował pokój. W nocy siadywałem na dachu, rozmyślając nad przyszłością, starając się ją zgłębić. Jakakolwiek drogę wybiorę teraz, jakąkolwiek wybiorę jako następną, bieg wydarzeń prowadzi do konfliktu, do masakry. Oni byli silni, my słabi. Pokój mogliśmy zachować jedynie wtedy, gdyby oni pozostali wielcy, a my mali, i gdybyśmy zadowolili się resztkami po nich, usuwalibyśmy się im z drogi i nisko się im kłaniali, jedlibyśmy ich odchody i dziś, i jutro, i już zawsze. Było to możliwe, ten nierówny spokój, ale w grę wchodziła jeszcze moja osoba. Ja nie nadawałem się do tego, żeby być kimś małym. Firma G to ja i kiedy tak zaglądałem do swojego wnętrza, nie oszukując się i nie litując nad sobą, wiedziałem, że nie umiem być kimś małym. Byłem większy, niż kiedy się urodziłem, większy niż wtedy, gdy przybyłem do tego miasta, i miałem być jeszcze większy. I dlatego też wojna była nieuchronna. Uznałem więc, że muszę się pogodzić z tym, że rozgorzeją walki, i przygotować się do nich. A kiedy nadejdzie czas, będziemy walczyć bez nienawiści, bez gniewu. I to my będziemy górą.

– Muszę poznać ich nazwiska i twarze – powiedziałem do Čhoty Badriji.  
– Chcę wiedzieć, kim oni są.

Zaczęliśmy zatem wydawać pieniądze, przy okazji na niewielką skalę pomagając małym ludziom, i wkrótce dysponowaliśmy własną siecią khabari. Niektórzy byli ulokowani w samym sercu terytorium Gangu Cobra. Jednym z nich był panwala, którego sklep znajdował się u ujścia Nabbargali, w miejscu, gdzie w najwyższym położonym mieszkaniu

trzykondygnacyjnego budynku mieszkał Radžeśh Parab. Ten panwala przez cały długi dzień obserwował, jak oni wchodzili i wychodzili, a kiedy wieczorem wracał do domu, na dziesięć minut spotykał się z nim jeden z naszych ludzi i w ten sposób poznaliśmy codzienny harmonogram ich dyżurów. Płaciliśmy temu panwali, ale on robił to nie tylko dla pieniędzy. Sześć lat wcześniej, pewnej późnej zimowej nocy, pijany Radžeśh Parab podjechał w nowiutkiej toyocie, zamówił pan, a potem powiedział temu panwali, że jego maghai pan smakuje jak cegła, że powinien wrócić do Uttar Pradeś i ponownie nauczyć się fachu. Następnego popołudnia Radžeśh Parab ponownie się tam zatrzymał, trzeźwy i uśmiechnięty, i jak zawsze wziął swoje pan, zupełnie nie pamiętając, co mówił, kiedy nawalony przyjechał na swoim japońskim rumaku, ale zniewaga może długo drzemać w człowieku, wciskając się głęboko jak cieniuteńki robak, a potem rozwijać się wszereż i wzdłuż, aż owinie się wokół jego jelit i zaczyna go ścisnąć coraz mocniej. A ten panwala pamiętał i dlatego nam pomagał, a podobnie też robili i inni.

Radžeśh Parab miał czterech zastępców, przy czym każdy z nich zajmował się inną dziedziną jego działalności, a ja znałem ich imiona i wiedziałem, gdzie mieszkają. Strony mojego czarnego dziennika zapisane były nazwiskami ich rewidentów i ich ludzi, informacjami o tym, kim są, o ich przeszłości. Miałem tam też listy partnerów, z którymi Radžeśh Parab współpracował, jego finansistów, sprzymierzonych z nim przedsiębiorców budowlanych. Tak długo studiowałem ten mój dziennik, że moi chłopcy zaczęli się ze mnie podśmiewać.

– Bhai czyta swoją Gite – szeptali między sobą.

Nie zważałem na to. Szukałem słabego punktu, miejsca, w którym mógłbym przypuścić atak, skierować moje siły i w drobny mak rozbić gang Cobra, a potem zjeść go po kawałku. W dzienniku było jedno nazwisko,

którego nie rozumiałem, jedno nazwisko, którego nie potrafiłem dopasować do ustawionego przeciwko mnie szyku. Niejaki Wilas Ranade pracował dla Radżeśha Paraba od dawna i nikt nie umiał powiedzieć, od jak dawna, ale ten Wilas Ranade nic dla Radżeśha Paraba nie robił. Niczym nie zarządzał, ani przemytem, ani haftą, ani układami z przedsiębiorcami budowlanymi, a bywało, że przez całe tygodnie czy miesiące nie pokazywał się w pobliżu Radżeśha Paraba. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ten człowiek. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czy lubi hazard, zupełnie nic. Ale kiedy przychodził do tego domu, szedł prosto do mieszkania Radżeśha Paraba, nie czekał w kolejce, nawet jeśli właśnie toczyła się dyskusja z jakimś MLA, Radżeśh Parab wychodził, aby spotkać się z Wilasem Ranadem. Wilas Ranade nigdy nie siedział w więzieniu i tylko dwa razy wspomniały o nim gazety. W końcu powiedziałem do Čhoty Badriji:

– Muszę dowiedzieć się, jak wygląda ten sukinsyn. Załatw mi jego zdjęcie.

Tymczasem wypłynęła kwestia broni. Nie miałem zaufania do krajowych pistoletów, a w tamtych czasach chiński pistolet marki Star kosztował od dziesięciu do dwunastu tysięcy. Nie było mnie, oczywiście, stać na glocki, ale gromadziliśmy pistolety Star i amunicję 9 milimetrów w moim domu i w tuzinie kholi w Gopalmacie, a także w świątyni w Gopalmacie, która w tych czasach składała się jedynie z małej kaplicy i pomieszczenia dla pudżarego.

Te powolne przygotowania ciągnęły się tygodniami, miesiącami, wymagając wielkiej rozwagi i kalkulacji, ile pieniędzy można wydać na broń, ile zapłacić chłopakom, ile dać na poprawę warunków życia w basti, żeby ludzie byli zadowoleni. Nasze przygotowania do wojny trwały.

Pewnego wieczoru Chota Badrija przyszedł mi powiedzieć, że udało się nam załatwić i odebrać dostawę partii amunicji. Siedziałem w barze Mahal, przy Link Road w Jogeśwari, z czterema naszymi chłopakami, pamiętam dokładnie, że byli to Mohan Surwe, Pradip Pednekar, Krysna Gaikwar i Kariz Śaikh. Chota Badrija wszedł do baru i od razu skierował się w naszą stronę, siedzieliśmy przy tym samym stoliku, co zawsze. Z uśmiechem wciskał się na miejsce na końcu boksu.

– Świetny interes, bhai – powiedział. – Trzysta kanć. Wszystko dobre i z gwarancją. – To był nasz własny język, kanće i gullele oznaczały kule i pistolety. Gang Cobra i wszystkie inne firmy mogli mówić na kale dany, a na pistolety saman, ale my mówiliśmy kanće i gullele. Również do tego starałem się zachęcać swoich ludzi, to nas odróżniało od innych, byliśmy ze sobą bardziej związani, ponieważ porozumiewaliśmy się własnym językiem, i żeby zostać jednym z nas, trzeba było się tego nauczyć, a ta nauka zmieniała człowieka. Widziałem to po nowych chłopakach, którzy ciężko pracowali, starając się zmienić z prostych, lokalnych tapori w szanowanych bhai. Uczyli się mówić, a potem chodzić w odpowiedni sposób, tak żeby sprawiać wrażenie ważnych, a potem ważni się stawali. Na amerykańskie dolary mówiliśmy więc ćoklet, a nie dalda, jak reszta naszego świata, na brytyjskie funty mówiliśmy lalten, a nie pital, heroinę i brown sugar nazywaliśmy gulal, a nie atta, policjant to był iftekar, a nie naunamber, robota, która poszła niepomyślnie, nazywała się ghanta, nie faććar, a dziewczyna tak niesamowicie atrakcyjna, krągła i wystrzałowa, że aż trudno było na nią patrzeć, nie nazywała się ćabbis, lecz ćurri.

Zamówiliśmy dla Choty Badriji lassi z mango, a Kariz Śaikh opowiadał. Mówiliśmy o dawnej wojnie między Hadzi Mastanem a Jusufem Patelem, jak to kiedyś byli współnikami, i o tym, że kiedy Jusuf Patel zaczął się szybko bogacić na prowadzonej przez siebie przemytniczej działalności,



Hadži Mastan postanowił go zabić, usunąć swojego partnera. To był po prostu interes. Kariz Saikh słyszał o tym od swojego ojca.

– Karim Lala otrzymał od Hadżiego Mastana supari na Jusufa Patela – powiedział. – Ale Jusuf Patel przeżył zamach.

– Widziałem raz Karima Lalę – odezwał się Mohan Surve. – W pobliżu dworca Grand Road. Dwa lata temu.

– Naprawdę? – zapytałem. – Jak wyglądał?

– Wielki pasztuński sukinsyn – odparł Mohan Surve. – Bardzo wysoki i wielki. Ma ogromne dłonie. Teraz jest już na emeryturze. Mieszka w tamtej okolicy. Ale nawet teraz, chociaż ma już tyle lat, wciąż chodzi jak badśah. Swego czasu musiał wzbudzać wielki postrach.

Próbowałem wyobrazić sobie Karima Lalę i jego dumny krok człowieka z pogranicza, ten akcent, który pamiętałem u Pasztuna granego przez Prana w filmie *Zandżir*. Już wcześniej słyszałem te stare, krwawe opowieści, ale teraz słuchałem ich ze szczególną uwagą. Szukałem nauki, chciałem poznać zasady decydujące o porażce i zwycięstwie, taktykę stosowaną przez osoby, które wciąż żyły, przez ludzi, którym udało się przetrwać od tych czasów, kiedy Hadži Mastan i Jusuf Patel polowali na siebie na Mohammed Ali Road i w całym Dongri. Słuchałem Kariza Śaikha, ale odczuwałem niepokój. Samo siedzenie, rozmawianie i myślenie nie wystarczy. Chciałem już być z powrotem w Gopalmacie, z powrotem na swoim terenie. Wstałem z krzesła.

– Ćalo – powiedziałem.

– Już, bhai? – zapytał Mohan Surve. – Dopiero jedenasta.

Ćhota Badrija wychylił do dna szklanekę ze swoim lassi, a jego gardło poruszało się miarowo w górę i w dół.

– Mam już dość tego miejsca – odparłem. – Chodźmy.

Szybkim krokiem ruszyłem w stronę drzwi. Na zewnątrz droga opadała w kierunku pędzących po autostradzie świateł. Po lewej jedna za drugą stały trzy riksze. Swoje auto zaparkowaliśmy po prawej, po drugiej stronie latarni. Jeździliśmy rozlatującym się, wiekowym ambasadorem, taksówką, której w ciągu dnia używał do pracy ojciec Kariza Śaikha. Wolałbym mieć lepszy samochód, ale pieniędzy wystarczało nam tylko na broń. Może już niedługo, któregoś dnia, myślałem. Ruszyłem, by przejść na drugą stronę drogi, i wszedłem w owalną plamę światła. Słyszałem idących z tyłu moich ludzi. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem Ćhotę Badriję, który właśnie wciskał chusteczkę do kieszeni, a zaraz za nim resztę chłopaków. Szli, kołysząc barkami przy każdym kroku, a między nimi przez moment widziałem Mohana Surwego, opartego o ścianę i stojącego nieruchomo pod neonem, wciąż w pobliżu drzwi. Z tej odległości nie mogłem dostrzec jego oczu, ale widziałem, że on nie idzie, nie porusza się. W tym samym momencie rzuciłem się w bok, starając się jak najszybciej skryć w ciemnościach, uciec z kręgu światła, i nagle poczułem uderzenie w ramię. Niemal rzuciło mnie na ziemię, ale jakimś cudem odzyskałem równowagę i pobiegłem wzdłuż budynku. Wiedziałem, że mnie trafiono, chociaż nie słyszałem wystrzału. Na rogu zatrzymałem się i oparłem ręką o mur, a kiedy odwróciłem się, zauważyłem, że coś się rusza w przejściu, pobiegłem więc dalej, z wyciągniętym pistoletem w dłoni. Teraz już słyszałem strzały. Zaryzykowałem spojrzenie wstecz i zobaczyłem, że to Ćhota Badrija stoi przy narożniku i strzela do czegoś po drugiej stronie budynku.

– Badrija! – zawołałem. – Chodź.

Wspięliśmy się przez mur, pokonaliśmy teren okalający jakiś budynek i przez bramę wyszliśmy na drogę. Jeszcze dwa zakręty i musiałem stanąć. Oparłem się o jakąś ciężarówkę, pochyliłem się i zwymiotowałem prosto na drogę. Moje lewe ramię drżało, targane regularnymi spazmami bólu.

– Dostałeś? – zapytałem Chotę Badriję.

– Nawet mnie nie drasnęli – odparł. – Ani razu. Ze mną wszystko w porządku. – Roześmiał się, cieniutkim, skrzypliwym głosem.

– To dobrze – powiedziałem, odwracając się w jego stronę. – Wiem, że to nie ty.

– Co nie ja?

– Nie ty nas zdradziłeś. Bo gdybyś ty za tym stał, nie byłoby cię tutaj. A gdybyś ty za tym stał, mógłbyś mnie teraz zabić. – Lufa jego pistoletu znajdowała się w odległości piętnastu centymetrów od mojej głowy, jeden szybki ruch dzielący mnie od śmierci.

– Bhai – powiedział. – Naprawdę, bhai. – Był oburzony. W tym momencie czułem, że go kocham, kocham jak brata.

– Wytrzymaj twarz – poleciłem. – Wciąż jeszcze masz na niej lassi z mango. I zabierz mnie do lekarza.

Telefnowałem, leżąc na stole u lekarza, który zszywał i opatrywał moje ramię. Zadzwoiłem do Paritosza Śaha i do Kanty Bai oraz do kilku moich ludzi, mówiąc im, żeby się przygotowali. Paritosz Śah poinformował mnie, że policja jest już w barze i że zginęło trzech moich chłopaków. Pradip Pedekar, Krysna Gaikwar i Kariz Śaikh. Pradip Pedekar dostał kulę w biodro, a potem jeszcze jedną, z bliskiej odległości, w głowę. Po Mohanie Surwem słuch zaginął. A ja ocalałem.

Być postrzelonym to szczególne doświadczenie, niepodobne do żadnego innego. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili nawet go nie rozpoznałem. Tak bardzo starałem się uciec, że nie przeszło mi przez myśl, że to, co czuję, jest kulą wdzierającą się w skórę i mięśnie. Ból dotarł do mnie dopiero później, kiedy już mogłem poczuć w ustach smak życia, soczystego jak mango. Ramię i klatkę piersiową miałem zimne, jakby ktoś mi zmroził kości od środka i dźgał mnie okruchem lodu.

– Zabierz mnie do Gopalmathu – powiedziałem do Ćhota Badrija.

Trzech moich chłopaków przyjechało do lekarza samochodem. Razem z Ćhotą Badrija otoczyli mnie, ochraniając własnymi ciałami, i zabrali do auta. Wsiadli za mną. Kiedyś byliśmy ludźmi obcymi dla siebie, ale teraz łączyła nas jakaś więź. Zaatakowano nas, my przeżyliśmy, więc teraz darzyli mnie pewną miłością.

– Czy wszystko w porządku, bhai? – pytali mnie. – Czy jest ci wygodnie?

Pędziliśmy opustoszałą w nocy drogą do Gopalmathu. To ja byłem przyczyną tej prędkości, a oni, porwani nią, podążyli za mną. Byłem tylko samotnym człowiekiem, który tej nocy nieomal zginął, a oni się mnie trzymali.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Ćhota Badrija.

– Znajdźcie mi Mohana Surwego.

Mój dom w Gopalmacie już skontrolowano, dwukrotnie sprawdzili go moi ludzie. Dotarłem do niego bezpiecznie i po chwili siedziałem na gaddzie w swoim pokoju. Wysłałem chłopców na peryferie Gopalmathu, żeby mieli baczenie na ewentualne ataki, ale wiedziałem, że przynajmniej na razie jestem bezpieczny. Moim strażnikiem były zatłoczone uliczki, te błakające się na ulicach dzieci, siedzące w drzwiach kobiety. Wszyscy się tu znali, we wszystkich zaułkach. Wróg nie mógłby tędy przejść, a przynajmniej nie bez strat.

– Powinieneś się przespać – powiedział Ćhota Badrija.

– Tak – odparłem. Wiedziałem, że potrzebuję odpoczynku, że nie ma sensu niepotrzebnie się męczyć. – Ty też. Ale sprawdź, czy strażę stoją jak należy. Żeby nikt się nie prześlizgnął.

Leżałem w łóżku i trząsałem się pod prześcieradłem. Drzenie, lekkie drgawki, zaczęło się w żołądku i rozprzestrzeniło się na klatkę piersiową,

sięgając aż do gardła. Cała lewa strona ciała nieustannie mnie bolała. Ale to nie ból nie dawał mi spać. To wściekłość na siebie samego, na swoją głupotę. Z perspektywy czasu wszystko było oczywiste: nie można obserwować kogoś, nie zmieniając otaczającego go świata, a jeśli oni mają się na baczności, to na pewno zauważą te zmiany, wyczują ciche echo naszych pytań, przetaczających się po ziemi, i też zaczną nas obserwować. Obserwowali i doszli do tych samych wniosków, co ja, przejrzeni mnie, przewidzieli moje ruchy, a potem dobrali mi się do gandy. To oni wybrali miejsce, czas i metodę, i to oni wypowiedzieli wojnę. Gdyby nie przypadkowe spojrzenie, ruch ciała we właściwym momencie, kula podążająca przez przestrzeń pod takim, a nie innym kątem, gdyby nie to, gdyby nie tamto, gdyby nie i gdyby nie, leżałbym martwy na drodze przed barem Mahal, ponownie zredukowany do zera, mały człowieczek, który stał się jeszcze mniejszy. Ledwo by się zaczęła ta wojna, natychmiast by się skończyła. Tego właśnie nie mogłem znieść – mojej głupoty, mojego zaślepienia.

W końcu odsunąłem od siebie tę przeszłość, której nie można zmienić, a jedynie zostawić ją za sobą. Odciąłem ją, jak skalpelem. Powiedziałem sobie: dla ciebie istnieje tylko przyszłość. Jesteś człowiekiem przyszłości. Snułem plany. I spałem.

Następnego dnia przeniosłem wojnę na ich teren. Wiedzieli, że ich obserwowaliśmy, ale nie byli w stanie ukryć przed nami wszystkiego. Wiedzieliśmy przynajmniej trochę, czym się zajmowali, gdzie bywali. Następnego dnia zabiliśmy pięciu ich ludzi. Przeprowadziliśmy dwa oddzielne ataki, a ja sam dowodziłem jednym z nich. Miałem trudności z poruszaniem się, musiałem walczyć z bólem, kiedy podnosiłem prawą rękę, ale chłopcy patrzyli na mnie i wiedziałem, że to decydujący moment. Usiadłem więc na przednim siedzeniu samochodu, obok kierowcy, Choty

Badriji. Z tyłu siedziało jeszcze trzech chłopaków. Zaczailiśmy się na swoich wrogów w pobliżu hotelu Kamath, wiedząc, że spotykają się tam z przedsiębiorcą budowlanym, od którego odbierają pieniądze. Była szósta i na drodze roіło się od wracających do domu robotników, ciągnących za sobą długie, wieczorne cienie. Kiedy zamykałem oczy, wciąż widziałem palące słońce, jakby płonęło w mojej głowie.

– To oni – odezwał się Ćhota Badrija.

Było ich trzech, wszyscy młodzi, ubrani w białe koszule i odprasowane spodnie, jak porządni biznesmeni zajęci swoimi interesami. Środkowy niósł w lewej ręce plastikową torbę na zakupy.

– Przepuść ich i ruszaj – powiedziałem.

Przejechaliśmy przez parking, a kiedy oni dochodzili do stóp schodów przed hotelem, my skręciliśmy w prawo i powoli sunąc dalej, pozwoliliśmy im przejść tuż przed naszym nosem. Odczekałem, aż zrobią jeszcze dwa kroki. A potem lewą ręką otworzyłem drzwi, pchnąłem je na oścież i wziąłem pistolet z kolan. Wyszliśmy z auta wszyscy naraz. Jako pierwszy strzelił Ćhota Badrija, a potem rozległ się już jeden, przeciągły grzmot. Nawet nie zdążyli się odwrócić. Ręka mi drżała i nie sądzę, żebym chociaż raz trafił. Ale pamiętam widok krwi eksplodującej z tyłu głowy jednego z tych ludzi, jak błyskawicznie rozwijający się kwiat. Ten człowiek też chyba przed śmiercią musiał zobaczyć tę fontannę spadającą tuż przed jego oczami. Wszystko poszło bardzo szybko i bardzo łatwo. Ćhota Badrija wsiadł z powrotem do samochodu.

– Zabierzcie pieniądze – poleciłem.

Dwie minuty później jechaliśmy już bezpieczni po S.V. Road. W reklamówce były trzy lakhy i nowa butelka szamponu przeciwłupieżowego Halo.

– Bhai, to dla mnie – powiedział Ćhota Badrija. Rozpierała go radość.

– Proszę – odparłem i rzuciłem mu butelkę na kolana. – Masz łupież?

– Nie – odrzekł. – Ale teraz już nie będę miał. Zapobiegnę mu. Rozumiesz?

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Z ciebie jest szalony ćutija – powiedziałem.

– Chyba powinienem zapuścić sobie włosy, wydaje mi się, że dobrze mi będzie w długich.

– Tak, jasne, będziesz wyglądał jak ten behenćod Tarzan – odparłem.

W drodze powrotnej udało mi się zdrzemnąć, a kiedy dotarliśmy do domu, poinformowano mnie, że nasza druga misja – zasadzka na kilku ich ludzi, którzy często odwiedzali położony w pobliżu dworca Andheri salon gry w carrom – przyniosła nam kolejne dwa trafienia. Na razie byliśmy zatem od nich lepsi, ale mecz się jeszcze nie skończył, to był dopiero początek. W kolejnych rundach wciąż byliśmy od nich lepsi, choć tylko nieznacznie. Do końca miesiąca oni stracili dwunastu zawodników, a my jedenastu. Dla nich dwanaście było niewielką stratą, mieli o wiele dłuższą ławkę rezerwowych, a my straciliśmy prawie połowę składu, wprost znikaliśmy z Gopalmathu. Inspektor Samant nieraz śmiał się ze mnie przez telefon.

– Gaitonde, oni sobie spokojnie grają w twoją grę, lepiej zmykaj i ukryj się gdzieś, bo cię wykończą.

Kiedy zginął trzynasty z naszych, trzech moich chłopaków po prostu nie pojawiło się następnego ranka na odprawie. Wiedziałem, że nie zginęli, tylko zrezygnowali z przegranej walki. Rozumiałem to. Naprawdę byliśmy braćmi, a wspólnie odbyte boje jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyły, ale kiedy porażka jest nieuchronna, kiedy się ukrywasz, wyczerpany i odarty z wszelkiej nadziei, a potężny wróg zbliża się, żeby połamać ci kości, trzeba liczyć się z tym, że część ludzi po prostu cię opuści. Była to dla mnie

kolejna porażka, musiałem ją przełknąć i skupić się na tych ludziach, którzy przy mnie zostali. Nadal zajmowaliśmy się swoimi interesami, wykonywaliśmy codzienne obowiązki, zawsze poruszając się dwójkami lub trójkami, a otuchy dodawał nam twardy kawałek metalu pod koszulą, nasza broń, którą obsesyjnie czyściliśmy, smarowaliśmy i pieściliśmy. Zobaczyłem, jak jeden z moich ludzi, Sunny, podnosi pistolet do głowy i, szepcząc modlitwę, przykłada go do czoła, a dopiero potem wychodzi z domu. Kiedy roześmiałem się i zapytałem, czy co rano pali diję i odprawia przed nią pudze, on schylił głowę i uśmiechnął się, zmieszany. Wszyscy rozpaczliwie potrzebowaliśmy jednak błogosławieństwa i bez wahania padłbym na twarz przed swoją ustrojoną w girlandy tetetką, gdybym tylko wierzył że to pomoże.

Ostatecznie to kobieta wskazała mi wyjście z tej sytuacji. Wraz z Kanta Bai i chłopakami poszedłem do świątyni Siddhi Winajaka i stanęliśmy w długiej kolejce, oplatającej schody świątyni. Dla mnie była to absolutna bzdura, to całe modlenie się i skomlenie, ale chłopcy wierzyli i chcieli tam pójść, a że to mogło podnieść ich morale, poszedłem wraz z nimi. Pomimo swojej potwornej wulgarności i cynizmu Kanta Bai również była zagorzałą dewotką. W dłoniach trzymała thali, a swoje pallu z wielkim szacunkiem owinęła wokół głowy. W kolejce przed nami i za nami jeden przy drugim stali moi ludzie. Głowę wypełniał mi ten przesłodzony świątynny zapach różanej wody i agarbatti, i czułem się bezpieczny.

– Wiem, o co będziesz prosić – powiedziała Kanta Bai.

– To przecież jasne – odparłem. – Nawet on już o tym wie, jeśli w ogóle istnieje i rzeczywiście cokolwiek wie – ruchem głowy wskazałem na schody, gdzie siedział, rzekomo wszytkowiedzący, Ganeśa.

Pokręciła głową.



– On nie może dać ci tego, czego ty sam nie potrafisz wziąć własnymi rękami.

– Co masz na myśli?

Głowę miała opuszczoną bardzo nisko nad thali i poprawiała kupki ryżu, sindur i płatki kwiatów. Jej nabrzmiały kark zwijał się w okrągłe fałdy tłuszczu.

– Oni cię zabiją – powiedziała. – Zginiesz.

W tym momencie ruszyliśmy do przodu i zrobiliśmy trzy nerwowe kroki po schodach. Z drugiej strony przejścia napływał stały potok wiernych, spieszyli po schodach w dół, teraz już pełni nadziei, odnowionej po spotkaniu z bogiem, po tym jak go zobaczyli i pokazali się mu, bezwstydnie obnażyli swoje potrzeby i swój ból.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ walczysz jak głupiec. To całe hero giri, te strzelaniny to tu, to tam, w ten sposób nie zwyciężysz. To oni zwyciężą. Już zwyciężyli. Tobie się wydaje, że wojna polega na tym, że musisz pokazać im, że masz wielkiego laudę.

Pistolet miałem zatknięty za pas, czułem, jak uwiera mnie w brzuch, i kiedy patrzyłem na nią, jak mówi do mnie te słowa, nawet nie podnosząc na mnie wzroku, chciałem go wyciągnąć i ją zastrzelić. Mogłem to zrobić z łatwością, nawet wyobrażałem sobie, jak to robię, a gniew wzbierał mi w gardle i napływał do głowy, jak jakiś ochrypły pomruk, aż zupełnie przesłonił mi oczy. Grzbietem dłoni otarłem łzy.

– Co mam w takim razie zrobić? – zapytałem.

– Walcz tak, aby zwyciężyć. Nie ma znaczenia, kto zabije więcej ludzi. Nie ma znaczenia, czy cały Mumbaj myśli, że przegrywasz. Ważne jest tylko zwycięstwo.

– Ale jak zwyciężyć?

– Zetnij im głowę.

– Mam zabić Radżeśha Paraba?

– Tak. Chociaż tak naprawdę to stary głupiec. To szef, ale sam wykonuje polecenia.

– A więc chodzi o Wilasa Ranadego. To o niego chodzi.

– Tak – odparła. – Jeśli dorwiesz Wilasa Ranadego, będą głusi i ślepi.

Czyli celem był Wilas Ranade. Dowódca armii Radżeśha Paraba, to on nas zdziesiątkował, on nas wyprowadzał w pole, pojawiał się przed nami, kiedy spodziewaliśmy się go z tyłu, i to on nas zabijał. Zrozumiałem już, że to on nimi dowodził w tej wojnie. Ale wciąż nic o nim nie wiedziałem, nie wiedziałem, czy ma żonę, synów, jak wygląda, gdzie bywa. Nie zdołałem rozpracować żadnych jego zwyczajów, żadnego domostwa, żadnych pragnień. Nie wiedziałem, jak wysledzić człowieka, którego jedynym celem w życiu jest wojna.

– Nawet nie mam jego zdjęcia – powiedziałem.

– Trzymają go poza miastem. W Pune, Naśiku, gdzieś tam. Ściągają go tu tylko wtedy, gdy pojawiają się jakieś problemy.

– Trzymają go w uśpieniu, aż nadchodzi czas, żeby go obudzić?

– Nie marnuje się dobrego żołnierza na wycieczki do siedziby rady miejskiej. To zbyt ryzykowne. A on jest najlepszym żołnierzem. Jest tu od dawna, dziesięć czy dwanaście lat.

– Spotkałaś go?

– Nie.

Milczałem już przez cały pozostały czas spędzony na schodach przed wejściem do świątyni, a kiedy w końcu stanąłem przed Ganeśą, o nic go nie poprosiłem. Patrzyłem tylko na niego, na jego pętlę, ościę na słonie, laddu i złamany kiel, zastanawiając się, jak on zaplanowałby kampanię swojej armii gan, tak żeby nie poniosła porażki, jak ten mistrz w usuwaniu

przeszkód usunąłby przeszkodę, której nie umiałby znaleźć i wskazać. Musieliśmy już ruszać dalej, nadciągający wierni naciskali niepowstrzymanym tłumem, ale przez całą drogę do domu niosłem w sobie jego wizerunek. Utknęliśmy w gigantycznym korku w Dźuhu, siedząca obok mnie Kanta Bai usnęła, trzymając na kolanach swój prasad ze świątyni, a ja słuchałem jej chrapania i wciąż myślałem i myślałem. Czułem palący ból w ramieniu, ciche jęczyczki smagającego mnie ognia, ale bardziej bolesne było to, co działo się w mojej głowie, to jakieś nieustanne wirowanie: widziałem uczestników gry, uliczki i budynki, do których wchodzili i z których wychodzili, Gopalmath, Nabargali. Kiedy zamykałem oczy, cała ta arena rozpościerała się przede mną, a ja bez końca kręciłem się to tu, to tam, szukając okazji, sposobu, aby to wszystko rozerwać na kawałki i ponownie złożyć. Za szybami samochodu mruczał i dławił się ruch uliczny, a my siedzieliśmy tu w środku, wciąż żywi, wciąż oddychając.

– Wypuść mnie – powiedziałem. Przechyliwszy się, otworzyłem drzwi i wysiadłem z samochodu. Ćhota Badrija wysunął się zza kierownicy. – Nie, nie, zostań.

– Ale, bhai ...

– Posłuchaj mnie i zostań. Chcę się trochę przejść.

Bał się jakiegoś zbiegu okoliczności, że wśród wieczornych spacerowiczów i osób zajądających bhelpuri na wieczornym spacerze może właśnie być ktoś z tamtej strony. Istniała taka możliwość, ale ja nagle zapragnąłem być sam. Uniosłem dłoń ku niemu i chyba wystraszył go widok mojej twarzy, ponieważ natychmiast wsiadł z powrotem do auta.

Ruszyłem krętą drogą na plażę, minąłem różne stoiska z herbatą i wkroczyłem na piasek. Obok mnie spacerowały całe rodziny, dzieci śmiały się z podniecenia na widok otaczających je cudów – koni kłusujących na skraju wody, ludzi sprzedających zabawki, nad którymi unosiły się

srebrzyste chmury balonów, ludzi kuszących kulfi, które trzymali w turystycznych lodówkach pokrytych mgiełką drobnych perełek wilgoci. Tu nie toczyła się żadna wojna. Tu panował pokój. Szedłem beztrosko między starszymi parami na wieczornym spacerze i grupkami niecierpliwych młodzieńców. Morze wdzierало się rytmicznie na ląd, a ja w końcu usiadłem na niedokończonym, ceglany m pomoście, twarzą do fal. Byłem zmęczony, miałem pustkę w głowie i z przyjemnością przyjmowałem spokojny oddech morza, który delikatnie rozwiewał moje włosy. Po lewej stronie zauważyłem jakiś ruch. Pod stosem śmieci, palmowych liści, kokosowych łupin i przemoczonych, papierowych opakowań coś się rzucało, wiło się na wszystkie strony, a potem znieruchomiało w pogotowiu. W ciemnościach dostrzegłem więcej cieni, błyskawicznie się przemieszczających, i nagle zobaczyłem, jak biały karton podnosi się i porusza zygzakami, drżący i gnany głodem. Wstałem i ruszyłem w tę stronę, a kiedy stanąłem nad tym pudłem, poczułem silną woń zgnilizny, z resztek jedzenia i wszystkiego, co zostało wyrzucone. Ale teraz nic się nie poruszało. Roześmiałem się.

– Szczury, wiem, że tam jesteście – powiedziałem. – Wiem, że jesteście.  
– Ale one były bardziej cwane, niż myślałem. Siedziały nieruchomo i pewnie mógłbym kilka zabić, gdyby mi na tym zależało, ale one i tak ostatecznie przetrwałyby ten mój atak, jak również mnie samego.

– Bhai! – usłyszałem krzyk gdzieś z plaży. Uniosłem rękę.

– Tutaj jestem – zawołałem. Przybiegli do mnie, Čhota Badrija i dwóch innych.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– W porządku – odparłem. Rzeczywiście tak było. Coś we mnie się burzyło, czułem jakieś ledwo wyczuwalne poruszenie. Wiedziałem, że

muszę poczekać, aż się w pełni ujawni. – Wracajmy do domu – powiedziałem.

Na spotkanie z inspektorem Samantem umówiłem się na następny dzień. Spotkaliśmy się w hotelu w Sakinace.

– Wilas Ranade – powiedziałem. – Muszę go mieć. Daję dziesięć peti.

Roześmiał mi się w twarz. Miał gęste wąsy, niewiele włosów na głowie i wielkie, białe zęby. Bardzo się pocił, na koszuli widniały ogromne, ciemne plamy.

– Dziesięć lakhów! – wykrzyknął. – Za Wilasa Ranade. Masz wygórowane wymagania.

– W takim razie piętnaście.

– Czy ty wiesz, o kim mówisz? On tu był, kiedy ty jeszcze ssałeś mleko.

– To prawda – odrzekłem. – Ale czy możesz to załatwić?

– Można to załatwić.

– Ty coś wiesz. Powiedz, co wiesz?

Patrzył na mnie spokojnym, nieprzeniknionym wzrokiem. Rzeczywiście, to było bardzo głupie pytanie. Nie miał żadnego powodu, żeby mi mówić, co wie. Byłem podenerwowany, niecierpliwy. – Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał po chwili.

– Jego już tu nie będzie, sahibie Samancie, a ja pozostanę tu na długo. Dobrze o tym wiesz. Widziałeś, jak się rozwijam. Jeśli uważasz, że możemy współpracować, pomyśl o przyszłości. Te ćutije z Gangu Cobra nie mają przed sobą żadnej przyszłości, nie mają żadnej wizji. Robią to, co robią, ale nie robią nic nowego. Przyszłość jest więcej warta niż pieniądze.

Słuchał mnie. Chusteczką otarł swoją świecącą takli.

– Trzydzieści – powiedział.

– Mogę dać dwadzieścia, saab. A kiedy to wszystko się już skończy, będzie dużo, dużo więcej.

– Dwadzieścia pięć. I wszystko z góry.

Propozycja była niespotykana, a nawet szalona.

– Dobrze, saab – odparłem jednak. – Przyniosę za trzy dni.

Skinął głową i ze stojącego na środku stołu talerza wziął sobie trochę sofii. Wyszedł, zostawiając mi rachunek do zapłacenia.

– W takim razie za trzy dni – dodałem – i lepiej będzie, jeśli mnie zaaresztujesz.

Oczywiście nie miałem dwudziestu pięciu lakhów w gotówce. Mogłem mieć pięć, może sześć i pół, gdybym odebrał drobne pożyczki, których udzieliłem mieszkańcom Gopalmathu, na lekarstwa, na ślubne sari. Nie mogłem tego zrobić i dobrze wiedziałem, że nie mogę też prosić Paritosza Śaha o tak ogromną pożyczkę. Był biznesmenem, a ja obecnie z pewnością nie spełniałem warunków wiarygodnego kredytobiorcy. Wiedziałem jednak, że bardzo trudno byłoby mu odmówić mojej prośbie, bo to mogłoby doprowadzić do końca naszej znajomości. Nie poprosiłem go więc o pieniądze, ale o zamiar na duży skok.

– Numer wart dwadzieścia pięć lakhów? – zapytał. – W ciągu trzech dni?

Wiedziałem, że proszę o bardzo wiele, ale on rozumiał, jak pilna to sprawa.

– Mniejsza o ryzyko – powiedziałem. – Pomyśl tylko o nagrodzie.

Nie musiał się nad tym zbyt długo zastanawiać. Zakład jubilerski Mahadźan, przy Adwani Road. Ucieszyłem się, że cel znajduje się w samym centrum terytorium Gangu Cobra, dwa kilometry od domu Radżeśha Paraba. Po całodobowej obserwacji zakładu Mahadźan postanowiłem, że zrobimy to za dnia. Być może nocą byłoby bezpieczniej, ale musielibyśmy pokonać umieszczoną od frontu ciężką, zasuwaną kratę,

trzy zamki, a potem jeszcze opuszczane i również zamykane drzwi harmonijkowe. Nie, weszliśmy o czwartej po południu, wprost przez otwarte drzwi. Z przodu był jeden strażnik, uzbrojony w typową, jednostrzałową śrutówkę, ale kiedy zobaczył nas nadchodzących z siedmioma pistoletami i siekierami, bez wahania rzucił ją na ziemię. Przytrzymał nam nawet otwarte drzwi, gdy wychodziliśmy. Na ulicy czekały na nas dwa kradzione samochody i odjechaliśmy bez żadnych problemów. Cała operacja poszła gładko.

Dysponowaliśmy więc już pieniędzmi. Sam łup nie wystarczył – Paritosz Śah dał nam piętnaście lakhów za wszystko, co stamtąd zabraliśmy, a resztę nam pożyczył. Zgodziłem się na tę pożyczkę. Odzyskałem pewność siebie, widziałem przed sobą drogę, i zdawałem sobie sprawę, że on też ją widzi. W zasadzie nie wyświadczał mi przysługi, po prostu inwestował w przyszłe zyski. Teraz byłem człowiekiem solidnym, a on ugruntował tę moją solidność. Byłem wart jego pieniędzy, a nawet więcej. Zaraz po zdobyciu niezbędnej kwoty, nawet dzień przed terminem, skontaktowałem się z Samantem i przekazałem mu ustaloną sumę. A on mnie zaaresztował.

Wraz z trzema swoimi ludźmi trafiłem do aresztu. Zostaliśmy zatrzymani i tymczasowo aresztowani pod zarzutem współudziału w obrabowaniu zakładu jubilerskiego Mahadźan, tak przynajmniej napisały gazety. Nasi ludzie zniknęli z ulic, z całego Gopalmathu, a gang Cobra świętował. Mówili, że Firma G jest skończona, raz na zawsze, bardzo szybko i bez żadnych kłopotów. A ja siedziałem w celi i gapiłem się w ścianę. Oparty plecami o jedną ścianę, wpatrywałem się w drugą. Dookoła siedzieli moi chłopcy. Z łatwością znosiłem tę małą przestrzeń, ten upał, wmuszałem w siebie czerstwe roti i wodnisty dał, ale panujący wokół spokój, brak ruchu i pracy, ten spoczynek i bezruch wpełzały pod moją skórę i doprowadzały mnie do szału. W moich żyłach wrzało od bzyczących owadów. Ale

nauczyłem się cierpliwości. Patrzyłem w ścianę. Miałem wrażenie, że i ona na mnie patrzy, silna swoją obojętnością. Chciała zmusić mnie do odwrócenia wzroku. Wiedziała, że może jej się to udać. Ale to ja ją przetrzymałem. I czekałem.

Trwało to dziewięć dni. Kiedy przyszli po nas policjanci, moi chłopcy stanęli na straży, a ja sikałem po ścianie. Kreśliłem okręgi na tej jej obojętności, podczas gdy oni patrzyli, a potem pozwoliłem się wyprowadzić. W biurze starszego inspektora siedział adwokat, który w oczekiwaniu na mnie zajął się papierkami, i to on wyprowadził nas z komisariatu. Wpłacono za nas kaucję. Na dworze panowały ciemności, noc była bezksiężycowa i pochmurna. Chota Badrija czekał na nas przed samochodem. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a włosy miał związane z tyłu tasiemką, jaką noszą dziewczyny.

– Co ty masz we włosach, ćutijo? – zapytałem.

– Ot, tak, bhai – odparł, rumieniąc się jak dziewczyna, i spuścił głowę, przechylając ją na bok. Uśmiechnął się. Wiedziałam, że jeśli on się uśmiecha, wszystko jest w porządku.

Pojechaliśmy szybko do samego centrum miasta, biegnącą na północ arterią, i wjechaliśmy na autostradę, minęliśmy Goregaon, a ja czułem, że tłum przywraca mnie do życia, te wijące się sznury ciężarówek i samochodów, dzieci biegające na poboczu za piłką i ten cały, nieustający hałas. Nie odzywałem się, ale czuwałem, byłem czujny jak wąż. Chota Badrija nic nie mówił, a ja nie chciałem zadawać mu żadnych pytań, jeszcze nie teraz. Obietnica wisiała w powietrzu, a ja z rozkoszą delektowałem się tym oczekiwaniem, tą nieświadomością. Zjechaliśmy z autostrady na drogę dojazdową, a potem i ją opuściliśmy, mijając dżoparpatti, w ciemności. Światła naszego samochodu wyczarowywały przed nami pokrytą kurzem szosę, drzewa przed nami wyrastały i zaraz



potem ginęły, jakbyśmy zanurzali się w tunelu. Ochocho wkroczyłem w ten ciemny świat. W pewnym momencie skręciliśmy ostro w lewo, droga się zmieniła, a pod kołami zachręściła ziemia. Na końcu dróżki stał zaparkowany samochód, a przez zwisające gałęzie majaczyła intensywna czerń jakiegoś budynku. Wysiedliśmy i ruszyliśmy w jego stronę, minęliśmy narożnik domu i zobaczyliśmy samotną żarówkę nad drzwiami. A na skrzyni obok drzwi siedział Samant, papierosem dając nam czerwony sygnał.

– Za długo to trwało – odezwał się. – Spóźniliście się.

– To przez tych prawników i te wszystkie sprawy – odrzekł Ćhota Badrija.

Samant szarpnął za drzwi, które otworzyły się z przeciągłym, metalicznym skrzypnięciem. Pośrodku podłogi, twarzą w dół, leżał jakiś mężczyzna.

Niebieska koszula, czarne spodnie i uniesione, nieruchome biodra.

– Wilas Ranade – powiedział Samant, lekko poruszając ręką, jakby dokonywał prezentacji.

– Sam to załatwiłeś? – zapytałem.

– Brał brown sugar – odparł Samant. – Głupi behenćod. Myślał, że nikt o tym nie wie. Sam po to chodził. Znam diler, który mu to sprzedawał.

– I diler powiedział ci, kiedy Wilas Ranade przyjdzie po towar?

– Musiał, jeśli dalej chciał handlować.

– Jesteś pewien, że to Wilas Ranade?

– Wdziałem go dwa razy na komisariacie w Mulundzie, kiedy tam służyłem. Miał tam znajomków.

– Chciałbym zobaczyć jego twarz.

Ćhota Badrija przekroczył ciało i szarpnął je za ramię. Koszula Wilasa Ranadego była z przodu czarna, wilgotna. Ćhota Badrija stanął za nim i go

podniósł, a Wilas Ranade usiadł w świetle. Z na wpół przymkniętymi powiekami wyglądał na śpiącego. Znam tę twarz, pomyślałem. Wyglądał dokładnie jak ja. Przykucnąłem przed nim, pochyliłem się bliżej. Tak, był moim sobowtórem. Czekałem, że ktoś inny powie coś na ten temat, ale nikt się nie odezwał.

– O co chodzi, bhai? – W końcu powiedział Ćhota Badrija. – Nie podoba ci się ta twarz?

– Nie, uważam, że ten sukinsyn ma wstrętą gębę. – Lekko stuknąłem Wilasa Ranadego w policzek i podniosłem się. – Pięknie to rozegrałeś, Samant saab – powiedziałem. Chwyciłem dłoń Samanta i gwałtownie nią potrząsnąłem. Walnąłem go w ramię i roześmiałem się, a oni wszyscy, co do jednego, śmiali się wraz ze mną. Ale w rzeczywistości udawałem. Wymachiwałem rękami, wrzeszczałem i świętowałem, wewnątrz jednak, w środku, byłem zdumiony – cóż to miało oznaczać, że Wilas Ranade i ja wyglądaliśmy tak samo, i dlaczego nikt poza mną tego nie zauważył? Cóż to miało oznaczać, że on i ja polowaliśmy na siebie nawzajem, jak jakieś widziane w lustrach duchy, a potem się mordowaliśmy? Dokąd prowadził mnie ten zbieg okoliczności?

Kiedy znaleźliśmy się w samochodach, wciąż jeszcze byłem oszołomiony. Ponownie wędrowaliśmy przez długą, ciemną noc, i zanim jeszcze dojechaliśmy do autostrady, rozwiązałem tę zagadkę. Doszedłem do wniosku, że to złudzenie optyczne. Gdyby on wyglądał jak ja, Ćhota Badrija zauważyłby to. Samant by to skomentował. Byłem zmęczony po tych dniach w areszcie. Potrzebowałem snu, odpoczynku, porządnego jedzenia. Nie było czym się martwić.

„Bandzior Wilas Ranade zabity w porachunkach” – takie tytuły pojawiły się w niektórych popołudniówkach. „Watażka gangu Paraba ginie w porachunkach”. A potem zniszczyliśmy gang Cobra. Robiliśmy zasadzki na

ich ludzi, zabieraliśmy ich pieniądze, zastraszaliśmy współpracujących z nimi biznesmenów, dumnie kroczyliśmy po ich ulicach. Straciliśmy jeszcze czterech naszych, jednym z nich był mój Sunny, który do tego czasu stał się tak zagorzałym wielbicielem pistoletów, że zawsze nosił dwa ze sobą. Wystrzelona z tyłu kula uszkodziła coś w jego plecach i padł na ulicy, oddając swoje życie wraz z moczem. Ale rozbiliśmy gang Cobra i przejęliśmy jego terytorium. Nadal byliśmy mniejsi, ale teraz okazało się to zaletą. Uderzaliśmy i natychmiast się wycofywaliśmy, zataczaliśmy koło i ponownie uderzaliśmy z drugiej strony. Byli zdeorientowani i starzy, jak ten ich Radžeśh Parab, który w końcu zaczął szukać pomocy w dużych firmach, szukał tu i tam, nawet w Dubaju, wszyscy dawali mu zapewnienia i obietnice, ale nic poza tym. To nasza drużyna wygrywała i to wokół nas roztaczał się jasny, świetlisty blask, a ci, którzy obserwowali nasze zmagania, widzieli to i robili zakłady. Zobaczyli to w praktyce i już się tego nauczyli: mały zespół zdeterminowanych bojowników, zjednoczonych wspólnym doświadczeniem w braterską miłość, z łatwością pokona wielką, niesprawną organizację, w której słabnie odwaga i zanika wiara.

Sześć tygodni później Radžeśh Parab zmarł na atak serca, w łóżku, nocą, we śnie.

– Pewnie mu się przyśniłeś, jak wchodzisz do jego sypialni – powiedział Paritosz Śah.

Ale cieszyłem się, że nie muszę go zabijać. Czułbym się jak jakiś hycel usypiający zmęczonego, skowyczącego kundla, i nawet myśl o tym nie dawała mi żadnej przyjemności.

Tej zimy dopadła mnie gorączka. Leżałem w przepoconym łóżku targany drgawkami, a moją głowę wypełniał suchy, świszczący gwizd. Nie uspokajały mnie ani filmy, ani muzyka, ani sprowadzane przez Ćhotę Badriję dziewczyny. Nieustannie plułem, próbując pozbyć się napływającej,

gorzkiej śliny. Łykałem pigułki, piłem słoną wodę, jadłem tylko biały ryż. Gorączka mnie nie opuszczała.

Byłem więc zupełnie rozbudzony, kiedy o drugiej w nocy Chota Badrija zapukał do mych drzwi.

– Znaleźliśmy Mohana Surwego – powiedział.

– Macie go tu?

– W samochodzie na dworze.

– Dawajcie go.

Wstałem i ubrałem się. Od kiedy nas zdradził, Mohan Surwe zniknął z Mumbaju. Po tej nocy, gdy widziałem jego twarz przed barem Mahal, oświetloną czerwonym światłem neonu, on po prostu zniknął, trach, jakby zapadł się pod ziemię. Od momentu, kiedy kule zaczęły świstać w powietrzu, nikt go nie widział, nigdy, ani w Mumbaju, ani w Wadgaon, gdzie mieszkała jego siostra z mężem i dziećmi.

Do pokoju wszedł Chota Badrija i pomógł mi założyć buty.

– Obserwowaliśmy jego siostrę – powiedział. – Listonosz pokazywał nam jej listy.

– Dobrze. I co potem?

– A potem niewiele więcej. Surwe myślał, że jest bardzo sprytny. Co miesiąc nadchodziły przelewy pieniężne z Manmohan Pansare w Pune. Nie było problemów z odnalezieniem urzędu pocztowego, z którego nadawano przekazy. Wzięliśmy tę pocztę pod obserwację. Zapuścił sobie brodę.

Broda na twarzy Mohana Surwego była miękka, rzadka i nie stanowiła zbyt dobrego przebrania. Wciąż widać było jego tłuste policzki, a nad nimi wiewiórcze oczy jak paciorki. Rozpoznałbym go z piętnastu metrów. Na mój widok zaczął coś bełkotać.

– Bhai, ja wystraszyłem się tych strzałów, więc uciekłem i się schowałem. Już nie chciałem w tym wszystkim uczestniczyć, ja się do tego

nie nadaję, jestem tchórzem, wybacz mi, bhai, ale taki już jestem, wybacz mi. Sorry, bhai, sorry.

Wciąż powtarzał to angielskie słowo, „sorry”, a mnie to denerwowało, wprawiało mnie w jeszcze większą złość niż wszystko, co już zrobił.

– Jak wysokie były te przekazy pieniężne? – zapytałem Ćhotę Badriję.

– Mniej więcej po pięć, sześć tysięcy. Pierwszy był na dziesięć tysięcy.

Popatrzyłem na Mohana Surwego.

– Nawet tego nie próbuj, Mohan. Nawet nie próbuj. – Mówiłem spokojnym szeptem, sam się dziwiłem, jak bardzo spokojnym.

W tym momencie załamał się, rzucił się na ziemię, chwycił mnie za kostki u nóg, aż w końcu zwiotczał u moich stóp. Poczułem smród uryny. Kiedy Ćhota Badrija związał mu ręce zielonym kablem elektrycznym, on zaczął się wić i przewracać z boku na bok, a spod przecierającego skórę drutu sączyła się krew. Mohan Surwe nie przestawał mówić: to gang Cobra pierwszy do niego przyszedł, on im odmówił, ale zagrozili, że zabiją jego siostrę, jej męża i dzieci, Wilas Ranade osobiście groził mu mieczem. Powiedział im więc, że tej nocy będę w Mahal, a oni przygotowali zasadzkę.

Poleciałem Ćhotcie Badriji odciągnąć go od moich nóg i poszedłem do swojego pokoju. Usiadłem na łóżku. Pomyślałem o moich chłopakach, o tych, którzy zginęli jako pierwsi, o Krysznie Gaikwarze, Pradipie Pednekarze i Kadzie Saikhu, tak chętnie opowiadającym historyjki, i przypomniałem sobie to uczucie, kiedy uciekałem pod ścianą budynku, uciekałem przed śmiercią, atakowany przez pędzące w moją stronę cienie, a także to pulsowanie krwi w mojej klatce piersiowej. Z sąsiedniego pokoju dochodziły mnie jęki Mohana Surwego, mocne jak krzyk, choć nie tak głośne, ale to jego płaczliwe, długie zawodzenie i tak przedostawało się przez ścianę. Wezwałem do siebie Ćhotę Badriję.

– Niech on się zamknie – rozkazałem. – Niech przestanie hałasować. Uspokój go. Daj mu coś, może whisky, cokolwiek. I zwołaj chłopaków. Wszystkich, którzy są w pobliżu albo są dostępni. Powiedz im, żeby tu byli za pół godziny.

Chota Badrija rozwiązał Mohana Surwego, dał mu nimbu pani z trzema rozkruszonymi tabletkami diazepamu. Kiedy moi ludzie się zebrali, Mohan Surwe leżał zwinięty w kłębek na ziemi, jedną ręką zakrywając głowę. Chłopcy podnieśli go, wzięli go za nadgarstki i za kostki, głowa opadła mu do tyłu, i tylko przewracał szklisto ciemnymi, niespokojnymi oczami. Wyszedłem z domu, a oni ruszyli za mną. Chwyciwszy Mohana Surwego za kończyny, nieśli go za mną w czwórkę. Nie odzywał się. Przenieśliśmy go przez puste uliczki, zostawiliśmy za sobą domy i wspięliśmy się na zbocze, nad Gopalmath. Miałem ze sobą wielką latarkę i oświetlałem drogę. Odwróciłem się dopiero, kiedy doszliśmy na samą górę, do małego wzgórzka w kształcie odwróconej miseczki. Kiedy oni nadchodzili, sunący powoli rząd moich ludzi, ja obserwowałem mgiełkę światła. W malignie gorączki diamentowe punkty otoczone były miękkimi, okrągłymi aureolami, a horyzont płynął pod tym migoczącym, lśniącem strumieniem, pod oddechem tego falującego miasta.

– To tu – odezwał się Chota Badrija.

Odwróciłem się do nich.

– Rozłóżcie go na ziemi – poleciłem. Wykonali moje polecenie. Czterej chłopcy, którzy go przynieśli, usiadłszy powyżej niego i poniżej, rozciągnęli go w szeroki krzyż. Mohan Surwe leżał nieruchomo, oświetlony okrągłymi promieniami latarek elektrycznych. – Wiecie, co on zrobił – powiedziałem. – Wielu naszych zginęło.

Wyciągnąłem dłoń w stronę Choty Badriji, a on wsunął w nią chłodną rękojęć miecza. Obszedłem Mohana Surwego, aż stanąłem bezpośrednio

nad jego głową, twarzą w stronę falujących ogników miasta, ważąc broń w dłoni. Była zdumiewająco ciężka jak na tak wąski i długi przedmiot. Dobra, zwarta stal. Na ramieniu miałem bliznę, która czasami odzywała się, czułem wtedy delikatne szarpnięcie w okolicy mojego serca, ale moje ramiona odzyskały już siły. Szerzej rozstawiłem nogi, uniosłem miecz nad głowę, nabrałem powietrza i uderzyłem, w prawe ramię Mohana Surwego, tuż poniżej barku. Uniósł głowę i rozejrzał się wkoło, przewracając oczami na boki. Ponownie uniosłem miecz i drugim cięciem odrąbałem jego rękę od ciała. Trzymający jego prawy nadgarstek chłopak upadł do tyłu, a w drżącym świetle natychmiast pojawił się silny, gęsty strumień czarnej krwi. Wśród stojących wokół ludzi rozległ się dźwięk przypominający jęk, a Mohan Surwe zaczął mówić. Nie było w tym żadnego sensu, jedynie płatanina sylab. Nie przestawał bełkotać, nawet kiedy Chota Badrija jednym cięciem miecza odrąbał mu lewe ramię, a ja usłyszałem brzęk metalu uderzającego o skałę i zobaczyłem fontannę białych iskier. W tym momencie głos Mohana Surwego przybrał na sile, ale jego głowa wciąż jeszcze była uniesiona, gdy kolejny z moich ludzi wystąpił z szeregu i chwyciwszy miecz, uderzył w jego lewe udo. Dopiero teraz wrzasnął. Ale kiedy przyszła kolej na jego prawą nogę, już się nie odzywał, leżał z głową zwróconą na bok. Sądzę, że był martwy.

– Zbierzcie te szczątki – powiedziałem – i gdzieś je wyrzucicie. I niech nigdy więcej nie słyszę jego imienia.

Zszedłem z mojego wzgórze, do mojego basti, do mojego domu. Kiedy spojrzałem w umieszczone we wnęce, zaraz po prawej od drzwi, lustro, zobaczyłem, że mam zupełnie zniszczoną koszulę, całą obryzganą krwią. Zdjąłem ją, zdjąłem też spodnie, przemoczone z przodu, oraz wilgotne buty. Wziąłem kąpiel w gorącej wodzie. Zjadłem małe sabudane ki khićri i wypłem szklanekę mleka z migdałami. A potem zasnąłem.





## Na tropach kobiet



Następnego dnia Sartadź przyłączył się do Parulkara, który odbywał swoją poranną przechadzkę dla zdrowia. Krążyli wokół parku Bradford, stanowiącego mały krąg na skrzyżowaniu siedmiu dróg w pobliżu domu Parulkara. Dochodziła piąta trzydzieści i trawa pod ich stopami była nieco wilgotna. Parulkar miał na nogach czerwone tenisówki, nad którymi łopotała biała piżama, i szybko przemierzał się po obwodzie, wyprzedzając innych spacerowiczów, a potem ich dublując. Sartadź musiał się bardzo starać, żeby dotrzymać mu kroku.

– Zupełnie nie rozumiem, czego uczą w tych nowych szkołach – odezwał się Parulkar. – Jak to możliwe, że Adżaj ma pięć i pół roku i nie potrafi czytać? I oni uważają się za najlepszą szkołę w Mumbaju. Musieliśmy poruszyć z tuzin kontaktów, żeby chłopaka tam przyjęto.

Adżaj był wnukiem Parulkara, uczęszczającym do zerówki w bardzo nowej i bardzo nowoczesnej szkole Dalmia.

– To ten nowy system nauczania, panie komendancie. Nie chcą wywierać nacisku na dzieci.

– Tak, tak, ale przynajmniej powinni już je nauczyć czytać Ala i Ela. I na mnie, i na ciebie wywierano naciski, i jakoś nam to nie zaszkodziło.

Minęli ochroniarzy Parulkara i zaczęli kolejne okrążenie.

– Muszę przyznać, że ja miałem problemy z tym naciskiem. Egzaminy mnie przerażały.

– Are, nie było z tobą tak źle. Tylko że ty zawsze miałeś coś innego w głowie, krykiet i filmy, a potem, szkoda gadać, dziewczyny. – Parulkar się

uśmiechnął. – Pamiętasz, jak musiałem cię pilnować, kiedy się uczyłeś?

Sartadź miał wówczas piętnaście lat. Zamiast siedzieć w domu i zakuwać, zaczął wyskakiwać przez okno, i w końcu Parulkar zdeklarował się, że będzie go pilnował w wieczór przed egzaminem z matematyki. W sumie zupełnie miło spędzili czas, popijając neskę z bitą śmietaną, zagryzając pomarańczami i małutkimi bananami, a Parulkar wykazał się wyjątkowym talentem, bo potrafił sprowadzać bardzo złożone problemy do prostych pytań. Sartadź zdał ten egzamin z wynikiem 58%, najwyższym, jaki kiedykolwiek udało mu się osiągnąć z matematyki.

– Tak, panie komendancie. I widzieliśmy śpiącego ćaukidara.

Przypomnieli sobie, jak to rzucali skórkami z pomarańczy w drzemiącego ćaukidara, i teraz, wspominając to, roześmieli się tak, jak wtedy.

– Przejdźmy, Sartadźu, do interesów.

– Tak jest, panie komendancie. – Oznaczało to, że będą kończyć przechadzkę, której zazwyczaj starali się nie zakłócać problemami związanymi z pracą.

– Mam dla ciebie kontakt z Firmą S. To kobieta, nazywa się Iffat–bibli. Jest ciotką Sulejmana Isy. Od dłuższego czasu pełni funkcję jednego z jego głównych rewidentów w Mumbaju. Ma już swoje lata, ale nie daj się na to nabrać. Jest bardzo inteligentna, bardzo bezwzględna, od lat jest jednym z jego największych skarbów.

– Dobrze, panie komendancie.

– Możesz zastać ją pod tym numerem. – Parulkar wsunął Sartadźowi złożoną karteczkę. – Jest tam w każde popołudnie. Będzie oczekiwać twojego telefonu.

– Dziękuję, panie komendancie. To bardzo ważny kontakt.

Parulkar tylko wzruszył ramionami i machnął lekceważąco ręką.

– Bądź ostrożny. Ona nie udziela informacji za darmo. Prędzej czy później o coś cię poprosi. Nie składaj jej więc żadnej obietnicy, której nie mógłbyś spełnić.

– Oczywiście.

– To bardzo ciekawa kobieta. Podobno swego czasu mężczyźni zabijali się o nią. Kiedy ja ją jednak poznałem, była już stara. I wiesz, pomyślałem sobie wtedy, że kiedyś pewnie była piękna, ale żaden mężczyzna nigdy jej nie zdobył. Jeśli jakiś mężczyzna ginął z jej powodu, to na pewno ona za tym stała. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Żadnych.

– Będę uważał.

Chociaż Parulkar skończył już przechadzkę, tym samym tempem dotarł do swojego samochodu. Sartadź patrzył za nim, myśląc, że tak naprawdę nigdy się nie odwdzieczył Parulkarowi za to wszystko, co on dla niego zrobił. „W życiu nic nie ma za darmo”, była to jedna z pierwszych lekcji Parulkara, ale Sartadź nigdy nie poczuł, że odplacił mu tą samą monetą. Może pewnego dnia nadejdzie pora, żeby to wszystko spłacić.

Tego ranka Sartadź i Katekar podążyli dostarczonym przez Manikę tropem w poszukiwaniu efektownie opisanej Kavity, która kiedyś tańczyła w barze o nazwie Pritam i której udało się dokonać tej rzadkiej sztuki awansu na niższe szczeble show biznesu. W rzeczywistości nazywała się Naina Aggarwal i pochodziła z Raj Bareli. Kierownik baru Pritam spojrzął na fotografię i powiedział im, jak nazywał się serial, w którym ona grała, *47 Breach Candy*. Oglądał go co czwartek, był z niej bardzo dumny, chociaż od kiedy zaczęła pojawiać się w telewizji, ani razu się z nim nie skontaktowała. Właściciel firmy Jazz Films, produkującej *47 Breach Candy*, dał Sartadźowi jej numer telefonu i adres, jednocześnie gorąco polecając mu ten program, który cieszył się sporą popularnością, miał

wysokie notowania w TRP i świetne recenzje, był bardzo zajmujący i chociaż realizowano go na podstawie programu amerykańskiego, nadano mu w pełni indyjskie cechy, osadzając go w naszej kulturze. Naina Aggarwal nie mieszkała już w Andheri East, ale w Lokhandwali, w mieszkaniu, które zajmowała wraz z trzema innymi, również pracującymi w telewizji dziewczynami. Była niska, ładniejsza niż na zdjęciu, i rozplakała się, kiedy tylko Sartadź zapytał ją, skąd pochodzi, czym zajmował się jej ojciec, czy miała braci lub siostry. Spływający tusz do rzęs ubrudził całą jej twarz aż po podbródek, jeszcze zanim on zdążył powiedzieć: „Wiemy, że byłaś zamieszana w pewne bardzo ciemne sprawy. Ale jeśli nam pomożesz, nie będziemy cię dręczyć”.

Szybko skinęła głową, przyciskając splecione dłonie do ust. Skuliła się na łóżku, przerażona ich obecnością w tym pokoju, na który z takim trudem zdołała sama zarobić. Na półce, przykręconej śrubami do ściany nad łóżkiem, stał cały rząd fotografii osób z Raj Bareli, ubranych w jaskrawe koszule, a Sartadźowi udało się rozpoznać jej ojca, dyrektora szkoły. Pochodziła z bardzo szacownej rodziny, a w barze tańczyła tylko dwa miesiące, zaraz po przyjeździe do miasta, kiedy pieniądze zaczęły jej uciekać w niewyobrażalnie szybkim tempie. Skwapliwie kiwała głową. Usilnie pragnęła pozbyć się nas ze swojego pokoju, zanim jej współlokatorki i sąsiedzi dowiedzą się, że miała coś wspólnego z brudnymi sprawami policji i że kiedyś tańczyła w jakimś obskurnym barze.

– Proszę – powiedział Sartadź. Na łóżku obok Nainy położył zdjęcie martwej kobiety. – Znasz tę osobę? – Widać było, że jest przerażona, ale nie potrafiła oderwać wzroku od fotografii. – Wszystko w porządku. Po prostu powiedz nam, jak ona się nazywa.

Kilka razy musiała przełknąć ślinę, trzy razy próbowała, zanim w końcu udało się jej to wykrztusić.

– Dźodźo.

– Dźodźo? Dźo–dźo?

– Tak. Co się z nią stało?

– Nie żyje.

Naina podwinęła nogi na łóżko. Wyglądała na bardzo młodą. Grała w serialu pełnym różnych intryg, cudzołóstwa i morderstw, ale Sartadź widział, że ona nie jest w stanie nawet zapytać, jak Dźodźo umarła.

– Nie bój się – odezwał się Sartadź. – Jeśli tylko będziesz z nami szczerą, nie będziemy cię w to wszystko mieszać. Jakie nosiła nazwisko?

– Mascarenas.

– Dźodźo Mascarenas. A ty dla niej pracowałaś?

– Tak.

– W jaki sposób?

Nie podnosząc głowy z kolan, Naina spróbowała lekko wzruszyć ramionami.

– Ona opiekuje się modelkami i jest producentką telewizyjną. Polecała mnie do agencji, załatwiała mi role w filmach wideo.

Sartadź zmienił ton na bardzo delikatny i łagodny.

– Ale to nie wszystko, prawda?

Katekar stał oparty o drzwi, nie przeszkadzając Sartadźowi w prowadzeniu przesłuchania. Przez te lata współpracy doszli do tego, że w pewnych sytuacjach, w rozmowach z kobietami, uprzejmość i troska Sartadźa są lepsze niż brutalne zastraszanie i krzyki. Korzystali z obu tych metod z umiarem, w zależności od sytuacji i potrzeb. Katekar wcisnął się więc w kąt i się nie ruszał.

– Naino–dźi – podjął Sartadź – to bardzo poważna sprawa. Tu chodzi o morderstwo. Ale jeśli nie będziesz ze mną zupełnie szczerą, nie będę mógł cię chronić. Nie bój się. Obiecuję, że w ogóle nie zostaniesz w to

zamieszana, nikt się nie dowie o twoim istnieniu. Dla mnie istotne są tylko informacje o tej Dźodźo. Twoja osoba wcale mnie nie interesuje, nic ci nie grozi. Powiedz mi, proszę.

– Ona, ona znajdowała mi klientów.

– Klientów.

Teraz już płakała rzewnymi łzami, zgięta w pół trzęsła się na całym ciele.

Wyszli dziesięć minut później, z numerem telefonu Dźodźo Mascarenas i adresem jej biura, oraz z pewnymi informacjami: Dźodźo prowadziła agencję modelek, do niej należała też firma produkująca programy telewizyjne. Pracowała przy realizacji programów, a kiedy nie realizowano żadnego programu, nie szukano aktorek i nie prowadzono żadnej kampanii, zachowywała pozycję na rynku podaży i popytu, posyłając młode, piękne i ubogie do bogatych i wymagających. Wystarczyło kilka reklamowych zdjęć, kilka telefonów, metoda bardzo prosta i bardzo skuteczna, a wszyscy dostawali to, czego potrzebowali.

Sartadź i Katekar czekali na windę w ocienionym korytarzu.

– Czyli nasza płaczliwa Naina dostała się do serialu – odezwał się . – Po tych wszystkich swoich tańcach.

– Zgadza się – odparł Sartadź. – Ale co się stanie, jeśli serial zrobi klapę?

– Z powrotem do Raj Bareli.

Nadjechała nieoświetlona kabina windy, weszli do środka, i kiedy za trzecim razem Katekarowi udało się w końcu mocno zatrzęsnać stalową kratę, ruszyli w dół, mijając po drodze błyskające smugi światła.

– Nikt nigdy nie wraca do Raj Bareli – powiedział Sartadź. A nawet gdyby wróciła, pomyślał Sartadź, czy Raj Bareli przyjęłoby ją z powrotem? Przebyła tę całą drogę do Lokhandwalla, do *47 Breacb Candy* i do Dźodźo, a Dźodźo posyłała ją w jeszcze inne miejsca.

– Chyba czas zadzwonić do Dilli-wali, sir? – zapytał Katekar. Po jego twarzy przesuwały się długie smugi czerni.

– Jeszcze nie – odrzekł Sartadź. – Najpierw chcę się dowiedzieć, kim była ta Dźodźo.

Dźodźo Mascarenas była osobą schludną. Nie żyła od pięciu dni, ale jej mieszkanie lśniło czystością, wyszorowane i wypucowane. Na ścianie kuchni na stalowych haczykach wisiał rząd błyszczących stalowych chochli, rozmieszczonych według wielkości. Na blacie obok stołu w jadalni znajdowały się równiutko ustawione dwa telefony i automatyczna sekretarka, a kafelki w łazience przy korytarzu mieniły się ciemnoniebiesko.

– Ta kobieta zarabiała niezłe pieniądze – odezwał się Katekar.

Ale nie szastała nimi. Kiedy zdobyli adres jej biura, okazało się, że to zarazem adres jej mieszkania, na trzecim piętrze budynku Nazara przy ulicy Jariego. Zarabiała duże pieniądze, ale była osobą gospodarną – pierwszy mały pokój po prawej stronie przedpokoju stanowił jej biuro, pełne kartotek, z trzema biurkami, komputerem, dwoma aparatami telefonicznymi i faksem, a wszystko elegancko uporządkowane, wszystko niezbędne do wykonywanej przez nią pracy. Nawet sypialnia nie była zbyt ekstrawagancka, leżał tam jedynie prosty, podwójny materac na niskiej ramie, bez wezglowia. Na ścianie wisiało wysokie lustro, a przed nim stał stolik, zastawiony rzędem kosmetyków, oraz czarny taboret. Żadnych skórzanych sof, żyrandoli, złotych figurek, żadnego z tych zbytków, zwykłych u ludzi zajmujących się handlem wizerunkiem i ciałami. Kiedy wyciągnął klucz z kieszeni i wsunął go do zamka, a klucz gładko się obrócił, Sartadź spodziewał się zobaczyć przystrojony czerwonym ałasem dom publiczny jak z filmu, może bałagan niechlujnej kobiety, a już na

pewno nie tak porządną kryjówkę, taki cichy dom i miejsce pracy. Wprost nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Dobra – odezwał się Sartadź. – Przeszukajmy to mieszkanie.

– Czego szukamy? – zapytał Katekar.

– Musimy się dowiedzieć, kim była ta kobieta.

Katekar zabrał się do roboty, ale widać było, że się niecierpliwi, pracował szybko, bez zaangażowania. Sartadź zdawał sobie sprawę, że jego partner woli proste i jasne, normalne morderstwa, kiedy jest ciało, nieznanymi morderca lub mordercy, i trzeba szukać motywu zbrodni. W tym przypadku mieli dwie ofiary, z czego jedna niewątpliwie zabiła drugą, i jakie mogły mieć znaczenie ich powiązania? Któż to mógł wiedzieć? Kogo to obchodziło? Kogo obchodził gangster i stręczycielka? Katekar nie odzywał się, ale Sartadź wiedział, że w duchu przeklina tę sprawę. Zdaniem Katekara ta sprawa to aijedźawnaja, Sartadź był tego pewien, ta kobieta z Delhi była aijedźawnaja, i to wszystko można było dźhaw.

– Dźhaw–dźhaw–dźhaw – mrucał pod nosem Sartadź przy pracy. Najpierw sprawdził sypialnię, ponieważ to było proste. Wszelkie przydatne informacje i przedmioty znajdzie w biurze, ale że i tak trzeba sprawdzić sypialnię, wszedł tam właśnie. Na całej długości pomieszczenia zamontowano szafę wnękową, w której znalazł dwa ciasno upchane rzędy sari, bluzek, ghagr, spodni, dżinsów, T–shirtów, koszul. Można w tym było dostrzec jakiś porządek, jakąś kobiecą i bardzo osobistą logikę, której Sartadź nie mógł do końca pojąć, ale zdecydowanie przypominało mu to o ułożeniu koszul w jego szafie, według koloru, od czerwonego do niebieskiego. Kiedy zobaczył szafę Dźodźo, polubił tę kobietę. Spodobało mu się jej zamiłowanie do butów, dbałość o ich skórę i zrozumienie różnych funkcji obuwia – dlaczego należy mieć trzy pary tenisówek, od prostych po ostatni krzyk techniki. I spodobało mu się, że trzymała je na



samym końcu po prawej, na najniższym z trzech rzędów wypełnionych sandałami, botkami, ćappalami i szpilkami. Właścicielka tego bardzo prostego i niemal pustego mieszkania ubrania miała ekstrawaganckie. Sartadź patrzył na to z uznaniem.

Ale – zgodnie z przewidywaniami – w sypialni nie znalazł niczego interesującego. W drugiej, różowej łazience zobaczył mnóstwo szamponów i mydeł, a także dwie pary majtek i stanik, wiszące na rurce od zasłonki prysznicowej. W umieszczonych nad szafą z ubraniami schowkach znalazł więcej ubrań, jakieś naczynia i stare lampy, a w szufladach toaletki kosmetyki i przeróżne nici i igły, a także stos magazynów „Femina”, „Cosmopolitan”, „Stardust” i „Elle” obok łóżka, ale to już było wszystko. Kiedy Sartadź wyszedł do przedpokoju, Katekar kończył sprawdzanie saloniku.

– Jej torebka leżała za blatem w kuchni – powiedział. – Na podłodze. Po prostu tam stała.

– Było coś w środku?

– Tylko szminki–pralinki. Nie było prawa jazdy, ale znalazłem kartę do głosowania i kartę PAN.

Podał obie karty Sartadźowi. Na obu widniał napis „Julia Mascarenas”. Ale dopiero teraz Sartadź po raz pierwszy zobaczył jej uśmiech. Na zdjęciach była pełna życia, rozanielonym wzrokiem spoglądając w kierunku aparatu, z wyrazem twarzy osoby, która coś o tobie wie.

– Było coś jeszcze? – zapytał Sartadź.

– Nic. Ale nie ma żadnych zdjęć.

– Zdjęć?

– Tak, zdjęć. W całym domu nie ma ani jednej fotografii. Nie znam kobiety, która nie rozstawiałaby zdjęć po całym domu.

Katekar miał rację. Kiedy Megha od niego odchodziła, zabrała ze sobą wiele fotografii, a mimo to Sartadź spędził całe niedzielne popołudnie na zdejmowaniu zdjęć ze ściany i wkładaniu ich do pudełka po butach. A u Ma zdjęcia zajmowały całe ściany, ukazując historie rodziny i wszystkich jej odgałęzień, wszystkie rodzinne powiązania i każdą stratę.

– Może ta Dźodźo trzymała je w kartotekach – powiedział Sartadź.

Poszli więc do jej biura. Kartoteki znajdowały się w czarnej szafie na dokumenty, zawierającej cztery przegródki, umieszczone jedna nad drugą. Wszystkie były starannie opisane: „Reklama butów D’Souza”, „Kampania restauracji Sarmila”. Najniższa półka była mocno wypchana i ciężka, mieli trudności z jej wysunięciem.

– Aktorzy? – zapytał Katekar.

– Tak, i aktorki. – Mężczyźni byli po prawej, kobiety po lewej, w alfabetycznie poukładanych rzędach błyszczących prospektów, z podpiętymi życiorysami. Anupama, Anuradha, Aparna. Jeszcze niezupełnie aktorki, ale młode i rokujące. A było ich mnóstwo, aż za dużo. Większość z nich nie odniesie sukcesu, ale do tego złotego miasta nieustannie przybywały następne. I właśnie z tego nadmiaru i głodu, z tego prostego równania, zrodził się biznes Dźodźo. Kontynuowali poszukiwania, otwierali szuflady i wyciągali kartoteki z półek. Znaleźli niską metalową szafkę, którą udało się im otworzyć za pomocą trzeciego kluczyka na kółku Dźodźo, a w środku leżały jej książeczki bankowe, książeczki czekowe, wyciągi z konta oraz biżuteria w metalowej szkatułce: dwa złote naszyjniki, trzy pary złotych bransolet o różnych wzorach, sznur pereł, brylantowe kolczyki i splątany stos ozdób ze srebra.

– A gdzie są pieniądze? – odezwał się Katekar. – Gdzie ona trzymała gotówkę?

Za pewne towary klienci płacili wyłącznie gotówką. W legalnym telewizyjnym interesie Dźodźo przewijało się trochę brudnych pieniędzy, większość transakcji zawierano jednak za pomocą uczciwych, legalnych czeków. Prowadzona na boku stręczycielska działalność musiała przynosić jedynie gotówkę, to pewne, mnóstwo gotówki. Ale nie było jej w tej metalowej szafce. Nie mogła trzymać jej w banku. Gdzie zatem była? Sartadź udał się do przedpokoju, obszedł kuchnię i salonik. Zajrzał pod wiszącą na ścianie grafikę w ramce. Przedstawiała leśny pejzaż, ale pod zieloną polaną widniała jedynie ściana. Stanął na wannie w łazience i opukał kafle na suficie. Wszystkie były mocno przytwierdzone, nie kryły się za nimi żadne puste przestrzenie, nie znalazł też żadnych tajnych schowków nad zbiornikiem wody wiszącym nad drzwiami. Kiedy wrócił do przedpokoju, zobaczył, że Katekar odsunął w biurze szafki i stoły od ścian i na kolanach bada krawędzie podłogi. W przeszłości zdarzało im się znajdować pieniądze w przemyślnych kryjówkach, dokładnie zaplanowanych i wykonanych wnękach. W tym mieście wiedziano, jak schować pieniądze, budowniczowie do perfekcji doprowadzili umiejętność wykonywania półek i zagłówków, które zsuwały się po naciśnięciu sekretnego przycisku, ukazując ukryte skarby. Pewnego razu znaleźli sztabki złota schowane w skraju workowatych, obfitych zasłon z czerwonego brokatu. O takich pieniądzach mówiono, że są *czarne*, ale Sartadź zawsze myślał o nich w kategoriach szarości: tego typu zarobki były nielegalne i stanowiły udrękę dla społeczeństwa, ale podatki były legalne i też były zmorą dla społeczeństwa, i chociaż szukał tych pieniędzy, nigdy nie odczuwał pogardy dla ludzi, którzy je gromadzili. Dźodźo zarabiała jednak pieniądze, sprzedając młode dziewczyny obleśnym pożądanym mężczyznom, jej pieniądze były więc czarniejsze niż inne, pomimo tej całej czystości, której przestrzegala w codziennym życiu. Gdzie

one mogły być, gdzie mogły być te śmierdzące pieniądze, ten stos papieru cuchnący wstrętną pościelą hotelową i zaschniętym potem? Gdzie? Nie było ich w tej różowej łazience, nie było ich w jej materacu. Sartadź wyjmował ubrania z szafy i rzucał je na łóżko, usypując luksusowy stos jedwabistego szkarłatu, bieli i ciemnej zieleni. Badał ściany szafy, opukując je, a potem przykładając do nich dłonie, i wdychał jej zapach, woń jej ciała i perfum. Przez chwilę stał z dłońmi płasko przyciśniętymi do sufitu szafy, a potem podszedł do łóżka i usiadł na nim. Oparłszy się o kaskadę bluzek i spódnic, zapytał: „Gdzie to ukryłaś? Gdzie?”. Najbardziej prawdopodobnym miejscem była łazienka, z łatwością można skonstruować schowek za kafelkami, ale to miejsce zbyt oczywiste, Hema Malini, Mina Kumari i kilka innych bohaterek wpadły, trzymając gotówkę w toalecie, a Dźodźo zdecydowanie należała do osób bardziej wyrafinowanych. Tego Sartadź był pewien.

Kiedy się nieco odchylił, zaczął dostrzegać sens w uporządkowaniu jej butów. U dołu szafy skonstruowane były trypoziomowe półeczki, z tego samego drewna, rozciągające się prawie na całą długość szafy. Na najniższym poziomie i po prawej stało obuwie najbardziej swobodne, tenisówki i jasne gumowe ćappale firmy Bata, a potem ćappale firmy Kolhapuri, w dużym wyborze. Na drugim poziomie stały buty wygodne, praktyczne, profesjonalne, ale mocne, takie, które bez problemów można nosić przez cały dzień w pracy. Ale na lewym krańcu drugiego poziomu zaczynały się już kozaczki, masywne, z grubymi i długimi sznurowadłami, i szalenie pretensjonalne, a górna półka zaczynała się od prawej parą czarnych botków z ostrymi jak igła obcasami i miękkimi cholewkami, które musiały sięgać do połowy ud Dźodźo. Kolejne obcasy były jeszcze delikatniejsze i bardziej niebezpieczne, cholewki i paski stawały się coraz cieńsze, a Sartadź zauważył, że ostatnia po lewej para na górnej półce,

przeświecający płonący bursztyn zupełnie nieprzypominający buta, cały zwężający się w obcas cienki jak nóż i wyposażony jedynie w jeden ukośny rzemyk, powodował, że stopa Dźodźo była naga, choć ubrana.

– Brawo, Dźodźo – powiedział. – Niezłe buty, Dźodźo.

Wstał, odsunął buty ze środkowej półki i, chwyciwszy za deskę, szarpnął. Była solidnie zamocowana. Schylił się, zajrzał pod spód i zobaczył podłogę oraz tył szafy pod półkami. Widząc górny rząd, przechodzący od kozaczków do szpilek, Sartadź powiedział na głos:

– Widzę, Dźodźo, że idziesz z prawej do lewej.

Pochylił się nisko, szeroko rozłożył ręce i chwyciwszy za boki górnej półki, pociągnął. Wciąż wszystko trzymało się mocno, ale w tym momencie jego palce ześlizgnęły się i wyczuł jakiś rowek, dwa rowki, po obu stronach. Biegły wzdłuż boków półek, tuż poniżej wysuniętej krawędzi górnej półki, wysokie na grubość palca i długie na kilkanaście centymetrów: to musiały być uchwyty. Nos Sartadźa znajdował się w odległości zaledwie paru centymetrów od czarnych szpilek Dźodźo, a krew w jego żyłach pulsowała. Mam cię. Mam cię. Chwycił za uchwyty i pociągnął. Nic się jednak nie wydarzyło, nie poddało się. Wciąż wszystko mocno się trzymało. Ale u góry prawego uchwytu coś się poruszyło, coś skurczyło się pod palcami. Zaparł się dłońmi o górę półki i nacisnął, jakby to był bardzo sztywny hamulec motocykla, i teraz tak, tak, wyraźny ruch, zatrask puścił. Zrobił to samo po obu stronach i pociągnął, a wtedy całość, wszystko razem, trzy półki z butami, cała konstrukcja wysunęła się z szafy. Z uśmiechem na twarzy cofnął się, rozrzucając ćappałe, botki i sandałki z paskami.

– Aj, Katekar – krzyknął. – Katekar.

Uszczęśliwieni, razem zaglądali do głębokiej na pół metra skrytki, w której Dźodźo schowała swoje tajemnice. Były tam, oczywiście, pieniądze:

starannie poukładane stosy banknotów sturupiowych i pięćsetrupiowych, wciśnięte na sam tył, po lewej. Katekar spojrział na nie okiem zawodowca, przykładając do nich rozpostarty kciuk i mały palec lewej dłoni.

– Niewiele – powiedział. – Pięć lub sześć lakhów. Niektóre przypominają pieniądze Gaitondego.

Paczki banknotów pięćsetrupiowych były zupełnie nowe, w banderolach Central Bank of India, podobnie jak tamte zawinięte w to samo praktyczne opakowanie z plastikowej, kurczliwej folii.

– Gaitonde musiał jej płacić – powiedział Sartadź.

– Za usługi randi.

Po prawej, również wciśnięte na koniec wnęki, jeden na drugim leżały trzy czarne albumy ze zdjęciami. Ale Sartadź nie odczuwał żadnej pilnej potrzeby, zupełnie nie ciągnęło go, żeby je wziąć, otworzyć i zanurzyć się w sekretnym życiu Dźodźo. Skoncentrował się na pieniądzach i wiedział, że Katekar myśli o tym samym. Słyszał to w jego powolnym oddechu, ściśniętym z powodu niewygodnej pozycji w kucki. Gotówka stanowiła problem – znalezione w mieszkaniu denatki sześć lakhów w lewych pieniądzach zazwyczaj traktowało się jako prezent dla dobrych policjantów. Nie całość, takim nieoczekiwanym podarunkiem mogło być z pięć lakhów, a jeden lakh będzie musiał znaleźć się w panćnamie, a zatem trafić w paszczę rządu, i tyle. Nikt nie będzie stawiał kłopotliwych pytań o lewe pieniądze zmarłej burdelmamy. Kwota była na tyle mała, że nikt nie zauważy jej braku, a jednocześnie nie zostaną przekroczone granice rozsądku, którym hołdował Katekar. Nikt nie zwróci na to uwagi, chyba że Dźodźo prowadziła jakiś rejestr albo mówiła komuś o swoich pieniądzach. Niezbyt prawdopodobne, ale niewykluczone. Ale w wypadku tej wyjątkowo nerwowej, powiązanej z Delhi sprawy, w którą na dodatek

zaangażowane było RAW, ryzyko mogło być zbyt wysokie, spojrzeli więc tylko po sobie i podjęli decyzję.

– Albumy – rzucił energicznie Sartadź i wyciągnął je z wnęki. Zdjęcie otwierające pierwszy album przedstawiało młodziutką Dźodźo, o wiele lat młodszą i o wiele doświadczeń uboższą. Ubrana była w czerwoną suknię, w zasadzie w dziecięcą sukienkę, z kwadratowym kołnierzem i wysokim pasem, i wyglądała na jakieś szesnaście lat. Siedziała na czarnej kanapie, splecionymi ramionami obejmując starszą dziewczynę, młodą kobietę szczerzącą zęby w identycznym, szerokim uśmiechu. Na kolejnych kilku stronach widać było tę samą parę, jak śmieją się na łóżku, nad morzem, na balkonie z widokiem na górujące dachy Mumbaju.

– Siostry – stwierdził Katekar.

– Zgadza się – odparł Sartadź. – Ale kto robił te zdjęcia? – Dalej przerzucał te obrazy szczęścia i miłości. W pewnym momencie napotkał pustą stronę, całą białą. Ale kiedyś była tu fotografia, został po niej odcisk pod cienkim plastikiem. Na kolejnej stronie znowu pojawiały się dwie siostry, tym razem na terenie Wiszących Ogrodów. Co parę stron brakowało jednak jakiegoś zdjęcia. Mniej więcej w połowie albumu siostry świętowały urodziny. Nie było widać jakiegoś specjalnego przyjęcia, tylko one dwie, prezenty na stole w jadalni i różowy tort z białym lukrem.

– Siedemnastka – powiedział Katekar. Ze swoją głową do rachunków zdążył już oszacować liczbę płonących jasno świec.

Kiedy Sartadź odwrócił stronę, okazało się, że ta również jest pusta, tym razem jednak nie było na niej ani śladu po fotografii. Reszta albumu była pusta.

Fotografowanie nagle się skończyło. Sartadź odłożył album i sięgnął po następny. Ten cofał się do lat szkolnych. Siostry były w białych, szkolnych bluzkach i ciemnych spódniczkach. Na bosaka, z identycznymi,

sterczącymi na boki jak skrzydła warkoczykami stały szczęśliwe przed domem z grubymi, drewnianymi drzwiami, nadprożem z ciężkiego kamienia i widocznym wewnątrz, oświetlonym słońcem podwórzem.

– Wioska – stwierdził Sartadź. – Ale gdzie?

– Na południu – odrzekł Katekar. – Gdzieś na południu. Może Konkan.

Obie siostry pozowały teraz w atelier, w identycznych błękitnych sukienkach z bufiastymi rękawami i ogromną fontanną koronek pod szyją, a z nimi stała ich matka. W statecznej czerni, miała na sobie sukienkę z długimi rękawami sięgającymi po nadgarstki, jej głowa świeciła pasmami siwizny, a światła rozpały płomieniem krzyżyk na jej szyi. Uśmiechała się, choć ostrożnie.

– Nie ma ojca – powiedział Sartadź.

– Tak, nigdzie nie widać ojca – przyznał Katekar. – Co to za miejsce, ferma?

Siostry bawiły się pod drzewami, w zagajniku przesyconym zielonym światłem, biegały wśród długich rzędów roślin, przemykały między zawijającymi się na krawędziach szerokimi liśćmi.

– Nie wiem – odparł Sartadź. Nic nie wiedział o drzewach ani o roślinach czy farmach. To był zupełnie inny świat.

Ostatni album należał do staromodnych, jakich już się nie robi, z grubymi, czarnymi kartami, a pierwsze zdjęcie zamocowane było do strony za pomocą małych, czarnych rożków, eleganckich skrzydełek. Sartadź nie mógł sobie przypomnieć, jak one się nazywają. Ale jak na zawołanie obaj, i on, i Katekar, powiedzieli:

– Ojciec.

Ojciec siedział w tej szczególnej, sztywnej pozie, jaką mężczyźni i kobiety z minionych epok przyjmowali przed aparatem fotograficznym, kiedy to wyjątkowe wydarzenie wymagało oficjalnego zachowania, i był



ubrany w biały mundur. Ramiona miał cofnięte, a zwiniętą w pięść prawą dłoń opierał o biodro.

– Marynarka – odezwał się Katekar.

– Handlowa.

Ojciec miał wielkie oczy swoich córek, patrzyły wprost w aparat. Na kilku kartkach miał jednak tylko jedną córkę, która stała między nim a jego żoną, trzymając ich za ręce. I nagle, na kolejnej stronie, pojawił się nowy członek rodziny. Rączki i nóżki wyciągała w kierunku aparatu, uśmiechając się bezzębnymi ustami, miała cieniutkie włoski i okrągłą buzię. Sięgała w stronę umieszczonego nad fotografią imienia, atramentem wypisanego odręcznie na czarnej stronie białym pismem z zawijasami i ozdobnikami: Julia.

– Julia? – zapytał Katekar.

– Tak – odrzekł Sartadź. – Jak towarzyszka Romea.

Katekar śmiał się długo i donośnie.

– Czyli Julia stała się Dźodźo? A Gaitonde to jej Romeo? – Wymawiał „Romjo” i Sartadź, słysząc ten jego rechot, uznał, że to naigrywanie się jest niesprawiedliwe i wstrętne. Uznał, że Katekar jest bardzo ordynarny, ganwar i prostacki, ale nie chciało mu się go strofować. Sartadź czuł jakąś słabość do tej dawnej Julii, tej sprzed Dźodźo. Na kolejnych stronach dorastała, otoczona opieką siostry i matki. Wkrótce po tym, jak Julia nauczyła się chodzić, matka zaczęła obie siostry ubierać tak samo, w identyczne sukienki, były tak samo uczesane, i miały jednakowe opaski na włosy. Pierwsza fotografia, na której pojawiły się tak ubrane, była zdjęciem portretowym zrobionym w atelier, na tle wieży Eiffla. Stały, trzymając się za ręce, pod zgrabnym, wznoszącym się ku czerwonemu niebu łukiem, a pod zdjęciem widniały dwa imiona: Mary i Julia, oddzielone wymyślnym zakrętasem.

– Mary Mascarenas – powiedział Sartadź. To była ta siostra.

Identyczne stroje skończyły się, kiedy Julia miała dziesięć, jedenaście lat, na ostatnich zdjęciach tego albumu. Na fotografii urodzinowej miała włosy krótko ścięte, równo wokół głowy, dużo krócej niż Mary, i połyskujący naszyjnik z jasnych koralików. Ubrana była w taką samą sukienkę, jak jej siostra, ale wyglądała inaczej. Lepiej ją nosiła. Julia zaczęła manifestować swoją osobowość, wiedziała, kim jest, i przeciwstawiała się swojej matce. Sartadźowi podobała się jej postawa, ta niecierpliwa żywiołowość, zuchwałość. A obok była ta poważna Mary.

W należącym do Dźodźo grubym notesie adresowym pod literą M Sartadź znalazł Mary, wraz z numerem do pracy i domowym oraz adresem w Kolabie. Ale numer był stary, nieaktualny, Sartadź pamiętał, że już siedem lub osiem lat temu centrala w Kolabie została zmieniona na cyfrową. Czyżby Dźodźo od ośmiu lat nie rozmawiała z Mary? Sartadź zastanawiał się nad tym, a tymczasem zajęli się uporządkowaniem mieszkania, odkładając wszystko na miejsce, wszystko oprócz zawartości szafy w sypialni. Potem Sartadź zadzwonił do Delhi–wali.

Usiedli w biurze Dźodźo i czekali. Sartadź powoli kręcił się na biurowym fotelu Dźodźo, rozmyślając o tych siostrach i ich kłótniach. Ma często opowiadała o swojej starszej siostrze, Mani–mauśi, że była uparta, że z komunistyczną głupotą odmawiała przyjęcia stałej pomocy, pomimo długotrwałej choroby i niedomagań, przecież co by się stało, gdyby nagle zasłabła i spadła ze schodów, czy też zdarzyłoby się coś podobnego, ile razy mówiłam jej, żeby tu przyjechała i zamieszkała ze mną, ale ona jest taka uparta. Sartadź nigdy nie umiał zmusić się do tego, żeby powiedzieć jej, że ona sama, jego mama, ta młodsza siostra, wcale nie jest mniej uparta, wcale nie mniej chroni tę swoją subtelną niezależność, równie mocno jest oddana

stworzonemu przez siebie domowi, tym wysokim ścianom, błyszczącym podłogom i znanym światłom, cichym korytarzom.

Dźodźo też zbudowała sobie dom, i wiele ją to kosztowało. W kuchni, obok zlewu, w małym schowku tuż nad podłogą znaleźli skrzynkę z narzędziami i dwa rzędy puszek z różnokolorowymi farbami. Sama malowała pokoje. W lodówce znajdowały się plastikowe pojemniki z resztkami jedzenia. Dźodźo niczego nie wyrzucała. Pozwalała sobie na luksusowe buty, ale była oszczędna. Jak również energiczna, pomyślał Sartadź. Widział to po zdjęciach. Chyba była dobra w tym, co robiła.

Delhi-wali nie kazała długo na siebie czekać. W ciągu dwudziestu minut, może nawet szybciej, przyjechała czarnym ambasadorem. Z okna saloniku Sartadź i Katekar obserwowali samochód zajeżdżający z dużą szybkością pod budynek. Dobiegł ich dźwięk zatraskiwanych drzwi i niecałe dwie minuty później usłyszeli pukanie.

Jako pierwsza weszła Andźali Mathur, dysząc ciężko. Dzisiaj miała na sobie brunatny śalwar-kamiz. Tuż za nią zdążył Makand, człowiek, który wyrzucił Sartadźa z bunkra Gaitondego.

– Sypialnia? – zapytała Andźali Mathur.

Sartadź wskazał drogę. Zdążył już przez telefon powiedzieć jej, jak Dźodźo się nazywała, jaka była jej profesja, a raczej profesje, o tajnym schowku w szafie i o jej siostrze, Mary. Zadzwoił pod numer telefonu stacjonarnego, ale rozmowa musiała zostać przekazana na telefon komórkowy, który niosła w lewej ręce.

– Czy możecie poczekać na zewnątrz? – rzuciła przez ramię, idąc przez pokój. Jeden z jej wystrzyżonych sługusów już trzymał klamkę, i Katekar ledwo zdążył przekroczyć próg, kiedy drzwi się zatrzasnęły. Wraz z Sartadźem stali na korytarzu, zbyt zaskoczeni, żeby się złościć.

Nie mieli nic do roboty, mogli jedynie czekać, więc czekali.

– Te ćutije z nią to ci sami, co wtedy u Gaitondego – powiedział Katekar.

Sartadź skinął głową. Towarzyszący Andźali Mathur trzech mężczyźni byli w bunkrze Gaitondego, wszyscy tak samo podstrzyżeni i w takich samych butach. Jakie buty ona założyła, jakie dopasowała do swojego brązowego śalwaar–kamiz? Nie zdążył zauważyć, wszystko odbyło się tak szybko. Na pewno było to coś wyjątkowo solidnego, praktycznego i na płaskim obcasie. Należała do kobiet z włosami ściągniętymi mocno do tyłu, z porządnie założoną dupattą i kwadratową, brązową skórzaną torbą na szerokich paskach, dostatecznie dużą, żeby pomieścić wszystko, co międzynarodowy agent zabiera na misję. Powietrze przed windą było stęchłe i bardzo gorące, i Sartadź poczuł, że na przedramionach zbiera mu się pot. Zaczął oddychać głęboko, w rytmie, który opracował, kiedy tysiące razy stał na policyjnych czatach. Jeśli tylko uda mu się to zrobić w odpowiedni sposób, pot i upał ustąpią, czas zwinie się w kłębek, wirując zastygnie w bezruchu, a on sam uwolni się od świata, choć wciąż będzie się w nim znajdował. Ale musiał zrobić to jak należy. Oddychał, słysząc, jak po drugiej stronie drzwi Katekar również stara się odnaleźć spokój w tym natarczywym bezruchu. Razem pocili się, a po chwili już razem oddychali. Sartadź szybował w powietrzu, obracając się wokół własnej osi, unosił się w górę i nurkował w pomieszczeniach swojego dzieciństwa, gdzie w zatroskanym skupieniu bielił tenisówki na WF, pokazywał je Papy–dzi, który miał obsesję na punkcie idealnej bieli, dużo większą niż wszyscy dyżurni w szkole, i który wpoił swojemu synowi, że nawet najlepszy strój można zepsuć przez byle jakie buty, a nawet przeciętny może wyglądać wspaniale dzięki miękkim, lśniącym jak lustro, ciemnobrązowym mokasynom z frędzlami. Co mama zrobiła z butami Papy–dzi, z tymi uporządkowanymi czarnymi i brązowymi szeregami butów w specjalnej wąskiej szafce, zawsze stojącej po lewej stronie szafy z ubraniami? I co się

stało z jego garniturami, z tym zapachem zroszonych deszczem zboczy gór i wełny z domieszką naftaliny? Porozdawane, popakowane. Już teraz stracone, nawet ta biała filipińska koszula, którą znajomy przywiózł z Manili, doskonale podkreślająca białe, wywinięte do góry wąsy Papy-dzi i wysunięty do przodu łuk jego brody, ta, którą z urzekającą ekstrawagancją włożył na swoje sześćdziesiąte siódme urodziny do szarych spodni z diagonalu i czarnego jak węgiel turbanu. Sartadź z zachwytem aż wybuchnął śmiechem, kiedy zobaczył go krocącego zwirowaną ścieżką przed domem. Ale tego samego wieczoru, później, wracając z restauracji, kiedy pokonywali trzy piętra w nowym centrum handlowym, Papa-dzi musiał się zatrzymać na drugim piętrze, żeby złapać oddech, a Sartadź odwrócił wzrok, uporczywie patrzył przez okno na neony i słuchał cichego, nierównego, turkoczącego dźwięku, życia, które wciąż się odnajduje, nadal działa, i poczuł strach.

– Inspektorze Singh? – To Makand wystawił swój szary łeb na korytarz.  
– Proszę wejść. – Zaproszenie dotyczyło tylko Sartadźa.

Andźali Mathur siedziała przy stole w saloniku. Wskazała na stojącą na stole butelkę zimnej wody i szklanki.

– Przepraszam, że musiał pan czekać na zewnątrz. Ta sprawa wymaga jednak zachowania szczególnej ostrożności.

W saloniku nie było żołnierzy jej małej armii. Może przeszukiwali sypialnię. Sartadź nalał sobie szklankę wody, wypił i czekał. Woda była rozkosznie zimna. Cieszył się, że może się napić i że może nic nie mówić, ponieważ nie miał pojęcia, co to za sprawa. Andźali Mathur miała bardzo szczere oczy, bardzo jasne, ale teraz ona czekała, aż on się odezwie. Nalał sobie drugą szklankę wody, i tym razem pił wolno, sącząc ją łyk po łyku. Jeśli ta sprawa tak wyglądała, cokolwiek znaczy „tak”, mówienie na nic mu się nie przyda. Popijał wodę i patrzył prosto w oczy Andźali Mathur,

bynajmniej nie starając się zmusić jej do odwrócenia wzroku, po prostu patrzył obojętnie, popijał wodę, ale nie ustępował.

Poprawiła się nieznacznie i leciuteńko uśmiechnęła.

– Czy chcesz się dowiedzieć, czego dotyczy śledztwo?

– Powie mi pani tyle, ile uzna za słuszne.

– Niewiele mogę powiedzieć. Ale mogę zapewnić, że sprawa jest bardzo poważna.

– Tak.

– Jak pan to odbiera?

– Przeraza mnie to.

– Nie czuje pan podniecenia, że został wybrany do pracy nad poważną sprawą?

Sartadź odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Podniecenie to jedna rzecz. Ale poważne sprawy mogą pochłonąć małych inspektorów.

Teraz już uśmiechała się szeroko.

– Ale będzie pan nad tym pracował?

– Wykonam każde polecenie.

– Tak. Przykro mi, że nie mogę panu więcej wyjaśnić. Ale powiedzmy, że jest to związane z bezpieczeństwem narodowym. – Znowu czekała, aż on coś powie. – Rozumie pan, co mówię?

Sartadź wzruszył ramionami.

– Takie sprawy zawsze trącają mi filmem. Z reguły najbardziej podniecającą rzeczą, jaką robię, jest aresztowanie miejscowych tabori za wymuszanie. Od czasu do czasu jakieś morderstwo.

– Ta sprawa jest rzeczywista.

– W porządku.

– I wielkiego znaczenia.

– Rozumiem. – Sartadź niewiele rozumiał, ale jeśli to sprawa o odpowiednim formacie, być może korzystniej jest być w nią zaangażowanym. Wykonywanie drobnych usług na rzecz sprawy wielkiego znaczenia mogło przynieść jakieś uznanie czy odznaczenie.

– Potrzebujemy więcej informacji na temat tego, co łączyło Dźodźo i Gaitondegę. Czym się wspólnie zajmowali.

– Rozumiem.

– Bardzo szybko znalazł pan tę Dźodźo. Śabaś. Ale musimy dowiedzieć się więcej. Proszę się postarać ruszyć śledztwo w sprawie Gaitondegę. Zajmijcie się jego współpracownikami, jego pracownikami, wszystkimi, kogo tylko uda ci się znaleźć. Sprawdźcie, co mają do powiedzenia.

– Tak zrobię.

– Ktoś w komisariacie w Kolabie sprawdzi numer telefonu jej siostry, a kiedy ją namierzemy, porozmawia pan z nią, spróbuje pan wydobyć z niej coś o Dźodźo.

– Mam porozmawiać z jej siostrą?

– Tak.

Nie można było prowadzić śledztwa, nie wpływając na jego obiekt, śledzona osoba zaczynała mieć się na baczności. A Andźali Mathur, z przyczyn, których nie chciała ujawniać, bardzo zależało, żeby podejrzani sądzili, że to śledztwo o charakterze lokalnym. Sartadź pomyślał, że kobieta ma twarz oficera śledczego, wyrażającą zainteresowanie, ale jednocześnie jest obojętna, niczego nie zdradza.

– Dobrze, pani komendant – powiedział. – Czy mogę powiedzieć jej, gdzie zmarła jej siostra?

– Tak. Proszę się dowiedzieć się, czy ona coś wie o związkach swojej siostry z Gaitondem. I tak jak przedtem, proszę przekazywać informacje bezpośrednio do mnie. Tylko do mnie. Pod tym numerem telefonu.

I to już było wszystko, jeśli chodzi o polecenia i wyjaśnienia ze strony Andźali Mathur. Sartadź wziął ze stołu butelkę i szklankę i zaniósł je do Katekara, który był już zupełnie mokry od potu spływającego z ramion w dół pleców. Jemu upał nie przeszkadzał tak, jak Sartadźowi, bez problemów mógł odbyć wielokilometrowy marsz w majowe popołudnie, ale dużo bardziej się pocił. Przyczyny tej żaroodpornej wytrzymałości Sartadź upatrywał w wieloletnim treningu – Katekar dorastał, nie znając nawet wentylatorów, więc beztrósco przetrzymywał upały. Wszystko zależało od tego, do czego człowiek jest przyzwyczajony. Katekar wypił szklankę wody.

– I co, skończyliśmy z tą sprawą? – zapytał, nieznacznym ruchem głowy wskazując mieszkanie Dźodźo i Andźali Mathur.

– Jeszcze nie – odparł Sartadź.

Katekar nic więcej nie powiedział.

– Napij się – powiedział Sartadź, uśmiechając się. – Czeka nas dużo pracy. Od nas zależy bezpieczeństwo narodowe.

W komisariacie czekał na Sartadźa ktoś inny, kto również chciał porozmawiać o bezpieczeństwie narodowym. Nazywał się Wasim Zafar Ali Ahmad, a jego nazwisko, wypisane w języku hindi, w urdu i po angielsku, widniało na wizytówce, którą wręczył Sartadźowi. Pod nazwiskiem znajdował się tytuł „Pracownik socjalny” i dwa numery telefonów.

– Zaskoczyło mnie, sahibie inspektorze – powiedział – kiedy dowiedziałem się, że był pan dwa razy w Nawnagarze i nie skontaktował się ze mną. Pomyślałem, że może nie mógł mnie pan znaleźć. Zazwyczaj nie ma mnie w domu. Dużo jeżdżę, w związku z pracą.

Sartadź odwrócił w palcach wizytówkę i odłożył ją na bok.

– Byłem w Bengali Burze. – Siedzieli naprzeciw siebie, przy jego biurku.



– A to przecież jest w Nawnagarze. Mam tam sporo pracy. – Ten Ahmad z długim nazwiskiem miał jakieś trzydzieści lat, był średnio pulchny, średnio wysoki i bardzo pewny siebie. Czekał na Sartadźa przed komisariatem, i z wizytówką w dłoni wszedł za nim do środka. Miał na sobie czarną koszulę z delikatnym białym haftem przy mankietach, nieskazitelnie białe spodnie, a na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

– Czy pan znał tego zabitego chłopaka? – zapytał Sartadź.

– Tak, czasami go widywałem.

Sartadź natomiast widywał tego Ahmada, był tego pewien. Wyglądał znajomo i niewątpliwie odwiedzał komisariat, jak to często robili pracownicy socjalni.

– Pan mieszka w Nawnagarze?

– Tak. Po stronie autostrady. Moja rodzina osiedliła się tam jako jedna z pierwszych. Wówczas byli to z reguły ludzie z Uttar Pradeś czy z Tamil Nadu. Ci Bengalczyki przybyli później. Jest ich za dużo, ale cóż można poradzić? Pracuję więc z nimi.

– I zna pan tych apradhi? I tego Biharczyka, ich szefa?

– Tylko z widzenia, sahibie inspektorze. Nawet nie mówimy sobie dzień dobry. Ale wiem, kto ich zna. A teraz to popełnione przez nich morderstwo. To jest bardzo złe. Przybywają z zewnątrz i źle się zachowują w naszym kraju. Szargają dobre imię porządnych ludzi, którzy stąd pochodzą.

Miał na myśli indyjskich muzułmanów, którzy musieli znosić oszczerstwa i nienawiść szeroko propagowane przez hinduskich fundamentalistów. Sartadź usiadł wygodnie i gładził się po brodzie. Wasim Zafar Ali Ahmad był bez wątpienia człowiekiem interesującym. Jak większość tak zwanych pracowników socjalnych pragnął piąć się w górę, stać się ważną postacią w okolicy, człowiekiem z koneksjami, do którego będą ciągnąć ludzie, uznawanym przez partie polityczne za lokalnego

działacza i ochotnika, a w końcu rozważanym jako potencjalny kandydat w wyborach. Pracownik socjalny mógł zostać MLA, a nawet parlamentarzystą, trwało to długo, ale to już wielokrotnie się zdarzało. Ahmad wykazywał ten polityczny talent, polegający na umiejętności mówienia frazesów, które nie brzmią śmiesznie. Miał dostatecznie inteligentny wygląd, a być może również zapał i bezduszość.

– Rozumiem, że dla dobra kraju i porządnych obywateli chce mi pan udzielić pomocy w tej sprawie? – zapytał Sartadź.

– Oczywiście, sahibie inspektorze, oczywiście. – Ahmad cieszył się, że został zrozumiany, widać to było po jego brzuchu, po całym jego ciele. Oparł się łokciami na biurku i nachylił w stronę Sartadźa. – Ja znam wszystkich w Nawnagarze, a nawet w Bengali Burze. Mam szerokie kontakty, pracuję z tymi ludźmi i ich znam. Mogę więc, no wie pan, po cichu ich wypytać. Mogę spróbować dowiedzieć się, co ludzie mówią, co wiedzą.

– A co pan teraz wie? Czy wie pan cokolwiek?

Ahmad zachichotał.

– Are, nie, nie, sahibie inspektorze. Ale nie wątpię, że uda mi się czegoś dowiedzieć, wypytując to tu, to tam, na pewno czegoś się dowiem. – Rozsiadł się wygodnie, tusty i opanowany.

Sartadź ustąpił. Ahmad nie był tak głupi, żeby za darmo wyjawić wartościowe informacje czy też swoich informatorów.

– W porządku – stwierdził Sartadź. – Będę wdzięczny za pańską pomoc. A czy ja mógłbym coś dla pana zrobić?

Zawarli więc porozumienie.

– Tak, saab, muszę przyznać, że jest coś takiego. – Ahmed porzucił swój urok i cicho, wyraźnie, przedstawiał swoje warunki. – W Nawnagarze mieszka dwóch braci, młodych chłopaków, jeden ma dziewiętnaście lat, a

drugi dwadzieścia. Codziennie zaczepiają dziewczyny idące do pracy, mówią im takie różne rzeczy. Prosiłem ich, żeby dali sobie z tym spokój, ale oni zaczęli mi grozić. Otwarcie powiedzieli, że połamią mi ręce i nogi. Sam mógłbym się nimi zająć, ale się powstrzymałem. Kiedy jednak problemy stają się zbyt duże, sahibie inspektorze...

– Nazwiska? Wiek? Gdzie mogę ich znaleźć?

Ahmad miał już wszystko skrętnie spisane w notatniku i teraz z namaszczeniem wyrwał jedną z kartek i podał ją Sartadźowi. Szczegółowo opisał całą rodzinę, a potem przeprosił.

– Już i tak zająłem panu dość dużo czasu, sahibie inspektorze – powiedział. – Ale jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę do mnie dzwonić o dowolnej porze.

– Skontaktuję się z panem, kiedy zajmę się tymi dwoma – odparł Sartadź.

– Obywatele Nawnagaru będą bardzo zadowoleni, saab, jeśli uda się panu uchronić ich siostry i córki przed tym codziennym utrapieniem.

Z tymi słowy Wasim Zafar Ali Ahmad położył dłoń na piersi i wyszedł. Powołał się na mieszkańców Nawnagaru, ale obaj z Sartadźem wiedzieli, że trzeba ukarać tych dwóch braci, bo Ahmad tak sobie życzy. Była to pierwsza propozycja w ich układzie, ten test zaufania i dobrej woli. Sartadź zatrzyma tych przydrożnych Romeów, których głównym przewinieniem niewątpliwie nie było napastowanie przechodzących kobiet, lecz brak szacunku dla Ahmada. Sartadź zajmie się nimi, a Ahmad przekaze mu pewne informacje. Wtedy będzie postrzegany w bastii jako człowiek, który ma powiązania w policji, zyska rozgłos i coraz więcej ludzi będzie do niego przychodzić w poszukiwaniu opieki i pomocy, a to z kolei powiększy jego wpływy. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, za kilka lat to może Sartadź będzie do niego mówił „saab”. Ale na razie była to odległa przyszłość, w tej

chwili zaś przede wszystkim należało ukarać tych zaczepiających kobiety braci. Wszystkie wielkie kariery zaczynały się od takich drobnych przysług i na nich się opierały. Wzajemna korzyść to olej, który smaruje tryby zarówno wielkiej, jak i małej maszynierii świata, a Sartadź miał z tego skorzystać, żeby móc posłać przestępców do więzienia. W karku i przedramionach budziło się podniecenie, ten dobrze znany dreszcz, który go przechodził, kiedy inspektor czuł, że badana sprawa staje przed nim otworem. Dobrze, dobrze, to dobrze. Głupotą byłoby oczekiwać sukcesu, ale Sartadź mimowolnie rozkoszował się podnieceniem, które dawało mu to wyczekiwanie. Znajdzie zabójców, złapie ich, zwycięży; myśl o wygranej eksplodowała iskrami w jego piersi, jak mały pożar, i przez cały dzień czerpał z tego energię.

Tego samego wieczoru, nad szklaneczką szkockiej, Sartadź opowiedział Madźidowi Khanowi o swoim nowym informatorze z długim nazwiskiem. Madźid nie pił, ale zawsze trzymał dla Sartadźa butelkę czarnego Johnny Walkera. Inspektor częstował się nią zawsze, kiedy przychodził do nich na kolację, a tego wieczoru nieco jej nadużywał, łakomie połykając trunek. Kiedy opowiadał Madźidowi o Wasimie Zafarze Ali Ahmadzie, dzieci Madźida rozkładały na stole talerze, a ich matka pobrzękiwała łyżkami w kuchni.

– Tak, znam tego Ahmada – powiedział Madźid. – A w zasadzie jego ojca.

– Skąd?

– Spotkałem go podczas zamieszek, tuż obok autostrady w Bandrze. Jechałem do Mahim z czterema policjantami. Z daleka dostrzegłem trzech sukinsynów, którzy nad czymś się pochylali. Ulice zupełnie opustoszałe, rozumiesz, tylko pusta droga i tych trzech gości. Kazałem więc kierowcy jechać dalej. Przyspieszyliśmy, a kiedy trójka tych ćutijów zobaczyła

naszego dżipa, natychmiast uciekła. Wtedy zobaczyłem mężczyznę leżącego na ziemi. Wyglądał typowo, możesz sobie wyobrazić, siwa broda, czysta biała kurta, białe topi, po prostu stary muzułmański dżentelmen. Próbował uciekać, ale oni go dopadli i powalili na ziemię. Był bardzo przerażony, ale nic mu się nie stało.

– Z pewnością stałoby się, gdybyś go nie uratował. Nie żyłby.

– Are, wcale go nie uratowałem. Zupełnie przypadkowo tam przejeżdżaliśmy. – Madżid nie prezentował żadnej fałszywej skromności, po prostu przedstawiał suche fakty. Podrapał się po piersi i łyknął nimbu pani ze szklanki. – W każdym razie wsadziliśmy go do dżipa i zabraliśmy ze sobą. Przez godzinę nie mógł słowa z siebie wydusić. Ale od tego czasu zawsze przychodzi do mojego biura na każde Bakrid i przynosi trochę gosztu, którego dotykam i odsyłam go z tym z powrotem. A on i tak zawsze przychodzi. Miły staruszek.

Oparci o parapet, stali na balkonie znajdującego się na ósmym piętrze mieszkania Madżida. Okrągły księżyc wisiał nisko nad łamaną linią prostokątnych dachów, nad ciemną granicą podmokłych nizin, nad rzędem kholi z blaszanymi dachami i nad rozlewającym się w oddali morzem. Sartadź nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widział tak idealnie okrągły księżyc. Pomyślał, że aby to zobaczyć, trzeba wznieść się tak wysoko, tak wysoko unieść się nad ulicami.

– A syn nigdy nie przychodził z tym staruszką? Podziękować i prosić cię o pomoc?

– Nie.

– Sprytny gość. – Ahmad wykazywał się inteligencją, starając się nie nadużywać nici wdzięczności, która wiązała jego ojca z Madżidem, nie próbował się jej ucześcić. Postępował właściwie, nawiązując kontakt z Sartadżem, miejscowym inspektorem. Jeśli Sartadź i policjanci będą

zadowoleni z Ahmada, polecą go Madźidowi, a ten z kolei pomoże Ahmadowi zyskać wpływy i prowadzić jego, nie do końca legalną, działalność, przynoszącą mu korzyści i możliwość dalszego rozwoju.

– Tak – powiedział Madźid. – On nie jest tak niewinny, jak jego ojciec.

– Czasami niewinni mają bardzo dużo szczęścia, nieprawdaż?

– Czasami. Ten ojciec opowiadał, że w zamieszkach zginął jakiś ich krewny. Jakiś kuzyn.

– Bliski kuzyn?

– Nie, jakiś daleki, na to przynajmniej wyglądało. Staruszek bardzo był tym przejęty, kiedy po raz pierwszy do mnie przyszedł. Powiedziałem mu, że miał szczęście, że zginął tylko jeden daleki kuzyn. Jeśli tylko dobrze się przyjrzeć, w tym kraju w każdej rodzinie znajdzie się jakiegoś krewnego, od którego szczęście się odwróciło. Jak nie w tych zamieszkach, to w innych.

Była to prawda. Sartadź we własnej rodzinie słyszał opowieści o ludziach, którzy w środku nocy musieli uciekać z domu.

– Wracajcie już – zawołała Rehana z mieszkania.

W rękę trzymała dobrze znaną, plastikową miskę ze szczelną przykrywką i ozdobioną wzorem z czerwoną różą. Robiła roti w kuchni. Khimę przygotowała wczesnym wieczorem, wspólnie ze swoją pomocną we wszystkim służącą, a ze współpracy tych dwóch kobiet mogło powstać coś rozkosznego lub wstrząsającego. Zawsze była to loteria, i kiedy Sartadź przysuwał teraz sobie krzesło, cieszył się, że napił się whisky. Imtiaz i Farah przepychali się łokciami, zasiadając przy stole. Znał te dzieci od czasu, gdy stawiały pierwsze kroki, a teraz, kiedy były prawie dorosłe, to małe mieszkanie sprawiało wrażenie jeszcze mniejszego. Imtiaz podał mu miskę.

– Wujku, czy widziałeś stronę internetową CIA?

– Amerykańskiej CIA? – zapytał Sartadź.

– Tak, mają witrynę, na której udostępniają swoje tajne dokumenty.

Farah nakładała Sartadźowi raita do miski.

– Durniu, jeśli pozwalają ci je czytać, to na pewno nie są one tajne. Wujku, on całe godziny spędza na wyszukiwaniu głupich artykułów i na rozmowach z dziewczynami przez internet.

– Zamknij się – odezwał się Imtiaz. – Nikt cię nie pytał o zdanie.

Madźid się uśmiechał.

– A ja wydaję całe tysiące rupii, żeby mój syn mógł rozmawiać z dziewczynami w Ameryce?

– W Europie – powiedziała Farah. – On ma dziewczynę w Belgii i drugą we Francji.

– Masz dziewczyny? – zapytał Sartadź. – Ile ty masz lat?

– Piętnaście.

– Czternaście – poprawiła Farah z uśmiechem. – Mogę się założyć, że mówi im, że ma osiemnaście.

– Przynajmniej gadam, jakbym miał osiemnaście. A nie jak niektórzy, co to się zachowują, jakby wciąż mieli jedenaście.

Farah sięgnęła pod stół i Imtiaz się skrzywił. Uniósł rękę.

– KobiECE paznokcie – powiedział, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie – są groźniejsze niż łokcie.

– Przestańcie – odezwała się ich matka. – Dajcie wujkowi spokojnie zjeść.

Sartadź posmakował jedzenia i z ulgą zauważył, że tego wieczoru jakoś udało się uniknąć kulinarnej katastrofy.

– Nowa fryzura? – powiedział do Farah.

– Tak! JedyNY człowiek na świecie, który to zauważył. Mój drogi papa przez trzy dni nie mógł odgadnąć, co się we mnie zmieniło.

– Bardzo ładna – stwierdził Sartadź. Dziewczyna była pulchniutka i atrakcyjna, i Sartadź zastanawiał się, czy miała jakiegoś chłopaka w Belgii albo przynajmniej w Bandrze. Nie podzielił się jednak z nimi tym pytaniem, wiedząc, że chociaż Madźid jest człowiekiem bardzo liberalnym, jego tolerancja wobec beztroskich romansów nie dotyczy córki. Potrafił wydać swoje ciężko zarobione pieniądze na komputer dla dzieci, dla swojego syna, ale za tym jego kawaleryjskim wąsem kryło się coś więcej niż poza. Zauroczeni nowym wyglądem Farah chłopcy musieliby wykazywać się szaleńczą odwagą, żeby wspinać się po ośmiopiętrowych murach jej zamku. Patrząc teraz na jej promienny uśmiech, Sartadź zdawał sobie sprawę, że na pewno są na świecie chłopcy, którzy oślepieni tym blaskiem potrafią zapomnieć o strachu. Dawno temu on sam wspinał się po murach i dla pięknej twarzy potrafił dzielnie stawiać czoło srogiemu ojcu.

Po kolacji Rehana przyniosła Sartadźowi filiżankę herbaty i usiadła obok niego na sofie. Miała szerokie kości policzkowe jak dzieci, a także krągłe kształty. Na oprawionej w złoto fotografii na ścianie była szczupłą narzeczoną z włosami barwionymi henną, ale nawet na tym zdjęciu sprzed lat, gdzie stała ze skromnie opuszczoną głową, widniały te same, jasne oczy.

– Powiedz, Sartadźu, masz jakąś dziewczynę?

– Tak – odparł Sartadź. – Mam.

– Kto to jest? Powiedz mi.

– Dziewczyna.

– A kim niby miałyby być dziewczyna, ananasem? Sartadźu, jak na policjanta jesteś marnym kłamcą.

– Bhabdźi, to naprawdę nie jest ciekawe.

– Mój syn wcale tak nie uważa. – Jej syn wraz z jej mężem i córką poszedł po lody do sklepu na rogu. – Sartadźu, nie jesteś jeszcze taki stary.



Jak ty chcesz w ten sposób żyć? Potrzebujesz rodziny.

– Mówisz jak moja matka.

– Bo obie mamy rację. Obie chcemy twojego szczęścia.

– Jestem szczęśliwy.

– Co?

– Szczęśliwy.

– Sartadźu, wystarczy na ciebie popatrzeć, od razu widać, jaki jesteś szczęśliwy.

Kiedy tak patrzył na nią, siedzącą w tej jej oazie szczęśliwości, pomyślał, że to samo mógłby powiedzieć o niej. Poczuł, jak ogarnia go fala potu i zmęczenia, jakieś przygnębienie po wypitej whisky. Złościło go, że ten dzień, tak naładowany zawodową energią, zszedł do poziomu bezużytecznej dyskusji o szczęściu ze szczęśliwą Rehaną. Od dalszego zagłębiania się w naturę szczęścia uratowało go pukanie w drzwi.

– Lody – powiedział. – Przynieśli lody.

Zjadł miseczkę lodów i wymknął się do domu.

Gwałtowne brzęczenie wyrwało Sartadźa ze snu, w którym leciał przez ocean na spotkanie z zamorskimi kobietami. W bardzo skomplikowanej akcji występowały czujne matki i gonitwy dżipami, ale wszystko znikło, gdy tylko otworzył oczy. Podparł się, skonsternowany, nie mogąc połączyć się, skąd pochodzi hałas. Przez chwilę myślał, że zepsuł się dzwonek u drzwi, ale w końcu przypomniał sobie o telefonie komórkowym. Zaczął szukać go po omacku na nocnym stoliku, zrzucił na podłogę, i musiał wciągnąć go za kabel od ładowarki. W końcu odebrał.

– Sahib Sartadź?

– Kto mówi? – warknął Sartadź.

– Banti. Podobno chce pan ze mną porozmawiać.

– Banti, tak, tak. Dobrze, że dzwoniisz. – Sartadź opuścił nogi na ziemię, starając się pozbierać myśli i przypomnieć sobie strategię, przygotowaną na rozmowę z człowiekiem Gaitondego. Ale że nie pamiętał, czy faktycznie jakąś obmyślił, powiedział w końcu: – Chciałbym się z tobą spotkać.

– Mówią, że to pan zastrzelił Bhai.

– Nie zabiłem Gaitondego. To tylko plotki. A jak ty uważasz?

– Z moich informacji wynika, że już nie żył, kiedy pan go znalazł.

– Masz dobre informacje, Banti. To wszystko jest dla mnie bardzo dziwne. Dlaczego taki człowiek miałby się zabijać?

– To o tym chce pan rozmawiać?

– O tym i o innych sprawach. Opowiem, kiedy się zobaczymy.

– A co ja mogę wiedzieć o tym, dlaczego on się zabił?

– Banti, posłuchaj. Po prostu chciałbym z tobą porozmawiać. Jeśli mi pomożesz, to może i ja zdołam ci pomóc. Ludzie Sulejmana Isy będą cię szukać. Słyszałem, że część twoich ludzi już odeszła.

– Ja w tej grze jestem już od lat.

– To prawda, ale co teraz? Co możesz zrobić sam? Jak daleko można samemu uciekać?

– Myśli pan o moim wózku, saab? – Banti mówił poważnym głosem, lekko sycząc z wysiłku przy końcu każdego oddechu. Być może wynikało to z pozycji, w jakiej siedział, z jakiegoś ucisku płuc. Ale nie był smutny, raczej rozbawiony. – W tym urządzeniu poruszam się szybciej, niż większość ludzi potrafi biegać.

Sartadź usiadł na łóżku, zadowolony, że może okazać zaciekawienie i przyjazny stosunek.

– Naprawdę? Nigdy nie widziałem takiego wózka.

– Zagraniczny, saab. A do tego potrafi wjeżdżać i zjeżdżać po schodach. Można na nim wszystko robić.

- To zdumiewające. Musiał być bardzo drogi.
- Bhai mi go dał. On lubił takie nowoczesne rzeczy.
- Czyli był człowiekiem nowoczesnym?
- Tak, bardzo nowoczesnym. Ale wie pan, bardzo ciężko jest z serwisem takiego wózka. Nikt tu nie wie, jak go naprawić, a części zamienne i wszystko inne trzeba ściągać z wilajatu. Za często się psuje.
- Nie nadaje się na indyjskie warunki.
- Zgadza się, tak jak te nowe samochody. Wyglądają na porządne, ale okazuje się, że tylko ambasadorem można dotrzeć do każdej wioski.
- Spotkajmy się, Banti. Może pomogę ci dotrzeć bezpiecznie do twojej wioski.
- Kiedy ja urodziłem się tutaj, w Mumbaju, tu w samym GTB Nagarze, saab. A pan coś za bardzo chce się ze mną spotkać. Może to Sulejman Isa prosił pana, żeby mnie odesłać do domu.
- Banti, spytaj kogo chcesz. Nic mnie nie łączy z Sulejmanem Isą ani z żadnym z jego ludzi.
- Pan jest blisko z sahibem Parulkarem.
- Może to i prawda. Ale ja nie wykonuję dla niego takich zleceń, Banti. Dobrze o tym wiesz. Jestem prostym człowiekiem. – Sartadź wstał i obszedł łóżko dookoła. Zbyt mocno naciskał na człowieka, który na swoim szybkim wózku starał się wymknąć śmierci. – Posłuchaj, jeśli nie chcesz się spotkać, nie ma sprawy. Chciałbym tylko, żebyś się nad tym zastanowił, zgoda?
- Tak, saab. Muszę uważać, zwłaszcza teraz.
- Rozumiem.
- Saab, ale mogę pomóc przez telefon. Czego chce się pan dowiedzieć?
- Widać było, że chce pozostawić sobie furtkę u Sartadźa, na wypadek gdyby w przyszłości sam potrzebował pomocy. W końcu miał swoje

problemy i zależało mu na tym, żeby przeżyć. Sartadź odprężył się, rozluźnił barki i wyprostował kark. Miał teraz możliwość nawiązania bliższego kontaktu z Bantim.

– Powiedz, naprawdę nie wiesz, dlaczego Gaitonde chciałby skończyć ze sobą?

– Nie, saab. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Wiedziałaś, że wrócił do Mumbaju?

– Wiedziałem. Ale od tygodni go nie widziałem. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. On się ukrywał.

– W tym domu?

– Tak. W ogóle stamtąd nie wychodził.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Zawsze był bardzo ostrożny.

– A jak mówił przez telefon?

– Jak mówił? Jak Bhai.

– Tak, ale czy był smutny? Zadowolony?

– Był trochę khiskela. Ale on zawsze taki był.

– Khiskela? Ale jak khiskela?

– Jakby w głowie tłoczyło mu się pełno różnych rzeczy. Czasami potrafił przez godzinę do mnie mówić o sprawach, które nie miały żadnego związku z interesami, mówił, żeby tylko mówić.

– Na przykład?

– Trudno powiedzieć. Raz mówił o komputerach w dawnych czasach. Mówił, że w *Mahabharacie* były komputery i superbroń, i ciągle mówił o Aśwathamie. Niespecjalnie go słuchałem. Jeszcze wcześniej, kiedy mieszkał na jachcie, lubił prowadzić długie rozmowy przez telefon. To było straszne marnotrawstwo pieniędzy. Ale to on był Bhai, więc my tylko powtarzaliśmy, han, han, a on robił swoje.

- Kim była ta towarzysząca mu kobieta?
  - To Dźodźo. Podsyłała mu towary.
  - Podsyłała mu?
  - Tak. Pierwszorzędne superlaski dla Bhai. Ściągał je samolotem do Tajlandii albo tam, gdzie akurat był. Dziewice. A Dźodźo mu je dostarczała.
  - Aż stąd ściągał dziewczyny?
  - Tak, on lubił indyjskie dziewczyny.
  - Ile ich było?
  - Nie mam pojęcia. Może jedna na miesiąc.
  - Ale Dźodźo też była jego kobietą?
  - Ona była bhadwi. Ją też na pewno miał. To było jedno z jego hobby.
  - Banti, dlaczego on wrócił do Mumbaju?
  - Nie mam pojęcia.
  - Banti, byłeś jego głównym szefem w Mumbaju. Na pewno wiesz.
  - Ja byłem tylko jednym z zastępców.
  - Słyszałem, że nikt nie był z nim tak blisko, jak ty.
  - Zostałem przy nim.
  - A inni go opuścili? Dlaczego?
- W słuchawce pojawił się cichutki szmer, szelest celofanu i tektury. Sartadź poczekał, aż Banti zapali papierosa i mocno się nim zaciągnie.
- Niektórzy odeszli. Interesy podupadły – powiedział Banti.
  - Dlaczego?
  - Teraz to już nie ma znaczenia, dlaczego.
- W tym leżało sedno sprawy. Sartadź wyczuł to, po tym jak bardzo Banti nie chciał tego wyjawiać, po tej sztucznej beztrójce w jego głosie.
- Masz rację, Banti – powiedział ostrożnie i bardzo powoli – teraz to już nie ma znaczenia, więc chyba możesz mi powiedzieć.

Banti zaciągnął się papierosem. Lekko charcząc, wypuścił dym. Sartadź czekał.

– Saab, teraz wszystkim interesy idą słabo.

– Ale w firmie Gaitondego było gorzej niż w innych. Banti, nie bądź ćutiją. Jeśli będziesz ze mną szczery, ja też będę mógł być wobec ciebie uczciwy. Powiedz mi.

– Bhai nie skupiał się na interesach. Wszystkim nam kazał gdzieś gonić, to tu, to tam.

– Za czym?

Nagle Banti się roześmiał.

– Musieliśmy szukać jakiegoś sadhu. Powiedział, że musimy znaleźć jakiegoś mędrca.

– Jakiego sadhu? Gdzie szukaliście?

– W sumie miało być trzech sadhu, a jeden z nich był przywódcą. Saab, ja naprawdę nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Niewiele więcej wiem.

– Powiedz, co wiesz.

– Nie przez telefon, saab.

– Spotkajmy się więc.

– Saab, niech pan porozmawia z sahibem Parulkarem.

– O czym?

– Chciałbym się poddać. Ale wiem, że oni będą chcieli mnie zlikwidować, saab.

To było nawet logiczne, że Banti chciał się oddać w ręce policji. Będzie bezpieczniejszy w areszcie, więzienie może go ochronić przed wieloma wrogami. Ale bał się, że go wykończą, zanim jeszcze jego imię pojawi się na wykazie aresztowanych.

– Jeśli możesz przekazać nam coś wartościowego – odezwał się Sartadź  
– na pewno sahib Parulkar zaopiekuje się tobą.

– Mogę wszystko powiedzieć, saab. Byłem bardzo długo z Bhai.

– Zgoda. Porozmawiam z sahibem Parulkarem. A potem powiesz mi, kim był ten sadhu, ten przywódca.

– Kiedy będę już bezpieczny, saab, powiem wszystko, co wiem. Powiem, jak się nazywał. Tylko ja to wiem.

– Zgoda. Porozmawiam z sahibem Parulkarem i przekażę ci jego decyzję. Daj mi swój numer telefonu.

– Dzwonię z rozmównicy publicznej, saab. I nie ma mnie w Mumbaju. Zadzwoń do pana.

– Dobra. – Banti musiał bardzo się bać, jeśli zachowywał aż takie środki ostrożności, starając się zapewnić sobie bezpieczeństwo. – Kiedy się odezwiesz?

– W poniedziałek, saab.

– Zadzwoń do mnie w poniedziałek wieczorem, a ja przekażę ci, co powiedział sahib Parulkar.

– Tak, saab. Teraz się rozłączę.

Banti odłożył słuchawkę, a Sartadź zrobił sobie ćaju i zaczął zastanawiać się nad zmiennymi kolejami gangsterskiego losu. To, że śmierć może nadejść w każdej chwili, było sprawą oczywistą, ale Sartadźa najbardziej zaskoczyło, że Banti chciał zaufać Parulkarowi, temu prześladowcy, którego najbardziej się obawiał. W ostatnich latach to Parulkar odpowiadał za wytropienie wielu ludzi z Firmy G. Korzystał ze swoich licznych informatorów w celu ustalenia miejsca pobytu żołnierzy Gaitondego, a potem wysyłał swoje oddziały, żeby ich pochwycić i zabić.

Jeśli zabici nie należeli do znanych gangsterów ani nie byli jakimiś wybitnymi dowódcami, gazety informowały o ich śmierci na dalszych

stronach, poświęcając im jeden akapit u dołu. Banti mógłby zasłużyć na wzmiankę na pierwszej stronie. Jeśli nie ze względu na samą śmierć, to chociaż z uwagi na ten specjalny wózek inwalidzki.

Sartadź dokończył ćaj i zadzwonił do Delhi–wali, żeby podzielić się z nią informacją o prowadzonych przez Gaitondeggo poszukiwaniach.

– Przywódcą tej grupy był jakiś sadhu? – zapytała Andźali Mathur.

– Tak, proszę pani.

– Ale jaki sadhu? Podał jakieś nazwisko?

– Nie, proszę pani. Informator nie chciał w tej chwili powiedzieć nic więcej. Być może za kilka dni będę coś jeszcze wiedział.

– Dobrze. To bardzo dziwne. Wiedzieliśmy, że Gaitonde był bardzo religijny, często odprawiał pudżę. Ale nie słyszeliśmy, żeby coś go łączyło z jakimś sadhu. I dlaczego miałyby szukać tego człowieka?

– Nie wiem, proszę pani.

– Rozumiem.

Przez moment milczała, a Sartadź cierpliwie czekał. Zaczynał przyzwyczajać się do tego, że Andźali Mathur długo się zastanawia.

– Mam dla pana ten adres – powiedziała. – Proszę sobie zapisać.

– Siostry?

– Tak, siostry. Przeprowadziła się. Obecnie mieszka w Bandrze.

Zanim Sartadź wybrał się do tej siostry, wstąpił na komisariat. Musiał zadzwonić. Na otrzymanej od Parulkara kartce z kontaktem do Firmy S widniał tylko numer telefonu, nie było natomiast żadnego imienia. Sartadź musiał wyteńczyć pamięć, żeby je sobie przypomnieć. IfFat–bibbi. Tak, to było to. Iffat–bibbi, ciotka Sulejmana Isy ze strony matki, a jednocześnie współniczka w jego przestępczej działalności. Wybierając numer, Sartadź nie potrafił wyobrazić sobie jej twarzy, ale kiedy odebrała telefon i kiedy



usłyszał jej głos, natychmiast pomyślał o Begam Akhtar. W jej głosie wyczuwało się tę samą szorstką słodycz, ten dawny przemożny smutek, płynący ze zniszczonych płyt winylowych, pełen bólu, ale mocny jak ostrze zakrzywionego sztyletu z Awadhu.

– Jesteś człowiekiem Parulkara? – zapytała.

– Tak, proszę pani.

– Are, nie nazywaj mnie tak, nie możesz traktować mnie tak oficjalnie.

W końcu jesteś synem sahiba Sardara.

– Znałaś go?

– Od niepamiętnych czasów – odparła Iffat–bibi. – Znałam go, kiedy jeszcze był z niego młody rangrut. Był taki przystojny, bap re.

Papa–dzi nigdy nie wspominał Sartadźowi o Iffat–bibi, ale może ona należała do kobiet, o których ojcowie nie mówią swoim dzieciom.

– To prawda, bardzo dbał o swoje ubranie.

– Twój ojciec – powiedziała Iffat–bibi – uwielbiał kebab reśmi z naszej restauracji Aśiana. Ale jej już dawno nie ma.

Sartadź pamiętał te kebaby, ale nie wiedział, że Iffat–bibi miała z nimi coś wspólnego. Iffat–bibi chciała podzielić się z nim opowieściami o sahibie Sardarze. Powiedziała, że sahib Sardar spotkał kiedyś dwunastoletniego, ubogiego chłopca, który kręcił się po dworcu Victoria, i za własne pieniądze kupił mu jedzenie i bilet powrotny do Pendżabu.

– Sahib Sardar był dobrym człowiekiem – westchnęła. – Bardzo szczerym i prostolinijnym.

Sartadź spojrział na swoją rękę, na stalową kara i na ślad, jaki pozostawiła na jego nadgarstku przez te wszystkie lata, kiedy ją nosił, i tylko skinął głową.

– Tak. – Czekał na ciąg dalszy.

– Powinieneś kiedyś do nas wpaść. Dam ci lepsze kebaby reśmi niż te podawane w Aśianie.

– Dobrze, Iffat–bibi. Kiedyś zajrzę.

Skoro Iffat–bibi dopełniła konwenansów, była gotowa przejść do interesów.

– W czym mogę ci pomóc?

– Interesuje mnie Gaitonde.

– Ten maderćód? – Zdumiało go to słowo wypowiedziane głosem, który raczej kojarzył mu się ze śpiewem, i nagle Sartadź zrozumiał, jak to możliwe, że jest ona doradczynią i towarzyszką bhai, a nie jakąś pobłażliwą babcią zapraszającą go na obiad. – Całe lata sprawiał nam kłopoty. Bardzo dobrze, że w końcu się nim zająłeś.

– To nie ja, Bibi – odparł Sartadź. – Ale opowiedz mi o nim. Jaki to był człowiek?

Powiedziała, że był przebiegłym, tchórzliwym kundlem. Unikał walki i zdradzał własnych ludzi. Był obleśnym rozpustnikiem, który wykorzystywał i doprowadzał do ruiny młode dziewczyny.

– Ale kierował wielkim gangiem.

Przyznała, że potrafił zarządzać i że w pewnym czasie zarobił trochę pieniędzy. Nie, nie miała pojęcia, dlaczego wrócił do miasta. Ostatnie znane jej informacje na jego temat mówiły, że gdzieś czmychnął, do Tajlandii albo Indonezji, sukinsyn. Opowiadała mu historie o Gaitondem, o jego perfidnych poczynaniach. Zabijał niewinnych ludzi, twierdząc, że byli przyjaciółmi Sulejmana Isy. Był szczurem.

– Bibi, czy łączyło go coś z jakimś sadhu?

– Z sadhu? Nie. To całe modlenie się i ta jego pobożność to była jedna wielka lipa. W całym życiu nigdy dla nikogo nie zrobił nic dobrego, niech się wiecznie smaży.

Sartadź podziękował jej i powiedział:

– Muszę już iść, Bibi.

– Masz jakiś kontakt wśród ludzi Gaitondego?

– Poniekąd, Bibi.

Roześmiała się.

– Dobra, beta, możesz mi nie mówić, jeśli nie chcesz. Ale jeśli będziesz miał jakiś problem, skontaktuj się ze mną. W końcu jesteś synem sahiba Sardara.

– Dobrze, Bibi.

– I zadzwoń kiedyś. Jestem starą kobietą, ale bądźmy w kontakcie. Mogę się na coś przydać. Dam ci swój prywatny numer, zapisz sobie.

Sartadź wpisał numer i nazwisko do notesu, ale pomyślał, że ta stara, gadatliwa kobieta na niewiele może mu się przydać. Nie miała dla niego nic ciekawego, albo to on nie mógł zaoferować jej nic takiego, co jej zdaniem warte byłoby wymiany wartościowej informacji. Odłożył słuchawkę i poszedł na komisariat, poszukać Katekara. Nadszedł czas odwiedzić inną kobietę.

Mary Mascarenas, drżąc na całym ciele, usiadła na łóżku. Z pochyloną głową, skulona, mocno obejmowała brzuch rękami i dygotała. Sartadź czekał. Być może kłóciła się z Dźodźo, może nawet życzyła siostrze śmierci, ale teraz, kiedy do tej śmierci doszło, utraciła część swojego życia i trzęsła się po amputacji. Nie było sensu mówić do niej, dopóki się nie uspokoi, więc Sartadź i Katekar czekali, rozglądając się po jej małym mieszkaniu, składającym się tylko z jednego pokoju z aneksem kuchennym i z malutkiej łazienki. Zielono–czarna narzuta na wąskim łóżku, kilka niewielkich kwiatków na parapecie, staromodny, czarny telefon z obrotową tarczą, dwa obrazy w ramach na ścianie, a na podłodze dari z szarym

wzorem. Siedząc na jedynym drewnianym krześle przy łóżku, Sartadź patrzył na schronienie, które dla siebie stworzyła. Ściany były pomalowane na bladozielony kolor i na pewno zrobiła to własnoręcznie, żeby pasowało do ciemniejszej zieleni roślin i szmaragdowej dżungli na obrazach, przedstawiających domki otoczone wybujałą roślinnością, z przelatującymi wśród koron drzew papugami. Jasne słońce Mumbaju przeciskało się przez białe żaluzje, rozpalając barwy, które Mary Mascarenas sobie dobrała, a mieniąca się, drżąca kaskada włosów skrywała jej twarz.

Katekar wznosił oczy do nieba. Cichym krokiem ruszył do kuchni i Sartadź widział, jak jego partner wyciąga szyję i kręci głową na wszystkie strony. Dokonywał inwentaryzacji. Potem pójdzie do łazienki, gdzie bacznie przyjrzy się wiaderkom, szczoteczce do zębów, kremom do twarzy. Obaj mieli tę cechę, to przywiązywanie wagi do szczegółów. Sartadź zauważył to już za pierwszym razem, wiele lat temu, kiedy Katekar składał mu relację o kieszonkowcu, który działał na linii z Churchgate do dworca Andheri. Bez końca opowiadał, jak on się nazywał, ile miał lat, ile wzrostu, a potem dodał, że ten sukinsyn był trzykrotnie żonaty i miał słabość do paprićat i faludy, wszyscy o tym wiedzieli w basti, w którym dorastał. Złapali go trzy tygodnie później, w gospodarstwie mleczarskim Mathura, w pobliżu dworca Santa Cruz, kiedy po zebraniu obfitego łupu w wieczornych godzinach szczytu siedział z głową pochyloną nad talerzem bhelpuri naprzeciw zezowatej przyjaciółki, która już wkrótce miała zostać jego żoną numer cztery. Dokładna obserwacja nie zawsze prowadziła do aresztowania podejrzanego i do sukcesu, ale Sartadź cenił u Katekara zrozumienie tej podstawowej sprawy, że człowieka można opisać na wiele sposobów, ale jeśli powie się o nim, że jest hindusem, biedakiem, przestępcą, nie daje to punktu zaczepienia. Dopiero kiedy się wiedziało, jaki jest jego ulubiony szampon, jakiej muzyki słucha, z kim i jak lubi ćodać, jaki jada pan,

dopiero wtedy można go złapać, dopaść go, nawet jeśli nigdy nie uda się go zaaresztować. I dlatego Katekar stał teraz w łazience Mary, a Sartadź był pewien, że jego partner właśnie wacha jej mydło.

– Dlaczego? – odezwała się niespodziewanie. Odsunęła włosy z twarzy do tyłu, szarpiąc nimi ze złością. – Dlaczego?

Miała takie same kości policzkowe jak jej siostra, a do tego pulchniejszy, zaokrąglony podbródek, ale w tej chwili wszystkie rysy rozmyły się z powodu tej dotkliwej straty. Nie płakała, lecz nadal dygotała, starając się stłumić to drżenie, tak że Sartadź widział je tylko w samych czubkach jej palców, i w tym jej podbródku.

– Pani Mascarenas była uwikłana w przestępczą działalność prowadzoną przez dona mafii, Ganeśa Gaitondeggo – odparł. – W wyniku tego...

– To już słyszałam – powiedziała. – Ale dlaczego?

Chciała wiedzieć, dlaczego to wszystko? Dlaczego ta dziura po kuli w jej piersiach, dlaczego betonowa posadzka, dlaczego Ganeś Gaitonde? Sartadź wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odrzekł.

Dlaczego mężczyźni zabijają kobiety? Dlaczego zabijają się nawzajem? Jego samego czasami dręczyły te pytania, ale topił je w whisky. Bo idąc dalej tą drogą, można by zapytać, dlaczego żyjemy. A to już prowadziło wprost do wzburzonych otchłani, do pokusy zawrotnych wysokości. Już lepiej zająć się pracą. Lepiej wsadzić jakiegoś apradhi do więzienia, a potem następnego, jeśli tylko się da. Katekar stał w drzwiach łazienki, z oczami rozjaśnionymi słońcem.

– Nie wiem, proszę pani – powtórzył Sartadź.

– Pan nie wie – powiedziała. Ciężko skinęła głową, jakby to potwierdzało jakieś ponure przypuszczenia. – Musicie mi ją zwrócić – dodała.

– Proszę? – zapytał Sartadź.

– Musicie mi ją zwrócić – powiedziała powoli, z wymuszoną cierpliwością – żebym mogła ją pochować.

– Oczywiście. Wydanie ciała komplikuje się, jeśli śledztwo jeszcze nie jest ukończone, chyba pani rozumie. Ale załatwimy, żeby wydano pani ciało. Chciałbym jednak zadać kilka pytań.

– Nie chcę teraz na nie odpowiadać.

– Ale one dotyczą pani siostry. Przed chwilą mówiła pani, że chce się dowiedzieć, co się z nią stało.

Wytała twarz i wyprostowała się nieco, i nagle to on stał się obiektem obserwacji. Jej piwne oczy miały jaśniejszy odcień, niż początkowo mu się zdawało, i po chwili dostrzegał w nich rozproszone plamki. Poczł się bardzo nieswojo pod bezwstydnym spojrzeniem tych oczu, patrzyła wprost na niego, długo, a przecież przynajmniej jego stanowisko powinno chronić go przed taką nieoczekiwaną poufałością uporczywego spojrzenia. Nie potrafił jednak odwrócić wzroku.

– Jak pan powiedział, że się nazywa? – odezwała się w końcu.

– Inspektor Sartadź Singh.

– Panie Sartadźu Singhu, czy stracił pan kiedyś siostrę? – Mówiła nieco bardziej podniesionym głosem. – Czy zamordowano kiedyś panu siostrę?

Ten jej zupełny brak strachu był irytujący. Obywatele, a zwłaszcza kobiety, w obecności policjantów zawsze robili się przygaszeni, ostrożni, przerażeni, oficjalni. Mary Mascarenas zachowywała się lekceważąco swobodnie. Ale w końcu ona właśnie straciła siostrę, więc tylko westchnął i opanował rozdrażnienie.

– Droga pani, przykro mi, że właśnie w tym momencie muszę prosić panią o coś takiego...

– W takim razie niech pan tego nie robi.

– Ale to bardzo ważna kwestia. Ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego – dodał. Nic więcej nie przyszło mu do głowy. Czuł, że w jakiś sposób zawinił, i złościło go to. Mary Mascarenas nie wyglądała na przestraszoną, ale jednocześnie nie okazywała odwagi. Była zasmucona, zmęczona i naprawdę nie spodziewała się z jego strony niczego prócz większego cierpienia. Będzie bardzo uparta, a krzyczenie na nią nic tu nie pomoże. Westchnął. – Bezpieczeństwo narodowe. Rozumie pani?

– Czy pan będzie mnie bił?

– Co takiego?

– Czy połamie mi pan kości? Nie robicie tak?

– Nie, nie robimy tego – warknął Sartadź. Pohamował się, opanował i podniósł dłoń. – Proszę pani, załatwimy wydanie ciała. Znaleziono też pewne rzeczy, które obecnie są zatrzymane na okres śledztwa. Ale te rzeczy również zostaną potem pani wydane. Zadzwoń, kiedy wszystko będzie załatwione. Może pani dzwonić do mnie na komisariat, pod ten numer. – Ostrożnie położył wizytówkę w nogach łóżka, na samym skraju, i odwrócił się.

Na schodach Katekar odwrócił się do Sartadźa.

– Sir, ona będzie mówić.

– Czemu szepczesz? – Zazwyczaj zadaniem Katekara było straszenie zwalistą pozą, stanowił groźbę klapsów, uderzeń i kopniaków, a Sartadź grał rolę wyrozumiałego przyjaciela, zaskakująco łagodnego i brodatego oblicza władzy. Zawsze okazywał uprzejmość wobec kobiet. Ale Mary Mascarenas była wrogo do niego nastawiona, a Sartadź był rozdrażniony. Na podwórzu spojrział w górę, na jej drzwi, które właśnie się zamykały. Wynajmowała miłe, małe mieszkanko na tyłach starego budynku położonego przy spokojnej ulicy, ocienionego splecionymi gałęziami dwóch starych drzew. Był to jeden z tych rzadko spotykanych skarbów,

które jeszcze przetrwały w Bandra, taki stary, szary domek z żaluzjami, z kutymi ozdobami na balkonach i białym profilami na drzwiach i oknach. Podwórze pokrywała warstwa liści, szeleszczących pod stopami. Całość bardzo piękna i irytująca.

Ale Katekar miał rację, ta kobieta będzie mówić. Sartadź ruszył ulicą. Będzie napawać się swoją złością, powie sobie, ten inspektor Sartadź jest bydlakiem, sukinsynem, ale w końcu pozostanie tylko ta jej wina, i będzie chciała powiedzieć mu, co się wydarzyło, jak wyglądała historia Mary i Julii Mascarenas. Zwierzy się mu, bo będzie jej zależało, żeby on zrozumiał. Tak naprawdę ci, którzy przeżyli, nie potrzebowali wybaczenia, na to było już za późno. Potrzebowali jedynie, aby ktoś w mundurze, w todze, ktoś z trzema lwami na ramieniu powiedział: tak, tak, rozumiem, jak do tego doszło, najpierw było to, a potem tamto, więc zrobiłeś to, a potem tamto. I ona będzie mówić. Ale w tym momencie trzeba zostawić ją samą. Teraz musiał uratować te zwłoki przed spalaniem, żeby Mary Mascarenas mogła pochować siostrę. Ludzie przywiązują wielką wagę do drobnych wyrazów szacunku, do drobnych złudzeń. Mary Mascarenas nigdy nie będzie musiała wchodzić do komory chłodniczej, Sartadź oszczędzi jej widoku tego, co przydarzyło się jej siostrze. Niech pochowa Dźodźo. A potem będzie mówić.

Sartadź osłonił oczy przed słońcem i spojrzał w stronę morza, przebłyskującego między drzewami i dwoma położonymi niżej budynkami. Było późno, czas wracać do domu, do własnej rodziny.

**P**rabhdźot Kaur usiadła w fotelu w sypialni i wsłuchiwała się w odgłosy swojego domu. Budynek był czarny. W nocy zdawał się większy, znane kształty odsunięte przez poruszającą się ciemność, brak światła, które gdzieś jednak ożywało upiornymi odpryskami koloru. Prabhdźot Kaur



słyszała, jak śpi Sartadź. Spał daleko, na drugim końcu korytarza, ale o tej porze potrafiła dosłyszeć wiele rzeczy, powolne układanie się stołu w jadalni, równomierne kap–kap, kap–kap, kapanie kropel z kranu za domem sąsiadów, nerwowe ruchy małych zwierzątek pod żywopłotem, pomruki nocy, tę całą cichą i żyjącą wibrację, przez którą wszystkie inne dźwięki stawały się głośniejsze. Słyszała to wszystko, a w tym głośny oddech syna. Wiedziała, jak on leży, wyprostowany na plecach, z głową odwróconą na bok i z poduszką przyciśniętą do piersi. Przybył późno, jak zawsze z dwiema wypchanymi torbami, zmęczony podróżą pociągiem, ale też czymś jeszcze, widać to było po nim. Po szybkiej kąpieli zjadł czekające już na niego radźma–ćawal, jadł w ciszy, jakby z ulgą.

Siedziała naprzeciw niego przy stole, rozgrzana tym znanym widokiem, jak zawsze jadł ryż od lewej do prawej, systematycznie, często uklepując jedzenie widelcem, porządkując je. Już jako mały chłopiec tak robił, trzymając widelec poprzecznie w swojej piątce. Radźma–ćawal było jego ulubionym jedzeniem, niedzielnym przysmakiem, i lubił, kiedy w ryżu było dużo smażonej cebuli.

Od czasu do czasu zadawała mu jakieś pytania, pytała, czy naprawiono tę przeciekającą ścianę w łazience w Mumbaju, czy napisał list do swojego Caći–dźi w Delhi. Nawet nie tyle zależało jej na jego odpowiedziach, co na tym, żeby usłyszeć jego głos. Kiedy skończył posiłek, rozsiadł się wygodnie, znieruchomiał, z rękami zwieszonymi bezwładnie po bokach fotela, mrugając powoli powiekami. Zabrała jego talerz.

– Idź spać, beta – powiedziała.

Siedziała w bardzo starym fotelu, najstarszym meblu w mieszkaniu. Był połatany, zmieniono w nim sprężyny i obicie, prowizorycznie go naprawiano, operowano, ratowano go dla niej. To ojciec Sartadźa przywiózł go do domu pewnego wieczoru, powoli przechylił go z tyłu furgonetki

tempo, uśmiechając się wspaniałym rzędem błyszczących zębów na jej słowa: „Co to jest? Ile na to wydałeś?”, i przez całą godzinę musiał ją przekonywać, żeby w nim usiadła, żeby przyznała, że nie jest aż tak niewygodny. Był to ich pierwszy wielki wspólny zakup, pierwsza część ich skromnego gospodarstwa nie pochodząca z posagu. A teraz samotnie badała rozległe, nieznanne obszary nocy, dryfując po równinie, która w nieskończoność rozwijała swoje horyzonty, a ona wolała to znosić, siedząc w swoim fotelu, ponieważ lenistwem było leżenie w łóżku, jeśli nie spała. Ale nie, to nie było prawdą, to nie było czyste i stężone cierpienie, nawet jeśli czasami samotność atakowała ją żelaznym pomrukiem mrowiącej się za jej oczami szarańczy, wypełniając jej brzuch falą napływającego piasku, drobniotkiego, ostrego i okrutnego. Było coś jeszcze, co nie pozwalało jej zamieszkać z synem czy też przenieść się do przestronnego domostwa brata, mieszkającego niedaleko, po prawej stronie tej samej ulicy, do tego tętniącego życiem rodzinnego ciepła bratanic i bratanków, głośnych kłótni i twarzy usmarowanych kulfi. Było to coś tak potwornego, że starała się nie dopuszczać tego do siebie. Ale czuła to, późno w nocy, jak kryje się pod konturem jej twarzy, a kiedy jej dotykała, miała wrażenie, że dotyka maski, i powoli delectowała się niewymowną przyjemnością przebywania w samotności.

Teraz jednak potrzęsnęła głową ze złością, odrzucając tę rozkosz, odpychając ją. Całą minutę zajęło jej podniesienie się z fotela, wykonanie czterech odrębnych ruchów rąk, bioder i nóg. Nie musiała zapalać światła, żeby wyjść do przedpokoju i przez niego przejść. Kredens stał po lewej, porządna zastawa w pierwszej i drugiej szufladzie, kosztowne talerze z wzorem w lilie, które tak się jej podobały z powodu tych foremnych, spiralnych okręgów w jasnoniebieskim kolorze, a po prawej lśniły fotografie, które mogła wyliczyć z pamięci, zdjęcie ślubne laminowane

twardym plastikiem, czerwień jej sari pociemniała w intensywną czerń, pamiętała buty fotografa, mieniące się w dwóch odcieniach, jego głowę ukrytą pod czarnym materiałem, a także jej młodszego dewara z czerwonym krawatem i zawadiackim uśmiechem, „No co jest, Pabi-dzi, gdzie się podział ten twój śliczny śmiech?”. A potem ten szalony błysk światła, w końcu udało się jej zdobyć na uśmiech, który teraz nadal trwał, choć wszystko wokół niszczało. I zdjęcie dziesięcioletniego Sartadża w niebieskim turbanie, zbyt wielkim na jego główkę, w niebieskiej marynarce z nowymi, mosiężnymi, błyszczącymi guzikami, chociaż na fotografii nie widać było jego lewego kolana we flanelowych spodniach, rozdartych na kawałku drutu kolczastego, kiedy wspinał się przez ogrodzenie, żeby skrócić sobie drogę przez niezabudowaną parcelę, idąc do szkolnego autobusu, chociaż ona setki razy mówiła mu, żeby tego nie robił. A potem były zastrzyki przeciwężcowe, a także lody, które kupował mu ojciec, całe waniliowe kostki z Kwality, ulubione lody Sartadża. Mieli taki sam gust, ojciec i syn, obaj czuli tę samą silną potrzebę lustrzanego połysku na skórze butów, nowej marynarki co drugi rok. Na końcu korytarza był on, ojciec, stojący na tle szarej przestrzeni atelier, w swojej przedostatniej marynarce, tweedowej z zielono-czarnym splotem. Do niej włożył białą koszulę i jedwabną zieloną chustkę, z brodą przyprószoną już delikatną siwizną, z którą przestał już walczyć, nie używał już barwników ani farb do włosów. Siwa broda wygląda bardzo wytwornie, powtarzała mu to dwa razy dziennie całymi miesiącami, aż w końcu jej uwierzył, ale teraz już go minęła i stanęła w drzwiach, a przed nią spał Sartadż, oddychając szybko.

Coś powiedział, coś wymamrotał w zwinięte w kłębek przy jego głowie prześcieradło. Schyliła się przy łóżku i znalazła na podłodze jego spodnie, koszulę i bieliznę. Sartadż coś mówił, wyraźnie usłyszała słowo „jacht”. Cicho zamknęła drzwi za sobą, wiedziała, że on będzie chciał pospać

dłużej, a służba przychodziła bardzo wcześnie. W drodze do łazienki wywróciła kieszenie jego spodni i znalazła chusteczkę do nosa, a potem wszystko wylądowało w czekającym na bai koszu na pranie.

Siedząc w fotelu, nasłuchiwała w oczekiwaniu na stukot lathi stróża pokonującego ostatni zakręt drogi, była już na to pora. Co godzinę zataczał wielkie koło wokół sąsiadujących ze sobą domów. I kiedy tak wyteęzała słuch, usłyszała rodzące się w głębi niej cichuteńkie skrzypnięcie niechęci, bardzo delikatny opór, sprzeciw, ledwo słyszalny wśród głośniejszej muzyki szczęścia, tego jej życia, które nie było wolne od bólu, ale które przeżyła w sposób należyty: dom, mąż, syn i ona, żona. Było w tej niechęci coś wyraźnie niestosownego, po tych wszystkich latach, żeby ten leżący na podłodze stos ubrań stawał się nieprzejednanym i posepnym zarzewiem gniewu, złości na to, że zawsze trzeba robić coś dla mężczyzn, zawsze. Tak, było to niestosowne, zwłaszcza wobec Sartadża, tak zmęczonego, szukającego pociechy, przecież on przyszedł do niej. Zdawała sobie z tego sprawę. Mówił jej, że w tym domu lepiej mu się śpi, wysypia się. Dzielnie przespał tę pierwszą noc w swoim własnym pokoju tak dawno temu, miał wtedy chyba sześć lat, może nieco więcej, kiedy wreszcie zdobyli mieszkanie, w którym mógł mieć własny pokój, mieszkanie z niewielką werandą wychodzącą na mały ogród, gdzie hodowała róże i rozwieszała na sznurze mokre sari i mundury. Ile ubrań wyprała w tych dawnych czasach, ile smutnych dni spędzonych z proszkiem Rin i podartymi, niebieskimi, krótkimi spodenkami, i na dobieraniu skarpetek do pary; czy wówczas w niektóre poranki tłumiła ten sam drażniący świąd rozdrażnienia, czy zakopywała go głęboko pod przetaczającymi się lawinami miłości? Prabhđżot Kaur odrzuciła od siebie te myśli, oparła ręce na starym drewnie poręczy fotela i, chwyciwszy je mocno, kołysała głową w tył i w przód, starając się myśleć o wakacjach na wzgórzach, o tym, jak wraz z

Karamdżitem i ich synem szli krętym grzbietem wzgórza, ale widziała tylko dom w bardzo odległym mieście, które teraz, od kiedy leżało po drugiej stronie nowej granicy, było już niezmiernie odległe, i długie druczane ogrodzenie błyskające morderczą elektrycznością, ten dom z żaluzjami pomalowanymi na zielono, od frontu domu wielki baithak z nowiutkimi meblami, a kiedy się wchodziło przez prowadzący do środka ciemny korytarz, napotykało się wyłożony cegłami dziedziniec, otoczony łukami i różnymi pomieszczeniami. Na tym dziedzińcu stali ojciec i matka Prabhdżot Kaur, jej dwóch starszych braci i dwie siostry. A jedną z tych siostr była Nawnit, ukochana i najlepsza ze wszystkich, a teraz na zawsze utracona. Odeszła, Nawnit–behendzi odeszła. Prabhdżot Kaur wytarła czoło obiema rękami, całą twarz. Po co to pamiętać? Historia jest już napisana i to, co się stało, już się nie odstanie. Całe życie, rodzina, to wszystko przychodzi do człowieka obarczone nieuniknioną porcją bólu. Przed życiem nie było ucieczki, a próby odsunięcia od siebie cierpienia czyniły je tylko jeszcze dotkliwszym. Głośno westchnęła: musisz to znieść. Udźwignij to wszystko, te drobne rozczarowania dnia codziennego i te ogromne, straszne tragedie sprzed wielu lat, dźwigaj ten ciężar z pomocą i łaską Waheguru. Nieś to na swoich barkach dla tych, których kochasz.

Prabhdżot Kaur odetchnęła głęboko i spróbowała pomyśleć o zadaniach na jutro. Jej oddech wyrównał się, spowolniał. Z drugiej strony ogrodu dobiegł ją dźwięk równomiernego stukania, drobne wybuchowe rozpryski wody na kamieniach.

## Interludium: dom w odległym mieście

Na co rano mytym dziedzińcu siedziała Prabhdźot Kaur, popiołem szorując karhai pod ręczną pompą. Była najlepszą i najmłodszą z trzech córek: Nawnit, Maninder i Prabhdźot. A w zasadzie Nawnit–behendźi, Mani, a potem Prabhdźot, albo Nikki, ze względu na jej niski wzrost. Prabhdźot Kaur lubiła pomagać matce, która zawsze powtarzała: „Popatrzcie tylko na nią, na tę małą Nikki, tę Prabhdźot Kaur, ma tylko dziesięć lat, a pomaga bardziej niż wy wszyscy razem wzięci” – co z reguły oznaczało, że Nikki powinna uważać, bo zaraz uszczyplnie ją Mani, która uwielbiała chwytać ciało na wewnętrznej stronie ramienia, palcami bezlitosnymi i stalowymi jak chimta, a potem bez końca je wykręcać, szepcząc: „Ty mały szcurze, ja ci pokażę, szcurku”. Nikki znosiła te siniaki z wyrozumiałością, a nawet współczuciem dla Mani, która miała wielkie uszy i po tym, jak w czternastym roku życia nagle urosła osiem centymetrów, wyglądała jak oniemiały z wrażenia dehati strach na wróble. Miotła się, wrzaskliwa i niezgrabna, wściekła na wszystko i wszystkich, nie najlepiej radziła sobie w szkole, nierozzerwalnie tkwiła pomiędzy siostrami, a to oznaczało, że nie wyróżnia jej nawet pozycja ani wiek, zawsze już nie tu i jeszcze niezupełnie tam. Nikki rozpieszczali natomiast jej dwa bracia, Ikbāl–wirdźi i Alok–wirdźi, którzy, osiemnasto–i siedemnastoletni, młodszy więc od Nawnit–behendźi, zdążyli już jednak bardziej niż ona oddalić się od rodziny, a to ze względu na swoją zwałistą męskość i namiętność do krykieta. Ojciec lubił przeglądać zeszyty Nikki, obkładane przez nią w czysty, brązowy papier, który zawijała w ostre,

dokładne rogi i krawędzie, i opatrzone jej pełnym imieniem i nazwiskiem wypisanymi zielonym atramentem, przy czym pierwsze litery słów „Prabhdźot” i „Kaur” były szczególnie misterne i pozakręcane. Nauczyciele języka pendżabskiego i urdu chwalili ją za pisanie w obydwu tych językach i wiązali z nią duże nadzieje przed sponsorowanym przez sir Saida Atallulaha Khana dorocznym konkursem na wypracowanie. „Mam nowy dom”, pisała zamaszystymi, zielonymi literami, bez błędów ani kleksów, ponieważ jeśli przydarzył się jej choć jeden niezgrabny znak, natychmiast wyrywała całą stronę. Wszyscy uważali ją za dziewczynkę grzeczną, poważną i posłuszną, a w tym nowym domu lubiła pomagać w kuchni.

– Nikki, skończyłaś? – śpiewnym głosem zawołała z głębi kuchni Mata-dźi.

– Już idę, Maty-dźi – krzyknęła Prabhdźot Kaur i rzuciła się do pompy wodnej, całym ciężarem zwieszając się na jej dźwigni. Woda tryskała wesoło, skrząc się i podskakując w słońcu. W kuchni Maty-dźi uklepywała paranthę, przerzucając je tam i z powrotem z ręki do ręki tak energicznie, że wokół rozchodził się dźwięk szybkiej muzyki, a potem zamaszystym ruchem nadgarstka rzucała je na rozgrzaną tawę. Prabhdźot Kaur ostrożnie odłożyła karhai. Rogiem swojej dupatty Maty-dźi osuszyła perełki wilgoci z jej policzków, a Prabhdźot Kaur bacznie przyglądała się jej okrągłej, czerwonej twarzy z odrobinę zadartym nosem, z którego wszyscy się naśmiewali.

– Zanieś to do środka – powiedziała Mata-dźi, kładąc idealnie lśniące paranthę na stosie czterech gotowych. – A potem sama usiądź. – Prabhdźot Kaur zawsze jadła jako przedostatnia. Jej dwaj bracia jedli na potęgę, zmiatając całe tuziny paranthę i pełne pojemniki masła ghi. Obok nich siedziała Mani, z jednym kolaniem podciągniętym pod brodę, dłubała w stosie bhindi, układając je w kółko. Zupełnie nie zwracała uwagi na

Prabhdźot Kaur, nawet nie świdrowała jej wzrokiem, uważnie słuchając Ikbala-wirdzi i Aloka-wirdzi, którzy rozmawiali o krykiecie. Prabhdźot Kaur przykucnęła i nakładała sobie jedzenie z rozłożonych na ćatai talerzy, po czym spożywała je w milczeniu, skupiona na swoim posiłku. Był świąteczny poranek, niedziela, ale ojca nie było w domu, pojechał kupić ostatni wóz cegieł. Już od prawie roku mieszkali w nowym domu, tył wciąż jednak jeszcze nie był ukończony. Miała tam być spiżarnia i mały, odrębny budynek dla służby, z jednym pokojem i z patio. Zdawało się, że dom od zawsze jest w budowie. Od kiedy tylko Prabhdźot Kaur sięgała pamięcią, zawsze był to dom w Adampurze, któremu ojciec poświęcał wszystkie wieczory po pracy, w którym jej bracia spędzali weekendy, nadzorując budowę, dom, który stale zdawał się być nieskończenie odległy. Przeprowadzka zajęła im trzy dni, a kiedy w końcu spędzili tu swoją pierwszą noc, wszyscy razem na dziedzińcu, na nowych ćarpai, nikt do późna nie mógł zasnąć. Następnego dnia rano, przez ciepłe, białe prześcieradła i puszysty, rozkoszny sen, Prabhdźot Kaur usłyszała dochodzący z dachu śmiech swojej matki. W tym dźwięku była jakaś kojąca wolność, beztroska tak niezwykła, że Prabhdźot Kaur wciąż jeszcze to pamiętała. Ów śmiech niósł się w ich nowym domu, rozjaśniał korytarze i mieszał się z zapachem świeżego tynku. Maty-dzi usiadła obok Prabhdźot Kaur, lekko stękając, jak zawsze, kiedy zginała kolana, i chociaż zmęczona poranną pracą, emanowała czymś zupełnie nowym, wyjątkowym, jakimś spełnionym zadowoleniem, jakiego Prabhdźot Kaur nigdy wcześniej nie dostrzegła, kiedy przez lata mieszkali w dwóch pokojach na tyłach domu Narindera Dhano. Jadła w skupieniu, nisko pochylona nad posiłkiem, cmokając przy każdym kęsie, aż w pewnym momencie Mani podniosła się nagle na całą swoją wyrośniętą wysokość i sztywnym krokiem wyszła do kuchni.



– Sethani–dži – odezwał się Alok–wirdži, kładąc dłoń na ramieniu matki.  
– Powiedz, kiedy twoja służąca zaczyna pracę?

– Sądziłam, że sama sobie poradzę – odparła Mata–dži. – Co ja pocznę z wolnym czasem?

Alok–wirdži ze śmiechem oparł głowę o ramię Mata–dži.

– Powiemy jej, żeby przysłała od jutra – zdecydował Ikbal–wirdži. – Bo w przeciwnym razie przez kolejne dziesięć lat będziesz to wszystko sama robić. – Jako najstarszy syn miał zwyczaj traktować ją nieco protekcjonalnie, z wyrozumiałym uśmiechem.

– Zgoda, zgoda – stwierdził Alok–wirdži. – Bo inaczej nasza największa na świecie kandżu nigdy nie dopuści służącej do domu.

– Jak już zaczniecie zarabiać – powiedziała Mata–dži, strząsając jego brodę z ramienia – poznacie cenę swoich paranth.

– Jak zacznę zarabiać – odparł Alok–wirdži – kupię ci samochód z dwiema chorągiewkami na masce.

– Od razu będziesz Lat–saab – powiedziała Mata–dži. – Dwadzieścia jeden lat zajęło mu zbudowanie tego domu.

Dwadzieścia jeden lat i trochę cegieł, które wciąż jeszcze nadciągają, pomyślała Prabhdžot Kaur, ale widziała, że chociaż Maty–dži odrzuciła głowę, spodobało się jej wyobrażenie Aloka–wirdži jako Lat–saaba w samochodzie. Wzrok miała spuszczonej, a na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Tego popołudnia, kiedy Prabhdžot Kaur ułożyła się w rogu swojej ćatai, z ręką wsuniętą pod ulubioną gadkę, na której złożyła głowę, powoli osuwając się w sen, wciąż jeszcze słyszała tych dwóch wirdži, jak rozmawiają, leżąc obok siebie i snując rozważania o tajemniczej służącej, którą trzeba znaleźć i przyprowadzić, która będzie pracować, zamiatać cały dom w środku, te wszystkie pomieszczenia, a także na zewnątrz, będzie pchać pochę, aż wykafelkowane podłogi będą lśnić

czystością, będzie klepać pranie i rozwieszać je wilgotne, żeby łopotało na sznurach za domem, będzie przewiewać pszenicę, zapalać lampy, czyścić buty, układać książki, przynosić mleko, kupować warzywa, będzie robić, i robić, i robić. Prabhdźot Kaur pomyślała sobie, że to z pewnością musi być bardzo silna kobieta, skoro podoła temu wszystkiemu.

Ale kiedy trzy dni później pojawiła się służąca, okazało się, że jest to bardzo drobna kobieta o imieniu Ram Pari, ubrana w śmieszny czerwony śalwar–kamiz ze złachmanioną dupattą i mówiąca jakimś szorstkim, tubalnym dialektem, zrozumiałym dla Prabhdźot Kaur, ale jednocześnie bardzo zabawnym. Ram Pari, która mówiła na Maty–dźi „Bibi–dźi”, kucnęła na dziedzińcu, targując się o stawkę. Kiedy już się podniosła, po uzgodnieniu kwoty pięciu rupii na tydzień, Prabhdźot Kaur podeszła do niej i stanęła obok wyprostowana, i rzeczywiście okazało się, że Ram Pari jest ledwo o głowę wyższa od niej samej. Ale z bliska Prabhdźot Kaur poczuła jakiś zapach. Cofnęła się pospiesznie. Zapach nie był przykry, ale bardzo intensywny, kojarzył się z wonią wilgotnej ziemi albo z zapleczem halwai, gdzie mogło zakręcić się w głowie od tych wszystkich mlecznych aromatów. Prabhdźot Kaur wycofała się przed tym bogactwem zapachów i poszła usiąść przy Nawnit–behendźi, w baithaku, gdzie jej siostra jak zawsze siedziała z nosem w wielkiej książce. Prabhdźot Kaur złożyła głowę na mięciutkiej bawełnie ramienia Nawnit–behendźi i przeliterowała tytuł u góry strony: „Wordsworth”. Spod wypranej świeżości miękkiego śalwar docierała miła woń mydła i ciepłej skóry. To był aromat, który Prabhdźot Kaur znała całe swoje życie, i teraz wdychała go, wtykając nos w materiał i z lekka parszając.

– Co ty wyprawiasz, dźhalli? – zapytała Nawnit–behendźi i sięgnęła wolną ręką, żeby uszczypnąć ten myszkujący nos.

Prabhdzot Kaur wcale nie uważała się za szaloną, ani trochę, ale nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego w tym momencie było jej to tak bardzo potrzebne. Oparła twarz na zgięciu łokcia Nawnit-behendzi i znieruchomiła. Ram Pari opuściła dziedziniec, przez który teraz przeszła Mata-dzi, niosąc talerz pełen grochu. Usiadła w pobliżu i zaczęła rozłupywać strączki, kciukiem wrzucając grzechoczący groch na talerz, trach, trach, trach, tak szybko, aż dźwięk zlał się w jeden, przeciągły szum. Maty-dzi była skoncentrowana na grochu, a Nawnit-behendzi trzymała swoją książkę wysoko na kolanach. Ostatnio były ze sobą w dość serdecznych stosunkach, ale Prabhdzot Kaur pamiętała, że jeszcze rok temu ostro się kłóciły, po tym, jak Nawnit-behendzi zdała egzaminy FA i chciała iść do college'u, żeby zrobić licencjat. Maty-dzi prosiła ją, żeby pomyślała o swoich braciach i siostrach, którym przez swój egoizm odbierała możliwość ślubu i szczęścia, a kiedy Nawnit-behendzi zupełnie rozsądnie zauważyła, że jej braci i siostry jeszcze wiele lat dzieli od ślubu, Maty-dzi zaczęła na nią krzyczeć, mówiąc jakieś zupełnie dziwne rzeczy o okrywaniu rodziny hańbą, a potem przez dwa dni odmawiała przyjmowania pokarmów. W końcu wkroczył w to wszystko Papa-dzi. Jeśli Nawnit chce zrobić licencjat, powiedział, to tak będzie, i koniec. Ale Maty-dzi dysponowała mocą o tajemniczym działaniu. Wycofała się do swojego pokoju, a Papa-dzi, przewracając oczami, poszedł za nią, i kiedy wyszedł następnego poranka, ustalone już było, że ślub można odwlec, ale niezupełnie odłożyć. Dlatego też obecnie Nawnit-behendzi była zaręczona z Pritamem Singhem Hansrą, stacjonującym w Gudźranwalli młodszym inżynierem w PWD. Po zaręczynach Papa-dzi delikatnie pogładził się po brodzie, w której, tuż pod dolną wargą, pojawiły się już ślady siwizny, i powiedział, że szczęście wywodzi się z rozwagi. Maty-dzi nic nie mówiła. A Prabhdzot Kaur, chociaż pełna podziwu dla tego, jak Papa-dzi potrafi

wyczarowywać różne rzeczy jak z kapelusza – chłopak dla Nawnit-behendzi, dom dla nich wszystkich – rozumiała jednak, że sprawy nigdy nie są tak piękne, jak to z pozoru wygląda.

Ram Pari przychodziła do domu każdego dnia, a Maty-dzi toczyła z nią heroiczne walki. Trzy dni zajęło nauczenie jej odpowiedniego mycia talerzy, tak żeby były dostatecznie czyste, i nie obyło się bez wielu praktycznych pokazów i kąśliwych uwag. Ram Pari nie komentowała tych uwag, wzruszeniem ramion zbywając kazania Maty-dzi, potem przez chwilę pracowała na medal, myjąc dwie miski i czasami jeszcze jeden talerz, i powracała do swojego normalnego, radosnego niedbalstwa. Jej błyskawiczna technika zmiatania była bardzo szybka i skuteczna, ale pozostawiała kłęby kurzu w kątach i zupełnie pomijała powierzchnie znajdujące się pod almirą, co budziło największe oburzenie Maty-dzi. Tymczasem dwaj bracia Prabhdzot Kaur chichotali i pokładali się ze śmiechu, nawet tego nie skrywając, z „Badbu Pari”. Prabhdzot Kaur śmiała się wraz z nimi, manifestując solidarność z braćmi, ale w głębi serca uważała, że ten zapach nie jest badbu, smrodliwy, raczej ostry. Ram Pari była mała, na jej brzuchu widniał żyłasty splot mięśni, co Prabhdzot Kaur zauważała, kiedy Ram Pari unosiła swój kamiz, żeby otrzeć usta albo całą swoją pomarszczoną twarz starej kobiety. Robiła tak czasami, późnym popołudniem, zamiast używać założonej na głowę dupatty, a Prabhdzot Kaur myślała, że przede wszystkim chciała się w ten sposób ochłodzić, wpuścić jakiś powiew na skórę, ale kiedy to robiła, spod ubrania wydobywały się jakieś wyziewy, jakaś woń, ciężka i wisząca w powietrzu, rzeczywista i nieodparta jak obłok rozgrzanych iskier z ognia w chaunce. Prabhdzot Kaur wzdrygała się przed tym, ale jednocześnie starała się nie poruszać, chcąc na własnej skórze poczuć to pieczenie. Chociaż wstydziła się tego i nikomu o tym nie mówiła, nie mogła się tego doczekać. Była to

jej najtajniejsza tajemnica, lepiej skrywana niż jednorupiowa moneta, którą znalazła pod poduszką na sofie w pokoju od frontu. Choć wiedziała, że należy do Papy-dzi, następnego dnia pieniądze powędrowały w jej piórniku do szkoły i wystarczył na cały tydzień kesar kulfi, i to nie tylko dla niej samej, ale także dla jej dwóch najlepszych przyjaciółek, Mandžit i Aši. Nikomu nie powiedziała o swoim sprzecznym pragnieniu zapachu Ram Pari, o tym gęstym aromacie, nawet koleżankom z Trójcy Wspaniałych, które nosiły włosy uczesane w takie same, schludne, podwójne warkoczyki i od pierwszej klasy siedziały razem w drugim rzędzie.

Tego kwietniowego dnia Trójca kołysała się na tylnym siedzeniu tangi Daraka Alego, a Mandžit, jak zawsze, siedziała pośrodku. Była niekwestionowaną liderką, chociaż pozostałe dwie miały lepsze oceny i ojców na wyższych stanowiskach. Ojciec Mandžit był tylko kierownikiem hotelu, ale dziewczynka była wysoka i szczupła, i imponowała osobowością i bezpośredniością, którą Prabhdźot Kaur i Aśa podziwiała, choć nie umiały wyobrazić sobie, że zdołają jej dorównać. Cieszyły się, że mogą się skryć w tym jej nieco ryzykownym cieniu.

– Ćaća, szybciej – powiedziała do Daraka Alego Mandžit, z ręką zwieszoną za oparcie siedzenia. – Proszę, jedź szybciej, bo inaczej zostanie z nas tylko szerniały popiół na Larkin Road. Usmażymy się i znikniemy w kłębach śmierdzącego dymu. Jedź szybciej, szybciej.

Minęło wół do czwartej i Prabhdźot Kaur miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie było tak gorąco, słońce prażyło wprost na nie, siedzące na tylnym siedzeniu tangi, droga ciągnęła się przed nimi w nieskończoność, a Darak Ali był najstarszym i najwolniejszym woźnicą tangi w całym mieście. Codziennie rano zbierał je po kolei, jedną po drugiej, i kłusem, a raczej stępa, wiózł je do szkoły, a potem czekał na nie o trzeciej po południu, żeby zabrać je we wlokącą się w nieskończoność i trzeszczącą drogę powrotną.

Zarzucił swoją bujną, ufarbowaną henną brodę na spocone ramię i odpowiedział to, co zawsze:

– Bibi, ona cały dzień ciężko pracowała w upale. Popatrz, jaka jest zmęczona. Mogę kazać jej jechać szybciej, i ona spróbuje, ale zobaczysz, że to złamie ci serce. – A potem, zwracając się do wznoszącego się i opadającego pod lejcami kościstego, brązowego zadu, rzekł: – No, Śagufta, szybciej, szybciej. Szybciej, Śagufta, bo inaczej wielkie mem zupełnie nam zmarnieją w tym upalnym słońcu.

– Ta twoja chabeta jest starsza od ciebie, Caća – rzuciła Mandźit. – Sprzedaj ją do końskiej rzeźni i kup sobie nową kobyłę.

– Ale spójrz tylko, jak ona bardzo się stara – odparł Darak Ali. – Jak idzie. Jak możesz mówić coś takiego, bibi? Złamiesz jej serce.

Mandźit prychnęła i podniosła swój basta na wysokość twarzy, żeby osłonić się przed słońcem.

– O tak, teraz zasuwamy. Chyba ryzykujemy życiem w tej niesamowitej gonitwie. Bardzo, bardzo się boję.

Prabhdźot Kaur zachichotała i zaraz potem zamarzyła o wysokiej szklance wody nalanej z surahi, który Maty–dźi trzymała wilgotny przez cały dzień. Pomyślała o tym, jak surahi się przechyla, jak dotyka jego okrągłej glinianej szyjki, jak woda spływa do szklanki gładkim strumieniem z coraz głębszym i pełniejszym bulgotaniem, a tymczasem między zakurzonymi czubkami jej bucików znikająca czarna droga, a monotonne stuku–puku stuku–puku kopyt Śagufty powoli tętniło w jej skroniach. Zamknęła oczy, ale i tak wiedziała, że po prawej mijają duży sklep z butami Kalra, z jego ostro zakończoną, drewnianą konstrukcją „Damskich czółenek”, a potem Manohar Lal Madan Lal Halwai, gdzie z tyłu są stoiska rodzinne i ogromne lustro z wytrawionym wizerunkiem siedzących nad strumieniem mężczyzny w turbanie i kobiety, a potem sklep meblowy Kiani

Fine Furniture, z wystawioną w witrynie długą, czerwoną sofą, „Od pięćdziesięciu lat świadcząc usług klientom”, nie sofa, ale stary pan Kiani i jego trzech synów. Prabhdźot Kaur spróbowała odgadnąć, gdzie w tej chwili się znajdują, i otworzywszy oczy, przekonała się, że są dokładnie naprzeciw piekarni Tarpur, raju z ciastkami i gazowanymi napojami, który Prabhdźot Kaur odwiedziła tylko raz w życiu, na swoje dziewiąte urodziny, ale wciąż pamiętała głośny wystrzał szklanego korka, pod ciężarem dłoni Papy-dzi wpadającego do truskawkowej wody sodowej. Na te wspomnienia Prabhdźot Kaur poczuła ból po obu stronach ust, a nawet ostry ból, powódź różowej erupcji w buzi, mrowienie po wewnętrznej stronie warg, a Sagufta ciągnęła dalej, pociągnęła ich za piekarnię Tarpur, i właśnie w tym momencie Prabhdźot Kaur zobaczyła Ram Pari. Szła przy drodze, z rękami zwieszonymi bezwładnie po bokach, a za nią trzepotała jej dupatta. Prabhdźot Kaur ponownie wcisnęła się w siedzenie, z niewiadomego powodu nagle zawstydzona. Było coś w tym widoku Ram Pari idącej szeroką drogą obok dwóch białych kobiet wystrojonych w kapelusze przypominające koronkowe ogrody, w lśniących białą bucikach na paseczkach i w zdumiewająco zwiewnych sukniach z bardzo tajemnych, zagranicznych zakamarków sklepu odzieżowego Perreiras Ladies Wear, coś w tym obrazie Ram Pari kroczącej na szeroko rozstawionych nogach powodowało, że w tym momencie Prabhdźot Kaur nie chciała jej znać. Odwróciła więc głowę, jakby przyglądając się czemuś po drugiej stronie ulicy, ale czuła, że pali ją szyja z boku, i to nie z powodu słońca, ale od wzroku Ram Pari, tak się jej przynajmniej wydawało, i nie mogła się powstrzymać, żeby choć przez chwilę nie spojrzeć w tę stronę. Sagufta powoli oddalała się od Ram Pari, która szła z twarzą napiętą jak prześcieradło wydymające się na gorącym, letnim wietrze, z oczami surowymi i niewidzącymi, chociaż patrzyła wprost na Prabhdźot Kaur.

Gniewny garb jej ramion powoli zniknął w blasku Larkin Road i w końcu Prabhdźot Kaur zupełnie straciła ją z oczu, na chwilę przed tym, jak skręcili w lewo, na Fulbag Gali i do Ćaube Mohalli, gdzie Mandźit zeskoczyła z tangi i popędziła do swojego domu, a jej dwa grube warkocze podrygiwały i podskakiwały w ślad za nią.

Kiedy Prabhdźot Kaur wróciła do domu, jej ojciec siedział w baithaku ze swoim znajomym Khudabaksem Śafi, który pił herbatę ze specjalnie dla niego przechowywanej filiżanki. Prabhdźot Kaur zawsze myślała o niej jako o muzułmańskiej filizance, która była przyczyną wiecznych problemów z Matą-dźi. Kiedy Papa-dźi wnosił ją do środka i własnoręcznie mył pod ręczną pompą, Maty-dźi zawsze robiła minę, na co Nawnit-behendźi i Mani tylko przewracały oczami i mówiły, że jest strasznie głupia. Prabhdźot Kaur lubiła Khudabakśa Śafi, który miał wielkie, proste, przecinające twarz wąsy i który zawsze przynosił jakieś podarki. Dzisiaj przyniósł koszyk owoców liczi.

– Specjalnie dla ciebie, beta – powiedział i roześmiał się. – Zjedz je po obiedzie. I nie daj się oszukać tym dwóm mustanda. – Jej dwaj bracia, ubrani w białe stroje do krykieta, leżeli rozwaleni na ćarpai na dziedzińcu, popijając khari lassi z ogromnych mosiężnych kubków. Ikbāl-wirdźi podskoczył i chwycił swój kij – który co drugi dzień nasączał specjalnym olejkiem – i pokazał jej, jak w jednej serii sześciu rzutów trafił trzy szóstki, autując tego Śahidula Almansura, który uważał się za najlepszego rzucającego w całej prowincji. Prabhdźot Kaur stała na palcach stóp i kołysała się w przód i w tył, starając się okazać zainteresowanie, ale przy pierwszej okazji pomknęła do pokoju matki, a tam lekko oparła się o drzwi, aż na podłodze otworzył się trójkąt światła. Wślizgnęła się do środka i przysiadła na końcu łóżka, po stronie Papy-dźi. Łóżko było tak wysokie, że musiała się podeprzeć dwiema rękami, żeby na nie wejść, a kiedy już się



wspięła, po stronie jej matki z ciemności wyłonił się kształt podobny grzbietowi górskiemu. Stołowy wentylator zamiatał powietrze tam i z powrotem.

– O co chodzi? – w końcu odezwała się Mata–dźi, wciąż patrząc w drugą stronę.

– Czy są jakieś problemy z Ram Pari?

Maty–dźi westchnęła przeciągle.

– Ach, ci ludzie.

– Mata–dźi, czy ona coś zrobiła?

– Nie, nie. To ten jej mąż.

– Ona ma męża?

– Beta, ona ma dziewięcioro dzieci. Od półtora roku nie było go w domu. Była pewna, że znalazł sobie drugą żonę. A tu nagle wczoraj wrócił. Jak jakiś sahib laot położył nogi na stole i zawołał, żeby mu podać obiad. To mój dom, powiedział.

– A to jest jego dom?

– On w życiu dziesięciu rupii nie zarobił.

To, w pewnym stopniu, zamykało sprawę. Ramię Maty–dźi uniosło się i opadło, jej oddech zmienił się, a Prabhdźot Kaur powoli opuściła się na podłogę, czując pieczenie policzków. Ram Pari wciąż gdzieś tam wlokła się noga za nogą, zmierzając po linii tak prostej, jak jej przeznaczenie, ale Prabhdźot Kaur myślała tylko o tym, że ona sama w życiu nie zarobiła ani jednej rupii, tylko jedną ukradła. Stała w cieniu żłobkowanych filarów na skraju dziedzińca, patrząc na swoich braci i na czerwone plamy od piłki krykietowej na ich spodenkach, obserwowwała to ich przyjemne wyczerpanie i zastanawiała się, czy to faktycznie jest jej dom. Przez cały wieczór nie potrafiła odnaleźć tego poczucia domu, którego doświadczała od pierwszego dnia, kiedy ujrzała wznoszące się dźwigary i dziurę w ziemi, do

połowy wyłożoną cegłami. Nawet kiedy słońce wspięło się po filarach, a ona skrapiała wodą dziedziniec i w powietrzu uniósł się zapach wczesnego wieczoru, nie była w stanie odnaleźć się w tym miejscu. Spała nerwowym i lekkim snem, unoszona i targana wiatrem wirowała we śnie nad białymi dachami miasta Sabhwal, w którym się urodziła.

Obudziła ją kłótnia. Doszedł ją głos Mani, dowodzącej, że Ram Pari powinna zostać.

– Ona nie ma gdzie pójść – powiedziała, a Prabhdzot Kaur zauważyła, ile wysiłku kosztuje ją, żeby nie podnosić głosu i mówić rozsądnie, słyszała nawet, jak głos jej się łamie.

– To bardzo przykre – odezwała się Mata-dzi. – Ale od kiedy to ona jest moją mausi, żebym się nią zajmowała? Niech idzie do swoich krewnych.

– Mata-dzi, już ci mówiłam, ona nikogo tu nie ma. Mąż przywiózł ją tu z jej rodzinnej wioski. Czy chcesz, żeby spała na ulicy, razem z tymi wszystkimi swoimi dziećmi?

– A kiedyż to ja niby powiedziałam, że chcę, żeby cokolwiek zrobiła? – Maty-dzi siedziała po turecku przy kuchni, trzymając na kolanach wielki tal, z jednej strony wypełniony wysoką kupką pszenicy. Pod jej szybkimi palcami ziarna nieustannie śmigwały przez metal na drugą stronę naczynia, a na podłodze obok niej leżał mały stos czarnych kamyczków, łusek i odpadków. – Nie, ja nie chcę, żeby cokolwiek robiła.

Prabhdzot Kaur pobiegła przez dziedziniec do frontowej bramy. Ram Pari kuciała w samym jej środku, z dłońmi opartymi na zwiniętym w rulon niebieskim materacu. Otoczona była dziećmi, niesamowicie bezładną gromadką. Raczkujący maluch, prawie zupełnie golusienki, jeśli nie liczyć czarnej nitki, zawiązanej wokół pasa, przełaził przez kostki i łydki, szybciotko przebierając swoimi grubymi nóżkami. Kiedy już prawie udało

mu się wyrwać z kręgu ciał, dziewczynka w wieku Prabhdźot Kaur schyliła się i chwyciwszy go za ramiona, przyciągnęła go z powrotem.

– Ram Pari – odezwała się Prabhdźot Kaur. – Co się stało?

– Co mogę ci powiedzieć, Nikki?– odparła Ram Pari. – Co mam powiedzieć? Mój mąż, on wrócił. – Rozłożyła szeroko ręce, obejmując nimi nie tylko dzieci i Prabhdźot Kaur, ale cały świat.

– Ale on nie może cię wyrzucić. To niesprawiedliwe. – Ram Pari nic już nie powiedziała, a Prabhdźot Kaur doznała nieprzyjemnego wrażenia, że oni wszyscy na nią patrzą, nawet to niemowlę, te wszystkie gorejące czarne oczy. Chociaż były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, i tak zaczęła wiercić się w poszukiwaniu jakiegoś innego miejsca, do którego mogłaby się udać. Wycofała się, a potem odwróciła i pobiegła do domu. Czuła w piersiach przerażenie, kłuszący strach w kolorze czerni i szkarłatu, o smaku zgniłego jabłka, które kiedyś ugryzła, całe gąbczaste i brunatne pod kruchą skórką. Rzuciła się w ramiona Maty–dźi. Z twarzą ukrytą we jej włosach wydyszała:

– Och, Mata–dźi, pozwól jej zostać.

– Ty też? – Maty–dźi przewróciła oczami. – Moje córki nagle zrobiły się jakimiś santami i pracownikami socjalnymi.

Nawnit–behendii roześmiała się. Siedziała przy stoliczku w korytarzu, przed nią stała mała filizanka z olejkiem, a ona wczesywała go we włosy powolnymi pociągnięciami grzebienia, podnosząc długie, czarne pasma i pozwalając im potem opaść w postaci wzburzonych fal. W tym nowym świetle jej twarz w kształcie serca płonęła, wydęte usta jarzyły się czerwienią, a Prabhdźot Kaur nigdy jeszcze nie widziała jej tak pięknej.

– Nawnit–behendzi! – krzyknęła Prabhdźot Kaur, bliska łez. – Powiedz Macie–dźi, żeby pozwoliła jej zostać.

– Mieszanie się w kłótnie tych ludzi skończy się kłopotami – orzekła Mata-dzi. – Czy chcecie, żeby ten człowiek kręcił się po naszej uliczce, i wchodził, i wychodził z tego domu? I ta jej brudna czereda...

– Maty-dzi – odezwała się Nawnit-behendzi – można je wszystkie umyć, trzy razy można je umyć.

– Nie zaczynaj, Nawnit – odparła Mata-dzi. – A teraz obie ubierajcie się do szkoły.

Zawsze, kiedy przybierała ten naburmuszony wyraz twarzy, Maty-dzi stawała się tak nieporuszona, jak wypełniony po brzegi pojemnik deśi masła ghi. Prabhdzot Kaur drżącymi palcami pozapinała guziki w swoim mundurku, ale w szkole przez cały dzień uwagę rozpraszał jej obraz Ram Pari wędrującej przez niekończące się ciemiste pustkowia, w towarzystwie dzieci jęczących z pragnienia i po kolei padających, jedno po drugim. Mandzit i Aśa ze zdziwieniem patrzyły na Prabhdzot Kaur, która z trudem próbowała notować na lekcjach. Podczas przerwy opowiedziała im o ciężkim losie Ram Pari, ale nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia, a jeśli zrobiło, to nie więcej niż dwa lub cztery razy mniejsze niż na niej samej. O ile w ogóle.

– Ci ludzie zawsze tak się kłócą – powiedziała Asa. Prabhdzot Kaur usłyszała te słowa i z trudem powstrzymała się od łez, dojrawszy lekko wyniosłe wyduęcie ust Asi. Mandzit jedynie wzruszyła ramionami. Zaraz potem przeszły do spraw pilniejszych, do kwestii, czy uda się przekonać ojca Mandzit, żeby w najbliższy weekend sfinansował im wycieczkę. Rozmawiały, pochylając ku sobie blisko głowy, Prabhdzot Kaur zobaczyła ich jasne warkocze i czystą biel ich dupatt, ale kiedy chciała się odezwać, okazało się, że jej uczucia do Ram Pari kryją się w mroku jakiegoś wewnętrznego zagłębienia, za zakrętem jakiejś groty, i nie sposób ich wyciągnąć, wijących się i przerażonych, na ostre światło lata. Prabhdzot

Kaur odetchnęła więc głęboko i nic nie powiedziała. Nic nie mówiła przez cały dzień, nic nie mówiła w tandze Daraka Alego i przez całą drogę do domu.

Dzieci wciąż były na dziedzińcu, nadal kręciły się w skrawku cienia, który przesuwał się, powoli się zwężając, po dziedzińcu. Ram Pari w domu szorowała ostatnie garnki. Nawnit-behendzi drzemała z książką rozłożoną na brzuchu, leniwie machając wachlarzem. Nie otwierając oczu, opowiedziała Prabhdzot Kaur o zmaganiach tego dnia: Ram Pari przysła nieproszona i jak zwykle zaczęła zamiatać dziedziniec; zajęła się swoimi obowiązkami, a Maty-dzi tylko ją obserwowała, obie kobiety mijały się w absolutnej ciszy. Przez cały dzień słowem się do siebie nie odezwały. Nawet teraz, Prabhdzot Kaur zauważyła, że Maty-dzi przecięła rozpalone cegły, niosąc w dłoni stos mokrych ubrań i o niecałe pół metra mijając Ram Pari, która właśnie wchodziła na schody prowadzące na dach, ale i jedna i druga odwróciły od siebie wzrok, jakby ubrania i garnki wymagały całej ich uwagi.

– Nawet na nią nie spojrzała, prawda? – powiedziała Nawnit-behendzi, nie otwierając oczu.

– Kto?

– Mata-dzi. Nie spojrzała na Ram Pari?

– Nie, nie spojrzała.

– Cały dzień tak się zachowuje. Och, Nikki, ona doprowadza mnie do szału. Ciągłe ta cisza pełna podtekstów, a wszyscy muszą się domyślać i robić to, czego ona chce. I doskonale jej to wychodzi. Wszyscy skaczą tak, jak ona zagra.

Prabhdzot Kaur też się nie odzywała. Również ona odczuwała lekką urazę do swojej matki, kiedy nie pozwolono jej jechać na szkolny piknik, kiedy jako ostatnia otrzymywała khir z miski, i do tego mniej niż bracia, ale

te wszystkie drobne urazy zawsze szybko znikają we wszechobecnym ciepłe, które matka roztaczała, w wilgotnym, wszechogarniającym uścisku jej matczynych ramion, który czuło się zaraz po przekroczeniu głównej bramy, w pomalowanych na biało połówkach cegieł, którymi kazała wyłożyć przejście, w koronkowej lamówce na obrusach leżących na stołach w baithaku. Kiedy jednak słyszała w głosie Nawnit-behendzi tę dziwną, brzęczącą nutkę krytyki, nagle uświadamiała sobie, że coś dzieli matkę i córkę, dzieli Maty-dzi i ją samą; coś, z istnienia czego Prabhdzot Kaur nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Zrobiło się jej niedobrze i poczuła się bardzo samotna.

Nawnit-behendzi otworzyła oczy. Spojrzała prosto w twarz Prabhdzot Kaur, oczami wciąż jeszcze zamglonymi i rozkojarzonymi. Potem dwa razy zamrugowała.

– Are, dlaczego tak patrzysz, baćca? – zapytała. – Nie przejmuj się. Ona potrafi człowieka rozwścieczyć, ale ty też wyrwiesz się kiedyś z tego domu.

Prabhdzot Kaur musiała dwa razy przełknąć ślinę, zanim udało się jej odpowiedzieć.

– Wyrwę się?

– Tak – odrzekła Nawnit-behendzi i przyciągnęła ją do siebie. Objęła ją ramieniem i szepnęła w jej włosy. – Nie słyszałaś o tym? Dziewczyna rodzi się w jakimś domu, ale jej dom jest gdzie indziej. Ten dom nie należy do ciebie. Twój dom jest gdzie indziej.

Powiedziawszy to, Nawnit-behendzi wyciągnęła się i westchnęła z lubością, a Prabhdzot Kaur poczuła – od czubka głowy po palce stóp – jak przenikają ją te przyjemności, które jej siostra dostrzegała w życiu, jej pragnienie przyszłości, jej szczęście wynikające z opuszczenia domu, z tego, że odchodzi, chociaż sama Prabhdzot Kaur odczuwała jedynie niewytłumaczalną stratę i strach przed przyszłością. Rozchodzący się wokół

suchy dźwięk popiołu trącego o czyszczony garnek mieszał się pulsem jej siostry, gwałtownie tętniącym przy jej uchu.

Przykryła głowę dupatą Nawnit-behendzi i próbowała zasnąć. Kiedy półtorej godziny później przyszła Mani i rzuciła swoją wypełnioną książkami torbę na podłogę, Prabhdzot Kaur zrozumiała, że ona też widziała Ram Pari i te jej dzieci, nadal obozujące pod bramą, i że jest rozsierzona i gotowa do kłótni. Ale Maty-dzi spojrzała wytrzeszczonymi oczami spod zmarszczonych brwi na Mani w taki sposób, że nawet ona struchlała i cichutko usiadła obok Prabhdzot Kaur. Z furią zaczęła skubać paznokieć u nogi. A potem się odezwała:

– Musimy poczekać na Papę-dzi.

Ale Papa-dzi nie był w nastroju do walki. Przyszedł wyczerpany, położył się na masnad i palcami rozczesywał swoją brodę, a Prabhdzot Kaur widziała, że chociaż Mani przedstawiła mu swoją sprawę w sposób jasny, i zrobiła to dobrze, zamykając całość w kilku krótkich i prostych zdaniach, on myślami jest gdzie indziej.

– To trudna sprawa – powiedział. A potem zakrył oczy dłońmi. Pochylona do przodu Mani wykręcała palce, splatając je w siateczkę. – To trudna sprawa – powtórzył i wstał. Ruszył w stronę swojego pokoju, i widać było, że już zapomniał o Ram Pari i jej kłopotach.

Mani wyprostowała się i uniosła dłonie w geście porażki. Prabhdzot Kaur bębniła stopami po podłodze. Co robić, co robić? Cisza stawała się coraz głębsza. W porze kolacji przyszła Ram Pari, żeby przygotować phulki, a jedynym dźwiękiem, jaki docierał do uszu Prabhdzot Kaur było plaskanie jej dłoni na atta. Bracia byli w domu, ale nawet oni jedli w milczeniu. Wszyscy wyglądali na strapionych, wszyscy z wyjątkiem Nawnit-behendzi. Na koniec, po wyniesieniu naczyń, kiedy Maty-dzi siedziała i skubała trzymany w dwóch palcach nad złożoną lewą dłonią mały naparstek gur, do

pokoju weszła Ram Pari, stanęła pod ścianą, a potem się o nią oparła. Rękę trzymała na biodrze i założyła jedną stopę za drugą.

– Bibi–dzi – odezwała się. – Odchodzę.

– Idź – odparła Mata–dzi, a Prabhdźot Kaur poczuła, jak dokładnie w samym środku jej piersi coś się skręca i ugina.

Ram Pari była w połowie dziedzińca, kiedy Maty–dzi odezwała się ponownie.

– Dokąd pójdziesz?

Prabhdźot Kaur zauważyła, że Ram Pari znieruchomiała. Jej ramiona tworzyły wąski, ciemny prostokąt rozpostarty na tle oświetlonej światłem księżyca bieli stojącej za nią ściany, na tle ostrej krawędzi dachu. Nic nie odpowiedziała.

Maty–dzi patrzyła na pozostały na jej palcu malutki kawałek guru, jakby go ważyła, rozważała stojące przed nim możliwości.

– Zgoda – powiedziała. – Możesz zostać na jedną noc, za domem.

– Tak, Bibi–dzi.

– Ale tylko na jedną noc. Słyszysz?

– Tak, Bibi–dzi. Na jedną noc.

Ram Pari odeszła pospiesznym krokiem. Prabhdźot Kaur wiedziała, że spieszy się, żeby jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem głosu, żeby uciec, zanim ktoś zdąży coś jeszcze powiedzieć, a i sama Prabhdźot Kaur nie mogła znieść myśli o dalszej rozmowie. Nagle poczuła się ogromnie słaba, zmęczona, jakby z wielkim tornistrem na plecach piechotą odbyła drogę do szkoły i z powrotem. Przesunęła się do przodu, na moment przywarła do kolan Maty–dzi, a potem sama, choć nikt jej nie kazał, wstała i przygotowała się do spania. Ale chociaż drżały jej kolana i ciążyły powieki, wdrapała się na taboret w kącie pokoju, w którym spała wraz z Mani, i wystawiła głowę przez okno, skręcając szyję, żeby dojrzeć ruchliwą



gromadkę krzątających się na tyłach budynku ciemnych postaci. Światła było niewiele, jedynie poblask z dwóch okien, ale Prabhdźot Kaur widziała, jak Ram Pari i jej dzieci budują swój dom. Miały ze sobą zawiniątka, choć Prabhdźot Kaur nie pamiętała, żeby je widziała podczas długiego dnia, i teraz z tych zawiniątek wyciągały prześcieradła i szmaty, łachmany i gałgany, które po ułożeniu w kształt nierównego koła utworzyły swoiste domostwo. Prabhdźot Kaur zobaczyła, że sam cień muru może stanowić schronienie. Zapadła w sen przepelniona tą nową wiedzą. Pamiętała wszystkie rysunki „Nowego domu”, które zrobiła w swoim długim życiu, i wiedziała już, że te wszystkie narysowane przez nią proste i prostokątne domy są do pewnego stopnia kłamstwem, i nawet poczuła teraz satysfakcję, kiedy tak spoglądała wstecz i myślała, jakim była kiedyś głupiutkim dzieckiem.

Następnego dnia po południu, zaraz po przyjściu ze szkoły, Prabhdźot Kaur poszła na tyły domu i zobaczyła, że do tylnej ściany gwoździami przymocowane są dwie grube tkaniny, na dole przytrzymane kawałkami cegieł, tworząc coś na kształt połówki namiotu, pod którym drzemało niemowlę. Pozostałe dzieci rozproszyły się po całym ogrodzie, który w zasadzie nie był jeszcze ogrodem, a jedynie pokrytym kurzem kawałkiem ziemi, dwoma samotnymi drzewami i murem na samym końcu. Prabhdźot Kaur zbliżyła się do wejścia do namiotu i zajrzała do środka. Dwie wystające cegły zostały wykorzystane jako mała półeczka, na której stał jasny obrazek Śeran-walima wspaniale prezentującej się na swoim tygrysie. Z gwoźdźa zwisała torba z ubraniami. Na kolejnych dwóch gwoździach zawieszony był jutowy worek z ziarnem. W najdalszej wnęce, w najbardziej ocienionej części namiotu, znajdował się niewielki wzgórek zrobiony z małych worków, a na nim spało niemowlę. W tym małym, skrytym za prześcieradłem zielonym światłem Prabhdźot Kaur poczuła przebiegający ją

gwałtowny dreszcz, owładnięta nowym doświadczeniem, w szalonych podskokach pchającym się w jej ramiona. Nie mogła wyjść z podziwu. Jak fachowo udało się prawie z niczego stworzyć tak wiele! Jacyż oni byli dzielni! Spojrzała na niemowlę. Chłopczyk miał na prawej ręczce cieniutką bransoletkę, wokół lewego ramienia czarny sznurek, z którego zwisał tawiz, a jego penis wyglądał jak mały kranik. Prabhdźot Kaur musiała się powstrzymać, żeby nie wziąć tego dziecka na ręce i go nie przytulić, ale tylko się odwróciła. Naprzeciwko, w odległości trzydziestu centymetrów, zobaczyła najstarszą z dziewczynek, która obserwowała ją z rękami założonymi za plecy. Brudny i bardzo długi warkocz spływał na jej ramię i opadał z przodu, miała czujne, czarne oczy i wystający ząb po lewej stronie ust. Prabhdźot Kaur pomyślała, że dziewczyna ma chyba z czternaście lat, ale – natychmiast i bezdyskusyjnie – poczuła się starsza od niej.

– Jak masz na imię, dziewczynko? – zapytała.

– Nimmo – odparła dziewczyna.

– Potrafisz czytać, Nimmo?

Nimmo pokręciła głową. W pół godziny Prabhdźot Kaur nauczyła się na pamięć wszystkich ich imion – Nimmo, Natwar, Jaśpał, Balradź, Ramśri, Mita, Bimla, Nirmala, Gurnam, właśnie w tej kolejności – i dowiedziała się, że żadne z nich nie potrafi czytać i że żadne, nawet chłopcy, nigdy nie widziało klasy w szkole. Prabhdźot Kaur była przerażona, ponieważ zetknęła się oto z analfabetyzmem swego kraju, właśnie na werandzie z tyłu swego domu, ale jednocześnie odczuwała jakąś tajemną przyjemność, dostrzegłszy w tym wyraźny kierunek, pilne zadanie. Wiedziała, co robi. Zajmie się uczeniem tych dzieci. Pojawiło się jednak pytanie, jak długo będą mogli tu zostać, czy Maty–dźi utrzyma swoją decyzję o wyłącznie jednej nocy i bezlitośnie rozpędzi ich na cztery wiatry. Ram Pari kroila w domu cebulę, Maty–dźi miała ręce usmarowane w besanie, a pakory w

karhai skwierczały jak oszalałe. Kobiety plotkowały o mieszkającej cztery parcele dalej owdowiałej sąsiadce, która miała syna, a ten pił i zszedł na złą drogę. Wyglądały na zupełnie zadowolone ze swojego towarzystwa. Prabhdźot Kaur chodziła na paluszkach przez cały wieczór, przerażona, nie chcąc poruszać kwestii tej jednej nocy z obawy, że Maty–dźi przypomni sobie o tym, i jednocześnie nie potrafiąc o tym zapomnieć. Ale kiedy nadeszła pora spania, i Prabhdźot Kaur wystawiła głowę przez okno, ta rodzina wciąż tam była, widziała okrągłe skupisko połyskujących w ciemnościach łebków. To naprawdę zdumiewające, pomyślała Prabhdźot Kaur w oczekiwaniu na sen, z głową pełną planów. Ludzie zajmowali jakieś stanowiska w pewnych sprawach, wyrażali opinie, robili wiele hałasu, ale decyzje często zapadały w tumanie ciszy i milczenia, rywalizujących ze sobą, a ważniejsze było to, co nie zostało powiedziane, niż to, co powiedziane zostało. Pomyślała, że z dnia na dzień świat robił się coraz bardziej skomplikowany.

Następnego dnia, czyli w piątek, po południu Prabhdźot Kaur ustawiła dzieci w trzy rzędy po trzy osoby, najmniejsze z przodu, największe z tyłu, i zaczęła lekcję pendzabskiego alfabetu. „Uda, aida”, kazała im skandować. Za tablicę posłużyła jej dolna połowa starej, połamanej planszy do carrom. Rysowała litery w poprzek wyblakłych linii starej gry, jak zawsze dokładna, dbając nie tylko o poprawność, ale również o estetykę. Natychmiast zauważyła, że łatwiej uczy się młodsze dzieci. Mita i Bimla chętnie zabrały się za stawianie liter i nachylone nad swoimi kartkami, z językiem zwiniętym między wargami, kreśliły niezgrabne, ale poprawne kształty. Z kolei Nimmo śniła na jawie, gapiła się bezmyślnie w dal, kładła się na boku i opierając głowę na ramieniu, stawiała litery bardziej przypominające rozbite latawce czy kępy trawy niż elegancko wygięte jak szyja łabędzia konstrukcje, jakich pragnęła Prabhdźot Kaur. Zanim Nimmo nauczyła się

trzeciej litery, zdążyła już zapomnieć pierwszą, a kiedy Prabhdźot Kaur nakłaniała ją, żeby jeszcze raz spróbowała – „Uda, aida, Nimmo, uda, aida” – tylko wystawiła swój ząb i wykrzywiła twarz w uśmiechu, z którego była tak bezgranicznie szczęśliwa głupota, że Prabhdźot Kaur poczuła, jak opuszcza ją cierpliwość. Pożałowała, że nie dysponuje odpowiednią władzą, która pozwoliłaby dać jej choć jednego ostrego, kąśliwego klapsa w ucho, jakie z trzaskiem, przerażająco nieoczekiwanie, wymierza nauczycielka rysunków w szkole. Ale Nimmo nieodmiennie pozostawała tępą, niemrawą i rozlazłą jak stary smar do kół wozu. A Natwar zniknął zupełnie. Tego pierwszego piątku Prabhdźot Kaur odwróciła się od swojej planszy do carrom i zobaczyła, że w środkowej kolumnie na samym końcu brakuje jednego ucznia. Tupnęła nogą i pomknęła za róg budynku, ale chłopiec był już za bramą, biegł szybko i nawet głowy nie odwrócił, kiedy go zawołała. Nigdy nie przyszedł już na lekcje, ale zawsze pojawiał się dokładnie w chwili, kiedy się kończyły.

– Nie przejmuj się Natwarem. Jest taki, jak jego ojciec – powiedziała Ram Pari. – Wkładasz im coś do głowy.

Przychodziła w każde popołudnie, późno, uporawszy się z popołudniowymi naczyniami, kiedy było jeszcze trochę czasu do ćaju, siadała po turecku z plecami opartymi o ścianę i patrzyła na lekcje swoich dzieci. Prabhdźot Kaur obserwowała ją, ale po tygodniu stwierdziła, że Ram Pari bynajmniej nie okazuje specjalnej wdzięczności. Co prawda Ram Pari gderała na dzieci – „Nauczcie się czegoś, wy ganwar!” – ale można było odnieść wrażenie, że uważa to za zabawę, i kiedy tylko potrzebowała pomocy przy jakimś zadaniu, które zleciła jej Mata-dźi, zabierała ze sobą wszystkie dzieci oprócz niemowlęcia, jakby rozwieszenie kompletu dari i wytrzepanie ich z kurzu było dużo ważniejsze niż mnożenie przez trzy. Obaj bracia Prabhdźot Kaur udawali, że bardzo ją podziwiają, ale kiedy

zaczęli nazywać ją „Adhjapika-dži”, zrozumiała, że przede wszystkim świetnie się bawią, i w końcu przestała zwracać na nich uwagę. Nawnit-behendži była zbyt rozmarzona, żeby ją to obchodziło, a Mani nie miała czasu o tym rozmawiać, ponieważ zbliżał się termin egzaminów. Tylko Papa-dži rozumiał, jakie to ważne. Kiedy Prabhdźot Kaur doprowadzała swoich uczniów, a przynajmniej część z nich, do mnożenia przez dziewięć, on regularnie popijał swoją wieczorną ćaj, siedząc na krześle z wysokim oparciem, ustawionym pod kątem do jej klasy, tak że znajdowało się bezpośrednio naprzeciw ogrodu, w którym wkrótce miały pojawić się drzewa.

– Robisz coś naprawdę dobrego, beta – powiedział jej pewnego dnia. Oparta o jego ramię patrzyła, jak ojciec starannie nalewa ćaj z filiżanki na spodeczek. Tak jak wszystko, co robił, i ten ruch charakteryzowała oszczędność, nie było tu najmniejszej możliwości marnotrawstwa. Jego wąsy i włosy na brodzie były srebrzystobiałe, ale policzki pokrywała delikatna czerń, a widok tej bieli łagodnie przechodzącej w czerń sprawiał Prabhdźot Kaur ogromną radość. Pił, przechylając spodeczek, a na jego wąsach, zupełnie nie wiadomo dlaczego, nigdy nie pozostawał najmniejszy ślad wilgoci. Pracował dla brytyjskiej firmy, Prabhdźot Kaur znała nawet angielską nazwę jego stanowiska, „Assistant-Regional-Manager” w firmie zajmującej się dostawą sprzętu medycznego, i wiedziała, że pnie się po szczeblach kariery od stanowiska „salesman”, ale nie miała pojęcia, co tak naprawdę znaczy słowo „Manager”. Wiedziała też, że mieli z dziada pradziada ziemię w bardzo sennej wiosce w Khenći, która, pomimo swojej rozkosznie komicznej nazwy, co roku rodziła jedenaście kwintali dobrej pszenicy z akra, i że ten dar dziadków był im bardzo pomocny. Wiedziała, jak wygląda kwintal, ponieważ od kiedy pamiętała, zawsze, w każdą zimę, bywała w Khenći, w tym walącym się żółtym domku, stojącym samotnie

pośród zielonych pól. Zdawała sobie też sprawę, że przeskok od żółtego domku do tego nowego domu oznacza postęp i że do tego wszystkiego mogło dojść dzięki edukacji, bo właśnie Papa–dzi był pierwszym chłopcem we wsi, który zdał egzaminy inter i poszedł do college’u.

– Za sześć miesięcy wszystkie będą na poziomie pierwszej klasy – powiedziała. – A za rok w drugiej klasie.

Spojrzał na nią spod tych swoich siwych brwi.

– Za rok?

– Tak.

Odstawił filiżankę na spodeczek, chociaż była jeszcze w jednej trzeciej pełna, i podał ją córce. Patrzyła za nim, kiedy obchodził całą ich parcelę, krążąc w koło i ocierając się rękawem o ścianę. Kiedy Maty–dzi zawołała Prabhdźot Kaur do domu, on nadal był na dworze, z opuszczoną głową powoli zataczał te swoje koła.

Dlaczego starzy ludzie byli smutni? Zazwyczaj Prabhdźot Kaur nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Maty–dzi stale toczyła spory z ciotkami, kuzynami i sąsiadami, czasami burczała pod nosem na ich temat i przez cały dzień opowiadała o jakichś dawnych aktach zdrady i zniewagach, ale bywały też inne dni, kiedy bez żadnego widocznego powodu wzdychała i kiedy otaczała ją jakaś mgiełka smutku, od której twarz jej bladła. Nawnit–behendzi też zdarzały się dni, kiedy zdawała się wyciszona przez bezkształtną melancholię, nawet po zaręczynach, a otrzymywane listy powodowały, że stawała się rozleniwiona i bardzo piękna. Dlatego też Prabhdźot Kaur niewiele uwagi poświęcała nastrojowi Papy–dzi. Następnego ranka sprawiał wrażenie, jakby powróciła jego normalna dziarskość. Na tyłach domu pracowali robotnicy i kiedy Prabhdźot Kaur wychodziła na dwór, zauważyła, że mają założyć okratowanie na drewnianych okiennicach. Po powrocie do domu okazało

się, że bardziej przypomina to kraty więzienne, wzdłuż i w poprzek okien biegły grube, prostokątne, żelazne pręty.

– Kiedy skończą, pomalują je na zielono – powiedział Papa-dzi. – Jak okiennice.

Ale teraz okno w pokoju Prabhdźot Kaur nawet nie otwierało się w pełni i nie mogła z niego dojrzeć rodziny Ram Pari. Zwróciła na to uwagę Papie-dzi, na tę konstrukcyjną niedoskonałość, ale ku jej zdumieniu on powiedział tylko:

– Teraz nie ma czasu tego naprawiać, beta. A okno i tak prawie całkiem się otwiera. – I to był ten sam człowiek, który potrafił odesłać dostawcy cztery wozy cegieł, ponieważ nie w pełni odpowiadały temu, za co zapłacił. Prabhdźot Kaur zamierzała porozmawiać o tym wszystkim następnego ranka z Mandźit i Asą, ale kiedy wsiadała do tangi, z zaskoczeniem zauważyła, że towarzyszy jej Ikkal-wirdzi, który wskoczył na przednie siedzenie i usiadł obok Daraka Alego, między kolanami trzymając w zaciśniętych dłoniach rączkę kija krykietowego. Przez całą drogę do szkoły słowem się nie odezwał. Trzy dziewczynki siedziały z głowami lekko skręconymi w bok i w tandze panowała absolutna cisza. Dopiero kiedy minęły bramę szkoły, Mandźit pokręciła głową i dała im znak, żeby się spotkały na tajnym zebraniu, a gdy już znalazły sobie odpowiedni zakątek, w którym mogły stanąć blisko siebie, przygarbione, prawie dotykając się czołami, wyszeptała:

– Zeszłej nocy w Minapurze doszło do trzech morderstw. Zginęła trójka hindusów. – Drżała na całym ciele, Prabhdźot Kaur czuła łokieć Mandźit dygoczący o jej ramię. – Jedną z tych osób była dziewczyna.

Przez cały dzień Prabhdźot Kaur ani przez chwilę nie potrafiła skupić się na lekcjach. Nawet jednego słowa nie zapisała w swoich zeszytach, a podczas przerw dziewczynki w całej szkole stały grupkami i nikt nie zaczął

grać w kiri kara. Po ostatnim dzwonku wszystkie podeszły do bramy i Prabhđót Kaur zobaczyła Ikbala–wirdźi stojącego przy tandze, i poczuła tak ogromną ulgę, że pobiegła i bliska płaczu stanęła przy nim, aż on położył rękę na jej głowie i obszedłszy pojazd, zaprowadził ją na miejsce. Teraz znowu zapadła ta sama cisza, ciężka i krępująca jak wełniany koc w lecie, Darak Ali nic nie mówił do Śagufty, a to przeraziło Prabhđót Kaur bardziej niż wszystko inne. Ulice zdawały się mniej zatłoczone niż zazwyczaj, dziewczyna widziała, że ludzie w ogóle się do siebie nie odzywają, nikt nie zatrzymywał się na rogach ulic i przed sklepami na pogawędkę. Kiedy w końcu tanga pokonała zakręt i Prabhđót Kaur zobaczyła znajomy prostokąt bramy, poczuła ogromną ulgę, uszczęśliwiona ciepłą falą bezpieczeństwa, które ogarnęło ją na podobieństwo wznoszącej się miodowej kąpieli, pieszczące jej skórę i miękkie jak poduszka. Wbiegła do domu, uściskała Nawnit–behendźi i usiadłszy tuż przy niej, wypila wielki kubek mleka, tym razem nie wydając nawet rytualnych pisków protestu i z bulgotem wlewając je w gardło jednym, nieprzerwanym łykiem. Dopiero kiedy zniknęła ostatnia kropla, zauważyła, że Ikbala–wirdźi został w tandze i pojechał dalej, żeby eskortować Aśę do domu. Tej nocy cieszyła się z krat w oknie, z tego metalu, który przynajmniej stanowił zaporę przed zagrożeniem, chociaż nie mógł spowodować, że strach zniknie. Była szczęśliwa, że nie musi spać na dworze.

Obudziło ją światło wciskające się w jej twarz. Na dworze jaśniała plama dziedzina, musiał więc już być późny ranek, bardzo późny. Kiedy zobaczyła na kominkowym zegarze, która jest godzina, serce jej załomotało. Za niecałe dziesięć minut odezwie się pierwszy dzwonek. Wyskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – wydyszała do Maty–dźi. – Spóźnię się.  
Maty–dźi wyciągnęła do niej rękę.



– Nie denerwuj się, beta – odpowiedziała łagodnym głosem. – Dziś nie ma szkoły. Ani college’u. Wszystko jest pozamykane.

– Dlaczego?

– W mieście są jakieś kłopoty. Umyj buzię i chodź coś zjeść. – Sięgnęła ręką jeszcze dalej i, dotknąwszy dłoni Prabhdźot Kaur, przez chwilę trzymała ją za nadgarstek. – Idź.

Tak cichego dnia wolnego od szkoły dziewczynka nie pamiętała. Została w swoim pokoju, porządkowała książki i sprzątała tornister, ale o jedenastej miała już tego dość i przeszła na paluszkach przez dom, a potem wymknęła się przez główne drzwi. Stojąc przy bramie, wyczuwała zupełny brak ruchu na ulicach, jakby wszyscy zmówili się i jednocześnie opuścili miasto. Ale przecież wiedziała, że oni gdzieś tam są. Wróciła przez bramę i obszedłszy dom dookoła, z tyłu napotkała całą gromadkę Ram Pari, tulącą się do siebie, był tam nawet Natwar, który zazwyczaj biegał po uliczkach na swoich brudnych gołych stopach, pochłonięty jakimś tajemniczym i sekretnym życiem, o którym Prabhdźot Kaur nie miała żadnego pojęcia.

– Idź do domu, Nikki – odezwała się Ram Pari. – Nie powinnaś wychodzić. Zostań w domu.

– Dlaczego?

– Dzieją się złe rzeczy, Nikki. – Ram Pari stała wpatrzona w mur okalający tyły ogrodu, a Prabhdźot Kaur dostrzegła, że to, co jeszcze przed chwilą było biegnącą po drugiej stronie nieuprzątniętą drogą, nic nieznaczącą wstęgą spalonego błota pokrytego wiecznie unoszącą się mgiełką skrawków papieru, teraz, nawet w tym jasnym świetle dnia, było ciemnością, z której nadciągało niebezpieczeństwo. Prabhdźot Kaur przyjrzała się górnej krawędzi muru, zastanawiając się, czy jest dostatecznie wysoki. Zapragnęła podejść i stanąć pod nim, żeby zmierzyć jego wysokość i zapewnianą przez niego ochronę. Ale ogród sprawiał

wrażenie zupełnie obcej pustyni, nie potrafiła zmusić się, aby zejść z cegieł na gołą ziemię. Skinęła głową i wróciwszy do domu, usiadła po turecku na łóżku. Czekala, chociaż nie wiedziała na co.

Również lunch przebiegł prawie w ciszy, wszyscy mówili półgłosem, a Nawnit–behendzi słowem się nie odezwała. Papa–dzi i obaj bracia usiedli ciasnym kręgiem i rozmawiali z opuszczonymi głowami. Po obiedzie Prabhdzot Kaur wróciła do łóżka, gdzie znowu siedziała i leżała, bębniąc piętami o narzutę.

– Skończysz wreszcie? – nie wytrzymała Mani. – Oszaleję przez ciebie. – To właśnie było szaleństwo, to, co Prabhdzot Kaur czuła, gromadzące się za łopatkami, tego popołudnia, które upływało jak powolny marsz mrówek pełznących w górę jej nogi. Dlatego też kiedy zadzwonił łańcuch u frontowej bramy, ten metaliczny dźwięk odbił się echem po całym domu, docierając do głowy Prabhdzot Kaur, która poczuła gwałtowny spazm przerażenia, ale jednocześnie jakąś ulgę. Zwinięta w kłębek Mani podniosła się na łokciach, szeroko otwierając usta, a pod skórą na jej karku zarysował się pęk cienkich sznurów. Prabhdzot Kaur wyskoczyła z łóżka i pobiegła. Dopadła drzwi, jedną ręką opierając się o ścianę, otworzyła je szeroko i ujrzała idących przez bramę Ikbala–wirdzi i Aloka–wirdzi, a także wychodzącego Pape–dzi. Rzuciła się do przodu i zobaczyła Pape–dzi, który stał po drugiej stronie uliczki, wyciągając szyję, a wszędzie wokół rozlegał się tupot biegnących stóp i gwar głosów. W tym momencie usłyszała przyspieszony oddech i zobaczyła, że obok niej stoi Natwar. Razem opierali się o bramę. Jego oczy błyszcząły jak czarne agaty. Minał ją i wyszedł na uliczkę. Nie wahając się ani chwili, ruszyła za nim i natychmiast znalazła się pod osłoną grupy biegnących mężczyzn. Nie spuszczała wzroku z Natwara, naśladowała jego gwałtowne zwroty przez tłum, jego nagłe uniki i lawirowanie między sapiącymi ciałami. W pewnym momencie zatrzymali

się w gęstym tłumie. Natwar sięgnął ręką do tyłu i, nawet się nie oglądając się, przyciągnął ją do siebie, uderzając jej głową o biodra i pośladki. Wydostała się z gęstego tłumy i poleciała do przodu, nosem uderzając w ramię Natwara, a przed nimi otworzyła się wolna przestrzeń. Zobaczyła tam tangę, przechyloną do przodu pod jakimś zdumiewającym kątem. Zaplątany w uprząż i postronki leżał koń, z wyciągniętą w łuk szyją, jakby rozpaczliwie starał się posuwać do przodu, ciągnąc dalej i dalej. To była Sagufta. Prabhdźot Kaur od razu to zauważyła. Wargi klaczy, wykrzywione w zastygłym grymasie wysiłku, odsłaniały ogromne zęby. Przednie nogi leżały podwinięte jedna obok drugiej. Tylne były szeroko rozpostarte, a pomiędzy nimi, i na nich, z brzucha wylewała się masa grubych, sinych zwojów. Prabhdźot Kaur patrzyła wprost do wnętrza Śagufy, do jamy w kolorze bardzo dojrziałych, zimowych dżamunów. Wnętrznosci wydobywały się na zewnątrz jakby wypychane jakąś siłą, i chociaż nie poruszały się, Prabhdźot Kaur miała wrażenie, że wciąż wynurzają się z tego ciała, wzbierając w tłustych kłębach. Droga pod tanga była czarna i wilgotna. Po drugiej stronie pojazdu, w takiej samej odległości od niego, w jakiej stała Prabhdźot Kaur, falował tłum mężczyzn, samych muzułmanów, jakoś udało się jej to rozpoznać, i to nie tylko po samych strojach, a przed nimi dostrzegła Daraka Alego. Coś krzyczał, Prabhdźot Kaur widziała jego zęby. Wszyscy ludzie mieli otwarte usta i odsłonięte, błyszczące bielą zęby. Tłum zbliżał się drobnymi, gwałtownymi falami, a potem się cofał. Pchnięta w plecy Prabhdźot Kaur przesunęła się do przodu i zobaczyła, że oczy Śagufy są szeroko otwarte i wilgotne. Przyszło jej do głowy, że klacz wciąż jeszcze żyje, i właśnie miała do niej podejść, kiedy ktoś podniósł ją za ramię, gwałtownie odwrócił i poderwał, aż krzyknęła z bólu. To był Papa-dzi. Trzymając ją przy sobie, popędził z powrotem i wydostał się z tłumy. Wciąż biegł. Przez całą drogę czuła jego palce zaciśnięte na swoim

ramieniu. Minęli bramę, minęli dziedziniec, w końcu znaleźli się w domu, gdzie chwycił ją za ramiona i zaczął nią potrząsać, jego głowa kiwała się do przodu i do tyłu, twarz zalewał mu pot, wściekłość poruszała nią tam i z powrotem, i Prabhdźot Kaur widziała tylko rozmazany obraz.

– Dlaczego wyszłaś?! – krzyknął i uderzył ją. – Dlaczego wyszłaś? Han? Dlaczego? – ponownie ją uderzył.

– Daj jej spokój – odezwała się Nawnit-behendzi i zaprowadziła Prabhdźot Kaur do łóżka. Położyła ją, a potem sama weszła na łóżko i ułożyła głowę dziewczyny na swoich kolanach. Głaskała twarz i ramiona Prabhdźot Kaur, która czuła nerwowe bicie serca siostry. Mani siedziała na podłodze, z podciągniętymi kolanami i plecami oparta o ścianę. Do pokoju weszła Mata-dzi, szybko zamknęła drzwi za sobą i założyła łańcuch. Usiadła na łóżku, z głową przykrytą dupattą. Z oddali dochodziły pomieszane i nieustanne okrzyki, jak nieprzerwane trzaskanie przyćmionego ognia.

– Waheguru, Waheguru – powiedziała Mata-dzi. Siedziały tak razem, aż do zapadnięcia ciemności. A potem wszystko się uspokoiło.

Po tej nocy z domu nie wyszła żadna kobieta. Prabhdźot Kaur prawie w ogóle nie wstawała z łóżka. Szła na posiłek, a potem biegiem wracała, wychodziła, kiedy wołała ją Mata-dzi, ale przy pierwszej okazji wymykała się z powrotem do pokoju. Przyszedł do niej Papa-dzi i, usiadłszy po turecku z poduszką na kolanach, przekomarzał się z nią, rozśmieszał ją i łaskotał w stopy, a ona zrozumiała, że w ten sposób chce przeprosić za tamte chwilę paniki. Trzymając go za rękę, była w stanie wyjść na dziedziniec, ale podświadomie zaczęła czuć się niepewnie na otwartej przestrzeni, jakiś twardy pęcherzyk rozszerzał się do rozmiaru cebuli w samym środku jej klatki piersiowej, utrudniając oddychanie. Szybko wracała do domu, do swojego pokoju. Lepiej się czuła wśród tych białych

ścian i za tymi kratami. Czasami wyglądała przez okno, skąd widziała Ram Pari, Natwara i całą resztę, zbitych w gromadkę na dole, ale starała się nie podnosić wzroku na ogród i na to, co znajdowało się za nim. Kiedy się odwracała, bezpieczna w swoim pokoju, na swoim łóżku, wtedy czuła się dobrze.

Za murami co noc i co dzień ginęli mężczyźni i kobiety. Prabhdźot Kaur wiedziała, jak coś takiego się nazywa: khun. To słowo zagościło na końcu języka dziewczyny, która miała wrażenie, że to kwadratowy, metalowy aparat z ziejącą w środku dziurą, ociekający lepкими płynami i błyskający ostrymi krawędziami. Mandźit pokazała jej coś takiego w książce do historii dla starszej klasy, tę maszynę śmierci, i teraz ów obraz powracał do Prabhdźot Kaur. Khun. Papa-dźi i bracia przynieśli do domu listę osób, które już zginęły. Sardar o nazwisku Dźasdźit Singh Ahluwalia zginął na tym rogu, gdzie Pakmara Street przechodziła w Campbell Road, w pobliżu piekarni Tarpur pocięty na kawałki przez mężczyzn uzbrojonych w miecze. Rameśa Krypalani, szesnastolatka, znaleziono z gardłem przeciętym tak fachowo, że jego głowa zwisała w rynsztoku, a ani jedna kropla krwi nie splamiła ulicy Ali Dźafara.

– Powiadają, że zrobił to rzeźnik z Karsangandź – powiedział Alok-wirdźi. – Dopadł go, kiedy chłopak wracał do domu od swojego caća.

Khun. Było tego więcej, dużo więcej. Maty-dźi z córkami słuchała wciąż wydłużającej się listy. W dniu, w którym miały zacząć się końcowe egzaminy, zabito męża Ram Pari. Był jednym z trzech szabrowników zastrzelonych przez policję o szóstej rano na Larkin Road. Prabhdźot Kaur usłyszała o tym następnego dnia, najpierw była to tylko plotka, a potem już sprawdzona wiadomość. Za domem podniósł się lament, chór rozmytych głosów, narastający i cichnący. Nie było przed nim ucieczki, a Prabhdźot Kaur po raz pierwszy poznała imię tego człowieka, Kuldiś. Przez cały dzień

opłakiwali Kuldiśa, złego człowieka, który nigdy nie przyszedł grozić Ram Pari, a te zawrozenia wpełzały pod skórę Prabhdźot Kaur, przyprawiając ją o dreszcze.

Tego wieczoru Maty–dźi powiedziała braciom, żeby zostali w domu, żeby nie wychodzili na ulicę, na co Ikbal–wirdźi roześmiał się, a dźwięk tego śmiechu rozległ się po pokoju jak szczęk żelastwa. I tak wyszli z domu, i kiedy Alok–wirdźi zamykał drzwi, odwrócił się i spojrzał za siebie, a Prabhdźot–Kaur zauważyła, że on patrzy właśnie na nią, spośród nich wszystkich, jej sióstr i matki, z jakąś złością i jakby z pogardą. Maty–dźi zaczęła przeklinać muzułmanów.

– Z tymi ludźmi nie da się żyć – powiedziała. – Oni nie są w stanie z nikim żyć w pokoju. – Twarz miała nabiegłą krwią, czerwoną i obrzmiałą. – Wstrętni kłamcy – dodała.

Prabhdźot Kaur stworzyła sobie w głowie listę znanych jej muzułmanów. Darak Ali, oczywiście. Khudabakś Śafi, przyjaciel Papy–dźi, który przychodząc w odwiedziny, zawsze przynosił koszyk truskawek, jabłek albo mango, a także wszyscy jego synowie, jego córki i wnuki; Parwina i Saukat Śah, właściciele sklepu Excellent Store, w którym Prabhdźot Kaur i całe jej rodzeństwo zawsze kupowali mundurki szkolne i buty; wszystkie muzułmańskie dziewczynki w szkole, zwłaszcza Nikhat Azmi, dziewczyna o okrągłej twarzy, z którą Trójca bawiła się, kiedy tylko szły do domu Mandźit. Lista wydłużała się, a kiedy Prabhdźot Kaur już raz zaczęła nad tym myśleć, wciąż zdawało się jej, że zawsze była jeszcze jakaś osoba, jeszcze jedna twarz, o której przypominała sobie późno w noc, tuż przed zaśnięciem. Ale Maty–dźi miotała przekleństwa. A Pritam Singh Hansra pisał listy do Papy–dźi. Przestał pisać do Nawnit–behendźi, a zaczął do Papy–dźi, prosząc, żeby zabrał rodzinę i przyjechał do Amrytsaru, żeby

zabrał wszystkich, a zwłaszcza Nawnit-behendzi. On już od półtora miesiąca był w Amrytsarze.

– „Sami wiecie, co się dzieje – pisał. – A robi się coraz gorzej”.

Ale Papa-dzi był sparaliżowany. Codziennie rano kręcił głową nad gazetą donoszącą o pożarach, morderstwach i wypełnionych uciekinierami pociągach, które wpadły w pułapkę, a po południu zapadał w całkowite odrętwienie. Ze skrzyżowanymi nogami siedział w ustawionym na dziedzińcu fotelu, ani na chwilę nie zmieniając pozycji, jakby skuty ciasnymi łańcuchami, które spowalniały nawet jego oddech. Nie zmieniał ubrań i przez cały dzień siedział tak w banianie i pizamie, z włosami rozpuszczonymi pod patką, opierając bosc stopy na cegłach.

Prabhdzot Kaur wiedziała, że on na coś czeka, i widziała, że zupełnie stracił werwę, nagle cała siła woli uszła z niego, jak z odwróconego do góry dnem wiadra. Pamiętała, jak podczas kopania fundamentów ojciec lekko przeskakiwał z jednej strony wykopu na drugą, jak nie przeszkadzało mu, że jego ręce są ubłocone od chwytania się ziemi, jak z dna dołu podnosił pełne garście błota, żeby zobaczyć, jaka ziemia jest wilgotna, jak strzepywał kurz z rąk, energicznie uderzając nimi o siebie, biorąc szeroki zamach na boki i głośno nimi trzaskając, na co ona aż podskakiwała. Nie pozostał w nim żaden ruch, a nawet kiedy mrugał powiekami, przypominało to powolne, pełne smutku ruchy, które Prabhdzot Kaur mogła dokładnie śledzić, w górę i w dół. Pewnego dnia wyjdę z domu, pomyślała, a nawet to mruganie zastygnie, skończy się, zostanie bezruch. Starła się nad tym nie zastanawiać, ale ta myśl stale do niej powracała, chytrze, jak nieustępliwa mucha, której brzęczenie stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu Prabhdzot Kaur uderzała się w czoło nasadą dłoni. Oszaleję, pomyślała. Na pewno oszaleję.

W końcu Maty–dźi wzięła sprawy w swoje ręce. Minęło już lato i wszyscy ich znajomi wyjechali. Mandźit i Aśa oraz ich rodziny. Pewnego wieczoru do bramy zastukał pasztuński policjant. Kiedy Ikbal–wirdźi nieznacznie uchylił drzwi, nie zdejmując jednak łańcucha, policjant szybkim ruchem wsunął kopertę, która upadła u stóp Aloka–wirdźi.

– Za pół godziny wróćę po odpowiedź – szepnął policjant i odszedł dróżką. W kopercie znaleźli niepodpisany list.

*Sahibie sardarze. Nie podpisuję tego listu, ponieważ ktoś może go przeczytać. Ale wiesz, kim jestem. Jestem przyjacielem, który przynosi owoce z gór. A teraz wysłuchaj mnie, jak przyjaciela. Musisz wyjechać. Mówi się o Tobie i albo dziś, albo jutro Twój dom zostanie zaatakowany. Dokładnie rozważ moje słowa. Właśnie Twój dom. Twoi synowie są znani i krążą opowieści o tym, co zrobili, więc są w niebezpieczeństwie, w bardzo dużym niebezpieczeństwie. Musicie wyjechać. Przygotuję Wam wszystko, co trzeba. Znamy się od trzydziestu lat i bywałem w Twoim domu, a Ty przychodziłeś do mojego. Musisz wyjechać, przyjacielu. Obiecuję zaopiekować się Twoim domem.*

Papa–dźi słuchał Ikbala–wirdźi czytającego to wszystko na głos, a jego twarz zamarła w bezruchu, jak bryła luźnej gliny, niewyraźnej i rozmięklej.

Maty–dźi wyjęła list z ręki syna i założywszy dupattę na głowę, owinęła ją wokół twarzy. Stała przy bramie, a kiedy usłyszała ciche, głuche pukanie, przyłożyła usta do desek.

– Powiedz mu, że wyjedziemy – powiedziała.

– Bądźcie gotowi jutro o dziewiątej – odparł policjant. – Przyjedzie po was tempo. Tysiąc rupii od osoby. Nie więcej, ale też nie mniej. Rozumiecie?

– Tak – odparła Mata–dźi. – Rozumiem.

Pakowali się całą noc i cały następny dzień. Prabhdźot Kaur była zdumiona, jak wiele rzeczy jest w domu. Dokumenty, ubrania, książki, srebrne wazy, fotografie, krzesła, następne ubrania, materace, kosztowne



grzebień, buty, każde z nich miało mnóstwo rzeczy, do których byli przywiązani mocnymi wężłami wielowątkowego czasu, każde miało ogromny bagaż rzeczy, których nie można było zostawić. Prabhdźot Kaur spojrzała na całą kolekcję lalek, którymi już się nie bawiła, na wytarte główki, których już od lat nie głaskała, ale od razu zaczęła szarpać i naciągać papierową torbę, starając się wcisnąć je wszystkie do środka, wypełniała ją tymi towarzyszkami sprzed lat, aż w końcu papier nie wytrzymał i pękł z głośnym, ostrym trzaskiem. Późnym popołudniem dziedziniec i baithak były wypełnione chwiejącymi się pakunkami zawiniętymi w prześcieradła, zdumiewająco ciężkimi walizkami, żelaznymi kuframi, do których podniesienia trzeba było czterech osób. Prabhdźot Kaur właśnie zastanawiała się, które książki ma ze sobą zabrać, kiedy do pokoju wpadła Mata-dźi.

– Masz, włóż to. – Podała jej niebieski śalwar-kamiz ozdobiony kwadratowym geometrycznym nadrukiem na dosyć grubej bawełnie, o którym Prabhdźot Kaur trzy miesiące wcześniej powiedziała, że nadaje się tylko do noszenia po domu. Ale Maty-dźi zaczęła się niecierpliwić. – Weź to, weź.

Kiedy Prabhdźot Kaur wzięła ubranie do ręki, zaskoczył ją jego ciężar. Maty-dźi już nie było, wyszła z pokoju. Śalwar był ciężki. Kiedy Prabhdźot Kaur odwróciła go, zobaczyła, że po wewnętrznej stronie pasa, tuż pod nada, przyszyte są małe torebki z materiału. W tych małych, sekretnych kieszonkach znajdował się metal, złoto, wyczuwała gładką i śliską zwartość naszyjników i bransolet. Kiedy się przebrała i wyszła na dziedziniec, zobaczyła, że Maty-dźi i wszystkie siostry, gotowe do nietypowej podróży, mają na sobie takie same, luźne, proste ubrania, i że wszystkie objuczone poruszają się niezgrabnie, jakby nie potrafiły już określić granic swoich ciał. Przechodząca obok Prabhdźot Kaur Mani podzwaniała, ale Prabhdźot

Kaur nie była w stanie roześmiać się, patrząc, jak siostra stara się uciszyć, jak dziwacznie kroczy, najpierw stawiając pięty, a potem palce. Nikt nic nie mówił. Słońce już zniknęło, zaszło, a Prabhdźot Kaur usiadła na kufrze i patrzyła, jak powierzchnie jej domu powoli toną w półmroku. Nadszedł Ikbal-wirdźi, z ubłoconymi rękami, i zaczął je myć pod pompą ręczną. Spadająca na cegły woda robiła dużo hałasu, rozbryzgiwała się jak eksplozja, aż Prabhdźot Kaur się wzdrygnęła. A potem znowu zapadła cisza.

– Bibi-dźi. – To była Ram Pari. – Bibi-dźi. – Mówiła szeptem. Maty-dźi nic nie odpowiedziała. Ram Pari podeszła i kucnęła obok niej na ziemi, tuż obok ćarpai. – Co my poczniemy? – zapytała. – Co poczniemy?

– Masz – odezwała się Mata-dźi. – Dam ci trochę pieniędzy.

Prabhdźot Kaur cieszyła się, że ciemności skrywają jej twarz. Obie ręce przycisnęła do ust. Już od kilku dni, a może były to nawet tygodnie, nie pomyślała o nich. Nie pomyślała o Ram Pari, o Natwarze ani Nimmo, ani też o żadnym z nich, o tej całej rodzinie mieszkającej tuż za oknem. Byli jej uczniami, a ona o nich zupełnie zapomniała. Ukryła się w swoim łóżku i o nich zapomniała.

– Bibi-dźi, gdzie my się podziejemy? Jak?

– Nie wiem, Ram Pari. Po prostu to weź.

Prabhdźot Kaur widziała długi kształt wyciągniętej ręki Maty-dźi. Ram Pari stanowiła ciemną bryłę na końcu ćarpai.

– Weź – powtórzyła Mata-dźi.

Kształty pozostawały nieruchome, lekko odchylone od siebie, wciąż w tej samej odległości, rozdzielone tą samą przestrzenią, a Prabhdźot Kaur poczuła, że oddech dławi ją w piersiach, przeszywa ją, i w tym nagłym ostrym bólu zdała sobie sprawę, że świat zmienił się nieodwracalnie. Chciała coś powiedzieć, ale nie było nic do powiedzenia.

– Opuuszczasz nas, Bibi–dži – powiedziała Ram Pari. – My zginiemy.

– Waheguru zaopiekuje się nami wszystkimi. – Maty–dži wysunęła dłoń jeszcze dalej i potrząsnęła nią stanowczo. Ram Pari jednak zapadła się w sobie jeszcze bardziej, kuląc się w jeszcze ciaśniejszy tobołek. Prabhdźot Kaur pomyślała, że mogliby tak wszyscy siedzieć tu w nieskończoność, pod tym ogromnym nieruchomym niebem. W tym momencie ze swojego pokoju wyszedł Alok–wirdzi, górując nad nimi wszystkimi wzrostem.

– Weź to – powiedział i wyjąwszy pieniądze z dłoni Maty–dži, podniósł Ram Pari za ramiona i poprowadził ją obok Prabhdźot Kaur. – Za dwa dni rusza stąd kafila. Tysiące ludzi wyruszy w drogę. Możecie iść z nimi.

Prabhdźot Kaur zsunęła się z kufra i poszła tuż za Alokem–wirdzi, i chociaż nie widziała, jak to zrobił, wiedziała, że wcisnął pieniądze w dłoń Ram Pari. – Nic więcej teraz nie możemy zrobić. Idź. – Wypchnął ją za drzwi, odwrócił się i z powrotem zabrał się za swoje przygotowania. Ram Pari stała w przejściu między dziedzińcem a światem zewnętrznym, znieruchomiła tuż przy ścianie. Prabhdźot Kaur zrobiła krok do przodu i przyłożyła obie dłonie do boku Ram Pari, objęła ją mocno, oparła się o nią, czuła materiał na twarzy, na oczach, i czuła woń oddychającego ciała drugiej osoby, spoconą i ostrą, gorzką. Stała tak przez chwilę, wdychając ten zapach, aż w końcu Ram Pari rozsunęła jej ręce i ruszyła dalej przejściem, tuż przy ścianie przesuwając się jej cień, a Prabhdźot Kaur patrzyła, jak kobieta odchodzi.

Kiedy godzinę później przyjechało tempo, okazało się, że nie jest to oczekiwana ciężarówka, ale skrzypiący, czarny samochód. Kierowcą był mały, łysy człowieczek, któremu towarzyszył policjant z wczorajszego popołudnia.

– Pospieszcie się – powiedział policjant. – Szybko. – Ikbal–wirdzi i Alok–wirdzi załadowali rozkładane tylne siedzenie i obwiązali wszystko

sznurem. Na dach powędrowały dwa kufry i różne zawiniątka, a wewnątrz samochodu, na podłodze wokół foteli, rozłożyli pakunki. Ale wtedy samochód był już pełny.

– Chodźcie – odezwał się Ikkal-wirdzi. Kiedy mijali baithak, przy narożniku po lewej Prabhdzot Kaur zauważyła postaci zbite w gromadkę, nie mogła dostrzec żadnej twarzy, ale wiedziała, że to Ram Pari, Nimmo, Natwar i cała reszta. W drodze do bramy co chwilę potykała się o pozostawione bagaże. Silnik samochodu już warczał. Papa-dzi usiadł na tylnym siedzeniu po prawej, potem Mata-dzi, następnie Nawnit-behendzi, Mani i Ikkal-wirdzi. Prabhdzot Kaur usiadła z przodu, między Alokiem-wirdzi a łysym kierowcą. Policjant klepnął maskę samochodu.

– Jedźcie – powiedział. – Szybko.

Kiedy ruszyli, Prabhdzot Kaur odwróciła się na siedzeniu i wdrapała się na nie kolanami, żeby popatrzeć do tyłu. Ale widziała tylko tego policjanta, wyprostowanego jak struna przed bramą, oraz skulonych na tylnym siedzeniu Maty-dzi, Nawnit-behendzi i Mani, z opuszczonymi głowami, jak małe dzieci usadowione do długiej podróży.

– Siadaj – rozkazał Alok-wirdzi i chwyciwszy Prabhdzot Kaur za kark, ściągnął ją na fotel. Głos mu drżał i Prabhdzot Kaur zaczęła się bać. Twarz miała wtuloną w jego bok i w oparciu fotela, ale oczy szeroko otwarte i wyteżając wzrok, patrzyła obok łokcia kierowcy przez kierownicę i przez szybę, widziała sylwetki domów i sklepów, biel znaków i niespodziewaną głębszą czerń, kiedy ulica się rozszerzyła, samochód skręcił, a potem jeszcze raz, silnik stękał i krztusił się, a Prabhdzot Kaur zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajdują. Widziała przez brudne szyby niebo, a ono nagle rozbrzmiało serią trzaskających wystrzałów, takich trach, trach-trach-trach, jakby dziecko przedziurawiło balonik, po czym nastąpiła kolejna, bardzo szybka seria. Ten dźwięk był bardzo radosny. Ale samochód

się zatrząsł, zarzuciło nim i zatrzymał się tak gwałtownie, że Prabhdźot Kaur poleciała do przodu. I zaraz potem zaczął się cofać. Jechał do tyłu tak szybko, że przerażona dziewczyna zwijała w dłoni koszulę Aloka-wirdzi i rozpłakała się. Słyszała męskie głosy, coś krzyczące i odbijające się echem. I słowa Ikbala-wirdzi:

– Skręć tu w lewo, a potem jedź Ravi Road.

Teraz samochód jechał już do przodu, zakręcił w lewo, a Prabhdźot Kaur znowu rzuciło na bok. Jechali szybko, czuła to po drganiach wstrząsających jej ciałem. Wnętrze samochodu rozświetliło pomarańczowe światło, przedzierające się spiralą przez szybę i rozjaśniające wszystkie zakamarki, a ona zobaczyła okrągłą, srebrną rupię, wiszącą na breloczku do kluczy, dostrzegła każdy szczegół twarzy króla-cesarza. Przy dźwiękach przypominających hurkot ogromnego młyna wodnego, płomienie wzbily się do góry, na moment wypełniając przednią szybę samochodu i okno, a Prabhdźot Kaur zamknęła oczy. Kolejny zakręt, tym razem w lewo, rozbite szkło gdzieś w pobliżu, a potem dźwięk tak głośny i tak bliski, i tak wstrętny, że od razu domyśliła się, że to wystrzał z broni palnej. Samochodem gwałtownie rzucało na boki, jakiś przenikliwy pisk wypełnił głowę Prabhdźot Kaur, dziewczynka poleciała do przodu, poczuła uderzenie metalu w czoło i budzące się w głowie brzęczące echo, które ją pochłonęło. A potem już leżała na boku, słuchając gwaru głosów, nieustannego krzyku, który rozlegał się gdzieś w pobliżu, i nie mogła stwierdzić, gdzie się znajduje, aż w końcu ciemny pręt nad jej głową skręcił się, cofnął i przemienił w jeden z prętów kierownicy, potem znowu usłyszała tę urywaną eksplozję, bezpośrednio nad głową, tym razem dojrzała błysk, odwróciła się i głębiej wcisnęła w ocienioną przestrzeń pod kołem, jeszcze jeden strzał, i zamknęła oczy.

Słyszała, że Maty–dźi płacze. Poza tym ochrypłym, przypominającym bulgotanie dźwiękiem panowała cisza. Prabhdźot Kaur starała się uspokoić kolana, to drzenie powodowane konwulsjami żołądka. Była przekonana, że to ją zdradzi. Prawą dłoń trzymała na prawym kolanie i mocno ją przyciskała. Metal zgrzytał, wiedziała, że to drzwi samochodu, ale nie miała gdzie pójść. Chciała krzyknąć, ale powstrzymywała się, wszystkimi mięśniami walcząc z tą pokusą.

– Nikki, Nikki. – To był Ikkal–wirdźi. Nachylił się nad nią delikatnie, a ona rozwinęła się ze swojego kłębka i z płaczem wtuliła się w jego ramiona. Wyjął ją z samochodu, wtedy owinęła się wokół niego. – Już dobrze – powiedział.

Ale widziała Maty–dźi siedzącą na drodze i Mani, która starała się ją pocieszyć. Papa–dźi stał oparty o tył samochodu, z opuszczoną głową i rękami na kolanach, a z jego ust zwisał strumyczek śliny. Kawalek dalej na drodze zobaczyła Aloka–wirdźi, leżącego z ciałem skrzyconym na bok i próbującego zajrzeć za róg. Tuż za nim na ziemi widniał jakiś kształt, jakby rozsypało się zawiniątko z ubraniami, a jego zawartość została rozrzucona na wszystkie strony. Było to ciało człowieka. Tu głowa, tam ręka. To był kierowca.

Alok–wirdźi odwrócił się.

– Musimy się stąd zabierać.

– Nie potrafię prowadzić samochodu – spokojnie odezwał się Ikkal–wirdźi.

Obaj wyglądali na zaszokowanych, jakby ta jedyna umiejętność, którą zapomnieli dodać do swojego sportowego repertuaru, nagle ujawniła swoje ukryte znaczenie, swój tajemniczy sens.

W tym momencie Maty–dźi przestała płakać i powiedziała:

– Zabijcie je.

Jej płacz był tak bezustanny i tak głośny, że kiedy się urwał, Prabhdźot Kaur dotkliwie odczuła tę nagłą ciszę, po tym całym zgiełku. Zrobiło się dosyć przyjemnie. Ale kogo ona miała na myśli? Maty–dźi spojrzała na męża, potem na jednego syna i na drugiego.

– Zabijcie je – powiedziała. – Zanim je też zabiorą.

Prabhdźot Kaur odwróciła głowę w stronę samochodu i popatrzyła na ulicę. Nie było Nawnit–behendźi. Wcześniej tego nie zauważyła, ale teraz nie mogła uciec przed tym faktem. Porwano Nawnit–behendźi.

Alok–wirdźi podszedł do Maty–dźi i wtedy Prabhdźot Kaur zobaczyła, że w prawej ręce ma pistolet, a w lewej jakiś długi i zakrzywiony przedmiot. Po lewej stronie zwisał mu oderwany fragment koszuli, ukazując odwrócony łuk jego klatki piersiowej. Na jego szyi widniała krew, spływająca czarną smugą. A z ręki Ikbala–wirdźi, niedaleko jej twarzy, zwisał kirpan, chociaż nie, to był miecz.

– Zabijcie je – powtórzyła Mata–dźi. Prabhdźot Kaur nie widziała twarzy Mani, była schowana w cieniu. Prabhdźot Kaur dostrzegła tylko te jej charakterystyczne, wąskie ramiona oraz przedramiona, które obejmowały Matę–dźi. Prabhdźot Kaur odsunęła się od Ikbala–wirdźi i podniósłszy głowę, zobaczyła, że spadł mu pagri, włosy opadały swobodnie na czoło. Usta mu drżały. Patrzył na nią i widziała, że on stara się opanować, zagryza dolną wargę, żeby powstrzymać to drżenie. Teraz jej strach był już inny, jakby bała się czegoś innego, jakby spadała z wielkiej wysokości, ale pomimo tego szaleńczego lotu w dół czuła zażenowanie z powodu brata. Opuściła głowę i czekała. Oczekiwała na śmierć, na khun nakazany przez jej matkę.

– Ja poprowadzę – usłyszała głos Papy–dźi. – Potrafię prowadzić.

Oczywiście, pomyślała Prabhdźot Kaur. Przecież był sprzedawcą. Samochód zapalił od razu, ale musieli wypchnąć go z rynsztoka, do którego

wpadły przednie koła. Prabhdźot Kaur kręciła się w kółko na ciemnej ulicy, nie mogąc ustać spokojnie, starała się patrzeć na wszystkie strony, obawiając się tego, co może się czaić za plecami. Kiedy już wszyscy znaleźli się w pojeździe, Prabhdźot Kaur skuliła się jak najgłębiej na przednim siedzeniu. Nogami zaparła się o leżące przed nią zawiniątko, a kiedy lekko się poddało, wcisnęła nogi i biodra w tę powstałą niewielką przestrzeń. Żałowała, że nie może się cała schować pod tym pakunkiem. Marzyła, żeby pod siedzeniem było trochę sekretnego miejsca, w które mogłaby się wcisnąć. Marzyła o ciemnej, małej, metalowej dziurze, do której nic nie miałoby dostępu, gdzie mogłaby uciec przed tym okropnym, ochrypłym zawodzeniem Maty–dźi, tym jej „Waheguru, Waheguru” i recytowaniem Dźabdźi sahib, które przebijały się przez terkotanie samochodu i przez głośny oddech samej Prabhdźot Kaur. Prabhdźot Kaur mocno i kurczowo przycisnęła dłonie do uszu.

Nic nie widziała. Przez cały czas nie otwierała oczu. Ale w dochodzących z drogi dźwiękach zaszła jakaś zmiana, czerń pod jej powiekami zmieniła fakturę i Prabhdźot Kaur wiedziała, że wyjechali z miasta. Kiedy już zaczynało świtać napotkali dwie ciężarówki z żołnierzami, którzy zatrzymali się przy studni. Alok–wirdźi miał pewne obawy, ale Papa–dźi powiedział, że nie mają wyboru. Powoli podjechali do nich, i kiedy samochód już miał się zatrzymać, Prabhdźot Kaur otworzyła oczy. Niebo miało neutralny, szary kolor, dokładnie pośredni między czernią a bielą. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej nie przespać całej nocy.

– To muzułmanie – usłyszała słowa Maty–dźi. Rzeczywiście tak było, dowodził nimi major Sadźid Faruk. Prabhdźot Kaur przeczytała to imię i nazwisko na kieszonce na jego piersi, kiedy drżąc na całym ciele, usiadła na ćarpai jakiegoś wieśniaka. Tego ranka Sadźid Faruk kazał umieścić ich samochód między ciężarówkami żołnierzy, a po południu utworzyła się już



karawana trzydziestu jeden pojazdów. Następnego dnia rano Prabhdźot Kaur zobaczyła linię, potok, rzekę ludzi, która rozciągała się aż po horyzont. Mężczyźni, kobiety i dzieci szli obok siebie w milczeniu, wlokąc się noga za nogą w tym samym kierunku, w którym podążały ciężarówki Sadźida Faruka i wszystkie samochody. Poruszali się bardzo wolno i ciężarówki oraz samochody wyprzedzały ich z łatwością, ale dopiero po trzech godzinach zostawili ich za sobą. Tego samego dnia wieczorem spotkali innych żołnierzy, w takich samych mundurach i w takich samych ciężarówkach, ale tym razem byli to hindusi eskortujący konwój muzułmanów. Alok-wirdźi powiedział, że to żołnierze z Madrasu. Były to pierwsze od dwóch dni słowa, jakie Prabhdźot Kaur usłyszała z jego ust. Oczy miał czerwone i czasami po twarzy spływały mu łzy, ale on zdawał się ich nie zauważać. Sadźid Faruk przejął konwój samochodów i ciężarówek, który przybył z wojskami z Madrasu, umieścił swoich żołnierzy na początku i na końcu karawany i odjechał. Prabhdźot Kaur patrzyła na przejeżdżających i zmierzających do Pakistanu muzułmanów. A potem żołnierze z Madrasu zabrali sikhów i hindusów do Indii. Podróż przebiegała bez przygód. Po dwóch dniach byli w Amrytsarze.

Zamieszkali w miasteczku trzech tysięcy namiotów. Ludzie z miasta przynosili ubrania i jedzenie, które rozdawali uciekinierom, przybył też pewien polityk, żeby przemaszerować przez brudne uliczki, wydeptane setkami stóp między ścianami brezentów. Prabhdźot Kaur ukryła się w ich namiocie, kiedy zobaczyła fotografów nadchodzących wraz z kongresmanem. Czuła wstyd, po jej ramionach i barkach rozchodził się palący ból. Ten sam ból widziała na twarzy Papy-dźi, kiedy brał pół worka pszenicy od banii, który przywiózł wóz artykułów spożywczych z miasta. Dostrzegała to również w zachowaniu Maty-dźi, w tym, jak kuciała, z dupatą naciągniętą na głowę i zasłaniającą pół twarzy, a także w długich

okresach senności Mani, która potrafiła, nie zważając na nic, położyć się i odwrócić na bok, nawet kiedy słońce rozpalało brezent, a ziemia zdawała się być podgrzewana od dołu. Wszyscy się wstydzieli. Prabhdźot Kaur odczuwała to najmocniej, kiedy widziała twarz Maty–dźi, jej nos, usta, pokryte zmarszczkami czoło, i dlatego też nigdy na nią nie patrzyła. Uciekała wzrokiem, patrzyła w bok, albo przyglądała się swoim dłoniom, a czasami, kiedy obok niej przechodziła, po prostu zamykała jedno lub drugie oko, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. U Maty–dźi ten wstyd był wprost nie do zniesienia, ale z nimi wszystkimi było podobnie, wisiało to wokół nich, jak nieprzyjemny, niezmyty smród. To wstyd ścisnął Aloka–wirdźi za gardło, w związku z czym każde wypowiedane słowo kosztowało go wiele wysiłku, wydobywało się powoli, jakby sprasowane.

– To była zasadzka – mówił Alok–wirdźi. – To ten Khudabasz Śafi. On to zaplanował.

Prabhdźot Kaur stała koło namiotu, trzymając stos wilgotnych ubrań wyższy niż ona sama.

– Myślisz, że chodziło o dom? Chciał naszego domu i dlatego nas nastraszył? – Teraz mówił Ikbal–wirdźi.

– Tak – odparł Alok–wirdźi. – Dom. I wszystko inne.

W głowie Prabhdźot Kaur huczało od napływającej krwi. O tym wszystkim innym nigdy nie rozmawiali. Nigdy o tym nie wspomiano, nawet jednym słowem. Jedno imię zniknęło ze świata, zabierając ze sobą całe życie.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Ikbal–wirdźi. – Nie potrafię.

– Uwierz – odrzekł Alok–wirdźi. – Zabrali nasz dom, zabrali naszą ziemię, ale tego było im mało. To wszystko było zaplanowane. Kierowca zawiózł nas prosto w zasadzkę, a oni tam na nas czekali. Było ich wystarczająco dużo, żeby... żeby wziąć, co chcieli. Ale nie spodziewali się,

że będziemy dobrze uzbrojeni. Wzięli więc, co chcieli, ale nie mogli wszystkich nas pozabijać. I dlatego uciekli. Taka jest prawda o tych ludziach. Żałuję tylko, że tak mało zrobiłem. Zamiast spalić trzy domy, mogłem spalić ich tysiąc. I żałuję, że nie zabiłem przynajmniej lakhu tych ludzi.

– Alok. Ciszej.

– Dlaczego? Dlaczego mam być cicho? Będę o tym krzyczał. Ci muzułmanie to behenćody i maderćody. Gdyby stanęły przede mną wszystkie ich kobiety, ja bym je powywieszał i porozpruwał jak kozy. Własnymi rękami wyciągałbym ich jelita. Zrobiłbym to z przyjemnością. Behenćod. Maderćod.

Prabhdzot Kaur puściła się biegiem. Rzuciła ubrania i uciekła. Goniły ją słowa matki, „Zabijcie je”. Potykała się o linki namiotów i zdzierała sobie skórę z dłoni o czarny żwir, minęła w biegu dzieci kopiące kawałek drewna z jednej strony ścieżki na drugą, minęła kobiety, siedzące w kucki u wejść do namiotów i naprawiające rozdarte koszule, bulgoczące garnki stojące na prowizorycznych ćhulh z sześciu cegieł, mijala to wszystko, aż w końcu znalazła się na krańcu osady, poza wszelkimi domostwami. Przed nią biegła brunatna ścieżka, a po jej drugiej stronie ciągnął się goły maidan pokryty skałami, a dalej bezkresne pola, zielone i gęste. Zatrzymała się i oparła ręce na biodrach, schylona, a pot spływał jej z czoła prosto na ziemię, znacząc ciemne kręgi na ziemi. Wyprostowała się. Chciała odejść. Chciała, żeby istniało jakieś miejsce, do którego mogłaby się udać, gdzieś bardzo daleko, setki mil od rodziny, tysiące mil od kogokolwiek. „Nie słyszałaś? Dziewczyna rodzi się w domu, ale jej dom jest gdzie indziej. Ten dom nie należy do ciebie. Twój dom jest gdzie indziej”. Gdybym tylko mogła iść, pomyślała. Ale zbyt dobrze znała geografie, te lekcje wyuczone z Trójcą, te, które zapisała pięknym pismem w zeszytach oprawionych w brązowy

papier. A teraz, teraz wiedziała jeszcze więcej. Z jednej strony były morza, z drugiej góry, nie ma dokąd pójść, a wszędzie czai się strach. Trzeba przekroczyć strach, żeby dojść donikąd. Przed nią rozciągał się nieruchomy maidan, a pola czekały w ciszy. Prabhdzot Kaur stała samotnie, na skraju miasteczka uchodźców. A potem odwróciła się i poszła z powrotem do swojego ojca, matki, braci i siostry.

W końcu udało im się dotrzeć do Delhi. Maty-dzi wyjęła spod ubrania trochę przywiezionej biżuterii i tym razem podróż odbyli pociągiem. Dwaj bracia umieścili resztę rodziny w domu Gandzana Singha Parana, który w rzeczywistości nie był członkiem rodziny, jedynie synem pewnego człowieka z wioski Khenchi. Zgodnie z dawną opowieścią ojciec Papy-dzi uratował kiedyś ojca Gandzana Singha Parana, policjanta, przez natychmiastowym zwolnieniem i bezrobociem, i teraz ten syn przyjął ich pod swój dach. Mieli do dyspozycji dwa małe pokoiki i werandę na tyłach domu. A potem dwaj bracia udali się w kierunku tego, co teraz było granicą, i ruszyli dalej, do obcego kraju. Nie chcieli tam jechać, ale Maty-dzi po raz pierwszy powiedziała:

– Znajdźcie moją córkę.

Prabhdzot Kaur usłyszała te słowa, kiedy udawała, że śpi. Starsi członkowie rodziny często już ze sobą rozmawiali, ale do tych rozmów nie dopuszczano ani jej, ani Mani. Mani naprawdę spała, a nawet trochę jęczała przez sen, ale Prabhdzot Kaur co noc starała się nie zasnąć. Chciała wiedzieć, musiała wiedzieć. Coraz łatwiej przychodziło jej czuwanie. Istniały pewne ćwiczenia, które pomagały człowiekowi powstrzymać się przed nieświadomym zapadaniem się w samego siebie, przed lekkim jak piórko opadaniem w próżnię od poczynku: wystarczyło zwracać uwagę na szczegóły, trzeba było nasłuchiwać, pilnować, żeby umysł pracował, działał i funkcjonował. I Prabhdzot Kaur słyszała głos Maty-dzi, cichy, spokojny i

wściekły: „Znajdźcie moją córkę”. Ten głos nie dopuszczał sprzeciwu. Pojechali więc. Prabhdźot Kaur nie rozumiała jedynie, dlaczego oni nie chcą jechać. Przecież to oczywiste, że powinni jechać, pomyślała, dlaczego nie chcą jechać? I w tym momencie poczuła w żołądku jakiś ból, jakby zaciśnięta dłoń wznosiła się w górę i wykręcała jej serce, a ona miała wrażenie, że zaraz zacznie krzyczeć. Nie odezwała się jednak, milczała i czuwała, noc po nocy, i czekała.

Wrócili półtora miesiąca później, a dokładnie po czterdziestu dniach i czterdziestu jeden nocach. Prabhdźot Kaur, która teraz bardzo dokładnie odmierzała czas, ocknęła się gwałtownie ze snu, który z pewnością trwał najwyżej kilka minut, i od razu wiedziała, że powrócili. Drzwi do pokoju Maty–dzi były zamknięte, a oni mówili ściszonymi głosami, ale i tak ich słyszała, i nie miała wątpliwości. Podniosła się z łóżka i przez chwilę stała przy drzwiach, opierając głowę na szorstkim szarym drewnie, a te głosy przenikały przez jej czoło. Nie miała żadnej nadziei. Każdej kolejnej nocy wyobrażała sobie ten moment, tę szczęśliwą chwilę, ten szelest spodni śalwar zamiatających ziemię, ten dźwięk, który tak dobrze znała, i to ona przywrze do Nawnit–behendzi, wtulając głowę w miłe, znane jej zacisze, otoczona ramionami, w których śpiewnie tętniła ukochana krew. Ale teraz już wiedziała, że to nigdy się nie wydarzy. Odwróciła się i wyszła na werandę. Przed nią ciągnął się drut kolczasty, za nim linia drzew gulmohar, a w oddali wznoszące się pasmo wzgórz. Tylko tyle znała z Delhi. Obok ogrodzenia kuciała jakaś kobieta i Prabhdźot Kaur od razu ją rozpoznała: Ram Pari. Pamiętała ten sposób kucania, to swobodne i wygodne zawieszenie tuż nad ziemią, pozycję, w której ta kobieta potrafiła pozostawać godzinami.

– Czy to Ram Pari? – Mani wyszła na werandę i biegiem rzuciła się w stronę ogrodzenia. Nachyliła się nad kobietą i w tym momencie Prabhdźot

Kaur dojrzała podniesioną twarz Ram Pari. Była starą kobietą. Z jej kości policzkowych zwisała wiotka skóra. Ramiona owijała czerwoną dupatą, którą Prabhdźot Kaur doskonale pamiętała z dawnych czasów. Teraz była obszarpana i wyblakła do barwy rdzawobrunatnej.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała Mani.

– Ikbal–wirdźi, zobaczyłam go na dworcu autobusowym – odpowiedziała Ram Pari, a Prabhdźot Kaur doznała wstrząsu, słysząc jej chropowaty głos, brzmiały tymi znanymi, wiejskimi rytmami. – Przyszliśmy przez granicę. Na piechotę.

– A... a gdzie reszta?

Prabhdźot Kaur chciała coś krzyknąć do Mani. Wydawało się jej, że nie wolno zadawać takiego pytania, w każdym razie ona nie chciała go słyszeć ani czekać na odpowiedź. Ale stała nieruchomo, nie mogąc się poruszyć.

Ram Pari pokręciła głową. Bardzo powoli kręciła głową. W jedną i drugą stronę.

Rozległo się skrzypnięcie drzwi i obok Prabhdźot Kaur przeszedł Papa–dźi, a za nim jej bracia. Tych trzech mężczyzn stanęło na werandzie, wyglądało na to, że sami nie wiedzą, co zrobić ani dokąd się teraz udać. Mani trzymała dłoń na ramieniu Ram Pari. Prabhdźot Kaur zmusiła się, by ruszyć z miejsca, odwróciła się i weszła do domu. W małym, dusznym pokoju po prawej płakała jej matka. Siedziała na ziemi, tuż obok ćarpai, z głową opuszczoną, z rękami rozrzuconymi na prześcieradle, i łkała. Cicho, jak dziecko. W tym jej płaczu nie było słyhać złości czy oburzenia, tylko zaskoczenie. Prabhdźot Kaur weszła do pokoju i stanęła przy Macie–dźi, kolanami wyczuwając delikatne drżenie łóżka, i poczuła w sobie ogromny gniew, poczuła, jak on w niej wzbiera i ją ogarnia, a ona staje się twarda jak gład, a jednocześnie jak wartka rzeka żalości, bezsilnie przepełniona tym całym uczuciem. Na głowie jej matki widać było siwe włosy, bardzo suche,

połamane i brzydkie, z tyłu jaśniała plamka łysiny, a pod nią skóra młoda i gładka jak u niemowlaka. Prabhdźot Kaur zamknęła na moment oczy i, wyciągnąwszy dłoń, położyła ją na głowie matki. Ciało Maty-dzi wygięło się w łuk i matka przytuliła się do Prabhdźot Kaur, jak jakieś ślepe, łaszące się zwierzątko, obiema rękami objęła ją w pasie i całym ciałem oparła się o nią, a Prabhdźot Kaur odzyskała równowagę i delikatnie pogłaskała ją po ramionach i szyi, próbując pocieszyć tę pogrążoną w żalu kobietę.

## Grzebanie umarłych



Sartadź obudził się o siódmej. Ma już siedziała przy stole w jadalni i przez grube okulary dwuogniskowe czytała gazetę. Wykąpana i ubrana w świeżo wyprasowany, biały śalwar–kamiz, miała włosy starannie zaczesane. Nigdy w życiu nie udało mu się wstać przed nią, a czasami nawet wątpił, czy ona w ogóle kładzie się spać.

– Usiądź – powiedziała.

Przyniosła talerz i filiżankę. Sięgnął po gazetę: międzynarodowy proces pokojowy nabierał tempa. Ale dwudziestu dwu ludzi zginęło w Radźori z rąk kaszmirskich bojowników, choć może byli to zagraniczni najemnicy. Bojownicy zatrzymali autobus komunikacji państwowej na głównej drodze, wszystkich hindusów ustawili rzędem po jednej stronie i zaczęli do nich strzelać z kałasznikowów. Jeden z podróżnych, ukryty pod stertą ciał, ocalał, z pociskiem tkwiącym w pachwinie. Zamieszczono zdjęcie ciał, ułożonych nierównym rzędem. Sartadź poczuł zapach smażonych jaj. Zastanawiał się, dlaczego zawsze zmarłych układa się rzędem. Dlaczego nie układać ich w kółku? Albo w kształt litery V? Albo jakoś inaczej, w taki czy inny sposób? Ale właśnie tak robiono, kiedy było dużo ofiar, układało się je rzędem, jakby dzięki temu dało się ogarnąć i poskromić chaos tego wydarzenia, metal eksplodujący w żywym ciele. Również Sartadź ciągnął bezwładne ciała i układał je w uporządkowane rzędy, a to nieco uspokajało jego sumienie.

– Ci muzułmanie nigdy nie zostawią nas w spokoju – odezwała się Ma, stawiając przed nim omlet, usmażony w jego ulubiony sposób, bardzo



puszysty, z dużą ilością chilli, ale bez cebuli.

– Ma – odparł Sartadź. – To jest wojna. Nie wszyscy muzułmanie są potworami.

– Niczego takiego nie powiedziałam. Ale co ty możesz wiedzieć. – Zdjęła okulary i zaczęła wycierać je swoją dupatą. Kiedy spojrzała na niego, zobaczył, że jej twarz całkowicie pozbawiona jest wyrazu, że wygląda jak okno z zatrzaśniętymi stalowymi okiennicami. – Ty nie wiesz, co to są za ludzie. Oni po prostu są inni, nie są tacy jak my. My też nigdy nie zostawimy ich w spokoju.

Sartadź zajął się swoim omletem. Z matką nie było dyskusji, wiedziała swoje i w końcu zawsze wytaczała poważne, proste argumenty, które uważała za bezsprzeczne i których trzymała się jak kotwica. Każda próba podjęcia tego typu dyskusji była irytująca i bezużyteczna, tylko podnosiła jej ciśnienie. Sartadź odwrócił stronę i przeczytał długą, z życia wziętą historię o pewnym panwali i jego bujnych wążach.

Później, kiedy znaleźli się w zatłoczonej, ale spokojnej gurudwarze, przyglądał się matce. Siedziała z podkulonymi nogami, obejmując kolana w sposób, który jemu zawsze zdawał się bardzo dziewczęcy. Połączone głosy potęgowały się i unosiły w kirtanie, a ona była zatopiona we wspomnieniach. Znał ten jej wygląd, lekko opuszczone, patrzące się w dal oczy, to zamknięcie się w sobie. Była bardzo malutka, bardzo delikatna i kiedy patrzył na jej wąskie nadgarstki, ponownie nachodziły go obawy i myślał, że powinien ją zabrać do siebie. Jak długo ich mamy, pomyślał, jak długo mamy swoich rodziców? Jak długo? Ale ona była bardzo uparta i trzymała się swojego domu, jak żołnierz walczący na wojnie. Kiedy ostatni raz o tym rozmawiali, powiedziała, że tu jest jej dom. Opuszczę go tylko w jeden sposób, kiedy nadejdzie czas. I wówczas nagle uświadomił sobie, jak samotnym można być na tym przeogromnym świecie, kiedy czas zabiera

ojca i matkę, i, nieporadnie wyrzucając z siebie słowa, powiedział wtedy: „Nie mów w ten sposób”.

Tłum śpiewał „*Tarai gun maja mohi aji kahan bajdan kahi<sup>Z</sup>*”. Jesteśmy piechurami w tej podróży, pomyślał Sartadź, i jeden po drugim padamy. Po drugiej stronie Ma siedział jej najstarszy brat, Ikkal–mama, kołysząc się górną połową ciała, od bioder do ramion. Był bardzo religijnym człowiekiem, członkiem rady gurudwary, stale pochłoniętym robieniem dobrych uczynków i działalnością charytatywną. Sartadź lubił go, ale ta jego nieustanna pobożność zdawała mu się przytłaczająca. Był jeszcze kiedyś drugi mama, Alok–mama, którego wszystkie dzieci dużo bardziej lubiły. Sartadź do dziś jeszcze nie mógł wyjść z podziwu, kiedy przypominał sobie, ile ten słoniowaty sardar potrafił zjeść, pieczone kurczaki na śniadanie, rogan dżoś na lunch i świeży dżalebi na dokładkę, a kolacja przypominała heroiczną walkę, zakrapianą szkocką whisky, przyozdobioną widokiem czerwieniejącej twarzy Aloka–mamy. Dzieciaki, wszyscy kuzyni, żartowali sobie, że wewnątrz Aloka–mamy znajduje się zapadnia prowadząca do ogromnej jaskini, w której całe to jedzenie znika, bo wprost niemożliwe, żeby jeden człowiek mógł tyle zjeść. Sapał, kiedy przechodził z jednego pokoju do drugiego. Pewnego ranka żona znalazła go martwego w łazience, z wodą lejącą mu się z kranu na twarz. Sartadź miał wówczas czternaście lat.

Ikkal–mama był człowiekiem bardzo religijnym, w przeciwieństwie do Mani–mauśi. Dochodziło między nimi do kłótni, głośnych awantur, kiedy ona sarkastycznie wyrażała się o jego ciągłych praktykach religijnych. Ma zawsze przychodziła do Mani–mauśi z siostrzaną radą, starając się powstrzymać ją, żeby nie rzuciła się z pazurami na brata. Ale nikt nie potrafił okiełznać Mani–mauśi, kiedy już wpadła w zły nastrój. Przynosiła

wstyd całej rodzinie, rozwódka, z jednoznacznie komunistycznymi poglądami i otwarcie wyrażanym ateizmem.

Sartadź sam nie wiedział, ile w nim samym pozostało jeszcze wiary. Nosił, oczywiście, brodę, długie włosy, kara, ale od lat nie pomodlił się z własnej woli. W jego domu były wizerunki guru, ale już nie zwracał się do nich w poszukiwaniu rady, nie oczekiwał od nich żadnych cudów, nawet ułatwień w życiu codziennym. Kolory obrazków zdawały mu się teraz zbyt jaskrawe, nieskazitelna biel turbanu guru Nanaka nazbyt daleka od brudu życia. Niemniej jednak, pomyślał Sartadź, dobrze było przyjść z matką w to miejsce. Znajdował tu jakieś dobre światło, towarzystwo w ustawionych rzędem ramionach wiernych i ukojenie.

Ma poprawiła swój śalwar na nogach, a Sartadź pomyślał o tej kobiecie w bunkrze Gaitondeggo, o jej rozrzuconych nogach w eleganckich spodniach. W jej mieszkaniu nie znaleźli żadnego śladu religii, żadnego krzyża, Biblii ani różańca. Może więc nie była osobą religijną, a może po prostu było jej to obojętne. Ale zadawała się z Gaitondem, a jego długie modlitwy i hojne datki na cele religijne obrosły już legendą. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych przez pewien czas starał się wykreować w mediach swój wizerunek dona hindusów, dzielnego obrońcy, stawiającego czoło antynarodowej działalności Sulejmana Isy. Sartadź pamiętał zamieszczony w „Mid-Day” wywiad, w którym Gaitonde przepowiadał rychły upadek Sulejmana Isy. „Nasi ludzie działają w Pakistanie i szukają go tam” – powiedział Gaitonde. U góry artykułu widniało zdjęcie ze starych kartotek, przedstawiające bardzo młodego Ganeśa Gaitondeggo, ubranego w czerwoną bluzę i ciemne okulary. Ten widok zrobił na Sartadźu wrażenie. Ganeś Gaitonde miał swój własny styl, to prawda, ale w końcu on zginął bez żadnej – tak przynajmniej wyglądało – ingerencji swojego odwiecznego wroga. Dlaczego? Była to bardzo intrygująca tajemnica, miły temat do

rozważań, i przez pozostałą część ranka Sartadź oddał się snuciu teorii na ten temat.

Wciąż jeszcze rozważał tę zagadkę, kiedy późnym popołudniem dotarli wraz z Ma do domu. Po wyjściu z gurudwary dwie godziny spędzili w domu Ikbala–mamy, wśród wirującej ciżby bratanków i bratanic. Sartadź dorastał jako jedynak i nawet lubił – w niewielkich dawkach – przyjemny zamęt panujący w wielkich rodzinach. Odczuwał teraz przyjemne zmęczenie, ale jego umysł wciąż pracował, leniwie i powoli konstruując teorię o Ganeśu Gaitondem. Leżąc w łóżku, w ciemnościach, przy zaciągniętych zasłonach, zastanawiał się, czy między Gaitondem a Dźodźo istniał jakiś nieudany romans, jakaś zawikłana historia cielesnego pożądania i zdrady, która doprowadziła do zabójstwa i samobójstwa. Doszedł do wniosku, że to prawdopodobne. Mężczyźni i kobiety potrafią robić sobie nawzajem takie rzeczy.

– Sartadźu, chcę jechać do Amrytsaru.

Sartadź aż podskoczył. W drzwiach stała Ma.

– Proszę?

– Chcę jechać do Amrytsaru.

– Teraz? – Sartadź przetarł oczy i spuścił nogi na podłogę.

– Are, nie, beta. Ale niedługo.

Sartadź odsunął zasłonę, wpuszczając nieco światła.

– Dlaczego tak nagle?

Ma rozprostowała prześcieradło.

– Wcale nie nagle. Już od dłuższego czasu o tym myślałam.

– Chcesz zobaczyć się z Ćaća i z tymi wszystkimi ludźmi?

– Jeszcze raz przed śmiercią chcę udać się do Harmandir Sahib.

Sartadź zatrzymał się z ręką na ścianie.

– Ma, nie mów w ten sposób. Wiele razy jeszcze tam pojedziesz.

– Wystarczy, jak raz mnie tam zabierzesz.

Sartadź poczuł, że na piersiach kładzie mu się ogromny ciężar, odbierając mu głos. Obszedł Ma dookoła, zabrał swoją pustą walizkę i niezgrabnie dotknął ramienia matki.

– Muszę sprawdzić, kiedy mogę wziąć urlop. – Odkaszlnął. – Wtedy pojedziemy.

Kiedy Sartadź się pakował, Ma przyniosła stos świeżo wyprasowanych ubrań. Usiadła na łóżku i obserwowała syna. Nigdy wcześniej tego nie robiła, te setki razy, kiedy on przygotowywał się do wyjazdu z domu, i teraz czuł, jak jej wzrok spowalnia jego ruchy. Zawsze pakował się z wielką pedanterią, ale tym razem z wprost fanatyczną starannością wciskał skarpetki w szczeliny między koszulami i spodniami. Ma opowiadała historie o krewnych z Amrytsaru i kiedy Sartadź zamykał walizkę, wiedział już, że dawno temu powinien wyjść na dworzec. Zatrzymał się jednak przy drzwiach i powtórzył swoje peri pauna, starając się nie myśleć o dniu, kiedy w tych samych drzwiach po raz ostatni zegnał się z Papą-dzi.

Sartadź zdążył na pociąg, ale udało mu się to w ostatniej chwili, i w drodze do dworca Dadar nie był w stanie spać, choć zwykle tak robił. Przez zabrudzone szyby oglądał mijane znajome, ciemniejące wzgórza, rysujące się na tle jego własnej twarzy. Wielokrotnie odbywał tę podróż, i bardzo ją lubił, ten długi tunel prowadzący ze wzgórza Monkey Hill do Nagnathu, pamiętał, jakie czuł podniecenie, będąc dzieckiem, strome zjazdy i nagłe zakręty, które odsuwały zbocza wzgórz jak kurtyny, ukazując zdumiewającą scenę gwałtownie opadających zielonych dolin, a piersi wzbierały oparami i zdumieniem, napawając człowieka radością, że dokądś zmierza. Wciąż jeszcze to odczuwał, ten lekki powiew podniecenia, ale teraz krył się w nim jakiś delikatny cień straty i nostalgii. Może dlatego ludzie mają

dzieci; kiedy nie możemy już podróżować ze swoimi rodzicami, dzięki dzieciom podróże pociągiem znowu stają się takie ciekawe. A potem można patrzeć na zbliżające się światła Mumbaju i w pełni cieszyć się powrotem do domu.

**T**ak, ściągnij tu Bantiego – powiedział Parulkar. – Bezwzględnie ściągnij go tu, koniecznie.

– Ja mam to zrobić, panie komendancie? Nie któryś z pańskich ludzi? – Miał na myśli doborowych inspektorów Parulkara, zajmujących się gangami.

– Nie, sądzę, że Banti teraz tobie ufa najbardziej. Wystraszyłby się, gdybym wysłał kogoś innego.

– Tak jest, sir. – Siedzieli w samochodzie Parulkara przy Hadzi Ali. Parulkar jechał do komendy i poprosił Sartadża, żeby spotkali się po drodze. Sartadż pomyślał, że przełożony wygląda na przybitego, na bardzo zmęczonego.

– Ma pan jakieś następne spotkanie, sir?

– Tak, teraz mam same spotkania.

– Z zastępcą głównego inspektora?

– Nie tylko z nim. Z kim się tylko da. Rząd stara się mnie usunąć, Sartadżu. Muszę więc zorientować się, kto pomoże mi zostać na miejscu. Dlatego też biegam od jednego do drugiego.

– Pan sobie z tym poradzi, sir. Zawsze pan sobie radził.

– Nie jestem tego taki pewien. Tym razem pieniądze, które jestem gotów wyłożyć, mogą nie mieć żadnego znaczenia. Za dużo tu starych porachunków. Oni mnie osobiście nienawidzą, uważają, że jestem zbyt pro muzułmański.

– To z powodu Sulejmana Isy?

Parulkar wzruszył ramionami.

– Z tego i jeszcze z innych. Ale przede wszystkim podejrzewają mnie o wspieranie Sulejmana Isy. To głupcy. Jakby nie rozumieli, że aby skutecznie działać przeciw jednemu gangowi, trzeba wymieniać informacje z drugim. Oni tylko wiedzą, kogo nienawidzą. To politycy, sami są gangsterami, ale świat postrzegają w ten sposób. Głupcy.

– I dlatego pan ich przechytry.

– Nie bądź tego taki pewien, Sartadzu – stwierdził Parulkar, wymachując dłonią w kierunku wznoszącego się łuku budynków – na razie wygrywa tu głupota. – Za jego plecami rozpościerało się morze, spokojne i ciche. Kierowca i ochroniarz stali w pobliżu, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. – Czasy się zmieniły.

Trudno było polemizować z tą prostą prawdą, bo czasy rzeczywiście się zmieniły.

– Jeśli mogę coś dla pana zrobić – odezwał się Sartadź – proszę mi powiedzieć.

Tylko taką pociechę mógł zaoferować starszemu człowiekowi. Patrzył za odjeżdżającym, złożonym z trzech samochodów konwojem Parulkara i przyszło mu do głowy, że po raz pierwszy pomyślał o szefie jak o starym człowieku. Zawsze wydawał mu się wiecznie młody, chyba ze względu na tę swoją chęć do pracy, niesłabnącą radość i kpinę z absurdów policyjnego życia, tę energię, a także stałe i zdumiewające pięcie się w górę. Może zaszedł zbyt wysoko, może na wysokim szczeblu kariery ta ostra ambicja mu zaszkodziła, tak, odwróciła się i zraniła go, a potem wyssała z niego całą pewność siebie i radość. Może lepiej było pozostać na jakimś przeciętnym, przyzwoitym poziomie, jak zrobił to Papa-dzi: dobrze wykonać swoją pracę, wracać do domu i spać spokojnie.

Ale nie, w to nie można było uwierzyć, w tych zmienionych czasach, kiedy brak zagorzałego karierowiczostwa uważany był za fatalną wadę charakteru.

Sartadź przełożył nogę przez motocykl i kopnięciem obudził maszynę do charczącego życia. Zawrócił na drodze na grobli, ruszył wzdłuż wybrzeża i minął wejście do osiedla Siw Sagar, gdzie Harśad Mehta miał kiedyś siedem – a może nawet osiem – apartamentów. Dawno temu Sartadźa wezwano tu, żeby wsparł wielki oddział CBI, który przeszukiwał apartamenty Mehty w poszukiwaniu dowodów defraudacji. Wkład Sartadźa w aresztowanie tego maklera giełdowego ograniczył się do zapanowania nad tłumem; powstrzymywał szybko rosnącą cizbę gapiów i zwolenników Mehty, zapewniając swobodny dostęp do budynku. Tej nocy i następnego dnia wszystkie spotkane osoby – policjanci, koledzy, Megha – pytały z zaciekawieniem: „Widziałeś dom Harśada Mehty od środka? Jak tam wygląda? Chyba jest niesamowity, co nie?”. Początkowo nie ukrywał, że nie udało mu się zobaczyć niczego poza budynkiem z zewnątrz, ale widząc ogromne rozczarowanie na twarzach wszystkich pytających, poczuł się w końcu zobligowany wymyślić jakąś historyjkę o ekstrawaganckim życiu Mehty. W stworzonej przez niego mozaice były, co prawda, pewne fakty, jakieś drobne, błyszczące samorodki informacji, zebrane od policjantów, którzy byli wewnątrz budynku, ale w przeważającej części Sartadź sklecił obraz oparty na scenach zaczerpniętych z telewizji i filmów, opowiadał o dwupoziomowych salonach ze schodami, które wspinały się do części mieszkalnej, drzwiach wsuwanych w ścianę, sypialniach wielkich jak całe przeciętne mieszkania, o podłodze wyłożonej włoskimi marmurami i o łączącym te wszystkie pomieszczenia interkomem.

– Trzy tysiące metrów – mówił Sartadź – wyobrażasz to sobie? On mieszka na trzech tysiącach metrów. – I wszyscy ci, których stać było



zaledwie na czterdzieści sześć metrów, czasami na dziewięćdziesiąt, robili wielkie oczy i marzyli o tak doskonałym życiu. Sartadź rozumiał ten ich zachwyty, ponieważ sam czuł się podobnie. Harśad Mehta był złodziejem, ale potrafił snuć wspaniałe marzenia i żyć na poziomie. Został aresztowany, a potem jeszcze raz, i w końcu zmarł na atak serca, ale swego czasu był prawdziwym bohaterem.

Sartadź dodał gazu i z lubością wsłuchiwał się w wycie silnika. W czasach Harśada Mehty ambicja rozprzestrzeniała się niepowszymanie jak wirus, nieustannie następowały giełdowe hossy i bessy, ale zaraza trzymała się mocno. Teraz przerost aspiracji zyskał status stanu powszechnego. Może to była jakaś forma zdrowego życia, w końcu dzięki temu człowiek nabierał zapału, rozpędu, szwungu. Zupełnie niedawno czytał artykuł w gazecie, w którym z ulgą zauważono, że indyjska drużyna krykieta w końcu wykazała wolę walki. Tak, to prawda, nabrali kasy i woli walki. Tak jak trzeba. Sartadź przyspieszył. Czas już zabrać się za poszukiwanie tych chłopaków molestujących dziewczyny.

**W**asim Zafar Ali Ahmad, człowiek o długim nazwisku i wygórowanych aspiracjach politycznych, przekazał Sartadźowi nazwiska i adresy dwóch braci Taponi, których chciał nauczyć dyscypliny, więc Sartadź i Katekar wybrali się tam z wizytą. Nie spodziewali się zastać tych dwóch w domu, ale zamierzali wzbudzić w ich rodzinie przerażenie i niepokój, i w ten sposób zmusić braci do poddania się. Weszli więc do kholi, przesadnie rozpychając się i pokrzykując. Sartadź kopnięciem otworzył drzwi i ryknął:

– Gdzie są ci dwaj gandhu? Gdzie oni są?

Katekar spędził rodzinę z trzech ciasnych pokoików. Był tam przemieszczający się chwiejnym krokiem staruszek, jakaś kobieta i dziewczynka w wieku jedenastu lub dwunastu lat. Ta zaczęła przeklinać

Sartadża jednostajnym, monotonnym głosem, aż kobieta zasłoniła jej usta dłonią.

- Co oni zrobili? – zapytał drżący dziadek. – Co takiego?
- Jesteś matką Kuśala i Sandźiwa? – zapytał Sartadź kobietę.
- Tak.
- Gdzie oni są?
- Nie wiem.
- Jesteś ich matką, a nie wiesz, gdzie oni się podziewają?
- Nie, nie wiem.

Była mocno zbudowaną kobietą, niską, o szerokich barkach i jeszcze szerszych biodrach. Ubrana była w czerwone sari, jedną ręką owinęła pallu ciasno wokół ramion, a drugą trzymała córkę.

- Jak się nazywasz? – zapytał Sartadź.
- Kauśalja.
- To twój ojciec?
- Nie, jego – odparła, mając na myśli męża.
- A gdzie on jest?
- W swojej fabryce.
- Jakiej fabryce?
- Robią tam mithai.
- To gdzieś w pobliżu?

Kiwnęła brodą w lewo.

- Obok zajezdni autobusowej.

Sartadź wskazał na dziewczynkę, która przestała już mamrotać pod dłonią matki. Patrzyła na niego nieruchomym, skupionym spojrzeniem.

- Jak ona się nazywa?
- Suśma.

– Suśma, idź po ojca. – Kauśalja zabrała rękę, ale córka ani drgnęła. Sartadź przyzwyczał się już do tego, że społeczeństwo nie darzy go sympatią, ale poczuł się dotknięty nienawiścią tej dziewczyny. – Idź – warknął.

– Słuchaj, co mówi saab – poleciła Kauśalja i dziewczyna wybiegła za drzwi.

Sartadź rozsiadł się na krześle przy drzwiach. Szeroko rozsunął kolana i mocno postawił stopy. Katekar odwrócił się do małego aneksu kuchennego po lewej i zaczął tam grzebać, dzwoniąc garnkami i talerzami. Sięgnął po stojącą na półce butelkę i głośno ją obwąchał. Kauśalja wraz z teściem wycofali się do drugiego pokoju. Sartadź słyszał, jak szepcą coś gorączkowo.

Ściganie apradhich powinno wiązać się z pościgami samochodami, gonitwami po zatłoczonych ulicach, zamieszaniem, bieganiną i dudniącą muzyką w tle. Tego pragnął Sartadź, a w rzeczywistości pościg sprowadzał się do zastraszania kobiety i starca w ich własnym domu. Była to sprawdzona i przetestowana policyjna praktyka, niszczyć życie rodzinne i zawodowe, aż informator zacznie śpiewać, przestępca się złamie, niewinny przyzna się do winy. Katekar wyciągnął się na przykrytym jasnoniebieskim prześcieradłem łóżku, a Sartadź zawołał Kauśalję, żeby przyniosła mu ćaj i ciasteczka. Zatrąkotała coś ze złością za ścianą, ale wyszła z domu i poprosiła sąsiadkę, żeby ta poszła do dhaba na rogu. Wróciła z głową nisko opuszczoną, bezgłośnie poruszając ustami, i sztywnym krokiem przeszła obok nich do swojego schronienia w pokoju na tyłach domu.

Ściany były gołe i białe, ale na jedynej półce stał rząd fotografii, zapis małżeństwa Kauśalji i historii trójki dzieci. Z różowej ramki w kształcie serca uśmiechała się szczęśliwa Suśma.

Sartadź oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Był jednak zbyt niespokojny, zbyt spięty, żeby się zdrzemnąć. Usiadł prosto, patrząc na Katekara, który z uwagą przeglądał stary numer „Filmi Kalijan”. Z lewego rogu okładki patrzyła Bipaśa Basu, z ramionami skrzyżowanymi pod wydatnym biustem. Sartadź od razu odwrócił od niej wzrok, zawstydzony palącym pożądaniem, które napłynęło z jego pachwiny. Wyprostował się, dyskretnie się poprawił, a potem musiał się pochylić, chcąc ukryć swoją reakcję. Niech cię diabli, Bipaśa. Ostatni raz kochał się osiem miesięcy temu, z dziennikarką pracującą dla jednej z popołudniówek wydawanych w języku marathi. Pierwszy raz przysłała do niego z trudnymi pytaniami o nocne kluby i tańczące tam dziewczęta, poszukując tematu na artykuł na pierwszą stronę, a on był pod wrażeniem jej szerokich ramion, luźnych zielonych dżinsów, jej cynizmu i wysokich kwalifikacji. Spotkali się trzykrotnie, w trzech różnych restauracjach, i za każdym razem delikatnie wspominała o swoim mężu, również dziennikarzu, pracującym dla innego dziennika wydawanego w języku marathi. Ale tego trzeciego popołudnia, przy trzeciej filiżance kawy, kiedy skończyły się jej już pytania o barbale, oczywiste stało się, że musi się wydarzyć coś jeszcze. Pożegnali się niezręcznie, tym razem nie wyciągnęła ręki do serdecznego, przyjacielskiego uścisku dłoni. Zadzwoiła dziesięć dni później i wybrali się na spacer po plaży Ćaupati, muskając się czubkami palców. Nie uważał ją za specjalnie piękną, ale nie potrafił oprzeć się impulsowi, powstrzymać się przed objęciem jej w pasie, pod luźną białą koszulą z długim rękawem. Przez cztery miesiące kochali się co tydzień, popołudniami, zawsze w pokoju PSI Kamblego w Andheri East. Ghoći karo, szefie, mawiał Kamble. Kochać się, uprawiać seks, ghoći, jakby tego nie nazywać, po tym akcie Sartadźa zawsze ogarniało uczucie niepokoju i samotności, a w gardle dławił go jakiś nierozwiązywalny węzeł. Lubił czuć jej skórę przy swojej,

przez jej długie ciało wdzięcznie przebiegały spazmy i mieli wygodny układ, ona była niewymagająca, odprężona i odprężająca w swoim braku wiary w dramatyzm sytuacji. Ale Sartadź nie pragnął jej, nie dręczyła go ta potrzeba, którą kiedyś cierpiał z powodu Meghi, a ten brak powodował, że z trudem znosił te chwile, kiedy leżał, dysząc, na kwiecistej pościeli Kamblego. Czuł się mały i zagubiony we własnym ciele, pogrążał się gdzieś głęboko pod skórą i tam tonął. W końcu musiał to przerwać, musiał położyć temu kres. Ona poczuła się zraniona, ale skryła to pod dziennikarskim wzruszeniem ramion: *Maradsala aisaićh hota he<sup>8</sup>*.

To prawda, mężczyźni już tacy byli. Przed nią były inne kobiety. Jakaś call-girl, prezent od Kamblego na pierwsze po rozwodzie urodziny Sartadźa. „Towar pierwszej klasy, szefie, prawdziwy materiał na aktorkę”. Sartadź nie był w stanie odegrać swojej roli i aktorski towar poklepał go pocieszająco po ramieniu. Była też koleżanka Meghi, mężatka, która zaczęła do zakończenia jego sprawy rozwodowej, żeby wszystko było legalne i absolutnie moralne. Kochali się, a potem ona uwielbiała słuchać opowieści o morderstwach, o strzelaninach na ciemnych uliczkach, o zdesperowanych i agresywnych mężczyznach, leżała obok Sartadźa, pulchna i złocista, z błyskiem jakby metalowych haczyków w oczach, wypuszczając drobne fale obsesji. Była nawet pewna firangi, Austriaczka, okradziona przez kieszonkowca w lokalnym pociągu, która przyszła na komisariat złożyć skargę. Spodobał mu się jej szorstki akcent, to całe dzwonięcie i nagłe pauzy, a do tego ten nieodgadniony błękit jej oczu, ale ona była dla niego tak zagadkowa, że zupełnie nie wiedział, co ma zrobić, nawet kiedy dwa dni później wstąpiła na komisariat. Wyznał jej, że nie udało im się posunąć śledztwa do przodu, że raczej mało prawdopodobne jest, że uda im się coś osiągnąć, i zawstydził się indyjskiej nieudolności. W Austrii złodziej już dawno zostałby schwytany i skazany. Wtedy

zapropowała mu wspólne wypicie kawy. Po trzech dniach takiego picia kawy spytał, czy nie chciałaby zobaczyć jego domu. W mieszkaniu nakłoniła go do zdjęcia turbanu.

– Chcę zobaczyć twoje włosy – powiedziała.

– Ale z ciebie Amitabh Baććan – zarechotał PSI Kamble, ściskając dłoń Sartadźa, kiedy o tym usłyszał. – Ty cholerny Radżeszu Khanno, jesteś królem ogierów wśród wszystkich sardarów.

W tym pełnym uniesienia wybuchu ogromnej radości Kamblego Sartadź dostrzegł wiele z własnego, upajającego poczucia sukcesu, ten nagły przypływ zadowolenia, który sam odczuwał na widok pornograficznej błości piersi Austriaczki i jasnych blond włosów pod jej białymi majtkami. Wchodząc w nią, wkraczał w świat tysiąca filmów erotycznych, a w nim samym przepływały nieprawdopodobnie nieskalane widma z ilustrowanych magazynów przeglądanych w wieku dojrzewania, pozdrawiały go z daleka. Kiedy skończyli, ona milczała, a on nie miał pojęcia, co ta cisza może oznaczać. I tak król wszystkich ogierów leżał z otwartymi ustami, przerażony białą próżnią rozczarowania, którą odkrywał w swoich kościach.

Sartadź pokręcił głową i wstał. Mąż Kauśalji lubił się fotografować. Widniał na każdym zdjęciu, siedział w samym środku, w otoczeniu kobiet i dzieci. Sartadź stanął pod ścianą, tyłem do Katekara, i przyglądał się fotografiom. Oto ojciec tych dwóch dręczycieli. Czy oprócz żony miał jakieś kochanki? Patrząc na jego dziarsko wystawiony brzuch, wypychający połyskującą, białą kurtę na największych zdjęciach, Sartadź nabrał pewności, że miał. Był mężczyzną, a więc miał kobiety. Sartadź od dawna cieszył się opinią policjanta lubianego przez kobiety i nikomu nie mówił, że dał sobie spokój z seksem. Kamble i Katekar, a także inni na komisariacie, aż piali z zachwytu nad ghoći, wszędzie krążyły długie opowieści,

pojawiające się i znikające, żarty o ćut i o khadzie, o tope, danie, hathijarze i mausambi, tak, tamta miała mausambi tak krągłe i słodkie, że można by ze skóry wyskoczyć, żeby je zobaczyć. Mausambi, granaty, dudh–kitanki, kokosy. I jeszcze mai, ćabbis, ćhaww. Być może jestem jedynym, pomyślał Sartadź, który zna opowieści o cichym seksie, dalekim seksie, bolesnym seksie, nudnym seksie, beznadziejnym seksie, przerwany seksie, zbędnym seksie, żalonym, gorzkim, pogrążonym w przygnębieniu samotnym seksie. Seks. Cóż to za słowo. Cóż za wspaniała rzecz.

Ćaj i ojciec przybyli w tym samym momencie. Mąż Kauśalji nadszedł, nieomal depcząc po piętach bosemu, małemu chłopczykowi, który wbiegł z filiżankami ćaju niesionymi w specjalnym, drucianym koszyczku. Chłopiec uniósł brew w stronę Sartadźa, a kiedy ten skinął głową, bardzo zręcznym ruchem nadgarstka, profesjonalnie, podał ćaj.

– Biskut? – zapytał, podając opakowanie Parle Glucose. Sartadź wyjął monetę pięciorupiową, żeby mu zapłacić, ale zrobił to niezgrabnie. Chłopiec podniósł ją z podłogi palcami u prawej nogi, a potem płynnym, tanecznym ruchem, unosząc łydkę równolegle do podłogi, przełożył monetę do lewej ręki. Sartadź dał mu za to pięciorupiowy napiwek, na co chłopiec uśmiechnął się i zniknął.

W pokoju pojawiła się Kauśalja, a za nią staruszek. Sartadź przeszedł między nią a jej mężem, wypił łyżeczek ćaju i zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Birendra Prasad.

– Robisz mithai?

– Tak, saab. Camćam, barn i perę. Dostarczamy je do restauracji i do sklepów.

– Masz własną fabrykę?

– Tak, saab.

– A twoi synowie pracują wraz z tobą?

– Czasami, saab. Jeszcze się uczą.

– To dobrze.

– Tak, saab. Chcę, żeby daleko zaszli. W dzisiejszych czasach nigdzie się nie zajdzie bez wykształcenia.

Birendra Prasad był człowiekiem światowym, to nie ulegało wątpliwości. Tego dnia nie miał na sobie srebrzystej kurty, lecz zieloną koszulę i czarne spodnie, a krępa sylwetka czyniła go idealnie pasującym do żony. Był człowiekiem silnym i zdecydowanym, któremu z pewnością nie podobała się obecność policjantów w domu, ale starał się zachowywać spokojnie i uprzejmie. Córka trzymała się tyłu jego koszuli i patrzyła spode łba na Sartadźa. W małym pokoju było teraz dużo ludzi i Sartadź zauważył pot spływający po szyi Birendra Prasada. Inspektor wyszczerzył zęby w uśmiechu i wypił kolejny łyżeczek ćaju.

– Saab – odezwał się Birendra Prasada.

Katekar obszedł Prasada i stanął za nim po lewej. Sartadź dostrzegł, że to zaniepokoiło producenta mathai, jego oczy drgnęły w lewo, powróciły, a potem znowu uciekły w lewo.

– Birendra Prasad, byłeś kiedyś w więzieniu? – zapytał.

– Tak, dawno temu.

– Pod jakim zarzutem?

– Nic takiego. To było nieporozumienie.

– Poszedłeś do więzienia za nic?

Katekar zbliżył się do niego.

– Saab o coś zapytał – powiedział bardzo cicho.

Dziewczyna rozplakała się.

– To był tylko jeden rok – odpowiedział jej ojciec – za kradzież.

Sartadź odstawił filiżankę na krzesło i podszedł do Birendry Prasada.



– Twoi synowie również trafią do więzienia.

– Nie, saab. Za co?

– Wiesz, co oni wyprawiają? Wiesz, jak się zachowują wobec kobiet?

– Sahibie, to nieprawda.

Katekar lekko pchnął mężczyznę, położył mu dłoń na ramieniu i nacisnął.

– Uważasz, że sahib nie mówi prawdy?

– Ludzie rozpuszczają te wszystkie plotki, a to są przecież chłopcy. Ale...

– Przyślesz mi jutro swoich synów na komisariat – powiedział Sartadź. – O czwartej. Jeśli nie, to ja znowu tu odwiedzę twoją rodzinę, a także ciebie w twojej fabryce. I wsadzę twoich synów do więzienia.

– Sahibie, ja wiem, kto to robi.

Sartadź nachylił się bliżej i szepnął mu do ucha:

– Nie dyskutuj ze mną, gandhu. Chcesz, żebym zabrał ci twój izzat tu, przed twoją rodziną? Przed twoją córką?

Birendra Prasad nic na to nie potrafił odpowiedzieć.

Katekar szturchnął go w ramię i mężczyzna odsunął się na bok. Sartadź obszedł Sushmę i przekroczył próg. Wraz z Katekarem ruszyli nasłonecznioną dróżką, rozpraszając grupkę zmierzających w przeciwnym kierunku chłopców.

– Ten Wasim Zafar to niezły numer, saab – odezwał się Katekar. – Tu nie tylko chodzi o chłopaków, ale także o ich ojca.

– Zgadza się – odparł Sartadź. – Ten Birendra Prasad musi mu przeszkadzać. Sukinsyn, powinien nam o tym powiedzieć. – Było zupełnie prawdopodobne, że Birendra Prasad miał jakieś własne kontakty. Sartadź zbyt niechętnie tym jednak nie przejmował. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety, których aresztował albo chociaż dotknął, stanowili część jakiejś sieci, i trudno było marnować zawodowe życie na zastanawianie się, kto

kogo zna. Należy zachowywać pewną ostrożność, a jeśli pojawią się jakieś problemy, trzeba sobie z nimi radzić. Ale Wasim Zafar Ali Ahmad i tak powinien ich o tym uprzedzić. – Trzymaj – podał Katekarowi ciasteczka. Wybrał numer na telefonie komórkowym i po drugim sygnale usłyszał głos Wasima Zafara.

– Halo, kto mówi? – odezwał się, bardzo szybko.

– Twój bap – odrzekł Sartadź.

– Sahib? Co się stało?

– Gdzie jesteś?

– Jestem w okolicy dworca, saab. Mam tu robotę. W czym mogę pomóc?

– Możesz wyznać nam prawdę. Dlaczego nie powiedziałeś nam, że chodzi ci o Birendrę Prasada?

– O ojca? Saab, naprawdę, on nie stanowi problemu. Ale psuje swoich synów i jeży się, kiedy ktoś zwróci im uwagę. To oni go podburzają. On jest prostym człowiekiem, takim po prostu dehati, a oni są haramzada, którym wydaje się, że pozjadali wszystkie rozumy. Wystarczy tylko lekko nacisnąć tych chłopaków, żeby się uspokoili, a wtedy również on zrobi się mniej hardy.

– Widzę, że wszystko sobie przekalkulowałeś?

– Sahibie, ja niczego nie próbowałem ukryć.

– Ale nie przekazałeś nam wszystkich informacji.

– To mój błąd. Sahibie, gdzie pan jest?

– W twoim radź.

– Saab, ale gdzie w Nawnagarze? Będę tam za pięć minut.

– Może być za dziesięć. Spotkamy się w Bengali Burze, w domu Śamsula Śaha.

– Tak, saab. W ich nowym kholi?

– Zgadza się, w tym nowym kholi.

– W porządku, saab. Rozłączam się, saab.

Katekar pałaszował ciasteczko.

– Leci się z nami spotkać?

– Tak. W imię sprawiedliwości jest gotów wiele poświęcić.

Katekar tylko prychnął. Sartadź wziął ciasteczko i poszli przez basti, kierując się w stronę Bengali Bury. Wasim Zafar Ali Ahmad bardzo chętnie pokazywał się w towarzystwie policji. Dawało mu to możliwość zademonstrowania bliskiego związku z władzą, ukazania swoich możliwości załatwiania różnych spraw. Prawdopodobnie rozpuści plotkę, że to on ich wezwał, poprosił ich, żeby nie zapomnieli o przeprowadzeniu śledztwa w sprawie zamordowania Śamsula Śaha, nalegał, żeby usilniej nad tym pracowali. Zgodnie z jego wersją jest zatroskanym przywódcą społeczności, który zmusza policję do działania. Sartadź nie miał mu tego za złe. Ten człowiek objawiał się jako znakomity polityk, chociaż popełnił błąd, nic im nie mówiąc o Birendrze Prasadzie, tym niewygodnym ojcu.

Sartadź zatrzymał się na skrzyżowaniu. Biegnąca na wprost wąska dróżka prowadziła do Bengali Bury, a szersza, po prawej, do głównej drogi. Otrzepał koniuszki palców z okruszków i powiedział do Katekara:

– Spotkajmy się najpierw z Dewą.

Sartadź miał dawnego znajomego w Nawnagarze, Tamila o imieniu Dewa. Spotkali się dziewięć lat temu, kiedy Sartadź aresztował czteroosobowy gang złodziei opon na Antop Hill. Dewa mieszkał u tych złodziei, na małym, zadaszonym ganku u wejścia do ich kholi. Zapewniał o swojej niewinności, twierdząc, że tam tylko mieszka i że nie ma nic wspólnego z kradzieżami, niedawno przybył ze swojej wioski i zupełnie nie znał miasta, i wydawało mu się, że to normalna miejska praktyka, żeby trzymać opony w domu. Sartadźowi spodobała się pogoda ducha Dewy, jego nucenie dziwacznie brzmiących tamilskich pieśni, rezolucja

dziewiętnastolatka, kiedy próbował zebrać się na odwagę, chociaż drżały mu te jego chude, patykowate nogi. Sartadź postanowił więc mu uwierzyć i zajął się nim, nie zamieścił jego imienia w raporcie ze śledztwa i porozmawiał z paroma osobami o możliwości zatrudnienia chłopaka. Obecnie Dewa był bardzo przyzwoitym człowiekiem, ustatkowanym, żonatym, miał syna, a drugi miał się niedługo urodzić, zapuścił sobie mały wąsik i dorobił się już brzucha. Prowadził kuźnię w Nawnagarze, w której spocona ekipa Tamilów produkowała ogromne, żelazne koła do ręcznych krosien, ogrodzenia i okucia, przeróżne wyroby wykonywane na specjalne zamówienie.

Sartadź skręcił zatem w prawo i po drodze zadzwonił do Wasima Zafara Ali Ahmada, z informacją, że trochę się spóźnił. Drogę niedawno wyasfaltowano i teraz ciągnął po niej nieprzerwany sznur rowerów i skuterów. W tej części Nawnagaru domy były stare i solidne, wszystkie wyposażone w porządne podłączenie wody i elektryczności. Wiele z nich miało dwa lub trzy piętra, a na parterze od strony ulicy znajdowały się sklepy i warsztaty. Nad nierówną linią dachów przepływała jakaś twarz, zza gzymsów wyłaniały się i zaraz znikwały ogromne, świecące, brązowe oczy, większe od wszystkich okien, błyszczące czoło naznaczone błękitnym światłem, na w pół otwarte usta i kręcone włosy, a wszystko jakoś zwiewne i jakby niebiańskie. Sartadź wiedział, że to jedynie sprytnie oświetlona twarz modelki na wielkim billboardzie umieszczonym nad główną drogą, ale jej tak uważny wzrok rozpraszał go. Spuścił oczy i szedł dalej.

Kiedy tylko Dewa ich zobaczył, zamówił napoje i nie chciał słyszeć o odmowie. Zza węgła wyszedł chłopczyk z dwiema butelkami lemoniady limca, które Sartadź i Katekar wypili na zewnątrz, stojąc tuż przy drzwiach warsztatu. W środku mrok rozpraszały tylko dwa blade, wpadające przez dach strumienie światła, podgrzewające blask rozbryzgującego się w

formach roztopionego żelaza i twarze prawie zupełnie nagich mężczyzn, którzy stopami obsługiwali miechy, wysoko podnosząc nogi i opuszczając je w tej swojej nieustannej i powolnej wspinaczce.

– Myślałem, że już pan o mnie zapomniał, saab – odezwał się Dewa.

– TAMILOWIE zachowywali się przyzwoicie.

Dewa ryknął śmiechem. Nachylił się w stronę otwartych drzwi i głośno przetłumaczył swoim robotnikom słowa Sartadźa. Wśród iskier zamigotały promienne uśmiechy. Można było żyć w Nawnagarze i nigdy nie mówić innym językiem niż tamilski. Przez łomot i huk nadeszła odpowiedź.

– On mówi – rzekł Dewa – że jesteśmy tak grzeczni, że teraz nawet ci Rakszakowie nas kochają.

W pewnym okresie członkowie Rakszak demonstrowali swój lokalny patriotyzm rodowitych mieszkańców Mumbaju, synów tej ziemi, wypędzając tamilskich imigrantów. Sartadź postawił pustą butelkę limca przy drzwiach.

– Jasne. Teraz gonią innych ludzi. – Siłowy szowinizm wciąż przyciągał elektorat, trzeba było jedynie sprytnie dobierać wrogów. Dlatego też Rakszakowie przeciwstawiali się zagrożeniu, które stanowili Bengalczyki, i wzywali „pozbawionych uczuć patriotycznych” indyjskich muzułmanów do opuszczenia kraju. Gra była ta sama, jedynie cele inne. Sartadź odciągnął Dewę od drzwi i od gorących oparów i wspólnie ruszyli drogą, przekraczając rynsztok. Katekar zdążył tuż za nimi.

– Pan prowadzi śledztwo w sprawie tego morderstwa – odezwał się Dewa. – W sprawie tego chłopaka zabitego przez kolegów.

– Tak. Wiesz coś na ten temat?

– Nie. Żadnego nie znałem.

– Słyszałeś kiedyś o pracowniku socjalnym, niejakim Wasimie Zafarze Ali Ahmadzie?

– Tak, tak. To sukinsyn. Cwany gość.

– Jak bardzo cwany? Wiesz coś o jego dhandzie?

– Jego ojciec jest tu rzeźnikiem. A syn chyba głównie pracuje w opiece społecznej. Ale ma wielu kuzynów, ci kuzyni zaś mają warsztaty samochodowe. Dwa tutaj, jeden gdzieś w Bhandup. Cała rodzina jest nieźle ustawiona.

– A te warsztaty są legalne czy szemrane?

– Tak pół na pół, saab. Słyszałem, że handlują używanymi częściami. – Dewa miał wyjątkowy uśmiech, wysuwał szczękę do przodu, oczy zwężyły się, a rząd lśniących zębów przecinał jego twarz na pół. Używane części mogły pochodzić z dowolnego miejsca, ze źródeł legalnych, ale także z samochodu jakiegoś frajera. – Któryś z tych kuzynów, czy kilku nawet miało kłopoty. Nigdy nie zostali aresztowani, ale chodziło o jakieś różne drobne sprawy.

– Znasz nazwiska tych kuzynów?

– Nie, ale możemy to sprawdzić. – Dewa poprowadził Sartadza i Katekara za róg, do piekarni, wielkiej hali z blaszanym dachem, w której na jednym końcu znajdowały się wielkie piece, a stojący przed nimi w rzędach mężczyźni zagniatali ciasto. Na samym końcu hali znajdowało się małe biuro, prawie w całości wypełnione korpulentną postacią właściciela. Mężczyzna pozbierał poły swojego lungi i sterczący brzuch i wyszedł do swoich pracowników, a w tym czasie Dewa skorzystał z jego telefonu. Sartadz wsłuchiwał się w nosowe dźwięki południowych rytmów, jak zawsze przypominające mu o Mehmudzie i o dziecięcym śmiechu, i starał się nie oddychać zbyt głęboko. Zapach świeżych bochnów chleba był przyjemny, ale obezwładniający, nazbyt bogaty i gęsty w tym dusznym upale. Dewa odbył dwie rozmowy telefoniczne, a Sartadz wiedział, że w tym czasie porusza struny swoich tamilskich kontaktów w całym

Nawnagarze, trąca je i nasłuchuje, co nadejdzie w odpowiedzi. Kiedy Tamilowie po raz pierwszy pojawili się w mieście, budzili postrach i stanowili cel ataków i nienawiści ludzi z Rakszak, jako obcy, którzy rzekomo kradną pracę i ziemię. Teraz byli już starymi mieszkańcami Mumbaju, prawdziwymi Mumbaikarami.

Dewa rozsiadł się na krześle. Złożył palce w małą piramidkę i powiedział:

– Gotowy pan jest, saab? Proszę pisać.

Podał Sartadźowi pięć nazwisk wraz z dokładną genealogią, stopień ich pokrewieństwa z Wasimem Zafarem Ali Ahmadem oraz szacunkową oceną jego zaangażowania w ich interesy, zarówno te legalne, jak i te inne. Były to pewne informacje.

– Brawo, Dewa – pochwalił go Sartadź. Katekar skinął życzliwie głową. Sartadź położył na biurku obok Dewy dwa banknoty pięćsetrupiowe. Znali się od lat, ale na dłuższą metę lepiej było, żeby prowadzili interesy w sposób profesjonalny. Wyświadczenie uprzejmości trwa dopóty, dopóki po żadnej ze stron nie pojawi się uraza. Gotówka za dostarczone informacje zapewniała ich dalszy napływ.

Sartadź i Ketekar pożegnali się z Dewą i ruszyli w kierunku Bengali Bury. Idąc w górę, inspektor obejrzał się przez ramię na morze brunatnych jak błoto i białych dachów Nawnagaru, pod zachodzącym słońcem tworzących sięgający od horyzontu po horyzont szeroki i zwarty półksiężyc. Ten widok jak zawsze zrobił wrażenie na Sartadźu, tym swoim krwawym, czerwonym ogromem i melodramatycznością, tą przygniatającą energią samej swej istoty, wprost trudno było pojąć, że coś takiego, ten Nawnagar, może w ogóle istnieć. A jednak był tu, otaczał Sartadźa z obu stron i górował nad nim, z pąsowymi ustami i w pełni realny.

Odwrócił się. Dopiero teraz zauważył, że Katekar niesie wielką papierową torbę wypełnioną świeżymi paw, które on i jego rodzina mieli jeść przez kilka następnych dni. Większość produktów, spożywanych nie tylko przez Katekara, ale przez wszystkich innych ludzi, docierała z Nawnagaru lub przez Nawnagar, albo z podobnych nagar. Nawnagar produkował ubrania i tworzywa sztuczne, papier i buty; był maszyną, która pompowała życie w miasto.

Wasim Zafar Ali Ahmad czekał w pobliżu kholi Śamsula Śaha, w otoczeniu gęstego tłumku petentów. Machał do Sartadża i Katekara ręką, w której lśnił telefon komórkowy. Jakaś kobieta ciągnęła go za ramię, a on mówił do niej coś szybko w języku bengali, uspokajającymi gestami starając się uwolnić z jej uścisku.

– Saab – powiedział. – Przepraszam, ale jak już mnie dorwą ci ludzie, nie pozwalają mi odejść.

– Mówi pan po bengalsku?

– Tylko trochę. Wie pan, w ich bengali jest dużo urdu.

– A jakimi jeszcze językami pan mówi?

– Gudzarati, saab. Marathi, trochę sindhi. Jak się dorasta w tym Mumbaju, człowiek łapie trochę z wszystkiego. Staram się też poprawić swój angielski. – Pokazał na egzemplarz „Filmfare”. – Staram się codziennie czytać angielski magazyn.

– Naprawdę imponujące, sahibie Ahmadzie.

– Are, jestem młodszy od pana. Proszę mówić do mnie Wasim. Proszę.

– Dobrze, Wasim. Rozmawiałeś już z rodziną Śamsula Śaha?

– Nie, nie, sir. Sądziłem, że pan będzie chciał sam to zrobić. Ale jeden z tych ludzi powiedział mi, że ojca nie ma w domu, jest w pracy. Natomiast jest tu jego matka.



– Wewnątrz?

– Tak.

– Nie wpuszczaj tych ludzi, kiedy będę z nią rozmawiał.

Zamordowany chłopak kupił dla swojej rodziny lepszy dom, widać to było już po solidnym frontonie stojącej przy uliczce nieruchomości. Sartadź zapukał. Stojąc w drzwiach, widział cztery pokoje, osobną kuchnię i wykończone plastikowym laminatem szafki. Matka zmarłego odesłała córki do pokoiów na tyłach i wyprostowana stała w oczekiwaniu.

– Pani Moina Khatun? – zapytał Sartadź. – Matka Śamsula Śaha?

– Tak.

Córki Moiny Khatun wychowywano w surowej pardzie, ale ze względu na swój wiek wobec siebie samej ta kobieta nieco łagodziła ten reżim, przynajmniej kiedy stała w drzwiach własnego domu. Sartadź stwierdził, że wygląda na mniej więcej sześćdziesiąt lat, chociaż w rzeczywistości mogła mieć nawet niespełna pięćdziesiąt. Ubrana była w niebieski śalwar–kamiz z białą dupatą na głowie.

– Porządne kholi syn wam załatwił. – Sartadź nie potrafił ocenić, czy nieprzeniknioność Moiny Khatun wynika z przyjętej przez nią taktyki, czy też jest jej cechą. Zupełnie nie potrafił jej rozgryźć. – To był dobry chłopak. Jak to się stało, że związał się z tymi dwoma?

Przechyliła głowę na bok. Nie wiedziała.

– Czy znała pani tego ich znajomego Biharczyka, tego buhai Rejaza?

Moina Khatun znowu powoli pokręciła głową.

Na uliczce panowała cisza, pod którą zalegała ogromna otchłań nieszczęścia. Sartadź miał wrażenie, że potknął się na jej krawędzi, i teraz nie bardzo wiedział, co ma robić dalej, gdzie ma naciskać i czy w ogóle naciskanie jest tu dobrym pomysłem. W tej ciszy odezwał się Katekar.

– To wbrew naturze, żeby syn umierał wcześniej niż rodzice. Nie można się z tym pogodzić. Ale On – tu Katekar wskazał palcem w górę – daje i odbiera, z sobie tylko znanych racji, to on pisze nasze losy.

Moina Khatun zaczęła płakać. Otarła oczy i skuliła ramiona.

– Musimy się z tym pogodzić – powiedziała ochryłym głosem. – Musimy się z tym pogodzić.

Katekar stał ze złożonymi z przodu rękami, lekko pochylony, pełen autentycznej troski i w najmniejszym stopniu nie sprawiając groźnego wrażenia.

– Tak. Ile lat miał Śamsul?

– Dopiero osiemnaście. W przyszłym miesiącu miał skończyć dziewiętnaście.

– Był przystojnym chłopakiem. Zamierzał się wkrótce ożenić?

– Już mu się oświadczano. – Moina Khatun ożywiła się, jej zalana łzami twarz rozpogodziła się na wspomnienie minionych dyskusji. – Ale on powiedział, że najpierw chce wydać wszystkie siostry za mąż. Mówiłam mu, że najmłodsza ma dopiero dziewięć lat i że on się zestarzeje, zanim przyjdzie czas na jej mała badol. Ale Śammu powiedział, że zbyt wczesny ożenek to głupota. Najpierw ustatkuję się, będę miał ładny dom, tak mówił. Jaki sens się żenić, a potem siedzieć w domu rodziców i wysłuchiwać kłótni między żoną a teściową? Nie chciał nas słuchać. Najpierw one, a potem ja, zawsze powtarzał.

– To był dobry chłopak. Porządne kholi wam urządził.

– Tak. Bardzo ciężko pracował.

– Czy pani wie, jaką pracą się zajmował?

– Pracował w takiej firmie, roznosił paczki.

– Tak. Ale robił coś jeszcze z Bazilem i Faradżem, prawda?

– Nic o tym nie wiem.

Sartadź widział, że Moina Khatun nie próbuje niczego ukrywać, rzeczywiście nic nie wie o tym, co łączyło jej syna z zabójcami. Nie było w tym nic dziwnego, chłopak nie miał żadnego powodu, żeby opowiadać matce o swojej przestępczej działalności. Ale Katekar jeszcze się nie poddawał.

– Oni trzej byli dobrymi kolegami. Dorastali razem, tu w basti?

– Tak.

– Dlaczego się pokłócili?

– Ten Faradź zawsze zazdrościł mojemu synowi. Nie miał pracy, nic nie robił. Nawet kiedy byli jeszcze mali, zawsze bił się z Sammu. – Twarz jej pociemniała, i kobieta potrząsnęła pięścią, przechodząc na bengalski. Od tego wściekłego wymachiwania zsunęła się z jej głowy dupatta, a głos załamał się i przybrał na sile, teraz już krzyczała. Sartadź poczuł, jak jej żal wciska się mu do gardła, cofnął się więc i rozejrzał w poszukiwaniu Wasima.

– Ona przeklina Faradża i jego rodzinę, saab – odezwał się Wasim. – Mówi, że to diabły. Same takie rzeczy.

Rysy twarzy Moiny Khatun straciły tę ostrość, rozplywając się w kształt, na który Sartadź nie umiał spokojnie patrzeć. Odchrząknął.

– Nic przydatnego?

– Nic – odparł Wasim.

– W porządku. Chodźmy.

Oddalił się. Katekar uniósł dłoń w stronę kobiety i ruszył za nim. Już prawie znikali za rogiem, kiedy zawołała do nich w języku hindi.

– Nie dajcie im uciec. Złapcie ich. Nie odpuście im.

Sartadź odwrócił się, spojrzął na tę kobietę i ruszył dalej. Uliczka rozszerzała się, zbliżając się do głównej drogi, a on czuł kroki Katekara za

sobą. Zwolnił, poczekał, aż Katekar z nim się zrówna, i skinął mu głową. Doszli do głównej drogi i podeszli do gypsy.

– Wasim – odezwał się Sartadź.

– Tak, saab. – Wasim biegł przy nich, niewzruszony, ulizany i emanujący szczerością.

– No dobra, posłuchaj, sukinsynu – powiedział Sartadź. – Jeśli chodzi o tego Birendrę Prasada...

– Sahibie, zapewniam, z nim nie będzie żadnych problemów. Już mówiłem, to przez tych jego synów są kłopoty.

Po lewej stronie drogi stał mur pokryty malowanymi reklamami cementu i pudru do twarzy. Sartadź podszedł do ściany i rozpiął spodnie.

– Posłuchaj, powiedziałeś, że jestem od ciebie starszy. Pozwól w takim razie, że dam ci drobną radę. Nie uważaj się za mądrzejszego od ludzi, z którymi chcesz pracować. Nie ukrywaj rzeczy, które mogą im się przydać. – Strumień rozbryzgiwał się głośno u podstawy ściany, a Sartadź dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo go przycisnęło. – Nie rób mi niespodzianek. Nie lubię niespodzianek. Ja lubię informacje. Jeśli coś wiesz, to powiedz mi. Powiedz, nawet jeśli wydaje ci się, że to nie jest ważne. Lepiej mieć za dużo informacji niż za mało. Jasne?

– Sahibie, ale naprawdę, ja nie chciałem pana oszukać.

– Jeśli uważasz mnie za głupca, to może jestem takim głupcem, który będzie musiał zainteresować się pewnymi sprawami w tym rejonie, sprawdzić niektórych ludzi. Niech no pomyślę, jak oni się nazywali, ci twoi kuzyni? Salim Ahmad, Śakil Ahmad, Nasir Ali, Amir...

– Sahibie, ja wszystko rozumiem. To już się nie powtórzy.

– No, dobra. W takim razie może uda się nam dłużej współpracować.

– Ależ, sahibie, na tym właśnie mi zależy. Na długotrwałych i dobrych stosunkach.

Sartadź wycisnął i strzepnął resztki, cofnął biodra, schował co trzeba i zapiął rozporek.

– Polityka możesz odgrywać gdzie indziej. Nie przed nami.

– Oczywiście, saab.

Sartadź sięgnął do kieszeni po chusteczkę, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że Wasim podaje mu swój egzemplarz „Filmfare”.

– Proszę to wziąć, saab.

– Co?

– W tym magazynie są dobre informacje, saab.

Wasim uśmiechał się chytrze, półgębkiem. Sartadź wziął od niego czasopismo, a kiedy je otworzył i przekartkował, strony automatycznie rozłożyły się na czarno-białym zdjęciu Dewa Ananda, częściowo schowanym za spiętym spinaczem cienkim plikiem tysiącrupiówych banknotów, starannie ułożonych od prawej do lewej.

– To tylko mała nazrana, saab. Z nadzieją na dalszą przyjaźń.

– Zobaczymy, jak to będzie – odparł Sartadź. Zwinął czasopismo i wsunął je pod pachę. – Kazałem Birendrze Prasadowi przyprowadzić jutro synów na komisariat. Jeśli się nie pojawią, rozejrzyj się, gdzie mogą być, żebyśmy mogli ich dopaść, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– To żaden problem, saab. Aha, saab, jeszcze jedno, czy mógłby pan wspomnieć o mnie sahibowi Madźidowi Khanowi, przesłać mu moje salaam...

– Pozdrowię go – rzekł Sartadź. – Ale nie spodziewaj się, że za cztery tysiące rupii stajesz się honorowym gościem na komisariacie. To tylko ćillar.

– Nie, nie, saab. Jak już powiedziałem, to tylko nazrana.

Rozstali się z Wasimem, a Sartadź z zadowoleniem stwierdził, że ten człowiek wreszcie zrozumiał charakter ich współzależności. Siedząc w

samochodzie, rozwinął egzemplarz „Filmfare”, wyjął jeden banknot i podał go Katekarowi, a on schował go do górnej kieszeni. Sartadź będzie musiał też dać coś Madźidowi. Nie miał obowiązku przekazywać wyżej żadnych pieniędzy, tak małe kwoty – poniżej jednego lakha – stanowiły część podstawowego uposażenia policjantów pracujących w terenie, a starsi inspektorzy czy komisarze uczestniczyli w podziale tortu tylko wtedy, kiedy był dostatecznie duży. Będzie musiał jednak przekazać Madźidowi pozdrowienia od Wasima Zafara Ali Ahmada i zaoferować mu tysiąc rupii, co Madźid, oczywiście, wyśmieje. Znali się od lat, i tysiąc – a nawet cztery tysiące – to było tylko kieszonkowe.

– Sahibie – odezwał się Katekar. – Co będzie z tym popołudniem?

– Pamiętam. – Katekar chciał mieć wolny wieczór, chciał gdzieś się wybrać z rodziną. – Jedźmy do Dźuhu, tam wysiądziesz, a ja pojedę dalej.

– Sir, nie trzeba...

– Nie ma sprawy. Jedź.

Sartadź poczuł przyływ sympatii dla tego statecznego i godnego zaufania Katekara. Megha mówiła, że Katekar i on są jak stare małżeństwo, i może miała rację, ale jego partner wciąż potrafił go zaskoczyć.

– Sądziłem, że nie lubisz Bengalczyków – powiedział Sartadź.

– Lubię Bengalczyków w Bangladeszu.

– A ta kobieta? Moina Khatun?

– Ona straciła syna. To bardzo ciężkie przeżycie. Nawet jeśli był złodziejem. Jak brzmiał ten dialog z *Śolę*? Ta kwestia Hangala? „Największy ciężar, jaki człowiek może nieść, to artheri jego syna”.

– Zgadza się. – I zgodnie z logiką filmu ten bengalski syn kradł, żeby wydać za mąż swoje biedne siostry.

Przejechali przez wiadukt, nad rozklekotanym pociągiem wypełnionym w późne popołudnie tłumem, który wylewał się już przez drzwi. Ten zmarły

chłopak nie tylko pragnął małżeństwa dla swoich sióstr, chciał mieć telewizor, kuchenkę gazową, szybkowar i większy dom. Bez wątpienia marzył o nowiutkim samochodzie, takim samym jak srebrzysta toyota camry, która ich teraz wyprzedzała. Jego marzenia nie były nierealne, przecież byli tacy ludzie jak Ganeś Gaitonde czy Sulejman Isa, którzy zaczęli od drobnych kradzieży i dorobili się własnych parków samochodowych z oplami vectra i hondami accord. I byli też inni chłopcy i dziewczęta, którzy pochodzili z brudnych wiosek, a teraz spoglądali z billboardów, piękni i nierealni. Coś takiego mogło się wydarzyć. Zdarzało się, i dlatego ludzie wciąż próbowali. Zdarzało się. Na tym polegał ten sen, wspaniały sen Mumbaju.

– Jak leciała ta piosenka? – zapytał Sartadź. – Wiesz, ta, którą śpiewał Śahrukh, już nie pamiętam w jakim filmie. „*Bas khwab itna sa he...*” – Katekar skinął głową, a Sartadź widział, że Katekar rozumie, skąd się wzięło to pytanie; na wspólnych patrolach po mieście spędzili tyle czasu, że od razu rozumieli jeden drugiego, w lot chwyтали metafory i przeskoki myślowe.

– Tak, tak – powiedział Katekar. Nucił melodię, palcem wskazującym wybijając rytm na kierownicy. – *Bas itna sa khwab he... śan se rahu sada...*<sup>9</sup> Mmmmm, mmmmm, a potem?

– Tak, tak. *Bas itna sa khwab he...* Hasinaję bhi dii ho khoti, dii kaje kamal khile...

I razem zaśpiewali: „*Sone ka mahal mile, barasne lagę hire moti... Bas itna sa khwaab hai*”.

Sartadź się przeciągnął.

– Śamsul Śah rzeczywiście miał wielkie khwab – powiedział.

Katekar tylko prychnął.

– Zgadza się, saab, ale to jego wielkie khwab w końcu wzięło go za gand.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Dwie kobiety, siedzące w przejeżdżającej po prawej motoroksy, odwróciły przerażone twarze i skryły się pod brezentową osłoną. To jeszcze bardziej rozbawiło Sartadź. Zdawał sobie sprawę, że ten nagły wybuch szalonej i skrzekliwej wesołości policjantów w gipsy może wydać się przerażający, ale to tylko dodawało smaczku zabawie. Megha powiadała; „Opowiadacie te swoje okropne historie policyjne, a potem rechoczenie jak jakieś bhuty, to naprawdę wygląda strasznie”. Ze względu na nią starał się z tym skończyć, ale nigdy mu się to w pełni nie udało. W tej chwili odczuwał jednak przyjemność, że jedzie przez miasto z Katekarem, śmiejąc się bez opamiętania, i nie miał żadnego powodu, żeby się pohamować, więc śmiał się jeszcze głośniej.

Już spokojni, zaparkowali przy łuku Dźuhu Caupati, przeciskając się przez zakorkowane w godzinach szczytu ulice. Sartadź obszedł maskę gipsy, czując delikatny wiaterek znad oceanu. Stoiska z ćat były już oświetlone światłem neonów, a od strony drogi napływali klienci.

– Przekaż chłopakom moje salaam – odezwał się Sartadź.

Katekar uśmiechnął się.

– Dobrze, saab. – Dotknął dłonią piersi, a potem ruszył w stronę plaży.

Sartadź śledził go wzrokiem, patrzył na ten jego pewny krok, kołysanie potężnych barków, na podstrzyżone włosy. Doświadczone oko od razu rozpoznawało w nim policjanta, ale miał talent do tropienia przestępców i wspólnie dokonali przyzwoitych aresztowań.

Jadąc przez Ville Parle, Sartadź nucił sobie: „*Man dźa aj khuda, itni si he dua*”<sup>10</sup>, ale nie mógł przypomnieć sobie końcówki piosenki. Wiedział, że ta melodia będzie mu się kołatać po głowie przez cały dzień i że ostatnią mantrę przypomni sobie bardzo późno, gdzieś między nocą a snem. „*Man dźa aj khuda*”, zaśpiewał.



Katekar spotkał Śalini i chłopców zgodnie z umową czekających obok stoiska z nazwą „Wielkie Międzynarodowe Centrum Ćatu”. Pogłaskał Mohita po głowie, lekko szturchnął go w brzuch. Mohit odpowiedział rehotliwym chichotem, który wywołał uśmiech na twarzach Rohita i Śalini.

– Znowu się spóźniają? – zapytał Katekar.

Śalini skrzywiła obojętnie usta. Katekar znał to spojrzenie – jeśli nie można czegoś zmienić, trzeba się z tym pogodzić. A Bharti i jej mąż zawsze się spóźniali.

– Chodźmy usiąść – powiedział Rohit. – Wiedzą, gdzie zawsze siedzimy.

Katekar rozejrzał się po stoiskach i po ulicy. Widok zasłaniały dwa autobusy stojące jeden za drugim.

– Rohit, rzuć okiem, może właśnie próbują przejść przez ulicę.

Rohitowi nie spodobał się ten pomysł, ale poszedł, ze złością klapiąc ćappalami po betonie. Ostatnio wystrzelił w górę, przez co zrobił się chudy, ale Katekar był pewien, że chłopiec nabierze masy, kiedy dojdzie do dwudziestki, kiedy się pobierze i ustakuje. Wszyscy mężczyźni w rodzinie z wiekiem nabierali imponującej tężyzny, zyskiwali budzące respekt barki i ramiona, przyzwoity brzuch. Rohit odwrócił się, kręcąc głową.

– Papa, ja chcę sew–puri – Mohit pociągnął Katekara za koszulę.

– Chodźmy usiąść – powiedziała Śalini. – Znajdą nas.

Rohit nie zaszedł zbyt daleko, ale Śalini nie musiała już dłużej nakłaniać Katekara. Bharti była jej siostrą i jeśli Śalini uważała, że mogą siadać, Katekar nie miał nic przeciwko temu.

Znaleźli dwie maty, leżące jak najdalej po prawej stronie, i rozsiedli się wygodnie. Katekar zdjął buty, usiadł po turecku i westchnął. Słońce było jeszcze dostatecznie wysoko, żeby ogrzewać mu kolana, ale czuł już lekką bryzę na piersi. Rozpiął koszulę i wytarł kark chusteczką, słuchając, jak

Śalini, Rohit i Mohit składają zamówienie u chłopaka, który przyprowadził ich na to miejsce. Katekar nie miał jeszcze chęci na jedzenie. Rozkoszował się tym uczuciem odpoczynku, tym, że nie musi przestępować z nogi na nogę, jak kelner, który właśnie pospieszył do kuchni.

Chłopiec szybko wrócił z jedzeniem, profesjonalnie nim balansując, kiedy lawirował między spacerowiczami.

– Hej, tambhi – odezwał się Katekar – daj mi narwał–pani.

– Tak, seth – odparł chłopiec, i już go nie było.

– Narial–pani? – zapytała się Śalini, uśmiechając się filuternie.

W ubiegłym miesiącu opowiedział jej o przeczytanym w popołudniowej gazecie artykule, w którym twierdzono, że kokosy zawierają dużo niezdrowego tłuszczu. Machnęła tylko ręką i powiedziała, że nie wierzy w te wszystkie nowomodne rzeczy, o których on czyta w gazetach, bo przecież czy ktoś kiedyś rozchorował się od jedzenia kokosów czy picia narial–pani? Ale nigdy niczego nie zapomniała i tym razem również nie miała zamiaru opuścić okazji, żeby wytknąć mu ten jego nieoczekiwany lekceważący stosunek od nauki. Przechylił głowę i uśmiechnął się.

– Tylko dziś.

Odwzajemniła jego uśmiech i dała mu spokój. Katekar rozsiadł się wygodnie i popijał narial–pani, obserwując Mohita, zajętego swoim sew–puri, i Rohita, oglądającego się za przechodzącymi dziewczynami. Na lśniącym horyzoncie kołysał się jakiś statek. Katekar przyglądał się mu, i chociaż wiedział, że statek nie stoi w miejscu, nie potrafił dostrzec najmniejszego ruchu.

– Dada!

Katekar odwrócił się i zobaczył Wisznu Ghodke, który machał do nich jak szalony. Precisnął się przez tłum, a za nim Bharti i dzieci. Po burzliwych powitaniach i wielokrotnym przechodzeniu z miejsca na

miejsce, w końcu rodzina rozsiadła się na dwóch matach. Bharti spoczęła obok Salini, a Wisznu w pobliżu Katekara. Dzieci siedziały między Bharti a Wisznu. Obie dziewczynki miały typowe wstążeczki i wymyślne sukienki, ale chłopiec, długo oczekiwany syn, który urodził się jako ostatni, po wielu modlitwach i odprawianych obrzędach, był wystrojony jak na ślub. Miał małą, niebieską muszkę i wielki, czerwony, plastikowy zegarek, który nieustannie nakręcał i nastawiał. Mohit i Rohit nachylali się, żeby go trochę potarmosić, i Katekar poczuł przypływ sympatii do swoich synów, widząc, że chcą zmierzić staranną fryzurę tego małego, nadętego smarkacza. Lekko uszczypnął w policzki swoje dwie siostrzenice, a Salini i Bharti z miejsca zatopiły się w ożywionej dyskusji na temat aktualnej intrygi rodzinnej, w którą wplątani byli krewni jakichś krewnych. Katekar bardziej lubił swoją starszą siostrzenicę, która spokojnie, z rosnącym zrozumieniem i rezygnacją obserwowała, jak jej brat zajmuje centralną pozycję w świecie jej rodziców.

– Wyrosłaś, Sudha – powiedział. – Bardzo szybko.

– Ona je jak koń – jej ojciec zarechotał i położył rękę na jej głowie.

Katekar dostrzegł zaciśnięte ze złości wargi Sudhy, kiedy dziewczynka zrobiła unik, żeby szepnąć coś swojej siostrze do ucha. Wisznu miał głos tak donośny, że nie potrzebował żadnego megafonu.

– Chce wyrosnąć – powiedział Katekar – i być wysoka jak ja. Sudha, chodź tu i usiądź koło mnie. Ja też jestem bardzo głodny. Are, tambhi.

Sudha usiadła więc obok Katekara i wspólnie przeglądali poplamione menu, z którego wybrali bhelpuri, papri ćat oraz ulubione danie Sudhy, paw bhadzi. Razem zabrali się do jedzenia i Katekar delektował się kwaśnym posmakiem, mieszającym się na języku ze słodyczą. Jedzenie było największą i najbardziej niezawodną przyjemnością, a posiłek spożywany na plaży Caupati, kiedy siedziało się wraz z żoną i rodziną, przy łagodnie

podnoszącym się i opadającym oceanie, sprawiał mu tyle satysfakcji, co prawie żadna rzecz na świecie. Siedział więc i słuchał, co mówi Bharti. Miała na sobie lśniące, zielone sari. Nowe, jak zauważył Katekar. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, była przysadzistą małą dziewczyną, zbyt wstydliwą, żeby się do niego odzywać. Zaledwie parę lat później Wisznu dał jej ogromnie ciężką mangalsutrę, Katekar nie pamiętał, żeby ktokolwiek na jakimkolwiek ślubie w rodzinie otrzymał cięższą, i od tego czasu usta się jej nie zamykały. Również teraz miała tę mangalsutrę na sobie, obok złotego łańcucha, który dwukrotnie opasywał jej szyję.

– Ten Bipin Bhonsle to straszny haramkhor – powiedziała. – Przed wyborami opowiadał, że doprowadzi do osiedla nowy, dodatkowy wodociąg. Teraz nie tylko nie ma nowej rury, ale stara przecieka co dwa tygodnie. Trójka dzieci i brak wody, to nie do wytrzymania.

– To nie głosujcie na niego w następnych wyborach – odezwał się Katekar.

– To niemożliwe, dada – stwierdził Wisznu. – On ma zbyt wiele układów, zbyt wiele kontaktów. A kandydaci z innych partii to same gadhawy. Nikt z nich nie może wygrać. Głosowanie na kogoś innego równa się stracie głosu.

– W takim razie znajdźcie jakiegoś dobrego kandydata.

– Are, dada, kto może się mierzyć z Bhonslem? I gdzie teraz można znaleźć dobrego kandydata? Potrzebny jest ktoś, kto będzie mocny, kto potrafi wygłosić wspaniałą mowę, kto spodoba się ludziom. Tacy kandydaci już nie istnieją. Potrzebny byłby jakiś olbrzym, a teraz wszędzie są tylko tłumy maluczkich.

Śalini przechyliła się na bok i, otrzepawszy dłonie, wygładziła sari na kolanach.

– Szukacie wszędzie, tylko nie tam, gdzie należy – powiedziała.

Wisznu był bardzo zaskoczony.

– A ty znasz kogoś?

Śalini obiema rękami wskazała na Bharti:

– Proszę bardzo.

– Co takiego? – zapytał Wisznu.

Katekar zakołysał się w przód i w tył, trzęsąc się ze śmiechu. Bardziej rozbawił go widoczny na twarzy Wisznu przestach, to nędzne przerażenie, które go ogarnęło na myśl, że własna żona mogłaby być olbrzymką, niż sam dowcip Śalini, ale dzieci podchwyciły żart i natychmiast wszystkie zaczęły rechotać.

– Tylko pomyśl – ciągnęła Śalini – moja siostra Bharti jest dzielna, ma klasę, którą może zrobić na wszystkich wrażenie, i nikt nie potrafi tak przemawiać, jak ona. Powinieneś zrobić z niej mantri.

W tym momencie do Wisznu dotarło, że to tylko żarty, i on też roześmiał się półgębkiem, naciągając wargę nad dolnymi zębami.

– Tak, tak, Tai, z niej byłby świetny premier. Wszystkich miałyby pod kontrolą.

Bharti obie dłonie trzymała przy ustach.

– Are, dewa, nie życzę sobie żadnych takich rzeczy. Tai, o czym ty mówisz? Mam ręce pełne roboty przy dzieciach. Nie chcę mieć pod sobą pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

Katekar już miał coś powiedzieć o jej ciężarze, który mógłby zmiażdżyć te pięćdziesiąt tysięcy, ale zreflektował się i tylko prychnął z zadowolenia, wyobrażając sobie twarz jej męża sprasowaną przez obfite pośladki żony. Wisznu przez chwilę wodził niepewnym wzrokiem, a potem roześmiał wraz z nim.

Kiedy Katekar skończył posiłek, przeszli się z Wisznu wzdłuż plaży. Katekar podwinął nogawki spodni, wcześniej zostawiwszy buty przy Śalini. Lubił chodzić po mokrym piasku, wygładzonym przez morze, czuć go pod

stopami. Wisznu szedł z boku, w odległości przynajmniej półtora metra, uważając na sandały. Odskakiwał na bok przed nadbiegającą falą.

– Dada – powiedział – kiedyś w końcu będziesz musiał pozwolić mi zapłacić. W przeciwnym razie będzie nam niezręcznie przyjść ponownie.

– Wisznu, nie zaczynaj znowu tej dyskusji. Jestem starszy, więc ja płacę.

– Katekar poczuł, jak z głębi żołądka podnosi mu się gorzka fala irytacji. Zdawał sobie sprawę, że to głupie, ta jego duma, z którą odmawiał jedzenia posiłków stawianych przez Wisznu, ale nie potrafił przełknąć tego samozadowolenia szwagra, tej jego satysfakcji z odniesionego sukcesu.

– Tak, tak, dada – odparł Wisznu, unosząc ręce. – Przepraszam. U ciebie wszystko w porządku?

– Jakoś sobie radzę – rzekł Katekar. Wisznu dostrzegł oczywiście tysiącrupiowy banknot, którym Katekar zapłacił kelnerowi. Nic nigdy nie uchodziło uwagi czujnego Wisznu.

W zamyśleniu przekroczył postrzępioną gałąź z palmy.

– Dada, w tym wieku powinienes już żyć na wyższym poziomie.

– W jakim wieku?

– Twoi synowie dorastają. Będą potrzebowali wykształcenia, porządnych ubrań, wszystkich takich rzeczy.

– A ty sądzisz, że ja im tego nie mogę zapewnić?

– Dada, znowu się zaczynasz złościć. Nie będę się odzywał.

– Nie, mów, co masz na myśli.

– Niewiele mówię, dada, chcę tylko powiedzieć, że ten twój ćutija inspektor sardar nigdy nie zapewni ci porządnych dochodów.

– Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Wisznu opuścił głowę i zmitygował się.

– W porządku, dada. Ale nie rozumiem, dlaczego ciągle z nim jesteś. Bez trudu mógłbyś zdobyć inne stanowiska.

Katekar nic mu nie odpowiedział. Zawrócił do czekających rodzin. Ale jeszcze tej samej nocy, leżąc w łóżku obok Śalini, pomyślał o Sartadżu Singhu. Pracowali razem od wielu długich lat. Nie sposób określić ich mianem przyjaciół, nie odwiedzali się i nie jeździli razem na wakacje. Ale poznali swoje rodziny i siebie nawzajem. Katekar dokładnie w każdej chwili wiedział, co Sartadź czuje, potrafił rozpoznać jego melancholię i radość. Ufał instynktowi kolegi. Udało im się rozwikłać sporo spraw, a kiedy ponosili porażkę, Katekar zawsze wiedział, że zrobili wszystko, co się dało. To prawda, nie zarabiał tyle pieniędzy, ile mógłby dostawać na innym stanowisku, ale czerpał satysfakcję z pracy. Czegoś takiego Wisznu nigdy by jednak nie zrozumiał. Ludzie tacy jak on nie potrafią uwierzyć, że można chcieć być policjantem z powodów innych niż pieniądze. Oczywiście, pieniądze są ważne, ale poza tym liczy się jeszcze chęć służenia społeczeństwu. Tak, naprawdę, *Sadrakszanja Khalanigrahanija*. Katekar zdawał sobie sprawę, że nikomu nie może zwierzyć się z tego pragnienia, a zwłaszcza Wisznu, ponieważ te dziwaczne słowa o ochranianiu dobrych i niszczeniu zła, a także o sewie i służbie mogą u niego wywołać jedynie śmiech. Nawet wśród kolegów z pracy nigdy o tym nie mówiono. Ale to się wyczuwało, nawet bardzo głęboko zagrzebane pod brudnymi pokładami cynizmu. Od czasu do czasu Katekar zauważał coś takiego w Sartadżu Singhu, dostrzegał ten jakiś bezsensowny, żenujący idealizm. Oczywiście, żaden z nich nigdy nawet nie wspomniałby o romantyzmie kolegi, ale może właśnie dlatego ich współpraca była tak trwała. Tylko raz, kiedy w szopie w Wikhroli uratowali z rąk porywaczy drżącą dziesięciolatkę, Sartadź Singh podrapał się w brodę i mruknął: „Dziś odwaliliśmy kawał dobrej roboty”. To wystarczyło.

I nadal wystarczało. Katekar odetchnął głęboko, odwrócił głowę, wyciągnął szyję i zasnął.

Sartadź najpierw zobaczył tłum, gęste skupisko ludzi przyciśniętych do wysokiej na dwie kondygnacje witryny. Budynek był nowym kompleksem handlowym, bardzo pięknym, z przestrzeniami z szarego kamienia i akcentami z polerowanej stali. Sartadź przyszedł do nowej siedziby swojego banku, aby zdeponować na koncie matki czeki z dywidendą, i wyszedł olśniony przestronnym działem obsługi klienta i niespotykaną pogodą urzędników bankowych. Teraz zaglądał nad zebranymi przed nim ciemnymi głowami i dostrzegł ciemnoczerwony błysk.

– Sahibie, proszę wejść do środka i zobaczyć. – Z lewej strony kiwał na Sartadza ubrany na niebiesko ochroniarz.

– To ty, Ganga – odezwał się Sartadź i wszedł przez drzwi, pilnowane przez mężczyznę. Znał go ze starej siedziby banku, gdzie ze strzelbą długolufową i złowrogim spojrzeniem pilnował sklepu jubilerskiego. – Czy twój seth również się tu przeniósł?

– Nie, sahibie. Pracuję teraz dla nowej firmy – wyjaśnił Ganga, wskazując na swoje ozdobione galonem ramię, gdzie niebiesko-biała naszywka informowała o jego nowej przynależności: „Firma ochroniarska Orzeł”.

– Lepsza firma?

– Lepsze zarobki, sahibie. – Ostatnio powstawało wiele nowych firm ochroniarskich i rosło zapotrzebowanie na byłych żołnierzy, takich jak Ganga. Zamknął drzwi za Sartadzem i odwrócił się do okna. – Tybetańscy sadhu, saab – powiedział z dumą właściciela.

Było ich pięciu, pięciu pogodnych, zamkniętych w sobie ludzi z bardzo krótko przyciętymi włosami i w powłóczystych, szkarłatnych szatach. Krzątali się wokół wielkiej, drewnianej platformy, na której widać było



kolorowy zarys koła umieszczonego w kwadracie znajdującym się wewnątrz większego koła.

– Co oni robią?

– Usypują mandalę, sahibie. Mówiono o tym wczoraj w telewizji, nie widział pan?

Sartadź nic takiego nie widział, ale teraz zauważył, że do każdego z boków kwadratu prowadzą wąskie szczeliny, rzuciła mu się w oczy również ciemna zieleń, której używał jeden z sadhu do wypełnienia obszaru wewnątrz centralnego koła. Inny sadhu tworzył małą figurkę przypominającą boginię na zielonym tle.

– Czego oni używają, proszku?

– Nie, saab, to piasek, barwiony piasek.

Było to swoiste ukojenie – patrzeć, jak piasek spada z dłoni sadhu, oglądać ich pewne i pełne wdzięku ruchy. Po chwili z niewyraźnego białego kształtu wyłoniła się przed Sartadźem ogólna konstrukcja mandali. W całym gotowym kręgu miało znajdować się kilka niezależnych, owalnych obszarów, a w każdym z nich scena z postaciami, ludzkimi, zwierzęcymi i boskimi. Między tymi owalnymi figurami, w samym centrum koła, znajdował się kształt, którego Sartadź nie umiał zidentyfikować. Owale otaczała wewnętrzna ściana kwadratu; wokół niego biegło następne koło i kolejne postaci, a potem obramowanie, ozdobione innym wzorem. Całość sprawiała wrażenie hipnotycznie skomplikowanej i na swój sposób miłej kompozycji. Sartadź z przyjemnością zagubił się w tym obrazie.

– Kiedy ją skończą, saab, wszystko zmiotą.

– Po takiej pracy? – zapytał Sartadź. – Dlaczego?

Ganga wzruszył ramionami.

– To chyba jest coś w rodzaju kobiecej rangoli. A poza tym jeśli jest zrobione z piasku, i tak długo nie wytrzyma.

Niemniej jednak, pomyślał Sartadź, to okrutne stworzyć ten cały wirujący świat, a potem od razu go zniszczyć. Ale ci sadhu sprawiali wrażenie szczęśliwych. Sartadź zwrócił uwagę na jednego z nich, starszego mężczyznę z siwiejącymi włosami, który uśmiechnął się do niego. Sartadź nie bardzo wiedział, co ma zrobić, skinął więc głową, przyłożył dłoń do piersi i odwzajemnił uśmiech. Jeszcze przez kilka minut obserwował ich pracę, a potem odszedł.

– Proszę przyjść jutro wieczorem – zawołał za nim Ganga. – Wtedy mają skończyć mandalę.

Sartadź spędził dzień w sądzie, w oczekiwaniu na złożenie zeznań w dawnej sprawie o morderstwo. Nie stawił się na dwóch ostatnich posiedzeniach i obrona zrobiła wokół tego wiele szumu, ale dziś spóźnił się sędzia i wszystkie strony czekały w ciszy. Sartadź przeczytał o Tybetańczykach w popołudniówce „Afternoon”, gdzie określono ich mianem „mnichów” i napisano, że swoją mandalę tworzą w intencji pokoju na świecie. Po lunchu w końcu pojawił się sędzia, Sartadź złożył zeznania i wrócił na komisariat. Pod portykiem czekał na niego Birendra Prasad z dwoma synami.

– Ty zaczekaj tutaj – powiedział Sartadź do Birendry Prasada. – A wy dwaj chodźcie ze mną.

– Saab? – odezwał się Birendra Prasad.

– Cisza. Za mną.

Chłopcy weszli do środka. Sartadź poprowadził ich przez frontowe pokoje do swojego biurka. Był zmęczony i okropnie chciał się napić ćaju, ale miał na głowie twych dwóch sukinsynów. Przystojni, dobrze zbudowani młodzieńcy, ubrani w jasne T–shirty.

– Który z was jest Kuśal, a który Sandźiw?

Kuśał był starszy. Zagryzał wargę, ale widać było, że jest tylko spięty, a nie przestraszony. Wciąż wierzył w ojca i w samego siebie.

– Jak tam, Kuśał, dużo w życiu zjadłeś mithai?

– Nie, saab.

– I to dlatego jesteś takim napakowanym bohaterem?

– Saab...

Sartadź uderzył go na odlew w twarz.

– Zamknij się, sukinsynu, i słuchaj, co do ciebie mówię. – Kuśał otworzył szeroko oczy w zdumieniu. – Wiem, że niepokoiście dziewczyny w waszej okolicy. Wiem, że wystajecie po gali i uważacie się za radiów wszystkiego, co tylko zobaczycie. Ale wy nie jesteście bhai, nawet nie jesteście taponi, jesteście małymi gnidami. Na co się gapisz, behenćodzie? Chodź tu. – Sandźiw skulił się i powłócząc nogami, wystąpił do przodu. Sartadź uderzył go pięścią w brzuch, niezbyt mocno, ale Sandźiw zgiął się w pół i odwrócił. Inspektor walnął go w plecy.

Tę starą, rutynową metodę demonstracji siły i zastraszania Sartadź stosował automatycznie. Gdyby był tu Katekar, wspólnie odegraliby ten rytuał, prezentując doskonale przećwiczone skoordynowanie, niemal graniczące z pięknem. Ale Sartadźowi było gorąco, był zmęczony, więc w pośpiechu wykonywał kolejne czynności. Chciał już mieć to z głowy. Chłopcy byli amatorami i nie musiał się przy nich wykazywać żadną subtelnością ani też specjalnymi umiejętnościami. Po dziesięciu minutach sapali, jękali się i byli przerażeni. Na spodniach Sandźiwa pojawiła się plama.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że sprawiacie komuś kłopot, dorwę was i dam wam prawdziwy wycisk. Zrozumiano? Może wezmę się jeszcze za waszego ojca. Może jego też trzeba będzie powiesić.

Kuśał i Sandźiw tylko wzdrygnęli się i nic nie powiedzieli.

– Wynoście się – krzyknął Sartadź. – Już!

Kiedy wyszli z pokoju, Sartadź usiadł, odchylił się na oparciu do tyłu i wyjął chusteczkę, ale okazało się, że już jest mokra. Chociaż była ohydna, wytarł nią kark i zamknął oczy.

Zadzwoił jego telefon komórkowy.

– Sahib Sartadź?

– Kto mówi? – zapytał Sartadź, chociaż rozpoznał ten chrypiący głos. To ta stara kobieta od sahiba Parulkara, ta jego wysoko postawiona osoba w Firmie S, z którą rozmawiał dwa dni wcześniej.

– Twoja sympatyczka, Iffat–bibí. Salaam.

– Salaam, Bibi. Czemu dzwonicz?

– Słyszałam, że interesuje cię pewien ćutija o imieniu Banti?

– Może.

– Jeśli się jeszcze nie zdecydowałeś, beta, to już jest za późno. Banti nie żyje, jest wykończony, ktoś się postarał, żeby go lurkao.

– To twoi ludzie go załatwili?

– Moi ludzie nie mają z tym nic wspólnego. – Jej głos brzmiał zupełnie przekonywająco. – Ten gość i tak był bezużyteczny, sala langra–lala.

– Gdzie?

– Za kilka minut będziecie to mieli w tych swoich policyjnych radiach. W Goregaonie. Tam jest takie osiedle mieszkaniowe o nazwie Evergreen Valley, to na terenie tego osiedla.

– Znam to miejsce. Dziękuję, Iffat–bibí, jadę tam.

– Dobrze. I pamiętaj, jak następnym razem będziesz czegoś lub kogoś potrzebował, najpierw porozmawiaj ze mną.

– Tak, tak. Przylecę do ciebie.

Zarechotała w odpowiedzi na jego sarkazm.

– Rozłączam się – odłożyła słuchawkę.

Sartadź jechał bardzo szybko, przyspieszając na skrzyżowaniach i co chwilę przejeżdżając z pasa na pas. Przed Evergreen Valley stała już policyjna furgonetka, a na parkingu za nią gromadka policjantów w cywilnych ubraniach. Inspektor rozpoznał kilku znanych mu członków lotnych brygad. Podchodząc do ciała, dostrzegł ich szefa, starszego inspektora Samanta, i nabrał pewności, że Banti został sprzątnięty.

– Are, Sartadź – odezwał się Samant – co słychać?

– Bas, sir, robota i robota. – Sartadź wskazał na ciało, obrócone twarzą do ziemi i skrócone w lewą stronę. Metr dalej leżał przewrócony na bok wózek inwalidzki.

– Znasz tego maderćoda? – zdziwił się Samant, unosząc brew. – Czyżby sahib Parulkar interesował się nim?

– Czy to Banti?

– Tak.

– To ja się nim interesowałem. – Sartadź przykucnął. Banti miał interesujący profil, bardzo ostry i wyrazisty, z ładnie ukształtowanym nosem. Brakowało tylnej części jego głowy, a krew i mózg rozbryzgały się dookoła. Jego kraciasta koszula na plecach była przesiąknięta krwią. – Jeden w głowę, dwa w plecy?

– Tak. Sądzę, że najpierw dostał w plecy, a potem w głowę. Nie wiedziałem, że zajmujesz się przestępczością zorganizowaną.

– Nie, w zasadzie nie. Ale miałem kontakt z Bantim. – Sartadź wstał.

– Po tym, jak dorwałeś Ganeśa Gaitondego, uznałem, że masz jakieś specjalne zadanie od sahiba Parulkara.

Samant był człowiekiem łysym, tłustym i zamożnym, który teraz bacznie przyglądał się Sartadźowi. Powiadano, że w akcjach osobiście zabił przynajmniej setkę ludzi, a Sartadź nie wątpił, że mogło tak być.

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Sartadź. – Ta historia z Bantim po prostu stanowiła część innej sprawy.

– Historia Bantiego jest już zamknięta – zarechotał Samant. – Ten maderćod ze wszystkich sił starał się zwiać. Jego wózek musiał zasuwac szybciej niż samochód. – Ręką wskazał na czarne ślady hamowania, biegnące przez parking i kończące się tuż przed ciałem Bantiego.

– To wyście thoknęli Bantiego?

– Nie, nie. To byłoby piękne, już od dawna ścigałem tego sukinsyna. Ale to robota jego ludzi. Taka jest przynajmniej nasza robocza hipoteza. Nikt, oczywiście, nie widział tego zdarzenia.

– Dlaczego mieliby to zrobić jego ludzie?

– Are, jar, Gaitonde nie żyje, więc możliwości biednego Bantiego były równie kulawe jak on sam. Samotny, bez pomocy, niewiele znaczył. Może jego ludzie przeszli na drugą stronę, może druga strona im zapłaciła.

– Sulejman Isa?

– On albo ktoś inny.

Jak widać, Bantiemu nie udało się jednak ujść cało. Sartadź podszedł do jego wózka. Rzeczywiście robił wrażenie, z szerokimi kołami, przypominającymi koła samochodu wyścigowego. Maszyna była solidna, całość wykonano z bardzo nowoczesnej, mocnej i precyzyjnie zaprojektowanej stali. Silnik i akumulator znajdowały się pod grubo wyściełanym, czarnym siedziskiem. Joystick i układ sterowania na prawej poręczy umożliwiały kierowanie pojazdem i podnoszenie podwozia zamontowanego na hydraulicznym zawieszeniu, a także wchodzenie i schodzenie po schodach, i co tam jeszcze ten elegancki rydwan potrafił robić. Ale nawet te wszystkie zagraniczne gadzety nie pozwoliły Bantiemu uciec przed kumplami mordercami i być może śledztwo pani Andźali

Mathur znalazło się w ślepych zaułku. Sartadź podniósł się. W końcu tak naprawdę to nie była jego sprawa.

– Wózek wygląda na nieuszkodzony – powiedział.

– Zgadza się. Kiedy tu dotarliśmy, kółka jeszcze się kręciły. Tam jest taki guzik, którym się to wyłącza. Weźmiemy ten pojazd. Wkrótce jeden z tych gandu zostanie postrzelony i będzie langra–lala – w tym momencie Samant zrobił minę wisielca i zwiesił bezwładnie ręce – a my skorzystamy z tego urządzenia, żeby zawieźć go do sądu.

– Bardzo sprytnie – odparł Sartadź, dotykając czoła. – Co Banti tu robił?

– Evergreen Valley składało się z trzech ogromnych budynków ustawionych na prostokątnym terenie otoczonym dwukondygnacyjnymi domkami. Zieleni było niewiele, Sartadź dostrzegł tylko kilka nieregularnych żywopłotów, biegnących pod różnym kątem między budynkami.

– Tego jeszcze nie wiemy. Może był w odwiedzinach. Może tu mieszkał.

– Sir, prosiłbym o informację, gdyby udało się wam czegoś dowiedzieć.

– Tak, tak. – Samant odprowadził Sartadźa do bramy. – Jeśli teraz interesujesz się gangami, Sartadźu, możemy współpracować. To może być bardzo korzystne, z zawodowego punktu widzenia i nie tylko. Możemy wymieniać informacje. – Samant podał Sartadźowi swoją wizytówkę.

– Oczywiście. – W rzeczywistości Samantowi zależało na tym, żeby Sartadź pamiętał, że następnym razem, kiedy dostanie cynk o jakimś wielkim połowie, formatu Ganeś Gaitonde, powinien skontaktować się z Samantem, specjalistą od takich spraw. Oprócz zawodowej chwały i medialnej sławy sprzątnięcie bhai dużej firmy mogło przynieść spore pieniądze. Inne firmy mogły zapłacić za dobrze wykonaną robotę. Powiadano, że Samant w pojedynkę wybudował wspaniały i bardzo

nowoczesny szpital w swojej wiosce w Ratnagiri. – Zadzwoń, jak coś będę wiedział.

– Tu jest numer mojej prywatnej komórki. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Sartadź opuścił Evergreen Valley, Samanta, Bantiego i jego wózek inwalidzki i powrócił na komisariat. Siedząc przy biurku, przyglądał się wizytówce Samanta. Wykwintny, złoty napis na wizytówce głosił, że Samant to w rzeczywistości „Dr Prakaś V. Samant”. Mógł się poszczycić nie tylko osiągnięciami w policji, wśród których znajdował się policyjny medal za zasługi na służbie, ale też tytułem „dyplomowanego homeopaty”. Sartadź westchnął na myśl, jak przeciętna jest jego własna kariera, a potem zadzwonił do Andźali Mathur i opowiedział jej o niefortunnym końcu jego źródła informacji.

– W takim razie wiemy tylko, że Gaitonde szukał jakiegoś sadhu?

– Tak, proszę pani.

– Ciekawe, ale to za mało.

– Tak jest.

– To się zdarza. Niech pan się postara zbadać trop związany z tą siostrą. Przynajmniej dowie się pan czegoś o ich przeszłości.

– Tak jest.

– Śabaś – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Ona rozumiała, że takie rzeczy się zdarzają, a to stanowiło dla Sartadźa pewne pocieszenie. Nigdy nie można do końca polegać na źródłach informacji, a nawet kiedy coś przekazują, informacje zawsze są niepełne. Można było jedynie podejrzewać, co się zdarzy. A jeśli informatorem był bhai, który nieustannie musiał unikać groźnych mu zawodowych zagrożeń, na pewno któregoś dnia skończy z kulką w głowie. I nikt, ani ty, ani on, nie mógł na to nic poradzić. Kulę mógł wystrzelić policjant, wróg albo



przyjaciel. Jeśli informator nie zdąży przekazać ważnej informacji, zanim jego czaszka eksploduje, sprasowana pod uderzeniem lecącego kawałka metalu, to już twój zły kismet. Bas. Banti skończony i twoja sprawa skończona.

Ale Sartadź zdawał sobie sprawę, iż tylko się pociesza stwierdzeniem, że takie rzeczy się zdarzają. W rzeczywistości nigdy nie przywykł do nagłej śmierci. Zupełnie nie znał Bantiego, rozmawiał z nim jedynie przez kilka minut, ale teraz, kiedy Banti zginął, Sartadź wiedział, że będzie on go prześladował przez kilka dni. Będzie się pojawiał nocami, kręcąc swoim orlim nosem na Sartadźa i budząc go o dziwnych porach. Inspektor przez całe życie zmagał się z tą słabością, powstrzymującą go przed podejmowaniem tych zawodowych wyzwań, które chętnie przechwytywali mężczyźni w typie Samanta. W swojej karierze Sartadź zabił tylko dwóch ludzi i wiedział, że nie potrafiłby zabić stu ani nawet pięćdziesięciu. Po prostu brakowało mu do tego hartu ducha albo odwagi. Tyle akurat o sobie wiedział.

Rozsiadł się na krześle, położył nogi na stole i wykręcił numer Iffat–bibi.

– Widzę, że udało ci się zobaczyć darśan Bantiego – powiedziała.

Sartadź się uśmiechnął. Zaczynały mu się podobać jej nieoczekiwane stwierdzenia.

– Tak, widziałem go. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

– Niech szczęście, a wraz z nim cały jego pomiot. Całe życie był tchórzliwym sukinsynem, i tak też skończył, uciekając w popłochu.

– Czyli nawet to wiesz, Bibi? Jesteś pewna, że nie twoi ludzie to zrobili?

– Are, przecież już ci mówiłam, prawda?

– Niektórzy przypuszczają, że zrobili to ludzie Bantiego.

– Czy to ten kretyn Samant naopowiadał ci takich głupstw?

– Samant odniósł wiele sukcesów, Bibi.

– Samant to jest pies żerujący na tym, co zostawia inni. Zobaczysz, on przypisze to sobie jako własną akcję. A ten ćutija nawet nie wie, że chłopcy Bantiego już dwa dni temu go opuścili. Nie potrafił zapewnić im odpowiednich przychodów, więc zajęli się inną robotą.

– Ty wszystko wiesz, Bibi?

– Długo żyję. Nie martw się, wkrótce się dowiemy, kto sprzątnął Bantiego.

– Też chciałbym się tego dowiedzieć.

– Bardzo dobrze, beta, jak będziesz chciał wiedzieć, zapytaj.

Sartadź wybuchnął śmiechem.

– W porządku, Bibi. Zapamiętam to.

Inspektor odłożył słuchawkę i pomyślał o Bantim mknącym po mieście na swoim wózku inwalidzkim, gnającym od jednej kryjówki do drugiej. Musiał być bardzo samotny i przerażony bez swoich goryli, i nic dziwnego, w końcu ktoś go wytropił i dopadł. Sartadź poczuł lekki dreszcz współczucia, przebiegający po krzyżu, ze złością odwrócił się i wstał, mocno stawiając stopy na podłodze. W swoim życiu ten gandu Banti spowodował wystarczająco dużo nieszczęść i zasłużył na to, co się z nim stało. Tym, którzy go wykończyli, należała się nagroda pieniężna, a przynajmniej medal. Sartadź miał nadzieję, że odpowiednio zadbano o tych ludzi.

Wracając wieczorem do domu, pojechał okrężną drogą, chcąc zobaczyć, jak idą tym sadhu prace nad mandalą. Poranny tłum przerzedził się, ale w półmroku, rozświetlonym jedynie jasnym kręgiem światła lampy, sadhu wciąż pracowali. Kiedy Sartadź stanął przy oknie, zauważył go spotkany rano starszy sadhu, który teraz schylił głowę i uśmiechnął się w odpowiedzi na namaste Sartadźa. Zajmował się jakąś delikatną pracą na jednym z

wewnętrznych fragmentów, kolorując jasny bok jelenia. Jeleń miał nieprzeniknione, ciemne oczy i stał na tle ciemnozielonej leśnej polany. Sartadź patrzył na opadający złoty piasek. Kula była już prawie w połowie gotowa. Zamieszkiwało ją teraz mnóstwo stworzeń, wielkich i małych, a wokół tego całego, nowego świata wirowały boskie istoty. Sartadź nic z tego nie rozumiał, niemniej jednak pięknie wyglądało to wszystko, kiedy tak budziło się do życia, więc stał i długo się w to wpatrywał.

## Ganeś Gaitonde wygrywa wybory



Kanta Bai zmarła w lutym. Cztery dni wcześniej obudziła się z gorączką. Szczyciła się swoją odpornością i gardziła wszystkimi lekarzami. Powiedziała mi, że więcej ludzi zmarło od chodzenia do szpitala niż z samych chorób. Jak zawsze piła więc kolejne szklanki soku z mausambi i wychodziła doglądać swojej tary. Spotykała się z pracownikami i wysyłała towar. Późnym popołudniem, bardzo zmęczona, wróciła do domu i poszła spać. Obudziła się o jedenastej w nocy, z dreszczami, z bólem w rękach i nogach i z rzadkim stolcem. Ale ona – głupia, myśląc, że przetrzyma wszystko, czy to pochodzenia bakteryjnego, czy ludzkiego – wciąż nie wzywała lekarza. Zjadła talerz ryżu z tofu, wzięła dwie tabletki przeczyszczające i odprawiła swoich ludzi. O ósmej rano siostra znalazła ją z wykręconym ciałem w splamionej pościeli, z wywróconymi oczami. Dowiedziałem się o tym o dziewiątej, kiedy zabrali już ją do prywatnego szpitala w Andheri. Lekarze powiedzieli, że zachorowała na malarię. Kazałem przenieść ją do Džasłoku i powiedziałem lekarzom, żeby zastosowali wszystkie zabiegi i zagraniczne medykamenty, jakich tylko potrzebuje. Ale w piątek po południu już nie żyła.

Zawieźliśmy ją do elektrycznego krematorium w Marine Lines. Kiedy zmierzała już w kierunku ognia, widać było jej zapadnięte policzki, a przykryte prześcieradłem ciało wyglądało na spłaszczone, jakby ta błyskawiczna choroba bardzo ją skurczyła. Skóra straciła już ten ciemny, czerwony rumieniec i przybrała barwę bladego mułu. Zmusiłem się, żeby za nią spojrzeć, kiedy metalowe drzwi odgradziły ją od nas na zawsze.

A później poczekałem, aż wydadzą prochy jej siostrze. Nic nie mogłem zrobić, jedynie siedzieć spokojnie obok tej siostry, czekając razem z nią, a potem odwieźć ją do domu. Nie zrobiłem nic, żeby uratować Kantę Bai – ta myśl dręczyła mnie i tego dnia, i przez następne noce. Powiedziałem ludziom, żeby uważali na swoje zdrowie i żeby szli do lekarza, kiedy tylko poczują, że bierze ich jakaś choroba. Wszystkim moim rezydentom zafundowałem darmowe badania kontrolne, a w basti rozpocząłem kampanię przeciw malarii. Kazałem oczyścić rynsztoki i podjąłem kroki w celu zlikwidowania bajor ze stojącą wodą. Ale w rzeczywistości były to tylko działania na pokaz. Wiedziałem, że zostałem pokonany.

I właśnie w tym czasie oni skontaktowali się ze mną. Chcę, żebyś o tym wiedział, Sartadźu Singhu. Sam nigdy nie szukałem kontaktów z politykami, to oni do mnie przyszli. Ja miałem swoje Gopalmath, miałem też cały ten teren wcześniej należący do gangu Cobra, prowadziłem różne interesy, pieniądze napływały, i gdyby nie ta sprawa z Kanta Bai, mógłbym powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Często stykałem się z członkami rady miejskiej, zwłaszcza kiedy załatwialiśmy stałą dostawę wody do Gopalmath, ale nie darzyłem tych typów sympatią, to byli urodzeni łgarze. Nie kochałem polityków, dlatego też nigdy nie starałem się utrzymywać stosunków z żadnym członkiem zgromadzenia ustawodawczego ani posłem do parlamentu. Ale Paritosz Śah przyprowadził do mnie jednego z nich. Powiedział: „Bhai, to jest Bipin Bhonsle. W przyszłym miesiącu startuje w wyborach do zgromadzenia i potrzebuje twojej pomocy”. Ten cały Bipin Bhonsle był elegancko ubrany, w porządne niebieskie spodnie, koszulę z nadrukiem i ciemne okulary, i wcale nie przypominał sukinsynów, których można zawsze zobaczyć w telewizji, wystrojonych w khadi–kurta, z tymi ich topi *à la* Nehru. Bipin Bhonsle był młody, mniej więcej w moim wieku, i budził szacunek.

– Namaskar, Ganeśu bhai – rzekł. – Dużo o panu słyszałem.

– To ten grubas panu o mnie opowiadał? – odparłem, wskazując mu krzesło. Wziąłem Paritosza Śaha za rękę i usadowiłem go na sofie obok siebie. Przez te lata, od kiedy się poznaliśmy, robił się coraz większy i większy, i Paritosz Śah, jakiego kiedyś znałem, powoli znikał za tą wyściełaną masą. – Proszę posłuchać, jak on ciężko oddycha, boję się o jego serce. – Wyraźnie dyszał po wspinaczce na drugie piętro.

Paritosz Śah poklepał mnie po ramieniu.

– Stosuję ajurwedę, bhai. Nie masz się o co martwić.

Opowiadał mi o swoim lekarzu, specjalście od ajurwedy, który miał klimatyzowaną klinikę, a w niej pięć komputerów.

– Lepiej byłoby, gdybyś codziennie przebiegł kilka mil – odparłem.

Pomachał ramionami, jakby podnosił ciężary, i wyglądał przy tym tak zabawnie, z tymi podrygującymi piersiami i przewalającym się z boku na bok brzuchem, że mimo woli wybuchnąłem śmiechem, a on mi zawtórował. Ale Bipin Bhonsle tylko się uśmiechnął, i to nieznacznie. Spodobało mi się to. Miał dobre maniery. Tymczasem jeden z moich chłopaków przyniósł herbatę i ciasteczka. Piliśmy i rozmawialiśmy. Stwierdziłem, że robota jest dosyć prosta. Bipin Bhonsle był kandydatem partii Rakszak w okręgu wyborczym Morwada, graniczącym z Gopalmathem na północy. Prawie połowę osób uprawnionych do głosowania na tym terenie stanowili urzędnicy z kast Marathów, mieszkających tu na długo przed boomem budowlanym, zanim jeszcze deweloperzy zaczęli stawiać na przedmieściach ekskluzywne osiedla. Bipin Bhonsle był pewien głosów ludzi z Maratha, pracowników biurowych, pracowników państwowych drugiej klasy i urzędników, podobnie zresztą jak spokojny był o kieszenie rozrzuconych po okolicy sklepikarzy i handlarzy z Gudżaratu i Marwariu. Problem leżał w tej drugiej połowie, w elektoracie Kongresu i zagorzałych

zwolennikach partii RPI, mieszkających w kolonii mieszkalnej Narajan i na osiedlu Satjasagara Estates, a także w basti Gandhinagaru i Lalgharu. Partii Rakszak nigdy nie udało się wygrać wyborów w Morwadzie, głównie z powodu tych różnych sukinsynów, wśród których byli sethowie, fachowcy, członkowie załóg samolotów i emeryci, ale Bipin Bhonsle największą urazę żywił do tych biednych ćutijów, którzy mieszkali w chatach Lalgharu. „Behenćod landja – powiedział. – To jasne, że stamtąd nie dostaniemy żadnego głosu. Kiedy my wyciągamy do nich przyjazną rękę, oni się odwracają”. Lalghar było basti muzułmańskim, więc nic dziwnego, że nikt tam nie głosował na ludzi z Rakszaku. Oczekiwać głosów od ludzi, do których nienawiść masz w programie politycznym, to głupota, typowa dla Rakszaku, ale tylko grzecznie uśmiechnąłem się do Bipina Bhonsle.

– Proszę powiedzieć, sahibie Bhonsle – odezwałem się – co mogę dla pana zrobić?

Odstawił filiżankę i bardzo zniecierpliwiony pochylił się do przodu na swoim krześle.

– Bhai, przede wszystkim potrzebna jest nam pomoc przy kampanii. Oni próbują zastraszyć naszych pracowników, którzy prowadzą agitację, wczoraj sponiewierali naszych ludzi i wyrwali im plakaty. Zabrali dwieście pięćdziesiąt plakatów. Słyszeliśmy, że później zrobili z nich ognisko.

– A wy, partia Rakszak, jesteście bezsilni? Nigdy nie słyszałem, żebyście musieli kogoś wynajmować. Macie przecież własnych ludzi i własną broń.

Dosłyszał kpinę w moim głosie i nie spodobała mu się. Wciąż jednak był łagodny i grzeczny.

– Bhai, my nikogo się nie boimy. Ale ja jestem w naszej organizacji od niedawna, to pierwsze wybory, w których uczestniczę, a poza tym ten okręg wyborczy nie jest uważany za szczególnie ważny. Wszystkie środki zostaną skierowane w inne miejsca. A ja wiem, że te sukinsyny z Kongresu i z RPI

gromadzą pokaźne siły. Słyszałem, że nawet goście z partii Samadźwadi chcą się nadzwyczajnie zmobilizować.

– No dobra. I co dalej?

– Najważniejszy jest jednak moment po zakończeniu kampanii, w dniu głosowania. Chcemy mieć pewność, że niektórzy ludzie nie będą głosować.

Roześmiałem się.

– Dobra. Chce pan dostać wybory w prezencje.

Wcale się nie spieszył. Uśmiechnął się i tylko odrzekł:

– Tak, bhai.

– Wydawało mi się, że wy, Rakszak, chcecie usunąć korupcję z kraju.

– Kiedy cały świat jest brudny, bhai, żeby coś posprzątać, również trzeba się ubrudzić. Jeśli nie użyjemy pewnych forteli, nie wygramy z ich pieniędzmi. Ale kiedy już dojdziemy do władzy, wszystko się zmieni. To my wszystko zmienimy.

– Tylko żebyście wtedy nie zapomnieli o mnie, żebyście nie zapomnieli i nie zmiotli mnie przy tym ogólnym sprzątaniu.

Wyciągnął ku mnie obie ręce.

– Pana, bhai? Nie, nie, przecież jesteś naszym przyjacielem, jednym z nas.

Chodziło mu o to, że ja jestem hindusem i mieszkańcem Maharasztry.

Dla mnie te rzeczy nie miały żadnego znaczenia, przynajmniej kiedy w grę wchodziły interesy, ale jemu wystarczało, że jestem Ganeśem Gaitondem. Uścisnąłem mu dłoń.

– Spotkamy się jutro lub pojutrze – powiedziałem – i ustalimy, ile trzeba pieniędzy.

– Bhai, pieniądze się załatwi. Proszę to wszystko przemyśleć i po prostu nas poinformować, jakie są pańskie potrzeby. Moim zdaniem będziemy potrzebować około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi.



– Ten ćutija wygląda na rozsądnego – powiedziałem do Paritosza Śaha, kiedy już Bhonsole wyszedł.

– Trochę jest szalony, jak ci wszyscy ludzie z Rakszak.

Paritosz Śah święcie wierzył w korzyści materialne, a jego bogiem był zysk, więc każdy, kto tylko mieszał religię w robienie pieniędzy, jego zdaniem zasługiwał na miano szaleńca. Ludzie z Rakszak wierzyli w złotą przeszłość, w krew i ziemię, i we wszystkie takie rzeczy, które dla Paritosza Śaha były bez znaczenia.

– Nie do końca – zaproponowałem. – On nas wynajmuje nie tylko po to, żebyśmy mu pomogli, ale również po to, żebyśmy nie pracowali dla któregoś z jego przeciwników.

– Zgadza się. Wcale nie mówiłem, że jest głupi. Ci Marathowie są szaleni, ale szczeni. Dobrze o tym wiesz.

– Skąd pochodzisz? – zapytałem. – Z Bombaju?

– Tu się urodziłem. Mój pradziadek przybył tu z Ahmedabadu, wciąż jeszcze mieszkają tam nasi krewni. – Wyraźnie był zaskoczony. Znaliśmy się od wielu lat, ale nigdy nie zadawałem takich pytań. Skoro jednak już go zapytałem, odwzajemnił mi się. – A ty? – powiedział. – Skąd jesteś?

Machnąłem ręką przez ramię.

– Skądś tam. – Wstałem. – Ile ich skasujemy za te wybory?

Przeszliśmy do kwestii pieniędzy. Wydawało mi się, że sprezentowanie komuś zwycięstwa w wyborach oznacza, że ta osoba nagle stanie się radzą albo przynajmniej jakimś pomniejszym nawabem, więc nasza pomoc jest chyba wiele warta. Ale wyglądało na to, że ten interes zapewniania i odbierania zwycięstwa w wyborach ma już swoją długoletnią tradycję, że stawki są ustalone i wcale nie muszą być królewskie. Dwadzieścia pięć tysięcy na każdego, może po pięćdziesiąt dla kontrolerów. A to oznaczało,

że dając nam zaledwie dwadzieścia pięć czy trzydzieści lakhów, Bipin Bhonsle stanie się członkiem zgromadzenia.

– Za takie pieniądze można kupić demokrację? – zapytał Paritosza Śaha.

– Teraz pewnie zechcesz zostać politykiem.

– Nie chciałbym, nawet gdyby rozdawali stołki za darmo.

– Dlaczego? – uśmiechał się z pobłażaniem.

Wzruszyłem ramionami. Miałem ściśnięte gardło, obrzmiałe wspomnieniami i gniewem, i bałem się otworzyć usta. Splunąłem więc za okno, odrzucając ten cały brudny interes, kłamliwe plakaty, kurewskie przemowy, udawaną pokorę, a on znał mnie na tyle, że przestał mnie wypytywać. Wystarczyło mu, że może rozmawiać o interesach.

Po jego wyjściu zabrałem się za swoje książki do nauki angielskiego. Sam się uczyłem, z książek dla dzieci, z gazet i ze słownika. Wiedział o tym tylko Ćhota Badrija, bo to on kupił mi te książki i słownik. Zamykałem drzwi, kiedy uczyłem się angielskiego, ponieważ nie chciałem, żeby ktoś widział mnie, jak kucam na podłodze, niepewnym i powolnym palcem wodzę po literach, i poruszając ustami, żmudnie składam je po kolei – „p-a-r-l-i-a-m-e-n-t” – aż utworzą słowo „parliament”. Było to upokarzające, ale nieodzowne. Zdawałem sobie sprawę, że w tym kraju sporą część interesów załatwia się w języku angielskim. Ludzie mojego pokroju, tacy jak moje chłopaki, potrafili używać angielskich słów, niektóre nawet płynnie, bez zastanawiania się, umieszczaliśmy w naszych zdaniach: „No wiesz, to bardzo *danger* człowiek!”, „Stary, trzeba *settle* jedną *matter*” albo „Daj *wire* z tej *side*, kretynie”. Ale dopóki człowiek nie potrafi bez zajknięcia wyrecytować całego zdania, bez potrzeby cofania się i składania wypowiedzi po kawałeczku w całość, dopóki nie potrafi żartować w tym języku, całe sfery własnego życia pozostają dla niego niewidoczne,

stracone. Można żyć w świecie Marathów albo w koloni hindusów czy wśród Tamilów, ale skąd człowiek ma wiedzieć, co głoszą te billboardy, te górujące nad nim wiadomości, które rzucają na jego dom swoje ostre cienie? Kiedy kupujesz drogi, nowy szampon „Made with American Know-how”, skąd masz wiedzieć, co oznaczają te czerwone napisy na etykiecie? Z czego tak śmieją się ci ludzie przemyskający w swoich wyścielanych mitsubishi pajero? Wielu takim jak ja, urodzonym z dala od języka angielskiego, nie przeszkadzało życie w niewiedzy. Większość z nich była zbyt leniwa, zbyt bała się stawiać pytania jak, dlaczego, co. Ale ja musiałem wiedzieć. Zabrałem się więc za naukę angielskiego, zmagając się z nim i zmusiłem, żeby w końcu, krok po kroku, mi się poddał. Nie było to łatwe, ale się uparłem.

O czwartej po południu zamknąłem książki, położyłem się na podłodze i zapadłem w drzemkę. Miałem wygodne łóżko, miękkie poduszki, ale ostatnio nie mogłem w nocy spać. Jakieś niepoohamowane drzenie kończyn budziło mnie natychmiast, kiedy tylko zapadałem w sen. Czasami udawało mi się przespać godzinkę po południu, ale tego dnia tylko przewracałem się z boku na bok, z głową pełną planów, perspektyw na przyszłość, myśli o dalszym rozwoju, nabierałem podejrzliwości wobec jednego gościa i nieoczekiwanie demaskowałem innego. Rządziłem swoim zakątkiem wyspy, ale nie potrafiłem uspokoić własnego umysłu. Chłodna twarda podłoga zdawała się mi pomagać, ta niewygodna przybliżała mnie do powierzchni własnej skóry i tam mnie utrzymywała, w jakiejś mglistej drzemce. Kiedy o piątej zapukał do drzwi jeden z moich chłopaków, aż podskoczyłem, czując, że coś ściska mnie za serce. Umyłem twarz, wziąłem kilka głębokich oddechów i wyszliśmy na dwór. Raz dziennie, o różnych porach, ale zawsze raz dziennie, zabierałem chłopaków i robiliśmy obchód po terenie. Przemieszczaliśmy się różnymi trasami, nie byłem

głupcem, niemniej jednak chciałem się pokazać, chciałem, żeby mnie widziano. Nie mógłbym powiedzieć, że nie odczuwałem strachu, ale nauczyłem się zakopywać go głęboko, przykrywać grubymi warstwami obojętności. Od kiedy dosięgła mnie kula, wiedziałem, jak realna jest śmierć. Nie miałem żadnych złudzeń. Zobaczyłem, że jednego dnia kobieta może żyć, zajadać baraninę, śmiać się, żartować i bezwstydnie wypinać pierś, strzelając oczami pełnymi wesołości i pożądania, a następnego dnia leżeć bez zmysłów w szpitalnym łóżku, ledwo dysząc przez otwarte usta. Wiedziałem, że czeka mnie śmierć, że mnie ktoś zabije. Nie miałem dokąd uciec. Przede mną nie było przyszłości, żadnego życia, nie czekała mnie ani emerytura, ani przyjemna starość. Już samo wyobrażanie sobie czegoś takiego było tchórzostwem. Wcześniej znajdzie mnie kula. Ale będę żył jak król. Będę walczył z tym życiem, z tą suką, która skazuje nas na śmierć, i ją pochłonę, pożrę każdą minutę każdego jej dnia. Chodziłem więc po swoich ulicach jak pan ludzkości, otoczony swoimi ludźmi.

I tak utrzymywałem swoje rządy, swoją władzę. Po części opierała się ona na strachu. Strachu, który odczuwali sklepikarze, kiedy na mnie patrzyli, strachu w oczach kobiet, cofających się za próg, żeby nas przepuścić. Ale było coś jeszcze oprócz strachu. Oczywiście rozkoszowanie się władzą i mocą jest podniecające, ale poddawanie się jej stwarza również poczucie bezpieczeństwa. Mogę ci zaręczyć, że to prawda. Właśnie coś takiego czułem, kiedy podawali mi tikkę z kurczaka i bhakri i pytali mnie, czy chcę coś chłodnego, czy herbatę, widziałem to w rozszerzających się jeziorach ich źrenic, kiedy podsuwali mi swoje najlepsze krzesło i swoimi pallu wycierali je z kurzu. To prawda, ludzie lubią czuć nad sobą władzę. Mogą w kółko opowiadać o wolności, ale obawiają się jej. Zdominowani moją władzą, byli bezpieczni i szczęśliwi. Strach przede mną nauczył ich, gdzie jest ich miejsce, stworzył im mur, za którym mieli dom. A ja byłem

dla nich dobry. Byłem sprawiedliwy i nigdy nie żądałem takich sum, których oddanie mogłoby im poważnie zaszkodzić, swoich ludzi nauczyłem powściągliwości, a przede wszystkim byłem hojny. Kiedy robotnik w fabryce złamał nogę pod przewróconą ładowarką, przez sześć miesięcy pomagałem jego rodzinie. Jeśli babcia potrzebowała operacji w celu rozszerzenia naczyń krwionośnych i uratowania serca, a ja dałem jej życie, dałem jej też szansę, aby mogła bawić się z dziećmi swoich dzieci. „Ganeś bhai – odezwał się do mnie pewnego popołudnia jeden drukarz – pozwól, że zrobię ci pierwszorzędną wizytówkę”. Ale ja nie potrzebowałem żadnych wizytówek. W moim radź wszyscy znali moje imię, a wielu je błogosławiło.

Tego wieczoru, po rozmowie z Bipinem Bhonslem i po spacerze wybrałem się do domu Paritosza Śaha. Za siedem dni miała wyjść za mąż najstarsza z czterech jego córek. Już teraz cały dom skrzył się trzema kondygnacjami spływającymi kaskadą świateł, czerwonych, zielonych i niebieskich, radośnie migoczących. Dom był wielki, Paritosz Śah wraz z dwoma braćmi ukończyli go dopiero przed rokiem i mieszkali w nim wszyscy razem, i żony, i kuzyni, i niezliczeni bawiący w gościach mamy i kaki, kłębiący się gudżaracki ćakkar. Dandija ras przed ślubem było zdecydowanie niemodne, ale chociaż w interesach Paritosz Śah wykazywał się wyjątkową nowoczesnością, pod innymi względami był zatwardziałym tradycjonalistą. Na dziedzińcu kłębił się podekscytowany rój młodych dziewcząt, jedno wielkie wirowanie oszałamiającego jedwabiu. Czekano na mnie z rozpoczęciem tańców i kiedy już usiadłem w fotelu, wszyscy mężczyźni i kobiety ustawili się w czterech kręgach, dzieci w dwóch wewnętrznych, a śpiewak uniósł deklamatorską dłoń i zaczął – „*Radha game ke game Mira*”<sup>11</sup> – koła zaczęły powoli się kręcić, potem szybciej, a radosny rytm wybijany równomiernym klaskaniem dłoni odbijał się wokół

echem. Kiedy przyniesiono kije do dandiji, wstałem i poprosiłem, żeby również mnie dano parę. Śmiali się ze mnie, że tak niezgrabnie się potykam, nie potrafię utrzymać tempa w środku przesuwających się względem siebie kręgów, gubię rytm pstrykających palców. Sądzę, że początkowo była to również wina innych tancerzy, zwłaszcza mężczyzn, którzy bali się tańczyć ze mną, pozbawieni wdzięku przez moją obecność. Nie mieli śmiałości uderzać we mnie swoimi dandami, bali się wkładać w to zbyt wiele siły i kulili się pod moimi uderzeniami. Ale kiedy zobaczyli, że sam śmieję się z siebie, a moi chłopcy – wsparci o słupy – kręcą głowami i się śmieją, wszyscy się odprężyli, piosenka dandija w stylu disco rozbrzmiewała radośnie, a ja poczułem, jak rozluźniają mi się biodra, ramiona nabierają swobody, po prostu płynąłem, bez wysiłku dostosowywałem się do kroku, dandy wznosiły się i opadały, jeden teatralny gest i trzask, kolejne machnięcie i trzask, czyjaś okrągła twarz zwróciła się w moją stronę i znowu trzask, a ja tańczyłem i tańczyłem.

W domu czekała na mnie kobieta, zamówiona przez Chotę Badriję. Byłem w świetnym humorze po tańcach, nuciłem sobie i tanecznym krokiem kołysałem się to w lewo, to w prawo. Ale ona sprowadziła mnie na ziemię. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż przygnębiona randi. Była atrakcyjnie pulchna, miała malutki okrągły nosek i dziewiętnaście lat, ale leżała tam z tą swoją obrzmiałą twarzą jak batatawada, a kiedy próbowałem ją ożywić, z lekka ją podszczypując, gryząc i ściskając, tylko skrzywiła się i hardo wysunęła szczękę, złapałem ją więc za włosy i wyrzuciłem. Potem napiłem się mleka, ułożyłem na boku i owinąwszy się wokół poduszki, próbowałem zapaść w sen, który jednak mi się wymykał, głowę wypełnia mi dandija, Paritosz Śah i te światła na jego domu, opadające z góry i ponownie się wznoszące, odwróciłem się na drugi bok i zacząłem przypominać sobie ludzi, których zabiłem. Ustawiłem ich rzędem i

porównywałem pod względem charakteru i siły, dochodząc do wniosku, że byłem lepszy od każdego z nich, a potem rozmyślałem o tym, że powinienem zadbać o kontrolę wejść do swojego domu i ustawić więcej chłopaków na końcach uliczek, tak na wszelki wypadek. Było już późno, bardzo późno, a ja po raz pierwszy od wielu miesięcy zacząłem robić to własną ręką, przed oczami przedelfilowały mi wszystkie kobiety, które znałem, a wśród nich Rati Agnihotri, z tą swoją skórą jak malai. Kiedy już skończyłem, ponownie odwróciłem się na drugi bok, ułożyłem się wygodnie i zacząłem oddychać miarowo, głęboko. Ale w końcu zrzuciłem przykrycie i klnąc, sięgnąłem po zegarek. Trzecia czterdzieści pięć. W tym momencie wypiłbym wszystko, całą butelkę whisky albo rumu, ale w domu nie było niczego. Co prawda mogłem posłać chłopaków, żeby mi coś przynieśli, ale kiedy pomyślałem, co oni z kolei mogliby sobie o mnie pomyśleć, chociaż wiedziałem, że nic by nie powiedzieli, zawstydziłem się, leżałem więc na plecach i postanowiłem przeczekać. Wstanę o szóstej i wcześniej rozpocznę dzień. Patrzyłem na błyskanie wirującego wentylatora i nagle się przebudziłem. Był już jasny dzień i dochodziły mnie ożywione dźwięki ulicy. Południe. Choć przespałem sześć, a może nawet siedem godzin, wciąż byłem zmęczony.

Z upływem dni, w miarę jak walczyliśmy w wyborach, wyczerpanie tylko się pogłębiało. Moi chłopcy chodzili z ludźmi z Rakszaka, docierając z ich kampanią do najmniejszego zakątka, ich plakaty atakowały wyborców z każdej wolnej powierzchni na przestrzeni wielu mil. Do zapewnienia spokoju wystarczyło dwóch moich chłopaków, którzy uzbrojeni w pistolety eskortowali tych z Rakszaku i umożliwiali im spokojne wykonywanie roboty, bez żadnych bhangad.

Opinia ludzi bezwzględnych potrafi działać cuda na rzecz pokoju. Dla nas był to łatwy zarobek. Tymczasem nadchodził dzień ślubu. Jeszcze przed

samą ceremonią wybrałem się do domu Paritosza na przyjęcie związane z malowaniem mehndi i widziałem, że on docenia moje uczestnictwo w jego radościach i smutkach. Nawet wśród tych tysięcy rzeczy, którymi musiał się zająć, tego całego jedzenia, prezentów, rezerwacji hoteli dla krewnych pana młodego, zauważyłem, jak bardzo jestem roztrzęsiony, z jakim z trudem staram się nie zasnąć.

– Twoim dosza brakuje równowagi – stwierdził. – Załatwię ci wizytę u specjalisty od ajurwedy.

– Nie oddam się w szpony tego sukinsyna – odrzekłem. – To nic takiego, to tylko bezsenność. Wkrótce minie.

– Nigdy nie wolno mówić, że to nic takiego. Twoje ciało coś do ciebie mówi. Ale ty nie słuchasz.

Potem musiał usiąść z kobietami i jubilerami. Trzeba było ustalić, ile tola złota przeznaczyć na szerokie naszyjniki, bransolety i kolczyki na posag, ile zapłacić za robotę. Śledziłem go wzrokiem, gdy delikatnie schodził po schodach na dziedziniec, i zastanawiałem się, co mówi jego ciało. Jak można odczytać pokłady tłuszczu, wzbierające i przewalające się na tej jego konstrukcji? Przetarłem oczy. On był dla mnie dobry. Nigdy mnie nie oszukał w sprawie pieniędzy, nigdy nie udawał, że nie dba o własne korzyści, wspierał mnie, kiedy tylko mógł, czasami ryzykował własne życie, a potrafił w tym pójść jeszcze dalej, i pokazał mi, jak na tym świecie wszystko się ze sobą łączy, jak interesy mieszają się z polityką i z bhaigiri, i jak człowiek musi sobie w tym radzić. Pod tym względem byliśmy przyjaciółmi. Był porządnym człowiekiem, na ile tylko potrafił, obrósł tłuszczem, ciężko pracując, można więc powiedzieć, że to cielsko było jego zdobyczą. Dlatego właśnie ten tłuszcz mu nie ciążył.

W całym domu czuło się zapachy z kuchni. Byłem głodny, ale bardzo zmęczony, i wiedziałem, że jedzenie jeszcze bardziej mnie zmęczy. Ale



wyjsć i nic nie zjeść byłoby obrazą, wziąłem więc trochę jedzenia i coś przegryzłem, a potem podniosłem się od stołu, kiwnąłem na chłopaków i powiedziałem Paritoszowi Śahowi, który już chciał odprowadzić mnie do drzwi, żeby zajął się swoimi gośćmi, i w końcu, po krótkiej dyskusji, wyszliśmy. Właśnie szukałem swoich butów wśród porozrzuconego przy głównych drzwiach obuwia, kiedy podeszła do mnie Dipika. Była drugą z kolei córką Paritosza Śaha, cichą dziewczyną o poważnej twarzy i ogromnych oczach. Podając mi thali z kupką puri i szklankę, powiedziała:

– Ganeśu bhai, w ogóle nie skosztowałeś ras. – Jadłem już, ale chętnie wziąłem puri z dłoni tej tak uprzejmej dziewczyny. Kiedy wyciągałem rękę, Dipika, nadal nie podnosząc głowy, szepnęła: – Czy mogłabym z tobą porozmawiać, Ganeśu bhai? – Widziałem pobielające końcówki jej palców, zaciśniętych na krawędzi thali.

Zabrałem ją więc, z thali, szklanką i tym wszystkim, do samochodu, i zaczęliśmy rozmowę.

– Moja siostra jeszcze nie wyszła za mąż – powiedziała z goryczą w głosie. – A oni już mówią o moim małżeństwie.

– Nic dziwnego, to twoi rodzice – odrzekłem. – A ty będziesz szczęśliwa, zobaczysz, że to naprawdę dobre. – Wiedziałem, że chodzi do college’u, i pomyślałem, że może mieć jakieś zastrzeżenia do instytucji małżeństwa, tak modne wśród współczesnych dziewczyn, że naczytawszy się głupot w jakimś czasopiśmie, myśli o pracy i karierze, zacząłem więc pouczać ją o jej obowiązkach i tłumaczyć, na czym polega prawdziwe życie. Kręciła się niespokojnie, szeleszcząc czerwono–zieloną ghagrą i złotą ćunni.

– Ale, Ganeśu bhai... – odezwała się.

– Zrób, jak ci radzą – powiedziałem. – Twoi rodzice mają rację.

– Ale, Ganeśu bhai – powtórzyła, lekko łamiącym się głosem. – Ja chcę wyjść za mąż.

I w tym momencie, patrząc na drobniutkie bruzdki na jej gładkim czole, zorientowałem się, że czekają mnie większe problemy niż jakieś błahe dziewczęce fantazjowanie o karierze.

– Co? – zapytałem. – Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Tak.

– Gdzie go spotkałaś? W college’u?

Pokręciła głową.

– N.N. College jest tylko dla dziewcząt. Jego siostra jest moją koleżanką, ona też chodzi do N.N.

– Jak on się nazywa?

Przynajmniej wstydziła się z wdziękiem. Dwa razy próbowała, bardzo się przy tym czerwieniąc, aż w końcu wydusiła to z siebie.

– Praśant.

– I w czym problem? On nie pochodzi z Gudżaratu?

– Nie, Ganeśu bhai.

– A skąd? Jest Marathą?

Kolejny szybki ruch głowy i znowu kurczowo zaciśnięte palce na thali.

– W takim razie kim jest?

Teraz już prawie skryła twarz w thali.

– To Dalit – odparła. – A do tego jest biedny.

Tak, jej problem był rzeczywiście ogromny, ciężki jak sam jej ojciec. Zawsze uważałem Gudżaratczyków za bardziej postępowych, bardziej tolerancyjnych od innych nacji, ale coś takiego wystawi wyrozumiałość jej ojca na ciężką próbę. Interesy mógł robić ze wszystkimi, ale małżeństwo to coś zupełnie innego. Posłał córkę do college’u, ale przecież nie po to, nie żeby poślubiła jakiegoś gandu, który nie tylko jest Dalitem, ale biednym Dalitem. Być może zdołałby zaakceptować bardzo zamożnego Dalita, ale już teraz słyszałem, jak Paritosz Śah mówi: „I z taką rodziną chcesz nas

spowinowacić?!”. Jej matka i ciotki będą surowsze, gwałtowniej będą wyrażać swoją dezaprobatę. Mała Dipika wybiera się na ciężką wojnę.

– Dlaczego chcesz zrobić coś takiego swojej rodzinie? – zapytałem. – To nie jest film. Twój ojciec każe rozerwać na strzępy tego twojego Praśanta.

Spojrzała mi w oczy, wyprostowała się, a w tym gniewie jej szyja wygięła się z wdziękiem.

– Wiem, że to nie jest film – odparła. – Ja umrę, Ganeśu bhai. Jeśli coś mu się stanie, ja się zabiję.

Jak nisko cenią sobie życie młodzi, ci, którzy są tak go pełni. Jak niewiele wiedzą o śmierci. Wydaje im się, że to zaledwie przerwa w przedstawieniu, i wyobrażają sobie, jak ci gnębiący ich rodzice biją się w piersi i lamentują, a zagubieni w tej przyjemności nigdy nie dostrzegają swojego upadku, nieodwracalności własnego zatracenia. Powiedziałem to Dipice, a ona roześmiała się.

– Nie jestem dzieckiem – odrzekła, i w tym momencie dostrzegłem, jak daleko zaszła z tym swoim Praśantem, ujrzałem tę wspaniałą dumę młodej kobiety z przyjemności, której zaznała i którą dała.

– Czego ode mnie oczekujesz, Dipiko? – zapytałem.

– Porozmawiaj z Papą. On cię posłucha. – Chwyliła moją dłoń i położyła ją sobie na głowie. – Od kiedy pamiętam, zawsze byłeś dla mnie dobry. I wiem, że ty nie myślisz w taki przestarzały sposób.

Miała na myśli to, że w mojej firmie byli i bramini, i Maratha, i muzułmanie, i Dalitowie, i ludzie z OBC, i wszyscy pracowali wspólnie, nie było między nimi żadnych różnic ani podejrzliwości. Niektórzy przedstawiciele OBC pracowali jako rewidenci, a niektórzy bramini byli prostymi żołnierzami, i nikomu to nie przeszkadzało. Muzułmanin był dla hindusa jarem, każdego dnia i każdej nocy jeden drugiemu powierzał życie. Ale tak się działo nie tylko w mojej firmie, lecz także w wielu innych. My,

jako bhai, tworzyliśmy prawdziwą brać – żyliśmy poza prawem, związani ze sobą. Byliśmy ludźmi zdesperowanymi, a w związku z tym wolnymi. Ale firma to firma, a małżeństwo – zwłaszcza w tak wielopokoleniowej rodzinie – to coś zupełnie innego. Tylko jak to powiedzieć temu dziecku, które teraz w obu dłoniach trzymało moją rękę, jak?

– Idź do domu – rzuciłem. – Nie rób niczego. Nikomu nic nie mów, absolutnie nikomu. Muszę się nad tym zastanowić.

Po jej podbródku spływały łzy. Sięgnąłem po jej pally, powycierałem tę zapłakaną twarz i odesłałem Dipikę do domu wraz z tym rozchybotanym thali. Chotcie Badriji powiedziałem, że jedziemy do Film City.

– Teraz, bhai? – zdziwił się.

– Nie, w przyszłym tygodniu, ćutija – odparłem. – Włóż do samochodu. – Ten koleś naprawdę był zabawny, zbudowany jak ciężarówka, nie lękał się mieczów, był gotów igrać z przelatującymi kulami, ale bał się Film City w nocy, ponieważ ktoś naopowiadał mu, że w nocy z zalesionych wzgórz schodzą pantery. Siedział obok kierowcy, rękę założył za oparcie fotela i nerwowo stukał palcami. W końcu delikatnie chwyciłem go za dłoń i powiedziałem:

– Dobra, dobra, przestań się tak trząść. Możesz zostać w samochodzie. Pokiwał głową z radością.

– Tak, bhai. Popilnuję samochodu.

Wszyscy siedzący w samochodzie wybuchnęli śmiechem. Klepnąłem go w tył głowy.

– Bhadwe, tylko strzeż go dzielnie, dobra? Pilnuj, żeby go komary nie ukradły, okay? A jak tu przyjdzie wielki karaluch, rozwalisz go na kawałki swoim gullalem, okay?

Śmialiśmy się przez całą drogę do Film City. Zwolniliśmy nieco obok strażników przy bramie, a potem pomknęliśmy pnącą się w górę drogą,

przez nagle zapadłą wokół nas ciemność i ciszę krzewiastych zboczy. Nadszedł już zmierzch i droga była pusta. Spod liści wyzierały gromady cieni, błyskały płataniny gałęzi i nagle na polanie pojawił się wysoki zamek, z górującymi nad nim wieżyczkami i flagami łopoczącymi we wschodzącym świetle księżyca. Zbudowany był oczywiście z drewna i brezentu, ale w tym świetle wyglądał na zupełnie prawdziwy. Przejechaliśmy przez kompletny, żywcem przeniesiony z Goa rynek zwieńczony wysokim kościołem z krucyfiksem na szczycie, a potem przez port rybacki, z przytulonymi do siebie uśpionymi łodziami. Tu, w Film City, tworzone marzenia o prawdziwej miłości, powstawała choreografia do piosenek, które Dipika i jej chłopak bez wątpienia sobie śpiewali. Droga skręciła ostro, silnik zawył, a my wspinaliśmy się wciąż w górę i w górę, aż na lądowisko dla helikopterów. Nisko wiszący księżyc zdawał się być bardzo blisko, tuż nad krawędzią wysokich wzgórz, a okoliczne doliny ostro wcinały się w nie srebrem i czernią. Poczułem, jak lekki wiaterek muska mnie po karku. Tu, z dala od miasta, panowała ta głęboka cisza, za którą tęskniłem i której wciąż poszukiwałem. Podeszedłem na skraj lądowiska, a chłopcy nie zatrzymywali mnie, stanęli łukiem w pewnej odległości i zostawili mnie samego. Usiadłem na skraju płaskowyzu i w leżącym poniżej, cętkowanym kobiercu wypatrywałem pantery. Chodź, pantero, powiedziałem. Przyjdź i rozwiąż mój problem. Obiecałem tej dziewczynie, że jej pomogę, ale jak mam to zrobić? Postąpiła bardzo sprytnie, bo zaczęła od prośby, i przeciągnęła mnie na swoją stronę. W przeciwnym razie, gdyby to jej ojciec jako pierwszy się dowiedział i zapytał mnie o zdanie, bez wahania kazałbym tego jej obszarpanego Dalita złapać i zrzucić ze skały. Tak po prostu. Ale co teraz? Córka poprosiła o miłosierdzie, a ja przecież byłem Ganeśem Gaitondem. Tylko że jej ojciec był moim przyjacielem.

Siedziałem tak, dopóki księżyc nie wycofał się na wyżyny nieba. Tymczasem nie pojawiła się żadna pantera ani żadna prosta odpowiedź. Tego problemu nie można rozwiązać, zabijając kogoś, tak jak za żadne pieniądze nie można kupić pokoju. Ojca i córkę łączyła miłość, a to oznaczało, że tym bardziej się znienawidzą i będą się wzajemnie ranić, szarpiąc nerwy tak głęboko, jak nie mógłby sięgnąć żaden zabójca. Wstałem i przeszedłem między moimi ludźmi, siedzącymi rzędem i pogrążonymi we śnie. Oni podnieśli się i chwiejnym krokiem ruszyli za mną do samochodu. Chota Badrija spał jak kamień, z twarzą opartą o szybę, na której odciskały się jego nabrzmiałe wargi i rozpląszczony policzek. Kiedy zastukałem w szybę przy jego nosie, obudził się i zaczął szukać czegoś po omacku pod koszulą, aż w końcu mnie rozpoznał. W tym jego pierwszym po przebudzeniu kontakcie z rzeczywistością dostrzegłem przerażenie. Rozpoznałem strach. Wszyscy się baliśmy. Wychodząc z domu, na ulice miasta, które już rozbrzmiewały bzyčeniami wiszących w powietrzu kul, musieliśmy odegnąć strach, zrzucaliśmy go z siebie i wciskaliśmy do najgłębszej doliny, gdzie nigdy nie docierał blask księżyca. Ale ten strach wciąż się poruszał, żył i odżywiał się, jak zwierzę żerujące w nocy. Chota Badrija lubił młode dziewczynki, bardzo młode. Lubiał też drobne kobietki w starszym wieku, takie, które nie miały mausambi, płaskie z przodu i z tyłu, które nosiły dla niego kucyki, siadały mu na kolanach i opowiadały o lalkach, przechylając głowy i chichocząc. Czasami brał je, żeby je codo, ale sądzę, że robił to tylko dlatego, żeby chłopcy się z niego nie śmiali. Jemu samemu wystarczało, kiedy mógł je trzymać, bawić się w marzenie gry i w ten sposób przeżywać dzieciństwo wolne od przyszłości. Teraz odchrząknął głęboko i opuścił szybę, żeby splunąć.

– Ty sukinsynu – odezwałem się. – Ładny z ciebie wartownik.

– Przepraszam, bhai – odparł. – Wszędzie widziałem pantery. Pomyślałem więc, że na pewno nie zasną. Ale chyba się zdrzemnąłem.

– Pewnie, że się zdrzemnąłeś, ćutija. Spałeś jak niemowlę. – Ale głaskałem go po głowie. Był porządnym gościem. Dzielnymi, czujnym i inteligentnym, i bardzo się o mnie troszczył. Zwracał uwagę na drobiazgi, na wyraz twarzy ludzi, na samochody zaparkowane w miejscach, w których ich nie powinno być, i podskórnie wyczuwał, że coś się święci. Ale nie mógł mi pomóc w tym moim dylemacie, w tej subtelnej zagadce, która mogła roztrzaskać i serca, i głowy. Nikt z nich nie mógł mi pomóc. Byłem wściekły, że nagle osunąłem się i cofnąłem do obrzydliwego świata kłopotów rodzinnych. Usunąłem się, wszystko pozostawiając za sobą. Byłem sam. Ale nie było ucieczki. Opony zastukały na drodze i wróciliśmy do miasta.

Następnego dnia przystąpiliśmy do ostatecznej walki w wyborach. Bipin Bhonsle dzwonił bez przerwy, tak samo grzeczny jak podczas naszego pierwszego spotkania, ale zestresowany i szukający otuchy, oczekujący, że załatwimy mu ten upragniony fotel. Dotychczasowy poseł z Kongresu chodził po basti i rozdawał ludziom sturupiowe banknoty, rum, a nawet całe kozy. Dowiedziałem się już, że dobra, świeża baranina to podstawa wielu karier politycznych. To było zrozumiałe. Biedak napycha sobie żołądek, raduje się kolacją, raczy się dwoma darmowymi kieliszeczkami, no, może trzema, ale nie przesadza, ponieważ ma inne plany, posuwa żonkę, a rano szczęśliwi idą razem głosować, i w tym całym zamroczeniu dobrym humorem czują jakąś lekkość i o wszystkim zapominają, o tym, że ten ubrany w khadi behenćodowy polityk od lat nic dla nich nie zrobił, kradł i rabował, a może nawet mordował. Te wszystkie wspomnienia znikają, ulatniają się i szczęśliwa para oddaje głosy, a oddany sługa narodu ponownie zostaje wybrany, gotów służyć im roti, kapra i makan. Głodni,

nadzy i bez dachu nad głową, po uczcie niczego nie pamiętają. Karmi się więc owce kozami, żeby je zagonić w odpowiednim kierunku, w stronę bramy rzeźni. To przecież takie proste.

Ale ja przygotowałem własny plan. Przez dwa dni rozpuszczałem pogłoski. Moi ludzie chodzili na rynki, bazyry i do restauracji na terenach zdominowanych przez zwolenników Kongresu i RPI i szeptali: „W dzień wyborów pojawią się gondowie, wynajęto zbirów”. Plotka jest zdecydowanie najbardziej opłacalną bronią, wszędzie i w każdej sytuacji, zaczynasz ją za darmo, a potem ona się rozrasta, przechodzi mutacje, rodzi potomstwo. Wystarczy, że rankiem zasadzisz w uszach kilku sklepikarzy małe, czerwone, wijące się robaki, a do wieczora masz setkę grasujących po okolicy, ogromnych jak drapacze chmur, krwawych Ghatotkać. W ten sposób zgrabnie przygotowałem wyborców przeciwników, unurzałem ich w lepkiej marynacie strachu. Teraz nadszedł czas, żeby podgrzać atmosferę. Miałem trzydzieści motocykli bez tablic rejestracyjnych. Na każdy motor wsadziliśmy po dwóch chłopaków z twarzami zakrytymi chustami daku. Ten siedzący z tyłu miał torby pełne butelek wody sodowej, po skrzynce na każdy motor. Z rykiem silników wytoczyli się na uliczki. Hucząc i trąbiąc, przejeżdżali przez teren wroga. Za pomocą butelek oczyścili drogę. Potrząsali nimi porządnie i rzucali wirującymi butelkami w tych kilku obywateli, którzy się odważyli wyjść na ulicę. Szkło rozpryskuje się jak szrapnele, ale przy zastosowaniu wody sodowej największy efekt daje ten wstrząsający wybuch, na którego dźwięk rozdygotani cywile pędem zwiewali z powrotem do domów, z gaciami ciężkimi od uryny. Chłopcy świetnie się przy tym bawili, jeżdżąc w porannym chłodzie po okolicy i ćwicząc ramiona do gry w kręgle. Čhota Badrija wrócił do domu zarumieniony i rozśpiewany.



– Coś jeszcze, bhai? – zawołał do mnie z drogi. Siedziałem na dachu, na zbiorniku na wodę. – Jest jeszcze coś do zrobienia?

– Bas, Badrija, bas – odparłem. – Uspokój się. Już wystarczy. Zaraz przyjedzie policja.

– Phatak, phaćak, tak się rozbijały te butelki, bhai.

– Wiem.

– Świetna zabawa.

– Wiem. A teraz siedź spokojnie, to może w przyszłym roku zrobimy to samo.

Oczywiście pojawiła się policja, pędem przybywali w miejsca ataku. W pełnej gotowości, ze swoimi karabinami i pałkami. Inspektor Samant wyskoczył za róg, znalazł telefon i zadzwonił do mnie.

– Bhai, tutaj jest i sahib DCP, i sahib ACP – powiedział. – Wszystkich postawiłeś na nogi. Patrolujemy ulice. Zapobiegamy niepokojom, rozumiesz.

– To dobrze – odrzekłem. Bipin Bhonsle opłacił również policjantów, zadbał nawet o tych z najwyższych stołków. Już oni zajmą się tym, żeby zapanował właściwy spokój. – Nie dojdzie już do żadnych zakłóceń porządku. Ale widać kogoś tam na ulicach?

– Ani jednego mężczyzny, ani jednej kobiety. Widzę tylko trzy psy.

– To dobrze – stwierdziłem. – To elektorat Kongresu. Nie będziemy im przeszkadzać.

Roześmiałem się i odłożyłem słuchawkę. Tak niewiele było trzeba, żeby zatrzymać wroga w domu, żeby zdobyć pole bitwy. Bez opanowywania kabin do głosowania i oddawania głosu za innych obywateli, bez wrzucania dodatkowych, nielegalnych głosów, wystarczyło tylko to. Tymczasem chłopcy rozeszli się po naszej okolicy i prowadzili wyborców do lokali.

– Jesteśmy z komisji do spraw uczciwych wyborów – mówili i całymi dziesiątkami i dwudziestkami odprowadzali naszych wyborców na głosowanie. – Wszędzie panuje spokój – mówili. – Chodźcie, chodźcie. – I wyborcy szli, pod eskortą, bezpieczni, a ludzie Bipina Bhonslego, z ładnymi, żółtymi odznakami partyjnymi, uśmiechali się do nich przy kabinach. Wyborcy wchodzili jeden po drugim, nikt im nie przeszkadzał, stawiali małe, czarne znaczki na kartach do głosowania, i złożone kartki papieru wpadały z lekkim szelestem do drewnianych skrzynek z otworami, kolejka poruszała się dosyć sprawnie, i tak mijał dzień wyborów, a machina demokracji pracowała i kręciła się, z naszą niewielką pomocą.

Siedziałem w Gopalmacie na dachu i zajmowałem się bieżącymi sprawami. Na dziedzińcu na dole, a także na ulicy, zebrał się zwykły tłumek petentów. Ludzie przynosili mi pieniądze, a ja je rozdawałem. Przynosili mi swoje losy, a ja je naprawiałem. To ja wymierzałem sprawiedliwość. Ja rządziłem. Słońce kapąło się o poranku, potem uniosło się wysoko i zmarło swą codzienną śmiercią. Ja zjadłem i oddaliłem się do sypialni. Minął kolejny, spokojny, normalny dzień.

Bipin Bhonsle wygrał przewagą sześciu tysięcy trzystu czterdziestu trzech głosów.

Bąłem się tego ślubu. Oczywiście, musiałem tam pójść, ale nie wiedziałem, jak spojrzę w oczy Dipice, jak ukazę jej swoją twarz, nie dysponując żadnym czarodziejskim rozwiązaniem, które miałoby podarować jej wieczyste szczęście. Złościło mnie to uczucie bezsilności, ten paraliż woli. Ten problem mnie nie opuszczał, gryzł mnie tysiącem drobniutkich zębów wbijających się w krawędzie mojego umysłu, jak jakaś chmara nieustępliwych mrówek. Byłem wściekły na Dipikę. Kim ona była? Cóż dla

mnie znaczyła, że byłem jej to winny? Obca dziewczyna, która staje pomiędzy mną a moim przyjacielem, prześladowająca i niepokojąca mnie tymi swoimi wielkimi, szeroko otwartymi oczami, przecież nawet nie była piękna, dlaczego nie mogłem powiedzieć jej, żeby zabrała sobie tego swojego brudnego maśuka i wyniosła się do diabła? Dlaczego? Nie potrafiłem jednak tego zrobić. Ona mnie błagała, a ja jej obiecałem. Choć całkowicie nielogiczna, była to jednak prawda, to naprawdę się to wydarzyło. Musiałem więc działać. Ale wciąż nie wiedziałem, co zrobić.

Zabrałem prezenty – złote bransolety, złote kolczyki i złoty naszyjnik – i w dniu ślubu poszedłem do domu Paritosza Śaha. Jeszcze nie zdążyłem zdjąć butów, a już Dipika pędem przybiegła do drzwi, o mało co nie upadła i musiała chwycić się ościeżnicy. Stała w tych drzwiach, kołysząc się, ubrana w złote sari, a ja wyczuwałem, że moi chłopcy odwracają wzrok. Wiedziałem, że myślą – co też bhairi wyprawia? Tylko tyle, ale to wystarczy, żeby zrodziła się plotka, która będzie krążyć po mieście, nabierając długości i treści.

– Bhai – powiedziałem. Po ojcowsku pogłaskałem ją po głowie. Wziąłem pod ramię i wprowadziłem do domu. W korytarzu, w którym mijały nas jej ciotki i kuzyni, wszyscy połyskujący i wspaniali w swoich odświętnych strojach, nachyliłem się nad nią, udając, że daję jej coś z portfela. – Uspokój się, głuptasie – powiedziałem. – Jeśli będziesz zachowywać się jak szalona, nic dla ciebie nie będę mógł zrobić. Opanuj się. Kiedy będę miał ci coś do powiedzenia, powiem ci to.

– Ale... – zaczęła. – Ale...

– Uspokój się – powtórzyłem. – Musisz być dzielna, jeśli chcesz zrobić coś tak wielkiego. Musisz panować nad sobą. Naucz się kontrolować swoje uczucia. Pozbądź się strachu. Spójrz na mnie. Ucz się ode mnie.

Powiedziałaś, że nie jesteś dzieckiem, a zachowujesz się właśnie jak dziecko. Czy możesz zachowywać się jak kobieta?

Próbowała powstrzymać łzy i skrajem pallu wytarła nos. Skinęła głową.

– To dobrze – powiedziałem. – A teraz idź i postaraj się uczestniczyć w szczęściu twojej siostry. Bądź radosna, bo inaczej ludzie coś zauważą. – Wciąż jeszcze drżała, rozdygotana cienkimi igiełkami podniecenia, które szczypały jej szyję i policzki. – Posłuchaj, ja, Ganeś Gaitonde, mówię ci, że wszystko będzie dobrze. Ganeś Gaitonde ci to mówi. Wierzysz mu?

– Tak – odparła i wiedziałem, że zaczyna wierzyć. – Tak.

– To idź.

Oddaliła się w podskokach i kiedy dotarła na skraj dziedzińca, wzięła za ręce dwie małe dziewczynki i zakręciła się z nimi, a w ich donośnym śmiechu dało się słyszeć jej szczęście, namacalne jak oddech setek wiszących w drzwiach i na ścianach kwiatów. Była szczęśliwa. Dałem jej coś, czego nie miałem. Zupełnie nie wiedziałem, gdzie mogę to znaleźć ani jak. Siedząc obok Paritosza Śaha w mandapie, przy śpiewie kapłanów, otoczony unoszącym się z ognia ofiarnym dymem i śpiewem budzonego do życia szczęścia starszej siostry, czułem się bezsilny w obliczu życia tej młodszej. Tak, w tej chwili Dipika była szczęśliwa, siedziała za siostrą, opierając się na ramieniu matki, z twarzą poczerwieniałą i nieco spoconą od ciepła bijącego od ognia, z oczami błyszczącymi wilgocią od piekącego dymu. Kiedy tak na nią patrzyłem, zastanowiłem się, co powoduje, że kobieta jest takim więźniem, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego jeden człowiek jest Dalitem, i do tego biednym, a inny nie? Dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej? Dlaczego umarła ta, a nie inna kobieta? Dlaczego nie jesteśmy wolni? Przy dźwiękach sanskryckich chórów, który przebiegały pod moją skórą i poruszały moją duszą, naszło mnie pytanie: kim jest Ganeś Gaitonde?

Po uroczystościach, po tym całym jedzeniu, picciu i po obrzędach pożegnania, kiedy już rozstawałem się z Paritoszem Śahem, z jego żoną, z jego rodzicami oraz z całym zastępem ludzi z Gudżaratu, on odprowadzał mnie do samochodu, i chociaż przez cały czas panowało takie zamieszanie, zauważył, że jestem jakiś nieobecny, i zapytał:

– Co się dzieje, bhai? Wyglądasz na zmęczonego. Wciąż nie możesz spać?

– Tak, jestem bardzo zmęczony – odparłem.

– W takim razie posłuchaj mnie. Nie możesz tak postępować. Weź sobie dziś na noc calmpose, a jutro zajmujemy się twoim zdrowiem.

– Jutro będę musiał poprosić cię o przysługę.

– Przysługę? Jaką? Mów mi zaraz. – Objął mnie ramieniem i nachylił się w moją stronę. Na jego czole widać było wielką, czerwoną plamę po tice, w której dostrzegłem drobne, białe ziarenka ryżu. – No powiedz.

– Nie dziś, Paritoszu Śahu. Jutro.

– Dobra, w taki razie jutro. – Przyciągnął mnie do siebie i objąwszy w niedźwiedzim uścisku, poklepał mnie po plecach. – Przyjdę do ciebie rano.

– Nie, to ja do ciebie przyjdę. – Ścisnąłem jego ramię i odsunąłem się. – Pozwól.

– Dobrze, jak sobie życzysz, szefie. Jak tylko będziesz gotowy. Jutro będę tutaj przez cały dzień. – Ale widziałem, że jest zaskoczony. Nie znał takiego Ganeśa Gaitondego. Prawdę mówiąc, ja sam niezbyt znałem takiego Ganeśa Gaitondego. Ostatnio miałem trudności z zaśnięciem, ale teraz byłem osamotniony i opuszczony, rzucony na nieznaną, wzburzoną wodę przez jakąś błąhostkę, drobnusieńką dziewczynę, którą ledwo znałem, której nic nie byłem winien.

– Jutro – powiedziałem, uniosłem rękę i odjechałem do domu. Tej nocy nie dbałem o to, że mogę okazać słabość, własny wstyd odczuwałem w

postaci jakiegoś odległego rozdrażnienia. Wziąłem calmpose i zasnąłem, ale śniło mi się czarne morze, niosące w moją stronę nieskończone fale, pod płaskim, białym niebem nie widziałem żadnej żywej istoty i byłem sam jak palec.

Następnego dnia rano przyszedł do mnie Bipin Bhonsle z prezentami. W czterech plastikowych torbach przyniósł należne pieniądze, ale przytaszczył też nowiutki magnetowid Sony i cztery kasety, same amerykańskie filmy, a do tego cztery wielkie pudła mithai. Wręczając mi to wszystko, rzekł:

– Ojciec powiedział mi: „Zanieś mu jakąś dobrą whisky”, ale ja odparłem: „Ganeś bhai nie dotyka tych rzeczy, a ja go rozumiem. Właśnie dlatego jest tak skuteczny”. – Siedział na krawędzi krzesła, bardzo poważny i podniecony. – Wiesz co, Ganeśu bhai? Podjąłem decyzję. Od dziś ja też nie piję. Wezmę przykład z ciebie. Teraz, kiedy zwyciężyliśmy, jest dużo do zrobienia. Teraz nie ma czasu na picie–gnicie. Musimy dalej zwyciężać.

– Zgadza się – odparłem. Obudziłem się jeszcze bardziej zmęczony, czułem, że mam nogi jak z ołowiu, zupełnie ociężałe, jakby krew mi zgęstniała i zastygła. Ale ocknąłem pod wpływem entuzjazmu Bipina Bhonslego. – Dobrze, Bipin, bardzo dobrze. Człowiek trzeźwy jest skoncentrowany, świadomy i czujny. Nie ma sensu pić whisky ani rumu. Samo życie wystarczy.

Już wielokrotnie wygłaszałem takie przemowy. Ale dla niego była to zupełna nowość.

– To prawda, Ganeśu bhai, oczywiście: wystarczy samo życie. Ale proszę, weź to. – Wyciągnął do mnie rękę z kasetami. – To same międzynarodowe hity, Ganeśu bhai. Same filmy akcji. Spodobają ci się. – Był tak wdzięczny, że dopiero po godzinie udało mi się go pozbyć, a i to po uwadze, że jestem już spóźniony na spotkanie z Paritoszem Śahem. W końcu wyszedł, wciąż głośno zapewniając o dozgonnej lojalności i

powtarzając, że gdybym tylko czegoś potrzebował, to mam o nim pamiętać, bo chociaż on jest, oczywiście, tylko małym człowiekiem, to jeśli czegoś będę potrzebował, mam zaraz do niego dzwonić, a w sprawach międzynarodowych przyjemności jest prawdziwym ekspertem. – Najnowsze taśmy, elektronika, cygara, wszystko, Ganeśu bhai, po prostu wszystko – powtarzał jeszcze, schodząc po schodach. Miał na sobie pomarańczową koszulę z nadrukiem w kwiaty, brązowe gabardynowe spodnie i bardzo błyszczące buty w ciemnym czerwonawobrązowym odcieniu, ze złotymi sprzączkami. Kiedy przy bramie odwrócił się, żeby jeszcze pomachać, łańcuch na jego szyi zamigotał ostrym blaskiem. On cały był takim lśniącym gościem.

Pomknęliśmy do domu Paritosza Śaha. Wolałbym, co prawda, jechać powoli, wciąż nie opracowałem żadnego planu, żadnej taktyki postępowania. Ale przecież nie mogłem powiedzieć do Čoty Badriji: jedź wolno, nie jedź, w ogóle tam nie jedź, bo ja jestem zupełnie bezradny. W końcu byłem Ganeśem Gaitondem. Przyjąłem taką rolę, więc muszę ją grać. Jak jakiś filmowy bohater wysiadłem więc z samochodu, ruszyłem w stronę drzwi domu Paritosza Śaha, wciąż jeszcze udekorowanych na dobrą wróżbę kwiatami i pnączami, i wszedłem do środka. Kiedy jednak zdjąłem buty i znalazłem się na dziedzińcu, straciłem całą tę swoją pewność siebie i polot. Bardzo pokornie wszedłem do biura Paritosza Śaha.

Właśnie rozmawiał przez telefon, prowadząc jeden z tych swoich niekończących się interesów, ustalając transfer pieniędzy z jednego miejsca w drugie, krzyżując przepływające banknoty i w ten sposób je rozmnażając, jednocześnie przez cały czas trzymając w tym strumieniu delikatną i czujną dłoń. Pieniądze podskakiwały ku niemu, a on rozkoszował się ich płasmi. Już kładł dłoń na mikrofonie, kiedy gestem dałem mu do zrozumienia, żeby sobie nie przerywał. Mów, mów – przyłożyłem dłoń do ust i usiadłem,

obserwując przyjaciela. Za jego plecami wisiał oprawiony w złote ramy obraz Kryszny z fletem. Biurko Paritosza Śaha miało złoty blat, na którym stało pięć telefonów. Ściany były w kolorze ciemniejszego złota. Spojrzałem na Krysznę, na tę jego swobodną, taneczną postawę i wykrzywiony uśmiech, i poczułem, że go nienawidzę. Jesteś arogancki. Przesiadłem się, ale oczy Kryszny podążyły za mną. Nie potrafiłem przed nim uciec.

Paritosz Śah odłożył słuchawkę, rozpromieniony dreszczykiem, który dawały pieniądze.

– Namaskar, przyjacielu – powiedział. Zatarł ręce i odchylił się na krześle, sprawiając wrażenie zadowolonego ze świata. A znad jego ramienia uśmiechał się do mnie Kryszna.

Paritosz Śah zdążył już przypomnieć sobie naszą wczorajszą rozmowę.

– Powiedz mi, bhai, o co chodzi? Co mogę dla ciebie zrobić?

W tym momencie uzmysłowiłem sobie, z czego śmiał się Kryszna. Zdałem sobie sprawę, jak ograniczona jest moja władza. Opowiedziałem Paritoszowi Śahowi wszystko, co wiem i czego się dowiedziałem o Dipice i jej ukochanym. Że nazywa się Praśant Haralkar, że jego ojciec pracował w wydziale oczyszczania miasta, że dwadzieścia lat temu matka zabrała dzieci i odeszła od męża pijaka. Powiedziałem też, że Praśant Haralkar jest gorliwym studentem, uczy się przy świetle latarni ulicznych i uczęszcza do wieczorowego college'u, że ma już stałą pracę w BMC i że obecnie mieszka w niewielkim, ale dosyć przyzwoitym domu w Ćemburze, utrzymując matkę i młodsze siostry.

Paritosz Śah ukrył twarz w dłoniach.

Wstałem, obszedłem biurko i usiadłem blisko niego na kanapie. Położyłem mu rękę na kolanie i nieporadnie go poklepałem. Wzdrygnął się pod moim dotykiem.



– Kto poślubi moje dzieci? – szlochał przez palce.

Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Obiecałem Dipice szczęście, ale co z pozostałymi dwiema córkami i dwoma synami Paritosza Śaha, co oni mieli zrobić? Mogłem wygrać wybory, mogłem przesuwać ludzi po stromej drabinie kariery, a w następnej chwili ich zabić, mogłem obracać domy w perzynę, zająć teren, sparaliżować pół miasta swoim arbitralnym oświadczeniem o bandh, gdybym akurat taki miał kaprys. Ale kto mógł stawić czoło zastępom potulnych matron, siedzących skromnie, z zakrytymi głowami na ślubie córki Paritosza Śaha? Kto potrafiłby zmusić ich tęgich małżonków do oświecenia? Natewaik Paritosza Śaha nie odpowiadałoby na jego zaproszenia, wymawialiby się brakiem czasu, zapominaliby zaprosić go na swoje uroczystości, a ich synowie i córki zaręczaliby się i pobierali gdzieś indziej, i nie miałyby znaczenia, ile on ma pieniędzy ani jak blisko jest ze mną związany. Za każdym razem, gdy spotkałby jakiegoś znajomego, za każdym razem, kiedy wyszedłby na ulicę, odczuwałby wstyd. Kiedy tak siedziałem obok Paritosza Śaha, zawstydzony jego łzami i nie mogąc spojrzeć mu w oczy, czułem swoją bezsilność. Mogłem pobić jego wszystkich krewnych, rozdeptać ich swoim butem, rozbić w pył to ich całe zadowolenie, siłą pootwierać im te zarozumiałe i zawinięte głowy na rzeczywistość współczesnego świata, gdyby to tylko coś zmieniło. Ale przyzwyczajenia unoszą się między mężczyznami a kobietami, kryją się w żołądkach dzieci, skąd uciekają, rozprzestrzeniają się i znikają w każdym oddechu, nie można ich zabić, nie można ich powstrzymać, można je tylko cierpliwie znosić.

– Widziałeś tego maderćod sukinsyna? – zapytał Paritosz Śah. Teraz był rozgniewany.

– Nie, nie widziałem. Posłuchaj, ja nie przyszedłem się za nim wstawiać. On dla mnie znaczy mniej niż mrówka. Ale to Dipika mnie prosiła.

– Zabij go – powiedział. – Po prostu go zabij.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Mogę od razu wydać taki rozkaz. W ciągu godziny zniknie z ziemi, nikt nie znajdzie ani kawałeczka jego ciała, nawet jednego paznokcia. Ale co potem? Jego nie będzie, a ona już do końca swojego życia będzie mogła go kochać. A do tego nienawidzić cię do końca swoich dni.

– Ona jest jeszcze młoda. To jest głupota. Tydzień popłacze i zapomni o nim.

– To tak dobrze znasz swoją córkę? – Policzki błyszcząły mu wilgocią, a szczęki zacisnęły się, otwały i zamknęły, posyłając drobne fale udręki w górę, w stronę oczu i czoła. – Powiedziała mi, że się zabije, a ja jej uwierzyłem. Rozumiesz? Ja jej uwierzyłem. Pewnego dnia znajdziesz ją martwą.

– To co robić?

Zaczął krążyć w kółko.

– Pozwól jej wyjść za niego – odparłem. – Wypraw im cichy ślub i gdzieś ich wyślij. Niech zamieszkają w Madrasie, w Kalkucie. Może w Amsterdamie, jeśli chcesz.

– To niczego nie zmieni – powiedział. – I tak wszyscy się dowiedzą. Jeśli ona nagle wyjedzie, zniknie, pojawią się pytania, ludzie zaczną wymyślać przeróżne historie. Zawsze w końcu wszyscy się dowiadują. Czegoś takiego nie można utrzymać w wiecznej tajemnicy. Wszyscy mnie znają. – Miał rację, rzeczywiście tak było. – Bhai – powiedział. – Co zrobimy, bhai?

– Nie wydasz jej za tego chłopaka?

– Nie. Nie mogę. Dobrze o tym wiesz.

Sytuacja była jasna. On był w potrzasku, a ja nic nie mogłem zrobić.

– Wydadz ją dzisiaj za kogoś innego – powiedziałem – jeszcze w tej godzinie. – Znajdź jakiegoś chłopaka, załatw pandita i zaraz ją wydaj. A

potem ich odeślij. Gdziekolwiek. Może ona się nie zabije. Może tak zrobi, ale może jednak nie.

Dyszał ciężko.

– Tak – odrzekł, i chwycił za telefon.

Wyszedłem tylnymi drzwiami. Zdradziłem Dipikę i nie mogłem spojrzeć jej w twarz. Jeszcze tego samego dnia po południu wydali ją za męża, za chłopaka, którego ściągnęli samolotem z Ahmedabadu. Następnego dnia, rannym samolotem, Dipika i jej mąż odlecieli z powrotem do Ahmedabadu. Jej teściowie powiedzieli Paritoszowi Śahowi, że po kilku dniach przygnębienia sprawiała wrażenie pogodzonej z nowymi warunkami, zaczęła się uśmiechać, a nawet głośno śmiać. Paritosz Śah był zadowolony, że rzeczywistość małżeństwa tak szybko wymazała tę głupią iluzję romansu. Rodzice chłopaka mówili mu przez telefon, że Dipika dużo rozmawiała z młodszymi dziewczętami w ich rodzinie i że dwa razy była w kinie ze swoim mężem i swoimi dewarami i ich żonami. A dwa miesiące później Dipika i jej mąż pojechali na miesiąc miodowy do Szwajcarii. Piątej nocy miesiąca miodowego, w Bernie, kiedy jej mąż spał, Dipika opuściła apartament hotelowy. Wyszła z holu, minęła bramę i wkroczyła na ulicę. Uderzył ją samochód, szybko nadjeżdżający zza zakrętu. Kierowca zeznał później, że szła dokładnie środkiem drogi, po linii rozdzielającej pasy, a on nie miał najmniejszych szans, żeby skręcić, nawet nie wiedział, w co uderzył, zorientował się dopiero, kiedy się zatrzymał i cofnął. Dipika zginęła na miejscu. Jej mąż mówił, że sprawiała wrażenie szczęśliwej, że między nimi wszystko układało się jak najlepiej, jak to między wszystkimi nowożeńcami. W szwajcarskich aktach zapisano to jako wypadek.

Trzy miesiące po śmierci Dipiki, kiedy oglądałem jeden z amerykańskich filmów Bipina Bhonslego, przyszedł do mnie Paritosz Śah. Przez całą poprzednią noc nie mogłem zasnąć i byłem do tego stopnia przytomny, że

mogłem dosłyszeć skrzypienie legarów osiadających w podłodze, trzaskanie palców w łapach psów przechodzących po betonie na dworze. Obserwowałem czerwony sekundnik na stojącym przy łóżku zegarze, gładko wycinający swój wieczny krąg, i czułem, jak on szarpie coś w środku mojej głowy. Włożyłem więc do magnetowidu jedną z kaset Bipina Bhonslego, włączyłem telewizor, nacisnąłem guzik pilota i w miejsce czarnego, zamazanego obrazu pojawił się lew, obnażający żółte zęby w przeciągłym ziewnięciu. Oglądałem cały film i początkowo niewiele z niego rozumiałem. Ale zacząłem korzystać z przycisku przewijania do tyłu, i kiedy nadszedł ranek, już rozumiałem fabułę, wiedziałem, kto czego chciał, co stało na przeszkodzie i kogo trzeba było zabić. Historia była ciekawa, ale największą przyjemność sprawiały mi słowa. Kilka razy przeglądałem tę samą scenę, bohater filmu cofał się pod zasłoną cienkich białych linii, szybko jak klaun wykonywał jakieś spazmatyczne ruchy, wykrzywił usta, a dochodzące dźwięki aż lśniły jego złością; wtedy znowu cofałem taśmę, puszczałem do przodu i ponownie cofałem, sylaby uderzały w moje uszy jak bębniące krople, aż w końcu ułożyły się w całość, rozumiałem ich sens, on pytał „Where did he go?”. Miał pistolet w pogotowiu i pytał „Where did he go?”. W tym momencie każda cząstka mojego ciała rozbrzmiewała radością. „There” krzyknąłem po angielsku do bohatera. „He went there”.

Kiedy film się skończył, włączyłem następny i dalej się uczyłem. O dziewiątej przyszedł Paritosz Śah, usiadł na łóżku i patrzył wraz ze mną, oglądając przygody już innego bohatera i jego ludzi, którzy podążali rzeką w dżungli, zanurzeni po piersi w wodzie i z twarzami umazanymi na czarno.

– To jest komando – powiedziałem. – Jeden sukinsyn skradł ich państwu tajny pocisk. Teraz idą do jego kryjówki w dżungli, żeby to odzyskać.

Paritosz Śah uśmiechnął się.

– Kryjówka w dżungli? Zaopatrzenie i utrzymanie czegoś takiego musiałyby strasznie dużo kosztować. Zawsze mnie to zastanawiało. Jak oni dostarczają olej, attę i cebulę dla tylu pachółków?

Wyłączyłem kasetę.

– Ty jesteś za bardzo bania – powiedziałem – żeby docenić dobrą historię.

– Po prostu nie rozumiem tych zagranicznych filmów.

– Widzę. W domu wszystko w porządku?

Po śmierci Dipiki jego żona położyła się do łóżka, skarżąc się na palpacje. Wciąż była bardzo słaba i często nachodziły ją ataki płaczu.

– Jakoś sobie radzimy – odrzekł. – A ty? Spałeś?

Wiedział, że całymi nocami nie mogę zasnąć, że oglądam telewizję do bladego świtu, że podczas podróży samochodem zapadam w niespokojny sen. Pokręciłem głową.

– Dziś w nocy wezmę tabletkę na sen.

Zamaszystym ruchem przeciął powietrze, jak człowiek przecierający szybę.

– O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

– O tabletkach na sen? Czyżby twój wed-maharadz wynalazł coś nowego? – Próbowałem tych jego tabletek od Dhanwantri, ale dostałem niestrawności, wiatrów i nie mogłem spać, więc wróciłem do lekarza alopaty po jego najsilniejsze leki.

– Nie. To nie o to chodzi – odparł bardzo poważnie. – Posłuchaj, bhai. Uważam, że powinieneś się ożenić.

– Ja?

– Spójrz tylko na siebie. Nie jesteś szczęśliwy. Nie możesz zasnąć. Jesteś rozkojarzony, zabierasz się za jedną rzecz, potem za drugą, nic ci nie

wychodzi. Jesteś niespokojny. Mężczyzna musi się ustatkować. Teraz, kiedy masz wszystko, powinieneś zostać gryhasthą, założyć rodzinę, przecież wszystko ma swój czas i miejsce.

– Małżeństwo nie wszystkim daje szczęście.

– Myślisz o Dipice. Bhai, to była moja córka. To nie małżeństwo było tu złem, to raczej coś innego. Po tym, jak ona przekroczyła już wszelkie granice, czy miała jeszcze jakąś szansę na szczęście? Ale ty musisz się ożenić. We wszystkich świętych księgach napisane jest, że życie składa się z kolejnych etapów. Najpierw jesteś uczniem, a potem gospodarzem. Ale ty żyjesz, jakbyś zupełnie wyrzekł się świata. Spójrz na to. – Chodziło mu o ten pokój, o te puste ściany, białe prześcieradła, o leżące na podłodze i zaschnięte thali z kolacji. – Chota Badrija i reszta chłopaków to porządni ludzie, ale oni nie mogą stanowić twojego życia. Potrzebna ci jest kobieta, ona stworzy ci dom.

– A kto za mnie wyjdzie, Paritoszu bhai? Jaka szanująca się dziewczyna?

– Za bardzo się martwisz, bhai – odparł. – Mamy pieniądze. Wszystko jest możliwe.

Wszystko jest możliwe. Tak, on i ja stwarzaliśmy możliwości, chwytałyśmy w powietrzu marzenia i przeobrażaliśmy je w coś trwałego. Wszystko było możliwe. A jednak Kanta Bai i Dipika umarły. Patrząc na Paritosza Śaha, przypominam sobie ten uśmiech boga nad jego ramieniem, smutny sztukmistrz patrzący na mnie swoimi sennymi oczami. On też miał rodzinę, wiele rodzin. A teraz próbował złapać mnie w taką rodzinną pułapkę. Tak, zdawałem sobie już sprawę, że pewne rzeczy są niemożliwe, nawet dla mnie, ale prawdą było, że pieniądze umożliwiały małżeństwo. Większość z moich chłopaków miała chawi, a niektóre z tych chawi zostawały potem ich żonami. Czasami rodzice się sprzeciwiali, głośno

protestowali przeciwko profesji chłopaków, ale w końcu zawsze się zgadzali: ostatecznie chłopak zarabiał, i to zupełnie nieźle.

– Tak – odparłem kwaśno. – Pieniądze mogą przyciągnąć narzeczoną. Przynajmniej tyle mogą zrobić.

– Czy masz kogoś, kogo chciałbyś poślubić z miłości? – zapytał Paritosz Śah z satysfakcją gracza, który szybko zmierza do zadania przeciwnikowi mata.

– Nie. – Miałem wiele kobiet, dziewczyny z baru, dziwki, niedosze aktorki. Ale z pewnością żadnej kandydatki do małżeństwa.

– W takim razie nie odmawiaj mi, bhai – powiedział. – Tamtego dnia przyszedłeś do mojego domu i poprosiłeś mnie o coś. A ja nie mogłem ci tego dać. Ale dzisiaj nie odmawiaj mi. To ja cię o coś proszę. Zgódź się, bhai.

W tym momencie poczułem, że już na zawsze tkwimy w sidłach związków, które oplatają nas od stóp do głów i łączą nas ze sobą, niewidzialnie jak siła grawitacji i równie silne. Z tej sieci nie było ucieczki. Przybyłem do tego miasta samotny i aby być samotnym, ale moja samotność była złudzeniem, historyjką, którą sam sobie wmawiałem, żeby nabrać przekonania o swojej sile. Znalazłem rodzinę i rodzina mnie znalazła. Paritosz Śah był nie tylko moim przyjacielem, był też moją rodziną. I cała reszta, Chota Badrija, Kanta Bai i moi chłopcy, oni też byli moją rodziną. Należałem do tej rodziny, a oni chcieli, żebym się ożenił. Nie mogłem z nimi walczyć. Zostałem pokonany. Skinąłem głową.

– Zgoda – powiedziałem. – Zrobię, jak sobie życzysz.

Kiedy szukaliśmy odpowiedniej dziewczyny, doszło między nami do ostrego konfliktu. Paritosz Śah pragnął przygotować mój dżanampatri, chciał się czegoś dowiedzieć o moich rodzicach, poznać moją gotrę i moją wioskę.

– Tylko znając przeszłość człowieka – powiedział – można ustalić jego przyszłość.

– Nawet o tym nie myśl – odparłem. – Ja niczego takiego nie mam, ja mam pieniądze. Co było, to nie jest. Przyszłość jest przyszłością, więc stwórz ją dla mnie. – Wierzyłem wówczas, że człowiek może stać się, kim zechce. Chciałem, żeby to było prawda: żadnej przeszłości, a przyszłość zależna tylko od własnej woli. Ale Paritosz Śah, ten tłusty sukinsyn, ten szczywany intrygant z Gudżaratu, ten mój wierny przyjaciel, popatrzył tylko na mnie, jakbym oszalał, a potem wymyślił mi przeszłość. Zamówił dżanampatri, długi zwój, ciągnący się na cały pokój, usiany gwiazdami, tajemnymi szrafami, ognistoczerwonym sanskrytem i wszystkim, co dobre.

– Ale też nie jest zbyt idealny – powiedział. – W przeciwnym razie żaden Papa by w niego nie uwierzył.

I tak, według Paritosza Śaha, we wczesnej młodości przechodziłem ciężkie chwile, nękała mnie bieda i niebezpieczeństwa, byłem też bliski śmierci, a to wszystko w związku z górowaniem Sani, ale pokonałem te złe nieuchronności, zmieniłem los siłą woli i prostolinijnym oddaniem dla maharadży Krysny, odwróciłem koło fortuny energią swojego niezmiennego oddania. Nawet to wymyślił, absolutnie wszystko, moją bogobojną, codzienną pudze, budowanie świątyni, moją miłość do Krysny.

– To świetna reklama, bhai – powiedział. – Porzuć więc swoje bezbożne życie, nikomu się to nie podoba. Ludzie pomyślą, że jesteś komunistą, a poza tym twoje dzieci będą potrzebować porządnego, bogobojnego domostwa. – Wykonany na jego specjalne zamówienie dżanampatri prorokował mi wielu synów, jedną albo dwie córki i długie życie pełne coraz większej władzy, stabilności i sławy. Przewidywany był tylko jeden, najwyżej dwa okresy choroby, jak pieprzyki na idealnej twarzy, a i te miałem bez trudu przezwyciężyć dzięki noszeniu odpowiednich kamieni.



Paritosz Śah zwinął zwój zręcznymi i szybkimi ruchami palców wskazujących i kciuków, zabawnie trzęsąc przy tym ramionami, i uśmiechnął się do mnie. – Jesteś bardzo dobrą partią. Poczekaj tylko, kandydatki będą się ustawiać w kolejce.

Miałem co do tego wątpliwości. Mogliśmy poruszyć planety, aby rzuciły złoty blask na moją przyszłość, ale faktem pozostawało, że na moich rękach jest ludzka krew. Gazety pisały o mnie „Szef mafii, Gaitonde”. Ludzie nienawidzili mnie i bali się mnie. Wiedziałem o tym. A jednak zdjęcia zaczęły nadchodzić. Ojcowie przysyłali fotografie swoich córek, przez pośredników i agencje matrymonialne. Paritosz Śah rozłożył na swoim złotym biurku cały ich plik, jak talię kart.

– Wybieraj – powiedział.

Sięgnąłem po pierwszą. Dziewczyna siedziała na tle czerwonej zasłony, ubrana w zielone, jedwabne sari ze złotą dupatą, a jej lśniące, czarne włosy ściągnięte były do tyłu, odsłaniając wysokie czoło.

– Ta wygląda jak nauczycielka – stwierdziłem.

– No to nie wybieraj jej. Przeprowadź wstępną selekcję. A potem weźmiemy pod uwagę pochodzenie, wykształcenie, charakter dziewczyny, horoskop i przejdziemy dalej.

– Przejdziemy dalej?

– Pooglądamy sobie te dziewczyny, oczywiście.

– Wybierzemy się do nich do domu? A one nam podadzą herbatę przy rodzicach?

– Tak, jasne. A jak byś chciał inaczej?

Pstryknięciem palca posłałem zdjęcie z powrotem na stół, gdzie gładko wsunęło się między pozostałe.

– To czysty obłąd – stwierdziłem.

– Co, małżeństwo to obłąd? Bhai, cały świat tak robi. Premierzy tak robią. Bogowie tak robią. Powiedz, co innego można zrobić z życiem? Czy człowiek rodzi się do czegoś innego?

Po co rodzi się człowiek? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, zabrałem więc zdjęcia do domu i rozłożyłem je na podłodze w swoim pokoju, w rzędach po dziesięć. Drżały poruszane podmuchami powietrza z klimatyzatora, te wszystkie twarze wygładzone pudrem, subtelnie jaśniejące nadzieją. Był kwiecień i bez tego polarne powietrze, nawet kiedy wentylator ustawiony był na maksymalne obroty, pociełem się w mój materac, pozostawiałem na krzesłach wilgotne plamy. W moich żyłach pulsowała gorąca krew, która potrzebowała mroźnego powietrza, zimniejszego, niż to miasto było w stanie z siebie wydać. Na zewnątrz, w promieniach słońca, czułem, jak spodnie lepią mi się do nóg, powodując, że ogarnia mnie jakiś nieokreślony niepokój, wokół kostek pojawiają się czerwone pręgi od palących mnie butów. Będąc w takim nastroju, potrafiłem wpaść w szal i zapominać o ostrożności, więc chłopcy kazali położyć dodatkowe przewody elektryczne i wybić nowe okno w mojej sypialni, żeby wstawić tam to urządzenie, które mnie schładzało. I chociaż teraz czułem się dobrze i byłem spokojny, te wszystkie twarze na podłodze wydawały mi się takie same, każda z nich tak samo dobra albo zła, jak każda inna. Były dosyć ładne, nie patakri piękne – któż by szukał takiej żony? – ale miłe, serdeczne i skromne. Wszystkie odpowiednio wykształcone i kulturalne, bez wątpienia potrafiły gotować i wyszywać, każda z nich nadawała się na żonę, dlatego więc miałbym wybrać tę, a nie tamtą? One trzepotały w chłodnych podmuchach wiatru, a ja czekałem na sygnał od którejś, może jakiegoś mrugnięcia. I tak siedziałem, ja, Ganeś Gaitonde, przywódca mojej firmy, władca tysięcy dusz, pan życia i śmierci

i wspaniałomyślny dobroczyńca, zupełnie i absolutnie niezdolny do podjęcia decyzji.

– Bhai, mamy kłopot. – To Ćhota Badrija dobijał się do drzwi. Kazałem mu wejść, a on powtórzył: – Bardzo duży kłopot.

– Co?

– Ten dzisiejszy transport, bhai. Policja go przechwyciła. Czekali przy Golghat. Zaczaili się nad plażą, za drzewami. Zaczekali, aż cały mai będzie załadowany na ciężarówki, a potem wyszli, wszystkich zaarrestowali i zabrali wszystko, co tam było.

To wszystko oznaczało chipy komputerowe, tabletki z witaminą B–kompleks i kamery wideo, całość o wartości czterdziestu lakhów. Nasz mai został przetransportowany na stustopowej dawie do brzegu niedaleko wioski rybackiej Golghat, potem przeładowany na zgrabne, małe łodzie rybackie, które przewiozły go na plażę, a tam już czekały trzy ciężarówki z plastikowymi płachtami na platformach, przygotowane na przyjęcie mojego cennego ładunku. Ale teraz zabrała go policja.

– Musieli wiedzieć – stwierdziłem. – Mieli informacje.

– To prawda – odparł Ćhota Badrija.

– Była tylko policja? Bez celników?

– Tak, tylko policja.

– Kto to był?

– Policjanci z trzynastej strefy. Kamath, Bhatia, Madźid Khan, ci faceci. Ludzie Parulkara.

Obaj wiedzieliśmy, co to może oznaczać. Albo policja ma własnego informatora, który dał im cynk, albo jeden z moich konkurentów podsunął im nasz mai. W tym okresie w Bombaju działały cztery inne, duże firmy, pasztuńska przy Grand Road, ekipa Sulejmana Isy w Dongri, Jogeśwari i Dubaju, bracia Prakaś i ich firma operująca na północno–wschodnich

przedmieściach oraz firma Ahira w Bajkuli. Każdy z tych czterech, a raczej pięciu – jeśli liczyć Rakszak – gangów mógł stwierdzić, że jesteśmy płotką, którą bez trudu można połączyć. To nie mogli być Pasztunowie, zbyt słabieni po długiej wojnie z Sulejmanem Isą, którą ledwo przetrwali. Ale każda z pozostałych firm mogła uznać nas za łakomy kęs: byliśmy zdecydowanie najmłodszy, mieliśmy najmniejsze doświadczenie, najsłabsze kontakty, najskromniejsze środki i najgorsze uzbrojenie. Kto to mógł być?

Zastępcą komendanta w strefie trzynastej został właśnie Parulkar, o którym mówiono, że jest blisko z Sulejmanem Isą. A Sulejman Isa wraz ze swoimi braćmi dowodził największym gangiem w dziejach Bombaju, z najlepszymi politycznymi koneksjami i najlepiej uzbrojonym. Być może postrzegali nas jako rosnące zagrożenie i postanowili nas załatwić.

– Tylko tyle wiemy? – zapytałem.

– To wszystko, bhai.

Od ogarniającej mnie wściekłości aż rwało mnie w stawach, a w żołądku czułem pulsowanie. Łaknąłem krwi. Ale powoli, trzeba zachować spokój. Sulejman Isa był duży. Musiałem mieć pewność.

– Zadzwoń do Samanta. Znajdź go, gdziekolwiek jest. Muszę z nim porozmawiać.

Kto na nas polował? Samant prowadził dochodzenie wewnątrz wydziału, sprawdzał plotki, tu podrzucił komuś trochę pieniędzy, tam wręczył butelkę czarnego Johnny Walkera. Wszędzie znał ludzi, policjantów, urzędników i gońców, i w końcu tajemnica wyjdzie na jaw którymś z tych kanałów. Ale trwało to zbyt długo. W mojej firmie był szpieg, gdzieś blisko mnie, jakiś ćutija, który sprzedał tajemnicę o moim transporcie, i z każdą mijającą minutą grożące mi niebezpieczeństwo stawało się coraz większe i bardziej przerażające, jak pochylające się wzgórze. Musiałem unieść górę, bo mogła

się wywrócić i mnie zmiażdżyć. Byłem w stanie dźwigać ten ciężar, wiedziałem o tym. Ale najpierw musiałem znaleźć węża we własnym domu, musiałem zmiażdżyć mu głowę. Gdzie on się ukrywał? Jak go wywabić? Siedząc w swoim klimatyzowanym pokoju, układałem twarze dziewczyn we wzory, grupowałem je i wciąż się zastanawiałem.

W ostatnim dniu maja wybrałem się do Paritosza Bhai.

– Chcę coś zrobić – wrzasnąłem na niego. – Siedzę tu, jak jakiś ćutija, a banda behenódów śmieje się ze mnie. Moi własni ludzie się ze mnie śmieją.

– Nikt się z ciebie nie śmieje – odparł. – Cierpliwości. To duża sprawa, a nic dużego nie załatwia się w jeden dzień.

Już miałem znowu na niego naskoczyć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzał Bara Badrija i wpuścił nieśmiałego, małego krawca. Paritosz Bhai szykował sobie nowe ubranie w stylu safari. Kiedy krawiec rozciągał na nim swoje centymetry, Paritosz Śah nieprzerwanie prowadził szereg rozmów przez swój telefon bezprzewodowy. Siedziałem i patrzyłem. Ostatnio był bardzo zajęty uruchamianiem linii lotniczej. Mój grubas chciał latać. Prowadził dziesiątki interesów, szczycił się swoimi firmami budowlanymi, restauracjami, nieruchomościami pod wynajem, fabrykami plastiku, położoną niedaleko Ahmedabadu fabryką garderoby, ale marzył, by unosić się wysoko nad ziemią, i w związku z tym ostatnio zaczął pojawiać się we wszystkich gazetach, wytworny i pięknie wystrojony, z lśniącymi włosami, złotym łańcuchem z medalionem z Kryszną i w złotym roleksie, podkreślającym te jego wszystkie ozdabiające palce pierścienie ze szczęśliwymi kamieniami. Czułem radość, kiedy wyobrażałem go sobie, jak leci wysoko ponad poszarpanym urwiskiem budynków Bombaju, ponad brunatnymi nizinami swojego basti, szybuje

nad tym wszystkim jak gładki, okrągłutki balon, rzucając na zębaty kontur miasta dobrotliwy, błękitny cień swojego ubrania w stylu safari, jeszcze bardziej zachwycająco błękitny niż rozjaśnione słońcem niebo. Być może pewnego dnia ten jego cień sięgnie na zachód i na północ, sięgnie aż do Delhi, i jeszcze dalej. On dysponował inteligencją, ambicją i roztropnością. Ale na razie linia lotnicza miała łączyć Bombaj z Ahmedabadem i Barodą. Organizował uroczystości i ceremonie związane z dziewiczym lotem.

– Posłuchaj – mówił do słuchawki. – Tylko posłuchaj. Znałem tę randi, kiedy jeszcze ciągnęła laury przez całą noc za pięć tysięcy rupii. A teraz zrobiła się z niej taka wielka gwiazda, że chce trzy lakhi za to, że przez godzinę posiedzi w samolocie? Za przecięcie jednej wstęgi? Nie bądź śmieszny. – Rozmawiał z sekretarzem Sonam Bhandari, negocjując osobiste pojawienie się gwiazdy. Słuchał, a potem zaczął mówić głosem rzeczowym, niedopuszczającym bzdurnej dyskusji. – Mogę dać jeden lakh. Otwieram linię lotniczą, a nie fundusz dla skończonych gwiazdek. Jeden lakh. – Krawiec brał miarę od pasa do podłogi. – Ile? Zgoda. Półtora. Załatwione. Jeszcze dzisiaj wyślę pięćdziesiąt tysięcy. Dobra. – Odłożył telefon. – Załatwione – powiedział do mnie. – Na lot przybędzie gwiazda filmowa. Będziemy w telewizji.

– Ty będziesz w telewizji – poprawiłem go. – Nawet nie zbliżę się do twojego samolotu.

– Nawet jeśli na pokładzie będzie Sonam Bhandari? – zapytał. – Kiedy zobaczysz, jak ona potrząsa swoimi kokosami, zapomnisz o swoim transporcie.

– Żadna kobieta nie ma takich kokosów, które mogłyby spowodować, żebym o tym zapomniał.

Ponownie odezwał się, kiedy już krawiec, pozbierawszy swoje zapiski i próbki, wyszedł z pokoju.

- Zrobiłeś wszystko, co się dało. Teraz pozostaje nam tylko czekać. Czekać i czekać, i czekać. To oczekiwanie było dla mnie katorgą.
- Posłuchaj – powiedziałem. – Nie chcę czekać. Musimy coś zrobić.
- W takich chwilach potrzebna jest pomoc – odrzekł, zerkając chytrze.
- Odprawmy pudżę.
- Dobra.

– Co, naprawdę? Naprawdę chcesz? – Nic dziwnego, że się tak zdumiał: przez wszystkie lata naszej znajomości nigdy nie odmawiałem modlitwy, nigdy nie prosiłem o boże łaski, a prasad jadłem tylko jako przekąskę. Ale teraz nie interesowało go, co mną kieruje, zależało mu jedynie, żeby szybko wykorzystać tę moją niespodziewaną chwilę słabości. Już chwycił za jeden ze swoich telefonów. – Wysłuchamy Satjanarajan Kathy. Znam pewnego pandita. Zobaczysz, jego wszystkie kathy zawsze dają dobry efekt. Nie martw się. W mgnieniu oka będziemy panami sytuacji. – Uśmiechał się do mnie jak najżyczliwiej. Wyobrażałem sobie tę historię, która mu chodzi po głowie, już teraz słyszałem tę kathę, którą miał zamiar odmówić tak głośno, jakby mówił wprost do mojego ucha przez megafon: „Bhai przybył do domu – właśnie to zamierzał powiedzieć chłopakom – przyszedł do domu Pana, z bożej łaski został przebudzony, w jego sercu nowym ogniem rozpałiło się oddanie”. Prawdę mówiąc, wcale nie czułem się ożywiony, raczej zupełnie bierny. Miałem wrażenie, że powoli tonę i z twarzą zalaną wodą wyciągam rękę, chwytając się tego, co akurat przepływa w pobliżu. Pudża to była gałązka, więc się jej chwyciłem.

Widziałem ciężką łódź stojącą nieruchomo na rozkołysanej srebrzystej powierzchni bezkresnej wody. Paritosz Śah na swoją pudżę wybrał pandita bhajję, więc bez wysiłku rozumiałem kathę w hindi. Pandit mówił w sposób bardzo dramatyczny i opowiadał Satjanarajan Kathę niesamowicie sugestywnie, dla różnych postaci używając różnych głosów i w pełni

wykorzystując stosowane przez Dilipa–Kumara artystyczne środki wyrazu. Właśnie byliśmy w części, w której handlarz i jego zięć wracają do domu w łodzi wyładowanej złotem, perłami, perfumami i kością słoniową, tymi wszystkimi ogromnymi skarbami przywiezionymi z długiej, powikłanej podróży z dala od domu. I wtedy na brzegu pojawia się Dandi–swami, sam chytry stary Satjanarajan w przebraniu, i zadaje proste pytanie: „Baćca, co masz w łodzi?”. A biznesmen, chciwy krótkowzroczny sukinsyn, nie chcąc dawać jałmużny, mówi: „Och, nic takiego, Swami–dzi, to tylko jakieś latapata”, na co Dandi–swami skinął głową i powiedział: „Tathastu”, a łódź nagle zaczęła podskakiwać na wodzie jak korek, teraz rzeczywiście wypełniona jedynie puszystą trawą i suchym sianem. W tym momencie Dandi–swami zapadł w głęboki medytacyjny trans, i dokładnie w tej samej chwili, zanim jeszcze zdążyliśmy przejść do zasłużonej kary i żalu biznesmena, Ćhota Badrija klepnął mnie w ramię i szepnął:

– Chodźmy, bhai.

Na zewnątrz podał mi telefon. Odebrałem go w towarzystwie Paritosza Śaha, Ćhoty Badriji i jego brata Bary Badriji. To był dla nas moment przełomowy. Poprzedniej nocy jeden z naszych agentów organizujących przerzut w Golghat spędził w Kolabie noc z dziewczyną o imieniu Simki. Tego agenta, Konkani o imieniu Aśok Khot, opłacaliśmy od czterech lat. Ostatniego wieczoru przyjechał do Bombaju, żeby odprowadzić na dworzec swoją żonę, która jechała do Delhi, na wesele córki swojego brata. Pojechała ekspresem Radźdhani, wygodnie ulokowana wraz z dwoma synami w wyposażonym w fotele wagonie, a Khot postanowił skorzystać z uroków miasta. Już z dworca zadzwonił do Simki, a godzinę później zabrał ją sprzed baru Lido, obok kina Regal. Khot był przy forsie. Zamówił prywatną klimatyzowaną taksówkę z przyciemnianymi szybami i zabrał dziewczynę na kolację do restauracji Chajber, a potem na przejażdżkę po



Marine Drive. Przez całą kolację popijał czarnego Johnnynego Walkera i opowiadał jej przeróżne historie o ludziach, których wystrychnął na dudka, o pieniądzach, które zarobił, i o wysokich rangą oficerach, których doprowadził do ruiny, a kiedy znaleźli się w samochodzie, masował jej mausambi i śmiał się z dowcipów, których nigdy nie kończył, pociągając ze srebrnego kubka, przymocowanego do butelki srebrnym łańcuszkiem. Simki leżała rozwalona na fotelu i słuchała go, nucąc sobie do piosenki płynącej z magnetofonu. W Caupati zjedli kulfi, po czym on, zataczając się, podszedł do wody i próbował zaśpiewać piosenkę, następnie zwymiotował do morza, a potem wypił kolejny kieliszek, żeby zademonstrować, jakim to jest twardym mężczyzną. W drodze powrotnej kazał kierowcy włączyć *Makhmali andhera he*<sup>12</sup>, rozchylił coli Simki i tulił się do niej, śliniąc się i bełkocząc, a ona przez muzykę słyszała, jak mówił: „Sali, lepiej, żebyś była dla mnie dobra, czy ty wiesz, kim ja jestem? W tym mieście nikt nie może na mnie krzywo spojrzeć. Sam Masud Mitha przychodzi do mojego domu”. W pokoju hotelowym w Kolabie Khot wbił w nią tępy wzrok i zaczął obmacywać jej sukienkę, a po chwili powoli zwałił się na bok i mocno zasnął. Simki zdjęła mu buty i skarpetki, potem spodnie i bieliznę Jockey. W jego kieszeniach znalazła dwadzieścia cztery tysiące rupii w pięćsetrupiowych banknotach, odliczyła pięć tysięcy i schowała głęboko do swojej czerwonej torebki. Z tej torebki ostrożnie wyciągnęła małe papierowe pudri, a z niego rozsądną szczyptę brown sugar, który wciągnęła w nozdrza, trzęsąc przy tym zmysłowo piersiami. Następnie położyła się i zasnęła. Rankiem Khot odwrócił się i przeciągnął, a ona nie poruszyła się, pomimo jego smrodliwego oddechu jak z rynsztoka. Kiedy próbował położyć się na niej, odwróciła głowę, skrzywiła się i swoim głosikiem małej Simki powiedziała: „Radzo, jestem cała obolała po dzisiejszej nocy, naprawdę nie mogę już więcej, naprawdę”. Roześmiał się z dumą i

wspaniałomyślnie dał jej spokój. Następnego dnia jadła lunch z jednym z naszych ludzi, Bantim Arorą z GTB Nagar.

Kiedy Simki przyjechała pierwszy raz z Chandigarhu, Banti zajął się nią i została jego ćhawi. Teraz nawet by jej nie tknął, wpadła w ten wstrętny, narkotyczny nałóg, ale zachował trochę tego starego uczucia dla dawnej maśuk i czasami, będąc w tej części miasta, odwiedzał ją. Opowiedziała mu o nocy spędzonej z Khotem. To właśnie nasz Banti poznał Khota z Simki. Powiedział jej więc: „Ten sukinsyn bewda jest niemożliwy, kiedy zaczyna pić”. A ona odparła: „Tak, gada i gada, nie może przestać! Jestem tym i jestem tamtym, lepiej niech nikt na mnie nie patrzy, do mojego domu przychodzi Masud Mitha. Chciałam przywalić mu w łeb kijem krykietowym”. Odrzuciła włosy i przez moment wyglądała jak dawna, ognista Simki. Potem jednak powróciła do swojej złotej faludy i stłumionego nucenia. Nasz Banti zachował kamienną twarz, dalej prowadził rozmowę, rozmawiał o filmach, gwiazdach i o tym, i owym, a po lunchu odprowadził ją i poszedł do najbliższego sklepu, z którego do nas zadzwonił. Dokładnie w tym momencie, kiedy Dandi-swami powiedział: „Tathastu”.

Sprawa się więc wyjaśniła. Masud Mitha był najważniejszym człowiekiem Sulejmana Isy w mieście, tak było już od czasu, kiedy sam Sulejman wyniósł się do Dubaju. Wrogiem, który skradł nasz towar, był Sulejman Isa, on i jego sukinsyny bracia. Odłożyłem słuchawkę i powiedziałem to Paritoszowi Śahowi, Barze Badriji i Ćhotcie Badriji.

– To Sulejman.

– Jesteś pewien? – spytał Ćhota Badrija.

– Oczywiście, że jestem pewien. Już wcześniej byłem, a teraz mamy na to dowód. Ten behenćod Parulkar i Sulejman już od wielu lat są blisko ze sobą związani. – Wszyscy o tym wiedzieli i zresztą widać było to po twarzy

Ćhoty Badriji, który tylko spuścił wzrok i nic nie mówił. Parulkar i Sulejman razem dorastali, a przynajmniej równolegle. Wiele ze słynnych aresztowań i zasadzek Parulkara organizowanych było na podstawie informacji dostarczanych przez Sulejmana, a osoby trafiające do aresztu i te, które na śmierć wykrwawiały się na jakiejś uliczce, były wrogami Sulejmana, jego rywalami albo po prostu ludźmi, którzy zaszli na tyle daleko, że postrzegali ich jako swoich konkurentów. On i jego klan połąknieli wielu w tym mieście, obrośli w tłuszcz na tej codziennej diecie i dumnie paradowali po ulicach. Sulejman Isa i jego wielu braci, nawabowie Bombaju.

– Wszystkich ich wymorduję – oznajmiłem.

Nad nami chybotał się wirujący wentylator, przekrzywiony zataczał szybkie kręgi, raz na jakiś czas z lekka trzeszcząc. Był to jedyny dźwięk w pomieszczeniu. Sprawa była bardzo poważna. Pasztunowie stoczyli wojnę z Sulejmanem, zabili jednego z jego braci i wielu jego ludzi, ale on odpowiedział atakiem na ich atak i wykrwawili się. W końcu ogłoszono rozejm i ustały strzelaniny, w restauracjach przestały stukotać pistolety, a kałasznikowy na stacjach paliw, ale Pasztunowie wyszli z tego starcia bardzo poturbowani. Tylko szalenie wątpiłby w determinację Sulejmana, w jego umysł albo bogactwo czy też kontakty w policji i w ministerstwach. Dlatego też moi przyjaciele nic nie mówili. W końcu odezwał się Paritosz Śah.

– Chyba nie mamy wyboru.

Nadciąga wojna. Spokojnie zdążamy na pole bitwy. Moglibyśmy próbować jej uniknąć, ale za ostatnim, pięknie udekorowanym kwiatami zakrętem i tak stwierdzilibyśmy, że przed nami otwiera się brama do przesiąkniętej krwią areny. Dotarliśmy zatem do tego miejsca.

– Dobra – powiedziałem. – Zaczynamy.

Początkowo odnosiliśmy zwycięstwa. Wykorzystaliśmy element zaskoczenia. Tego pierwszego dnia kazałem pochwycić Khota. Jego żona wciąż jeszcze była w Delhi, więc kilku moich ludzi po prostu poszło tej nocy do jego domu, wyciągnęło go z łóżka i przyniosło do mnie. Nie chciałem go widzieć w swoim domu, więc zajęliśmy się nim na dworze, na tyłach budynku. Początkowo próbował przekonać mnie, że nic nie wie o żadnym Sulejmanie Isie, jak w ogóle przyszło mi do głowy, że on mógłby próbować zrobić coś tak podłego i szalonego, przecież wszyscy wiedzieli, że on od lat jest wierny Ganeśowi bhai, zaklinał się na głowy swoich dzieci. W końcu ten bezwstydną behenćód próbował podejść mnie od strony religijnej.

– Po co ja miałbym współpracować z tym sukinsynem kattu? – powiedział. – Ganeśu bhai, tylko pomyśl. Ja, tak jak i ty, jestem człowiekiem bogobojnym. Co tydzień daję na świątynię. To jakaś intryga muzułmanów, żeby zniszczyć naszą przyjaźń.

Uderzyłem go tak mocno, że aż obtarłem sobie palec.

– Posłuchaj, sukinsynu – zacząłem, ale byłem już zbyt wściekły, czułem, jak oczy zachodzą mi krwią. – Dowalcie mu – tylko tyle zdołałem wydusić. – Dowalcie mu – powtórzyłem i odszedłem.

Zaczął kaszleć, sapać i wzywać ojca.

– Papa, Papa – łkał. Było to dosyć ciekawe. Większość mężczyzn pod wpływem bólu zachowuje się jak dzieci i płacze za mamą. Może Khot nie miał matki. Wróciłem i patrzyłem, trąc obolałą rękę. Kiedy naciskałem drugi kłykieć prawej ręki, po dłoni rozchodziła się promienista fala bólu. Nacisnąłem mocniej. Teraz poczułem zimno, szybko przemieszczające się i dżgające ostrzem w nadgarstek. Jakby tuż pod skórą poruszał się jakiś śliski, kłający ząb. Pod gradem kopniaków Khot wił się w konwulsjach na ziemi. Przycisnąłem jeszcze mocniej. On pierwszy nie wytrzymał.

Wszystko nam powiedział. Nie było tego zbyt wiele. Znał się z Masudem Mithą już od wczesnej młodości. Ich rodziny pochodziły z sąsiednich wiosek, gdzieś nad morzem. Masud skontaktował się z nim półtora roku wcześniej, w Bombaju, zadzwonił do niego z zaproszeniem na herbatę i ciasteczka do swojego biura w Dongri. Khot nie chciał spotkać się w Dongri, więc wypili čaj w taniej restauracji w Ghatkopardze. Przy tym pierwszym spotkaniu rozmawiali tylko o wioskach w Konkani, o jedzeniu i o tym, co zdarzyło się jakiemuś tam staremu ich znajomemu, którego ojciec był listonoszem. Mniej więcej po miesiącu, w późnych godzinach wieczornych, kierowany nagłym impulsem Masud przypadkowo zatrzymał się przy położonym w pobliżu Golghatu domu Khota, po prostu akurat był w pobliżu i wprosił się na kolację, na wszystkie tradycyjne dania z Konkani, jakie potrafiła przyrządzić żona Khota, żeby mógł zakosztować kuchni bhabhi, jak u swojej matki. Po tej kolacji były rozmowy telefoniczne, podarunki w postaci zegarków i butelek whisky, ale nie doszło do żadnych osobistych spotkań. Khot nie był niewiniątkiem, już od pierwszego łyku herbaty Mithy wiedział, w czym rzecz, dlaczego po tylu latach Masud Mitha nadal go pamięta. I kiedy nadszedł czas przygotowywania mojego transportu, tego mojego transportu za czterdzieści lakhów, to właśnie Khot sięgnął po telefon i zadzwonił do Masuda: „Bhai, może zjemy razem kolację?”. Płacząc, opowiedział nam to wszystko.

– Skończcie z nim – rozkazałem. Odwróciłem się i wyszedłem, i zanim jeszcze dotarłem do schodów prowadzących do tylnych drzwi, było po wszystkim. Dwa głucho uderzenia i już było po Khocie. Po chwili do domu wszedł Chota Badrija, usłyszałem lekki trzask, kiedy zabezpieczał swojego glocka, zanim włożył go z powrotem pod koszulę.

– Nie pozbywajcie się jeszcze ciała – powiedziałem. – Jutro wyślemy je Sulejmanowi. Kiedy będzie po wszystkim.

– Kiedy będzie po wszystkim – powtórzył i uśmiechnął się. Zabraliśmy się więc do pracy. Już wcześniej się przygotowaliśmy. Zrobiliśmy listy, odręczne mapy, zebraliśmy informacje. Rozstawialiśmy zawodników. Następnego dnia, między ósmą rano a czwartą po południu, zabiliśmy Winaja Śukłę, Salima Śheikha, Saida Munira, Munnę, Mechanika Zaheda i Prafula Bidaje. Tej samej nocy Samant zlikwidował Azama Lambu i Pankadża Kamatha, i za tę akcję został wynagrodzony wielkimi artykułami w gazetach: „Król policyjnych zasadzek zlikwidował najlepszych żołnierzy Sulejmana”, a ode mnie trzema lakhami rupii. I również tej samej nocy, a dokładnie rano o czwartej trzydzieści, na róg przy hotelu Imperial w Dongri podjechał samochód, z którego na chodnik wypadł Khot, z głową zawiniętą w ręcznik pokryty zaschniętą krwią. W ten sposób daliśmy im znać, kim jesteśmy. Krwią napisaliśmy odpowiedź.

Ja jednak pragnąłem głowy Sulejmana, chciałem kopać ją jak futbolówkę. Ale on był bezpieczny w Dubaju, gdzie wyjechał po tym, jak Pasztunowie zabili jego brata i jak on sam wielu z nich zabił. Bombaj zrobił się dla niego zbyt niebezpieczny, więc ten bhadwa uciekł, ale nadal prowadził w tym mieście swoją działalność, przy pomocy Masuda Mithy i innych. Przygotowaliśmy się na ich kontratak, a oni nie kazali nam długo czekać, zaledwie jeden dzień. Urządzili zasadzkę na trzech naszych ludzi wychodzących z domu krewnego w Maladzie. Wszyscy zginęli, zanim jeszcze zdążyli sięgnąć po broń. Adżaj Kamble, Noble Lobo, Amir Kenkda. Następnego dnia inspektorzy Parulkara zorganizowali akcję podczas naszej cotygodniowej zbiórki pieniędzy na Darja Mahal Bazar, gdzie jak zawsze sklepikarze czekali na nas ze swoimi pieniędzmi. Policjanci, pod wodzą tego muććahara Madźida Khana, przebrali się za robotników. Bez żadnego

ostrzeżenia wystrzelili czterdzieści trzy kule. Winaj Karmarkar, Śailendra Pawar, Ziauddin Kazalbasz.

Walczyliśmy z Sulejmanem Isą przez całe lato, aż do monsunowych powodzi. Kiedy odbieraliśmy ciała naszych z kostnicy i przewoziliśmy je przez białe wodospady, mieliśmy wrażenie, że ta walka trwa już całe wieki, że ta wojna zawsze się toczyła. Zadawali nam rany, ale nie mogli nas zabić. A my ich kąsaliśmy, każdego dnia upuszczaliśmy im krwi. Tymczasem wystartowała linia lotnicza Radźhans, dziecko Paritosza Śaha, który wszczepił sobie włosy, ponieważ stwierdził, że w telewizorze wygląda zbyt staro, i codziennie pouczał mnie o mocy Dandi–swamiego.

– Sam widziałeś, jak odpowiedział na twoje prośby. Wystarczyło, że poprosiłeś, a on ci to dał. Jak możesz teraz nie wierzyć?

Kusiło mnie, żeby uwierzyć. Ale pamiętałem z czasów młodości, że wiara jest wewnętrzną zgnilizną, która wydrąża człowieka od środka i czyni z niego eunucha. Wiedziałem, że wiara jest wygodnym oparciem dla tchórzki i słabeuszy. Nie, ja nie chciałem mieć w sobie takiej choroby.

Oparłem się więc tej pokusie, tłumaczyłem to sobie zbiegiem okoliczności. To, że informacje dotarły do nas w trakcie pudży, bez wątpienia było tylko jakimś kaprysem niepowiązanych ze sobą ruchów, przemieszczających się względem siebie w sposób, który tylko dla mnie przedstawia jakieś znaczenie, przypadkowe cząsteczki, zderzając się, tworzą złudzenie, które w moich oczach nabiera kształtu. Co w takim razie można powiedzieć o tych tysiącach momentów w każdej minucie, kiedy nie ma żadnego powiązania, kiedy od jednego wydarzenia do następnego nie biegną żadne błyskotliwe nici znaczenia? Dla Paritosza Śaha migoczący obraz każdej sekundy krył w sobie twarz Dandi–swamiego, mój przyjaciel błagał go prezentami i bhadźanani, starał się uprosić go kamieniami, amuletami i tajemnymi mantrami, a czasami się z nim kłócił. I zawsze

potem przeproszał Dandi–swamiego i wzlatywał na skrzydłach jego błogosławieństwa. Był przekonany, że jeśli tylko zrezygnuję z oporu i się ożenię, automatycznie osunę się w wiarę.

– Kiedy już się naprawdę usatujesz – powiedział – również te wszystkie bzdury się uspokoją. Raz–dwa, tak to będzie. – I pstryknął palcami, tak, raz–dwa. Codziennie pytał mnie o listę wybranych kandydatek.

I tak mijał ten rok. Wrzesień, październik. Na początku listopada zadzwonił Samant. Podczas tych wszystkich potyczek nadal prowadziliśmy interesy i odnosiliśmy obopólne korzyści, on w gotówce, a ja w martwych ciałach. Ale od kiedy obaj trafiliśmy do gazet, trudniej nam było spotykać się osobiście. Staliśmy się więźniami sławy. Co prawda tylko lokalnej, bombajskiej sławy, nie ogólnoindyjskiej, ale to wystarczyło, żebyśmy zrobili się bardzo ostrożni. Rozmawialiśmy więc przez telefon, raz na tydzień zmieniając numery.

Samant miał do przekazania dosyć proste informacje. Miesiąc po przechwyceniu mojego transportu rząd przekazał pewną kwotę pieniędzy, w wysokości prawie jednej czwartej wartości mojego towaru, różnym policjantom, a także pewnemu anonimowemu informatorowi. Wiedzieliśmy, że tym nieznanym sukinsynem nie mógł być Khot ani też żaden z jego spadkobierców – bacznie ich obserwowaliśmy. Kim więc był ten gandu, który zabrał moją własność? Samant wiedział już, kim jest ten człowiek, to Kiśorilal Ganpat. Znałem to nazwisko. Cały Bombaj je znał. Był przedsiębiorcą budowlanym, przez ostatnich dziesięć lat we wschodniej części miasta aż zaroilo się od jego konstrukcji. Z autostrady widać było jego budynki wystawiające głowy z zielonych pól, górujące nad wioskami i dawnymi osiedlami. Był kimś wielkim. Chodziły słuchy o jego interesach z Sulejmanem, ale charakter ich relacji nie odbiegał od pewnej normy, takie



mógł mieć z Sulejmanem Isą każdy inny przedsiębiorca budowlany. Nic specjalnie bliskiego, nic szczególnego. Myśmy też rozmawiali z Kiśorilalem Ganpatem, kiedy potrzebował pomocy w uprzątnięciu slumsów z czterech działek budowlanych w Andheri. Ale jeśli wziął moje pieniądze, jeśli mnie okradł, oznaczało to, że jest bliżej Sulejmana, niż przypuszczano. A to z kolei znaczyło, że jest bankierem Sulejmana, że je z tej samej miski, co ten maderćod.

Podziękowałem Samantowi i rozłączyłem się. Nagrodę miał dostać później i na razie nie mieliśmy nic więcej do omówienia. Mogłem przełknąć tę wiadomość w ciszy, zapomnieć, że ją słyszałem, ale mogłem również zacząć działać. Zachowałem ją dla siebie, zamknąłem głęboko w środku. Chciałem to dokładnie przemyśleć.

Tuż przed świtem zadzwonił telefon. Zginął kolejny nasz człowiek. Chłopak z Gopalmathu, widziałem, jak dorastał na uliczkach, które wybudowałem. Nazywał się Rawi Rathor i wracał autobusem z Aurangabadu, gdzie mieszkali jego krewni. Psy Sulejmana Isy dorwały go w Dadarze na dworcu autobusowym. Sprzedawca lodów zauważył jakieś przepychanki. W pobliżu parkowała czarna furgonetka. O pierwszej rano ktoś znalazł ciało leżące w cuchnącej kupie śmieci w pobliżu autostrady w Goregaon East i zadzwonił anonimowo na policję. W każdym udzie Rawi Rathora była dziura po kuli, a trzecia ziała w jego czole. Późnym popołudniem przywieźliśmy zwłoki do jego kholi. Nie miał żadnych krewnych w Bombaju, więc własnoręcznie podpaliłem jego stos pogrzebowy. Okryte białym całunem ciało zdawało się maleńkie pod tym całym drewnem, pod mgłą płomieni. Rawi Rathor, ten bardzo chudy chłopak z zapadniętą klatką piersiową i ulubionym pasem z wielkimi, srebrnymi klamrami, tak długim, że owijał się nim prawie dwa razy. Kiedy w niedzielę chłopcy grali w krykieta na pochyłym boisku pod wzgórzem,

Rawi Rathor sapał i dyszał, biegnąc między bramkami. A teraz był martwy. Spaliliśmy jego ciało i wróciliśmy do domu. Usiadłem w fotelu na tarasie i patrzyłem, jak ponownie nadciąga noc. Dolina, w której żyjemy i umieramy, jest doliną światła i cienia. My w niej rozbłyskujemy i zaraz gaśniemy. Jakże łatwo Rawi Rathor oddał to małe, zajmowane przez siebie na tym świecie miejsce. Nie chciałem pić herbaty ani jeść kolacji, wspominałem monsun sprzed wielu lat, chude nogi ubranego w szorty Rawiego Rathora brodzącego po zalanym wodą rogu między dwiema krętymi uliczkami. Tyle o nim wiedziałem, to wspomnienie, ten jego pas i świszcząca namiętność do krykieta.

– O czym tak myślisz, bhai? – zapytał Ćhota Badrija. Siedział na posadzce na końcu tarasu.

– Baćca, co masz w łodzi?

– Proszę?

– Myślę o Dandi–swamim.

Ćhota Badrija opuścił nisko głowę, drapiąc się w kostki. Starał się domyślić, w jakim jestem nastroju, czy może zaryzykować kolejne pytanie. Podłubał palcem w dachu, na paznokciu podniósł jakiś wiórek.

– Zostawcie mój dom w spokoju – powiedziałem. – To właśnie zrobimy. Zatopimy łódź.

**K**iśorilal Ganpat był wielkim bhaktem Siwy. Każdego ranka dziękował Bholenathowi za te wszystkie wyłudzone krory, za wręczane łapówki, za cement mieszany z piaskiem, za tandetne okablowanie, które wyłaziło z nierównych ścian, za budynki postawione bezprawnie i bez zezwolenia, za naruszanie prawa, za dodatkowe kondygnacje zdecydowanie przewyższające limity FSI, za pieniądze przedstawicieli klasy średniej, którzy marzyli o własnych domach, za niewolniczą pracę, za slumsy, za

twardzieli wymachującymi mieczami, za Sulejmana Isę. W tych ciężkich czasach Kiśorilal Ganpat zachowywał odpowiednie środki ostrożności i zawsze towarzyszyli mu dwaj muskularni goryle, tak napakowani, że idąc, musieli szeroko rozstawiać nogi, jakby ktoś okręcił im goli gumką. Kiśorilal Ganpat lubił również, żeby wszystko wyglądało jak należy, więc kierowca jego mercedesa nosił białe ubranie i czapkę, a dwaj ochroniarze szare ubrania w stylu safari. Poza tym Kiśorilal Ganpat ze wszystkich sił starał się nie marnować czasu. Kolekcjonował skróty, które pozwalały zaoszczędzić dwie lub trzy minuty w tych maderćod jazgotliwie zakorkowanych ulicach miasta, swoim pracownikom robił wykłady o japońskiej punktualności, a w każdy wtorek rano przychodził do świątyni Siwy przy uliczce Satjagrahiego Jamunanatha, dokładnie o ósmej trzydzieści, „co do minuty, punkt ósma trzydzieści”, jak to lubił mówić tym, którzy mogli go usłyszeć. A to wszystko tylko ułatwiało nam rozegranie planowanej partii. Rozstawiliśmy zawodników. Sześciu chłopaków, sześć pistoletów star. Wiedzieliśmy, gdzie jest postument, na którym siedzi Siwa, poznaliśmy schody prowadzące na uliczkę, przy której stały rzędy domów i gdzie krążyli uliczni sprzedawcy, wiedzieliśmy, w którym miejscu mercedes będzie czekał na swojego pana, wiedzieliśmy, gdzie będą goryle. Wszystko poszło gładko, jak naoliwionemu laurze w wilgotnej ćut. Kiśorilal Ganpat zszedł po schodach, dzierżąc w górze prasad ułożony na specjalnym, srebrnym thalu. Buty ustawił u stóp schodów, czubkami na zewnątrz, i bardzo sprawnie w nie wskoczył, zyskując na tym chyba ze trzy dobre sekundy. Ochroniarze wciąż jeszcze byli pochyleni, obrócenii tyłem do swojego szefa wkładali sandały, i kiedy Kiśorilal Ganpat podnosił wysoko nogę, aby przekroczyć kałużę, mój człowiek, Banti, przesunął się i stanął mu na drodze. Kiśorilal Ganpat odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć, a Banti uniósł prawą rękę i odstrzelił mu lewe oko. Jeden z

ochroniarzy sięgnął pod koszulę i natychmiast padł na ziemię. Drugi usiadł na stopniach świątyni i nawet nie podniósł rąk z kamienia, na którym zacisnął pobielające paznokcie. Tymczasem Kiśorilal Ganpat potykał się i zataczał na uliczce, od rogu do rogu, od drzwi do drzwi, szukając wyjścia, jakiegokolwiek drogi ucieczki. Banti szedł za nim, pakując mu nabój po naboju w plecy i pośladki. W końcu Kiśorilal Ganpat padł na kolana przed szkarłatnymi drzwiami, pod elegancko wymalowanym na biało symbolem om, z nisko opuszczoną głową i wysoko uniesionym w górę gandel, w zakrwawionym ubraniu, martwy na amen.

Banti i pozostali chłopcy odeszli, niezbyt szybko i niezbyt wolno. Odwrót był równie prosty jak cała robota, wsiedli do dwóch samochodów i odjechali. Potem porzucili te samochody na rogu w Maladzie i wsiedli do furgonetki. W trzy godziny wszyscy byli poza miastem. A ci z nas, którzy tu pozostali, zaczęli mieć się na baczności. Wiedzieliśmy, że doprowadziliśmy do eskalacji konfliktu, więc byliśmy przygotowani. Mieszkałem teraz w trzech różnych domach, do których przeprowadzałem się w nieregularnych odstępach czasu. Paritosz Śah marzył o locie potężnym mercedesem, opancerzonym i z kuloodpornymi szybami. Ćhota Badrija kazał chłopakom chodzić po uliczkach i doglądać naszych interesów. Śmierć Kiśorilala Ganpata przeniosła się z pierwszych stron gazet do pomniejszych informacji na dalszych stronach, aż w końcu zupełnie zniknęła. Oprócz dwóch starć z ludźmi Parulkara, w których straciliśmy trzech chłopaków, życie biegło dawnym trybem. Nie bądźcie zbyt pewni siebie, mówiłem codziennie moim ludziom. Nie zasypiajcie. Oni na pewno nie śpią, coś przygotowują. To nadejdzie: siekiera, kula, cios. Musi nadejść. Toczemy wojnę z Sulejmanem Isą. Z samym Sulejmanem Isą.

Ganeś Gaitonde – to nazwisko miało swoją wagę, jakąś solidność. Stało prosto, nie cofało się, to było mocne nazwisko. Wydrukowane niosło w

sobie jakąś określoną, symetryczną trwałość, a w uchu brzmiało jak podwójne uderzenie w nagadę. Ludzie ufali mu i ludzie się go bali. A tu: Sulejman Isa. Te wszystkie głoski „s”, świadczące o przebiegłości. Podłej, pokrętej, szcurzej przebiegłości. I właśnie ona dopadła nas pewnego ranka pod koniec listopada. Zadzwoniono do mnie kilka minut po tym wydarzeniu. Paritosz Śah wyjechał z biura linii lotniczych Radźhans swoim niepokonanym mercedesem. Ochroniarze zamknęli podwójną bramę za samochodem, przyspieszającym jak czołg na uliczce. Z przodu siedział kierowca, stary i zaufany pracownik, a obok niego ochroniarz, tym razem nie był to Bada Badrija, przebywający wówczas na tygodniowym urlopie w swojej wiosce w Uttar Pradeś, ale jego zmiennik, niejaki Patka. Paritosz Śah siedział z tyłu i wprowadzał nazwiska do elektronicznego terminarza, który tego ranka otrzymał na specjalne zamówienie z Singapuru. Chciał prowadzić interesy z samochodu, zarabiać jeszcze więcej pieniędzy. Uliczka biegnąca od Rajhans skręcała w lewo w kierunku Ambedkar Road. Kiedy mercedes zbliżał się do skrzyżowania, z tyłu nadjechała furgonetka i zbliżyła się do niego. W poprzek uliczki stanęła ciężarówka, blokując zakręt i zamykając mercedesa między swoją burtą, a furgonetką: nie można było ruszyć się ani do przodu, ani do tyłu. Furgonetka uderzyła w tylny zderzak mercedesa, pchając go w kierunku ciężarówki. Kule przebiły tylne opony. A zaraz potem dwóch mężczyzn zaczęło walić młotami w lewą, tylną szybę mercedesa, która, pomimo hartowania i kuloodpornego zabezpieczenia, pod uderzeniami zaczęła się pokrywać gwiazdkami i wyginać do środka. Ochroniarz wyciągnął pistolet, ale na wprost niego stał gość z kałasznikowem, mierząc do niego przez okno. Żeby ochraniać Paritosza Śaha, Patka musiałby opuścić szybę, a to otworzyłoby drogę dla kałasznikowa. Ochroniarz wymierzył z pistoletu, ale przednia szyba została w miejscu. Tymczasem młoty miażdżyły szybę tylną. Paritosz Śah rzucał

się na siedzeniu, i rozpaczliwie przebierając palcami, stukał w swój telefon komórkowy. W pewnym momencie, pod uderzeniami młotów, u samej góry wybrzuszącej się do środka tylnej szyby wykruszyła się niewielka szpara, otwór wielkości monety rupiowej. Wystarczająco duży dla lufy, dla drugiego kałasznikowa. Do wnętrza samochodu wypróżniony został cały magazynek. Ochroniarz próbował strzelać, mierzył w stronę ryczącego ognia, który roziskrzył się wewnątrz mercedesa, ale jego kule niczego nie powstrzymały, mogły jedynie odbijać się rykoszetem po wnętrzu samochodu.

Chłopcy próbowali mnie powstrzymać, bym nie pojechał w to miejsce, nie pojechał do mojego przyjaciela. Odsunąłem ich, wsiadłem do samochodu i sam tam pojechałem. Przybyłem na miejsce kilka minut po policji, i przynajmniej policjanci nie próbowali mnie powstrzymać. Tylne i boczne szyby mercedesa wyglądały jak pokryty pajęczyną kryształit, posmarowany od wewnątrz ciemną galaretą. Przednie drzwi po lewej były otwarte. Kierowca ocalał i wyczołgał się przez ciało martwego ochroniarza, kiedy już umilkła grzmiąca kanonada. Nachyliłem się do wnętrza samochodu, oparłem dłoń na atlasowej skórze zagłówka nad przednim fotelem i spojrzałem w dół, za fotel. Nie było tam Paritosza Śaha. Była tam jakaś miazga sflaczałego ciała, przebitego, podziurawionego i porozdzieranego. Bez twarzy. Pod szerokim czołem rozłupana misa surowego mięsa, kawałeczki ostrych, białych kości. Nie było Paritosza Śaha. Na pewno nie mógłby zmieścić się w tym małym kanale za fotelem, tam nie zmieściłby się Paritosz Śah, ten mój grubas. Ale oto zobaczyłem dłoń z pierścieniami, ze świecącymi kamieniami ochronnymi. A tu stopa, wciąż w nowiutkim, bordowym mokasynie z frędzlami. To od niego poznałem to słowo, wypowiedział je z bardzo pobłażliwą cierpliwością:

„Nie czerwony, to jest kolor bordowy. Bordowy”. A tam jego elegancko ułożona, ciemna czupryna. Ale gdzie Paritosz Śah? Tu go nie było.

Pojechałem do jego domu i choć żadna z mieszkających tam kobiet słowem się do mnie nie odezwała, ja i tak wyczuwałem ich nienawiść. Zginął przeze mnie. Zginął za mnie. To ja go zabiłem. Nikt nie śmiał tego powiedzieć, ale nie trzeba było słów. Kiedy jego ciało leżało na dziedzińcu, zawinięte w białe prześcieradła, które wszystko skrywały, i kiedy jego córki zawodziły, nikt tego nie powiedział. W pobliżu ciepła bijącego od stosu nikt tego nie powiedział. Wróciłem do Gopalmathu i choć wciąż nikt tego nie powiedział, i tak rozbrzmiewało to echem w każdym świście mojego oddechu, w każdym skurczu mojego pulsu. Sięgnąłem po whisky. Powiedziałem chłopakom, żeby mi coś przynieśli, cokolwiek, byle szybko. Natychmiast. Gardło paliło mnie od whisky i wyobrażałem sobie, że umieram. Zadźgany nożem, szablą, zastrzelony, powieszony. Moje ciało osuwało się na ziemię. A potem ponownie się osuwało. Kule rozszczępiały kości w moich łokciach, rozcinały na pół mój korpus. Z radością przyjmowałem każdy upadek. Czemu śmierć nie nadchodziła? Życie ścisnęło moją głowę w stalowej obręczy. Pulchne ciało Paritosza Śaha wypróżnione z krwi, z powietrza. Jak wycieka z człowieka życie? Jak odchodzi? Czy taki wyciek słyhać? Czy słyhać tylko stukot pocisków? Uniosłem rękę, zbliżyłem ją do oczu, przycisnąłem twarz do sprężystych włosów porastających przedramię, czułem bijące w nich życie. Każdy mieszek włosowy pulsował życiem. Przekręciwszy nadgarstek drugiej ręki, rozbiłem szklanę z whisky o kolumnienkę łóżka. Odłamkiem w kształcie półksiężyca przeciąłem wybrzuszenie mięśnia pod zaciśniętą pięścią. Przeciągnąłem szkło przez zwarte źdźbła włosków, a krew sączyła się bezszelestnie. Odwróciłem rękę i ujrzałem pulsowanie tętna na nadgarstku. Tak łatwo to przeciąć, łatwo to zakończyć. Jakże łatwo.

W tym momencie poczułem do siebie odrazę. Paritosz Śah żył. Żył w pełni, żywił swoją żonę, swoje dzieci, setki swoich pracowników. On żywił świat, a nawet kiedy umierał, walczył, żeby zadzwonić żeby coś powiedzieć. Próbował zadzwonić do mnie. Wiedziałem o tym. Nie do żony, nie do dzieci, właśnie do mnie. Co mógł chcieć powiedzieć, korzystając z tego cudownego impulsu elektryczności, pokonującego dzielącą nas odległość? Śmierć już go dopadała, a ja nie mogłem go uratować. Musiał zdawać sobie z tego sprawę. Co mógł chcieć powiedzieć, w tej ostatniej chwili? Mnie, swojemu przyjacielowi? Spojrzałem na splamioną moją krwią pękniętą krzywizną szkła i już wiedziałem. Przeczółgałem się na drugą stronę łóżka, gdzie znalazłem stos zdjęć. Ze środka pliku, nawet nie patrząc, wyciągnąłem jedną fotografię. I zawołałem do moich ludzi.

– Ma być ta – powiedziałem do Choty Badriji, który siedział z sześcioma innymi chłopakami i czyścił swój pistolet. Wszyscy byli zaskoczeni. Spodziewali się narady wojennej. Kiedy tylko ginął ktoś z naszych, zbieraliśmy się, żeby nakreślić zadania na następny dzień, na następny tydzień. Kogo zabić i jak to zrobić, o tym zawsze rozmawialiśmy. A ja teraz chciałem kobietę.

Chota Badrija podniósł fotografię ze stolika, na który ją upuściłem.

– Teraz, bhai?

– Nie, nie o to chodzi. – Pomyślał, że chcę dziewczynę na noc, żeby szybko rozładować napięcie, ale dziewczyna wyglądała na przyzwoitą, i to go zaskoczyło. Szturchnąłem go w ramię. – To nie to, dhakkan. Tego pragnął Paritosz–bhai. A także Dandi–swami. Chcę się z nią ożenić.

Nazywała się Subhadra Dewalekar i ożeniłem się z nią cztery dni później. Początkowo jej ojciec uważał za bezduszne, żebym zenił się tak szybko po śmierci przyjaciela. Wiem, że podobnie myślała większość moich ludzi. Ale



wyjaśniłem im, że takie było ostatnie życzenie mojego przyjaciela, i wtedy przypomnieli sobie te wszystkie jego kazania, to wybieranie kandydatek, to, jak on nalegał. Nie wiadomo, skąd pojawiła się plotka, która nabrała cech pewności, że on naprawdę zadzwonił do mnie z mercedesa, kiedy uderzenia młotów oddzwaniały koniec jego życia, i zdążył mi powiedzieć: „Musisz się ożenić”. Kiedy więc wspólnie, Subhadra i ja, obchodziliśmy ogień, nasze małżeństwo stało się aktem spełnienia ostatniego życzenia martwego przyjaciela. Z całego miasta ściągnęli chłopcy, przychodzili całymi tuzinami i patrzyli na naszą poważną ceremonię w świątyni w Gopalmacie, z wilgotnymi oczami, z gotowymi pistoletami i wyrazem zacieklej lojalności.

Po ceremonii usiedliśmy przed domem, a mieszkańcy Gopalmathu podchodzili złożyć wyrazy szacunku. Ojciec Subhadry zbierał koperty. Był emerytowanym kierowcą autobusu linii 523 i miał cztery córki. Na początku żywił pewne wątpliwości, bo Ćhota Badrija odwiedził go w okresie, kiedy wszystkie popołudniówki wciąż jeszcze pełne były zdjęć „mercedesa śmierci”, ale przekonał go stos plików pięćsetrupiowych banknotów, wyrosły na jego tacy do podawania herbaty. O córki trzeba się troszczyć. A teraz kierowca autobusu stał po mojej prawej stronie i odbierał koperty z prezentami od stojących w kolejce życzliwych osób. Bada Badrija podszedł z grubą, czerwoną kopertą. Natychmiast powrócił ze swojej wioski, kiedy tylko się z nim skontaktowaliśmy, i widziałem, że wciąż wstydzi się, że zostawił szefa bez opieki. Ale już od pięciu lat nie był w swojej wiosce, a wina za to, co się stało, absolutnie nie leżała po jego stronie. Powiedziałem mu to i go uścisnąłem.

Po tym wszystkim siedziałem na łóżku usłanym płatkami róży. Skądś dobiegały dźwięki piosenki, przeplatanej melodią fletu. W rogu łóżka sterczał skulony, czerwony namiot z sari, a wewnątrz niego drżące, chude

ciało. Moja żona. Byłem żonaty. Kręciło mi się w głowie, jakbym dopiero co obudził się z długiego snu. Zapytałem: jak do tego doszło? Na to pytanie nie było żadnej odpowiedzi.

## Stary ból



Mary Mascarenas gotowa była mówić. Sartadź czekał na nią, stojąc samotnie po drugiej stronie ulicy naprzeciw salonu Pali Mili, w którym pracowała. Na biegnącej po zboczu ulicy roiło się od nastolatków wystrojonych w drogie ciuchy, chłopców wychylających się z eleganckich samochodów, kupionych przez bogatych ojców, i dziewczyn, kręcących się w grupkach po trzy lub cztery. Sartadź czekał w pobliżu kiosku z papierosami, tuż obok grupki służących i kierowców, którzy przyszli tu na wieczornego papierosa i na pogaduszki. Tego ranka zadzwonił do Mary i delikatnie wspomniał, że chciałby z nią porozmawiać. Po pracy, odparła, a w jej głosie nie wyczuł już tego gniewu, tylko jakąś rezygnację. Sartadź był więc pewien, że tym razem uda mu się uzyskać jakieś ciekawsze informacje: sama sobie będzie chciała wyjaśnić, co się stało i dlaczego. Przyszedł chwilę przed umówioną porą i przysłuchiwał się rozmowie kierowców dyskutujących o cenach akcji i o losach przedsiębiorstw. Kierowcy wiedzieli więcej niż ktokolwiek inny, słuchali rozmów prowadzonych w samochodzie przez sahibów i memsab, obserwowali ich poczynania, nosili dokumenty i pieniądze. Sartadź patrzył na flirtujących chłopców i dziewczyny i ze względu na Katekara starał się nadstawiać ucha na rozmowy o giełdzie. Katekar nie grał na giełdzie, ale uważał, że rynkiem rządzi logika i wystarczy tylko znać zasady. Jeśli wyczuje się odpowiedni rytm, można zostać królem. Potrzebne były tylko informacje i wykształcenie. Sartadź starał się więc słuchać, ale wiedza kierowców zdecydowanie przekraczała jego znajomość tego tematu i niewiele potrafił

zrozumieć z ich ożywionej dyskusji. Kiedy bardzo wytworne memsaby wyszły z salonu, mała grupka kierowców na moment skurczyła się i zaraz rozproszyła, nie przerywając jednak swoich żartów. Palili papierosy i jedli ćaną z małych paczek. Ci kierowcy bardzo dobrze zarabiali i byli elegancko ubrani, pasowali do statusu swoich chlebowców.

Minęła już siódma, kiedy przez niebieskie szklane drzwi salonu wyszła Mary. Ubrana była w czarny T-shirt, wąską czarną spódniczkę do kolan i czarne pantofle na płaskim obcasie, włosy miała ściągnięte w koński ogon. Sartadźa uderzyła jej elegancja. Kobieta stanowiła uosobienie skromności i gdyby stanęła obok tych dumnie kroczących nastoletnich księżniczek, nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Ale sytuacja się zmieniała, kiedy spojrzano się na te jej proste plecy, na symetrię ramion i dłonie złożone na czarnej torebce. Zobaczyła go, a on uniósł rękę na powitanie.

Przeszedł na jej stronę ulicy, zalaną blaskiem drogich sklepów, Gurlz, Expressions, Emotions.

– Przepraszam za spóźnienie – odezwała się Mary. – W Tadź jest dziś duże przyjęcie. Miałam trzy dodatkowe klientki.

– Przyjęcia w Tadź z pewnością wymagają doskonałych fryzur.

– Nigdy tam nie byłam, więc nie wiem. Ale fryzurą potrafię się zająć.

Mówiła językiem hindi z akcentem, sprawnie i płynnie, ale lekko improwizując, bez kompleksów zmagiła się z żeńskimi formami dzierżawczymi i czasami. Sartadź dałby sobie rękę uciąć, że po angielsku kobieta mówi lepiej, ale jego angielski był już zmurszały i niezgrabny. Wiedział jednak, że jakoś uda im się porozumieć za pomocą tej mieszanki różnych słów, tego bombajskiego konglomeratu. Dobrze sobie radzimy w tych językowych khićri, pomyślał.

– Tam stoi mój samochód – rzekł. Przez telefon zaznaczyła, że wolałaby, żeby nie przyjeżdżał po nią do pracy, ale zapewnił ją, że nie przyjedzie w

mundurze, policyjnym dżipem i że będzie sam. Pod czujnym wzrokiem kierowców wycofał na ulicę i poczekał, aż Mary wsiądzie do środka. – Pojedziemy na Carter Road – powiedział, a ona tylko skinęła głową. Z pewnością nie chciałyby też, żeby jej sąsiedzi mieli temat do plotek, o wizytach policjantów albo dziwnych sikhów.

Znalazł przydrożną zatoczkę przy wale nadmorskim, żwirowe pobocze, na którym było nieco mniej ulicznych sprzedawców, żebraków i przechadzających się kochanków.

– Ten statek zupełnie zniknął – zauważył. – Nie został ani kawałek. Jak on się nazywał?

Kiedyś stał tam zagraniczny frachtowiec, po awarii silnika wyrzucony na brzeg przez sztorm. W pewnym okresie stanowił atrakcję turystyczną, z okazałym kadłubem wyciągniętym daleko poza linię wody. Pewnej nocy, bardzo późno, Sartadź siedział na ławce przed statkiem i całował Meghę. Wkrótce potem się rozstali.

– Zhen Don – odparła Mary. – Pocięli go na złom. Już od lat go tu nie ma.

– Myślałem, że chcieli przerobić go na przybrzeżny hotel.

– Większą wartość przedstawiał jako złom. – Niebo, podobnie jak przez dwa ostatnie dni, miało niezmiennie ten sam, nieokreślony, szary kolor, a poniżej na horyzoncie unosiły się niewyraźne sylwetki zagranicznych statków. Mary zwróciła twarz do Sartadźa. – Czytałam w gazetach, że przy przesłuchaniu kobiety powinna być obecna policjantka.

– Nie prowadzę przesłuchania – odrzekł Sartadź. – Nie jest pani podejrzana. Nikt nie jest podejrzany. Ja tylko staram się zrozumieć, co się wydarzyło, co tam robiła pani siostra. I sądziłem, że raczej nie będzie pani chciała rozmawiać o tym w towarzystwie wielu osób. Traktujmy to jak prywatną rozmowę. Wszystko, co pani powie, zostanie między nami.

- Nie mam nic do powiedzenia.
- Nie ma pani nic do powiedzenia o swojej siostrze?
- Od dawna jej nie widziałam. Już od lat z nią nie rozmawiałam.
- Dlaczego? Pokłóciłyście się?
- Pokłóciłyśmy się.
- O co?
- Dlaczego chce pan to wiedzieć?
- To najpewniej pomoże mi zrozumieć, jaka była.
- A pomoże panu dojść do tego, dlaczego znalazła się w tym miejscu?
- Może.
- Ona nie była złą kobietą.

Mary była niespokojna, skulona siedziała na wyświechtanym, niebieskim fotelu, jak najdalej od Sartadża. Patrząc na jej małą, czarną torebkę, którą umieściła między nimi, zdał sobie sprawę, że ta kobieta boi się go, boi się tego postoj przy wale nadmorskim, tego, czego on może od niej żądać. To dlatego zapytała o policjantkę. Przyzwyczał się już, że ludzie lękają się jego munduru, ale teraz na samą myśl, że ta kobieta może go podejrzewać o chęć molestowania jej, zrobiło mu się niedobrze. W ciemnościach wyszukał stacyjkę i z metalicznym zgrzytem wrzucił bieg. Szybko przejechał kawałek drogi i zatrzymał się przy tłumie wieczornych spacerowiczów, tuż obok hałaśliwej grupki nastolatków objadających się lodami. Mary patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Muszę się napić narial–pani – powiedział. – I chciałbym, żeby pani zrozumiała, że nie mam zamiaru zrobić jej krzywdy. Chcę tylko z panią porozmawiać, czy to jest jasne?

Skinęła głową i bacznie go obserwowała, kiedy machnął ręką na ulicznego sprzedawcę i zapłacił za dwa kokosy. Trzymała napój oburącz i

piła wielkimi łapczywymi łykami, aż opróżniła skorupę. Sartadź wyciągnął do niej rękę ze swoim kokosem.

– Może jeszcze?

– Nie – odparła, ale widać było, że poczuła ulgę. Jeszcze się nie uspokoiła, ale już nie kulila się przed nim.

Sartadź sącył swój narial, patrzył na nią i czekał.

– Moja siostra miała piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Bombaju – zaczęła Mary. Wyglądała przez swoje okno, w stronę leniwie przewalającego się morza. – W tym czasie mieszkałam z mężem w Kolabie. Przyjechała i zatrzymała się u nas. Dorastałyśmy w gospodarstwie matki w okolicy Mangalore. Nasz ojciec zmarł, kiedy miałam jedenaście lat. Wyszłam za mąż i wyprowadziłam się do Bombaju. A Dźodźo przyjechała, żeby zamieszkać z Johnem i ze mną. Była młoda, ale mówiła, że chce zostać pielęgniarką, a w naszej wiosce była tylko wiejska szkoła. Z doskonałym wynikiem zdała egzamin po dziesiątej klasie. Chciała uczyć się angielskiego i zostać pielęgniarką. Mieliśmy małe mieszkanie, ale ona spała na sofie, a poza tym była moją młodszą siostrą. W tamtych czasach była bardzo drobna i chuda. Włosy czesała w trzy kucyki. Uważałam, że zbyt często ogląda telewizję, i powiedziałam o tym Johnowi. Potrafiła całymi dniami i nocami siedzieć po turecku przed odbiornikiem. Ale John stwierdził, że to jej wyjdzie na dobre, że ona powinna nauczyć się angielskiego i hindi. Przekomarzał się z nią i ją rozśmieszał, mówił, że moja siostra zna tylko dżungle reklamowe Wiko–Wadźradanti. Twierdził, że potrafi rozmawiać tylko o zębach i włosach. Ale Dźodźo była bardzo inteligentna. Z dnia na dzień coraz więcej rozumiała. Już po krótkim czasie nie bała się samodzielnie chodzić na zakupy. Ja pracowałam na pełnym etacie jako sprzedawczyni w sklepie z artykułami skórzanymi i jej obecność w domu była wielką pomocą. Ale nagle zrobiła się bardzo pewna siebie.

Przestała nosić drukowane spódnice, zmieniła fryzurę, zaczęła inaczej chodzić. W ciągu sześciu miesięcy stała się inną osobą. Dziewczyną z Bombaju. A pewnego dnia zaczęła mówić o aktorstwie. Naśladowała bohaterki filmów, seriali i prezenterki telewizyjne. Ja też tak potrafię, mówiła. Początkowo śmiałam się z tego i szybko o tym zapomniałam. Ale ona w kółko to powtarzała. John zwrócił na to uwagę. Powiedział: wiesz, ona ma rację. Spójrz na nią. Wcale nie jest od nich gorsza, a nawet lepsza. Dlaczego nie miałyby tego robić? Miał rację. Ona brylowała. Ja tego nie dostrzegałam, była moją małą siostrzyczką, ale bez tych swoich kucyków stała się gwiazdą. Pozowała przed lustrem w szafie i przeglądała się w oknach mieszkania. Dopiero teraz zauważyłam wzrok sąsiadów, kiedy ona co rano zbiegała po schodach, w drodze po chleb. Chłopcy z naszej ulicy czekali na nią wieczorami, żeby tylko koło nich przeszła. Tego lata również ja zaczęłam w to wierzyć. W końcu każda gwiazda filmowa skądś pochodzi. Nikt nie rodzi się z twarzą opromienioną blaskiem. Jedna wychowuje się w Bangalore, a druga w Lucknow. Niektóre pochodzą z całkiem zwyczajnych rodzin. A teraz mają pieniądze i sławę. Dlaczego więc nie Dźodźo? Dlaczego nie moja siostra? Wszyscy daliśmy się temu omamić, uwierzyliśmy w tę mrzonkę. Widzieliśmy, że coś takiego mogło ziszczyć się w przypadku innych dziewczyn. Dlaczego więc nie miałyby się tak stać z Dźodźo? Znajomy John pracował dla MTV, co prawda był tam tylko księgowym, ale znał ludzi, którzy realizowali program. Pewnego dnia John wziął sobie w pracy wolne popołudnie i zabrał Dźodźo do Andheri East, żeby spotkała się z ludźmi z MTV. Wsiadli do pociągu, a potem pojechali motorikszą. Wrócili bardzo podekscytowani. Jeden z kierowników z MTV, Anglik, powiedział, że jest urocza i piękna. Proszę to sobie wyobrazić. Nie dostała jeszcze żadnej pracy, ale już samo spotkanie z kimś tak ważnym było fascynujące. Tak wielki dystans dzielił nasze



skromne mieszkanie od MTV, a im udało się go pokonać w jedno popołudnie. Niemożliwe stawało się możliwe. Lato skończyło się i Dźodźo została przyjęta do szkoły, ale jej teraz nie w głowie była edukacja. Brała lekcje tańca i aktorstwa. Rozmawiała z producentami i reżyserami. John zabierał ją czasami, a nawet często, na te spotkania w Bandrze, w Dźuhu, w Film City. Początkowo w jego pracy okazywano tylko zaniepokojenie, ale potem zaczęto się denerwować. Martwiłam się. Ale on powiedział, że jeśli chce się wiele osiągnąć, trzeba podjąć wielkie ryzyko. Musimy być dalekowzroczni i nie bać się niczego. Nie bój się. Starłam się więc nie bać, ale mi to nie wychodziło. Bałam się o Dźodźo. Widziałam, że ona bardzo wierzy w swoją przyszłość. Każdy walczy, mówiła. Trzeba walczyć. Aiśwarja walczyła, nawet Madhubala walczyła. I muszę walczyć, mówiła Dźodźo. I w końcu zwycięzę, mówiła. Zwycięzę.

Od morza nadeszła rozkoszna bryza, falą fioletu wydymając sari przechodzących kobiet, rozrzucając włosy na oczach Mary. Ale ona była daleko, nie mówiła do niego, tylko do siebie.

– Wszyscy się w to zaangażowaliśmy. Odkładałam na lekcje Dźodźo. John nieustannie telefonował do swoich nowych znajomych z kręgów MTV, starając się trzymać rękę na pulsie. On również się odmienił i był teraz innym Johnem. Już od bardzo dawna nie widziałam, żeby był tak podekscytowany. Raz czy dwa poszłam z nimi, z Johnem i Dźodźo, na takie telewizyjne przyjęcie. Przyjęcie ze słynnymi twarzami z telewizji. Tu Arcana Puran Singh, a tam Widźajendra Ghatge. Widziałam, jak John ściska ręce różnym ludziom i jak się śmieje, jak się z nimi wita, poklepuje po plecach. Tej nocy w łóżku objął mnie i wyjaśniał mi to. Tak wygląda praca w tym biznesie. Tak się załatwia zlecenie. To wszystko jest kwestia poznania odpowiednich ludzi i zapewnienia sobie ich życzliwości. I tak to się kręci. Ten rok na tym właśnie nam upłynął, w oczekiwaniu na coś

wielkiego. Tak to odczuwaliśmy. Dźodźo została raz zaangażowana jako modelka, a potem jeszcze raz. Za pierwszym razem była to krótka reklama telewizyjna butów Dabur, w której wraz z dwoma innymi dziewczynami tańczyła na barierce rozdzielającej jezdnie autostrady. We wtorkowy wieczór czekaliśmy przed włączonym telewizorem. Jakież podnieśliśmy krzyk, kiedy ona nagle pojawiła się na ekranie. Dźodźo była w telewizji, tańczyła. Zaczęliśmy tańczyć, John wyciągnął otrzymaną od znajomego księgowego małą buteleczkę szampana, jakie podają w samolocie, otworzył ją i wszyscy piliśmy prosto z butelki. Po tym jej tańcu na autostradzie nie mieliśmy już żadnych wątpliwości. Nic nas nie zatrzyma. To była tylko kwestia czasu. John w kółko to powtarzał, to tylko kwestia czasu. Ale nic się już nie wydarzyło. Dźodźo zwodzono niekończącymi się spotkaniami. „Proszę przyjść ponownie, jeszcze nie podjęliśmy decyzji”, ale zawsze potem okazywało się, że wybrano inną dziewczynę. Bez końca o tym myślała i powtarzała: dlaczego nie ja? Rozmawiała z Johnem o ubraniach, makijażu, o przybieraniu odpowiedniej pozy. Następnym razem zrobimy to w ten sposób. Następnym razem będzie tak. Nieustannie snuli plany. Następnym razem.

I wtedy ich przyłapałam.

Nagle urwała i odrzuciła włosy z twarzy. Nie patrzyła na niego, ale teraz już była przy nim, już nie tkwiła we wspomnieniach.

– Przyłapała ich pani? – bardzo cicho zapytał Sartadź.

Odchrząknęła.

– Byłam w pracy. Poczułam się niedobrze, zrobiło mi się słabo. W tym czasie szalała jakaś wirusowa gorączka. Wszyscy na nią chorowali. Cała byłam rozpalona, wystarczyło mnie dotknąć, żeby wyczuć wysoką temperaturę. Właściciel sklepu powiedział, żebym poszła do domu. Poszłam więc. A oni leżeli w moim łóżku.

Taka sytuacja, kiedy rozmówca po raz pierwszy wyznaje swoje upokorzenie, zawsze niesie w sobie pewne niebezpieczeństwo. Zbyt silna reakcja, nawet jeśli ma wyrażać współczucie, może spowodować, że stracimy z tą osobą kontakt, ona zwinie się w kłębek wokół swojego obnażonego bólu, zamknie się w sobie i skryje wszystkie istotne szczegóły.

– Rozumiem – odezwał się Sartadź. – Mąż pewnie próbował panią przekonać, że wszystko jest w porządku, że nic się nie zmieniło.

Była lekko zdziwiona jego słowami, zaskoczył ją, i w jej źrenicach pojawił się jakiś błysk.

– Tak – powiedziała. – Chyba wydawało mu się, że możemy wszyscy szczęśliwie mieszkać razem. Ja będę na nich dalej pracować, zarabiać pieniądze na ich ciuchy i wysyłać ich na te spotkania.

– A ona?

– Ona... ona była na mnie wściekła. Jakbym zrobiła coś złego. „Kocham go”, powiedziała. Ciągłe to powtarzała. „Kocham go”. Jakbym ja go nie kochała. W końcu jej to przypomniałam. To mój mąż, powiedziałam. A ona odparła: nie, ty go nie kochasz. Nie możesz. Krzyczała. A ja byłam wściekła. Żeby moja siostra mówiła mi coś takiego. Żeby moja siostra i mój mąż dopuścili się czegoś takiego. Wynoś się, powiedziałam jej. Wynoś się.

– I co potem?

– Poszedł z nią. Dwa dni później wrócił po ich rzeczy.

– Rozumiem.

– Potem się rozwiedliśmy. Było mi bardzo ciężko. Nie stać mnie było na czynsz. Próbowałam zamieszkać w schronisku dla kobiet, ale brakowało wolnych miejsc. Na krótki okres zatrzymałam się w YWCA. A potem musiałam mieszkać w dźhoparpati, w Bandra East. Trafiałam w przeróżne miejsca.

– Nie chciała pani wrócić do domu?

– Do matki? Do tego domu, w którym dorastałam razem z Dźodźo? Nie, nie mogłabym tam żyć. Nie mogłam wrócić.

Nawet slumsy były lepsze, lepsze niż ten dom, pozostawiony daleko za sobą.

– Teraz ma pani ładne mieszkanie – powiedział Sartadź.

– Długo to trwało. W tym salonie zaczęłam od zamiatania włosów z podłogi, mycia nożyczek i grzebieni.

– Spotkałyście się później?

– Dwa albo trzy razy. Przed udzieleniem rozwodu sąd każe udać się na spotkanie z psychologiem. Ona czekała na niego przy wyjściu. Nie zamieniłam z nią ani słowa. Potem jeszcze widziałam ją, kiedy sędzia orzekał rozwód.

– A później?

– Raz czy dwa słyszałam o nich od krewnych i znajomych. Mieszkali w Gorgaonie. Ciągłe próbowali zaczepić ją w jakimś filmie czy czymś takim. Raz widziałam ją w telewizji, w jakiejś reklamie sari. Bas, nic więcej.

– Już nigdy pani z nią nie rozmawiała?

– Nie. Również moja matka była na nią bardzo obrażona. Ma była chora i Dźodźo chciała się z nią skontaktować, ale Ma odmówiła, nie chciała rozmawiać z tą grzeszną, bezwstydną dziewczyną. Umarła, nie zamieniwszy z nią ani słowa. A ja, prawdę mówiąc, też nie chciałam o niej nic wiedzieć.

– Nic nawet nie obilo się pani o uszy?

Pokręciła głową.

– Tylko raz. Jakieś dwa lub trzy lata temu. Moja ciotka mieszka w Bangalore. To jest siostra matki. Mówiła, że spotkała Dźodźo na lotnisku.

– Pani ciotka z nią rozmawiała?

– Nie. Ciotka wiedziała, co ona zrobiła.

– Dźodźo wsiadała do samolotu?

– Tak. Wygląda na to, że udało się jej stanąć na nogi. Nie wiem, w jaki sposób. Nic o niej nie wiem. Nic nie wiem o tym, co się z nią stało.

Co się z nią stało. Jak ta ambitna, pragnąca miłości nastolatka zaczęła kupczyć ciałami, dlaczego skończyła zamordowana przez jakiegoś bhai o skłonnościach samobójczych. Nie wiedział, jak to się stało, ale potrafił to sobie wyobrazić, to powolne staczanie się z przyjęć organizowanych przez świat filmu w przeróżne sfery przestępczości.

– My również mamy niewiele informacji na jej temat – powiedział. – Pracowała w telewizji, realizowała programy telewizyjne. Zajmowała się też inną działalnością.

– Inną działalnością?

– Aktualnie badamy te wątki. Kiedy już będziemy wiedzieć coś konkretnego, powiem pani o tym. Gdyby pani coś usłyszała, cokolwiek, proszę do mnie zadzwonić. – Sartadź wiedział, że kobieta to zrobi. Pokładała w nim pewne nadzieje. Może w końcu uda się jej odtworzyć siostrę z tych małych strzępów informacji, z tych fragmentów, i wybaczyć jej, a także sobie. – Cieszę się, że pani ze mną porozmawiała – powiedział.

– Była taką kochaną dziewczynką – odezwała się jeszcze Mary. – Kiedy byliśmy małe, bała się piorunów. Późną nocą przekradała się na moją stronę łóżka, wciskała głowę w mój brzuch i w ten sposób zasypiała.

Sartadź skinął głową. Tak, Dźodźo to też ta przerażona dziewczynka, tuląca się do swojej siostry. Dobrze, że o tym wiedział. Odwiózł Mary do domu. Patrzył z samochodu, jak wchodzi po schodach, kierując się do swojego pokoju. Kiedy w środku zapaliły się światła, wycofał samochód na główną drogę. W drodze do domu, gdy Sartadź skręcał w lewo na łuk, przy Dźuhu Ćaupati, zaczął padać deszcz.

Iffat–bibi zadzwoniła do Sartadża, kiedy kończył kolację składającą się z kurczaka po afgańsku i tanduri roti, przyniesioną z położonego na tej samej ulicy baru z grillem „U sardara”.

– Sahibie, mam dla ciebie odpowiedź.

– Na moje pytanie?

– Tak. To dwóm wolnym strzelcom udało się thoknąć Bantiego.

– Dla kogo pracowali?

– Dla nikogo. To była sprawa osobista. Jakies trzy czy cztery lata temu Banti zabrał jednemu z nich dziewczynę.

– Zabrał?

– Wolą pieniądze Bantiego niż tego wolnego strzelca. A ten idiota był w niej zakochany.

Czyli Banti zginął przez kobietę, nie za ziemię ani złoto. Ani też z żadnego innego powodu związanego z Ganeśem Gaitondem.

– Okay – odezwał się Sartadż. Banti zranił kochanka, a ten czekał i pielęgnował swoją nienawiść, cierpliwie wyczekując momentu, aż szczęście odwróciło się od Bantiego. – Okay.

– Chcesz ich dorwać?

– Kogo?

– Tych wolnych strzelców. Wiemy, gdzie teraz są i gdzie spędzą noc. Wiemy, gdzie będą jutro.

– Chcesz mi ich wydać?

– Tak.

– Dlaczego?

– Potraktuj to jako prezent od nowej przyjaciółki. – Mówiła nienagannym językiem urdu, głosem sprawiającym wrażenie serdecznego i ciepłego.

Sartadź wstał, przeciągnął się i wyszedł na balkon. Wychylił się przez balustradę i obserwował czubki drzew, falujące na wilgotnej bryzie. W świetle lamp cienie ich liści padały na gładkie powierzchnie samochodów.

– Saab?

– Iffat–bibí, nie jestem godzien takiego prezentu. Masz konszachty z sahibem Parulkarem. Dlaczego jemu nie dasz tego prezentu? Nie zajmuję się sprawami związanymi z bhái, firmami i strzelaniem.

– Naprawdę? A może uważasz, że nie jestem godna, żeby ci coś ofiarować?

– Are, nie, Bibi. Ja tylko obawiam się, że kiedy przyjdzie czas, żebym ci się odwzajemnił, nie będę miał co ci zaofiarować. Jestem nikim.

Usłyszał, jak cmoka ze złości.

– Jaki ojciec, taki syn. No dobra, dobra.

– Bibi, nie chciałem cię urazić.

– Wiem. Ale faktem jest, że to samo mówiłam sahibowi sardarowi, powtarzałam mu: jak można iść do przodu, jeśli człowiek nie bierze się za duże sprawy? A on zawsze odpowiadał „Iffat–bibí, zaszedłem tak wysoko, jak mogłem. Niech mój syn zajdzie wyżej”.

– Powiedział coś takiego?

– Tak, często o tobie mówił. Pamiętam, że jak skończyłeś dwanaście lat, on rozdawał słodycze. Perę i barfi.

Sartadź pamiętał te pery, ich szafranowy zapach, w którym kryła się cała przyszłość.

– Tak, może jestem do niego podobny. Sahib Parulkar zaszedł wyżej.

– Tak, i to zawsze z pomocą sahíba sardara. Sam widzisz, Parulkar od samego początku był bystry. Zawsze myślał, zastanawiał się. To wtedy wyniknęła ta sprawa gangu złodziei w dokach.

Opowiedziała mu historię gangu, którego członkowie działali w dokach i poza nimi. Oczywiście podkradali towary, ale brali również urządzenia i paliwo, wszystko, co tylko przedstawiało jakąś wartość. Parulkar rozwiązał tę sprawę, przy dużej pomocy sahiba sardara, dzięki jego kontaktom i informatorom, których sahib sardar bardzo chętnie mu udostępnił. Ale kiedy przyszła pora aresztowań, Parulkar pozwolił, żeby to starszy inspektor zwinął tych apradhich, żeby właśnie jemu przypadło całe uznanie.

– Dla Parulkara byłaby to duża sprawa, ale on potrafił myśleć perspektywicznie, rozumiesz? Potrafił w danym momencie zrezygnować z ważnego aresztowania, aby zyskać później.

– On jest bardzo zdolny.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale niewiele się od niego nauczyłeś. – Wiedział, że ona teraz się uśmiecha, i mimo woli też się uśmiechnął.

– Cóż począć, Bibi? Jesteśmy, jacy jesteśmy.

– Tak, jesteśmy takimi, jakimi Allah nas stworzył.

Pożegnali się i Sartadź wrócił do swojego kurczaka. Miał chęć zjeść peda, ale zrobiło się późno, a on był zmęczony. Pocięszył się jeszcze jedną szklaneczką whisky i obiecał sobie, że na lunch zje dwa peda. Wiedział, że to będzie dobry dzień.

Do rana deszcz zmienił się w jedną z tych monsunowych ulew, które sprawiały wrażenie, jakby niebo zerwało się pod ciężarem wody. Sartadź biegiem pokonał drogę z samochodu do komisariatu, ale zanim znalazł się pod dachem, miał przemoczone ramiona, a w butach wodę.

– Czeka na ciebie twoja dziewczyna, sahibie Sartadźu – odezwał się Kamble ze swojego stanowiska przy balustradzie na pierwszym piętrze. Wychylał się, głową niemal dotykając gładkiej tafli spadającej z dachu wody, a w ręce trzymał papierosa.



– Mój drogi Kamble – powiedział Sartadź. – Masz mnóstwo złych nawyków i mylnych wyobrażeń. – Musiał mówić głośniej, żeby jego głos przedarł się przez bębnienie wody na ceglach.

Kamble uśmiechnął się do niego w odpowiedzi, bardzo zadowolony ze swojej niegodziwości. Zanim Sartadź wszedł po schodach, zapalał następnego papierosa i już czekał z gotową odpowiedzią.

– Czasami potrzebny jest ktoś taki zły jak ja, sahibie Sartadźu – odparł – żeby zająć się tą całą złą pracą, którą trzeba wykonać na tym świecie.

– Od kiedy to zajmujesz się filozofowaniem, ćutija? Wcześniej nigdy nie potrzebowałeś żadnych wymówek, więc nie zaczynaj teraz obwiniać świata. Kto czeka?

– Are, twoja panienska z CBI, szefie. Masz ich tyle, że nie wiesz, która ma przyjść z wizytą?

Andźali Mathur.

– Gdzie? – zapytał Sartadź.

– W biurze sahiba Parulkara.

– A sahib Parulkar jest tam?

– Nie, miał telefon, musiał pognać na spotkanie z CM w Dźuhu Centaur.

– Spotkanie z CM. To robi wrażenie.

– Nasz sahib Parulkar potrafi zrobić wielkie wrażenie. Ale wydaje mi się, że on nie przepada za twoją ćhawi, sahibie Sartadźu. Widać to po jego spojrzeniu. Może on też jej pragnie.

Sartadź walnął Kamblego w ramię.

– Masz brudne myśli. Pozwól, że sprawdzę, o co chodzi. – Ruszył korytarzem. Kamble rzeczywiście bywał plugawy, ale może wynikało to z faktu, że potrafił odnaleźć więcej przyjemności w całym plugastwie, w którym wszyscy się nurzali. Bez wątplenia zdawał sobie sprawę z układów panujących na komisariacie i wiedział o wszystkim, co tu się działo.

Sartadź skinął głową Sardesaiowi, asystentowi Parulkara, który ruchem ręki wskazał mu drzwi do biura Parulkara. Sartadź zapukał i wszedł do środka. Andźali Mathur siedziała samotnie na sofie ustawionej na samym końcu pokoju, w kącie najbardziej oddalonym od biurka Parulkara.

– Namaste, pani komendant – odezwał się Sartadź.

– Namaste – odparła. – Niech pan siada.

Sartadź usiadł i opowiedział jej, czego dowiedział się od Mary, choć nie było tego zbyt wiele. Jak zwykle wysłuchała wiadomości, tym razem skąpych, a potem zastygła w absolutnym bezruchu. Zastanawiała się. Dzisiaj miała na sobie ciemnoczerwony śalwar–kamiz. W kolorze wina, pomyślał Sartadź. Ciekawy odcień przy jej ciemnobrązowej skórze, ale strój był luźny i zakrywał jej ciało w sposób zupełnie bezosobowy. Trudno było doszukać się w nim jakiegoś fasonu czy charakteru. W ten sam sposób wyglądała jej twarz, zupełnie niedostępna. Bynajmniej nie wroga, po prostu powściągliwa, zamknięta.

– Śabaś – powiedziała. – Każdy najdrobniejszy szczegół może mieć znaczenie. Sam pan o tym wie. Nigdy nie wiadomo, co zdecyduje o rozwikłaniu sprawy. Chciałabym teraz powiedzieć panu o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Delhi postanowiło wstrzymać to śledztwo. Interesowaliśmy się powrotem Ganeśa Gaitondego do Mumbaju, przyczynami tego powrotu, i tym, czego tu szukał. Ale na podstawie dotychczasowych ustaleń Delhi nie widzi wystarczających podstaw, żeby kontynuować śledztwo. Szczerze mówiąc, nikogo to nie obchodzi. Mówią, że Gaitonde nie żyje, że to już jego koniec.

– Ale pani nie uważa, że to jego koniec.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego on tu się znalazł, dlaczego się zabił, czego szukał. Kogo szukał. Ale zostałam odwołana do Delhi. Uznano, że są ważniejsze sprawy.

– Na szczęblu centralnym.

– Tak. Na szczęblu centralnym. Zależałoby mi jednak bardzo, żeby pan w miarę możliwości nadal się tą sprawą zajmował. Bardzo cenię sobie pańską ciężką pracę. Gdyby mógł ją pan kontynuować, może udałoby się nam uzyskać odpowiedzi na nasze pytania.

– Dlaczego pani tak bardzo interesuje się Ganeśem Gaitondem? On był pospolitym gangsterem. A teraz nie żyje.

Przez chwilę się zastanawiała, rozważając możliwości.

– Nie wolno mi zbyt wiele mówić. Ale on mnie interesuje, ponieważ miał powiązania z pewnymi bardzo ważnymi osobistościami, był związany z wydarzeniami na szczęblu centralnym. Cokolwiek go tu ściągnęło, może mieć wpływ na przyszłe wydarzenia.

A ty chcesz, żebym ryzykował głową w obliczu tej tak niszczycielskiej siły, pomyślał Sartadź. Chcesz, żebym włożył swoje goli pod tę nadciągającą szlifierkę. Chcesz mnie wciągnąć w sprawy wydziału badań i analiz. Międzynarodowa intryga, brawurowe wyczyny za granicą, deśi Jamesowie Bondowie. Zdawał sobie sprawę z istnienia tej agencji, słyszał, że gdzieś funkcjonuje, ale było to dla niego zupełnie nierealne, bardzo dalekie od jego normalnego życia. W rzeczywistości całe to ponure szpiegostwo ani przez chwilę nie wydawało mu się rzeczywiste. Ale nagle okazuje się, że oto tu, przed nim, w niewielkiej odległości, na sofie siedzi mała Andźali Mathur, ubrana w ciemnoczerwony śalwar–kamiz, i interesuje się życiem i śmiercią Ganeśa Gaitondego.

Wprost cisnęło się na usta następne, oczywiste pytanie, ale powstrzymał się przed jego zadaniem: dlaczego RAW w ogóle interesuje się naszym przyjacielem Ganeśem Gaitondem? Być może wśród członków RAW są te ważne osoby, z którymi Gaitonde utrzymywał kontakty, może agencję i Gaitondego łączyły jakieś wspólne interesy, ale Sartadź nie chciał

tego wiedzieć. Nie chciał już przebywać w tym pokoju, z tą cichą Andźali Mathur. Chciał już powrócić do swojego życia.

– Tak – odparł. – To prawda. – Nic więcej nie powiedział. Te sprawy RAW toczyły się daleko od niego, tak jak powinny. Nie miał żadnych pytań, nie pragnął żadnych odpowiedzi. Skończył.

– Muszę wracać – odezwała się w końcu Andźali Mathur. – Do Delhi. Ale będę wdzięczna, jeśli pan dalej poprowadzi to śledztwo. W pańskim przypadku będzie to zupełnie logiczne, nikogo to nie zdziwi. Jeśli się pan czegoś dowie, tu jest mój numer w Delhi. Proszę do mnie zadzwonić.

Wziął wizytówkę i wstał.

– Zadzwonię – odrzekł.

Skinęła głową, ale on wiedział, że dostrzegła jego nerwowość, tę chęć, aby jak najszybciej wyjść z tego pokoju, znaleźć się gdzie indziej. Za drzwiami, na ławce dla gości, siedział Kamble, wygodnie założywszy nogę na nogę.

– I co się wydarzyło, szefie? – zapytał z nieodłącznym, chytrym uśmiechem.

– Nic – odparł Sartadź. – Zupełnie nic. Nic się nie wydarzyło. I nic się nie wydarzy.

Szare życie też ma swoje uroki. Sartadź właśnie jadł z Kamblem bardzo pikantnego kurczaka hajderabadi, kiedy jego telefon komórkowy rozdzwonił się i zaczął podskakiwać na blacie. Sartadź szturchnął go palcem i zobaczył, że dzwoni Wasim Zafar Ali Ahmad.

– Are, chusteczkę, chusteczkę! – zawołał do kelnera i nacisnął guzik kciukiem. – Moment – zdołał jeszcze powiedzieć, zanim dopadł go atak kaszlu.

– Sahibie, proszę napić się wody – odezwał się cierpliwie Wasim Zafar Ali Ahmad, kiedy w końcu Sartadź przyłożył aparat do ucha.

– Czego chcesz?

– Widzę, że teraz pan je lunch, saab. A ja mam dla pana deser.

– Ten Biharczyk i jego chłopaki.

– Tak.

– Gdzie? Kiedy?

– Dziś po północy mają przyjść do pasera po pieniądze.

– O której po północy?

– Wiem tylko, że mają się spotkać po północy, saab. Mogą być ostrożni. Ale mam dokładny adres.

Sartadź zapisał nazwę ulicy, punkty orientacyjne i nazwisko pasera. Wasim rzeczywiście był bardzo precyzyjny.

– Sahibie, po stronie torów przy drodze jest wiele kholi i zawsze kręci się tam dużo ludzi, nawet późno w nocy. Zachowajcie więc ostrożność, kiedy tam pójdziecie, bo mogą być kłopoty.

– Ćutija, mamy już za sobą setki takich aresztowań. To nie będzie nic specjalnego.

– Tak, tak, saab. Oczywiście, pan jest mistrzem w tych sprawach. Nie chciałem...

– Ważne jest tylko, czy to wiarygodna informacja? A jest wiarygodna?

– Sahibie, to jest pewne. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, ile mnie kosztowało, żeby ją zdobyć.

– Nawet mi nie mów. Nie wyłączaj na noc komórki.

– Dobrze, saab.

Sartadź odłożył telefon. Zabrał się za swoje tanduri roti i odgryzł spory kawałek kurczaka. Był przepyszny.

– Co robisz dzisiejszej nocy? – zapytał Kamblego.

Sartadź i Katekar czekali. Byli przebrani w obszarpane baniany, brudne spodnie i stare tenisówki na gumowej podeszwie. Sartadź miał na włosach luźno założoną starą patkę, którą wcisnął sobie za uszy, i był zdania, że wygląda jak dosyć wytworny thelawali. Siedzieli, półleżąc, pod wciągniętą na chodnik thelą, naprzeciw żelaznego płotu odgradzającego szyny kolejowe. Katekar narzekał na ścisk w pociągach.

– Ten kraj jest beznadziejny. Ludzie rozmnażają się bez opamiętania, jak psy. To dlatego nic tu nie działa, cały postęp pożerają nowe gęby. Jak można tu mówić o rozwoju? – Był to jeden z jego ulubionych tematów. Tylko czekać, jak przejedzie do zachwalania naukowej dyktatury, powszechnej rejestracji, systemu dowodów tożsamości i surowej polityki antykonceptyjnej. W tym momencie jednak zamilkł, bo właśnie mijał ich stukoczący pociąg: prawie pusty zmierzał do centrum. Za dnia jeździł obwieszony wianuszkami pasażerów, uczepionych opuszkami palców rak i nóg i wiszących nad pędzącymi szynami.

– Prawie godzina od ostatniego pociągu – podjął Katekar. Dochodziło wpół do trzeciej. – Proszę tylko spojrzeć. Wystarczy jedna ulewa i pociągi nie jeżdżą. Ta ćutija linia centralna, dziesięciu uczniów wysika się na tory, a behenćodowe połączenie już jest zerwane.

Sartadź skinął głową. Katekar miał całkowitą rację, a on czuł przyjemne odprężenie, tak sobie leżąc pod thelą i narzekając. Ponarzekali już na władze miasta, na korporacje, przeniesienia uczciwych pracowników służby cywilnej i policjantów, drogie mango, ruch uliczny, zbyt wiele prowadzonych budów, walące się budynki, zatkane rury kanalizacyjne, samowolny i nieludzki parlament, dokonywane przez Rakszak wyłudzenia, złe filmy, na to, że nie ma co oglądać w telewizji, na mieszanie się Ameryki w sprawę subkontynentu, na zniknięcie ze stoisk napoju Rimzim,

międzystanowe spory o wodę w rzekach, brak dobrych szkół języka angielskiego dla dzieci, których rodzice nie mają fura pieniędzy, na wizerunek policji na ekranie filmowym, niezapłacone nadgodziny, na pracę i na pracę. Kiedy już człowiek ponarzekał dostatecznie dużo na wszystko pozostałe, zawsze pozostawała praca, z tymi beznadziejnymi godzinami, monotonią, politycznymi komplikacjami, niewdzięcznością i wyczerpaniem.

Sartadź ziewnął. W pobliżu żelaznego płotu stał rząd kholi z blaszanymi dachami. Niektóre były dwukondygnacyjne i miały przystawione drabiny, a w zasadzie słupy z kołkami, żeby można było dostać się na górny poziom. Mniej więcej w dwóch trzecich długości rzędu zabudowań stał dosyć solidny pakka dom, nowy i niewykończony. Na jednej z tych górnych kondygnacji, za oknem zakrytym gazetą, paliło się światło, i właśnie w tym pokoju dzisiejszej nocy mieli pojawić się apradhi. Niedaleko tego oświetlonego okna, na samym końcu rzędu kholi, PSI Kamble i czterej policjanci leżeli na chodniku zawinięci w brezent, udając głęboko śpiących, zmęczonych robotników. Sartadź był pewien, że teraz psioczą. Po tamtej stronie zabudowań, pod ceglany murem, leżała ogromna sarta śmieci, wyższa niż stojący mężczyzna. W ciągu ostatnich kilku lat Sartadź mijał ją wiele razy, tę cuchnącą górę, a ona raz rosła, raz malała, ale nigdy nie zniknęła, a kiedy teraz patrzył z tej dużej odległości, widział jaskrawe, neonowe barwy, błękit, zieleń i żółty kolor plastikowych toreb, mrugające do niego z tych archeologicznych pokładów. Jako prowadzący tę operację starszy oficer miał ten przywilej, że mógł uniknąć tego potwornego smrodu, więc to Kamble i jego ludzie leżeli bezpośrednio w tych oparach, i Sartadź wiedział, że go teraz przeklinają. Uśmiechnął się na myśl, że Kamble trzyma pod nosem perfumowaną chusteczkę.

Nagle Katekar w pół słowa przerwał swoje narzekania. Ulicą nadchodziło dwóch mężczyzn, podpierając jeden drugiego.

– Pijani – stwierdził Katekar i nie mylił się. Było ich tylko dwóch, a mało prawdopodobne, żeby prawdziwi apradhi pojawili się pijani na spotkaniu z paserem, w celu odebrania pieniędzy. Sartadź jednak zeszywniał, obserwował. Pijacy minęli ich i poszli swoją drogą, chichocząc. Trzy uliczki dalej, po lewej stronie drogi, znajdowała się wiejska knajpa i jaskinia hazardu. Mężczyźni krążyli między jednym a drugim miejscem, a potem szli do domu. Ci dwaj byli szczęśliwi, a to tylko oznaczało, że dopiero kiedy obudzą się rano, dotrze do nich, ile stracili. Sartadź odprowadzał ich wzrokiem, czując przebiegający po ramionach ciepły dreszczyk niecierpliwego wyczekiwania. Dzisiejszej nocy dorwie tych apradhi. Zapuszkuje sukinsynów, a potem pójdzie spać. Przysłużył się Wasimowi Zafarowi Ali Hamadowi i przyszła kolej, żeby Sartadź coś zyskał.

Katekarowi na moment zabrakło tematów do narzekania i teraz opowiadał jakąś policyjną historyjkę. Dawno temu, mówił, kiedy zaczął pracę w policji, poznał starego, siwego inspektora o imieniu Talpade. Ten Talpade był cały pomarszczony i sękaty, i naznaczony plamami nie tylko po panie, który żuł bez ustanku, ale również po czterech aferach korupcyjnych, z którymi się zmagał i które przeżył. Powiadano – a także powszechnie wierzono – że w swojej karierze zabił ponad tuzin niewinnych ludzi, zastrzelił ich w trakcie zamieszek i zasadzek. Pewnego razu pobił w areszcie na śmierć jakiegoś apradhiego i przez jedenaście miesięcy był zawieszony, zanim udało mu się wywikłać z tej krwawej afery, głównie dzięki rozdawaniu na lewo i prawo pieniędzy wśród dowództwa, wprawiając w zdumienie nawet najbardziej żarliwych popleczników i zażartych wrogów.



Dwa lata przed przejściem na emeryturę Talpade zakochał się w pewnej tancerce. Podziw budził już sam fakt, że mężczyznę w tym wieku może ogarnąć tak wielka namiętność. Oczywiście, ośmieszał się: kazał sobie uszyć nowe ubranie, ufarbowane mehndi włosy nagle zrobiły się kruczoczarne, zęby błyszczały nieziemską bielą. Ale nie sposób było nie dostrzec i nie uszanować wielkości jego oddania. Co noc chodził składać hołd u stóp ołtarza swojej ukochanej, zabierał ją do domu z baru, w którym pracowała, przekazywał jej wiadomości od kochanków. Bo rzeczywiście miała innych mężczyzn, młodszych i przystojniejszych, ale Talpade godził się na ten ból, traktując go jako cenę jej bliskości, i znosił go z pokorną wdzięcznością. Zmienił się. Pod starczymi zmarszczkami na jego twarzy, pod pełnymi goryczy dolinami, poruszało się coś nowego – wystarczyło spędzić z nim krótką chwilę, żeby zorientować się, że to radość.

Policjanci śmiali się z niego. I nie chodziło o ten jego krok podstarzałego koguta czy nowe ciemne okulary, w których paradował. Rzecz w tym, że on kochał Kuku („tak jak ta aktorka sprzed lat”), która – jak Talpade mówił każdemu, kto tylko chciał słuchać – była piękna jak kaszmirskie jabłko, i nikt nie miał prawa podawać w wątpliwość tego delikatnego i zgubnego uroku nakhry Kuku. Ale ona była mężczyzną. Mówiła, że ma dziewiętnaście lat, ale już od przynajmniej pięciu lat tańczyła w różnych barach, i bardziej prawdopodobne było, że lat ma dwadzieścia pięć, a przynajmniej dwadzieścia dwa. Na jej plecy opadały wspaniałe proste włosy, rozjaśnione na nieomal złoty, ostry kolor, miała zdumiewająco krągłe i jędrne pośladki i wydatne, warte poematu wargi. Ale nikt nigdy nie miał wątpliwości, że Kuku była mężczyzną. Ona sama nigdy nie starała się tego ukrywać. Miała wąską, długą klatkę piersiową i chropawy głos. Ale i tak ciągnął za nią z baru do baru tłum adoratorów, za każdym razem powiększając jej zarobki.

Dlaczego więc Talpade stał się tak wielkim majnoo na punkcie Kuku? Czy możliwe, że on – pomimo długiego małżeństwa i trójki dzieci – był, po prostu, gandu? Większość mężczyzn i kobiet w policji uważała, że tak jest. Ale jego znajomi i osoby blisko związane z Kuku wiedzieli, że Talpade nigdy nawet jej nie dotknął. I to nie dlatego, że ona nie zgodziłaby się, nie, Kuku miała doskonałe wyczucie, jak długo można flirtować z mężczyzną, przede wszystkim zaś była bardzo praktyczna. Wiedziała, kiedy ma zachowywać się jak osoba wstydliva, a kiedy być bezczelna. Ale Talpade nie pragnął obłapiać jej, ścisnąć i posiąść, jemu wystarczyło, że siedział przy swoim stoliku, zawsze tym samym, tuż przy parkiecie, po lewej, i patrzył na nią. Na mieniącym się srebrem parkiecie rzeczywiście przedstawiała widok godny podziwu, unosząc się na wirującym lotosie swojej ghagry, z talią obracającą się jak smukła kaskada wody. W tych miłych, czarno–czerwonych światłach wyglądała piękniej niż wszystkie inne dziewczyny w barze, miała więcej wdzięku niż wszystkie kobiety na ulicy. Talpade siedział, popijał rum Old Monk i patrzył na Kuku. Dawał jej pieniądze na chwilę przed swoim wyjściem, nigdy nie przywoływał jej do stolika po pieniądze, jak to robili inni mężczyźni, nigdy niczego nie oczekiwał, jedynie przelotnego spojrzenia i uśmiechu. Z chęcią rozmawiał ze znajomymi, którzy pojawiali się w nocnym klubie, żartował z kelnerami, jego skupienie na Kuku nie było tak monotematyczne czy obsesyjne, żeby budzić obawy, ale oczywiste było, że tylko ona go interesuje. Pewnej nocy jego najlepszy przyjaciel, David, upił się na smutno, i chwyciwszy Talpadego za rękę, powiedział:

– Stary, no dawaj, złap ją za to, co ma między nogami. Dowiesz się wtedy, kim ona jest.

– Wiem, że nie jest kobietą – odparł Talpade.

– I co?

– Lubię na nią patrzeć.

– Powiedz mi, dlaczego?

– Po prostu jest to miłe.

Nic więcej nie powiedział. David zaczął przeklinać Talpadego, że wystawia się na pośmiewisko, że wyrzuca pieniądze i nic za to nie dostaje, że jest po prostu głupi. Talpade uśmiechnął się, odwrócił wzrok i dalej patrzył na Kuku.

Dwa miesiące później Kuku zadzwoniła do Davida. Powiedziała mu, że teraz Talpade płacze, kiedy na nią patrzy. Już od trzech nocy zachowywał się w ten sposób, jak zwykle obserwując ją godzinami, a potem, kiedy robiło się bardzo późno, po cichu płakał, chociaż nic nie wskazywało na to, że jest nieszczęśliwy.

– Teraz to on już zupełnie zwariował – orzekła Kuku. Prosiła tego przyjaciela, żeby zabrał od niej Talpadego. Wpędzał ją w depresję tymi swoimi wielkimi, załamionymi oczami i drażnił innych klientów, którzy przychodzili się zabawić, a nie odprawiać żalobę.

Tym razem David zapytał go delikatnie:

– Dlaczego?

A Talpade odrzekł:

– Ona przypomina mi o moim dzieciństwie.

Zabrali go z baru, odprowadzili do domu i położyli spać. Rodzina sprowadziła lekarzy, czuwała przy Talpadem, pocieszała go i pilnowała, żeby zgodnie z zaleceniami odpoczywał. Do pracy wrócił w poniedziałek dwa tygodnie później, i tej samej nocy był już w klubie Golden Palace, w którym właśnie tańczyła Kuku. Tym razem, kiedy on znowu zaczął odstawiać swój tamasha, kazała bramkarzom wyprowadzić go z lokalu, poszła za nimi na ulicę i wrzeszczała za Talpadem.

– Nie chodź za mną! – Kiedyś się go obawiała, ale teraz nie mogła się już powstrzymać. – Sukinsyn, z niczego robi tragedię. Nie chcę cię już nigdy widzieć.

Talpade posłuchał. Nigdy już nie próbował się z nią zobaczyć. Zajął się swoim życiem, ale stał się apatyczny, stracił wcześniejszą dziką siłę i energię. Zmarł cztery miesiące później, spokojnie, we śnie.

Sartadź westchnął. To był koniec opowieści. Podobnie jak wszystkie inne policyjne historie, które lubił opowiadać Katekar, również ta kończyła się nagle, pozostawiając pytania bez odpowiedzi i nie ujawniając morału ani też swojego celu. Sartadź słyszał ją już wcześniej, od innych ludzi, i wierzył, że w gruncie rzeczy jest prawdziwa, choć z pewnością każda przekazująca ją osoba upiększała ją i modyfikowała.

– To oni – odezwał się Sartadź. Zobaczyli trzy postaci rzucające cienie na chodnik, jeszcze daleko, zbyt daleko, żeby je rozróżnić, ale Sartadź był pewien, że to mężczyźni i że są to ci mordercy. Czuł to w nozdrzach, w zębach. Cofnął górną połowę ciała, którą zdążył już unieść w niecierpliwym wyczekiwaniu, i dalej udawał, że śpi. Czekał.

– Jak oni się nazywają? – szepnął Sartadź.

– Bazil Čhaudhari, Faradź Ali i Bhai Rejaz.

Gdzieś z oddali dobiegło charakterystyczne wycie silnika fiata, który pokonywał zakręt, bardzo słabe, bezbarwne elektroniczne brzęczenie latarni i metaliczny szcęk gdzieś na torach, dźwięki wielkiej ciszy miasta. Trzech mężczyzn minęło stanowisko Kamblego, a potem oświetlone okno. Katekar wypuścił powietrze. Trójka zatrzymała się, odwróciła i cofnęła. Jeden z nich wyciągnął rękę i zastukał w dolną część drzwi na piętrze.

– Okay – odezwał się Sartadź. Katekar wysunął się spod wózka i ruszył w prawo. Sartadź udał się w lewo.

– Stać, policja! – krzyknął Sartadź. – Ręce do góry. Nie ruszać się. – Kątem oka widział ludzi Kamblego, przesuających się gdzieś po lewej. Trójka apradhich zamarła, zbili się w ciasnym kręgu, jak postaci z kreskówki, a po chwili rozbiegli się w prawo i lewo. Jeden pobiegł ulicą i Sartadź pozwolił, żeby zniknął mu oczu, z pola widzenia. Skoncentrował się na środkowym, który najpierw pobiegł do przodu, a potem w tył. Cofał się i ruszał do przodu niepewnie, a w jego ręku poruszało się coś błyszczącego, ostrego.

– Rzuć to, maderćodzie. Rzuć to. Ręce do góry albo urwę ci łeb. – Coś stuknęło o ziemię, ręce powędrowały w górę i w tym momencie Sartadź zaryzykował rzut oka w prawo. Katekar mierzył w wąską przerwę między budami, w szczelinę prowadzącą do płotu.

– Wyłaż, behenćodzie – powiedział. – Rzuć to.

W smudze światła pojawiło się wirujące, kanciaste ostrze. Siekiera, pomyślał Sartadź. Te durne sukinsyny ciągle jeszcze noszą siekiery. Wciąż jeszcze czuł w gardle intensywne pulsowanie zwycięstwa, kiedy z zacienionej szczeliny wyskoczyła ciemna postać i zderzyła się z Katekarem. Sartadź usłyszał świst przecinanego powietrza i nagle Katekar znalazł się na ziemi, a apradhi uciekał. Sartadź cofnął się dwa kroki, opanował drżenie ręki, odszukał jasną, gładką i wypolerowaną linię przyrządów celowniczych, przód i tył, jak w kamerze namierzył migającą postać apradhięgo, i wystrzelił, raz, a potem drugi, trzeci, czwarty. Apradhi osunął się na ziemię. Błysk powoli ustępował z oczu Sartadźa. A Katekar wciąż siedział nieruchomo.

Sartadź ukląkł przy nim. Z karku Katekara miarowo bluzgał ciemny płyn.

– Arteria – odezwał się Kamble gdzieś znad głowy Sartadźa.

– Gypsy, prędko – krzyknął Sataj. – Dawajcie tu gypsy. – Pogrzebał w kieszeni i przyłożył chusteczkę do szyi Katekara, a krew zbierała się i niepowstrzymanie przepływała przez palce Sartadźa, gromadząc się i kłębiąc na jego nadgarstku.

– Tutaj – powiedział spokojnie Katekar. – Tutaj.

W trójkę podnieśli go i włożyli do samochodu. Sartadź z trudem stawiał nogi, a Kamble szeptał mu do ucha, tak blisko, że Sartadź czuł jego wargi na brodzie.

– Wszyscy trzech apradhi zginęli podczas ataku. Tak?

Sartadź dosłyszał te cichutkie dźwięki przez krzyk ogarniającego go przerażenia. Pokręcił głową, obiegł samochód i wskoczył na fotel.

Kamble zatrzaskał drugie drzwi. Padające z góry światło porozcinało jego twarz na czarno–złote trójkąty.

– Wszyscy trzech – powiedział. – Wszyscy trzech zabici.

Nie było czasu na rozmowy. Chwilę później pokonywali zakręt obok rozmazanego płotu, a Sartadź starał się utrzymać Katekara w nieruchomej pozycji, nie zdejmując dłoni z jego rany. Dopiero teraz dotarł do niego sens słów Kamblego. Dżip zboczył w lewo, a do uszu Sartadźa doszły odgłosy wystrzałów, szybka seria, jakby strzelały korki z шамpana.

W klinice Dźiwnani o drugiej czterdzieści sześć nad ranem stwierdzono, że Ganpatrao Popata Katekar zmarł w drodze do szpitala.

Sartadź czuł się staro. Kiedy zajrzał do papierów, przypomniał sobie, że Katekar był od niego o pięć lat starszy. Ale zawsze wydawało mu się, że Katekar jest młodszy, że jest młody. Katekar potrafił narzekać o dowolnej porze dnia, znał groteskowe piosenki marathi, ciekawe fakty naukowe, nieskończenie długie historyjki o krótkim życiu twardzieli. Z przyjemnością obzartucha pochłaniał dojrzałą i zamarynowaną nikczemność miasta, jego

pikantne skandale, gorzkie upadki, wściekle stęchłą niesprawiedliwość; sporządzał potrawę z jego olśniewającego i gnijącego cielska. A teraz Sartadź musiał wypisać pozycję formularza: „Przyczyna zgonu: ...”. Bardzo starannie stawiał litery, w przekonaniu, że ładne pismo na urzędowym formularzu jest wyrazem szacunku dla zmarłego. Powoli pisał każde zdanie, aż do ostatniej kropki, a wtedy jego dłonie zaczęły drżeć. Wibracje zaczynały się w łokciach, ból ciągnął się od kości i biegł wprost do jego dłoni. Sartadź wsunął ręce pod stół, położył je na udach i czekał, aż drżenie ustąpi. Zacisnął dłonie w pięści, rozluźnił je. Dygotanie ustało, ale po chwili powróciło. Sartadź rozejrzał się dokoła. Tuż za drzwiami siedziało dwóch policjantów, widział ich buty. Dyżurny inspektor, Apte, znajdował się po drugiej stronie korytarza, w biurze po lewej. Zostawił Sartadźa samego, współczuł mu i nie chciał mu przeszkadzać, naruszać jego prywatności. Sartadź wciągnął powietrze, odsunął krzesło. Dłonie leżały na brudnej białej bawełnie i drżały. To było odpowiednie słowo: drżenie. Nie dygotały ani nie trzęsły się, ale delikatnie trzepotały, poruszane jakimś docierającym spod skóry impulsem. Jakież to melodramatyczne, pomyślał Sartadź. Wypowiedział w myślach to słowo po angielsku. *Melodramatic*. Pamiętał je. W końcu siłą woli opanował to drżenie. Delikatnie i mocno chwyciwszy formularz, odwrócił go na drugą stronę. Znowu wziął do ręki pióro i już miał przyłożyć stalówkę do papieru, ale zrezygnował. Jakże dziwnym urządzeniem są nasze ręce. Brzusiec wyściełany potężnymi i niezgrabnymi, pulchnymi podkładkami, delikatne włoski dekorujące górną powierzchnię. Sartadź oparł o drewniane biurko zgięty do tyłu palec. Wiedział, że gdyby napał na niego całym ciężarem ramienia, palec by się złamał. Ból ostro przedzierał się przez spowijające inspektora opary otumanienia, jak światło błyskowe we mgle. Sartadź znał dźwięk łamanych palców. Kiedyś kazał Katekarowi zrobić coś takiego, złamać palec

pewnemu apradhiemu, porywaczowi, człowiekowi, który przyszedł odebrać pieniądze za dziecko, za porwaną z przedszkola córkę biznesmena. Wybór padł na mały palec prawej ręki porywacza. Odnaleźli to dziecko, w hotelu w Bhandup. Dźwięk łamanego palca nie jest głośny, ale suchy, bardziej ostry, niż można by się spodziewać. Taki krótki trzask, jak wybuch małej petardy. Katekar to zrobił. To Sartadź nakłonił go do zrobienia tego, zrobił to dla tej dziewczynki. Katekar miał ciężkie dłonie. Sartadź przypomniał je sobie, zwolnił nacisk z własnego palca i podniósł się. Rozczulał się nad samym sobą; to wszystko, te ręce, wspomnienia, formularz, służyło jedynie temu, żeby jak najdalej odsunąć od siebie to, co musiał teraz zrobić, to, co odkładał aż do rana: wizytę u rodziny Katekara. Niech na razie śpią, powiedział do Aptego. Po co budzić ich teraz, w środku nocy?

Ale światło było nieubłagane. Nadszedł czas ponownie włożyć mundur.

Żona Katekara domyśliła się natychmiast, gdy tylko otworzyła drzwi. Sartadź dostrzegł to w jej twarzy. Kiedy zastukał delikatnie w skobel, ona otworzyła, zasnana, lekko chwiejąc się i patrząc na niego na wpół otwartymi oczami, a przygotowane przez Sartadźa zdanie „Bhabhi, wybaczone, proszę” ugrzęzło w odrażającej świadomości jego własnej winy. Zamknęła drzwi za sobą i skrzyżowała ramiona na obrębjonej w półokrągłe ząbki białej, koronkowej lamówce luźnej podomki. Widział na niej wzór róży, całej, z kolcami i zielonymi łodygami. Sartadź zawsze widywał żonę Katekara w połyskujących sari, podczas bardzo oficjalnych spotkań. Może ze trzy lub cztery razy w okresie trzech czy czterech lat. Na dłuższą chwilę zamknęła oczy, a potem otworzyła je ponownie. Nagle się zmieniła. Wysunęła swoją kościstą twarz do przodu, jak dziób statku, i wyciągnąwszy rękę, dotknęła jego przedramienia. Zdał sobie sprawę, że jego ciało znowu drży.

– Co się stało? – spytała.



Zwłoki przyniesiono następnego dnia, o drugiej. Ułożyli Katekara na jego łóżku i zdjęli z niego prześcieradło, w które został zawinięty po autopsji. Potem posadzili go na krześle i wykąпали. Rana, u dołu karku po lewej stronie, była zaszyta. Wyglądała na zbyt małą, żeby zabić mężczyznę o tak okazałym brzuchu i tak szerokich ramionach. Długie rozcięcie po sekcji zwłok zszyto grubą, czarną nicią. Skóra Katekara miała teraz kolor i strukturę tektury, która szybko wyschła po namoknięciu na monsunowym deszczu. Sartadź starał się nie patrzeć na niego. Wcisnął się w kąt i odwracał wzrok od wpychających się przez drzwi mężczyzn i kobiet, koncentrując się na odczytaniu napisów ze stosu kaset leżących obok odtwarzacza, po drugiej stronie pokoju. Przysłuchiwał się rozmowie żony Katekara z krewną o liczbie potrzebnych butelek nafty, krowich placków i ilości drewna. Teraz oblekali Katekara w nowe ubranie, na przegub dłoni zakładali jego ciężki, stalowy zegarek. Jego żona uklękła i wsunęła mu ćappale na stopy. Miała trudności z ich założeniem, trzymała piętę Katekara i naciskała, a potem delikatnie rozsunęła palce u jego stóp, żeby jeden z nich przełożyć przez skórzaną pętelkę. Nacierała jego czoło gulalem, nałożyła czerwoną tikkę. W skupieniu, poważna, odchyliła głowę do tyłu. Jakaś kobieta przyniosła jej stalowy thali, zapałka zaskwierczała, błyskając świetlistym łukiem w powietrzu, i Sartadź poczuł zapach kadzidła, palonego oleju. Powolnymi, okrężnymi ruchami poruszała thali wokół ramion Katekara i wokół jego głowy. Płakała.

Wyruszyli do śmaśan ghatu. Jakiś mężczyzna, policjant, niósł napełnioną wodą dzban matka. Sartadź słyszał rytmiczne chlupotanie przy każdym jego kroku. Tuż za nim inny policjant niósł thali wypełniony kwiatami i gulalem. Policjant rozrzucał po drodze ziarno i gulał z thali. Do śmaśanu weszli przez wysoką, czarną, metalową bramę. Stojąc pod wznoszącą się ponad głowami wiatą bez ścian, pod tym dachem z blachy falistej, Sartadź

słyszał docierające zza wysokich ścian dźwięki ulicy. Słyszał głosy, krzyki uczniów, pokrzykiwania sprzedawcy warzyw. Nad murem, przez opadające gałęzie, widział znaki po drugiej stronie ulicy, na wysokim budynku handlowym. Katekara złożono na stosie drewna. Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu, Sartadź rozpoznał go, to był Potdukhe, starszy policjant, który w ubiegłym roku przeszedł na emeryturę. Potdukhe miał w ręku ostrze, żyletkę. Jedną ręką chwycił biały rękaw koszuli Katekara i szybkim ruchem rozciął materiał od ramienia po nadgarstek. Sartadź skulił się, świst żyletki przedarł się przez te wszystkie dźwięki ulicy. Przełknął ślinę i stał nieruchomo. Potdukhe rozciął drugi rękaw, a potem rozpiął guziki w spodniach Katekara, dusza nie może napotkać żadnych ograniczeń.

Z oddali dobiegł mechaniczny warkot zatrzymujących się pojazdów i chwilę później do śmaśan ghat wszedł Parulkar. Podszedł prosto do Katekara, przez chwilę stał nad nim, a potem się cofnął. Stał obok Sartadźa, położył mu dłoń na nadgarstku i ścisnął. Teraz wspólnie czekali.

Kobiety stały w pewnej odległości, pod murem po drugiej stronie dziedzińca. Ustawieni w szereg umundurowani policjanci zrobili zwrot, mocno uderzyli stopami o ziemię, unieśli karabiny do ramion i wymierzili w górę, gdzieś wysoko, w coś nad głowami. Synowie Katekara, którzy stali jeszcze z kobietami, wzdrygnęli się na tę kanonadę, przypominającą trzaskanie z bicza. Następnie przyprawiono ich do przodu, przeszli przez krąg mężczyzn zgromadzonych wokół mar. Potdukhe położył dłoń na ramieniu starszego chłopca i wraz z nim zatoczył koło wokół jego ojca. Ten syn – Jak on ma na imię? Jak ma na imię? – niósł matkę wypełnioną wodą, która skapywała przez dziurę, rozpryskiwała się na ziemi i tańczyła w szybkich płasach rozbryzgów. Ubrany w dhoti kapłan trzymał w dłoni rozłupany kawałek drewna, na którego końcu migotał płomień. Sartadź nagle zapragnął zobaczyć twarz Katekara. Zrobił krok w lewo, ale stos

drewna był wysoki, i udało mu się dostrzec tylko zwój białego materiału, podbródek, grzbiet nosa. Kiedy patrzył z miejsca, w którym stał, w niewielkiej odległości od czubka głowy zmarłego, Katekara nie było, tylko jakieś fragmenty. Sartadź przesunął się w prawo, nagle ważne dla niego stało się, żeby zobaczyć całego Katekara, ale było już za późno, kapłan trzymał rękę syna, pokazując mu, jak ma uderzyć kijem w głowę ojca. Było to lekkie stuknięcie, symboliczne, ale już chwilę potem prawdziwe uderzenie, wykonane przez kapłana, miało rozbić czaszkę. Sartadź przełknął ślinę. W tym właśnie momencie na każdym pogrzebie robiło mu się niedobrze. To niezbędne, powtarzał to sobie po raz kolejny, żeby czaszka nie eksplodowała w ogniu. Ale czuł, że żołądek zaczyna podchodzić mu do gardła. Ktoś, Parulkar, wziął go pod ramię i wraz z pozostałymi mężczyznami cofnęli się, o trzy, cztery, pięć kroków. Ale i tak Sartadź usłyszał miękki chrzęst otwieranej czaszki, i Katekar był teraz otwarty na niebo, absolutnie i w pełni otwarty. Jego syn pochylił się do przodu, trzymając w dłoni płonące drewno. Wewnątrz stosu zapanowało lekkie poruszenie, między drewnem zaczęły przebiegać drobne, szybkie drgawki. Ten ruch i delikatny zapach ghi, ten zapach dzieciństwa, pamiętany ze ślubów i świąt. I nagle, z jakimś ponaglącym westchnieniem, ogień objął drewno, ciało, Katekara. Teraz wszystko się poruszało, podskakiwało w górę, a twarz Sartadźa oblała fala gorąca. Patrzył w płonący ogień i nie odwracał wzroku.

Kiedy już odeszli przyjaciele i krewni, kiedy ostygły popioły, kiedy je zgarnięto, zabrano do domu i powieszono w dzbanie obok drzwi, kiedy wszystko już się zakończyło, Sartadź udał się do siebie. Miał butelkę whisky, prawie pełną, którą wyciągnął i postawił na niskim stoliku, obok butelki z wodą, ale kiedy nalał sobie drinka, zakrztusił się jego zapachem. Zamknął więc oczy i położył się na sofie. Katekar nie żyje, jego zabójca nie

żyje, towarzysze zabójcy nie żyją, wszystko się skończyło. Nic nie można zrobić, nie ma kogo ścigać. Śmierć Katekara była zabójstwem, wypadkiem, zrządzeniem losu. Prosta historia, nie różniąca się od tych opowiadanych przez Katekara i innych: osaczyliśmy trzech apradhich, trzeba było od razu strzelać, zaatakować sukinsynów, ale to Singh kierował tą operacją, Katekar znalazł się zbyt blisko i nie strzelił, więc zginął. Sprawa zamknięta. Takie rzeczy się zdarzają. To ich praca. Ale po tym wszystkim, i pomimo tego wszystkiego, Sartadź nie potrafił pogodzić się z tą historią, nie potrafił znaleźć ukojenia w tym jej przejrzystym uporządkowaniu, w tym, jak zgrabnie toczyła się i ostatecznie zakończyła. Dręczyły go pytania: gdzie jest Bangladesz? I co to jest? Gdzie jest Bihar? Dlaczego trzech ludzi pokonuje tysiące mil, zmierzając do pewnego miasta, w pewien określony punkt drogi, do czekającego pod thelą policjanta? Jesteśmy jak rozsypane szczątki, pomyślał Sartadź, przypadkowo rozrzucone i trącające się nawzajem, jeden drugiemu rozbija życie. Kiedy otworzył oczy, otaczający go pokój był wciąż tym starym pokojem, z doskonale znanymi mu cieniami, pamiętanymi od tysięcy nocy. To był jego zakątek tego świata, bezpieczny i znajomy. Ale wciąż czuł na piersiach ciężar tego pytania: dlaczego Katekar zginął? Jak do tego doszło?

## Interludium: wielka gra

Celem, znaczeniem, intencją i metodyką działalności wywiadu jest znajomość wzorców. – Studenci czekają, niecierpliwie wypatrując objawienia, które napełni ich zrozumieniem, postawi ich w stan gotowości, pozwoli im przetrwać i odnieść sukces. – Umiejętność wyczuwania metody, porządku, modelu zachowań jest największym talentem oficera wywiadu – obwieszcza K. D. Jadaw, zwracając się do tylnych rzędów. – Jak mówi stare porzekadło: raz to przypadek, dwa razy zbieg okoliczności, za trzecim razem działanie wroga. Pamiętajcie o tym. Jeśli potraficie dostrzec związki łączące dwie informacje, widzicie kształt, który tworzą, odczytujecie historię, którą informacje opowiadają, zwyciężycie. Patrol odkrywa ślady butów na grani w Karakorum, starszy oficer na placówce w Brukseli pisze raport, w którym wspomina o sprzedaży całych kilometrów wzmocnionych przewodów komunikacyjnych. Zwycięży ten, kto dostrzeże w tym jakieś znaczenie. – K. D. mówi „ten”, ale w pierwszym rzędzie siedzi kobieta, dziewczyna. Zna ją od lat, widział jak dojrzewała, jak z dziecka przeobrażała się w młodą osobę o poważnej twarzy, a jedną z największych przyjemności jego życia było obserwowanie tej bardzo wyrazistej osobowości, niegdyś patrzącej na niego z dziecięcego wózka, a później wyrastającej na opanowaną, niezależną kobietę, która teraz przed nim siedziała. Lubi myśleć, że sam ma coś wspólnego z tym dorastaniem, z pielęgnowaniem tej odwagi. Ale jak ona się nazywa? Jakże to możliwe, że nie zna jej imienia? Jak mógł zapomnieć, skoro od lat, od dziesięcioleci je wymawiał?

I nagle już wie. Rozumie, dlaczego zapomniał. To nie w tamtym pomieszczeniu nie pamięta jej imienia, nie w tamtym budynku w Safdardzangu, w sali szkoleniowej, ukrytej w nijakim bungalowie. To teraz je zapomniał, w tej sali szpitalnej, w której leży. Jestem tutaj, nazywam się Karpuri Dwarkanath Jadaw, powszechnie znany jako K. D., znajduję się w małym, białym pokoju z zaciągniętymi zasłonami. Leżę na białym, metalowym łóżku. Nie uczę, nie wykładam. Jestem chory, i to dlatego zapomniałem jej imienia. W tamtej prawdziwej klasie, przed laty, znałem je dobrze. Ale teraz już nie.

Ona siedzi teraz przy jego łóżku, w tej sali szpitalnej. Czyta książkę. K. D. pamięta ją jako dziecko, zawsze zaczytaną. Nosiła książkę z pokoju do pokoju, zabierała ze sobą książkę do jadalni, a matka zawsze musiała jej kazać ją odłożyć. K. D. dawał jej książki, dostrzegał w niej swoją własną miłość do książek, ten dziecięcy głód czytania, podobało mu się, że jest nad wiek rozwinięta. Podarował jej komiksy z ilustrowaną serią wielkich dzieł literatury światowej, książki Enid Blyton, a potem P. G. Wodehouse'a. Nadal czyta z tym samym skupieniem, pochylona nad trzymaną oburącz książką. Pamiętał ten napięty łuk jej pleców, to jej pożądanie, jakby chciała połknąć litery.

– Co teraz czytasz? – pyta K. D.

Ona podnosi wzrok, ucieszona tym pytaniem, ucieszona, że on się odzywa.

– A Search in Secret India.

– Paula Bruntona.

– Czy jest jakaś książka, której nie czytałeś?

– Czytałem to wiele lat temu. – Dokładnie pamięta, kiedy czytał tę książkę, było to w czerwcu 1970 roku, w wojskowej kantynie w Siliguri. Egzemplarz był stary, oprawiony w skórę, z wyblakłymi złożonymi literami

i trzema wybrzuszeniami na grzbiecie. Prawie czuje go teraz w dłoniach. Znalazł ją w przeszklonej gablocie, nad wazami z dynastii Ming, przywiezionymi tu przez dawną ekspedycję karną do Pekinu. Przed kantyną jest weranda, którą zamiata lance–naik. Ogrodzenie z drutu kolczastego. Spękana droga i pola. Ale wciąż nie pamięta imienia kobiety siedzącej w tej żółtej sali szpitalnej.

– Musieli ponownie ją wydać. Co o niej sądzisz?

– Bzdurne wyobrażenie Orientu. Biały człowiek poszukuje sadhu i oświecenia w mrocznym świecie pełnym tajemnic. Stare wymysły.

K. D. się śmieje.

– To, że są to czyjeś wymysły, wcale nie znaczy, że nie może być to prawda.

Już od dawna spierają się w ten sposób. On mówi jej, że powinna wyzbyć się tych wpojonych na uniwersytecie Jawaharlala Nehru urojeń o kosmopolityzmie, antyimperializmie i wiecznym pokoju. Ona z kolei wciąż powtarza mu, że jego realizm również jest urojeniem. Z biegiem lat te dyskusje przybrały formę oficjalnych ćwiczeń, stały się obrzędem, który z pozoru jest sporem, a w rzeczywistości okazywaniem sympatii. K. D. jest świadom swej przewagi. W końcu to on zwerbował ją do organizacji. Ona jest teraz jedną z nas, jest jednym z cichociemnych. Nie ma wyboru, musi być realistką. Ja ją wyszkoliłem, nauczyłem ją tego fachu, nauczyłem analizować, rozpoznawać, działać. Wciągnąłem w ten tajemny świat, w nasze problemy, w sieć sekretnych spraw. Uśmiecha się do niej. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że sadhu nie istnieją? Albo też oświecenie?

Ona odkłada książkę, przysuwa krzesło do łóżka.

– Jestem pewna, że sadhu istnieją.

– Rzeczywiście istnieją. I prawdziwi, i fałszywi. I jedni, i drudzy są przydatni. – Ona kiwa głową, a K. D. jest pewien, że ona rozumie, że nie

zapomniała tego, czego się nauczyła. Kładł nacisk na poznanie historii organizacji, jej przodków, i dlatego uczył ich o panditach, Nainie i Mani Singh Rawat, i Saracie Ćandrze Dassie, i innych, mało znanych i niedocenionych ludziach, którzy sto lat temu zagłębili się w zakazanych północnych terenach, przebrani za pielgrzymów, którzy przewędrowali tereny na północ i na zachód od Himalajów, przemierzyli ciągnące się setki mil drogi, licząc kroki podczas marszu. Młynki modlitewne skrywały kompas, termometry były wsunięte w laski, a odmierzone przez piechurów odległości posłużyły do sporządzenia pierwszych map topograficznych tych dzikich terenów. A mapa jest pewną formą podboju, jest wstępem do wszystkich innych podbojów. K. D. mówił swoim studentom: pamiętajcie o tych młynkach modlitewnych, jedna forma wiedzy może skrywać zupełnie inną. Wewnątrz informacji gnieźdzą się inne informacje. Wszystko obserwujcie i wszystkiego nasłuchujcie. Rzeczy użyteczne skrywają się wewnątrz bezużytecznych, prawda jest ukryta w kłamstwie. A teraz ta dziewczyna, jego uczennica, czyta o Angliku poszukującym pokoju i uważa to za bezsensowne. To dobrze. Ona jest dobrą studentką. Uważną czytelniczką. Trzyma go w tej chwili za rękę.

– Dlaczego czytasz Bruntona? – pyta K. D.

– Wujku – odpowiada cicho. – Potrzebuję pomocy. Muszę uzyskać informacje o Ganeśu Gaitondem. Muszę wiedzieć więcej. Muszę się dowiedzieć, dlaczego on mógł interesować się jakimiś sadhu.

Ganeś Gaitonde jest złym człowiekiem, ale w przeszłości był sprzymierzeńcem dobrych ludzi. Jego również zwerbował K. D. Organizacja czasami potrzebowała złych ludzi do wykonywania określonych zadań, do pewnych misji. W pewnych sferach tylko źli ludzie mieli dostęp do rzetelnych informacji. Dlatego też K. D. wyszukał Gaitondego w więzieniu i zwerbował go.



A Gaitonde był dobrym źródłem informacji, dostarczane przez niego dane ponownie sprawdzono, zweryfikowano i potwierdzono, i okazały się rzetelne i przydatne. Dostawał również zlecenia, a powierzone zadania wykonywał skutecznie i dyskretnie. Na koniec się zbuntował, zdradził służbę, zaczął podawać zmyślane dane i wykorzystał środki organizacji do rozszerzenia swojego imperium, ale w początkowym okresie Ganeś Gaitonde był złym człowiekiem po dobrej stronie, a K. D. był oficerem prowadzącym jego sprawy. Jeśli człowiek chce być skuteczny w tej grze, musi radzić sobie ze złymi ludźmi, a oni muszą wykonywać dla niego złe rzeczy, które w ostatecznym rozrachunku są rzeczami dobrymi. To niezbędne. Tylko ci, którzy nigdy nie widzieli prawdziwego pola walki, mogli domagać się nieskazitelnych cnót i czystych rąk. Podczas rozgrywki wszelkie działania mogą tylko zachowywać pozory nienagannyh moralnie, a ta gra toczyła się nieustannie. Czy zatem Ganeś Gaitonde był złym człowiekiem? Czy Nehru był złym człowiekiem?

Spokojnie, staraj się zachować przytomność umysłu. Nie myśl o Nehru, on cię rozprasza. Twój umysł wije się, ślizga. Jesteś chory. K. D. zaciska pięści, podnosi głowę. Dziewczyna jest skupiona, lekko marszczy brwi. Dokładnie jak jej ojciec. Jej ojciec nazywał się Dźagdip Mathur, a K. D. spotkał się z nim po raz pierwszy wczesnym rankiem w zimowy dzień, w sali konferencyjnej w Lucknow, na kampusie tamtejszego uniwersytetu. Stół konferencyjny pokryty jest zielonym suknem, a wokół niego, na wszystkich czterech ścianach, wiszą portrety wielkich Europejczyków, ubranych w akademickie togi. Dookoła stołu siedzi siedemnastu mężczyzn, wszyscy młodzi, ledwie po dwudziestce, wszyscy uważni, inteligentni, wykształceni. K. D. nigdy wcześniej ich nie widział, kazano im zameldować się w tym pokoju punktualnie o dziewiątej rano. Nie rozmawiają ze sobą, czekają, ćwiczą dyskrekcję, ponieważ wszyscy wiedzą,

że zostali zwerbowani do tajnej pracy, w agencji, której nazwy jeszcze im nie podano i o której większość z nich nigdy nawet nie słyszała. Już dwa razy rozmawiano z K. D., po tym jak dyskretnie zagadnął go rektor na jego uniwersytecie w Patnie. Wydaje mu się, że wie, dlaczego został wybrany: licencjat z wyróżnieniem z historii i dyplom z prawa, oraz dyplom z wyróżnieniem Narodowego Korpusu Kadetów, a także uznanie w całym stanie za osiągnięcia sportowe. Jest człowiekiem poważnym, silnym i bardzo ambitnie wykształconym. Myślał przede wszystkim o karierze prawnika, ale obecnie jest żywo zainteresowany tym odizolowanym światem, tymi tajnymi rozmowami i obietnicą pilnej i bardzo ważnej pracy. Czeka więc przy stole, wraz z innymi mężczyznami, w których rozpoznaje obraz własnej osoby, patrząc na ich silne przedramiona i uważne spojrzenia, wie, że są zarówno sportowcami, jak i naukowcami. Ogromne wahadłowe drzwi na końcu sali otwierają się i wchodzi dwóch mężczyzn z włosami przystrzyżonymi na modłę wojskową. Tuż za nimi podąża starszy mężczyzna w szarej marynarce, może jakiś profesor, sądząc po grubych okularach w drucianych oprawkach. Profesor podchodzi do stołu i z głową pochyloną wyczekująco do przodu, odwraca się w stronę drzwi. Teraz wchodzi Nehru. K. D. czuje, że oblewa się rumieńcem. Niby niemożliwe, ale to naprawdę jest Jawaharlal Nehru.

– Panowie – odzywa się Nehru, głosem chrapliwym, prawie łamiącym się. Wszyscy młodzieńcy zrywają się na równe nogi, słysząc niesamowite szuranie drewna i stóp, a on powstrzymuje ich niecierpliwym ruchem ręki. Siada bezceremonialnie, pochyla się i kładzie łokcie na stole. Ma białe ręce, a K. D. widzi jego czyściutkie paznokcie. Ale Nehru wygląda na zmęczonego. Ma poźółkłe oczy, obrzmiałe policzki. Jest 18 lutego 1963 roku. – Panowie, wszyscy doświadczyliście kryzysu, z którym Indie ostatnio się borykają. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, zmagamy się z

krytyczną sytuacją. Nasze granice zostały naruszone, nasze zaufanie legło w gruzach. I to z winy Chińczyków, których uważaliśmy za przyjaciół. Musimy dopilnować, żeby już nigdy nic takiego się nie powtórzyło. Dlatego też kraj musi powołać swoich młodych ludzi, najlepszych i najmądrzejszych. Kiedy patrzę na was, widzę w waszych twarzach błogosławione światło dawnej przeszłości, i znowu otucha wlewa się w moje serce. Będę prosić o wiele. Kraj zażądał od was dokonywania rzeczy niemożliwych. Ale musicie być silni i to wytrzymać. Nasza przyszłość spoczywa na waszych barkach. Wierzę w waszą siłę oraz w bezgraniczne oddanie sprawie. Dżaj Hind. – Nagle wstaje i ściska dłoń mężczyzny po lewej. A potem następnemu. K. D. może przyjrzeć się Nehru, w oczekiwaniu na swoją kolej do uścisku dłoni. Czuje, że sam ma przyspieszony oddech, jakby właśnie przebiegł w szybkim tempie milę. Kiedy nadchodzi jego kolej, Nehru wyciąga rękę i coś mówi. K. D. jest zaskoczony.

– Panie premierze?

Nehru już wyciąga rękę do kolejnego mężczyzny, ale nie patrząc na K. D., mówi:

– Postaraj się, synu. – W jego głosie słuchać nutkę zniecierpliwienia, że musi powtarzać swoje słowa, ale K. D. zachowuje je głęboko w pamięci i dalej patrzy uważnie, ale Nehru do nikogo już nic nie mówi, nawet do profesora. Premier wychodzi, drzwi zamykają się za nim. Nehru odezwał się tylko do K. D., tylko do niego.

Profesor ruchem ręki każe im siadać.

– Panowie – mówi. – Jak już wspomniał premier, zostaliście wybrani, ponieważ jesteście najlepsi. Witamy w naszej organizacji.

Okazuje się, że profesor wcale nie jest żadnym profesorem, ale zastępcą komendanta w biurze wywiadowczym, najstarszej – jak ich informuje –

agencji wywiadowczej na świecie. A oni, jeśli zdecydują się podpisać dokumenty rekrutacyjne, będą członkami, pracownikami, żołnierzami tej czcigodnej organizacji. Wszyscy skwapliwie podpisują, są olśnieni osobą Nehru.

Jeszcze tego samego ranka świętują w piątkę w restauracji Jusufa na bazarze Ćauk, gdzie zaprowadził ich Dźagdip Mathur, pochodzący z Lucknow kolega rekrut. Jedzą najlepsze, jego zdaniem, tamtejsze kebaby kakori i rozprawiają o magicznym pojawieniu się w ich gronie osoby Nehru. Mathur oskarża Nehru o ostatnie niepowodzenie w Himalajach, uważa, że on ponosi odpowiedzialność za wszystkie porażki i ofiary, a K. D., choć chcąc nie chcąc zgadza się z nim, zaczyna bronić idealizmu tego starego człowieka, jego wiary w przyszłość opartej na pokoju i racjonalizmie.

– K. D., jar – ripostuje Mathur – mówisz jak moja matka, która ciągle powtarza jak cholernie dobrze Pandit–dźi wygląda, jak to on chce dobrze, jak to Gandhidźi kochał go jak cholernego syna, jakimż to dobrym, bardzo dobrym człowiekiem jest Nehru–dźi. A ja mówię, że dobry człowiek nie powinien być premierem naszego rządu. Dobrzy ludzie z reguły są głupcami. Przez dobrych ludzi giną inni ludzie. Jeśli żyjemy w świecie z cholernymi Chińczykami i cholernymi Amerykanami, i cholernymi Pakistańczykami, nie potrzeba nam dobrych ludzi, potrzebujemy ludzi, którzy jedzą kebaby kakori i chodzą z wielkimi lagami.

K. D. kiwa głową i mówi:

– A w zasadzie z wielkimi lathi.

Mathur śmieje się, ma idealnie kwadratową twarz i potężną, pomarszczoną szczęką, ale robi wrażenie swoją jasną skórą i jasnobrązowymi oczami. K. D. wydaje się, że kolega wygląda jak bramin z Lucknow i wie, że Mathur od razu zwrócił uwagę na jego nazwisko, kiedy

tylko je wypowiedział, być może umieścił je w jakiejś przegródce zarezerwowanej dla kasty Jadawów i innych zacofanych kast, i z pewnością podobnie też zrobił co drugi z jego nowych kolegów. K. D. zauważył, że organizacja jest stara i jak inne stare organizacje jest bezwarunkowo bramińska, z lekką domieszką kast Kajasthów i Radźputów. A jednak uśmiech Mathura jest szczery, a on sam bez chwili wahania sięga ręką przez stół i wali K. D. w ramię, rechocząc.

– Z cholernie wielkimi lathi – mówi. – No właśnie. Cholernie wielkie lathi. K. D., a ty jesteś lathait?

– Tak – odpowiada K. D. – Wiele lat spędziłem w śaksze.

To prawda, mnóstwo wieczorów spędził w jasno oświetlonych piaskownicach, kręcąc lathi nad ramionami, ucząc się sztuki obrony i ataku od instruktorów ubranych w mundury khaki. K. D. widzi, że Mathur to docenia. Widzi, że udało mu się zdać jakiś egzamin. Mathur go lubi.

Po tym poranku spędzonym przy kakori Mathur zyskuje sobie przydomek „Cholerny” i koledzy już zawsze tak go nazywają, póki nie zniknie dwadzieścia lat później. Pozostaje po nim na drodze sześćdziesiąt trzy mile na północ od Amrytsaru biały ambassador z dwiema przebitymi oponami, jednym zabitym kierowcą, jednym martwym ochroniarzem i jednym martwym informatorem, niejakim Harbhadżanem Singhem, cała trójka rozwalona oddanymi z bliska seriami z przynajmniej trzech kałasznikowów. Tamtego dnia, w tamtym roku, K. D. jest bardzo daleko, na drugim końcu niespokojnego świata, w Londynie. Dowiaduje się o zniknięciu Mathura, informuje go o tym ich europejskie biuro w Delhi, odkłada słuchawkę telefonu i patrzy przez okno na rozmieszczone w równych, uporządkowanych odstępach schodki na angielskim placu, na białe i szare fasady domów pod ocienionym jesiennym niebem. Po jednej stronie placu stoi sześćsetletni szpital, a po drugiej muzeum. Za piętnaście

minut K. D. ma spotkać się w położonym trzy place dalej pubie z sikhijskim bojownikiem. Przez sześć ostatnich miesięcy starał się o kontakt z nim. Musi być czujny i ostrożny, ponieważ wie, że tym bojownikiem opiekuje się również pakistański oficer, człowiek z ISI, niejaki Śahid Khan, ale wciąż nie może przestać myśleć o Andźali, o tej małej Andźali.

Andźali. Ona ma na imię Andźali. Jest córką Cholernego Mathura. Siedzi tu teraz przede mną, w tym szpitalu położonym w New Delhi, w Ronini, sektor V. Nie jestem w Lucknow, nie jestem w Londynie. Jestem tutaj. Andźali. Musisz się tego trzymać. Nie wolno ci mieszać epok, dat, miejsc. Musisz trzymać się kolejności wydarzeń. Było kiedyś Lucknow, to tam, gdzie spotkałeś Mathura, a potem on zniknął w Pendźabie, ale od tego czasu minęły całe dziesięciolecia. W tym czasie były N.E.F.A., Naksalbari, Kerala, Bangladesz, Londyn, Delhi, Bombaj.

Pamiętaj o lokalizacjach, o odległościach, w tym połączeniu między punktami rodzi się kształt. A kształt jest znaczeniem. W kształcie mojego życia musi być zawarte jakieś znaczenie. Jaki to kształt? Przeanalizuj wydarzenia, szukaj bliskości, związków, powtórzeń, podobieństw, znajdź przyczynę tej aktywności, pobudki przeciwnej strony. Na tym polega działalność wywiadowcza. K. D. Jadaw pamięta, jak sam tego nauczał, w tym pokoju w budynku w Safdardźangu. A ta dziewczyna siedziała w pierwszym rzędzie. Andźali.

– Andźali – mówi K. D. – Andźali. – Jego głos z bolesnym chrzęstem uwalnia się od patyny rdzy, a K. D. zastanawia się, ile czasu minęło, od kiedy ostatnio mówił. – Gdzie byłaś? – pyta ją.

– Wujku, potrzebuję twojej pomocy w sprawie Gaitondego.

– Gaitonde nie żyje. – Zginał. K. D. o tym wie, choć nie wie, skąd to wie. Nie jestem przy zdrowych zmysłach. Pamięć zawsze była przedmiotem jego największej, cichej i długotrwałej dumy, to doskonałe wycucie

szczegóły, wyostrzona logika, zdolność do analizy, ta ogromna, nieustannie brzęcząca, olśniewająca sieć intelektu. W bramińskich korytarzach, w królewskich ogrodach Nehru, kroczył dumnie właśnie z powodu swojego słynnego umysłu. Ale czym był ten mój zdrowy rozsądek? Czy w NEFA. było jak należy, a co z Londynem? W tych zgliszczach jego władz umysłowych, w tym unoszącym się, dymiącym następstwie jego zapaści kryje się tylko ogromna pustka. Tylko absolutna próżnia, zupełna nieobecność, przed którą K. D. się wzdraga. Ale ona tam jest, czai się ta strata, ta natrętna myśl, że jego całe życie nic nie znaczy. Mówi do tej małej dziewczynki, do swojej Andźali, mówi:

– Pająk tka zasłony w pałacu cesarzy; sowa wzywa strażę na wieżach Afrasiabu.

Ona marszczy brwi:

– A cóż ma wspólnego sułtan Mehmed z Gaitondem?

K. D. jest zachwycony, nie może powstrzymać śmiechu. Ależ ona ma umysł! Ma doktorat z historii. Pojmuje te jego nawet najbardziej zakamuflowane aluzje, czytała najbardziej ezoteryczne i bezużyteczne teksty, ona ich potrzebuje tak bardzo jak on sam, jest jego spadkobierczynią, jest jego córką, w równym stopniu jak Cholernego Mathura. Tylko ona mogła przypomnieć sobie, nie wahając się ani przez chwilę, że kiedy sułtan Mehmed przeprowadził swoje wojska przez mury Bizancjum, kiedy już on i jego ludzie doprowadzili do ognistego końca imperium trwające przez 1123 lata i 18 dni (Poznajcie detale! Zapamiętajcie szczegóły!), kiedy cały dzień mordowali, chwyтали, gwałcili i plądrowali, po tym wszystkim, po końcu Bizancjum, sułtan wkroczył do cesarskiego pałacu, w którym jego władcy wiedli życie pełne luksusów i intryg. Zwyciężył. I w chwili swojego zwycięstwa – jak piszą kronikarze – patrząc na zmierzch na niebie, sułtan Mehmed coś do siebie wyszeptał. „Pająk tka

zasłony w pałacu cesarzy; sowa wzywa strażę na wieżach Afrasiabu”. Ale teraz, K. D., opanuj się, zachowaj dyscyplinę. Andżali cię potrzebuje. Co ma wspólnego Gaitonde z Mehmedem? Faktycznie, co?

– Przepraszam – mówi K. D. – Przepraszam. Gaitonde.

– Tak. Gaitonde.

– Jak brzmiało pytanie?

– Zgodnie z moimi ostatnimi informacjami Gaitonde przed śmiercią poszukiwał w Bombaju trzech sadhu. Dlaczego? Dlaczego akurat sadhu? O co chodzi?

– Kiedy go zwerbowałem, Gaitonde uczył się jogi w więzieniu. Miał nauczycieli z jakiejś szkoły jogi.

– Abhidhjana Joga. Bardzo stara szkoła, o ustalonej pozycji i szanowana. Sprawdziłam ją. Z tego co wiemy, po wyjściu z więzienia Gaitonde nie kontaktował się z nimi.

Ubrani na biało instruktorzy uczyli jogi na głównym dziedzińcu więzienia, wykładają Mahabharatę i Ramajanę. Zadaniem jogi było ostudzić złe zapędy przestępców, zrobić z nich lepszych obywateli. Ale K. D. zawsze się zastanawiał, dlaczego ci nauczyciele w to wierzą. Przecież joga mogła tworzyć lepszych przestępców, bardziej skoncentrowanych, wyrachowanych zbirów, którzy dzięki temu byłoby jeszcze sprawniejsi w swojej przestępczej działalności. Ten mistrz złoczyńców, Durjodhana, z pewnością był joginem. Oni wszyscy, ci wojownicy zła, nimi byli. Gaitonde wyglądał na bardzo spokojnego, kiedy oświetlony światłem słońca stał w więziennym, białym ubraniu w biurze naczelnika. On był złym człowiekiem. Czy Durjodhana był złym człowiekiem? Został zabity podstępnie i wstąpił do nieba wojowników. Czy na K. D. Jadawa czeka raj żołnierzy? Staralem się ze wszystkich sił, Nehru–dzi, Pandicie–dzi, panie



premierze. Nie, nie, zastanów się, pomyśl. Gaitonde. Dlaczego on ścigał sadhu? Pomóż Andżali, pomóż jej.

– Gaitonde był człowiekiem religijnym – powiedział K. D. – Zawsze odprawiał pudżę, przekazywał pieniądze na świątynie. Finansował wszystkie mathy, dysponujemy jego zdjęciami ze świętymi przedstawicielami tych seminariów. Z pewnością znał różnych sadhu, znał ich wielu. Dlaczego akurat tych trzech jest tak ważnych?

– Tego nie wiemy. Wiemy jedynie, że było trzech sadhu. Byli dla niego na tyle ważni, że wyszedł z ukrycia i wrócił do Indii. Wiedział, że jesteśmy z niego niezadowoleni, musiał obawiać się, że go ukarzą. Musiał obawiać się, że zginie. Ale wrócił. Dlaczego? Czy coś wiesz? Wujku, czy coś pamiętasz?

Tak, pamięta. Ona szuka szczegółów, struktury, szczegółowej informacji, może dwóch, które dopasowałyby się do siebie i pozwoliły rozwikłać tę jej zagadkę, zrozumieć Gaitondego, a także jego życie i śmierć. Tego właśnie nauczył ją K. D. Jadaw. K. D. Jadaw dysponuje teraz pamięcią, ale brakuje w niej kolejności. Ma poszczególne elementy, ale gdzieś zaginęły dzielące je odległości. Dla niego przeszłość i teraźniejszość nie dzieli już wyraźna i wygodna granica, wszystko jest jednakowo obecne, wszystko jest ze sobą powiązane, tu i teraz. Dlaczego? Co mi się stało? K. D. nie może sobie przypomnieć. Pamięta jednak. Siedzi w śmigłowcu lecącym nad doliną. Śmieje się, nie jest w stanie pohamować uśmiechu, nigdy wcześniej nie wznosił się w powietrze, a teraz podążają wzdłuż długiej, rtęciowej smużki rzeki, kręcą się miotani wiatrem nad gęstą zielenią, u stóp grani głęboką czernią kładą się cienie. Wokół roztacza się olśniewające światło, złoto poranka wypełnia trzeszczący pleksiglas, a niebo ma kolor, jakiego K. D. nigdy jeszcze nie widział, jaskrawy, nasycony błękit, przesuwany się po jego twarzy, wprost czuje ten odcień przez skórę. Uśmiecha się, a jeden z

pilotów odwraca się i śmieje się z niego. To chłopaki z lotnictwa wojskowego, z bazy w Pasighacie. Pilot pokazuje coś na dole, brunatną plamę nad wodą, nieopodal spowijających skały mgiełek, które K. D. teraz dostrzega. Po chwili ziemia wznosi się spiralą w górę, a oni lądują. Helikopter podnosi się zaraz po wysadzeniu K. D. i natychmiast odlatuje, znika, słychać oddalający się hurkot śmigieł. Do K. D. dociera teraz inny dźwięk, jakieś ciche, ale wyraźne ćwierkanie. Nie jest to na pewno żaden znany mu ptak. Po chwili rozbrzmiewa inny dźwięk, przypominający grzechotanie kamyków w blaszanej puszcze. I jeszcze jeden, ale K. D. nie ma pewności, czy ten ostatni to ptak, to raczej brzmi jak jakiś zawodzący okrzyk, zakończony trzaskiem, szczęką. Między pniami drzew po drugiej stronie polany dostrzega niebieskozielone światło, nieskończenie głębokie, mieści się tam cały mglisty świat, o którym K. D. nie wie absolutnie nic: to NEFA, North Eastern Frontier Agency. Jest sam w obszarze pogranicza północno-wschodniego, z zieloną wojskową torbą przy boku, ubrany w żółtą koszulę safari i tanie skórzane buty Baty do chodzenia po mieście. Nagle opada go strach, boi się jak nigdy. Dwa cholerne miesiące szkolenia, myśli, tylko dwa miesiące, ale nie przeszkolili mnie do tego, do tej dżungli i tego nieznanego nieba nade mną.

Dwie godziny później pojawia się pluton chłopaków z Assam Rifle, tłumacząc, że spóźnili się z powodu osuwiska trzy kilometry dalej, musieli szukać okrężnej drogi. K. D. wsłuchuje się w wypowiedane w dziwnym języku hindi słowa subedara i pyta, jak daleko będą szli. Subedar uśmiecha się i nic nie odpowiada. Przyniósł buty dla K. D. Są za duże, ale to lepiej, niż gdyby miały być za małe. K. D. wkłada trzy pary skarpet i rusza w drogę. Idzie przez dwadzieścia jeden dni. Trzeciego dnia rano ma tak potworne skurcze w nogach, że nie może kucnąć, kiedy chce się wypróżnić. Opiera się o drzewo i płacze. Rozpoznaje dąb, a ten znajomy widok

sprawia, że K. D. czuje się nieco lepiej. Kiedy dowiedział się, że ma przybyć w te góry, kupił książkę o florze i faunie tego regionu i w wolnych chwilach ją studiował. Wie, że rosną tu magnolie, pojedyncze topole i kasztanowce. Podążają wzdłuż rzeki, systematycznie wspinając się ścieżką wijącą się przez las. W początkowej fazie marszu, w pierwszym tygodniu, mijają stojące parami lub w grupach domy na palach, otoczone uprawnymi poletkami ryżu i prosa perłowego, wokół których nadal widać zwęglone popioły wypalonych lasów. Przed tymi domami siedzą kobiety i coś tkają, a żołnierze rzucają szydercze uwagi na temat używanych przez nie zatyczek do nosów. Wszyscy tutejsi mężczyźni noszą u pasa proste ostrza, a subedar mówi mu, że jeszcze przed kilku laty używali tych dao do ścinania głów. Ci mężczyźni są dostatecznie muskularni, żeby móc zamachnąć się nimi i odciąć człowiekowi kończyny, ale to nie ich się obawia, nie tych ich skośnych oczu pod stożkowatymi bambusowymi hełmami. Nie. Przeraza go powiew tego lasu, to trzeszczące stękanie bambusa wijącego się pod jałowcem. Długie, błękitne światło pod sklepieniem wypełnione jest jakimś jazgotem i pohukiwaniem. Dżungla rozmawia ze sobą, słychać długie wezwania i odpowiedzi, które dla K. D. są czymś zupełnie nowym, zaskakującym, i powodują, że jest nerwowy. Żołnierze śmieją się z niego, kiedy mimowolnie podrywa się na rozlegający się tuż nad jego głową wrzask. „To tylko małpa” – mówi najmłodszy z nich, podnosząc karabin do ramienia. Nie kryje pogardy, a K. D. zdaje sobie sprawę, że jest ona w pełni usprawiedliwiona. Wie, że to tylko małpa, ale co noc kuli się pod kocami, naciągając je na głowę. Każdego poranka budzi się bardziej wyczerpany niż poprzedniego dnia. Rano góry wznoszą się wysoko ogromną masą, czarne i otulone gęstą pierzyną, stojąc ramię w ramię na tle różowiejącego nieba.

Przekraczają grań i schodzą w dół, ku kolejnej cienkiej jak nitka rzeczce, która powoli staje się szersza i przechodzi w wartki potok. Z wielkim

trudem przekraczają ją i jedzą posiłek na drugim brzegu, łąkę z jelenia, którego subedar upolował przed dwoma dniami. Góry po obu stronach są urwiste, otaczają ich murem, a niebo stanowi odległe odbicie rzeki; wąska wijąca się wstęga wysoko u góry. I znowu ruszają w drogę. Wspinają się, a K. D. zdaje sobie sprawę, że tym razem idą dużo wyżej. Przedzierają się przez las błękitnych sosen, z głowami opuszczonymi pod ciężarem plecaków, a K. D. jest zbyt zmęczony, by podziwiać niezwykłe orchidee, które co krok świecą bielą znad trawy; oczy zalewa mu pot. Na długim, szumiącym polu zielonych bambusów nad jego głową trzepocą skrzydłami ptaki. Oddział wędruje skrajem ostatniego stanowiska topoli, a nad nimi, hen, w górę, wąskim półksiężycem rozciąga się łąka. Przecinają ją i idą coraz wyżej, a kiedy K. D. spogląda za siebie, widzi grań, którą już pokonali, a za nią dziesiątki innych, rozpościerających się pod ogromnym czerwonym niebem. Tej nocy obozują na łące, K. D. śpi na pochyłym stoku, zasypia od razu, kiedy tylko naciąga koce na głowę. Następnego ranka, po zjedzeniu zimnego śniadania, ruszają dalej i dochodzą do siodła w grani, wcinającego się w nią na kształt litery V. Dwa dni zajęło im pokonanie tego ostatniego, ogromnego zbocza. Kiedy jeden po drugim przechodzą przez wąwóz, K. D. idzie w samym środku rzędu żołnierzy. Obchodzi masywną twierdzę głazu, uważając, żeby nie zranić kostek o rozpadliny skalne, a potem podnosi wzrok i łapie powietrze. Po drugiej stronie doliny widać kolejne łąki, ale ponad tymi zboczami, daleko za nimi, ku niebu wznosi się poszarpana biel przykryta baldachimem białych chmur. Wielkie srebrne szczyty są bardzo odległe, ale K. D. czuje, że są przeraźliwie nieludzkie, obojętne. Stara się uspokoić oddech i czuje lodowate wyziewy białych grani, jak szpony wbijające się w gardło. Człowiek idący za nim trąca go łokciem, niezbyt delikatnie.

– Na co tak patrzysz, sahibie radžo? Tam jest Tybet.

– Chiny! – krzyczy subedar z dołu, nawet nie odwracając się. – Chiny.

Subedar ma trzydzieści dziewięć lat, w niedawnych bitwach z Chińczykami walczył niedaleko stąd. Jego skóra ma kolor i twardość starego papieru impregnowanego lakierem. Nazywa się Lalbiaka Marak, K. D. nigdy wcześniej nie słyszał takiego imienia. Wśród dżawanów jeden nazywa się Das, drugi Gauri Bahadur Rai, ale pozostali noszą imiona Waiphei, Ao, Luszai i jeden egzotycznie brzmiące, zagraniczne Thangrikhuma. K. D. był pewien, że uznają go za człowieka zupełnie obcego. Zaczęli nazywać go sahibem radzą, a on nie bardzo wie, dlaczego. Z tym kilkudniowym zarostem, popękkanymi wargami, z cuchnącymi i pokrytymi pęcherzami stopami raczej nie kojarzy się z królewskością. Stojąc na progu tego wspaniałego, śmiertelnościanego krajobrazu, patrząc na niego wraz z tymi ludźmi, którzy podobno są jego rodakami, K. D. Jadaw czuje się zupełnie sam. Tuż za nim stoi Ginzanang Dowara, K. D. czuje jego gęsty, mętny pot. K. D. podrzuca wyżej swój plecak, opuszcza głowę i idzie dalej. Po dwudziestu jeden dniach marszu docierają do bazy.

W tej małej osadzie, składającej się z prymitywnych domków i namiotów, mieszka stu sześćdziesięciu ludzi, wszyscy z Assam Rifles. Armia oddelegowała tu dwóch poruczników i jednego kapitana.

– Brakuje nam oficerów – mówi kapitan do K. D. – Ale czasy są ciężkie.

Kapitan ma na imię Khandari i dorastał w innych górach, w Garhwalu, ale tych wzniesień nie cierpi.

– W Garhwalu góry mają duszę – mówi. – Tutaj nawet góry są dżunglą.

K. D. śmieje się z niego, zwraca mu uwagę, że są to te same góry, stanowią część tego samego pomarszczonego łańcucha ciągnącego się przez subkontynent ze wschodu na zachód. Ale chociaż kapitan nie przyznaje się do tego, K. D. wie doskonale, co ma na myśli: te opadające spod stóp doliny są obce w jakimś głębokim sensie, są bardzo dalekie od

wszystkiego, co jest mu znane. Podczas niedawnej wojny kapitan Khandari uczestniczył w walkach na północnych krańcach Ladakhu, i szczerze nienawidzi Nehru, za tych wszystkich ludzi, jak mówi, którzy zginęli, walcząc bez amunicji, bez wsparcia, bez żadnej nadziei. Kapitan Khandari co wieczór zalewa robaka, pochłaniając ogromne ilości przydziałowego rumu, i każdego wieczoru wraz z dwoma porucznikami – Rastogim i DaCunhą – w swojej chacie gra w pokera. K. D. przyłącza się do nich i choć nie uczestniczy w tym hazardzie, w tym gwałtownym ciskaniu kart na stół, popija wraz z nimi. Rum pozwala zapomnieć o tym okropnym uczuciu izolacji, przygnębieniu, kiedy człowiek jest odcięty od świata przez góry i przez nieprzeniknioną ciemność. Przytulnie jest siedzieć w oświetlonej światłem płomieni chacie, w ciepłe i zamroczeniu snując opowieści. Po czterech takich wieczorach K. D. zna już swoich nowych przyjaciół, swoich kumpli, wie o beznadziejnej miłości DaCunhy do Sadhany, do tego jej wspaniałego tyłeczka jak z technicoloru, poznał miłość Rastogiego do mało znanych faktów, sztuczek i zagadek matematycznych i wysłuchał – bardzo późną nocą – bełkotliwej i ledwo zrozumiałej relacji Khandariego z przerażających odwrotów przez nagie, wysoko położone płaskowyże. Kiedy K. D. wychodzi i szukając drogi i potykając się, zmierza do swojej własnej, przypominającej kredens chaty, widzi gasnący żar ognisk na placu apelowym, niewyraźne kształty ustawionych rzędem namiotów. A za nimi absolutną czerń ogromnych skalnych ścian pod chłodnym, poprzątykanym gwiazdami niebem.

Piątego dnia po południu K. D. czuje, że już na tyle doszedł do siebie po wyczerpującym, długim marszu, że może przejść do namiotu dowodzenia i stawić czoło swojej niewykonalnej misji. Jego głównym zadaniem jest kontrolowanie chińskiej obecności na tym terenie, stworzenie sieci informatorów i banku informacji, żeby potwierdzić ponad wszelką

wątpliwość, że Chińczycy rzeczywiście się stąd wycofali i nie przymierzają się do następnej inwazji, określić plany Chińczyków na przyszłość, a także plany wszystkich bez wyjątku na tym drażliwym terenie. K. D. nic o nich nie wie, nie zna ich języka, historii ani polityki, nie ma ani doświadczenia, ani wiedzy o tym terenie, jego mieszkańcach ani jego geografii. Jest nieco oszołomiony, ale zwraca się do kapitana Khandariego. Wierzy, że kapitan będzie wiedział, od czego powinien zacząć. Kapitan ma ogromnego kaca i jest opryskliwy, ale w końcu K. D. dowiaduje się, że raz na tydzień wysyła się tylko jeden patrol, który pokonuje tę samą czterokilometrową trasę na północny wschód, do opuszczonego bunkra na wzgórzu. Na tym kończy się cały wysiłek tej jednostki, którego celem jest zaznaczenie ich obecności i zebranie informacji. Wyraz zdumienia na twarzy K. D. jest tak wyraźny, że kapitan Khandari wzrusza ramionami i mówi:

– Wiesz, tu nikogo nie ma. Zupełnie nikogo. Chińczycy się stąd wynieśli. To jest wszystko behenćodowo puste.

K. D. milczy. Próbuje zebrać się na odwagę, żeby coś powiedzieć. W końcu Khandari przechyla głowę i przerywa tę ciszę.

– Słucham. Co chcesz zrobić?

Trzy dni później bazę opuszczają dwa patrole, podążając drogami wybranymi przez K. D. na mapach, na których jednemu calowi odpowiada jedna mila w terenie. K. D. czuje wrogość ludzi, którym zakłócono spokojną służbę, i żyje w otaczającym go milczeniu. Nawet Marak – jego znajomy subedar – nie odzywa się do niego, czasami tylko burknie coś monosylabami. K. D. znajduje pod łóżkiem martwego szczura. Rastogi i DaCunha wracają z patrolami wcześniej, niż ustalono, Rastogi pełne trzy dni przed upływem zaplanowanego tygodnia. Oczywiście, meldują, że niczego nie zauważyli, a K. D. jest pewien, że poszli tylko za najbliższą grań i tam biwakowali, odprężając się i odpoczywając. Tydzień później

organizuje kolejny patrol, w którym z plutonem idzie DaCunha i Marak, a K. D. wyrusza wraz z nimi. Przez pierwszą milę marszu czuje kłucie w stopach, ale teraz ma już parę dobrych butów, i kiedy mięśnie mu się rozluźniają, znajduje przyjemność w tym wysiłku. Stracił na wadze i czuje się mocny. Wykorzystywanie nowych umiejętności w czytaniu mapy przynosi mu satysfakcję i na każdym postoju przez lornetkę bada odległe granie. Ludzie z rozbawieniem patrzą na tę lornetkę, a DaCunha z trudem zachowuje pozory uprzejmości. K. D. znosi to w milczeniu, wykonuje swoją pracę i ma zamiar wykonać ją dobrze. Czwartego dnia patrolu biwakują schowani przed wiatrem za skalną ścianą, migoczącą smugami metalicznego srebra. K. D. otwiera plecak i wyciąga książkę, spiesząc się w ostatnich chwilach światła słonecznego. Tak bardzo łaknie książek, czegokolwiek do czytania. Dawno temu skończył *The Riddle of the Sands*, którą przywiózł ze sobą do NEFA, i teraz pozostało mu tylko czytanie etykiet na buteleczkach z lekarstwami czy drobnego druku u dołu wojskowych formularzy zamówień, a ponieważ również one zaczęły się kończyć, ogarnia go przerażenie, jakby powoli tonął. I kiedy już mają wyruszyć na patrol, w kącie namiotu dowodzenia, za stosem kartotek prowiantu i zaopatrzenia, znajduje dwie książki, pozostawione przez jakiegoś zapomnianego oficera, który już pewnie nie żyje. Czyta więc teraz, na terenie Tybetu, *Księgę chiromancji Benhama: praktyczne zastosowanie zasad naukowego czytania z linii dłoni*. Czyta bardzo powoli, rozkoszując się każdym zdaniem, ponieważ ta książka musi mu wystarczyć na długo. Zatrzymuje się nad wypisanymi na każdej ze stron bzdurami, które odnajdują kształt przyszłości w liniach przeszłości, przypisując znaczenie tym cielesnym hieroglifom dłoni. Nie może jej zbyt szybko skończyć, ponieważ ta druga książka, którą ma w plecaku, *Chiromancja: język dłoni*, autorstwa niejakiego Cheiro, ma niecałe dwa centymetry grubości, a stanąć



w obliczu tych gór, nie mając nic do czytania, byłoby czymś naprawdę trudnym do zniesienia.

Nagle nachyla się nad nim Marak, zasłaniając mu światło. Marak patrzy na otwarte strony książki, na których Benham opisuje proporcje występujące między różnymi wzgórzami i palcami. Marak patrzy jak urzeczony. Kuca, opiera ręce na kolanach i spogląda prosto w oczy K. D.

– Potrafi pan czytać przyszłość?

– Tak – odpowiada szybko K. D. – Tak.

Marak podsuwa swoją dłoń.

– Proszę czytać – mówi.

K. D. bierze pobrużdżoną rękę Maraka i przepowiada mu przyszłość. W rzeczywistości nie jest to takie trudne. Korzysta z niektórych dziwacznych wskazówek Benhama, ale przede wszystkim pozwala Marakowi opowiadać o lęku o zdrowie żony, o kłótniach z braćmi o gospodarstwo, i na tej podstawie domyśla się i zgaduje.

– Twój ojciec bardzo ciężko pracował, aż do końca swoich dni co dzień od rana do wieczora – mówi do Maraka, który patrzy na niego z niespotykanym wcześniej podziwem. Zupełnie niezasłużonym, ponieważ jego wypowiedź nie ma nic wspólnego z proponowanymi przez Benhama metodami czytania dłoni, to tylko proste wyciąganie wniosków z informacji, które Marak sam zamieścił w swoich pytaniach, w tym swoim pragnieniu poznania przyszłego szczęścia, chęci posiadania talizmanu przeciw katastrofom, które z czasem z pewnością nadejdą. K. D. ostrożnie prowadzi rozmowę, a po chwili wyczuwa, że nie należy zbyt wiele wyjawiać, że należy pozostawić obiekt niezaspokojony; zadowolony i uspokojony, ale nie nasycony.

– Na dziś wystarczy – mówi zdecydowanym tonem. – Jestem zmęczony.

– Dobrze – odpowiada Marak. – Przyniosę panu herbatę.

I tak też robi. Tymczasem K. D. przygląda się spektakularnej grze świateł padających na stojącą przed nimi górę, obserwuje głębokie pasma czerwieni i czerni. Bierze kubek z herbatą i mówi ospale: – Zobaczymy Chińczyków. – Sam do końca nie wie, dlaczego to mówi, może tylko dlatego, że przepowiadał przyszłość i chyba chciałby zobaczyć Chińczyków. I wcale nie dlatego, że rwie się do konfrontacji czy do walki. Nie ma zaufania do swojej fizycznej odwagi, a po trzech krótkich sesjach treningowych z pistoletem wie, że jest marnym strzelcem. Ale spotkanie z Chińczykami nadałoby sens jego wcześniejszemu szkoleniu, jego powołanie nabrałoby znaczenia, a przeciwnik stałby się realny. A ponieważ już od kilku dni z nikim nie rozmawiał, pozwala, by wymknęły mu się te słowa: „Zobaczymy Chińczyków”.

I rzeczywiście, tak właśnie się dzieje. Następnego dnia, tuż po trzeciej, stojący na czatach Thangrikhuma woła:

– Duśman! – Ostrożnie podchodzą do krawędzi grani i patrzą na drugą stronę suchej doliny, na szare punkciki rozrzucone na tle szarej skały. Tak, zgadza się, to wróg. Thangrikhuma ma doskonały wzrok, K. D. ledwo dostrzega duśmana, ale przez szkła lornetki można już rozpoznać ludzkie postaci, jakiś pluton chińskich żołnierzy powoli przemierzających się na zachód. Chłopcy podchodzą wraz z K. D., kładą się blisko jeden drugiego i patrzą. DaCunha szeleści mapą i w końcu oświadcza:

– Są po swojej stronie. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Nie można odróżnić ich strony od naszej: na tym pustkowiu nie ma żadnych znaków, żadnych płotów. Ale oni są tam, a my jesteśmy tu.

Przez następne dwa dni K. D. wraz ze swoimi ludźmi posuwa się wzdłuż grani, równoległe do Chińczyków. Starają się, żeby ich nie zauważono, a Chińczycy prowadzą ich do czegoś, co wygląda na świeżo postawioną placówkę, trzy bunkry na ostrodze wychodzącej na przełęcz i do tego

ziemianka na ciężki moździerz. Udało im się zdobyć bardzo cenne informacje, ale ludzie przede wszystkim są pod wrażeniem tej przepowiedni K. D., której jednak nie przypisują jego roztropności, wyszkoleniu czy wiedzy taktycznej, ale jakiejś mistycznej przenikliwości. Jeden po drugim podchodzą do niego podczas marszu i wkrótce dogłębnie poznaje ich życie, i to nie tylko ich oficjalny wizerunek, lecz także ich obawy i niepokoje; wdycha te informacje wraz z zapachem przyciskających się do niego ludzi. Nawet DaCunha poddaje się i w drodze powrotnej do bazy K. D. dowiaduje się o jego upośledzonej siostrze oraz o Violet, czekającej na niego w Pandzim. Podczas zwijania ostatniego obozu przed bazą, Marak pomaga K. D. zwinąć śpiwór i uśmiecha się ufnie.

– Sahibie – mówi. – Pierwszego dnia patrolu odbyliśmy wszyscy rozmowę. Większość uznała, że łatwo będzie pana zepchnąć ze skały. Nowy oficer spadł, był niedoświadczony, niewiele mogliśmy przecież zrobić.

Marak rechocze, zaciągając troki. K. D. reaguje śmiechem, ale jest przerażony i przez cały dzień stara się iść jak najdalej od przepaści, ocierając się lewym ramieniem o skały i łupki. Nigdy nie rozważał możliwości własnej śmierci, jego ciało nigdy nie musiało reagować na taką myśl, to ciało, które nie było w stanie nawet wyobrazić sobie, że może przestać istnieć. Kiedy snuje marzenia o sukcesach, które chciałby odnieść, zawsze zwycięża, czasami jest ranny, ale zawsze uchodzi z życiem. Ale oto tu napotyka ludzi rzeczywiście mu obcych, ludzi, którzy rozważali jego rzeczywistą śmierć. Niektórzy z nich już zabijali i nadal będą zabijać, a jego śmierć nie miałaby dla nich specjalnego znaczenia. Jedno szybkie pchnięcie i już byłoby po nim. Tej nocy, leżąc w swojej chacie, drży na całym ciele. Boi się zamknąć oczy.

Budzi się w ciemnościach. Podnosi rękę, ale nie ma na niej zegarka z fosforyzującymi cyframi. Musi wstać, ogolić się, wykapać, napisać raport, docucić zamroczonego z przepicia kapitana Khandari, zmusić go, żeby nadał ten raport przez radio i odebrał szereg rozkazów. Która jest godzina? Tyle jest do zrobienia. K. D. odsuwa pościel i podnosi się z posłania, ale głowa opada mu, czuje nudności i krztusi się. Dlaczego jest taki słaby? Zeszłej nocy nie był na tyle zmęczony, żeby teraz odczuwać trzepotanie mięśni w piersiach, to drżenie, które każe mu ponownie złożyć głowę na poduszkę. Biały sufit przygniata go i przywraca na powrót do terażniejszości, a on z jękiem przerażenia uzmysławia sobie, że nie jest tym młodzieńcem, ogarniętym pierwszym uniesieniem dobrze wykonanej pracy na nagich szczytach północy, ale leży w łóżku szpitalnym w Delhi i traci rozum.

Zastanawia się nad tym sformułowaniem: postradać rozum. Co pozostanie, jeśli nasz rozum zniknie? Czy jeśli nie ma rozumu, nadal się istnieje? Przypomina sobie tę przypowieść, która mówi, że aby istniała świadomość jakiegoś ja, musi być jakieś inne ja, jakieś oko obserwujące ptaki jaźni świętujące nektarem świata. Ale co się stanie z obserwatorem, jeśli usunie się te umysłowe konstrukcje, te fasady języka, te fundamenty logiki, te relacje przyczynowo–skutkowe? Cóż pozostanie, jeśli to wszystko runie? Szczęśliwość czy odrętwienie? Obecność czy nieobecność? „Pająk tka zasłony w pałacu cesarzy; sowa wzywa strażę na wieżach Afrasiabu”. Targa nim wściekłość, złość na przemoc, której zaznał. Staralem się ze wszystkich sił. Zrobiłem to, czego ode mnie żądano. Przechodzi go spazm napiętych w gniewie mięśni i przez chwilę nim miota, a tętno w jego uchu hałasuje jak bęben Miśmich. Po omacku próbuje się wydostać z pochłaniającej go ciemności. Jestem przytomny. Pamiętam swoje życie, mogę prześledzić swoje losy. Nauczyłem się fachu w NEFA, budując siatkę

wywiadowczą w miejscu, w którym nic takiego nie istniało; tworząc źródła informacji, komórki i trasy komunikacji. Zrobiłem to lepiej niż wszyscy moi koledzy w jakimkolwiek innym miejscu, pracowałem ciężiej, podejmowałem większe ryzyko, byłem bardziej oddany niż inni, ponieważ byłem jadawem i spodziewano się, że będę postępował inaczej, wiem, że niektórzy z nich tak myśleli. Oni byli braminami i mieli swoje określone zdanie na temat ludzi z OBC. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z Cholernym Mathurem. Po prostu pracowałem. Po NEFA były pola ryżowe w Naksalbari, gdzie podróżowałem jako kupiec i wyciągałem informacje z zabójców policjantów, sędziów i rządowych zarządców dystryktu, gdzie ścigałem zbałamuconych chłopców z rodzin należących do klasy średniej, którzy porzucili swoje wygodne domy w Kalkucie i wyjechali na wieś robić rewolucję. Jednego też zabiłem, tego niedoszęłego maoistę, który próbował zabić mnie. Wciąż jeszcze pamiętam, jak się nazywał, Cander Ghosz, pamiętam też tę tryskającą z jego uszu krew, kiedy strzeliłem mu w czoło. Dokładnie przypominam sobie operacje w Kerali przeprowadzone przeciwko partiom komunistycznym, przeciwko ich agitacji wyborczej, ich rozprzestrzenianiu się i machinacjom, przeciwko ich całej infrastrukturze. Zrobiliśmy to dla córki Nehru, zupełnie nielegalnie, ale z ochotą, ponieważ wiedzieliśmy, skąd te partie czerpią swoją ideologię i do czego dążą, a my staliśmy na rubieży, odganiając te sterowane przez Pekin i Moskwę hordy. A potem byłem we wschodnim Pakistanie, gdzie wysłuchiwałem raportów bengalskich żołnierzy, którzy uciekli od swoich pendżabskich panów. Zebrane przeze mnie informacje doprowadziły do precyzyjnego ataku bombowego i obrócenia całych lotnisk w kupę kamieni. Po Bangladeszu z powrotem do Indii, na manewry z zagranicznymi dyplomatami, lunche z pracownikami ambasad, zawieranie kontaktów i ich pielęgnowanie, co ostatecznie zaowocowało uzyskaniem ważnych informacji. Później

Londyn, Pendżab, Bombaj. Tak wyglądało moje życie, spędzone w walce. Ta nieustanna, długa wojna, z tajemnymi i niedocenionymi zwycięstwami. Wykonałem tę pracę. Pamiętam każdy moment przekazywania pieniędzy, każde źródło informacji, każdy atak duśmana. Byłem obrońcą. I Indie wciąż trwają.

K. D. z trudem łapie oddech w ciemnościach. Nigdy się nie ożenił. „K. D. poślubił swoją pracę”, mawiali jego koledzy. Większość z nich miała rodziny, dzieci, wnuki. On był sam, nadal jest sam. Miał kobiety; poznał kobiety przyzwoite i cieszące się złą sławą. Był zakochany, płacił za miłość, zapoznawano go też z krewnymi znajomymi, z wyraźnym zamiarem wyswatania go. Uważał, że małżeństwo to coś dobrego, i bynajmniej nie podważał jego zalet.

– Po cóż innego pracujemy – zapytał go pewnego razu Cholerny Mathur, poirytowany i zatroskany – jeśli nie dla naszych dzieci, dla ich przyszłości, po cóż byłoby to wszystko?

K. D. nic na to nie mógł odpowiedzieć, nie umiał wytoczyć żadnych kontrargumentów błogiemu zadowoleniu przyjaciela, którego żona właśnie szeptała coś do kucharza, a pięcioletnia córka Andźali siedziała na dywanie pochylona nad książką z bajkami. Nie był jednak w stanie przyjąć składanych mu przez przyjaciela propozycji ani przedstawić satysfakcjonującego wyjaśnienia czy wyczerpująco określić, czego tak naprawdę chce.

– Czego ty chcesz? – pyta Mathur. – Czego, no powiedz, czego? Kim jest ta bohaterka, na którą czekasz?

Ale K. D. nie potrafi określić tej kobiety, zredukować jej do listy dziesięciu cech, ubrać w słowa tej chaotycznej odmowy, która rodzi się w jego wnętrzu.

K. D. leży na szpitalnym łóżku i zastanawia się, na co czekał. Teraz jest już za późno, umrze w samotności. Również jego ojciec mówił o zaletach towarzystwa, ale czy mama faktycznie była dla niego towarzyszką? Ta prosta mama, nieśmiała, cicha, z nieodłączną ghunghat i niekończącymi się pracami domowymi. Wspierała swojego męża w trudzie podnoszeniu się z ubóstwa, z dumą opowiadała krewnym o jego pracy nauczyciela wychowania fizycznego, własnoręcznie zanosila mu codziennie ciepłe drugie śniadanie do malutkiego gabinetu obok szkolnego boiska piłkarskiego, jego ulubione potrawy zapakowane w pięcioczęściowy pojemnik. Ale nie potrafiła towarzyszyć mu do tych obcych krain języka angielskiego i aż do śmierci nie poradziła sobie z telefonami, pilotami zdalnego sterowania ani rzeczywistymi odległościami, które dzielą nas od obcych krajów, przerastał ją ogrom tego świata. Pobrali się, kiedy oboje byli młodzi, u progu dojrzewania, przyszły trener sportowy Radzinder Prem Jadaw i prosta Snehlata, i utworzyli dwie, wyraźnie odmienne połówki życia młodego K. D.: błyszczące, czekoladowe ramiona Papy na tle bieli jego baniana, ten jego gromki głos wydający polecenia rzędom spoconych chłopców, jego niezdarny i niepewny angielski, jego surowość, zawistna fascynacja metodami treningowymi stosowanymi w Rosji, i Ma, jej ręce pokryte pianą z besan, jej niezliczone święta, posty i ceremonie, które następowały po sobie w niekończącym się cyklu, jej imponujący śmiech, który skrywała za swoim pallu, duma niepiśmiennej kobiety z akademickich osiągnięć syna. Spędzili ze sobą całe dziesięciolecie, Papa i Ma. Co mówili, kiedy byli we dwójkę, leżąc w łóżku późno w nocy? Czy potrafili zbawić się nawzajem od tych wczesnych godzin poranka, uchronić się przed tą niszczącą nieobecnością światła? K. D. czuje przebiegające go dreszcze i przypomina sobie, jak biegł do domu po ulicznej bijatyce z dwoma chłopcami z konkurencyjnej szkoły, z obolałą szczęką i rozdartą na

kieszeni koszulą szkoły St. Xavier. Ma przytuliła go mocno i przyłożyła okłady z haldi, aż K. D. odsunął ją, zmusił, żeby przestała. Papa stał wyprostowany jak stalowy filar, zmrużył oczy i polecił K. D., aby znalazł tych chłopaków i spuścił im lanie.

– Od następnego semestru wprowadzimy w szkole zajęcia z boksu – powiedział. – Musisz nauczyć się bronić.

Tej nocy Ma przyniosła K. D. szklankę gorącej czekolady Ovaltine i powiedziała, żeby K. D. nie przejmował się tymi chuliganami, tymi barbarzyńcami ze szkoły państwowej.

– Oni po prostu zazdroszczą ci, że chodzisz do tak dobrej szkoły. Nie zwracaj na nich uwagi. Beta, jeśli będziesz ciężko pracować, zajdziesz daleko. Nie daj się wciągnąć w te wszystkie bzdury, pomyśl o swojej przyszłości.

Ma zawsze oczekiwała, że K. D., mimo swojego chłopskiego pochodzenia, będzie najlepszy lub przynajmniej drugi w klasie, i z ufnością patrzyła w jego przyszłość, pewna sukcesu syna.

I oto K. D. jest w tej przyszłości, niczego niepewien, nawet tego, czym jest ból w karku i głowie; odczuwa go, ale nie potrafi stwierdzić, czy to ból terazniejszy, czy też zaledwie powracające wspomnienie. I teraz, kiedy jego własne ciało go zawodzi, K. D. zaczyna rozumieć, że to wszystko, co widział, było jedynie urojeniem, że kamień trzymany w zdrowej dłoni jest tylko ułudą wytworzoną wewnątrz czaszki, że jedyną rzeczywistością są te złudzenia. Przyszłość jest iluzją, ale najbardziej nieuchwytną iluzją jest terazniejszość.

K. D. obserwuje, jak słońce pnie się po ścianie. Myśli o tym kolorze, pomarańczowym z plamkami czerwieni, który, wspinając się stopniowo, przechodzi w bledszą żółć. Nie istnieje coś takiego jak kolor. Fotony kłębią się po świecie i przedzierają się przez cienką membranę na powierzchni



jego oczu. Istnieją zdarzenia elektryczne i chemiczne, wyzwalane jak gwiazdy nowe. Ale nie istnieje nic takiego jak kolor. Pielęgniarka przechodzi przez salę, trąca go i coś do niego mówi, ale on nie zwraca na to uwagi. Ignorowanie jej przychodzi mu z łatwością, a to drobne ukąszenie igły, którą wsuwa w jego ramię, to jedynie przepływ dyskretnych danych przez sieć jego świadomości, równie nierealnych jak zabarwienie tynku, które teraz przybrało dokładnie ten sam odcień, jaki miała skórka papai z Kerali, otaczająca aureolę szypułki. To szczególna papaja, którą K. D. widzi; to ta, którą jadł w czerwcu 1977 roku, w bungalowie zbudowanym z drzewa dak w Idukki. Czuje obecność tej papai, ten jej lekko przyprawiającym o mdłości bukiet zgnilizny, jej miąższ ślizgający się i wyskakujący spomiędzy jego palców. Jest rzeczywista jak ta ściana, która teraz przybiera kolor brudnej bieli. Ale w tym momencie K. D. zauważa, że dolna połowa ściany wciąż jest ciemna.

Nie jest to ciemność nocy, to brak obrazu. Dolna połówka ściany jest nieobecna, jakby ktoś założył końskie okulary na oczy K. D. Przechylając głowę do tyłu, a potem do przodu, przesuwając granicę między polem widzianym a nie widzianym, w górę, a potem w dół ściany. Ten brak połowy jego pola widzenia utrzymuje się, kiedy on odwraca się w stronę okna, czy też w drugą stronę, w kierunku drzwi prowadzących na korytarz: pół okna pół drzwi. Ta strata ma charakter równoleżnikowy, równikowy. Zniknęła dolna połowa świata.

Kiedy mówi pielęgniarce o tym nowym symptomie, personel rzuca się do działania. Wywożą go z sali, badają, szturchają, analizują urządzeniami. Później tego dnia doktor Kharas rzeczowo przedstawia fakty.

– Tomografia komputerowa wykazała kolejną zmianę, niewielką, o tu, w tym miejscu. Uważamy, że uszkodzona jest kora wzrokowa. – Pokazuje na przekrój ludzkiego mózgu, na którym widać poszczególne segmenty,

rozebrane na części i opisane. Wszystko w jaskrawych kolorach, kora mózgowa w kolorze niebieskim, wzgórze w ciemnoczerwonym. – Uszkodzenie spowodowane przez guz powoduje mroczki, zaciemnienie części pańskiego pola widzenia. Tylko tyle mogę panu powiedzieć. Czy ubiegłej nocy coś pan czuł? Nudności? Ból?

K. D. chce powiedzieć jej: czułem lodowate powietrze rozcinające moje gardło, kiedy wspinałem się na grań, pani doktor. Czułem, jak mi w butach pękają pęcherze na stopach.

– Nic – mówi. – Zupełnie nic.

Ona tylko kiwa głową i zapisuje coś w notesie. Ma trzydzieści osiem lat, nazywa się Anaita Kharas, jest mężatką z dwójką dzieci. Doktor Kharas i jej mąż urodzili się w Delhi, tu też dorastali. Andźali zajęła się sprawdzeniem tej kobiety. Anaita i Andźali nie ufają sobie, są nieco drażliwe, ale K. D. widzi, jak one są do siebie podobne, jak podobne w swoim skutecznym działaniu, swoich praktycznych ubraniach, tej chęci zdominowania zajmowanej przez nie przestrzeni, w codziennej pracy, jaką muszą wykonywać na przekór sceptycyzmowi i agresji mężczyzn, aby jako kobiety zachować swoją godność i niezależność.

– Obawiam się, że niewiele możemy poradzić na ograniczenie funkcji pańskiego ciała – mówi doktor Kharas. – Żadne zabiegi chirurgiczne ani terapia nie są w stanie nic tu pomóc. Tak małą mamy wiedzę o działających tu mechanizmach.

– Rozumiem – mówi K. D. – A czy to się pogorszy?

– Tu też trudno jest przewidywać. Glejaki to najbardziej nieprzewidywalne ze wszystkich guzów. Słyszano o przypadkach spontanicznej remisji. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę więc się nie martwić.

Ale on nie szuka współczucia ani pocieszenia. Zdaje sobie sprawę, dokąd zmierza. Pragnąłby jedynie uzyskać jakieś liczby, wartości procentowe. Jak długo będzie działał jego umysł, jak szybko wysiadzie? Ona nie potrafi jednak udzielić mu odpowiedzi na to pytanie. Poucza go, surowo, żeby się odprężył, żeby nie wpadał w depresję; nie należy się poddawać. Uśmiecha się do niej. Lubi ją. Kiedy przystępował do organizacji, w jej szeregach był tylko jeden pars i ani jednego muzułmanina, ani jednego. Protestował przeciw temu, starał się wykazać ironiczną niezręczność tej metody ochrania państwa świeckiego za pomocą organizacji o niezbyt świeckim charakterze, wskazywał na rażącą niesprawiedliwość takiego rozwiązania. Ale zajmująca najwyższe stanowiska starszyzna uważała, że byłoby to zbyt wysokim ryzykiem, nieusprawiedliwionym w świetle stawki, o którą idzie gra. Zawsze mówiono K. D., żeby pomyślał, z kim my walczymy. Tak. Duśman. Oni byli tam, a my jesteśmy tu. Oni i my.

Dobra doktor Anaita wychodzi z sali, a za nią sznur stażystów i pielęgniarek. K. D. siada na łóżku i przygląda się, jak perełki przejrzystej cieczy spadają do rurki i płyną do jego przedramienia. Przypomina sobie teraz pytanie Andżali: dlaczego trzech sadhu, dlaczego Gaitonde starał się ich znaleźć? K. D. odszukuje swoje związki z Gaitondem, pierwszy kontakt w więzieniu, rozmowy, osiągnięte porozumienie, a potem przydzielone zadania, utargowane przysługi. Taka była konieczność. Cały świat jest przesiąknięty zbrodnią, przesycony nią i przez nią zniszczony. Pakistańczycy i Afgańczycy prowadzą handel heroiną wartą dwadzieścia miliardów dolarów, która częściowo, przez Indie, przez Delhi i Bombaj jest przekazywana do Turcji, Europy i Stanów Zjednoczonych. ISI i generałowie obławiają się na handlu, a potem kupują broń i bojowników mudżahedińskich. Przestępcy dostarczają wsparcia logistycznego, przerzucając ludzi, pieniądze i broń przez granice. Politycy zapewniają

ochronę przestępcom, przestępcy dostarczają politykom siłę i pieniądze. I tak to się kręci. Agencja duśmana werbuje zrażonego do swojego kraju indyjskiego przestępcę Sulejmana Isę, żeby rozmieścił bomby w swoim rodzinnym mieście, w ten sposób przyznając mu ważną rolę w tej odwiecznej wojnie. Żeby walczyć z ich przestępcami, musimy mieć swoich własnych. Stal tnie stal. Przestępcy dysponują rzetelnymi informacjami o swoich rywalach. Układ z Gaitondem jest konieczny, służy wyższemu celom. I oto więc Gaitonde, w białej koszulce, białej piżamie i niebieskich klapkach kąpielowych, stoi w biurze naczelnika więzienia. K. D. próbuje wyobrazić sobie, jak to było, powrócić wspomnieniami do tego wydarzenia. Jeśli zagłębi się w szczegóły, być może uda mu się znaleźć wyjaśnienie tych trzech sadhu. Zamyka oczy i próbuje wślizgnąć się w to popołudnie, powrócić do tego pokoju z półkami wypełnionymi czarnymi kartotekami, z oprawionym w czarną ramkę wizerunkiem Nehru. Oddech staje się coraz płytszy, a on sam nie wie, dlaczego. Przestań. Uspokój się. Uspokój się, bo zaszkodziś sobie. Pomyśl. Dlaczego trzech sadhu? K. D. nie potrzebował religii i zawsze wydawało mu się, że religijność Gaitondego stanowi jedynie oparcie dla przerażonego człowieka bez ustanku obawiającego się zabójców. Nawet silni ludzie, ludzie twardzi, tacy, którzy są szefami gangów, nie potrafią stawić czoła pustce śmierci, zmierzyć się z tym nieodwracalnym przecięciem delikatnej nici świadomości. Jedno ciachnięcie i po wszystkim. Koniec. Coś takiego może być nie do wytrzymania, i nawet Gaitonde, ten splamiony krwią potwór, snuł fantazje o życiu pozagrobowym. Nie potrafimy znieść tych ciemności. K. D. próbuje zbadać swoje mroczki, stara się na nich skoncentrować, ale ta ciemność jest tylko niczym, pustą nicością. Jakiż ciemny jest ten ubytek pod moimi powiekami, tuż pod czerwonym pulsowaniem mojego tętna.

– Tak, to pismo tatusia – mówi do Andźali jej matka. Andźali znalazła stary tekst uniwersytecki, który kiedyś należał do jej ojca, tekst historyczny o starożytnych Indiach, i z podnieceniem wskazuje na wypisane niebieskim piórem na marginesie notatki, podkreślenia. W tym czasie Cholernego Mathura nie ma już od prawie roku, ale dla córki jest obecny na co dzień, jego osoba jest jeszcze większa przez to, że jest daleko, jest takim romantycznie tajemniczym ojcem, którego nie ma w domu. Powiedziano jej, że „na jakiś czas musiał wyjechać”, że jest „w trasie”. Wśród członków organizacji panuje powszechne przekonanie, że został porwany przez tych samych sikhijskich bojowników, których starał się zwerbować, że go przechytrzone i złapano w pułapkę, że prawdopodobnie torturowano i zlikwidowano. Zdecydowana mniejszość uważa, że został skaperowany, że ta zasadzka była przez niego zaaranżowana, że przekroczył granicę i przeszedł na stronę wroga. Ale jego powrotu nie oczekuje już nikt, z wyjątkiem Andźali, której powiedziano, że „wyjechał na delegację”. K. D. nie pochwała tego kłamstwa, ponieważ widzi w oczach Andźali tę nadzieję, która pojawia się zawsze, kiedy tylko zadzwoni telefon, tę tęsknotę, kiedy ona na koślawych nogach biegnie do drzwi, słysząc, jak listonosz stuka furtką. Ale ona ma jedenaście lat i zdaniem matki nie jest w stanie zrozumieć ani znieść nic ponad to, że ojciec wyjechał. K. D. jednak zdaje sobie sprawę, że dzieci na co dzień napotykają rzeczy przerażające, przechodzą przez okropieństwa, których istnienia starsi nie uznają i przed którymi się wzdragają. A co może być trudniejszego do zniesienia niż to oczekiwanie, ta nadzieja? Ale jego władza tu nie sięga. Musi być bardzo ostrożny. Rekha nalewa mu herbaty. Zachowuje pozory gościnności wobec przybyłego właśnie z Londynu przyjaciela jej zmarłego męża, lecz K. D. wie, że nie ma w tym żadnego ciepła ani sympatii. Zawsze była uprzejma, ale chłodna, pod tymi dobrymi manierami z pewnością kryje się twardy

pancerz uczuć kastowych. Gdyby powiedział coś nieodpowiedniego, mógłby zostać wygnany, na zawsze pozbawiony kontaktu z Andźali. A on wie, że nie zniósłby takiego wygnania. To byłoby nie do przyjęcia. K. D. nie ma na świecie żadnych bliskich. Papa i Ma nie żyją, a on rzadko kontaktuje się z krewnymi w Biharze. Nie ma nikogo. Ale Cholerny Mathur zawsze chętnie gościł go w swoim domu i K. D. obserwował, jak Andźali dorasta, jak z niemowlęctwa wyrasta na dziewczynkę. Znała go od zawsze, był obecny w całym jej życiu. K. D. rozumie, że ta mała osóbką wyłoniła się z Cholernego Mathura i Rekhy, ale w pewnym sensie stała się również jego córką. On też stał się niejako ojcem. Nie ma tu władzy, ale jest miłość. Rozumie, że ta mała dziewczynka w niebieskiej, szkolnej spódnicy to jego jedyna ostoja na tym świecie. To ona go spaja, tym swoim powłóczywym spojrzeniem. Nie wie, jak to się stało, ani też kiedy, ale wie, że to prawda. Ona opiera się teraz o jego kolano, trzymając angielską lalkę, którą przywiózł jej z Londynu.

– Wujku, ona nie chce mówić.

Lalka ma błękitne oczy, lniane włosy, uśmiech jak skurczona truskaweczka i cieniutki głosik. Dopiero teraz K. D. zdaje sobie sprawę, że już od kilku minut nie słyszał, jak lalka mówi „Mama”. Odwraca lalkę i zauważa, że pod różową sukienką poluzowała się płytką na jej plecach. Paznokciem unosi płytkę i widzi zawinięte wokół baterii druciki i zwisający luźno, zielony chip.

– Co zrobiłaś? – pyta.

– Chciałam zobaczyć, jak działa – mówi Andźali.

K. D. śmieje się, rozpromieniony radością i miłością. Czuje, jak pełne jest to uczucie, jak bezgraniczne, nie ma w nim żadnych zahamowań, które odczuwa we wszystkich innych kontaktach w życiu. Ona chichocze.

– Wujku, ja i tak jestem już za duża na lalki – mówi, bez urazy w głosie.

– Już dawno temu przestałam się nimi bawić. Niewiele wiesz o dziewczynkach. Ja teraz lubię czytać. Powinieneś przynosić mi książki. – Śmieją się razem, rozśmieszając się nawzajem, wybuchając śmiechem, który rozchodzi się dookoła. Matka Andźali obserwuje ich lekko podejrzliwym wzrokiem. Ale przynajmniej przez chwilę K. D. tym się nie przejmuje i zabiera ze sobą to ciepło Andźali, czuje je przy sobie następnego dnia, w biurze, w którym zajmuje się sprawami islamskich fundamentalistów. W tym zamkniętym, pozbawionym okien boksie zbiera raporty z całego świata, porównuje je, łączy, przesiewa, analizuje. Spływają do niego fragmenty tego wszystkiego, w co wierzą i czego nienawidzą różni mężczyźni i kobiety, a on stara się zebrać tę układankę w całość. Píše swoje własne raporty, każe przepisać je na maszynie na szeleszczące kartki białego papieru ryżowego, a od niego informacje wędrują w górę, do zastępcy komendanta, potem do komendanta, a potem być może aż do premiera. Informacje są przekazywane w górę, a rozkazy w dół. Podejmowane są działania, które przynoszą efekty, a wraz z nimi nowe potoki informacji. K. D. ma nieodparte wrażenie, że znajduje się w jakimś węźle sieci, na przecięciu obiegających całą kulę ziemską linii energetycznych, które brzęczą, wirują i nieustannie zmieniają kształty. Wystarczy, że on trąci jakąś nitkę, a dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów dalej jakiś człowiek osuwa się w drzwiach. Napisze jakiś akapit, a dwa tygodnie później słyszy te same słowa sparafrazowane w przemówieniu ministra spraw wewnętrznych. W tym zakurczonym pokoiku pociąga za sznurki, uruchamiając lawinę wydarzeń i zmieniając życie milionów ludzi.

Nie jest jednak w stanie znaleźć ludzi, którzy zabrali Cholernego Mathura. Ma bardzo grubą kartotekę zawierającą raporty policji i sprawozdania z dochodzenia przeprowadzonego na miejscu przez zespoły

śledczych z jego organizacji, którzy ocenili zarówno to zdarzenie, jak i śledztwo prowadzone przez władze Pendżabu. Faktów jest niewiele i są dosyć jasne: Cholerny Mathur utrzymywał znajomość z niejakim Harbhadżanem Singhem, który ukończył dwa lata college'u i był bezrobotnym synem biednego rolnika, dwukrotnie aresztowanym za drobne kradzieże. Ten Harbhadżan Singh znał ludzi w pewnej grupie bojowników, zwanej Armią Wyzwolenia Pendżabu, i Cholerny Mathur przez wiele miesięcy pompował pieniądze w Harbhadżana Singha, który z kolei przekazywał je swojemu przyjacielowi, a ten zanosił je do bojowników. W zamian nadchodziły rzetelne informacje, materiał wiarygodny, ale niezbyt przydatny. Informator w Armii Wyzwolenia Pendżabu zażądał bezpośredniego spotkania, mówiąc, że przyprowadzi jakiegoś innego niezadowolonego kolegę. Cholerny Mathur miał przecucie, udał się na spotkanie, a potem ślad po nim zaginął. Jedyne, co po nim pozostało, to przechylony, rozbity ambassador i trzech martwych ludzi. I na tym trop się urywa. Cholerny Mathur zniknął i tyle.

Ale K. D. nie zgadza się z tym, nie chce pozwolić, żeby sprawa pozostała nie załatwiona. Interesuje się rodziną Harbhadżana Singha, jego znajomymi, wchodzi w układy. Cholerny Mathur mawiał: „Jeśli nie chodzi o pieniądze, to chodzi o żądzę. A jeśli nie, to o bezpieczeństwo, strach o rodzinę. A każdego człowieka można kupić. Wystarczy tylko dowiedzieć się, jaka jest jego cena”. Wiadomo, że Cholerny Mathur jadł z Harbhadżanem Singhem kurczaka tanduri w przydrożnych dhaba, ponieważ duśman prowadził rozległe działania w Pendżabie, tu był obszar działania, ich schronienie, łatwa droga do Indii. A potem zniknął. K. D. posyła swoich starszych oficerów, każe śledzić brata Harbhadżana Singha, każe przekazać sobie informacje o znanych współpracownikach, prosi o listę kont bankowych. Kieruje ludźmi, zasobami i środkami, ponieważ toczą bitwę,



trwa wojna. K. D. kontratakuje. Nie zapomni. I tak ta wielka gra toczy się na ulicach i na polach uprawnych Pendżabu.

Gra toczy się nieprzerwanie, gra jest wieczna, nie można jej zatrzymać, gra rodzi siebie samą. K. D. uczestniczy w niej i jest dobrym graczem. Ma rozległą pamięć i wycucie do szczegółów: przyciemniane okulary do czytania, które mignęły mu na rozmazanym zdjęciu kaznodziejów we Frankfurcie, nie odstępują go przez sześć lat, dzięki czemu jest w stanie rozpoznać tego samego człowieka na innym zdjęciu, zrobionym na drugim końcu świata, w Peszawarze, kiedy talibscy dowódcy wychodzą ze spotkania z majorem z ISI. To właśnie tym wyjątkowym osiągnięciem w łączeniu faktów i ich nazywaniu, wysnuwaniu wniosków i wyszukiwaniu znaczeń K. D. zawdzięcza swoją reputację, sławę i miejsce w organizacji. Pnie się w górę. Obecnie jest podkomisarzem, oficerem niższym rangą, niemniej jednak człowiekiem z przyszłością. Przenosi się. Po czterech latach znowu się przenosi, tym razem do Berlina. W tym podzielonym mieście wydaje wizy irańskim studentom, załatwia im stypendia, ze współczuciem obejmuje afgańskich lekarzy i zaprasza ich na kolacje. Wysyła paczki do Andżali, która idzie przez szkołę jak burza, przeskakuje całe rzesze uczniów o dwie klasy, otrzymując niewiarygodnie wysokie stopnie na egzaminach końcowych. Dziewczynka czyta właśnie o Berlinie i prosi go o przesłanie biografii Hitlera, niedostępnej w Delhi, a także o książki traktujące o generałach, których nazwiska są okrągłe i pełne jak różowe kielbaski na śniadanie.

– W płacie czołowym pacjenta występują zmiany, powodujące ograniczenie miejsca. – Doktor Kharas stoi nad K. D. w otoczeniu uważnej grupki studentów. – Interesujące są efekty mroczków. U pacjenta występuje paramnezja powielająca, podczas której przebywa on w zupełnie innym miejscu. Zazwyczaj pacjenci, u których występuje tego typu amnezja,

wyobrażają sobie, że są w domu albo w jakimś ulubionym miejscu. W przypadku tego pacjenta wygląda na to, że wędruje on w wyobraźni do miejsc, które odwiedził w ciągu swojego życia; do różnych miejsc na całym świecie.

To dlatego, że ja nigdy nie miałem domu, miła pani doktor Anaito. Moim domem było jakieś miejsce w mojej wyobraźni, piękna, bogata kraina, która jeszcze nie istnieje. Podczas tych moich wszystkich podróży właśnie tam zmierzałem, do tego spokojnego kraju przyszłości.

– Pacjenci z tego typu zaburzeniami pamięci zazwyczaj wykazują również skłonność do konfabulacji. Udzielają nieprawidłowych odpowiedzi na pytania o doświadczenia, które powinni pamiętać. Nawet pytania o sprawy błahe, takie jak szczegóły minionej pracy, daty, miejsca, wywołują odpowiedzi, które zdają się spójne, ale są fikcyjne. Pacjenci opisują niewiarygodne, pełne przygód i makabryczne doświadczenia. Panie Jadaw? Panie Jadaw?

Doktor Anaita pragnie zademonstrować swoim studentom te objawy. K. D. kiwa głową. Pokaże jej to, pokaże jej wszystko, czego tylko będzie chciała. Jest jej to winien, za to jej entuzjastyczne zainteresowanie, za te umiejętności, zaangażowanie w pracy, jest jej to winien, bo ona daje mu nadzieję. Nie nadzieję na jego własne przetrwanie, ale nadzieję, że dobrze przeżył swoje życie, że te wszystkie złe rzeczy, które zrobił, w końcu przyniosą coś dobrego. Ona jest jego nadzieją.

– Panie Jadaw, czy może pan podać datę swoich urodzin?

Nie potrafi sobie przypomnieć. Ale to nie ma znaczenia, nie może jej rozczarować. Podaje pierwszą lepszą datę.

– Dziewiąty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego – mówi.

Wśród stażystów widać poruszenie, w ich oczach pojawiają się błyski. Lubią oglądać objawy, objawy ukazują wewnętrzne działanie uszkodzonego

mechanizmu. A nieprawidłowości w organizmie, na drodze odwróconej, ale nienagannej logiki, ukazują prawdę o jego normalnym funkcjonowaniu. K. D. uzmysławia sobie, że data z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego jest o wiele lat za późna, jest przecież dużo starszy. Ale co się wydarzyło dziewiątego lipca? Ta data jest chropowata, wbija się i trze po jego umyśle jak pilnik. Wreszcie przypomina sobie. Widzi. W tej dolnej połówce rzeczywistości, w tym nowym półmroku jego obrazu świata, K. D. widzi płonąca wioskę. Obraz nie jest rozmyty i niewyraźny jak obraz zapamiętanej wioski, to nie jest halucynacja. To rzeczywista wioska, a on ją widzi. Widzi płomienie biegnące pod drewnianymi podłogami chat, czerwonoooką maciorę, która, chrząkając w przerażeniu, pędzi przez uporządkowane, zielone grzędy obsadzonego rzepą ogrodu, słyszy ostry trzask eksplodującego bambusa. Kolory są ciemne, jarzą się, jak w rzeczywistości, ale jeszcze intensywniej, widzi błysk śliny na zębach czarnego, zabitego strzałem w głowę psa, sierść na jego rozrzuconych tylnych łapach. Ta umierająca wioska jest bardziej rzeczywista niż sama rzeczywistość. Nigdy nie był w tej wiosce, ale dokładnie wie, co to jest. To jest wioska Cezumi Song, w Nagalandzie, w dystrykcie Mon, do której dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku przybył oddział Assam Rifles pod dowództwem kapitana Rastogi, Dakśeśa Rastogi, tego samego miłośnika matematyki, którego K. D. poznał na swojej pierwszej placówce w terenie. Rastogi awansował, z porucznika na kapitana, i przytył, zrobił się z niego postawny mężczyzna. Nie wie o tym, ale działa na podstawie danych zebranych i posegregowanych przez K. D. i zgodnie z przekazanymi w dół rozkazami, ścigając dwóch przywódców rebelii w Nagalandzie, L. K. Luithui i M. Essau. Wiadomo, że przebywają w tej okolicy, a w tej wiosce mają krewnych. Oddział Rastogi w ostatnim miesiącu stracił sześciu ludzi, zastrzelonych z ukrycia lub poległych na

minach, a tych dwóch ludzi z Nagalandu to taktycy odpowiedzialni za owe ataki. Wioska jest przeszukiwana, a jej mieszkańcy przesłuchiwani. Kapitan Rastogi zaczyna naciskać. Wójt wioski zostaje pobity kolbami karabinów, a wraz z nim inni ważni mieszkańcy. Wszyscy mówią, że nic nie wiedzą o dwóch buntownikach. Naciski przybierają na sile. Córki wójta, cała trójka, zostają za włosy wyciągnięte z placu. Nazywają się Rose, Grace i Lily. Zostają zgwałcone. Zgwałcone zostają dwadzieścia dwie kobiety, a wioska idzie z dymem. Trzech wieśniaków ginie od kul, a w raporcie kapitana Rastogi pojawia się informacja, że tych trzech terrorystów zostało osaczonych i zabitych podczas strzelaniny, do której doszło i której efektem było zniszczenie wioski Cezumi Song. Dwaj buntownicy, L. K. Luithui i M. Essau, trzy dni później zostają osaczeni w leśnej kryjówce osiem mil na północ i zabici. Kapitan Rastogi otrzymuje pochwałę i od tego momentu zaczyna awansować. K. D. doskonale wie, co trafiło do oficjalnego raportu, i wie też, co tak naprawdę się wydarzyło. W końcu pracuje w wywiadzie.

Wie, że informację o kryjówce podała dziewczyna o imieniu Luingamla, która, jękając się, ujawniła to miejsce, kiedy kapitan Rastogi przyłożył pistolet do skroni jej ojca. K. D. o tym wie. Jego praca polega właśnie na tym, żeby wiedzieć. Nie był tam, ale wie, co tam zaszło. I teraz bardzo wyraźnie widzi wioskę Cezumi Song. Widzi, jak ona płonie. Ale gdzie są ludzie? Nie widzi ludzi z Nagalandu ani żadnych żołnierzy. Słyszy krzyki. W jego głowie rozbrzmiewa przeraźliwy skrzek ptaków. Słyszy wystrzał i wie, że to pocisk z pistoletu Webley–Scott, kaliber 9 mm, taką broń miał tego dnia przy sobie kapitan Rastogi. Ale w tej rzeczywistej wiosce nie ma ludzi.

– Wioska płonie – szepce K. D.

Stażyści nachylają się nad nim. Doktor Kharas słucha uważnie.

– Jaka wioska? – pyta. – Jaka wioska?

K. D. nic nie mówi. Cóż może powiedzieć? Że to wioska, o której nigdy nie słyszeliście, która zniknęła z powierzchni ziemi, zanim większość z was się urodziła? Jej już nie ma, ale wciąż płonie.

– Wioska płonie – powtarza.

Doktor Kharas coś szepce do stażystów i w końcu wszyscy wychodzą. Wioska wciąż płonie, ale nadal nie ma w niej ani mieszkańców, ani najeźdźców. K. D. słucha trzasku pożogi, krzyków, wystrzałów. Kiedy nadchodzi popołudnie, jest już w stanie pograć się we śnie, albo też pograć się w marzeniu, że śpi. Budzi się wyczerpany, z bólem w stawach. Z trudem idzie do łazienki, przez całą drogę dotykając ściany opuszkami palców wyciągniętej ręki. Wioska Cezumi Song zniknęła już ze ślepej plamki w jego oku, z tego połowicznego pasma ciemności, ale w trakcie oddawania moczu K. D. zauważa szachy. Przechyliła głowę do przodu, żeby zajrzeć do nocnika i zobaczyć, co tam robi, ale tam, gdzie jego wzrok już nie sięga, tam, gdzie jak ucięta kończy się wyłożona kwadratowymi płytkami podłoga łazienki, tam teraz są szachy. Rozpoznaje ten widok: to blat kamiennego stołu w parku w Berlinie. W tym miejscu, w niektóre piątkowe popołudnia, spotyka się z afgańskim studentem budownictwa, niejakim Abdulem Khattakiem. Khattak jest bardzo biedny, wraz czwórką braci i trzema siostrami mieszka w malutkim mieszkanku w Neukoelln, więc bardzo chętnie zjada stawiane mu obiady, podobnie jak chętnie przyjmuje drobne kwoty, które dostaje, kiedy dobrze się spisze. Za przekazywane nazwiska fundamentalistycznych kaznodziejów i informacje o tym, co robią i co planują, K. D. wręcza mu cienkie koperty, a dodatkowe koperty dostaje za nazwiska antyfundamentalistów afgańskich w Europie i w kraju i za ewentualne umożliwienie spotkania. K. D. i Khattak rozmawiali o indyjskiej wizji dla młodszego brata Khattaka oraz o możliwości uzyskania stypendium na indyjskich uniwersytetach i

instytutach technologicznych. To wszystko, oczywiście, w zamian za kolejne informacje dla K. D. Ale gdzie jest Abdul Khattak? Nie ma go na ławce w parku, pod zielonym sklepieniem dębów. K. D. widzi kwadraty szachownicy, skonstruowane z zielonych i białych płytek osadzonych w cemencie. Khattak lubi spotykać się w tym miejscu, bo uwielbia szachy. Zainteresowanie międzynarodowymi turniejami jest jedynym luksusem, na jaki pozwala sobie Khattak, przez całe dni zabiegany między zajęciami, pracą w pralni a rodzeństwem. Khattak nie lubi korzystać ze skrzynek kontaktowych, chociaż pozostawianie wiadomości w reklamówce pod ławką w parku czy przylepionej z tyłu latarni byłoby dużo bezpieczniejszym rozwiązaniem. Khattak lubi mówić; po dwóch, trzech kontaktach przez skrzynkę zawsze prosi o spotkanie. Gdzie jest Khattak, dlaczego nie ma go tu, pod tym jaśniejącym, marcowym niebem, kiedy w powietrzu czuje się już wiosnę? Powłócząc nogami i szeroko rozpościerając ręce, K. D. powraca do łóżka i dokładnie wie, dlaczego: Khattak nie żyje, leży między pustymi skrzynkami w zaułku za sklepem meblowym. Ręce ma związane na plecach, policzki i piersi posiniaczone od uderzeń, a gardło podcięte. Zabójców nigdy nie odnaleziono, policja nie ma żadnych wskazówek, a K. D. nie ma zamiaru im ich podsuwać. Khattak nie żyje, ale dostarczone przez niego informacje są w większości rzetelne i wciąż aktualne. K. D. korzysta z nich; udaje mu się wniknąć do siatek studenckich, które prowadzą do Kabulu, zdobywa źródło informacji w Dżalalabadzie, nawiązuje kontakt z sekretarzem mułły, ostatnio nabierającego znaczenia na scenie politycznej. I teraz, w szpitalnej sali w Delhi, ogarnięty tą swoją połowiczną ślepotą, widzi szachownicę, oświetloną słońcem i czekającą na figury, na rozgrywkę. Ci, którzy mają przetrwać, przetrwają, tak to już jest. A tu jest ta szachownica, zielono-biała i jaśniejąca w ciemnościach.

– Kto jest premierem rządu? – To doktor Kharas, która nachyla się nad nim, trzymając jasne światło tuż przy jego oczach. – Panie Jadaw, kto aktualnie jest premierem? – Na dworze jest noc, a K. D. nie wie, jak to się stało, że nagle z poranka przeniósł się w noc. U stóp łóżka stoi Andźali, zaciskając dłonie na białej metalowej poręczy.

K. D. uśmiecha się do niej.

– Mam problemy z pamięcią krótkotrwałą – mówi. Próbuje pocieszyć Andźali: w końcu lepiej, kiedy urządzenie wie, że coś w nas nie działa jak należy. Ale ona nie wygląda na pocieszoną. Ona wie, że K. D. nie ma pojęcia, kto jest premierem. K. D. pamięta, jaki Nehru miał zegarek, pamiątkowy HMT z małymi czarnymi cyframi, pamięta drobne włoski na nadgarstku Nehru, ale nie wie, kto teraz jest premierem. Te informacje zniknęły, po prostu zniknęły. Nie ma ich.

– Czy ma pan teraz jakieś halucynacje? – dopytuje się doktor Kharas.

Wygląda na to, że jej coś powiedział podczas tego zgubionego dnia.

Nie chciał jej tego mówić, nie chciał, żeby Andźali o tym wiedziała. Jest mu wstyd. To wstyd, kiedy widzi się rzeczy, które w tym miejscu nie mają prawa być, i traci się kontakt z rzeczywistością, orientację, co jest, a czego nie ma. Nie zniósłby litości Andźali, tego, że mogłaby pomyśleć, że on nie jest już tak sprawny. Zawsze z trudem znosił brak kompetencji. Ale nie, chociaż widać, że ona czuje ból, nie jest to współczucie, ona nie będzie traktować go w sposób protekcyjny, to widać. Andźali wciąż dostrzega, że on jest jeszcze obecny w tych zgliszczach. On, K. D. Jadaw, wciąż tu jest, myśli, kalkuluje i rozumie. Patrząc na Andźali, K. D. zwraca się do doktor Kharas:

– Teraz nie mam żadnych halucynacji. Dlaczego je widuję?

– To specyfika ludzkiego mózgu – odpowiada doktor Kharas, siadając. Składa dłonie na kolanach, trochę jak kapłan wygłaszający naukę moralną.

– Ludzki mózg nie lubi pustki. Nie toleruje pustych przestrzeni. W związku z uszkodzeniem strukturalnym na ścieżkach wzrokowych w pańskim polu widzenia występuje przerwa. I mózg stara się wypełnić te mroczki, ten wyłom w obrazie. Znajduje materiał z pańskiej pamięci, z zachowanych przez pana wrażeń i pojęć, i wrzuca go w tę pustą przestrzeń. Tak naprawdę coś takiego dzieje się przez cały czas, nawet podczas normalnego funkcjonowania. Wprowadzone dane łączą się z tymi, które już tam są, wszystko razem miesza się, zmienia i przekształca, stając się postrzeganiem. W ten właśnie sposób wszystkiego doświadczamy. – Przerzywa na chwilę, sprawdzając, czy on nadaża, czy przyjmuje te wszystkie informacje. Zależy jej, żeby jej wykład był przejrzysty, ten wykład mądrej doktor Kharas. K. D. kiwa głową, a ona kontynuuje: – Na podstawie danych pochodzących z zewnątrz oraz materiału przechowywanego w pamięci mózg tworzy opowieść, którą my uważamy za rzeczywistość. W pańskim przypadku istotne jest, że pan zupełnie traci połowę danych zewnętrznych pochodzących z percepcji wizualnej, a mózg musi sobie jakoś skompensować tę stratę. Poza tym pański mózg działa zupełnie normalnie. W ten właśnie sposób jesteśmy skonstruowani.

– W ten właśnie sposób jesteśmy skonstruowani – powtarza K. D. i wybucha śmiechem. To zabawne, chociaż ani Andźali, ani dobra pani doktor nie śmieją się, nie, na ich twarzach nie ma uśmiechu, nawet śladu rozbawienia. W ten właśnie sposób jesteśmy skonstruowani, żeby widzieć zjawy, żeby wewnątrz tego samotnego pałacu z kości tworzyć obrazy świata, żeby żyć w tym śnie i z przerażeniem myśleć, że opuścimy go, umierając, żeby znosić ten koszmar zbudowany z samych wrażeń, jakby były czymś rzeczywistym. Stworzony przez szczura obraz rzeczywistości jest równie prawdziwy jak mój, czy twój, czy nasz. Ale my żyjemy, umieramy i zabijamy w tej upiornej fantasmagorii lustrzanych narracji. To



wszystko jest niesamowicie żalosne albo wprost doskonale komiczne. K. D. sam nie wie, czy bardziej to pierwsze, czy drugie, i nie może przestać się śmiać. Oddycha chrapliwie. W końcu przywołuje Andźali do siebie, prosi, żeby usiadła na łóżku, blisko niego, żeby mógł wziąć ją za rękę.

– Nie smuć się – mówi. – To przynajmniej bardzo interesujący stan. To bardzo pouczające.

– Ten syndrom ma swoją nazwę – mówi doktor, zadowolona, że może przedstawić naukowe podstawy. Głęboko wierzy w możliwość wsparcia pacjenta przez edukację. – Nazywa się zespołem Charlesa Bonneta, od nazwiska człowieka, który jako pierwszy to zaobserwował. Często występuje u osób tracących wzrok. Na przykład ludzie cierpiący na katarakty często skarżą się, że widzą różne rzeczy: ludzi, przedmioty, duchy.

Ludzi, przedmioty, duchy. K. D. widzi ludzi i przedmioty, a sam zaczyna się czuć trochę jak duch, jak jakaś migocząca sieć elektrycznych impulsów zamkniętych w cieknącą, popękaną maszynę ciała. Czuje, jak umiera i ponownie budzi się do życia, z każdym oddechem jego jaźń gaśnie i na nowo rozbłyskuje. Czy doktor Kharas dostrzega, że również ta jaźń jest złudzeniem, utworzonym dodatkowo przez dążący do osiągnięcia idealnego modelu mózg, który stara się zapełnić każdą pustkę? Przepęłnia go litość, dla samego siebie, dla doktor Kharas, dla Andźali. Ileż męczarni poszukiwań i cierpienia doświadcza ta dryfująca zjawia. Jest niczym, a ileż w jej przeznaczeniu konwulsji bólu, ciągnących się od narodzin aż do śmierci. Andźali jeszcze teraz jest smutna i K. D. głaszcze ją po rękę.

– Nie martw się – mówi. – To nic. – Andźali jest zaskoczona, a on zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie uświadomić jej, że nie ma sensu go opłakiwać, rozpaczać po czymś, co zawsze było niczym. Jest młoda, pełna sił, zaangażowana w swoją walkę i zachłannie żywa. On nie może otworzyć

jej oczu, a nawet nie powinien tego robić. Być może zrozumieć to mogą tylko ludzie stojący na skraju ostatecznego rozpadu. „Pająk tka zasłony w pałacu cesarzy; sowa wzywa strażę na wieżach Afrasiabu”. Ale ona czeka, chce mu coś powiedzieć. Andźali czeka, aż doktor Kharas zakończy swój wykład i się pożegna, a potem wstaje, żeby zamknąć drzwi. Wraca do łóżka i siada tuż przy K. D.

– Wujku, czy przypomniałeś sobie coś o Gaitondem?

– Nie. Nic nowego. Tylko to, co już wiesz. – Gaitonde był jego rekrutem, jego podopiecznym. Kiedy K. D. przeszedł na emeryturę, Andźali chciała zostać oficerem prowadzącym Gaitondego. Ale w organizacji podniosły się głosy sprzeciwu: była za młoda, za mało doświadczona, a także, i to najważniejsze, była kobietą. Czy jakiś gangster dałby się prowadzić policjantce, czy jakaś kobieta zdołałaby poradzić sobie ze straszliwym Gaitondem, tym bezwzględny potworem, tym kobieciarzem, który nie miał żadnego szacunku dla płci pięknej? Oto stare i powszechnie przyjęte w szeregach organizacji rozumowanie: kobietom nie można przydzielać placówek w terenie, ponieważ nie poradziłyby sobie z tym kryminalnym elementem, który jest na co dzień dostawcą i wytwórcą informacji wywiadowczych. Kobiety nie potrafiłyby wchodzić w układy i przekazywać poleceń spoconym przemytnikom, drobnym przestępcom kursującym tam i z powrotem przez granicę, kurierom narkotykowym, analfabetom, ludziom nieokrzesanym i zdesperowanym. Uważano, że kobiety nadają się do siedzenia przy biurku, są świetnymi analitykami. Niech tym się zajmują. Ale Andźali irytowało siedzenie przy różnych biurkach, starała się walczyć z tym przestarzałym rozumowaniem i sprawdziła się w terenie, na zagranicznych placówkach, w Londynie i Frankfurcie. Była świetnym analitykiem, ale doskonale radziła sobie również z podległymi kobietami i mężczyznami; pewien pakistański

imigrant, prowadzący w Marsylii działalność przemytniczą, wąsaty i wyjątkowo brutalny Pasztun, nazywał ją behendzi i dostarczał ogromnie przydatne informacje o przewoźnikach afgańskiej heroiny, którzy mieli kontakty w Peszawarze i Islamabadzie. Kobiety umiały więc za pomocą pewnych metod doskonale radzić sobie z mężczyznami, ale organizacja i tak odrzuciła wniosek Andźali. Gaitonde trafił pod opiekę niejakiego Ananda Kulkarni, człowieka bardzo twardego, o bardzo męskich cechach. Ostatecznie okazało się, że na Gaitondem nie można polegać, i Kulkarni został ostro skrytykowany w organizacji za niewłaściwe prowadzenie podopiecznego, ale to on – K. D. – zwerbował tego sukinsyna. Jeśli ktoś jest winny, że Gaitonde nawalił, to tylko on.

– Dlaczego to jest tak ważne? – pyta K. D. – Gaitonde nie żyje.

– Zgadza się, nie żyje.

– W takim razie o co chodzi? Teraz dojdzie do walki o jego terytorium. Być może jego gang się rozpadnie. Może się pozabijają. Ale cóż z tego?

Andźali kalkuluje, ocenia go. Próbuje zdecydować się, czy mu coś powiedzieć, czy też nie. K. D. doskonale zdaje sobie sprawę, że w obecnym stanie jest zagrożeniem, że nie można mu powierzać tajnych informacji. On nie jest sobą, może coś powiedzieć doktor Kharas, pielęgniarkie czy ludziom przechodzącym korytarzem. A jednak K. D. chce wiedzieć.

– Powiedz mi. Może zdołam ci pomóc, jeśli mi powiesz. Jeśli podasz mi jakąś informację, to może dzięki temu coś sobie przypomnę.

Sam nie wie, czy to prawda, czy te strzępy jego niegdyś osławionej pamięci na tyle trzymają się kupy, żeby na podstawie drobnych informacji, ostrożnie badając i sondując, udało się uzyskać jakieś rezultaty. Ale ona musi zaryzykować. Ryzyko jest wkalkulowane, jest codziennym elementem tej gry, a K. D. wyszkolił Andźali w tym ostrożnym kroczeniu przez niebezpieczeństwo: w tej ostatniej chwili, kiedy dochodzisz już do skrzynki

kontaktowej, nie mając pewności, czy jesteś obserwowany, co robisz? Przechodzisz dalej czy sięgasz po torbę? Dowiedziałeś się, że jeden z twoich ludzi sprzedaje informacje przeciwnikowi, wielu przeciwnikom, w związku z czym zagrożonych może być mnóstwo twoich źródeł informacji, czy w takiej sytuacji decydujesz się skontaktować ze swoim człowiekiem, fizykiem pracującym w ośrodku badań obronnych w pobliżu Islamabadu, dzwonicz do niego, czy też nie? Musisz przekalkulować, co możesz zyskać, oszacować koszty ewentualnego niepowodzenia, a potem podjąć decyzję.

Andźali podjęła decyzję. Mówi szybko i cicho.

– Znaleźliśmy Gaitondeggo w domu w Bombaju. Ten dom przypomina konstrukcją bardzo głęboki bunkier, ze wzmocnionymi ścianami. Odszukaliśmy przedsiębiorcę budowlanego i architekta, którzy mu ten dom budowali. Zeznali, że budowa zajęła dziesięć dni i została wykonana na podstawie planów, które Gaitonde przesłał im faksem. Powiedział im, żeby nie przejmowali się kosztami, mają go tylko jak najszybciej skończyć. Tak też zrobili. Mamy kopie planów. Usunięto lub zamazano stronę tytułową i pewne oznaczenia, ale tekstu było dostatecznie dużo, że udało się nam znaleźć źródło tych planów. Zostały pobrane z Internetu, z witryny północnoamerykańskiej szkoły przetrwania, o nazwie „Jak przeżyć koniec świata”. Zbadaliśmy tę konstrukcję w Bombaju. Gaitonde postawił schron przeciwiatomowy.

Jej oczy są srebrzysto–czarne, skrzą się i widać w nich przerażenie. Westchnienie tysięcy trzepoczących skrzydeł na dworze oznajmia nadejście nocy. Daleko w dole wciąż jeszcze tętnią życiem jazgotliwe ulice miasta. W tym nuklearnym zagrożeniu jest jakaś bezkształtna pustka, myśli K. D., jakaś ostateczna, biała pustka, zatrzymująca wszelkie myśli, wszelki ruch. Widzi, że Andźali nie potrafi sięgnąć dalej. Próbuje ją zagadnąć:

– I co, Gaitonde wyszedł z ukrycia, uciekł?

– Tak, powrócił do Bombaju. Poszukiwał trzech sadhu. Znalaziono go martwego, własnoręcznie zadał sobie śmierć. W tym schronie.

– Co jeszcze było w tym schronie? Znaleźliście coś?

– Drugie ciało, jakiejś kobiety. Nazywała się Dźodźo Mascarenas, była rajfurką, która podsylała mu kobiety. Gaitonde zabił ją z tego samego pistoletu, z którego później sam siebie zastrzelił.

K. D. słyszał o tych kobietach, dziewczynach, które Gaitonde pochłaniał jedną po drugiej. Nigdy nie zastanawiał się, kto mu je dostarczał. Teraz już wiedział.

– I co jeszcze?

– Był tam również album ze zdjęciami tych dziewczyn. I pieniądze. Jeden krore dwadzieścia jeden lakhów, w nowych banknotach z banku centralnego.

– Sprawdziłaś tę kobietę?

– Tak. Odnaleźliśmy jej mieszkanie i przeszukaliśmy je. Nic interesującego nie znaleźliśmy. Trochę pieniędzy. Część z nich musiała pochodzić od Gaitondego, ta sama seria nowych banknotów, zawiniętych w plastik. Ta kobieta obracała się w kręgach zbliżonych do przemysłu telewizyjnego i filmowego, a tam jest dużo brudnych pieniędzy.

Andźali czeka. Pozwala sobie żywić słabiutką nadzieję, ale K. D. nie ma jej nic do powiedzenia. Z panującego w jego głowie zamętu nie wyłania się żadne wyjaśnienie, z odmętów jego przeszłości nie wypływa żadna informacja.

– Muszę się nad tym zastanowić – mówi. – Muszę to przemyśleć.

Razem z Andźali jedzą kolację ze stalowej tacki z przegródkami. K. D. zbiera łyżką swoje khićri i próbuje myśleć. Zagrożenie nuklearne istnieje na subkontynencie od kilku dziesięcioleci i tym problemem już się zajmowali.

Organizacja przeprowadziła wiele działań w celu uzyskania informacji o technologiach, doktrynach, taktyce, lokalizacji, i niektóre z nich zakończyły się sporymi sukcesami. Dysponują danymi, znają też możliwości i zamiary Pakistańczyków, Chińczyków oraz Amerykanów. K. D. miał okazję zobaczyć niektóre z tych analitycznych raportów i dokumentów, widział też brunatno-czerwone zdjęcia satelitarne, na których można dostrzec zespoły urządzeń wyrzutni pocisków i bazy lotnictwa, i wie, że czeka tam w pogotowiu prawdziwa broń, wycelowana w jego miasta, w niego samego. A jednak rzeczywistość eksplozji nuklearnej zawsze wydawała mu się mało realna, bardzo odległa od brudnych nocnych działań polegających na oczekiwaniu w lodowatej chacie na pakistańskiego informatora, kiedy trzeba siedzieć na połamanej skrzyni z nogami podkulonymi dla ochrony przed węzami i skorpionami. Posłać człowieka pod podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego, przez falujące pola pszenicy, pod patrolującymi noc karabinami pakistańskich komandosów i obok śpiącego bydła, to rozumiał, na tym polegał ich fach, praca i powołanie, dobrze poznane i wyćwiczone. Ale nuklearna zagłada to tematyka bardziej pasująca do powieści sensacyjnych, które K. D. czytał podczas długich podróży i przed snem i które wciąż jeszcze czyta. Na stosie książek przy łóżku, wśród autobiografii agentów CIA i pozycji opisujących historię Rzymu, znajdują się powieści, które czyta dla przyjemności, często tylko po to, żeby pośmiać się z nieprawdopodobnych sytuacji, w nich przedstawianych, z tych milionów ofiar, niktzemnych fabuł oraz dzielnych i bezinteresownych bohaterów. W takich książkach, i tylko w nich, czasami eksplodują bomby, które niszczą całe miasta. Tylko w tych książkach można spotkać te snujące się po zgliszczach dymy, tę ciszę, w której nawet ptak nie zaśpiewa. Ale książkę zawsze można zamknąć, odłożyć na nocny stolik, wypić łyżeczek wody, odwrócić się na drugi bok i zasnąć. Nie trzeba budować ponurych bunkrów

w sercu Bombaju, gangsterzy nie muszą opuszczać bezpiecznych kryjówek za granicą i wystawiać się na ryzyko, nikt nie chce szukać trzech sadhu. Nic takiego nie jest potrzebne. Ale Gaitonde nie żyje. Dlaczego?

K. D. tego nie wie. Ale zastanawia się. Andźali sprząta tacki, szklanki i łyżki. Wygląda na wyczerpaną.

– Idź do domu – mówi K. D. – Salowy się tym zajmie.

– Mnie to nie przeszkadza. Nawet pytałam, czy mogę tu zostać. Powiedziano mi, że mogą tu wnieść łóżko polowe.

– Andźali, daj spokój. Naprawdę. Musisz wypocząć.

– Tu mogę wypocząć. Mnie jest tylko potrzebny sen i będzie mi wygodnie na tym ich łóżku polowym.

K. D. rozumie, że ona się o niego niepokoi, ale jednocześnie niepokoi się o swoją operację, o ten swój świat, który jej zdaniem jest w niebezpieczeństwie. Chce pozostać blisko niego, blisko jego słabnącej pamięci i umysłu, bo on może nagle wyrzucić z siebie jakieś imię, miejsce, jakieś słowo, które zaprowadzi ją do dawnego życia Gaitondego. Kocha swojego wujka, to prawda, ale wykonuje swoją pracę. Postępuje zgodnie z wpojonymi na szkoleniach zasadami, zgodnie ze swoim instynktem; zawsze była dobrą uczennicą. K. D. umiera, wiedzą o tym oboje. Najprawdopodobniej umierający może zaprowadzić ją tylko do krainy umarłych, ale ona ma baczenie na wszystko – może K. D. zdąży dać jej coś użytecznego, zanim sam odejdzie w ciszę. K. D. uśmiecha się do niej.

– W porządku, beta. Jeśli tylko będzie ci wygodnie.

– Mam nawet ze sobą szczoteczkę do zębów – mówi Andźali i unosi ją w górę. Znowu jest tą małą dziewczynką, którą kiedyś znał, i teraz uśmiechają się do siebie. To miłe, kiedy ktoś jest w pokoju, kiedy słyhać, jak chlapie się w łazience. Andźali układa się na łóżku polowym. Mówią sobie „Dobranoc” i K. D. wyłącza lampkę nad swoim łóżkiem. Ona zasypia

niemal natychmiast, słycać jej równy oddech. K. D. patrzy na nią, na kształt jej ramion. Andźali nie ma nikogo, do kogo musiałaby zadzwonić, powiedzieć, że nie wróci na noc do domu. Kiedyś miała męża, młodego Kannadigę, którego poślubiła wbrew woli wszystkich zainteresowanych rodziców, w porywie idealistycznego romansu w wielkomiejskiej atmosferze Delhi. Mąż ukończył studia ekonomiczne w college'u Zakira Hussaina, podjął pracę w IAS i cztery lata po ślubie zostawił Andźali, skarżąc się na jej nieustanne podróże i obsesję na punkcie kariery. K. D. nie wie, czy znalazła kogoś innego, oczywiście ona nigdy o tym nie mówi, nie wspomina ani o pragnieniu, ani o tęsknocie. Czy ona również, podobnie jak K. D., wybrała samotność? Czasami zastanawiał się, czy przypadkiem samotność nie jest lepsza od znudzenia i zdrady, które zdawały się nieuchronnie kończyć każdy romans, każde szczęśliwe małżeństwo. Ludzie trzymali się razem ze strachu. K. D. wolał zachować uczciwość wobec samego siebie i pozostać sam. Zawsze był realistą, nadal nim jest. Ma dosyć siły, żeby w pojedynkę spojrzeć w oczy śmierci.

W górnej połówce pola widzenia, gdzie jego wzrok jest czuły i ostry, dostrzega delikatny cień włosów Andźali na ścianie, smukłe, podniesione źdźbła na tle szarości. W dolnej połówce, groblą biegnącą między polami ryżowymi idzie człowiek o imieniu Palaś. Ubrany jest w podarty banian i dhoti, widać bardzo pomarszczoną i ciemną skórę na jego karku. Przez ostatnie piętnaście kilometrów K. D. obserwował spływający po nim pot. W tej aktualnej terażniejszości, w tym szpitalu, w tych ciemnościach, kark mężczyzny jest bardziej rzeczywisty niż tamtego popołudnia dawno temu. Przypomina lśniącą czekoladę, siwe włosy spadają nań w wyraźnych pasmach, które w słabnym słońcu przypominają jasno mieniące się włókna. Ścieżka spływa z grobli i pnie się w niebo, prosto jak strzała. Poła są zalane wodą, a na jej nieruchomej powierzchni odbijają się młode,



zielone pędy. Szybujący w górze majestatyczny, drapieżny ptak powoli zatacza wąskie kręgi, odchylając jedynie rozciągnięte pióra na samych końcach skrzydeł. K. D. widzi jego intensywnie złotobrazowy brzuch, białą pierś, głowę i wie, że to kania bramińska. Wie, co to za ptak, wie też, co to za dzień. Już wkrótce rozlegną się wystrzały. O zmierzchu Palaś zaprowadzi go do chaty na skraju wioski Ramola, gdzie nocuje młody mężczyzna, niejaki Óander Ghosz. Óander Ghosz powie, że nazywa się Swapan, ale K. D. rozpozna go ze zdjęć z uniwersytetu w Jadawpurze, z fotografii urodzinowych z Kadell Road. Co prawda zniknął już chłopiec z pulchnymi policzkami, ale ten siedzący po turecku, wychudły rewolucjonista to z pewnością Óander Ghosz. Ghosz zada K. D. wiele pytań, sprawdzając kamuflaż K. D., bardzo solidny i nieprzenikniony: K. D. podaje się za Sandźiwa Dźha, drobnego handlarza jutą, sympatyka grup naksalitów i potencjalnego dostawcę informacji na temat większych, kapitalistycznych handlarzy jutą, których należałoby wyeliminować w ramach walki klasowej. K. D. udzieli odpowiedzi na pytania o Patnę, o różne gatunki juty, a pompowana przez Palaśa lampa będzie rzucać mgliste światło i migotać. K. D. będzie masował prawą piętę, w miejscu, gdzie ukąsił go jakiś nieznany owad, jakiś pełzający napastnik. Skóra jest obtarta, wybrzuszona w guz. Óander Ghosz ma za sobą wiele ukąszeń, wielokrotnie przechodził gorączki, ale nawet on rzuci okiem na tę rzadką ranę. Odpytywanie będzie trwać dalej nieprzerwanie. Pytania będą ciągnąć się w nieskończoność. K. D. wstanie, żeby wyjść za potrzebą. Zabierze ze sobą swoją niebieską torbę ze sztywnym dnem, która została przeszukana i w której znaleziono termos, koszulę, paczkę orzeszków, dwie gazety i tysiąc sześćset rupii. Na dworze K. D. rzeczywiście odda mocz. Zdoła to zrobić, pomimo ucisku, który rytmicznie przechodzi przez jego brzuch. Oddychając równomiernie, sięgnie do swojej torby, gdzie na samym dnie

znajdzie fałdę i ostrożnie uniesie ją, słysząc cichy trzask rozdieranego materiału. Sięgnie do ukrytego schowka, w którym leży polski pistolet samopowtarzalny kaliber 7,65 mm, załadowany i z kulą wprowadzoną do komory. Po chwili wróci do chaty, trzymając dłoń przy boku i teczkę przed sobą. Strzeli Ćanderowi Ghoszowi w prawe oko, a Palaśowi w pierś i w tył głowy. Podczas szybkiego przeszukiwania chaty znajdzie tylko zabytkowego kolta kaliber 9 mm, który Ćander Ghosz trzymał odbezpieczony pod udem, w prawej ręce. Zabierze go i ucieknie. Ale to wszystko dopiero się wydarzy. Teraz K. D. widzi idącego przed nim Palaśa, jarzącą się zieleń ryżu i kanię, nurkującą nad ich głowami.

Co przyniesie przyszłość, w tym pierwszym, fioletowym migotaniu zmierzchu, na samym końcu świata? Z dwóch różnych stron K. D. Jadaw i Ćander Ghosz zmierzają w kierunku tej samej chaty, posępnej, z zapadniętym dachem i popękkanymi ścianami z błota. Pierwszy z nich wciąż stara się jak najlepiej pracować dla Nehru, a drugi porzucił wygodne życie, uciechy klubu, klasztoru i grupy teatralnej, w imię innej wizji, równie wspaniałej i równie szalonej. Obaj wierzą, że gdzieś tam po drugiej stronie chaty, po drugiej stronie horyzontu, istnieje szczęście. Właśnie to, po prostu to: szczęście. Ale K. D. widzi teraz wyraźnie, dzięki tej wielkiej jasności postrzegania, którą stwarza mu jego choroba, że obaj zostali zdradzeni, i to zdradzeni, zanim jeszcze wyruszyli każdy w swoją wędrówkę. W piersiach K. D. rozwija się wielki kłęb pogardy dla tych młodych ludzi, tak zadufanych w swoje zdrowie, w tę prymitywną szczerłość swoich marzeń. Cóż za głupcy. Jacyż egoiści. Czy oni w ogóle są w stanie zbudować coś, co nie doprowadziłoby do większej liczby morderstw, większych strat, większych obrzydliwości? „Pająk tka zasłony w pałacu cesarzy; sowa wzywa strażę na wieżach Afrasiabu”. A jednak spiskowaliśmy, rzucaliśmy się sobie do gardeł i zabijaliśmy się. I nadal to robimy, i nigdy tego nie

zaprzestaniemy. Będziemy miotać się od masakry do pogromu, a wszystko to w imię jakiegoś nieba w przyszłości. K. D. czuje głębokie poirytowanie, złość na całą rasę ludzką, na wszystko, co kiedykolwiek zrobiła. To życie jest obrzydliwe, myśli K. D. Niech się skończy. Niech to wszystko się skończy. Gaitonde obawiał się spadającego, białego światła, eksplozji i podmuchu wiatru, który zerwie wszystko, co zostało skonstruowane na powierzchni podmokłych bagien. K. D. Jadaw odwraca się na plecy i wyobraża to sobie, tę ogromną, pnącą się w górę eksplozję, nagłą śmierć, a potem ciszę. W końcu zapanuje cisza. Wszystko się ulotni, jak po zdmuchnięciu świecy.

Kiedy o tym myśli, odnajduje w tym jakiś spokój, czuje potrzebę takiego właśnie końca. Uśmiecha się, zadowolony, i zasypia.

Kiedy się budzi, Andźali siedzi przy łóżku, ubrana. Uśmiecha się.

– Przypomniałeś sobie coś?

– Nie – odpowiada. – Nic. Zupełnie nic.

Andźali kiwa głową. Za nią stoi młody człowiek, bystry młodzian z lisią twarzą i z krótko przyciętym wąsikiem.

– To Amit Sarkar – mówi Andźali. – Ostatnio przystąpił do organizacji, odbywa u mnie praktykę. Dziś on zostanie z tobą.

– Dzień dobry panu – wita się Amit Sarkar, cały rozdygotany od entuzjazmu, jaki przystoi zupełnie nowicjuszowi w obecności legendy.

Andźali kontynuuje obserwację, kierując się intuicją w tej ryzykownej grze. K. D. nie zwraca na to uwagi. Już z tym skończył.

– W porządku – mówi i opada na poduszki. Chciałby się odprężyć, odpłynąć, ale coś mu przeszkadza. Te pieniądze Gaitondego. W tych pieniądzach Gaitondego jest coś, co go drażni, ich obraz tkwi w jego głowie i uwiera go, jeden krore i dwadzieścia lakhów w paczkach z banku centralnego. K. D. próbuje usunąć z pamięci te pieniądze, nie chce ich.

Skupia wzrok na ścianie, na widocznym na niej delikatnym drzeniu światła wywołanym wirowaniem wentylatora pod sufitem. Zapada w przyjemną senność, lekka jak piórko świadomość przelatuje przez wspomnienia, obrazy i myśli, zupełnie niczym nieskrępowana. Czuje, że jego umysł jest lekki, uwolniony od siły grawitacji. W dolnej połowie pola widzenia K. D. nadal pojawiają się duchy przeszłości, dawno zabici żołnierze, informatorzy, agenci, ofiary. Patrzy na to wszystko z jakąś cudowną obojętnością. A w górnej połowce przychodzą i odchodzą goście, starzy koledzy z wnukami. Doktor Kharas ze swoimi stażystami. Pielęgniarki i sanitariusze. W końcu wieczorem wraca Andźali i zwalnia Sarkara. Szepczą między sobą przez chwilę, a potem, w zapadającym półmroku, ona siada przy K. D. Nalega, żeby K. D. coś zjadł, a on nie protestuje, nie chcąc robić zamieszania. Równie dobrze mógłby zupełnie zrezygnować z jedzenia, i też by nie robił zamieszania. Teraz jest mu wszystko obojętne. Mija noc, a potem dzień. Patrzy na to wszystko, patrzy na życie oraz na życie wewnątrz jego oczu, ale to wszystko jest równie niematerialne, wszystko jest urojeniem, i doktor Kharas, z tymi jej kłującymi igłami i diagnozami, i Andźali, i zbacające z kursu migi, z wyciem kierujące się w stronę pakistańskiego lotniska, i dwóch ludzi idących przez ryżowe pola. Wszyscy są złudzeniem, ci nierealni mężczyźni i te nierealne kobiety, żyją dzięki złudzeniom, za nie cierpią i przez nie też umierają. Niech to wszystko jutro się skończy, niech w nieuniknionym białym rozbłysku światła zakończy się ten bezsensowny pochód duchów. Jutro będzie po wszystkim. K. D. cieszy się tą myślą, i jest mu z tym dobrze.

Śni. Wie, że śpi, i wie, że śni. Ma świadomość, że jest śpiącym obserwatorem, a mimo to czuje przez grube podeszwy tenisówek tupot własnych, biegnących stóp. Grają w piłkę na wysoko położonym płaskowyżu, który udało się im wyrównać w zboczu góry. Są tu wszyscy:

Khandari, w tym swoim zielonym swetrze z Garhwalu, z którego wylażą nitki ostrej wełny, Rastogi, rozstawiony gdzieś daleko po lewej, DaCunha, nieustannie krzyczący: „Pooodaj, pooodaj!”, i Ginzanang Dowara, który próbuje podać, ale zawsze traci piłkę. Jest niedziela, podzielili wszystkich ludzi, którzy akurat nie pełnią służby, na dwie drużyny, w każdej po czterdziestu ludzi, i grają w szaloną, dziką piłkę nożną, na tym najwyższym, jak im się wydaje, boisku na ziemi. Wykopali je wprost w górze, zajęło im to dwa miesiące pracy na dużej wysokości przy poszerzaniu niemal płaskiego, naturalnego stoku. Piłka przywędrowała aż z Kalkuty, prywatnymi kanałami, dzięki życzliwości i uprzejmości różnych ludzi. Mogą więc teraz grać. Piłkę prowadzi Thangrikhuma, mały, krępy i bardzo szybki, prześlizguje się przez mur składający się z sześciu obrońców, uskakuje na boki i robi zwody, tak szybko, że można odnieść wrażenie, że ogląda się migotanie obrazu filmowego. K. D. głośno krzyczy z podziwu i rusza za nim w pogoń. Thangrikhuma jest szybki, bardzo szybki. Wie, że K. D. biegnie w jego stronę, ale nie przejmuje się tym, uśmiecha się tylko. K. D. biegnie ze wszystkich sił. Rozciągająca się dalej dolina jest zielona i szara, a górą płyną białe, puszyste obłoki. Thangrikhuma biegnie. Ale Marak, subedar, jest na swojej pozycji, niedaleko bramkarza i dwóch drewnianych palików, które wyznaczają bramkę. Marak jest stary i powolny, zawsze trzyma się w pobliżu bramki, a potem pojawia się w kluczowych momentach. To doświadczony zawodnik. Czeka, wyczekuje. Thangrikhuma czaruje go, tańczy z piłką, próbując nakłonić go do ataku. W końcu Marak atakuje, ten nasz przebiegły Marak wykonuje wślizg. Thangrikhuma wymyka się mu, ale, upadając, Marak zdąży jeszcze wyciągnąć nieomylną rękę, chwyta koszulkę i Thangrikhuma już leży na ziemi. Faul, faul, ale to męska gra i już za późno, żeby wołać, że był faul. K. D. przejął już piłkę i pędzi na teren przeciwnika. Jego partnerzy

biegną przy nim, barkami odtrącając obrońców, a K. D. pędzi, pędzi tak szybko, uśmiecha się, widząc, jak pięknie piłka się odbija, jak doskonale trzyma się podbicia jego stopy i wraca do niego, w pełni nad nią panuje, z łatwością przeprowadza ją obok Rastogiego, mija to ciężkie sapanie i tę mgiełkę potu, i już biegnie swobodnie, biegnie po boisku, słyszy, że DaCunha jest po lewej, Ginzanang Dowara doskonale ustawił się po prawej, a podskakująca piłka migocze biało–czarno. K. D. czuje ból w piersiach, jest szczęśliwy, powietrze jest zimne, a przed nim stoi bramka.

K. D. budzi się zapłakany. Czuje pieczenie w pięcie. Dawno temu, kiedy w towarzystwie Ándera Ghosza siedział na glinianej podłodze lepianki, ze skrzyżowanymi nogami i bez butów, w lewą piętę ugryzł go jakiś owad. Pamięta to, pamięta, jak tarł kciukiem tę zaognioną, czerwoną plamę, i jak Ánder Ghosz na moment przerwał swoje pytania i z zaciekawieniem spojrział na ukąszenie. K. D. przypomina to sobie i nagle ogarnia go jakiś przejmujący szloch. Andźali rusza się na swoim łóżku, a K. D. stara się opanować drgawki, powstrzymać to drżenie. Większość opłakiwanych przez niego mężczyzn i kobiet już nie żyje, ale on opłakuje ich życie, te ich krótkotrwałe zmagania, ich krótkie męczarnie i radości. Płacze nad piekącym bólem w ich ranach, nad chwilowym płomieniem ich pożądania.

– Wujku, co się stało? Zawołać pielęgniarkę? Czy coś cię boli?

W świetle żarówki elektrycznej Andźali pochyła się nad nim. K. D. kręci głową i bierze ją za rękę. Nie jest w stanie mówić, ale próbuje się do niej uśmiechnąć, cały czas kręcąc głową. Ona go obejmuje. Siedzi na łóżku i tuli go do siebie.

– O co chodzi? – pyta Andźali. – Nie bój się – mówi.

K. D. się nie boi. Nie czuje żadnego strachu, przynajmniej o siebie. Ale brakuje mu słów, żeby wyrazić wielkie współczucie, które rozpala jego ciało, to jego, tylko pozornie realne, uszkodzone cielsko. W rozpadającym

się umyśle kołacze się obawa o Andźali, o życie, które miota się w tej silnej, młodej, obejmującej go teraz kobiecie. Ona ceni sobie życie, trzyma się go kurczowo, podobnie jak jej koledzy z pracy, znajomi, rodzina. Muszę jej pomóc, myśli K. D. Muszę. Zaczyna przeszukiwać swoje minione życie, wszystko, co wie i co pamięta, i teraz, kiedy jego umysł znajduje wreszcie jakieś zajęcie i cel, drżenie ustępuje. Leży nieruchomo w ramionach Andźali i rozmyśla. Powraca do niego dawna radość z wysiłku intelektualnego, a informacje płyną przeplatającymi się strumieniami, jaśnieją kolorem, obrazem i zapachem. Płyną, a on zanurza się w nich, obserwuje pod różnymi kątami, układa je na wiele rozmaitych sposobów: ma wrażenie, że porusza się w kalejdoskopie. Znow powraca to dawne, przyjemne uczucie. Kiedy niebo na zewnątrz zaczyna szarzeć, K. D. porusza się lekko.

– Te pieniądze w bunkrze Gaitondego – mówi. Andźali opiera się o wezgłowie i budzi się z drzemki.

– Co takiego? – pyta.

– W bunkrze Gaitondego były pieniądze. Mówiłaś coś o folii.

– Pakiety były zapakowane w plastik. Tak jak czasami pakuje się zabawki. Albo czekoladę.

– Po pięć pakietów? W formie takich paczek?

Andźali patrzy na utworzony przez jego ręce kształt, na tę trzymaną przez niego w dłoniach pustkę. W jej oczach mienia się punkciki światła wczesnego poranka.

– Tak – mówi.

– Muszę zobaczyć te pieniądze – mówi K. D.

Andźali biegnie przez pokój po swój telefon komórkowy i gdy wybiera numer, on podnosi się i siada na łóżku. Andźali rzuca szybkie rozkazy i wraca do K. D.

– Są już w drodze – mówi.

Ale oboje wiedzą, że to zajmie trochę czasu, trzeba przedrzeć się przez biurokrację w organizacji, obudzić pewnych ludzi, uzyskać zgodę i otworzyć sejfy. K. D. może nie mieć tyle czasu, może zapomnieć. Każe jej więc usiąść blisko i póki jeszcze pamięta fakty, zaczyna opowiadać. Przekazuje jej wszystko, co sam wie, co jeszcze tkwi w jego pamięci.

– W przeszłości większość naszych indyjskich pieniędzy drukowano w Związku Radzieckim. Po jego rozpadzie, kiedy wszystko było na sprzedaż, Pakistańczycy przeprowadzili pewną operację. Próbowali nabyć od Rosjan oryginalne matryce. Gdyby im się udało je uzyskać, mogliby podrabiać pieniądze i produkować autentyczne, idealne banknoty. Ale my domyśliliśmy się, co w trawie piszczy, i przejęliśmy matryce prosto z drukarni. Udało się nam uniemożliwić tę ich operację. Pakistańczycy przejęli jednak sporą ilość papieru używanego do drukowania oryginalnych banknotów. Spóźniliśmy się i nie zdążyliśmy temu zapobiec. Posiadając ten papier, wyprodukowali indyjskie banknoty o wysokim nominale, kilka serii. Mają bardzo utalentowanych techników. Ich falsyfikaty są naprawdę doskonałe. Widziałem kilka tych banknotów, przechwyconych w Dżammu i Amrytsarze. Są naprawdę bardzo dobre. Były zapakowane w plastik, w takich właśnie pakietach.

Andźali kiwa głową, szybko.

– Bardzo wygodne w transporcie, niezależnie od warunków.

– Zgadza się, przy każdej pogodzie. Ta operacja w Rosji była prowadzona przez człowieka z ISI, niejakiego Śahida Khana, który wówczas był majorem. Jest naprawdę dobry. Poznałem go wcześniej, kiedy pracował w ich ambasadzie w Londynie.

– Śahid Khan – powtarza Andźali.



– Śahid Khan – potwierdza K. D. – Człowiek bardzo religijny. Bardzo pracowity. Jeden z najlepszych ludzi w ich organizacji. To Śahid Khan przejął ten papier.

Andźali szybko notuje na białym bloczku. K. D. słucha, jak jej pióro skrzypi po papierze. Andźali kończy pisanie i wyczekuje, czeka na jego dalsze słowa. Ale to już wszystko, co może jej powiedzieć.

Razem czekają na pieniądze. Tuż po pierwszej przyjeździe Amit Sarkar i przywozi ze sobą walizkę. Andźali pokazuje K. D. stos pieniędzy.

– Tak – mówi K. D. – Zgadza się. – Czuje, że na jego twarzy pojawia się uśmiech. Ta sama gra, myśli. Wciąż trwa. Bierze od Andźali pióro, wbija czubek w plastikową folię i ciągnie. Przez powstałe rozcięcie wyciąga jeden banknot i podnosi go do okna, w stronę jasnego światła dnia. – Tak – powtarza. – Tak. Wydaje mi się, że to są ich pieniądze. – Nie ma pojęcia, co to może oznaczać dla Andźali, i czy w ogóle to coś znaczy. Ale oni wszyscy są szczęśliwi: a to już jest ważne.

Andźali zbiera pieniądze, zabiera swój bloczek, ściska K. D. i pospiesznie wychodzi. Musi iść, ale zostawia Amita Sarkara, który będzie słuchał K. D. i będzie nad nim czuwał. Organizacja wciąż pragnie, żeby on uczestniczył w tej grze, ale na to jest już za późno. K. D. kładzie się na łóżku, szeroko rozpościera ramiona. Poduszki są bardzo wygodne, miło czuć ich dotyk na policzku. Jest zmęczony. Czas odpocząć. Zamyka oczy. Oddycha głęboko i zasypia.

## Pieniądze



Zasiłki, fundusz zapomogowy i drobne oszczędności Katekara dały w sumie sześćdziesiąt siedem tysięcy siedem rupii i siedemdziesiąt cztery paisy. Rząd stanowy natychmiast przyznał rodzinie zmarłego zapomogę w wysokości dwóch lakhów, ale dziewięć i pół miesiąca trwało, zanim czek przedarł się przez meandry urzędu Mantralaja i przez nadgorliwą skrupulatność urzędników poszczególnych wydziałów. Minął prawie rok od śmierci męża, zanim Śalini mogła zrealizować czek i zdeponowała pieniądze na koncie. Obecnie całymi dniami biegała po sześciu gospodarstwach domowych, w których prała ubrania i zmywała naczynia, wykonując dźharu–katkę, a w każdym z tych domów za sprzątanie otrzymywała po tysiąc rupii. Przy dwójce dorastających synów pieniędzy było za mało i wyraźnie odczuwała ten gwałtowny brak w stosunku do czasów, kiedy Katekar przynosił do domu całe pliki banknotów. Ale w końcu na koncie pojawiły się te dwa lakhi, i chociaż dwa lakhi naraz mogło się zdawać zupełnie okazałą sumą, Śalini dobrze wiedziała, że nagłe i nawet spore sumy pieniędzy dają jedynie złudzenie dobrobytu. I to właśnie starała się wytłumaczyć swojej siostrze.

– Bharti – powiedziała. – Dwa lakhi to tylko wydaje się dużo. Ale pomyśl tylko, z ilu dni składa się nasze życie? Na jak długo te dwa lakhi wystarczą, biorąc pod uwagę trzy okresy życia? Moi synowie są jeszcze mali. Muszę zapłacić za ich szkołę, za wszystkie książki. A wszystko może się zdarzyć. W każdej chwili możemy potrzebować tych pieniędzy.

Bharti siedziała po turecku na wziętej z półki poduszce, naprzeciwko pracującego z pełną mocą wentylatora. Wytarła twarz w swoje pallu i pochyliła głowę, jak zawsze, kiedy była rozłoszczona.

– Tai, jeśli nie masz zamiaru ich wydawać, to po co chcesz trzymać je w banku? Nam one są potrzebne teraz, a przecież on mówi ci, że dostaniesz lepszy procent niż w banku.

Mąż Bharti, Wisznu Ghodke, miał dwóch znajomych, którzy zamierzali otworzyć biuro podróży. Jego udziały miały być niewielkie, ale nawet na to potrzebował pięciu lakhów, a miał niecałe trzy. Tymczasem Śalini przetrzymywała ponad dwa. I dlatego właśnie Bharti siedziała w tym domu, w czwartkowy wieczór, rozdrażniona i zła.

– On mówi, że to pewny interes. Ludzie coraz więcej podróżują. Obaj jego wspólnicy mają kontakty w Bahrajnie i w Arabii Saudyjskiej, a całe tysiące ludzi chcą się tam wybrać. Wiele tysięcy.

Śalini pokręciła głową.

– Bharti, nawet gdyby do Arabii Saudyjskiej chciały pojechać całe krory ludzi, ja nie mogę dać ci tych pieniędzy. Jestem sama. Jestem sama i muszę zadbać o moich chłopców.

Wysunięta szczeka Bharti sygnalizowała teraz wielkie rozgoryczenie.

– A co z nami? Przecież masz nas. Nie ufasz nam?

– To nie jest kwestia zaufania czy braku zaufania.

– W takim razie czego?

– Bharti, wszystko może się zdarzyć. Wszystko. – To w samym życiu nie można było pokładać zaufania. W tym życiu, które usuwa się człowiekowi spod stóp, a on spada i ginie.

– Ale ty przecież jesteś zabezpieczona, Tai. On będzie ci płacił w miesięcznych ratach, więc będziesz regularnie dostawać pieniądze. Oprócz

tego, co już zarabiasz. I nie musisz płacić żadnego czynszu. Nie będzie ci tak źle.

Śalini i Katekar siedem lat temu zapłacili sześć lakhów za ten dom. Zapłacili w czterech bolesnych ratach, gotówką, wyciśniętą z tysięcy umytych talerzy i wypranych halek, z niezliczonych pięćdziesięcio–i-sturupiowych łapówek. Dzięki temu ona i jej synowie mieli teraz dach nad głową, dwa pokoje i kuchnię, które były ich własnością. Tego właśnie pragnął Katekar, chciał być właścicielem, mieć kawałek ziemi, która nie będzie należała do państwa ani do właściciela posiadłości, pragnął mieć bezpieczny dom. I dał im to. A potem zginął. Świadomość jego nieobecności dociera do Śalini w nękającym ją od czasu do czasu spazmie mięśni, biegnącym przez plecy do żołądka. Odetchnęła głęboko, a potem jeszcze raz.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała. – Bharti, nie mogę ryzykować tych pieniędzy. Tylko pomyśl.

– Bo ty zawsze myślisz, Tai. Myślisz i myślisz. Ale my, ludzie, idziemy za głosem serca. I dlatego pomyśleliśmy, żeby cię poprosić. Myśleliśmy, że nas zrozumiesz. – Bharti zaczęła wstawać, zabierała swoją torebkę i zawijała się w sari.

– Bharti...

– Nie, nie, ty zawsze jesteś najmądrzejsza. Ty zawsze myślisz do przodu. I ty zawsze uzyskujesz to, czego chcesz, bo ty myślisz. Ale my jesteśmy inni.

Śalini wiedziała, że gdyby zaprzeczyła, wywołałaby tylko kolejną długą i gorzką rozmowę o złotym naszyjniku, który ich matka zostawiła jej, a nie Bharti, i o tym incydencie podczas rodzinnego wesela, kiedy to doszło do sporu o podział wręczanych w prezencie sari, a potem o tym, ile dokładnie pieniędzy wydano na wesele Śalini, a ile na wesele Bharti. Obie doskonale

wiedziały, do czego te dyskusje prowadzą, ale Bharti i tak w końcu rozplacze się, rozpali się słusznym bólem, a jej okrągła twarz rozmaże się i przybierze wyraz rozkapryszzonego dziecka. Śalini patrzyła więc w milczeniu, kiedy Bharti schyliła się, żeby zawiązać wokół kostek paski swoich wymyślnych, zielonych sandałów. Potem powiedziała, bardzo cicho:

- Przynajmniej poczekaj, aż chłopcy wrócą.
- Zostawiłam dzieci u mauśi. I tak już za długo to trwało.

Ta mauśi to mauśi Wisznu Ghodke, mieszkająca trzy domy od nich. Godna zaufania, ale o przykrym usposobieniu. Nie można było zbyt długo zostawiać dzieci pod jej twardą ręką. Śalini pomyślała sobie, że chłopcu nie zaszkodziłoby kilka dodatkowych klapsów i uszczyptnięć, ale dziś nie był najlepszy dzień na krytykowanie syna Bharti. Kiedy Bharti wychodziła przez drzwi, Śalini dotknęła jej ręki tuż nad łokciem, lekko klepnęła ją, w geście, którym zawsze witała i żegnała swoją siostrę. Ale Bharti podniosła tylko wysoko głowę i ruszyła ulicą, a Śalini powoli usiadła na progu. Pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku, na pięć minut rozluźniła się, odprężając się zupełnie. Obserwowała przechodniów. Było prawie wpół do ósmej wieczorem i do domów zmierzały tłumy ludzi. Już teraz cienie były długie, dni stawały się coraz krótsze. Wkrótce potrzebne będzie w nocy dodatkowe prześcieradło, koc. Zmieniała się pora roku. Przechodnie przepływali stałym strumieniem, hipnotyzującym równym rytmem, nieustannym ruchem nóg i kostek, tnących powietrze niczym nożyczki, kołysaniem się siatek z cebulami, ziemniakami, atta, mydłem i olejem kokosowym. Co młodsi nieśli eleganckie nesesery i szli szybszym krokiem, zdeterminowani i z jasno wytyczonym celem. Wszyscy ją mijali i szli dalej.

Pięć minut. Śalini dokładnie wiedziała, kiedy minęły. Od kiedy tylko sięgała pamięcią, zawsze miała bezbłędne wyczucie czasu, potrafiła podać

godzinę z dokładnością co do minuty i nigdy nie potrzebowała do tego zegarka. Zawsze budziła się bez budzika i codziennie przychodziła na dworzec sześć minut przed nadejściem pociągu. Wiedziała, że czas zakończyć odpoczynek, i wstała. Tylko przez moment, może przez jedno czy dwa uderzenia serca, jej ciało opierało się przed opuszczeniem miejsca spoczynku, tego luksusowego odpoczynku na ceglach i drewnie. Śalini jednak zebrała siły i wstała.

– Ambabai – powiedziała cicho, rzucając okiem w stronę bogini na półce – wstajemy, pobudka. Trzeba wziąć się do pracy.

Kiedy przyszli chłopcy, kolacja była gotowa. Rohit nabrał pół wiadra wody i zabrał młodszego brata na dwór. Śalini słyszała, jak szepczą, pluskając się. Ich ojciec stale zwracał uwagę na to, żeby, wracając do domu po zabawie, umyli ręce i nogi. W jego obecności zawsze buntowali się przeciw temu, traktowali to jako nieznośny, rodzicielski wymysł, zwłaszcza Rohit, który wymawiał się od tego obowiązku, jeśli tylko ojca nie było w domu. Teraz jednak, kiedy ojca rzeczywiście już nie było, Rohit wykonywał te wieczorne ablucje z rytualną powagą i jak policjant nieubłaganie pilnował, żeby brat w tym uczestniczył. Rohit rzeczywiście bardzo spoważniał. Każdego ranka rozmawiał z Śalini o tym, co potrzebne jest do domu, i po południu, po lekcjach, szedł na bazar. Zawsze co do grosza rozliczał się z reszty i pokazywał jej listę rachunków, którą prowadził w specjalnym zeszycie. Nosił teraz klucz do domu, zawieszony na szyi na czerwonym sznurku, i zdejmował go tylko do spania. Przewieszony przez prawe ramię klucz zwisał na zgiętych plecach chłopaka, który właśnie zasiadł do jedzenia.

– Mohit, zadanie odrobione? – zapytała Śalini.

Mohit miał zwawe, krótkie palce. Opuścił głowę i jadł szybko, trzymając thali na kolanach.

– Uhm – odparł. – Uhm.

– Aai, w piątek ma klasówkę z matematyki – odezwał się Rohit – i jeszcze nie zaczął się do niej uczyć.

– To dopiero w piątek – wykrztusił z siebie Mohit między jednym a drugim kęsem.

Na górnej wardze miał rozmazane dal. Chciał dać do zrozumienia, że do piątku są jeszcze trzy dni, Śalini rozumiała to. Na ostatnich egzaminach nie poszło mu zbyt dobrze, ale trudno oczekiwać czegoś innego po małym chłopcu, który niedawno był na pogrzebie ojca. Śalini sądziła, podobnie zresztą jak wszyscy, którzy go znali, że chłopiec z czasem przystosuje się, poradzi sobie, trochę zapomni, i znowu będzie spokojny, zrównoważony. Ale Mohit nadal się wymykał z domu, zostawiał nieodrobione zadania i gnał gdzieś w jakiejś tajnej, życiowej misji. Chował się za swoim łóżkiem, w kąciku zapchanym komiksami w krzykliwych okładkach przedstawiających wąsatych awanturników z pistoletami w dłoniach. Na marginesach zeszytów rysował pistolety i różnych umięśnionych bohaterów strzelających z ogromnych karabinów. Żył teraz w swoim świecie, wiódł własne życie, do którego Śalini nie miała już dostępu. Takie zachowanie dzieci nie było niczym niezwykłym, zwłaszcza wśród chłopaków, ale nigdy w tak młodym wieku. Otrzepała ręce z atty i przedramieniem postukała go w czubek głowy.

– Od jutra się uczysz – zarządziła. – Zgoda?

– Zgoda – odparł Mohit.

– Chcesz ryżu?

– Tak – odrzekł.

Śalini nakarmiła ich, pozmywała po posiłku, powkładała naczynia na półki i powiesiła garnki, patelnie i łyżki na specjalnych haczykach pod sufitem. Następnie, wzięwszy proszek do zębów i szklanę z wodą, usiadła

na progu domu. Na uliczce teraz już tylko pojedynczy przechodnie stąpali po plamach światła padającego z poszczególnych drzwi. Kiedyś, dawno temu, na jakiejś innej uliczce, on powiedział, że te powtarzające się światła przypominają mu wodospad. To było na początku ich małżeństwa. Tak, odpowiedziała mu, to wygląda jak kaskada w Karli. Byli wtedy bardzo biedni, a wycieczka do Karli i znajdujących się tam jaskiń stanowiła specjalny prezent, na który pozwolili sobie w pierwszą rocznicę ślubu. Chodził po jaskiniach, zachwycając się ich sklepieniami, rzeźbionymi na wzór drewnianych belek, i zatrzymywał się przed stupami, gdzie poważniał, choć już wtedy jego sceptycyzm był ostry i nieugięty.

Teraz wszyscy sąsiedzi oglądali *Sabse Bara Paka*, a na całej długości pokrytej błotem uliczki jednym rytmem migotały kolory. Dobiegł ją głos gospodarza programu, przeskakujący od jednego telewizora do drugiego i oferujący możliwość wygrania wielkich pieniędzy. Miała odbiornik w domu, ale w dzień powszedni zazwyczaj nie oglądali telewizji o tak późnej porze. To była jego zasada. Uczcie się pilnie, mawiał do swoich synów, a kiedy już będziecie mieli własne domy, będziecie mogli oglądać telewizję, kiedy tylko będziecie chcieli. Jedyne wyjątek robił dla *Kon Banega Krorpati*, ponieważ w tym programie trzeba było wykazać się wiedzą. Jeśli dobrze odpowiesz na pytania, możesz wygrać, tak po prostu możesz zdobyć krory rupii. Jeśli wiesz dostatecznie dużo, możesz być bogaty. Uczcie się, uczcie, powtarzał swoim synom, i wspólnie oglądali ten program, siadając po turecku jeden obok drugiego. Głośno wykrzykiwali odpowiedzi. Ona nazywała ich trzema małpami, a oni w odpowiedzi robili do niej małpie miny. Teraz Rohit uważnie oglądał *Sabse Bara Paisa*, a po jego twarzy przemykały niebieskie i zielone cienie programu. Mohit znowu schował się w swoim kąciku, mamrocząc jakieś swoje tajemne opowieści. Po pogrzebie przestał się interesować tym programem. Śalini siedziała na progu swojego



domu, a prowadzący program telewizyjny zapytał, jak nazywa się największy projekt irygacyjny zrealizowany w Indiach.

– Are, Śalu.

To była ich sąsiadka, Arpana. Wraz z mężem, Amrytrao Pawarem, wracali do domu, oboje w wyjściowych strojach. Dzisiejszego wieczoru wyglądali dosyć przyjaźnie i można się było domyślać, że obecnie trwało zawieszenie broni w ich wiecznej wojnie. Śalini przesunęła się nieco, robiąc Arpanie miejsce na schodku.

– Tak późno wracacie? – zapytała.

– Idziemy z kelwanu mojej bratanicy. Z Maladu.

– Mówisz o córce Sudhira?

– Tak. Wesele będzie w pobliżu jego kholi.

Arpana miała dwóch młodszych braci i była blisko związana z młodszym. Ze starszym pokłóciła się kiedyś z jakichś niezbyt jasnych powodów. Śalini słyszała tę całą historię, kiedy wprowadziła się do tego domu i poznała Arpanę, tę zadziorną sąsiadkę, nie pamiętała jednak szczegółów. Od wielu lat znała Arpanę i wielokrotnie była świadkiem jej kłótni z Amrytrao Pawarem, który niedaleko miał drugą kobietę i drugą rodzinę. Początkowo Śalini radziła Arpanie, żeby dała sobie z nim spokój, żeby go zostawiła. Potem zobaczyła jednak, jak potrafią przechodzić od kłótni do składania dozgonnych obietnic i wręczania wyszukanych prezentów. Pewnej monsunowej nocy, kiedy sama była w ciąży, wybrała się późną porą, żeby pożyczyć od Arpany dwie cebule. Stojąc na dworze pod ich drzwiami, usłyszała, jak się godzą, jak w przesadnym uniesieniu płaczą i wybaczają sobie nawzajem. Zrozumiała wtedy, dlaczego kobiety na ulicy śmieją się, kiedy Arpana narzeka na obojętność i okrucieństwo męża. Ten Amrytrao Pawar stał teraz zwrócony twarzą do nich, z rękami w kieszeniach i błakającym się na ustach wyniosłym uśmiechem satysfakcji.

Śalini nie lubiła, kiedy na nią tak patrzył. Niech napawa się swoją Arpaną. Odwróciła się do niego bokiem.

– Jak wygląda ten chłopak? – zapytała Arpanę.

– Za chudy – odparła Arpana. – Wygląda jak ta rynna tutaj, tylko nie jest taki czarny. Ale rodzina jest porządna. On pracuje na lotnisku. – Przerwała na moment masowanie stóp i podniosła wzrok na Amrytrao Pawara.

– Dlaczego stoisz jak słup?

Śalini bała się, że zaraz zaczną się kłócić pod jej drzwiami. Czasami wystarczyło jedno szczególne spojrzenie. Ale tego wieczoru Amrytrao Pawar był w świetnym nastroju i tylko zarechotał.

– Czekam na ciebie, rani. Ale mogę poczekać w domu.

Odprowdziły go wzrokiem, a Arpana prychnęła.

– Pili za domem. On myśli, że ja nie znam. – Wspólnie pokiwały głowami nad głupotą mężczyzn, a potem Arpana nachyliła się w jej stronę.

– Była dziś u ciebie Bharti?

– Tak. A skąd wiesz?

– Ćitra jechała z nami autobusem. – Ćitra była ich sąsiadką, mieszkała dwa domy dalej po prawej. – Mówiła, że widziała Bharti na przystanku.

A inni sąsiedzi widzieli ją na rogu, i idącą uliczką, i w domu, zauważyli wyraz jej twarzy i wyciągnęli wnioski.

– Tak – odparła Śalini. – Była u mnie.

– W środku tygodnia? Czy coś się stało?

– Nie, nic. To tylko kłopoty z pieniędzmi.

Arpana nie wyglądała na przekonaną ani usatysfakcjonowaną taką odpowiedzią. Ale Śalini nie miała zamiaru się poddawać i zmieniła temat rozmowy na Amrytrao Pawara. To był temat, któremu Arpana nie mogła się oprzeć. Zaczęła recytować listę jego ostatnich grzeszków, opowiedziała, jak to wybrał się do Mahabaleswaru z tą randi i jej trzódką – zabierając nawet

kaku tej randi – i wydał więcej, niż zarobił przez dwa miesiące, że potem kłócił się z Arpaną, kiedy ona miała do niego pretensje, kiedy powiedziała mu, że jest pozbawiony wszelkich ambicji i że nie chce podjąć najmniejszego ryzyka, że tylko trzyma się kurczowo swojej wyrobniczej pracy, głupiec bojący się świata.

– Praca nie leży na ulicy – stwierdziła Śalini. – Niech przynajmniej trzyma się tego, co ma.

– Ale z tego nie ma żadnych pieniędzy – odparła Arpana. Chodziło jej o to, że nie ma z tego nic oprócz gołej pensji. – A oni nigdy go nie awansują i nie podniosą mu pensji. W końcu są muzułmanami.

– Wydawało mi się, że jego kierownik jest braminem. To jakiś Badź–pai, prawda?

– Tak, zgadza się – odparła Arpana. – Ale firma należy do muzułmanów. A sama wiesz, jacy oni są.

Śalini skinęła głową. Trudno jej było z tym polemizować, ale wątpiła, żeby Amrytrao mógł sobą prezentować coś, co warte byłoby awansu. Arpana ciągnęła swoją litanie. Miała mocne, ciężkie ramiona i gruby kark, i z pewnością nie była piękną, a do tego przez ostatnich dziesięć lat zaczęły opadać jej policzki. Niemniej jednak wciąż co jakiś czas ona i Amrytrao Pawar na nowo schodzili się i rzucali się na siebie w porywie wściekłości i namiętności. Cała tragedia polegała, oczywiście, na tym, że Arpana nie miała dzieci. Dlatego też nigdy nie zdołała dowieść, że tak naprawdę to Amrytrao Pawar zawinił, i dlatego też on miał drugą kobietę. Tyle tego pełnego bólu pragnienia siebie nawzajem, tyle tej złości, i żadnych dzieci. Niezbadane są wyroki Ambabai.

– Już pora położyć chłopaków spać – odezwała się Śalini.

– Tak. U nich wszystko w porządku?

Sąsiadki z ulicy miały na chłopców oko, a Arpana szczególnie się nimi interesowała, często przesiadując z Mohitem, kiedy po południu wracał ze szkoły.

– Tak – odparła Śalini. – Wszystko w porządku.

Podniosły się, skinęły sobie głowami i poszły zająć się ostatnimi tego dnia obowiązkami. Śalini trochę posprzątała, pogoniła chłopców do łóżek, przygotowała posłanie i położyła się. Nadchodził ten najtrudniejszy moment całego dnia, kiedy czuła, jak bardzo brakuje jej złożenia głowy na jego brzuchu, kiedy jej kości przypominały sobie pozycję, którą jej ciało przybierało przy jego boku. W oczekiwaniu na sen jej umysł wędrował na wszystkie strony, szybki jak iskierka i zupełnie nieprzewidywalny, powracały do niej dowcipy Katekara i jego śmiech, drobne upokorzenia i radości z jej własnego dzieciństwa, wszystko mieszało się ze sobą, tak jasne i tak bolesne. Śalini przypominała sobie ten nieprzyzwoity wierszyk o Dewie Anandzie i Mumtaz i uśmiechnęła się, z tysiąc razy jej go mówił, zawsze z tym samym uśmiechem. Odetchnęła głęboko i wtedy nadszedł ból. Otarła twarz. Dobrze, że przynajmniej miała synów. Jej synowie spali w pobliżu. Powoli ogarniała ją senność. Muzułmanie tacy już byli. Zabili mojego męża. Jeden z nich go zabił, a teraz ten zabójca nie żyje. Czasami chciała, żeby on jeszcze żył, żeby ona sama jeszcze raz mogła go zabić. Ale Sartadź Singh zabił tego Biharczyka. Sartadź Singh też był zabójcą. Wszyscy byli zabójcami i wszyscy zabili jej męża. Wściekłość przeciskała się przez jej gardło, jak rozpalone żelazo, i choć Śalini próbowała ją powstrzymać ostatnimi strzępami woli, ta wydostała się jednak na zewnątrz, z przeciągłym skowytem, który uderzał o ściany i ją samą przeraził. Czekala, ale chłopcy byli już pogrążeni w głębokim śnie, a zza otwartych drzwi dochodził jedynie szmer jakiejś dalekiej rozmowy.

Śalini usiadła. Sięgnęła po szklanę z wodą i jak najciszej przepłukała dłonie, twarz i stopy. Potem usiadła po turecku przed Ambabai i Bhawani. Czy śpisz, Ambabai? Bhawani, już wystarczy twojej srogości – już nie ma kogo karać – ale udziel mi łaski. Przynieś mi spokój. Zawiodłaś mnie, Bhawani, codziennie prosiłam cię o jego szczęśliwy powrót, a ty mnie zawiodłaś. Nie będę ci już złorzeczyć, nie będę już pytać, dlaczego tak się stało. Nie podajesz mi żadnych powodów, a ja przyjmuję twoje milczenie. Ale daj mi odrobinę spokoju, daj ulgę od tego ogłuszającego bólu. Muszę zachować spokój, ze względu na moich synów. Ambabai, słuchasz mnie? Udziel mi tej łaski. Opłakuję go, ale daj mi siłę. Bhawani jest oślepiającym niebieskim światłem, nawet jej łaska przychodzi jak zimne światło księżyca, ale ty, Ambabai, jesteś urodzajnymi polami i wezbraną wodą, żyznym błotem, oddechem dziecka i lotosem z szeroką koroną, jesteś moją matką, pozwól mi powrócić z wygnania, pozwól mi znowu żyć w twoim cieniu. On był dobrym człowiekiem. Szedł do Pandharpuru, kiedy go o to prosiłam, chociaż nie wierzył, że pobożność może wyleczyć jego plecy. Żył w ciągłym bólu, widziałam, jak pod koniec dnia przyciskał dłoń do biodra i starał się trzymać prosto, ale dbał o nas i wykonywał swoją pracę. Był wymagający, ale nigdy surowy, a Rohit i Mohit nigdy nie musieli się go bać. W dniu swojego pierwszego awansu założył mi na szyję złoty łańcuch, i chociaż przeżyliśmy ciężkie chwile, nigdy go nie zdejmował. Nigdy nie pytał mnie o pieniądze. Kiedy się kłóciliśmy, nigdy mnie nie uderzył, raz tylko w złości złapał mój łokieć tak mocno, że został po tym siniak. Byliśmy młodzi, Ambabai, rozcierał potem ten mój ból za pomocą phatkari i rozgrzanego haldi, starał się mnie ułagodzić swoją skrucą. Pachniał wówczas kokosowym olejkim do włosów i tymi biri Siwaji, ale później zupełnie zrezygnował dla nas z używania tytoniu pod jakąkolwiek postacią. Wiem, że sypiał z różnymi kobietami, kłóciłam się z nim, a on mówił, że

już z tym skończył. Ale nie mógł mnie zwięść, ja wiedziałam dokładnie, kiedy on rzeczywiście przestał, kiedy naprawdę zrozumiał, co znaczy być ojcem. Ranił mnie, Ambabai, a ja jego. Wiem, że czasami dręczyłam go tym swoim lodowatym spokojem. Ale spełniałam swoje obowiązki jako żona, przytulałam go tak, jak tego potrzebują mężczyźni. Karmiłam go, a on podtrzymywał mnie na duchu. Byliśmy towarzyszami, przyjaciółmi, niekiedy się kłóciliśmy, ale nigdy nie żywiliśmy do siebie urazy. Aai, zarabiam teraz pieniądze, jakoś sobie radzę, żyję z dnia na dzień, ale w nocy czuję jakiś szorstki sznur, który ciągnie mnie za brzuch, odwracam się na drugą stronę łóżka, tam, gdzie on zawsze był, i widzę różne rzeczy. Widzę, jak on kaszle w łóżku, leży z gorączką, ja przynoszę mu gazetę, a kiedy on bierze ją do ręki, tak rozpalonej, mnie ogarnia niepokój. Albo on wchodzi do kholi, a przed nim raczkuje Mohit, z mokrą pupą. Widzę, jak on siedzi ze skrzyżowanymi nogami i liczy pieniądze. Ja siekam cebulę, a następnego dnia jest Sajani Ekadaśi. Ambabai, gdzie jesteś? Bhawani, czy mnie słuchasz? Czuję twoją bliskość, Ambabai, ale jestem sama. Ambabai, przyjdź mi z pomocą. Nie mam nikogo.

– Aai?

Za nią stał Rohit. Pozwoliła mu zaprowadzić się do łóżka, słuchała, jak próbuje ją pocieszyć, a potem pozwoliła, żeby wrócił do siebie, żeby mógł sam się pocieszyć. Znowu przypomniała sobie tę noc, kiedy poszła do Arpany pożyczyć dwie cebule, jak stała wtedy pod drzwiami domu Arpany, przytulając się do drewna, żeby schować się przed lejącym deszczem, i słuchała wydawanych przez Arpanę dźwięków, zarazem gorzkich i słodkich. Wysiłkiem woli Śalini odwróciła uwagę od tego wszystkiego, zmusiła się, żeby o tym nie myśleć, nie zastanawiać się nad tym wszystkim. Ale wciąż odczuwała lekki, tępy ból, który poruszał się z każdym jej oddechem. dzielnie go znosiła, nieustannie szepcząc imię Ambabai.

Andźali Mathur prowadziła śledztwo w sprawie pieniędzy. Robiła to w wolnych chwilach, które czasami znajdowała pod koniec dnia albo bardzo wcześnie rano. W ten wtorek udało się jej przyjść wcześniej do pracy i zajęła się czytaniem starych kartotek. Przeglądała bazę danych pod kątem podrobionych pieniędzy, poszukując dużych ilości fałszywych banknotów, o których wiadomo było, że zostały wydrukowane przez Pakistańczyków. Nawet po wybraniu na chybił trafił granicznej daty 1 stycznia 1987 roku uzyskana z bazy danych lista incydentów i wzmianek w raportach liczyła siedemdziesiąt cztery strony gęstych linijek tekstu z pojedynczym odstępem. Przez ostatnie cztery miesiące przedzierała się przez te raporty, przeglądając je jeden po drugim. Zajęcie było bardzo nużące, a do tego najprawdopodobniej traciła tylko czas, nie mówiła więc nikomu o swoich poszukiwaniach. Nie miała pojęcia, co chce znaleźć, wiedziała tylko, że poszukuje jakiegoś szczegółu, jakiegoś ukrytego w szczegółach planu. W szerokim kontekście geograficznym i czasowym ujawni się jakieś powiązanie, łańcuszek przyczyn rozwinie się wstecz i ukaże początek, nie, nie początek, ale jakiś węzeł, w którym zbiega się wiele wątków historii, a śmierć Ganeśa Gaitondego wpasuje się w ciąg wydarzeń. Andźali nie chciała uzyskać wyjaśnienia, nie ufała wyjaśnieniom. Każde wyjaśnienie, każde rozwiązanie zbyt wiele pomijało. Wierzyła natomiast skojarzeniom, korelacjom i rytmom, a także zawirowaniom kurczącego się czasu. To właśnie starał się wpoić im K. D. Jadaw; pragnął, żeby wyczuwali pulsowanie i drzenie intencji wroga, bo to dopiero stwarza możliwość przewidywania. I dlatego, po tych analizach, tworzeniu odnośników, wykorzystaniu tych wszystkich komputerów i tej całej matematyki, cała praca sprowadzała się właśnie do tego: do czytania, jeden po drugim, starych raportów. Ostatecznie wszystko zależało od instynktu. A jej

instynkt, czuła to w kościach, mówił, że istotne jest pytanie o powrót Gaitondego do kraju, o jego śmierć, o bunkier w środku Kailaśpady, o martwą kobietę. To wszystko nie miało jednak sensu, nic nie przemawiało zrozumiałym dla niej językiem.

Już dawno temu nauczyła się odszyfrowywać specyficzny żargon raportów, na podstawie ich porwanego telegraficznego stylu tworzyć obraz wydarzeń. Właśnie czytała jeden z nich, napisany na czystym, zwyczajnym papierze.

### **ŚCIŚLE TAJNE**

Numer informatora... 910-02-75P z... Jednostka Dżammu Alpha

Numer raportu... 2/97 data... 27.1.97

Dane o informatorze: Rehmat Sani jest rolnikiem i przemytnikiem, ma rodzinę po obu stronach granicy. Informacje uzyskano od kuzyna Jasina Hafiza służącego w armii pakistańskiej.

Sposób komunikacji: Osobiste spotkanie.

Stopień wiarygodności: II

Informator odbył spotkanie z kuzynem w wiosce Bhanni 13.1.97.

Kuzyn jest hawildarem w trzynastym batalionie, w regimencie pendzabskim w Mandi Japparze. Jego pluton został odkomenderowany do eskortowania prywatnej, trzytonowej ciężarówki na trasie od znanej prasy drukarskiej, służącej do fałszowania pieniędzy przy ulicy San Karnan 142 (patrz raport 47/96) do bazy Laśkar-i-Azadi w Hafizgandżu. Przesyłka składała się z czterech skrzyń o wym. 1,2 x 1,2 x 1,2 m i została odebrana przez zastępcę dowódcy bazy Laśkar, Raśida Khana, Informator nie posiada żadnych innych informacji na temat zawartości skrzyń. Z wysokim prawdopodobieństwem można założyć, że zawierały duże ilości banknotów o średnim nominale, które miałyby zostać użyte podczas wiosennej ofensywy w Dolinie Kaszmiru lub w innym miejscu. Informator został poinstruowany, żeby nadal prowadził obserwacje.

Andżali znała autora raportu. Poznała go podczas szkolenia, gdzie był jej batchmate. Nazywał się Gauraw Śarma i w wieku dwudziestu sześciu lat



był łysy jak kolano. W 1997 roku przebywał na placówce w Dżammu, a jego styl można było rozpoznać po tym sformułowaniu „z wysokim prawdopodobieństwem”. W okresie szkolenia był pochłonięty teorią chaosu i podczas przerw, przy ćaju i samosach, starał się podzielić z kolegami i koleżankami ze szkolenia zachwytem nad fraktalami i dziwnymi atraktorami. Zgodnie z przekazanymi im podczas szkolenia zaleceniami w raporcie nie umieszczał własnych komentarzy, starał się pisać bezosobowo i obiektywnie. Była to powszechnie przyjęta metoda dla wędrujących w górę informacji. Z pewnością ten informator był jakimś spoconym łajdakiem, przygranicznym przestępcą, przemytnikiem i mordercą, od urodzenia naznaczonym fatalizmem przez te pociski artyleryjskie, które w ostatnich pięćdziesięciu latach armie posyłały nad jego głowę, a które spadały na jego wioskę i pola, zabijając wujów i ciotki. Był jednym z tych ludzi, którzy potrafili w bezksiężycową noc przekroczyć granicę, którzy nie zważali na niebezpieczeństwo oberwania szrapnelem podczas pokonywania ziemi niczyjej. Wiedział, co to znaczy godzinami leżeć bez ruchu w polu pszenicy, kryjąc się przed przypadkowym, sondującym ostrzałem ciężkich karabinów maszynowych, wiedział też, kiedy można się czołgać, a kiedy należy się zatrzymać. Z pewnością nakłonił swojego kuzyna z armii pakistańskiej do przekazywania mu informacji, najpierw kusił go łatwymi pożyczkami na małżeństwa i ciągniki, a potem już wprost mu płacił. Zarabiał po obu stronach, od tego swojego kuzyna i od prowadzącego go oficera. I również pewne było, że ten oficer wręczał mu skrzynki taniego rumu, które on zabierał po trzy i przerzucał przez granicę na rytualnie czyste tereny Pakistanu. Prowadzącego oficera spotkał się z nim pod koniec stycznia 1997 roku, prawdopodobnie w jakiejś budzie, w jakiejś cuchnącym wiejskim alkoholu dhabie, zapłacił mu, a potem złożył raport w biurze nadzorczym, w Dżammu. A tam Gauraw Śarma przygotował z kolei raport dla biura kontaktowego w Delhi. Te informacje stanowiły podstawę raportów, które następnie wędrowały coraz wyżej, aż w końcu mogły dotrzeć do ministra, informując go, że wszystkie dane wskazują na to, że nieprzyjaciel planuje wiosną wczesną ofensywę. Być może premier przydzielił fundusze, wystąpił z wnioskiem o wprowadzenie zmian w budżecie. Na każdym kolejnym szczeblu wzrastał stopień ogólności przekazywanych informacji. Szczegóły systematycznie odrzucano. Na tym poziomie, w biurze kontaktowym w Delhi, pozostały tylko nazwiska, miejsca, ciężarówki i skrzynie, a także Rehmat i Jasin. Góry nie

interesowało, jak informacje zebrano. Waszym zadaniem, mawiał K. D. Jadaw, jest również ochranianie znajdujących się u góry ludzi przed nadmiarem wiedzy. Oni nie powinni wiedzieć. Oni powinni być w stanie działać, a nie grzęznąć w szczegółach. Zawsze muszą mieć możliwość wyparcia się wszystkiego. A więc czyściec ze szczegółów. Mówcie im tylko tyle, ile to konieczne. Bas.

Andźali odłożyła raport i zajęła się swoją codzienną pracą. W organizacji, w jej zawodowym kręgu w Delhi, ten jej wyjazd do Bombaju został ostatecznie uznany za błąh. Ten cały Gaitonde przecież sam się wykończył, po wielu latach likwidowania innych ludzi, więc o co chodzi? Takie oprychy z definicji były niezrównoważone, a za Gaitondem ciągnęła się cała historia alkoholu, kobiet i czego tam jeszcze. Wszyscy o tym wiedzieli. To prawda, wybudował sobie kryjówkę w Bombaju. I co z tego? Ten człowiek sam zadał sobie śmierć, i to był jedyny istotny fakt. Po cóż więc doszukiwać się innych faktów, i czy w ogóle znaleziono jeszcze jakieś fakty? Żadnych. Uprzedzaliśmy przecież, powiedziała starszyzna organizacji, że nie można ufać kobietom działającym w terenie. I dlatego też w końcu to Kulkarni został wyznaczony do prowadzenia Gaitondego. Kulkarni swoją karierę zaczął w Pendźabie i prowadził operacje w Kaszmirze. Uznano, że jest dostatecznie twardy i na tyle zadomowiony w Maharashtrze, żeby poradzić sobie z tym ordynarnym gangsterem. Kulkarni traktował Andźali nieco protekcjonalnie, ale udostępniał jej swoje raporty.

– Wiem, że interesujesz się tym człowiekiem – powiedział, ukazując zęby w uśmiechu – a dobry analityk zawsze się przyda.

Śledziła więc dalszą historię Gaitondego, obserwowała, jak był wykorzystywany przez organizację i jak sam ją wykorzystywał, jak wymknął się zabójcom, jak pogłębiała się jego paranoja, jak coraz bardziej okłamywał swojego opiekuna, jak narastało jego niezrównoważenie i jak nagle zniknął. Kiedy pojawił się ponownie w swojej dawnej okolicy, już w

postaci zwłok, uśmiechnięty Kulkarni był na tyle uprzejmy, że pozwolił jej tam pojechać i zbadać sprawę.

Nie udało się jej niczego konkretnego znaleźć i powróciła do swoich analiz. Odpowiadała za sprawy dotyczące islamskich fundamentalistów, a jej rewir obejmował cały świat. Teraz śledziła pewnego Szkota. Urodził się w 1971 roku w Edynburgu jako Malcolm Mourad Bruce, w rodzinie szkockiego stolarza i algierskiej pokojówki hotelowej. Ojciec opuścił rodzinę, kiedy Malcolm miał siedem lat, odszedł, nie oglądając się nawet za siebie, a matka przeniosła się do Birmingham, gdzie zamieszkała u brata i jego rodziny. W wieku siedemnastu lat Malcolm Mourad Bruce stał się Mouradem Ćakerem, żarliwym orędownikiem prostego życia, który cieszył się popularnością w lokalnych meczetach jako rudowłosy, młodociany kaznodzieja. Kiedy miał dwadzieścia dwa lata, pojawił się w Afganistanie, walczył z Sowietami i siedem razy był ranny. Cztery lata później zaczęły napływać raporty o rudowłosym Mouradzie walczącym w szeregach GIA w Algierii i mordującym dziennikarzy, biurokratów, wojskowych i cywilów. Zdobył uznanie jako najbardziej nieustępliwy przywódca ugrupowania Salafijja, odmawiający rozmów nawet z umiarkowanymi w swoich poglądach przedstawicielami frakcji Dżazarystów w swojej grupie. Zawzięty Mourad, którego wiara płonęła w oczach i w ogniu włosów, wierzył tylko w globalną rewolucję islamską. W 1999 roku indyjski wywiad wojskowy doniósł o nowej grupie bojowników, działających w dolinie Kaszmiru pod wodzą rudowłosego Mourada. Był to, oczywiście, ten sam człowiek. Ale czy jego obecność świadczyła o tym, że GIA instytucjonalnie zaangażowała się w walki, że będą posyłać pieniądze, broń i ludzi? A może Mourad trafił tu na własną rękę, poszukując kolejnej wojny, kolejnej misji? Andżali próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie. Czytała przez cały ranek i całe popołudnie, szukając związków, historii

mężczyzn i kobiet, przyświecających im idei, tworzonych przez nich związków oraz odbytych zagranicznych podróży. Przeglądała raporty organizacji międzynarodowych z doliny Kaszmiru, dokumenty zespołu doradców z Waszyngtonu, udostępnione im przez CIA informacje wywiadowcze, których dostarczyła grupa robocza, trzy rozdziały książki o algierskich zamieszkach autorstwa niemieckiego uczonego, skserowane artykuły z algierskich gazet i czasopism, ze zdjęciami zabitych, przetworzonych przez maszynę w płaskie czarno-białe wzory, i obejmujące dwa lata raporty z terenu, przesyłane przez agentów organizacji z Maroka, Egiptu i Algierii. Pograżona w skupieniu, które otaczało ją jak keson, nie zwracała uwagi na biurowy gwar przetaczający się po korytarzu, na wspinający się blask słońca na zakurzonej oknie i na gołębia, który na zakrzywionych szponach przekroczył kraty i wpatrywał się w nią. Od czasu do czasu przykładła do kącika ust plastikową butelkę i nie przerywając czytania, popijała wodę. Podczas studiów doktoranckich nabyła umiejętność notowania, umożliwiającą jej pisanie w równych i czytelnych liniach bez potrzeby częstego spoglądania na kartkę, i teraz zapępiała stronę po stronie. Dzień mijał powoli. O pierwszej trzydziści usłyszała delikatne pukanie do drzwi i do pokoju wsunął głowę Amit Sarkar.

– Proszę – powiedziała Andźali. – Możesz wejść, Amit.

– Pani komendant, może pora na lunch?

Amit Sarkar był świeżo upieczonym małżonkiem i dzięki kuchni żony z tygodnia na tydzień nabierał ciała. Zniknęła już ta chudość wygłodzonego słuchacza studiów magisterskich, którą Andźali pamiętała z pierwszych dni jego szkolenia, i przynosił teraz trzypiętrowy tiffin, którym z chęcią się dzielił. Był wzorowo uprzejmy, ale widać było, że nie pochwała jej sposobu odżywiania się i że współczuje jej tego samotnego życia rozwódki. Zdarzało się, że na niego warknęła, podświadomie zirytowana jego

tupetem. Ale dziś ucieszyło ją, że jej przeszkodził. Można było oszaleć, przez cały czas miotając się między jednym a drugim zagrożeniem, żyjąc między atakiem a kontratakiem. Wraz z dalem i bhatem Amit Sarkar przyniósł jej również powiew normalności, domu i kuchni.

– Co dzisiaj mamy?

– Ćingri mačer, pani komendant. To maithilska specjalność.

Maithli była niska i okrągłutka, a kiedy się uśmiechała, wysuwała podbródek, a jej oczy niemal znikwały. Andźali spotkała ją dwa razy i uznała ją za osobę dosyć przeciętną i raczej mało ciekawą rozmówczynię. Ale krewetki przyrządzała naprawdę dobre. Kiedy Andźali skupiała się na jedzeniu, Amit opowiadał jej o projekcie, którym się aktualnie zajmował. Poleciła mu sprawdzić przepływ pieniędzy z zagranicy, głównie z Arabii Saudyjskiej i Sudanu, do radykalnych islamskich organizacji w Indiach. Zupełnie niedawno, dwa dni temu, udało mu się znaleźć powiązania łączące grupę studentów z Triwan–drum z seminarium w Nagpurze, nici biegnące od studenckiego przywódcy do pośrednika handlowca i do krewkiego muły. Robota została dobrze wykonana i teraz Amit przedstawiał całą historię. Przywódca studentów miał brata, który pracował w Dubaju, i prawdopodobnie ten brat zajmował się przekazywaniem pieniędzy, informacji i ideologii. Andźali jadła i słuchała. Być może Amit miał zadatki na dobrego analityka: podniecały go szczegóły, łączenie faktów sprawiało mu przyjemność. Zdarzało mu się, co prawda, zagalopować się w założeniach, tak bardzo pragnął, aby jego historie układały się w całość, że pozwalał wyobraźni na dorabianie faktury i głębi do przypuszczeń. Można go było jednak tego oduczyć, na tym polegało jej zadanie: odzwyczaić go od fantazjowania. Wykazywał niezbędny zapał. Poczekala, aż skończy, a potem sprowadziła go na ziemię, do gołych faktów: braci, Dubaju, codziennych rozmów telefonicznych. To było wszystko.

– To interesujące, co mówisz, ale nie ma dostatecznych danych, żeby wyciągać tak daleko idące wnioski – powiedziała. – Potrzebujemy więcej danych.

– Czy możemy zwrócić się z prośbą o zgodę na podjęcie działań?

Andźali nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Miał w sobie tyle entuzjazmu, co szczeniak sapiący po złapaniu pierwszego szczura.

– Możemy prosić – odparła – ale jej nie dostaniemy. Jest wiele ważniejszych spraw.

Skinął głową ze zrozumieniem, ale chociaż próbował okazać dojrzałą obojętność, Andźali dostrzegła, że przełknął lekkie rozczarowanie. Każdy z praktykantów marzył o tym samym: żeby przenieść sprawę z etapu analizy do etapu działania, żeby znaleźć tropy prowadzące do spisku tak niebezpiecznego, że wymagałyby zaangażowania nadzwyczajnych środków i bohaterkich ludzi, którzy będą oddawać strzały w ciemnościach. W ten sposób myśleli wszyscy początkujący praktykanci, tak właśnie werbowano ich do służby. Ale służba wyglądała inaczej, trzeba było czytać i czytać, zbierać niekompletne historie i zrozumieć, że pewne zagrożenia mogą być śmiertelnie niebezpieczne, ale i tak nie są warte przydzielania środków. Pewne wydarzenia tylko się obserwowało, pozostawiając je własnemu losowi. Próbowała pocieszyć Amita.

– Ale nigdy nie wiadomo. Nadal będziemy ich obserwować. Mogą zrobić się zbyt ambitni i spróbują podjąć jakieś działania.

Amit nie wyglądał na specjalnie pocieszonego, ale starał się nadrobić miną, kiedy zbierał swój tiffin. Andźali podziękowała mu i wróciła do swoich papierów. Strony pachniały teraz haldi i adrakiem, i zastanowiła się, czy po latach jakiś inny analityk wyczuje tę ledwo zauważalną woń i poczuje nagłą tęsknotę za domem. Zagłębiła się w lekturze, ale nie odstępowała jej ta zmarszczona brew Amita. Nie czuł się dobrze, zamknięty

w biurze w Delhi, pragnął unurzać sobie ręce w brudzie. No cóż, wkrótce będzie mógł wykazać się w akcji. Ktoś, jakiś duśman, zawsze robił się zbyt ambitny, i zawsze ktoś próbował czegoś dokonać. Siedząc w małym pokoiku w trzewiach MEA i czytając przez cały dzień raporty, trzeba było zмагаć się z atakami nieustannie wzburzonej ludzkości, z nieodmiennym ruchem pożądania, zawiści i nienawiści. Wyglądało na to, że nikt, ani jeden mężczyzna czy kobieta, nie potrafi usiedzieć spokojnie w gaju szczęśliwości. Zawsze trzeba było udać się w jakieś miejsce, kogoś pokonać, coś zdobyć. Cóż, dzięki temu miała pracę i swoją drogę w życiu. Czytała dalej.

O szóstej zabrała teczkę i torebkę, zamknęła sejf i szafy na dokumenty, kluczyki do samochodu włożyła do zewnętrznej kieszeni torebki i szybkim krokiem zeszła do garażu. Dwóch wąsatych, pełniących służbę przy wjeździe policjantów obrzuciło ją spokojnym spojrzeniem, kiedy obok nich przejeżdżała; tym mętym i beznamiętnie agresywnym spojrzeniem, jakie na co dzień muszą znosić samotne kobiety w Delhi. Nie podobało im się to, że jest kobietą, że jest sama, że ma swój samochód, że regularnie dostaje własną pensję. Kiedyś, gdy była jeszcze młodsza, odwracała głowę, patrzyła na nich i pytała: „Na co się tak gapicie?”. Z podniesionym czołem stawiała przed biznesmenami, kierowcami autobusów, studentami, robotnikami i policjantami. Policjanci byli najgorsi, chronieni swoją władzą i upojeni codzienną dawką agresji i przemocy. Ale również im stawiała czoło, zmotywowana wspomnieniem swojego ojca, który zachwycony śmiał się na widok jej dziecięcej, tak chłopięcej zadzierzystości, jej odwagi, tego, że nigdy nie chciała się poddać. Nadal była nieustępliwa, ale pewnego dnia zauważyła, że jest już zbyt zmęczona na te konfrontacje. Nie chodziło tylko o tempo pracy. Czuła znużenie gdzieś w głębi, jakby napędzająca ją stalowa sprężyna straciła swoją początkową sprężystość. Niech młodzi

zajmą teraz miejsca na barykadach, te dziewczyny, które włóczyły się po kampusach college'ów z obnażonymi brzuchami i telefonami komórkowymi. A te sterane i wyniszczone muszą już zмагаć się w innych bitwach.

Andźali pokonała szeroki zakręt bulwaru, mrużąc oczy przez zachodzącym słońcem, i uśmiechnęła się do siebie. Jakiegoż umiarkowania nabrała z wiekiem, ten jej cały początkowy rewolucyjny zapał uległ erozji w związku z... W związku z czym? Długimi godzinami pracy, rachunkami, tym brzęczącym ruchem ulicznym, trującymi zanieczyszczeniami, które pozostawiały warstwę czerni na jej twarzy i ramionach. I w związku z porażkami zawodowymi, rozwodem i tą nagłą amputacją miłości, i z uświadomieniem sobie owej odczuwanej głęboko w kościach prawdy, że przyszłość nie jest bezkresną łąką, a jedynie wąską doliną, zewsząd ograniczoną nocą. Kiedy patrzyła na swoją matkę, na jej wykrzywione artretyzmem nogi, na jej dłonie pokryte skórą suchą jak papier, czuła presję śmiertelności. Jej matka umrze. Już niedługo umrze K. D. Jadaw. Tylko jej ojciec był nieśmiertelny, zawieszony gdzieś w tej nieskończonej młodości osób zaginionych. Według prawa był już martwy, a jednak wciąż żył. Andźali czuła jego obecność bardzo wczesnie rano, kiedy wynurzała się ostrożnie przez mokradła snu. Przychodził do niej osnuty tym słonym zapachem potu i brylantyny, z ramieniem tak mocnym przy jej policzku, jak ciepło światła słonecznego z narożnego okna. A potem znowu zniknął, zupełnie go nie było.

Obok szyby Andźali zatrzymał się srebrny lexus i przez chwilę wspólnie czekali, aż samochody ruszą dalej. Za przyciemnioną szybą lexusa jakaś nastolatka powoli żuła gumę. Przeglądała ilustrowany magazyn, szybko przerzucając strony od prawej do lewej. Była piękna i wyglądała na bardzo znudzoną. Jej ojciec był ministrem, potentatem, słynnym lekarzem, jednym



z tych magików, którzy kręcili interesy na skrzyżowaniach wielu istniejących w Delhi świątków. Żyła w atmosferze lexusa, w sporym oddaleniu od Andźali, w strefie klimatycznej określonej przez Wasant Wihar i Senso, przyjęcia na wsi i kuse sukienki. Wyczuła spojrzenie Andźali i zmierzyła ją wzrokiem, a potem, zupełnie obojętna, powróciła do czasopisma. Andźali widziała swoje odbicie w szybie lexusa, obraz spoconej i bardzo przeciętnej przedstawicielki klasy średniej, ubranej w brązowy kamiz i czerwone ćunni, której nie stać na zakup części zapasowej do zepsutej klimatyzacji. Pojazdy rozjechały się w dwie strony i lexus zniknął. Andźali potarła podbródek. Jakże łatwo czuć zawiść, jakże łatwo życzyć sobie, żeby jacyś rozłoszczeni policjanci zatrzymali lexusa i poprosili o dowód rejestracyjny i prawo jazdy, a potem przedstawili prawne zastrzeżenia do przyciemnianych szyb i oskarżyli tę szybującą maszynę o niedozwolony poziom emisji spalin. Andźali zlekceważyła tę myśl wzruszeniem ramion, wyprostowała się na fotelu i powróciła do faktów, do tego, co trzeba zrobić, do pracy. Zawiść była bezcelowa, a tym bardziej bezsensowna, że ponurzy policjanci potrafili rozwiązać wszelkie problemy za marną łapówkę w wysokości dwustu czy trzystu rupii.

W klinice Andźali pospiesznie opłukała wodą twarz i ramiona. Kiedy wyszła z łazienki, zauważyła, że głowa wujka K. D. nadal jest przechylona w stronę okna, dokładnie pod tym samym kątem, jak wtedy, gdy go zostawiła. Jego profil rysował się ciemną linią na tle jasności, ten dobrze znany łuk wysokiego czoła i chudej łysej czaszki, ten dziób jego nosa. Już od pięciu tygodni słowem się nie odezwał. Był uległy i łagodny, kiedy ktoś brał go za rękę, szedł, pchnięty delikatnie na krzesło, siadał. Jadł powoli, ale trzeba go było karmić, i nie okazywał żadnego zadowolenia, spożywając ulubione potrawy. Był zupełnie obojętny na wszystko. Oddalił się. Andźali doskonale zdawała sobie z tego sprawę, dostrzegła to, kiedy

siedziała na wprost niego i do niego mówiła. Za tymi powolnymi mrugnięciami powiek nie było śladu szczęścia ani smutku. Po prostu był nieobecny. Odszedł gdzieś daleko poza wszelką nienawiść i pragnienie i nie potrafił już kochać. Ale Andźali i tak przychodziła, kiedy tylko mogła, i przesiadywała z nim. W ciągu dnia pielęgniarki przekładały go na drugi bok, prowadziły do łazienki i do ogrodu, ale Andźali lubiła odwracać go w stronę okna, w stronę zachodu słońca. Dawno temu, jeszcze w dzieciństwie, zauważyła, jak lubi zmieniające się barwy. Lubił góry i śnieg. Opowiadał jej o szczytach Himalajów, o tym, jak o świcie i o zmierzchu zmieniają kolor na jasnożółty, wyraźnie odcinający się na tle błękitu.

Lekarze dawali mu dwa, może trzy miesiące życia. Andźali widziała, jak bardzo stara się do niej powrócić, kiedy opowiadał jej o podrobionych pieniądzach. Po tym chwilowym powrocie pogodziła się, zupełnie i bez żadnych nadziei, z faktem odejścia. To, co widziała teraz przed sobą, nie było już K. D. Jadawem. Ale i tak przychodziła tu i przesiadywała z nim wieczorami. W żadnym razie nie mogła go porzucić.

Rozsiadła się na krześle przy łóżku i otworzyła na zaznaczonej stronie swój plik papierów. Czytała skserowany artykuł z czasopisma, zatytułowany *Historia ascetycznych wojowników w Indiach*. Informacja, że Gaitonde poszukiwał sadhu, prowadziła donikąd, i teraz nawet Andźali doszła do wniosku, że albo to jakaś błędna interpretacja faktów, jakiś żart czy też aluzja do czegoś innego, albo też wierutna bzdura. Ale jej początkowa lektura na temat sadhu spowodowała, że wpadła w kolejną ze swoich obsesji. Sama nazywała je „projektami”, chociaż jej były mąż, Arun, twierdził, że to manie: potrafiła zafascynować się jakąś niejasną rzeczą, jakimś mrocznym procesem, interesującym tylko dla dwudziestu ludzi na świecie, i musiała wszystkiego się o tym dowiedzieć. Jej projekty obejmowały cykl życiowy i organizację społeczną czerwonych mrówek,

historię rzeźb z terakoty na subkontynencie, ekonomię i organizację sowieckich gułagów, początki lokomotywy parowej i kolei. Kiedyś przez cztery cudowne miesiące czytała, w każdej wolnej chwili, o kampaniach Juliusza Cezara. Żaden z tych tematów nie miał dla niej praktycznego zastosowania. Próbowała wytłumaczyć Arunowi, że dla niej cała przyjemność leży w drobnych szczegółach, w dowiadywaniu się, jak coś działa, jak poszczególne elementy układają się w całość. W okresie narzeczeństwa uważał, że te jej projekty są zabawne, urocze w swojej ekscentryczności. Podziwiał jej ciekawość i pamięć. Później jednak, już po ślubie, Aruna znużyło to jej nieustanne czytanie i jej pytania. Podczas któregoś z kłótni powiedział, że jest nudna. Oczywiście, zawsze wiedzieli, że się różnią, ale wcześniej zdawało się, że jego towarzyskość i jej cichy spokój jakoś się zrównoważą. Po pewnym czasie, później, on coraz bardziej lubił spotykać się ze stale rosnącym kręgiem znajomych, popijać whisky i oglądać wyścigi Formuły 1, z których nigdy nie zrezygnował, nawet kiedy jako stażysta został wysłany na placówkę gdzieś na prowincję w Madhja Pradeś. Zabrał się z wiozącą węgiel ciężarówką, żeby móc oglądać zawody na dużym telewizorze, a kilka lat później, również w noc wyścigów, doszedł do wniosku, że Andźali jest nudna. Ona wciąż miała wrażenie, że może nie uważałby jej za tak nudną, gdyby potrafiła zrezygnować ze swojej kariery i przenosiła się wraz z nim na wszystkie nowe placówki, jak robiły to inne żony pracowników IAS. Tak czy owak, działało się to dawno temu i już dawno było po wszystkim. Andźali wróciła do artykułu o rebelii saxnjasinów.

Nie mogła się jednak skupić. Czytanie przychodziło jej z trudem, kiedy nie mogła omówić tego materiału z wujkiem K. D., kiedy zabrakło dyskusji, objaśnień i pytań. Zawsze czytała wraz z nim, nawet kiedy on podróżował gdzieś na drugim końcu świata, a teraz pozostała tylko ta

nieobecność, odpowiadająca jej z wyniosłą obojętnością. Ta cisza drążyła w niej dziurę, otwierała lukę, grożącą ujawnieniem bardziej rozległej otchłani, którą pozostawił za sobą jej ojciec, i Andźali poczuła rodzącą się panikę. Z trudem znosiła tak absolutną samotność, była ona wprost nie do wytrzymania. Wstała i zaczęła spacerować od drzwi do okna, żeby rozchodzić ten lęk. Nie jest sama. Ma mamę, którą musi się opiekować, ma wielu znajomych i dobrych kolegów w biurze, a także tę tak istotną, ważną pracę. Jest potrzebna. I jest jeszcze pewien mężczyzna, chyba pewien mężczyzna, profesor socjologii, nieco od niej młodszy, ale bardzo delikatny. Wciąż mogła jeszcze liczyć na miłość, a przynajmniej na towarzystwo i współczucie, w przeciwieństwie do biednego wujka K. D., który wiódł życie prawdziwego ascety. Zatrzymała się, wyprostowała i powiedziała sobie, że ma przestać zachowywać się jak idiotka. Serce jej się kraje, bo traciła wujka K. D., ale jego część wciąż tu jest, Andźali winna mu była przynajmniej spokój i zdyscyplinowanie, które on starał się w niej zaszczerpić. Usiadła przy nim, uściśnęła przegub jego dłoni i, nie puszczając jego ręki, zaczęła czytać.

Zajmując się włosami, Mary Mascarenas poznała ulotną naturę szczęścia. Od czasu do czasu, przy pracy, udawało się jej osiągnąć oślepiający moment doskonałości, w którym obowiązująca moda, ambicje i fizjologia spotykały się, aby stworzyć piękno, czyste i oszłamiająco oczywiste. W takich chwilach, kiedy włosy wyłaniały się z wałków, folii i ciepła, kiedy klientka zwracała twarz ku otaczającym ją lustrum, pojawiała się prawdziwa satysfakcja, uniesienie tak rzeczywiste, jak miłość, albo macierzyństwo czy patriotyzm. Ale czas płynął. Mody się zmieniały, klientka robiła się starsza, potem zupełnie stara, a włosy rosły, i to jeszcze jak. Wydłużały się i przeistaczały, zmieniały swoją strukturę i inaczej się

układały, wypadały, siwiały i robiły się coraz słabsze. Szczęście zawsze przemijało. Wcześniej czy później ta szczęśliwa klientka spoglądała w lustro, zaczynała się denerwować i prosiła o nową fryzurę. Mody przychodziły i odchodziły, jednego roku grzywki były przycinane nisko, następnego wysoko, a cztery lata później znowu opadały. To, co było modne jednego sezonu, z pewnością będzie niemodne w następnym. Włosy blond pojawiały się i przemijały, nadeszła era krótko przystrzyżonej wygody, a po niej długiej kobiecości. Mary była pewna, że następnego ranka po wynalezieniu najstarszej profesji świata pierwsza profesjonalistka zaczęła szukać fryzjera. Mary cieszyła się dobrą opinią wśród klientek Pali Hill Salon, miała więc zagwarantowaną pracę i przyzwoite dochody z prowizji, a do tego moc informacji. Klientki lubiły sobie pogadać.

Mary słuchała Comilli Marwah, pracując nad jej włosami za pomocą nożyczek firmy Yasaka i grzebienia.

– Mary, nawet sobie nie wyobrażasz – szeptała – jak ta kobieta leciała na Radziwa. Te całe dramatyczne opowieści, jaka to ona jest biedna w swoim małżeństwie z tym strasznym mężem, a to wszystko wyznawała Radziwowi w Indigo, ubrana w kuse, czarne sukienki. Oczywiście coś musiało zaiskrzyć. Jeździła do hotelu Oberoi i mówiła kierowcy, że idzie na zakupy: „Kierowco–dzi, proszę iść na lunch, zajmie mi to dwie, trzy godziny”. A potem szła przez hotel do drugiego wyjścia, stamtąd brała taksówkę prosto do budynku, w którym mieszkał Radziw, wchodziła przez boczną furtkę, i na górę, do jego mieszkania. I milutkie popołudniowe bzykanie, a potem w następną taksówkę, z powrotem do Oberoi, dziesięć minut zakupów, żeby mieć jakieś torby, i jazda do domu, z wyrazem twarzy Sati–Sawitri. I opowiadała Radziwowi, że popełniła straszliwy błąd, że nigdy nie powinna była zostawiać go w Londynie, i tego typu brednie. Tymczasem spotyka się

z Kamalem, bogatym człowiekiem, tak bogatym, jak tylko przemysłowcy potrafią być bogaci...

W tym momencie Comilla musiała przerwać, żeby obok nich mogła precyzyjnie się inna fryzjerka ze swoją klientką. W Bombaju powierzchnia użytkowa była tak droga, że nawet w najlepszych salonach zawsze stało ściśniętych za dużo foteli, zbyt wielu przychodziło chętnych. I codziennie salony pękały w szwach. W mieście było dużo pieniędzy, a dysponująca sporą ich częścią Comilla dokładnie wiedziała, kto ile ma.

– Ale wtedy ona spotyka Kamala – mówiła dalej. – I to w tym samym czasie, kiedy na boku ma Radziwa, to znaczy na boku w stosunku do tego straszego męża. Kamal jest dziany, ma doskonałe układy w towarzystwie, kręci w samym środku. A ona, trzeba to przyznać, jest kobietą atrakcyjną. Zaczyna więc polować na Kamala. Tuż pod nosem swojego męża, rozumiesz. Oni wszyscy obracają się w tych samych kręgach. Ale ona znowu powtarza tę samą śpiewkę, nieszczęśliwe życie, haj–haj, tak mi źle, i tak dalej. To zawsze działa na mężczyzn. Są tacy głupi. I okazuje się, że ona w tym samym czasie ma i Kamala, i Radziwa. Uwierzysz w coś takiego?

Mary wierzy bez trudu. Wierzyła też w sprawozdania o romansach samej Comilli Marwah, które, co prawda, nie odbywały się po kilka naraz, ale następowały bezpośrednio jeden po drugim. Mary zrobiła odpowiednio zaszokowaną minę i okazując stosowne podniecenie, wyszeptła:

– I co dalej?

– Co dalej?! Ten Kamal zupełnie stracił dla niej głowę. Ona ma, wiesz, taką słodziutką, niewinną twarzyczkę. A do tego, jak mówi Radziw, niesamowicie robi laskę. Kamal zostawia więc swoją żonę z trójką dzieci i w końcu zaręcza się z tą suką. Biedny mąż jest oczywiście zupełnie zaskoczony, ale tylko pomyśl, co musi czuć biedny Radziw. W jednej

chwili z jej bohatera i kochanka, który ma ją wyrwać z tego straszliwego małżeństwa, zostaje porzuconym.

– Kiedy ślub?

– W przyszłym tygodniu.

– Wygląda na to, że ktoś musi pocieszyć Radziwa.

– Tak – odparła Comilla. Zasepionym wzrokiem patrzy na swoje odbicie w zamglonym lustrze. – Zgadza się.

Mary pogłaskała ją po ramieniu.

– Widzę, że straciłaś na wadze. Chodzisz na siłownię?

– Pięć razy w tygodniu, co rano – odrzekła Comilla, ale nawet ten komplement nie odciągnął jej od samobadania. – I po co to wszystko? Dla mężczyzn. A oni są głupi. Wiesz, jaki jest morał z tej całej historii, o niej, Radziwie, Kamalu i całej reszcie?

– Powiedz, proszę.

– Jeśli potrafisz robić laskę z miną świętoszki, każdy mężczyzna zostawi dla ciebie żonę. – W tym momencie wybuchła tak niesamowicie gromkim śmiechem, że Mary musiała jej zawtórować. Comilla leżała na fotelu i ryczała, a Mary musiała odłożyć nożyczki i oprzeć się o stolik. Po chwili cały salon chichotał wraz z nimi, śmiał się z rechotania Comilli. Comilli wyraźnie poprawił się nastrój i zostawiła Mary napiwek w wysokości stu pięćdziesięciu rupii. Mary ładnie podcięła jej włosy, tuż przy delikatnych kościach czaszki, obnażając jej łabędzią szyję. Wyglądała cudownie, ale nawet tysiąc wizyt u fryzjera nie uczyniłoby z niej świętej. Wyglądała jak elegancka kobieta przed czterdziestką, zabawna, doświadczona, radośnie wścibska i dobrze ubrana, tryskająca tym blichтром, który dają tylko pieniądze. Mary wiedziała o niej aż za dużo, podobnie jak i o wielu innych klientkach. Słyszała, na przykład, że dawno temu, kiedy Comilla miała dwadzieścia parę lat, została porzucona na rzecz innej kobiety, że jej

pochodzący z Marwaru chłopak zostawił ją, żeby poślubić miłą dziewczynę z tego samego miasta, którą wybrali mu jego rodzice. Wiedziała też, że ten chłopak nadal spędzał z Comillą weekendy na Goa, mimo że miał już dwójkę dzieci i chociaż wielokrotnie zapewniał ją o dozgonnej miłości i oświadczał, że w ogóle nie interesuje go ta jego gruba, nudna żona. Zawsze obiecywał, że od niej odejdzie w następane lato, a później w następane. I nigdy tego, oczywiście, nie zrobił. Comilli udało się w końcu wyrwać z tej tragicznej miłości, ale w wieku trzydziestu lat była atrakcyjną kobietą, z karierą zawodową i przyzwoitymi dochodami, tylko że katastrofalnie samotną. W Bombaju było wiele takich jak ona, zbyt wiele. Przez parę lat miotała się, aż w końcu udało się jej złapać męża, dziewiętnaście lat starszego od niej wdowca. Był dosyć dobrze sytuowany, zajmował się nieruchomościami i podróżami, i urzekł go jej styl. Ożenił się z nią i mieli dwójkę dzieci, a Comilla znalazła stabilny, bezpieczny dom, a także, co również było nieuniknione, pewne powody do niezadowolenia. Po urodzeniu dzieci miała dwóch kochanków. To wszystko Mary wiedziała.

Zmierzch był ulubioną porą dnia Mary, i dzisiaj, podobnie jak to często robiła po pracy, poszła na Carter Road, na nabrzeże. Spacerowała powoli bulwarem, wśród osób uprawiających jogging, tłumów nastolatków i energicznych dziadków w tenisówkach, odbywających wieczorne przechadzki dla zdrowia. Tego wieczoru niebo miało odcień zielonkawy, stopniowo przechodzący od mglistego turkusa u góry, w olśniewającą, podwodną barwę nefrytu na linii horyzontu. Właśnie to najbardziej podobało się Mary w obrazie gasnącego dnia, to mieszanie się kolorów i ludzi. W tym miłym, wzajemnym przenikaniu się samotność w mieście oznaczała znalezienie się w towarzystwie tysiąca nieznajomych. Oczywiście, miała znajomych, i czasami razem spacerowali po nabrzeżu.



Często jednak pragnęła, żeby Bombaj podarował jej taki właśnie prezent: chciała być samotna i wolna. W trakcie wypełnionych przerażeniem i nostalgią dłużących się nocy nauczyła się być sama, i teraz ceniła sobie swoją wolność. To, że należy do samej siebie, dawało jej pewien umiarkowany spokój.

A jednak były takie kobiety jak Comilla, które – pomimo swoich zalet – szły na ustępstwa i poszukiwały innego rodzaju bezpieczeństwa, pełnego kłamstw, dramatycznych wydarzeń, nie w pełni zrozumiały i nie w pełni wyrażonych kompromisów. Czy mąż Comilli wiedział o jej romansach? Z pewnością pół świata o nich wiedziało, a przynajmniej ta jego część, która bywała w salonie. Dostatecznie dużo kobiet rozmawiało między sobą, a także z Mary, o przygodach Comilli. Być może wiedział. Może wiedział i przymykał na to oko, może rozumiał. Mary sądziła, że ona też trochę to rozumie, ale nigdy nie myliła tego zrozumienia z przyjaźnią. Zdawała sobie sprawę, że choć Comilla opowiada jej przeróżne rzeczy, robi to jedynie dlatego, że kiedy rozsiada się w fotelu i oddaje głowę pod nożyczki Mary, łączy je jakaś chwilowa zażyłość, jakaś ograniczona bliskość, której niepotrzebne są ciemności konfesjonału. Ale te trzydzieści pięć czy czterdzieści tysięcy rupii, które Mary co miesiąc przynosi do domu, nie otwiera jej drogi do towarzystwa Comilli, absolutnie nie, nawet jeśli zarabia więcej niż niektórzy pracujący w biurach walowie z teczkami. Comilla prędzej zaprosiłaby swojego kierowcę do stołu niż Mary na jedno ze swoich przyjęć. Mary była bardzo dobrą fryzjerką, to wszystko. Nie miała na ten temat żadnych złudzeń, nie roiła fantazji o tym, kim jest i kim mogłaby się stać. Znalazła swoje miejsce i pogodziła się z tym.

Obok Mary przeszły trzy ubrane w łańchmany dziewczynki, klapiąc bosymi stopami po chodniku, i otoczyły idącego jakieś trzy metry z przodu wysokiego, jasnowłosego obcokrajowca. Mary minęła go i uśmiechnęła się,

słyszając paplaninę dziewczynek, które podsuwały mu pod twarz otwarte dłonie. „How are you? Uncle, uncle. Please, uncle. How are you? Please. Uncle, hungry, hungry. Uncle, food”. Podskakiwały przed jego haczykowatym nosem. Mężczyzna wyglądał na przerażonego. Przebył tak długą drogę do Indii, a teraz stanął twarzą w twarz z ich legendarną biedą, która opanowała język angielski. Obcokrajowiec kręcił głową, nie, nie, ale zatrzymał się, i Mary była pewna, że za chwilę sięgnie do kieszeni. Minęła ją grupka małych żebraków, pędzących w kierunku obcokrajowca. Teraz już wszyscy wlekli się za nim, aż on w końcu wszedł do taksówki i uciekł. Ta niedogodność, wirujący warkocz komety ubogich, to cena, którą musiał zapłacić za przywilej białej skóry i pieniędzy. Dzieciaki na nabrzeżu były energiczne i uparte, ale już dawno temu nauczyły się nie zwracać uwagi na Mary. Rozmawiała z nimi, lecz nie dawała im pieniędzy, a oni byli zawodowcami. Byli w pracy i nie mieli czasu na bezproduktywne gadanie w najlepszych wieczornych godzinach.

Po dwudziestu minutach spaceru dotarła do końca bulwaru, w pobliże przystanku autobusowego przy Otter's Club. Pod coraz ciemniejszą czernią nieba odpływ odsunął fale daleko od brzegu, pozostawiając nagie bohomy skał i śmieci. Powyżej, twarzą w stronę wody, siedział Sartadź Singh. Mary odwróciła głowę i szybko odeszła na bok, jak najdalej. Rzuciła w jego stronę jedno, szybkie spojrzenie, ale on jej nie zauważył. Wzrok miał utkwiony w plamę resztek światła na horyzoncie. Poszła dalej, na przystanek, do którego właśnie podjeżdżał autobus. Kilka ostatnich metrów przebiegła, i dopiero kiedy bezpiecznie znalazła się w autobusie, ponownie spojrzała przez tylną szybę. Wciąż go widziała, samotnego na skraju bulwaru, z nogami zwisającymi nad skałą. Znalazła wolne miejsce i usiadła, mocno ściskając na kolanach swoją małą, szarą torebkę. Krew szybko krążyła w jej żyłach, a ona zdała sobie sprawę, że to nie tylko z powodu

tego biegu. Dlaczego tak bardzo zależało jej, żeby z nim nie rozmawiać? Przecież nie zrobiła nic złego. Nie popełniła żadnego przestępstwa. Ale on był policjantem, a policjanci roznosili kłopoty, jak chorobę. Lepiej trzymać się od nich z daleka.

Przez całą drogę do domu nie rozstawała się z uczuciem tej zbawiennej ulgi, tego zadowolenia, że uciekła przed spotkaniem z czymś niespokojnym i ciemnym. Choć widziała go tylko przez krótką chwilę, zdążyła wyczuć w nim jakiś czający się smutek. Obserwował morze i niebo z jakimś pełnym bólu napięciem, widocznym w jego ramionach i karku, jakby oczekiwał odpowiedzi. Lepiej unikać takiego człowieka.

Mary weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi na klucz i zaryglowała je. Włączyła tylko jedną lampę, znajdującą się na dole, przy ścianie, a rzucone przez nią cienie otoczyły ją przytulnie jak światło świec. Z wczorajszej kolacji zostało trochę curry z ryby, więc szybko i sprawnie ugotowała sobie miseczkę ryżu. Jadła, siedząc na łóżku i popijając wodą z wielkiego, stalowego kubka, który zawsze stał na nocnym stoliku. Lubiła oglądać filmy o zwierzętach na Discovery, śledzić ten nieustanny cykl narodzin, migracji i rozmnażania się. Na tle wysokiej kopuły afrykańskiego nieba nawet krwawe mordowanie jeleni i zebr przez lwy zdawało się zupełnie usprawiedliwione, stanowiło niezbędne ogniwo w gigantycznym cyklu harmonii świata. Koleżanka Mary, Dżana, która była uzależniona od emitowanych w nocy seriali o trójpokoleniowych rodzinach i zbłąkanych mężach, mówiła, że Mary jest dziwaczką o makabrycznych upodobaniach, i zawsze, kiedy do niej przychodziła, zmuszała ją do przełączenia programu. Ale zdaniem Mary te serialowe tęsknoty i zdrady były odrażające, niecierpliwiła się, irytowała i denerwowała. Rekiny były przynajmniej szczere w swoich żądzach, a poza tym były piękne.

Pozmywała naczynia, a potem sięgnęła w głąb lodówki po czekoladki. Miała pół pudełka kulek z rumem, kupionych w cukierni Rustams w Kolabie, każda z osobna pięknie zawinięta w złotą folię. Pozwalała sobie na jedną po kolacji i tylko ona wiedziała, ile samozaparcia musiała wykazać, żeby nie zjeść całego opakowania naraz. Wyjęła kuleczkę leżącą najbardziej po lewej, zabrała ją ze sobą do łóżka i podkręciła dźwięk filmu, w którym pantera przemykała przez zarośla. Pod czubkami jej palców folia rozwijała się powolutku, rozkosznie się marszcząc, tak delikatna. Ze środka wyłonił się złoty, kakaowy wafelek, Mary głęboko wciągnęła jego zapach, a potem odchyliła głowę, żeby za chwilę na nowo do niego powrócić. Pierwszy kęs zawsze był malutki, takie lekkie skubnięcie, powodujące, że podniebienie aż drżało od czystości tego ciepłego smaku, a w głębi ust pojawiło się pragnienie. Dopiero po zupełnym ustąpieniu tej pierwszej euforii pozwalała sobie na konkretny kawałek. A to już był prawdziwy raj. Ciemny smak rumu kłębił się wokół języka i Mary aż lekko syknęła z zadowolenia w stronę pantery.

Teraz mogła już iść spać. Nigdy się nie malowała, więc jej wieczorny obrzęd był krótki: szybkie mycie mydełkiem z drzewa nim i porządne szorowanie zębów pastą Meswak. Włożyła wyblakły, różowy kaftan, mięciutki po latach prania, i położyła się na plecach, układając ręce wzdłuż ciała. Kiedy jeszcze były dziećmi, Dźodźo naśmiewała się z tej jej pozycji truposza, z tych znieruchomiałych zwłok. Z kolei Dźodźo nawet we śnie była wirującym wichrem i często budziła się z nogami na poduszce. Wierzyła nogami i rzucała się, ale chciała spać blisko, i Mary przy śniadaniu narzekała na nieprzespaną noc.

Mary usiadła, poszła do łazienki, a po powrocie znowu się położyła. Starła się oddychać miarowo, głęboko. Ale jej umysł wciąż pracował, wciąż był niespokojny. Śpij, wyszeptała. Jutro jest długi dzień. Ale jeszcze

to, i jeszcze tamto. Dźodźo uwielbiała rumowe kuleczki od Rustama, ale mogli sobie na nie pozwolić najwyżej raz w miesiącu. A dzisiaj widziała tego Sartadźa Singha, który jak żaba klapnął w kucki na nabrzeżu. Ostatni raz rozmawiała z nim w jego samochodzie, kiedy opowiadała mu o Johnie i Dźodźo. Od czasu, kiedy przyszedł, żeby poinformować ją o śmierci Dźodźo, miała problemy ze snem, przez miesiąc chodziła ze ściśniętym sercem, całymi dniami kręciło się jej w głowie. W końcu świadomość tego faktu jakoś się ustabilizowała, stając się częścią konstrukcji nowego świata: twoja siostra nie żyje. Tak było zawsze, kiedy trzeba stawić czoło czemuś nieprawdopodobnemu – twój mąż sypia z twoją siostrą – najpierw pojawiały się mdłości, traciło się wszelkie punkty orientacyjne w życiu. Własny dom przeobrażał się we wrogie pogranicze. A potem, pewnego dnia, człowiek uświadamiał sobie, że ta surowa pustynia, to jaskrawe, obce światło, to właśnie jego dom. Trzeba tylko mieć na tyle cierpliwości i silnej woli, żeby przetrwać to pierwsze przerażenie.

Mary usiadła, oparła poduszkę o ścianę i włączyła telewizor. Znalazła film dokumentalny o stacji kosmicznej, wyłączyła dźwięk i patrzyła na wirujące na tle gwiazd wymyślne, przypominające pajęczynę, białe urządzenia. Były wytworem rąk ludzkich, ale działały na nią uspokajająco. Z nich dwóch to Dźodźo zawsze była religijna, o jedenastej kładła się do łóżka z krzyżem pod poduszką i jasnymi, pełnymi słońca oczami wpatrywała się w ołtarz w kościele. W późniejszych latach z tą samą niebiańską miłością uwielbiała sławę, z tą samą cudowną wiarą rzuciła się na poszukiwanie świętego Graala. Dźodźo opowiadała jej o tym wspaniałym, wielkim uczuciu, ale Mary nigdy nie czuła czegoś tak intensywnego, najbardziej zbliżonych własnych doznań doświadczała, kiedy patrzyła na antylopy gnu przetaczające się przez dolinę lub kiedy oglądała jakieś przedstawiające pierścienie Jowisza zdjęcia, przesłane z

bezzałogowego statku kosmicznego. Już od trzech lat i pięciu miesięcy oszczędzała na wyjazd na wakacje do Afryki, na safari.

– Cutijo, nawet jutro mogłabyś pojechać do Afryki, gdybyś tylko upomniała się o to, co należy do ciebie – powiedziała jej Dżana, płonąć żądzą posiadania nieruchomości, tego mieszkania Dżodzo, którego nigdy nawet nie widziała. – Tu chodzi o mieszkanie przy Jari Road, a nie o jakieś śmierdzące kholi.

– Nie należy do mnie.

– To co, może należy do mnie? Thank you – powiedziała po angielsku, kłaniając się. – Thank you.

– Możesz sobie je wziąć.

– Tak, na pewno mi je dadzą. Posłuchaj, gandu, fakty są następujące: ona była twoją siostrą. Teraz nie żyje. Nie ma żadnych innych bliskich krewnych. To wszystko przechodzi więc na ciebie. Wszystko, i mieszkanie, i konto bankowe, i co tam jeszcze jest.

Dżana była świetną manikiurzystką, specjalistką od wymyślnych paznokci, która miała gali na każdą okazję i wtykała je w co drugie zdanie. Dziwiły ją skrupuły Mary i bagatelizowała je.

– Posłuchaj, twoja siostra była randi, tak? No dobra, część jej pieniędzy pochodzi z tej działalności. Ale robiła też programy telewizyjne, na? Bierz zatem te pieniądze i myśl, że są z telewizji. Komu to szkodzi? W końcu ona ukradła ci męża, na?

Tak, zdaniem Dżany, wyglądała sprawiedliwość – porządne pieniądze za męża. Uczciwy układ. Na próżno było jej tłumaczyć, że Mary właśnie tego nie chciała, nie chciała, żeby jej zapłacono. Nie chciała brać brudnych pieniędzy Dżodzo, zarobionych na ohydztwach wyprawianych z brudnymi mężczyznami na brudnej hotelowej pościeli, nie chciała brać pieniędzy w zamian za męża, za szczęście, za dzieciństwo. Może Mary nigdy nie

potrafiła całym sercem wierzyć w niebo, ale zupełnie naturalnie i bez żadnego wysiłku wierzyła kiedyś, że życie na ziemi jest dobre, że jej przyszłość będzie jednym miłym pasmem szczęścia, z mężem, dziećmi i wnukami, oszpeconym jedynie drobnymi zadrapaniami na kolanach i gorączkami, ale zawsze pełnym miłości. Pomimo wczesnej śmierci ojca wierzyła, że jej uda się znaleźć tę radość, która wymknęła się ich matce. Dźodźo wyгнаła ją z tego ogrodu niewinności, na zawsze i bezpowrotnie. Zmieniła jej świat. Za coś takiego nie mogło być ani wybaczenia, ani wykupienia odpustu. Tego była pewna.

Mary wyłączyła statek kosmiczny i położyła się. Wciągnęła powietrze, a potem powoli je wypuściła, próbując znaleźć lekki, równy rytm. Ale tej nocy Dźodźo nie dawała jej zasnąć, powracała do niej i przeszkadzała, jak nigdy wcześniej, nawet w czasach, kiedy w nocy rzucała się w łóżku i wierzyła przez sen. Nawet po śmierci Dźodźo, podczas tego pierwszego tygodnia oszołomienia, Mary nie miała aż takich problemów z zaśnięciem. Ostatnio potrafiła przez cały dzień ani razu nie pomyśleć o Dźodźo i zaczęła wierzyć, że w końcu ostatecznie się jej pozbyła. Ale mieszkanie i pieniądze pozostawały wciąż sprawą niezamkniętą. Mary nie lubiła takich spraw, to ona zawsze była tą odpowiedzialną siostrą. Pewnie dlatego też byłaby dobrą matką. I znowu to przeszywające piersi ukłucie złości. Daj spokój. Oddychaj, oddychaj. Nie przejmuj się tak. Odpuść sobie.

Kiedy następnego dnia zadzwonił budzik, Mary obudziła się zmęczona; ledwo jej stopy dotknęły podłogi, od razu poczuła to wyczerpanie. Cztery czy pięć godzin snu to zdecydowanie zbyt mało, nawet nie zbliżyła się do swojej stałej normy dziewięciu godzin, a przecież przed nią był cały dzień, czekała ją praca. Zebrała się więc i poszła. Dźana od razu zauważyła, że coś się stało. W przerwie między klientkami przemknęła obok Mary i szepnęła do niej:

– W końcu masz jakiegoś faceta, śpiąca dżan?

Mary pokręciła głową, ale Dżana uśmiechnęła się i zaczęła poruszać biodrami w przód i w tył. Mary szybko odwróciła wzrok i przeszła na drugą stronę fotela klientki, obawiając się, że może sprowokować Dżaną do dalszego skandalicznego zachowania. I tak cud, że jeszcze jej nie zwolniono.

Podczas lunchu, który jadły z tiffinów na zewnątrz salonu, Mary starała się przekonać Dżaną, że po prostu miała problemy ze snem. Dżana nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

– Nie opowiadaj, przecież nawet gdyby obok ci rozwalali kamienicę, i tak spałabyś jak kamień, prawda? Z kogoś innego możesz robić sobie mamę. Przecież widzę, że coś się dzieje.

Rzeczywiście, coś się działo, ale Mary nie miała zamiaru opowiadać Dżanie o tym irytującym nocnym powrocie Dżodzo. Dobrze znała opinię Dżany na ten temat i nie chciała jeszcze raz wysłuchiwać tego samego.

– Dżana, daj spokój, to tylko nieprzespana noc – powiedziała. – Nic specjalnego. Co tam słychać u Nareśa–Sureśa? – Nareś był dwuletnim synkiem Dżany, a Sureś był jej mężem, za którego wyszła pomimo głośnych sprzeciwów i swoich, i jego rodziców. Syna i jego ojca nazywała „moje baćca” i uwielbiała snuć długie opowieści, w których rozwodziła się nad swoją czułą cierpliwością, kobiecą mądrością i matczyną stanowczością. Sureś był, co prawda, pięć lat od niej młodszy, ale Mary i tak zawsze uważała, że wykazywał się heroizmem, z wyrozumiałością, akceptując temperament Dżany. Jakoś dobrze się dopasowali, jedno spokojne, a drugie głośne.

– Nie bądź taka mądra – powiedziała Dżana, wymachując palcem i niechęć dotykając marynowanym mangiem spódnicy Mary. – Powiedz mi.



– Tu nie ma o czym mówić, wariatko – odparła Mary, powstrzymując Dżaną przed próbą usunięcia oliwy. – Zupełnie nic. Daję słowo.

Ale właśnie to nic nie pozwalało Mary zasnąć do końca tygodnia. Każdego kolejnego ranka budziła się bardziej zmęczona. W piątkowy wieczór miała iść z dziewczynami do kina i na kolację, ale wymówiła się, wróciła do domu i wzięła tabletkę Calmpose. W pierwszej chwili poczuła miłe, senne uczucie w ramionach i ponownie wtuliła głowę w poduszkę, oczekując snu niecierpliwie jak kostki czekolady. Ale już po chwili lepki pot zaczął gromadzić się pod jej ramionami i musiała podnieść się na kolana, żeby przełączyć wentylator na najszybsze obroty. Leżała w wirującym powietrzu z wentylatora, a czas upływał. Starła się myśleć o czymś przyjemnym, o Matheran w deszczu, o *Kaho Na Pjar He* i piosence na jachcie, o zadowolonych klientkach. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na zegar. Minęła godzina. Po omacku zaczęła szperać po stoliku, w poszukiwaniu papierowego listka z calmpose, i kciukiem wsunęła do ust kolejną tabletkę. To powinno ją powalić, nigdy nie brała żadnych tabletek, dbała o swoje zdrowie. I znowu zaczęło się czekanie. Terkocząca motoriksza przejechała główną drogą i skręciła w boczną uliczkę, a Mary słyszała zgrzytanie zmienianych biegów. Tak głośno, jakież to było głośne. Pojazd zatrzymał się, bardzo blisko, do jej uszu dotarło grzechotanie przełączanego przez kierowcę licznika, po chwili silnik stęknął i znowu zaczął pracować. W morzu ciszy, które po nim pozostało, słychać było mruczenie i grzechotanie urządzenia klimatyzacyjnego. Mary nigdy wcześniej nie słyszała tych wszystkich nocnych dźwięków. Odwróciła się na bok i naciągnęła poduszkę na głowę. Czuła, jak wzbiera w niej wściekłość, gromadzi się jak jakiś ogromny ciężar. Daj spokój, nie podnoś sobie ciśnienia. Uspokój się, odpręż się. Ale to uczucie nie ustępowało, nagromadzony gniew ciążył jej niemiłosiernie.

Jakoś przetrzymała noc. Rankiem, kiedy dopiero szarzało, wstała z łóżka zlaną zimnym potem. Spłukała go pod prysznicem, ale w głowie pozostało to brzęczenie, ten cichuteńki warkot, który nie odstępował jej, kiedy piła ćaj i jadła grzanekę. Odczekała do dziewiątej trzydzieści i zadzwoniła pod numer, który przed miesiącami podał jej Sartadź Singh.

– Nie ma go – burknął policjant.

– Czy już zaczął służbę?

– Służba zaczyna się o ósmej. *Bola na*<sup>13</sup> nie ma go tu.

O dziesiątej nadal nie było Singha na komisariacie, podobnie o jedenastej.

– Are, wyjechał w jakiejś sprawie – powiedział jej inny policjant, z dokładnie takim samym odcieniem agresji i znudzenia w głosie. Musiała bardzo wolno przeliterować mu swoje imię i nazwisko, przekonana, że natychmiast rzuci tę notatkę na jakiś stos śmieci.

Oczywiście nikt nie oddzwonił, ani do południa, ani do pierwszej. I jak policja w tym kraju może cokolwiek rozwiązać? O drugiej Mary opanowało zjadliwe rozgoryczenie. Czuła się już ożywiona, odżyła. Zadzwoniła do Dżany i spotkały się na dworcu Santa Cruz, skąd poszły na zakupy. Dżana kupiła dla syna małe szorty z wyszywanymi niebieskimi kotwicami, do tego trzy malutkie T–shirty, a dla siebie pantofle. Mary zaczęła się denerwować i nagle poczuła się bardzo zmęczona. Dżana targowała się zażarcie z thelawali, rupia po rupii zbijając cenę. Mary wsunęła rękę pod ramię Dżany i pociągnęła ją za sobą przez falujący tłum. Dżana rzuciła jej to dobrze znane, wszystkowiedzące spojrzenie z ukosa.

– Wiesz, czego ci potrzeba?

– Dżana, nie zaczynaj znowu z tymi chłopakami.

– A co ty myślisz, jar, że mnie tylko chłopcy w głowie? Chciałam tylko powiedzieć, że na jakiś czas powinnaś się wyrwać z tego miasta. Kiedy

jeszcze jeździłaś do mamy, zawsze wracałaś świeża i wypoczęta. Zbyt długi pobyt w tym miejscu chyba cię wykańcza.

Mary trzymała się mocno ramienia Dżany i skinęła głową. To wycieńczenie związane było z tymi ulicami, sklepami, hałasem i z tym powietrzem. Wyjście na zakupy z koleżanką przeobrażało się w wyczerpującą wyprawę, trzeba było lawirować w pędzącym tłumie, uskakiwać przed samochodami, które atakowały ze wszystkich stron. W każdej minucie wdychało się porcje trucizny. Ale mamy już nie było, nie było też gospodarstwa, na które można by pojechać. Wiedziała jednak, że dla niej nie ma ucieczki z tego labiryntu ruder i domów, z tego kłębowiska dróg. Nie mogła powrócić, nie mogłaby tam żyć. I dlatego po śmierci mamy sprzedała dom i gospodarstwo, wszystkie maszyny, urządzenia i meble, i z uzyskanych pieniędzy zapłaciła za swój jeden pokój w mieście, a resztę ulokowała w banku. Zgodnie z testamentem wszystko należało się jej, Mary, a specjalna klauzula wymieniała z imienia i usuwała drugą córkę z rodziny i dziedziczenia.

– Ale gdzie mogłabym pojechać? – zapytała Mary. – Chciałabyś wybrać się do Matheranu? Albo Uti?

– Uti to dobry pomysł, nie sądzisz? – powiedziała Dżana z tęsknotą w głosie. – Błękitne wzgórza.

– Cal – stwierdziła Mary. – W takim razie jedźmy.

Ale nie minęła jeszcze sekunda, a Dżana przyznała, że nie ma na to żadnych szans.

– Nie, jar. Jak ja mogę jechać? – Dżana miała wiele powodów, dla których musiała oszczędzać. Obie o tym wiedziały, nawet nie musiały o tym rozmawiać. Ale błękitne wzgórza to był dobry temat do rozmyślań.

Te wzgórza na południu nie odstępowały Mary, kiedy wracała samochodem do domu. Na gospodarstwie mamy też były wzgórza, nie tak

wysokie, jak błękitne góry, ale wzgórze. Na zachód od ich majątku, na farmie Alwyna Rodrigueza, był wodospad. Nie był to duży wodospad, po prostu cienki strumyk spadający z czarnej skały wysokości nieco ponad metra. Ale opadał łukiem w promieniach słońca, jak prawdziwy, i w pewnym okresie wraz z Dżodźo mogły pod nim tańczyć. A nawet później, jako świeżo upieczone nowicjuszeki, siedząc na brzegu ze stopami zanurzonymi w wodzie, cieszyły się szemraniem wody na kamieniu i przyjemnym układaniem się podbicia ich stóp na gładkiej, wymytej obłości. I myślały o wiosce, o tym, jaka jest wstrętna, mała i duszna, z Alwynem Rodriguezem i tymi jego nieustającymi sporami, i z tymi niesamowicie dłużącymi się popołudniami, kiedy radio nie odbierało stacji *All-India Radio* i nie było nic, absolutnie nic do roboty.

Mary mocniej zawinęła ćunni na włosach, osłaniając się przed porywistym wiatrem, spalinami i pędem auta, i wcisnęła się w kąt fotela.

Samochód pokonał ostatni zakręt na drodze do domu Mary. Na schodach siedział Sartadź Singh, w tej samej pozycji jak na nabrzeżu, w kucki i lekko pochylony do przodu. Mary wysiadła z samochodu i zapłaciła kierowcy. Z drżących palców wypadł jej dziesięciorupiowy banknot i musiała się schylić, żeby go podnieść. Była bardzo poirytowana. Przecież tylko do niego zadzwoniła, jak on śmie pokazywać się w jej domu, tak bez zapowiedzi? Tym ludziom wydawało się, że jeśli są policjantami, to wszystko im wolno. Odebrała resztę i odwróciła się, zdecydowana potraktować go surowo, dać mu do zrozumienia, że to ona płaci na jego pensję i doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich praw. Sartadź zdążył już wstać. Postarzał się. W ukośnie padającym z góry świetle żarówki Mary dostrzegła ślady siwizny w jego brodzie. Przedtem był przystojnym mężczyzną, ale teraz sprawiał wrażenie, jakby z lekka zaczął się wykruszać na krawędziach. Kiedyś był zadziorny i bardzo pewny siebie, ale teraz ta

cała jego ostrość rozmyła się, przytępiona wyczerpaniem. Na jego niebieskich, cywilnych spodniach brakowało kantów. Przybrał na wadze.

– Dzień dobry pani – odezwał się.

– Od kiedy pan tu czeka? – zapytała Mary, brodą wskazując na schody.

– Jakąś godzinę – odparł.

Również jego głos się zmienił. Był bardzo niewyraźny.

– Moi sąsiedzi – powiedziała Mary, dosyć oschle. – Trzeba było do mnie zadzwonić.

– Dzwoniłem. Nie było pani.

– Niemniej jednak.

– Zgadza się. Przepraszam. Ale myślałem, że to jest pilne. Że to dotyczy pani siostry. Jeszcze raz przepraszam.

Był zbyt nieśmiały, żeby się z nim kłócić. Mary tylko pokręciła głową.

– Proszę wejść. – Po wejściu do jej pokoju zatrzymał się przy drzwiach i stał tam, dopóki Mary nie wskazała mu krzesła. Już się go nie bała, nie bała się jego władzy i zamiarów, ale zostawiła drzwi uchylone. Kiedy usiadł, zauważyła, że jednak wciąż nie wyzbył się tej beznamietnej, nieskrępowanej ciekawości gliniarza, metodycznie zbadał pokój, od lewej do prawej, i dopiero po tym zwrócił wzrok w jej stronę. – Wody? – zapytała.

– Chętnie.

– Z lodówki?

– Tak, proszę.

Otworzyła lodówkę, nalała wody i przeszła przez pokój, żeby podać mu szklankę. Z tą samą szczerością w oczach patrzył, jak ona idzie, ale ona zdawała sobie sprawę, że chociaż dziś jest inny, być może zmęczony i jakoś zraniony, wciąż jednak przede wszystkim jest policjantem. Kiedy nachyliła się, żeby podać mu szklankę, przez moment poczuła kwaśną woń

zebranego przez cały dzień potu, tych pociągów, tłumów i nieustannie świecącego słońca.

– Thank you – powiedział i napił się wody. Opróżnił szklanę, a potem w roztargnieniu zaczął się jej przyglądać. – Bardzo chciało mi się pić.

– Potrzebuję pańskiej pomocy – odezwała się Mary. Wypowiedziała te słowa wyższym głosem, niż zamierzała, ostrzejszym. Nie była przyzwyczajona prosić o pomoc.

– Oczywiście – odparł. – Proszę mówić.

– Chodzi o rzeczy należące do mojej siostry, pan powiedział, że może mi pomóc.

– Chciałaby pani je odebrać?

– Tak.

– Nie ma żadnych innych żyjących bliskich krewnych?

– Nie.

– To nie powinno być zbyt trudne. Musi pani udowodnić sądowi, że rzeczywiście jest jej siostrą. Z tym nie będzie trudności, nawet jeśli ostatnio nie utrzymywałyście kontaktów. Z policji otrzyma pani zaświadczenie o braku zastrzeżeń, w którym będzie napisane, że te rzeczy nie mają związku z prowadzoną przez nas sprawą. Poproszę sahiba Parulkara, mojego szefa, żeby przyspieszył załatwienie tej sprawy. Bas, i to wszystko. Może to trochę potrwać, w końcu jest to procedura prawna. Będzie pani potrzebowała prawnika, żeby sporządzić dokumenty.

– Znam jedną prawniczkę.

– Ze sprawy rozwodowej?

– Tak.

– Wie pani, powiadają, że kiedy mieszka się w Bombaju, trzeba znać jednego polityka, jednego prawnika i jednego policjanta.

– Poznałam się z tą moją prawniczką. Ale nie znam żadnego polityka ani policjanta.

– Teraz pani zna mnie.

Uśmiechał się. Mary wiedziała, że powinna taktownie zaprotestować, powiedzieć, że on nie jest jej znajomym, a z kolei on będzie przekonywał ją, że tak, ależ oczywiście, przecież jest jej znajomym.

– Poproszę swoją prawniczkę o przygotowanie dokumentów – powiedziała. – Kiedy mogłabym przyjść i odebrać od was to oświadczenie?

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Nie musi pani przychodzić – odrzekł. – Przyniosę to pani. To żaden kłopot.

– Mogę przyjść.

– Miałaby się pani fatygować aż na komisariat? Nie ma takiej potrzeby.

Chciał przez to dać do zrozumienia, że komisariat policji nie jest odpowiednim miejscem dla kobiet.

– Proszę posłuchać – powiedziała Mary. – Poruszam się po całym mieście. Mogę przyjść na komisariat. Proszę tylko ustalić, kiedy mam przyjść.

– Zgoda. – Przez chwilę nie odzywał się, zachowując pełną powagę. – A... może ma pani jakieś informacje na temat siostry?

– Wszystko panu przekazałam.

– Tak, wiem. Ale... Być może przez te wszystkie miesiące pojawiło się coś jeszcze. Coś, co pani sobie przypomniała.

– Nie, nic takiego się nie pojawiło.

– To może być coś bardzo niewielkiego. Jakaś rzecz z pozoru bez żadnego znaczenia, która jednak może pozwolić nam ruszyć sprawę z miejsca. Proszę pomyśleć.

Myślała przez te wszystkie długie tygodnie, przez te miesiące. Jak niewielkie może to być? Czy możliwe jest, że jeśli opowie mu o niewytłumaczalnej miłości Dźodźo do grubego Ryszi Kapura i jego tańca na tłustych i zwinnych stopach, czy coś takiego pomoże mu ruszyć sprawę z miejsca? Tak wiele było do powiedzenia, a zarazem zupełnie nic.

– Gdybym miała panu coś do powiedzenia, zrobiłabym to. Nawet nie wiem, co chciałby pan wiedzieć.

Skinął głową, i wyglądało na to, że podjął jakąś decyzję.

– Rzecz w tym, że my nie wiemy dokładnie, czego szukamy. Nadal zajmujemy się śmiercią Ganeśa Gaitondego. Jest to sprawa dotycząca bezpieczeństwa narodowego, a my wiemy niewiele, nie wiemy, dlaczego powrócił do Indii, dlaczego odebrał sobie życie. Dlatego też poszukujemy wszelkich informacji związanych z Gaitondem. Wiemy, że pani siostra była z nim blisko. Wiemy, że podsyłała mu dziewczyny. Wiele dziewczyn, przez długi okres, do Bangkoku, Singapuru, do różnych tego typu miejsc. Dlatego też gdybyśmy coś wiedzieli o pani siostrze, co robiła, z kim była związana, mogłoby to nas doprowadzić do informacji o samym Gaitondem. To dlatego ciągle panią wypytuję.

– Rozumiem – odparła Mary. – W porządku.

Wstał. Zauważyła, ile kosztowało go to wysiłku.

– No dobrze – powiedział. – Odezwę się do pani. – Skinął jej głową.

Mary nagle uzmysłowiła sobie, jak oschle go potraktowała.

– Dziękuję – wydusiła z siebie. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Bardzo delikatnie zamknął za sobą drzwi i Mary usłyszała, jak schodzi po schodach.

Nie ma za co. Kiedy Mary zaczynała się uczyć angielskiego, mówiła „nie ma co”. Przez całe lata mówiła „nie ma co”, aż dopiero Dźodźo ją poprawiła. Jej siostra bardzo szybko uczyła się angielskiego, i mówiła



szybciej, swobodniej i poprawniej, a jeśli mówiła niepoprawnie, to też w odpowiedni sposób. Była w tym dobra. Sartadź Singh bardzo starał się mówić poprawnie po angielsku, ale tylko częściowo mu się to udawało, co jakiś czas zdarzały mu się potknięcia. Prawdopodobnie uważał, że mówi lepiej, niż mówił rzeczywiście. Wciąż jeszcze pozostało w nim wiele arogancji.

Mary wzruszyła ramionami, jakby chcąc zrzucić z siebie to wszystko. Długo stała pod prysznicem, pozwalając, aby strumień wody uderzał ją w plecy. Lubiła zimną wodę, ten dreszczyk, który przynosiła, nawet w zimie. Dorastałam na wsi, mówiła Johnowi, kiedy on się temu dziwił. W przeciwieństwie do was, ludzi z miasta, nie mieliśmy ciepłej bieżącej wody, a jeśli jej potrzebowaliśmy, musieliśmy ją sobie przynieść.

Nadciągnęły wspomnienia, ale tej nocy nie odczuwała ich ciężaru. Leżała w łóżku, pozwalając im spokojnie przepływać. Poczwała ulgę po rozmowie z Sartadźem Singhiem. Podjęła decyzję. Jeśli była jeszcze coś winna Dźodźo, zrobi, co trzeba. Tak. Przypomniał jej się oglądany kiedyś program telewizyjny o afrykańskich słoniach i zasnęła, myśląc o słoniątku, które, potykając się i wywracając, podążało za swoją matką.

## Ganeś Gaitonde zostaje zwerbowany



Przez cały miesiąc miodowy, każdego dnia i każdej nocy, cierpiałem na impotencję. Podłoga przechylała się pod nami, a ja pochylałem się nad moją żoną, pracowałem nad sobą, przeklinałem ją, przeklinałem morze jako wstrętą dziwkę, ale pomimo swoich wszystkich wysiłków byłem beznadziejnie, zdumiewająco miękki. Płynęliśmy zmierzającym na Goa statkiem o nazwie *Peśwa*. Moi ludzie zmusili mnie, żebym wybrał się na miesiąc miodowy. W natychmiastowym odwecie po śmierci Paritosza Śaha zabiliśmy siedmiu ludzi Sulejmana Isy, a wśród nich Phula Singha, jednego z ich najlepszych żołnierzy, którego ściągnięto aż z samego UP. Potem oni dorwali dwóch naszych chłopaków, ale widać było, że nie odpowiedzieli z całą siłą, i wiedziałem, że szykuje się coś jeszcze. Tymczasem, w miarę jak upływały dni od mojego ślubu, Ćhotę Badriję coraz bardziej przerażał mój brak zainteresowania kwestią podróży poślubnej.

– Jak możesz tak tu siedzieć, w tej brudnej dziurze, i tu spędzać suhagrat i najpiękniejszy poranek? Musisz wybrać się w jakieś cudowne miejsce. Wszystko musi zaczynać się cudownie. Szwajcaria! – Ciągłe gadał o tej Szwajcarii i w końcu zagroziłem mu, że zanim sam tam pojedę, najpierw wyślę tam jego goli. To było czyste szaleństwo, żebym wyjeżdżał w samym środku wojny. A jednak to codzienne nagabywanie mnie przez Ćhotę Badriję i gadanie w kółko o usłanych różami nocach i pięknych dniach powoli odnosiło skutek. Żyjemy w nowoczesnym świecie, stale będziesz miał z nami kontakt przez telefon. W końcu nawet Sulejman Isa potrafił z Dubaju zdalnie sterować działaniami swoich ludzi, mówił Ćhota, a ciebie

nie będzie tylko przez kilka dni. Poza tym Paritosz Śah był człowiekiem, który przestrzegał rytuałów i zwyczajów, wierzył, że wszystko powinno odbywać się tak, jak robiono to wczoraj i przedwczoraj, znał wszelkie obrzędy, jakimi oznaczano rozwój człowieka, od samego poczęcia aż po świętowanie po jego śmierci. Kiedy Paritosz Śah zginął, co do joty spełniliśmy wszystkie przyjęte zalecenia, nakarmiliśmy stu głodnych braminów, choć wystarczyłoby tuzin. Po moim ślubie Ćhota Badrija zauważył, że jeśli ożeniłem się dla Paritosza Śaha, lepiej, żebym też dla niego pojechał w podróż poślubną. Chciał wysłać mnie samolotem do Singapuru, ale ja wybrałem się statkiem na Goa. Powiedział, że to bardzo romantyczne, statek i ta cała otoczką, zamiast jakiegoś nudnego hotelu. Tak, tak, odparłem. Ten plan najmniej mi się nie podobał, ponieważ podróż była krótka, i gdyby zaszła taka potrzeba, zawsze mogłem wyjść na brzeg i szybko wrócić. Trzy dni tam, dwa dni w Fort Aguada, trzy dni w drodze powrotnej i podróż poślubna zakończona. Tylko że ja jeszcze nie zacząłem.

Nie mogłem porozmawiać o tym z chłopakami, którzy mieszkali w sąsiedniej kabinie; to oczywiste, że z nimi nie mogłem pogadać. Kiedy to samo powtórzyło się już drugiej nocy, jasne się stało, że nic z tego nie będzie, że chociaż ja szarpię się i zmagam z samym sobą, chociaż przywołuję do rozhuśtanej kabiny wszystkie kobiety i wszystkie dziewczyny, które zdarzyło mi się badźao, i chociaż jak szalony wyobrażam sobie wszystkich gwiazdy filmi, jakie kiedykolwiek w snach rozbierałem, te wszystkie wysiłki spełzają na niczym, nic nie jest w stanie obudzić najmniejszego drgnięcia w moim martwym laurze. Kulił się ze wstydem oparty o udo, poobcierany po tym całym tarciu. A ja kuliłem się, wtulony w ścianę kabiny.

– Nigdy nie przydarzyło mi się nic takiego – wydusiłem w końcu. – To chyba przez ten statek, to całe kołysanie w górę, w dół i we wszystkie

strony, jakbyśmy jechali na mela, niedobrze mi się od tego robi.

Nic nie mówiła. Leżała odwrócona do mnie plecami, z ramionami skulonymi na tle rozświetlonej blaskiem gwiazd okrągłej ramy okna. Na imię miała Subhadra. Tylko tyle o niej wiedziałem. Spojrzałem na jej ramię, kościstą wąskość jej barku, i byłem pewien, że w tym jej odwróceniu się ode mnie dostrzegam pogardę, a nawet rozbawienie. Kiedy usiadłem i wziąłem głęboki oddech, poczułem nagły ból w żebrach, tak gwałtownie zachłysnąłem się wściekłością. Żeby odwrócić głowę w jej stronę, musiałem natężyć ściągnięte gniewem mięśnie. Chciałem powiedzieć: to twoja wina, ty chuderlawa ćut, z tymi twoimi patykowatymi żebrami wygłodzonej kutti. Chciałem chwycić ją za kark i potrząsać tak długo, aż jej głowa zacznie kiwać się do przodu i do tyłu, i krzyczeć do niej: komu by dla ciebie stanął? Mogłem ją zabić, wyrzucić do wody gdzieś daleko i zupełnie zapomnieć o małżeństwie, nie zważając na to, co by powiedzieli lub czego by chcieli znajomi. Moje ciało było żądne morderstwa, w łędźwiach czułem ciśnienie, które prężyło się, pulsowało i chciało rozszarpać ją na strzępy. Może bym ją zabił, ale wtedy ona się odezwała.

– Byłeś już kiedyś na statku?

Tak, byłem już na statku. Nurzałem się w sinych dolinach wody w chybotliwej łajbie, zabiłem człowieka, kumpla, zabrałem jego złoto. Nagle zapragnąłem opowiedzieć jej o swojej podróży przez morza.

– Tak, byłem – odparłem. – Dawno temu, jeszcze jako chłopiec, po przyjeździe do Bombaju. Wybrałem się w podróż. – Odwróciła się do mnie twarzą. Chyba zaskoczył ją zapał, z jakim opowiadałem, ja, który przez trzy dni nie powiedziałem do niej więcej niż kilka zdań. – Wtedy po raz pierwszy byłem na statku, i pierwszy raz poza granicami kraju – dodałem.

Opowiedziałem jej o Salimie Kace i o Mathu, ale widząc, jak ona mnie słuchała, z policzkiem opartym na złożonych dłoniach, zrozumiałem, że nie

potrafię dokończyć tej historii, nie mogę opowiedzieć jej o strzałach w ciemności, o młócących wodę stopach Salima Kaki, nie mogę przedstawić jej tego prawdziwego zakończenia, które było dla mnie początkiem wszystkiego. Nigdy nikomu tego nie opowiadałem i czułem, że nie mogę tego opowiedzieć również jej, tej małej Subhadrze, której tak imponowała moja odwaga. Opowiedziałem jej inne zakończenie, przygotowane dla użytku publicznego – ruszyliśmy do domu, spragnieni bezpieczeństwa i zapachu naszej ziemi, i po drodze wpadliśmy w zasadzkę, którą przygotowała tamtejsza policja, poinformowana, oczywiście, przez Sulejmana Isę. Salim Kaka poległ w walce, która się wywiązała, padł z klatką piersiową rozdartą serią z karabinu maszynowego, ale nam udało się uciec tym policjantom i jakoś dotarliśmy do domu. Ze złotem. Westchnęła, kiedy już zakończyłem opowieść, pierwszy raz usłyszałem z jej strony ten delikatny dźwięk zadowolenia. Dotknąłem jej ramienia i poczułem, że nagle zeszywniała. Pomyślała, że znowu zacznę ją szarpać i przyciskać się do niej, ale ja już nie miałem na to chęci. Brakowało mi odwagi, żeby podjąć kolejną próbę. Trzymałem dłoń na jej ramieniu i tak wspólnie unosiliśmy się i opadliśmy, długie bałwany kołysały nas, a ona powoli zaczęła się odprężyć, poczuła się bezpieczna pod dotykiem mojej dłoni.

– A ty? – zapytałem. – Byłaś kiedyś na morzu?

Opowiedziała mi o odbytej w dzieciństwie podróży na wyspę Elefanta, o tym, jak zrobiło się jej niedobrze na statku i zanim zdążyła dotrzeć do burty, zniszczyła swoją nową, żółtą sukienkę, jak niemiłosiernie gorąco było na wodzie, która przez cały czas stała nieporuszona niczym migoczące zwierciadło, rażąc oczy ostrym blaskiem, a także o tym, jak w drodze powrotnej wyczyszczono kieszeń jej ojca. Ale mnie morze przyniosło korzyści. Morze może przynieść zarówno szczęście, jak i katastrofę.

Powiedziałem jej to i usłyszałem, jak ona szepce słabe „tak”, a potem oboje usnęliśmy.

Kiedy już raz zaczęła mówić, ciągnęła bez ustanku. Zaczynała mówić zaraz po przebudzeniu i potem już nie przestawała. Trudno było stwierdzić, o czym mówi, ponieważ mówiła o wszystkim, o bólach brzucha swojej siostry, o Indirze Gandhi, o wycieczkach na lotnisko, żeby oglądać startujące i lądujące samoloty, o *Kań Patang*, o trzeszczącym wentylatorze stołowym, którego jej ojciec za żadne skarby nie chciał wyrzucić, o groźbie malarii w porze deszczowej, o najlepszym sprzedawcy bhelpuri na Dźuhu Ćaupati, o wrakach statków na wezbranych rzekach. Przeskakiwała z jednego tematu na drugi w sposób, który zdawał się zupełnie logiczny, kiedy to mówiła, ale który już pięć minut później robił się szalenie chaotyczny i niemożliwy do opisanego. Całe godziny na tym upływały, na tym wibrującym szmerze jej opowiadania. Czułem, że mnie to uspokaja. Siedzieliśmy na pokładzie, pod daszkiem w niebiesko-białe pasy, oboje w okularach przeciwsłonecznych, ja słuchałem wody śpiewającej o burty statku, a ona, wciąż olśniewająca w swojej błyszczącej biżuterii panny młodej, mówiła. Otaczał mnie taki miły szum, który opróżniał mój umysł i trzymał na bezpieczną odległość moje nocne upokorzenie. Moi ludzie odsunęli się z szacunkiem na stosowny dystans, pozostawali w zasięgu głosu, ale niewidoczni. Wmawiałem sobie, że myślę, że snuję plany, że analizuję i że te upływające godziny poświęcone są rozważaniom nad problemem Sulejmana Isy, problemem dalszego rozwoju firmy, kwestiami przyszłych kierunków działalności, ale w rzeczywistości jedynie kołysałem się do snu na jawie. Tylko odpoczywałem. Pogrążyłem się w absolutnym bezruchu.

Półtora dnia przed przybiciem na Goa te moje otepiałe medytacje przerwał Ćhota Badrija. Wbiegł na górę, stukocząc po metalowych

stopniach, a ja od razu wyczułem strach w tym przyspieszonym brzęku jego stóp na metalu. Spotkałem się z nim na schodach, w jednej trzeciej drogi w dół.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Kapitan mówi, że właśnie dostali wiadomość. Bhai, jest niedobra.

– Co się dzieje?

– Wczoraj po południu zniszczono masdżid<sup>14</sup>.

Nie musiał tłumaczyć, o który masdżid chodziło, już od miesiący mówiono tylko o jednym masdżidzie, o starym, odległym, zrujnowanym budynku, stanowiącym obecnie jęczyczek u wagi dla skaczących sobie do gardeł partii politycznych, cel procesji tysięcy ludzi, prawdziwy symbol dawnych krzywd. Dla mnie osobiście było to dosyć niepoważne, te całe problemy i kłótnie były jedynie sztuczkami polityków. Ale jeśli został zniszczony, jego upadek wstrząśnie nami wszystkimi. To akurat było jasne.

– I? – spytałem.

– Bhai, w Bombaju źle się dzieje – odrzekł Ćhota Badrija. – Wybuchły zamieszki.

Po przybyciu na Goa od razu pojechaliśmy z portu na lotnisko i tego samego popołudnia poleciliśmy z powrotem do Bombaju. Jeszcze z lotniska na Goa starałem się skontaktować z naszymi rewidentami, ale chociaż wykręciłem cały tuzin numerów, nikt nie odpowiadał.

– Policja musiała wyłączyć telefony – stwierdził Ćhota Badrija.

To było prawdopodobne, czasami tak robiono, kiedy zaczynały się kłopoty. Na lotnisku krążyły pogłoski o spalonych autobusach, o snajperach strzelających do tłumu z dachów, o mężczyznach i kobietach ściganych po uliczkach, a potem zabijanych. Chciałem wrócić do Bombaju, zanim Sulejman Isa wykorzysta sytuację, zanim te sukinsyny skorzystają z chaosu i uderzą na nas z całą siłą. Podczas zamieszek wojna może wyjść z ukrycia i

nikt nie ponosi odpowiedzialności za trupy albo palące się domy. Zamieszki to pełne przyzwolenie na swobodę w zabijaniu. W tak ważnym momencie nie mogłem pozostawić swojej firmy bez steru, bez głowy, więc poleciliśmy z powrotem. Kiedy weszliśmy na pokład samolotu, poczułem, jak poca mi się goli. Wszystkie fotele były puste, wszyscy pasażerowie odwołali swoje loty, tylko my chcieliśmy lecieć do ogarniętego zamieszkami Bombaju. Z wilgotnym krocem, rozdygotany, usiadłem w fotelu – czy ta trzeszcząca maszyna, ten wyposażony w skrzydła maderćodowy autobus będzie w stanie unieść się w powietrze? Ale polecałem. Wystrzeliłem w powietrze i ruszyłem w kierunku Bombaju i swoich obowiązków. Kiedy z brzękiem i stukotem toczyliśmy się po czarnym asfalcie, odezwałem się do Subhadry:

– Mów, mów.

Z grymasem trwogi na twarzy zaczęła mówić, ale jej przestach nie był spowodowany wznoszeniem się samolotu, tylko widokiem mojej osoby, złanej potem przerażenia, tego jej męża, Rawany, który nagle okazuje się rzygającym, zasmarkanym hidźra. Zwymiotowałem do papierowej torby, a Subhadra siedziała wyprostowana w swoim fotelu i położyła dłoń na moim ramieniu. Wiedziałem, że ta lepka i zimna wilgoć przerażenia jej męża musiała budzić w niej wstręt. I kim był ten jej mąż, bynajmniej nie jakimś niesamowitym rakszą, który w jej wyobrazeniach miał wkroczyć do ich łoża małżeńskiego, nieodpartym mężczyzną, od którego reputacji aż kręciło się jej w głowie, nie królem, ale kłownem impotentem. Ale była dobrą żoną. Mówiła, bo ją prosiłem.

Przestała, kiedy samolot zaczął kołować nad Bombajem. Nachyliłem się nad nią i razem przycisnęliśmy twarze do plastiku. Z błotnistej linii brzegowej wyłoniło się kilka wysepek, a potem już wyraźnie widziałem



drogi, budynki, kształty osiedli mieszkalnych i rozpościerające się w dole brunatne plamy basti. Za plecami słyszałem spierających się chłopaków.

– Tam jest Andheri.

– Maderpat, jakie tam Andheri? To wyspa Madh, ślepy jesteś?

A potem wszyscy ucichli. Znad osiedla nad brzegiem unosił się gruby, czarny wąż dymu, który skręcał się w stronę centrum, w kierunku następnych ciemnych, wijących się oparów – miasto płonęło.

Nikt słowem się nie odezwał, kiedy samolot schodził do lądowania. Zabudowania zbliżały się do nas z wielką szybkością, ale ja już się nie bałem, próbowałem dostrzec, co zostało zniszczone, co płonęło. Wszyscy trwaliśmy w milczeniu. Budynki lotniska zatłoczone były pasażerami siedzącymi w grupkach na ziemi, śpiącymi z głowami na torbach i walizkach. Nie jeździły żadne taksówki, żadne samochody. Nadal nie działały telefony, nie było więc jak wezwać kogoś z Gopalmathu. Przez chwilę zdawało się, że nie ma jak wydostać się z lotniska i dotrzeć do Gopalmathu, ale Chota Badrija wyszedł na drogę i zaczął kręcić się wśród rzędów taksówek, i w końcu znalazł kierowców zbitych w gromadkę w pobliżu policyjnego ćauki. Po półgodzinie przekonywania i wymachiwania tysiącami rupii jeden z nich chyba dał się skusić, więc Chota Badrija wziął go na stronę i powiedział mu, żeby niczego się nie bał, bo będzie wiozł Ganeśa Gaitondeggo. To, oczywiście, uspokoiło kierowcę, cała nasza szóstka wcisnęła się do taksówki i wjechaliśmy w gigantyczną ciszę. Przeciążony silnik zdawał się pracować zbyt głośno, a kiedy mówiłem kierowcy, żeby jechał szybciej, jeszcze szybciej, uzmysłowiłem sobie, że szepczę. Tego dnia na drogach nie było żywej duszy, nigdzie ani jednego człowieka, w położonych nieopodal prowadzącej na lotnisko drogi basti panowała cisza, a okna domów mieszkalnych miały pozamykane okiennice. Bałem się, wszyscy się baliśmy, oprócz tego kierowcy, który, uspokojony moją

obecnością, z każdym zakrętem nabierał pewności siebie. Ale ja wiedziałem, że nie mamy żadnej broni i jeśli rzuci się na nas wyjący tłum, zaatakuje nas nożami, prętami, sztchetami, mieczami, to wszyscy zginiemy. W tej rozedrganej mordem ciszy mógłbym wykrzykiwać swoje imię, a motłoch i tak rzuciłby mi się do gardła. Żadne imię nie dawało zabezpieczenia przed tym żądnym krwi gniewem. W pobliżu Gopalmathu zobaczyliśmy ciała, dwa ciała. Leżały rozwalone jak raki na skraju drogi, obok sklepu obuwniczego. Krew obryzgała falistą blachę okiennicy, nad wypukłym nadprożem.

– Prosto w mózg – stwierdził Ćhota Badrija.

Nie mylił się. W obu przypadkach oddano strzały w głowę. Zastanawiałem się, czy obaj byli muzułmanami. Na wiszącym na nadprożu szyldzie widniał napis: „Centrum obuwnicze Zuleikha”. Jechaliśmy po chrzęszczących odpryskach szkła, po butach, patykach; widziałem trzepoczący kartkami dziecięcy zeszyt w linie. Subhadra miała zamknięte oczy. W końcu pokonaliśmy dobrze znany zakręt w lewo, prowadzący do basti. Jeszcze niedawno ta droga była gładka, dwa miesiące temu kazałem ją przebudować i położyć nową nawierzchnię. Teraz pokryta była luźnymi kamieniami, skalnymi odłamkami i cegłami. Stoczono tu bitwę. Karoseria spalonego samochodu opierała się zwęglonym metalem o latarnię. Z lewej doszedł nas jakiś krzyk i spomiędzy pierwszego rzędu domów Gopalmathu wyłonił się mężczyzna, oskarżającym palcem wskazując w naszą stronę. W drugiej ręce trzymał miecz, wyglądający jak roztańczony łuk srebra.

– Hej, Banti – zawołał Ćhota Badrija, na co Banti pochylił głowę w zdumieniu i rzucił się w stronę taksówki, a za nim inni chłopcy z Gopalmathu. „Bhai, bhai” – krzyczeli. Wszyscy byli uzbrojeni, przystrojeni w miecze, lathi, kolce, pręty, noże i pistolety. Zapytałem, co tu się wydarzyło. Stamtąd, z basti Dżanpura, przyszli landja, bhai, i mówili, że

ktoś z naszych chłopaków zasztylował jednego z nich, więc im pokazaliśmy, bhai, pogoniliśmy ich, aż do tej ich śmierdzącej nory. A tych dwóch na rogu Nail Road, bhai, ich załatwili policjanci, bach–bach dwa razy prosto w łeb, tym razem nawet policja wie, co jest dobre, a co złe. I pokleпали się, wszyscy, co do jednego, przepychali się, potykali i śmiali, jakby właśnie wygrali mecz, ukazując twarze ożywione potem, młodością i zwycięstwem. Zapytałem ich, co z naszymi muzułmanami w Gopalmacie, co się z nimi stało, czy u nich wszystko w porządku. Na wschodzie basti mieszkało u nas jakieś sześćdziesiąt muzułmańskich rodzin, przeważnie krawcy i robotnicy, a niektórzy z ich synów pracowali dla mnie. Ale kiedy o nich zapytałem, moi ludzie tylko wzruszyli ramionami. Co jest, zapytałem ponownie, czy u nich wszystko w porządku? Ich nie ma, bhai, odpowiedzieli mi.

– A gdzie są? – zapytałem. – Gdzie oni są?

Nikt nie wie, bhai. Nie ma ich. Odeszli. Uciekli.

– Czy ktoś im coś zrobił? Co się stało?

Po prostu odeszli, bhai.

– A ich domy?

Przejęte, bhai. Teraz mieszkają w nich inni ludzie.

– Kto? Ktoś z was?

Tak, niektórzy z nas, bhai.

Twarcz Choty Badriji zeszywniała. Cieszył się w naszej firmie ogromnym szacunkiem i do tego dnia nikt nie zwracał uwagi na jego religię. Wziąłem go pod ramię i odprowadziłem na stronę.

– Nie słuchaj tych głupców – powiedziałem. – Nie bierz sobie tego do serca. Są młodzi i od tego wszystkiego pomieszało im się w głowach. Sami nie wiedzą, co mówią.

Ale on patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Oddałbym życie za każdego z nich – powiedział. – Ale teraz to ja dla nich jestem tylko landja? Sukinsyny. Mój dom też będą chcieli zabrać?

– Badrija, teraz jest trudny czas. Nie denerwuj się. Pozbieraj się, staraj się zachować zimną krew. Słuchaj mnie. Po prostu mnie słuchaj, tylko mnie.

Trzymałem go mocno za ramiona i w końcu pozwolił mi się objąć. Odesłałem go do domu i rodziny w towarzystwie czterech moich najlepszych ludzi, mówiąc im, że jeśli coś przydarzy się Ćhocie Badriji lub komukolwiek z jego rodziny, to osobiście ich zastrzelę.

Potem rozejrzałem się wokół, popatrzyłem na domy w Gopalmacie. Opuściłem mój dom, kiedy w mojej własnej wojnie na chwilę zapanował spokój, a po powrocie okazało się, że ten mój dom przemienił się w pole bitwy większego konfliktu. Oni, ktoś, przeprowadził granicę przez mój watan. Moi sąsiedzi byli teraz uchodźcami, uciekli przed obnażonymi mieczami, przed ciałami o roztrzaskanych czaszkach. Tu był mój Gopalmath, domostwo mojego serca, miasteczko, które dzięki mnie powstało, cegła po cegle, po którym chodziłem z przyjaciółmi, obejmując się ramionami, gdzie unosił się w powietrzu zapach gadźras i spadającej wody, miejsce, w którym odnalazłem swoją męskość, swoje życie. Ta jasna kołdra dachów, rozciągająca się od niecki doliny w górę, ta wibrująca połącz brązowych, błękitnych i czerwonych kawałków zszytych nićmi biegnących łukiem uliczek, tu były liczne, powykręcane na wszystkie strony wysięgniki anten telewizyjnych, odbijające szalone błyski wiszącego w górze słońca. Wszystko było zdewastowane. A na samym skraju horyzontu, na południu, unosiła się smuga dymu. Pod tym niesamowicie jasnym niebem zabrałem swoją młodą żonę do domu.

Zamieszki zakończyły się trzy dni później. Moja impotencja trwała. Sprzątaliśmy ulice, zbieraliśmy rannych, rozdawałem pieniądze rodzinom

osób przebywających w szpitalu, a tymczasem Subhadra rozgościła się w moim domu i została „mamuśką” dla moich chłopaków. W ciągu kilku dni stała się ich powiernicą i sympatyczką, szeptała z nimi i przychodziła do mnie z ich problemami, pełniła też rolę mediatorki, kiedy ja byłem wściekły. Nagle w domu zrobiło się czysto, we wszystkich pomieszczeniach pojawili się bogowie i boginie, a mój żołądek niespodziewanie poczuł się lepiej, był lżejszy i szczęśliwszy, dzięki zmianie diety, wszystkie moje koszule leżały poukładane w równych rzędach w szafie, ale ja wciąż się obawiałem. Słyszając jej głos dochodzący z drugiego pokoju, pełen życzliwości i rytmiczny jak dźwięk dzwonów, bałem się, że ona właśnie mówi komuś, jaki jestem beużyteczny, że nawet się do niej nie zbliżam, że leżę po swojej stronie łóżka, zakrywając rękami głowę, że proszę ją, aby do mnie mówiła, dopóki nie usnę. Nie, ona nie powiedziałaaby tego. Ale coś takiego mogło się jej wypsnąć, jakaś kobieta z bastii mogła rzucić jakąś uwagę, mogła zażartować na temat szczęścia Subhadry, lekko złośliwie pozwolić sobie na jakąś drobną grę słów, coś o małżeńskim łożu i małżeńskich nocach, o okrutnych mężczyznach i obolałych kończynach, a Subhadra roześmieje się, przecież jest taka niewinna, i może wymamrotać, och, ależ my nic takiego nie robimy. On tego nie robi, nie może. On nie może, nie może, nie może. Uciekałem przed jej głosem, przed tym „nie może”, przed niebezpieczeństwem, i cały dzień spędzałem, gnając z jednego spotkania na drugie. Lunch czasami jadałem w luksusowych, a czasami w podłych restauracjach, przesiadywałem w tancbudach i tępo gapiłem się na dziewczyny kręcące piruety. Ale żadna z nich mnie pociągała.

Nie uszło to uwagi Ćhoty Badriji. Siedział cicho, widziałem, że jest rozdrażniony tym, co się stało z masdżidem i co się wydarzyło w kolejne dni. Dlatego też trzymałem go przy sobie, wszędzie go ze sobą zabierałem.

I widziałem, że on się nie poddaje, że dla mnie walczy z samym sobą. Starał się dbać o mnie.

– Bhai, tak naprawdę, te tancerki to towar drugiej klasy. Mam dla ciebie dużo lepsze panienki.

– Dużo lepsze? Gdzie?

– Aktorki, bhai. Gwiazdy.

– Każda z tych tutaj chce być gwiazdą, ćutija.

– Nie, nie, bhai. Naprawdę, aktorki. Obiecuję. – W tamtych czasach wszyscy brali się za realizowanie programów telewizyjnych. Handlowcy od oleju i właściciele taksówek ni z tego, ni z owego produkowali seriale telewizyjne. Jednym z takich ludzi był kuzyn Choty Badriji, który opowiedział mu o pewnej kobiecie, pośredniczącej w załatwianiu pracy modelkom i aktorkom, a ponadto starającej się zostać producentką telewizyjną. Zrozumiałe, że ta kobieta znała wiele młodych dziewczyn, a wszystkie były piękne, świeże, młodziutkie i niedawno przybyły do miasta, żeby tu walczyć o swoje szczęście.

– Rozumiem, że ona pomaga im też trochę powalczyć z mężczyznami, dzięki czemu i one, i ona zarabiają nieco pieniędzy? – zapytałem.

– Zgadza się, bhai. Przecież sam wiesz, jak trudno jest żyć w tym mieście. Jak taka młoda aktoreczka mogłaby przeżyć, sama w tym mieście? Ona im pomaga, bhai, pomaga im.

– No cóż, my też musimy im pomóc. A jak ta święta się nazywa?

– Dźodźo.

Dźodźo. Dosyć dziwne imię, ale przysyłane przez nią dziewczyny rzeczywiście przewyższały pospolite randi. Były wykształcone, a niektóre mówiły po angielsku. Przy nich wszystko było jak trzeba. Przy nich nie miałem żadnych problemów ze wzrodem i wydolnością. Przy nich fikałem koziółki, dokonywałem sztuk godnych kulturysty i walczyłem, aż one

padaly na polu bitwy. Ale w domu bylem niczym. Badawczo przygladalem sie mojej zonie, obserwowalem jej lekko krzywy usmiech, proste kreski jej brwi, ten jej delikatny zapach pasty do zebow i pudru i wiedzialem, ze mi sie podoba. Pragnalem jej. Ale nie moglem jej miec. W bezpiecznym zaciszu lozka moja sila znikala, a ja nie mialem do czego sie uciec. Czytalem reklamy klinik na billboardach i na ostatnich stronach czasopism, obietnice wigoru, ktory zapewniaja tabletki i magiczne napoje, ale nikomu nie moglem nic powiedziec, nawet Chocie Badriji. Wstydzilem sie. Chwycilem za telefon i zadzwonilem do jednej z takich klinik, proszac o rozmowe z waidem, ale oni chcieli ode mnie pieniadze i pytali mnie o imie i nazwisko, a do tego kobieta po drugiej stronie mowila szybko i byla bardzo opryskliwa, wyzwalem ja wiec od gandu i rzucilem sluchawka. Chwile pozniej weszla Subhadra, ktora przyniosla mi szklanke mleka, i kiedy pillem to mleko, pomyslam sobie z gorycza, tak, moglem zjechać przez telefon te randi, ale jedyne co moge zrobic, to wypic mleko mojej zony. I dalej zaliczalem dziewczyny Dzodzo, jedna po drugiej. Ale zauwazylem rowniez, ze kiedy jestem daleko od Subhadry, kiedy nie slysze jej glosu, jeszcze bardziej sie boje. Moze jednak lepiej pozostac w domu, moze moja bliskość choc troche ja pohamuje, nie pozwoli jej opowiadac ludziom o moich niepowodzeniach. Wracalem wiec do domu. I widzialem, ze ona jest szczesliwa w tym swoim domu. Naprawde, wygladala na szczesliwa, byla szczesliwa. Jej malzenstwo okazalo sie farsa, w samym jego srodku widniala marna pustka, ale ona krzatała sie, pobrzekujac kluczami noszonymi w pallu, dzwonila garnkami w kuchni, dyrygowala sluzba, naklaniala mnie do jedzenia i wygladala na zadowolona. Rozkwitala, kiedy my martwiliśmy sie ruinami meczetu, kiedy gazety wyciagaly dawne, pelne goryczy historie i przytaczaly plomienne przemowienia politykow. Czasopisma publikowaly mapy naszego kraju

udekorowane szpiczastymi naroślami małych rysunkowych eksplozji, gdzie każda malutka detonacja oznaczała zamieszki, ciała, cegły, miecze, i kiedy ja byłem nieszczęśliwy, ona promieniała szczęściem. Pewnej nocy wpadła do naszej sypialni i usiadła przy mnie.

– Słyszałam o twoim przyjacielu – odezwała się Subhadra.

– O kim?

– O twoim przyjacielu Paritoszu Śahu. – Siedziała obok mnie, zaciskając palce na rękawie mojej kurty. – Wszyscy chłopcy ciągle powtarzają, że to on nakłaniał cię do małżeństwa, mówią, że wywierał na ciebie bardzo dobry wpływ. Opowiedz mi o nim.

Opowiedziałem jej więc o tym, jak zaniósłem do niego złoto, o jego ogromnym brzuszysku, o jego nosie do pieniędzy, o jego miłości do gry w zdobywanie przewagi, o naszych wspólnych przygodach o tym jak cieszyły go festiwale, obrzędy i świętowanie, o jego pragnieniu, aby wznieść się wysoko. Słuchała mnie, nie puszczając mojego rękawa, z opuszczoną głową, ale z oczami rozpromienionymi i mrugającymi w moją stronę, a niesforne kosmyki jej włosów, podświetlone znajdującą się z tyłu lampą, jaśniały każdym pojedynczym włóknem, tworząc nad jej głową małą, świetlistą aureolę.

– A ten mój przyjaciel motu – powiedziałem – niczego by nie zrobił, nie pomodliwszy się wcześniej, odmawiał modlitwę nawet wtedy, kiedy miał przejechać z Kolaby do Worli, modlił się, jeśli miał ukraść krore. A potem oni go zabili.

– Zabiłeś ich?

– Kogo?

– Tych, którzy jego zabili!

Ta mała dziewczyna mówiła o zabijaniu ludzi, jakby chodziło o krojenie kurczaków.



– Zabiliśmy kilku z nich.

– Pytam, czy zabiłeś tych rzeczywistych sprawców?

Jak miałem wytłumaczyć jej, że nie było łatwo dowiedzieć się, kim była osoba, która pociągnęła za spust, i kto wymachiwał młotem? Czy mogła pojąć, na czym polega działalność wywiadowcza, co mogła wiedzieć o punktach kontaktowych, podwójnych i potrójnych blefach, posyłaniu chłopaków do akcji i o tym, jak trzeba lurkować ludzi? Zadała proste pytanie: czy ukarałeś tych ludzi, którzy to zrobili? Ale na to pytanie nie było prostej odpowiedzi. I kiedy patrzyłem na sindur w jej włosach i na te jej przepełnione ufnością oczy, dotarło do mnie, że ona zadała jedyne pytanie, na które warto udzielić odpowiedzi. Zawiodłem Paritosza Śaha. Zabiłem kilku ludzi Sulejmana Isy i uznałem to za wystarczającą zemstę. Ale prawdziwa zemsta nie mogła polegać na złapaniu i zlikwidowaniu przypadkowych ludzi. Paritosz Śah martwił się o mnie, kochał mnie, doprowadził do tego, że się ożeniłem i ustatkowałem, a ja zarzuciłem pamięć o nim, moim usprawiedliwieniem przed jego duszą miały być kary, które wymierzyłem moim wrogom, podczas gdy rzeczywisci mordercy pozostawali na wolności. To dlatego byłem przeklęty w tym moim małżeństwie, które on dla mnie zaaranżował. Nie mogłem liczyć na spełnienie, kiedy jego dusza była niespełniona, kiedy wciąż szukała spoczynku. Moja ułomność była dokładnym odzwierciedleniem jego własnej niepełności. Roześmiałem się. Potrzeba było Subhadry, żeby mi to uzmysłowić, Subhadry, noszącej imię siostry boga, którego czcił Paritosz Śah. To naprawdę było dosyć logiczne. Zerwałem się z posłania. Nachyliłem się i pocałowałem moją żonę. Poczułem się odmłodzony, jakby na nowo narodzony. Wybiegłem do pokoju, w którym spotykałem się z moimi ludźmi, wezwałem ich wszystkich, kazałem też obudzić Ćhotę Badriję.

– Co ostatnio zrobiliśmy, żeby dowiedzieć się, kto dopadł Paritosza Śaha? Czy oferowaliśmy nagrodę pieniężną? Ile? Kogo przepytaliśmy? Kogo złapaliśmy?

W ciągu godziny opracowałem nowe plany, wprowadziłem w życie nowe projekty, podwoiłem i potroiłem kwoty pieniędzy, które miały rozwiązać języki, rozmawiałem z policjantami, ludźmi z firm, gangsterami i khabari, zbierałem nazwiska, strzępy nazwisk i ślady nazwisk, adresy, plotki o rosnących niepokojach i knowaniach. Cały dom huczał i śpiewał, a ja czułem, że moja moc rozchodzi się po Bombaju jak prąd elektryczny, z mojej przyczyny kobiety i mężczyźni mówili, biegali, poruszali się zgodnie z planami, które ja sam przygotowałem do realizacji. Szeroko zarzuciłem sieci swojego jestestwa i złowię w nią morderców, pochwycę ich. Nie uciekną mi. Patrz na mnie, Paritoszu Śahu, bhai, mój grubasie. Będziesz musiał przywrócić mi moją dawną postać. Ja dam ci twoich zabójców, a ty dasz mi Subhadrę, moje małżeństwo, spowodujesz, że znowu będę sobą.

I wtedy ponownie uderzyły w nas zamieszki. Wiadomości o nowych morderstwach docierały do nas z udreńczonych zaułków, z ulic wciąż jeszcze pograżonych w żałobie po starych ranach: tu zadźgano muzułmanina, tam zabito hindusa, a potem zadźgano i zabito pracowników mathadi, spalono jakąś rodzinę, i jeszcze raz porwał nas wir wydarzeń. I znowu puste ulice, długie ciche popołudnia, pospieszne plaskanie wielu biegnących stóp, słońce przetaczające się nad głowami, i krzyki, krzyki wznoszące się i lekko stukające w nasze okna, wiadomości o mężczyznach, kobietach i dzieciach oblewanych benzyną i żywcem palonych, Subhadra skulona w kącie i nagły odgłos strzelaniny, ciągnącej się długo w noc. Rozmieściłem swoich ludzi na obrzeżu Gopalmathu, kazałem im zmieniać się na straży, siedzieć cicho i wszystko obserwować. Po trzech dniach Banti przyszedł do mnie i zaczął się skarżyć.

– Nie jestem w stanie zapanować nad chłopakami, bhai – powiedział. – Oni chcą coś zrobić.

– Co robić? – warknąłem. – Chcą iść i zabijać staruszki? Za co? Za jakiś pusty, stary budynek?

Opuścił głowę.

– Oni nas zabijają.

– I co?

– Bhai?

– Wyglądasz, jakbyś chciał coś powiedzieć.

– Chłopcy mówią... Niektórzy pytają, czy bhai jest z nami, czy z muzułmanami.

Sprawa była jasna, to było nieuchronne: oni albo my. Czy ja byłem z nimi czy z nimi?

– Ja jestem tam, gdzie są pieniądze – odparłem. – A tutaj nie ma żadnego zysku. Możesz im to powiedzieć.

Ale to pytanie nie opuszczało mnie, nurtowało mnie przez te wszystkie noce mordów. My czy oni? Kim byłem ja, nieodmiennie uważający zarówno potencjalnych napastników meczetu, jak i jego obrońców za takich samych głupców? Teraz meczet leżał w gruzach, i wszyscy albo atakowali to, albo bronili tamtego, trzeba było wybrać: z nami czy z nimi. Ale kim ja byłem? Rozmyślałem nad tym, czekałem, że Paritosz Śah coś mi podpowie, i wstrzymywałem się z podjęciem decyzji o udziale w tej masakrze. Tymczasem niektórzy z moich ludzi odeszli. Irytował ich mój brak zaangażowania, to, że nic nie robiłem. Omotani ulotną mgiełką wściekłości, która podnosiła się z płonących sklepów, z ciał leżących w rynsztokach, odeszli uzbrojeni w miecze i pistolety. Wyciągali mężczyzn z samochodów i ich zarzynali, gwałcili kobiety, które udało im się znaleźć skulone w ruderach, a potem podrzynali im gardła, za pomocą nafty i kuchennych

zapalek żywcem palili maruderów, strzelali do dzieci. I tak w te zimowe dni straciłem lojalnych żołnierzy na rzecz tej rzezi naszych i tamtych, tej rzezi, która w niczym nie przypominała bitwy. Opuścili mnie i gardzili mną, ponieważ stałem na uboczu. I nie potrzebowałem Bantiego, żeby to zrozumieć. Traciłem izzat, traciłem moc, traciłem firmę, którą stworzyłem i której broniłem przed tyłoma przeciwnikami.

Wyjście z sytuacji zaproponował mi Bipin Bhonsle. Przyjechał w niedzielny poranek, w dżipie przystrojonym szafranowymi chorągiewkami. Za nim nadciągnęły dwa ambasadory, również załadowane ludźmi z Rakszaku, uzbrojonymi w przeróżną broń. Sam Bipin Bhonsle niósł w ręce obnażony miecz i oparł go o krzesło, na którym usiadł w moim baithaku.

– Uzbrojony MLA na publicznej drodze – odezwałem się. – Jakże ten świat się zmienił.

– Dziś przywrócimy go do porządku, bhai – powiedział, przecierając twarz. Był opuchnięty, wyczerpany i śmierdział. Poplamiona i pomięta fioletowa koszula zwisała mu z przodu, odsłaniając przepocone fałdy brzucha. – Co za dużo, to niezdrowo. Pokażemy tym sukinsynom landja.

Czekałem. Ale wyglądało na to, że Bhonsle zasnął z otwartymi oczami, z brodą opartą o piersi. Proste pasma włosów przylepiły mu się do czoła, jego codzienna, nastroszona fryzura uległa zupełnemu zniszczeniu. Niedopowiedziane pozostało, co chce pokazać muzułmanom.

– Bipin saab? – zapytałem w końcu.

Odpowiedział bez mrugnięcia okiem, nawet nie zmieniając swojej posągowej rozwalonej pozycji.

– Otrzymaliśmy polecenie z góry: macie pokazać tym maderćodom. Pokazaliśmy więc im.

– Macie rozkazy z góry?

– Z samiutkiej góry. – Ziewnął. – Odciałem głowę. Tak zupełnie, satak! Właśnie tak. Musiałem chwycić miecz w dwie ręce. Dwa razy się odbiła, to znaczy ta głowa. Najzabawniejsza była krew. Bardzo daleko leci. Jak z pićkari, bryzga na wszystkie strony. Moi ludzie uciekali, chowali się przed tą bryzgającą krwią. A głowa wcale nie wyglądała na zdziwioną. Była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

– No to pokazałeś im.

– Tak. A ty sobie tu siedzisz, Ganeśu bhai, bezpieczny w domu.

– Nie dostałem żadnych poleceń z góry, Bipin saab.

– Ci landjowie zabili Paritosza Śaha. A ty i tak nic nie robisz.

Mogłem zauważyć, że chociaż Sulejman Isa rzeczywiście jest muzułmaninem, zatrudnia wielu hindusów. A także, że nie ma nic wspólnego z muzułmańskimi rodzinami, które mieszkają przy autostradzie, i że obcinanie im głów z pewnością nie wywoła u niego krwotoku. Ale odparłem tylko:

– Nie widzę w tym żadnej korzyści dla siebie.

Spojrzał na mnie, łypnął w moją stronę przekrwionymi oczami.

– W takim razie ja przynoszę ci korzyść. Mam sporo pracy, więc załatwmy to szybko. W Abarwie jest muzułmańskie basti. Znasz je?

– Za białym budynkiem towarzystwa ubezpieczeń na życie. Tak.

– Ziemia, na którym leży, to własność mojego współpracownika. Kupił ją trzy lata temu, za dobrą cenę, to dobry teren do zabudowy, ale on nie może pozbyć się ze swojej ziemi tych maderćodów ze slumsów. Podłączenie wody, elektryczność, oni tam wszystko mają. Mówią, że mieszkają tam od lat, takie typowe behenćodowe bzdury. Usuń ich stamtąd. Spal to miejsce. Płacimy dwadzieścia lakhów.

– Bipin saab. Bipin saab. Ta ziemia jest warta przynajmniej cztery krory.

– W takim razie dwadzieścia pięć.

– Będę potrzebował dużo ludzi.

– Twoi ludzie mogą zatrzymać wszystko, co tylko znajdą.

– Co mogą znaleźć w nędznych chatkach, kiedy nad ich głowami buzuje płomień?

– Trzydzieści.

– Jeden krore.

Roześmiał się.

– Dam ci sześćdziesiąt lakhów.

– Stoi.

– Kiedy?

– Jutro.

– Zgoda. Załatw to szybko. Postaramy się, żeby ten sezon łowiecki był otwarty tak długo, jak tylko się da, ale w pewnym momencie wojsko dostanie rozkaz, żeby strzelać, a nie tylko maszerować z flagą, i wtedy sytuacja się pewnie skomplikuje. – Oparłszy dłonie na kolanach, zaczął wstawać, ale na moment pozostał w zgiętej pozycji, żeby odciążać kręgosłup. – Nie zaproponujesz mi nic do picia?

– Bipin saab, przepraszam, że nie zapytałem. – Krzyknąłem w stronę korytarza: – Are, dajcie tu jakąś wodę, herbatę, coś zimnego.

Bipin Bhonsle uśmiechnął się.

– Myślałem raczej o whisky. Albo o rumie. Ale ty się nie zmieniasz, bhai. Woda, zawsze tylko woda.

– Dzięki niej jestem stale czujny.

– A ja dzięki whisky jestem silny – oznajmił Bipin Bhonsle, chwytając za swój miecz. – Woda szkodzi mi na serce. – Uniósł miecz, wskazując nim w moją stronę. – Dobrze, że jesteś po naszej stronie – dodał. To powiedziawszy, zbiegł po schodach, łomocząc piętami na kolejnych

stopniach. Dżip zawył silnikiem i zakręcił w miejscu, i zniknął. A ja teraz byłem po naszej stronie, byłem przeciw nim.

Oto sposób na eleganckie spalenie basti: robi się to w nocy, tuzin samochodów wypakowanych chłopakami przyjeżdża na wschód, na ten koniec basti, gdzie znajduje się towarzystwo ubezpieczeń na życie, i z tego miejsca przypuszcza głośny, frontalny atak. Nasi ludzie strzelają z pistoletów i wymachują mieczami na mieszkańców basti, którzy wyłaniają się ze swoich ruder, żeby stanąć do rozpaczliwej walki, w świetle reflektorów ich twarze wyglądają jak oszalałe karykatury. Tymczasem na odległym, południowo-zachodnim krańcu basti, w pobliżu skupiska chałup i domów, pojawia się inna grupa naszych ludzi. Nasi chłopcy są przebiegli, skradają się, podchodzą blisko i słyszą krzyki i przekleństwa dochodzące z tego drugiego krańca, tam gdzie znajduje się towarzystwo ubezpieczeń na życie. Unoszą butelki wypełnione benzyną, butelki, z których wystają nasączone szmaty. Słyszą chrzęst tłuczonego szkła, a małe, strzelające iskrami błyski rozkwitają w rzeki, przepływające gładko po dachach, opadające w dół ścian, wchodzące w okna. Po chwili odzywa się ogień, mruczy, z radością pożerając wszystko na swojej drodze, nie da się go zatrzymać. Nie ma żadnych telefonów, nie przyjedzie straż pożarna ani policja. Obrońcy już się nie bronią, uciekają, kryją się za rogami, oświetlonymi jasnym blaskiem z dachów. Nasi ludzie gonią ich, niektórych zabijają, inni uciekają do swoich kobiet, do swoich krzyczących dzieci, wymykają się płomieniom, potykają się, upadają, wstają i dalej biegną, aż w końcu znikają. Już ich nie ma. Płomienie z łatwością przeskakują z jednego domu na drugi, a nasze zadanie jest zakończone.

Rankiem zachodnia fasada budynku towarzystwa ubezpieczeń na życie była ubrudzona szarą sadzą, a w miejscu, w którym wczoraj stało basti,

pojawiło się puste pole popiołów, z którego gdzieś wystawał słupek framugi czy jakaś wykręcona rura.

Dwa dni później otrzymałem pełną zapłatę. Nadeszła w paczuszkach nowiutkich, zawiniętych w folię banknotów, które rozdzieliłem pomiędzy chłopaków. Prawie wszyscy do mnie wrócili. W ciągu następnych czterech dni oczyściliśmy jeszcze dwie takie parcele. I wszyscy byliśmy zadowoleni, ja, moi ludzie, Bipin Bhonsle. Zamieszki mogą przydać się na wiele sposobów i prawie każdy może na nich skorzystać.

W trzecim tygodniu stycznia ostatecznie skończyło się palenie i zabijanie, stłumione kulami policji i wojska, a także poleceniami wydanymi przez szefów Bipina Bhonslego oraz przez ich szefa. Nawet dla samej góry za dużo już się zrobiło trupów, a przetaczający się ryk nadciągającego chaosu stał się zbyt ogłuszający, więc trzeba to było zakończyć. Miasto wzdrygnęło się po ciężkich przejściach, otrząsnęło się i zaczęło sprzątać gruzy. Spychacze zamiotły opustoszałą ziemię i kopały fundamenty, zbierano ciała z rynsztoków, ze stert śmieci, a po uliczkach znowu kłębił się ruch uliczny. I tak powoli powracaliśmy do normalności. A ja doszedłem do siebie. Powróciły moje możliwości. Pewnej nocy wróciłem późno do domu ze spotkania z Bipinem Bhonslem, na które poszedłem, żeby odebrać kolejne pieniądze, które był nam winien za pracę wykonaną w okresie zamieszek, i żeby omówić nowe projekty. Zdjąłem buty i usiadłem na łóżku, głowę opierając na nowych, ciemnoczerwonych, haftowanych poduszkach Subhadry. Przetawiała meble w pokoju, dzięki czemu, leżąc w łóżku, mogliśmy patrzeć przez podwójne okno na dwór. Widziałem moje zaciemnione basti i wiszące u góry gwiazdy. Subhadra przyniosła mi mleko, po czym usiadła po turecku na łóżku i patrzyła, jak piję. Sączyłem płyn powoli, a ona oparła brodę na dłoni i cichutko coś nuciała.



– Co to za piosenka? – wyszeptałem. Noc była tak cicha, tak delikatna, chłodna i tak wypełniona cieniami, że mogłem tylko szeptać.

Subhadra zerknęła tylko na mnie i dalej nuciła.

– Powiedz, sali? Co to za piosenka?

Uśmiechnęła się, taka malutka i psotna, i pokazała mi język. Dalej sobie nuciła.

Żartobliwie chwyciłem ją za ramię, ale ona tylko krzyknęła teatralnie i wyrwała się z mojego uścisku.

– Puść – powiedziała. – To boli.

– Nie udawaj – odparłem, puszczając ją. – Ledwo cię dotknąłem.

– Nie – powiedziała. – Jesteś za silny. – Rozcierała ramię. – Zobacz, jest ślad.

– Nic nie widzę.

– Nawet chłopcy tak mówią.

– Co mówią?

– Że sam nie zdawałeś sobie sprawy, jaki jesteś silny. Wczoraj powiedzieli: w końcu pokazuje swoją prawdziwą siłę. Teraz wiemy, że jest prawdziwym hinduskim przywódcą.

– Hinduskim?

– Tak. – Spoglądała na swoje blade ramię, gdzie na skórze widniał delikatny rumieniec, pozostawiony przez moje palce. – Powiedzieli, że teraz pokazujesz tym sukinsynom, co potrafi zrobić hinduski bhai.

Przez nieboskłon ukośnie spływała rzeka, wijąca się linia światła. U góry było niebo, a pod nim my. Hindusi i muzułmanie. Wszystko układa się w pary, w przeciwieństwa, tak okrutne i tak piękne.

– Zamknij drzwi – powiedziałem.

Teraz ona się odezwała:

– Co?

– Chyba słyszałaś.

Co się wtedy ze mną stało? Przez całe swoje wcześniejsze życie miałem wrażenie, że jestem niczym duch, w moim ciele błąkało się tysiące duchów, każdy z nich równie realny i każdy z nich bardziej zagubiony niż inne. Przybyłem znikąd i sam zapracowałem na swoje nazwisko, ale zawsze uważałem, że odgrywam jakąś rolę, a nawet wiele ról, i że z łatwością mogę zmienić nazwisko – jeśli dziś jestem Ganeśem Gaitondem, jutro mogę stać się Sulejmanem Isą, a potem każdym z tych ludzi, których zabiłem. Czułem złość, ból, pożądanie, ale przez cały czas starałem się nie dopuścić, żeby te znajdujące się wewnątrz mnie fragmenty ułożyły się w jakiś kształt, żeby przybrały jakąś postać. To dzięki mnie ludzie zaczęli we mnie wierzyć, wierzyć w Ganeśa Gaitondego, a ja zawsze potajemnie nimi gardziłem, ponieważ sam byłem niczym. Sam w nic nie wierzyłem. Do niczego się nie zobowiązywałem. Dlatego też zawsze byłem jedynie zjawą, zdolną do szalonego spólkowania z dziwkami, próbującą urzeczywistnić się w ich przesiąkniętych wilgocią ćut, ale do małżeństwa się nie nadawałem. Małżeństwo to wiara. Małżeństwo to zaufanie. Małżeństwo to jedność. Teraz widzę to wyraźnie, nie nadawałem się do małżeństwa, byłem niekompletny, niedoskonały, a co za tym idzie, bezsilny. Ale te wszystkie drogi, które przemierzyłem, sądząc, że jestem samotny, te wszystkie wyboiste ścieżki nieuchronnie doprowadziły mnie do stanu przynależności, do nieuchronności stawania się czymś, jakąś jednością. Spaliłem basti, a więc dokonałem wyboru, w toczącej się bitwie zmuszono mnie do wybrania jednej ze stron, przebiegły Paritosz Śah ostatecznie dopiął swego. Teraz byłem gotowy. Wiedziałem, kim jestem. Hinduskim bhai. Uniosłem się więc lekko nad moją żoną, nad tą moją żoną, każdą cząstką ciała czując pewne uderzenia mojego tętna. Wszedłem w nią. Czułem drżenie jej krzyku nad moim ramieniem. A potem pojawiła się krew, na pościeli, na moich

udach. Byłem zadowolony. Nie zapomniałem o tobie, powiedziałem do Paritosza Śaha. Znajdę twoich zabójców. Spałem głęboko i długo, aż do późnego wieczoru, leżąc rozwalony na łóżku na znak zwycięstwa.

Kiedy się obudziłem się, otrzymałem nagrodę za ten powrót do siebie. Tej nagrodzie towarzyszyło jednak również przekleństwo. Dostałem kasety wideo, a na niej przez krótką chwilę pojawiał się człowiek, który zdradził Paritosza Śaha, który oddał go w ręce naszych wrogów. Kasetę trafiła w moje ręce od jednego z naszych informatorów w Dubaju, od człowieka o imieniu Śanker, pracującego w sklepie elektronicznym o nazwie Mina Television and Appliances. Szef Sankera, właściciel tego sklepu, zajmował się również filmowaniem różnych imprez, zaręczyn i ślubów, a w listopadzie zaproszono go na przyjęcie odbywające się w obrotowej restauracji na szczycie hotelu Embassy, żeby tam zarejestrował śandar party, żeby nagrał dla potomności małą, niemniej jednak niesamowicie drogą imprezę urodzinową, zorganizowaną ze wszystkimi szykanami, na którą z Bombaju ściągnięto nawet Gowindę, żeby uświęcił ją swoim tańcem. Właściciel firmy Mina skrzętnie wszystko rejestrował, uchwycił wznoszone szampanem toasty, ubranych w pretensjonalne garnitury i stojących w małych półkolach mężczyzn, ich pięści zaciśnięte na pękatych szklaneczkach whisky, kobiety zebrane w pewnej odległości wokół sof, blask brylantów, uderzających w obiektyw krótkimi rozbłyskami, taniec Gowindy, jego wszystkie obroty i skłony, odbicie jego białych butów w czarnej, marmurowej posadzce, a także samego solenizanta, Ankara, trzeciego brata Sulejmana Isy. I Sulejmana Isę, tak, właśnie tego sukinsyna, kołyszącego się w rytm tańca Gowindy, ale z obojętnym wyrazem zupełnie pozbawionej życia twarzy. Gość z Mina Television przyniósł nagraną kasety do sklepu, ponieważ kazano mu zrobić trzy kopie filmu. Dał ją Śankerowi, polecając mu wykonanie tych kopii. Śanker zrobił cztery kopie. Jedną

zachował dla siebie i na początku lutego przywiózł ją do Bombaju. Przekazał ją Bantiemu, a ten dał mu w zamian pieniądze. I tak oto trafiła do mnie, była tu, odtwarzana w moim telewizorze, w moim biurze.

Sulejman Isa miał szeroką, płaską twarz, z cieniutkimi jak ołówek wąsikami i z rzadką, okalającą szczękę brodą. Na filmie miał na sobie białą koszulę z półokrągłym kołnierzykiem i ciemnoszary garnitur z fantazyjnym haftem na klapach. Nie potrafiłem rozpoznać, co pije, ale jadł leżące na talerzu kebaby, odkładając wykałaczki w równym rzędku na skraju stołu. Uporządkowany, metodyczny. Oglądałem tę kasetę do późna w nocy, cofając i powtarzając fragmenty z Sulejmanem Isą. Ćhota Badrija oglądał ją wraz ze mną i wspólnie naliczyliśmy na przyjęciu czterech braci; znaleźliśmy ich twarze ze zdjęć z kartotek policyjnych. W końcu Ćhota Badrija zaczął mniej więcej co minutę ziewać, więc odesłałem go do domu. A ja dalej oglądałem Sulejmana Isę, jak płucze palce w małej mosiężnej miseczce, a potem wyciera je w serwetkę. Było już późno, i na kasecie też już była późna pora. Gowinda dawno już zniknął i nawet Sulejman Isa opuścił przyjęcie. Ale kamera nadal wędrowała, rejestrując mężczyzn rozpartych na kanapach, bez butów, z poluzowanymi krawatami. Jeden z nich zauważył kamerę, zaczął się podnosić, i kiedy za trzecim razem w końcu mu się to udało, uniósł ręce do góry i spróbował zakręcić się jak Gowinda, ale się przewrócił, kopiąc nogami w stół. Szkło rozbiło się na podłodze. Rozległ się głośny śmiech. Tego fragmentu nagrania jeszcze nie widziałem, zawsze cofaliśmy taśmę do Sulejmana Isy i jego braci. Ale teraz oglądałem wszystko po kolei, przed pójściem spać chciałem zobaczyć całość. Dwóch kolegów podniosło pijanego z podłogi i w trójkę ruszyli tanecznym krokiem, trzymając się za ramiona i podskakując z lewej nogi na prawą. Kamera przesunęła się za nimi w lewo, przejechała dalej i zobaczyłem, że jakiś siedzący na krześle mężczyzna uchyla się przed nią, zsuwa się z

krzesła i znika z kadru, z lewym ramieniem wysoko uniesionym i twarzą gwałtownie odwróconą od obiektywu, ode mnie. Po chwili kamera drgnęła i powróciła w prawo, odnajdując trzech tańczących mężczyzn.

Ale ja cofnąłem taśmę. Po omacku poszukałem pilota, naciskałem przyciski. Było coś intrygującego w ogromnych ramionach tego mężczyzny, jakaś lekka płynność w ruchach jego ciała, nawet kiedy on gwałtownie starał się zniknąć z pola widzenia, dało się zauważyć jego pewność siebie. On się nie bał, był zupełnie spokojny, chciał jedynie mieć pewność, po prostu umykał kamerze. O tu, ledwo sekunda rozmytego obrazu, ten gość był dobry, ale nie na tyle dobry, niedostatecznie dobry – za nim znajdowała się tafła prawie czarnego szkła, wysokie okno, za którym była ciemność, w jednym z dolnych narożników dostrzegłem świecące daleko w dole latarnie uliczne, ale w płynnym połysku szyby udało mi się również dostrzec twarz, ostry kształt nosa, długi podbródek, mocny kark, szybko zafalował dyndający złoty łańcuch, na którego końcu błyszczał medalion: to był Bara Badrija. Starszy brat naszego Ćhoty Badriji, wierny ochroniarz Paritosza Śaha. To był on. To był on. Wszystko trwało bardzo krótko, zaledwie mignął mi przed oczami, ale byłem pewien. Po chwili nie miałem już jednak takiej pewności. Kiedy zacząłem odtwarzać kasetę w zwolnionym tempie, kiedy przeglądałem ją klatka po klatce, twarz rozpadała się na jasne kwadraciki i okruszki ciemności, zupełnie tracąc kształt przed moim wytężonym wzrokiem. Przywarłem do ekranu telewizora. Czy to, co widziałem, było jedynie mętną mgiełką gry świateł, czy też rzeczywiście to był on? Na poszczególnych klatkach widać było tylko ten nieokreślony obłok, to takie nic. Ale kiedy odtwarzałem taśmę z normalną prędkością, był tam, Bara Badrija, bez wątpienia.

Do samego rana nie kładłem się spać, nie zważając na senne wezwania Subhadry, tam i z powrotem przeglądałem ten fragment, od obrazu krzesła

do tego, co znikало poza kadrem, aż poczułem ten ruch we własnych ramionach i biodrach, wiedziałem, co to znaczy płynnie zsunąć się z krzesła, odruchowo wyczuwać bliskość zagrożenia, obojętnie, czy to obiektyw kamery, czy lufa pistoletu, i co to znaczy mieć mięśnie, które z takim wdziękiem rozciągają się i napinają, po prostu byłem nim i wiedziałem, dlaczego to zrobił. Zrobił to dla pieniędzy, dla awansu, ze złości, że zawsze był tylko ochroniarzem, z pogardy dla człowieka, którego chronił; zrobił to dlatego, że znał siłę swoich własnych wielkich mięśni i czuł, że zasługuje na coś lepszego. A Sulejman Isa dał mu pieniądze, wiedziałem o tym, i obiecał mu jeszcze dużo więcej. Sulejman Isa zaoferował Barze Badriji nowego Barę Badriję, większego, lepszego. I dlatego Paritosz Śah zginął. Zrozumiałem to, oglądając tę taśmę.

Wysunąłem kasetę z magnetowidu, wyłączyłem światło i ruszyłem korytarzem w kierunku sypialni. W połowie drogi zatrzymałem się, stanąłem jak wryty, przyciskając kasetę do piersi. Wiedziałem, co mam zrobić z Barą Badriją, to było proste. Mogłem to traktować jak sprawę załatwioną. Ale co z tym młodym, z tym młodszym bratem, z Ćhotą Badriją, moim Ćhotą Badrija? Co będzie z nim, z tym, który codziennie nazywał mnie „bhai”? Który w tym właśnie momencie spał w swoim domu, oddalonym niecałe pięć metrów od mojego domu, zbudowanego przez nas wspólnymi siłami? Ufałem mu, ani przez moment w niego nie wątpiłem. Co mam zrobić z nim, tak wiernym mi człowiekiem? Wszystkiego się dowie, kiedy jego brat zginie, kiedy ja zabiję jego brata. Nawet jeśli znajdą Barę Badriję z uciętą głową w jakimś bardzo odległym rowie, gdzieś w Thane, w maderćod Delhi, nawet jeśli powiem Ćhocie Badriji, że zrobił to Sulejman Isa, on w końcu zacznie się zastanawiać, będzie zaglądał mi w oczy i zacznie wątpić w moje słowa – Sulejman Isa przekaże mu tę informację, wyśle mu kasety wideo i zdjęcia Bary Badriji, siedzącego z nim

w przyjaznej komitywie w Dubaju, a Ćhota Badrija wtedy przypomni sobie Paritosza Śaha i mnie, popatrzy na mnie i będzie wiedział, że nie miałem wyjścia, że musiałem to zrobić, i znienawidzi mnie. Może zdoła pogodzić się z tym, że jego brat postąpił źle, ale potem już zawsze, stojąc przy mnie albo za mną, będzie mną gardził. Nie mogło być inaczej.

Tak to już jest z braćmi, już w łonie rozwija się ta nieunikniona więź, ta nienawiść. Czy pozostałby mi wierny, gdybym zostawił jego brata w spokoju? Czy zostałby przy mnie, gdybym wybaczył i zapomniał? Zamknąłem drzwi do sypialni.

– Czy to ty? – zapytała sennym głosem Subhadra.

– A któżby inny, głuptasie? – warknąłem. – Sulejman Isa? – Leżałem obok niej napięty jak struna, nie mogąc opanować wzburzonego oddechu. Oprzytomniała, nieśmiała, przestraszona. A ja trzymałem pod palcami kasetę wideo, dzierżyłem roztańczone stopy Gowindy, i wiedziałem, czułem to w pomruku krążącej z zawrotną szybkością krwi, że wszelkie prezenty są aktami zdrady, że narodzić się oznacza być oszukanym, że zawsze, kiedy coś dostajemy, coś większego się nam odbiera, że przyjęcie roli Ganeśa Gaitondego – hinduskiego bhai – samo w sobie było aktem morderstwa, oznaczało zabicie tysiąca innych istnień, i poczułem w uszach wodę, oświetlony światłem księżyca ryk wzburzonej wody, a z mojego gardła wydobył się jakiś dźwięk, cichy jęk.

– Co się stało? – szepnęła moja żona.

Odwróciłem się w jej stronę, położyłem się na niej, jednym szarpnięciem podciągnąłem jej koszulę nocną, usłyszałem, jak strzelają guziki i pęka rozrywany materiał, i wtargnąłem w nią. Jej dyszenie i krzyki zginęły w szalonej euforii mojego gniewu, w warczących stęknięciach płynących z trapiącej mnie goryczy.

Moi ludzie zwinęli Barę Badriję następnego dnia. Zabrali go z jego nowej stacji benzynowej w Thane. Cieszył się szczególną reputacją, powszechnie znano jego potężne barki i tę jego sztuczkę z podnoszeniem nad głowę krzesła z siedzącym na nim człowiekiem. Dlatego też pojechało po niego sześciu moich ludzi. Powiedziałem im, że jeśli będą mieli z nim jakieś kłopoty, to mogą postrzelić go w nogę, ale muszą mi go przyprowadzić żywego. Zasadzili się na niego obok stacji benzynowej, w małym dhaba, a Bara Badrija z towarzyszącym mu ochroniarzem minęli ich w drodze do samochodu. Zrobił się z niego prawdziwy biznesmen, on, który kiedyś był ochroniarzem, miał teraz własnego ochroniarza. Kiedy Bara Badrija schylał się, żeby zasiąść za kierownicą, moi chłopcy załatwili tego jego uzbrojonego bandziora, przywalili mu metrową rurką. I z miejsca wszyscy wymierzili pistolety w Barę Badriję, kierując je w stronę jego nóg, gdyby tylko się ruszył, zginąłby na miejscu, z udami rozprutymi przez tuzin kul. Wszyscy drżeli ze zdenerwowania. Ale on znieruchomiał. Kiedy go przywieźli, chłopcy puszyli się, pełni pogardy i bardzo zarozumiali, zeszło z nich napięcie i głośno chełpili się, że obyło się bez jednego wystrzału. Banti, który nimi dowodził, grzmotnął pistoletem na stół i z tym swoim pendzabskim akcentem powiedział do mnie:

– Bhai, miał przy sobie glocka, ale nawet po niego nie sięgnął. I ten ćodu uważał się za ochroniarza. Był zupełnie spokojny.

Nadal był spokojny, ten Bara Badrija, siedzący teraz na krześle w magazynie, do którego wsadzili go moi ludzie. Wstał na mój widok i musiałem zadrzeć głowę, żeby na niego patrzeć.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem.

– Co zrobiłem? – odrzekł, unosząc rękę do góry, dłonią w moją stronę.

Aż do tej chwili nie miałem żadnego określonego planu. Chciałem tylko spojrzeć Barze Badriji prosto w oczy, ale teraz, kiedy na niego popatrzyłem,



kiedy zobaczyłem tę fałszywą niewinność, którą starał się przykryć swój strach, to jego żalosne aktorstwo, ogarnęła mnie ogromna wściekłość. Zbierała w moim brzuchu, aż żebra mnie od niej bolały, i w końcu krzyknąłem, wprost ryknąłem:

– Widziałem cię! Widziałem cię, ty madercodzie. Widziałem, jak tańczysz.

– Tańczę? Gdzie, kiedy?

Nie mogłem już znieść jego widoku, jego szerokiej klatki piersiowej, jego atletycznej żywotności, jego drobnej, chłopięcej twarzy.

– Zabij go, Banti. Zabij go.

Banti wykonał moje polecenie.

Ćhota Badrija czekał na mnie w Alibagu. Wysłałem go tam poprzedniej nocy, żeby odebrał cztery lakhy w gotówce, które przygotował dla nas jeden z naszych rewidentów. Jedź po pieniądze, powiedziałem mu, i miej oko na tego rewidenta, on coś mi się nie podoba. Nie ufam mu. Wyjaśniłem mu, że mam pewne przeczucia co do tego sukinsyna. I poleciłem mu zostać w Alibagu, miałem tam domek, bungalow na plaży, w którym mieliśmy się spotkać. Chciałem usunąć Ćhotę Badriję, chciałem, żeby go tu nie było, żeby nikt nie mógł się z nim skontaktować, zależało mi, żeby nikt nie chwycił za telefon i nie zadzwonił do niego z informacją, że jego brata pojmano. Zostań w tym bungalowie, odpocznij, zabaw się trochę, powiedziałem mu. Ja do ciebie dołączę. A on odparł: tak, bhai, przyjedź, potrzebujesz odpoczynku.

Pojechałem więc z Bantim i z trzema chłopakami do tego domku. Jechaliśmy przez trzy godziny, w popołudnie gęste od ruchu ulicznego i kurzu. Zamknąłem oczy zaraz po wyjeździe z Kailaśpady. Kiedy otworzyłem je ponownie, przede mną rozpościerały się pola usiane nowymi konstrukcjami. Obserwowałem wzgórze wylaniające się zza mgiełki po

prawej stronie. Skręciliśmy na wschód, wzdłuż autostrady, a potem znowu na południe. Spałem. W końcu przed nami pojawiło się migoczące morze, rozległy, otwarty przestwór, błyszczący ostrymi, metalicznymi punkcikami światła słonecznego.

Chota Badrija zawołał do nas z balkonu bungalowu. Wsiadłem z samochodu, przeciągnąłem się i uśmiechnąłem na powitanie. Chota Badrija miał na sobie czerwone kąpielówki, jasno odbijające się na tle pochyłej białej ściany bungalowu, a znad czerwonego elastiku delikatnie wylewał się jego brzuch. Kiedy tak przytył? Kiedy w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Widywaliśmy się tak często i z bliska, że przestałem się nim interesować. Czy zwracamy uwagę na skórę na prawej ręce? Ale teraz dostrzegłem jego krótkie włosy, jego brzuch, jego małżeństwo, dzieci, miłość do filmów, upodobanie do dobrych ubrań, wierność wobec mnie.

Na piętrze wysypał pieniądze na łóżko.

– Nie było żadnych kłopotów, bhai – powiedział. – Wszystko się zgadza. Nie wydaje mi się, żeby z tym gościem mogły być jakieś problemy.

– To dobrze – odrzekłem. – Muszę się wysikać.

– Tam – powiedział. A kiedy wchodziłem do toalety, dodał: – Napijesz się ćaju?

– Tak – odparłem i zamknąłem drzwi za sobą. Słyszałem, jak woła na korytarzu: „Dwa krzesła, i coś do jedzenia, szybko, szybko”. – Lustro nad umywalką było rozbite, brakowało całej połowy, po której został tylko kawał surowego drewna. Próbowałem wysikać się, potrząsałem małym, ale nawet po trzech godzinach nic w sobie nie miałem, byłem suchy jak wiór. Wlałem jednak kilka kubków wody do toalety. Niech wszystko będzie normalnie, powiedziałem sobie. Nie dopuść do tego, żeby on się wystraszył. Tyle mu zawdzięczasz. Sprawdziłem pistolet i z powrotem schowałem go pod koszulą na plecach. Upłynęły już całe lata, naprawdę

wiele lat, od kiedy używałem broni. A moje doświadczenie ograniczało się do rewolwerów, tanich rewolwerów, nie takich dobrych, austriackich automatów, jakim teraz dysponowałem. Banti musiał mnie przeskolić: w ten sposób wsuwa się magazynek, bhai, przecież wiesz, bhai, że ja mogę to zrobić. Ale ja powiedziałem: Nie. Nie.

Otworzyłem drzwi. Chota Badrija siedział na łóżku, odkładał pieniądze na bok i starannie układał je w niebieskiej torbie podróżnej.

– Wszystko w porządku, bhai?

– W porządku?

– Wyglądasz na trochę... zmęczonego. Jakies problemy żołądkowe?

– Tak. Chyba mam rozstrój żołądka.

– W naszym klimacie trzeba uważać. Wszędzie jest tyle zarazków, jedzenie szybko się psuje. A sam przecież wiesz, że my za dużo jemy na mieście, ciągle tylko tłuste jedzenie w restauracjach. Dla żołądka jest dużo lepiej, kiedy jemy domowe jedzenie, jakies lekkostrawne potrawy.

– A ty co, jesz potrawy lekkostrawne i srawne i dorobiłeś się tego – powiedziałem, wskazując na jego brzuch.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a potem chwycił w obie dłonie fałdy brzucha i uniósł je.

– Tak, bhai – uśmiechnął się. – Tego się dorobiłem. Ale co zrobić? Staliśmy się bogaci.

– Zestarzeliśmy się.

– Ciągłe jesteśmy młodzi, bhai – odparł, i już miał mówić dalej, kiedy pod drzwiami rozległ się hałas i do środka tyłem wszedł Banti, niosąc tacę. Położył ją na łóżku, podał mi filiżankę z herbatą, a jego źrenice zwęziły się w szpileczki patrzące na mnie pytająco. Nic nie powiedziałem, więc delikatnie zamknął drzwi za sobą, pozostawiając w pokoju cichy szmer

napięcia, wywołany jego ostrożnym krokiem. Choć może było to tylko pulsowanie mojej krwi. Chota Badrija nadal patrzył w drzwi.

– Co mówiłeś? – zapytałem, trochę zbyt głośno.

Ponownie spojrział na mnie, ściągnął usta w skupieniu, starając się pozbierać myśli, aż w końcu jego twarz odprężyła się i pojawił się na niej uśmiech.

– Zupełnie zapomniałem, bhai.

– Głupiek – stwierdziłem. – Pij swój ćaj.

– Spójrz, bhai, te są naprawdę tuczące – siorbnął herbatę z filiżanki. Trzymał w dłoni błyszczącą, brązową bhadźiję, który podniósł z leżącego na talerzu stosu. – W takim jednym jest więcej oleju, niż nasze ciało potrzebuje przez cały rok. – Ostrożnie odłożył go na talerz i pociągnął długi łyk ćaju.

– Zjedz to.

– Co?

– Zjedz to – powtórzyłem.

Targała nim jakaś nienawiść do tego stosu bhadźiji, jakiś zabójczy pociąg do nich, wyraźnie widać było, jak wielką nad nim mają władzę. Z nadąsaną miną odsunął talerz od siebie.

– One mi szkodzą, bhai. Zrobiłem się gruby.

– Zjedz je, zjedz – zachęcałem. – Ja ci pozwalam.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Wziął z talerza jedną, uniósł ją w stronę smugi światła słonecznego, przyjrzał się brązowym zwojom i skomplikowanym rozgałęzieniom. Powoli odgryzł kawałeczek i na moment zamknął oczy.

– Mmmm. Skosztuj, bhai.

– Nie, ty jedz. Potrafiłbyś zjeść cały talerz?

– Te wszystkie?

– Wszystkie.

– To łatwe. Nie jest ich zbyt wiele.

– W takim razie zjedz je.

– Wszystkie? – W tym momencie wyglądał jak prawdziwy ćota, z błyszczącymi wargami, pełnymi zdumienia policzkami i otwartą, chłopięcą twarzą, całą rozpromienioną.

– To rozkaz.

Siedząc po turecku na łóżku, zabrał się za jedzenie. Uderzając pięścią w dno butelki, polał bhadżije błyszczącym, szkarłatnym sosem, przysunął sobie talerz do piersi i pochylił nad nimi głowę. Teraz, pomyślałem. Ale pistolet zaplątał się gdzieś za moimi plecami, czułem, jak wbija mi się w kręgosłup. Musiałbym wstać, wyciągnąć go. Nie, nie. Niech skończy. Jak już skończy. Nie teraz.

Zniknęła już połowa sterty. Wstałem i podszedłem do okna. Oślepił mnie blask światła odbitego od białego dachu mojego samochodu i odwróciłem się, mrużąc oczy. Słońce już zachodziło, po prawej i lewej stronie ciągnął się czarny brzeg, same skały i krawędzie wypiętrzeń. Drzewa stały zupełnie nieruchome, nawet liść nie drgnął. Gdzieś tam daleko były inne kraje, spały tam miliony ludzi. Widziałem ich skulonych blisko siebie, nagich, z wyrazem odprężenia na twarzach. Za mną siedział Ćhota Badrija i jadł bhadżije. Powinienem się odwrócić.

Może jeszcze nie skończył. Ale jeśli skończył, pewnie teraz na mnie patrzył, musiał na mnie patrzeć. Zebrałem się w sobie, odetchnąłem, potem jeszcze raz, czułem bliski, delikatny wir morza, i odwróciłem się. Ciągle jeszcze jadł. Zostały mu dwie bhadżije. Jego wypchane policzki poruszały się miarowo. Teraz został tylko jedna bhadżija. Pistolet z łatwością trafił do mojej ręki. Uniósł się. To ja go uniosłem, zachowując ostrożność,

postępując fachowo i zgodnie z zasadami. Zachowaj równowagę. Dobrze przymierz. Zamknij uszy. Masz widzieć tylko cel, nic więcej. Ten wąski kawałek brązowej skóry, tuż nad uchem i troszkę przed nim, tuż przed miejscem, w którym zaczynają się włosy.

Krew zaskwierczała. Z pewnością rozległ się wystrzał, ale ja, zamknięty w długim, dusznym tunelu składania się do strzału, niczego nie usłyszałem, a w następnej chwili dowiedziałem się, że wydobywająca się ze świeżo rozbitej czaszki krew pieni się, że wydaje cichy syk. Taki cichutki, szybki, przerywany syk. Trwa to tylko chwilę.

Banti powoli otworzył drzwi, trzymając pistolet przed sobą. Opuścił broń. Drugi strzał nie był konieczny.

Znalazłem szczęście. Dopiero teraz mogłem zrozumieć, co miał na myśli Paritosz Śah, mówiąc, że powinienem się ustatkować, i dlaczego zawsze wychwalał zalety małżeństwa. Ustatkowałem się, czułem, że mam swoje miejsce, zapuściłem korzenie, byłem związany z moją ziemią w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. Wiedziałem, kim jestem, gdzieś zniknęło to wrażenie, że przez cały czas próbuję stać się Ganeśem Gaitondem, że po omacku szukam jego kształtu. Mając przy sobie Subhadrę i pogodzony z tym, że jestem hinduskim bhai, że jestem jednym z hindusów, czułem, że żyję. Nie byłem jakimś potulnym, zgnębnym małżonkiem – nadal spotykałem się z dziewczynami Dźodzo – i nie wierzyłem w żadnych bogów ani boginie, ale teraz chłopcy mnie rozumieli, przychodzili do mnie i czuli się tu dobrze. Byłem przywódcą, z którym mogli się identyfikować. Nasza szereg i urosły do normalnego stanu liczebnego. Po raz pierwszy w życiu doświadczałem zadowolenia. Początkowo mnie zdumiewało to rozlewające się w piersi bajoro ciepła. Tak, widziałem Subhadrę zachwyconą codziennymi obowiązkami żony, jak

układała i przekładała sprzęt kuchenny w odpowiednio uporządkowanych, błyszczących rzędach, roztańczona wybierała dla mnie rano ubranie i z radością zbierała je wieczorem z podłogi. Zgrabnie przemykała pobrzękując kluczami zawieszonymi u pasa. Była szczupła, niezbyt piękna, ale sprawiała miłe wrażenie, a kiedy na nią patrzyłem, nie czułem tego wściekłego pożądania, które budziły we mnie randi. Chciałem przesiadywać z Subhadrą, podziwiać wieczór z naszego balkonu, zajadać ghawan i pić ćaj. Na zewnątrz wciąż trwały nasze potyczki i wojny, ale nie pochłaniały mnie już tak bardzo jak wcześniej. Wygrywaliśmy, czasami przegrywaliśmy, ale nadal byliśmy silni i robiliśmy się coraz silniejsi, więc byłem szczęśliwy.

Miałem jednak problemy zdrowotne. Mój żołądek wciąż szwankował, późnymi popołudniami często odczuwałem narastające bóle, w dolnych partiach brzucha pojawiało się uczucie jakiegoś zapchania, po którym następowało rozprężenie, jakby coś chciało się wydostać ze środka. To gazy, stwierdzili lekarze, przepisali mi tabletki i zalecili lekkostrawne jedzenie. Ale tylko szkocka whisky była w stanie to złagodzić, tylko po niej moje tkanki uspokajały się, ona usuwała te nagłe naprężenia, które groziły rozerwaniem. Nie mogłem dopuścić, żeby chłopcy widzieli mnie pijącego, więc Banti przygotował dla mnie drugi bungalow, ten położony niedaleko, w Dźuhu, wystarczyło do niego zjechać dróżką od Holiday Inn. Co drugi dzień jechałem do tej kryjówki nad morzem, gdzie Banti trzymał dla mnie w zamkniętej szafce butelkę Johnnynego Walkera, a w lodówce wodę sodową. O zachodzie słońca siadałem samotnie na tarasie i popijałem. Pozwalałem sobie na dwie małe szklaneczki. Drink działał uspokajająco, ale budził we mnie nostalgię. Bywało, że w niektóre wieczory płakałem za młodością spędzoną z Paritoszem Śahem, za tymi czasami, kiedy byliśmy młodzi i biedni, kiedy stawaliśmy w obliczu przeciwności, zdawałoby się

niemożliwych do pokonania, i zwyciężaliśmy potwornie silnych łotrów. Gdzie odeszły te poranki, kiedy gromadziliśmy broń do sprawiedliwej walki? Gdzie nasi przyjaciele z tych radosnych wieczorów? Gdzie pieśni naszej krótkiej wiosny? Piłem, słuchałem starych kawałków i wspominałem. *Ćala džata hu kisi ki dhun me, dharakte dil ke tarane lije...*<sup>15</sup>

Tymczasem Banti starał się nauczyć wszystkiego, co trzeba, żeby zarządzać naszymi skomplikowanymi sprawami. Zaczynał u nas jako żołnierz, został zauważony na początku naszej wojny z Sulejmanem Isą, a teraz był moim zaufanym i najważniejszym rewidentem. Był bardzo energiczny i pewny siebie.

– Wszyscy wiedzą, czego dokonałeś, bhai. Słyszano o tym od Matunga do Dubaju. Wiedzą, że znalazłeś sukinsynów Sulejmana Isy i że ich zniszczyłeś. Twój partner jest w pełni pomszczony. Tę partię też wygrałeś.  
– Powiedział to, żeby mnie rozchmurzyć, kiedy nie odzywałem się przez długie godziny jazdy samochodem. Wiedziałem, że wygrałem. I wiedziałem także, że na tym świecie każdemu zwycięstwu towarzyszy większa, ukryta w nim, porażka, że nawet kiedy triumfujemy, czai się nad nami jakaś katastrofa. Czuję, że coś nadciąga. To nadciągał Sulejman Isa. Powiedziałem moim ludziom, żeby byli ostrożni, zwiększyłem ochronę w Gopalmacie, zabroniłem Subhadrze wychodzić z domu. Nawet do świątyni. Kazałem jej siedzieć w domu. Wyglądała na przygnębioną, ale posłuchała mnie.

Dwadzieścia jeden dni po śmierci Choty Badriji, w piątek, wczesnym popołudniem, wybuchły bomby. O pierwszej dowiedziałem się minutę po eksplozji, zatelefonował do mnie jeden z moich ludzi. Dzwonił z miasta i szlochał: bhai, na chodniku leżała stopa, usłyszałem coś, jakiś ogromny huk, nie wiedziałem, co to jest, ludzie biegli i nikt nie wiedział, co się stało, pobiegłem z nimi za róg i tam na chodniku leżała ta stopa, bhai, tak po



prostu tam leżała, odcięta przy łydce, nie było żadnej krwi, a potem ktoś wskazał za róg, popatrzyłem tam, bhai, nie ma giełdy, to giełda wyleciała w powietrze, wybuchła. Była eksplozja, bhai, to bomba, bomba.

Uspokoilem go, kazałem iść do domu. Potem nastąpiły kolejne wybuchy, na rynku zbożowym Masdzid Bandar, w Nariman Point<sup>16</sup>. Kazałem Bantiemu dzwonić na komisariat w Goregaonie, do dowództwa, sam również wykręcałem różne numery telefonów i ciągle tylko słyszałem sygnał zajętości, a potem telefony przestały działać, ale wiadomości i tak nadchodziły, w pobliżu siedziby Rakszaku nastąpiła eksplozja, nagle otepiła cisza na ulicach rozdarła się gwałtowną falą krzyków. Chłopcy biegali tam i z powrotem po ulicy, matki zabierały swoje dzieci, zatrzymał się samochód, słychać było tupot biegnących nóg, to Banti przybiegł z kolejnymi wiadomościami, w Mahim zginęli w ataku rybacy, bomby spadły z nieba, jacyś mężczyźni z karabinami maszynowymi wychodzili na brzeg. Kazałem wszystkim schować się w domu, pozamykać drzwi, a moim ludziom poleciłem stanąć na straży, uzbroilem ich i rozmieściłem na obrzeżach Gopalmathu. Wieczorem znaleźliśmy już ogólny obraz wydarzeń: nie było żadnych uzbrojonych rabusiów wychodzących z morza, ale na kolonię rybaków rzucono granaty, a dwanaście bomb wzbiło po całym mieście chmury betonu, w ciągu dwóch godzin dwanaście razy tępe, katastrofalne dzwonienie eksplodowało przy głowach mężczyzn, kobiet i dzieci, zabiło ich setki, a tysiące okaleczyło. W telewizji pokazywano zburzone i wypatroszone budynki, wewnątrz widać było tylko wgniecenia i poskręcany metal, a ministrowie i policjanci mówili, że prowadzone jest dochodzenie, w kółko to powtarzali. Tu, w Gopalmacie, moja żona wtuliła się we mnie, potulna i wdzięczna, a ja wiedziałem, co szeptano na uliczkach na zewnątrz: Bhai coś wiedział, wiedział, że coś się wydarzy. Tak, wiedziałem. Tak. Dostatecznie dużo czasu spędziłem na tym polu bitwy,

żeby nauczyć się jego rytmów, rozpoznawać uderzenia bębna tej jego narracji. Porwał nas gwałtowny podmuch historii, wielu zginęło, ale ja przeżyłem. Dla wielu wykopałem głębokie doły, ale sam ocalałem, bo zacząłem odczytywać podziemne sekwencje przyczyny i skutku, wewnątrznie wyczuwałem, gdzie uderzy następny, biały jak kość, piorun. Byłem czujny. Uczestniczyłem w tej grze.

Wszystko to składało się w zupełnie logiczną całość, pasowało doskonale jak koło do błotnistej bruzdy, kiedy policyjne służby dochodzeniowe oświadczyły, że ataki bombowe zostały zaplanowane i dokonane przez Sulejmana Isę i jego ludzi. Oczywiście, oczywiście. Zanim jeszcze ogłoszono to w telewizji, dowiedziałem się od naszych palto policjantów, że w wyniku po zburzeniu meczetu wrzeniu i eskalacji agresji, po tych zamieszkach, młodzi muzułmańscy chłopcy z Bombaju zostali wysłani samolotami do Dubaju, a potem do Pakistanu, gdzie Pakistańczycy ich wyszkolili, że wypróbowani przemytnicy Sulejmana Isy przerzucili przez morze pękate paczki z heksogenem, a przeszkoleni ludzie przygotowali z tego heksogenu bomby, dołączając do nich zapalniki czasowe, i umieścili je w samochodach i skuterach, porozstawiali te pojazdy w najbardziej zatłoczonych i najbardziej popularnych punktach miasta, a potem zaczęła się rzeź. To był ich odwet za zamieszki, za tych wielu zabitych muzułmanów.

Toczyliśmy swoją małą wojnę, moją nieuniknioną wojnę z Sulejmanem Isą, wojnę między naszymi gangami. Ta walka była długa, trwała wiecznie. A teraz ujawniły się jej powiązania z drugą, większą wojną. Ta gra miała wiele odgałęzień, oplatała nas pajęczyną, kusząca i nieskończenie niebezpieczna.

Kiedy usłyszałem, że to Sulejman Isa jest odpowiedzialny za bomby, roześmiałem się tylko i stwierdziłem, że nie ma się czemu dziwić. I

zadałem sobie pytanie: co ja teraz zrobię? Jaki jest następny ruch? Co mnie czeka?

Zajął to jakiś czas, wiele miesięcy, ale rzeczywiście nadeszło. Przyszło dzień po narodzinach mojego syna. Gopalmath świętowało, radośnie i głośno, a mój dom wypełniony był gośćmi. Ja sam czułem się dosyć niepewnie, doświadczając nieznanymi mi wcześniej fal szczęścia, które rodziły się w głębi mojego brzucha, zupełnie nadzwyczajnych przyprawów niemożliwego do opanowania, rozgrzanego wzruszenia, jakie czułem, patrząc na malutką, pomarszczoną twarzyczkę mojego syna.

W samym środku tego zamieszania zadzwonił Bipin Bhonsle i poprosił mnie o spotkanie. Obecnie był nie tylko MLA, ale także przywódcą partii, w związku z czym musieliśmy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności i podwoić zabezpieczenia. Spotkaliśmy się w kurorcie na wyspie Madh. Wynajęli prywatny bungalow, z dala od innych domków, i kiedy nadjechaliśmy o zmroku, już na nas czekali. Usiedliśmy pod palmami, pod gołym niebem, które tam zdawało się wprost dusić od gwiazd. Bipin Bhonsle pił piwo, ale ja odmówiłem, kiedy mi je zaproponował. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, którego przedstawił jako pana Śarmę. Ten Śarma był jednym z tych braminów o jasnej karnacji, którzy pochodzili z UP, i świetnie mówił wyszukany językiem hindi, jak spiker radia *All-India*. Ubrany był w długą, brązową kurtę i sprawiał wrażenie bardzo opanowanego, kiedy tak siedział po turecku na krześle, jakby ćwiczył jogę.

– Śarma-dzi jest naszym współpracownikiem z Delhi – odezwał się Bipin Bhonsle. Poruszał palcami u nóg i wrzucał do ust kadżus, popijając swoje piwo. Przez kilka minut mówił o ostatnich walkach politycznych, o upokorzonych przez siebie rywalach i o wyciągniętych korzyściach. Następnie skinieniem ręki polecił swoim ludziom usunąć się w cień, gwałtownym ruchem przysunął do mnie swoje trzeszczące, aluminiowe

krzeselko i konfidencko nalnie nachylił się bliżej. Błyszcząca koszula opinała jego pulchne i wydatne piersi.

– Bhai, Śarma–dzi potrzebuje twojej pomocy – powiedział. – Jest moim bardzo bliskim przyjacielem. Oczywiście, nie należy do naszej partii, ale świetnie się rozumiemy.

– O jaką pomoc chodzi?

– Ci muzułmanie, sam rozumiesz.

– Tak – odparłem. – I co z nimi?

– Ta wojna się nie skończyła, bhai – powiedział. – Oni wciąż tu są. Rosną w siłę. Znowu się przeciw nam zwróca.

– Albo ty się zwrócisz przeciwko nim.

– Po tym, co zrobił ten sukinsyn Sulejman Isa, będziemy musieli ich roznieść. Mieszkają, co prawda, tutaj, ale w głębi serca są maderćodowymi Pakistańczykami, bhai. Taka jest po prostu prawda.

– Czego oczekujesz ode mnie?

Tym razem odezwał się Śarma–dzi.

– Potrzebujemy broni.

– Pasztunowie przerzucają broń przez Kaćchi Ahmedabad. Mogą sprzedać, czego tylko sobie zażyczycie.

– To są Pasztunowie, bhaisaheb – odparł Śarma–dzi, i chociaż mówił z delikatną modulacją głosu, czułem, że pod spodem kryje się twarda stal. – Nie możemy im zaufać. Chcemy mieć własną linię przerzutową. Potrzebujemy stałych dostaw.

– Muszą być jakieś firmy na północy.

– Nikt nie jest tak zorganizowany jak ty. Chcemy sprowadzać materiały drogą morską. Potrzebujemy kogoś, kto będzie ściągał broń do kraju. Oni mają Sulejmana Isę.

– A wy chcecie mieć mnie?

– Właśnie.

Leżałem wyciągnięty na krześle. Sulejman Isa był muzułmańskim donem, a więc ja byłem hinduskim bhai. Tak musiało być. Nisko nad nami wisiał księżyc, pyzaty i łagodny. Odetchnąłem, wciągając zapach jaśminu. Takie to piękne. Ten świat jest straszny, pomyślałem, a jednocześnie tak idealny.

– Na tym można bardzo dobrze zarobić, bhai – powiedział Bipin Bhonsle. – A sam przecież wiesz, że powinieneś trzymać z nami. Musimy chronić hinduską dharmę. Musimy.

– Spokojnie – odparłem. – Zrobię to. Jestem z wami.

## Kobieta w tarapatach



We wtorkowy poranek na Sartadźa czekało pięć wiadomości od pani Kamali Pandej. Sartadź zamknął oczy i starał się przedrzeć się przez gładką, białą zasłonę bólu głowy, próbując przypomnieć sobie, kim jest Kamala Pandej. Wywołany spożytą whisky ból był równomierny, ściśnięty i nieustępliwy. W czaszkę Sartadźa stukały poranne dźwięki budynku komisariatu, kłóćący się w korytarzu policjanci, plusk rozbryzgującej się na betonie wody i miarowe szuranie dżaru, uporczywy wrzask wron, bolesne jęki prowadzonego z przesłuchania więźnia, który kuśtykał z powrotem do celi. Sartadź pragnął wrócić do domu i przespać się. Ale dzień dopiero się zaczynał.

– Czy ta Kamala Pandej powiedziała, w jakiej sprawie dzwoni? – zapytał Sartadź Kamblego.

Kamble grzebał niecierpliwie w szufladach biurka. Tego ranka rozmawiał ze swoim znajomym z lotnych brygad o wolnej posadzie w oddziałach i już teraz zachowywał się tak, jakby nudne sprawy i przypadkowy chaos prostego, podmiejskiego komisariatu były poniżej jego poziomu.

– Nie, nic nie mówiła. Pytałem ją. Odparła, że to sprawa osobista. Zostawiła tylko numer swojej komórki. – Podniósł wzrok, uśmiechając się. Kamble zawsze potrafił znaleźć czas, żeby rzucić znaczące spojrzenie. – Wydaje się naprawdę niezła, szefie. Mówi jak wychowanka najlepszego klasztoru. To jakaś twoja dziewczyna czy coś takiego?

– Nie. Ale chyba sobie przypominam to nazwisko.

Kamble zatrzasnął szuflady.

– Zdecydowanie ma jakieś kłopoty, szefie. – Odwrócił się, żeby poszukać czegoś na półkach za swoim biurkiem. – Jeśli kobieta dzwoni pięć razy w ciągu jednego dnia, to albo jest w tobie zakochana, albo wpadła w jakąś ghoć. Pytałem, czy mogę jej w czymś pomóc, ale upierała się, że nie, że tylko inspektor Sartadź Singh. – Odwrócił się z powrotem, już znalazł poszukiwaną kartotekę. – Ten maderćodowy komisariat przypomina behenćodowy śmietnik – stwierdził. Uśmiechał się szeroko i radośnie.

– Ale ty wkrótce się z nami pożegnasz? – zapytał Sartadź.

– Oczywiście, bezwarunkowo – odparł Kamble. – Wkrótce, wkrótce.

– Z czego wynika opóźnienie?

– Cena poszła w górę. Trochę mi brakuje. Niedużo, ale wystarczy.

– Jestem pewien, że postarasz się zebrać odpowiednią sumę.

Kamble potrząsnął kartoteką przed Sartadźem.

– Trochę tu, trochę tam. Muszę lecieć do sądu. – Kamble wsunął kartotekę w brązową teczkę ze sztucznej skóry. – Wybierz się dziś wieczorem ze mną, szefie. Przedstawię ci kilka niezłych panienek.

– Jestem umówiony. Idź sam. – Kamble spędzał wieczory z grupą dziewczyn pracujących w barze, której skład stale się zmieniał. Zawsze jednak była tam jedna, która robiła się już za stara, jedna w kwiecie wieku i jakaś młódka, której pomagał wejść w interes. – Baw się dobrze i uważaj na siebie – powiedział Sartadź. I tak wiedział, że Kamble na pewno nie będzie ostrożny. Tryskał pewnością siebie i odwagą, zadowolony, że zbiera pieniądze, żeby dostać się do lotnych brygad, spragniony przyszłych szalonych akcji i oczekujących go gór pieniędzy. Był młody, czuł się silny, za pasem miał pistolet, i sądził, że może chwycić życie za rogi i nagiąć je do własnej woli.

– Tylko pilnuj się dzisiaj, Sartadźu – odrzekł Kamble, wyglądając dziarsko i krzepko w swojej koszuli z diagonalu i nowych, czarnych dżinsach. – Zadzwoń do mnie na komórkę, jeśli zmienisz zdanie. Albo jeśli będziesz czegoś potrzebował. – Wcisnął teczkę pod pachę i odszedł dumnym krokiem.

Sartadź osunął się na swoje krzesło. Nie zwracał uwagi na protekcjonalność. Przyzwyczajał się już do myśli, że jest skończony, że osiągnął już szczyt kariery i że nie awansuje dużo wyżej niż jego ojciec. Wiedział już, że nie będzie bohaterem żadnego filmu, nawet filmu o swoim własnym życiu. Niegdyś był obiecującym, dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem, nieomal skazanym na sukces. Nawet fakt, że był sikhem w wydziale pełnym Marathów, dawał mu pewne korzyści i jednocześnie był obciążeniem, ale stanowił o jego odrębności. Wyróżniał się i był powszechnie znany, dziennikarze bardzo chętnie pisali o przystojnym inspektorze. Z upływem lat ten blask jednak się zatarł i Sartadź stał się jednym z tysięcy innych konformistów w policji. Miewał chwile swoich małych radości i codziennie mozolił się nad swoją pracą. Prawdopodobnie pomału zaczynały się już problemy z pamięcią. Tak wyglądała prawda. I tę prawdę z pewnością dostrzegał Kamble, który pewnym krokiem zmierzał w górę. Ostatnio sporo było słyhać o sukcesach lotnych brygad. W ubiegłych trzech miesiącach szybko rozprawiali się z ludźmi Sulejmana Isy, i to nie tylko z drugorzędnymi taponi. Gazety publikowały życiorysy ważnych, sławnych gangsterów i mafijnych rewidentów, którzy, jeden po drugim, padali pod kulami lotnych brygad. Właśnie w zeszłym tygodniu premier stanu z dumą oznajmił, że klęska Sulejmana Isy jest blisko. Lotne brygady będą dla Kamblego pasjonującym miejscem, a on z pewnością postara się w nich znaleźć.



Ale życie Sartadża było właśnie takie, a nie inne, czekało na niego, nieuniknione. Nie miał gdzie pójść, musiał trwać w tej codziennej udręce, w tym brudnym bałaganie komisariatu. Tak czy owak, czekała na niego robota. Na liście prowadzonych aktualnie śledztw miał trzy włamania, dwa zaginięcia nastolatków, jeden przypadek defraudacji i sprzeniewierzenia i jedno morderstwo rodzinne. Same typowe, beznadziejne sprawy. A teraz do tego telefon od pani Kamali Pandej. Kim była ta kobieta?

Wykręcił numer telefonu. Odebrała przy pierwszym sygnale, a w jej głosie brzmiało przerażenie.

– Halo? – odezwała się. – Halo?

– Pani Pandej?

– Tak. Kto mówi?

– Inspektor Sartadż...

– Tak, tak. Muszę się z panem spotkać.

– Czy coś się stało?

– Proszę posłuchać... – przerwała. – Po prostu muszę się z panem spotkać.

Była przyzwyczajona do dyktowania warunków. Teraz Sartadż przypomniał ją sobie. Jej mąż wyrzucił szczeniaka za okno. Sartadż pamiętał tego psa, biedne białe maleństwo leżące na asfalcie z rozbitą czaszką. Pan Pandej podejrzewał panią Pandej o zdradę, więc zabił jej psa. Pani Pandej nie chciała złożyć skargi na swojego męża, a jej mąż nie wniósł oskarżenia o atakowanie go kijem i nożem. Żadne z nich nie przypadło do gustu Sartadżowi, a tym bardziej Katekarowi. Chciał wsadzić tę parę na jedną czy dwie noce, pod zarzutem zakłócania porządku publicznego. Albo chociaż trochę ich poturbować, dać nauczkę tym zepsutym, małym, bogatym gnojkom, żeby się uciszyli, trochę ich postraszyć. Bo w przeciwnym razie jedno z nich nie pożyje zbyt długo, powiedział Katekar.

Być może właśnie dlatego dzwoniła do niego pani Kamala Pandej, może jej mąż już nie żył, pozwijany i poskładany leżał właśnie w szafie w sypialni. Takie rzeczy już się zdarzały.

– W jakiej sprawie, pani Pandej? – zapytał Sartadź. – W czym problem?

– Nie przez telefon.

– Ma pani jakiś problem?

Zawahała się.

– Tak – odparła. – Nie mogę przyjść na komisariat.

– Dobrze – powiedział Sartadź. – Czy zna pani restaurację Sindur?

Na odcinku między komisariatem a przejazdem pod autostradą Sartadź został zatrzymany przez Parulkara, jadącego w przeciwnym kierunku nowiutkim, służbowym samochodem z eskortą. Sartadź zawrócił i pojechał za Parulkarem, który zwolnił na najbliższym fragmencie pustego pobocza i tam się zatrzymał. Pracownicy ochrony Parulkara wyskoczyli czujnie ze swoich dżipów i utworzyli krąg wokół samochodu, trzymając w pogotowiu swoje groźne automaty. W ciągu dwóch czy trzech ostatnich miesięcy, po tym jak Parulkarowi po raz kolejny udało się cudem wyjść z opresji, liczba jego ochroniarzy wzrosła. Cokolwiek było przedmiotem sporu między nim a rządem Rakszaku, sprawa została już załatwiona. Nagle Parulkar stał się ich szarookim chłopcem, co drugi dzień konsultowali się z nim i premier stanu, i minister spraw wewnętrznych. Nagle wrogowie stali się sprzymierzeńcami i obie strony odnosiły korzyści. Klęska przestępczości zorganizowanej była blisko, bhai, rewidenci i żołnierze ginęli w takim tempie, że wkrótce nie zostanie żaden wróg, którego można by zastrzelić, przynajmniej do momentu, kiedy nie wyrośnie następne pokolenie. W świecie Parulkara wszystko układało się pomyślnie. Dokonał tego, jeszcze raz udowadniając, że jest człowiekiem wyjątkowym. Powiadano, że tylko

samemu premierowi zapłacił dwadzieścia krorów, a dużo więcej innym funkcjonariuszom. Tak czy owak, Parulkar wrócił, znowu okryty chwałą i znowu pogodny.

– Chodź, chodź – zawołał. – Pospiesz się.

Sartadź wsunął się na miejsce obok niego. W samochodzie wyczuwało się nowy zapach, jakiś bardzo delikatny.

– Podoba ci się? – zapytał Parulkar. – Nazywa się „Odświeżający nektar”. Popatrz, to stamtąd.

Na wlocie powietrza w desce rozdzielczej umieszczona była lśniąca, aluminiowa rurka z żeberkami, mrugająca na czerwono. Sartadź domyślił się, że to musi oznaczać uwalnianie odświeżającego nektaru.

– To z Ameryki, panie komendancie?

– Tak, tak. U ciebie wszystko w porządku, Sartadźu?

Parulkar właśnie wrócił z dwutygodniowej wizyty w Buffalo, gdzie jedna z jego córek była pracownikiem naukowym na uniwersytecie. Wyglądał na wypoczętego, zadowolonego i pełnego wigoru, zupełnie jak dawny Parulkar.

– Bardzo zdrowo pan wygląda, panie komendancie.

– To przez tamtejsze czyste powietrze. Tam poranny spacer naprawdę stawia człowieka na nogi. Nawet sobie nie wyobrażasz.

– To prawda, nie wyobrażam sobie.

– Tobie też coś przywiozłem, przenieśmy odtwarzacz DVD. Jest taki mały pokazał, rozstawiając wyprostowane kciuki dziesięć centymetrów od siebie – a obraz jest bardzo ostry, niesamowicie ostry. Możesz go wszędzie ze sobą zabierać i oglądać filmy. Doskonałe urządzenie dla policjantów.

– To naprawdę coś wspaniałego, panie komendancie. Nie było potrzeby...

– Are, nie mów mi o potrzebach. Dobrze wiem, czego ci potrzeba. Przyjdiesz do mnie do domu, jutro albo pojutrze, i porozmawiamy.

Odtwarzacz też mam w domu.

– Tak, sir. Dziękuję bardzo.

Parulkar walnął Sartadźa w ramię i odesłał go do pracy. Sartadź pomyślał o nowym odtwarzaczu DVD i zafrasował się. Teraz będzie musiał kupować albo przynajmniej wypożyczać filmy na DVD, a potem je oglądać. Parulkar na pewno będzie go wypytywać, co oglądał. Ale może tak być powinno. Może faktycznie Parulkar lepiej niż on sam wiedział, czego Sartadźowi potrzeba. Może, żeby go doprowadzić do porządku i postawić na nogi, trzeba mu było trochę rozrywki, która odświeżyłaby go, jak porządny poranny spacer w Buffalo. Gdzie w tej Ameryce leżało Buffalo? I dlaczego tak się nazywało? Sartadź nie miał pojęcia. Kolejna życiowa tajemnica.

W restauracji Sindur Sartadź usiadł w tym samym boksie, co zawsze, i powoli sącył colę. Po ostatnim remoncie w Sindurze pojawiły się nowe, miłe, czerwone stoliki i zmienione menu, w którym można teraz było znaleźć dania z Bengaluru i z Andhra. Sartadź czytał właśnie ofertę bengalskich deserów, kiedy do restauracji wszedł Śambhu Setti.

– Witaj, saab – powiedział i usiadł. Ostatnio widzieli się tydzień temu, kiedy Sartadź przyszedł odebrać comiesięczną partię pieniędzy z Delite Dance Bar dla komisariatu. Jak zwykle Śambhu narzekał na konieczność nalotów i na rosnące ceny, i opowiedział Sartadźowi o swojej wymarzonej wędrówce przez lasy Arunaćal Pradeś. Ale tym razem Śambhu miał szczęśliwe wiadomości. Zaręczył się. Wcześniej smakował z obrotowej tacy kobiecych rozkoszy, które każdego dnia serwował mu jego bar, ale teraz powiedział, że ma zamiar się ustatkować.

– Szefie, to były tylko zwiastuny – zwierzył się Sartadźowi. – Dopiero teraz będzie główny film.

Bohaterką życiowego filmu Śambhu była miła dziewczyna, wyszukana oczywiście przez jego rodziców w społeczności Śettiiego. Rodziny miały

wspólnych znajomych w Pune i od dziesiątków lat wiedziały o swoim istnieniu. Dziewczyna miała licencjat z pedagogiki, ale gotowa była po ślubie zrezygnować z pracy. Nie ulegało wątpliwości, że jest dziewicą, to rozumiało się samo przez się.

– Brawo, Śambhu – powiedział Sartadź. – Kiedy ten szczęśliwy dzień?

– W maju. Pod koniec tego miesiąca będę miał wydrukowane zaproszenia. Wyślę ci.

Dochodziła czwarta trzydzieści po południu i restauracja świeciła pustkami. W jednym z boksów siedziała para zakochanych studentów college’u, powoli sącząc colę i dotykając się udami. Śambhu był odprężony, ale kipiał energią. Snuł plany małżeńskie, a także projekty otwarcia kolejnego baru, tym razem w Borivili East. Ten nowy bar miał mieć charakter filmi, wszędzie miały wisieć zdjęcia gwiazd ekranu. Planował osobne pomieszczenia dla tancerek, każde w odmiennym wystroju. Miał tam być pokój poświęcony filmowi *Mugal-e-Azam*, i pokój filmu DDLJ.

– Powinieneś zainwestować – powiedział Śambhu. – Gwarantuję niezłe zyski. Zainwestuj na przyszłość.

– Śambhu, ja jestem biednym człowiekiem – odparł Sartadź. – Z pewnością nie potrzebujesz inwestorów, którzy przynoszą pięćset rupii.

– Ty jesteś biedny? Nawet po tym, jak trafiłeś Gaitondego?

– Ja go nie trafiłem, Śambhu. On sam się zastrzelił.

– Tak, tak. – Śambhu uśmiechał się, zorientowany w policyjnych obyczajach. – A jak to się stało, że go znalazłeś?

– Anonimowy telefon. Dostałem cynk.

– Jak dostaniesz cynk o jakiejś wolnej gotówce, saab, wal prosto do mnie. Teraz jest dobry moment na inwestowanie. – Śambhu wstał. Jego twarz opadała do przodu, kończąc się wysuniętym podbródkiem, a oczy były osadzone zbyt blisko siebie, ale w sumie świetnie wyglądał. Widać

było, że dobrze się czuje na świecie. – Czekam na dostawę piwa – powiedział.

Śambhu uściskał dłoń Sartadźa i energicznym krokiem skierował się w stronę drzwi. Odsunął się, żeby przepuścić panią Pandej. Zatrzymała się, żeby zdjąć eleganckie okulary przeciwsłoneczne, a potem podeszła wprost do Sartadźa.

– Witam – odezwał się Sartadź. Wstał i wskazał jej miejsce za ścianką działową, przy małym stoliku w pobliżu drzwi do kuchni. W tym miejscu nikt nie powinien im przeszkadzać, będą sam na sam.

Kiedy ona wycierała nos chusteczką, Sartadź zauważył, że chociaż jest przemęczona i wyczerpana, strój ma bardzo elegancki. Lśniące włosy opadały jej na ramiona, miała na sobie białe dżinsy i białą bluzkę z bardzo krótkimi rękawami i wycięciem, które nieco odsłaniało wzmocnione mięśnie jej brzucha. Była niższa, niż ją pamiętał, ale miała efektowne piersi, bardzo zgrabnie wypełniające górę stroju. Nie była to kreacja, którą Sartadź doradziłby na prywatne spotkanie z podejrzanym policjantem w bardzo średniej klasy restauracji na przedmieściach, ale kobiety kierowały się swoją logiką. Być może to całe dżhatak i matak dodawało jej pewności siebie. Może podobało się jej, że mężczyźni ciągle na nią patrzą.

W końcu się odezwała.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. – Nieznacznie kaleczyła hindi, co musiało wynikać z tego, że przez większość życia posługiwała się językiem angielskim. – Pani – rzuciła do kelnera, który właśnie pojawił się przy stoliku. – Bisleri pani.

Sartadź odczekał, aż kelner naleje wody i odejdzie. Na palcach pani Pandej widać było wyrazisty błyszczak, jaki czasami nosiła jego była żona. Określiłaby ją jako „ostrą panienkę” i starałaby się trzymać Sartadźa od niej

z daleka. Ale ta kobieta nie budziła w Sartadźu żadnego pożądanego, jedynie ciekawość.

– To mój obowiązek – odparł. – Proszę mi wyjaśnić, na czym polega pani problem?

Skinęła głową.

– Problem – powtórzyła. Najładniejsze miała oczy, wielkie, migdałowe i w kolorze szklaneczki dobrej szkockiej, w której rozpuszczono jedną lub dwie kostki lodu. Megha powiedziała, że nie jest klasyczną piękną, ale pracując nad sobą i poprawiając urodę, potrafi przeobrazić się w kobietę atrakcyjną. Miała teraz jakieś poważne problemy, o których trudno było rozmawiać.

– Pani jest stewardessą – odezwał się Sartadź.

– Tak.

– W jakich liniach?

– W Lufthansie.

– To dobre linie.

– Tak.

– Dobrze płacą?

– Tak.

– Czy coś się stało pani mężowi?

– Nie, nie. – To nieoczekiwane pytanie zaskoczyło ją, skuliła się i złożyła dłonie na brzuchu. – Nie, nic z tych rzeczy.

Ale Sartadź był pewien, że problem ma jakiś związek z jej mężem...

– W takim razie, w czym rzecz? – zapytał, bardzo delikatnie. Nie powiedział już nic więcej i tylko powoli sączył wodę. Był gotów czekać.

Zebrała się w sobie i wyrzuciła to z siebie:

– Ktoś mnie szantażuje.

– Ktoś. Pani nie wie, kto?

- Nie.
- Jak się z panią kontaktują?
- Dzwonią na mój telefon komórkowy.
- Zawsze ta sama osoba?
- Tak, ale czasami słyszę, jak rozmawia z kimś innym.
- Z innym mężczyzną?
- Tak.
- A czym panią szantażują?

Jej podbródek powędrował do góry. Podjęła już decyzję i nie miała zamiaru wycofać się przed strachem czy wstydem.

- Chodzi o mężczyznę – odparła.
- Który nie jest pani mężem?
- Tak.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – polecił Sartadź. Należała do osób, które nie lubią się tłumaczyć, czegokolwiek usprawiedliwiać. – Proszę pani – odezwał się inspektor – jeśli mam pani pomóc, muszę poznać szczegóły. Wszystkie. – Nalał sobie trochę wody. – Już od dawna pracuję w policji. Wszystko już widziałem. Nic mnie nie zaskoczy. W naszym kraju robimy najróżniejsze rzeczy, tylko o niczym nie mówimy. Ale pani musi mi powiedzieć.

I w końcu mu powiedziała. W jej życiu był pewien mężczyzna, jej mąż niewiele się mylił w swoich podejrzeniach. A w zasadzie miał zupełną rację. Tak, ten mężczyzna był pilotem. Tylko że nie latał w Lufthansie i nie zabawiali się podczas postojów w Londynie. Pilot Kamali Pandej latał w liniach Śahara, nazywał się Umeś Bindal, był kawalerem i trzy lata temu spotkała go na przyjęciu w Versovie, ich romans zaczął się rok później, a sześć miesięcy temu ona z nim zerwała. Zawsze spotykali się w Bombaju,



Pune albo w Khandali. Szantażyści zadzwonili po raz pierwszy półtora miesiąca temu.

– Czym oni dysponują? – zapytał Sartadź.

– Znają wiele szczegółów, wiedzą o hotelu. I o tym, że byłam u niego w domu.

– To za mało. Muszą mieć coś jeszcze.

Wzdragała się przed tym, co miała teraz powiedzieć.

– Kasety wideo.

– Co jest na tych taśmach?

– On i ja. Po wyjściu z naszego pokoju.

Taśmy zostały nagrane w pensjonacie w Khandali, najprawdopodobniej za pomocą ukrytej kamery. Kochankowie często korzystali z tego pensjonatu, jeździli tam regularnie, a personel myślał, że są małżeństwem lubiącym krótkie wypady w góry. Na taśmach widać było, jak wchodzą do swojego pokoju i jak z niego wychodzą. A także, jak trzymają się za ręce, całują się i obejmują, przechodząc przez hotelowy dziedziniec. Szantażyści zostawili kasetę wideo w brązowej kopercie na siedzeniu samochodu Kamali Pandej. A potem do niej zadzwonili.

– Ile pani im zapłaciła? – zapytał Sartadź.

Nad jej napiętymi policzkami pojawił się drobny błysk zaskoczenia. Sartadź roześmiał się.

– Nie ma w tym nic niezwykłego, proszę pani. Wszyscy na początku płacą. Szantażyści przesyłają taśmy wideo, fotografie, czy co tam mają. A potem, miesiąc później, wracają z nowym materiałem. Jaka była to kwota?

– Jeden lakh i pięćdziesiąt tysięcy. Początkowo chcieli dwa lakhy, ale Umeś pomógł mi pertraktować z nimi. A teraz wysłali nową taśmę.

– Ile teraz chcą?

– Dwa lakhy.

– A gdzie jest ta taśma?

– Spaliłam ją.

– Obie taśmy? Wszystko, co przysłali?

– Tak.

– To niedobrze, proszę pani. Z tych taśm moglibyśmy się czegoś dowiedzieć. Nawet same koperty mogłyby dostarczyć nam informacji.

Skinęła głową. Zbyttno się bała, żeby trzymać te taśmy. Na samo ich wspomnienie pobladła, pod warstwą politory pojawiło się lekkie drzenie. Ale teraz pokazała swój silny charakter. Sięgnąwszy do srebrzystej torebki, wyciągnęła złożoną kartkę. Rozpostarła ją na stole i wygładziła.

– Zapisałam listę ich numerów – powiedziała. – Zapisywałam je zawsze, kiedy do mnie dzwonili. I godziny.

– To dobrze – odrzekł Sartadź. – To bardzo dobrze. Jeśli jeszcze coś pani przyślą, proszę to zachować. Niech pani postara się zbyttno tego nie dotykać.

– Chodzi o odciski palców.

– Tak, o odciski palców. Jeśli mamy pani pomóc, pani też musi nam pomóc. Gdzie dziś jest Umeś?

– Dzisiaj ma lot. Przyszedłby ze mną, ale dopiero dziś pan odpowiedział na moje telefony.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Dam panu jego numer. – Zapisała coś na kartce. – Już po ich pierwszym telefonie chciał iść na policję. To tylko ja nie chciałam iść.

– Chciała pani, żeby to jak najszybciej się skończyło.

– Tak.

– Oni nigdy nie kończą. Dopóki ich nie zatrzymamy.

– To samo powiedział Umeś. Ale wówczas nie chciałam nikomu o tym mówić.

– Dlaczego rozstała się pani z Umešem?

– Ponieważ zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę ja go nie interesuję. To miły człowiek, ale ma zbyt wiele dziewczyn. On tylko chciał się zabawić, a ja zapewniałam mu tę zabawę. Ale w pewnym momencie przestało to być dla mnie interesujące.

– Pewnie jest bardzo przystojny, jak jakiś amant filmowy?

– Bardzo. – Widać było, że jego uroda wciąż jeszcze rozpala w niej ogień, lekko zaprawiony smutkiem. – Bardzo.

– Kiedy ostatnio dzwonili do pani szantażyści?

– Wczoraj.

– Zadzwoń dzisiaj. Proszę ich słuchać uważnie. Chciałbym wiedzieć, co dokładnie mówią. Niech pani robi notatki. Proszę nasłuchiwać towarzyszących rozmowie dźwięków. Wszystkiego. Musi pani zacząć myśleć jak policewala. A raczej jak policewali.

Trochę ją to rozbawiło, że mogłaby zostać prostą policjantką.

– Policewali – powtórzyła. – Spróbuję.

– Proszę im powiedzieć, że potrzebuje pani trochę czasu na zebranie pieniędzy, że pani je przygotowuje. W jaki sposób dostarczono je poprzednim razem?

– Kazano mi włożyć je do torby, takiej na zakupy, i o szóstej wieczorem podjechać pod kino Apsara w Goregaonu. Właśnie kończył się popołudniowy seans i pełno tam było ludzi. Miałam czekać na ulicy naprzeciw wejścia. Kiedy już się tam znalazłam, zadzwonili do mnie. Powiedzieli, że podejdzie do mnie ćhokra w czerwonym T–shircie, i nie minęły dwie sekundy, a on zapukał w szybę samochodu. Opuściłam szybę, on zapytał o paczkę, zabrał pieniądze i pędem zniknął w tłumie. To wszystko.

Zatłoczone miejsce, mały ulicznik odbierający pieniądze – typowe działanie przeciętnego szantażysty.

– Umeś nie towarzyszył pani podczas przekazywania pieniędzy?

– Nie, oni nie wiedzą, że on o tym wie. Powiedzieli mi, żebym nikomu o tym nie mówiła, absolutnie nikomu. Grozili, że mogą mi coś zrobić.

To akurat było nietypowe, żeby szantażyści grozili użyciem przemocy. Jeśli mieli zdjęcia, nie musieli się do tego uciekać.

– A ten chłopak jak wyglądał?

Kamala Pandej wyglądała na zmieszaną.

– Ten dzieciak? Trudno powiedzieć. Po prostu jak zwyczajny ulicznik. – Bosonogi chłopiec niczym nie różnił się od innych ulicznych dzikusów, jedynie czerwonym T–shirtem. Na każdym rogu w Mumbaju można znaleźć tuzin takich dzieciaków.

– Proszę spróbować. Czy przypomina sobie pani cokolwiek z jego wyglądu? To bardzo ważne.

– Tak. Tak... – Urwała na moment. – Ten jego T–shirt. To była taka bawełniana koszulka DKNY. Na koszulce było logo.

– Deekay NY jeans? – zapisywał w notesie Sartadź.

– Nie – powiedziała lekko rozbawiona, z wyrozumiałością osoby rozmawiającej z kimś z niższych sfer. – Najpierw litery. D, K, N, Y, a potem jeans. Wielkimi literami w jednym słowie. W ten sposób. – Sięgnęła po swoje pióro i wielkimi literami napisała DKNY JEANS. – Litery były bardzo wyblakłe.

Świadców należało chwalić za najdrobniejsze osiągnięcia i pochlebstwami nakłaniać do dalszych odkryć.

– Doskonale, proszę pani – powiedział więc Sartadź. – To jest bardzo przydatna informacja. Czy coś jeszcze pani pamięta? Proszę spróbować

sobie przypomnieć. Nawet najmniejszy szczegół może pomóc rozwiązać tę sprawę.

Z niejakim obrzydzeniem wykrzywiła twarz i dotknęła zęba, drugiego za eleganckim idealnym prawym kłębem.

– Jego zęb, ten. Był taki obrzydliwy. Nie był biały, tylko czarny, szary.

– Świetnie. Po tej stronie?

– Tak.

– W porządku – stwierdził Sartadź. – Dobrze, że zapisała pani numery, z których ci mężczyźni dzwoniłi. Prawdopodobnie są to rozmównice publiczne. Kiedy złoży pani skargę, weźmiemy je pod obserwację.

– Nie mogę.

– Czego pani nie może?

– Nie mogę złożyć skargi.

– Proszę pani, jeśli nie złoży pani skargi, jeśli nie będzie zgłoszenia przestępstwa, ja nie mogę zacząć działać.

– Proszę mnie zrozumieć. Jeśli cokolwiek, z tego, co powiedziałam, zostanie spisane, ludzie dowiedzą się o tym. Na pewno się dowiedzą.

– Proszę pani, rozumiem pani obawy, że dowie się o tym pani mąż. Ale pani musi zrozumieć, że bez złożenia skargi policja nie ma prawa interweniować. Nie mamy powodu wszczynać żadnych działań.

– Proszę.

Pochylała się nad stołem, obiema dłońmi przyciskając policzki. Prawdziwa aktorka.

– Droga pani, nic nie mogę poradzić – odparł Sartadź. Wyprostował kark, rozluźnił napięte ramiona. Był na nią zły, już od pewnego czasu go złościła. Czuł, jak ten gniew pali go w piersiach. Sam nie wiedział, dlaczego.

– Proszę – odezwała się. – Proszę się zastanowić. Wszystko stracę.

– Chyba już dawno temu powinna pani była o tym pomyśleć, nieprawdaż?

– Tak. – Jego uwaga powstrzymała ją, przerwała jej w pół słowa. – Tak.

Zakryła oczy, a kiedy odsunęła dłonie, ukazała zapłakaną twarz. Minęła minuta, a potem druga. Otarła łzy. Sartadź był przekonany, że odpowiednie naciśnięcie powiek pomogło wywołać te łzy, ale teraz wyglądała na autentycznie smutną. Dostrzegł znane mu znużenie, wyczerpanie po stracie czegoś, co przez wiele lat człowiek budował. Posiadamy coś, co może niezbyt sobie cenimy, co lekceważymy lub czego nadużywamy, być może dlatego, że tak dobrze jest nam znane. I nagle okazuje się, że ta sama rzecz, ten związek, ta bardzo nietrwała konstrukcja zapuściła swoje korzenie głęboko pod naszą skórę, sięgając aż do kości.

Kamala Pandej ponownie się pozbierała. Gotując się do bezpośredniego ataku, wyrównała ramiona i nieco się wyprostowała. Sartadź przypomniał sobie tę laskę, którą połamała na plecach swojego męża, i zastanawiał się, czy pan Pandej nauczył się rozpoznawać te jej sygnały i czy miał się na baczności.

– Proszę posłuchać – odezwała się. – Zapłacę panu.

Sartadź nic nie odpowiedział. Sięgnęła głęboko do swojej torebki i wyciągnęła podłużną, białą kopertę. Zatrzymała się na moment, czekając na jego reakcję. Sartadź nic nie powiedział. Przesunęła kopertę po stoliku, zostawiając ją obok szklanki z wodą, w zasięgu jego ręki.

Sartadź wysunął palec wskazujący i trąciwszy skrzydełko, uniósł je lekko. Banknoty sturupiowe. Dwa stosy. Dwadzieścia tysięcy rupii.

Teraz był już bardzo rozzłoszczony. Zamknął kopertę, zaciskając na niej palce. Ścisnął ją tak długo, aż pod paznokciami pojawiły się białoczerwone plamy.

– Proszę posłuchać – wychrypiał. – Tego jest zdecydowanie za mało.

– Tak, tak, wiem o tym. To tylko symboliczny zadatek. Wolę zapłacić panu niż im. Proszę mi tylko pomóc. Niech to się już skończy.

– Ma pani tyle własnych pieniędzy?

– Pracuję. Od czasu do czasu pomagają mi rodzice.

Miała własne konto bankowe i miała też kochających rodziców.

– Pani rodzice mieszkają w Bombaju?

– W Dźuhu.

– Ma pani braci albo siostry?

– Nie.

Była jedynaczką, rozpieszczonym dzieckiem zamożnych rodziców, które nagle znalazło się w poważnych kłopotach. Żyła w głębokim przekonaniu, że takie przywileje jej się należą. Z przyjemnością można by zabrać jej te pieniądze. Ale Sartadź był bardzo rozgniewany.

– Proszę pani, bez złożenia skargi nie mogę pani pomóc.

– Ile pan chce?

Odsunął kopertę.

– Mogę w tej chwili aresztować panią za próbę przekupienia policjanta.

To ją uciszyło. Przyłożyła dłoń do ust i zaczęła szlochać. Sartadź widział, że tym razem na pewno nie udaje. Wstał i wyszedł.

Dlaczego ona tak bardzo go rozzłościła? Nie chodziło tylko o pieniądze. Przyzwyczał się do brania pieniędzy, do tego, że go kupowano. W tym mieście codziennie kupowano rzeczy i ludzi. Sartadź podskakiwał na wybojach uliczki prowadzącej do domu Katekara, starając się prowadzić motocykl jak najbliżej środka drogi. Rynsztoki były zatkane i gdzieś pod zwalami śmieci kryły się spore dziury w asfalcie. W tych nierównomiernych ciemnościach khudy w drodze zbliżały się bardzo szybko i bardzo łatwo było ni z tego, ni z owego znaleźć się na ziemi.

Sartadź czuł jeszcze w ustach resztki oburzenia, niesmak gorzkiej urazy, która nie miała nic wspólnego z tym, że ta kobieta była tak rozpieszczonym i irytującym małym dzieckiem. Czy chodziło tylko o to, że jest niewierna, że robi coś, czego kobieta nie powinna robić? Mężczyźni cały czas to robili, Sartadź zdawał sobie z tego sprawę. Robili to i biznesmeni, i robotnicy. A czasami robiły to też kobiety. Wiedział o tym. Często obserwował, tak jak dzisiaj, następstwa takiego postępowania. Widział rozbite małżeństwa i rozbite ludzkie ciała, słyszał bolesne łkanie i krzyki. Nie była to żadna nowość, napatrzył się na to w swojej pracy. Dlaczego więc tak go to rozzłościło?

Na luzie przejechał ostanie metry dzielące go od rogu, na którym stał dom Katekara. Dom znajdował się na końcu alejki, a ta zwiężała się i zakręcała w lewo. Sartadź zaparkował na rogu i podniósł tylne siedzenie, żeby sięgnąć po paczki. W tylnym pojemniku znajdowała się również wciśnięta plastikowa torba. Otrząsnął się, próbując oddalić od siebie ten gniew i to pytanie, i ruszył alejką, odwracając się bokiem, kiedy mijali grupki przechodniów. Niektórzy z nich kiwali mu głowami. Od kilku miesięcy przyjeżdżał tu regularnie i już go znali. Wiedział, że niektórzy wciąż uważają, że to przez niego zginął Katekar, ale większość zachowywała się przyjaźnie.

Synowie Katekara siedzieli niedaleko drzwi kholi i uczyli się. Na drodze widać było ich cienie, rzucane w padającym ze środka świetle świetlówek, i Sartadź rozpoznał te znajome sylwetki, zanim jeszcze ich zobaczył. Rohit zawsze siedział na lewo od drzwi, plecami oparty o ścianę i z książką odsuniętą daleko od siebie. Z kolei Mohit był w nieustannym ruchu, poruszał głową w górę i w dół nawet wtedy, kiedy coś pisał. Kiedy Sartadź podszedł, Mohit zmienił pozycję, już nie siedział po turecku, i ukląkł nad



swoim zeszytem, wyginając plecy w łuk. Na niebiesko brudził stronę w zeszycie.

– Dzień dobry, Rohit–Mohit – odezwał się Sartadź.

– Dzień dobry – odparł Rohit z uśmiechem na ustach. Mohit nie podniósł nawet głowy. Zapamiętałe pisał coś na rysunkach, które zajmowały dwie strony rozłożonego zeszytu.

Sartadź usiadł w drzwiach, opierając się o futrynę.

– Gdzie wasza mama?

– Ai jest na spotkaniu.

– Na jakim spotkaniu?

– Mają taką grupę wsparcia rodziny. Jest ochotniczką, więc raz na tydzień musi tam chodzić.

To było coś zupełnie nowego. Minęły nieco ponad dwa tygodnie od ostatniej wizyty Sartadźa, a Śalini miała nowe zajęcia. Życie toczyło się dalej.

– Ochotniczką do czego?

– Oni przekazują informacje. Aai chodzi rozmawiać z tutejszymi kobietami.

– Na temat zdrowia?

– Tak. I chyba jeszcze o oszczędzaniu pieniędzy. I o czystości. Zamierzają oczyścić uliczki. Mamy tu jakieś broszury, jakby chciał pan zobaczyć.

– Nie, nie. – Sartadź znał takie grupy, a także pracujące z nimi organizacje pozarządowe, zazwyczaj korzystając z funduszy rządowych albo Banku Światowego. Te grupy były niezłym interesem dla jednych lub drugich, dla organizacji pozarządowych albo dla rządu czy Banku, ale czasami robiły dużo dobrego. A że Katekar bardzo zwracał uwagę na czystość, więc działalność Śalini mogła stanowić odpowiedni wyraz hołdu.

– Proszę – powiedział, podając im przyniesione paczki.

– Thank you – odpowiedział Rohit po angielsku. Ostatnio ciężko pracował nad angielskim, a za jakiś miesiąc, zaraz po egzaminach, miał zamiar zapisać się na kurs komputerowy dla początkujących. Sartadź dopilnował, żeby zarezerwować mu miejsce na kursie komputerowym Prabhat, znanym jako najlepszy w okolicy. „Poznaj komputer i Internet za jedyne 999 rupii” głosiła ich reklama umieszczona na wielobarwnych plakatach, które wisiały na co drugiej ścianie. Rohit przeglądał torby, układając plastikowe woreczki z dalem, attą i ryżem. – Hej, tapori – zawołał do Mohita, rzucając mu dwa komiksy. – Ostatni Spiderman – zauważył Rohit. – Powiedz „thank you”.

Mohit nie mógł oderwać się od komiksów, ale nie podziękował. Sartadź zastanawiał się, co sąsiedzi powiedzieli mu o śmierci jego ojca, kogo nauczył się obwiniać. Był dziwnym chłopcem, zrobił się z niego naburmuszony mały nicpoń, bardzo zamknięty w sobie i bardzo nerwowy, wyraźnie podminowany.

– Nasz Mohit uwielbia Spidermana – odezwał się Sartadź – ale jest indyjskim patriotą. Nie lubi w kółko powtarzać thank-you-thank-you, jak ci Amerykanie.

Rohit się roześmiał.

– To prawda, my rodzimy się z prawem do tego, żeby być niegrzeczniymi. – Chwycił brata za nos, a w tym momencie Sartadź usłyszał splunięcie i Mohit pobiegł za ściankę działową do drugiego pokoju. – Ale on naprawdę chce zostać Spidermanem. Teraz dwa dni będzie spał z tymi komiksami. Kartija sala. – Rohit postukał się w czoło.

Sartadź odpiął guzik górnej kieszeni i wyciągnął kopertę.

– Dziesięć tysięcy – powiedział. Podał chłopcu pieniądze i podrapał się po brodzie. Robiło się gorąco, wszystko wokół zamierało w beznadziejnie

posepnym bezruchu i przygnębieniu miesięcy przed monsunowych. Miał zupełnie przeпоcony kołnierzyk.

Tym razem Rohit nie podziękował. Wstał, trzymając kopertę przy piersi, i po chwili Sartadź usłyszał metaliczny zgrzyt otwieranej i zamykanej szafki. Rohit powrócił ze szklanką wody i Sartadź napił się jej. Starszy z synów Katekara był dobrym chłopcem i jeszcze zbyt małym, żeby wkładać pieniądze do szafki i zastanawiać się, jak wychować swojego młodszego brata. Ale z drugiej strony, na każdym rogu aż po Kolabę można było spotkać sześciolatekóв zarabiających na życie.

Przez chwilę siedzieli obok siebie, rozmawiając o komputerach, o Bliskim Wschodzie i czy Kadźol wystąpi jeszcze w jakimś filmie. Rohit uważał, że Kadźol jest najlepszą aktorką od czasów Madhubali. Sartadź już od dawna nie oglądał żadnego filmu, ale z przyjemnością zgodził się z nim. Kiedy Rohit mówił o Kadźol, robił to z ogromnym przejęciem i radością, gestykulował z emfazą w stronę piersi Sartadźa, opisując jej zalety. Kadźol nie tylko była wspaniałą aktorką, ale również dobrą żoną i matką. Sartadź zauważył, że sam się uśmiecha, i z radością słuchał i potakiwał, czekając na nadejście nocy.

Następnego ranka Sartadź spotkał się z Mary w mieszkaniu jej siostry. Zgodnie z jego oczekiwaniami dopiero po kilku miesiącach udało się przekazać mieszkanie Dźodźo w ręce Mary, jej jedynej żyjącej krewnej. Ale teraz z zadowoleniem informował ją przez telefon, że dysponuje kluczami i że wszystko jest przygotowane. Mary miała dzień wolny w wtorek i umówił się z nią na spotkanie z samego rana, zanim jeszcze pojedzie na komisariat. Wstał wcześniej niż zwykle, powlókł się pod prysznic i punktualnie o szóstej trzydzieści był pod budynkiem. Zgodnie z umową

czekała na niego przy windzie. Towarzyszyła jej bardzo wysoka i bardzo chuda kobieta, która patrzyła na Sartadża z lekkim rozbawieniem.

– To moja przyjaciółka, Dżana – wyjaśniła Mary.

Sartadź nie spodziewał się przyjaciółki Dżany, ale nie było nic dziwnego w tym, że Mary przyprowadziła ze sobą przyjaciółkę.

– Namaskar, Dżana–dzi – odezwał się.

Dżana zauważyła ten tłumiony sarkazm i jeszcze bardziej ją to rozbawiło.

– Namaskar, Sartadź–dzi – odparła.

Sartadź wyszczerzył zęby w uśmiechu i zupełnie nieoczekiwanie Mary również się uśmiechnęła. Wysunęła lekko szczękę do przodu, oczy jej się zwężyły, a twarz uległa całkowitej przemianie. Opuściła ją ta uciążliwa powaga, zupełnie gdzieś zniknęła. Sartadź nie bardzo wiedział, co ją tak ubawiło, ale z ulgą i zadowoleniem przyjął to, że można ją wprowadzić w dobry humor.

– Idziemy? – zapytał, wskazując w stronę windy.

– Tak, tak – odezwała się Mary. – Dżana przysłała, żeby się mną zaopiekować.

Stojąc w windzie blisko tych dwóch kobiet, Sartadź zauważył, że Dżana rzeczywiście jest osobą bardzo odpowiednią. Na precyzyjnie zrobionym przedziałku w jej włosach widniała plama sindur, a ubrana była w czarny śalwar i kurtę w wyblakłym czerwonym kolorze. Miała praktyczne buty i na ramieniu niosła wielką, kwadratową torbę z szerokimi paskami. W środku znajdowała się plastikowa butelka, z pewnością pełna przegotowanej wody. To była taka matczyna torba, ładna, ale przede wszystkim przestronna i wytrzymała. Można w niej było nosić drugie śniadanie, czekoladki, lekarstwa, warzywa i szkolne podręczniki. Taka naprawdę solidna torba.

Zamek w drzwiach do mieszkania Dźodźo był ciasno owinięty szorstką, brezentową taśmą, która opasywała również zasuwkę, a te wszystkie warstwy zabezpieczono pieczęcią z czerwonego laku opatrzoną znakiem policji Mumbaju. Sartadź podał Mary klucz i sięgnął do swojej sportowej torby po wielkie, czarne nożyce. Był stosownie przygotowany. Pieczęć pękła z trzaskiem rozdieranego materiału i Sartadź teraz przyglądał się, jak Mary walczy z kluczem, próbując otworzyć zablokowany zamek.

– Proszę mi pozwolić – powiedział, ale Mary tylko zdecydowanie pokręciła głową i zaczęła ciągnąć, ile miała sił w ramionach. Dźana rzuciła Sartadźowi smutne spojrzenie nad głową Mary: ona taka już jest, niech będzie, jak ona chce. Czekali dalej. W pewnym momencie zamek puścił z chrzęstem i weszli do środka.

Dźana rzuciła się do otwierania okien, odsłaniając kolejne fragmenty saloniku. Mary nadal stała przy drzwiach. Sartadź wsunął rękę za jej plecy i przeciągnął dłonią po rzędzie przełączników. Nie było światła, nie było prądu.

– Jar, to jest naprawdę miłe miejsce – zawołała Dźana z kuchni, po części zaskoczona, ale jednocześnie w dużej mierze oburzona.

Kobiety zawsze się oburzają, kiedy inne, oficjalnie uznane za złe kobiety zarabiają pieniądze, mają dobry gust i trochę szczęścia w życiu, pomyślał Sartadź. Ale Mary miała niezgłębiony wyraz twarzy. Bez słowa przeszła przez mieszkanie, zatrzymując się w każdym kolejnym pomieszczeniu i ogarniając je wzrokiem. Dźana nie ustawała w swoich komentarzach: w sypialni na moment zamilkła, oszołomiona widokiem ogromnej kolekcji obuwia Dźodźo, po czym przez dwie minuty słychać było oburzone słowa, pełne porównań do Dźajalality i Imeldy Marcos, i następnie długi i drobiazgowy spis inwentarza. Mary stała w drzwiach, z opuszczonymi rękami.

Sartadź otworzył okno.

– Były tu albumy ze zdjęciami – powiedział. – Muszą gdzieś tu być. – W pokoju panował bałagan, rozrzucone buty, ubrania i czasopisma leżały pod grubą warstwą kurzu. – Ach, tutaj – stwierdził Sartadź i obszedł łóżko, podchodząc do toaletki. Zdjął album leżący na samej górze i uderzył w niego ręką. Z okładki podniósł się drobny pył, a Sartadź nagle uzmysłowił sobie, jak głośno zabrzmiał jego głos, jak triumfalnie. Padające bezpośrednio z okna światło nie docierało do miejsca, gdzie stała Mary, i nie mógł dojrzeć jej twarzy. – Powinna pani wybrać się do biura BSES, żeby znowu włączyli prąd. – Odłożył album z powrotem na toaletkę. – Pewnie są niezapłacone rachunki. Dobrze, w takim razie ja już muszę iść. – Skinął głową, zrobił jeden krok i zatrzymał się.

Mary cofnęła się do przedpokoju, żeby go przepuścić. Sartadź uniósł rękę w geście pożegnania w stronę Dżany, która skinęła mu głową, ale patrzyła na Mary. Sartadź przeszedł już cały przedpokój, kiedy Mary odezwała się.

– Dziękuję – powiedziała.

– Tak, tak – odparł Sartadź. – Nie ma za co.

– Nie zapomniałam.

– O czym?

– O pańskim dochodzeniu w sprawie Ganeśa Gaitondeggo. Próbowałam myśleć o Dżodzo, starałam się coś sobie przypomnieć.

– Dziękuję.

Jeszcze raz się uśmiechnęła i, tak jak przedtem, ten uśmiech pojawił się zupełnie nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia. Uniosła lewą rękę i pomachała nią w taki dziwny sposób, wyciągając rękę w jego stronę i kręcąc dłonią w nadgarstku. Sartadź skinął głową i zamknął drzwi.

Po półtoragodzinnym przewracaniu się z boku na bok i wierceniu się Sartadź był wyczerpany, ale bardziej rozbudzony, niż kiedy kładł się spać. Położył się tuż po północy, bardzo zadowolony, że udało mu się zrobić to tak wcześnie, i czysty po długotrwałym prysznicu. Ale teraz pod skórą odczuwał jakieś delikatne i niepohamowane świerzbienie. Wypił trzy whisky z wodą. Wciąż jednak nie mógł usnąć. Usiadł na łóżku. Po okiennych szybach przebiegały cienie kołyszących się drutów. Nie potrafił przypomnieć sobie, jak wabił się ten pies. Ten mały biały pupilek, którego mąż Kamali Pandej wyrzucił przez okno. Sartadź pamiętał, jak ten pies leżał ze sztywnymi nogami na parkingu, ale nie mógł przypomnieć sobie imienia tego gandu. Wciąż miał jej numer telefonu. Mógł zadzwonić do Kamali Pandej i zapytać ją: „Jak się wabił ten pies, którego zabił pani mąż, którego razem zabiliście, bawiąc się w te swoje brudne gierki?”.

Sartadź opuścił nogi na podłogę i przetarł oczy. Nie mógł tego zrobić, to byłoby nękanie przez policję, prześladowanie czy coś takiego. Ale wiedział, kto nie śpi o drugiej w nocy. Wybrał numer, drżącym palcem naciskając podświetlone przyciski. Słuchał sygnału i czekał z podniesioną ręką. Był bardzo spięty. Muszę zbadać sobie ciśnienie krwi, pomyślał. W rodzinie opowiadano, że ojciec Sartadźa przez całe życie walczył z nadciśnieniem i cholesterolem. Przeżył jeden atak serca, a dziewięć lat później odszedł spokojnie podczas snu, z przyczyn zupełnie naturalnych, jak stwierdzili lekarze.

– Peri pauna, ma – odezwał się Sartadź.

– Dźite raho, beta – odparła. – Właśnie wróciłeś do domu?

– Tak. Praca społeczna. – Praca była odpowiednim usprawiedliwieniem dla dzwonienia o tak późnej porze. Gdyby przyznał się do bezsenności, czekałyby go zapewne pytania o sposób odżywiania się, spożycie alkoholu i

o stan zdrowia. Musiał ją wyprzedzić. – Ma, masz jakiś zachrypły głos. Czyżbyś się przeziębiła?

– Miałabym się przeziębić? Nigdy się nie przeziębiam. To twój ojciec ciągle się przeziębiał. Miał tę rozrzedzoną bombajską krew. My dorastaliśmy w dobrym, czystym klimacie, byliśmy przyzwyczajeni do porządných, chłodnych zim. – Znał na pamięć te komunały, że sardar z północnego zachodu jest twardszy od sardara z Bombaju. Najmocniejsze były siostry, a najstarszą i najmocniejszą była Nawnit-behendzi. I znowu słyszał to samo, tę opowieść o niezłomnej i dawno utraconej ciotce. – Nawnit-behendzi nawet w styczniowe poranki kąpała się w zimnej wodzie. O wpół do siódmej rano, ponieważ musiała zdążyć na wcześnie rozpoczynające się zajęcia w college’u. Nawet Papa-dzi radził jej, żeby wlała trochę gorącej wody, ale ona go nie słuchała. A kiedy się na nią popatrzyło, można było pomyśleć, że z niej delikatna i piękna istota! Była studentką literatury, wyglądała, jakby jej przeznaczeniem było liczenie pereł w pałacu, ale była silna jak wieśniaczka. A do tego bardzo ładnie malowała. Pejzaże pól, domów i krów. Jeden z obrazów przedstawiał nasz nowy dom, był tak cudowny, tak dokładny.

Zapadło milczenie. Ta przerwa również była znajoma, pojawiała się zawsze, kiedy Ma opłakiwała zmarłą siostrę. Nawnit-masi zginęła podczas podziału kraju, ale Ma opowiadała o niej od zawsze, od kiedy tylko Sartadź sięgał pamięcią. Nie żyła, ale była obecna w życiu Sartadźa. Wszystkie dzieci i wnuki w rodzinie dobrze znały tę nieobecną masi. Razem z nią przeżywali jej życie, karmieni opowieściami i widokiem tej surowej powagi, która zawsze pojawiała się na twarzach dorosłych, kiedy o niej wspominali. Raz na jakiś czas Sartadź próbował przedrzeć się przez te napięte mięśnie i nerwy, przez tę atmosferę zastygłych uczuć, i dotrzeć do tego, co dokładnie wydarzyło się podczas tych krwawych dni. Ale Ma



zawsze powtarzała jedynie: „To były złe czasy, bardzo złe czasy”, i nic więcej. Dokładnie to samo mówili oni wszyscy, wszyscy wujowie, ciotki i dziadkowie. Tylko to, i ewentualnie jakieś przekleństwa pod adresem muzułmanów: „Beta, co ty możesz wiedzieć, to są źli ludzie, bardzo źli ludzie”.

Ale dzisiejszej nocy Ma nie miała żalu o stare krzywdy, nie była zgorzkniała, po prostu cicha.

– Nie wiem, jak ty potrafisz pamiętać coś, co zdarzyło się tak dawno temu – powiedział w końcu Sartadź. – Dokładnie pamiętasz obrazy i wszystkie tego typu rzeczy. Nie jestem w stanie nawet przypomnieć sobie imienia psa.

– Jakiego psa?

Sartadź opowiedział jej całą historię: o mężu, żonie i wyrzuconym przez okno psie.

– Cóż za straszny człowiek! – powiedziała mama. Lubiła psy, a one odwzajemniały to uczucie. – Zaaresztowałeś go?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ta żona nie chciała wnosić oskarżenia.

– Are, przecież znęcano się nad niewinnym zwierzęciem.

– Nawet nie chciała zeznać, że on wyrzucił tego psa przez okno.

– Może się go bała.

– Ona też nie jest niewiniątkiem.

– Skąd wiesz? Spotkałeś ją później? – Po całych dziesięcioleciach spierania się z policjantem, a nawet z dwoma policjantami, Ma wykształciła w sobie własną umiejętność wychwytywania niuansów i niedopowiedzianych prawd. – Co ona zrobiła?

Nie była to miła historyjka, którą można by zabawiać matkę tak późno w nocy, ale Sartadź ją opowiedział. Pokróćce zrelacjonował historię żony, pilota, opowiedział o kamerze i o szantażu. Pominął złożoną mu przez tę kobietę propozycję przekupstwa, a także ten jej kusy, biały top. Mama surowo podchodziła do nieskromności pod każdą postacią, a on nie chciał, żeby od razu nabrała zbyt niechętnego stosunku do Kamali Pandej. Ta wiarołomna kobieta tak czy owak była potępiona.

– Oczywiście powiedziałem jej, że jeśli nie złoży skargi, nie będę mógł zająć się jej sprawą. Jest głupia – wyjaśnił. – Głupia i wydaje się jej, że wszystko się jej należy, że może robić wszystko, na co jej tylko przyjdzie ochota.

– Tak – odparła mama. – Pewnie jej ojciec spełniał wszystkie zachcianki córeczki i nie nauczył jej dyscypliny. W dzisiejszych czasach ludzie rozpieszczają swoje dzieci.

Sartadź roześmiał się głośno. Po to właśnie dzwonił w środku nocy do swojej matki, żeby usłyszeć te nieoczekiwane popisy jej przenikliwości, które potwierdzały jego własne przeczucia. Czasami potrafiła być naprawdę zdumiewająca.

– Tak, to taki przykład rozpuszczonego bachora. Jest bardzo irytująca. – Usiadł na łóżku i upił spory łyk wody. Poczul się już lepiej, słysząc jej głos i wsłuchując się w jej oddech. – Czy często rozmawialiście z Papą o prowadzonych przez niego sprawach?

– Nie, nie. Nie lubił rozmawiać ze mną o swojej pracy. Jego zdaniem wystarczyło już, że policjant do północy nie może o niej zapomnieć. Mówił, że oszalałby, gdyby po powrocie do domu wciąż musiał myśleć i rozmawiać o pracy. Rozmawialiśmy więc o innych sprawach, a on mówił, że go to odpręża. W każdym razie tak twierdził. – W jej głosie wyczuwało się jakieś szydercze rozbawienie. Wyobrażał sobie nachylenie jej

podbródka, opuszczony wzrok. – Prawdę mówiąc, był dosyć staroświecki. Uważał, że mnie przerażą te wszystkie morderstwa i brudne sprawy, którymi musieli się zajmować. Jego zdaniem kobiety nie powinny być narażone na takie rzeczy.

– A ty się na to zgadzałaś? – Ona uwielbiała filmy akcji, a w ostatnich latach z niewiadomych powodów rozsmakowała się w tych naprawdę odrażających, ociekających krwią horrorach, serialach telewizyjnych straszących krzykami i pełnią księżyca. Codziennie rano z wyraźną przyjemnością czytała kroniki kryminalne w gazecie, komentując je i stale powtarzając, że świat jest naprawdę zły i robi się coraz gorszy.

– Beta, człowiek się przystosowuje. Przystosowuje. Nie chciał rozmawiać o pracy, więc nie rozmawiałam. Na tym polega wspólne życie. Właśnie tego nie rozumie młode pokolenie.

Miała na myśli pokolenie Sartadza, a także Meghi. Wiedziała, że Megha wyszła za mąż, że już na zawsze znalazła się poza zasięgiem Sartadza, ale od czasu do czasu powracała do tego, co się stało, do tego, co powinno się stać i co jej syn powinien był zrobić. Sartadz już dawno zrezygnował z dyskusowania czy nawet odpowiadania w inny sposób niż tylko rzucanym od czasu do czasu „Tak”. Leżał i słuchał. Była jego matką, a on się przystosował.

– Aćca, kładź się spać – powiedziała – bo będziesz zmęczony w pracy.

– Tak, Ma – odparł Sartadz. Pożegnał się z nią i odwrócił się w stronę okna, żeby czuć powiew wiatru na twarzy. Z łatwością zapadł w sen. Śnił o ogromnej równinie, o bezchmurnym niebie, o niekończącym się sznurze idących postaci. Obudził się raptownie. Dzwonił telefon.

Było przed siódmą, wiedział o tym, nawet nie otwierając oczu. Panował ten bezruch, w którym słychać było szczebiotanie samotnego ptaka. Czekał, ale telefon wciąż dzwonił. Sięgnął po słuchawkę.

- Sartadźu – odezwała się jego matka – musisz pomóc tej dziewczynie.
- Co?
- Tej kobiecie, o której opowiadałeś mi w nocy. Powinieneś jej pomóc.
- Mamo, czy ty w ogóle spałaś?
- Gdzie ona może pójść? Co ona pocnie? Jest zupełnie sama.
- Mamo, mamo, posłuchaj. Dobrze się czujesz?
- Oczywiście, że tak. A cóż niby miałyby mi dolegać?
- To dobrze. Ale powiedz, o co chodzi z tą głupią kobietą?
- Po prostu zastanawiałam się dziś rano. Powinieneś jej pomóc.

Sartadź przetaił oczy, wsłuchując się w śpiew ptaka. Kobiety w ogóle stanowią tajemnicę, a matki jeszcze większą. Ma nic nie mówiła, ale to milczenie było bardzo wymowne. Taki bezwzględny spokój, który nie znosił żadnej dyskusji, żadnego sprzeciwu. Bardzo chciał ponownie zasnąć.

- Tak, dobrze. W porządku.
- Sartadźu, ja mówię poważnie.
- Ja też. Naprawdę, zajmę się tym.
- Ona jest zupełnie sama.

Tak jak wszyscy ludzie na świecie, chciał odpowiedzieć Sartadź. Ale zdobył się na posłuszeństwo.

- Rozumiem, Ma. Pomogę jej.
- Wybieram się teraz do gurudwary.

Nie miał najmniejszego pojęcia, co ma to wspólnego z budzeniem go z tak miłego snu, ale wyszeptał: „Tak, Ma” i odłożył słuchawkę.

Łóżko Sartadźa wciąż jeszcze zachowało kształt jego ciała, ptak nie był zbyt głośny, pod cichym wentylatorem poranek był chłodny, ale sen gdzieś prysł. Przeklął Kamalę Pandej. Sali Kamala Pandej, ona jest kutija, powiedział do ptaka, cholerna randi, i wstał z łóżka.

Cały ranek Sartadź spędził na pisaniu niepotrzebnych raportów o drobnych włamaniach, które zostaną pobieżnie zbadane, a nigdy nie zostaną rozwiązane. Popołudnie zeszło mu w sądzie, na kręceniu się między dwoma sędziami i trzema sprawami. O piątej udał się do restauracji po drugiej stronie ulicy, gdzie wypił filiżankę herbaty i zjadł tłusty omlet. Restauracja nazywała się Śiraz i roilo się w niej od plotkujących prawników. Sartadź ukrył się na końcu klimatyzowanej dobudówki na pierwszym piętrze, starając się unikać wzroku prawników zdążających do umywalki. Wychylił duszkiem wysoką szklankę ćhas, otarł wąsy i poczuł się lepiej. Udało mu się przejść przez dobudówkę i przez całe schody, nie natykając się na nikogo, z kim musiałby rozmawiać. Ale kiedy był w połowie drogi do wejścia, nagle wyrosła przed nim chuderlawa, pokryta bliznami twarz.

– Sartadź Singh?

To nie był prawnik. Na szarej koszuli widniały plamy potu, a na twarzy malował się wyraz złośliwego, lisiego szacunku osoby przyzwyczajonej do tego, że ludzie obchodzą ją wielkim łukiem. Ale głos pasował do jego sylwetki, był metaliczny i głęboki.

– Kim pan jest? – zapytał Sartadź.

– Widzę, że nie pamięta mnie pan. Spotkaliśmy się na pogrzebie. A także ze dwa albo trzy razy wcześniej.

Oczywiście. Ten głos.

– Jesteś szwagrem Ka... mężem siostry Śalini.

– Wisznu Ghodke, saab.

– Tak, Wisznu Ghodke. Tak. – Sartadź pamiętał go z pogrzebu, ale nie przypominał sobie, żeby wcześniej się spotkali. Podczas ceremonii ten człowiek zajmował się przynoszeniem różnych rzeczy, ustawiał żałobników, dyrygował kapłanami. – Wszystko w porządku, Wisznu?

Wisznu Ghodke przyłożył dłoń do piersi.

– Z pańskim błogosławieństwem, saab. Chociaż...

Sartadź skinął głową.

– Tak, Katekar był porządnym człowiekiem. – Czekał, aż Ghodke go przepuści. – Na pewno kiedyś się zobaczymy.

Ale Ghodke nie chciał jeszcze rozstawać się z Sartadźem. Odwrócił się bokiem, żeby go przepuścić, a potem wyszedł za nim na chodnik.

– Widział się pan z chłopcami dady? – powiedział do pleców Sartadźa.

Nagle Sartadź uzmysłowił sobie, że nie przepada za tym Wisznu Ghodkem. Nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ale ogarnęła go chęć, żeby przyłożyć mu dłoń do twarzy i mocno przycisnąć do ściany.

– Tak, widziałem się z nimi wczoraj. Wczoraj wieczorem. Czy u nich wszystko w porządku?

– Oczywiście, saab, oczywiście. Nie, nie o to chodzi.

– W takim razie o co chodzi?

– Czy ich Ai była w domu?

– Nie, wyszła.

Wisznu Ghodke odwrócił głowę na bok i przez wieczorny potok samochodów spojrzął w kierunku budynku sądu. Nad jego głową widniał czerwony napis „Śiraz”, złożony z liter subtelnie ułożonych w czterech językach.

– I co to ma być, saab? – powiedział, wracając do Sartadźa. – Co to jest? Kobieta powinna siedzieć w domu. Kobieta powinna być ze swoją rodziną.

– Ale ona musi pracować, Wisznu.

– Ale to żadna praca, włóczenie się wieczorami, zostawianie głodnych dzieci. – Wymachiwał gwałtownie rękami w stronę ulicy i znajdującego się za nią sądu, jakby Śalini gdzieś tam biegła, między czarnymi togami a poplamionymi łukami.

Barki Sartadża powędrowały w górę, a w przedramionach pojawiło się mocne i gwałtowne pulsowanie, jakaś chęć użycia przemocy. Madercod. Że też ten sukinsyn właśnie dzisiaj musiał się pokazać.

– Chłopcy są nakarmieni i szczęśliwi – powiedział. – A ich dom jest zadbany. Co cię gryzie w gand? – Wisznu Ghodke cofnął się gwałtownie i oparł się o ścianę. – Han? No, powiedz.

– Saab, ja tylko chciałem powiedzieć...

– Co takiego chciałeś powiedzieć?

– Ona zaczęła chodzić na te spotkania. – Wisznu starał się mówić głosem spokojnym, serdecznym. Chciał być człowiekiem, który w sposób rozsądny rozmawia z drugim człowiekiem.

– Rozmawiają tam o zdrowiu. I co z tego?

– Saab, zdrowie to jedno. Ale oni mówią im tam te różne barbarzyńskie rzeczy. Te wszystkie rzeczy, które nie przystoją porządnej kobiecie. A do tego mówią im, żeby rozmawiały z młodymi dziewczynami i rozpowszechniały to wszystko wśród społeczeństwa. Po co młodej, niezamężnej kobiecie informacje o ciąży, o prezerwatywach i tym wszystkim? Sam mam młode córki, jestem ojcem i muszę powiedzieć, że robi się coraz trudniej. To tak jak w telewizji, nigdy nie wiadomo, co mogą pokazać, w samym środku dnia. Już nie można usiąść spokojnie całą rodziną i oglądać. A teraz pojawili się tacy właśnie ludzie, ludzi niby wykształceni, którzy polują na takie kobiety jak Śalini i przewracają im w głowach.

Sartadź zastanawiał się, czy nie przyłożyć temu obrońcy tradycji, czy nie grzmotnąć po razie w każdy z jego wychudłych policzków. Ale i tak niczego nie wbiłby do tej jego głowy, jedynie wzmógłby wojowniczość w obronie swoich córek.

– Nie martw się głową Śalini – powiedział. – A ona nie rozmawia z twoimi córkami. Jeśli będzie im mówić coś, co ci się nie spodoba, po prostu powiedz jej, żeby przestała.

– Ta kobieta nikogo nie słucha, saab. Jej mąż odszedł i wydaje się jej, że może robić, co chce.

– Rozumiem, że ciebie też nie słucha. I to cię złości?

Wisznu otrzepał ramię, na którym pozostała smuga tynku ze ściany. Mówiąc, nabierał pewności siebie i częściowo zapominał o strachu.

– Sahibie, tu nie chodzi o mnie. Myślę tylko o tych chłopakach siedzących w domu. To ich dom ucierpi. U nas mówi się: *Gharala paja rasztrala baja*<sup>17</sup>.

Sartadź wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Wisznu. Uśmiechnął się. Dla mijających ich przechodniów byli dwójką znajomych pograżonych w przyjacielskiej sprzeczce. Ale Wisznu zaczął się już wic się pod palcem Sartadźa, naciskającym go tuż pod obojczykiem.

– Czyli teraz martwisz się również o kraj? – zapytał Sartadź. – Posłuchaj mnie, Wisznu, nie podoba mi się to twoje łażenie i gadanie, nie podoba mi się to, że przysparzasz jej kłopotów. Co ty sobie myślisz, że jesteś jakimś behenćodowym świętym? Włóczysz się jak jakiś pieprzony głośnik i plujesz kłamstwami.

– Ale saab, to najszczęsza prawda.

Sartadź nacisnął mocniej i teraz już Wisznu przeraził się nie na żarty.

– Prawda wygląda tak, że ona stara się zaopiekować chłopcami. I robi coś dobrego. Ty, Wisznu, jesteś małym człowiekiem. Twój umysł jest mały, twoje serce jest małe, więc w taki sam sposób myślisz o ludziach. Jesteś małym, podłym sukinsynem, Wisznu. Nie podobasz mi się. Trzymaj gębę na kłódkę. Jasne?



Oczy Wisznu zaszczyły łzami. Chociaż chwycił dłonią nadgarstek ręki Sartadźa, nie potrafił jednak wyrwać się z bolesnego uścisku.

– Jasne?

– Tak – odparł Wisznu. Ale ten Wisznu był uparty jak osaczony szczur. Odwróciwszy wzrok, wyszeptał – Ale nie tylko ja jeden tak mówię. Inni mówią to samo.

Sartadź puścił go wolno i nachylił się w jego stronę.

– To prawda, inni, podobni do ciebie maderćodowie zawsze chętnie mówią różne rzeczy o samotnej kobiecie. A zwłaszcza kiedy ty jesteś takim porządnym szwagrem, który sam rozpuszcza takie pogłoski. Trzymaj więc lepiej język za zębami.

Wisznu skinął głową, nie podnosząc wzroku. Od razu było widać, że nie przestanie tego robić. Oczywiście, że będzie to dalej robił, będzie dodawał nowe fakty i je ubarwiał. Ale teraz przynajmniej wiedział, że może tego pożałować.

– Jeśli usłyszę, że sprawiasz kłopoty, odszukam cię, Wisznu. Ona teraz potrzebuje twojej pomocy. Powinniście żyć ze sobą, jak przystało rodzinie, Wisznu. Pomóż jej wzmocnić ten dom, nie niszczyć go swoim gadaniem.

Wisznu ruszył szczęką, ale trzymał głowę opuszczoną i usta zamknięte, jak mu polecono. Sartadź nie miał wątpliwości, że otworzy je natychmiast, kiedy poczuje się bezpiecznie. Policjant poklepał go delikatnie po policzku.

– Będę miał cię na oku – rzekł i oddalił się.

*Gharala paja rasztrala baja.* Jeśli zatem trwałość i dobrobyt domu zależały od jego fundamentów, a w wypadku kraju od kobiet, to cóż miał Sartadź zrobić z tą tak pretensjonalną i bardzo niesolidną Kamalą Pandej? Otrzymał od Ma jednoznaczne polecenie, i chociaż dzieliła ich spora odległość, a on miał już swoje lata, zazwyczaj robił to, o co ona go prosiła. Zazwyczaj. Ale

ona była sentymentalna i pragnęła wybawiać upadłe kobiety z kłopotów. Pochodziła z innego pokolenia i nie wiedziała, jaki Sartadź ma problem z Kamalą Pandej. Nie miała pojęcia, jak bardzo Kamala Pandej denerwuje Sartadźa. Łatwo było powiedzieć, musisz pomóc tej dziewczynie. Dużo trudniej było tolerować tę sukę.

Sartadź gryzł się tym problemem przez trzy dni. Zajmował się swoimi sprawami, prowadził dochodzenia, aresztował, pisał raporty, pił i spał. Sprawa Kamali Pandej nie odstępowała go, ale teraz z przyjemnością myślał, że ta kobieta ma kłopoty, wyobrażał sobie, jak ona krzywi się i kuli się pod lawiną obelżywych słów atakujących ją z telefonu komórkowego, jak traci swoje pieniądze. Tak, powinna nauczyć się, że świat nie został stworzony dla jej przyjemności. Powinna wiedzieć, że nie może mieć wszystkiego, czego tylko zapagnie. Czwartego dnia zadowolenie ustąpiło, a na jego miejsce pojawiło się nieustępliwe poczucie odpowiedzialności.

– O co chodzi, Sartadźu? – zapytał Madźid Hussain.

Stali na balkonie mieszkania Madźida i czekali na kolację. Sartadź powoli sączył drugą szklaneczkę czarnego Johnny’ego Walkera. Ubrany w czerwone szorty, Madźid pił świeży sok z mausambi i mówił cichym, ale autorytarnym tonem, jak stary przyjaciel, który dokładnie wie, kiedy Sartadź jest bardziej posepny niż zwykle. Będzie naciskał, aż inspektor zacznie mówić. W końcu więc Sartadź powiedział mu o Kamali Pandej, opowiedział mu całą tę historię.

– Niezły z niej numer – stwierdził. – Chwali się swoimi pieniędzmi na lewo i prawo. Nic dziwnego, że jacyś goście po prostu zabierają jej część tego majątku.

Madźid podkręcił węża. Kiedy się koncentrował, chwycił węża kciukiem i palcem wskazującym i je zwijał.

– To bardzo ciekawe. Wydaje mi się, że z tą sprawą nie powinno być specjalnych kłopotów. – Myślał o tym, że bez trudu da się nie wprowadzić jej do policyjnych rejestrów i że nie będzie to nic niezwykłego. Pojawiła się możliwość zarobienia sporych pieniędzy, a to zawsze pomagało w zachowaniu dyskrecji. Madźid uniósł szklanke. – A poza tym, Sartadźu, jeśli ona rzeczywiście jest taką namkin, sprawdzanie jej może być przyjemne.

– Are, Madźid, ale ona mnie nie interesuje.

Na te słowa Madźid wyprostował się i zwrócił w stronę Sartadźa.

– Jar, sam powiedziałaś, że ona jest seksowna. Daje to wszystkim dookoła. Ma do tego ćaskę. Jakie ma znaczenie, czy cię to interesuje, czy nie? Po prostu trochę sobie użyj.

Trudno było cokolwiek zarzucić takiemu rozumowaniu: jeśli kobieta raz była niewierna, bez wątpienia jest łatwa. Czasami szantażyści wykorzystywali wiedzę o romansie, żeby się zabawić, chwycić to, co jest rozdawane. Szantażyści Kamali Pandej jeszcze tego nie spróbowali, ale może tak zrobią, kiedy skończą się jej pieniądze. Tak działa ekonomia, płacić można na wiele sposobów. Sartadź splunął za balustradę.

– Ma powiedziała, że powinienem pomóc tej kobiecie.

– Nie dziwię się, że tak powiedziała.

– Ale...

– Nie interesują cię pieniądze, nie interesuje cię ta kobieta – Madźid wzruszył ramionami. – W takim razie nie pomagaj jej.

– Tak, ale co z tymi sukinsynami szantażystami?

Uśmiechnęli się i kiwnęli do siebie głowami. Aż za dobrze się znali. Niezależnie od tego, co myślał o Kamali Pandej, jednego Sartadź był pewien: że całkowicie i zdecydowanie nienawidzi szantażystów. Nie podobało mu się, że działają w jego strefie, w jego rejonie, na jego terenie,

w jego mohalli. Maderćod, behenćod, pragnął ścisnąć ich goli i słuchać, jak krzyczą. Madźid, który właśnie drapał się w udo pod krótkimi spodenkami, czuł dokładnie to samo. Sartadź to dostrzegał. Madźid wymyślił teorię, że wszyscy naprawdę dobrzy gliniarze są dziećmi silnych matek. Spotkał kiedyś matkę Sartadźa, a jego własna Ammi była drobną pomarszczoną wiedźmą, która terroryzowała swoją synową i, nie pytając nikogo o radę, wciąż aranżowała małżeństwa dla swoich wnuków. Madźid uważał, że matka, która prowadzi porządną dom, dba o czystość i w wyraźny sposób określa, co jest dobre, a co złe, wychowuje synów na dobrych policjantów. Potrafił przedstawić całą listę ludzi z wydziału, których podziwiał, i podać mnóstwo informacji o ich matkach. Sartadź uważał, że w tej teorii Madźida coś musi być. Na przykład matka Katekara była silną matroną o masywnych biodrach. Nawet wiele lat po jej śmierci Katekar z szacunkiem mówił o jej gniewie.

– Wydaje mi się – odezwał się Madźid, nachylając się, żeby stuknąć się szklaneczką z Sartadźem – inspektorze Sartadźu, że jeśli twoja matka tak ci każe, powinieneś załatwić tych szantażystów.

Sartadź musiał się z nim zgodzić.

– Zadzwoń do tej pani Pandej – odparł. – Po kolacji.

Przy kolacji Sartadź obserwował, jak Madźid przekomarza się z Rehaną. Spierali się o swoich rodziców, które z nich miało bardziej ekscentrycznych. Ich własne dzieci chichotały, słuchając tej dyskusji. Madźid snuł opowieści o matce Rehany, i chociaż Sartadź już wcześniej je słyszał, teraz znowu się śmiał. Rehana była zakochana w swoich dzieciach, w Farah i Imtiazie, i Sartadź pomyślał, że żadne z jej dzieci nigdy nie wyrosnie na dobrego policjanta. Nie wątpił, że Rehana jest matką dobrą i kompetentną, ale nie kazała swoim dzieciom żyć w ten staromodny sposób, o jakim mówił Madźid. Była ich przyjaciółką. A poza tym te dzieci były

zbyt ambitne, żeby brać pod uwagę karierę w policji, która produkowała takich niedołączonych gości, jak ten przyjaciel ojca, ten sardar.

Przez całą powrotną drogę do domu Sartadźowi się odbijało. Jechał bardzo wolno, zdając sobie sprawę, że jest nietrzeźwy. Idealnie okrągły księżyc chował się za budynkami i nieoczekiwanie pojawiał się między billboardami reklamującymi przyszłotygodniową premierę wielkiego romansu, nowego filmu z Śahrukhem Khanem. Sartadź ostrożnie przejechał rondo i pomyślał, że teraz plakaty są dużo bardziej pretensjonalne niż te pamiętane z dzieciństwa, ręcznie malowane, na których Dharmendra wyglądał jak kosmita z nadmuchaną głową. Dzisiejsza miłość ma w sobie dużo więcej blasku, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. A teraz Kamala Pandej odkrywała, jak może być brudna, jak ponure i puste mogą być pokoje hotelowe oglądane okiem kamery. Zatrzymawszy się na światłach, pod kolejnym plakatem z Śahrukhem, Sartadź zaczął zastanawiać się, jakie korzyści może mu przynieść ta kobieta: czy pragnie Kamali Pandej? Czy zrobiłby to? Doszedł do wniosku, że jednak nie. Była irytującą i rozpieszczoną egocentryczką. A poza tym, gdyby miał ją codo, byłoby to zbyt dramatyczne doświadczenie, wymagające siły woli i wysiłku tak wyczerpującego, że nie byłoby w tym żadnej przyjemności. Nie, jeśli ma jej pomóc, to tylko i wyłącznie dla pieniędzy.

Po powrocie do domu Sartadź zdjął buty i skarpetki i wykręcił numer Kamali Pandej. Odebrała po pierwszym sygnale, a Sartadź usłyszał w słuchawce jej przerażone: „Halo?”.

– Mówi inspektor Sartadź Singh – przedstawił się. Usłyszał, jak uchodzi z niej powietrze, jakby ktoś uderzył ją mocno pod mostkiem.

– Tak – odparła – Tak. – W tle słychać było rozmowę i muzykę. Jakiś mężczyzna coś mówił, tuż przy niej. Byli w restauracji, jak jakaś szczęśliwa młoda para.

– Chciałbym się znowu z panią spotkać. W tym samym miejscu, o czwartej. – Nic nie odpowiedziała. – Czy pani mnie słyszy?

– Tak.

– Proszę się nie martwić. Pomogę pani.

– Dobrze. Dziękuję – Bardzo starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie, jakby rozmawiała z przyjaciółką o wizycie u fryzjera.

– Czy oni dzwonili? Proszę powiedzieć tak lub nie.

– Tak.

– Porozmawiamy o tym jutro. Spokojnie. Proszę przynieść numery ich telefonów. O czwartej, w tym samym miejscu.

– Dobrze, zgoda.

Sartadź się rozłączył. Położył nogi na niskim stoliku i rozpiął pas. Kiedy otrzyma zapłatę za tę pracę, może zabierze mamę do Amrytsaru. Zabierze ją do Harmandir Sahib i będzie patrzył, jak ona się modli. Intensywność jej wiary przynosiła mu ukojenie, przepływała przez niego jak jakieś znajome ciepło. Nie był pewien, czy to dlatego, że dorastał w towarzystwie szmeru jej modlitw, zawsze rozbrzmiewających gdzieś w pobliżu, czy też w nim samym drzemała jakaś zapomniana, podziemna nić wiary, która, rezonując, budziła się do życia, kiedy Ma nuciła i śpiewała. W każdym razie zabierze ją do Amrytsaru i nie będzie zwracał uwagi na te jej nierozsądne komentarze, że to jej ostatnia podróż. Jeśli Ma chciała, żeby pomógł tej okropnej Kamali Pandej, niech i ona ma jakąś korzyść z tej pracy. Tak będzie sprawiedliwie, tak trzeba.

Następnego dnia Kamala Pandej stawiała się w Sindurze ubrana na czarno. Kiedy kilka minut po czwartej Sartadź wszedł do restauracji, zastał ją przy stoliku w pobliżu kuchni. Przed nią stała woda mineralna, a obok leżał niewiarygodnie mały telefon komórkowy. Włosy miała uczesane w wysoki

koński ogon, i chociaż Sartadź zdawał sobie sprawę, że czarna bluzka miała być strojem zdecydowanie swobodnym, kobieta wyglądała tak elegancko, że mogłaby występować w telewizji w jakimś programie muzycznym.

– Dzień dobry – powiedziała. – Dziękuję. – Miała zwyczaj opuszczać głowę, kiedy się uśmiechała, i teraz spoglądała w górę swoimi wielkimi oczami.

– Przyniosła pani pieniądze? – zapytał Sartadź. Nie chciał rozmawiać z nią zbyt długo, chciał ograniczyć się tylko do tego, co konieczne, wyłącznie do spraw zawodowych. Pogrzebała w swojej torebce, tym razem nie była to ta srebrna, którą miała poprzednio, lecz trójkątna i czarna, z jakiegoś opalizującego materiału. – I numery?

– Tym razem jest więcej pieniędzy – powiedziała.

W kopercie było trzydzieści tysięcy. Sartadź skinął głową.

– Dzwonili wczoraj po południu?

– Tak. O pierwszej dwadzieścia pięć. Powiedziałam im to, co pan mi kazał, że potrzebuję trochę czasu na zebranie pieniędzy. Ci ludzie nie są mili.

– Ublizali pani?

– Mówili bardzo, bardzo nieprzyjemne rzeczy.

Jej pismo było pełne zakrętasów, ozdobników i zawijasów, ale w uporządkowanych i opatrzonych nagłówkami kolumnach skrupulatnie odnotowała daty i godziny.

– Kiedy pani przekazała im pierwsze pieniądze? – zapytał Sartadź i zapisał informację na kartce. – A kiedy dzwonili, czy słyszała pani coś interesującego? Cokolwiek?

– Nie. Staralam się. Raz na jakiś czas przejechał tylko jakiś samochód czy skuter. Nic więcej.

– Proszę dalej próbować. Oni będą bardzo grubiańscy, będą chcieli panią zastraszyć. Proszę grać na zwłokę. Będę potrzebował trochę czasu, żeby się czegoś dowiedzieć. Zadzwońię do pani. – Sartadź zabrał kopertę i odsunął krzesło do tyłu.

– Proszę poczekać! – Uniosła władczo rękę, ale opuściła ją, widząc gniewne spojrzenie Sartadźa. – Proszę. Mówił pan, że chciałby się pan spotkać z Umeśem. On tu zaraz będzie.

– Tutaj?

– Tak. Miał tu być o czwartej. Przepraszam. – Nagle zrobiła się pokorna, jakby przygaszona.

– Dobrze – odparł Sartadź. Spojrzał na zegarek i oboje usiedli. Inspektor nie miał jej nic do powiedzenia. Bawiła się swoim telefonem, naciskała przyciski, odczytywała wiadomość tekstową. Po chwili odłożyła aparat i zajrzała do torebki. Zerknęła na Sartadźa, który starał się zachować obojętność, a potem powróciła do swoich poszukiwań. Widać było, że zaczyna się denerwować. Ta kobieta nie przywykła do tego, żeby otaczający ją mężczyźni zachowywali milczenie. Sartadź poczuł, że go to bawi. Było to okrutne, jednak trwał w tej zupełnej ciszy, a minuty upływały jedna po drugiej.

Kiedy Kamala Pandej zaczęła wyglądać na przybitą i zupełnie opuszczoną, zrobiło mu się jej żal. Nie miał już serca patrzeć, jak ona marnieje.

– Czy Umeś zawsze się spóźnia?

Te słowa ożywiły ją, jak cząstka kwaśnej cytryny.

– Kiedy ma lecieć, jest punktualny, ale w każdej innej sytuacji się spóźnia. Więcej czasu poświęca na przygotowanie się do wyjścia niż ja. Jego łazienka wygląda jak apteka. Ma więcej szamponów, odżywek i perfum niż ja i pańska żona i jeszcze pięć innych kobiet razem wziętych.



Sartadź puścił mimo uszu tę drobną aluzję do jego żony.

– I zawsze dzwoni, mówiąc, że jest w drodze, w samochodzie, że się spieszy, że będzie za piętnaście minut?

– Tak, tak. A potem pojawia się po dwóch godzinach z jakąś wymyśloną historyjką. Do szalu mnie tym doprowadzał.

Nie mogła pohamować tego ogarniającego ją smutku. Sartadź współczuł jej: dramat i szaleństwo były bolesne, ale czasami człowiek potrzebował tego szaleństwa, tak jak potrzebował jedzenia czy wody. Trwało to do czasu, kiedy w końcu uspokajał się w martwocie apatii, gdy nie było już ani nadziei, ani rozczarowań. Ale Kamala Pandej wciąż znajdowała przyjemność w opowiadaniu o grzechach swojego byłego partnera, ożywiało ją to.

– Może po drodze ma jakieś inne przystanki? – odezwał się Sartadź.

Roześmiała się głośno.

– Umeś zawsze wodzi za nos dwie lub trzy naiwniaczki. Nawet tego specjalnie nie ukrywa. On po prostu daje do zrozumienia, że jeszcze nie znalazł odpowiedniej, że kiedy to całe poszukiwanie się zakończy, może ty będziesz właśnie tą jedyną. Jest na tyle szczery, że kobiety mu wierzą.

– W końcu przejrzała pani na oczy.

– Po długim czasie.

I pomimo tej całej swojej wiedzy wciąż za nim tęskniła. Sartadź zauważył to natychmiast po wejściu Umeśa. Mężczyzna uścisnął mocno dłoń policjanta i na powitanie dotknął ramienia Kamali Pandej, gołej skóry. Ona jakby skamieniała, zeszywniała zupełnie. Sartadź nagle przypomniał sobie, jak musiał walczyć z drżeniem, które rozeszło się po jego ręce, kiedy już po zerwaniu Megha nachyliła się w jego stronę i lekko dotknęła jego nadgarstka. Musiał wtedy napiąć całe plecy i barki, żeby nie pochylić się w

jej stronę, a teraz z trudem hamował ogarniającą go ciepłą falę współczucia dla tej zbłąkanej żony.

– Dzień dobry – odezwał się Umeś. – W zasadzie powinienem wytłumaczyć się, że utknąłem w korku, ale prawdę mówiąc, od rana coraz bardziej się spóźniam. Przepraszam.

Z pewnością był piękny. Miał na sobie ciemnoczerwone dżinsy i białą koszulkę, która opinała jego umięśnione ramiona. Dżinsy same w sobie były groteskowe, ale na Umeśu wyglądały wprost doskonale. Prezentował się wspaniale, od długich rąk aż po jasnobrażowe oczy, które bardzo przypominały oczy Kamali. Prawdopodobnie, patrząc w nie, widziała samą siebie.

– Proszę usiąść – zaproponował Sartadź.

Mężczyzna roztaczał jakiś naturalny, pełen szczęścia urok osobisty, któremu Sartadź nie miał zamiaru się poddawać.

– Tylko skoczę do toalety i zaraz wracam – powiedział Umeś. – To była długa podróż. – Położył na stoliku telefon i pęk kluczy i odszedł w pośpiechu. Telefon miał taki sam jak Kamala, satynowany i malutki. Klucze były przypięte do samochodziku, jakiegoś niskiego i szybkiego cudeńka.

– To porsche – odezwała się Kamala. – Umeś uwielbia samochody.

– Tak – odrzekł Sartadź. – I jeździ za szybko, prawda?

Skinęła głową.

Pewnie właśnie w ten sposób przyjeżdżali do tego pensjonatu, pomyślał Sartadź, jadąc z nadmierną szybkością i lawirując między autami, podnieceni szybkością i zrywami silnika.

– Jakim samochodem jeździ?

– Cielo.

– Czerwonym?

– Nie, nie. To tylko jego spodnie. Mówiłam mu, że w czerwonym nie jest mu do twarzy, ale on lubi zwracać na siebie uwagę. Samochód jest czarny.

Umeś wrócił do restauracji i zajął krzesło naprzeciw Sartadźa. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i tak wąską talię, jakiej Sartadź już od dawna nie widział u mężczyzny. Zwężał się od ramion do bioder jak odwrócony trójkąt, a ta niewielka odległość od rozbudowanych na siłowni ramion do braku brzucha nadawała mu wygląd postaci z kreskówki. Ale Kamali podobał się ten superbohater. Widać było, że znowu jest spięta.

– Tak, sahibie inspektorze – powiedział Umeś. – Teraz jestem do pańskich usług.

– Znam z grubsza całą historię – odrzekł Sartadź. – Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś o tym pensjonacie. Jak on się nazywa?

– Pensjonat Cichy Zakątek, po angielsku Cozy Nook. Znajduje się na wzgórzu Frichley, w pobliżu wielkiego kurortu Fariyas. Cichy Zakątek to małe miejsce, niezbyt zatłoczone, z ładnymi widokami. W zasadzie jest to domek, wynajmowany przez właścicieli. Ce-o-zet-y.

Zaglądał Sartadźowi do notesu, w którym Sartadź zapisywał „Pensjonat Cosy Nook”. Uśmiechał się serdecznie, a że dowcip dotyczył nieprzewidywalnej pisowni języka angielskiego, trudno było gniewać się na niego. Ogólnie rzecz biorąc, był nieco zbyt piękny, ale wyglądał na porządnego chłopca. Sartadź wyobrażał sobie, jak czaruje kobiety, opowiada im o swoich wszystkich wadach, a potem z uwagą patrzy tymi swoimi pełnymi blasku oczami, i tylko się uśmiecha. Niewątpliwie charakteryzował się nieodpartym urokiem.

– Tak – odrzekł Sartadź. – Jak pan tam trafił?

– Znajomy miał w pobliżu domek, często przejeżdżaliśmy obok. To stary pensjonat.

– Czy zauważył pan może nowych kelnerów? Jakież zmiany w personelu?

– Nie, szczerze mówiąc, nie. Rozumie pan, nie zwracałem na to specjalnej uwagi. Ale jeśli się nie mylę, pracują tam ci sami ludzie.

– Czy ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł zrobić te nagrania?

– Nie, panie inspektorze. Z jednej strony jest ten cały personel, ale z drugiej są jeszcze inni goście. Nikogo szczególnego jednak nie pamiętam.

– Czy kiedyś rozpoznał pan któregoś z gości pensjonatu?

– Nie, nie. Nigdy. Pamiętałbym, gdyby coś takiego się wydarzyło.

– Czy mógłby pan określić daty, kiedy te filmy zostały nagrane?

– Nie, to trudno powiedzieć. A ja nie zapisywałem dat, kiedy tam jechaliśmy.

– Ile razy byliście w tym Cichym Zakątku?

– Przez te wszystkie miesiące? Nie wiem, może sześć, siedem razy?

– Raczej jedenaście albo dwanaście – wtrąciła Kamala. – Ostatnim razem byliśmy tam na początku maja.

– Sądziłem, że rozstaliście się sześć miesięcy temu – powiedział Sartadź.

– To prawda.

Jeździli zatem po zerwaniu aż do Cichego Zakątku, żeby tam się kochać. Prawdopodobnie przez całą drogę kłócili się, a wracali w zupełnym milczeniu. Sądząc po zawziętym układzie ust Kamali, teraz czekała ich kolejna kłótnia. Może znowu pójdą do łóżka, choć ze względu na Kamalę Sartadź miał nadzieję, że to nie nastąpi. Tego typu układy nie mogły przynieść zbyt wielkiej pociechy, zwłaszcza kiedy dotyczyły takiego człowieka jak Umeś. Miły gość, ale niezbyt godny zaufania. Wyraźnie różnił się od tego zdecydowanie mało urodziwego, ale niezawodnego pana Pandeja.

Sartadź zwrócił się teraz do pani Pandej:

– Kto może pani nienawidzić?

– Co takiego? – Kamala zgarbiła się, kuląc się w sobie i jednocześnie lekko przechylając się w stronę Umeśa.

– Kim są pani wrogowie? – powiedział spokojnie Sartadź.

– Kamala jest bardzo miłą osobą – odezwał się Umeś. Objął Kamalę, jego palce spoczywały na jej ramieniu. – Nie wydaje mi się, żeby miała jakiś wrogów.

– To prawda – przytaknęła Kamala. – To znaczy, zdarza mi się kłócić z różnymi ludźmi, ale żeby mówić o wrogach?

– Wszyscy mamy wrogów – powiedział Sartadź. – I lepiej ich znać.

Na chwilę zaniemówili, starając się ocenić, kto z bliższych lub dalszych znajomych mógłby żywić wystarczająco ukrytą nienawiść, żeby uznać go za autentycznego wroga.

– Uważa więc pan, że to kwestia osobista? – zapytał Umeś.

– W szantażu zazwyczaj chodzi o pieniądze. Ale czasami warto zastanowić się nad przyjaciółmi i przeciwnikami. W grę wchodzi każdy, kto może uzyskać informacje i z jakiegoś powodu może mieć powody do zawiści albo pilnie potrzebuje pieniędzy.

Umeś był zszokowany.

– Nawet ktoś związany z moją osobą? W takim razie zwróciliby się chyba również do mnie?

– Pan nie jest żonaty. I jest pan mężczyzną.

– I mam na utrzymaniu rodziców i siostry. Nie dysponuję zbyt dużą gotówką. A Kamala stanowiła dla nich łatwy cel.

– Któż więc to może być?

Obaj mężczyźni spojrzeli na Kamalę. Do policzków napłynęła krew, poczerwieniały, i Sartadź zastanowił się, czy kobieta się rozpłacze. Tym

razem mógłby jej nawet uwierzyć. Ale ona pozbierała się i wymieniła imię wroga.

– Mam przyjaciółkę o imieniu Rachel.

– Kłóciłyście się?

– Tak.

– O co?

Kamala roześmiała się na jego tępotę. Ten jej śmiech brzmiał bardzo nieprzyjemnie.

– A jak pan myśli?

Oczywiście. Kłóciły się o Umeśa. Najpierw była siostrzana miłość, która mogła trwać całe lata, i nagle między nimi stanął ten piękny Umeś.

– Rachel była pani najlepszą przyjaciółką?

– Tak.

– I co się potem stało?

– Razem poznałyśmy Umeśa. Na przyjęciu.

– I on spodobał się Rachel?

– Are, szefie – wtrącił się Umeś, wyciągając rękę przez stół. – Nigdy nie miałem nic wspólnego z tą kobietą. Kilka razy spotkałem ją z Kamalą, i Bóg jeden raczy wiedzieć, co ta Rachel sobie wyobrażała.

Zważywszy na okoliczności, zupełnie nie miało znaczenia, co Umeś myśli.

– Co czuła Rachel?

– Spodobał się jej.

– Od samego początku?

– Tak. Rozmawiałyśmy o nim po tym pierwszym spotkaniu na przyjęciu. Ciągle powtarzała, jaki to z niego idealny mężczyzna. Taki męski, a zarazem wrażliwy. – Mówiąc te ostatnie słowa, przewróciła oczami.

– A potem?

– Stało się to, co miało się stać.

– Kiedy powiedziała pani o tym Rachel?

Dokładnie pamiętała, kiedy to było.

– Dwa miesiące później, w niedzielę. Wróciłam z lotu i poszłam prosto do jej domu. Nie mogłam już wytrzymać.

– I co?

– Kazała mi się wynosić. Nigdy więcej nie odezwała się do mnie.

– Aż tak była zła?

– Dwa lata wcześniej rozwiodła się. I od tego czasu nikt nie przypadł jej do gustu.

– Aż pojawił się Umeś?

– Aż pojawił się Umeś.

Umeś nie okazywał zadowolenia z tego, że jego zgubny urok doprowadził do nienawiści między dwiema przyjaciółkami, a to dobrze o nim świadczyło. Wyglądał na zaniepokojonego i patrzył z niedowierzaniem.

– Trudno jednak uwierzyć – odezwał się – że taka kobieta jak Rachel mogłaby tak nisko upaść. Mam tu na myśli, żeby szantażować w ten sposób...

– Tylko ona o nas wie – powiedziała smutno Kamala.

Widać było, że Kamala więcej wie o zawiści i o gnijących resztkach przyjaźni ukrytych w głębi almiry, o starych fotografiach i o bluzkach wręczanych jako prezenty i pamiątki przywiezione z zimowych wakacji w pięknym Singapurze. To wszystko kipiało w czarnej goryczy, która kotłowała się przez cały dzień, rankiem i w nocy, aż w końcu ulgę można było znaleźć tylko w szantażu. Nie dlatego, że mógł przynieść pieniądze, ale dlatego, że mógł doprowadzić do upokorzenia i bólu. Pieniądze były przydatne, lecz ukojenie i spokój miały nadejść z innej strony. Tak, Kamala dobrze to rozumiała. Widać w tym było i motyw, i możliwość. Zbyt mało,

żeby wnieść oskarżenie, ale z pewnością dostatecznie dużo, żeby się temu przyjrzeć.

– Proszę dać mi informacje o Rachel.

Kamala pisała szybko, z pamięci, swoim pięknym, zamaszystym pismem.

– W porządku – powiedział Sartadź. – Zbadam to. Czy mogę prosić o numer telefonu komórkowego, panie Umeśu?

– To już wszystko?

– Na razie wystarczy.

– Myślałem, że będzie pan chciał dowiedzieć się wielu rzeczy.

– Jeśli będę miał jakieś pytania, zadzwonię do pana. Mogę prosić o numer? – Sartadź zapisał numer telefonu Umeśa i zatrzasnął swój notes. – Proszę pamiętać, co mówiłem – zwrócił się do Kamali. – Proszę słuchać, tylko słuchać. I proszę się ich nie bać. Mogą być nieustępliwi, ale pani jest im potrzebna. Będziemy w kontakcie.

– Pan teraz zajmie się tymi telefonami? – zapytał Umeś. – Po numerach sprawdzi pan, skąd dzwoniło? – Widać było, że podnieca go proces prowadzenia dochodzenia, ekscytuje go śledzenie tej historii, chociaż sam był w nią bezpośrednio zamieszany.

– Coś w tym stylu – odrzekł Sartadź. – Lubi pan filmy detektywistyczne?

– Tylko z Hollywood. Nasze indyjskie są zbyt kiepsko robione.

Trudno było temu zaprzeczyć.

– Zgadza się – stwierdził Sartadź. – Ale czasami nawet indyjskie pokazują prawdę.

Umeś nie spierał się, choć najwyraźniej w to nie wierzył.

– A dlaczego pan po prostu nie powie Kamali, żeby obiecała im zapłacić, a potem nie zaaresztuje ich pan, kiedy przyjdą odebrać pieniądze?



– Ponieważ oni tego się spodziewają i są na to przygotowani. To dlatego za pierwszym razem po pieniądze posłali ćhokrę. Ci ludzie są bardzo ostrożni. To byłoby zbyt wielkie ryzyko. Nie ma sensu ich ostrzegać.

– Są aż tak dobrzy?

– Są dobrzy, ale nie aż tak dobrzy – odparł Sartadź. – Dorwiemy ich. Musimy nad nimi popracować.

Umeś wyglądał na nieprzekonanego. Sartadź uniósł rękę na pożegnanie i zostawił ich. Siedzieli razem, niezbyt zadowoleni ze swojego towarzystwa, ale dobrze do siebie pasowali. Na zewnątrz założył ciemne okulary, osłaniając się przed nisko wiszącym słońcem późnego popołudnia. Nagle uświadomił sobie, że te okulary dawno już wyszły z mody, przynajmniej dwa lata temu, a może nawet więcej. Chyba już nadszedł czas, żeby kupić sobie nowe. Sartadź przywiązał się jednak do tych starych, wysłużonych, czarnych okularów. Razem wiele przeszli i trudno było mu rozstać się z czymś starym, znanym i wygodnym. Trudno nadążać za modą, a do tego kosztownie. Był już za stary i za biedny, żeby się tym zajmować. Sartadź uśmiechnął się pod nosem. Ależ z ciebie zrobił się nudny, podstarzały buddha. Ruszył.

Kamala Pandej potrafiła zwracać uwagę na szczegóły, ale szantażyści byli bardzo ostrożni. Dzwonili z telefonów rozrzuconym po całych północnych przedmieściach, i na wschodzie i na zachodzie a z każdego numeru telefonowano tylko raz. Sartadź zauważył jedną prawidłowość: dzwoniło albo rano, między ósmą a dziesiątą, albo po szóstej po południu. To zaś oznaczało, że szantażyści gdzieś pracują. Zajmowali się tą sprawą poza godzinami pracy, w której zarabiali na życie.

– To wszystko rozmównice publiczne – stwierdził Kamble. – Jestem tego pewien.

– Wiem – odrzekł Sartadź. Wciągnął Kamblego w to dochodzenie tego samego wieczoru, kiedy zorientował się, ile dokładnie pracy trzeba będzie wykonać. Kamble bardzo chętnie się zgodził, stawiając warunek: pięćdziesiąt procent zarobku. Ale praca z Kamblem oznaczała również popijanie z nim w Delite Dance Bar i zapewnianie mu alibi przed jego dziewczynami. Sartadź na prośbę kolegi już dwa razy zdążył skłamać dwóm tancerkom, kiedy go pytały, gdzie Kamble spędza wcześniejsze godziny tego wieczoru.

– Z każdego miejsca dzwoniło tylko raz – mówił teraz do pomocnika – więc są niewielkie szanse, żeby właściciele rozmównic pamiętali, kto dzwonił. Sprawdzimy jednak te rozmównice, zaczynając od miejsc, z których dzwoniło ostatnio. Co wolisz, zachód czy wschód?

– Zachód, szefie – Kamble patrzył wygłodniałym wzrokiem na trzy tancerki, ospale kręcące się na parkiecie do melodii *Gafą me adża*. Sartadź musiał przyznać, że ich wyszywane niebieskimi, różowymi i zielonymi cekinami ghagry przedstawiają cudowny widok. Dziewczyny były młode. Ale że wieczór dopiero się zaczynał i klub był prawie pusty, nie wkładały zbyt wiele energii w swoje uwodzicielskie ruchy. Wyglądało na to, że Kamble miał zamiar je ożywić wszystkimi niezbędnymi środkami. Nie było wątpliwości, że mu się to uda.

– W porządku – powiedział Sartadź. – Ja zajmę się częścią wschodnią. To do jutra.

– Are – odparł Kamble – zostań.

– Jutro trzeba wcześniej zacząć. Mamy dodatkową robotę.

– Codziennie jest jakaś dodatkowa robota. Wypij ze mną choć jednego drinka.

– Ja mam dość – Sartadź wstał.

– Musisz mieć w życiu trochę seksu.

– Z kim?

– Z jedną z nich.

– To odpada.

– Co, sądzisz, że się im nie spodobaś? Szefie, nie martw się. One cię pożrą.

– Właśnie.

– Za łatwe? W takim razie spróbuj zdobyć taką, która cię nie chce. Ale musisz pan wrócić do gry, panie Singh.

– Naprawdę? Niby dlaczego?

– A co ci pozostało?

Miał rację. Co mu pozostało? Emerytura albo wycofanie się z życia? Ma oddała się swojej religii, ale dopiero po tym, jak spędziła całe życie z Papatdźi. Czy można wyjść z gry w młodym wieku, jak jakiś sanjasi, który porzuca wszystko i wyrusza w góry? Nie, Sartadź zdawał sobie sprawę, że nie mógłby tego zrobić. Ale teraz chciał opuścić Delite. Był bardzo zmęczony i po prostu chciał wrócić do domu. Podniósł szklaneczkę i opróżnił ją.

– Dzięki – powiedział. – Jutro.

Kamble nie był zadowolony, ale poddał się z godnością. Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Jutro – potwierdził. – Zobaczymy jutro.

Tej samej nocy, jeszcze zanim położył się spać, Sartadź zadzwonił do Iffatbibi. Telefonowała do niego wkrótce po śmierci Katekara, żeby przekazać mu swoje kondolencje. Wiedziała, że od dawna ze sobą pracowali, ale skądś dowiedziała się również o małych dzieciach Katekara i zaproponowała bardzo przyzwoitą sumkę pieniędzy, żeby pomóc tej rodzinie. Sartadź ponownie odrzucił jej ofertę, ale później często

rozmawiali przez telefon. Była bardzo miła, wesoła i stanowiła skarbnicę opowieści o dawnych apradhich i policjantach. Przekazywała mu drobne informacje, plotki, nazwy miejsc i nazwiska, nie prosząc o nic w zamian, jedynie żeby Sartadź ułatwiał, jeśli tylko będzie to w jego mocy, widzenia z rodzinami ludziom z jej firmy, którzy przechodzili przez jego areszt. Dostarczane przez nią informacje zawsze były precyzyjne i użyteczne, ale nigdy nie dotyczyły wielkich spraw ani notorycznych apradhich. Wszystko odbywało się na spokojnym, niezbyt wysokim poziomie, i Sartadź uważał, że ten ich układ jest uczciwy, nie pozostawiając zobowiązań po żadnej ze stron. A poza tym jakoś kojąco działały na niego jej opowieści o Papię-dzi. Wyglądało na to, że Papa-dzi rozmawiał z nią o wszystkich prowadzonych przez siebie sprawach, i Sartadźowi powoli rysował się nowy portret staruszka, obraz, którego nigdzie indziej by nie znalazł. Okazało się, że Papa-dzi nie był takim prostym fircykiem, jak mogłoby się wydawać, choć żywił tę swoją namiętność do dwurzędowych kurtek i butów robionych na miarę. Był próżny, ale w sprawach związanych z pracą nigdy nie myślał o sobie. Znał swój rewir i instynktownie wyczuwał, jaki następny krok mogą wykonać zarówno apradhi, jak i ofiary. Przeprowadzane przez niego aresztowania nie były spektakularne, ale zdarzały się często, były to pewne i rzeczywiste zatrzymania, a nie jakieś bzdury, wyczarowane, żeby zapełnić roczny raport. Pomimo ekscentrycznego ubioru cieszył się sporym szacunkiem. Ale właśnie dzięki tej swojej próżności zazwyczaj był uczciwy, przynajmniej w tej dużej skali, która miała wpływ na jego karierę. Nie potrafił znieść myśli, że jego, sardara Tejpala Singha, można by kupić jak bochen chleba z półki, jak paczkę papierosów. To ta jego duma nie pozwalała mu zachowywać się służalczo wobec przełożonych, mógł prosić o przysługę, ale na tym się kończyło. Nie potrafił i nie chciał przekonywać, nakłaniać, błagać ani przekupywać.

– Taki uparciuch – powiedziała teraz Iffat–bibi – ale chodził z podniesionym czołem, tak jak chciał. Chociaż trudno powiedzieć, żeby przynosiło mu to coś dobrego.

– Daj spokój, Bibi – rzekł Sartadź. – Nie wszyscy muszą pragnąć uzyskiwać tak wysokie obroty jak twój bhai. Ile tego jest?

– Wczoraj jakaś gazeta o tym pisała, osiem tysięcy krorów.

– Tak mówią gazety. A ty jak uważasz?

Prychnęła.

– Baćca, ja jestem tylko starą kobietą. Nie prowadzę rachunków. Ale jest tego dość.

– Dość na co? Co można robić z ośmioma tysiącami krorów?

– Wszyscy chcą mieć trochę więcej. Nie tylko na rzeczy potrzebne, ale na rzeczy, których pragniemy. Nawet ten twój sahib Sardad.

– Co masz na myśli?

– Are, nic takiego, po prostu tak mówię.

Sartadź poczuł, jak po jego ramionach przechodzi dreszcz niepokoju. Usiadł.

– Nie, wcale tak nie mówisz. Powiedz, co miałas na myśli.

– Nic takiego.

– Nie, powiedz mi. Iffat–bibi nie próbuj mnie zwodzić. O co chodzi?

– Beta, robisz z igły widły. Obiecałam mu, że nikomu o tym nie powiem.

– O co chodzi? O kobietę? O kobiety?

– Are, ty sprośny łajdaku, nie!

– W takim razie, o co? No, powiedz.

– Robisz dużo hałasu o nic.

– Co takiego?

– Lubił uprawiać hazard.

– Hazard?

– Tak, tak. Uwielbiał konie. Lubił grać na wyścigach.

– Chodził na wyścigi?

– Nie, nigdy, przecież ktoś mógłby go zobaczyć i donieść twojej matce. Jeden z moich ludzi obstawiał za niego.

Tak, Madzi, z tą jej typową dla uchodźców oszczędnością, nie tolerowała hazardu w swoim domu. Nie zgadzała się na kupowanie losów na loterię, ponieważ, jak sama mówiła, było to absolutne marnotrawstwo pieniędzy, a jeśli komuś wydaje się, że wykładając jedną rupię, może zdobyć krore, jest kompletnym dźhalią. A tu nagle Papa-dzi, typowy, trwoniący pieniądze głupi hazardzista. Ale z drugiej strony, on naprawdę kochał konie. Bardzo żałował, że nigdy nie nauczył się jeździć konno. Potrafił przy śniadaniu starannie rozprostowywać płachtę gazety, pokazywać na umieszczonej na stronie sportowej fotografię konia i mówić: „Spójrzcie, jaki piękny”, na co Sartadź i Ma nigdy nic nie odpowiadali, nawet nie zwracali na to uwagi, bo on ciągle to powtarzał. Ale okazuje się, że poza domem prowadził potajemnie drugie życie albo przynajmniej potajemnie oddawał się jakiejś pasji. Sartadź odkaszlnął, żeby pozbyć się zalegającej w gardle grudy, i zapytał:

– Dużo przegrywał?

– Przegrywał? Nie, zacznijmy od tego, że nigdy nie grał o duże stawki. Ustalił granicę pięćdziesięciu rupii, a dopiero później podniósł ją do stu rupii. Ale wiedział, jak korzystać z informacji zawartych w opisie koni biorących udział w gonitwie. Więcej wygrywał, niż przegrywał. Prawdę mówiąc, dużo więcej.

Papa-dzi wygrywał. Miał ten swój inny świat, rządzący się własnymi prawami i układami, z własnymi historiami, tragediami i triumfami, i tam był zwycięzcą. Wygrywał, chociaż szanse miał niewielkie, wychodził zwycięsko z tej gry. Sartadź poczuł, jak jego usta, nos i oczy zalewa

gorzko-słodką falą uczucia, nostalgii i żalu, i musiał nieco odsunąć słuchawkę, żeby Iffat-bibi nie dosłyszała odgłosów jego sentymentalizmu.

– Sartadżu?

– Słucham, Bibi. Tak sobie myślałem, że z tego staruszka był niezły oryginał.

– Kompletny namuna. Ale pamiętaj, nie mów o tym matce, dobrze?

– Nic nie powiem.

Później, tego samego wieczoru, Sartadż zastanawiał się, czy mama już o tym nie wiedziała. Ona i Papa-dzi mieli swoje kłopoty, zdarzały się te ciche dni, których Sartadż nie potrafił rozszyfrować. Słyszał podniesione głosy za zamkniętymi drzwiami, jedna z ich kłótni trwała trzy dni, a Sartadż nigdy nie dowiedział się, dlaczego się zaczęła i jak się skończyła. Było to coś zupełnie normalnego w relacjach między wszystkimi żonami i mężami, ta dwójka była zaś sobie oddana przez ponad czterdzieści lat. Być może Papa-dzi miał te swoje konie, i nic o nich nie mówił, a mama, choć o tym wiedziała, nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Może dzięki temu byli ze sobą szczęśliwi. Ale czy ona nie zdziwiła się tego dnia, kiedy Papa-dzi przyniósł Sartadżowi na urodziny największy i najdroższy zestaw klocków Meccano, jaki tylko można sobie wyobrazić? Papa-dzi posadził sobie Sartadża na ramionach, a Sartadż powtarzał za Papą-dzi: „hello-dzi, hello-dzi” i wszyscy się śmiali i cieszyli. Być może właśnie tego dnia wygrał jeden z koni Papy-dzi. Tego wieczoru on i Sartadż długo siedzieli razem, budując czerwono-zielony dom otoczony wielkim murem, a Ma kuciała przy nich, pokazując, gdzie powinien znaleźć się dziedziniec i gdzie jest odpowiednie miejsce na główną bramę. Papa-dzi chciał umieścić na dachu maszt, ale Ma powiedziała, że wtedy będzie to wyglądać jak budynek rządowy, a nie prawdziwy dom. Papa-dzi i Sartadż ciężko pracowali, nadając domowi ostateczny szlif, mocując prawdziwą, otwieraną furtkę i

stawiając małą chatkę dla ćaukidara, a Ma pozwoliła Sartadźowi dokończyć całą pracę, zanim położyła go do łóżka.

Następnego dnia na komisariacie czekała na Sartadźa wiadomość. Pochodziła od Mary: „Proszę przyjść wieczorem do mieszkania przy Jari Road”. To było wszystko. Sartadź odwrócił kartkę, zaskoczony, a potem złożył ją na pół i ostrożnie wsunął do kieszeni. Był zadowolony, że Kamble jej nie widział, bo przynajmniej przez pół dnia musiałby znosić dwuznaczne dowcipy na temat ghoći, milusiej Marysieńki i tajnych schadzek.

Popołudnie spędził na jeżdżeniu od jednej rozmównicy do drugiej, zgodnie z oczekiwaniem napotykając tylko obojętne spojrzenia i wyrazy konsternacji na twarzach. Właścicielka punktu w pobliżu Film City, sześćdziesięcioletnia kobieta z włosami ufarbowanymi na pomarańczowo, włożyła do ust pan i powiedziała mu wprost:

– Baba, wiem, że dzwoniło przedwczoraj. Ale chyba widzisz, ile osób przychodzi codziennie dzwonić. Ja im nie zaglądam w twarze. Przychodzą, dzwonią, potem dają mi pieniądze. Bas. Nie pamiętam nawet tych, którzy byli tu dzisiaj. – Nachyliła się nad elektronicznym licznikiem na biurku i przyjrzała się mu spod zmrużonych powiek. – Dzisiaj, do tej chwili, było już sto trzydzieści rozmów. A największy ruch jest wieczorem. – Włosy miała okropnie ufarbowane, ale mówiła prawdę.

– Ma tu pani niezły obrót – odezwał się Sartadź.

– Wszyscy chcą zadzwonić do domu – odparła.

W kolejce do jej dwóch telefonów stało kilku stolarzy, którzy udawali, że nie słyszą pytań policjanta. Byli Pendźabczykami, wszyscy zarośnięci i muskularni. Przyszli tu z odległego o trzy budynki warsztatu, gdzie robili półki. Zaciekawili ich sikhijski inspektor w Bombaju, ale zanadto bali się policjantów, żeby się do niego odzywać. Ich rodziny prawdopodobnie



mieszkały w Gurdaspur albo Amrytsarze, a oni nauczyli się zachowywać ostrożność.

Sartadź pojechał do następnej rozmównicy. W sumie odwiedził ich dziewiętnaście i w każdej spotykał tych samych mężczyzn i te same kobiety, dzwoniących po całym mieście i po całym kraju. Żaden z właścicieli czy kasjerów nie był w stanie przypomnieć sobie dwóch mężczyzn wśród tych tysięcy ludzi. O siódmej dał sobie spokój i odjechał w kierunku Jari Road. Na ulicach był duży ruch, i zanim Sartadź znalazł się po drugiej stronie przejazdu, zmierzch zaczął już tracić swoją fantastyczną gamę odcieni pomarańczowego koloru.

Żarówka w windzie przepaliła się i policjant musiał po omacku szukać przycisków. Ale u Mary światło się świeciło. Otworzyła drzwi do jasnego saloniku i uśmiechnęła się do Sartadźa. W ręce trzymała ścierkę do kurzu, a na włosach miała zawiązaną ćunni, co nadawało jej wygląd nieco przypominający Rani z Dźhansi.

– Witam, witam – powiedziała. – I sat–sri–akal. Proszę wejść.

– Dzień dobry – odparł Sartadź. Salonik zastawiony był tekturowymi pudłami, ale wyszorowano go do czysta. Mary poświęciła cały dzień na porządkowanie, ale wyglądała na odprężoną, pełną życia. – Widzę, że ma pani światło.

– Dżana ma znajomego w BSES. Zapłaciłam zaległe rachunki, a ten jej znajomy włączył prąd.

Dżana była wyjątkowo praktyczną kobietą i oczywiście musiała mieć znajomego, który mógł załatwić w BSES włączenie prądu w ciągu kilku dni, zamiast po miesiącu czy dwóch. Z drugiej strony przedpokoju, z sypialni, dochodziły głośne dźwięki muzyki filmi.

– Dżana zajmuje się butami?

Mary skinęła głową i z błyskiem w oku powiedziała:

– I ubraniami. Co dwie minuty wścieka się, bo Dźodźo była za mała, żeby Dżana mogła się w cokolwiek wcisnąć. Proszę wejść. – Przeszła obok Sartadźa i zawołała: – Dżana! Dżana!

Również Dżana miała ćunni zatkniętą za uszy i zamyślony wygląd kobiety pochłoniętej pracą. Przywitawszy Sartadźa szybkim skinieniem głowy i krótkim „dzień dobry”, poprowadziła ich do gabinetu.

– Najpierw zaczęłyśmy sprzątać tutaj – powiedziała. – Ponieważ przede wszystkim chciałyśmy wyrzucić te wszystkie papiery i segregatory.

– Kiedy je wyrzucałyśmy – wtrąciła Mary – Dżana coś zauważyła.

Były bardzo z siebie zadowolone, że mogą Sartadźowi powiedzieć o swoim odkryciu. Ale ich radość wynikała również z tego, że coś wiedziały, cieszyło je, że coś znalazły. Sartadź, okazując odpowiednią dozę podniecenia, zapytał:

– Co zauważyła?

Dżana zdjęła kopertę z samej góry szafy na dokumenty. Wyjęła fotografię i uniosła ją teatralnym gestem.

– To. – A potem drugą fotografię. – I to.

Sartadź wyciągnął rękę, żeby przytrzymać pokazywane przez nią zdjęcie. Dziewczyna. Dziewczyna w pozie modelki, patrząca przez ramię. Nie wyglądała na specjalnie atrakcyjną.

– Ta fotografia była w dolnej szufladzie biurka Dźodźo – powiedziała Mary. – Pod jakimiś rachunkami.

– Tak. – Sartadź próbował przypomnieć sobie, czy oglądał te zdjęcia, kiedy wraz z Katekarem sprawdzali gabinet. Nie było w nich nic szczególne go, nic, co można było zapamiętać. – I co?

Dżana była zaskoczona.

– Nie poznaje jej pan? – Uniosła drugą fotografię.

Sartadź wziął zdjęcie z jej ręki. Tym razem było to zdjęcie portretowe, na którym twarz dziewczyny przesłaniały opadające włosy, a ona patrzyła zza nich smętnym wzrokiem. Odwrócił fotografię. Starannym pismem odnotowane było jej imię nazwisko: Dżamila Mirza. Nic to jednak Sartadźowi nie mówiło.

– Kim ona jest?

Zarówno Dżana, jak i Mary patrzyły na niego z tą pełną wyrozumiałości, matczyną cierpliwością, którą okazywały kobiety, stając w obliczu męskiej głupoty. Dżana podniosła kolejną kartkę.

– Tu jest lista zawierająca szereg kwot pieniężnych. Podejrzewam, że są to jakieś płatności, a ta lista obejmuje całe miesiące, a nawet lata. Tutaj są kopie stron z paszportu, widzi pan, to ta sama dziewczyna. I kopie biletów lotniczych, do Singapuru. Wiele razy tam była, widzi pan, czasami raz w miesiącu. To nie była jakaś przelotna znajomość. To musiała być jego stała dziewczyna.

– Ale my wiemy, że Dżodzo wysyłała dziewczyny do Gaitondeggo. Pewnie jest tylko jedną z takich dziewczyn.

– Ale czy pan wie, kim jest ta dziewczyna? – zapytała Dżana.

– Dżamila Mirza?

– Tak się kiedyś nazywała. Potem nazywała się Zoja Mirza.

– Miss Indii? Ta aktorka?

– Tak. Ta sama.

Sartadź dostrzegł podobieństwo, ale miał pewne wątpliwości. Wskazał na talię Dżamili Mirzy.

– Ta jest za gruba.

– Liposukcja – wyjaśniła Dżana. – Być może nawet usunięto jej ostatnie żebra.

Mary przesunęła palcem po portrecie.

– Z pewnością miała operację nosa. I podniesiono jej linię włosów.

– Również nad jej podbródkiem pracowano – stwierdziła Dżana. – Zobaczcie, jest wyraźnie dłuższy. I zwężono jej nieco szczęki. W każdym razie, skoro znalazłyśmy tę dawną Zoję, pan się nią teraz zajmie. Powie nam pan, co się z nią stanie, zgoda? Cokolwiek pan odkryje, powie nam pan o tym. Obiecuje pan? – Dżana bez wątpienia była wierną i zagorzałą czytelniczką magazynu „Stardust” i wprost nie mogła się doczekać pikantnych plotek o gwiazdach.

– Ale jesteście panie pewne, że to ona?

– Tak – odparły zgodnie.

Mówiły z pewnością siebie osób znających się na rzeczy i nie miały wątpliwości, że się nie mylą. To była ich praca. Sartadź musiał im uwierzyć.

– Zdumiewające – rzucił. – Nigdy bym tego nie zauważył.

Mary roześmiała się i dotknęła jego ręki, tuż przy nadgarstku.

– To normalne – powiedziała. – Mężczyźni nigdy nic nie widzą.

## Ganeś Gaitonde zostaje ponownie zwerbowany



Aresztowano mnie w czwartek po południu. Przyszli po mnie do Gopalmathu, do mojego domu. W moim darbarze nikogo nie dziwił widok policjantów, którzy dobrze znali mój adres, dokładnie wiedzieli, gdzie mieszkam. Nigdy się nie ukrywałem. Czasami przychodzili, szukając jednego z naszych ludzi, czasami, żeby zadać mi jakieś pytania, a zdarzało się nawet, że przychodzili cichaczem poprosić mnie o przysługę. Zawsze ich witałem, podawałem im ćaj i ciasteczka, udzielałem odpowiedzi, a potem ich odprawiałem. Tym razem przyszedł ten mućchar Madźid Khan w towarzystwie trzech nieznanymi mi podinspektorów i dziesięciu policjantów, wszyscy po cywilnemu.

– Siadajcie, siadajcie – poprosiłem. – Are, podajcie im jakieś zimne napoje – zawołałem.

Ale Madźid Khan nie chciał siadać. Jego ludzie rozproszyli się po pokoju, a on powiedział:

– Sahib Parulkar wydał dzisiaj nakaz. Muszę cię zaaresztować.

– Ten twój sahib Parulkar, ten maderpat, chyba oszalał – odparłem. – On nie ma przeciwko mnie żadnych dowodów. Żadnych świadków.

– Teraz ma – powiedział. – W zeszłym tygodniu przymknęliśmy tego kutiyę Nileśa Dhale z Malad. Miał przy sobie pistolet, a drugi w walizce. Sahib Parulkar może cię teraz oskarżyć o ukrywanie przestępców i współdziałanie w czynach przestępczych, a także o nielegalne posiadanie broni. A ponieważ pistolet był w walizce, to jeszcze o przewożenie i sprzedaż broni. Dorzuci do tego działalność na szkodę kraju. Czy trzeba

czegoś więcej? Wystarczy dwa razy dać temu Dhale po pysku, a zaraz śpiewa jak ptaszek. Do jutra Parulkar będzie miał dowody na twój współudział w spisku mającym na celu zamordowanie Mahatmy Gandhiego.

– Przecież ja nie przekazywałem temu sukinsynowi Dhalemu żadnych pistoletów. Za te bzdury chcesz mnie aresztować? Na tej podstawie Parulkar niczego nie może mi udowodnić.

– Dobrze wiesz, że niczego nie trzeba udowadniać. Jemu wystarczy, że wsadzi cię na pewien czas, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Doskonale o tym wiedziałem: obowiązywała TADA, a zgodnie z tą ustawą pewien czas mógł oznaczać dziesięciolecie. Mogli trzymać mnie w zamknięciu przez cały czas mojego procesu, nie było mowy o żadnej kaucji, nic z tych rzeczy, nawet gdyby miało to trwać sześć lat albo dziesięć. Na koniec można zostać zupełnie oczyszczonym z zarzutów, ale i tak człowiek spędza te lata za kratkami. To dlatego Sulejman Isa i jego ważniejsi pomocnicy wyjechali za granicę, z obawy przed TADA i spreparowanymi aresztowaniami. Ten cały Madżid Khan traktował mnie z pewnym szacunkiem, ponieważ był tylko małym inspektorem i wiedział o moich kontaktach z Rakszakiem, a oni mogli dojść do władzy już w następnym roku, podczas następnych wyborów. Ale obecnie w stanie rządził Kongres, z którym blisko był ten jego sahib Parulkar, więc musiałem iść do paki.

– Zachowaj spokój i chodź – z szacunkiem odezwał się do mnie Madżid Khan. – Na zewnątrz mam jeszcze dziesięciu ludzi po cywilnemu, a wszyscy są uzbrojeni. I do tego dwie furgonetki za rogiem, mogą tu być za dwie minuty. Jeśli tylko pojawią się problemy, będziemy tu mieli wojnę, jakiej nikt z nas nie chce.

Powiedział tak, ponieważ w drzwiach stał Banti i dwóch moich ludzi, mierząc się wzrokiem z policjantami. Po wyrazie mojej twarzy mogli się domyślić, że coś jest nie w porządku. Z zewnątrz dochodziły mnie zaniepokojone okrzyki i tupot biegnących stóp. Banti i chłopcy mogli stawiać opór, ale ja bym zginął. Wiedziałem o tym, patrząc na Madźida Khana. Ze względu na swoją przyszłość zachowywał ostrożność, ale gdyby przyszło co do czego, zachowałby się jak przystało na podwładnego swojego szefa i wyciągnąłby broń. Moja śmierć uszczęśliwiłaby wiele osób: Sulejmana Isę, Parulkara i jego przyjaciół w policji, pełną sojuszników Isy administrację Kongresu, z tuzin przemysłowców, którzy co miesiąc nam się opłacali. Nie, opór byłby głupotą, a w tym życiu, obojętnie kogo bym poślubił, moim sasurałem był areszt. Mogłem to przetrwać, i to z łatwością, przecież byłem Ganeśem Gaitondem. Uspokoilem więc Bantiego i poleciłem mu przejąć kierownictwo, i na wszystko uważać. Pożegnawszy się krótko z żoną i synem, poszedłem z policjantami.

Policja miała nakaz zatrzymania mnie na czternaście dni, który potem sześciokrotnie przedłużano. Przez osiemdziesiąt cztery dni trzymano mnie w areszcie policyjnym w Sawarze, niedaleko Kailaśpady. Było tam jedno pomieszczenie, trzy na trzy metry, brudny materac, matka z niefiltrowaną wodą z kranu, wiadro, śmierdząca dziura w ziemi, służąca za latrynę, i ja. Parulkar trzymał mnie w odosobnieniu, z dala od moich ludzi, którzy mogli trafić do aresztu w drodze do więzienia, z dala od moich przyjaciół, a także z dala od moich wrogów. Do sądu zabierano mnie w kapturze na głowie, ze skutymi nogami i rękami, jeździłem sam w dziapie z pięcioma uzbrojonymi policjantami.

– Jesteś naszym specjalnym gościem – wyjaśnił mi Parulkar. – Naszym VIP-em. – Słońce widziałem tylko podczas tych podróży, ale nawet wtedy czułem strach, bo gdyby chcieli mnie załatwić, mogli to zrobić właśnie

podczas jazdy. Rozpuszczono by plotki: ludzie Gaitondego chcieli go odbić, Gaitonde próbował zbiec, więc musieliśmy go zastrzelić. Wiele lat spędziłem w otoczeniu moich chłopaków, w atmosferze spokoju, który zapewniała ich broń, a teraz od nowa musiałem nauczyć się, co znaczy być naprawdę samemu. Codziennie budziło mnie brzęczenie świetlóówki wiszącej na korytarzu obok mojej celi i codziennie oczekiwałem śmierci. Już od dawna żyłem w bliskości końca, ale teraz czułem, że z każdą mijającą chwilą krocę po krawędzi ogromnej otchłani, gdzie światło słoneczne i tę otchłań dzieli tylko jedno pchnięcie ze strony któregoś z ludzi Parulkara. Co noc bałem się zasnąć, nie wiedząc, czy jeszcze się obudzę.

Codziennie byłem przesłuchiwany. W dni, kiedy był tam Madżid Khan lub któryś z innych inspektorów, przesłuchania mijały szybko, podawano herbatę, a ja wymyślałem historie o nieżyjących już bandytach. Popychali mnie, zarzucali mnie pytaniami, chcieli mnie przyłapać, licząc, że zaprzeczę własnym słowom lub popełnię błąd.

– Ale wczoraj mówiłeś, że Sandip Aggarwal zawiózł pieniądze do Bary Badriji w czerwcu, więc jak mógł spłacić dług w kwietniu?

Byli sprytni, ale ja byłem sprytniejszy. Bawiło mnie to opowiadanie im różnych historyjek. Miałem doskonałą pamięć, pamiętałem wszystkie wątki łączące moje zmyślane opowieści, więc były spójne i logiczne, a ja wpędzałem ich we frustrację i tylko podsyciałem ich ciekawość. Wolałem przebywać w pokoju przesłuchań, w którym były okna, a za nimi czubki drzew, i gdzie było świeże powietrze, niż w dusznym grobie celi. I chociaż wykazywali się prawdziwie policyjną ciekawością i bardzo chcieli się dowiedzieć wszystkiego, co ja wiedziałem, nigdy mnie nie tknęli. Myśleli o swoim życiu, o swoich karierach. Gdyby jutro moi przyjaciele z Rakszaku zostali ministrami, a ja zachowałbym do tego dnia urazę do tych malutkich policjantów, to jeszcze tego samego dnia mogliby zostać przeniesieni do



Aurangabadu. Łączyła nas zatem męska solidarność, a oni przynosili mi dobre jedzenie z hotelu po drugiej stronie ulicy, pan i czyste ubrania. Na moje bóle brzucha, które pojawiły się pierwszego dnia po aresztowaniu, załatwiali mi tabletki podhiny i dżaldżiry.

Kiedy jednak przesłuchanie prowadził Parulkar, sprawy przybierały zupełnie inny obrót. Zawsze odbywało się to w nocy. Siedział w fotelu, zdejmował buty, w pełni odprężony. Musiałem stać pośrodku pokoju, bezpośrednio pod lampą, a za mną zawsze stało dwóch jego inspektorów. Zadawał pytania, jakby rozmawiał z przyjacielem o planowanym na najbliższą sobotę wspólnym wypadzie do Lonawli, bez pośpiechu i cicho. Ale już po chwili zaczynało się bicie, nagłe chłoszczące uderzenia w łydki, od których zataczałem się do przodu, mocne walnięcia w plecy, które pozbawiały mnie tchu. Raz za razem padałem na kolana, i kiedy tak dyszałem na podłodze, ogarniała mnie nienawiść do tego człowieka. Za każdym razem stawiali mnie na nogi, a on zaczynał wszystko od nowa. Pytania, pytania. Z twarzą ukrytą w cieniu, z brzuchem wystawionym w moją stronę. Przetrzyzymałem to wszystko. Nie mogłem natomiast znieść upokorzenia uporczywych uderzeń w tył głowy, ciosów, które wyciskały łzy z moich oczu, paraliżujących rozbłysków, rozświetlających moje oczy od środka. Jeśli podczas spotkań z Parulkarem obecny był Madźid Khan, czułem jego nienawiść, gdy walił mnie pięścią w krzyż, tę całą złość, którą musiał skrywać, chcąc przetrwać. Kiedy jednak działał na bezpośrednie polecenie Parulkara, czuł się zwolniony ze swoich zobowiązań i uderzał mocno. Podczas piątego przesłuchania ten gruby sukinsyn Parulkar zaczął się ze mnie śmiać.

– Patrzcie, oto wielki Ganeś Gaitonde płacze jak mała dziewczynka – powiedział. – Patrzcie, jak ryczy.

Ale to nie była prawda. Nie płakałem. Ocierałem łzy spływające po policzkach, ale były one spowodowane ostrymi ciosami w uszy. To była automatyczna reakcja mojego ciała, podobnie zachowywałoby się, gdybym do moich oczu dostał się pył węglowy, nie miało to nic wspólnego z płaczem. Ale ten maderćod Parulkar był pewien swego. Pochylił się w fotelu, żeby śmiać mi się prosto w twarz, i kiedy patrzyłem na jego tłusty, świński nos, na małe zęby, wiedziałem, że on mnie zabije. Był człowiekiem Sulejmana Isy, miał zobowiązania wobec swoich politycznych mocodawców i w przeciwieństwie do swoich podwładnych z przyjemnością wyrządziłby mi krzywdę, połamalby mi kości, nie zatrzymałby się na samych ciosach i na patce, ale smagałby moje stopy za pomocą lathi i podłączyłby elektrody do moich goli. Za bardzo był związany ze swoimi sojusznikami, żeby się mnie obawiać. Między nami nie było szans na żadne układy, wiedziałem, że on chce mojego cierpienia.

Postanowiłem więc płakać dla niego. Musiałem odegrać to jak najlepiej, był starym wyjadaczem, starym khilarim, w swoim życiu przesłuchał tysiące ludzi i wszystkich złamał. Osiągnął swoją pozycję, ponieważ był przebiegły jak stara wrona, ostrożnie przeszedł przez pełne pułapek życie, stalowym wzrokiem obserwując wszystko spod tych swoich przymrużonych powiek. Gdybym zaczął płakać zbyt mocno albo zbyt szybko, on zauważyłby to, rozpoznałby oszustwo. Postanowiłem więc robić coś zupełnie przeciwnego, udawać, że wstydzę się tego płaczu, że staram się powstrzymać, że próbuję zebrać się na odwagę. Że staram się przed tym bronić, ale wzdrygam się od uderzeń i pod nimi się załamuję. Dawałem mu to jego zwycięstwo, łatwe, ale takie, nad którym i tak musiał się trochę napracować. Kiedy w końcu zaczynałem go błagać, widziałem, że rozpiera go pyszałkowata duma i zadowolenie.

– Mów – rozkazał. – Daj mi jakieś informacje, a ja odeślę cię do celi. A jutro będziesz mógł pójść do doktora po lekarstwo na ten twój żołądek. Opowiesz mu o wszystkich swoich bólach i udrękach.

Posłuchałem go. Wydałem mu dwóch bandytów, drobnych wolnych strzelców, których można wynająć za trzy tysiące rupii. Pracowali dla wszystkich, dla Sulejmana Isy, dla nas, dla kogo popadło, byli na sprzedaż. Sprzedałem więc ich Parulkarowi, za chwilę spokoju, za radio w celi, za wizyty u lekarza. Był bardzo zadowolony, kiedy wyjawiałem mu trzy miejsca, w których sypiali, a jeszcze bardziej zadowolony, kiedy tej samej nocy zgarnęli ich i załatwili przed wschodem słońca. Jeszcze tego wieczoru musieli dać cynk reporterom, bo następnego dnia ta historia znalazła się w popołudniowych gazetach, z pełnym opisem i ze zdjęciami zabitych.

Wtedy uwierzył, że ma nade mną władzę. Już następnego dnia po południu wysłali mnie do lekarza, który przybył na komisariat i przyjął mnie w pokoju położonym obok biura Parulkara. Poszturczał mnie w żołądek, wypisał receptę i stwierdził, że przyczyną jest zbyt duże napięcie, a potem poszedł sobie. Wręczyłem receptę policjantowi, który mnie przyprowadził i który nadzorował przebieg badania. Ten człowiek miał na imię Salwe. Porozmawiałem z nim. Powiedziałem mu, żeby kupił mi lekarstwo i że mój adwokat da mu pieniądze. Dodałem jeszcze, że ten adwokat pomoże mu we wszystkim, czego będzie potrzebował, i że Salwe może na mnie polegać. Możemy zostać przyjaciółmi, bo dobrze mieć przyjaciół na tym świecie, w tej kalijudze, w jakiej przyszło nam żyć. Salwe był przerażony, ale mnie posłuchał. Mój adwokat zapłacił za lekarstwa i dorzucił mu jeszcze dziesięć razy więcej za fatygę. Proszę, powiedział, to prezent od bhai. Taki człowiek jak Salwe, z trójką dzieci, żoną i liczną oraz rozległą rodziną, w której była i matka, i ojciec emeryt, i owdowiała siostra z dziećmi, taki człowiek potrzebuje pieniędzy. Musi je mieć. Salwe wziął

więc pieniądze, a ja zyskałem kontakt z moimi ludźmi na wolności. Dotychczas to mój adwokat zanosił polecenia i przynosił wiadomości, ale Salwe bardzo się przydał. Codziennie był w areszcie, eskortował mnie z miejsca na miejsce, przynosił mi jedzenie, wodę, baterie do radia, a także raporty z firmy, pytania i prośby. Początkowo ostrożnie korzystaliśmy z jego usług, ale w miarę jak brał od nas coraz więcej, stawał się nasz. Pod koniec mojego pobytu w areszcie, mając do dyspozycji jego i mojego prawnika, czułem, że ponownie prowadzę swoją firmę. Znowu miałem kontakty, moje stare kontakty zostały na powrót nawiązane.

Ale te wszystkie przekazywane wiadomości nie mogły obronić mnie przed czterema ścianami mojej celi, przed ciszą nocy, kiedy rozlegające się na odległych schodach kroki maszerowały mi po czaszce, doprowadzając mnie do rozstroju nerwowego i nie pozwalając mi zasnąć. Popołudniami leżałem na kamiennej posadzce, pocąc się i próbując ochłodzić sobie ramiona, biodra. Zapomniałem już, co znaczy być samotnym. Tak długo mieszkałem z chłopakami, z żoną i synem, byłem tak blisko nich, że przebywając w tej celi, czułem, jakbym spadał w otchłań, bez końca unosząc się w chmurze cieni. Umieszczono mnie za zakrętem ślepego korytarza, za zewnętrznymi drzwiami, które odgraniczały mnie od innych więźniów. Byłem sam. Radio rzeziło i charczało, setki razy musiałem poprawiać antenę, aż oparłem ją o ścianę, bo wtedy grało głośniej. A kiedy udało mi się wreszcie wycisnąć z niego jakąś piosenkę, opadła mnie nostalgia. Słuchając piskliwych i trzeszczących treli piosenek z lat sześćdziesiątych, powracałem wspomnieniami do dawnych dni, do tych sprzed dziesięciu lat i tych sprzed miesiąca. Kiedy już umilkły piosenki, poczułem, jak w mojej głowie rodzą się pytania, jak pasożyty w gnieździe: co czeka mnie w przyszłości? Jaki popełniony w przeszłości błąd doprowadził mnie do tego? Dlaczego nie byłem mocniejszy od Sulejmana

Isy, bardziej znany? Dlaczego moja firma była zaledwie trzecia lub czwarta pod względem siły i znaczenia? Czy przemysł broni przyniesie mi więcej władzy, więcej kontaktów: Czy będę większy? Od czasu, kiedy zacząłem pracować z Bipinem Bhonslem i z jego Śarmą-dzi, miałem wrażenie, że uczestniczę w bardzo dużej grze, grze tak wielkiej, że chociaż ostatnio zrobiłem się większy i mocniejszy, czułem się w niej malutki. Znowu stałem się mały, a to było zarówno przerażające, jak i podniecające. W tej ogromnej, rozszalałej bitwie Bhonsle i Śarmą-dzi byli moimi sprzymierzeńcami, a ja się z nimi związałem, wybrałem ich, tak jak oni mnie wybrali. Oni byli po mojej stronie, grali w mojej drużynie. Ale jaki był cel tego wszystkiego? Gdzie kończyła się ta wojna? Dlaczego? Dlaczego? To „dlaczego” tłuło się po mojej głowie, biegło w kółko, jak szczur złapany w żelazną klatkę. Dlaczego? A za sobą to „dlaczego” pozostawiało dziurę wyżłobioną swoimi rozpedzonymi szponami, jakąś pustkę, ostrą i bolesną. Jedynie miłość umiała wypełnić tę bruzdę, tylko ona pomagała jej goić się do następnego ranka.

Raz na tydzień na komisariat przychodziła Subhadra z moim synem. Przychodziłaby codziennie, ale Parulkar traktował jej wizyty jako okazję do wywierania nacisku na mnie. Na cotygodniowe wizyty zgodził się dopiero po tym, jak zacząłem przekazywać mu informacje, powiedział, że pozwoli na częstsze wizyty żony i syna, jeśli będę szerszej współpracować. Ale ja nie chciałem mu zbyt wiele ujawniać, on uważał się za sprytnego, ale to ja byłem jego bapem. Prowadziliśmy więc dalej swoją grę, Parulkar i ja, a od poniedziałku do poniedziałku czekałem na moją rodzinę.

Kochałem swojego syna. Miał na imię Abhidżaj i rozbrajał mnie zupełnie. Wydawało mi się, że wcześniej kochałem innych ludzi, ale teraz uzmysłowiłem sobie, że albo ich pragnąłem, albo byłem od nich zależny, nic ponadto. Tak naprawdę nigdy nie poznałem prawdziwej miłości. Kiedy

w filmach mówiono o miłości, kiedy opowiadano, że prawdziwa miłość to niczego nie pragnąć dla siebie, jedynie pragnąć szczęścia drugiej osoby, lekceważyłem to wszystko jako poetycką paplaninę, dobrą dla słabych mężczyzn i słabych kobiet, którym brak siły, aby sięgnąć po to, czego chcą. Dopiero teraz, kiedy trzymałem w ramionach to wijące się zawiniątko, rozumiałem, ile w tych słowach jest prawdy. Miał roczek, był bardzo pewny siebie, wyciągał rączki do mojej twarzy i pocierał nimi o mój zarost, chichocząc przy tym. Czułem, jak jakaś niepohamowana, łagodna eksplozja rozrywa mi piersi i sięga do wnętrza, z moich ust wyrywa się cichy śmiech, a wzdłuż kręgosłupa przebiega mnie dreszcz: mężczyznę łączy z jego własnym potomkiem więź sięgająca aż do samego bijącego serca, do nerwu i szpiku kości. Ojcem zostałem nieświadomie, mimochodem, ale żadne moje doświadczenia z przeszłości nie mogły się równać z tym burzliwym prądem jedności, który płynął ku mnie od tego malutkiego szkraba. Pozwoliłbym mu na wszystko i sam wszystko zrobiłbym dla niego. Przy nim nie musiałem chronić żadnego wielkiego majestatu ani rozszerzać żadnej władzy.

Powiedziałem jednak Subhadrze, żeby uważała na swoją godność w tych brudnych, pełnych policji dziurach, że musi nauczyć się, jak być silną, jak być matką dla chłopaków, bo oprócz naszego Abhidźaja ma jeszcze setkę innych synów, setki synów, całą moc naszej firmy. Powiedziałem jej, że musi chronić mój izzat zarówno w areszcie, jak i poza nim, że musi wykazać się siłą. Sprawiała teraz wrażenie bardziej dojrzałej, nie wyglądała starzej, ale pod tą wciąż dziewczęcą twarzą pojawił się bagaż doświadczeń. Było jej jakby więcej, jakby unoszące się w powietrzu cząsteczki płoczej dziewczyny, jaką dotychczas była, ułożyły się obok siebie, nabrały siły i głębi, i nagle pojawiła się ta nowa Subhadra, która potrafiła w ciszy słuchać i udzielać dobrych rad, która wychodziła i mówiła moim ludziom, co mają

robić. Głównym oparciem był dla mnie Banti, ale Subhadra była równie ważna, i wszyscy o tym wiedzieli. Chłopcy przyjęli to jako coś zupełnie naturalnego, ale mnie samego zaskoczyła, mnie, który zawsze szczyliłem się, że nikt mnie jeszcze nie zaskoczył, zdumiała mnie i ona, i jej syn, a do tego okazało się, że jakoś zupełnie nie przeszkadza mi to, że te dwie kruche istoty potrafią tak zapędzić mnie w kozi róg.

Patrzyłem, jak się bawią. Subhadra zakrywała rękami twarz, a potem ją odsłaniała, a Abhi za każdym razem wybuchał śmiechem. Przyglądałem się im z zadowoleniem.

– Jak tam twój brzuch? – zapytała Subhadra zza skrywających ją dłoni. Była bardzo dobrą dziewczyną. Próbowwała nakłonić mnie do zjedzenia całego koszyka śliwek, twierdząc, że po nich ustąpią wszystkie bóle. Przekomarzałem się z nią, kołysząc mojego syna, i czułem się szczęśliwy.

A kiedy już wychodzili, kiedy Parulkar przestawał się mną interesować, kiedy Madzid Khan odkładał na bok swoją nikczemną uprzejmość, kiedy służalczo posłuszny Salwe odchodził, kiedy już zostawałem sam i przemierzałem swoją trzymetrową przestrzeń, prześladował mnie ten sukinsyn Salim Kaka, który zabrał mnie kiedyś na łódź, na wyprawę po złoto. Wiele czasu już upłynęło, od kiedy go zabiłem, i nigdy się tym nie przejmowałem, ale teraz po prostu nie mogłem się go pozbyć. Był tu, w mojej celi, kroczył obok mnie, robiąc jeden wielki krok na dwa moje, bardzo przystojny w swojej czerwonej lungi. Zastrzeliłem go, to prawda, a potem zabrałem jego złoto, żeby zacząć nowe życie, ale jakie to może mieć znaczenie? Był na tyle głupi, że odwrócił się do mnie plecami, jakby nie znał mnie na tyle, żeby mi nie ufać. On nie zaszczepił mi strachu i lojalności, tak jak ja zaszczepiłem moim ludziom. Był nieostrożny, więc zginął. Dlaczego teraz sobie o nim przypomniałem? Nie miałem pojęcia,

ale ciągle powracały do mnie wspomnienia, jak uczył mnie strzelać, te jego ordynarne dowcipy i nieoczekiwane prezenty z pieniędzy.

– Masz tu stówkę, baćca, idź do kina, weź sobie kobietę – mawiał. A ja posłusznie to robiłem. Teraz nie potrzebowałem żadnych pieniędzy od Salima Kaki, ale on mnie nie odstępował.

Mój areszt skończył się i trafiłem do więzienia. Niewiele mnie obchodziła długa lista zarzutów – morderstwo, ukrywanie przestępców, wymuszenia, zastraszanie – przede wszystkim cieszyłem się na widok swoich chłopaków. Doszedłem do wniosku, że to zamknięcie w samotności przyćmiło mój umysł i wywołało ten atak bezużytecznych wspomnień. To dlatego, że zabrano mnie z domu, z tej całej sieci bliskości, i rzucono w towarzystwo Salima Kaki. Złożono akt oskarżenia i prosto z sądu trafiłem do więzienia. Nie musiałem nawet czekać na parking w podziemiach, jak kazano setkom innych skazanych, zmierzających do więzienia. Miałem specjalną eskortę i samochód tylko dla siebie. Przez cały ten czas śnił mi się Salim Kaka. Jadąc w furgonetce do więzienia, uśmiechałem się, śmiałem się z własnej głupoty. Madżid Khan i pozostali eskortujący mnie inspektorzy byli wyraźnie zaskoczeni.

– Nie ciesz się tak – odezwał się ten mućchar, tym razem nie dbając o ostrożność. – Szybko nie wyjdiesz. – Ale on nie wiedział, że ja już wychodziłem, wychodziłem z siebie. W tej pojedynczej celi aż za dobrze poznałem własne więzienie. Nie mogłem się doczekać przytłoczenia bliskością i miłością moich ludzi. Strażnicy więzienni i Madżid Khan poprowadzili mnie za wielką, podwójną, czerwoną bramę więzienia, przez umieszczoną w niej małą furtkę. Zgłosili mnie, a potem zaczęło się długie oczekiwanie w gabinecie naczelnika. Naczelnik był bardzo żyłastym starym szczurem o imieniu Adwani. Zrobił mi wykład o współżyciu w grupie. Powiedział, że moi ludzie są w baraku numer cztery, a ekipa Sulejmana Isy



w baraku numer dwa. Że liczy na mnie, że pomogę mu zachować spokój. Ostatnio było tu zbyt wiele kłopotów, zbyt wiele awantur, chociaż, na ile się dało, próbował rozdzielić starych wrogów. A ponieważ każdy z nas powinien postarać się jak najlepiej znaleźć się w tej sytuacji, wyjaśnił, najlepiej jest żyć w pokoju. Dlatego też liczył na mnie.

Słuchałem go w milczeniu i zgadzałem się z każdym jego słowem. Chociaż wysłuchałem wielu opowieści o więzieniu, stanowiło ono dla mnie zupełnie nowy świat, i dopóki nie mogłem zorientować się, na czym stoję, byłem skłonny zostać cichą myszką. Adwani był z siebie bardzo zadowolony, ten łysiejący sukinsyn pomyślał, że swoją osobowością i siłą swojej logiki wywarł wrażenie na Ganeśu Gaitondem.

– Jeśli będziesz miał jakieś problemy – powiedział – przychodź do mnie bez wahania.

– Dobrze, sahibie naczelniku – odparłem. – Oczywiście.

Z pewnością dotarło do niego, że słynny Gaitonde został złamany przez Parulkara, że ten przerażający don tak naprawdę jest tylko przerażonym małym przydrożnym pieskiem, brudnym i zbitym, który przybiegnie do niego natychmiast, kiedy tylko pojawią się kłopoty. Ze spuszczonego wzrokiem znośłem tę jego protekcjonalność, a potem strażnicy poprowadzili mnie do celi. Minęliśmy trzy pary wielkich stalowych drzwi żaluzjowych i weszliśmy na długi dziedziniec wewnętrzny, gdzie stały baraki o olśniewająco białych ścianach. Sahib naczelnik kazał je ostatnio pomalować, powiedział mi jeden ze strażników, sahib naczelnik bardzo lubi czystość. Krawędzie ścieżek wykończone były na biało, a w rogach stały donice z kwiatami. W to późne popołudnie więźniowie mieli zakaz opuszczania baraków, więc nikogo nie było ani na ścieżkach, ani na podwórzach między barakami, ani też pod ośmioma drzewami

graniczącymi z bezmiarem. Ale kiedy mijaliśmy barak numer dwa, nagle wybuchła burza gwizdów, krzyków i żartów.

– Proszę, Parulkar–saab, proszę – wołali. – Żebym tylko nie ubrudził spodni, Parulkar–saab. – Te sukinsyny Sulejmana Isy słyszały plotki. Nieważne. Szedłem dalej.

W baraku numer cztery już na mnie czekano, czekali na mnie moi ludzie. Zrobili girlandę ze specjalnie zebranych kwiatów gulmohar i liści drzewa nim. Pozwoliłem, żeby mi założyli tę girlandę, uściskałem ich wszystkich, a potem zagoniłem do roboty. Posprzątajcie tu, powiedziałem, wstyd mi przynosicie.

Uśmiechnęli się, roześmiali i zabrali do pracy. Bhai nie znosi bałaganu, mówili. Cieszyli się, że ktoś nimi dyryguje, mówi im, co mają zrobić. Było ich pięćdziesięciu ośmiu, uznanych i oficjalnych członków naszej firmy, z całkowitej sumy trzystu dziewięciu więźniów, którzy zamieszkiwali ten barak, jeden z najmniejszych, przeznaczony dla stu osób. Moi ludzie rządzą tym barakiem, zajęli najwięcej miejsca i wszystkie najlepsze łóżka, zarządzali tutejszymi gramami i kontrolowali, co opuszcza barak i co do niego przybywa. Mała grupa lojalnych wobec siebie i zaangażowanych ludzi zawsze będzie rządzić wielką, zdezorganizowaną większością, a po moim przybyciu ich siła zwiększyła się dziesięciokrotnie. To kwestia psychiki, tchórze dają się zdominować, a tłum ludzi zawsze jest ogarnięty strachem. Moi ludzie zabrali się do sprzątnięcia i porządkowania, a cały barak podążył ich śladem, nikomu nic nie trzeba było mówić. Wkrótce to długie pomieszczenie, pod którego ścianami biegły podwójne rzędy cienkich, błękitnych dari, było pozamiatane, uporządkowane i czyste. Nic nie mogliśmy zrobić z koszulami, które zwisały z kołyszących się drutów, i z porozwieszaną na ścianach, schnącą bielizną, ani z małymi stosami papierów, zdjęć i czasopism. Niemniej jednak było to miejsce, w którym

mogłem zamieszkać, na którym odcisnąłem swoje piętno. Chłopcy przygotowali dla mnie legowisko na samym końcu baraku, położonym najdalej od wejścia i w związku z tym najbezpieczniejszym. Otoczyli mnie kilkoma ochronnymi kręgami, a w środku ułożyli trzy nowe dary, jeden na drugim, żeby utworzyć materac, przygotowali też poduszkę i zrobili małą półeczkę, ze sklejki wyniesionej z więziennego warsztatu. To były dobre chłopaki.

Dowodzili nimi Radžendra Date i Kataruka, których znałem z akcji na wolności. Obaj pełnili poważniejsze funkcje, i chociaż nie miałem z nimi bezpośredniego kontaktu, bo ich działaniami kierowali odpowiedni rewidenci, rozmawiałem z nimi przez telefon i nagradzałem ich. Obaj odbywali wyroki za zabójstwa, więc byli tu weteranami: Date skończył piąty rok, a Kataruka siódmy. Ale żaden z nich nie załamał się, nie wydali swoich rewidentów ani nikogo innego i z honorem spełniali swoje obowiązki. Opiekowaliśmy się więc ich rodzinami na wolności, posyłając im regularne, miesięczne wypłaty i premie, pomagaliśmy im przy ślubach, spłacaniu rachunków za leczenie szpitalne i długów za nieruchomości. A teraz siedzieli razem ze mną, kolano przy kolanie, i opowiadali mi o więziennej rutynie.

Mówił głównie Date, a Kataruka tylko kiwał głową i od czasu do czasu chrząkał.

– Na terenie obozu, bhai, w obrębie wielkiego muru, jest osiem baraków, bhai, a każdy z nich ma własny cħota mur. Pierwszy barak, który ciebie ominał, jest dla nowych więźniów. Tam panuje największy tħok, teraz jest tam siedmuset lub ośmuset ludzi. Stamtąd przenoszą ludzi do innych baraków. Barak numer dwa to barak firmy Sulejmana, bhai. Numer trzy to pomieszczenie dla babów, są tam sami mali chłopcy, dzieciaki. Czwarty to nasz. W piątym są starzy ludzie, sami dziadkowie. Siedzi tam taki jeden

ćutija, który ma osiemdziesiąt cztery lata i trafił do więzienia, bo nagle zabił żonę, nie wytrzymał jej chrapania. Szósty i siódmy to baraki ogólne, wsadzają tam pospolitych przestępców. Za drutem kolczastym stoi barak numer osiem, dla kobiet i dziewczyn. Bardzo blisko, ale nie ma z nimi żadnego kontaktu. – Uśmiechnął się. – Tylko maderpat strażnicy i inspektorzy sobie używają, a szary obywatel nie może. Ale wszystkie inne rzeczy mamy w baraku zorganizowane jak trzeba. Możemy mieć olej, herbatę, masalę, strażnicy mogą nam przynieść każde jedzenie. Już teraz załatwiliśmy, żebyś dostawał tiffin z domu, bhai, żebyś nie musiał jeść tego ohydneho więziennego jedzenia. Pierwsza dostawa będzie jutro albo pojutrze. Ale jeśli tylko będziesz głodny, możemy zrobić z puszek handi, palić olej kokosowy i w ten sposób gotować. Tylko że gdy policjanci widzą ogień, sukinsyny zaczynają krzyczeć i czasami zakuwają winnych w łańcuchy. Ale oni nas nie ruszają, zawsze możemy zrobić ci ćaj. Jeśli czegoś potrzebujesz, tylko nam powiedz. W tym baraku wszyscy klawisze są nasi, wszyscy mają dożywocie. A dzięki adwokatom mamy układy z sędziami ustalającymi terminy rozpraw i zazwyczaj możemy zmieniać daty posiedzeń sądu. Czasami, jeśli dobrze opłaci się sędziego, można załatwić zwolnienia za kaucją w trybie nadzwyczajnym. Ale nie dla ciebie, bhai. – Moja sprawa była zbyt poważna, zbyt wiele pisano o niej w gazetach, żebym mógł uzyskać szybkie zwolnienie za kaucją. O tym wszyscy wiedzieliśmy. – Latem, bhai, jest tu gorąco, a zimą zimno. Na drugim końcu, obok baraku numer jeden, jest szpital, mają tam prawdziwe łóżka, z prawdziwymi materacami, i wentylatory. Weszliśmy z lekarzami w układy, za niewielką sumę można zostać przyjętym tam na kilka dni. A i jedzenie jest tam lepsze. Jeśli będziesz chciał, możesz iść do szpitala na wakacje. To łatwe.

Nie potrzebowałem wakacji, chciałem dorwać Sulejmana Isę lub przynajmniej kilku jego ludzi.

– Chcę przywalić tym sukinsynom w baraku drugim – odparłem. – Cieszą się, że się tu znalazłem. Pokażmy im, co to oznacza.

– To nie takie łatwe, bhai. Na dziedziniec wypuszczają nas o różnych porach. Kiedy my jesteśmy zamknięci, oni wychodzą. Zaczęto tak robić po zeszłorocznych zamieszkach. To jest przepis więzienny, ani strażnicy, ani personel nie mogą go złamać, w przeciwnym razie dawno byśmy to już zrobili.

Obaj, i Date, i Kataruka, cieszyli się, widząc mnie w tak srogim nastroju. Do nich też, oczywiście, dotarły plotki, że się ugiąłem pod naciskiem Parulkara. Chociaż byli moimi ludźmi, filarami mojej firmy, wiedziałem, że przez ochronne mury ich wiary sączy się zwątpienie. Nadszedł czas, żeby na powrót wszystko uporządkować, przywrócić ład na świecie. Wypytałem ich jeszcze o więzienne procedury i zwyczaje, a potem powiedziałem im, że chciałbym się przespać. Było dopiero wczesne popołudnie, jeszcze miało upłynąć kilka godzin do ósmej, pory wyłączenia świateł. Date i Kataruka uciszyli jednak cały barak, a ja położyłem się na moich dari, odwróciłem się na prawy bok i położywszy rękę na głowie, natychmiast zapadłem w czarny sen. Po całych tygodniach przewracania się z boku na bok, poszukiwania odpoczynku i ciągłego budzenia się z płytkiej drzemki, spałem głęboko i długo.

Obudziłem się na dźwięk porannego gwizdka, o piątej rano, wypoczęty, świeży i gotowy do wojny. Chłopcy wiedzieli, że wymagam czystości, więc zadbali, żeby z latryn usunięto zalegający tam brud, a w łazience czekały na mnie wiadra pełne wody i świeży ręcznik. Szybko uporałem się z poranną toaletą, a potem przyszli po mnie Date i Kataruka.

– Są mamu – powiedział Date. Czekaający przy drzwiach policjanci wyprowadzali nas dwójkami na liczenie. Pod szarzejącym niebem chodzili tam i z powrotem, odliczając, i podczas tego ginti omawiałem swój plan z dwoma moimi rewidentami. Był już gotowy, a przynajmniej jego zaczątki. W trakcie ginti i przy śniadaniu przedyskutowaliśmy go, uzupełniliśmy i rozszerzyliśmy, a ja uwierzyłem, że rzeczywiście można go zrealizować. Po śniadaniu hawaldarzy odprowadzili nas z powrotem do baraków, gdzie tłum więźniów zaczął tłoczyć się w kolejce, spierając się o kolejność do kąpieli i mycia. Pod sufit wzniósł się ogromny hałas, gwar mężczyzn opowiadających sobie historie, którzy spierali się, grali w karty i modlili się. Na północnym krańcu baraków znajdowała się prowizoryczna świątynia, z przyklejonymi do ściany jaskrawymi obrazami Ramy, Sity i Hanumana, i tu mężczyźni siadali w rzędach i śpiewali bhadżany. Pograżeni w namazie muzułmanie klęczeli na południowym końcu, przed czystą, białą ścianą. A w całym pomieszczeniu ludzie siedzieli grupkami i przez długie godziny dzielące ich do obiadu obserwowali się nawzajem. Strażnik i czterech jego pomocników rozsiedli się dumni z zajmowanego miejsca, w pobliżu wielkiego, odkręconego na cały regulator radioodbiornika, a piosenki sączyły się i płynęły aż na sam koniec baraków: „*Mere sapnā ki rani kab aegi tu, aji rut mastani kab aegi tu...*”<sup>18</sup>

Po trzech tygodniach udało mi się wcielić w życie plan. W ciągu tych trzech tygodni zapoznałem się z rytmem nowego życia: gwizdek o piątej rano, senne szeregi podczas ginti, brzęk aluminiowych talerzy i misek oraz skwierczenie tari na dal, przy czym za tari trzeba było dodatkowo płacić, długie godziny poranka, a potem dochodzący z bissi zapach gotowania, kiedy zagniatano stopami attę i wrzucano gnijące warzywa do ogromnych mis. O dziesiątej było już po lunchu, szmer rozmów, chrapanie, zapach potu setek mężczyzn. Palacze ze swoimi drogocennymi kuleczkami ćar i długim

obrzędem przypalania, kruszenia i skręcania, granie na zmianę w szachy, tin-patri i chińczyka, przekleństwa i śmiech towarzyszące grzechotowi rzucanych kości. Moi ludzie skupieni wokół jedynych dwóch plansz do gry w carrom, namiętnie oddający się rozgrywkom ligi mistrzowskiej, którą założyli, dbając nawet o tablice prezentujące drabinki rozgrywek singla i debła. Spory i nagłe wybuchy wrogości między ściśniętymi ludźmi, rozprzestrzeniające się jak rozszalały ogień przez rzędy prycz. Krzyki i pogroźki, kiedy dwóch mężczyzn stawało naprzeciw siebie na oczach setki innych, a każdy z nich bał się wycofać, żeby nie okryć się wstydem. Muskularni kaliowie z Nigerii sprzedający na dziedzińcu malutkie paczuszki brown sugar po pięćdziesiąt rupii i ich klienci, skuleni w kucki w ciasnych małych kręgach, kolano przy kolanie, nad swoimi ćaserpani, wciągający dym z nabożnym wyrazem twarzy ludzi oglądających inny, lepszy świat. I długie oczekiwanie na godzinę piątą i na kolację, składającą się z jakiegoś wodnistego dalu i zbrylonego, gruboziarnistego ryżu, gumowatych ćapati, aż w końcu o ósmej sen.

Wiedliśmy to życie i marzyliśmy o świecie za murami. Ale tak właśnie nasze życie wyglądało, nie mieliśmy innego. Zdradziłem więc część swojego planu Date i Kataruce i powiedziałem im, że potrzebuję dwóch nowych ludzi, takich, którzy nie są związani z naszą firmą. Ale muszą to być twardziele, ludzie czynu, nie ma mowy o jakichś pyszałkach, którzy tylko będą się przechwalać, a potem zemdleją na widok krwi. Date i Kataruka zaczęli narzekać, kręcili głowami i mówili, że nie można polegać na niesprawdzonych ludziach. Przecież właśnie dlatego tak trudno było dostać się do naszej firmy, mówili, bo musieliśmy się przekonać, czy kandydat rzeczywiście nadaje się do tej roboty. To dlatego najpierw musieli załatwiać różne drobne sprawy, jakieś pobicia, żeby się mogli wykazać, żeby ich rozwój przebiegał w odpowiedni sposób. Ja jednak nalegałem.

Potrzebuję nowych twarzy, dwóch ludzi, którzy wcześniej nie mieli z nami nic wspólnego.

W końcu znaleźli mi takich dwóch, Dipu i Mitu. Byli braćmi, pochodzili z północy i do Bombaju przyjechali po ukończeniu jakiegoś college'u w gandhu Gorakhpuri. Jeden miał dwadzieścia dwa, a drugi dwadzieścia jeden lat i byli prawdziwymi bhajjami, synami rolnika. Zamieszkali u jakiegoś taksówkarza, rodaka z Gorakhpuru, i chwytali się różnych prac. Dipu zajmował się obwoźną sprzedażą detergentów, a Mitu pracował jako sprzedawca w sklepie z armaturą łazienkową. Byli chętnymi, pełnymi energii chłopakami, którzy przemierzali całe miasto, podróżując na stopniach pociągów, wszystkiego ciekawi. I kiedy trochę się załamali, kiedy zaczęli rozumieć, że w Bombaju nie wszystkie marzenia się spełniają, że nie każdy głupiec z UP zostaje Śahrukhem Khanem, zadzwonił do nich krewny z Lucknow. Miał pewien plan, jakiś projekt. Powiedział, że zamierza otworzyć interes w Lucknow, coś z handlem w Bombaju. W tym celu niezbędne było założenie konta bankowego w mieście, żeby mieć pod ręką dostępne i przygotowane fundusze. Dipu i Mitu mieli zatem otworzyć wspólne konto. Kuzyn miał wysłać im pieniądze, które oni mieli podjąć z konta, a także instrukcje, komu zapłacić i co zrobić dalej. Tydzień później otrzymali pocztą kurierską przekaz bankowy na półtora lakha. Przekaz został zrealizowany i zgodnie z instrukcją wzięli sobie czterdzieści tysięcy na pokrycie kosztów. Byli wniebowzięci, a tydzień później nadszedł kolejny przekaz, tym razem na dwa lakhy. Dyrektor banku powiedział im, że formalności zajmą dzień i że rano pieniądze będą do dyspozycji. Następnego dnia obaj bracia wrócili więc do banku. Z uśmiechem na twarzach podeszli do okienka i chwilę później leżeli na ziemi, czując na karkach pistolety policjantów.



– Podjechali nieoznakowanymi dżipami, bhai – powiedział Dipu. To on opowiadał tę historię. – I tak wpadliśmy. Przekazy były kradzione, powiedzieli nam o tym, kiedy bili nas na komisariacie. Własny kuzyn nas oszukał.

– Posłuchaj, behenćodzie – odparłem. – Niewiniątko to możesz sobie grać przed sędzią. Jeśli będziesz mnie okłamywał, pouryvam ci goli. Chcesz mi wmówić, że tak niewinnie otworzyliście konto i składaliście przekazy? Co to miał być za interes?

Przełknął ślinę.

– Nie wiem, bhai.

– Nie wiedziałeś i ślepo słuchałeś kuzyna, tak? I myślałeś, że dostajesz czterdzieści tysięcy tylko za to, że chodzisz do banku w czystej koszuli i spodniach? Maderćodzie, nie łżyj. Doskonale wiedziałeś, że to kradzione przekazy.

Obaj z bratem mieli takie same szerokie twarze, nieskomplikowane jak łopata. Zamrugął, zastanowił się, aż w końcu przestał się bronić.

– Tak, bhai. Ale pomyśleliśmy, że jeszcze jeden przekaz nikomu nie zaszkodzi.

Byli nadętymi wieśniakami, którzy wyobrażali sobie, że są najmądrzejsi na świecie, więc bez trudu wpadli w ręce policji. Dipu dokończył całą historię. Policja wycisnęła z nich nazwisko, adres i numer telefonu ich kuzyna, ale on oczywiście ulotnił się już z Lucknow. Wtedy policjijas zaczęli ich mocniej bić; w stopy za pomocą patty, w ręce trzciniami, a pięściami w nerki. Grozili, że ich załatwią, że wywiozą ich na brzeg morza i wpakują im kulki w łeb. Mówili, że pošlą policjantów z UP do gospodarstwa ich ojca i do kuchni ich matki. „Bata re – powiedział inspektor. – Kad rela”<sup>19</sup>.

Ale bracia nic więcej nie mieli do powiedzenia, ich kuzyn gdzieś zniknął, więc ostatecznie skończyło się dochodzenie i w oczekiwaniu na proces Dipu i Mitu trafili do więzienia. Prowadzący ich sprawę inspektor powiedział im, że jeśli dostanie jeden lakh, wystawi do sądu zaświadczenie o braku zastrzeżeń, a za pięćdziesiąt tysięcy podobne zaświadczenie może wystawić również oskarżyciel publiczny, dzięki czemu wniosek ich adwokata zostanie przyjęty przez sąd, a oni zostaną zwolnieni za kaucją. I chociaż groziły im poważne zarzuty, nie tylko z paragrafu 420 za oszustwo, ale również z paragrafów 467 i 468 za fałszerstwo, inspektor mógł załatwić im zwolnienie za kaucją. Za wyższą cenę można było zupełnie ukręcić łeb tej sprawie. Ale Dipu i Mitu zdążyli już wydać na adwokata wszystko, co pozostało im z tych czterdziestu tysięcy, a także te marne grosze, które przysłał ich ojciec. Siedzieli więc tu, w areszcie sądowym, oczekując procesu. Byli tu już od sześciu miesięcy. Niektórzy ludzie czekali nawet rok. A inne obdarte sukinsyny czekały aż trzy albo i cztery lata, słyszałem też, że kilku czekało siedem lat. Dipu i Mitu, którzy postąpili jak kretyni, umieli się jednak uczyć i próbowali się zbliżyć do moich ludzi. I dlatego teraz, długo po zapadnięciu zmroku, rozmawiali ze mną, w toalecie baraku numer cztery.

Przyjąłem ich. Powiedzieli mi, że nie boją się mokrej roboty, że dorastając w Gorakhpurze, zrobili się twardzi, że w tamtych rejonach polityka związków studenckich wiązała się z agitowaniem przy użyciu noży i lathi, że z ich okręgu pochodziło kilku znanych daku i że przemoc mieli we krwi. Nie miałem okazji ich sprawdzić, ponieważ mieli siedzieć cicho, nie rzucać się w oczy i nie zbliżać się do moich ludzi. Ale wiedziałem, że są ze mną.

Raz na tydzień jeździłem do specjalnego sądu na rozpatrzenie mojego wniosku o zwolnienie za kaucją. Strażnicy zawsze zabierali tą samą

furgonetką wszystkich więźniów, którzy akurat tego dnia byli przesłuchiwani w sądzie. W związku z tym Dipu i Mitu jeździli nią do sądu ze mną – załatwiliśmy to z naszymi adwokatami i z sędziami. Jechałem ja, tych dwóch braci i albo Date, albo Kataruka. Ci ostatni się wymieniali, ale zawsze jeden z nich siedział po mojej lewej, na ławce pod ścianą furgonetki. U moich stóp, pośród szarej grupy pospolitych więźniów, Dipu i Mitu. A na drugiej ławce naprzeciwko, twarzami do nas, ludzie z innych firm. W furgonetce zawsze panował ten sam porządek: bhai siedzieli na ławkach, a normalni więźniowie na podłodze. Date i Kataruka woleliby, żeby w ogóle mnie tam nie było podczas wprowadzania planu w życie, nie chcieli narażać mnie na niebezpieczeństwo. Próbowali przekonać mnie, żebym zostawił to im, ale odparłem, że moja obecność tam jest niezwykle istotna, że beze mnie ten plan nie ma sensu. A potem kazałem im się zamknąć. I tak dzień po dniu czekałem w furgonetce.

Przez pierwsze dwa tygodnie na ławce naprzeciwko siedzieli ludzie z innych firm, nie od Sulejmana Isy. W trzecim tygodniu, kiedy Kataruka i ja zdążyliśmy już rozsiąść się na ławce, do furgonetki weszli ludzie Sulejmana Isy. Było ich czterech, żadnego nie rozpoznałem, ale Kataruka wyprostował się po mojej lewej stronie, skręcając sznury na nadgarstkach. Do sądu jeździliśmy spętani jak zwierzęta, przywiązani sznurem jeden do drugiego. Ale te sznury było dostatecznie luźne, żebyśmy mogli zrealizować swoje zamiary. Ludzie Sulejmana Isy rozsiedli się, usadowili wygodnie i uśmiechnęli się do mnie. Byli rozbawieni i niczego się nie obawiali.

– Z czego się śmiejesz, maderćodzie? – zapytał Kataruka. Ten mój Kataruka miał bardzo jasną karnację, ale był bardzo dziobaty. Zazwyczaj siedział cicho, ale w tym momencie się odezwał.

– Nie ma co się denerwować – uspokoiłem go. Sam byłem bardzo odprężony. Czulem, jak krew we mnie śpiewa, ale byłem spokojny. Ludzie

Sulejmana Isy również wyglądali na odprężonych, w końcu byli w czwórkę, a my we dwójkę, a do tego słyszeli, że ja jestem tchórzem.

– Boli cię jeszcze gand? – odezwał się do mnie jeden z nich. – Słyszeliśmy, że Parulkar przez cały miesiąc co noc po nim jeździł. Mówił, że rypałeś się jak niezła gadi, że jęczałeś jak dziewczyna.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Parulkar to uczciwy policjant – odparłem. – Z pewnością mówi samą prawdę. – Podniosłem się na ławce, uniosłem kolano i oparłszy stopę na ławce, podrapałem się w kostkę.

Cała ich czwórka śmiała się. Usłyszeliśmy szcęk zamykanych przednich drzwi furgonetki, drzenie silnika przeszło w przeciągłe, skrzypiące wibracje, które zagłuszyły ich śmiech, furgonetka szarpnęła do przodu, a ja cichutko powiedziałem: „Dipu”.

Ten Dipu naprawdę był bardzo szybki. Ledwo dostrzegłem ruch jego ręki, mignęła mi tylko, a siedzący po prawej chłopak Sulejmana Isy przez moment nawet nie zorientował się, że został skaleczony. Po prostu siedział, a chwilę później krew rozbryzgiwała się już po całej furgonetce. Rzuciliśmy się na naszych wrogów i cięliśmy na lewo i prawo. Mieliśmy przygotowane ostrza, nie takie cienkie, do golenia, ale poważniejsze, przemysłowe, jakich używa się do cięcia kartonów i taśm, przemycone z więziennego warsztatu. Każde ostrze przełamaliśmy na pół, roztopioną gumą zalewaliśmy złamane części, robiąc coś w rodzaju rączki, a potem wsuwaliśmy je w bok gumowych ćappali Kitto. Wystarczyło tylko pogrzebać czubkiem palca, żeby znaleźć ostrze w ćappalu i błyskawicznie je wyciągnąć. Rzuciliśmy się na naszych wrogów i cięliśmy gdzie popadnie.

Pokroiliśmy ich, zanim zdążyli unieść ręce w geście obrony. Spodziewali się, że będzie nas dwóch, a my byliśmy w czwórkę. Wystarczy utoczyć

człowiekowi trochę krwi, żeby złamać jego odwagę. A ja poleciłem moim chłopakom, żeby celowali w oczy. Ostrze nożyka nie zabije, ale potrafi zalać krwią oczy i oślepić. Tylko dwóch z nich tak naprawdę się broniło, pozostała dwójka wpadła w panikę, krzyczeli i próbowali uwolnić się w tej ryczącej kotłowninie więźniów. Ja byłem zupełnie opanowany. Robiłem unik, czekałem i ciąłem, a potem znowu. W głowie człowieka krew płynie pod ogromnym ciśnieniem, jest tam jej niewyobrażalnie dużo. Tryska jak z pićkari, wydobywa się szybki mi, silnymi strumieniami z rytmem bicia serca. Nasz atak nie trwał dłużej niż minutę, ale w tym rozkosznym dżganiu i cięciu czas rozciągał się w długie, bezgraniczne spektrum możliwości. Udało mi się zachować zdolność widzenia w tym całym zamieszaniu i wyczuwałem miejsce na zadanie ciosu, zanim ukazywało się moim oczom, potrafiłem czekać i czaić się, a potem precyzyjnie zaatakować i ciąć. Zachowując zimną krew, zauważyłem, kiedy furgonetka zatrzymała się, a hawaldarzy i inspektorzy zaczęli szamotać się z drzwiami. Oderwałem się od wiru walki, cofnąłem się na ławkę i usiadłem.

– Daj mi lambi – rzuciłem do Mitu.

Przewrócił tylko oczami i wcisnął mi w lewą dłoń lambi, który trzymał schowany wewnątrz swojej niebieskiej kartoteki sądowej, wciśnięty między gruby plik papierów, zawiadomień i raportów. Lambi był w rzeczywistości zawiasem z drzwi do łazienki w baraku, ostrożnie odkręconym, a potem ukształtowanym i zaostrzonym na kamieniu, i wyposażonym w rączkę z przewodu elektrycznego. Dzierżąc go w dłoni, ruszyłem na kolanach przez kłębówisko ludzi. Dostrzegłem tego, na którym mi zależało, widziałem jego twarz przykrytą ciemną maską krwi. Uniósł ręce, kiedy zacząłem się do niego zbliżać. Jedno świdrujące pchnięcie, wykonane przez moje ramię, ruch znany mi w pełni, zanim jeszcze go wykonałem. Wbiłem mu lambi w kark. W tym momencie dopadli nas policjanci.

Było ich kilkudziesięciu, przy akompaniamencie głośnych krzyków i wrzawy wyciągnęli nas na zewnątrz. Uśmiechaliśmy się do siebie. Na grzbiecie lewej ręki Dipu widać było rozcięcie.

– Sam się skaleczyłem, bhai – powiedział – ale ich bardziej pokaleczyłem.

– Ćutija – odparłem, z uśmiechem na ustach.

Zaciągnęli nas do ślepych cel. Weszliśmy do wysokiego budynku w kształcie tanki, a następnie do mrocznych cel. Wszystkich więźniów powpychali dwójkami przez niskie drzwi do cel, ale mnie zabrali piętro niżej, przygięli mnie do ziemi, wepchnęli do środka i znalazłem się sam. Wokół było ciemno, bardzo ciemno. W końcu udało mi się rozróżnić dwie betonowe płyty po dwóch stronach okrągłego pomieszczenia, i znajdującą się między nimi dziurę w ziemi. Dwa legowiska i latryna. Spływałem potem. Obmacałem ściany wokół, jak wysoko zdołałem sięgnąć. Żadnych okien, żadnej półki, przełącznika ani wtyczki, zupełnie nic, tylko gładki jak skorupka jajka beton. Przez dłuższy czas siedziałem na prycy. W końcu zdjąłem koszulę i zwinąłem ją w kłębek, by mieć poduszkę. Położyłem się. I zacząłem się śmiać.

Dwa tygodnie trzymali mnie w tej ślepej celi. Przez drzwi wsuwali mi jedzenie i wodę, a ja żyłem sam w tym śmierdzącym piekle. Otaczała mnie ciemność, ta ciemność, która rozrywa serce i szatkuje mózg. Starłem się kontrolować upływ czasu, próbowałem chodzić po celi, żeby się nie rozchorować. Starłem się czuć, kiedy wydawało mi się, że jest dzień, a spać w nocy. Ale bardzo szybko przestałem je rozróżniać. Próbowałem rachować czas na podstawie przynoszonych posiłków, ale oni musieli dawać mi jedzenie, kiedy im się podobało, było zimne i zastygłe, i wiedziałem, że minęło wiele dni i nocy, zanim ponownie słyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi. I w tym wszystkim tylko mój chrypiący

oddech, wdech i wydech, to trwało całe wieki. Otwierałem oczy, wiedząc, że minęła tylko minuta, może dwie. A jednak całą wieczność chodziłem wzdłuż bagnistego wybrzeża. Czekala na mnie kolejna minuta, rozciągając przede mną swoją otchłań. A potem następna. Próbowałem wyobrazić sobie zegar, wbijałem gwóźdź w ścianę i wieszałem na nim złoty zegar, taki z wahadłem, wydawało mi się, że będzie mógł odmierzać dla mnie czas. Ale mój zegar ziewał, rozpływał się i znikał, a jego wskazówki zwijały się i skręcały. Wcześniej słyszałem, że pobyt w ślepej celi może człowieka doprowadzić do szaleństwa, a teraz to czarne pomieszczenie rzeczywiście poddawało mnie ciężkiej próbie.

W tych ciemnościach odwiedziły mnie kobiety. Przeszły przeze mnie, chłodno dzwoniąc łańcuszkami u nóg. Leżałem płasko na plecach, a one przepływały nade mną, migocząc swoimi szczupłymi, pomalowanymi w czerwone wzory stopami i pomarszczonymi kostkami u nóg. Krawędzie ich ghagr delikatnie ocierały moje policzki, a ja czułem ich kroki na piersiach, lekkie jak dotyk szczęścia. Pogrążony w tym mglistym śnie, muskany zwiewnym dotknięciem ich gazy, czułem się wybawiony ze swojego więzienia. Rozmawiały, szemrząc tak, że nie mogłem ich zrozumieć, mówiły szeptem, który zdawał się być cichutką muzyką. Unosiłem się w powietrzu. Umykałem.

Po wyjściu ze ślepej celi nie byłem w stanie stwierdzić, jak długo to trwało, dwa tygodnie czy dwa tysiące lat. Osłoniłem oczy i o nic nie pytałem personelu więziennego ani policjantów. Był wśród nich Parulkar, grubiański i jak zwykle napuszony jak zarozumiały kogut, i pod jego przewodnictwem przeciągnęli nas wszystkich przez więzienne bloki aż do biura naczelnika. Tam, oczywiście, usłyszeliśmy kolejne obelgi i groźby, a także ostrzeżenia o dodatkowych zarzutach i przedłużonych wyrokach. Ale wszystko to było tylko przedstawieniem, ponieważ i oni, i my

wiedzieliśmy, że to nasza wygrana. Potyczka była niewielka, ale ją wygraliśmy.

I niezależnie od tego, jak mała była nasza zdobycz, dla moich ludzi, a także dla mnie, wszystko się zmieniło. Czasami tak to już jest. Dopiero kiedy znalazłem się w samym centrum awantury, którą nam robili strażnicy i Parulkar, doszedłem do siebie. Na biurku stał kalendarz, z którego wyczytałem datę, 28 grudnia. W ślepej celi spędziłem trzynaście dni i jeszcze jedną noc. Czas wokół mnie powrócił na swoje miejsce, rozbrzmiewając dźwiękiem metalu uderzającego o metal. Stałem wyprostowany, nic nie mówiłem i z opuszczonym wzrokiem zachowywałem beznamiętny wyraz twarzy, ale ponownie rosłem w siłę. To wywołane przez nich zamieszanie dowodziło, że starali się odwrócić wynik mojego moralnego zwycięstwa. Wiedziałem, że wszyscy moi ludzie, ci w baraku i ci na zewnątrz, słyszeli o naszej walce, i że dodało im to siłę. Zachowałem spokój. Byłem usatysfakcjonowany.

Dopiero po powrocie do baraku poznałem szczegóły naszego triumfu. Ten sukinsyn, któremu przebiłem kark, był jednym z najważniejszych rewidentów Sulejmana Isy, bezpośrednio podlegającym ludziom w Dubaju. Jakimś cudem ten maderćod przeżył, ale wciąż był w szpitalu, pokryty długimi śladami szwów. Lekarze prognozowali, że już zawsze będzie musiał żyć z uszkodzonym nerwem. Pozostali powrócili do baraku z głowami ogolonymi i obwiązanymi bandażami, i kiedy tylko moi ludzie znajdowali się w pobliżu ich okien, rozlegały się żarty i śmiechy:

– Czy kogoś boli głowa? Czy ktoś potrzebuje ćampi?

Nasze obrażenia były znikome: drobna rana Dipu, a Kataruka miał rozciętą prawą łydkę, prawdopodobnie zrobili to Dipu lub Mitu, dziko wymachując nożykami w furgonetce. Ale wszyscy wyglądali na otepiałych pobytem w ślepej celi. Mitu drżał na całym ciele, starał się pohamować, ale



i tak dygotał, pomimo popołudniowego upału. Musiałem przejąć dowództwo.

– W porządku – powiedziałem do tłoczących się wokół chłopaków. – Świętować będziemy później. Dajcie nam herbaty. Wszystkim należy się kąpiel i odpoczynek. Przygotujcie wodę.

Wykonano moje polecenia. Na koniec ułożyliśmy się kołem, ze stopami skierowanymi do środka, nasze ciała stanowiły szprychy koła, a reszta chłopaków na zmianę nas wachlowała. Mówienie sprawiało przyjemność, miło było patrzeć w krokwie i widzieć światło, zdawać sobie sprawę z upływu czasu. Dipu i Mitu rozmawiali o kobietach, o tym, jak będą cudownie ćodać panienki, kiedy wyjdą na wolność. Kataruka śmiał się z nich.

– Ech, wy ganwarowie – mówił. – Myślicie, że te dziwki z Lamington Road to kobiety? One są behenćodowo gorsze od zwierząt. Równie dobrze możecie sobie ćodać pierwszą lepszą sukę, którą zobaczycie grzebiącą w śmietniku. Nigdy nie zaznasz z kobietą prawdziwej przyjemności, jeśli nie będziesz się do niej zalecać, jeśli ona się w tobie nie zakocha i nie odda ci się z własnej woli. Dziewczyna ze szkoły prowadzonej przez siostry zakonne, dobrze wychowana, wstydliva, skryta – to prawdziwa gratka dla mężczyzny. Ale po co ja wam to opowiadam, wy nigdy nawet na krok nie zbliżycie się do takiej dziewczyny.

Wtedy oni, ci moi wspaniali, groźni bracia daku, zaczęli go oczywiście prosić i błagać, żeby ich poinstruował. Słuchałem, jak Kataruka dalej opowiada, a on przez cały wieczór wprowadzał ich w tajniki uwodzenia.

– Kiedy się do niej zalecasz – mówił – musisz być Kiśorem Kumarem. I nie chodzi mi tylko o to, że śpiewasz piosenki Kiśore, wcale nie. Głos Kiśore Kumara powinien przez ciebie przechodzić, a ty musisz stać się właśnie tak pewny siebie, tak szczęśliwy, zabawny i rozpromieniony.

Mówię ci, szefie, jeśli uda ci się to zrobić, ona z radością do ciebie przyjdzie. I wtedy, gdy to już się wydarzy, kiedy już ją będziesz miał, wtedy masz śpiewać Mohammeda Rafiego, i tylko Rafiego.

– Dlaczego? – zapytał Mitu, ziewając. – Jak już załatwi się pelo, po co śpiewać?

Kataruka dźwignął się, usiadł i wyciągnawszy rękę, postukał palcami Mitu w głowę.

– Posłuchaj, gandu. Posłuchaj mnie uważnie. Śpiewasz Rafiego, ponieważ w przeciwnym razie już nigdy więcej nie będziesz jej pelo. Rafi jest twoją królewską drogą, którą możesz powrócić do jej ćut. – Odwrócił się do mnie. Śmiałem się. – Co zrobimy z tymi burakami, bhai?

Pokręciłem głową.

– A po Rafi, co potem śpiewamy?

– Tak, oto człowiek, który zna życie – powiedział Kataruka. Już zdążył na powrót wyciągnąć się na ziemi. – Kiedy to się już skończy, kiedy ona już cię zostawi albo ty ją zostawisz (słuchacie mnie, ćutija?), kiedy czujesz, że serce wyskakuje ci przez gardło, wtedy śpiewasz Mukeśa. Wtedy Mukeś jest twoim jedynym wyjściem, jedynym sposobem na to, żeby dożyć następnego monsunu. Mukeś cię uzdrowi, żebyś mógł ponownie zacząć śpiewać Kiśor. Żebyś miał kolejną szansę. Rozumiecie, sukinsyny? Kiśore, Rafi, Mukeś.

Mitu i Dipu skinęli głowami, ale ja wiedziałem, że niewiele z tego rozumieją. Byli zbyt młodzi, żeby wiedzieć, że może być potrzebny Rafi, a tym bardziej Mukeś. Ale uśmiechali się, tymi swoimi wielkimi zębami jak u królika.

– Posłuchajmy Kiśor – zaproponowałem.

Ten wieczór był do tego odpowiedni. Wszyscy byliśmy szczęśliwi.

Okazało się, że najpiękniejszy głos ma Date.

– „*Khwab ho tam ja koi hakikat, kon ho tum balato*”<sup>20</sup> – zaśpiewał. A potem: – „*Khilte heguljaha, khilake bikharane ko, milte he diljaha, milke bićharne ko*”<sup>21</sup>.

Cały barak umilkł i słuchaliśmy jego śpiewu. Kiedy tylko kończył jedną piosenkę, podnosiły się krzyki z prośbą o następne, prośby o ulubione kawałki i rozbrzmiewał śmiech. Dołączył do niego chórek chłopaków i dwóch muzyków, którzy zamiast na tabla, grali na pustych puszkach po oleju roślinnym Dalda. Śpiewając, Date trzymał dłoń przy uchu, jak jakiś zawodowiec, a ja między piosenkami dowiedziałem się, że jako dziecko uczył się muzyki, że pochodzi z rodziny muzyków, jego ojciec był trębaczem w zespole grającym po weselach, aż starość odebrała mu moc z płuc, a marzeniem Date było zostać piosenkarzem nagrywającym piosenki do filmów. Zaśpiewał „*Pagghungru bandh Mira naci thi*”<sup>22</sup> i „*Je dil na hota bećara*”<sup>23</sup> i w końcu nadeszła pora kolacji.

Jeszcze tej samej nocy Date przyszedł do mnie i trącił mnie łokciem w ramię.

– Bhai – zagaił. – Nie możesz spać? – Przewracałem się z boku na bok, próbując znaleźć odpowiednią pozycję, która pozwoliłaby mi zapaść w sen. Staralem się oddychać równo, głęboko.

– Co tam, Kiśorze Kumarze? – zapytałem.

– Problem polega na tym, bhai, że potrzebujemy kobiet.

– To jasne, że potrzebujemy kobiet, sala. Załatwisz mi kobietę, maderpat? Z tamtego baraku?

– Nie, nie, bhai. To niemożliwe. Strażnicy na to nie pójda, zbyt wielkie ryzyko. Oni nie mają tam dostępu. Tak jest we wszystkich więzieniach. Coś takiego zdarzyło się tylko raz. Pamiętasz tę kobietę Kamardun Khan?

– Przemycała narkotyki, tak?

– Tak, ona była wolnym strzelcem, jej specjalnością był brown sugar. Siedziała w więzieniu na Arthur Road, a jej chłopak, Karan Pradhan, w męskich barakach.

– Ten z Firmy Nawlekar?

– Tak, to ten Karan. Bhai, Kamarudun Khan była zakochana w Karanie Pradhanie. Wspinała się na otaczający barak trzymetrowy mur i zeskakiwała na teren bloku więziennego. Przekupywała strażników i nadzorców, i chodziła do męskiego baraku, każdego tygodnia spędzając tam wiele nocy ze swoim chłopem.

– Co za kobieta.

– Powiadano, że dawała też wartownikom, tylko po to, żeby być z Karanem Pradhanem.

– To jest miłość.

– Kiedy wyszli na wolność, dała mu samochód. Nowiutką contesse.

– On potem zginął?

– Dorwali go ludzie z Dubaju, w jego garażu. Zabili go w tej contessie.

– A co z tą kobietą?

– Oszalała. Próbowwała walczyć z Sulejmanem Isą. Nauczyła się strzelać z pistoletu, związała się z jakimś inspektorem policji. Myślała, że ten inspektor pomoże jej się zemścić.

– Ale?

– Ludzie z Dubaju zadźgali ją. Mówi się, że to ten inspektor sprzedał ją Firmie S, powiedział im, gdzie mogą ją znaleźć.

– To prawdziwa tragedia.

Westchnął. Przez chwilę myślałem, że zanuci piosenkę Mukeśa. On jednak pozbiierał się i rzekł:

– W tej historii jest i dramat, i wielkie uczucia, i tragedia.

Obaj zaczęliśmy rechotać. Chichotaliśmy tak długo, że w końcu chłopcy zaczęli się śmiać z naszego śmiechu, z naszego szaleńczego zapamiętania.

– Widzę – odezwałem się – że w Firmie Nawlekara są chłopcy tak przystojni i tak odważni, że kobiety skaczą dla nich przez mury. A co moi chłopcy zrobią dla mnie?

– Nie mogę załatwić ci kobiety – powiedział Date. – Ale jest ten drugi barak.

Wiedziałem, oczywiście, o którym baraku myśli.

– Pomieszczenie babów?

– Bhai, tam jest taki jeden chłopak – powiedział – który ma wprost niewiarygodny tyłeczek, jak go zobaczysz, będziesz zaklinał się, że to gand Mumtaz.

– Ile? – zapytałem.

– Pięćset dla strażnika, pięćset dla wartownika. Jakieś sto dla tego gadi.

– W porządku. Załatw pięciu gadi.

– Pięciu, bhai. Po jednym dla ciebie, Kataruka i dla mnie?

– I po jednym dla naszych bohaterskich braci.

– Ale Mumtaz jest twój, bhai. Poczekaj, sam zobaczysz.

Odliczyłem pieniądze i nie minęło pół godziny, a już ich przyprowadzono. Chwilę później w ciemnościach rozległy się odgłosy głośnego sapania i pieprzenia. Gadi pod moimi palcami rzeczywiście kojarzył się z Mumtaz. W początkowym okresie mojego pobytu w mieście, kiedy mieszkałem na chodniku i spałem na betonie, zdarzało mi się brać chłopców. Ale teraz już dużo więcej wiedziałem o kobietach, zamknąłem więc tylko oczy i widziałem Mumtaz. Jęczała pode mną. Kiedy już skończyłem, poczułem odprężenie i spałem jak zabity.

Następnego dnia rano w swoim tiffinie znalazłem telefon, zawinięty w plastik i dobrze ukryty w ryżu. Przypominał małą cegielkę, ale był zwarty,

ciężki i wyposażony we wtyczkę. Date i Kataruka usiedli obok mnie, a ja zabrałem się do odwijania plastiku. Do telefonu przyczepiony był recepturką zwitek papieru.

„Włącza się przyciskiem PWR. Wybierz 022, potem mój numer i wciśnij OK” – brzmiała instrukcja napisana ręką Bantiego. Tak zrobiliśmy, a on odebrał po pierwszym sygnale.

– Kto mówi? – zapytał.

– Twój bap.

– Bhai!

– Skąd ty to masz?

– Właśnie przypłynął, bhai. Jest bardzo drogi. Ale fajny, co nie?

– Bardzo fajny.

– Ty pierwszy w mieście to masz.

– Naprawdę?

– No dobra, może jako drugi albo trzeci.

Oczywiście przesadzał. Prawdopodobnie wtedy, w tych dawnych czasach, telefony komórkowe miało już kilkudziesięciu bogatych sukinsynów, ale to nasza firma jako pierwsza zaczęła ich tak powszechnie używać. A ten mój aparat, w więzieniu, był naszym pierwszym. Byłem bardzo zadowolony z Bantiego i powiedziałem mu to. Lubiłem takich ludzi jak on, ludzi zawsze patrzących w przyszłość, idących z duchem czasu. Rozmawialiśmy o interesach. Mieliśmy wiele kwestii do omówienia. Trzeba się było zająć sprawami bieżącymi: zbieraniem pieniędzy od różnych zakładów i przedsiębiorstw, naszymi udziałami w nieruchomościach, importem elektroniki i części komputerowych, inwestycjami w przemysł rozrywkowy. A do tego ten wyjątkowy projekt przemytu broni, wymagający specjalnej troski, nasze plany musiały być niezawodne, musieliśmy zwrócić wyjątkową uwagę na szczegóły. Przerzuty

organizowaliśmy tylko raz na pół roku, ale zawsze wartość ładunku wynosiła wiele krorów, a sam towar był ciężki, i do tego trudny do ukrycia i transportu. Jak na razie wszystko nam się jednak w pełni udawało i klient był z nas zadowolony. Korzystaliśmy wyłącznie z moich dawnych znajomych, Gastona i Pascala, transport odbywał się ich łodzią z minimalną załogą. A moja firma dzięki tej działalności była lepiej wyposażona. Ufaliśmy w swoje siły. Wielokrotnie to z Bantim omawialiśmy, i dla bezpieczeństwa używaliśmy szyfru: kałasznikowy to były dżharu, pociski to cukierki, a trawler to autobus. W tych wszystkich interesach z bronią naszym jedynym klientem był Śarma-dzi, który zawsze był punktualny, zawsze terminowo regulował pokaźne płatności, zawsze doskonale ubrany w swoje idealne, białe dhoti. Banti był zadowolony ze współpracy z Śarmą-dzi, a ja też nie miałem żadnych zastrzeżeń. Pozostawała jeszcze kwestia naszego zaangażowania we wspieranie kilku współpracujących z nami małych firm, które zajmowały się przerzutem narkotyków przez Bombaj, do Europy i jeszcze dalej. W przeszłości Banti namawiał nas, żebyśmy bezpośrednio zaangażowali się w przemyt narkotyków, ze względu na wielkie pieniądze i żeby przełamać dominację Pasztunów w tej dziedzinie. Ale ja zawsze byłem temu przeciwny – wobec braku lokalnej produkcji pieniądze nie były na tyle duże, żeby usprawiedliwiać rezygnację z wartości reklamowej hasła: „My nie zajmujemy się narkotykami”. A przełamywanie dominacji dla samej przyjemności przełamywania to młodsze głupota. Dojrzałem na tyle, żeby wiedzieć, że zbyt szybki i zbyt gwałtowny wzrost może doprowadzić do kryzysu firmy. Musimy się umacniać, przede wszystkim umacniać, często powtarzałem Bantiemu. I dlatego teraz powiedziałem mu, żeby dalej działał i zapewniał wsparcie logistyczne i zbrojne handlarzom narkotyków. Ale bądź ostrożny, powiedziałem mu, musimy trzymać się od tego z daleka.

- Tak, bhai. Chyba niedługo wyczerpie ci się bateria, bhai – powiedział.
- Czy coś jeszcze?
- Chcę tu mieć telewizor – odparłem. – I porządną świątynię.
- Nie ma sprawy. Mogę ci to dostarczyć dzisiaj po południu. Ale załatwienie zezwolenia może zająć trochę czasu.
- Tym się nie martw – odrzekłem. – Tylko podrzuć to wszystko pod główną bramę.

Wyłączyłem ten niebezpieczny, mały telefon, bardzo zadowolony z jego kształtnych boków, z tego pulsującego cienkiego paska wskazującego siłę sygnału. Przywołałem skinieniem Date.

- Naładuj go – poleciłem. – I powiedz wartownikowi, że chcę się widzieć z naczelnikiem. Dziś po południu, nie później.

Po obiedzie położyłem się, żeby odpocząć, i rozmyślałem o Bantim. Był człowiekiem skromnym, nie wyglądał zbyt imponująco, ale był inteligentny i diablo opanowany w trudnych chwilach. Towarzyszył mi od dawna i powoli piął się w górę, aż stał się najbliższym mi człowiekiem w całej firmie. Szybko awansował, ale nie czułem się przez niego zagrożony. Wiedziałem, że jest ambitny, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że jego aspiracje sięgają jedynie do takiego poziomu, który gwarantuje mu życie na odpowiedniej stopie i szacunek; nie zależało mu na dowodzeniu własną firmą. Nie obawiałem się, że będzie chciał zająć moje miejsce czy też opuści mnie, żeby założyć własną działalność. Dlaczego taki był? Dlaczego zadowalało go to, że zawsze jest zastępcą, skoro ja zawsze chciałem być przywódcą? Nie byłem od niego ani silniejszy, ani przystojniejszy, ani też bardziej przebiegły. Pragnął kobiet tak samo jak ja, ani mniej, ani więcej. Dorastał przy owdowiałej matce, z dwoma braćmi i siostrą, i ta jego rodzina zawsze balansowała na skraju ubóstwa. Ale ja też musiałem przetrwać bez grosza przy duszy. W dużym stopniu byliśmy do



siebie podobni, a jednak to on był moim zaufanym pomocnikiem, ja zaś dowódcą. Co rano czekał na moje polecenia i z zadowoleniem je przyjmował. Dlaczego? Przywołałem w myślach twarz Bantiego, ten jego pendzabski nos i dyndający lok na czole, chropawy głos i pochyloną do przodu postać, i nie umiałem znaleźć żadnej odpowiedzi, oprócz tej najprostszej: niektórym ludziom pisana była wielkość, a innym torowanie drogi tym wielkim. To żaden wstyd być Bantim. Był porządnym człowiekiem, który wiedział, gdzie jest jego miejsce. Zadowolony z tego wniosku odprężyłem się, powoli zapadając w drzemkę. Ale po chwili usnąłem i zanurzyłem się głębiej, we wspomnienia, w czerń, za którą czaiła się zwalista postać mówiąca wieloma głosami, byłem ogarniętym gorączką dzieckiem, leżałem w ciepłym łóżku, jakaś kobieta uśmiechała się do mnie i podciągała mi koc pod brodę, dotykała mojego czoła, a ja podkurczałem kolana i odwracałem się na bok, w jej stronę.

Siłą woli obudziłem się. Usiadłem. Byłem człowiekiem zajęтым, nie mogłem marnować czasu na mrzonki. Zwołałem ludzi i przeanalizowałem plany na najbliższe tygodnie, poprosiłem ich o sugestie, jak można by poprawić warunki życia w baraku, i wysłuchałem skarg na adwokatów i sędziów.

Tego samego popołudnia, o trzeciej, spotkałem się z naczelnikiem Adwani w jego biurze. Siedział pod zdjęciem Nehru i pouczał mnie w tym swoim wyszukany hindi.

– Był to bardzo niefortunny incydent – powiedział. – Musimy współpracować w celu zapobieżenia takim wypadkom w przyszłości. Dla nas obu konsekwencje są przykre.

Przez cały czas tylko go obserwowałem. Pozwoliłem mu mówić, patrzyłem mu w oczy, wytrzymując jego spojrzenie. Po chwili stracił pewność siebie, odwrócił wzrok i mówił dalej. Nie spuszczałem oczu z jego

pomarszczonej małej czaszki, i po chwili zaczął już mówić wolniej, odchrząknął i wreszcie przerwał. Nad naszymi głowami przez cały czas tykał regularnie wentylator, Adwani jeszcze raz spróbował zmierzyć się z moim gniewnym spojrzeniem, ale ostatecznie poddał się, przegrywając tę potyczkę. Był zlany potem.

– Czy mógłbym coś dla pana zrobić, Adwani–saab? – zapytałem, bardzo uprzejmie. – Czy mógłbym zrobić coś dla pańskiej rodziny?

Powoli pokręcił głową i zakaszłał. W końcu udało mu się wydobyć z siebie głos.

– W czym mógłbym ci pomóc, bhai?

– Cieszę się, że my... jak to było?... ach tak, współpracujemy. A co do potrzeb... ludzie w baraku są znudzeni, potrzebują informacji i rozrywki. Dlatego też dziś po południu przyjedzie telewizor. Potrzebne nam więc podłączenie do prądu i kabel z sygnałem. I jeszcze świątynia.

– Ależ to doskonale. Duchowość i informacje, jedno i drugie pomaga stać się lepszym obywatelem. Oczywiście, że wydamy zezwolenie. To bardzo rozsądne podejście.

Widać było, że bardziej stara się przekonać sam siebie, niż mnie pochwalić. Czuję obrzydzenie, patrząc na jego długie, niespokojne ręce na biurku, na ten jego mdły uśmiezek. Istoty ludzkie są słabe, żalosne. Jak taki człowiek mógł zostać naczelnikiem więzienia? Z pewnością miał wujka, który już kilka lat spędził na służbie, i kuzyna, który znał jakiegoś MLA. Właśnie tacy ludzie zapełniali posady administracji państwowej. To oni wszyscy stanowili materiał, nad którym przyszło nam pracować na tym świecie.

– To pańskie podejście – odparłem. – To pan trzy tygodnie temu mi to zasugerował. Chciał pan poprawić warunki w więzieniu. Ja tylko dostarczam, co trzeba.

Pół minuty nad tym się zastanawiał, zanim zrozumiał, taki z niego był maderpat osioł.

– Ach, tak, tak – odezwał się. – Dziękuję, bhai.

– Czy mógłbym panu w czymś pomóc, Adwani? – zapytałem, dosyć ostro. – Proszę tylko powiedzieć.

– Nie, bhai. Naprawdę, nie.

– Może pieniądze?

Na te słowa wpadł w panikę. Rozejrzał się po biurze, jakby ktoś mógł kryć się za szafą. Ale ten mój manewr był zbyt oczywisty i zbyt bezpośredni. Wszyscy chcą pieniędzy. Z pewnością by wziął, ale ja byłem zbyt znany i każdy oczywisty związek z moją osobą mógł zrujnować jego karierę. Musi się nad tym zastanowić, trzeba powoli przyzwyczaić go do tej myśli.

– Może coś innego? Rekomendacja do przełożonego? Przyjęcie córki do dobrej szkoły? Dodatkowe łącze telefoniczne w domu?

– Nic – odparł. – Z radością będę z tobą współpracował dla poprawnego funkcjonowania więzienia. Nic więcej.

Trzymał teraz ręce na kolanach, starając się zachować bardzo wyprostowaną postawę, i choć powiedział, że niczego nie potrzebuje, w jego oczach dostrzegłem ten błysk bólu, pojawiający się, kiedy niespodziewanie oferuje się człowiekowi spełnienie najskrytszych marzeń, ale jemu brakuje odwagi, aby z tego skorzystać. Już wcześniej to widywałem, to ukłucie pragnienia, to wahanie, nim człowiek ulegnie pożądaniu. Dysponowałem mocą dawania mężczyznom i kobietom tego, czego chcieli, sięgania do ich wnętrzości i wydobywania na światło dzienne tych najbrudniejszych, małych marzeń, które przez całe życie skrywali, a potem ich urzeczywistniania. To ich przerażało. Przy mnie ludziom rozwiązywały się języki, mężczyźni mówili mi, że chcą

zamordować swoich ojców, kobiety wyznawały, że pragną, aby bracia rozkradający ich mienie zostali pobici. Wiedziałem więc, jak postępować.

– Proszę opowiedzieć mi o sobie, Adwani saab – powiedziałem. – Skąd pan pochodzi?

Cała jego samokontrola załamała się w wielkim uśmiechu ulgi.

– Urodziłem się w Bombaju, w Kharze. Ale mój ojciec pochodził z Karaczi. Wszystko stracili podczas podziału kraju. – Opowiedział mi o swojej matce, również pochodzącej z Karaczi, i o tym, jak się rozdzielili z ojcem w płonącym pociągu, a także o tym, jak ponownie spotkali się na peronie w Delhi. – To było jak w filmie – mówił. – Stali na różnych peronach, na czwartym i trzecim, i kiedy odjechał pociąg Amrytsar Mail, zobaczyli się. Papa-dzi rzucił się do niej przez tory. – I ciągnął dalej, dokładnie opowiadając o tym, jak osiedlili się w Bombaju, o narodzinach dwóch synów i trzech córek, a także o swoich latach spędzonych w National College. Mówił o tym, jak to musiał się zмагаć w życiu, aż w końcu założył własną rodzinę. Ja tymczasem chodziłem po jego biurze, zaglądając do szafek, przerzucając jego kartoteki. Nie było tam zdjęć jego rodziny, tylko jedna fotografia, na której był on i Radź Kapur. Opowiadał o swoich dzieciach, o małżeństwie córki z chłopakiem mieszkającym w USA, aż w końcu powrócił do opowieści o swoim ojcu, który znał gwiazdy filmu. – W Karaczi Papa-dzi znał sahiba Prana – mówił. – Razem grali w krykieta. – I tak Prań stał się langotija jarem jego Papy-dzi, a cała rodzina wielokrotnie odwiedzała plany jego filmów. Spotkali wiele gwiazd.

– Spotkałeś kiedyś Mumtaz? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Dwa razy. Are, ona była piękna. Bo wiesz, niektóre z tych postaci z filmów to tylko oświetlenie i makijaż. Wszyscy ślicznie wyglądają na ekranie, ale kiedy widzi się ich w rzeczywistości, człowiek od razu zdaje sobie sprawę, że to tylko pozory, gdyby nie te ich wielkie

nazwiska, nikt nie zwróciłby na nich uwagi w pociągu. Ale muszę powiedzieć, że Mumtaz to było coś, słodka jak rasgulla, coś za karnacja, krągłutka jak jabłuszko. – Dłońmi wykonywał małe, koliste ruchy.

Tu go miałem. Nachyliłem się do niego przez biurko i szepnąłem:

– Adwani saab, czy skosztował pan kiedyś takiego jabłuszka? – Roześmiał się i pokręciwszy głową, wyrzucił ręce w górę, lekceważąc moją uwagę. – Nie, poważnie, mówię zupełnie serio, jest wiele takich gwiazd, które można by załatwić.

– Nie – powiedział. – Nie, ja w to nie wierzę. Wszyscy tak tylko mówią.

– Sugeruje pan, że ja kłamię?

– Nie, skądże. Ale...

– Proszę się nie martwić, Adwani saab. Proszę tylko poczekać, sam pan zobaczy. Przyniosę jakieś jabłuszko.

Krygował się, jękał i protestował, jak gość, który z grzeczności odmawia przyjęcia podarku od gospodarzy, ale ja byłem pewien swego. Zostawiłem go i wróciłem do baraku. Zadzwoiłem do Bantiego i powiedziałem mu, że potrzebujemy gwiazdy filmowej dla pracownika więzienia.

– Ale, bhai – powiedział. – Skąd ja wezmę gwiazdę?

– Sukinsynu – odparłem – jesteś królem Bombaju i nie możesz załatwić gwiazdy filmowej? Ćutija. Zadzwoń do tej kobiety.

– Do jakiej kobiety?

– Ćhota Badrija załatwiał od niej dziewczyny. Sprawdź w jego notesie, znajdziesz tam jej numer. A jeśli nie tam, to na pewno zanotował go w jakimś innym miejscu. Odszukaj ją. To była jakaś Dźodźo, czy Dźudźu, coś w tym stylu.

– Tak, bhai. Coś jeszcze, bhai?

Nie odzywałem się. Było coś jeszcze, coś kłopotliwego, co uderzało w tryby mojego mózgu, jak jakiś mały kamyczek. Nauczyłem się zwracać

uwagę na takie ledwo odczuwalne sygnały zaniepokojenia. A Banti nauczył się czekać. Pozwoliłem temu problemowi wypłynąć na powierzchnię.

– Dobra, Banti. Jest coś jeszcze. Chodzi o tego Śarmę–dži. Powiedz mi, czy kiedy on nam płaci, kiedy odbiera towar, czy jest z nim ktoś jeszcze?

– Są kierowcy furgonetek lub ciężarówek, kilku strażników. Samochody mają rejestrację z UP.

– Czy wiemy o nim coś więcej, kto za nim stoi?

– Nie, bhai.

– Musimy się więcej dowiedzieć. Nie podoba mi się to, że robimy interesy z ludźmi, o których nic nie wiemy. Sprawdź to.

– Zgoda, bhai.

– Tylko uważaj. Oni nie mogą się niczego domyślić. Nie spiesz się, ja mogę poczekać. Zrób to powoli, ale się dowiedz.

– Jasne, bhai.

Uciałem sobie popołudniową drzemkę. A kiedy się przebudziłem, moi ludzie wnieśli świątynię i telewizor. Aż ośmiu ich trzeba było do niesienia świątyni. Wykonana była z marmuru i miała specjalną granitową podstawę, dla dodania odpowiedniego ciężaru. Znajdował się tam pełen gracji posążek Kryszny, grającego na flecie, z powiewającym za nim złotym dhoti. Bóg zastygł w bezruchu na wielkich palcach stóp, z jedną stopą skrzyżowaną za drugą. Tańczył. Chłopcy najpierw ustawili jego świątynię, a potem, przy radosnej wrzawie więźniów, umieścili wewnątrz posążek. Od razu usiedliśmy do pierwszej pudzi. Mitu i Dipu śpiewali bhajan. Date nałożył na moje czoło wielką tika, a Kataruka miał już dla mnie przygotowaną girlandę. Wziąłem tę girlandę i ułożyłem ją u stóp Kryszny.

Potem włączyliśmy telewizor. Zajmowałem miejsce honorowe, na wprost telewizora, umieszczonego wysoko na ścianie, dokładnie pośrodku pomieszczenia. Cały barak usadowił się za mną wielkim półkolem, przy

czym moi ludzie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Włączyliśmy go odpowiedniej porze, na kanale Zee właśnie zaczynał się *Diwar*, Nikt nie dyskutował, wspólnie oglądaliśmy. Wszyscy w baraku już to widzieli, ale podczas projekcji filmu panowała absolutna cisza, z wyjątkiem scen, kiedy kwestie głośno wykrzykiwano, zanim jeszcze bohaterowie je wypowiedzieli, i kiedy rozlegały się wielkie owacje. Wszyscy kibicowaliśmy Amitabhowi, byliśmy z nim, kiedy wspinał się do góry, a kiedy brat inspektor powiedział: „Jest tu ze mną Ma”, cały barak wypowiedział te słowa razem z nim. Film przeciągnął się na porę kolacji, ale po krótkiej rozmowie z moim nowym przyjacielem Adwanim udało się rozwiązać ten problem i kolacja została przesunięta na porę późniejszą, tylko tego dnia. Bo tego dnia byliśmy wszyscy razem, byliśmy jednością.

I tak właśnie upływał mi czas, na poprawianiu warunków życia moich współmieszkańców, na zarządzaniu sprawami firmy. Ten gandu sąd specjalny wciąż odrzucał wnioski o zwolnienie mnie za kaucją, a mój adwokat wciąż je składał. I tak gnilem przetrzymywany przez radź TADA, a moje cierpienia trwały. Codziennie rozmawiałem z Bantim. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile pracy kosztuje zarządzanie firmą: finanse, konta, sprawy prawne, renty, dystrybucja, reklama, zasiłki, sprzęt i transport, wpływy i wypływy kapitału, problemy z dyscypliną. Ale ja miałem zajęcie, ponownie kierowałem firmą, więc dobrze spałem w nocy. Telewizor działał od samego rana, od momentu kiedy wracaliśmy do baraku po odliczaniu. Chłopcy zawsze włączali go na program nadający bhadźany, a ja przez chwilę siedziałem i słuchałem. Potem przełączaliśmy na wiadomości. Pewnego ranka Date podszedł do mnie z kwaśną miną.

- Te sukinsyny landje – odezwał się.
- O co chodzi?
- Słyszałem, jak narzekali na telewizor i świątynię.

– Narzekali? Jak narzekali?

– Mówią, że ty jesteś jednak hinduski don. Stawiasz wielkie świątynie i telewizory, żeby słuchać bhajanów.

– Nie słyszałem, żeby narzekali, kiedy zeszłej nocy znowu oglądali *Diwar*. – Program emitował ten film na okrągło.

– Prawdę mówiąc, niektórzy z nich narzekali. Podoba im się ten film i Amitabh. Ale mówią też, że tak naprawdę jest to opowieść o Hadżim Mastanie, ale musiano zrobić z niego *Widźaja*, bo tutejszy przemysł nie wyprodukuje filmu o muzułmańskim donie.

– Czyli to jest wina producenta, bo musi się martwić o te wszystkie pieniądze, jakie inwestuje w gwiazdy? A te sukinsyny z własnej kieszeni zapłacą, jeśli film się nie zwróci?

– Oni tacy już są, cała ich dźat jest taka, bhai. Niewdzięczne sukinsyny. A jeśli ty zrobisz coś dla hindusów, zawsze będą uważać, że robisz to przeciwko nim.

Byłem wściekły, ale zastanowiłem się nad tym. Bicie ludzi nie zmieni sposobu ich myślenia, a tu miałem do czynienia z problemem wiary. Mimo zamieszek i eksplozji wciąż pracowali dla mnie muzułmańscy chłopcy. W końcu byłem świeckim donem. *Date* meł w ustach przekleństwa.

– Dowiedz się, czego chcą – poleciłem. – Sprawdź. Może damy im egzemplarze Koranu albo coś takiego. Zróbmy coś dla nich.

– Mówię ci, bhai, oni się nie zmieniają. Zawsze tylko narzekają i narzekają.

– Po prostu to zrób.

Odszedł, z opuszczoną głową i napiętymi barkami. Rozdrażnienie mnie nie opuszczało, czułem je pod skórą. O dziewiątej trzydzieści zadzwonił Banti i dolał oliwy do ognia. Był wściekły na *Dźodźo*.

– Bhai – powiedział – trzeba dać tej suce *Dźodźo* porządną nauczkę.



– A co ona zrobiła?

– Już od tygodni mam z nią kłopoty. Mówi, że nie pośle temu Adwaniemu do więzienia żadnej dziewczyny. I nie chce w ogóle rozmawiać o cenie. Ale chodzi o to jej całe podejście, bhai. Jakby była jakąś wielką szefową, nikogo się nie boi. „Jeśli nie chcesz robić interesów, to nie rób” – powiedziała mi. Zapytałem ją, czy wie, z kim rozmawia, a ona odrzekła: „Tak, ty jesteś ten mały Banti Ganeśa Gaitondego”. Tak właśnie to powiedziała, bhai. Kiedy ją zwyzywałem, ona zaczęła się śmiać. To wariatka. Już chciałem wyjść i wsadzić jej w gand dwie goli, bhai.

– Ale zamiast tego zadzwoniłeś do mnie. To dobrze, Banti. Zawsze trzeba panować nad sobą.

– To tylko dlatego, że ty mówiłeś, że mamy z nią robić interesy. Nie wiem, jak Badrija z nią wytrzymała. Powiedziałem jej, żeby wyrażała się o tobie z szacunkiem, a ona tylko odparła: „Bo co? Zabije mnie?”.

– Tak powiedziała? I co ty na to?

– Powiedziałem jej, że jest stukniętą randi. A potem zadzwoniłem do ciebie. Pozwól mi dać jej nauczkę. Pozwól, że jej przyłożę, bhai.

– Daj mi jej numer.

– Chyba nie chcesz sam z nią rozmawiać?

– Nie, chcę, żeby cały barak jej zaśpiewał. Dawaj ten numer.

Zadzwoniłem do Dźodźo. Odebrała po drugim sygnale.

– Han? Niemożliwe – powiedziała, na poły w hindi, na poły po angielsku.

Odezwałem się do niej w hindi:

– To tak mówisz dzień dobry?

– Kto mówi?

– Twój bap.

– On umarł przed laty, bidulek.

– Dla niczego nie masz szacunku?

– Mężczyźni są gorsi niż psy. A zwłaszcza mężczyźni, przez których tracę czas. Tacy jak ty.

– Lepiej mnie wysłuchaj.

– Dlaczego?

– Ludzie, którzy mnie złoścą, często poważnie cierpią.

Wybuchnęła śmiechem, zauważyłem, że ten śmiech nie jest udawany, jest niepohamowany i rozbrzmiewający, a i ja, słysząc go, sam zacząłem się lekko uśmiechać.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała. – Co to za pogrożki? Wiem, kto mówi. To sam wielki Gaitonde do mnie dzwoni.

– Posłuchaj, sali. Chcesz skończyć w rowie? Sama wykopiesz sobie dół, zanim ja cię do niego wsadzę.

– To naprawdę dhansu tekst – odparła i znowu ryknęła śmiechem. A po chwili uspokoiła się i dodała: – Chcesz mnie zabić, Gaitonde?

– To nie byłoby trudne.

– Świetnie. No to chodź.

I odłożyła słuchawkę.

Już podniosłem rękę, żeby cisnąć telefonem, ale po chwili ją opuściłem. Nacisnąłem przycisk ponownego wybierania i czekałem.

– Tak? Nie, znowu ty? – odezwała się. Była bardzo spokojna.

– Zupełnie oszalałaś?

– Wielu ludzi tak uważa.

– Masz szczęście, że jeszcze żyjesz.

– Przypominam sobie o tym co rano.

Spodobała mi się. Od tej pierwszej rozmowy, od tego pierwszego razu, kiedy usłyszałem jej głos, zachrypnięty jak głos mężczyzny, polubiłem ją.

Śmiała się ze mnie, a ja ją polubiłem. Postarałem się, żeby mój głos brzmiał surowo, i warknąłem:

– Zawsze byłaś walnięta? Urodziłaś się wariatką?

– Nie, nie, Gaitonde, musiałam ciężko pracować, żeby zwariować. A ty, Gaitonde? Jak się to stało, że jesteś stuknięty?

– Sali, uważaj, co mówisz. – To było niesamowite, byłem wściekły na nią, ale jednocześnie sprawiało mi to jakąś przyjemność. – U mnie wszystko w porządku.

– Tak, jasne. I dlatego siedzisz w więzieniu, zabijasz ludzi na lewo i prawo i zachowujesz się jak Hitler.

– Masz szczęście, że jesteś daleko.

– Jestem pewna, że bez problemu mnie załatwisz, waźniaku. – I znowu wybuchnęła śmiechem, zachłysnęła się tą swoją zaskakującą i rubaszną wesołością.

– Nie marnuj mojego czasu ani baterii – odparłem. – Banti mówił, że robisz problemy.

– Banti to ćutija. Nie wyślę żadnej dziewczyny do tego więzienia. A przede wszystkim kobieta, której byś chciał, nigdy nie przyjdzie do żadnego więzienia.

– Banti to inteligentny człowiek i zrozumiałby cię, gdybyś nie mówiła jak...

– Jak kto?

– Mogłabyś załatwić nam taką kobietę, jakiej potrzebujemy? Jaką gwiazdę filmową?

– Może udałoby się załatwić jakąś aktorkę telewizyjną. Ale nie do więzienia.

– Daj spokój z tym maderćodowym więzieniem.

– To będzie kosztować.

- Wszystko kosztuje. Bądź tylko rozsądna i nie próbuj nas wykorzystać.
- Ja prowadzę uczciwe interesy.
- Jeśli będziesz robić ze mną dobre interesy, na pewno będziesz miała ich dużo więcej.
- W porządku.
- I nie nazywaj mnie już Hitlerem. Nawet nie wiesz, jak ciężko pracuję, żeby...
- Tak, tak, jesteś wielkim dobroczyńcą biednych. Rozdajesz jak król. Ale posłuchaj. Muszę już iść, muszę zająć się swoją pracą. Skontaktuję się z tym twoim Bantim i wszystko ustalę.

I wyłączyła się. Szalona i niezdolna kobieta. Ale znała się na prowadzeniu interesów – załatwiła nam aktorkę telewizyjną, a przynajmniej taką, która od czasu do czasu pojawiała się w telewizji, dziewczynę o imieniu Apsara. Jak się okazało, Apsara była również gwiazdą filmową, grała rolę wampa w kilku filmach z Radheśem Khanną, kiedy on już powoli kończył karierę i z wyglądu przypominał grubego Gurkha. Od tego czasu Apsara pojawiała się to tu, to tam, stając się jedną z tych twarzy, które się pamięta, ale trudno przypomnieć sobie, jak ta osoba się nazywa.

– I za kogoś takiego każesz mi płacić pięćdziesiąt tysięcy? – zapytałem Dźodźo. Transakcję załatwiła z Bantim, ale zadzwoniłem do niej, żeby przedyskutować kwestię ceny. Przyznaję jednak, że była to tylko wymówka. Chciałem z nią porozmawiać. – Przynajmniej załatw nam jakąś prawdziwą gwiazdę z epoki. No wiesz, kogoś takiego jak Zinat Aman<sup>24</sup>.

– Gaitonde, z wami, mężczyznami, zawsze są tylko same problemy. Wyobrażacie sobie, że każdą sławną kobietę można po cichu kupić. Powiadasz, że chcesz kobietę z epoki? To może załatwić ci Indirę Gandhi?

– Co? I ty to do mnie mówisz? Targujesz się ze mną o tę kobietę i mówisz, że ja coś sobie wyobrażam?

– Ten biznes funkcjonuje właśnie dlatego, że mężczyźni wyobrażają sobie różne rzeczy. Biedna Apsara. Potrzebuje pieniędzy.

Okazało się, że biedna Apsara lubi zaglądać do kieliszka, ale upija się na wesoło. Wszystko ustaliliśmy: w następną niedzielę po południu Adwani pojawił się w hotelu Dźuhu Centaur, gdzie spotkał się z jednym z naszych ludzi, który wynajął apartament na nazwisko Mehbub Khan. Adwani dostał w apartamencie drinka, a mój człowiek wręczył mu owiniętą w brązowy papier paczkę z pięcioma lakhami i zostawił go samego. Drzwi otworzyły się i do pokoju lekkim krokiem weszła Apsara, ubrana w białą gararę, wyglądała jak Mina Kumari. Przytyła, ale jej skóra wciąż była błyszcząca i jasna, a Adwaniemu musiało się wydawać, że jest w siódmym niebie. Poprosiła go o drinka, a potem śpiewała mu piosenki. Adwani wyznał, że jest jej największym wielbicielem. Odgrywała przed nim sceny z filmów, a on wcielił się w rolę Radżeśa Khanny w tym ujęciu z *Phulq ki Rani*, w którym kobieta wamp zostaje trafiona kulą, zasłaniając własnym ciałem swojego ukochanego, milionera i playboya. Adwani dokładnie pamiętał cały dialog.

O tym wszystkim dowiedziałem się następnego dnia od Dźodzo. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– I oni grali przed sobą? – zapytałem. – A potem? Czy on w końcu coś zrobił?

– Staruszek ma sporo damy, jak na kogoś tak chudego i starego, tak przynajmniej powiedziała Apsara. Chyba się jej spodobał.

– Ta zapijaczona krowa, ta sali, pewnie myślała, że on jest Radżeśem Khanną. Kobiety są zwariowane.

– Nie bardziej niż mężczyźni.

Razem się śmialiśmy. W tym czasie rozmawialiśmy już codziennie. To jakoś weszło w nawyk: początkowo to ja dzwoniłem do niej, zazwyczaj

rano, po rozmowie z Bantim. Ale pewnego dnia nie zadzwoniłem bo byłem w sądzie. Po powrocie do baraku poszedłem spać i obudził mnie dźwięk telefonu.

– Gdzie byłeś, Gaitonde? – To była ona.

Wdaliśmy się w rozmowę. Po tym zamówieniu na Apsarę prowadziliśmy kolejne interesy. Adwani potrzebował następnych jabłuszek, podobnie jak i niektórzy inni prawnicy, policjanci i sędziowie. Ale podczas naszych rozmów z Dźodźo interesy stanowiły tylko jeden z tematów. Rozmawialiśmy o wszystkim.

Minęło trzynaście miesięcy.

Trzynaście miesięcy może minąć jak z bicia trząśł. Dni upływały niezauważenie. Jeździłem do sądu, zajmowałem się firmą. Wszystko się zmieniało i nic się nie zmieniało. Udało się nam oddalić zarzuty wobec Dipu i Mitu. Date pojechał do więzienia w Nasziku, żeby tam odsiedzieć resztę wyroku, Kataruka wyszedł na wolność. Banti został aresztowany i trafił do naszego baraku. Zmienił się rejestr babów w baraku dzieciaków i teraz miałem nową Mumtaz. Banti wyszedł na wolność. Nadal trwała nasza wojna z Sulejmanem Isą. Zmienił się rząd w stanie Maharasztra, zmienił się rząd w Delhi. Rządziłem w więzieniu i pośredniczyłem w więziennych sporach. Musiałem powołać w baraku komitet, który zajmował się doustalaniem, co będzie oglądane w telewizji, ponieważ wypełnione *Mahabharatą* i *Ramajaną* niedzielne poranki powodowały, że muzułmanie i chrześcijanie czuli się dyskryminowani i chcieli oglądać własne programy, z kolei Tamilowie i chłopaki z Malabaru chcieli oglądać swój program Hot Songs o północy, a Marathowie domagali się regularnego oglądania filmów. Załatwialiśmy muzułmanom na ich święta całe kozy i obiecywaliśmy, że kiedy będą pościć, zadbamy o wszystko, co trzeba, i dopilnujemy, żeby personel więzienny im nie przeszkadzał. Wszyscy byli więc szczęśliwi.

Poza murami więzienia podszyliśmy Adwaniem jego jabłuszka, a on w środku nas gościł, jak umiał, dostosowywał się do naszych potrzeb. Mój syn rósł, zaczął chodzić i podczas cotygodniowych wizyt bawiłem się z nim w biurze Adwaniego, trzymałem go na rękach, wdychając ten wilgotny zapach z czubka jego głowy, a Abhi wiercił się, śmiał i mówił do mnie w językach, których nie rozumiałem. Ja również się zmieniłem, siedząc w więzieniu. Być może z nadmiaru wolnego czasu wyciszyłem się i więcej rozmyślałem, bardziej interesowałem się sprawami świata. Regularnie czytałem gazety, oglądałem w telewizji wszystkie programy informacyjne, niedzielne debaty polityczne, a także amerykańskie filmy w oryginalnej wersji językowej. Z telewizji uczyłem się historii. W więzieniu się wyedukowałem, stałem się człowiekiem świadomym swojej przeszłości, długiej historii ojczyzny. Ale pomimo tej całej mojej rozwagi, a może właśnie z jej powodu, nabawiłem się kłopotliwej dolegliwości: cierpiałem na hemoroidy. Taka drobna niedyspozycja, w zasadzie żadna choroba, ale jakże cierpiałem. Wstawałem w latrynie, drżąc na całym ciele, nieprzytomny z bólu, czując mdłości na widok jasnoczerwonej krwi. Zasięgałem rady lekarzy, zmieniłem dietę, stosowałem zioła zapisane przez osławionych mędrców ajurwedy, ale nic to nie pomagało, wciąż się wilem, skręcało mnie i stale cierpiałem. Bardzo cierpiałem.

– Masz za dużo stresów – powiedziała Dźodźo. – Twoje życie to jeden wielki stres. A w twoim wypadku problem polega na tym, że ten cały swój stres nosisz w swoim gandzie. Musisz się trochę odprężyć.

– Posłuchaj tylko, mój dobry guru – odparłem. – Ja jestem donem. Siedzę w więzieniu, jedni ludzie starają się mnie tu trzymać jak najdłużej, inni próbują mnie zabić. Myślisz, że mogę się odprężyć? Jak niby mam to zrobić?

– Uważasz, że masz bardzo ciężkie życie.

– Nie zaczynaj znowu. Założmy, że się z tobą zgadzam, dobra, muszę się odprężyć. Jak mam to zrobić?

Nakłoniła mnie do regularnych ćwiczeń, a dwa tygodnie później ściągnęliśmy do więzienia nauczycieli jogi. Adwani był bardzo zadowolony z tego pomysłu. W „Bombay Times” pojawił się nawet artykuł o naszym naczelniku, z kolorowym zdjęciem opatrzonym komentarzem opisującym go jako „najbardziej postępowego strażnika więziennego naszych czasów”. Banti i moi ludzie byli bardzo zadowoleni, ponieważ wśród nauczycieli jogi znalazły się dwie kobiety i przez całą godzinę mogli patrzeć, jak one się wykręcają, obracają i naciągają. Uciszyłem jednak te ich chichoty, polecając im skupić się i robić, co należy. Musiałem pokładać nadzieje w jodze, bo gand palił mnie żywym ogniem. I przyznaję, że to skutkowało. Poczulem spokój i odprężenie. A odprężenie czułem nie tylko w mięśniach, ale również gdzieś głęboko w duszy. To całe równomierne wdychanie i wydychanie powietrza poluzowało jakoś drzemiący we mnie węzeł. Mój problem z hemoroidami częściowo ustąpił. Nie chcę cię okłamywać i mówić, że zupełnie się wyleczyłem, ale przynajmniej w siedemdziesięciu procentach czułem się lepiej.

– Widzisz, zawsze mnie słuchaj – stwierdziła Dźodźo, kiedy jej o tym powiedziałem. – Siedemdziesiąt procent to bardzo dużo.

– Tak. Teraz tylko czasami czuję, jakbym przejeżdżał po ogromnej brzytwie.

– Gaitonde, strasznie narzekasz jak na twardziela. Czy potrafisz wyobrazić sobie, co czuje kobieta, kiedy rodzi? – I rozłączyła się.

To był jeden z jej ulubionych tematów – że świat pełen jest cierpienia, najwięcej cierpią kobiety, a ich cierpienie przechodzi niezauważone. „Sukinsyny mężczyźni urządzili to tak, że cierpienie jest obowiązkiem kobiet” – mówiła. „Te wszystkie cierpiące matki w filmach. A kobiety



również są ćutija, że w to wierzą”. Na początku naszej znajomości próbowałem z nią dyskutować. Pytałem, czy uważasz, że mężczyźni nie cierpią? Mogę opowiedzieć ci niejedną historię o mężczyznach wyniszczonych i stojących nad grobem, którzy przez całe życie pracowali za tak marną płacę i za jedzenie, którego nie tknęłyby nawet pies.

Ale ona zawsze miała cztery historie na moją jedną, a ja lubiłem jej słuchać, gdzieś pośród tych nieszczęsnych opowieści znajdowałem smakowite kąski o niej samej. Wiedziałem, że dorastała na wsi, wychowywana przez matkę, że gdzieś żyje jej siostra, z którą nigdy nie rozmawia. Ojciec zmarł przedwcześnie. Kiedy jako młoda dziewczyna przyjechała do Bombaju, mówiła tylko językiem tulu i konkani, zupełnie nie знаła ani angielskiego, ani hindi, ani żadnego innego języka. Mąż siostry Dźodźo uciekł z młodą Dźodźo, powiedział, że zrobi z niej gwiazdę filmową, ale po wielu miesiącach wędrowania między kolejnymi biurami producentów kazał jej oddać się jednemu z nich. Powiedział jej, że wszystkie dziewczyny muszą to robić, kompromis jest ceną sławy i stanowi nieodłączny element tego przemysłu, wszyscy idą na kompromis. Wówczas już to rozumiała i nie protestowała, ale film na zawsze pozostał w sferze marzeń. Później był kolejny producent, a potem następny. Ten jej facet zaczął ją bić. W tym czasie mówiła już płynnie językiem hindi i trochę po angielsku. Postanowiła więc uciec. Facet znalazł ją i znowu zaczął ją bić. Złamała mu szczękę tłuczkiem, a po tym wydarzeniu dał jej spokój i zostawił ją samą. Ale wtedy pojawił się problem zarabiania na życie. Walczyła, głodowała, w końcu wróciła do jednego z tych producentów i znowu poszła na kompromis, a potem kolejny raz. Ale teraz uzyskane pieniądze zachowywała już dla siebie i oszczędzała. Trafiła do związku tancerek i znalazła pracę w kilku filmach, występując jako tancerka w dużych produkcjach. Przez moment jeszcze marzyła, że któregoś dnia

zostanie aktorką, tak jak Mumtaz, która zrobiła karierę, zaczynając od zespołu rewiowego i osiągając status gwiazdy, uwiecznianej na gigantycznych fotosach. Ale nie była tak głupia, żeby zbyt długo w to wierzyć. I była na tyle bystra, żeby zrozumieć kwestię popytu i podaży – znała bogatych mężczyzn i znała też młode dziewczyny, które musiały znaleźć sposób na przetrwanie w mieście. Założyła więc własną firmę. Ale jej działalność nie ograniczała się wyłącznie do seksu. Udało się jej załatwić kilku dziewczynom jakieś role. W końcu sama została producentką. Częściowo dzięki własnym pieniądzą, i częściowo dzięki moim, tego roku zaczęła myśleć o wyprodukowaniu serialu telewizyjnego o dwóch młodych dziewczynach, przyjaciółkach ze szkolnej ławy, bogatej pupilce nauczycieli i biednej znajdzie, które po ukończeniu szkoły przyjeżdżają do miasta, a tam spotykają je straszne cierpienia. Dźodźo bardzo wyraźnie określiła warunki naszej współpracy.

– Posłuchaj, Gaitonde – powiedziała. – To są interesy, ni mniej, ni więcej. Wszystkie pieniądze mają być czyste, mam dostać czek. I żadnych machlojek. Jestem ci winna tylko pieniądze, nic więcej. Sam to zaoferowałeś, jako pierwszy, ja o nic cię nie prosiłam.

– Aćca, baba – odparłem. – Nic więcej nie jesteś mi winna. To tylko interesy.

Wysłała mi scenariusz pilotowego odcinka, a ja go przeczytałem. Już nigdy potem nie chciałem czytać żadnego jej scenariusza. Band miał rację. Jak to on powiedział: który mężczyzna chciałby oglądać, jak w każdej kolejnej scenie kobiety płaczą nad jakimiś bzdurami, a potem obejmują się i ściskają? Powiedziałem Dźodźo, że mi się to podoba. Jeśli uważała, że płacz to dobry temat na serial, że kobiety chcą to oglądać, niech jej będzie. Wiedziałem, że pomimo pogody ducha Dźodźo i tego jej zawadiackiego przeklinania bywają dni, kiedy nie wstaje z łóżka, kiedy nie chce z nikim

rozmawiać, kiedy cały świat zdaje się jej spopieloną dżunglą, jednym wielkim krematorium, pełnym maszerujących trupów. Czasami nachodziły ją takie czarne myśli, które udawało się jej przetrzymać dzięki obietnicy ukojenia, jakie niesie śmierć. Powiedziała mi to pewnego ranka.

– Mówię sobie, że jeśli już będzie bardzo źle, to się zabiję. Mam już przygotowane tabletki. W takich chwilach liczę dobre rzeczy w życiu. Ból nie ustępuje, ale wiem, że nie będzie trwał wiecznie, bo mam te tabletki. A potem funkcjonuję przez kolejny dzień. I przez kolejny.

Przerażała mnie. Próbowałem nakłonić ją, żeby poszła do księdza albo do czarownika czy lekarza. Oglądałem w telewizji programy o depresji. Powiedziała mi, żebym pilnował własnych spraw.

– Przeczytaj scenariusz mojego serialu. Może dowiesz się czegoś o kobietach, Gaitonde.

Nie czytałem już jej scenariuszy, ale dalej z nią rozmawiałem. Od samego początku odmawiała odwiedzin w więzieniu.

– Gaitonde, tylko dlatego, że nigdy się nie spotkaliśmy, możemy w ten sposób ze sobą rozmawiać, nie rozumiesz?

Wiedziałem, że ona nie boi się mężczyzn ani seksu. Wprost przeciwnie, spotykała się z mężczyznami, sama ich wybierała i zabierała do łóżka.

– Dlaczego to mężczyźni zawsze muszą wybierać, polować i decydować, z kim będą spać? Zarabiam pieniądze, sama troszcę się o siebie, dlaczego więc nie mogę bawić się, jak chcę? Nie wstydę się tego.

Wybierała więc czasami mężczyzn i prowadziła ich do łóżka. Powiedziała mi to, kiedy już zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi, i mówiła to bez żadnych skrępowań, bez wstydu. A wtedy poczułem, jak za gardło ściska mnie przerażenie zmieszane z podnieceniem, jakbym spadał z dachu w ciemności.

– Ależ to jest obrzydliwe, Dżodžo – wyszeptałem oburzony do słuchawki.

– A niby dlaczego? – natychmiast rzuciła w odpowiedzi. – Ty może sobie ćodać tych chłopaków w więzieniu tylko dlatego, że jesteś mężczyzną i musisz sobie ulżyć? I to nie jest obrzydliwe? A ja jestem? Śmieszny jesteś.

Oczywiście powiedziałem, że to różnica, że przecież ona jest kobietą.

– Zgadza się – odparła – jestem kobietą, a kobieta zasługuje na dziesięć razy więcej przyjemności niż mężczyzna. Nie wiedziałeś o tym?

To akurat było prawdą. Wszyscy o tym wiedzieli.

– I dlatego kobiety, sali, muszą być trzymane w zamknięciu – powiedziałem – bo takie z nich są randi.

Ona wybuchła śmiechem.

– Ale, mój bhai, to ty jesteś zamknięty, a ja nie. Ja jestem wolna.

Była wolna. Brała sobie mężczyzn i nazywała ich swoimi thoku. Rozbawiała mnie historyjkami o nich, o tym, jak płakali, kiedy ich zostawiała, i o rozmiarach ich różnych części ciała, i o ich próżności. Ale ze mną nie chciała się spotkać.

– Ani teraz – powiedziała – ani później. Nie mam zamiaru być jedną z twoich thoku, a ty też nie chcesz być moim. My jesteśmy bhidu, mój bhidu.

Miała rację. Byliśmy przyjaciółmi.

W maju przestało obowiązywać TADA, ale ja pozostałem w więzieniu. Prawo zniesiono dla wszystkich obywateli, ale ponieważ zostałem oskarżony zgodnie z jego warunkami, wciąż wiłem się pod jego butem. Moja sprawa nadal miała być rozstrzygnięta zgodnie z jego zasadami, które nie były żadnymi prawami, tylko arbitralnymi dekretami. Przeklinałem swoich adwokatów i groziłem im, że znajdę sobie innych. Pytałem, czy żyjemy pod dykturą. Czy jako obywatel nie mam żadnych praw? Kim wy

jesteście, najlepszymi adwokatami czy jakimiś bhangi? Za co płacę wam taką furę pieniędzy?

Wreszcie, po tym długim okresie, udało się im wnieść sprawę do Sądu Najwyższego w Bombaju, gdzie stoczyli prawdziwą bitwę, aż do zwycięstwa.

Sędzia powiedział, że zwolni mnie za kaucją, pod warunkiem że nie będę groził rządowym świadkom, nawet nie spróbuję się do nich zbliżyć, zabroniono mi też wyjazdu poza granice miasta i jeszcze kilku innych rzeczy. Zgoda, odparłem, zgoda na wszystko, wysoki sędzie. Nagle znalazłem się na wolności. Rano byłem w sądzie, a potem to wszystko się skończyło i siedziałem w samochodzie mknącym autostradą do domu. To było takie proste. Po chwili siedziałem już w swojej sypialni, obok mnie po lewej Subhadra, a mój synek biegał wokół łóżka. Panowała zdumiewająca cisza, pokoje w domu sprawiały wrażenie ogromnych, dużo większych, niż je pamiętałem. Przyszli do mnie goście, ale Kataruka trzymał ich z daleka. Wiedział, co trzeba robić, kiedy się idzie do więzienia i kiedy się z niego wychodzi. Uparł się, że przyjęcie, goście i to całe zamieszanie nie jest dobrym pomysłem, choć może się wydawać czymś bardzo odpowiednim. A ja, faktycznie, potrzebowałem spokojnego wieczoru. Zjadłem podaną mi przez Subhadrę kolację, ułożyłem Abhiego do snu. Kiedy zamknęły się drzwi za Kataruka i pozostałymi, wyciągnąłem rękę do Subhadry. Posłusznie przyszła do mnie, a ja rzeczywiście dotarłem do domu.

Kiedy zasnęła, wstałem, włożyłem kurtę i uchylilem drzwi. Poszedłem na dach, na swoje stare miejsce, wysoko na zbiorniku z wodą. Noc była mglista, bezgwiezdna, widziałem tylko słaby blask rozrzuconych świateł. Miałem dwadzieścia siedem lat i znowu byłem w domu. Czułem ten dawny zapach, woń oleju, dymu i odpadków, lekko drażniący nozdrza, ale żywy, tak pełen życia. Wciągnąłem go w płuca i zadzwoniłem do Dźodzo.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Gaitonde.

– Wszedłem.

– Wiem.

– Spotkasz się ze mną?

– Nie. Jak się ma Subhadra?

– W porządku. Nie rozmawiajmy o niej.

– Dobrze. Nie będziemy o niej rozmawiać.

– Czyli nie chcesz się ze mną spotkać?

– Zdecydowanie.

– Mógłbym kazać cię porwać i przywieźć tu do mnie.

– Mógłbyś. Zrobisz tak?

– No, dobra. Nie zrobię.

– Cieszę się. Wiesz co, Gaitonde, wyślę ci dziewczynę.

– Co zrobisz?

– Gaitonde, nie udawaj przede mną wstydliwego. Wiem, czego ci potrzeba. Spodoba ci się. Kosztowna, ale dla ciebie odpowiednia.

– Czyżbyś wiedziała, czego mi potrzeba?

– Sam zobaczysz.

Faktycznie zobaczyłem. Następnego ranka przysłała mi dziewczynę. Na imię miała Suzie i powiedziała, że ma osiemnaście lat i pochodzi z Kalkuty. Była pół Chinką z Kalkuty, a pół braminką z Bengalu, i miała długie, proste, czarne włosy, smukłe i delikatne ramiona, które krzyżowała i składała, kiedy się śmiała, a jej skóra była jak cienki, biały marmur. Wszedłem w nią i pochyliłem jej głowę, całując ją w kark. Jęczała i przyciskała do mnie pośladki.

Kiedy było już po wszystkim, zadzwoniłem z samochodu do Dźodźo.

– I co, nie mówiłam, Gaitonde? Niezła jest, prawda?

- Tak, tak, miałaś rację.
- Poczekaj tylko, za dwa lata będzie prowadzić program w MTV.
- Możliwe. Ale kiedy byłem w niej, myślałem o tobie.
- Leżysz na osiemnastce i myślisz o tak starej kobiecie, jak ja? Gaitonde, jesteś kretynem, jak połowa mężczyzn na świecie.

Roześmiała się, a ja musiałem jej zawtórować. Wcześniej czekałem na Suzie w małym hoteliku w pobliżu lotniska Śahar, a teraz byliśmy na autostradzie, w drodze do domu. Pojazdy poruszały się szybko, a od dachów samochodów odbijał się blask słońca. Byłem wolny.

- Jest mi dobrze – powiedziałem do Dźodzo.
- Ciesz się – odparła. – Ciesz się, ciesz.

Do domu dojechaliśmy o jedenastej. W więzieniu przyzwyczałem się do wczesnego wstawania, więc byłem już po ćwiczeniach jogi, zdążyłem zjeść i zabawić się z Suzie. Było mi lekko na duszy. Ale niektórzy z moich ludzi ziewali. Posłałem ich do pracy. Pobawiłem się chwilę z Abhim, który chwycił moją twarz i mówił do mnie, gaworzył i wydawał jakieś dziwaczne dźwiękami, starając się coś mi przekazać. Jego gramatyka była uboga, nic nie wiedział o czasie przeszłym i przyszłym, ale słuchałem go całkowicie zafascynowany, a moje serce emanowało miłością. W południe do pomieszczenia, w którym siedziałem z jakimiś petentami, przyszedł Kataruka. Nachylił się nisko i szepnął:

- Przyjechali nau–namberi. Mówią, że muszą zabrać cię na komisariat. Chodzi o przesłuchanie w jakiejś innej sprawie.
- Kto to taki? Znowu ten Madźid Khan?
- Nie, nie znam tych ćutijów. Mówią, że są od Parulkara.
- Sukinsyny. Powiedz im, że jeśli mają jakieś pytania, niech je prześlą do moich adwokatów.
- Już to zrobiłem. Mają nakaz od sędziego pokoju.

– Jasne, a ten sędzia pokoju co noc ćoda ich matki w gand. Powiedz im, żeby zaczekali. Powiedz, że przyjdę, kiedy będę mógł. I ściągnij tu jednego z adwokatów.

– Tak, bhai – Kataruka uśmiechał się. – Te sukinsyny są bezczelne. Chyba nawet nie dam im ćaju.

– Bezczelne?

– Zaparkowali swoją furgonetkę przed samym domem i nie chcą jej przestawić. Bardzo bezczelni, bhai. Dawaj go tu zaraz, w ten sposób mówią. To jacyś komandosi, czy coś takiego, dwóch ma karabinki automatyczne, a jeden dźharu. Zachowują się jak jacyś bohaterowie.

Wszedł, nucąc sobie jakąś piosenkę. Odwróciłem się do moich petentów, rodziców poszukujących pracy dla syna. Nie mogłem się jednak skupić, wciąż myślałem o tym nowym kłopocie. Wizyta komandosów ze stenami i kałasznikowami mogła oznaczać, że pojawiły się jakieś nowe oddziały specjalne, jakaś nowa inicjatywa rządu, który koniecznie chciał sprawić wrażenie, że poważniej zajmuje się przestępczością zorganizowaną. Na dłuższą metę nie miało to specjalnego znaczenia, ale mogło być uciążliwe. Obiecałem moim petentom, że zajmę się ich sprawą, i poleciłem im zgłosić się ponownie za tydzień. Kiedy jeden z moich ludzi otworzył im drzwi, wszyscy wyraźnie usłyszeliśmy gniewne głosy, jakiś krzyk, a potem odpowiedź Kataruki. Mówił głosem ochrypłym i bardzo głośno. Behenćodowa policja, wydzierali się w moim domu. Maderćody. Wstałem i ruszyłem długim korytarzem, odsuwając z drogi rodzinę petentów, matkę, ojca, wujów i syna. Pomimo gniewu docierał do mojej świadomości zapach domu, ta woń cebuli, haldi i oleju z obiadu gotowanego w kuchni. Wciągnąłem ten zapach w piersi.

– Dawaj tu zaraz Gaitondego – ryczał policjant. Zasłaniała mi go garstka moich ludzi i innych gości, wszystkich tu ściągnęła ta kłótnia, ale między



nimi widziałem ramiona i twarz policjanta, a za nim drugiego, a także długi błysk kałasznikowa.

– Jak będzie mógł, to przyjdzie i się z wami zobaczy – odparł Kataruka, równie głośno i z oczami nabiegłymi krwią, podobnie jak ten policjant.

Przecisnąłem się przez stłoczonych ludzi. Chciałem dołączyć do tego krzyku.

Widziałem dwóch policjantów, ale tylko dwóch. Przede mną stał Dipu, z którego zrobił się już, po okresie służby u nas, wytworny mieszczuch z elegancką fryzurą.

Mijając go, zapytałem:

– Ilu ich tu jest?

– Czterech, bhai – odpowiedział mi prosto do ucha. Dostrzegłem teraz trzeciego policjanta, stojącego po lewej. Z ramienia zwisał mu gotowy do strzału karabinek, a on trzymał palec na spuście. Nagle dotarło do mnie: czterech policjantów, tylko czterech, uzbrojonych w broń automatyczną, a pozostali w furgonetce, wysłani po Ganeśa Gaitondego. To nie miało sensu. Krzyczący policjant nachylił się jeszcze bardziej w stronę Kataruki i wtedy mnie zauważył. Nasze spojrzenia spotkały się. Odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki.

Biegłem nisko skulony, pośród strzałów z karabinów, mijając padające na lewo i prawo w korytarzu ciała, wśród krzyków i wrzasków. Po chwili dotarłem do sypialni, po omacku grzebałem za wezgłowiem w poszukiwaniu pistoletu, ale chociaż zamknąłem drzwi za sobą, kule przebijały się przez ściany, rozbryzgując fontanny tynku, a mnie pozostała zaledwie chwila, w której wyskoczyłem przez okno po prawej stronie łóżka. Spadłem między ścianę domu a otaczający go mur, i chociaż zdawałem sobie sprawę, że coś sobie złamałem w rękę, wiedziałem, że muszę rzucić się do biegu. Wybiegłem przez tylną furtkę, dołączyło do

mnie dwóch moich ludzi, którzy poprowadzili mnie w pobliskie uliczki. Dwa razy skręciliśmy, wbiegliśmy do jakiegoś domu, drzwi zatrzęsły się za nami i w trójkę padliśmy plackiem na podłogę, wyczerpani, jakbyśmy przebiegli dziesięć mil.

W pobliżu grzmiały odgłosy strzelaniny, ale teraz oprócz łoskotu kałasznikowów i karabinków automatycznych w odpowiedzi odezwały się pojedyncze strzały. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wszystko się skończyło. Już nie było dźwięków wystrzałów, tylko krzyki, rozlegające się w całym basti krzyki. Ocalałem.

Wszedłem na uliczkę, trzymając się za ramię. Dopiero teraz, idąc, poczułem rozgrzaną pręgę bólu biegnącą przed dolną część pleców, jakby ktoś przeciągnął roztopionym drutem przez moje pośladki.

– Krwawisz, bhai – powiedział ktoś do mnie. Odepchnąłem go i wszedłem do domu.

– Dorwaliśmy jednego z nich – powiedział inny z moich chłopaków.

Rzeczywiście, jednego dorwaliśmy, leżał przy głównej bramie, z nogą podkurczoną pod siebie. Wewnątrz domu, w korytarzu przy wejściu, na sufitach widać było krew, a na ścianach fragmenty tkanki. Dipu leżał martwy, Kataruka też.

Tego dnia w moim domu zginęło siedemnastu mężczyzn, cztery kobiety i jedno dziecko. Ale w tym momencie nie znaliśmy jeszcze tej liczby, widzieliśmy tylko stos ciał. Dopiero kiedy zaczęliśmy ich odwracać i wynosić, dopiero wtedy znaleźliśmy Subhadrę i Abhiego na końcu korytarza, w kuchni, zwiniętych pod przykryciem jej błękitnego sari. Oboje zginęli od tej samej kuli z kałasznikowa, kuli, która przeszła przez futrynę, a potem przez nich. Nie żyli. Moja żona nie żyła. Mój syn nie żył.

Wróciłem do więzienia. Kiedy już założono mi gips na złamany nadgarstek i zszyto mi ranę na pośladku, kiedy spaliliśmy ciała naszych

bliskich, rozważyliśmy stojące przed nami możliwości. Wiedzieliśmy już, że ci policjanci, którzy do nas strzelali, wcale nie byli policjantami, tylko ludźmi Sulejmana Isy, że mundury kupiono w sklepie Maganlal Dresswallas, że furgonetka została skradziona – tak przynajmniej twierdziła policja – z komendy strefy trzynastej. Z pewnego źródła mieliśmy informację, że supari za tę samobójczą misję wynosiło dwa krory, więc każdy z tych czterech maderćodów, którzy przyszli do mojego domu, odszedł bogatszy o pięćdziesiąt lakhów. Ale dwóch nie odeszło, jeden zginął tu na moim podwórku, a drugi zalał wnętrze furgonetki własną krwią, którą z siebie wykrztusił. Zmarł jeszcze tego samego dnia. Ale i tak moi wrogowie nieomal dopięli celu. Nie mogli, co prawda, chlępić się, że zabili Ganeśa Gaitondego w jego własnym basti, w jego własnym domu, ale chwalili się, że uderzyli we mnie w moim własnym gnieździe, że uciekałem przed nimi, że jestem tchórzem, który oberwał w gand. Wstydzili się, że złamali niepisaną, obowiązującą między firmami zasadę zabraniającą krzywdzenia członków rodziny, ale mogli tłumaczyć się, że zdarzyło się to przypadkiem, i mogli mówić, że wzięli się za mój gand.

Ale ja żyłem. Tylko to miało znaczenie. Cokolwiek mówił świat, ja żyłem. I tak naprawdę tylko to ma znaczenie. Honor i duma to marzenia, którymi karmi się ludzi i za które giną, ale moi chłopcy zrozumieli, że nawet dla nich jest lepiej, że przeżyłem. Wciąż tu byłem, mogłem wynagrodzić straty, planować i zemścić się. I musiałem żyć. Dlatego powróciłem do więzienia. Z zaaranżowaniem tego nie było żadnych problemów. Wsiadłem do samochodu z kilkoma ludźmi i pojechaliśmy do Malandu. Zaparkowawszy samochód przed tamtejszym posterunkiem, chłopcy wdali się w sprzeczkę z policjantami. Wsiadłem z samochodu i również zacząłem krzyczeć, a chłopcy w sposób wyraźny zwracali się do mnie „Ganeś bhai”, żeby mieć pewność, że ci durni mamu rozumieją, kim

jestem. Następnie wszyscy z powrotem wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy, daleko poza granice miasta.

W ten sposób złamałem warunki zwolnienia warunkowego i musiałem trafić do tego jedyne go bezpiecznego dla mnie schronienia. Zrozumiałem, że chociaż tym razem byli to fałszywi policjanci, następnym razem mogą pojawić się prawdziwi, zabiorą mnie na przejażdżkę czarną furgonetką i wszystko skończy się kulą w mojej głowie. Za wszystkimi drzwiami w mieście czaił się zabójca, każdego dnia toczyła się walka. Byłem już dla nich zbyt wielki, żeby mogli zostawić mnie przy życiu. I tak więzienie stało się moją niezdobytą twierdzą, gdzie mury, przepisy i regulamin stworzyły dla mnie dom, gdzie strażnicy odpowiadali za to, żeby nic mi się nie stało, i gdzie mogłem dalej bez przeszkód prowadzić interesy.

Powróciłem do dawnego porządku dnia. W baraku pojawiły się teraz nowe twarze, ale wokół mnie zgromadził się ten sam krąg dari, uszeregowanych według starszeństwa. Życie toczyło się jak kiedyś. Ale byłem sam, czułem się tak bardzo samotny. Moi ludzie stanowili dla mnie rodzinę, jak zawsze byli uprzejmi, pamiętali o mojej stracie i ranach. Zajmowali się mną, a ja zajmowałem się interesami. Ale w głębi duszy byłem samotny. Tylu ludzi zginęło, nie tylko w tym ostatnim ataku, ale przez całą tę moją podróż, w tych wszystkich potyczkach. A ja wciąż żyłem. Dlaczego? Po co? Czekałem na odpowiedź. Rankiem ćwiczyłem jogę, a po południu pranajamę. Cały ten mój tak ciężko wypracowany spokój pryskał na dźwięk dziecięcego śmiechu, rozbrzmiewającego w popołudniowym świetle słonecznym. Wieczorami niecierpliwie przykładałem głowę do poduszki, bo wiedziałem, że mój syn przyjdzie do mnie we śnie, ale właśnie to moje oczekiwanie przeganiało sen. Miałem zawroty głowy. Kroczyłem przez świat jak człowiek szybujący przez krainę snu.

– To jest takie dziwne – powiedziałem do Dźodźo przez telefon późną nocą. – Czuję się jak jakiś zagubiony duch. Jakby to była czyjaś historia, nie moja. Jakby gdzieś warczał projektor, a ja tylko poruszałbym się po ekranie.

– To minie, Gaitonde – powiedziała. – Ból mija. Zawsze mija.

Słyszałem jej głos tak blisko, jakby leżała w łóżku obok. Za moją radą kupiła nowy telefon komórkowy, sam też zaopatrzyłem się w nową komórkę, i używaliśmy tych naszych nowych aparatów wyłącznie do rozmów ze sobą.

Miałem jeszcze dwa inne telefony do prowadzenia interesów. Wiedziałem, że moi wrogowie nie mieli zamiaru zabić mojej rodziny, ale i tak bałem się o Dźodźo. Powiedziałem jej, że musimy jeszcze bardziej ukryć przed światem nasze kontakty, że zaszkodziłoby to jej wizerunkowi w przemyśle medialnym, gdyby wyszło na jaw, że jesteśmy przyjaciółmi. Zrozumiała to i stała się jeszcze bardziej dyskretna. Rozmawialiśmy późno w nocy, tylko przez te specjalne telefony.

– Gaitonde? – odezwała się. – Halo?

– Jestem – odparłem. – Jestem tu. – Ale tak naprawdę nie miałem pewności, czy rzeczywiście jestem. Narodziny syna wiążą mężczyznę ze światem mocnymi korzeniami. Odebrać mu to połączenie to jakby ściąć drzewo.

– Wiesz, czego mi brakuje? Tęsknię za zapachem jego włosów po kąpieli.

– Wiem. A dlaczego tęsknisz za Subhadrą?

Miałem trudności z przypomnieniem sobie jej twarzy, przywołaniem jej obrazu. Ale, oczywiście, nie powiedziałem tego Dźodźo.

– Przynosiła mi w nocy mleko – odrzekłem, ale wiedziałem, że Dźodźo zauważyła to moje wahanie. Nic jednak nie powiedziała i zaoszczędziła mi

kolejnego wykładu o mężczyznach i kobietach.

– Gaitonde, nigdy nie mówisz o ojcu i matce.

– To prawda.

– Kim była twoja matka?

– Kobieta, a kim niby miałyby być?

– Niby kim? Powiedz, jaka była?

– Była moją matką. Daj spokój. Takie tam maderćodowe gadanie.

Oczywiście nie uszła jej uwagi opryskliwość w moim głosie i nic nie powiedziała. Nie chciałem, żeby się rozłączała, nie chciałem, żeby zapadła cisza, nie zniósłbym ciszy.

– Opowiedz mi o swoich rodzicach – poprosiłem. Słyszałem jej oddech.

– Dźodźo?

– Hamuję się i staram się nie przeklinać cię. Dość już jesteś zestresowany.

– Gdybym nie był zestresowany, obrzuciłabyś mnie gali?

– Każdego, kto mówi do mnie w ten sposób, czekają gali.

Leżałem na podłodze w kącie baraku. Lubiłem czuć zimno betonu na karku. Przez okno widziałem wznoszącą się czerń muru, błyszczące kawałki szkła na jego krawędzi, tak ostre w świetle księżyca. Musiałem się lekko uśmiechnąć. Sam nie wiem dlaczego, ale uśmiechałem się na tę lekkomyślność Dźodźo, na ten jej gniew.

– Posłuchaj, moja pani – odezwałem się. – Rzeczywiście jestem zestresowany. Wybacz mi więc. Opowiedz mi o swojej matce.

Dźodźo opowiedziała o swoim ojcu, który był kapitanem marynarki. Pracował dla wielkiej firmy, dowodził niewielkimi statkami i całymi miesiącami nie było go w domu. Kiedy wracał, chciał, żeby w domu panował spokój. Papugi w sadzie za domem doprowadzały go do szewskiej pasji, rzucał petardami w czubki drzew i w końcu kupił śrutówkę. Ale

pomimo tej eksterminacji koel i jaskółek nie był w stanie wygnać ptaków, które siadały na głowach stawianych przez niego strachów na wróble i w ich brzuchach wiły sobie gniazda. W końcu wycofał się do swojego fotela w sypialni, do uszu włożył sobie czerwone zatyczki, a na oczach zawiązał czarną chustkę. Córki chodziły wokół niego na paluszkach, a wieczorem starały się nie zasypiać zbyt wcześnie, żeby dosłyszeć urywki rozmów, które prowadził z ich matką. Nigdy jednak nie usłyszały niczego, co pozwoliłoby go zrozumieć, nawet przy posiłkach, kiedy jego wypowiedzi sprowadzały się do stwierdzenia, że w curry z ryby jest za dużo soli i że brakuje pieniędzy na sukienki wielkanocne. I tak się to ciągnęło, aż do kolejnego kilkumiesięcznego wyjazdu. Kiedy Dżodżo miała jedenaście lat, ten brodaty ojciec zmarł na mostku swojego ostatniego statku na atak serca, w deszczowy dzień, gdzieś w Zatoce Arabskiej. Umarł, siedząc na swoim kapitańskim krześle, z czarną chusteczką zakrywającą oczy, a załoga myślała, że on śpi. Nareszcie ma spokój, pomyślała Dżodżo. Ale one nie zaznały spokoju, ponieważ kiedy przyszła renta, okazało się, że jest niewielka. Były biedne. Matka Dżodżo nie poddawała się jednak przygnębieniu ani przerażeniu. Mam ziemię, powiedziała, ani myślę żyć pokornie i we łzach tylko dlatego, że Bóg zabrał do siebie mojego męża. Bóg jest miłosierny i zaopiekuje się nami. I udało się jej wychować dwie córki, wkładając w to wielką pracę, pokonując wielkie trudności i utrzymując wielką dyscyplinę. Na tym świecie same musicie zarobić na chleb, mówiła, pamiętajcie o tym.

– Zapytałam ją kiedyś o to, jak oni żyli razem, jako mąż i żona – powiedziała Dżodżo. – O to, jak mogła z nim wytrzymać przez te wszystkie lata, w tej nieustannej ciszy. Dlaczego.

– I co powiedziała?

– Nic. Miała zwyczaj robić coś takiego ze swoimi ustami, tak je pomniejszać, jakby była zirytowana, i zbywać cię machnięciem ręki. Jakby pytanie było głupie. A potem wracała do swojej pracy. Zawsze coś robiła.

– Kiedy umarła?

– Po tych moich kłopotach z siostrą. Dowiedziałam się dopiero rok po jej śmierci.

W rzeczywistości kłopot dotyczył męża siostry, ale nie zwróciłem jej na to uwagi. Kiedy kobiety opowiadają o swoich kłopotach, najlepiej jest na pewne rzeczy nie zwracać zbytnej uwagi. Przynajmniej tego nauczyłem się z długich rozmów z Dźodźo, mistrzynią wśród kobiet. Jeśli zaczynasz dyskutować, zazwyczaj prowadzi to do ostrej sprzeczki, po której następuje cisza. A ja chciałem, żeby Dźodźo mówiła, potrzebowałem jej słów. Późną nocą ona ratowała mnie tym, że do mnie mówiła.

Zawsze rano czytałem gazety. Najpierw gazety w języku marathi, potem w hindi, a na końcu czytałem gazety po angielsku. Po angielsku wciąż czytałem powoli i kulawo, często przerywając i pytając chłopaków o znaczenie różnych słów i konstrukcję zdań. Miałem słownik angielsko-marathi, ale i tak szło mi jak po grudzie, a pod koniec zawsze byłem zirytowany. *Firma Gaitondego próbuje podnieść się po ciosie* głosił tytuł w „Times of India”, a kiedy kończyłem ten artykuł, chciałem zamordować tego ich „specjalnego korespondenta”. I nie chodziło tylko o pojawiające się w co drugim zdaniu błędy ani o tę niedbałość w przekazywaniu informacji, ale o ton, o to szydercze sugerowanie, że autor artykułu wie wszystko, nawet to, co się dzieje w głowie Gaitondego. „Gaitonde oplakuje żonę i liże rany w więzieniu, a tymczasem Sulejman Isa umacnia swoją pozycję”. Te angłowale zawsze patrzyli na wszystko z góry, jakby żyli w jakimś innym świecie, gdzieś daleko od mojego baraku, moich ulic, mojego



domu. Kiedy się wściekałem, moi ludzie uśmiechali się i mówili: bhai, jeśli cię to denerwuje, to po co czytasz te bzdury?

Nie powiedziałem im tego, ale czytając te bzdury, czułem, że żyję. W tym opisanym w gazetach, uchwyconym gdzieś między kolumnami farby drukarskiej Gaitondem, była jakaś witalność, której brakowało w moich wnętrznościach. On był srogi, pewny siebie, zraniony, ale bezwzględny, i w tajemnicy obmyślał swój powrót. Napawał mnie dumą, kiedy na niego patrzyłem. Oto prawdziwy mężczyzna. Dlatego też nie zabiłem żadnego z reporterów, udzielałem im natomiast wywiadów. Posyłałem im butelki whisky i schlebiałem, snując zwierzenia. Wszyscy pragnęli poznać historię mojego życia, więc opowiadałem im różne historyjki. Drukowali wszystko, jak leci. Nasze dochody rosły i coraz więcej ludzi chciało się do nas przyłączyć.

To właśnie w tym okresie, kiedy zyskiwałem ogólnoindyjską sławę, przyszedł do mnie jeden z klawiszy.

– Bhai – powiedział – w baraku numer pięć jest taki jeden zwariowany ćutija, który mówi, że znał cię, zanim zostałeś Ganeśem Gaitondem.

– Kiedy nazywałem się inaczej? Nigdy nie nazywałem się inaczej. Zawsze byłem Ganeśem Gaitondem.

– Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, bhai. To wariat. Ale ciągle to powtarza.

– W takim razie daj sobie spokój. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Przepraszam, bhai. – Odwrócił się, przechylił nieco głowę i zachichotał. – Przepraszam. Z niego jest prawdziwy wedija, wydaje mu się, że jest Dewem Anandem. I przez cały czas trzyma palce w nosie, w ten sposób, taki zwariowany sukinsyn.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Zaczekaj. Ten facet to jeden z burhau? On jest stary?

– Tak, bhai. Chociaż nawet nie jest taki stary, ale ma siwiuteńkie włosy. Robi sobie taki lok, jak Dew Anand.

Otworzyłem usta i po chwili je zamknąłem.

– Przyrowadź go do mnie – poprosiłem cicho.

– Powiem mu, że chcesz mu dać papier, bhai. Biegiem przyleci.

– Papier?

– On rysuje, bhai.

– Rysuje? Mniejsza o to, tylko go przyrowadź. Idź już, idź. Natychmiast.

Musiało minąć jakieś dziesięć minut, ponieważ trzeba było poinformować różnych strażników, co mają zrobić. Ale chwilę później już tu był. Poznałem go od razu, przez te całe setki stojących między nami ludzi, kiedy tylko wszedł przez drzwi na drugim końcu baraku. Był zgarbiony i jeszcze chudszy niż przedtem, ale to był on, Mathu. Tak, ten sam Mathu, mój kumpel z tamtego trawlera sprzed laty, ten, który wraz ze mną odbył tę podróż przez morza, żeby przywieźć złoto, który tak samo jak ja odpowiadał za zlikwidowanie Salima Kaki. Podszedł do mnie powoli, pod eskortą dwóch moich ludzi, zerkając na mnie spod postrzępionych brwi. Miał kilkudniowy zarost, a po jego dawnym, zadbanym wyglądzie nie pozostał żaden ślad. Rozpoznałem ten jego nos jak u gryzonia, teraz już bez talku, i włosy *à la* Dew Anand, zaczesane do góry i ułożone w falę. Włosy były zupełnie bieluteńkie. Jego nagie kolana i kostki pokrywała skorupa brudu, a kiedy się zbliżył, musiałem znieczulić się na jego smród starości, potu i smutku.

– Mathu – odezwałem się, ruchem ręki dając znak chłopcom, żeby zostawili nas samych.

Zgniółł zwitek papieru w dłoniach, pokiwał głową na boki i rzekł:

– Tak, to jest Ganeś. – A potem zamilkł i stał zupełnie nieruchomo. Wciąż na mnie patrzył, jakby mierzył mnie wzrokiem. Nie był nieprzyjazny ani przerażony, po prostu mnie oceniał. Po chwili się chyba zadowolił, bo przestał się mną interesować, a zajął się swoim nosem. Strzepnął palcami zielony gruzełek, rozejrzał się po baraku i zaczął grzebać w przyniesionym stosie papierów.

– Mathu, ty sukinsynu – zacząłem. – Gdzieś ty był? Co się z tobą działo?  
– W tamtych czasach, dawno temu, złościł mnie, ale teraz wzbudził moją sympatię, zaskoczenie i zainteresowanie. Wstałem i klepnąłem go w plecy, ale tylko raz, bo poczułem, że jego łopatka wbija mi się w rękę. Był wygłodzony i cały drżał. – Mathu, chciałbyś coś zjeść?

To zwróciło jego uwagę.

– Tak, Ganeśu.

Daliśmy mu więc jedzenie. Skulił się nad bakri i czosnkowym ćatni i jadł. Papiery wcisnął starannie pod prawe udo. Zawołałem strażnika i wypytałem go o Mathu.

– Gdy przyszedłem tu do pracy, on już tu był, bhai – powiedział strażnik.  
– Czyli prawie pięć lat. Wiem też, że był tu jeszcze trochę wcześniej, a przywieziono go tu z więzienia przy Arthur Road, gdzie spędził przynajmniej rok.

– Za co?

– Z tego co wiem, bhai, oskarżono go o zamordowanie brata.

– Dlaczego więc nie miał procesu?

– Jego rodzina twierdzi, że jest niezdolny psychicznie do uczestniczenia w procesie, bhai. Mają jakiegoś swojego lekarza, który im to napisał. I dlatego przewożą go z więzienia do więzienia.

Mogli w ten sposób unikać rozprawy i trzymać Mathu w więzieniu dłużej, niżby musiał odsiedzieć, gdyby został skazany za morderstwo.

Sukinsyny.

– Kim są ci ludzie, którzy go tu wsadzili?

– Ma jeszcze jednego brata i jedną siostrę. Tu chodzi o majątek.

Okazało się, że po naszym rozstaniu Mathu zabrał swoje złoto i pojechał do domu, do Wasai. Swoim braciom i siostrze powiedział, że był w Dubaju, że trafiła mu się duża gotówka, i że teraz wszystkimi się zajmie. Oni, oczywiście, od razu zrobili go głową rodziny, chociaż był najmłodszy. I ten gandu wydał na nich swoje pieniądze: wszystkim kupił domy, w obrębie tego samego osiedla, i wspólnie zabrali się za robienie interesów. Rodzina znalazła mu żonę. A potem wszyscy, i bracia, i siostra, i bratowe, i szwagier, zaczęli się kłócić. Kłócili się o ziemię, o pieniądze, jak dzielić zyski z interesów i kto jest odpowiedzialny za straty. W końcu podjęto decyzję o podziale firmy i majątku. Mathu tego nie chciał, widział, jak jego złoto ucieka, ale nie mógł nic zrobić, akty własności były na rodzeństwo, a w firmie było dużo wspólników. Pozostali zawierali układy, spiskowali przeciw sobie, a Mathu chodził od jednych do drugich, prosząc, żeby byli dla siebie dobrzy, żeby zapomnieli o urazach i pamiętali o ojcu i matce. Ale spory nasiliły się i w końcu zamordowano najstarszego z braci. Pewnego ranka znaleziono go w jego biurze, z kablem od lampy zaciśniętym wokół szyi tak mocno, że aż przeciął skórę, a na ciele miał trzydzieści dwie rany kłute. Niczego nie skradziono, niczego nawet nie ruszono. Jedyne drzwi do domu były zamknięte. Policjanci prowadzący śledztwo doszli do wniosku, że ofiara musiała znać zabójcę. Za domem Mathu znaleziono zakrwawiony nóż. Mathu nie miał żadnych świadków, którzy mogliby potwierdzić, gdzie spędził poprzednią noc. Jego żona w tym czasie była z wizytą u swoich rodziców. Wszyscy jego krewni zeznali, że ostatnio zachowywał się jak wariat, przeklinał brata, wymyślał mu i groził, że go zabije. Mathu trafił więc do aresztu, a potem do więzienia, w którym miał oczekiwać na

rozprawę, i tak wciąż czekał. Nie miał już żadnych pieniędzy, a nawet gdyby miał, nie mógłby wynająć adwokata. Był szalony.

– Co tam masz na tym papierze, Mathu? – zapytałem.

Skulił się, przygiął do ziemi i zaczął cichutko wyć.

– Boi się, że mu to zabierzesz. W ogólnym baraku więźniowie bawili się jego kosztem, zabierali mu papier, ołówki i pióra. Dlatego daliśmy go do staruszków. Cały dzień tylko siedzi i rysuje.

– Mathu, powiedz mi, powiedz, co rysujesz? – pogłaskałem go po ramieniu. – Daj spokój. Przecież mnie pamiętasz. Byliśmy razem na statku. Przecież mówiłeś, że mnie znasz. Znasz mnie. To ja, Ganeś Gaitonde.

W tym momencie odwrócił się do mnie, pozwolił, żebym go podniósł i wyjął papiery spod nogi. Były to jakieś skrawki papierów, stare gazety, rozprostowane i rozłożone koperty, kawałki recept i więziennych dokumentów. Każde wolne miejsce na tych świstkach było pokryte małutkimi rysunkami mężczyzn, kobiet, budynków i zwierząt. Ten nasz Mathu był prawdziwym artystą. Widać było, co czuje przedstawiony na rysunku człowiek, czy zwierzę jest przestraszone. Drzewa pochylały się pod naporem silnego wiatru, a na ciemnej uliczce stały latarnie. Małe dymki pokazywały, co ludzie do siebie mówią, ale rysunki były tak stłoczone i tak małutkie, że trudno było odcyfrować wyrazy, nawet kiedy patrzyło się z odległości paru centymetrów. Przypominało to jakiś gandu zwariowany komiks, już od samego patrzenia kręciło się człowiekowi w głowie, te wszystkie figurki poruszały się po papierze tam i z powrotem, przechodząc z jednego skrawka na drugi, każdy wolny centymetr zapełniała jakaś dyskusja, kłótnia albo miłość, ale i tak widać było, że to wszystko w jakiś sposób łączy się ze sobą, że jest w tym jakiś sens.

– To jest bardzo dobre, Mathu. Powiedz, co takiego rysujesz?

Zachwyciło go moje pytanie. Przez moment widziałem Mathu, jakiego znałem w przeszłości, Mathu dochowującego wierności swojemu Dewowi Anandowi nawet w czasach sukcesów Amitabha Baććana; Mathu, który lubił od rana do wieczora puszczać latawce aż do święta Sankranti, lubił ubierać się na granatowo, ponieważ jakaś koleżanka jego siostry powiedziała kiedyś, że w tym kolorze mu do twarzy. Uśmiechnął się szeroko, ukazując przerwy w pożółkłych zębach, i odrzekł:

– Moje życie, Ganeśu.

Dopiero teraz to zauważyłem. Kiedy już to powiedział, dostrzegłem małego, może pięcioletniego chłopczyka, w krótkich spodenkach i ćappalach, idącego z tornistrem po oderwanej krawędzi koperty.

– To ty?

– Tak.

– I chcesz narysować całe swoje życie?

– Tak, tak.

– Dlaczego?

Na te słowa zamknął się w sobie. Nie potrafił odpowiedzieć na moje pytanie. Spuścił głowę i po chwili zaczął płakać. Objąłem go i przytuliłem, jednemu z moich ludzi kazałem przynieść blok papieru.

– Proszę, Mathu. Tu jest dużo papieru. Chcesz więcej kartek?

– Tak. – Kapało mu z nosa, krople spadały na blok. Obmacywał poliniowany papier. – I długopisy. Kolorowe.

– Załatwię ci to wszystko. Nie martw się.

Skinął głową uszczęśliwiony, a ja w tym geście dostrzegłem młodego Mathu, który przyklaskiwał pomysłowi pójścia do kina, zgadzał się na faluję i na wycieczkę. Kazałem go umyć i obładowanego papierem odesłałem pod eskortą dwóch moich ludzi do jego baraku. Ogarnęły mnie dreszcze, podkurczyłem kolana i pograżyłem się w myślach. Mogłem go,

oczywiście, odesłać na wolność, ale strażnik powiedział mi, że nawet w więzieniu Mathu z trudem radzi sobie bez pomocy innych. Oddawał jedzenie każdemu, kto oferował mu długopis, a kiedy już miał jedzenie, zapominał je zjeść. Pragnął jedynie rysować swoje życie. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim się obecnie posuwał – po siedmiu czy ośmiu latach rysowania dotarł do pierwszego dnia w drugiej klasie – do naszej podróży z Salimem Kaką dojdzie za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat. Nie stanowił dla mnie zagrożenia.

Następnego ranka wydałem więc odpowiednie polecenia. Strażnikowi, który przyprowadził do mnie Mathu, zleciłem, aby po wieczne czasy nim się zajmował. Przydzieliłem Mathu miesięczną rentę, dosyć sporą, zważywszy, że miał darmowe mieszkanie i że tak naprawdę potrzebował tylko papieru i przyborów do pisania. Miał otrzymywać jedzenie, ubranie i raz na miesiąc jechać na badania do szpitala. A gdyby ktoś przeszkadzał mu w tym jego rysowaniu, miał odpowiadać przede mną.

Mathu rysował swoje życie. W więzieniu miałem dostatecznie dużo czasu, żeby zastanowić się nad własnym. Pomimo tragicznych doświadczeń moje życie nie było takie złe, potrafiłem to dostrzec. Byłem sławny. Miałem władzę. Wciąż rosłem w siłę. Poniosłem porażki, ale wiedziałem, jak się z nich podnieść i jak na nie odpowiedzieć. Uczyłem się na własnych błędach. Podążałem dalej swoją drogą. Ale dokąd? Dokąd prowadziła ta droga? Gdybym miał narysować własne życie, gdzie bym je skierował po tym spotkaniu z Mathu?

Kiedy tak siedziałem zdezorientowany, przyszedł Banti, żeby złożyć mi raport. Nie chciał mi go przekazywać przez telefon, nie chciał też niczego przesyłać na piśmie. Przyjeliśmy zasadę, że żaden z rewidentów nie ma przychodzić do więzienia. Przeciw Bantiemu toczyło się kilka spraw, a on

jednak przyszedł do biura naczelnika. Zamknął drzwi i przysunął krzesło blisko mnie.

– Bhai – powiedział – chodzi o Śarmę–dźi.

– Udało ci się w końcu ustalić, dla kogo pracuje?

– Najpierw znaleźliśmy jego samego, bhai. Tu podsunęliśmy trochę pieniędzy, tam zadaliśmy kilka pytań... W rzeczywistości Śarma–dźi nazywa się Triwedi. Jest właścicielem dystrybutorów paliwa w Mirucie i ma dawne powiązania z wszystkimi politykami z tamtych stron. Był w partii Dżana Sangh, ale na początku lat osiemdziesiątych z niej wystąpił. Wraz ze swoim kuzynem i kilkoma innymi ludźmi założyli nową partię, Akhand Bharat. Ta partia nadal funkcjonuje, ale udało im się zdobyć tylko kilka mandatów we władzach miasta, nigdy nie odnieśli najmniejszych sukcesów w wyborach stanowych czy do parlamentu.

– I co dalej?

– Żyje na wysokim poziomie, bhai. Ma dom o nazwie Dżanki Kutir, trzykondygnacyjny, wielki jak kino. Cały w białych marmurach. Ta partia Akhand Bharat nadal działa, wydają za dużo pieniędzy jak na swój niewielki zasięg. Nie wszystkie pieniądze pochodzą z dystrybucji paliwa. I nie wystarczyłoby tego na zapłacenie za nasze dostawy. Postanowiłem więc przyrzeć się dokładniej. Śledziliśmy go przez kilka miesięcy. I nic. Prowadzi bardzo uporządkowane życie, rano świątynia, potem stacje paliwowe, po południu biuro partii. Dziewięcioro dzieci, wiele wnucząt, wielka rodzina żyjąca pod jednym dachem. Biuro ma w domu i tam spędza wieczory.

– Tak?

– Udało się nam znaleźć kontakt w centrali telefonicznej, nawet niedużo nas to kosztowało. Zdobyliśmy listę numerów, pod które dzwoniło z jego biura. Wyszukaliśmy te najczęściej się powtarzające i okazało się, że wśród



nich jest jeden telefon komórkowy, na który dzwoni w każdą sobotę. W okresie naszej ostatniej dostawy codziennie dzwonił pod ten numer. Poszukaliśmy więc jakiegoś źródła informacji u operatora sieci telefonów komórkowych. To zajęło trochę więcej czasu i kosztowało nas więcej pieniędzy.

– I do czego doszliście?

– Okazało się, że komórka należy do niejakiego Bhatii, Dżaipala Bhatii, który mieszka w Delhi, na południowym przedmieściu. Miły bungalow ma ten Bhatia. Jego jedynym zajęciem jest sekretarzowanie u niejakiego Madana Bhandari.

– A ten Bhandari kim jest?

– Bhandari jest nikim. Po prostu biznesmenem, zajmuje się plastikiem i tekstyliami. Obrót na poziomie dwudziestu, trzydziestu krorów. Interesujący jest tylko z jednego względu, ponieważ, poza swoimi fabrykami, ma jedną wielką miłość w życiu, większą nawet niż miłość do żony i dzieci. Jest głównym poplecznikiem i bhaktem Śridhara Śukli.

– Tego swami Śridhara Śukli?

– Właśnie tego. Jest ich szefem. Jest tam najważniejszy. Tu mam pewność.

To zdecydowanie zmieniało układ gry. Śridhar Śukla to swami o międzynarodowej pozycji, jadał obiady z prezydentami i premierami, przepowiadał przyszłość ministrom, a w jego darśanach uczestniczyły dziesiątki gwiazd filmowych. Często widywałem go w telewizji, jak siedzi w swoim wózku inwalidzkim i się uśmiecha. Mówił doskonałym bramińskim hindi z północy i bardzo sprawnie posługiwał się angielskim. Był to człowiek naprawdę godny podziwu i świetnie ustawiony.

– Maderćód – powiedziałem. – Maderćód.

Banti skinął głową. On też dostrzegał ten nasz problem, który polegał na tym, że nie mamy najmniejszego madercodowego pojęcia, na czym nasz problem polega. Nie znaliśmy morza, w którym przyszło nam pływać. Wstałem, obszedłem pokój. Z góry patrzył na mnie Nehru.

– Musimy działać dyskretnie – powiedziałem. – Zadzwonisz do tego sukinsyna, jak on się tam nazywa?

– Triwedi.

– Tak, do tego Triwediego. Powiesz mu, że chcę rozmawiać z tym Śuklą. Najpóźniej jutro wieczorem. Nie dyskutuj z nim, nie słuchaj żadnych wykrętów. Porozmawiam bezpośrednio z tym Śuklą. W przeciwnym razie możemy mieć problemy.

Uścisnąłem go. Dobrze się spisał. Wróciłem do baraku, ale tej nocy byłem niespokojny, podenerwowany, nawet Dźodźo to zauważyła.

– Jesteś jakiś dziwny – stwierdziła. – Trudno się z tobą rozmawia. Jakbyś przez cały czas był nieobecny. Dzisiaj jesteś jakiś inny.

– To dlatego, że nie leżę. – Chodziłem tam i z powrotem po swojej części baraku, z daleka od wstrętnej sterty więźniów śpiących poza granicami naszej firmy.

– Wydaje mi się, że chodzi o coś innego. Jesteś zły albo coś ci się stało.

To nie była dokładnie złość, ale coś mi się stało. Byłem podniecony, jakbym właśnie miał przekroczyć jakieś drzwi. Porozmawiałem z Dźodźo, a potem zasnąłem, ale niezbyt głęboko. Kiedy o szóstej rano zadzwonił mój drugi telefon, odebrałem go po pierwszym sygnale.

– Ganeśu – usłyszałem.

Nie odzywałem się. Znałem ten głos, ale nie potrafiłem skojarzyć go z żadną osobą.

– Ganeśu – powtórzył. Głos był pełny, głęboki. Głos kosztowny i kunsztowny, i bardzo miły.

– Swami–dži – powiedziałem. Nie zamierzałem dodawać końcówki „dži”, ale jakoś sama mi się wysnęła.

– Nie używaj mojego imienia przez telefon, beta.

– Czy to mój przyjaciel dał ci numer mojego telefonu?

– Tak, przekazano mi go.

– Musimy porozmawiać.

– Zgadzam się. Ale nie w ten sposób. Osobiście.

– To może trochę potrwać.

– Nie martw się. Sprawdziłem twoje horoskopy. W twojej przyszłości widać wolność, beta.

– Ale jak?

– Nie znam szczegółów, beta. Zawsze szczerze to przyznaję. Ale to akurat widzę. Bardzo szybko wyjdiesz z tego więzienia. Wtedy się spotkamy.

– Masz moje horoskopy?

– Obserwowałem cię, czekałem na ciebie. A teraz ty mnie znalazłeś.

– Czekales?

– Tak. Jesteś już gotowy. Musiałeś odebrać lekcję od życia, joga musiała pogłębić twoją świadomość. Wtedy stałeś się gotowy. I przyszedłeś do mnie.

Nie sposób było z nim dyskutować. Jego głos płynął delikatnie, niosąc w sobie jakąś potężną moc. Czuję ucisk w gardle i musiałem zamrużyć, żeby usunąć mgiełkę z oczu.

– Tak – odrzekłem. – Tak.

– Nie martw się, Ganeśu – ciągnął. – Zachowaj spokój, ciszę. Ćwicz jogę. Czekaj. Czas się odmieni i zmienią się krzywizny, po których biegnie. Czas się odwróci, a potem odwróci się raz jeszcze. Cierpliwości.

Rozłączył się. Tego samego popołudnia widziałem go w telewizji. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na dais, wsparty na okrągłych, białych poduszkach, i mówił do błyszczącego, srebrzystego mikrofonu. W tle, za jego głową, połyskiwały szprychy kółek jego wózka. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, jak bardzo jest przystojny, gęste siwe włosy opadały mu do tyłu, ale niezbyt nisko, podkreślając świeżość i elastyczność gładko ogolonych policzków. Zupełnie nie umiałem określić jego wieku. Uczniowie siedzieli w zdyscyplinowanych rzędach, mężczyźni po jednej, a kobiety po drugiej stronie. Tego dnia tematem wykładu był sukces. Dlaczego, zapytał, tak bardzo ciąży nam porażka? I dlaczego po odniesieniu sukcesu ponownie powraca uczucie niezadowolenia? Dlaczego tak przygnębia nas dotarcie do celu, nawet jeśli od dawna o tym marzyliśmy, tak zaciekle zmagaliśmy się z przeciwnościami losu? Dlaczego? W obu tych przypadkach, powiedział Śukla-dźi, dlatego, że wierzymy w złudzenie własnego ja. Ja to zrobiłem – tak myślimy i w to wierzymy. Wykrzykujemy to na cały świat, ja robię to, ja robię tamto, tylko ja, ja, ja. Wierząc w tę najbardziej złudną iluzję, sądzimy, że porażki są wynikiem naszych błędów, że wypływają z natury naszego ja. Uważamy się za właścicieli swoich zwycięstw. A jednak, kiedy odnosimy sukces, zauważamy, że te złudzenia co do własnej osoby, to złudne ja może istnieć tylko w przyszłości albo w przeszłości. To rozdzielenie z terażniejszością jest wieczne, więc dopóki w to wierzymy, dana jest nam tylko strata. Dopiero kiedy wykroczymy poza to złudzenie i je wyśmiejemy, możemy poznać przyjemność tej chwili, możemy się śmiać, ponieważ dopiero wtedy jesteśmy naprawdę żywi. Moje dzieci, mówił Swami-dźi, porzućcie swoje działania i odkryjcie własną, prawdziwą naturę. Poznajcie samych siebie.

Musiałem odejść od telewizora. Miałem wrażenie, że mówi do mnie, tylko do mnie. Ale musiałem się pilnować, słuchać tego obojętnie,

dowcipkować na temat guru i swami, i nie mogłem zbyt długo go oglądać i słuchać. Jego i mnie połączyła tajemna więź i dlatego też nie mogłem wiązać się z nim w sposób publiczny. Byłoby to zbyt ryzykowne, zbyt niebezpieczne. Nie tylko dla mnie, ale także dla niego. Wstałem więc i odszedłem. Chłopcy przełączyli na program z najlepszymi piosenkami filmowymi.

Pozwoliłem im słuchać tych ich piosenek, ale skorzystałem z rady Swamiego–dzi. Zacząłem mocniej medytować, koncentrując się dłużej i intensywniej. Chłopcy byli pod wrażeniem mojego pogłębionego spokoju, lepszej pamięci i większej miłości. Pytałem o ich rodziny, pamiętałem imiona ich żon i chawi, zagadywałem o ich dzieci. Załatwiliśmy dla Date przeniesienie z więzienia w Naśiku, dzięki czemu mógł być ze mną w jednym baraku. Kiedy mnie zobaczył, uścisnął mnie i długo trzymał w objęciach. I pierwsze, co mi powiedział, to:

– Bhai, wyglądasz jeszcze młodziej. Wyglądasz świeżo, jak jakiś chłopiec.

Czułem się wyniszczony, jak stare pole po orce. Ale on już widział pączkowanie nowych, niedawno sadzonych pędów. Za murami właśnie zaczął się monsun, a my siedzieliśmy przy oknach i patrzyliśmy, jak woda rozpryskuje się na dachach. Interesy szły dobrze. Pieniądze napływały, pieniądze wypływały, wpływały kolejne. Nasza wojna z Sulejmanem Isą toczyła się dalej.

Wiedziałem, że chłopcy oczekują ostatecznego uderzenia, wymierzania naszym wrogom jakiejś straszliwej kary. Powiedziałem im, żeby zachowali cierpliwość. Plony zbiera się, kiedy są dojrzałe. Trzeba czekać, musimy poczekać. I tak czekałem. Byłem spokojny.

Pod koniec lipca otrzymałem wezwanie z biura Adwaniego.

– Sahib pragnie zobaczyć się z tobą w swoim biurze – oznajmił posłaniec. – Sprawa jest bardzo pilna.

Było to rankiem, jeszcze w porze moich modlitw, i poczułem nagłe zagrożenie. Adwani nie niepokoiłby mnie o tej godzinie, skoro więc mnie wzywał, musiało zdarzyć się coś bardzo niedobrego. Założyłem ćappale i ruszyliśmy, skacząc z kamienia na kamień przez dziedziniec, który teraz zmienił się w jezioro deszczówki. Nad nami nisko wisiały czarne chmury i cały świat był dosyć spokojny, wypełniony jedynie spadającą wodą. Obok biura naczelnika stało rzędem trzech mężczyzn w białych koszulach. Minąłem ich i zobaczyłem Adwaniego, który siedział wyprostowany przy biurku i sprawiał wrażenie bardzo oficjalnego. Nie wstał na mój widok.

– Sahibie – odezwałem się, bardzo skromnie.

Potrafiłem być dobrym aktorem, jeśli moi podwładni tego potrzebowali.

Jakiś mężczyzna po prawej stronie Adwaniego przyglądał mi się bacznie. Najpierw zwróciłem uwagę na jego kopulastą głowę, zupełnie łysą i brunatną w ciemnym świetle monsunu. A potem na te jego oczy, które mnie obserwowały.

– To jest pan Kumar – rzekł Adwani. – Chciałby z tobą porozmawiać.

Adwani wstał i wyszedł z biura, nie odzywając się już więcej i nawet na mnie nie patrząc. Ten pan Kumar musiał być kimś bardzo ważnym. Może jakimś wysokim funkcjonariuszem.

– Siadaj – polecił.

Usłuchałem go.

– Pracuję dla pewnego departamentu w rządzie, w rządzie centralnym – powiedział. – Przyglądałem się twojej wojnie z Sulejmanem Isą.

Nic się nie odezwałem, nawet nie skinąłem głową. Niech on wyjaśnia. Był bardzo chudy, miał spiczasty nos i przypominał posąg głodującego

Buddy, który kiedyś widziałem w telewizji. Ale czuło się w nim jakąś siłę, jakąś pewność. Ten człowiek doskonale wiedział, kim jest.

– Zdaję sobie sprawę z twoich obecnych trudności. Doceniam jednak twoje wysiłki włożone w walkę z Sulejmanem Isą i jego pakistańskimi kolegami.

Czekał, żebym coś powiedział. Udzieliłem mu więc odpowiedzi.

– Tak, sahibie. Ten sukinsyn jest zdrajcą. To pies żywiący się pakistańskimi odpadkami. – Skinął głową. – On prowadzi działalność antypaństwową – dodałem.

– A ty, Ganeśu Gaitonde? Czy ty jesteś patriotą?

– Jestem – odparłem.

Jestem. To było bardzo proste. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że jestem właśnie patriotą. Niegdyś byłem człowiekiem ciemnym, interesowały mnie tylko pieniądze, marzyłem wyłącznie o sławie i luksusach. Ale od tego czasu wiele się nauczyłem, wiele zrozumiałem. Na tym świecie człowiek nie może stać na uboczu i mówić, że nie liczy się z niczym i z nikim oprócz samego siebie. Ja byłem patriotą. Kiedy tak patrzyłem na pana Kumara, rozpoznałem w nim patriotę i wiedziałem, że też nim jestem.

– Mogę ci pomóc – powiedział. – Jeśli ty pomożesz nam.

– Jak mogę wam pomóc?

– Jeśli zostaniesz w Indiach, czekają cię nieustanne, zaciekle ataki. Poza tym nadal będziesz borykał się z prawem. Chociaż zniesiono już TADA, ty zawsze będziesz żył, jakby ta ustawa obowiązywała. Pewnego dnia załatwisz sobie wyjście na wolność, ale potem znowu tu wrócisz. Być może zostanie wprowadzone nowe prawo, surowsze, jeszcze dotkliwsze dla ciebie.

– Tak. Bez wątpienia.

– Wyjedź więc za granicę.

– Myślałem o tym. Ale tu jest moja siedziba. Co prawda mam pewne powiązania i obiekty za granicą, ale są zbyt małe, saab. Rozpoczęcie działalności w innym miejscu kosztowałoby wiele pieniędzy, wysiłku i czasu.

– I w tym możemy ci pomóc. Możemy dostarczyć informacje, pomoc. Chodzi oczywiście o wstępne przygotowania i wsparcie logistyczne. Może jakieś pieniądze.

Ten człowiek oferował bardzo dużo. I proponował to w taki sposób, jakby rzeczywiście miał możliwość spełnienia swoich obietnic. Musiałem go jednak przycisnąć.

– Sahibie, a czego oczekujecie ode mnie?

– Współpracy. Będziesz przekazywał nam informacje o działalności antypaństwowej. Co robią, co planują. Czasami zlecimy ci pewne zadania, które będziesz musiał wykonać. Potrzebujemy współpracownika, który może wykonywać różne prace.

Tak, różne prace. Było jasne, że potrzebowali kogoś, kto będzie wykonywał dla nich najbrudniejszą robotę, której oni sami nie mogli legalnie robić. Potrzebowali kogoś działającego w sposób brutalny, ale takiego, którego mogli się publicznie wyprzeć. Nadszedł czas uświadomić mu, że nie rozmawia z głupcem. Nachyliłem się do przodu.

– Ależ, sahibie Kumarze, przecież dla was pracuje już Ćhota Madhaw. – Ćhota Madhaw był jednym z ludzi Sulejmana Isy, który odszedł od niego po tej akcji z wybuchającymi bombami i stworzył własną firmę. Obecnie prowadzi działalność z Indonezji, walcząc z Sulejmanem Isą, a ponieważ był wrogiem mojego wroga, utrzymywaliśmy dosyć serdeczne stosunki, nie łączyła nas przyjaźń, ale też nie dzieliła nienawiść. Wiedzieliśmy też, że



miał jakieś powiązania z organizacją zwaną RAW. Chciałem teraz uświadomić panu Kumarowi, że bez większego trudu odgadłem, kim jest.

Na twarzy pana Kumara pojawił się uśmiech. Uśmiech przypominający delikatną zmarszczkę, która szybko przemknęła przez jego czaszkę.

– To on dla nas pracuje?

– Pracuje. Tak jak Sulejman Isa pracuje dla ISI.

– Może Madhaw i dla nas pracuje. Ale teraz są bardzo niebezpieczne czasy. Potrzebujemy więcej patriotów.

Skinąłem głową.

– Co mam zrobić, saab?

Wszystko mi powiedział. Na dworze padał deszcz. Zaplanowaliśmy działania. I tak zostałem bojownikiem walczącym za mój kraj i mój naród.

## Spotkanie z pięknnością



Zoja Mirza była kobietą trudną. Trudno było ją odnaleźć, trudno porozmawiać z nią przez telefon, trudno spotkać. Sartadź próbował wytłumaczyć to Andźali Mathur, której chyba wydawało się, że inspektor policji uzbrojony w ten cały okropny majestat prawa i kompromitujące zdjęcia powinien bez wysiłku przerwać pełne splendoru i podróży życie gwiazdy filmowej i ją przesłuchać.

– Może i mógłbym tak zrobić – powiedział Sartadź – gdyby ta sprawa była choć w najmniejszym stopniu oficjalna. Czy możemy już stwierdzić, że działamy oficjalnie?

– Nie, wciąż nie dysponujemy niczym, co mogłabym przedstawić szefowi – odparła Andźali. – Mamy jedynie mętne podejrzenia o istnieniu powiązań gangstera z gwiazdą filmową. Nic szczególnego.

Trudno było Sartadźowi z tym dyskutować. O tym, że ludzie ze świata filmu często mają powiązania z bhai, widziały nawet dzieci z najdalszych wiosek. Żadna nowina. Gdyby takie informacje wyszły na jaw, zaszkodziłyby zapewne nienagannemu wizerunkowi cnotliwie seksownej Zoi Mirzy i zaburzyłyby jej wspaniale rozwijającą się karierę, ale nie dałoby to wyjaśnienia, dlaczego Ganeś Gaitonde wrócił do Bombaju. A tym bardziej nie odsłoniłoby nawet najdrobniejszych śladów mrocznych początków historii, która z kolei tłumaczyłaby, dlaczego wybudował betonowy sześcian w Kailaśpada, dlaczego zastrzelił Dźodźo, a potem sam sobie rozwalił głowę.

– Pani chce, żebym nadal dochodzenie prowadził po cichu. Oznacza to, że nie mogę poprosić mojego szefa, żeby wezwał ją na komisariat. Chce pani, żebym porozmawiał z nią prywatnie, żebym po prostu do niej poszedł i zaczął ją naciskać. Ludzie filmu mają znajomości wśród wysoko postawionych osób – powiedział Sartadź. – Jeśli ona zadzwoni do jakiegoś ministra i zostanie zawieszony w obowiązkach, wtedy też nie zwróci się pani do swojego szefa o pomoc.

– Nie zrobi tego. Ma pan te fotografie.

– Ale istnieje pewne ryzyko.

– Niewielkie.

Tyle że to niewielkie ryzyko i tak jest większe niż moje potencjalne korzyści z prowadzenia tego śledztwa, miał Sartadź na końcu języka. Zadzwonił do Andźali Mathur, do Delhi, pod numer, który mu zostawiła, a ona odebrała już po pierwszym sygnale. Prowadziła rozmowę w sposób energiczny i po wysłuchaniu jego raportu zaproponowała, żeby porozmawiał z Zoją Mirzą. Bardzo proste rozwiązanie, bardzo skuteczne. Sartadź odetchnął głęboko.

– Pani Andźali, być może z perspektywy Delhi wszystko wydaje się malutkie. Ale ja naprawdę jestem malutkim człowieczkiem. I nawet niewielkie ryzyko jest dla mnie duże.

Przez chwilę się nie odzywała. Była cichą kobietą, bardzo powściągliwą w zachowaniu i stroju. Teraz jednak Sartadź czuł, że ona podejmuje decyzję, a kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie brzmiało wyraźne zaniepokojenie.

– Rozumiem, ale powinien pan wiedzieć o pewnym kontekście.

– Potrzebuję całego kontekstu. Absolutnie nic mi nie powiedziano.

– Mówię panu to teraz. Proszę posłuchać. Ten dom, w którym znalazł pan Gaitondegó, to schron przeciwoatomowy.

– Co takiego?!

– Schron przed bombami. Przed bronią atomową. Budynek został zbudowany zgodnie z dobrze znanym modelem architektonicznym. Jest opisany w książkach, można też znaleźć go w Internecie.

– Po co by mu było coś takiego? Tutaj?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

Sartadź czuł, jak słuchawka pali go w ucho. Siedział w głębi kawiarenki na głównej ulicy handlowej w Kailaśpadzie, a wokół niego przepływał poranny ruch uliczny. Szkolny autobus zjechał na prawo i zatrzymał się przy chodniku, na którym stojące rzędem, ubrane w niebieskie mundurki, dziewczęta podniosły swoje wyładowane książkami torby. Obok autobusu przecisnęła się motoriksza. Normalne życie, w normalny poranek. Sartadź pomyślał o tym sześcianie Gaitondeggo, zbudowanym na działce oddalonej stąd o dwie ulice i trzy zakręty, i poczuł strach, rozlewający się po jego piersiach jak kropla zimnej wody. Odkasznął.

– Czy istnieje jakieś zagrożenie? Czy pani o czymś wie?

– Istnieje ogólne poczucie zagrożenia, że jakaś grupa bojowników może użyć broni walizkowej na terenach miejskich. Jedna z grup kaszmirskich. Albo ktoś z północnego wschodu. Ale w rzeczywistości nie mamy żadnych konkretnych informacji. Nie wiemy o żadnym konkretnym zagrożeniu.

Był taki film. Sartadź go nie oglądał, ale widział reklamy w telewizji. Grupa bojowników umieściła w Delhi bombę nuklearną. Główny bohater w ostatniej chwili zapobiegł katastrofie, zdążył wyłączyć mrugające zielonym, neonowym światłem urządzenie zegarowe, w momencie kiedy właśnie miały się pokazać same zera. To był film, natomiast sześcian Gaitondeggo był rzeczywisty. Sartadź dotykał go ręką. Usiadł prosto i rozluźnił ramiona. Starał się skupić.

– Pani komendant – odezwał się. – Pani komendant. Jeśli Gaitonde wiedział coś o zagrożeniu, dlaczego nic nie przekazał waszemu wydziałowi? Z tego, co wiemy, istniały jakieś kontakty.

– Żadnych. – Odpowiedź była oschła i krótka. Sartadź zrozumiał, że wkroczył na teren zastrzeżony dla jej wydziału, a ona nie może i nie chce przyznać, że Gaitonde był przez nich prowadzony, a już na pewno nie powiedziała by tego przez publiczną linię telefoniczną. – Śledziliśmy jego poczynania – powiedziała. – Odkryliśmy, że szmuglował broń do kraju. A potem ślad nam się urwał. Dopiero później pojawił się w Bombaju.

– W tym domu?

– Tak. Kiedy z panem rozmawiał. Może starał się powiedzieć panu o tym zagrożeniu, zanim wkroczyliście do środka.

Może więc to on ponosił odpowiedzialność, jeśli w jego mieście była prawdziwa bomba. Prawdziwa bomba w prawdziwym mieście. Czy właśnie to chciał Gaitonde powiedzieć mu na koniec, kiedy Sartadź odsunął się na bok, żeby spychacz mógł wkroczyć do akcji? Inspektor przerwał Gaitondemu w pół zdania, uciął tę jego opowieść, a potem znalazł jego zwłoki. Tylko że wtedy panował straszliwy upał, a tkwiący za tymi stalowymi drzwiami Gaitonde był bardzo arogancki.

– Ale przecież upłynęło już wiele miesięcy – odezwał się Sartadź. – Nic się nie wydarzyło. Mówiła pani, że nie ma żadnego konkretnego zagrożenia.

– Tak. Niemniej jednak chciałabym się dowiedzieć, co on tam robił. Dlaczego postawił ten budynek.

Sartadź poczuł, że robi mu się dziwnie zimno.

– Porozmawiam z Zoją Mirzą – rzekł. – Spróbuję.

– Dobrze. Wiem, że pan tego dokona. Jest jeszcze jedna interesująca kwestia.

– Tak?

– Znalezione przez pana w mieszkaniu Dźodźo pieniądze są fałszywe.

– Te banknoty? Wszystkie?

– Tak. To doskonałej jakości fałszywki. Wydrukowano je za granicą, w Pakistanie. Zostały wprowadzone na nasz rynek w pokaźnej ilości w ciągu ostatnich ośmiu czy dziesięciu lat. Często są używane do finansowania operacji, które prowadzą u nas ich ludzie. I trafiły do powszechnego obiegu.

– Dźodźo miała ich bardzo dużo. W nienaruszonych paczuszkach.

– Zgadza się. To samo w sobie już jest interesujące. Zauważyliśmy ponadto, że w ostatnich banknotach i tusz, i papier są dużo lepsze. Wszystkie banknoty Dźodźo pochodziły z tych najnowszych partii, które, jak na razie, nie są tak popularne. Jedyne pokaźny transport tych nowych banknotów przejęliśmy podczas akcji zorganizowanej wspólnie przez IB i policję z Mirutu przeciwko przemytnikom broni. A zdarzyło się coś takiego: niedaleko Mirutu furgonetka matador zderzyła się z autobusem linii publicznej i w wyniku wypadku kierowca furgonetki zginął na miejscu. Kiedy dotarła tam lokalna policja, jeden z jej pasażerów żył, a pod podłogą furgonetki, z tyłu, znaleziono dwadzieścia trzy karabiny szturmowe. Następnego dnia przesłuchano tego pasażera, który powiedział, że nie znał swojego zleceniodawcy, miał tylko odebrać furgonetkę w Delhi i przewieźć ją do Mirutu. Nic więcej nie wiedział. Ale mógł podać miejsce pobytu ludzi, którzy w Delhi wynajęli go do tej roboty. Policja urządziła nalot na ten dom. Zatrzymano trzech ludzi, sto trzydzieści dziewięć karabinów AK-57, czterdzieści pistoletów, prawie osiemnaście tysięcy naboju i dziesięć lakhów w gotówce.

Przesłuchanie tych wszystkich apradhich przyniosło kolejne nazwiska, kolejne kontakty. Po sprawdzeniu tropów i po dogłębnym zbadaniu

okoliczności ostatecznie okazało się, że pierwotnym dostawcą broni w Bombaju był Gaitonde. Na tym sprawa się zakończyła, zaprowadziła nas do przemytu broni organizowanego przez Gaitondego. W trakcie dochodzenia po jego śmierci czytałam akta tej sprawy. Pomyślałam, że warto rzucić świeżym okiem na przechwycone pieniądze. I okazało się, że rzeczywiście, całe dziesięć lakhów było w nowych banknotach wyprodukowanych w Pakistanie.

– A kim byli ci ludzie zaarrestowani w Delhi?

– Należą do podziemnej hinduskiej organizacji o nazwie Kalki Sena, o której nigdy wcześniej nie słyszeliśmy. W swoich oświadczeniach proklamują gotowość do wojny. Czytałam trochę literatury znalezionej podczas nalotu na ich dom. Wygląda na to, że chcieliby założyć hinduską rasztrę. Po zakończeniu wojny, która stanowić będzie przerażający koniec Kalijugi, nastanie idealny naród, rządzony zgodnie z pradawnymi hinduskimi zasadami.

– Ram radźja.

– Tak, ram radźja.

– A z kim ma być ta wojna?

– Z muzułmanami, komunistami, chrześcijanami, sikhami. Z wszystkimi, którzy nie kochają tego idealnego narodu. Również z wojującymi Dalitami. Karabiny jechały do Bihar, miały tam być przekazane jakiejś prawicowej prywatnej armii dowodzonej przez właścicieli ziemskich.

– Myśli pani, że Gaitonde również należał do tej organizacji? Ale przecież on zawsze starał się prezentować jako świecki mafioso.

– Zgadza się. Być może tylko robił interesy z tymi ludźmi od Kalki Seny, tylko tyle, może w żaden sposób nie angażował się w ich politykę. Ci złapani w Delhi apradhi nic więcej nie potrafili nam powiedzieć, stanowili tylko pojedynczą komórkę spełniającą określone zadanie. Ktokolwiek tym

zarządza, robi to dobrze, zabezpieczył się na wiele sposobów. Gaitonde mógł się angażować na poziomie ideologicznym, ale wcale nie musiał. Chciałabym się tego dowiedzieć. Chcę również dowiedzieć się, po co był ten schron przeciwiatomowy.

– Dobrze. Porozmawiam z tą aktorką.

Sartadź też chciał teraz to wiedzieć, zapragnął poznać odpowiedzi na te wszystkie pytania i powód zbudowania tego sześcianu. Jeśli ktoś zamierzał prowadzić wojnę przeciw niemu, jego rodzinie i jego narodowi, chciał wiedzieć, kim jest ten sukinsyn i jakie są jego powiązania z Ganeśem Gaitondem.

– Dobrze.

– Do widzenia – pożegnał się krótko Sartadź i wyszedł na światło słoneczne. Miło było poczuć ciepło poranka. Po nocy bolały go plecy i ramię, ale nawet te dolegliwości sprawiały mu przyjemność. Życie jest piękne. Życzliwym okiem patrzył na sprzedawców, na ich ręczne kalkulatory i kapliczki poświęcone brzuchatemu Ganeszy, na billboardy prezentujące listy towarów i usług, na mocno zbudowaną Marathanę w jasnozielononiebieskim stroju, energicznym krokiem zmierzającą do pracy, na trzech uliczników grających w krykieta czerwoną gumową piłką i patykiem. Sartadź zmrużył oczy i spróbował wyobrazić sobie następstwa wybuchu nuklearnego, co pozostałoby po nim z tego bazaru. Nie potrafił. Pamiętał wybuch bomby w thrillerze, tę brunatną chmurę, którą pokazano na filmie w tym filmie, ten śmiercionośny wiatr. Ale tu, na tej ulicy, trudno było stworzyć sobie rzeczywisty obraz katastrofy. Nie mógł sobie tego wyobrazić, nie mógł w to uwierzyć. A jednak to tu było. Właśnie tu, w Kailáspadzie.

Przez sklepy na rynku przy Rajgir Road przelewały się tłumy młodych kobiet kupujących ubrania na dziewięć nocy Nawaratri. Sartadź zwolnił i



skręcił motocyklem w lewo, a potem pojechał skrajem drogi, z radością obserwując podniecenie i wesołość dziewczyn, które go mijały, wchodząc do butików i wychodząc z nich. Z pewnością Dewi radowałyby się tą młodzieńczą energią, tym kobiecym szczęściem. W każdym razie dla Sartadża było to jak powiew nowego życia, stanowiło ucieczkę od bomby. Ktoś się roześmiał, a ten dźwięk przeszedł w nieoczekiwaną pieśń, która popłynęła nad warkotem i wibracjami przejeżdżających pojazdów. Sartadż odwrócił się, żeby poszukać wzrokiem źródła tego śmiechu, i w szybie jakiegoś samochodu mignęło mu odbicie ogromnych, ciemnych oczu, dostrzegł tylko przelotny błysk, ale w tym momencie jego motocykl znalazł się o kilka centymetrów od motoriksu i Sartadż musiał gwałtownie skręcić na chodnik. Silnik zgasł, a policjantowi udało się bezpiecznie zatrzymać. Od strony drogi widział jedynie długi, czerwony bok autobusu, a po lewej stał wysoki na prawie dwadzieścia metrów billboard, wznoszący do nieba bardzo zniekształconą w skróconej perspektywie i oświetloną na niebiesko twarz modelki. Przez chwilę siedział nieruchomo, śmiejąc się z własnej głupoty i czując lekko przyspieszone bicie serca, ponieważ niewiele brakowało do zderzenia. Wspierający billboard słupek tworzył z drugim metalowym słupem skierowany w dół trójkąt, przez który Sartadż widział w witrynie sklepowej odbicie czubka własnej głowy. Oj, Sartadż, powiedział do siebie, opanuj się, jar. Co się z tobą dzieje?

Ruszył dalej, zdecydowany od teraz myśleć tylko jak profesjonalista, chłodno i logicznie. Zmierzał na spotkanie z Rachel Mathias, tą Rachel, która była dawną przyjaciółką Kamali i jej potencjalnym wrogiem, uzbrojonym w nadmiar informacji. Nie był jeszcze pewien, w jaki sposób rozegra to spotkanie. Sprawa nie miała charakteru oficjalnego, a on nie dysponował żadnymi dowodami, które umożliwiłyby mu oskarżenie rozgoryczonej Rachel, więc podczas wizyty mógł liczyć tylko na zebranie

informacji i może na to, że uda mu się wzburzyć nieco mętne wody i sprawdzić, czy coś nie wypłynie na powierzchnię. Mógł odgrywać agresywnego, przerażającego policjanta albo być dyskretnym, nowym przyjacielem, który stara się pomóc Rachel, a nie tej zwariowanej Kamali. Często prowadzenie śledztwa wymagało odgrywania kilku ról, niekiedy jednocześnie. Jeśli uda się wyczuć uprzedzenia osoby podejrzanej i przekonać ją, że przynosi się lekarstwo na jej problemy, ona otworzy się i będzie mówić. Sartadź już wielokrotnie robił coś takiego, więc nie musiał się teraz specjalnie przygotowywać, nie musiał wszystkiego obmyślać z góry. Wystarczyło, że podczas jazdy szybko przypomniał sobie podstawowe fakty: dwie przyjaciółki, jedna mężatka, a druga bardzo samotna, mężczyzna, kłótnia. Prosta sprawa. Ale Sartadź już na tyle dobrze poznał kobiece kłótnie, żeby wiedzieć, że proste są tylko z pozoru. Może ten piękny Umeś był jedynie punktem zapalnym, który rozniecił tę wojnę, może już od lat narastało napięcie. A może, tak naprawdę, niechęć dotyczyła czegoś zupełnie innego. Niczego nie należy z góry zakładać, przypomniał sobie, parkując motocykl. Bądź czujny. Przestań myśleć o Nawaratri, o Durdze, Lakśmi i Saraswati.

Ale okazało się, że te boginie są licznie reprezentowane w saloniku Rachel Mathias, wypełnionym przedmiotami, które wyraźnie znamionowały kosztowną sztukę, częściowo zabytkową. Znajdowały się tu rzeźby, obrazy i – umieszczone na ścianie najdalej od okna – ogromne drewniane, dwuskrzydłowe drzwi, które musiały pochodzić z jakiejś wielkiej haweli. Stały oparte pod ostrym kątem o ścianę, wyjęte ze swojego kontekstu, ale wciąż oszałamiająco piękne w tych intensywnych błękitach, czerwieniach i żółciach, poprzecinane pasami ciemnego, nabijanego nitami żelaza. Inspektor zdawał sobie sprawę, że każdy z wiszących na ścianie obrazów, nawet z tych współczesnych, kosztuje więcej niż wynosi jego,

Sartadź, roczny dochód. Megha znalazły tych wszystkich artystów, ale jedynym dziełem, które policjant potrafił rozpoznać, była grafika Radża Rawiego Warmy, przedstawiająca obwieszoną biżuterią Lakśmi, zmysłową i pełną gracji. Dawno temu, podczas jednej z ich pierwszych randek, Megha zabrała go na wystawę dzieł sztuki i opowiedziała mu o Radźim i o jego pracach, i od tego czasu Sartadź upodobał sobie tę Lakśmi.

Wyraźnie widać było, że Lakśmi pobłogosławiła ten dom, to dwupoziomowe mieszkanie w Dźuhu, a to podsunęło Sartadźowi strategię ataku. Kiedy pojawiła się Rachel Mathias, przedstawił się i rzekł spokojnie: – Naszym zadaniem jest sprawdzanie ludzi, których majątek zdaje się nieproporcjonalny do ich dochodów.

– Ma pan na myśli nielegalne dochody, tak? Kwestie podatkowe?

Rachel miała obfite kształty, które jednak nie były wynikiem lenistwa czy niezdyscyplinowania. Uczciwie osiągnęła swoją wagę, która przysła z wiekiem i w spuściźnie po przodkach. Była dosyć atrakcyjną kobietą, miała krótko, praktycznie ścięte włosy i zadbane dłonie. Bacznie przyglądała się Sartadźowi, niczego po sobie nie dając poznać. Tak, ta kobieta umiała nad sobą panować, ale jednocześnie była głęboko wrażliwa, urazę odczuwała do szpiku kości, a potem miałyby odwagę ją pomścić.

– Zgadza się, proszę pani – odparł Sartadź. – To tylko wstępne czynności, rozumie pani. Dajemy szansę ludziom, żeby się oczyścili.

– Uważa pan, że mój majątek jest zbyt duży, tak? Że wydaję za dużo pieniędzy?

Sartadź szerokim ruchem ręki objął całe pomieszczenie.

– To mieszkanie, proszę pani. Te wszystkie obrazy i te różne przedmioty. Pani styl życia.

– Mój styl życia? To mój były mąż was na mnie napuścił, tak? Wciąż próbuje przysporzyć mi cierpień, ponieważ musiał oddać nam to

mieszkanie. Po tym, jak zostawił mnie i dwójkę swoich dzieci dla jakiejś dwudziestoletniej dziwki, uważa, że powinnam wszystkie wieczory spędzać w domu?

– Droga pani...

– Nie, to pan musi mnie posłuchać. On nie daje nam nawet jednej czwartej tego, co potrzebują nasze dzieci. To ja zarabiam te wszystkie potrzebne paisa, które potem wydaję. Te wszystkie meble i dzieła sztuki, które pan tu widzi, potrzebne są do prowadzonej przeze mnie działalności. Ciężko pracuję.

– Wystrój wnętrz?

– Tak. A teraz, wraz z dwoma innymi współnikami, zamierzam otworzyć galerię sztuki.

– Bardzo dobrze. Niemniej jednak wciąż pozostaje kwestia zbyt dużych pieniędzy. Pojawiły się pewne kwestie.

– Niby jakie? Proszę posłuchać, nasza działalność jest w pełni legalna. Mój księgowy ma wszystkie rachunki, kopie wszystkich czeków od wszystkich klientów. Możemy przedstawić wam, co tylko trzeba.

Rachel miała na sobie białą, luźną, lnianą koszulę i szare spodnie o tej samej fakturze. Ten strój podkreślał bogaty, brązowy odcień jej bardzo ładnej skóry oraz stonowany, bursztynowy kolor oczu. Dłonie miała elegancko ułożone na kolanie, ale widać było, że jest zaniepokojona. Sartadź naciskał dalej.

– Szanowna pani, nie istnieją interesy zupełnie czyste. A szczególnie w wystroju wnętrz. To tylko kwestia proporcji. Jeśli nie wykaże pani dostatecznej chęci współpracy, będziemy musieli, oczywiście, przeprowadzić odpowiednie śledztwo.

– Czego pan chce?

Sartadź przeciągnął się i zupełnie obojętnym głosem zapytał:

– Czy ma pani kamerę wideo?

– Co takiego?

– Kamerę wideo, proszę pani. Do nagrywania filmów wideo, ze ślubów, uroczystości wręczania nagród, przyjęć. – Pokazał na migi czynność nagrywania kamerą. – To teraz jest bardzo popularne.

– Tak. Mamy dwie kamery. Jedną starą, a drugą nową. Ale, o co...

Była bardzo zmieszana i – jak się Sartadźowi wydawało – trochę przerażona. Nadeszła pora na delikatne użycie sprawdzonej, policyjnej lathi. Pochylił się do przodu i wpatrywał się w nią tak długo, aż Rachel zaczęła się niespokojnie wiercić na swojej pięknej sofie w stylu mogolskim. Z łatwością wywołał w swoich oczach wrogość, wylała się z jakiegoś bezdenne zbiornika pogardy dla przestępców i osób łamiących prawo, wiedział też, że to uczucie jednocześnie napręża mięśnie jego ramiona, przydaje koloru policzkom.

– A po co pani dwie kamery? Po co pani tak dużo?

– Za tę nową zapłaciłam kartą kredytową, może pan...

– Nie o to pytałem. Do czego używa pani tych kamer?

– Jak sam pan powiedział, na uroczystościach. Kiedy jedziemy na wakacje. Do takich rzeczy.

– Czy dawała pani komuś kamerę? Pożyczała ją pani komuś?

– Nie. Ale dlaczego pan o to pyta?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie szantażu, do którego użyto kamery wideo. – Bacznie ją obserwował, nabierając pewności, że trafił na potencjalnie bogate pokłady strachu. Siedziała już na samym skraju sofy, zupełnie zapominając o manierach. – Pewne informacje wskazują na to, że pani może być związana z tą sprawą.

– Ja? W jaki sposób? O czym pan mówi?

Sartadź pokręcił głową.

– Proszę pani, lepiej będzie, jeśli pani już teraz wszystko powie.

Zauważył, że Rachel chce to zrobić, ale tylko skrzyżowała ręce, przełknęła ślinę i w końcu wyrzuciła z siebie:

– Nie mam nic do powiedzenia.

Był pewien, że słyszał to stwierdzenie w jakimś serialu telewizyjnym. Wstał. Nie spodziewał się, że sama wizyta w domu podejrzanej doprowadzi do tego, że do wszystkiego się ona przyzna. Czasami to się zdarzało, ale w tym konkretnym wypadku miało być inaczej. Będą musieli bardziej nacisnąć, może użyć mocniejszych dowodów, które trzeba znaleźć gdzie indziej. A tymczasem Rachel Mathias będzie się zamartwiać, aż stanie się kłębkim nerwów, tak bardzo się przestraszy, że w każdej chwili będzie mogła się załamać.

– Jak sobie pani życzy – powiedział Sartadź. – Oto moja wizytówka. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie.

Idąc do drzwi, Sartadź dostrzegł na stoliku z marmurowym blatem fotografię dwóch śmiejących się chłopców na tle zielonych gór.

– Pani synowie – powiedział. – Bardzo ładni chłopcy.

To chyba jeszcze bardziej przestraszyło Rachel. Wzdrygnęła się. Sartadź dobrze się teraz bawił.

– I bardzo ładna ramka – dodał. – Srebrna i bardzo ciężka. Zabytkowa, jeśli się nie mylę. A nawet jeśli się mylę, i tak pewnie bardzo droga. – Przesunął palcem po biegnącej wzdłuż krawędzi ramki szerokolistnej winorośli i na pożegnanie dorzucił: – Będziemy obserwować pani dom.

Jadąc windą, czuł się zwycięzcą. Ta kobieta była bardzo interesującą podejrzaną, potrafiła stanąć na nogi po tym, jak mąż ją opuścił, potrafiła zbudować sobie nowe życie. Kim byli współpracujący z nią spiskowcy, dzwoniący do Kamali? Jak ich znalazła, jak ich wynajęła? Dotarcie do tych informacji może być bardzo interesujące.

Sartadź i Kamble spacerowali w porze największego ruchu po przeciwnych stronach ulicy przed kinem Apsara. Szukali ulicznika Kamali Pandej, chłopca w nieokreślonym wieku i o nieokreślonym wyglądzie, który nosił T-shirt z napisem DKNY JEANS i który półtora miesiąca temu, kiedy odbierał od niej pieniądze, był ubrany na czerwono, a w ustach miał czarny ząb. Kamble nie wierzył w sukces i był trochę naburmuszony, niemniej jednak wyruszyli na poszukiwania. Dochodziła szósta i na chodniku roiło się od przepływających tłumów. Klaksony samochodów rozbrzmiewały fanfarami, które podnosiły Sartadźa na duchu. W Apsarze wyświetlano film *Pjar ka Dija*, cieszący się ogromnym powodzeniem. Sartadź dostrzegał to w odprężeniu wychodzących z kina widzów, zrelaksowanych po punkcie kulminacyjnym, i w radosnym podnieceniu wchodzących. W Apsarze, przynajmniej tego popołudnia, wciąż gorzał płomień miłości. Sartadź bokiem przecisnął się przez grupkę bystrych z wyglądu uczniów college'u, którzy zajęci byli wybieraniem numerów na swoich telefonach komórkowych.

– Ten film jest świetny, jar – powiedział jeden z nich do słuchawki.

W tłumie pracowali mali żebracy, chłopcy i dziewczynki, wyciągali ręce i starali się zainteresować kogoś swoją paplaniną.

– Ciociu, daj mi coś, tylko jedną rupię, ciociu. Jedną rupię, ciociu, jestem bardzo głodny. Ciociu, proszę. – Ci ćhokrowie mieli na sobie obszarpane koszule i baniany, ale żaden nie nosił czerwonego T-shirta. Sartadź przeszedł całą swoją trasę, dotarł aż na róg, gdzie tłum robił się mniejszy, i zawrócił. Znał już twarze koników, którzy swoim własnym tempem spacerowali po chodniku.

– Bolo, balkon za dwa pięćdziesiąt, parter półtora.

Kamble przeszedł przez ulicę, lawirując między samochodami. Dzisiejszego dnia był ubrany na czarno, łącznie z nowiutkimi czarnymi

butami ozdobionymi jakimiś srebrnymi flekami na wymyślnych obcasach. Uniósł brodę w stronę Sartadża, który tylko wzruszył ramionami.

– Nic? – zapytał Kamble. – Widziałem trzy T–shirty, ale w żadnym z nich nie było ćokry. W jednym był milutki, mały, okrągłutki towar, włosy do samego gandu, i te... – Uniósł do piersi złożone w miseczkę dłonie. – Milutka. Widziałeś koników?

– Tak.

– Po tamtej stronie kręci się też toli jakichś poket–marów. Widzisz tego ćutiję w niebieskich spodniach? On zagaduje. A tam po lewej, ten starszy gość z gazetą? Nie, nie, tam. To on obrabia ludzi. – Gładko ogolony, starszy gość w bardzo przyzwoitej i świeżo wyprasowanej białej koszuli dyskretnie przesuwiał się po chodniku. – A ten, o tam, zajmuje się przekazywaniem łupu. – Kolejny mężczyzna był młodszy, szczupły i szykowny, miał luźną, szarą koszulę i okulary przeciwsłoneczne. – Spójrz, właśnie zabierają się do roboty.

Facet w niebieskich spodniach podszedł do jakiejś rodziny, składającej się z matki, ojca, który wyglądał na pracownika szczebla kierowniczego, i dwójki dzieci, i zagaił głowę rodziny. Można było odnieść wrażenie, że pyta o drogę. Ojciec wskazywał na ulicę i machał ręką, proszę iść w prawo, w lewo. Gość w niebieskich spodniach dotknął jego ramienia, dziękuję. Dokładnie w tym samym momencie do akcji wkroczył dziadek, podchodząc do ojca od tyłu.

– Już go ma – odezwał się Kamble. – Widziałeś? Zabrał mu portfel. – Mówił głosem zdławionym z podziwu.

Sartadż zdążył jedynie dostrzec między postaciami ruch ręki dziadka.

– Ten burhau jest doskonały – powiedział. – Tatusiek jeszcze nic nie wie.

– Dowie się dopiero, kiedy będzie chciał zapłacić za lody. Mam nadzieję, że w tym portfelu nie ma biletów do kina. Aha, teraz kolej na przekaziciela.



– Dziadek i gość w okularach minęli się, ocierając się ramionami. Ten w okularach odszedł spokojnym krokiem, z portfelem schowanym pod koszulę. – Ruszamy? – zapytał Kamble. – Zwińmy sukinsynów.

– Nie, dajmy spokój. Mamy inne sprawy do załatwienia. – Zawsze miło było dokonać jednego czy dwóch aresztowań, ale Sartadź nie chciał robić zamieszania na oczach ćhokry. Każdy z nich mógł być chłopcem w czerwonym T–shircie. A dopóki nie złapią tego chłopca, Sartadź nie chciał ujawniać, że jest policjantem.

– W ten sposób nie znajdziemy tego chłopaka w czerwonym T–shircie – odezwał się Kamble. – Złapmy kilku jego kumpli. Tutaj wszędzie jest mnóstwo małych sukinsynów. Przepytajmy ich. Po paru minutach i kilku klapsach wszystko powiedzą.

– Może tak, a może nie. Natomiast możemy być pewni, że po czymś takim będzie zwiewał aż do Naśiku. Cierpliwości, przyjacielu. To biedny chłopiec żyjący na ulicy. Jeśli nie dziś, to jutro włoży swoją czerwoną koszulkę.

– Może. A może kupił nową, niebieską, za pieniądze, które dostał od tych apradhich. Ile mamy czekać?

– Aż miną godziny szczytu. Jeszcze pół godziny. Pójdziemy, kiedy ludzie się rozejdą.

– W porządku.

– Zaczekaj. – Sartadź sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon, obecnie już lekko podniszczony. Postukał w czarne klawisze. – Halo, saab?

– Sartadź, co u ciebie? – odezwał się Parulkar.

– W porządku – odparł Sartadź. – Zajmuję się pewną sprawą i potrzebowalbym pomocy.

– Słucham.

– Jestem w Goregaon. Pod kinem. Jest tu ekipa poket–marów, pracują w tłumie, starszy gość z dwoma chłopakami. Złodziejem jest ten stary, ma jakieś sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat. Widać, że jest bardzo dobry.

Parulkar przez chwilę się nie odzywał. Jedną z wielu jego zalet dobrego policjanta było to, że miał pamięć jak jeden z pomocników Jamy, nigdy nie zapominał przestępstw, nawet tych najdrobniejszych. Pamiętał apradhich sprzed czterdziestu lat, mógł nawet opowiedzieć ich historie rodzinne. Pewien chłopiec, który ukradł rower, żeby się nim przejechać, po wielu latach dowiadywał się, że jego występek został nieuchronnie i na wieki zapisany w rejestrze wspomnień Parulkara, żeby zostać ponownie wyciągnięty kiedy on będzie już dziadkiem.

– Czy ten poket–mar – odezwał się po chwili Parulkar – jest łysy? Taki przysadzisty?

– Nie. Siwowłosa, ze schludną fryzurą. Wygląda na bardzo przyzwoitego.

– Ach, tak. Jakieś metr siedemdziesiąt, metr siedemdziesiąt pięć? Troszkę się garbi, jakby miał się przewrócić?

– Tak. Sprawia wrażenie zupełnie niewinnego.

– To Dżajanta. K. R. Dżajant. Ma niesamowicie zręczne ręce. Tylko dwa razy go aresztowaliśmy, w siedemdziesiątym dziewiątym i w osiemdziesiątym drugim. Mieszkał wówczas w Dharawi, obrabiał pociągi na linii zachodniej, jeżdżąc z biletem pierwszej klasy. Nosił bardzo poważne okulary, aktówkę i tego typu akcesoria. Swojego syna wysłał do USA, pewnie przez Meksyk. Ten syn pracował jako taksówkarz i dostał zieloną kartę. Dżajant opowiadał, że jako taksówkarz chłopak zarabiał osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Powiedział mi, że on sam przeszedł już na emeryturę. To było w osiemdziesiątym ósmym albo osiemdziesiątym dziewiątym. Od tego czasu go nie widziałem.

– Wrócił do pracy.

Parulkar zachichotał.

– No cóż, zdajesz sobie sprawę, że trudno jest usiedzieć w domu na emeryturze. A ten Dżajant jest bardzo utalentowany. Takich jak on jest już niewielu. Dzisiejsi złodzieje tylko chcą przywalić ofierze i chwycić łup. Minęły już czasy, kiedy ludzie byli oddani swojej pracy.

– To prawda.

Sartadź podziękował Parulkarowi i schował telefon. Na podstawie usłyszanych fragmentów rozmowy Kamble domyślił się części przekazanych przez Parulkara informacji, a resztę Sartadź mu dopowiedział.

– Maderćod – powiedział Kamble – ten Parulkar naprawdę jest niezły.

– Tak. Jest świetny.

– I znowu pnie się w górę. Przypomina mi jakiegoś cyrkowego dżhamurę, ty go powalisz, a on wstaje.

– To prawdziwy fachowiec, Kamble. Bardzo doświadczony i bardzo przebiegły.

– To jasne, mój przyjacielu, że jest przebiegły, przecież jest braminem. A jeśli jest braminem, to ma i przebiegłość, i stosowne środki, i rodzinę w odpowiednich miejscach.

Sartadź roześmiał się.

– A ty jesteś prostym dehatim? – Kamble był dalitem i starał się nigdy nie poruszać tych kwestii, ale czasami zdarzało mu się coś powiedzieć o klasie OBC, o Maratha i braminach.

– Ja się tylko uczę, Sardardźi, uczę się wyłącznie od takich ludzi jak Parulkar – odpowiedział Kamble z uśmiechem. – Powiadają, że rozstał się z Firmą Sulejmana Isy i sprzymierzył się z Rakszakiem. Po tylu latach

bliskich kontaktów z Firmą S zupełnie przeszedł na drugą stronę. To dlatego ci z Rakszaku nagle tak go pokochali. Zgadza się?

Również Sartadź słyszał te plotki. Wzruszył ramionami.

– Musisz jego zapytać.

– Szefie, nie ma co pytać. Już wystarczająco mnie nauczył. Już wiem, że to wygląda w ten sposób, dostajesz pieniądze, zawierasz znajomości, awansujesz, zarabiasz większe pieniądze, poszerzasz krąg znajomych, potem masz prawdziwą władzę, wtedy zarabiasz jeszcze większe pieniądze, później...

– Kumam – odparł Sartadź. – Kumam, guru.

– Nie, nie, nie jestem żadnym guru, jeszcze nie. Ale sahib Parulkar tak, on jest moim guru, nawet jeśli o tym nie wie. Jestem jak Eklawya, tylko że zamierzam zachować mój kciuk, moją laurę i wszystkie moje maderćodowe rzeczy. – Kamble uśmiechał się teraz od ucha do ucha, szczerząc zęby w swoim najdzikszym uśmiechu.

Chcąc nie chcąc, Sartadź uśmiechnął się w odpowiedzi. Kamble potrafił być jednocześnie śmiertelnie poważny i pogodny. Sam stworzył swój wizerunek badmaśa, był jednak w tym uroczy.

– Wracajmy do roboty – powiedział Sartadź.

Ale Kamble zatknął kciuki w szlufki spodni i kołysał się na piętach do przodu i do tyłu. Spoglądał na swoje naukowo zaprojektowane buty.

– Szefie – zapytał w końcu. – Czy naprawdę sądzisz, że w mieście jest bomba?

W drodze do Apsary Sartadź opowiedział Kamblemu o schronie Gaitondego. Skąpany w ukośnie padających promieniach słońca, czuł ogromny strach i chciał się tym z kimś podzielić, a Katekar nie żył.

– Nie wiem – odrzekł. – Może Gaitonde uważał, że istnieje zagrożenie z powodu tej bomby.

– Ale od tego czasu minęło już tyle miesięcy. Gdyby chcieli wysadzić nas w powietrze, mogli już dawno to zrobić. Pewnego dnia, po prostu phatak. Ale jeśli my tu nadal jesteśmy, to chyba oznacza, że nie ma żadnej bomby.

– Zgadza się, to brzmi logicznie. – Takie rozumowanie było zupełnie poprawne. Być może Gaitonde nagle poczuł zagrożenie. Ale czas upływał, Gaitonde już nie żył, a zagrożenie się nie potwierdziło. Może więc został oszukany, może po prostu zwariował. – Nie ma żadnej bomby, jar.

– To jakiś wariacki pomysł.

Kamble skinął głową Sartadźowi, a ten odpowiedział mu tym samym. Kamble wrócił na swoją stronę ulicy. Sartadź po raz kolejny przeszedł powolnym krokiem po chodniku, podążając do ściany i z powrotem do skraju. Zdawał sobie sprawę, że próbowali dodać sobie nawzajem otuchy, kiwając sobie nawzajem głowami, ale tak naprawdę obaj się bali. Byli policjantami i wiedzieli, że katastrofa przychodzi nieoczekiwanie, że nie pojawia się w żaden przewidywalny sposób, jak to pokazują w filmach. Dobrze pamiętał historię tej kobiety, która wraz z rodziną wybrała się do wesołego miasteczka w Bandra Reclamation. Dzieciaki koniecznie chciały iść na diabelski młyn, więc kochający rodzice poszli z nimi. Matka była młoda, piękna i bardzo szczyliła się swoimi wspaniałymi, długimi, kruczoczarnymi i olśniewającymi włosami. Tej niedzieli rozpuściła je do pasa, opadały jak aromatyczna fontanna. Koło uniosło ich do góry, koło nabrało prędkości, koło spowodowało, że włosy matki się rozwiały, wirujące koło wkręciło włosy matki w rozpędzone szprychy i to koło zerwało całą skórę z głowy matki. Albo inna sytuacja, załóżmy, że jesteś ojcem, niedługo masz przejść na emeryturę i pewnego dnia zajmujesz się swoimi sprawami, spokojnie kupujesz warzywa i czekoladę, aż tu nagle z siedemnastego piętra nowego budynku Daihatsu spada klucz elektryka, odbija się od dwóch poziomów rusztowania, i w końcu leci w dół i ląduje w

twojej czasce. Coś takiego wydarzyło się w Worli, kiedy Sartadź był podinspektorem z dwumiesięcznym stażem. Podobnie nieoczekiwanie wybuchały bomby. Zanim eksplodowały, nie można było wyczuć ich obecności, nie wywoływały mrowienia na karku, nie wydzielały żadnego zapachu. A był jeszcze ten dzień, tak dawno temu, w piątek w 1993 roku, kiedy na komisariacie w Worli rozdzwoniły się telefony. Sartadź popędził wówczas swoim motocyklem, za nim pojechała furgonetka, a on gnał po chodnikach, omijając zakorkowane ulice, zmierzając w stronę biura paszportowego. Widział mężczyzn i kobiety, którzy szli, biegli, a potem znowu szli. I ten gęsty, szary dym, ta cisza, w której żaden ptak nie zaśpiewał. Sartadź kopniakiem postawił podpórkę motoru i pobiegł ulicą, mijając zielonego fiata, który obnażał zardzewiałe wnętrza, jak obrócony do góry brzuchem krab. Po chwili stopy zaczęły mu się ślizgać, a kiedy spojrział w dół, zobaczył, że idzie po krwi, która rozbryzguje się pod jego stopami.

Wystarczy tego. Daj spokój. Sartadź strzelił kłykciami, i te ciche trzaski przywróciły go do rzeczywistości tego chodnika, kina Apsara, gdzie wyświetlano filmem *Pjar ka Dija*, do plakatu, na którym para bohaterów przechylała się w pamiętnym uścisku Raji i Nargis z filmu *Awara*. Skoncentruj się na bieżącym problemie, powiedział sobie Sartadź. Zajmij się pracą. Obserwuj tłum, bacznie przyglądaj się twarzom. Sartadź starał się, ale nie potrafił pozbyć się resztek wspomnień, obrazu porzucanych po szczątkach samochodu części ciał. Tu ramię, tam stopa. Tak, bomby po prostu wybuchają. Eksplodują. Sartadź dotarł do końca swojej trasy, zawrócił i przeszedł ją ponownie.

Na krótko przed upływem umówionej pół godziny Kamble nadszedł ze swojej strony ulicy. Widzowie albo zostali już wchłonięci przez kino Apsara, albo poszli do domu, ale wciąż kręciło się tu kilku chókrów.

Sartadź obserwował Kamblego, który właśnie przekraczał przegrodę dzielącą pasy jezdni, i martwił się tą niecierpliwością partnera. Siła była przydatna, a i odwaga była czasami niezbędną, ale w ich pracy największe znaczenie miała umiejętność spędzania niezliczonych godzin na wykonywaniu drobnych, nudnych, czasami bezsensownych zadań. Katekar, na przykład, z pewnością nie chciałby tak wcześnie opuszczać Apsara. Ale Katekar już nie żył.

– Myślisz, że to zrobili kattu? – zapytał Kamble.

– Co?

– Tę bombę. Jeśli w mieście jest jakaś bomba, to z pewnością przynieśli ją tu muzułmanie.

– Tak. To prawda. To na pewno muzułmanie.

– Porozmawiajmy więc z tą kutiją Zoją. Może ona coś wie. Przecież nie wyrzuci nas, jeśli pójdziemy prosto do jej domu. W końcu jesteśmy policjantami.

Tak, w końcu. Kamble miał rację.

– Uspokój się. Nie ma co się spieszyć. Mamy czas. Sam mówiłeś, że minęło już tyle miesięcy. Nawet jeśli ta bomba tu jest, jeszcze nie wybuchła. I pewnie nie wybuchnie dziś w nocy. Ani jutro rano.

Kamble splunął do rynsztoka. Przeciągnął się, poruszając łopatkami.

– Jasne. Nic takiego nie mówię. Ale moglibyśmy chyba po prostu pójść i porozmawiać z tą randi. I co z tego, że odgrywa wielką gwiazdę filmową? Przecież to tylko randi. W każdym razie, daj mi znać i powiedz, kiedy zabierzemy się do roboty.

– Jasne. Nie możemy wezwać jej na komisariat, są pewne ograniczenia. Musimy wymyślić jakiś sposób, żeby się do niej zbliżyć. Nie można jej przestraszyć.

– Dobra, dobra. Skończyliśmy na dziś? Muszę znaleźć sobie jakąś kobietę. Ta bomba za bardzo mnie zdenerwowała, sahibie bhai.

– Jeszcze chwilka. Mam pewien pomysł. – Sartadź obserwował K. R. Dżajanta, wybitnego poket–mara, który, liżąc lody, statecznym krokiem zmierzał do przystanku autobusowego po drugiej stronie ulicy. Chyba wszyscy po pracy tęsknią za odrobiną przyjemności. – Chodźmy.

Sartadź ruszył na drugą stronę ulicy jako pierwszy i podszedł do Dżajanta od prawej strony. Dostosował swój krok do tempa marszu kieszonkowca i szedł blisko niego, jak kolega, który chce wieczorem zaczerpnąć świeżego powietrza. Z przyjemnością zauważył, że Dżajant zachowuje kamienny spokój. Po starym wydze można było spodziewać się rozsądku – tylko nieznacznie odsunął się w lewo, wciąż zajmując się swoim lodowym rożkiem. Ale w tym momencie po jego drugiej stronie pojawił się Kamble, zamykając mu drogę ucieczki.

– Namaste, wuju – odezwał się Sartadź.

Dżajant skinął głową.

– Jesteście z policji – powiedział.

Sartadź nie mógł powstrzymać się od śmiechu, wywołanego przyjemnością spotkania doświadczonego zawodowca.

– Tak – odrzekł. – Jak tam, spore zyski dzisiaj?

Dżajant odgryzł kawałek rożka.

– Nie wiem, o czym mówicie.

Sartadź położył mu dłoń na ramieniu.

– Are, wuju. Przez cały wieczór obserwowaliśmy, jak pracowałeś. Z tymi dwoma chłopakami. Jesteś bardzo dobry.

– Z jakimi chłopakami?

– Jeden w niebieskiej koszuli, a drugi w okularach przeciwsłonecznych. Daj spokój, wujku Dżajant, nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Wycofałeś



się z emerytury, ciężko pracujesz. Nie ma w tym nic złego.

– Ja nie nazywam się Dżajant.

Sartadź zdzielił go w twarz. Uderzenie było krótkie, wymierzone grzbietem dłoni spoczywającej na ramieniu Dżajanta, ale wzmocnione kośćmi dłoni Sartadźa, więc Dżajant się zachwiał. Kamble z obrzydzeniem wpatrywał się w swój prawy but, na którego czubek spadły resztki lodów.

– Zabierzmy tego sukinsyna na komisariat – powiedział. – Tam przypomni sobie, jak się nazywa.

Chociaż ulica była bardzo zatłoczona, tylko jedna kobieta dostrzegła to uderzenie. Oddalała się teraz od nich spiesznie, z przerażeniem zerkając na Sartadźa. Niosła siatkę pełną warzyw, a w jej włosach widać było jasnoczerwony sindur. Sartadź powstrzymał się przed wyjaśnieniem: „My tylko w taki sposób rozmawiamy, temu miłemu staruszkowi nic złego się nie stanie”. Odwrócił się do Dżajanta.

– To jak będzie, wujku? Chcesz iść z nami na komisariat?

– Zgoda – Dżajant odrzucił pusty rożek. – Faktycznie nazywam się Dżajant. Nie znam was.

– Sartadź Singh.

– Nie jesteście z tej strefy. Ile chcecie?

– Masz układy z tutejszą policją?

Dżajant wzruszył ramionami. Oczywiście, że miał układ z tutejszymi chłopakami, ale ani myślał dzielić się informacjami.

– Nie chcemy robić ci kłopotów – powiedział Sartadź. – Ani cię aresztować. Nic z tych rzeczy. Ale chcielibyśmy, żebyś coś dla nas zrobił.

– Jestem już stary.

– Rozumiem, wujku. Ale nie przemęczysz się. Musisz tylko mieć oczy szeroko otwarte. – Sartadź powiedział, że ma szukać ćokry w czerwonym T-shircie z takim a takim napisem, z czarnym zębem, że ma dowiedzieć

się, jak ten ćhokra się nazywa i – jeśli to możliwe – gdzie mieszka. Dodał jeszcze, żeby nie przestraszył czerwonego T–shirta i nie dał mu do zrozumienia, że wielcy, brzydcy i brutalni policjanci go szukają. I jak tylko dowie się czegoś o tym chłopcu, niech zadzwoni do Sartadża lub Kamblego pod taki a taki numer.

– Nie mogę chodzić i zaglądać chłopcom w usta – stwierdził Dżajant. – Pomyślą, że jestem jakimś zбочeńcem, są bardzo cwani.

– Wiem, wujku. Wystarczy, jak będziesz szukał czerwonego T–shirta. Wtedy porozmawiaj z nim. Bądź cierpliwy. Nie rób niczego pochopnie. Po prostu zajmuj się swoimi sprawami i miej oczy otwarte.

– Zgoda – odparł Dżajant.

– On tu się pojawi – powiedział Kamble.

– Oczywiście – odparł Dżajant z irytacją. Uliczni ćhokrowie mieli silny instynkt terytorialny, dokładnie wyznaczali swoje narożniki, rejony, biegnące przez środek ulicy linie graniczne. Wszyscy wiedzieli, że potrafią bronić swoich terytoriów zażarcie, jak generałowie walczący o ziemię świętą. – I sądzicie, że on będzie w tej samej koszulce? Co ty wyprawiasz?! – to ostatnie pytanie skierował do Kamblego.

Kamble otworzył kieszeń spodni Dżajanta i zaczął w niej grzebać.

– Nie bój się – powiedział. – Nie przetrząsam ci kieszeni. Nie martw się. I nie przejmuj się tym ćhokrą. Zachowaj czujność i obserwuj. On się pokaże. – Wyciągnął brązowy, skórzany portfel, wytarty do gołej skóry. – Nie nosisz zbyt wiele pieniędzy, wujku.

Dżajant w lot złapał aluzję.

– W dzisiejszych czasach jest tyle przestępczości na ulicach – odrzekł.

Kamble zachichotał, doceniając jego inteligencję.

– Sześćset rupii i obrazek... Co to za bóg?

– Murugan.

– Nie ma żadnych dokumentów.

Po drugiej stronie, w drugiej kieszeni Dżajanta, coś zaszeleściło pod dłonią Sartadźa. Inspektor zanurzył palec wskazujący i wyciągnął list, krajowy, dwa razy złożony na pół.

– Malad – stwierdził Sartadź. List był napisany jakimś niezrozumiałym pismem z południa, ale zaadresowany był po angielsku. – Bardzo blisko domu pracujesz, wujku.

– Jestem już stary. Nie mogę daleko podróżować.

Kamble oddał mu portfel.

– Ale i tak przeprowadziłeś się z Dharawi. Mogę się założyć, że masz miłe mieszkanie w Maladzie. Jak na staruszka, zarabiasz niezłe pieniądze. Nawet jeśli ich przy sobie nie nosisz. – Dżajant wzdrygnął się nieco pod pełnym niechęcią, świdrującym spojrzeniem Kamblego i spuścił wzrok.

Sartadź zapisał adres.

– A tak nawiasem mówiąc, dlaczego tu się wałęsasz, wujku, w twoim wieku? Czy ten twój syn, ten z Ameryki, już ci nie pomaga?

Dżajant pokręcił głową, a wyglądał przy tym smutno, jak ci wszyscy ojcowie w filmach, którzy przez całe życie cierpieli tylko rodzinne kłótnie, niewdzięczność i tragedie.

– On ma już własne dzieci – powiedział. – Własne obowiązki.

– Ożenił się z Amerykanką?

– Tak.

Sartadź poklepał Dżajanta po ramieniu, jeszcze raz powtarzając polecenia, i w końcu się z nim pożegnał. Kamble wyglądał na bardzo nieszczęśliwego, a Sartadź wiedział, że partner wciąż jeszcze myśli o sześciuset rupiach w portfelu Dżajanta.

– Panienska? – zapytał Sartadź.

– Co takiego?

– Wydawało mi się, że chcesz poszukać jakiegoś towaru. Żeby rozluźnić to napięcie wywołane bombą.

– Tak, tak. W dzisiejszych czasach jesteśmy zbyt zestresowani. Nawet apradhi opowiadają o swoich stresach.

– W takim razie może musisz załatwić sobie dwie panienki? Na ten podwójny stres.

Kamble wyprostował się i oparł zaciśnięte dłonie na biodrach, dokładnie tak, jak Netadzi na piedestale.

– Masz rację, przyjacielu – odrzekł. – Dzisiaj wezmę sobie nie dwie, ale trzy kobiety. Na potrójny stres.

Sartadź patrzył za kolegą, który odchodził dumnym krokiem, zmuszając przechodniów na wieczornych zakupach, by rozstąpili się i zrobili mu przejście godne króla. Może kiedy będzie trochę starszy i życie da mu już trochę w kość, będzie dobrym policjantem. Ale w tej chwili był zrozumiasty i bardzo przestraszony tym nowym zagrożeniem, o którym dziś się dowiedział. Sartadź również był przestraszony, ale przyzwyczał się już do strachu i nie oczekiwał, że można od niego uciec. Jakieś szybkie, zdecydowane działanie prawdopodobnie przyniosłoby złudzenie komfortu psychicznego, ale i tak miałoby tylko charakter tymczasowy. Trzeba było nauczyć się żyć ze strachem, z jego czerwonym jęzorem i girlandą z czaszek. Sartadź odwrócił się w lewo i pomaszerował chodnikiem. Był w pracy, miał się nią zajmować jeszcze pół godziny. Bomba musi poczekać.

Sztuki zawierania i kultywowania znajomości Sartadź nauczył się wcześniej, jeszcze w domu rodzinnym. Ludzie starali się zbliżyć do jego ojca inspektora, zazwyczaj były to osoby w kłopotach, które potrzebowały pomocy. Próbowaly skontaktować się z nim przez znajomych, krewnych i kolegów z pracy, przez znajomych swoich znajomych i przez powiązania

polityczne. Pewnego razu jakaś kobieta – porzucona przez męża, który teraz jej groził – znalazła dojście przez dyrektora szkoły średniej, do której chodził Sartadź. Należało znaleźć jakiś kontakt z osobą, z którą znajomość mogła okazać się przydatna, a potem, korzystając z tego kontaktu, świadczyć przysługi i zaskarbiać sobie zobowiązania, tak aby ta osoba poczuła, że powinna udzielić pomocy, a przynajmniej wysłuchać prośby. Na znajomościach opierało się całe życie, poruszanie się po świecie polegało na trącaniu strun tej pajęczyny i przemieszczaniu się po jej wielu ścieżkach.

Sartadź posiadał więc umiejętność zawierania znajomości, ale problem polegał na tym, że jeszcze nigdy nie próbował zbliżyć się do gwiazdy filmowej. Podobnie jak wszyscy w Bombaju, znał jakiegoś gościa z firmy cateringowej, który raz na jakiś czas dostarczał jedzenie na plan zdjęciowy, dwóch statystów klasy A, i miał też jednego dalekiego kuzyna, który z kolei miał przyjaciela, a wuj tego przyjaciela był producentem filmowym. Żadna z tych znajomości nie mogła jednak doprowadzić go do sytuacji, w której znalazłby się w pokoju z Zoją Mirzą, jednocześnie jej nie niepokojąc. I właśnie to powiedział Mary i Dźanie późnym wieczorem tego samego dnia, na maidanie pełnym tancerzy i jasnych świateł. Z komisariatu mógł wyjść dopiero bardzo późno, ale one nalegały, żeby osobiście zdał im relację z postępów w sprawie Zoi Mirzy. Spotkał się więc z nimi w Dźuhu, na uroczystościach Wielkiego Nawaratri Garu–dźi Patty Mandali. Obwieszczające galę plakaty na zewnątrz obiecywały „Dandija Ras, jakiego jeszcze nie było” i chociaż Sartadź w to nie wierzył, zauważył, że bawi się tam przynajmniej trzy tysiące roztańczonych ludzi. Kiedy dotarł na miejsce, zadzwonił z telefonu komórkowego do męża Dźany, ale dopiero po piętnastu minutach znalazł ich przy stoisku Coca–Coli. Sartadź wędrował w tłumie ludzi, oszołomiony połyskującą mgiełką czerwonych, niebieskich i zielonych ghagr. Tańczący wirowali oświetleni migoczącym blaskiem kijów

dandia, a Sartadźowi kręciło się w głowie od zapachu perfum, od dźwięcznego śmiechu, od głosu piosenkarki śpiewającej *Pankhida tu urri dźae*<sup>25</sup>. W końcu dostrzegł wysoką Dżaną, która machała do niego ponad falującą rzeką przystrojonych klejnotami głów. Mary zobaczył dopiero, kiedy przy niej stanął, ale nawet wtedy jej nie rozpoznał, chociaż długo na nią patrzył. Udało mu się to dopiero, kiedy się uśmiechnęła i powiedziała:

– Dzień dobry.

Dżana wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Czyż ona nie wygląda jak prawdziwa Gudźdźu behen?

– Tak – odparł Sartadź. Mary miała na sobie niebieską ghagrę i ciemnoniebieskie, mieniące się srebrem ćunni, a włosy spięła jakimiś perłowymi spinkami. Jej usta były jaskrawoczerwone. – Nawet cię nie poznałem.

– Zauważyłam. Chociaż to przebranie nie jest aż tak wymyślne.

Sartadź uważał, że jest mylące, ale tylko skinął głową i uścisnął dłoń męża Dżany, Sureśa, wspaniale prezentującego się w szkarłatnej kurcie i krótkiej marynarce dżari. Sureś uniósł do góry małego Nareśa, ubranego dokładnie jak ojciec. Sartadź pogłaskał głowę chłopczyka, przez cały czas zdając sobie sprawę, że Mary go obserwuje.

– Proszę – odezwała się Dżana. Podała mu coca-colę i poprowadziła do ustawionych po lewej stronie krzeseł. Odesłała Sureśa z Naresem, rozsiadła się wygodnie, przyciągnęła do siebie Mary i odwróciła się do Sartadźa. – A teraz mów, słuchamy.

Obie okazały wyraźne niezadowolenie, kiedy dowiedziały się, że Sartadź nie ma im nic do powiedzenia na temat Zoi Mirzy.

– Czy policja zawsze działa tak powoli? – zapytała Mary. Siedziała z wyprostowanymi plecami i dłońmi złożonymi na kolanach, jak nauczycielka.

– Oczywiście, że tak, baba – powiedziała Dżana. – Czy próbowałaś kiedyś zgłosić coś na komisariacie?

Obie trochę się z nim drażniły, ale Sartadź z uśmiechem przyjął tę ich krytykę. Szeroko rozłożył ręce.

– Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby była oficjalna – powiedział. – Muszę zachować daleko posuniętą ostrożność.

– I, oczywiście, tym też my musimy się za ciebie zająć – odezwała się Mary. – Dżana, czy przypadkiem ta dziewczyna Stephanie, co to pracowała w zakładzie „Nalini and Yasmin”, nie ma siostry, która robi makijaż dla Kadźol?

– Tak, tak. Ale gdzie ona teraz pracuje?

Sartadź rozsiadł się wygodnie i z podziwem patrzył na Dżaną, która dłonią zakryła sobie jedno ucho, a do drugiego przyłożyła telefon komórkowy. Z głośników dudniła przerobiona specjalnie na garbę wersja *Ćaijja Ćaijja*<sup>26</sup> i przy dźwiękach muzyki Dżana starała się znaleźć tę dziewczynę Stephanie.

Przekazała aparat Mary, a ta z kolei zajęła się sprawdzaniem innych możliwości. Sartadź patrzył na nie z przyjemnością, podziwiał, jak prowadzą swoje własne dochodzenie. Było to jakieś szczególne zarzucanie sieci, zadawały pytania, które niekoniecznie zbliżały je do Stephanie, ale wokół niej krążyły. Dżana i Mary z przejęciem rozmawiały o byłej przyjaciółce Stephanie, która również pracowała w zakładzie „Nalini and Yasmin”. Dyskutowały o chłopaku tej przyjaciółki i o tym, jak wybrała się na zakupy do nowego centrum handlowego w Goregaonie, a także o jej planach wyjazdu w zimie na Goa. Na ile Sartadź zdołał się domyślić, nie ma to żadnego związku ze Stephanie ani też z Zoją Mirzą. Ale Dżana i Mary, nachylone ku sobie, rozmawiały o tej byłej przyjaciółce z pełnym przejęciem i ogromną przyjemnością. Z kilku rozmów telefonicznych

zebrały informacje o jeszcze innych kobietach, o tym, co robią i czym się zajmują, dowiedziały się o małżeństwach i narodzinach. W tym właśnie momencie Mary rozmawiała z jakąś kobietą o angloplastyce, którą przeszła babcia tej kobiety. Skończyła rozmowę i zwróciła się do Sartadźa:

– Jest już za późno, wszyscy poszli spać. Ale jutro będziemy miały kontakt do tej Zoi Mirzy.

– Kontakt przez makijaż – zapytał Sartadź.

– Naśmiewasz się z nas? – odparła Mary. – My tu staramy się ci pomóc, a ty się z nas naśmiewasz?

– Nie, absolutnie się nie naśmiewam. Szczerze mówiąc, podziwiam was. To naprawdę robi wrażenie, jak zdobywacie informacje.

– Sureś zawsze powtarza, że ja za dużo mówię – stwierdziła Dżana. – Jego zdaniem rozwodzę się nad rzeczami zupełnie nieistotnymi. Poucza mnie, że jeśli chcę przejść od A do C, to wcale nie muszę mówić o L, M i Z.

Mary przybrała pozę Sureśa, pełną zniesmaczonej wyższości.

– Wy, kobiety, żeby dostać się z Churchgate do Bandry, wędrujecie przez Hiane.

Sartadź i Dżana zachichotali. Mary bardzo dobrze naśladowała Sureśa, dokładnie oddała jego postawę i szybko wypowiedane, urywane zdania. Sartadź dostrzegł to, chociaż rozmawiał z nim zaledwie dwie minuty. W tym właśnie momencie z tłumu wyłonił się sam Sureś.

– Zostawiłem Nareśa z mamą – oznajmił i zrobił głupią minę, widząc, że jego żona, Mary i Sartadź zaczęli skręcać się ze śmiechu.

Dżana wstała i położyła mu rękę na ramieniu.

– Idziemy potańczyć – powiedziała. – Idziesz z nami?

Sartadź poczuł ulgę, kiedy Mary pokręciła głową. Już od dawna nie uczestniczył w tańcu dandia i zupełnie nie chciał zanurzać się w skłębionym morzu tańczących.



– Idźcie – odezwała się Mary. – Jestem trochę zmęczona.

Dżana i Sureś zniknęli wśród tancerzy, którzy utworzyli teraz cztery wirujące kręgi, jeden wewnątrz drugiego.

– Pięknie to wygląda – odezwał się Sartadź. Rzeczywiście, kręgi skrzące się w aureoli złotawobrazowych reflektorów wyglądały wspaniale.

– Oni tu się poznali – powiedziała Mary. – Dżana i Sureś. Jego ojciec jest jednym z organizatorów.

Sartadź przypomniał sobie, jak sam spotykał Meghę w noce garba, w czasach tak odległych, że wydawały się zamierzchłe. Wtedy muzyka nie była taka dyskotekowa.

– Od dawna tu przychodzisz?

– Od kiedy spotkałam Dżanę, cztery lata temu. To niezła zabawa. Lubię się przebierać i wychodzić z domu.

Musiał odwzajemnić jej zadowolony uśmiech.

– I mieszać się z ludźmi z Gudżaratu.

– To mili ludzie.

– Chyba że mordują muzułmanów.

– Ale o wszystkich można coś takiego powiedzieć, prawda? Nawet muzułmanie czasami mordują ludzi. Chrześcijanie też to robią.

– Tak, nie to miałem na myśli... Przepraszam. Sureś wygląda na porządnego człowieka.

– Nie ma sprawy. – Odwróciła się na krześle, żeby spojrzeć wprost na Sartadźa. – Tobie wydaje się, że każdy jest mordercą.

– Każdy może nim zostać. Jeszcze raz przepraszam. To chyba nie jest odpowiedni temat na garba. Po prostu policjanci tak już na wszystko patrzą.

Mary wcale nie wyglądała na zmartwioną.

– Powiedz mi, w takim razie, co jeszcze dostrzegasz w garbie?

– Noce Nawratri są, oczywiście, doskonałą okazją dla kieszonkowców. Dla łowców łańcuchów i temu podobnych. A poza tym tu się obraca wielkimi sumami. W niektórych miejscach bilety kosztują po pięćset rupii, robi się z tego niezła kwota. To kusi ludzi, którzy tymi pieniędzmi się zajmują.

– Takie jest już życie, pełne pokus.

– Zgadza się. I jeszcze jedno. Chłopcy i dziewczyny, i te rzeczy. Nawet najbardziej tradycyjalistyczne rodziny przyprowadzają na garbę swoje niezamężne córki. Trudno je upilnować, kiedy już zgubią się w tym całym zamieszaniu. A znajdują je chłopcy. Każdego roku, przez okres miesiąca, dwóch lub trzech po Nawratri, wszystkie przychodnie w mieście informują o wzroście przypadków aborcji.

– Naprawdę?

– Naprawdę. I to policja powinna zająć się tego typu sprawami.

– Chciałbyś, żeby policjanci pilnowali chłopców i dziewczyny podczas garby?

– Gdybyśmy mieli dostatecznie dużo policjantów, może nie byłby to taki zły pomysł. Z każdym rokiem jest coraz gorzej.

– A może chłopcy i dziewczyny uważają, że z każdym rokiem jest coraz lepiej.

Była przesadnie poważna i Sartadź nagle uświadomił sobie, że się z niego nabija. Ku swemu zdumieniu zaczerwienił się.

– Nie, to ty masz rację – spuścił wzrok i podrapał się w kark. – W dzisiejszych czasach bardzo łatwo stać się staroświeckim. Mówię jak mój ojciec. On też był policjantem.

– Tutaj, w Bombaju?

– Tak. Tutaj. Prawdę mówiąc, sądzę, że Sureśowi nie spodobałyby się jego opowieści. On również był jednym z tych ludzi, którzy, żeby trafić do

Bandry, najpierw musieli odwiedzić Thane.

– Wydawało mi się, że policjanci raczej się streszczają.

– Och, on potrafił mówić zwięźle. Ale zawsze powtarzał, że to, co zostało pominięte w ostatecznym raporcie ze sprawy, w rzeczywistości stanowi jej istotę. Potrafił opowiadać historię kradzieży w Cemburze i ni z tego, ni z owego znajdowałaś się w Amrytsarze. Moja matka naśmiewała się z niego.

– A gdzie jest teraz twoja matka?

Sartadź opowiedział jej o domu w Pune i o korzyściach płynących z faktu, że Ma jest blisko rodziny i gurudwary, a potem zrelacjonował jej jedną z ciekawszych spraw o zabójstwo, którą zajmował się Papa-dzi, a która w rzeczywistości ciągnęła się od Kolaby aż do Hajderabadu. Może nie tak daleko, jak do Amrytsaru, ale miał wrażenie, że Mary zrozumiała, w czym rzecz. Niewiele mówiła, ale zadane przez nią dwa pytania sięgały do samego sedna tej krwawej sprawy. I dopiero po powrocie Dżany i Sureśa, który niósł na ramieniu śpiącego syna, Sartadź uzmysłowił sobie, że minęła ponad godzina. Było już dobrze po północy. Policjant odprowadził tę ich małą grupkę i pomachał im na pożegnanie. Stał tyłem do bogato zdobionej kwiatami bramy garba, z rękami na biodrach, i rozmyślał o Mary Mascarenas. Była cicha i nieodgadniona, ale zdumiewająco łatwo się z nią rozmawiało. Była inteligentna, choć nie lubiła się tym popisywać. Miała swoje zdanie i upierała się przy nim. W gudżaratskiej ghagrze wyglądała nieco pretensjonalnie, ale i skromnie, jednocześnie niepozornie i okazale. Stanowiła kłopot. A przynajmniej wzbudzała niepokój. Była niebezpieczna. Trzeba na nią uważać.

Następnego ranka, siedząc nad ćajem, Sartadź doszedł do wniosku, że ten cały strach przed bombą jest po prostu śmieszny. Wstydził się, że się

przestraszył, że uwierzył w coś, co najwyraźniej było wytworem umysłu naiwnej kobiety, która, tak się akurat złożyło, była oficerem wywiadu. A poza tym to całe towarzystwo szpiegów to była jakaś zwariowana banda, jakaś kasta tajnych wojowników, którzy w każdym przestępstwie dopatrywali się zagranicznych wpływów, a za każdym rogiem widzieli terrorystę. Sartadź popijał ćaj i nie odczuwał strachu. Poranek był wyjątkowo chłodny, jak na tę porę roku, jak na sam koniec września, a on czuł przypływ optymizmu i energii. Usiadł przy oknie z drugą filiżanką herbaty i z numerem „Dainik Dźagran”, obserwując ptaki podnoszące się z bagien i kołujące w kierunku budzącego się światła. Wiadomości były niedobre, albo raczej standardowo niedobre, na granicy rosło napięcie, w Dżammu doszło do ataku z użyciem granatów, rządząca koalicja znowu chwiała się w samym centrum i groziła rozpadem. Świat rozpadał się na kawałki, ale Sartadź stał pod prysznicem i, namydlając klatkę piersiową, śpiewał *Bhumro bhumro*<sup>27</sup> do wtóru melodii płynącej z radia w mieszkaniu poniżej. Z mieszkania na górze dochodziły głosy dzieci, śmiejących się i również śpiewających to samo. Ten poranek był naprawdę dobry.

Kiedy zamykał drzwi mieszkania, zadzwonił jego telefon komórkowy. Dzisiaj był pewny siebie. Wiedział, że to Mary, a nie ktoś z komisariatu. Nacisnął guzik.

– Halo, halo?

– Halo – odezwała się Mary, a Sartadź roześmiał się na głos. – Jesteś dziś w doskonałym humorze?

– Halo, Mary–dzi – powitał ją Sartadź. – Przepraszam, przepraszam. Właśnie słuchałem piosenki w radiu i dzieci sąsiadów, które też ją śpiewały.

– I to cię tak rozbawiło?

Wyczuwał jej uśmiech.

– Wiem, że to trochę głupie. Chyba wiesz, co się mówi o sardarach<sup>28</sup>.  
Zachichotała, ale po chwili się powstrzymała.

– Ale jeszcze nie ma dwunastej.

– O tej porze powinnaś się ze mną spotkać.

– Widziałam cię w środku dnia i wcale nie byłeś radosny. Byłeś przerażający.

– Prowadziłem dochodzenie, musiałem mieć taką minę.

– Gdy będziesz miał spotkać się z Zoją Mirzą, zrób inną minę, dobrze? Bo w przeciwnym razie ona przed tobą ucieknie.

– Z Zoją? Udało ci się znaleźć kontakt?

– Oczywiście. I wiem, gdzie będzie miała zdjęcia dziś i jutro. Zapisz sobie. – Sartadź zanotował w swoim terminarzu imię charakteryzatora Zoi Mirzy i numer jego pagera, a także nazwisko osoby odpowiedzialnej za produkcję, i numer jej telefonu komórkowego. – Ten chłopak od makijażu, ten Wiwek, to twój główny kontakt. Wie, że przyjdiesz, i już rozmawiał z producentem. Wiedzą tylko, że jesteś policjantem i wielbicielem Zoi Mirzy, a także że bardzo zależy ci na spotkaniu z nią.

– To akurat jest prawda.

– Jesteś jej wielbicielem?

– Tak.

– Jak co drugi mężczyzna w Indiach. Tylko pamiętaj, dzięki komu spotkasz się z Zoją. Zadzwoń do nas, gdy tylko od niej wrócisz. Nie jutro, dzisiaj. Nie zapomnij.

– Będę pamiętał. Dziękuję. Zdaje się, że ty też jesteś jej wielbicielek.

– My po prostu chcemy poznać fakty. I to wszystko.

– Nie martw się. Na pewno zadzwonię.

– Będę czekać.

Pół godziny później, stojąc na światłach w Andheri, rozgrzewany wstrętnymi spalinami wydobywającymi się z autobusu sieci BEST, Sartadź wciąż myślał o Mary. Była spragniona informacji o życiu gwiazd. Wszyscy chcieli poznać życie gwiazd, dowiedzieć się, co robią, czego nie robią. Nawet ci, którzy utrzymywali, że nie cierpią filmów i ludzi filmi, ci anty-filmi krytykowali gwiazdy z ogromnie zjadliwą intensywnością, przejawiającą się w ich wielkiej wiedzy, zarówno aktualnej, jak i historycznej. Natomiast Mary była zainteresowana w sposób osobisty, straciła siostrę, a Zoja Mirza mogła wyjawić coś istotnego o Dźodźo; coś, co rzuci światło na jej życie. Mary miała zatem wystarczająco dużo powodów, żeby oczekiwać na jego telefon. Ale on miał przed sobą dzień pracy, najpierw musiał zająć się kradzieżami i bandobastami, zanim zdoła przejść do gwiazd filmowych, chociaż naprawdę zależało mu na tym, żeby zadać Zoi kilka pytań. Potrzebował tych informacji. Gwiazdy filmowe i Mary będą jednak musiały poczekać. Sartadź czuł, że się poci, i znowu zaczął wierzyć w bombę; powróciła do niego i unosiła się w pewnej odległości, jak czający się w gęstej trawie szczur z zębami ostrymi jak szpilki. Czuł, że jest blisko, czuł ją na przedramionach i na plecach, tuż pod karkiem. Szczerze ją przeklął, z góry na dół, i zabrał się do pracy.

Tak się złożyło, że Sartadź i Kamble mogli wyrwać się do Film City jeszcze tego wieczoru, na długo przed końcem popołudniowej sesji zdjęciowej Zoi Mirzy. Przejechali obok kina AdLabs, a potem wspięli się na wzgórze, do ogromnego pałacu. Zoja grała główną rolę w filmie historycznym z gwiazdorską obsadą, jednym z pierwszych od dziesięcioleci zakrojonych na tak wielką skalę, z walkami na miecze i huśtaniem się na żyrandolach. Charakteryzator Wiwek usadowił ich na rozkładanych krzeselkach za pałacem, podał im cutting ćaj i opowiedział o projekcie.

– Ten film jest zupełnie inny. Taki jak *Dharamwir*, ale zupełnie współczesny i nowoczesny. Wspaniałe efekty specjalne. Ten cały pałac uniesie się w powietrze, a potem polecą i znajdzie się na środku jeziora. Zaplanowano ogromne sceny batalistyczne, wszystkie mają być zrealizowane komputerowo. Bohater toczy niesamowitą walkę z ogromną, stugłową kobrą.

– A jaką rolę gra Zoja? – zapytał Sartadź.

– Madame jest księżniczką – odparł Wiwek. – Ale jej rodzice, maharadża i maharani, zostają zamordowani, kiedy ona jest jeszcze bardzo mała, i potem dziewczynka dorasta w dżungli w rodzinie wodza plemienia. Nikt nie wie, kim ona naprawdę jest.

Kamble głośno siorbnął herbatę.

– Księżniczka w dżungli? – odezwał się. – Zupełnie nieźle. W co jest ubrana?

Wiwek nosił okulary, był bardzo szczupły i bardzo poważny, i widać było, że to otwarcie lubieżne spojrzenie Kamblego wprowadziło go w zakłopotanie. Oczywiście nie mógł nazwać policjanta obleśnym gandu, więc tylko cofnął się nieco i powiedział:

– Kostiumy są świetne, robi je Maniś Malhotra.

Sartadź poklepał Wiweka po przedramieniu.

– Maniś Malhotra jest najlepszy. Madame na pewno wygląda wspaniale. Jak się z nią pracuje?

– Jest bardzo dobrą osobą.

– Naprawdę? Na taką właśnie wygląda – stwierdził Sartadź. Wiwek przyjrzał mu się zza swoich eleganckich okularów w błękitnej oprawce, a Sartadź uśmiechnął się do niego niewinnie. – To, że jest piękna, to jasne. Ale zawsze uważałem, że po jej rolach widać, jaką jest dobrą kobietą.

Nieufność Wiweka ustąpiła, usiadł prosto.

– Tak. Jest bardzo szczodra.

– Pomogła ci?

– Dała mi szansę. Spotkaliśmy się, kiedy kręciła reklamówkę. A kiedy została gwiazdą, nie zapomniała o mnie.

– Czyli jesteś z nią od dawna.

– Tak.

– To chyba dobra praca, podróżujesz po całym świecie z gwiazdą filmową. Nigdy nie byłem za granicą.

– Dotychczas odwiedziłem trzydzieści dwa kraje – odparł Wiwek, rozpromieniony i przejęty. – W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Afryki Południowej.

– Dużo czasu spędzacie w Singapurze? – zapytał Kamble łagodnie.

– Tak, tak, madame wiele tam kręciła. – To pytanie nie wzbudziło żadnych obaw, żadnego niepokoju, który zachwiałyby oddaniem Wiweka dla jego madame. – To piękne miejsce. Często kręciliśmy tam pokazy mody. Madame bardzo się tam podoba, jest tak czysto i porządnie. Czasami zostawaliśmy tam też na wakacje.

Sartadź dokończył herbatę i przeciągnął się.

– Pewnie ma tam jakichś znajomych.

Wiwek wyglądał na zdziwionego.

– Nie wiem. Nie mieszkaliśmy w tym samym hotelu. A co masz na myśli?

Sartadź uderzył dłonią w kolano.

– Nic takiego, jar. Ja czasami jeżdżę do Pune, więc mam tam znajomych. Jak myślisz, czy ona może się teraz z nami zobaczyć?

– Podejrzewam, że wywiad jeszcze się nie skończył. Ale ujęcie jest prawie gotowe. Pójdę sprawdzić.



Sartadź zachowywał pełen ogromnej wdzięczności wyraz twarzy, dopóki Wiwek nie zniknął za rogiem pałacowego muru. Trzech robotników malowało część muru na jednolicie złoty kolor. Na trawniku obok rozłożyło się kilkunastu mężczyzn, a kilka kobiet usiadło kręgiem w cieniu wielkiej furgonetki. Sartadź nie umiał stwierdzić, czy ujęcie w ogóle było przygotowywane, a tym bardziej czy było na ukończeniu.

– Ten sukinsyn ściąmu nie wie wszystkiego – odezwał się Kamble. – Zbyt swobodnie mówił o Singapurze.

– Tak, ona i Gaitonde z pewnością byli bardzo ostrożni.

Kamble podrapał się w piersi. Na nadgarstku miał miedzianą bransoletę.

– Gaitonde, wielki don hindusów – powiedział. – To jasne, że musiał zachowywać ostrożność, spotykając się ze swoją muzułmańską przyjaciółką. Zakłamany maderćod.

– Muzułmańska dziewczyna nie szkodzi reputacji, szefie. Taki Sulejman Isa miał dziewczyny wszystkich wyznań. Przecież oni nie żenią się z tymi dziewczynami, prawda? Być może więc Gaitonde starał się chronić Zoję. Trudno zostać Miss Indii, jeśli ma się bhai za narzeczonego.

– To są wszyscy zakłamate ćutije, zawsze się kryją – stwierdził Kamble. – Wiesz, dwa lata temu miałem muzułmańską ćhawi. Niczego przed nikim nie ukrywaliśmy. Jar, ona była naprawdę piękna. Chciałem się z nią ożenić.

– I co się stało?

– Byłem za biedny na małżeństwo. Taka dziewczyna potrzebuje mieszkania, porządnych ciuchów, życia na odpowiednim poziomie. Rodzina znalazła dla niej jakiegoś ćutiję, pracował dla firmy w Bahrajnie. Przeniosła się tam. Ma córeczkę.

– Jest szczęśliwa?

– Tak. – Kamble pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, a jego wzrok wędrował po wznoszących się po drugiej stronie niewielkiej doliny

wzgórzach. Nieoczekiwanie wpadł w melancholijny nastrój, zagubił się we wspomnieniach o swojej zagubionej dziewczynie.

– Ech, Dewdasie – odezwał się Sartadź. – I tak byś się z nią nie ożenił. Przecież czekały na ciebie setki innych ćhawi, żebyś się nimi zajął.

Ale Kamble nie miał zamiaru się rozchmurzyć i Sartadź pomyślał nawet, że jego partner za chwilę zacznie śpiewać jakąś smętną piosenkę. Gdyby tylko usunąć stukających cieśli i leżące tuż obok pałacu stopy drewnianych listew, a także te plotkujące kobiety, zabarwiony delikatnym szafranem zachodzącego słońca krajobraz nadawałby się wprost idealnie do piosenek. Wokół była trawa, drzewa i wzgórza, często filmowane w zastępstwie szczytów Himalajów. Sartadź próbował zdecydować, jaka smutna pieśń byłaby odpowiednia dla Kamblego, ale na myśl przychodziły mu tylko melodyjne kawałki Dewa Ananda: *Me zindagi ke sath nibhata cala gaja*<sup>29</sup>. Znowu opadły go obawy, strach przed bombą, czający się gdzieś pod pałacowym murem. Może był to tylko jakiś podskórny niepokój, wywołany obecnością w Film City, w pobliżu miejsca, gdzie wielu dorosłych i dzieci zostało zabitych i pożartych przez pracowity suplement parku, czyli bardzo dzikie pantery. To były rzeczywiste pantery, nie filmi. Może dlatego się bał. Jednocześnie jednak odczuwał niezrozumiałą radość. To wszystko było naprawdę dosyć dziwne.

– Chodźcie, proszę, chodźcie. – Od bramy machał do nich Wiwek. – Już za moment madame będzie na planie. Chcielibyście zobaczyć, jak kręcą ujęcie?

W pałacu wrzało jak w ulu. Pod sklepieniami i wysokimi łukami okien kłębili się mężczyźni, którzy coś przybijali, coś piłowali. Sartadź podnosił wysoko nogi, przekraczając zwoje kabli, i przeciskał się przez gąszcz metalowych stojaków. Musiał nisko się schylić, żeby przejść pod

brezentową płachtą, a kiedy z głośnika dobiegło polecenie „Pełne światło”, policjant znalazł się w kolumnowej sali audiencyjnej, płonącej złotem i zielenią. Pod kolumnami stały naturalnej wielkości posągi wojowników i panien, a połowę sufitu pokrywała gęsta siateczka skrzących się kryształów. Były tam dwa ogromne żyrandole, tłum ubranych w atłasy dworzan i tron. Sartadź ominął jeszcze jedną grupkę filmowców i podszedł do rzędu składanych krzesełek, a Wiwek dał im znak ręką, że mają czekać.

– Tam jest Johnny Singh – odezwał się Kamble.

– Kto to taki?

– Reżyser. – Mówił o tym mężczyźnie, który teraz siedział na jednym z krzesełek i wpatrywał się w monitor. – A ten to operator filmowy, Aśim Dasgupta.

– Jesteś prawdziwym ekspertem – stwierdził Sartadź.

– Wiele dziewczyn chce trafić do filmu.

Tak, z pewnością te wszystkie ulubione przez Kamblego barbale, a przynajmniej większość z nich, chciałyby zostać Zoją Mirzą. Zrobiłyby wszystko, zaryzykowałyby wszystko, byleby tylko tu się dostać. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się już do blasku świateł, Sartadź dostrzegł, że posągi są z pomalowanego gipsu, a nie z kamienia. Złota farba na kolumnach była gęsta, stężała. Kryształy na suficie prawdopodobnie wykonano z jakiegoś taniego szkła albo z plastiku. Nad nimi, pośród zwisających ze zdezelowanych pomostów rzędów reflektorów, widać było dyndające nogi i spoglądające w dół twarze. Ale na ekranie skryształuje się to w nieziemski blask, doskonały pałac, pomyślał Sartadź, Katekarowi bardzo by się to spodobało, ta brudna podłoga i tandetne diamenty na turbanach arystokratów.

– Cisza na planie, cisza – ryknął głośnik, a kiedy wszystko zamarło, na plan weszła Zoja Mirza. W rzeczywistości wkroczyła z lewej strony, ale

równie dobrze mogła spłynąć w deszczu wonnego kwiecia spadającego z tego nieba jak w technikolorze. Była bardzo wysoka, szczupła i silna, choć ukryta za połyskującym, złotym szalem, włosy miała rozpuszczone i bardzo długie, a na widok łabędziego łuku jej szyi Sartadź stracił dech.

– Bap re – wyszeptał Kamble. – Ma re.

Tak. Sartadź na powrót uwierzył w magię kina. Wspólnie z Kamblem patrzyli, jak Zoja rozmawia z reżyserem i jego dwoma asystentami, podczas gdy Wiwek troskliwie zajmuje się jej włosami i twarzą. Jakaś kobieta przyklęka i coś poprawiała przy sięgającej tuż za kolana krawędzi spódnicy Zoi. Na plan wyszła dwójka innych aktorów, starsza para w królewskich szatach, i reżyser mówił coś do nich i do Zoi, wykonując niezgrabne gesty. Kamble szeptem wypowiadał ich imiona i nazwiska, wymieniał nazwiska aktorów i ich rodowód, ich występy i sukcesy. Kiedy w pewnym momencie Zoja zrzuciła z ramion szal, Kamble ucichł już zupełnie. Miała na sobie kostium księżniczki z dżungli. Sartadź pamiętał taki strój z kalendarzy widzianych w dzieciństwie, stanik od bikini z jakiejś delikatnej, płowej skórki związanej z tyłu sznureczkami i dopasowana spódniczka, zaczynającą się dużo poniżej pępka i rzeczywiście bardzo ściśle obejmująca jej biodra. Maharadża i maharani zajęli miejsca przy tronie, Zoja odwróciła się w ich stronę i ruszyła, a na widok bezkresnej krzywizny jej bioder Sartadź poczuł, że coś ściska go w gardle. Tak. Cała scenografia była sztuczna, ale to nie dotyczyło Zoi. Mary i Dżana miały oczywiście rację, kiedy mówiły o wielu operacjach, o cudach techniki, które doprowadziły do powstania takiego cudownego piękna najwyższej klasy, lecz dla Sartadźa nie miało to żadnego znaczenia. Zoja Mirza była sztuczna, ale to jej kłamstwo było prawdziwsze niż sama natura. Ona była rzeczywista.

Scena wyglądała w sposób następujący: księżniczka, nieświadoma swojego królewskiego pochodzenia, przybywa do wielkiej stolicy, na świetny dwór, w poszukiwaniu tajemniczego wojownika, który najpierw zalecał się do niej na dzikich zboczach dobrze jej znanych gór, a potem zniknął. I oto trafia na wspaniały dwór maharadży, który jest uzurpatorem i zabójcą jej nadmiernie ufnych rodziców. Ona jeszcze o tym nie wie. Dialog składał się z dwóch linijek tekstu: „Kim jesteś, kanja?” i „Jestem córką sardara Matho, władcy lasu leżącego na zachód od twoich włości”. Druga linijka, którą kręcono jako pierwszą, zajęła osiem ujęć i czterdzieści pięć minut. Zoja wypowiadała ją, krocząc do przodu po wąskich schodach prowadzących do oonu. Była naprawdę niesamowita. Następnie zrobiono dwudziestominutową przerwę, podczas której przeniesiono kamerę. Wiwek zaproponował kolejną herbatę i ciasteczka. Madame nadal nie chciała, żeby jej przeszkadzano. Pracowała.

– Przypomina mi to ten program w telewizji – odezwał się Kamble. – Jak on się nazywał? Ten, w którym byli ci wszyscy radżowie i te rani, intrygi i szpiedzy?

– *Ćandrakanta* – odparł Sartadź. – Niezły program.

– Ta produkcja jest dużo większa niż *Ćandrakanta* – zauważył Wiwek, z wyraźną dumą w głosie. – Efekty specjalne w *Ćandrakanta* były tandetne. Z Hollywood przylatuje dwóch specjalistów, żeby zrealizować punkt kulminacyjny filmu. A poza tym scenarzyści powiedzieli mi, że dużo więcej zaczerpnęli z Bankima Candry.

– Z kogo? – zapytał Sartadź.

– To taki dawny bengalski pisarz – odrzekł Wiwek. – Napisał powieść zatytułowaną *Ananda Math*.

– Wydawało mi się, że już ją sfilmowano w Bengalu – rzucił Kamble. Chrupał kokosowe ciasteczka, jedno po drugim.

– Nigdy o tym nie słyszałem – stwierdził Sartadź. Miło było tak stać na planie filmowym i rozmawiać o ujęciach, efektach specjalnych i starych bengalskich powieściach. Nawet Kamble przestał się niecierpliwić. Oglądanie Zoi Mirzy stanowiło coś więcej niż zabijanie czasu; można powiedzieć, że w jakiś sposób dawało ukojenie.

Przeciwujęcie, od strony maharadży, wymagało tylko dwóch prób. Następnie znowu podniosła się wrzawa i zrobiło się zamieszanie, światła i reflektory przeniesiono na nowe miejsce. Wiwek wyszedł za Zoją z planu i dziesięć minut później powrócił do nich spiesznym krokiem.

– Chodźcie. Madame spotka się teraz z wami.

W zbliżeniu wciąż wyglądała niesamowicie. Jej makijaż był nieco krzykliwy, ale Sartadź zdawał sobie sprawę, że to ze względu na światła i kamery. Niesamowita ostrość jej kości policzkowych i pulchna pełnia jej warg tworzyły idealne napięcie, które nie miało nic wspólnego z makijażem. Sartadź i Kamble usiedli obok siebie w przyczepie Zoi, na wbudowanej w ścianę głębokiej skórzanej kanapie. Zoja wyłoniła się z garderoby, owinięta w nieskazitelnie biały szlafrok, i usadowiła się na krześle. Wiwek stał obok schodów, czerwony z podziwu dla madame.

– Ta leśna spódniczka wyglądała wspaniale – odezwał się do niej, patrząc jednak na Sartadźa.

– Tak, cudownie – dodał Sartadź.

– Didi, to są twoi wielcy wielbiciele – mówił dalej Wiwek. – Trafili do mnie przez Stephanie, pamiętasz ją? Ogromnie im zależało, żeby móc się z tobą spotkać.

Zoja uśmiechała się, jak czynią to osoby przyzwyczajone do zainteresowania i władzy, kiedy starają się okazać skromność. Sartadź często widział coś takiego u polityków.

– W przyszłym roku mam zagrać policjantkę – powiedziała – w nowym filmie sahiba Ghai. Również jestem wielbicielką policji. Kiedy byłam Miss Indii, wystąpiłam podczas imprezy inauguracyjnej działalności organizacji dobroczynnej na rzecz Stowarzyszenia Policjantów.

– Pamiętam. Teraz ponownie potrzebna jest nam pani pomoc.

– Oczywiście, postaram się pomóc, jak tylko zdołam. Ale przez najbliższych sześć miesięcy będę bardzo zajęta...

– Nie przyszłoby tu prosić o występ – odezwał się Kamble, bardzo cichym głosem. Nie poruszał się, ale jego ramiona jakby się lekko uniosły, i nagle zrobił się groźny. Widać to było w jego beznamiętnym wzroku, w jego sztywnym wyrazie szczęki. – Ani o datek.

Zoja natychmiast dostrzegła zmianę nastroju, ale Wiwek tylko się roześmiał.

– Didi, oni po prostu chcą autografy – powiedział.

Sartadź położył dłoń na przedramieniu Wiweka i wstał.

– Chcielibyśmy zadać jedno lub dwa pytania – zwrócił się do Zoi, jednocześnie robiąc krok w jej stronę. Nie podobało się jej, że on się zbliża, ale zdołała powstrzymać się przed odruchowym wzdrygnięciem. Sartadź szepnął jej do ucha: – O Ganeśu Gaitonde.

– Wiwek, poczekaj na zewnątrz – poleciła lakonicznie.

– Didi?

– Poczekaj za drzwiami. I niech nikt nam nie przeszkadza.

Sartadź wypchnął Wiweka za drzwi, zatrzasnął je tuż przed jego wybałuszonymi oczami i porządnie zaciągnął czerwoną zasłonę na wpuszczonym w ścianę oknie. Zoja doszła do wniosku, że powinna teraz okazać oburzenie, wstała więc. Wyprostowała się, prezentując się bardzo ładnie, ale ze względu na niski sufit musiała nieco przechylić głowę. Sartadź uznał, że to nieco popsuło efekt.

– Dlaczego chce mnie pan pytać o tego człowieka? – odezwała się. – O co wam chodzi?

– Proszę nie robić sobie kłopotu – odparł Kamble. Dłonie oparł na udach i szeroko rozstawił stopy. – Wiemy wszystko. Wiemy o tej Dźodźo. Wiemy, że ściągał panią samolotem w różne miejsca.

– Madame – wtrącił Sartadź – chcielibyśmy prosić panią o współpracę.

– Posłuchajcie, byłam modelką, spotykałam wielu ludzi...

Kamble wybuchnął szyderczym śmiechem, kojarząc się przy tym Sartadźowi z cyniczną ropuchą. Sartadź poczuł, że ten zgrzytliwy rechot drażni mu przedramiona, a Kamble wycelował w Zoję palec.

– Proszę posłuchać – powiedział – może się pani wydawać, że skoro jest pani wielką gwiazdą filmową, to wszystko ujdzie jej na sucho. Nie chcieliśmy robić pani wstydu i ściągać jej na komisariat, dlatego przyszliśmy tutaj. Ale niech pani nie wyobraża sobie, że może przed nami uciec. I niech pani nie uważa nas za idiotów. Daliśmy radę posłać do więzienia Sandżaja Datta, to samo może spotkać panią. Sześć miesięcy spędzonych w malutkiej celi bez tej klimatyzacji i straci pani cały swój ćarbi.

– Bas, bas, wystarczy – przerwał mu Sartadź. Prezentował Zoi swój łagodny, wyrozumiały wyraz twarzy. – Madame, wiem, że pani się boi. I że zależy pani na zachowaniu prywatności. Ma pani do tego prawo. Ale on ma rację, zbyt wiele wiemy o pani kontaktach z Gaitondem, żeby mogła pani coś przed nami ukryć. Dysponujemy dokumentami potwierdzającymi, że to on opłacał pani podróże. Mamy kopię pani starego paszportu, wystawionego jeszcze na nazwisko Dżamila Mirza. Dysponujemy kopiami biletów lotniczych.

Kamble wyciągnął plik kartek z brązowej koperty i pomachał nimi w jej stronę.



– Wiemy o Singapurze – powiedział. – Proszę.

Wzięła dokumenty do ręki. Była bardzo silna, pod tą giętką powłoką skrywała nieugiętą wolę. Sartadź wyczuwał to, wiedział, że ten władczy krok księżniczki dżungli jest również krokiem samej Zoi. Ale pomimo tego całego opanowania, pomimo aktorskich zdolności, w jej oczach pojawił się błysk gniewu i przerażenia. Rzeczywiście, w Singapurze musiało się coś wydarzyć. Kamble zdobył punkt. A teraz nadszedł czas na okazanie współczucia.

– Madame, proszę mi uwierzyć, my od pani chcemy tylko kilku informacji. Przeciwno pani nie jest prowadzone żadne śledztwo, nie stawiamy żadnych zarzutów. Proszę usiąść. – Stała, zupełnie nieruchoma. – Żaden policjant w naszym wydziale, oprócz tego tu funkcjonariusza i mnie, nic nie wie o pani kontaktach z Gaitondem. Nic nikomu nie ujawnimy. Chcemy jedynie, żeby pani wszystko nam o nim powiedziała, wszystko, co pani wie o znajomych Gaitondego, o jego kontaktach i interesach. O pani nie potrzebujemy żadnych informacji.

– Chyba że będzie pani sprawiać problemy – dorzucił Kamble.

– Naciskają na nas, żebyśmy dotarli do informacji o działaniach Gaitondego – stwierdził Sartadź. – Jeśli nie zdołamy niczego przedstawić, będziemy zmuszeni powiedzieć naszym zwierzchnikom o tym, co panią z nim łączyło. A to może być dla pani wielce kłopotliwe. – Odetchnął głęboko. – Mamy kasetę wideo, madame.

– Kasetę wideo? – zapytała bardzo cichym głosem.

– Gaitonde rejestrował wszystko, co robił. – Sartadź czuł na karku wzrok Kamblego, ale wciąż nie spuszczał wzroku z Zoi. – Mamy nagranie, na którym jest pani i on. Jak robicie różne rzeczy.

Usiadła, a w zasadzie opadła na krzesło, zupełnie nie panując nad sobą i tracąc cały swój wdzięk. Kolana ugięły się pod nią, jakby były z gumy, i

musiała usiąść. Załamała się, już ją mieli. Sartadź poczuł w ustach smak starego kleju, przełknął ślinę i przysiadł na samym skraju kanapy, obok Kamblego. Zoja spuściła wzrok i siedziała z krzywo ustawionymi stopami. Sartadź pochylił się do przodu.

– Nagranie jest jednoznaczne. Widać, że pani nic nie wiedziała o nagrywaniu, że było zrobione z ukrytej kamery. Widać tam wszystko, po prostu wszystko.

Teraz już nie skrywała wściekłości.

– Gdzie jest ta taśma? – zapytała. – Zapłacę wam za nią. Ile chcecie?

Jej pogarda nie dotyczyła wyłącznie Ganeśa Gaitondego, zdradzieckiego kochanka, ale też tych dwóch policjantów, zagrażających jej życiu, na które tak ciężko pracowała.

– Chyba już zdążyła się pani zorientować, że nam nie zależy na pieniądzach – odrzekł Sartadź. – Tylko na informacjach.

– I wtedy oddacie mi tę taśmę? I wszystko, co macie?

– Tak. Wszystko, madame. Nam nie zależy na żadnej pandze z panią. Życzymy pani spokoju i wielu filmów. Naprawdę jesteśmy pani wielbicielami.

Jego zapal nie uspokoił Zoi. Jej oczy miały błyskawice, na powrót przybrała idealną pozę i znów stała się gwiazdą filmową.

– Ale nie tutaj – powiedziała. – Za moment przyjdzie tu moja projektantka kostiumów.

– Oczywiście, madame. Tu jest zbyt dużo ludzi. – Sartadź wstał. – Proszę nam powiedzieć, gdzie się spotkamy.

– Zdjęcia kończę o jedenastej trzydzieści. Proszę przyjść o dwunastej. – Podała im adres, numer telefonu, i pożegnała się z nimi. – A teraz proszę już iść. – Zatrzasnęła za nimi drzwi.

– Randi – stwierdził Kamble. – Suka. Powinniśmy wyciągnąć z niej jakieś pieniądze.

Sartadź przeciągnął się. Z miejsca, w którym stali, widzieli rusztowania i rozpórki pod ścianami. W półmroku kolczasta konstrukcja sprawiała wrażenie upiornie pięknej, przypominając jakiegoś gigantycznego, sztucznego kaktusa, który zapuścił korzenie na tym wzgórzu.

– Nie bądź taki chciwy. To, co robimy, jest już wystarczająco niebezpieczne. Lepiej się stąd zmywajmy.

Nigdzie nie było widać Wiweka, przeszli więc przez plan filmowy, obok kręcącego się tam, nie wiadomo po co, tłumy leniwych robotników. Kamble odczekał, aż znaleźli się przy motocyklach.

– Będzie jeszcze bardziej niebezpieczne – powiedział – kiedy ona dowie się, że nie ma żadnego nagrania.

– Nie – odparł Sartadź. – Ona już się skompromitowała, przyznając, że taka taśma może istnieć.

– Zgadza się. To był świetny pomysł – Kamble zapiął swój zielony kask.  
– Kiedy więc to wszystko się skończy, kiedy już nie będzie niebezpieczeństwa. Może wtedy wyciągnęlibyśmy z niej jakąś kasę?

Sartadź kopnięciem uruchomił motocykl, przegazował silnik i poczekał, aż obroty się ustabilizują.

– Mój drogi, ona przeżyła Ganeśa Gaitondegó. Wiesz wiele o kobietach, ale jestem od ciebie starszy. Posłuchaj więc mnie. Jeśli poczuje, że jest zbyt mocno atakowana, sama zacznie atakować. Musisz poszukać pieniędzy gdzie indziej.

– Dobra, dobra, ty będziesz jej kolegą. Ty będziesz dla niej uprzejmy. – Kamble uśmiechał się chytrze. – Nie dostanę pieniędzy. Ale może tobie uda się dostać od niej coś innego. Zobaczymy się na komisariacie.

Odjechał, klekocząc silnikiem, ale zdążył jeszcze odwrócić głowę i zarechotać na pożegnanie. Sartadź skierował motor na drogę i ruszył za partnerem. Nie miał szans odeprzeć zarzutu, Zoja była piękna, i to olśniewająco. Sartadź odczuł to jej piękno, ale zdecydowanie bezosobowo. Sprawiało mu przyjemność, ale nie było w tym żadnej nadziei, a także żadnego bólu, nie czuł ostrych szpilek pożądania. Uderzyła go natomiast jej odporność, siła, i jaką radziła sobie z problemem dwóch wrogich policjantów, z tą nieoczekiwaną katastrofą, która zagroziła jej karierze, jej majątkowi i życiu. Dała fadę. To było naprawdę imponujące. Zoja Mirza należała do kobiet, które radzą sobie z problemami, uginają się pod ich ciężarem na chwilę, ale zaraz potem szukają wyjścia z sytuacji. W obliczu takiego opanowania najlepiej zachować ostrożność, zwłaszcza jeśli samemu jest się tym problemem.

Sartadź pojechał w stronę autostrady. Kamble zniknął już z pola widzenia, zginął gdzieś wśród ciężarówek i roju wieczornych motoriks. Może czekała na niego jakaś dziewczyna, albo i dwie. Był wielkim miłośnikiem piękna, podobnie jak kiedyś Sartadź. Jeśli Zoja Mirza nie potrafi wzbudzić w tobie pożądania, pomyślał inspektor, to chyba rzeczywiście się starzejesz. Ty dziadku. Ty zmęczony dziadku. Nie odczuwał smutku, tylko jakąś dziwną ulgę. Czas powoli odciskał na nim swoje piętno, ograbiał go z sił i wycieńczał, ale jemu podobało się to poczucie zdezelowania. Znajdował w tym ukojenie. Włączył się w ruch na autostradzie i gnał w kierunku zmierzchu, nucąc pod nosem: „*Waha kon he tera, masafir, dzaega kaha*”<sup>30</sup>.

Po przybyciu na komisariat, Sartadź zajął się dokumentami sądowymi, telefonami i raportami. Tuż po jedenastej zadzwoniła Kamala Pandej.

Szantażyści nie telefonowali, ale chciała się dowiedzieć, czy Sartadź poczynił jakieś postępy.

– Pracujemy nad tym, proszę pani – odparł. – Proszę się nie martwić.

– Ale co dokładnie robicie? – zapytała.

– Badamy tropy. Prowadzimy śledztwo w różnych kierunkach. Rozmawiamy z informatorami. – Sartadź płynnie odpowiadał na jej pytanie, jednocześnie wypełniając formularz na temat włamania. Była to standardowa formułka, którą już z tysiąc razy powtarzał. Nie wystarczyła jednak Kamali Pandej. Dosłyszał jakiś szmer w tle, i po chwili powróciła do rozmowy z Sartadźem, teraz już nieco rozdrażniona.

– Ale z kim? Czy udało się już panu osiągnąć jakiś przełom w sprawie?

Przełom w sprawie. Sartadź rozparł się na krześle.

– Z kim pani rozmawia?

– Gdzie?

– Przecież pani z kimś rozmawia. Kto to jest? Nikomu nie powinna pani mówić o tej sprawie.

– Nikomu o tym nie mówię. Siedzę w restauracji z przyjaciółmi i jedna z tych osób właśnie do mnie podeszła i o coś zapytała. Już sobie poszła. Może więc pan przekazać mi szczegóły.

– Proszę pani, nie mogę ujawniać szczegółów śledztwa w toku – odrzekł Sartadź, tym razem dosyć ostro. – Zapewniam, że bardzo ciężko nad tym pracujemy. Szczerze mówiąc, właśnie w tym momencie pracuję nad pani sprawą. – Nie było to do końca zgodne z prawdą, ale poświęcił tej sprawie sporo czasu, poza tym był zmęczony i zaczynał się już denerwować.

W słuchawce znowu pojawił się ten szmer, ale Kamala nie chciała już dalej naciskać.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu się denerwuję.

– Nie ma czym – stwierdził Sartadź. – Skontaktuję się z panią, kiedy tylko czegoś się dowiem. I jeszcze jedno, potrzebne mi pani zdjęcie, żeby pokazać świadkom, którzy mogli widzieć moment przekazania pieniędzy. Proszę się nie obawiać, zachowam pełną dyskrecję. Nikomu nie powiem, kim pani jest. Proszę mi je przesłać do domu kurierem. Dziś, jeśli można, a najpóźniej jutro.

Nie chciała się zgodzić, ale Sartadź był nieustępliwy. Podał jej swój adres, odłożył słuchawkę i wrócił do formularzy.

Kamble był wyraźnie niezadowolony, kiedy Sartadź opowiedział mu o telefonie Kamali Pandej. Zgodnie z planem spotkali się o dwunastej trzydzieści, naprzeciwko domu Zoi Mirzy w Lokhandwali. Kamble zdążył jeszcze wypić piwo, zanim poszli do mieszkania aktorki. Od czasu, kiedy się rozstali, zajmował się dwiema sprawami i był teraz bardzo zmęczony i rozdrażniony. Uparł się, że przed powrotem do pracy musi wypić butelkę piwa. Usiedli więc naprzeciw bramy prowadzącej do domu gwiazdy, na niskim murku po drugiej stronie ulicy, jak dwóch kumpli odpoczywających w ciemnościach.

– Ta zwariowana kutija włóczy się po całym mieście, chodzi sobie po restauracjach i knajpach – skomentował Kamble zachowanie Kamali. – Bez wątpienia bardzo szybko znajdzie sobie nowego maśuka. One wszystkie takie są, te bogate, zepsute panienki, wszystkim dają za darmo. Jak raz już zaczną, nie mogą się powstrzymać.

– Wydaje mi się, że ona coś czuła do tego Umeśa.

– To dlaczego została z tym swoim gandiu mężem? Tylko z powodu jego mieszkania i pieniędzy?

– Próbowwała zerwać z Umeśem.

W gardle Kamblego zabulgotał spory łyk piwa.

– Jeśli go kocha, to dlaczego?

– Nie zawsze lubimy osoby, w których się zakochujemy.

– Tak, to prawda. – Na zalane światłem księżycy szerokie kości policzkowe Kamblego padał cień palm, pod którymi siedzieli. – Miałem kiedyś taką dziewczynę, że chwilami miałem ochotę ją zabić.

– Jedna z tych tancerek?

– Tak. Była tancerką, pochodziła z Rae Bareli. Prawie doprowadziła mnie do ruiny. Zachowywałem się jak szaleniec. I wiesz, co ci powiem, wyglądała niewinnie jak jakaś bogini. Policzki miała jak świeża malai.

– I co, nie zabiłeś jej?

– Nie. Pozwoliłem jej odejść. I to wtedy, kiedy ona wydała wszystkie zarobione przeze mnie w ciągu siedmiu miesięcy pieniądze, do ostatniej rupii. Ona i ta jej behenćodowa rodzina. Byli świetni w ciągnięciu mojej kasy. Niektóre z tych dziewczyn po prostu rodzą się z takim talentem. Tak jak ta Zoja. Sprawdziłem to już, mieszkania na jej piętrze kosztują jeden krór i osiemdziesiąt lakhów.

– Część z tych pieniędzy pewnie pochodzi od Gaitondegó.

– To jasne. Ale zawsze. Jeden osiemdziesiąt. A od kiedy ona jest w przemyśle filmowym, od trzech, czterech lat? Ci ludzie są niesamowici.

– Jacy ludzie? Aktorzy?

– Are, nie, szefie. Muzułmanie. Imperium Mogołów upadło, stworzono im Pakistan, ale oni żyją tu jak królowie.

– Kamble, sala, byłeś może ostatnio w Bengali Burze? Albo w Behrampadzie? Ci biedni gandu nie mieszkają w pałacach.

– Ale tu mieszkają, na? I z każdym dniem zabierają coraz więcej ziemi, a ich liczba ciągle rośnie. A w filmach, pomyśl, ilu tam nazywa się Khan, sami główni bohaterowie.

– A może to dlatego, że ci Khanowie dobrze się prezentują? I są dobrymi aktorami?

– Tak, baba, oni świetnie wyglądają. Ta Zoja to prawdziwa ćabbis.

– A twoja muzułmańska dziewczyna?

– Zgadza się, ona była patakari. Wcale nie chcę powiedzieć, że nie są przystojni ani że nie mogą być dobrymi ludźmi. Wiem, że Madżid Khan jest twoim przyjacielem. To porządny człowiek. Ale, rozumiesz, jako społeczność...

– Co takiego?

– Oni z nikim nie potrafią żyć w pokoju. Są zbyt agresywni, zbyt niebezpieczni. Jak na sardara jesteś wobec nich zbyt łagodny.

Sartadź czuł zmęczenie. Zrobiło się już późno, był na nogach od szóstej i przez całe życie wysłuchiwał tych samych argumentów.

– Wydaje mi się, że ty sam jesteś szalony i bardzo agresywny – wstał. – A ja staram się być łagodny dla wszystkich.

Kamble z radością zgodził się z nim.

– Zbyt łagodny, jak na policjanta. – Podniósł butelkę do ust, opróżnił ją, a potem odrzucił w krzaki. – Teraz jestem gotowy na spotkanie z Zoją.

Przeszli przez ulicę i przez ogromne, czarno–złote wrota Havenhill. Stróże spodziewali się ich, i tylko gestem wskazali, że mogą przejść. Budynek stanowił ogromną bryłę w różowym, pastelowym kolorze, górującą jakieś trzydzieści pięter nad sąsiednimi bungalowami. Havenhill postawiono niedawno, później nawet niż bungalowy, które rozrzucono po tych bagnach mniej więcej dziesięć lat temu. Było to odpowiednie miejsce zamieszkania dla wybitnej gwiazdy filmowej, to całe Havenhill z olbrzymim holem z włoskiego marmuru i windami z polerowanej stali. Sartadź i Kamble wzniesli się w górę, otoczeni cudownym szmerem nowoczesnej technologii, aż na sam szczyt, a kiedy wysiedli, usłyszeli, jak



kobiecy głos z akcentem oznajmia, że znajdują się na trzydziestym szóstym piętrze. Drzwi mieszkania Zoi były zwyczajne, proste czarne drewno za czarną kratą, ale kiedy znaleźli się w środku, zobaczyli olbrzymi salon. Dwa gigantyczne żyrandole zwisały nad dwoma osobnymi miejscami do siedzenia, a długi, pretensjonalny stół jadalny był zastawiony białymi kwiatami. Wpuścił ich jakiś starszy mężczyzna – Sartadź nie umiał powiedzieć, czy to ojciec Zoi, czy jej wuj, czy też podstarzały służący – który wskazał im miejsce na białej kanapie i zniknął. Zwiewne zasłony były białe. Wyglądało na to, że ulubionym kolorem Zoi jest biel.

Ona sama, bosa, wkroczyła dostojnie, ale teraz już zupełnie nie przypominała księżniczki z dżungli. Miała na sobie luźną górę i powłóczyście spodnie, wszystko białe. Ściągnięte mocno do tyłu włosy odsłaniały twarz bez makijażu. Ale i tak wyglądała wspaniale, trudno to inaczej określić. Sartadź poczuł, jak siedzący obok niego Kamble napręża się. Cokolwiek by tak w ogóle myśleć o jakimś narodzie, nie można uciec przed zniewalającym urokiem takiej jednostki, a zwłaszcza jeśli jest się młodym, pewnym siebie i dobrze umięśnionym.

– Proszę. – Poprowadziła ich do drugiego białego pokoju, w którym zamiast dwóch ścian były ogromne okna sięgające od podłogi do sufitu. Sartadź usiadł na metalowym krześle, które nieoczekiwanie okazało się bardzo wygodne, i poczuł, że unosi się wysoko nad mieniącymi się światłami i dalekim morzem. Kamble zachowywał się bardzo cicho, był jakiś przygaszony. Tak, saala, tak właśnie żyją bogaci, pomyślał Sartadź. Służba, tym razem w osobie młodej kobiety, wniosła tacę ze szklankami wody, a potem zamknęła drzwi za sobą. Zoja usiadła, w idealnej pozie i idealnie oświetlona, plecami do nocy za oknem.

– Podejrzewam, że nie ma żadnej kasety wideo – powiedziała.

Sartadź nawet nie drgnął. Nie spuszczał z niej wzroku, ale poczuł, że Kamble zadrżał.

– Proszę posłuchać – odezwał się ostrym głosem. – Sądzi pani, że ją oszukujemy?

Zoja nie dała się zastraszyć. Wygładziła materiał spodni.

– Nie, wydaje mi się, że mówicie zupełnie poważnie. Ale zastanowiłam się nad tym. Gdybyście mieli tę taśmę, to pokazalibyście mi coś, jak to zrobiliście z tymi fotografiami. Jego nigdy nie interesowało nagrywanie nas, a ja dobrze wiem, co on lubił. Nigdy przede mną się nie wstydził i powiedziałby mi, gdyby chciał nagrać film. Nie robiłby tego przez ukrytą kamerę. Dlatego sadzę, że nie ma żadnej taśmy. Chyba że teraz coś rejestrujecie. Nagrywacie?

– Nie – Sartadź pozwolił sobie rzucić okiem w prawo. Kamble siedział oszołomiony, w końcu Zoja Mirza zrobiła na nim wrażenie.

– Nie ma ukrytej kamery? – zapytała Zoja. – Jak to robią ludzie z *Tehelki*? Zdajecie sobie sprawę, że macie obowiązek mi o tym powiedzieć.

– Nie, niczego nie nagrywamy – odparł Sartadź. – A pani?

Roześmiała się, na całe gardło, szczerze rozbawiona.

– Nie jestem taka głupia. Wcześniej mnie zaskoczyliście i popełniłam błąd, przyznając się do znajomości z tym człowiekiem. Ale nie chcę, żeby cokolwiek na ten temat wyszło na jaw i nie chcę też mieć w was wrogów. Czego chcecie? Pieniędzy? Ile?

– Nie, madame – odezwał się Kamble w końcu, aksamitnym głosem. – Nam nie zależy na pieniądzach. Tylko na informacjach. Prowadzimy dochodzenie w sprawie gangów. To nie ma nic wspólnego z pani osobą.

Mądrze, pomyślał Sartadź. Dużo lepiej jest utrzymać pokój niż prowadzić wojnę, a zwłaszcza kiedy przeciwnik nieoczekiwanie okazuje się przebiegły.

– Madame, nie zależy nam na stawianiu pani w niezręcznej sytuacji. Ale potrzebujemy pani pomocy w rozwiązaniu naszych problemów.

W jej oczach pojawił się cień pogardy.

– Nie musicie być tacy grzeczni. Nadal jesteście policjantami, a ja, w zasadzie, nie mam wyboru. Oddacie mi posiadane przez was materiały, jeśli będę z wami rozmawiać?

– Tak.

– I żadnych innych nie ma?

– Nie.

Nie wierzyła mu i wyraźnie widać było, że chce, żeby o tym wiedział. Ale była już gotowa do rozmowy. Skrzyżowała ręce na brzuchu i usiadła wygodnie.

– Co chcecie wiedzieć?

– Kiedy spotkała pani Gaitondę? W jakich okolicznościach?

– Dawno temu. Osiem, dziewięć lat temu. Przez znajomą.

– Jaką znajomą?

– Chyba pan wie.

– Może wiem. Chcemy jednak dowiedzieć się tego od pani.

Obrzuciła go długim, twardym spojrzeniem, zanim ustąpiła.

– Przez Dźodźo – powiedziała.

– W porządku – stwierdził Sartadź. – Jak określiłaby pani charakter waszego związku z Gaitondem?

Zdecydowanie uważała to pytanie za głupie, ale już zrozumiała, że powinna udzielać odpowiedzi nawet na najbardziej oczywiste pytania.

– On mnie utrzymywał. Nie miałam nikogo w Bombaju.

– Dźodźo dostawała swoją działkę?

– To były układy między nimi. Jeśli on mi coś dawał, pozostawało to między nim a mną.

– Jak się pani z nim spotykała? Gdzie? Jak często?

Zoja miała świetną pamięć i przedstawiła im pełną relację: początkowo spotykała się z nim mniej więcej raz w miesiącu, zawsze w Singapurze. Za każdym razem zatrzymywała się w tym samym hotelu. Późnym wieczorem ktoś do niej dzwonił, a to był sygnał, żeby zjechała windą towarową na parking, gdzie czekała na nią limuzyna. Czas z Gaitondem spędzała w mieszkaniu należącym do jednego z jego wspólników, Arwinda. W mieszkaniu przebywała tylko żona Arwinda, Suhasini, nie było tam nikogo innego, nawet służby. Nigdy nie spotkała się z Gaitondem w Bombaju ani też w żadnym innym miejscu w Indiach. To mieszkanie było ogromne, a Gaitonde i ona zajmowali jego górną część, najwyższe piętro budynku. Ze współpracowników Gaitondego znała tylko Dźodźo i Arwinda. Po zdobyciu tytułu Miss Indii miała dużo więcej obowiązków i coraz rzadziej się spotykali. Kiedy pracowała przy swoim pierwszym filmie, często rozmawiali przez telefon, a po wejściu filmu na ekrany nawet ten kontakt bardzo się ograniczył, ale, rzeczywiście, potem kilka razy się z nim widziała. Tak naprawdę nigdy ze sobą nie zerwali, nie było żadnych kłótni ani sprzeczek, ale jakoś powoli łączące ich stosunki się rozluźniły. Pod koniec tej znajomości Gaitonde zdawał się czymś zaabsorbowany, a potem zniknął zupełnie. Aż do czasu, kiedy pojawił się martwy w Bombaju, z martwą Dźodźo. I to było już wszystko.

Sartadź poprosił, żeby zastanowiła się, kogo poznała przez Gaitondego, ale ona nie miała wątpliwości – tylko Dźodźo, Arwinda, Suhasini. Nigdy nawet nie widziała kierowcy limuzyny. Gaitonde zadbał o to, żeby wszystko było odpowiednio zaaranżowane, żeby za każdym razem wszystko przebiegało gładko i dokładnie tak samo.

– Musieliśmy zachować to w tajemnicy – powiedziała Zoja. – A on doskonale znał się na kwestiach bezpieczeństwa.

– O kim mówił? Musiał wspominać o jakichś ludziach, wymieniać jakieś nazwiska.

– On nie rozmawiał ze mną.

– Jak to możliwe? Cały czas spędzaliście razem. Była pani jego tajną dziewczyną. Przecież lubił panią. Co pani mówił?

– Już mówiłam, niewiele. Sama też niedużo mówiłam. Początkowo niewiele mówiłam, bo się go bałam. A potem zdałam sobie sprawę, że on lubi, kiedy ja się nie odzywam, tak właśnie wolał. Dlatego też siedziałam cicho.

– Musiała więc pani wiele słuchać. O czym mówił?

– Do mnie? Niewiele. O makijażu, o mojej karierze. O filmach i przemyśle filmowym. Jaki powinien być mój następny krok. – Patrzyła na swoje dłonie, a jej skąpana w padającym z góry świetle twarz sprawiała wrażenie złotej maski. – Uważał, że sam wszystko wie. Tylko często powtarzałam „tak” i kiwałam głową.

– Jaki był Gaitonde?

– Co mam panu powiedzieć? Był Ganeśem Gaitondem. Po prostu był sobą.

– Madame, ale przecież pani go znała. Jak nikt inny. Musiała pani wiedzieć o nim coś, czego my nie wiemy. Jakież szczegóły.

– On nawet przed samym sobą odgrywał rolę Ganeśa Gaitondego, nawet kiedy był sam. Podejrzewam, że tak samo zachowywał się przy mnie, jak ze swoimi ludźmi w durbarze. Ten jego głos, i ta pozycja, w której siedział. – Rozwaliła się na krześle, uniosła ramiona, i agresywnym gestem wyciągnęła dłoń w stronę Sartadża, zaginając palce, jakby chciała ścisnąć mu jądra. – Aj, Sardardzi. I co, myślisz sobie, że możesz tak przychodzić na mój statek i mną pomiatać, śanne? Czy ty wiesz, kim ja jestem? Ja jestem Ganeś Gaitonde.

Słyszając tak donośnie i z takim naciskiem wypowiedziane to nazwisko, Sartadź i Kamble wybuchnęli śmiechem. Doskonale oddała ten głos, ten sam, który Sartadź słyszał w tamto popołudnie tak dawno temu, taki pyszny, nawet kiedy dochodził przez brzęczący głośnik.

– Madame – odezwał się Sartadź. – Pani jest niesamowita.

Zoja lekkim skłonieniem głowy przyjęła ten hołd jako należny. Nadal jednak była Gaitondem. Sięgnęła po wyimaginowany telefon, małym palcem wybrała numer.

– Are, Banti! Maderćodzie! Siedzisz sobie w Mumbaju, zajadając się malai i obrastając w tłuszcz, i całe miesiące zajmuje ci wykonanie roboty, którą masz zrobić w tydzień. Co się stało z tą khoką, którą w tym tygodniu mieliśmy dostać od Kilaćanda?

Sartadź jeszcze raz roześmiał się w zachwycie.

– Madame – powiedział – czyli on rozmawiał z tym Bantim z Bombaju?

– Bardzo często.

– Pamięta pani jakieś szczegóły?

– Szczegóły?

– O czym rozmawiali.

– Nie. Staralam się go nie słuchać. Rozmawiali o khoka, o peti i o tym, że z tym trzeba się spotkać, a do tamtego zadzwonić. Zazwyczaj interesami zajmowali się na dole, w mieszkaniu Arwinda. Ale w nocy, kiedy już miałam spać, Gaitonde czasami siadywał na balkonie i rozmawiał przez telefon. Słyszałam urywki rozmów, ale było to nudne. Nie pamiętam szczegółów. Z reguły udawałam, że śpię, po prostu leżałam z zamkniętymi oczami i rozmyślałam o swojej karierze. A on wtedy rozmawiał przez telefon.

Gaitonde planował morderstwa, burdy i wymuszenia, ale pięknej, młodej kobiecie, snującej marzenia o karierze gwiazdy, takie rzeczy wydawały się

nudne.

Sartadź uśmiechnął się, chcąc dodać jej otuchy.

– Pamiętaj pani, że rozmawiał z Bantim. A może z kimś jeszcze? Proszę się zastanowić, każdy szczegół może nam się przydać. Nawet jakieś imiona.

Zoja usiadła prosto, porzucając rozwaloną pozę Gaitondeggo. Przyłożyła dłoń do podbródka, odgrywając skupioną.

– Naprawdę nie pamiętam. Zawsze odbywał trzy lub cztery rozmowy. Jeden telefon był do Bantiego. Tak, tak, teraz sobie przypominam. Dzwonił też do jakiegoś Kumara, to był jakiś sahib Kumar, albo pan Kumar.

– Doskonale, madame – powiedział Sartadź. Kamble notował na małym bloczku. – Świetnie, pan Kumar.

– Wydaje mi się, że byli też inni ludzie z Bombaju, z Naśiku. Oczywiście często rozmawiał z Dźodźo. Czasami podawał mi słuchawkę, żebym ją pozdrowiła. Był też ktoś w Londynie, jakiś Triwedi-dźi, czy jakoś tak podobnie. I kilku innych. Nie mogę sobie przypomnieć. A jeden telefon zarezerwowany był wyłącznie na rozmowy z jego guru.

– To Gaitonde miał swojego guru?

– Tak, wydawało mi się, że rozmawiał z nim prawie tak często, jak z Dźodźo.

– Kim był ten guru?

– Nie mam pojęcia. Mówił do niego „Garu-dźi”.

– Skąd dzwonił ten guru?

– Nie wiem. Chyba z różnych miejsc. Pamiętam, jak kiedyś Gaitonde powiedział mu, żeby wybrał się do Disneylandu.

– Do Disneylandu?

– Do Disneylandu albo do Disneyworldu. W jedno z tych miejsc. A innym razem Garu-dźi był w Niemczech.

– O czym rozmawiali?

– O sprawach duchowych. O przeszłości i o przyszłości. Wydaje mi się, że o Bogu. Gaitonde pytał tego guru o śaguny i mahurty, kiedy zacząć jakiś projekt, i o wszystkie tego typu sprawy.

Gaitonde miał swojego guru. Powszechnie znana była jego pobożność, jego czterogodzinne pudze, datki na rzecz festiwali religijnych i ośrodków dla pielgrzymów, nie było więc nic dziwnego w tym, że miał swojego guru. To jasne, że go miał.

Sartadź wraz z Zoją wrócili do początków, do jej pierwszego spotkania z Dźodźo, następnie do tych czasów z Gaitondem, a potem znowu do spędzonych z nim dni i tych nocy, kiedy ona udawała, że śpi, a on telefonował. Szczegóły były spójne i powtarzały się te same imiona: Arwind, Suhasini, Banti. Wyglądało na to, że rzeczywiście jedyne kontakty Zoi z Gaitondem polegały na spotkaniach w mieszkaniu w Singapurze i na rozmowach telefonicznych. Sfinansował początek jej kariery jako modelki, a potem jej pierwszy film. W jaki dokładnie sposób Zoja czerpała korzyści z tych swoich zagranicznych wyjazdów, ujawniało się bardzo powoli, w miarę jak Sartadź starał się przebić przez mur jej nieufności. Powściągliwie mówiła o swoich współpracownikach w przemyśle filmowym, ale Sartadź potrafił być równie grzeczny, jak nieustępliwy. Znalazł w niej godnego przeciwnika, a nie chciał zbyt mocno naciskać, w końcu byli w jej domu, więc tak krążyli w kółko. Ale ostatecznie udało mu się zdobyć coś, co uznał za przybliżoną wersję całej historii. Spojrzeli po sobie z Zoją bardzo wyczerpani.

– To już wszystko, madame? – zapytał. – To już wszystko o Gaitondem?

– Cóż jeszcze mogłabym powiedzieć?

– Już nic więcej o wielkim Ganeśu Gaitondem? Jaki on był?

– Wielkim? – Wzruszyła ramionami. – Był małym człowieczkiem, który próbował zachowywać się jak wielki bohater – podsumowała.



Tak jak my wszyscy, pomyślał Sartadź, i niech Waheguru chroni nas przed oceną naszych kobiet.

– Dobrze – powiedział. – Dziękuję, madame.

– Macie te papiery?

Kamble wstał i podał jej kopertę, a potem z zachwytem patrzył, jak Zoja przerzuca kartki i fotografie.

– Naprawdę jest pani bardzo wysoka – powiedział.

– Czy to oryginały? – zapytała, zwracając się do Sartadźa.

– To jest wszystko, co znaleźliśmy w mieszkaniu Dźodźo.

Było to kłamstwo, i ona zdawała sobie z tego sprawę. Ale Sartadź już zdążył wstać, nie był już tak spokojny i uległy, i spieranie się z nim nic by jej nie dało. Zoja odłożyła kopertę na mały, szklany stoliczek, założyła ręce za plecy, nagle sprawiając wrażenie zmęczonej i nieco dziewczęcej.

– Powiem wam coś – odezwała się. – Tak naprawdę nie mam sześciu stóp wzrostu.

– Are, naprawdę? – zapytał Kamble. – Ależ na pewno pani ma.

– Nie. – Poszła za nimi do drzwi i odprowadziła ich do samego przedpokoju. – W rzeczywistości mierzę tylko pięć stóp i dziesięć i pół cala. Ale Dźodźo rozpowiadała, że mam sześć stóp wzrostu, i wszyscy w to uwierzyli. W mediach zrobiono wokół tego wiele hałasu. A teraz nie mogę się tego pozbyć, tego odium sześciu stóp.

Sartadź dostrzegł, że jego kolega stara się porównać z nią wzrostem.

– A dlaczego miałyby pani na tym zależeć? – zapytał Kamble.

– Wiecie, niektórzy aktorzy nie chcą grać z wysoką dziewczyną. Wyglądają przy niej na niskich.

– Niemożliwe – rzucił Kamble z oburzeniem.

Na końcu korytarza, przy drzwiach do kuchni, Sartadź dostrzegł staruszkę, który wpuścił ich do mieszkania. Polerował srebrne naczynie i

przypatrywał się im.

– Ale taka jest prawda – upierała się Zoja. – Wiem, że tylko z tego powodu przeszły mi koło nosa bardzo ciekawe role. Mężczyźni po prostu się boją, a ten przemysł wciąż jest przez nich zdominowany. – Jej barki uniosły się nieco, ale po chwili opadły, jakby w zniechęceniu.

– Przyszło nam żyć w smutnych czasach.

– Prawdziwa Kalijuga – stwierdził Kamble, w jakiejś posępnej zadumie.

Zoja była rozbawiona.

– On cały czas tak mówił.

– Kto, Gaitonde? – zapytał Kamble.

– Tak. Wraz z Garu-dzi ciągle mówili o Kalijudze. O tym i o końcu świata.

Sartadź ostrożnie odczekał chwilę, żeby nie sprawić wrażenia zbyt niecierpliwego.

– Co jeszcze o tym mówili? – spytał bardzo delikatnie.

– Nie wiem. Określał to tym słowem z języka hindi, jak to się mówi? Na kajamat?

– Pralaj? – podsunął Kamble.

– Tak. Pralaj. Rozmawiali o tym.

– I co mówili? – Również Kamble starał się zachować obojętny ton głosu, ale Zoja zauważyła tę skupioną na sobie uwagę.

– Co się stało? O co chodzi?

– Proszę, madame – odezwał się Sartadź. – Po prostu interesuje nas wszystko, co Gaitonde mówił i robił. Proszę nam powiedzieć.

– Nie pamiętam dokładnie. Wtedy miałam spać. A to było takie nudne. Nie przysłuchiwałam się.

– Ale coś pani musiała słyszeć – upierał się Sartadź. – O pralaju.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że rozmawiali o jego nadejściu. Gaitonde pytał, czy nadchodzi, i sądzę, że Garu–dzi mówił, że tak. Mówili o jakichś znakach, które są gdzieś dookoła.

– Rozmawiali o tym, że nadciąga pralaj... O jakich znakach mówili? Sartadź czekał. Zoja pokręciła głową.

– W porządku, madame. Dziękujemy, że zechciała pani poświęcić nam swój czas. A jeśli przypomni pani sobie coś na ten temat, albo w ogóle coś związanego z Gaitondem, proszę do mnie zadzwonić. To naprawdę bardzo ważne. A jeśli możemy pani służyć jakakolwiek pomocą, również proszę dzwonić. Gdyby miała pani jakieś problemy, jakąś sprawę, proszę do nas telefonować.

Zoja wzięła jego wizytówkę, ale wyglądała na zakłopotaną.

– Ale dlaczego, czemu się tak tym przejmujecie? Dlaczego zbieracie informacje o Gaitondem? Przecież on nie żyje.

– Madame, my po prostu prowadzimy dochodzenie w sprawie działalności gangów – wyjaśnił Sartadź. – Nie ma czym się przejmować. Tak, on rzeczywiście nie żyje.

Zostawili ją pogrążoną w rozmyślaniach o jej martwym Gaitondem. W windzie nie odzywali się, nagle złani potem po opuszczeniu przyjemnie chłodnego, białego mieszkania Zoi Mirzy. Jej wizerunek w mediach naprawdę był nienaganny: żadnych romansów ani skandali, a kiedy w kolorowych magazynach inne gwiazdy wypowiadały się złośliwie na jej temat, ona nigdy nie odpowiadała na ich komentarze. I zbudowała ten cały swój świat na fundamentach dostarczonych przez Ganeśa Gaitondego.

Ona jest naprawdę znakomita, pomyślał Sartadź.

Stróże drzemali przy bramie, księżyc zniknął, pozostawiając na ulicy jedynie pomarańczowe kręgi z latarni. Kiedy znaleźli się przy motocyklach, Kamble w końcu się odezwał.

- Tak naprawdę, to nie mamy żadnych faktów.
  - Wiemy tylko, że Gaitonde miał swojego guru, nic poza tym. Chyba nie ma sensu kłopotać tym Delhi. Rano do niej zadzwonię.
  - Nie ma czym się martwić.
  - Kamble, nie wiedziałem, że jesteś człowiekiem religijnym.
  - Proszę?
  - Te słowa o Kalijudze.
  - A ty uważasz, że świat, w którym żyjemy, to nie jest Kalijuga? Wszystko stoi na głowie, szefie. Ta kobieta na górze, zupełnie sama w tym ogromnym mieszkaniu. Przychodzi do niej dwóch policjantów, a ona spotyka się z nimi w środku nocy. Nikogo tam nie ma, żadnego ojca ani braci.
  - Wydaje mi się, że ona potrafi o siebie zadbać.
  - I o to właśnie chodzi, bhai. A poza tym, to prawda.
  - Proszę?
  - Jestem religijny.
  - Jesteś buddystą?
  - Dlaczego tak sądzisz? Nie, jestem uparty. Nie mam zamiaru z niczego rezygnować, chcę, żeby te sukinsyny manuwadi darzyły mnie szacunkiem, zamierzam odebrać od nich to, co tylko będę chciał. Jakie mają prawo decydować, kim jest człowiek, jakim jest hindusem? Behenćody. Mój ojciec też taki był. Właśnie dlatego kłócił się z niektórymi ludźmi z naszej społeczności.
- Unieśli ręce na pożegnanie i rozstali się.

Pędząc pustą drogą w Goregaon, Sartadź próbował wyobrazić sobie pralaj. Starał się zbudować obraz burzy płomieni pożerających ciała uspięte na werandach i chodnikach, straszliwy wiatr uderzający w budynki i kruszący

je. Wyimaginowane obrazy jednak przemijały, a strach gdzieś uciekał. Wokół tętniło życie, aż za dużo życia. Ale i tak Sartadź nie mógł zasnąć przez ponad półtorej godziny. Leżał zwinięty w łóżku, niespokojny. Gaitonde miał swojego guru. Coś chodziło po głowie Sartadźa, nie potrafił tego uchwycić, ale wciąż go to nurtowało. Napił się wody, przeciągnął się i ułożył na lewym boku, tyłem do okna. Obraz pralaja ustąpił zupełnie, ale pozostawił po sobie jakąś próżnię pełną przemykających przypadkowych fragmentów przeszłości Sartadźa; pustkę, w której jego umysł pracował na wysokich obrotach. Z tego mrocznego zamętu wyłoniła się twarz, która już przy nim pozostała, a Sartadź z ulgą chwycił się wizerunku Mary Mascarenas i spokojnie odpłynął w sen.

Wczesnym rankiem następnego dnia Sartadź zadzwonił do dwóch osób. Najpierw do Andźali Mathur w Delhi. Wysłuchała jego sprawozdania ze spotkania z Zoją, o guru Gaitondego i o pralaju, rzuciła kilka słów zachęty i ciche słowa podziękowania. Poprosiła, żeby nadal prowadził dochodzenie, i rozłączyła się. W skrzącym się świetle poranka pralaj zdawał się być zupełnie niedorzeczny i inspektor poczuł pogardę dla biednego naiwniaka Gaitondego i tego drugiego naiwniaka, jego guru.

Sartadź usiadł wygodnie na krześle, strzelił palcami i zaczął się przygotowywać do drugiego telefonu. W zasadzie nie był zdenerwowany. Chciał zadzwonić do Mary, ale czuł się jak niedźwiedź budzący się z przydługiego snu zimowego, zupełnie zdezorientowany oślepiającym światłem słonecznym. W przeszłości potrafił być miły w obejściu, nie miał oporów przed flirtowaniem z kobietami i od razu się z nimi umawiał. Teraz siedział przy swoim, stoliczku, obmyślając scenariusz rozmowy. Musiał się powstrzymać przed przygotowaniem notatek i nawet powiedział do siebie: Sartadźu, ależ lalu się z ciebie zrobił. Po prostu chwyć za słuchawkę i do

dzieła. Ale nie, nie zrobił tego. Wstał, wypił szklanekę wody i ponownie usiadł. Musiał przyznać, że chociaż nie jest zdenerwowany, a przynajmniej nie tak, jak w wieku trzynastu lat, boi się. Czego się tak bał? Nie tylko potencjalnej porażki, odrzucenia czy też nieuprzejmego potraktowania, albo zdrady, ale również tych dobrych rzeczy. Bał się nagłego uśmiechu Mary, dotknięcia jej dłoni. Już lepiej żyć w jaskini, cichutko zamknięty za ścianami.

Ty gandu tchórze, powinieneś się wstydzić. Strzepnął ręce, od ramion aż po same nadgarstki. Chwycił telefon i wybrał numer. Kiedy Mary odebrała, pospiesznie powiedział jej, że jutro, następnego dnia, wybiera się do Khandala w celu prowadzenia śledztwa i że chciał opowiedzieć jej o spotkaniu z Zoją Mirzą, w związku z czym pomyślał, że być może ona chciałaby wybrać się do Khandali, ponieważ jutro jest poniedziałek, a on wie, że ona poniedziałki ma wolne, więc mogliby wyskoczyć za miasto, na coś w rodzaju pikniku okraszonego historią Zoi Mirzy. Już kiedy jej to mówił, zauważył, że to zbyt skomplikowane, że przecież nie muszą jechać aż tak daleko i jeść posiłku w jakiejś restauracji w górach, żeby on mógł opowiedzieć jej o Zoi Mirzy. Zamilkł. Spodziewał się, że ona odmówi albo że przynajmniej będzie chciała, żeby ją dłużej przekonywał, ale ona zupełnie po prostu zgodziła się i zapytała tylko, o której godzinie po nią przyjedzie.

Sartadź już od kilku miesięcy nie używał samochodu, więc po południu zrobił mu szybki przegląd, pochlebstwami zachęcił go do działania, a pojazd zaterkotał i ruszył. Przez pół godziny jeździł po okolicy, aż stwierdził z zadowoleniem, że stara khatara jeszcze trochę może pociągnąć. Posprzątał samochód, sprawdził olej i akumulator, i następnego dnia rano był gotów.

Wyruszyli o siódmej trzydzieści. Mary miała na sobie czarne dżinsy i białą koszulę. Sartadź doskonale czuł bliskość jej ręki, leżącej na siedzeniu obok, i zapach jej szamponu. Przejechali przez Sion, o tak wczesnej porze jeszcze niezbyt zatłoczony. W Deonarze w końcu rozstąpiła się gęsta zabudowa i nagle ukazało się niebo, rozległe i szare, a za rozpościerającą się przed nimi panoramą Sartadź dostrzegł góry. Poczuł w brzuchu dziecięce podniecenie i chciał zaśpiewać: jedziemy na wakacje, jedziemy na wakacje. Ale przecież nie mógł tak się zachować, Mary pomyśli, że zwariował. Pozwolił sobie jednak na uśmiech, a kiedy to zobaczyła, również się uśmiechnęła. Mknęli przez mętne wody morza, pokonując je wysokim łukiem mostu, potem przez skupisko bloków mieszkalnych, a kiedy Sartadź dostrzegł przed nimi budynki w jasnych, pastelowych kolorach, wysokie i zupełnie nowe, wiedział już, że są w pobliżu autostrady.

– Wyglądają jak ciastka – odezwała się Mary. – Budynek powinien wyglądać jak miejsce, w którym ktoś mieszka, a nie jak ciastko.

– To nowoczesny styl – powiedział Sartadź. – Jesteś głodna? Chciałabyś coś zjeść w McDonaldsie?

– Nie, nie. Dziękuję. Jedźmy dalej.

Zamaszystym ruchem ręki wskazała w górę, w stronę Ghats, i Sartadź zrozumiał, że podobnie jak on chciała znaleźć się już na wzgórzach.

– Dobrze. – Zapłacił za wjazd na autostradę i pojechali dalej.

Ruch był niewielki, a jazda po szerokiej drodze i ściganie się z wiatrem sprawiały mu prawdziwą przyjemność. Najwyraźniej również khatarze spodobał się ten nieoczekiwany, obco wyglądający, rozległy pas gładkiej, szerokiej drogi, wciśnięty w surowy krajobraz Ghatów. Samochód gwałtownie ruszył do przodu, wpadając w radosne wibracje, kiedy Sartadź pozwolił mu się rozpędzić.

– Ile on ma lat? – zapytała Mary.

– Sporo. Ale jeszcze działa. – Zwolnił i zmienił pas ruchu. Tutaj nawet zmiana pasa sprawiała przyjemność; wjeżdżając na autostradę, kierowcy stawali się nieco bardziej cywilizowani. A było tu tak dużo pasów, i wszystkie tak wygodnie szerokie i wspaniale poprowadzone.

Ale kawałek dalej, kiedy dotarli do pierwszych zbcocy, samochody utworzyły korek za gigantyczną, leżącą na boku i tarasującą drogę ciężarówką. Na szczęście pojazdy poruszały się, i kiedy mijali zator, zobaczyli, że ciężarówka z tyłu jest zdeformowana i rozerwana, a na asfalt wylało się morze pomarańczy. Koła samochodu mlasnęły na miękkim podłożu i po chwili minęli przeszkodę.

– Kiedy ostatnim razem byłam na autostradzie – odezwała się Mary – widziałam pięć wypadków.

– Ci idioci nigdy w życiu nie widzieli autostrady, jeździli tylko po typowych, indyjskich drogach. Kiedy więc widzą szeroką, idealną drogę, podniecają się, jadą za szybko i nie radzą sobie z samochodem. Bas, koniec.

– Ten przynajmniej nie zablokował całej drogi.

To mu się naprawdę podobało. Mary Mascarenas była optymistką, a już na pewno nie była pesymistką. Siedząc obok niej, Sartadź poczuł, jak i jego ogarnia fala dobrego samopoczucia. Tak, droga nadal była przejezdna. Niezbyt wiele rozmawiali, wystarczyło mu, że wskazał jej sznur wlokących się boczną drogą wielbłądów, które nie wiadomo skąd się pojawiły, czy grubą dziewczynę spacerującą po grobli między polami. Przejechali przez tunele i wynurzyli się na światło słoneczne, słuchając regularnego dudnienia silnika i szumu mijanych samochodów.

Do Cichego Zakątka dojechali o wpół do dziesiątej. Na Zakątek składało się pięć bungalowów skupionych na skraju osiedla domków jednorodzinnych. Recepcja znajdowała się w budynku ze świeżego betonu,



pomalowanego na przerażający różowy kolor. Na zboczach po obu stronach Cichego Zakątka stały nowe domy, więc zakątek wcale nie był już taki cichy. Z pewnością właściciele zachwalali ten rozciągający się z tyłu i pocięty liniami elektrycznymi niewyraźny pejzaż jako piękny widok na rzekę. Khandala wypełniała się nowymi budowlami i już nie była tą zieloną oazą, do której Sartadź wybierał się z dziewczynami z college'u. Ale przynajmniej łysiejący recepcjonista z włochatymi uszami, zblazowany i stosownie gburowaty, przedstawiał sobą uspokajająco znajomy obraz.

– Wpisać nazwisko – warknął, podsuwając im księgę gości.

Sartadź uśmiechnął się do Mary i wytłumaczył, że jest policjantem i że nie potrzebuje pokoju, chciałby natomiast zadać kilka pytań. Łysol z włochatymi uszami był zaskoczony osobą Mary.

– To moja asystentka – wyjaśnił Sartadź. – Proszę wyjąć księgi gości.

Śledztwo zajęło pół godziny. Sartadź bez trudności znalazł nazwisko Umeśa Bindala, opatrzone podpisem składającym się z zawijasa i umieszczonych pod wielkim łukiem dwóch kropek. Większość nazwisk osób zameldowanych pod tą samą datą była nieczytelna i – tego Sartadź był pewien – nieprawdziwa. Niejaki „S. Khan” podał swój adres jako „Bandra, Mumbai”, nie pozostawiając żadnych innych informacji. Jeśli on był tym człowiekiem z kamerą, który podglądał Umeśa i Kamilę podczas ich romantycznego spaceru kochanków po ścieżce, z pewnością nie uda się go odszukać. Sartadź kazał łysolowi odłożyć księgę gości i poprosił, żeby oprowadził ich po domkach. Mary szła za nimi w milczeniu.

Odezwała się dopiero, kiedy opuścili teren Zakątka, kiedy znaleźli się już w samochodzie, kierując się w górę wzgórza.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – zapytała, trącając ramieniem jego rękę, kiedy brał ostry zakręt.

Pokręcił głową i poczekał z wyjaśnieniami, aż usiedli przy stoliku w restauracji nad urwiskiem. Z tarasowego dna doliny podnosił się lekki wiatr, a Sartadź czuł się cudownie odprężony i głodny.

– Nie spodziewałem się tu niczego znaleźć – odparł. Opowiedział jej o śledztwie, o poszukiwaniu drogi po omacku i o tym, jak w końcu uzyskuje się mgliste wskazówki i jakieś dowody, które w rzeczywistości nie mogą posłużyć za prawdziwe dowody, ale o których wiadomo, że są prawdziwe.

– Zupełnie inaczej niż w filmach – powiedział. – Prawdę mówiąc, połowa śledztwa opiera się na przypadku. Tak jak było z nami, kiedy nie zauważyliśmy zdjęć Zoi, a wy dokładnie wiedziałyście, kogo przedstawiają.

– Chcesz mi powiedzieć, że liczysz na to, że przypadkowe kobiety pomogą ci przez przypadek znaleźć gangsterów? To niezbyt pocieszające dla biednego społeczeństwa. – W jej oczach igrały ogniki rozbawienia.

– Zwróć jednak uwagę na to, że muszę być otwarty na te przypadkowe kobiety. Trzeba umieć słuchać, naprawdę wszystko widzieć.

– Rozumiem, że wiele czasu spędzasz na słuchaniu kobiet.

Zdawał sobie sprawę, że ona się z nim droczy, ale czuł się w obowiązku zaprotestować.

– Nie, nie, wcale tak nie jest.

Zachichotała, a on śmiał się wraz z nią. Zjedli ogromne nir dosy [cienkie ciasteczka ryżowe] z ostrym sambharem. Sartadź wytarł talerz do czysta i usiadł wygodnie. Było mu dobrze, cieszył się z życia. Gaitonde nie żył i był bardzo daleko, a jeśli bomba istniała, stała się mało rzeczywista, niczym jakiś rekwizyt z horroru. Sartadź przebiegł wzrokiem przez porośnięte krzakami zielone zbocza, daleko poza szczyty gór.

– Cóż za odprężenie, wyrwać się z miasta – rzekł. – Wiesz, chyba byłoby miło zamieszkać na wsi. Blisko ziemi i czystego powietrza. O ileż mniej człowiek by się stresował.

Mary lekko przechyliła głowę, podpierając ręką brodę.

– Ty i wioska. Chciałabym to zobaczyć.

– A to niby dlaczego? Kto wie, może byłby ze mnie dobry rolnik.

Delikatnie pokręciła głową.

– Nie chodzi mi tu tylko o ciebie. Dorastałam na wsi i nie potrafiłabym tam wrócić. Czy zdajesz sobie sprawę, jak tam jest naprawdę?

Opowiedziała mu, jak to jest wstawać rano w domu z czerwonej cegły, z dachem pokrytym dachówką, na dźwięk świergotania budzących się do życia papug, i niepewnym krokiem wychodzić z zaspanymi oczami do obory za domem. Za łazienkę służyła pozbawiona drzwi dobudówka przy oborze, w której wodę trzymano nad ogniem, w wielkim, wbudowanym w ścianę miedzianym ban. Nie było ubikacji, jedynie pola usalu. Za oborą znajdowała się jeszcze studnia, a dalej rząd palm kokosowych i pola ryżowe. Błyszcząca rzeka sunąca do morza i zapach kwiatów jaśminu. Kawa i appam o ósmej, paes o ósmej. Dzień spędzany w szkole, gwar mieszaniny języków konkani, kannada i tulu na krętej, pokrytej kurzem drodze. Obiad, a potem całą wieczność trwające popołudnie, skakanie z Dżodzo przez skakankę na czerwonej posadzce podwyższenia przed domem. Różaniec przesuwający się przez palce matki, godzinna modlitwa wieczorna, błogosławieństwa udzielane przez starszych. Kolacja spożywana na wypastowanej podłodze. Matka siedząca na swoim monai, nisko pochylona nad talerzem. Absolutna, zdumiewająca ciemność, kiedy zdmuchiwno latarnie. O dziewiątej w łóżku. I sen.

– Nie było elektryczności, nie było telewizji. Radio mieliśmy dopiero, kiedy skończyłam czternaście albo piętnaście lat.

– Masz rację – stwierdził Sartadź. – To rzeczywiście kojarzy się z wielkim spokojem, ale chyba nie potrafiłbym tam żyć.

– Nie potrafiłbyś – zgodziła się Mary. – Tej wioski już tam nie ma, nie ma nawet gdzie wracać. Całe miejsce bardzo się zmieniło.

Sartadź wyciągnął ręce nad głowę, przeciągnął się, poruszając barkami, i westchnął.

– Już późno. Mam jeszcze trochę pracy na komisariacie. Powinniśmy już jechać. Wracać do Bombaju.

– Nie opowiedziałeś mi nic o Zoi Mirzy. Dżana będzie wściekła, jeśli wrócę bez żadnych wiadomości.

W drodze powrotnej, jadąc powoli, bez pośpiechu, opowiedział jej o spotkaniu z Zoją Mirzą. Miasto zbliżało się z wolna, nie nadciągało groźnie, po prostu nieuchronnie. Porozrzucane gdzieniegdzie chałupy, domy i budynki zbierały się w gęstą masę. Sartadź miał wrażenie, że wciąga go jakaś potężniejsza siła grawitacji, i sprawiało mu to radość. Tu był jego dom. Mary siedziała w wygodnej pozycji, z podciągniętymi nogami, już nie tak daleko od niego.

Pod jej domem stanęli naprzeciw siebie, nagle zmieszani. Sartadź oparł jedną rękę o samochód, drugą opuszczając niezgrabnie przy boku.

– Powiedz, czy Zoja jest piękna? – zapytała Mary.

Sartadź wzruszył ramionami.

– Niczego sobie. Ale bez przesady.

Mary wyciągnęła rękę, żeby szturchnąć go w łokieć.

– Lepiej radzisz sobie z kobietami, niż mogłoby się wydawać. Ale tak szczerze, piękna jest, prawda?

– Are, ja nic takiego nie mówię. Jest ładna, bas. Wysoka i tak dalej, ale tylko ładna. Wiesz, że ona nie ma nawet sześciu stóp wzrostu? To Dżodzo wymyśliła ten jej wzrost. Ma trochę ponad pięć stóp i dziesięć cali.

– Oooooo – odezwała się Mary, wyraźnie zadowolona z usłyszonej ciekawostki. – Dźodźo uwielbiała takie rzeczy.

Spojrzeli po sobie, a ta chwila ciszy rozciągała się w nieskończoność.

– Muszę jechać – odezwał się Sartadź.

– Dobrze – odparła Mary. – Wiesz, podobała mi się przejazdźka.

– Mnie też.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Zrobiła krok w jego stronę. Na moment zamarł, i w końcu wyciągnął do niej rękę. Uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń. Powinienem pocałować ją w policzek, pomyślał Sartadź, ale ona zdążyła się już odwrócić i oddalić. Patrzył za nią, kiedy wchodziła po schodach, pomachał do niej i śmiejąc się z samego siebie, odjechał na komisariat. Gdzie zniknęła ta jego ogłada, te dawne zabójcze ruchy Sartadźa Singha? Nie ma ich zupełnie, a z niego zrobił się zupełny bhondu. Oj stary, nieładnie się starzejesz, pomyślał. Ale i tak był w dobrym humorze, i przez całą drogę do pracy nucił sobie *mehbuba mehbuba*<sup>31</sup>.

O jedenastej wieczorem, kiedy wciąż jeszcze pracował w komisariacie, zadzwoniła do niego Andźali Mathur.

– W całych naszych materiałach o Gaitondem nie ma ani jednej wzmianki o żadnym guru – powiedziała. – Czy ta kobieta była tego pewna?

– Tak. Wspominała o kilku rozmowach.

– Dziwne. Musiał to ukrywać.

– I to dobrze ukrywać. Zoję też ukrywał. Wiele spraw musiał trzymać w ukryciu. Był w tym dobry.

– Tak. Przeszukałam naszą bazę danych pod kątem słowa „pralaj”. Niczego nie znalazłam. Zaczęłam więc szukać słowa „kajamat”. Pojawiło

się trzy razy, zawsze w materiałach z jednej jednostki. To wojująca organizacja o nazwie Hizbuddin. Bardzo zagadkowa grupa, nigdy nie udało się nam schwytać ani zabić żadnych jej członków. Nie wiemy nawet, gdzie są zlokalizowani ani na jakim terenie operują. Informacje o nich znaleźliśmy podczas nalotów na inne islamskie ugrupowania w dolinie Kaszmiru, w Pendżabie, na północnym wschodzie wzdłuż granicy z Bangladeszem. Wiemy jedynie, że Hizbuddin dostarczał tym grupom pieniądze i broń, nic poza tym. Wygląda na to, że po raz pierwszy pojawili się mniej więcej w okresie wojny o Kargil. W ich materiałach wyraźnie zawarta jest obietnica „Kajamatu” i jest mowa o oznakach ostatnich dni. Cytowane są tam wersety z Koranu: „Ludzkość jest coraz bliżej sądu ostatecznego – a mimo to ludzie na to nie zważają i się odwracają”. I co ciekawe, w każdej z tych broszur wyraźnie wymieniony jest Mumbaj.

Sartadź słyszał, jak Andźali przerzuca jakieś kartki. Przez otwarte drzwi widział kraniec ławki, pusty korytarz oraz porośnięty krzakami i otoczony murem ogród.

– O, tutaj – odezwała się Andźali Mathur. – Napisane jest: „Wielki ogień pochłonie niewiernych, a jego początek będzie w Mumbaju”. To samo, z niewielkimi zmianami, pojawia się w innych broszurach. „Ogień wybuchnie w Mumbaju i ogarnie cały kraj”. Ale zawsze wymieniony jest Mumbaj.

Sartadź był oburzony.

– Co te łajdaki mają przeciw Bombajowi? Nie wspominają o innych miastach?

– Nie. Piszą tylko o narodzie Indii jako o dar-ulharb, i o jego nadciągającej zagładzie. Stale piszą o zagładzie. Nazwa tego ugrupowania pochodzi od złożenia słów „Hizbul”, co oznacza „armia”, a to „din” użyte tu jest chyba w znaczeniu sądu ostatecznego. To słowo może również

oznaczać religię lub sposób postępowania, ale wydaje mi się, że tu „din” odnosi się do trzeciego wersetu pierwszego rozdziału Koranu. W takim razie ten Hizbuddin to „Armia dnia ostatecznego”. Można by uznać, że to za mało, żeby świadczyło o istnieniu jakiegoś związku. Ale przyszło mi na myśl, że ta nazwa jest mi skądś znana. Kiedy przeanalizowałam nasze materiały o napływających zza granicy fałszywych pieniądzach, a potem ponownie przeszukałam bazę danych, spostrzegłam, że Hizbuddin pojawia się pięć razy jako źródło dużych sum fałszywych pieniędzy. Posiadane przez nas próbki są identyczne z tymi z Kalki Seny oraz z pieniędzmi z mieszkania Dźodźo, i z tym, co znaleźliśmy w bunkrze Gaitondego.

Sartadź poczuł, że zaczyna boleć go głowa. Jaki mógł być związek między Dźodźo a tymi zaciekłymi ekstremistami zwiastującymi zagładę? Między Gaitondem a wojującym muzułmańskim ugrupowaniem? Może nie było żadnego związku? Przycisnął mocno palce do czoła.

– To wszystko wciąż jest zbyt mętne – powiedział.

– Zgadza się. Nie ma żadnych podstaw, żeby sądzić, że te pieniądze mogą wskazywać na istnienie jakichś związków. Obracamy się wśród przypuszczeń. Brakuje jakiegokolwiek spoiwa. Coraz więcej pytań. Kim jest ten guru? Co go łączyło z Gaitondem?

– Będę nad tym pracował.

– Dobrze. A ja dalej będę tu szukać.

Oboje mieli więc kontynuować swoją pracę. Sartadź jeszcze przez godzinę pracował w komisariacie, a potem pojechał do domu. Położył nogi na niskim stoliku i wypił szklaneczkę whisky, tym razem tylko jedną, i to dosyć słabej. Zdawał sobie sprawę, że wciąż pracuje, rozmyślał nad Gaitondem, nad Dźodźo i nad tymi pokaźnymi sumami pieniędzy. Takich właśnie rzeczy nienawidziła Megha – tego, że nigdy nie mógł przerwać toczącej się w jego głowie pracy. Potrafił pić herbatę, rozmawiać o

krewnych, iść do kina, ale gdzieś w jego wnętrzu składały się w całość fragmenty jakiegoś morderstwa. Zawsze próbował wytłumaczyć jej, że nie robi tego z własnej woli, że gdyby tylko mógł, zatrzymałby to. Te słowa tylko jeszcze bardziej irytowały jednak Meghę, złościło ją, że to jakiś impuls albo instynkt. Ale instynkt udzielił mu jednoznacznych lekcji, a Sartadź nauczył się mu ufać. I teraz mówił mu, że te kawałki dadzą się poskładać w całość. Wiadomo, że czasami człowiek dokładnie już wie, jak wygląda prawda, ale nie ma w ręku żadnych dowodów. I czasami trzeba było działać na podstawie tej wiedzy, preparować dowody, pisać raport ze śledztwa, opuszczając pewne fakty, a na ich miejsce wprowadzając inne. Trzeba manipulować sprawiedliwością, żeby była odpowiednio ślepa.

W sprawie Gaitondeggo nie można było liczyć na sprawiedliwość ani na odkupienie winy. Pozostawała jedynie nadzieja, że uda się przynajmniej częściowo wyjaśnić, co się wydarzyło, i był też ten powoli rosnący strach. Sartadź się bał, po prostu się bał. Teraz, kiedy odpoczywał, strach powrócił, wzmocniony katastroficznymi obrazami z angielskiego filmu, całe miasta unicestwione przez pożogę efektów specjalnych. Pracuj, powiedział do siebie, pracuj nad tym. Wykonuj swoje zadanie. Zamknął oczy, złożył głowę na oparciu sofy i trzymając w dłoni szklanę, pozwolił, aby przez jego głowę i ciało przepływały fragmenty i strzępy informacji. Nie może forsować żadnych rozwiązań, wymuszać odpowiedzi. Jeśli zachowa dostateczny spokój, jeśli będzie nieustraszony, jeśli otworzy umysł, serce i swoje wnętrze, w końcu wyłoni się jakiś kształt. Musi tylko zachować cierpliwość.



## Ganeś Gaitonde odkrywa siebie



Na jachcie oglądaliśmy wiele filmów. Łódź miała sto trzydzieści stóp (musieli mnie nauczyć, że powinienem nazywać ją jachtem), trzy pokłady i wystarczająco dużo miejsca na osobny, okazały salonik. Tam ustawiłem telewizor, największy, jaki się zmieścił, cały stos odtwarzaczy i odbiornik. I właśnie tam oglądaliśmy setki filmów zarejestrowanych na kasetach wideo, dyskach laserowych i na DVD. Bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że nie pracowaliśmy. Co rano wstawałem o szóstej, ćwiczyłem, zajmowałem się jogą i odprawiałem puje, a o wpół do ósmej zasiadałem przy telefonach, prowadząc rozmowy i jedząc śniadanie. Początkowo z trudem uczyłem się, jak kierować firmą na odległość – musiałem trochę odpuścić, przestać przejmować się szczegółami, przekazać obowiązki innym i nie mówić im, jak mają wykonać swoje zadania. Czułem się jak jakiś bóg, oddalony od świata, ale kierujący nim z góry. Zazwyczaj około dziesiątej trzydzieści lub jedenastej kończyłem załatwiać pilne danego dnia sprawy, a chwilę później z Bombaju dzwonił do mnie Banti i składał raport ze zbierania pieniędzy oraz podsumowanie poprzedniego dnia. W południe jadłem z chłopakami lekki lunch, a potem ucinałem sobie półgodzinną drzemkę. W zależności od tego, gdzie akurat się znajdowaliśmy i czy w pobliżu był jakiś dogodny brzeg, czasami budziła mnie jakaś dziewczyna, indonezyjska, chińska albo tajska. W każdym razie o drugiej byłem na nogach, mając przed sobą cały dzień.

Oglądaliśmy więc filmy. *Ham Apke He Koni Dilwale Dulhanija Le Džęę* i znowu *Sole i Dii To Pagal He i Hero No. 1* i *Auzar*. A także *Matkę*

*Indie, Anarkali i Sudzata*. I tysiąc innych, o których nigdy nie słyszałem, *Bahu Begam, Andżam i Halaku*. Lubiłem też oglądać filmy anglojęzyczne, i to nie tylko te strzelaniny, które podobały się moim chłopakom, ale również filmy z rozbudowanymi dialogami, ponieważ pragnąłem poprawić swój angielski.

Te filmy jednak nudziły moich ludzi, denerwowały tych ganwar sukinsynów, którzy prosili, żeby z powrotem włączyć jakiś bundal film, w którym mogliby oglądać, jak Ravina Tandon kręci i porusza biodrami, jak jakaś oszalała maszyna. Oglądaliśmy więc wiele filmów indyjskich, a nawet z Pendżabu czy tamilskich. Jeden z moich ludzi, Mukund, był Tamilem i kiedy przetłumaczył nam *Najakana*, okazało się, że rzeczywiście tamilska wersja z Kamalahasanem jest dużo lepsza. Dziwnie wyglądał Bombaj po tamilsku, widziany oczami Tamilów, ale czuło się w tym filmie dum. Był prawdziwy, jak samo życie. W zupełnej ciszy oglądaliśmy życie Wardaradzana, od początków w slumsach aż po dojście do władzy i sławy. Kiedy zamordowano jego syna i kiedy z gardła Kamalahasana wydobył się zdławiony płacz, sami poczuliśmy ten ból, był on naszym bólem. My również straciliśmy ukochane osoby. Po policzkach spływały mi łzy. Wszyscy płakaliśmy.

Następnego dnia poleciłem Bantiemu posłać kwiaty do Kamalahasana i Mani Ratnam, bez żadnego podpisu, jedynie z kartką „Od wielbiciela *Najakana*”. I kiedy tego wieczoru zadzwoniła Dźodźo, opowiedziałem jej, jak bardzo nam wszystkim spodobał się ten film.

Wybuchnęła śmiechem.

- To co, cała banda twardych bhai siedziała tam i szlochała?
- Kutti, przecież to było świetnie zagrane. I wspaniała historia.
- I ta ostatnia scena pogrzebu najakana, mogę się założyć, że całą ją przepłakałeś.

– Na jego pogrzebie były tysiące ludzi. Oczywiście, że płakałem. To było bardzo wzruszające.

Znowu nie wytrzymała, ale po jakimś czasie się opanowała.

– Och, wy mężczyźni jesteście tacy sentymentalni. Nie martw się, na twoim pogrzebie też będą tysiące.

– Randi, ty się nie martw się o mój pogrzeb. Ani jaki, ani kiedy będzie, Parmatma już to zapisał. To już się wydarzyło, tylko my dajemy się zwieść złudzeniu czasu. On ma swój plan. My jesteśmy tylko aktorami w jego sztuce.

– Wah. Aktorami w jego sztuce.

– Tak. Tańczymy zgodnie z regułami jego lila. Narodziny, życie, śmierć, to wszystko ma swój kształt, nawet jeśli my tego nie widzimy.

– Ale zebrało ci się dzisiaj na filozofowanie, Ganeśu Gaitonde. Zmieniłeś się, ciągle mówisz o przeznaczeniu, karmie i behenćodowym gandugiri. Co się z tobą stało?

– Nic, poza tym, że zacząłem nieco pojmować prawdę o wszechświecie.

O moich rozmowach z Garu-dźi wiedział tylko Banti. Musiałem rozdzielić te różne części mojego świata, Dźodźo od Garu-dźi, Garu-dźi od pana Kumara, a także częściowo siebie od tego wszystkiego.

– Ćutijo, stałeś się jednym z tych świętych hindusów. – Doszedł mnie dźwięk, jakby spluwała, jakby pozbywała się czegoś obrzydliwego.

– Dźodźo, ty też powinnaś zastanowić się nad tymi kwestiami. Wybierz się do kościoła, może odnajdziesz tam spokój.

– Gaitonde, teraz mówisz jak moja matka. Ależ dożyliśmy zwariowanych czasów.

– Właśnie. I dlatego duchowe poszukiwania...

– Are, maderćod, chciałbyś, żebym poszła do kościoła, żeby jakiś śmierdzący ksiądz mógł wtykać nos w moje życie i mówić mi, że jestem złą

kobietą i wymierzać mi kary? A co ten jego Bóg, albo twój bóg, może mi dać? Spokój? Nie chcę spokoju, chcę pieniędzy, chcę mieć mieszkanie, chcę, żeby moje interesy się rozwijały. Spokój! Dlaczego ty nie dasz spokoju tym dziewczynom, które pozwalasz sobie thoko każdego popołudnia, ty mój mistrzu duchowy?

I zaczęła tarzać się po łóżku, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Również ja lekko się uśmiechnąłem. Nagle przerwała.

– Im też prawisz uduchowione kazania?

– Are, nie.

– Gaitonde, powiedz prawdę.

– Sali, jak mógłbym im coś wyklądać, jeśli one nie mówią językiem hindi?

– A one nie rozumieją, jak mówisz w tym swoim totaphuta angielskim?

– Mój angielski z dnia na dzień jest coraz lepszy.

– Nie zmieniaj tematu, Gaitonde. Próbowaleś mówić im o tej ścieżce do, jak ty to nazywasz, mokhy?

– Mokszy.

– To jak, próbowałeś?

– Nie.

– Daj spokój, Gaitonde. Mów prawdę. Mnie zawsze masz mówić prawdę, nawet jeśli kłamiesz innym ludziom.

Nie odzywałem się. Miała zupełną rację, opowiadałem jej takie rzeczy o sobie, o moich obawach i zmartwieniach, których nie wyjawiałem nikomu innemu.

– Gaitonde.

– No dobra. Tylko raz.

– Już widzę nagłówek w jutrzejszym wydaniu „Midday”: *Międzynarodowy mafioso Ganeś Gaitonde wielkim nauczycielem dziwek!* –

Przez dobre pięć minut nie mogła nic powiedzieć. W końcu się zmobilizowała: – A widzisz, mówiłam, coś się z tobą stało.

– To było tylko dlatego... Posłuchaj, była taka Tajka, w torebce miała posążek Buddy. Spróbowałem więc porozmawiać z nią o nirwanie. Znała to słowo, ale nic więcej nie wiedziała.

Już wcześniej zdążyła się prawie zupełnie wyśmiać, więc teraz chichotała zaledwie minutę. A potem odezwała się.

– Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Chyba musisz to przyznać.

– Przyznaję, jar – uśmiechnąłem się. Kiedy była w dobrym humorze, potrafiła jak nikt spowodować, że robiło mi się na duszy lekko i radośnie. – Skoro więc znasz mnie tak dobrze, może byś mnie poznała jeszcze lepiej. Zapraszam cię na wakacje na jachcie.

– Gaitonde, nie zaczynaj od nowa. Pozwalasz mi się poznać jedynie dlatego, że nie pozwalam ci zbliżyć się do mnie.

– Dźodźo, nawet cię nie dotknę. Obiecuję. Kąsam.

– Tu nie chodzi o dotykanie, Gaitonde. Wiesz dobrze, że gdybyśmy się spotkali, nie ucieklibyśmy od myśli o dotykaniu. I zgadzam się, to nie tylko z twojej strony, ale również z mojej. A to zniszczyłoby całe nasze jari. Możesz mi wierzyć.

– Czy nie jest możliwe, żeby mężczyzna i kobieta myśleli o dotykaniu się, a mimo to byli przyjaciółmi?

– Być może jakiś mężczyzna i jakaś kobieta, może gdzieś na innym kontynencie. Ale nie ty i ja.

– Haramzadi, to nieprawda.

– To prawda i dobrze o tym wiesz.

Wiedziałem, że teraz się uśmiecha.

– To zostało zapisane przez twój Parmatmę. To część jego planu.

– Codziennie mam z tobą kłopoty. Sam nie wiem, dlaczego się z tobą męczę. – Ale już szczyrzyłem zęby w uśmiechu, co ona zauważyła.

– A to dzięki mnie możesz tyle thoko, ile nie dałaby ci żadna inna dziewczyna.

– To prawda. – Raz na miesiąc, a czasami raz na dwa miesiące przysyłała mi dziewczyny z Bombaju. Przylatywały do Singapuru lub Dżakarty z wizą artystek estradowych, jako członkinie jakiegoś zespołu wokalno-tanecznego. W większości były to prawdziwe tancerki, przynajmniej w pewnym sensie. Po zakończeniu przedstawień przewożono je tam, gdzie akurat stał mój jacht. Kilka było dla chłopaków, a najlepsze były zarezerwowane dla mnie. Dżodzo już poznała mój gust. – To prawda. Jesteś jak dziewczyna, która co miesiąc przysyła mi nową wersję – powiedziałem. – Jesteś najbardziej szczodłą ćhawi na świecie.

– Jestem najdoskonalszą ćhawi w historii ludzkości, Gaitonde. A po tym specjalnym cudzeńku, które teraz ci wyślę, co rano będziesz o mnie pamiętał w swoich modlitwach do twojego Paramatmy.

– Jakie cudzeńko?

– Najpierw podziękuj.

– Za co?

– Codziennie powinienes mi dziękować, za wszystko, co dla ciebie zrobiłam. Ale dzisiaj powinienes mi specjalnie podziękować, za to, co dla ciebie zrobię.

– Za dziewczynę?

– To nie jest tylko dziewczyna. To jest... To jest coś zdumiewającego, Gaitonde.

– Powiedz w końcu.

– Po pierwsze, jest dziewicą.

– Jasne, jak wszystkie randi w Bombaju.

– Poważnie. Jeśli chcesz, możesz poprosić lekarza, żeby to sprawdził. Pochodzi z bardzo tradycyjnej rodziny w Lucknow.

– Jeśli jest taką tradycjonalistką, to co robi z kimś takim jak ty?

– Are, baba, ona chce zostać aktorką.

– Oczywiście.

– Tak, oczywiście. Ma sześć stóp wzrostu, Gaitonde.

– Chyba chcesz mi przysłać Kutub Minar, sali.

– Przecież ty jesteś wielkim bhai, tobie potrzebna jest wysoka kobieta. A poza tym, widziałeś kiedyś te zagraniczne modelki? Sześć stóp to nic takiego.

– Jest piękna jak modelka?

– Będzie.

– Maderćod, to teraz jest brzydka, tak? I co, za to mam ci tak specjalnie dziękować?

– Gaitonde, większość mężczyzn to głupcy. Ale ty możesz być inny. Posłuchaj mnie. Tylko o tym pomyśl. Wyobraź sobie tę dziewczynę, pochodzącą z zupełnie przeciętnej rodziny w Lucknow. Ojciec prowadzi jakąś małą rodzinną restaurację, jest też matka, która jest typową matką. Mieszka z nimi babcia. Są tam też bracia, starsi i młodszy. Rodzicom udało się posłać wszystkie dzieci do angielskich średnich szkół.

– Han, i co z tego?

– Pomyśl tylko, w jakim świecie ta dziewczyna żyje w Lucknow. Chodzi do jedynej szkoły dla dziewcząt, a potem wraca do matki i babki. Nie rozmawia z żadnymi chłopakami, nawet z tymi, którzy nabijają się z niej na ulicy, bo w szóstej klasie ma już pięć stóp i osiem cali. Ale to jest bardzo inteligentna dziewczyna. Dużo czyta, uważnie obserwuje świat. I dochodzi do wniosku, że potrzebuje czegoś więcej. Lucknow i małżeństwo w wieku osiemnastu lat to dla niej za mało.

– W całych Indiach pełno jest takich wariatek. To ten zły wpływ filmów i telewizji.

Na te słowa Dźodźo roześmiała się i przerwawszy na chwilę swój bhaszan, śmiała się wraz ze mną.

– Siedź cicho, Gaitonde. W każdym razie ona podjęła decyzję. Klamka zapadła. W wieku osiemnastu lat jakoś udaje się jej wyjechać. Jakoś znajduje drogę w świat i trafia do mnie. Czy zdajesz sobie sprawę, ile ją to kosztowało?

– Tak, to bohaterka. Powinienem zrobić ją szefową moich chłopaków w Bombaju.

– Gaitonde, w końcu jesteś mężczyzną. Mężczyzna nie jest w stanie zrozumieć, jakiej odwagi trzeba, aby stawić temu wszystkiemu czoło, żeby, będąc kobietą, stanąć i prosić o tak wiele, domagać się prawa do realizowania własnych marzeń. Wszyscy twoi ludzie zebrani do kupy nie mają nawet tysięcznej części tej odwagi.

– W porządku, rozumiem, ta twoja dziewczyna to Rani z Dźhansi. I co dalej?

– To zrozum jeszcze coś. Ta dziewczyna pragnie mieć wszystko. I dysponuje siłą i odwagą, aby to zdobyć. Obecnie wygląda zupełnie nieźle, ale chce być piękna, i tego dokona. Chce zostać modelką i aktorką, i dopnie tego. Ja ci to mówię. Mnie się nie udało, nie potrafiłam tego wszystkiego zdobyć, ale jej się uda.

– Skąd taka pewność?

– Jestem tego pewna, bo ona przypomina mi ciebie.

– Haramzadi, ta kobieta przypomina ci mnie?

– To komplement, Gaitonde. Sam zobaczysz, co mam na myśli. Przypomina mi ciebie, gdyż jest nieco przerażająca.

– Wydawało mi się, że ty niczego się nie boisz. Łącznie ze mną.



– Are, nie boję się ciebie. Dobrze o tym wiesz, ćutijo. Chodzi mi tylko o to, że ona jest tak wielka, tak zdecydowana, aby osiągnąć swój cel, że przypomina mi jedną z kobiet z tych seriali o *Ramajanie*. Tylko ty możesz sobie z nią poradzić. Powinieneś traktować to jako komplement.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem jedyną osobą, którą stać na zapłacenie za tę ogromną dziewicę? Ile?

– Dużo.

– To jasne, że dużo. Podaj kwotę.

– Prawdę mówiąc, jej nie zależy aż tak bardzo na ogromnych pieniądzach.

– W takim razie na czym?

– Dobrą chwilę zajęło mi, zanim zrozumiałam, o co jej chodzi, kiedy mówiła mi o tym po raz pierwszy. Ona nie chce przypadkowego mężczyzny. Potrzebuje inwestora.

– A w co trzeba zainwestować?

– W nią samą. W jej przyszłość.

W tym momencie poczułem pierwszą ciepłą falę autentycznego zainteresowania tym stworzeniem. Być może ona rzeczywiście była tak bystra, jak mówiła Dźodźo.

– Tak powiedziała?

– Tak. Ona rozumie, Gaitonde, że w tej grze w modelkę i aktorkę sukces nie przychodzi z niczego. Jeśli masz bogatych rodziców, oni mogą zapłacić za stroje, lekcje gry i tańca, za siłownię, telefon komórkowy, za mieszkanie w Andheri i za samochód. Ale jeśli jesteś tylko dziewczyną z Lucknow, nie dysponujesz na co dzień gotówką, będziesz tylko jedną z tysięcy jeżdżących riksą od producenta do producenta, a każdy fotograf, który zgodzi się zrobić ci zdjęcia do portfolio, będzie chciał zaciągnąć cię do swojej sypialni na poddaszu. A na koniec, po tym wszystkim, czeka cię

tylko bambu i może raz czy dwa razy uda ci się zatańczyć w jakimś filmie wideo. Bas. Jeśli chcesz zostać gwiazdą, najpierw musisz być na tyle silny, żeby powiedzieć „nie”, a potem mieć na tyle pieniędzy, żeby się utrzymać i zaprezentować się w sposób, który wzbudzi szacunek tych behenćodów, ludzi z przemysłu. To dlatego cały przemysł rozrywkowy jest zdominowany przez te wszystkie dzieci gwiazd, właśnie dlatego, bo one mają i kontakty, i odpowiednie środki.

– Potrzebuje środków, żeby zdobyć zyski. To dobrze, że ona to rozumie.

– Tak. Ale ona potrzebuje większych środków, Gaitonde. Postanowiła poważnie zająć się własną osobą. A to kosztuje.

– Zająć się?

– Chodzi o chirurgię plastyczną. Przedstawiła mi swój plan. Gruntownie wszystko sprawdziła. Przygotowała małą mapę ciała, na którą wszystko ponanosila. A przy każdej części jest cena. I dokładnie wie, czym zajmują się poszczególni lekarze, co robią, jakie są procedury. Ma zdjęcia wszystkich aktorek, modelek i bogatych kobiet, Gaitonde, i wie, co każda z nich sobie zrobiła. Nie uwierzyłbyś, jakim operacjom te wszystkie słynne osoby się poddały i ile ta dziewczyna wie. Taki nos jest niezły, powiada, ale ten jest lepszy. Jest prawdziwym ekspertem w tych sprawach. Ma specjalną teczkę, pod nazwą „Ciało”, w której przechowuje te wszystkie informacje.

Bardzo interesujące, pomyślałem. Kobieta o systematycznym umyśle.

– Dobrze – odparłem. – Niech zobaczą to чудо. Ile?

– Gaitonde, nie próbuj żadnych numerów z tą dziewczyną. Jeśli dojdzie do wniosku, że ty próbujesz wykręcić jej hul, zabije się, zanim pozwoli ci cokolwiek zrobić.

– Dobra, dobra. Mów, ile?

– Spotkanie masz za darmo. Spotkasz się z nią i sam zobaczysz. Pokryję koszty biletu lotniczego.

To było naprawdę zdumiewające.

– Dżodźo, mówisz, jakbyś sama była zakochana. Na stare lata zrobiłaś się bacią, która lubi ćut–ćato. Bhidu, ja za ciebie zapłacę. Weź ją, weź.

– Gaitonde, przestać wygadywać głupstwa. Gdybym lubiła dziewczyny, na pewno bym ci o tym powiedziała. Po prostu też w nią inwestuję. Nie chodzi mi tylko o to, żeby cię przekonać. Wierzę w tę dziewczynę. Ona potrafi się sprzedać. – Dżodźo użyła angielskiego słowa sprzedać: „sell”. Syczało seksualnie w jej ustach. Tak jak to drugie angielskie słowo „sexy”.

– Kupiłaś jej akcje? Jeszcze przed debiutem giełdowym?

– Gaitonde, ty też kupuj. Jeśli jesteś mądry, to tak zrobisz. Ale jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Czy ty masz tak świeckie poglądy, jak mi opowiadasz?

– Z tobą jakoś nie mam problemów, prawda? Choćby z tego względu jestem świecki i tolerancyjny.

– Ta dziewczyna jest muzułmanką. Nazywa się Dżamila Mirza.

– Dżodźo, w Indiach wciąż pracują dla mnie muzułmanie. A kiedyż to nie chciałem brać muzułmańskiej dziewczyny? – Brałem wszystkie, niezależnie od kształtu, rozmiaru i wyznania. Jeżeli chodzi o to, jestem zupełnie bezstronny.

– Ale to jest inna sytuacja, Gaitonde. Nawet twój przyjaciel, Sulejman Isa, pod tym względem jest świecki, jemu też nie przeszkadza, czy bierze hinduskę, chrześcijankę, czy wyznawczynię dżinizmu. Od pasa w dół wszyscy mężczyźni są świeccy. Ale z nią jest inaczej. Możesz mi wierzyć. Jeśli zdecydujesz się zainwestować w tę dziewczynę, naprawdę będziesz musiał jej pomagać. Będziesz z nią związany. Nie na dzień, dwa, czy na tydzień na jachcie, ale na dłuższą metę.

– Zgadza się, Zdaję sobie z tego sprawę. Muszę o tym pomyśleć. Kiedy ona się urodziła?

– Znowu chcesz stawiać horoskopy?

– Tak.

– Zwariowałeś.

– Podaj mi dzień, godzinę i miejsce.

Podawała mi szczegóły jej narodzin, a ja je zapisałem. Dźodźo była zatwardziałą sceptyczką, jak kiedyś ja sam, ale Garu-dźi przełamał moje opory. Teraz tworzyłem się na nowo.

– A co dla chłopaków? – zapytała Dźodźo.

Przez jakąś minutę lub dwie omawialiśmy kwestię dziewczyn dla moich ludzi. Następnie Dźodźo musiała udać się na spotkanie w sprawie jakiejś produkcji, a ja wyszedłem na pokład. Moi ludzie grali w karty pod niebieskim daszkiem. Na pokładzie miałem ich sześciu, wraz z księgowym i komputerowcem, a do tego kucharza z Maharasztry i pięcioosobową załogę z Goa (a wśród nich trzech z marynarki wojennej). Podzielili się wachtami, więc zawsze trzech czuwało, stojąc na straży, czyli rozgrywając niekończące się partie tein-patti na niewielkie stawki, tak jak właśnie w tej chwili. Jak zwykle Arwind przez dziesięć minut zastanawiał się, którą kartę ma dorzucić, a Rameś i Munna obrzucali go gali. Wszystko było jak zwykle. Kotwiczyliśmy w miejscu, z którego widać było jasne parasole na plaży Patong.

Kiedy do nich podszedłem, chłopcy wstali.

– Bhai – powiedzieli i dotknęli moich stóp.

– Kto wygrywa?

– Ten powolny gandhu. Przez niego jedna partia ciągnie się latami.

To też było normalne, że wygrywał Arwind. Działał powoli, ale pewnie. Widziałem jednak, że tego ranka moim ludziom humor nie dopisuje. Kiedy

byli w domu, w Bombaju, wszyscy prosili o pracę za granicą. Chcieli mieć zagraniczne dzinsy, zagraniczne dziewczyny i dostawać wypłatę w zagranicznej walucie. Rywalizowali między sobą, żeby pojechać do Tajlandii, na mój jacht, i uczestniczyć w moich zamorskich operacjach, w każdym momencie wykazując się zapałem, ciężką pracą i oddaniem. Ale po spędzeniu jednego, dwóch czy pięciu miesięcy na obcych wodach robili się zgorzkniali i posepni. Ich ciała tęskniły za Bombajem. Wiem o tym, ponieważ po roku spędzonym z dala od Bombaju sam tak tęskniłem. Łaknąłem tych pokrytych plwociną ulic naszego wielkiego, kurewskiego miasta, budząc się, czułem w głębi nozdrzy gryzące spaliny i płonąca gumę, do moich uszu docierał przetaczający się łoskot ruchu ulicznego słyszanego z wysokiego dachu hotelowego, ten odległy dźwięk, który powodował, że człowiek czuł się jak król. Z daleka od zakorkowanego kłębowiska samochodów, od gęstwiny slumsów, długich pętli torów kolejowych, mrowia ludzi i muzyki płynącej z radia na bazarach, można było tęsknić za tym miastem. Czasami, po południu, miałem wrażenie, że powoli umieram. Pod tym obcym niebem czułem, jak moja dusza rozpada się, kawałek po kawałku. I ogarniała mnie niewyobrażalna samotność, nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że człowiek może być taki samotny. Dopiero po wyjeździe z Indii uzmysłowiłem sobie, że w domu nigdy nie byłem sam, że byłem bezpieczny w pajęczynie mojej rodziny, firmy i moich chłopaków. Nawet kiedy nikogo przy mnie nie było, te związki nadal istniały, wciąż stanowiłem część całości. Również siedząc w celi anda, choć samotny, stanowiłem jednak część tej ogromnej, niewidzialnej sieci, połączonej szczerymi więzami. Na ziemi indyjskiej nie można być naprawdę samotnym, nawet jeśli jest się szczelnie zamkniętym w cuchnącym grobie. Dopiero po przepłynięciu przez te czarne wody poznałem prawdziwe znaczenie słowa „samotny”.

Przerzucaliśmy więc tych chłopaków samolotem i dla tych chłopaków samolotami ściągaliśmy indyjskie dziewczyny, indyjskie filmy i indyjską muzykę, a dwa razy w tygodniu umożliwialiśmy im telefonowanie do Indii. W pierwszym miesiącu chłopcy z ochotą dobierali się do każdej dziewczyny żółtków, jaką tylko udało im się dorwać. Wszystkie pieniądze wydawali na tajski, indonezyjski czy chiński mai i wprost szaleli na widok niemieckich blondynek pokazujących swoje melony na plażach. Ale kiedy już ta gorączka przemijała, wyglądali indyjskich dziewczyn jak głodujący powodzianie z Biharu rządowej pomocy żywnościowej. Miło było ćodać pulchną ghatan i miło było nucić sobie piosenkę Kişore Kumara przy chichoczącej panience z Pendżabu, która wszystko rozumiała, tak po prostu wszystko bez wysiłku rozumiała. Człowiek czuł się jak w domu.

Powiedziałem więc moim trzem karciarzom, że za dwa tygodnie przylecą dziewczyny, a to wyraźnie poprawiło im humory. Teraz przynajmniej mieli na co czekać.

– Tylko nie oszalejcie na ich punkcie – powiedziałem. – Nie zróbcie z siebie głupców, te dziewczyny doskonale wiedzą, jak wyciągnąć pieniądze z mężczyzny. Wystarczy, że jedna ćappan-ćuri powie „kup mi kilka sari” albo „czy nie będzie mi ładnie w tym złotym naszyjniku”, a wy będziecie odgrywać wielkich bhai, i zanim one wrócą do domu, wasze kieszenie będą świecić pustkami. Zabawcie się, ale róbcie to z głową.

– Tak, bhai – odpowiedzieli, jak uczniowie przed nauczycielem.

– ćutije, choćbym nie wiem ile razy wam to powtarzał, zawsze jest za mało. Za cztery tygodnie zobaczymy, jacy jesteście mądrzy.

A cztery tygodnie później nasz powolny, ale pewny Arwind był już żonaty. Z tą partią dziewczyn przyleciała niejaka Suhasini, nieco przypominająca Sonali Bendre, w związku z czym używała pseudonimu scenicznego Sonali i naśladowała sposób bycia tej gwiazdy. Odebraliśmy

dziewczyny na lotnisku w Phuket, i kiedy furgonetka dojechała do hotelu Orchid Seaside, nasz Arwind z miejsca przykleił się do tej Sonali–Suhasini. Nie było nic dziwnego w tym, że chłopcy i dziewczyny łączyli się w pary, oczywiście czasami zdarzały się takie krótkie, wakacyjne związki. Jedna była dziewczyną Mukunda, a druga Munny. Rameś zawsze chciał zaliczyć wszystkie, ale nawet on wycofywał się, jeśli widział, że któryś z chłopaków czuje fida tylko do jednej dziewczyny. Dzięki temu przynajmniej przez kilka dni Munna czy Mukund mogli udawać, że mają prawdziwą ćhawi, i czuć się bezpiecznie. Takie rzeczy się zdarzały, ale nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś takiego, co zaszło między Arwindem a tą dziewczyną. To prawda, że miała ładną skórę i duży nos, który, jeśli patrzyło się pod odpowiednim kątem i w odpowiednim oświetleniu, mógł przypominać nos Sonali Bendre, ale w końcu była tylko tyczkowatą dupą z Ghatkoparu. I była randi. Tego nie dało się ukryć. Arwind dobrze zdawał sobie z tego sprawę. W końcu to on co noc miał laura lasun.

Kiedy przyszedł do mnie z tą dziewczyną prosić, żebym pobłogosławił ich małżeństwo, pozostali chłopacy doszli do wniosku, że ona musiała mieć wyjątkowo utalentowane usta, a Arwind był całkowitym, pura, akha głupcem. Ona co rano i co noc kąpała jego ćotę bhai i w rezultacie w jego mózgu wystąpiło zwarcie. Uspokoilem ich, kazałem im siedzieć cicho i nie robić awantur. Widać było, że krew się w Arwindzie burzy, a kiedy już raz zbudził się ze swojej ociążałości, potrafił być niebezpieczny. Właśnie z tego powodu przyjąłem go do nas. Kazałem mu teraz usiąść obok i powiedziałem:

– Zastanów się nad tym. Są dwa rodzaje dziewczyn, jedne są do maudź–mazy, a z innymi się żenimy. Zabawa to jedno, można nawet na tydzień czy dwa oszaleć na punkcie jakiejś dziewczyny. Takie rzeczy zdarzają się mężczyznom, ale prawda wygląda tak, że kiedy zamoczysz rano i

wieczorem, to laura sprawuje kontrolę nad twoim mózgiem. Ale małżeństwo to poważna sprawa. Musisz na trzeźwo to rozważyć. Pomyśl o rodzicach, znajomych. W końcu ty i twoja rodzina musicie jakoś żyć ze swoimi krewnymi. Nie możesz zawsze ukrywać, kim ona jest. Nie podniecaj się tym, że ona wygląda jak Sonali Bendre. Zabaw się, a potem ją odpraw.

– Bhai, mnie nie obchodzi żadna Sonali Bendre. Ta dziewczyna dla mnie wygląda po prostu jak Suhasini. I już się nad tym zastanowiłem. Wiem, że tak mam zrobić.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu to wiem, bhai. Czuję to tu. – Podniósł dłoń do piersi, prawdziwie zakochany młodzieniec, i do tego rozmiłowany w wielkich, dramatycznych gestach. Nie miał pojęcia, że wygląda komicznie. Ale sądzę, że gdyby nawet o tym wiedział, nie zważałby na to.

– I co, tak po dziesięciu dniach już wiesz?

– Kiedy się wie, to się wie.

Był dumny. Należał do tych wybrańców, którzy wiedzieli. W tym momencie zaliczał się do tej samej kategorii, co Madźnu, Farhad i Romeo. Był zupełnie spokojny.

– Dobrze – odrzekłem. – Muszę nad tym pomyśleć. Możesz mi podać o niej szczegółowe informacje?

Uśmiechnął się szeroko i z kieszeni koszuli wyciągnął kartkę papieru.

– Wiedziałem, że będziesz tego potrzebował, bhai. Proszę. Tu są wszystkie informacje, i o niej, i o mnie.

Wziąłem tę kartkę i kazałem mu odejść. Będąc uczniem Garu-dźi, nabrałem pewnej wiedzy w zakresie astrologii. Oczywiście nawet w tysięcznej części nie byłem Garu-dźi, ale tu i ówdzie czegoś się nauczyłem. Sam Garu-dźi powiedział mi: „Szybko się uczysz. Masz wrodzony talent



do nauki, w tobie drzemie wiedza. Ja tylko pomagam ci na powrót ją odkryć”. Powiedział mi, że właśnie dlatego tak długo przetrwałem, kiedy tyli innych zginęło. Potrafiłem przeczuwać przyszłość, potrafiłem patrzeć przez spirale czasu, i dzięki temu wiedziałem, kiedy zbliża się niebezpieczeństwo. I dlatego wciąż żyłem. A teraz uczyłem się panować nad tą wiedzą, wzbogacać ją o to, co Garu-dzi uznał za słuszne mi przekazać. Ćwiczyłem na swoich ludziach, a oni mi ufali. Kiedy przyjrzałem się datom, godzinom i miejscom urodzin Arwinda i Suhashini, odniosłem wrażenie, że ta dwójka pasuje do siebie, że wpływy ich gwiazd przebiegają równolegle, i tam, gdzie trzeba, odpowiadają sobie. Kołatali się po świecie, wiedzeni swoim przeznaczeniem, i odnaleźli się na moim jachcie. W końcu kto powiedział, że idealna para nie może, czy też nie powinna, zejść się na moim jachcie, który, notabene, nazywał się „Szczęśliwy traf”. Cieszyłem się związkiem Arwinda i Suhashini, a ślub mógłby być dla nas dobrą wróżbą. Ale, oczywiście, nie mogłem wyrazić zgody, nie konsultując się wcześniej z Garu-dzi. Poza Bantim żaden z moich ludzi nie wiedział o istnieniu Garu-dzi, ale on wiedział o nich wszystko. Znajdowali się w moim wewnętrznym kręgu, a ponieważ przebywali tak blisko mnie, ważne było, aby jakiś wybitny umysł przyjrzał się im i ich sprawdził. Ta odrobina ostrożności mogła pewnego dnia uratować mi życie.

Zazwyczaj telefonu Garu-dzi oczekiwałem o siedemnastej w moim biurze, a Garu-dzi dzwonił, jeśli tylko mógł. Miałem telefon satelitarny, wyposażony w koder i przeznaczony specjalnie i wyłącznie do rozmów z moim guru, który, podróżując, również korzystał z kodera, więc nasze rozmowy były w pełni bezpieczne. Poznałem te wszystkie nowoczesne środki bezpieczeństwa dzięki łysemu przyjacielowi z RAW, panu Kumarowi, to on nauczył mnie tej nadzwyczajnej ostrożności. Przekazał mi

bezpieczny telefon satelitarny, a ja, korzystając z własnych źródeł, załatwiłem sobie dwa następne, jeden dla Garu-dzi i jeden dla Dżodzo. W ten sposób byłem potrójnie chroniony: w swoim patriotyzmie, w swojej duchowości i w swoim życiu seksualnym. Również „Szczęśliwy traf” był tak zaprojektowany, żeby zapewniać bezpieczeństwo. Moi starzy znajomi, Gaston i Pascal, wynaleźli mi tę starą, rozlatującą się khatarę, należącą do szejka z rejonu Zatoki Perskiej. Ten człowiek był starym zwyrodnialcem, któremu dostarczaliśmy szkocką i młodych chłopców, a ponieważ nudziło go spieranie się o tak trywialne sumy pieniędzy, oddał nam tę łódź za przystępną cenę siedmiu krorów rupii. Gaston i Pascal ściągnęli kryptę do stoczni w Koci, gdzie – kierując się technicznymi radami pocziwie wyglądającego pana Kumara – wyposażyli ją w schowki na broń, drzwi zabezpieczające i specjalny radar krótkiego zasięgu. W Bombaju mówiono, że Gaitonde chce mieć jacht, ponieważ od lata jacht ma Čhota Madhaw, ale to była zupełna bzdura. Chciałem mieszkać na łodzi, bo tam czułem się bezpiecznie. Na jachcie doskonale wiedziałem, kto i kiedy do mnie przychodzi. Wystarczyło kilku ludzi, żeby go chronić. A Garu-dzi powiedział mi, że na wodzie jestem bezpieczny, że moje przeznaczenie nabiera rozpędu i unosi się na falach.

A poza tym Čhota Madhaw miał tylko zwyczajną łódź o długości dziewięćdziesięciu stóp i pływał nią po malezyjskich wodach. Ja zabierałem uzbrojony po zęby „Szczęśliwy traf”, gdzie tylko chciałem, przez cieśniny indonezyjskie, jeśli była taka potrzeba, i dwa razy ostrym ogniem z broni maszynowej zmietliśmy z powierzchni wody pirackie ślizgacze. Durne sukinsyny myślały, że nie zauważymy, jak nadciągają w ciemnościach. Póki był ze mną Garu-dzi i dysponowałem odpowiednią techniką, na wodzie nic nie mogło mnie dopaść. Czekałem więc na telefon od niego.

Jak zawsze, czas oczekiwania spędzałem z księgowym. Ten mój Partha Mukherdźi był dyplomowanym księgowym, dobrym bengalskim chłopakiem, pochodzącym z Bandra East. Nie mógł przy mnie narzekać, wiodło mu się bardzo dobrze, zorganizował przeprowadzkę rodziców i siostry do mieszkania w Lokhandwali i już zdążył znaleźć siostrze kawalera. Ślub miał odbyć się w listopadzie, razem z pięciogwiazdkowym weselem. Dobrze płaciłem Parcie Mukherdźi, otrzymywał podwójne premie, ale tyle właśnie był dla mnie wart. W tym okresie roczne obroty mojej firmy wynosiły trzysta krorów, a samo pilnowanie tych pieniędzy, przekazywanie ich z miejsca na miejsce, inwestowanie i mnożenie było pracą ponad siły. Oczywiście, nadal zarabialiśmy pieniądze w tradycyjny sposób, z podatków ściąganych od biznesmenów i producentów filmowych; z prowizji pozyskiwanych od porządnych, średnioklasowych właścicieli mieszkań za opróżnienie ich emeryckich lokali z niepożądanych lokatorów; z przerzucania różnych materiałów i substancji przez granice; od bukmacherów i naganiaczy. Ale mieliśmy też legalne inwestycje w Bombaju i w całych Indiach, fundusze, akcje, nieruchomości i pootwierane firmy. Tym wszystkim zarządzał Partha Mukherdźi za pomocą swoich komputerów i przy pomocy agentów w różnych miastach całej Azji. Co wieczór przez pół godziny referował wędrówki moich pieniędzy po krajach. Pokazywał mi wykresy, rysował strzałki na odręcznych mapach, aby wyjaśnić mi, dokąd to wszystko zmierza, z Kuala Lumpur do Bangkoku, i do Bombaju. A ja pojmowałem ten jego wywód i kierowałem przepływem pieniędzy. Stary, gruby Paritosz Śah byłby ze mnie dumny.

Kiedy dzwonił do mnie Garu-dźi, zawsze wyrzucałem z pokoju Parthę Mukherdźiego. Ale tego dnia to nie jego telefon zadzwonił, to był drugi bezpieczny telefon. Mukherdźi wstał, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, i pozbierał swoje dokumenty. Wszyscy moi ludzie wiedzieli, że

kiedy dzwonią specjalne, szare telefony, trzeba zostawić mnie samego. Kiedy już usłyszałem cichy, uspokajający dźwięk zamykania próżniowo uszczelnianych drzwi, zakończony charakterystycznym trzaskiem, wpisałem na klawiaturze telefonu swój szyfr, żeby uruchomić koder. Telefony były zabezpieczone po obu stronach linii.

– Ganeśu. – To był pan Kumar, jak zawsze ostrożny i delikatny.

– Kumar saab.

– Informacja o Bhawnagarze była dobra. Dopadliśmy czterech.

– Razem z lokalnym łącznikiem? Wszyscy nie żyją?

– Tak. Śabaś, Ganeśu.

– Sir, to tylko mój dharam. – Wiedziałem, że ani ja, ani pan Kumar nie zdobędziemy rozgłosu. Być może lokalna policja w Bhawnagarze poinformuje, że rozbito komórkę agentów ISI i przechwycono tajny magazyn broni. Ale nam, organizatorom całej operacji, pozostało tylko to śabaś między kolegami z pracy, wymienione przez prywatny telefon. Pan Kumar już mi to wyjaśnił, że w ten sposób działają tajne służby: jeśli dobrze wykonujemy swoją pracę, nikt o tym nic nie wie. Wszyscy dowiadują się dopiero wtedy, gdy nam coś się nie uda. Ta operacja skończyła się sukcesem i teraz planował następną.

– Chcemy uderzyć w Maulanę Mehmuda Ghose – powiedział.

– Sahibie, to bardzo poważny cel. – Mehmud Ghose był pakistańskim mułłą, kaznodzieją bardzo aktywnie działającym w Kaszmirze. Głośno przechwalał się, ilu kafirów zabił własnymi rękami, a przez pewien czas wszystkie stacje telewizyjne emitowały ziarnisty film, na którym widać, jak podczas spotkania modlitewnego dżihadystów w Multan trzyma za włosy gnijącą, odciętą głowę hinduskiego żołnierza.

– Tak, zgadza się, to duża postać – przyznał pan Kumar. – I rośnie w siłę. Kandyduje w wyborach. Nagle zrobił się z niego polityk, utrzymuje, że nie

ma nic wspólnego z tym człowiekiem na wideo z Multanu.

– Kto mu uwierzy?

– Brytyjski rząd. Robi na nich wrażenie, że w przeszłości był inżynierem elektrykiem, że używa komputerów i że jest nowoczesnym mułłą. Już wydali mu wizę.

– Maderćód.

– Spędzi tam tydzień. Będzie zabierał głos na publicznych wystąpieniach, będzie starał się spotkać z angielskimi politykami.

– Nikt się z nim nie spotka, saab.

– Może tak, może nie. Ale w ten sposób się odsłania. Wydaje mu się, że wróci z torbami wypchanymi funtami, z nowymi zastępami celów i że zdobędzie międzynarodową pozycję. Postanowiliśmy więc zrobić z niego temat dla międzynarodowych mediów. Wyślesz kilka ekip do Londynu.

– Jak wygląda harmonogram?

– Podejrzewamy, że przyjedzie do Londynu za cztery tygodnie.

– Cztery tygodnie. Nie ma sprawy. – Mieliśmy swoją bazę w Cannes i prowadziliśmy interesy w całej Europie. Ostatnio zainteresowaliśmy się Słowenią i krajami bałtyckimi. Uczyliśmy się i rozwijaliśmy.

– Przekażemy ci informacje, gdy tylko je uzyskamy.

– Będziemy przygotowani, saab. Ale dlaczego teraz, saab?

– To ma być sygnał. Tym ludziom wydaje się, że mogą dumnie paradować w telewizji. Bas.

– A kto będzie nadawcą tego komunikatu?

– Na razie ma być anonimowy. Ale zobaczymy, jak przebiegnie operacja. Może uda nam się wysłać ją z twojego adresu.

– Oczywiście, saab.

– Do widzenia, Ganeśu.

– Salam, saab.

Ten mój pan Kumar zawsze mówił skrótowo i na temat. Tyle słów, ile trzeba, ani jednego więcej. On nie był moim przyjacielem, pomimo miesięcy spędzonych na rozmowach. Ale ten dzisiejszy rozkaz świadczył o zaufaniu. W porównaniu do tego wszystkie moje dotychczasowe osiągnięcia były niewielkie, i odczuwałem zadowolenie. I to nie tylko dlatego, że skoro przydzielano mi bardziej poufne zadania, to mogłem w zamian prosić o więcej, lecz także dlatego, że czułem się autentycznie wciągnięty w tę wojnę. Teraz moja walka przeniosła się na wyższy poziom. Przed laty ludzie Ćhoty Madhawa sprzątnęli nepalskiego polityka, głównego poplecznika Pakistanu w Nepalu, ale to się działo na prowincji, w Kathmandu. Ja miałem wykonać swoje zadanie w centrum Europy, w eleganckim wilajati Londynie. Nie zawiodę, dokonam tego, pomimo ekip ochroniarzy i tego całego Scotland Yardu. Zabrałem się do przygotowania operacji pod względem logistycznym.

Wezwałem Ardżuna Reddy'ego, mojego komputerowca, a on rozesłał moje rozkazy zabezpieczoną pocztą elektroniczną. Jak co tydzień zapewnił mnie, że używamy najbardziej zaawansowanych technik szyfrowania, że co tydzień zmieniamy szyfr i że gdyby nawet CIA i cały amerykański rząd wydali miliard dolarów i zaangażowali całe swoje siły komputerowe do odczytania jednego z naszych e-maili, złamanie szyfru zajmie im dwieście lat. Ale ja wciąż nie miałem zaufania do poczty elektronicznej. Chociaż Reddy zapewniał mnie o niezniszczalnym zabezpieczeniu, wciąż wyobrażałem sobie, jak moje słowa, samotne i bezbronne, przepływają przez trzewia komputerów na tej planecie. Napisałem jednak do moich ludzi w Cannes: „London men fielding lagao. Do team bhedžo, Saćin or Sorawdona. Ready rehna, instructions bad me<sup>32</sup>”. Operacja miała się odbyć dopiero za cztery tygodnie, ale z doświadczenia wiedziałem, że lepiej wcześniej wszystko przygotować. Czasami bieg akcji przyspieszał, a poza

tym dobrze było, kiedy moi ludzie mieli czas na zapoznanie się z terenem działania, mogli przyzwyczać się do języka, do autobusów i sąsiadów, a ci sąsiedzi również się do nich przyzwyczajali.

Kiedy już to poważne zadanie zostało wykonane, Reddy przeszedł do kolejnego etapu mojej nauki obsługi komputera. Już radziłem sobie z Windowsem, wiedziałem z grubsza, jak otwiera się dokumenty i jak tworzyć nowe, jak poruszać się po arkuszach kalkulacyjnych i ich warstwach, ale wciąż jeszcze dosyć często się w tym gubiłem. Czasami nie mogłem znaleźć poszukiwanego dokumentu, zdarzało mi się też utknąć w jakimś oknie na ekranie i pomimo wszelkich starań nie potrafiłem z niego wyjść. Mój problem nie polegał tylko na nieznajomości angielskiego, ten cały świat na ekranie mi się mieszał, nie byłem w stanie rozróżnić, gdzie jest ziemia, a gdzie niebo. Reddy rysował mi na papierze wykresy, ale ja nie potrafiłem zorientować się w sytuacji, a to doprowadzało mnie do szaleństwa, zwłaszcza kiedy on biegał po klawiaturze swoimi dwudziestotrzyletnimi palcami i skakał po Internecie, a komputer i cały ten ogólnoswiatowy system robił dokładnie to, co on mu kazał. Kilka razy rzucałem w komputer różnymi przedmiotami, filiżankami i talerzami. W końcu jednak zawsze się uspokajałem i od nowa podejmowałem starania. Zdawałem sobie sprawę, że to małe urządzenie wszystkim teraz rządzi. Musiałem to zrozumieć. I musiałem wynajmować Reddy'ego, a jeśli zajdzie taka potrzeba, stu jemu podobnych.

Tego wieczoru kazałem Reddy'emu siedzieć cicho i tylko patrzeć, jak uruchamiam komputer, wpisuję hasło, łączę się z siecią i staram się otworzyć kilka stron w Internecie. Siedział nieruchomo, ale aż drżał z niecierpliwości, kiedy ja powolutku klikałem i mozolnie, jednym palcem, szukałem odpowiednich klawiszy na klawiaturze. Nie odrywając wzroku od

strony [www.myindianbeau-ties.com](http://www.myindianbeau-ties.com), na której każdego dnia umieszczano nowe zdjęcie aktorki lub modelki, powiedziałem:

– No, dobra, ćutija. Denerwuję się przy tobie. Zjeżdżaj.

– Przepraszam, bhai.

– Tylko zbytnio się nie oddalaj. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

– Oczywiście, bhai.

Wyszedł, powłócząc nogami. Był bardzo ambitny i starał się nakłonić mnie, żebyśmy, wraz z nim i jego bratem, zainwestowali w witrynę internetową. Dopiero miał mi pokazać, jak to niby chciał robić na tym pieniądze, skoro ja jeszcze nigdy ani rupii nie zapłaciłem za oglądanie indyjskich piękności w sieci. Ale on tylko ciągle mówił i co drugi dzień przychodził z nowymi pomysłami. Kiedy drzwi ponownie się zatrzasnęły, wychyliłem się i zamknąłem je na zamek. A potem udałem się na stronę Garu-dźi, na adres [www.eternalsacredwisdom.com](http://www.eternalsacredwisdom.com).

Garu-dźi jeździł po całym świecie, stale był w podróży. Jego ośrodki znajdowały się w stu czterdziestu dwóch krajach, a w kolejnych dwunastu właśnie takie zakładano. Ale gdziekolwiek był, cokolwiek robił, na jego stronie co trzy dni ukazywał się nowy prawnic. Publikowano go w ponad stu językach, wśród których były oczywiście marathi i hindi. Ale ostatnio słowa Garu-dźi czytałem po angielsku, na zakładce „Wykład”. Zajmowało mi to trochę czasu i wymagało sporego wysiłku, ale zawsze udawało mi się przebrnąć do końca. W drugim oknie miałem otwartą, dla porównania, wersję w języku marathi, ale przede wszystkim starałem się trzymać wersji angielskiej, i w ten sposób wchłaniałem nie tylko wiedzę, ale również język. Garu-dźi chwalił mnie za pracowitość i nawet w jednym ze swoich letnich wykładów na temat zarządzania czasem wspomniał o mojej osobie, oczywiście nie wymieniając mojego imienia. „Sukces odnosi człowiek,



który nie ustaje w nauce” – napisał. „Mam pewnego Irhakta, człowieka odnoszącego wielkie sukcesy, zarządzającego wielkimi pieniędzmi i cieszącego się powszechnym szacunkiem w różnych częściach świata. Ale pomimo swoich doczesnych dokonań nie jest zadufany w sobie. On zdaje sobie sprawę z tego, czego nie wie. Dawno temu pewien mędrzec powiedział, że zdać sobie sprawę ze swojej niewiedzy to początek wiedzy”. A potem opisał, jak to czytam jego wykłady w języku, którego jeszcze nie opanowałem.

Tematem dzisiejszej nauki był seks. Garu-dži nigdy nie unikał tematów kontrowersyjnych i nigdy nie cofał się przed mówieniem czegoś, co mogłoby kogoś urazić. Niczego się nie bał. Czytałem: „We wszystkich duchowych tradycjach celibat jest uznawany za ideał”. Musiałem sprawdzić słowo „celibat” w słowniku angielsko-marathi. „Ale dążenie do celibatu, kiedy człowiek nie jest nań gotowy, to błąd. Celibat przyjdzie do nas, kiedy będziemy na niego przygotowani. Celibat, jeśli sami go sobie narzucamy, sam w sobie jest formą zmysłowości. Walka z własnym ciałem staje się namiętnością. A pożądanie uzewnętrznia się, nie można go stłumić, nie można go powstrzymać ani zabić. Nawet wyobrażenia, jakie sobie stworzymy o celibacie, będą piękne jak kobiece biodro, hymny śpiewane na cześć celibatu będą jak pocałunek kochanka”.

Piętnaście minut zajęło mi przedarcie się przez tych sześć zdań, i to nie tylko ze względu na język angielski. Zatrzymywałem się, żeby się zastanowić, żeby wchłonąć tę wiedzę i zachwycić się nią. Mówił tak prosto, językiem tak bezpośrednim, pełnym mocy, a jednak jego słowa zapadały bardzo głęboko. Czułem je w głębi serca, czułem je pod żołądkiem. Jakże nieskończone zmagania prowadziliśmy z pożądaniem, pomyślałem. Jakże mocno ciągnęliśmy, a jak bardzo ono naciskało. Jakaż to udręka, i ileż w tej udręce rozkoszy.

A ponadto nawet dla mnie było dziwne, że ja – Ganeś Gaitonde – który kiedyś gardziłem choćby wzmianką o bogach i uważałem wszelkie rozważania o religijnej pociesze za oznakę słabości, obecnie stałem się zagorzałym wyznawcą guru. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Tak mianowicie, że zaczęliśmy z Garu-dźi rozmawiać. Po naszej pierwszej rozmowie, kiedy to zmusiłem go, żeby zadzwonił do mnie do więzienia, nie spodziewałem się, że jeszcze się do mnie odezwie. Przecież musiał chronić swój publiczny wizerunek, swoją bezgraniczną misję na świecie. Ale dziesięć dni po moim wyjściu z więzienia i wyjeździe z kraju zadzwonił do mnie. Poprosił swoich ludzi, żeby uzyskali od Bantiego mój numer, i nieoczekiwanie usłyszałem w słuchawce jego głos. To był sam Śridhar Śukla, mówiący tym swoim pewnym, spiżowym głosem z nieskazitelną intonacją. To był człowiek żarliwie poszukiwany przez miliony ludzi, a jednak poświęcał czas na rozmowę ze mną, na to, żeby zapytać, jak się czuję. Byłem sceptycznie nastawiony, czekałem tylko, kiedy mnie o coś poprosi, jak to robili wszyscy dzwoniący do mnie. Ale on nie miał do mnie żadnej sprawy, nie potrzebował ani pieniędzy, ani zemsty, chciał jedynie ze mną porozmawiać.

– Widzę, że chcesz ze mną pogadać – stwierdziłem. – A o czym dokładnie? Niewątpliwie zauważył szyderstwo w moim głosie, ale spokojnie odparł:

- O tym, co cię trapi.
- Zgoda. Mam do ciebie pytanie.
- Pytaj, proszę.
- Nie wierzę, że jesteś prawdziwym guru.

Roześmiał się.

– To nie jest pytanie. Ale dobrze. Nie musisz wierzyć w to, co o mnie mówią.

Potem zamilkł. Byłem wściekły, że nie dał się sprowokować. Chwilę czekałem, myśląc już, żeby rzucić słuchawką, ale w końcu się odezwałem, bo rzeczywiście mnie to ciekawiło.

– Nie możesz być prawdziwym guru, skoro żądasz, żebym robił dla ciebie takie rzeczy. – Oczywiście miałem na myśli te duże ilości broni, które ściągałem dla niego do kraju. – Ludzie głęboko duchowo rozwinięci mają pokojowe usposobienie. Są przeciwni przemocy.

– Kto ci to powiedział?

– Wszyscy o tym wiedzą.

– A zatem ty nie uważasz się za osobą szczególnie głęboko duchową? Zarumieniłem się i wyprostowałem.

– Mówimy o tobie.

– Już dobrze, Ganeśu, dobrze. Ale ciekawiło mnie, skąd przyszedł ci ten pomysł o rozwoju duchowym i o tym, co wszyscy nazywają pokojowym nastawieniem. Wszędzie teraz o tym słyhać, wszyscy to powtarzają, a nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego w to wierzy.

– To chyba oczywiste.

– Nie.

I znowu milczał. Sukinsyn.

– Posłuchaj – warknąłem. – Przestań się ze mną bawić, po prostu powiedz. Przecież zadałem pytanie, prawda? Powiedz mi więc, jak możesz być prawdziwym guru i robić to, co robisz?

– A czy ty wiesz, co ja robię?

– Trochę wiem. Znam swoją stronę twojej działalności i wiem, że wcale nie jest pokojowa.

– Tak, znasz jedną stronę. Wiesz tylko tyle, co sam widzisz. I mówiono ci, że aby być mahatmą, trzeba być nastawionym pokojowo, cokolwiek to

znaczy. Ale, Ganeśu, czy ty jesteś w stanie wyobrazić sobie szerszy kontekst?

– Przecież nie znam całego twojego planu.

– Ale spróbuj pomyśleć o kontekście, który jest jeszcze szerszy. Pomyśl o całym życiu. Czy uważasz, że nie ma w nim przemocy? Życie żywi się życiem, Ganeśu. A przemoc jest początkiem życia. Czy wiesz, skąd pochodzi nasza energia? Powiesz, że ze słońca. Wszystko jest zależne od słońca. Żyjemy dzięki słońcu. Ale słońce nie jest spokojnym miejscem. To miejsce jest zaprzeczeniem spokoju. To jedna wielka eksplozja, cały ciąg eksplozji. Gdyby zapanował pokój, słońce by umarło, a my wraz z nim.

– To coś zupełnie innego. To nie to samo, co zabić człowieka. Albo wielu ludzi.

– Wszyscy ludzie umierają.

– Ale nie muszą umierać dlatego, że twoje kule roztrzaskują im czaszki.

– Uważasz zatem, że gdybyśmy nie zabijali, to nastalby pokój?

Zdawałem sobie sprawę, że to nie jest prawda. Chciałem mu zaprzeczyć, ale wiedziałem, że niestosowanie przemocy nigdy nie przyniosło pokoju. Jeśli coś było w ogóle pewne, to właśnie to. Ten guru naprawdę potrafił człowieka zirytować, sukinsyn.

– To co innego – podjąłem. – My żyjemy w Kalijudze, jesteśmy skazani na walkę. Ale ty podobno jesteś człowiekiem świętym, więc powinieneś namawiać nas, żebyśmy walki zaniechali.

– Ale dlaczego, Ganeśu? Dlaczego? Jesteś człowiekiem bardzo inteligentnym, ale nawet ty dałeś się złapać w tę pułapkę. Nawet ty. Nie jest to jednak twoja wina, w dzisiejszych czasach na całym świecie słyhać tę propagandę. Przyjrzyj się jednak swojej własnej historii, Ganeśu. Czy w przeszłości święci ludzie nie walczyli? Czy nie nakłaniali wojowników do

walki? Czy duchowy rozwój oznacza, że nie wolno ci chwytać za broń, kiedy stajesz w obliczu zła?

Przypomniał mi w tym momencie o Parśuramie, tym wielkim mędrцу, który chwycił za topór, żeby oczyścić ziemię. I o samym Ramie, najdoskonalszym z mężów, który chwycił za łuk i walczył z wszystkimi przeciwnościami.

– A jakiej to rady udzielił Krysna Ardżunie na polu bitwy? – zapytał mnie ten dziwny guru. – Ardżuna chciał żyć w pokoju. Chciał wycofać się ze świata. Czy miał odejść? Czy Krysna miał mu na to pozwolić?

Musiałem się z nim zgodzić, tak, to jasne, że Krysna miał rację. Powiedziałem mu to, a wtedy Garu-dźi opowiedział mi o wielkim Sankaraćarjim i o jego wspaniałym zwycięstwie nad armią kapaliki Krakaći. A także o powstaniu sanjasinów, podczas którego sadhu i fakirzy walczyli z Kampanią Wschodnioindyjską.

– Musimy opierać się temu tak zwanemu pokojowi, który szkodzi duchowości i ją osłabia, Ganeśu – powiedział. – Musimy patrzeć na szerszy kontekst. Musimy wiedzieć, kiedy trzeba walczyć, żeby przynieść pokój. Musimy być silni w swojej wierze. Nasza cała historia, całe tysiące lat, daje nam tego przykłady. A jeśli ja jestem człowiekiem świętym, to ty, Ganeśu, również nim jesteś.

– Ja?

– Tak, ty.

Byłem zbyt oszołomiony i wyczerpany – sam nie wiedziałem, dlaczego, ale ta rozmowa mnie wymęczyła – żeby powiedzieć mu, że nie wierzę w żadną religię, w żadną duchowość. Rozłączyłem się i próbowałem zająć się pracą, ale przez cały dzień dręczyła mnie ta zagadka, miałbym być człowiekiem świętym, jak mahatma. Tej nocy śniłem o wielkich akharach, złożonych z sadhu sekty nagów, którzy przybyli do Naśiku podczas Kumbh

Meli, o ich nagich ciałach pokrytych popiołem, o zmatowiałych brunatnych dżatach, które spływały im na ramiona i na plecy, o ich trójzębach i mieczach. Śniłem o wielkim krzyku, który się podniósł, kiedy zastępy nagich sadhu ruszyły do świętej wody, aby zażyć swojej kąpieli, i widziałem ten dziki błysk w oczach biegnących sadhu. Wśród tych wielkich i dobrych sadhu dostrzegłem małego człowieczka, nastawionego pokojowo, i poczułem do niego głęboką pogardę. W tym momencie obudziłem się, a moje serce biło jak oszalałe. Odwróciłem myśli od Naśiku, ale przez całą noc dręczyło mnie pytanie: co to znaczy, być świętym? Kto jest człowiekiem prawym?

Kiedy Garu-dźi po raz kolejny do mnie zadzwonił, rozmawialiśmy o Bogu. Wyznałem mu, że nie wierzę w takie rzeczy i że taka wiara nie jest mi potrzebna. Że religia jest narzędziem, za którego pomocą politycy batożą swoich wyborców i zaganiają ich stadami do rzeźni. Że wiara jest potrzebna ludziom, którzy nie wierzą w siebie. Nie sprzeciwiał się. W milczeniu wysłuchał moich słów, po czym odrzekł:

– Przedstawiasz rozsądne argumenty. Nie można odmówić logiki twojemu rozumowaniu.

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem. Spodziewałem się, że będzie się ze mną spierał, kłócił, ostro argumentował, a może nawet przeklnie mnie jako człowieka upadłego. Ale on niczego takiego nie zrobił. Wysłuchał mnie w spokoju i oddał mi szacunek A potem zapytał jeszcze:

– Ale powiedz, Ganeśu, co z całą symetrią w świecie?

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówi, ale zaraz mi wytłumaczył. Pokazał mi, że jeśli jest ogień, to musi być woda, jeśli drapieżnik, to i zdobycz, a każdej miłości odpowiada nienawiść. Mówił o elektronach i ich ładunkach, o dziwnym przyciąganiu i odpychaniu. Część jego słów docierała do mnie jedynie w postaci donośnego hymnu, ale i tak

natychmiast zrozumiałem dogłębnie, o czym on mówi. Tak, na każdego Ganeśa Gaitondeggo przypadał jakiś Sulejman Isa. Na każde zwycięstwo przegrana.

– Tak – odrzekłem – rozumiem. Wszystko istnieje w parach albo jako wielokrotność pary. Wszystko ściera się, rozchodzi i po zatoczeniu koła powraca.

– Tak, oczywiście, Ganeśu – jego głos rozbrzmiewał radością. – Widzisz, już zrozumiałeś. Nawet nie muszę ci tego wyjaśniać. Sam do tego doszedłeś. Właśnie wkroczyłeś na odpowiednią ścieżkę.

– Na ścieżkę prowadzącą do tego twojego Boga? Nie, nie wydaje mi się.

– Nie możesz sądzić, że ja staram się nakłaniać do wiary w Wisznu czy też innego stwórcę. Ganeśu, chyba zdajesz sobie sprawę, że nie jestem tak ograniczony. Posłuchaj mnie: postaraj się skorzystać z tych symetrii i wznieść się wyżej. Czyż nie dostrzegasz pewnych wzorców na tym świecie, w całym wszechświecie? Niosące cię fale, tu, pod twoją łodzią, mogą zdawać się chaotyczne, ale czy tak rzeczywiście jest? Nie, tak jest tylko w jakimś podrzędnym sensie. Istnieje pewien porządek, który czasami nam się ukazuje, a czasami tracimy go z oczu. Ale on istnieje. Poza sprawami lokalnymi i bieżącymi istnieje wielki porządek. Ganeśu, wyjdź na brzeg i spójrz na łąkę. Przyjrzyj się, jak słońce karmi tę trawę, a ziemia daje jej warunki do życia. Zobacz, jak z kolei trawa daje schronienie innym istotom i jak je karmi. Czy widzisz, jak wszystko do siebie pasuje? I kiedy to wszystko weźmiesz pod uwagę, czy dostrzegasz piękno, Ganeśu?

Muszę przyznać, że w tym momencie głowa mi już pękała. Chwilami zdawało mi się, że końcówkami palców chwytam uciekający kraniec znaczenia, ale z każdym oddechem wymykało mi się to. On o tym wiedział. Powiedział, żebym się nie przejmował, tylko przez następny tydzień dokładnie wszystko obserwował.

– Traktuj wszystko normalnie. Ale jednocześnie staraj się patrzeć dalej, poza to wszystko. A w następnym tygodniu powiesz mi, co ujrzałeś, czy tylko przypadkowość, czy też jakiś kształt. Chaos czy porządek.

Nie minęło pięć minut od zakończenia tej rozmowy, a ja już śmiałem się z siebie. Pomyślałem sobie: ty mięczaku, słuchasz paplaniny jakiegoś starca. Ale on coś we mnie zasiał. Wbrew samemu sobie zacząłem poszukiwać jakichś związków i zwierciadlanych odbić. I znalazłem je. Rozmyślałem o tym, jak mężczyźni i kobiety potrzebują siebie nawzajem i jak ludzkość nieustannie kroczy przed siebie, pomimo wszystkich sporów i bolesnych doświadczeń. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli spojrzeć się na to z boku, mogło się to zdawać nawet banalne. Zaprowadziło mnie jednak do zapłodnienia i narodzin, do maleńkiego jak łąpek szpilki robaka przedzierającego się w kierunku ogromnego jaja, i do mieszanki przemyconych przez nie poleceń, a wszystko, aby stworzyć nową istotę, która pewnego dnia stanie się całością i sama będzie zdolna wytwarzać swoich wysłanników. Takie to pospolite, ale jednocześnie tak złożone i zdumiewające. Poczułem się nieswojo, dziwił mnie zachwyty, który sączył się do mojej głowy, i to, że umiem dostrzec te prozaiczne powierzchnie skrywające całe skomplikowane wszechświaty. Ale nic nie mówiłem i dalej obserwowałem, tak jak on mi radził. Pod koniec tego tygodnia mój umysł przeszedł od pojedynczych elementów do ciągów. Oglądałem w telewizji program o dinozaurach, o tym, jak wyginęły, o rozwoju ssaków (tymczasem chłopcy marudzili i prosili mnie o drugi telewizor, żeby mogli powrócić do swoich roztańczonych artystek), patrzyłem na archaiczne, owłosione małpy, które dokonywały pierwszych zabójstw na afrykańskich równinach. Tak przebiegał łuk życia na tej planecie, aż do istot ludzkich i do mnie samego. Ta krzywa miała swój kierunek i prędkość, biegła w górę i wciąż się wznosiła, do księżyca, i dalej, do gwiazd. Ale było też moje życie. Czy



miało jakiś kształt? Czy jeśli zachowam do niego odpowiedni dystans, to dostrzegę w jego postępie jakieś piękno? Rozmyślałem o tym i martwiłem się tym. Czy to możliwe, że przypadkowo miały mną napływające fale wydarzeń? Że jeden dzień następował po drugim tylko dlatego, że musiał, bez żadnej przyczyny? Nie umiałem się z tym pogodzić. Ten wzburzony zamęt chaosu przyprawiał mnie o ból. Żołądek skręcał mi się i prężył, głowa mnie bolała i znowu odezwały się hemoroidy, od których trząsałem się i niemal traciłem przytomność w toalecie. Ciało broniło się przed konstatacją, że moje życie nic nie znaczy. Ale nie, moje życie miało swój kształt. Zaczynałem jako człowiek biedny i samotny, walczyłem, zwyciężyłem, piąłem się w górę, znalazłem własny dom i wiele osób, które mnie pokochały. Przecież nawet teraz się uczyłem, czyniłem postępy, pełniłem misję na rzecz mojego kraju, miałem nauczyciela, dokądś zmierzałem. Miałem jakąś historię.

Właśnie to powiedziałem Garu-dzi podczas następnej rozmowy, a on mnie pochwalił.

– Instynkt cię nie zawodzi, Ganeśu. Atman zna naturę wszechświata, pojmuje jego misterne powiązania, od najmniejszych po największe. Atman o tym wie, bo sam jest wszechświatem. Ale to umysł staje na przeszkodzie. Ta niekompletna konstrukcja, którą nazywamy naukową logiką, przesłania nam obraz i, paradoksalnie, powoduje, że trwamy w nieświadomości. W przeciwnym razie jakże mógłbyś dostrzegać tę ogromną sieć powiązań i nie wierzyć, że za tym wszystkim kryje się autor?

– Masz na myśli Boga, Garu-dzi?

– Mam na myśli świadomość.

Zaczęliśmy od tego miejsca, i on poprowadził mnie dalej w tej wędrówce do wiedzy. Chociaż nie, tak naprawdę dźwignął mnie i zaniósł na górę mądrości. Z łatwością niósł mój ciężar, a kiedy się wspinaliśmy, ukazywał

mi te jeszcze nienarodzone prawdy, te odwieczne fakty. Objawił mi cykle historii, a poza nimi rytmy ewolucji, narodzin gwiazd i ich opadania w kierunku nieuniknionego rozpadu, wszechświata rozszerzającego się i zmierzającego do punktu, w którym ponownie wybuchnie.

A później, kiedy od naszej pierwszej rozmowy minęły już miesiące, ukazał moc, którą dało mu zgłębienie tej wiedzy. Przepowiedział moją przyszłość. Czytałem na jego witrynie świadectwa setek ludzi, którzy pisali, że on to potrafi i że dla nich to zrobił. Przeczytałem kilka z tych stron, nie mogąc nadziwić się, jak rozpaczliwie ludzie potrzebują otuchy i pociechy. Te świadectwa były bardzo szczegółowe, zawierały imiona osób i okoliczności: oto pewien lekarz z Siliguri pisał, jak jego córka cierpiała na leukodermę i nie mogła znaleźć męża, a Garu-dzi powiedział mu, żeby się nie martwił, że rozwiązanie tego problemu pojawi się w ostatnim kwartale roku, i faktycznie, jeszcze tej zimy do pracy nad projektem rolniczym przyjechał niemiecki inżynier, na którym ogromne wrażenie zrobiły wdzięk i czysta uroda dziewczyny, i zabrał ją do Dusseldorfu, gdzie żyją szczęśliwie. Na ekranie pojawiały się kolejne tego typu opowieści, które nie ograniczały się jedynie do przypadków przepowiadania szczęścia. Garu-dzi nie ukrywał prawdy o ciężkich czasach, mówił o wypadkach spowodowanych przez wodę, o rozwodach i zmiennym szczęściu w interesach. Doszedłem do wniosku, że to wszystko tylko obsesje małych ludzi, którym brakuje środków – duchowych lub materialnych – aby zmagać się z życiem i zwyciężać. Ale pewnego dnia Garu-dzi powiedział mi:

– Uważaj na Tajów.

– Co?

– Widzę, że za kilka dni zamierzasz ubić jakiś interes z pewnymi gośćmi z Tajlandii. Zachowaj ostrożność, nie ufaj im. Oni chcą ci zaszkodzić.

Rzeczywiście, niedługo mieliśmy zawrzeć transakcję z pewnymi ludźmi z prowincji Krabi, przywieźliśmy dla nich cztery miliony tabletek metamfetaminy, ale tego Garu-dzi mógł się po prostu domyślić – przez cały czas robiliśmy jakieś interesy z jakąś grupą Tajów, nie wymagało to specjalnej wnikliwości. Nie potraktowałem więc jego słów zbyt poważnie, niemniej jednak grzecznie mu podziękowałem i zapomniałem o tym. Dopiero rano w dniu transakcji, dręczony nieprzyjemnym wspomnieniem przepowiedni Garu-dzi, obudziłem się i wezwawszy moich ludzi – którzy już wyruszyli w drogę – powiedziałem im, żeby zachowali ostrożność i żeby jeden z nich został w odwodzie. I okazało się, że ci tajlandzcy idioci spróbowali wykręcić nam najbardziej oklepany numer, którego nikt z nas już od lat nie widział. Ściągnęli dodatkowych ludzi i ukryli ich w domku nad plażą, sądząc, że to wystarczy, żeby pokonać naszą ekipę. Oczywiście sprawiliśmy im łąźnię, nasz stojący na czatach człowiek załatwił ten ich oddział wsparcia, kiedy na dany znak wyskoczyli z domku, i było po wszystkim.

Po tym wydarzeniu kwestia przepowiedni Garu-dzi zawisała nad moją głową jak bomba, która, opadając, nagle zatrzymała się w powietrzu. Bałem się ją zaakceptować, pozwolić jej opaść, aby nie eksplodowała w moim mózgu. Nie miałem zastrzeżeń do tych całych długich cykli tworzenia i niszczenia, ale – maderćod! – jak człowiek może zaglądać w przyszłość? To przecież niemożliwe. Czas biegnie w jednym kierunku, od tego, co było, do tego, co będzie, i fizycznie nie sposób wcisnąć się w to, co dopiero ma nadejść. Garu-dzi cierpliwie mnie wysłuchał, a potem rzekł:

– Sądysz zatem, że wiesz, czym jest czas?

– Co tu trzeba wiedzieć, Garu-dzi? Czas to czas. Biegnie stąd dotąd, a my w nim żyjemy. Droga jest oznaczona i nie można na niej zawracać.

– Ale czy ty wiesz, Ganeśu, że naukowcy odkryli cząsteczki, które cofają się w czasie? I czy wiesz, że czas nie jest stały i niezmienny, że się wykrzywia, rozciąga i kurczy? Że jeśli nad twoją głową przelatuje z ogromną prędkością odrzutowiec, jego pilot starzeje się nieco wolniej niż ty? Dla niego czas płynie wolniej niż dla ciebie.

– Nie, to niemożliwe.

– A jednak tak jest. Nawet naukowcy wiedzą o tym już od ponad stu lat. Przyznali, że narodzona miliardy lat temu podczas Wielkiego Wybuchu i przemieszczająca się cząsteczka światła nie zestarzała się od tego czasu ani o sekundę. Ganeśu, gdybyś potrafił poruszać się z prędkością światła, byłbyś wiecznie młody.

Nie rozumiałem z tego ani słowa. Nic nie rozumiałem z artykułów, które przysyłał mi e–mailem, ani z kaset wideo, które kazał mi oglądać, a od tego jego Einsteina, teorii względności, czarnych dziur i zakrzywiającego się wszechświata czułem się oślepiiony jak dziecko patrzące w słońce. Zdołał jednak przekonać mnie, że świat, który w swoim mniemaniu znałem, jest tylko płytkim złudzeniem; że to, jak rzeczy wyglądają i są odczuwane, jest jedynie snem, nie błąhym, ale również niewiele znaczącym. Przekonał mnie również, że pewni ludzie, niektórzy mężczyźni i niektóre kobiety, a nawet niektóre dzieci, potrafią patrzeć przez spiralę czasu.

– To wrodzona zdolność – powiedział. – Horoskopy, wróżenie z ręki, to wszystko są rekwizyty, które umożliwiają tę zdolność, pozwalają jej funkcjonować i przysparzającej energii. Jeśli dysponujesz taką zdolnością, ćwiczysz ją, rozwijasz, władasz nią i jej używasz, przydasz jej gibkości i siły, będziesz mógł odczytać narrację wszechświata i czasami uda ci się zobaczyć, dokąd zmierza historia, dostrzeżesz przyszłe wydarzenia, ponieważ przyszłość istnieje już teraz. Kiedy staniesz się prawdziwym mistrzem, nic przed tobą się nie ukryje. Ja dysponuję skromnym darem.

Jeśli jednak nie chcesz słuchać dźjotiszi, jeśli uważasz, że znajdujesz się w szponach nikczemnego oszusta, to pomyśl o mnie jak o przyjacielu, który w jak najlepszych intencjach od czasu do czasu udziela porad. Nie traktuj mnie zbyt poważnie. Niekiedy się mylę, źle interpretuję porozrzucane obrazy oraz swoje przeczucia. Próbuje to, Ganeśu, wykorzystać. Być może te informacje ci się przydadzą. Nie ufaj im bezgranicznie, traktuj te informacje tak, jak wszelkie inne, które sam zbierasz.

To właśnie powiedział. A potem zebrał fragmenty przyszłości i rzucił mi je pod nogi. Nie robił tego codziennie i nie zawsze informacje miały tak wielką wagę, nie zawsze miały ratować mi życie. Powiedział, że opóźniona dostawa z Rotterdamu nadejdzie w określonym dniu, i rzeczywiście tak się stało. Albo powiedział, że jeden z moich ludzi pod koniec lipca będzie miał kłopoty ze zdrowiem, i oczywiście jeden brudas wyhodował między palcami stóp jakąś straszną grzybicę, przez którą w końcu nie mógł chodzić. Garu-dźi popełniał również błędy, jego słowa dwa razy się nie sprawdziły. Ale sprawdziły się pięćdziesiąt dwa razy. Naprawdę, liczyłem, robiłem notatki w dzienniku. Te wyniki przekonały mnie, że to, co on robi, jest prawdą, że on nie kłamie. Miał talent. Możesz w to wierzyć lub nie, jak wolisz, ale opierałem się tak długo, jak tylko zdołałem. W końcu jednak uwierzyłem.

Zadzwoił telefon od Garu-dźi. Wytarłem dłonie w spodnie i odebrałem. Wpisałem osiemnastocyfrowy kod szyfru i usłyszałem głos Garu-dźi.

- Ganeśu, pisząc dzisiejszy prawaćan, myślałem o tobie.
- Pranaam, Garu-dźi. Właśnie to czytałem.
- Wiem.

Czasami tak się zachowywał. Wiedział, co robisz, o czym właśnie myślisz, czego pragniesz, choćbyś nawet przed samym sobą obawiał się do tego przyznać. Kiedyś, w dawnych czasach, często ogarniał mnie

sceptycyzm, ale to całe moje niewzruszone niedowierzenie zostało roztrzaskane gromem jego przenikliwości i zniknęło. Wiedział o tobie więcej niż ty sam, potrafił zajrzeć w twoje życie, znał twoją przyszłość i przeszłość i nigdy nie osądzał. To właśnie było w nim najbardziej zdumiewające, że choć osiągnął najwyższy poziom sattwy, potrzeby życiowe miał skromniejsze niż sam Budda, ale nigdy nie spoglądał z góry na tych, którzy nadal miotali się w sieci pożądania. Zapytałem go kiedyś, czy nie denerwują go moje dhandy, te wszystkie różne interesy, dzięki którym zarabiam na życie. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego nie próbuje nakłonić mnie do porzucenia tej działalności, określanej przez świat jako kryminalna. Powiedział mi wtedy, że tygrys jest wspaniały, kiedy jest tygrysem, a tygrys, który próbuje stać się roślinożerną owcą, to tylko żałosna miernota. W Kalijudze nie ma prostych czynów, powiedział, i nie ma też wyraźnej ścieżki do zbawienia.

– A więc, Garu–dźi – powiedziałem, uśmiechając się lekko – myślałeś o mnie. Co sądzisz? Czy jestem gotów na celibat?

Roześmiał się swoim cudownym szmerem, swobodnym jak gaworzenie dziecka na rękach matki.

– Beta, ty jesteś wojownikiem. Jesteś moim Ardżuną. W swojej wędrówce potrzebujesz nie tylko swojej Draupadi, ale także innych darów ziemi. Poskramianie twojej natury byłoby zbrodnią, a ponadto odebrałoby ci zdolność do pracy, którą masz wykonać.

Mówił mi to już wcześniej, ale lubiłem go słuchać. W brzmieniu jego głosu było coś wspaniałego i kojącego, co sadowiło się w moich piersiach i dodawało otuchy. Słuchając go, uspokajałem się, i czasami specjalnie zadawałem mu pytania, żeby posłuchać jego głosu. Ale dziś miałem prawdziwe pytanie.

– Garu–dzi, czy przeglądałeś papiery? – Miałem na myśli diagramy sześciostopowej Dżamili i jej biodane, które przesłałem mu faksem do Danii. Oczywiście, jemu nie przeszkadzało, że jest muzułmanką, ale chciał przyjrzeć się jej gwiazdom i jej przyszłości.

Wyczułem, że się uśmiecha.

– Jesteś niecierpliwy, Ganeśu.

– Nie, nie, Garu–dzi. Przecież wiem, jak jesteś zajęty. Nie ma się co spieszyć.

– Ganeśu, ja rozumiem. Minęło już tyle czasu. Zbyt wiele.

Minęło już tyle czasu, od kiedy ostatnio miałem kobietę. Oczywiście, sam nie korzystałem z tych pospolitych dziewczyn, które sprowadzałem dla moich ludzi. Dla mnie Dźodźo przysyłała tylko specjalne okazy, a wszystkie akceptował Garu–dzi. Ale nie byłem tak słaby, żebym miał się przez niego niecierpliwić.

– Garu–dzi, nie o to chodzi. Po prostu ta wydaje się bardziej interesująca, to wszystko.

– Zgadzam się z tobą, Ganeśu. Rzeczywiście, jej gwiazdy, znaki i linie są bardzo interesujące. Ta kobieta zajdzie daleko. Jest inteligentna, ale co ważniejsze, ma szczęście. Zawsze, kiedy tylko czegoś potrzebuje, w jej życiu pojawia się ktoś, kto może jej to zapewnić. Z jej drogi usuwane będą wszystkie przeszkody.

– Ale czy ona może mi przynieść szczęście?

– Tego jeszcze nie jestem pewien. Przyglądałem się horoskopom i ogólnie rzecz biorąc, pasują do siebie. Ale jeszcze nie potrafię uzyskać z nich pełnego obrazu. Coś czeka, aby móc się wydarzyć.

– Bez pośpiechu, Garu–dzi – odparłem. – Nie kłopotz się tym.

W kolejce do niego stali premierzy i dyrektorzy naczelni wielkich przedsiębiorstw, ale on poświęcał czas mnie. Myślał o mnie, przejmował się

moją osobą, Czasami, tak jak w tym właśnie momencie, zdając sobie z tego sprawę, czułem, jak chwyta mnie coś za gardło. Dosłyszał to wzruszenie w moim głosie.

– Co tam u ciebie nowego? – zapytał cicho. Miał na myśli stale toczący się dramat moich ludzi i ich losów. Lubił słuchać o moich chłopakach, o ich rozrywkach i namiętnościach, o problemach ich matek i sióstr, a nawet o sprawie sądowej, którą wniósł jeden z wujów przeciw swojemu bratu. Choć był skończonym mistrzem, interesowało go to wszystko, ta pospolita normalność ich problemów. Zawsze opowiadałem mu ich historie, a on słuchał z wyraźnym zadowoleniem, rzucając komentarze i sugestie.

– Garu–dzi, dziś mam ciekawy odcinek serialu. Mój ślamazarny gadhaw Arwind stwierdził, że się zakochał w jednej randi. Chce się żenić.

– Naprawdę? A co ty o tym myślisz?

– Sprawdziłem horoskopy. Nie widzę specjalnych przeszkód.

– Podaj mi dane.

Odczytałem mu daty, godziny i miejsca, a nim skończyłem, on zdążył już dogłębnie przeanalizować sprawę.

– Ta dziewczyna jest bardzo dynamiczna – stwierdził. – Arwind dysponuje siłą i inteligencją, ale jest dosyć bierny. Osobowość o bardzo głębokiej naturze tamasu. Ta dziewczyna porusza nim, pobudza go. Masz rację, nie widać tu specjalnych problemów. Ale urodzą się im tylko córki. A on będzie miał kłopoty z wątrobą. Pod innymi względami horoskopy pasują do siebie. Niech się pobierają, Ganeśu. Inni chłopcy mogą się z tego naśmiewać, ale my, jako przywódcy, musimy patrzeć w przyszłość. Ta dziewczyna spłaciła swoje długi z poprzednich narodzin i nadszedł już czas, aby podniosła się z tego upokorzenia i sprzedawania się. Cała egzystencja jest wielkim ruchem do przodu, zmierzającym od dołu w górę, naszym



zadaniem jest wspomaganie tej ewolucji. Małżeństwo jest pomyślnym wydarzeniem, a to stało się dobre.

Po jego słowach stało się to zupełnie oczywiste i absolutnie prawdziwe.

I właśnie w ten sposób podszedłem do moich ludzi. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy już pożegnałem się z Garu-dzi, wezwałem Arwinda i Suhasini i udzieliłem im zgody i lekcji. Powiedziałem, że wyruszają w wielką podróż, że muszą być podwójnie silni i ostrożni, ponieważ będą się za nimi ciągnąć plotki. Zwłaszcza jej starałem się uświadomić obowiązki wobec męża, który zrobił dla niej coś tak dobrego i wielkiego. Suhasini rzeczywiście miała szczupłą sylwetkę Sonali Bendre i takie same długie nogi, ale rysy miała cięższe, ciemniejsze. Słuchała ze spuszczonego wzrokiem, ale dostrzegałem w niej to, o czym mówił Garu-dzi, tę jakąś wielką energię. Tu rzeczywiście dynamika była bez zarzutu.

Wszystko zatem zostało zaaranżowane. Nie minął tydzień, a oni już się pobrali. Oczywiście, zadzwoniłem przed tym ślubem do Dźodzo i powiedziałem jej, co postanowiłem, na co ona odrzekła:

– Gaitonde, przynajmniej raz w życiu robisz coś naprawdę dobrego.

Ona również udzieliła młodej parze swojego błogosławieństwa i wysłała im prezent, każdemu z nich po pierścionku z brylantem, okazałych rozmiarów kamieniem osadzonym w białym złocie. Zorganizowaliśmy salę i ściągnęliśmy z Bangkoku pandita. Przed ceremonią zrobiłem swoim ludziom porządną wykład, polecając im uszanować powagę sytuacji, ale zauważyłem, że oni sami uspokoili się, śpiewając kolejne śloki. Arwind i Suhasini byli tak bardzo poważni, kiedy wiązali się ze sobą, że nawet pijany Rameś się uciszył. Wszyscy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami w małym kręgu i patrzyli. Tymczasem ja wpadłem w melancholijny nastrój. Płomienie szumiały, a ja się w nich zanurzyłem, zatopiłem się we wspomnieniach. W piersiach czułem ból tęsknoty za Abhim, i znowu

wspominałem, jak tłukł mnie po policzkach swoimi malutkimi piąstkami, i jak mnie całował, kiedy go o to prosiłem.

Ten nastrój nie opuszczał mnie nawet po wysłaniu szczęśliwej pary w tygodniową podróż poślubną, do domku w Koh Samui. Tego wieczoru medytowałem, zataczałem oddechem kręgi w moim brzuchu, ale i tak nie potrafiłem opędzić się od tego kłującego mnie zębami rekina żalu, który płynął tuż za mną, skubiąc mnie w pięty. Włączyłem telewizor i znalazłem indyjski program. Blond prezenterka muzyczna mówiła w języku hindi z akcentem i zapowiadała skoczną muzykę. Wyłączyłem ją. Leżałem z otwartymi oczami, rozmyślając, że chociaż moi chłopcy są mi bliscy, ja jestem samotny. Byli oddaleni zaledwie o metr czy dwa, oddzielały nas tylko kawałki metalu i drewna, a ja byłem samotny. Przy swoich ludziach zawsze musiałem być silny, musiałem być dla nich jak ojciec, chłodny, mocny i czasami gniewny. Wszyscy ci, którym mógłbym opowiedzieć o swoim niezadowoleniu i tęsknocie, znajdowali się daleko. Zbliżałem się do nich jedynie w słowach, dzięki przekazowi telefonicznemu i elektryczności. Byłem daleko od Garu-dzi i Dżodzo.

I wtedy zadzwonił. Mój Garu-dzi zadzwonił do mnie. Wyskoczyłem z łóżka i odebrałem po drugim sygnale.

– Garu-dzi?

– Spotkaj się ze mną – powiedział.

– Proszę?

– Beto, byłeś bardzo dobrym uczniem. Medytowałem nad tym i doszedłem do wniosku, że jesteś gotów przyjąć większą wiedzę. Ale żeby dalej wieść cię tą ścieżką, w kierunku tajemnic Paramatmy, muszę cię wprowadzić. W przyszłym tygodniu wybieram się do Bombaju, na Ganeśa Caturthi. Spędzę tam dwa tygodnie. Poprowadzę bardzo dużą jadźnię,

bardzo ważną. Szczerze mówiąc, będzie to moje najważniejsza jadźnia w życiu. Ale później jadę na tydzień do Singapuru. Spotkajmy się tam.

Pierwszą rozmowę odbyliśmy wiele miesięcy temu, a nigdy się z nim nie spotkałem. Rozmawiałem z nim, być może częściej niż inni uczniowie, i oglądałem go w telewizji, ale nigdy nie usiadłem z nim twarzą w twarz. Teraz on mnie zapraszał, a ja byłem wściekły. Nie na niego, ale na to moje życie, na siebie samego. Jeśli on odprawiał w Bombaju najważniejszą w życiu jadźnię, podczas festiwalu Ganapati, dlaczego tam nie miałbym z nim się spotkać? Dlaczego w Singapurze, w tym piekle czystości, które nużyło mnie bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi? Bombaj był tą ziemią, za którą tęskniłem, czyhały tam na mnie niebezpieczeństwa, ale był również moją Kurukzetą. A on był moim Garu-dzi.

– Ganeśu – cicho powiedział Garu-dzi. – Czy będziesz mógł przyjechać?

I w tym właśnie momencie zrozumiałem, dotarło to do mnie, jak kula uderzająca w brzuch. Poczułem, jak prawda wnika we mnie i wznosi się do moich ust w postaci śmiechu. On mnie wypróbował. To była moja ostatnia próba. Roześmiałem się i odparłem:

– Oczywiście, Garu-dzi. Zobaczymy się, przygotuję wszystko. W Singapurze.

– W Singapurze – potwierdził. – Będę na ciebie czekał.

– Pranaam, Garu-dzi.

Rozłączyłem się, wyciągnąłem Arwinda z poślubnego łóżka i zacząłem snuć plany. O tym, gdzie się wybieram, wiedział tylko Arwind oraz znajdujący się w Bombaju Banti. Pozostali sądzili, że jadę w nadzwyczajną podróż do Dżakarty. A Garu-dzi myślał, że zamierzam spotkać się z nim w Singapurze. Ale ja już podjąłem decyzję. Jechałem do Bombaju, żeby uczestniczyć w jego jadźni. Wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Byłem pewien, że pan Kumar, ten mój

przebiegły pan Kumar, polecił swoim ludziom, żeby mnie obserwowali. Miałem zakaz wjazdu do Indii. Dla organizacji pana Kumara stałem się bardzo cenny, a w kraju czyhało na mnie wielkie niebezpieczeństwo, między innymi ze strony Sulejmana Isy. W ten sposób narażałem na ryzyko również pana Kumara i jego ludzi – gdybym został zaaresztowany w Indiach, być może ugiąłem się, przyciśnięty przez policję, i opowiedział wszystkim o tym, co robię dla pana Kumara. Zdawałem sobie sprawę z tych tysiącramiennych zagrożeń i snułem plany z zachowaniem daleko idącej ostrożności. Nieustannie przepełniał mnie podziw dla Garu–dźi, który chciał się ze mną spotkać. Mogłem stracić tylko życie. On stawiał na szali swoje wielkie dzieło, pozycję w świecie, powiązania z wielkimi i małczkami. Gdyby mnie złapano, gdyby ujawniono łączące nas stosunki, straciłby swoje dobre imię, swój niesplamiony honor. Byłem gangsterem, a on świętym. A jednak ryzykował dla mnie wszystkim, dla mojego nędznego życia pełzającego robaka. Dlaczego? Zastanawiałem się i widziałem tylko jedną odpowiedź – on mnie kochał. I właśnie dlatego, chociaż Arwind i Banti marudzili o ryzyku, o policji, moich wrogach, przedstawicielach urzędu imigracyjnego i o pociskach, ja byłem beztroski. Czułem pewność siebie, byłem nieustraszony w miękkiej kołysce miłości Garu–dźi. Trzy dni później poleciałem do Bombaju, lotem Lufthansy z Frankfurtu, ze świeżo ogoloną głową, z twarzą pokrytą kilkudniowym zarostem, w okularach w stalowych oprawkach, z nowym paszportem i walizką wypchaną dziecięcymi ubrankami dla nieistniejącej siostrzenicy. Miałem ze sobą dokumenty handlowe i faktury, a moje przebranie było tak idealne, że bez pytania czy chwili wahania wbito mi pieczętkę, przepuszczając mnie przez kontrolę paszportową, i nieoczekiwanie, zanim jeszcze zdążyłem uwierzyć, że wróciłem do Bombaju, znalazłem się na dusznym chodniku. Ponad tłumem osób czekających na swoich krewnych uniosłem dłoń w stronę

Bantiego, który dopiero wtedy mnie rozpoznał, robiąc wielkie oczy. Kiedy już wyjechaliśmy z parkingu i pomknęliśmy obok lotniskowych hoteli, w końcu się do siebie odezwaliśmy.

– To szaleństwo – rzekł Banti. – Dzisiejszej nocy jest nakabandi. Kiedy tu jechałem, dwa razy przyglądano mi się z bardzo bliska.

Wyciągnąłem rękę w jego stronę i położyłem mu ją na ramieniu.

– Przynajmniej byś się przywitał.

Wydał z siebie jakiś dźwięk, który przypominał śmiech, ale bardzo nerwowy, i chwycił moją rękę.

– Przepraszam, bhai. Trudno mi uwierzyć, że wróciłeś, i do tego w ten sposób.

– A jak miałbym wrócić, ćutijo? Na latającym dywanie?

Pokręcił głową.

– To byłoby zbyt proste.

Bał się, że jest sam, bez swoich ochroniarzy. Poleciałem mu, żeby przyjechał po mnie sam, i to bez broni.

– Najlepsze są proste rozwiązania. Z jakiej okazji jest to nakabandi?

– W ostatnich dwóch dniach doszło do dwóch dużych włamań do sklepów. Słyszałem, że mają pewne informacje o złodziejach, to byli pracownicy. Nic poważnego, bhai.

Nie miało to zatem żadnego związku z nami. Ale na niektórych skrzyżowaniach zauważyłem policjantów zgromadzonych w pobliżu metalowych barierek. Zanim dotarliśmy do autostrady, musieliśmy przejść przez dwie kontrole. Zaglądali do zwalniających samochodów, a przy drugiej blokadzie jeden z policjantów poświecił mi latarką prosto w twarz. Skinieniem ręki kazał nam jechać dalej. Usłyszałem, jak Banti ze świstem wypuszcza powietrze.

– Uspokój się, Banti. Nie rozpoznają mnie, oni wszyscy myślą, że jestem gdzieś daleko.

– Schudłeś, bhai, ale i tak...

Na jachcie dobrze się odżywiałem i regularnie ćwiczyłem, narzuciłem sobie pewien reżim, chcąc oczyścić swoje ciało, zrzuciłem więc te kilogramy, których nabrałem w więzieniu i małżeństwie.

– A ty za to przytyłeś – zauważyłem. Wyraźnie przybrał na wadze. Minęliśmy grupkę wiernych ciągnących na wózku półorametrowy posążek Ganeśi. Wszyscy tańczyli przed Ganeśą, i mężczyźni, i kobiety, i dzieci, w rytm dwóch bębnów. Widać było ich szczęście. Te znane, hałaśliwe uderzenie bębna dzwoniły mi w karku i w ramionach. – Teraz jest więcej dźhoparpati – powiedziałem. – Spójrz tam. – W miejscu, w którym wyraźnie pamiętałem puste, porośnięte krzakami pobocze, pod autostradę podchodziło mrowie chat.

– Naprawdę, bhai? Dla mnie wszystko wygląda tak samo.

Nie było mnie ponad dwa lata. Nic nie wyglądało tak samo. Pod pomarańczowym światłem latarni ulicznych drzemały pogrążone w niespokojnym śnie slumsy, bardziej brunatne i liczniejsze, niż zapamiętałem. Minęliśmy rząd ogromnych ciężarówek jaskrawo pomalowanych na czerwono–zielony kolor, a potem przejechaliśmy przez rynecek, ze wszystkich stron otoczony górami rozmokłych odpadków warzywnych. Te śmieci musiały leżeć tu od wieków, ale dopiero teraz je zauważyłem. Widać było wiele nowych konstrukcji, wyższych budynków, a wśród nich jeden biały, z gigantycznymi betonowymi palami, które postawiono na jego obwodzie, aby unieść ciężar trzech kondygnacji, znajdujących się na szczycie już istniejących czterech pięter.

– To jedna z budowli powstałych w celu ominięcia FSI, bhai – powiedział Band.

Niektórzy przedsiębiorcy budowlani przekupywali urzędników, a ci potrafili znaleźć w przepisach lukę, stwarzającą możliwość pomajstrowania przy wskaźniku powierzchni i przestrzeni, i nieoczekiwanie w całym mieście zaczęły pojawiać się te dziwaczne konstrukcje na bocianich nogach.

– Trzy nowe wielkie piętra – powiedziałem. – To fura pieniędzy.

– Znamy tego właściciela – odparł Banti z uśmiechem na ustach. – Jest naszym przyjacielem.

Nabywca FSI przyczyniał się do wzrostu moich obrotów, ale ta nowa tendencja nieco mnie irytowała.

– Nie chciałbym mieszkać na parterze czegoś takiego – powiedziałem do Bantiego. – Te nogi przypominają zapalki.

Zacharczał w przeciągłym śmiechu.

– Bhai, jeśli to się zawali, to tym lepiej. Wtedy będzie można postawić dom od nowa, bez tego budynku pod spodem. Może powinniśmy coś takiego zaaranżować. On to wybuduje i cena sprzedaży będzie dwa razy wyższa, a to dla nas lepiej.

– Ćutija – rzuciłem, ale roześmiałem się. Na wszystkich billboardach widniały reklamy firm i witryn internetowych, wypisane pochyłym pismem, które miało kojarzyć się szybkością. Motoriksze stały w grupkach, stykając się nosami, jak ogromne i niezgrabne robale. Przyłapałem się na tym, że tak o nich właśnie myślę, robale, i doszedłem do wniosku, że zbyt długo mnie tu nie było.

– To tutaj – odezwał się Banti.

Załatwił nam pokój na tyłach domu w Santa Cruz. Budynek stał przy bardzo cichej ulicy, a jego właścicielem był handlarz meblami, ojciec dwóch córek w wieku szkolnym, prawdziwy tradycjonalista i bardzo

przyzwoity człowiek. Mieliśmy do dyspozycji dwa pojedyncze łóżka, niski stoliczek i czystą łazienkę.

Banti zmarszczył nos.

– Może być, bhai? – zapytał, udając, że chodzi mu o mnie. Ale to on zasmakował w komforcie, od kiedy zaczął dobrze zarabiać i zyskał nową pozycję.

– Dla mnie wystarczy – odparłem. – Prześpijmy się.

Następnego ranka obudziłem go o szóstej. Aż jęknął, kiedy zobaczył, która jest godzina, ale byłem bezlitosny. Wyciągnąłem go z łóżka, a potem z domu, i pomaszerowaliśmy do restauracji. Napiliśmy się ćaju z pierwszego tego dnia dzbanka i zjedliśmy idli. Na przystanku, osnutym oparami kurzu wznieconego przez autobusu i samochody, stał sznur zmierzających do biur osób. Minęły nas dzieci podążające do szkoły i wymachujące tornistrami. Z radością patrzyłem na to wszystko, co się wokół mnie działo, jakbym oglądał jakieś widowisko. Ale o wpół do dziewiątej kazałem Bantiemu załatwić mi skuter.

– Are, bhai, dlaczego? – zaprotestował. – Zawiozę cię samochodem.

– Nie będziesz mnie woził – odparłem. – A ja chcę mieć skuter.

Próbował się ze mną spierać, ale spojrzałem na niego tak, że od razu zamilkł i pojechał. Oczywiście martwił się o swoje utrzymanie i o swoją przyszłość, bo gdybym znowu trafił do więzienia lub został zabity, z pewnością poważnie by to odczuł. Ale oprócz tego on również mnie kochał. Wspólnie stoczyliśmy wiele bitew, i to dzięki mnie się ustatkował, miał żonę, dwójkę dzieci, obowiązki, inwestycje i pieniądze. Dlatego też trochę miał mi za złe, że kazałem mu tym wszystkim ryzykować, siedząc samotnie w pokoju w Goregaonie, bez broni i bez ochroniarzy. Ale o wpół do dziesiątej był z powrotem w naszym pokoju, a przed domem stała zielona vespa z wymyślnymi, srebrzonymi lusterkami.



– Musiałem od kogoś pożyczyć – powiedział przeprasającym głosem.

– Mamu zatrzymają mnie za same lusterka. Ten twój znajomy myśli, że jeździ wyścigowym motocyklem?

Okazało się jednak, że nawet prowadzenie vespy sprawia mi problem, już od tylu lat tego nie robiłem. Ledwo ruszyłem, od razu wpadłem w poślizg, a Banti biegł za mną, aż machnięciem ręki kazałem mu odejść. Pierwsze dziesięć minut było przerażające, ale z uśmiechem powitałem pęd pojazdu i wsysałem wiatr między zębami. Minąłem trzy mandapy ze strzelistymi figurami Ganeśi w jaskrawym i olśniewającym kolorze pomarańczowym. Kiedy dojeżdżałem już do Dźuhu, czułem się pewnie na swoim skuterze, zwinnie przemykałem między samochodami i gładko zmieniałem biegi. Doskonale się prezentowałem. Patrząc na swoje odbicie w lusterkach, widziałem człowieka z charakterem, który z samego rana dobrze się bawił. Byłem w Bombaju i nie bałem się niczego. Jechałem do mojego Garu–dzi.

Ale kiedy dotarłem do jadźniasthalu, położonego w Andheri West, utknąłem. Policyjne bandobasty znajdowały się w odległości sześćdziesięciu metrów i nie przepuszczały żadnych samotnych taklu na skuterach. Musiałem zaparkować skuter i wraz z kilkuset innymi wiernymi iść na piechotę do rezydencji. Posiadłość należała do producenta filmowego, wyznawcy Garu–dzi, człowieka o doskonałych powiązaniach politycznych i właściciela wielu nieruchomości w Bombaju. Teren przed domem był ogrodzony i zastawiony rzędami śamian o podwiniętych ścianach. Wszystko było zorganizowane bez zarzutu, między śamianami biegły proste, szerokie uliczki, a sadhu prowadzili wyznawców na odpowiednie miejsca siedzące. W śamianach poustawiano telewizory i porządne głośniki, żeby osoby siedzące w oddaleniu od centralnego podium – a tak właśnie mnie się przytrafiło – mogły wyraźnie widzieć Garu–dzi i

to, co on robi. Jego jeszcze nie było, na podium znajdowała się jedynie grupa sadhu, którzy układali materiały do jadźni. Pojawił się dokładnie o jedenastej, silnymi ruchami napędzając wózek wzdłuż centralnej alejki, a za nim kroczyła grupka sadhu. Do podium przystawiona była rampa, po której wjechał. Zdałem sobie sprawę, że stoję i tańczę ramię w ramię z moimi współwyznawcami, krzycząc „Dżaj Gurudew!”. Począł, aż zakończymy śpiew, a potem uniósł dłonie. Wszyscy się uciszyli.

– Usiądźcie – polecił i o własnych siłach przeniósł się z wózka inwalidzkiego na miejsce przed mikrofonami. Zauważyłem, że ma bardzo silne ręce.

Mówił o poświęceniu i o ołtarzu. Rozmiary ołtarza musiały opierać się na wymiarach ofiarodawcy – długość środkowego stawu palca środkowego ofiarodawcy wynosiła jedną angulę, a sto dwadzieścia anguli to jeden purusza. Sadhu musieli rozłożyć kwadrat o boku równym dwóm puruszom, czyli dwustu czterdziestu anguli. Kim był ofiarodawca?

– Kto będzie ofiarodawcą? – zapytał Garu-dźi. – My jesteśmy jedynie kapłanami, ale kto będzie jadźmanem? – Na moment urwał, a potem odpowiedział na swoje pytanie. – W dawnych czasach tej ofierze, w której uczestniczymy, patronowali cesarze ćakrawartini. Ale czasy cesarzy minęły. Kto dziś jest cesarzem? Kto dysponuje władzą, kto przewodzi? To wy. Wy, społeczeństwo. Władza płynie z was, z waszych głosów. I dlatego dziś to wy jesteście ofiarodawcą, jadźmanem. Społeczeństwo jest ofiarodawcą. Każdy z was jest ofiarodawcą. Postanowiliśmy więc użyć średniej arytmetycznej. Na podstawie próby dwóch tysięcy Indusów z całego kraju, z każdego stanu, nasi lekarze dokonali precyzyjnych pomiarów i teraz skorzystamy z tej średniej do wyznaczenia naszej anguli. A wy, moi przyjaciele, jesteście naszym puruszą.

Po ustaleniu kierunków według słońca, za pomocą sznurów i prętów kapłani ułożyli kwadrat, wraz z marginesami i splatającymi się kręgami. Tymczasem Garu-dźi mówił nam o ofierze. Opowiadał o tym, jak wszechświat powstał przez ofiarę, jak bogowie poświęcili Puruszę i jak z jego członków i jego ciała zrodziło się wszelkie stworzenie. Wszystko, co istnieje, wszystko, co kiedykolwiek było i będzie, jest stworzone przez tę pierwszą ofiarę. W każdej ofierze ofiarodawca naśladuje to pierwsze wielkie oddanie samego siebie, to pierwsze złożenie ofiary. Ofiarodawca powtarza tę ofiarę i w ten sposób podtrzymuje istnienie wszechświata.

– Składając ofiarę, ofiarodawca staje się Puruszą, staje się tą pierwszą istotą, która się podzieliła, aby wszystko stworzyć. A ponieważ tak jest, to w zasadzie na końcu ofiary jadžman powinien poświęcić swoją osobę. Jeśli jest Puruszą, powinien umrzeć, aby dać życie. My nie będziemy jednak tego od was żądać, od wielu lat ofiary nie składa się już w ten sposób. Zamiast siebie, do świętego ognia wrzucamy określone przedmioty, które są godne ofiary. Zamiast ludzi, kiedyś składano w ofierze krowy, konie, kozy i barany. My użyjemy pewnych zbóż, kwiatów i traw. Ale pamiętajcie, kiedy wrzucamy to wszystko do ognia, w ofierze składane jest nasze ja. Jeśli wy wszyscy jesteście jadžmanem, to w ofierze składacie siebie, swoje ciała, was samych. My do ognia wrzucamy jedynie substytuty, które bogowie raczą przyjąć. Ale to wy jesteście składani w ofierze. Wy jesteście Puruszą. Musicie umrzeć, aby wszechświat mógł żyć.

Tymczasem kapłani zbudowali ołtarz. Oglądaliśmy ich na ekranach telewizorów. W określonym punkcie dokładnie odmierzonego i przygotowanego terenu ułożyli kwiat lotosu, a na nim położyli złotą tarczę. Pierwsze wody i słońce. Następnie ostrożnie ustawili na tym małą, złotą figurkę, będącą Puruszą, będącą jadžmanem, będącą nami. Nad Puruszą

zbudowali ołtarz, składający się z pięciu warstw cegieł, tworzących kształt wielkiego orła.

– To orzeł jako pierwszy przyniósł świętą somę z nieba na ziemię – powiedział Garu-dzi. – I tak, przez ofiarę, znowu będziemy pić z tego boskiego źródła wiecznej szczęśliwości. Przez lot ofiary zasmakujemy wiedzy. Poznamy własne ja i poznamy wszechświat.

Pod kolorowym płótnem namiotów było białe, jasne światło. Choć tyle czasu minęło już od monsunu, dzień był pochmurny, dosyć zimny. W tłumie panowała cisza. Ludzie nadchodzili i siadali, przeciskali się obok siebie, przyjacielsko opierając się na ramieniu sąsiadów, wychodzili, jeśli czuli taką potrzebę. Łączył nas spokojny głos Garu-dzi, głęboki jak morze, oraz powolne fale słowa, wiecznych, niezmiennych i niepowstrzymanych. Garu-dzi tłumaczył i wyjaśniał nam niektóre słowa.

*Ofiara jest krosnem,*

*A te obrzędy to jego liczne wątki.*

*Ojcowie siedzą przy tych krosnach*

*I tkają materię,*

*Pokrzykując do siebie: „Wzdłuż! W poprzek!”.*

*Ten człowiek odwija nić i układa ją na krosnach,*

*Wciska ją w krzyżulec nieba.*

*Do tego ołtarza mocowane są kołeczki.*

*Na tych rozciągających się przez całe niebo krosnach,*

*Hymny Samy są członkami,*

*Migającymi to w jedną, to w drugą stronę.*

– Każdy z bogów okrył się poetyckim metrum – powiedział Garu–dźi – a to metrum staje się źródłem ich mocy jako ofiarodawców. Agni był skąpany w metrum Gajatri, a Sawitar w metrum Usznh. Energia Indry pochodzi od Trisztubhu. Metrum Dżagati przeniknęło wszystkich bogów. I tak z metrum, przez ofiarę, z tej osnowy i wątku, z tego tkania, tej geometrii, tej formy i tej poezji, narodził się wszechświat. – Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, anonimowy i samotny, widziałem, na ekranie swojego umysłu, ten moment stworzenia, hymny przesuwające się przez siebie nawzajem jak ghi i drzewo sandałowe, rozgrzane iskry metrów, płomienie rodzącego się wszechświata.

– Kiedy składamy ofiarę – ciągnął Garu–dźi – kiedy śpiewamy, kiedy pozwalamy, aby te metra nas przenikały, wtedy tkamy świat. Jesteśmy stwórcami. To my podtrzymujemy istnienie tego wszystkiego, my to wszystko trzymamy, my to tworzymy. My jesteśmy wszechświatem.

Wróciłem do naszego pokoju, w którym Banti czekał na mnie z bardzo dobrym obiadem przyniesionym z kuchni swojej małżonki. Jadłem i rozmawialiśmy o interesach, wydawałem mu polecenia i odpowiadałem na jego pytania. Do tego czasu moi ludzie na jachcie prawdopodobnie zorientowali się już, że nie ma mnie w Dżakarcie, że nie można się do mnie tam dodzwonić, ale nikt sobie nie wyobrażał, że jestem tutaj, że siedzę na jadźni w Andheri, czy też że jem paranthę w Santa Cruz. Wysyłali mi sprawozdania, a Banti dbał o to, by docierały do nich moje rozkazy. Jeśli chodzi o zlecenie pana Kumara, nasi ludzie byli już w Londynie, siedzieli w kryjówkach i czekali na przyjazd mułły. Poleciałem Bantiemu zadbać o łączność z nimi, załatwić broń i zająć się logistyką. A sam spałem głębokim, zwielokrotnionym snem, pewny siebie oraz szczęśliwy jak

kochane i nakarmione dziecko, które wie, że kiedy się obudzi, czeka je troska, miłość i śmiech. Nawet obudziłem się z uśmiechem na ustach.

Ruszyłem z powrotem, do Garu-dzi. Tego drugiego dnia przybyłem dużo wcześniej, jako jeden z pierwszych ludzi na maidanie, nie licząc policjantów i wolontariuszy. Przeszedłem do położonej na samym przedzie śamiany i znalazłem miejsce tuż za sektorem dla VIP-ów, bardzo blisko ołtarza. Sadhu siedzieli wokół ognia, który nie zgasł, a miał płonąć przez dwanaście dni. Jadźnia trwała przez całą noc, obsługiwana przez całe zespoły kapłanów. Ale o tej porze, tak wcześnie rano, dopiero zaczęli włączać głośniki. O jedenastej, punktualnie o jedenastej, przybył Garu-dzi. Teraz widziałem go z bliska. Czasami, kiedy pojawiał się w programach telewizyjnych, nosił ubrania *à la* Nehru, nienagannie skrojone, ale skromne marynarki z płótna i jedwabiu. Sam kazałem sobie uszyć kilka podobnych w tym samym wzorze i kroju. Ale dzisiejszego dnia miał na sobie białe dhoti, przez jedno silne ramię zwisał przerzucony zwykły biały materiał, a drugie było obnażone. Zaczesane do góry włosy opadały mu do tyłu. Był przystojny. Miał sześćdziesiąt cztery lata, ale skórę naprężoną i gładką, a oczy czujne i żywe.

– Ta ofiara obejmuje wszystkich ludzi – powiedział tego dnia. – To nie jest ofiara tylko dla ryszich czy munich, albo cesarzy. Obojętnie, czy pochodzicie z najwyższych warstw społeczeństwa, czy z najniższych, wszyscy możecie uczestniczyć w ofierze Sarwamedhy. Wszystkich was zapraszamy. To wy jesteście jadźmanem. Ale pamiętajcie, musicie dać. Na tym polega ofiara Sarwamedhy. Musicie oddać wszystko. Sarwamedha to ofiara powszechna, to ofiara wszystkich i wszystkiego. W dawnych czasach podczas tej ceremonii w ofierze bogom składano wszystkie gatunki zwierząt, a ludzie wszelkich stanów i profesji samych siebie oddawali w ten święty ogień, umierali podczas Sarwamedhy i byli błogosławieni. W

dawnych czasach i bramini, i krawcy, i dhobi, i wojownicy, wszyscy byli składani w ofierze w ogniu Sarwamedhy. W dawnych czasach jadžman ofiary Sarwamedha oddawał w formie zapłaty wszystko, co miał, wszystko, co posiadał. Kiedy ojciec Naćketasa zawahał się nad tym, co oznacza wszystko, sam Naćketas przypomniał ojcu, że jego własny syn jest ostatnią rzeczą, którą on posiada. Naćketas oddał się śmierci i w ten sposób uzyskał dla swojego ojca niebo, a przez tę konfrontację ze śmiercią ujawnił nam tajemnice śmierci i życia. Wiedza należy do tych, którzy potrafią się spalić i w ten sposób odkryć prawdziwe ja. – Wszystkie śamiany pogrążone były w absolutnej ciszy, wszyscy słuchaliśmy z zapartym tchem. A Garu-dźi wybuchnął śmiechem. – Nie martwcie się – powiedział. – Nie będę was prosił o poświęcenie synów i nie każę wam skakać w płomienie. – Te płomienie wyskakiwały teraz ponad głowy kapłanów. – Czasy się zmieniły. Dopełnimy ofiary Sarwamedhy, złożymy w ofierze zwierzęta i ludzi, te wszystkie istoty. Ale zrobimy to symbolicznie. Skorzystamy z zastępstwa. Spłoniecie, ale tylko symbolicznie, tylko w swoim modelu. Takim jak ten.

Uniósł do góry dłoń, ukazując mały model człowieka. Kiedy on poruszał ręką, dostrzegłem przez płomienie policjanta, stojącego po drugiej stronie ognia. Chyba go już wcześniej widziałem, gdzieś na zewnątrz, w bandobastach i pod namiotami, ale teraz zwrócił moją uwagę. Był to sardar, miał wysoki turban w kolorze khaki, a pod nim zieloną patkę. Właśnie odprowadził kogoś na miejsce dla VIP-ów i wycofywał się, ale w tym momencie odwrócił się, aby posłuchać Garu-dźi. Przez krótką chwilę, nie dłuższą niż jeden błysk trzaskających płomieni, nasze spojrzenia spotkały się. I zaraz potem pobiegły z powrotem w stronę Garu-dźi.

Przy śpiewie kapłanów, Garu-dźi oddał figurkę płomieniom. I potem, przez całe popołudnie i przez dzień, małe figurki krów, byków, mężczyzn i kobiet – wykonane ze skryształizowanego cukru lub wapna – wrzucano do

tego świętego ognia. Ta pożoga była aromatyczna i olbrzymia. Stałem na tyle blisko, że go słyszałem. Miała miarowy rytm, ta muzyka.

Tego wieczoru do późna czekałem w długiej kolejce na spotkanie z Garu-dzi. O jedenastej zszedł z ołtarza i udał się do domu producenta filmowego, na nocny spoczynek. Od jedenastej do północy przyjmował członków społeczności na prywatnej audyencji. Kolejka ciągnęła się od bramy domu i dwa razy zawijała się wokół maidanu. Ja stałem mniej więcej w jej środku. O północy przez maidan przeszli policjanci i powiedzieli nam, żebyśmy poszli do domów, bo Garu-dzi musi udać się na spoczynek. Przez tłum przebiegł jęk, ale ludzie podporządkowali się bez żadnych oporów, nikt nie protestował. Potrafiliśmy wyobrazić sobie, jak bardzo Garu-dzi musi być zmęczony, jak nawet jego niespożyte siły muszą być nadwreżone po całym dniu mówienia do nas, zabierania nas ze sobą w swoją podróż. Policjanci chyba odetchnęli z ulgą. Sami byli zmęczeni, a przecież zdążyli się przyzwyczaić do tej napierającej, burzliwej energii, towarzyszącej procesjom Ganapati, kiedy tysiące młodych mężczyzn w szortach i banianach tańczyły dla Ganeśi, pijani potem, braterstwem i ukradkowo wychylanymi łykami piwa czy bhangu. Ale my, wyznawcy Garu-dzi, w spokoju rozeszliśmy się do domów.

Banti czekał w naszym pokoju, z jedzeniem i telefonami komórkowymi. Zajęliśmy się interesami.

– Bhai, moja żona myśli, że mam jakąś kobietę – odezwał się Banti, kiedy już zakończyliśmy sesję telefoniczną. – Ciągle jej powtarzam, że po prostu mamy teraz bardzo pracowity okres, a zwłaszcza sporo nocnych zadań, ale widziała, jak zabieram dla ciebie jej marynowane adrak, i teraz jest przekonana, że karmię tę swoją kobietę jedzeniem z kuchni żony.

Uśmiechał się, ale ja spotkałem kiedyś tę jego Priję, wykształconą przez siostry zakonne, pulchną kobietę z Pendżabu, która wyglądała jak czołg



patron. Banti miał, oczywiście, kobiety na boku, ale robił to bardzo dyskretnie. Tym, że znosi humory Prii, ponieważ musi się mną zajmować, dowodził absolutnego oddania mojej osobie.

– Będę musiał dać ci podwójną premię na Diwali, beta – powiedziałem. – Kup jej bransolety.

– Potrójną premię – odparł. – Dziś wieczorem dała prawdziwy popis. W samym środku Czerwonego Fortu, bhai. Nawet to jej nie powstrzymało. Musiałem przyłożyć jej w ucho, żeby się zamknęła.

W tym roku wydaliśmy półtora kora na festiwal, zbudowaliśmy replikę Czerwonego Fortu, razem ze skrzącym się pawim tronem, na którym siedział Ganeśa. Podłogi wykonaliśmy z prawdziwego marmuru i nawet rzeźby zostały dokładnie odwzorowane na podstawie fotografii. Ludzie z całego Bombaju przybywali do Gopalmathu, żeby zobaczyć nasz Czerwony Fort, to był prawdziwy przebój, większy i lepszy niż wszystkie inne pandale w mieście. Banti i Prija kłócący się pośrodku sali darbar musieli stanowić komiczny widok.

– Przez tę twoją Priję Mogołowie pewnie przewracają się w grobach. Powinniśmy wysłać ją do Pakistanu, z pewnością wykończyłaby tych sukinsynów z Firmy S.

Banti aż za brzuch się chwycił, kiedy wyobraził sobie Priję przetaczającą się przez granice. Kiedy już odzyskał głos, powiedział:

– Bhai, wszyscy w Gopalmacie cię wspominają. Chłopacy myślą, że jesteś gdzieś w Europie, ale wszyscy chcieliby ci wysłać podziękowania, przynajmniej przez telefon.

Pokręciłem głową.

– Powiedz im, że o nich pamiętam. Ale żadnych zewnętrznych kontaktów, Banti. To jest mój czas z Garu-dzi.

To była prawda – ani razu nie zadzwoniłem do Dźodźo, chociaż miałem świadomość, że na pewno się martwi. Wiedziała, że wyjeżdżam, ale zawsze ze wszystkich podróży do niej dzwoniłem. Tym razem nie. Ale nie było rady. Musiałem się skoncentrować, oczyścić się. I tak mijały dni na modlitwie i medytacjach. Codziennie wczesnym rankiem jechałem na maidan, żeby zająć dobre miejsce. Co wieczór zostawałem do późna, stojąc w kolejce, żeby uzyskać osobisty darśan od Garu–dźi, tak jak inni wyznawcy. Ale było nas zbyt wielu, po prostu zbyt wielu, i zawsze brakowało czasu, żebyśmy przed północą wszyscy zdążyli wejść. Cierpliwie jednak powracałem następnego dnia. Garu–dźi prowadził nas przez obrzęd ofiary, a moje dni mijały na słuchaniu jego słów, jego objaśnień Wed i Brahman. Zdawałem sobie sprawę, że każdego dnia uczę się czegoś nowego, i z każdym dniem czułem w sobie coraz większą lekkość, jakby te słowa wypłukiwały ze mnie jakiś gęsty osad. Albo też, jak to określił Garu–dźi w swoich naukach, w ogniu ofiary spalała się jakaś część mojej karmy.

– Nawet pachniesz ładniej – powiedział mi Banti jedenastego dnia rano.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wcześniej śmierdziałem, sukinsynu? – Uśmiechałem się jednak. Sam wyczuwałem tę poprawę. Może to tylko w porach mojej skóry osiadł dym z palonego podczas ofiary samagri, a może tak właśnie miała pachnieć nieobarczona dusza. Uścisnąłem go i odjechałem na swoim skuterze. Nuciłem sobie piosenkę z filmu, pieśń rybaków Koli *Wallaw re nakhwa ho, Wallaw re Rama*”<sup>33</sup>. A kiedy dotarłem na miejsce usadowiłem się w moim tradycyjnym już punkcie. O tej rannej porze, kiedy namioty były jeszcze puste, a telewizory i głośniki wyłączone, naprawdę czułem się jak jadžman, jakby to wszystko było właśnie dla mnie.

– Dzisiaj jest pan jeszcze wcześniej.

To był ten inspektor sardar. Stał tuż za mną, z kciukami zatkniętymi za pasek, prostując i wygładzając koszulę. Tak, oczywiście, to byłeś ty, Sartadźu. To byłeś ty, w wyprasowanym mundurze khaki i wysokim pagri, stałeś przy mnie i uśmiechałeś się. Ale wówczas rozpoznałem jedynie inspektora sardara. A on był rozbawiony i przyjazny.

– Muszę przychodzić wcześniej – odparłem. – Bo w przeciwnym razie siedziałbym zupełnie z tyłu. – Starłem się mówić miłym głosem.

– Wszystko widać na tych monitorach, nawet z bardzo daleka – powiedział. – Na zbliżeniach można zauważyć każdy włos w ich nozdrzach. – Ruchem brody wskazał kapłanów. Ten sardar był przystojny, a do tego jeszcze bardzo elegancki, w tej swojej niebieskiej patce i dobranych skarpetkach.

– To nie jest to samo – odrzekłem, i już kiedy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że jestem wobec niego zbyt agresywny, zbyt opryskliwy. Powinienem okazać mu szacunek, jak każdy normalny obywatel spotykający policjanta. Już od bardzo dawna nie bałem się inspektorów, ale teraz musiałem wejść w tę rolę. – Chciałem tylko powiedzieć, sardar saab, że w dzisiejszych czasach ludziom wydaje się, że można otrzymać darśan przez telefon czy przez telewizję. Aby jednak w pełni skorzystać z darśanu, trzeba stanąć twarzą w twarz, oko w oko z Garu-dzi. Jego spojrzenie musi w nas wnikać, musi nas przeniknąć jego głos. Nigdy wcześniej go nie widziałem i mogę stwierdzić, że przez tych kilka ostatnich dni naprawdę się zmieniłem. Całe moje oglądanie z daleka w telewizorze nie może równać się jednej chwili prawdziwego darśanu. Oglądanie Złotej Świątyni na fotografii to jedna rzecz, ale wyjazd do Amrytsaru to coś zupełnie innego.

– Nie pochodzi pan z Bombaju? – Jak każdy policjant, miał zwyczaj zadawać nieoczekiwane pytania, jednocześnie taksując człowieka spojrzeniem. A pod tą ćikna urodą gwiazdy filmowej kryło się to typowe,

niewowstrzymane okrucieństwo, zrodzone z tysięcy przesłuchań. Dobrze znałem ten typ.

– Nie pochodzę stąd, ale już jakiś czas temu tu się przeprowadziłem.

– Czym się pan trudni?

– Pracuję w firmie zajmującej się eksportem i importem. – W końcu i tak zrobił z tego przesłuchanie, podejrzliwy sukinsyn. Typowe, zupełnie typowe. Lekko odwróciłem się w stronę jądźni. Ale on ani myślał się poddawać.

– Gdzieś już pana widziałem – powiedział. – Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

Nie poruszyłem się, nawet nie pozwoliłem, żeby drgnął choćby jeden mój mięsień. Zerknąłem na niego przez ramię i uśmiechnąłem się.

– Sahibie, moja twarz ciągle wydaje się komuś znajoma – rzuciłem. Nadal goliłem głowę, a do tego zapuściłem brodę. Przypominałem jednego z tych afgańskich mułłów. Patrząc w lustro, widziałem osobę, której sam nie potrafiłem rozpoznać. Ale ten maderćod miał dobre oko. – Ludzie zawsze mówią mi, że kogoś im przypominam. Nawet moja żona z tego się śmiała.

– Śmiała się? Już się nie śmieje?

Ten cały ćikna inspektor był niesamowicie czujny i wcale nie przypominał głupkowatego sardara z dowcipów. Przy nim trzeba było mieć się na baczności.

– Nie żyje – odparłem, bardzo cicho. – Zginęła w wypadku. – Skinął głową i odwrócił wzrok. Kiedy ponownie spojrzął na mnie, znowu był tym maderćodem inspektorem, ale zauważyłem w jego oku delikatny błysk współczucia. Ja też bywałem bystry. Również mnie życie nauczyło, jak przejrzeć człowieka. – Pan też kogoś stracił – powiedziałem. – Kogo, żonę?

Popatrzył na mnie spode łba. Był człowiekiem dumnym, to na pewno, a do tego był w mundurze. Nie miał zamiaru z niczego mi się zwierzać.

– Każdy z nas kogoś traci – stwierdził. – Takie jest już życie.

– Jeśli skorzysta pan z opieki Garu–dzi, cały ból ustąpi.

– Może pan zatrzymać tego Garu–dzi dla siebie – odrzekł, ale ponownie stał się życzliwy i leciutko się uśmiechał. Uniósł dłoń i odszedł w stronę znajdujących się z tyłu namiotów, powracając do swoich obowiązków. Garu–dzi Jak zwykle przybył punktualnie i tego dnia poprowadził nas do zakończenia ofiary, do jej spełnienia.

– Wspólnie wybraliśmy się w wielką podróż – zaczął. – Przez te ostatnie dni podążaliście wraz ze mną. Uczestnicząc w tej wielkiej jadžnie, spaliliście bezwład setek minionych istnień. Jako jadžmani tej ofiary, zgromadzicie płynące z niej korzyści, jej moc. Ale pamiętajcie, co wam powiedziałem o Sarwamedsze: jadžman musi wyrzec się wszystkiego. Aby się poświęcić, musi cie poświęcić to, do czego jesteście przywiązani. Dlatego też, właśnie w dniu dzisiejszym, musicie dawać. Oddajcie samych siebie.

Tego dnia, ostatniego dnia Sarwamedhy, było bardzo gorąco. Po wielu szarawych dniach spowijająca wszystko mgła wyparowała w promieniach słońca, które przesuwało się po namiotach, omiatając nasze nogi i głowy jasnymi smugami ognistej czerwieni. Aromatyczny dym gromadził się i gęstniał, śloka przenikały wszystkich, w moich piersiach narastał głos Garu–dzi. Dzisiaj tłum był bardzo gęsty, po plecach spływał mi pot i wielu z nas płakało. Tak, ja też szlochałem. Nie byłem smutny, nie rozpaczałem. Byłem szczęśliwy i łkałem. Oddałem wszystko, co miałem w portfelu, a także swój zegarek. W ciągu tych wszystkich dni ofiary wyznawcy składali datki, do porozrzucanych między namiotami skrzynek wkładali pieniądze i cenne rzeczy. Ale dzisiaj oddawaliśmy wszystko, co mieliśmy. Widziałem

kobiety oddające swoją biżuterię, swoją mangalsutrę, a także mężczyzn starających się zdjąć z opuchniętych palców złote pierścieniami z brylantami. Tego popołudnia naprawdę staliśmy się jadźmanem i czuliśmy moc Sarwamedhy.

I nagle wszystko się skończyło. O dziesiątej Garu-dźi złożył dłonie w dedykowanym nam wszystkim pranaamie i skinął głową. Chwilę później wrócił do domu. Tej nocy znalazłem się bardzo blisko początku stojącej po darśan kolejki. Zaplanowałem to sobie i wszystkiego dopilnowałem, ale po godzinie czekania okazało się, że może mi się nie udać. Tego dnia przyszły wszystkie VIP-y, był minister spraw wewnętrznych, dwóch aktorów i trzy aktorki, wielcy biznesmeni, prezenter telewizyjny, producenci filmowi i jeden generał. Ich samochody podjeżdżały jeden po drugim, tworząc przed domem połyskujące zbiorowisko, a nasza kolejka prawie w ogóle nie posuwała się do przodu. Do zwykłych ludzi darśan przychodził bardzo powoli, a dziś byłem jednym ze zwykłych ludzi. Czekałem. Zbliżała się już północ.

– Widział już pan swojego Garu-dźi? – To był ten inspektor sardar. Był wysoki, o głowę wyższy ode mnie. Z czarnego identyfikatora na jego piersiach wyczytałem napisane białymi literami nazwisko: „Sartadź Singh”.

– Nie – odparłem. – Dzisiaj jest tam za dużo ważnych ludzi.

Wzruszyłem ramionami. Byłem spokojny, ale bardzo wycieńczony, nogi miałem jak z faludy i trochę kręciło mi się w głowie.

Inspektor też sprawiał wrażenie wyczerpanego. Na jego koszuli widniały ciemne plamy potu po całym dniu pracy, a w białym świetle świetlówek już nie wydawał się taki ćikna, po prostu był jakiś chudy, długi i zmęczony. Przyglądał mi się badawczo z tą bezosobową podejrzliwością policyjną, a potem powiedział: – Proszę iść za mną.

Poprowadził mnie obok kolejki, między zaparkowanymi toyotami i bmw, mijaliśmy rzędy policjantów i prywatnych ochroniarzy. Skinął głową inspektorowi, który stał przy wysokich, dwuskrzydłowych drzwiach domu producenta filmowego, a potem przeszliśmy przez zatłoczony salonik i podążyliśmy w górę, marmurowym korytarzem. Sartadź Singh zamienił parę słów z jakimś policjantem i chwilę później skręciliśmy w inny korytarz, w którym tłoczno było od sadhu i wyznawców, i dotarliśmy do ogrodu. Podeszliśmy na sam początek kolejki. Przy wejściu stało trzech sadhu, którzy pojedynczo wpuszczali wiernych. A za nimi, w samym środku ogrodu, dostrzegłem charakterystyczny profil Garu-dźi, siedzącego w wózku inwalidzkim i rozmawiającego z jakąś kobietą.

– No dobra – powiedział mi Sartadź Singh na ucho. – Tyle mogłem załatwić. Teraz proszę już sobie radzić samemu. – Jeszcze tylko warknął do sadhu: – On jest następny.

Uderzył mnie lekko w plecy, ale zanim zdążyłem się odwrócić, żeby mu podziękować, jego już nie było. Tak, poradzę sobie. Spokojnym wzrokiem popatrzyłem na sługi Garu-dźi i zrobiwszy krok w prawo, ustawiłem się bezpośrednio przed nimi. Będę następny. Jeden z nich, wysoki z żółtymi włosami firangi sadhu wyglądał na ich szefa, uśmiechnąłem się więc do niego miło i tak długo nie spuszczałem z niego wzroku, aż w końcu uśmiechnął się niepewnie. Dla Garu-dźi mogłem stać w kolejkach, ale wiedziałem, jak pokazać tym małym sługusom, że ze mną nie ma żartów.

Po tych wszystkich dniach czekania pozostały mi jeszcze tylko dwie minuty niepewności. Przyjmowana przez Garu-dźi kobieta wstała i odwróciła się, a ja przemknąłem obok tego firangi sadhu. Chwilę później byłem już z Garu-dźi, nareszcie znalazłem się z nim sam na sam. Ukląknę przed nim, dotknąłem jego stóp, dotknąłem jego stóp głową.

– Dźite raho, beta – rzekł i położył dłoń na mojej głowie. – Chodź, chodź.

Pomógł mi wstać i wskazał mi krzesło. Usiadłem. Zdawałem sobie sprawę, że uśmiecham się jak uszczęśliwione dziecko, jak wesoły i beztroski szaleniec. Złożyłem ręce na kolanach, uśmiechając się do niego promiennie.

– Powiedz, czego potrzebujesz – odezwał się – czego chcesz.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Niczego nie potrzebuję, Garu–dźi. Tylko chciałem być z tobą.

Natychmiast mnie rozpoznał. Spędziliśmy wiele godzin na rozmowach telefonicznych i znał mój głos nie gorzej niż ja jego. Był niesamowicie opanowany, zachował kamienny wyraz twarzy, nie drgnął ani jeden mięsień, on nawet nie mrugnął. Ale przez bardzo długą chwilę przyglądał mi się surowym wzrokiem, przenikającym mnie na wskroś, a ja wpatrywałem się w niego. Przechylił się na bok, uniósł się na wózk, żeby zobaczyć mnie w lepszym świetle, a ja podniosłem twarz, żeby była w pełni odsłonięta.

– Ganeś – powiedział. – Ganeś.

– Przyszedłem, Garu–dźi. – Mówiąc to, czułem ogromne podenerwowanie. Był nieprzenikniony, siedział zupełnie nieruchomo, ponury jak burza gradowa. Nie wyglądał na zadowolonego z mojej obecności, i bałem się, że jest zły. Ryzykowałem, to prawda, ale jednocześnie naraziłem jego na niebezpieczeństwo. Wystawiłem wszystko na próbę. – Przyszedłem, bo chciałem uczestniczyć w twojej jadźni.

– I byłeś tu przez cały czas?

– Codziennie. Od początku do końca.

W tym momencie zmienił się zupełnie. Zrobił się ciepły jak nagle pojawiające się słońce. Nie poruszył się, ale poczułem, że tonę w jego



objęciach.

– Jesteś głupcem, Ganeśu – wyszeptał – ale dobrym głupcem.

– Powiedziałeś, że to najważniejsza jadžnia w twoim życiu – odparłem. –

Musiałem więc tu przybyć, Garu-dźi.

Wyciągnął rękę i delikatnie uderzył mnie policzek.

– Baćca, przyszedłeś, bo cię wezwałem.

– Tak.

– Ta Sarwamedha była twoją inicjacją.

– Tak.

– Cieszę się, że tu przybyłeś, Ganeśu. Ale teraz musisz się stąd wynieść, wyjechać z kraju. To zbyt ryzykowne.

– Tak.

– Ale zanim odejdziesz, chciałbym zadać ci pytanie.

– Pytaj, Garu-dźi. Odpowiem.

– Co się stało z twoim ojcem?

Jego słowa otworzyły morze ognia, które wydobyło się z jakiegoś położonego w moim wnętrzu stężałego punktu, czerwone płomienie wznosiły się coraz wyżej i wybuchały, sięgając moich oczu, aż mnie do cna wypalił. Nie zostały nawet żadne popioły, nie było żadnych popiołów, które można by zebrać z ołtarza, byłem po prostu spalony na wiór, a w miejscu, które przed chwilą zajmowałem, ziała teraz pustka. Nie było już Ganeśa Gaitondego. Udało mi się ukryć coś tak głęboko, tak bezpieczne za nieprzeniknionymi barierami, że nawet ja prawie zupełnie zapomniałem, że to w ogóle tam jest. Jak ten siedzący przede mną człowiek potrafił przedrzeć się przez moje ciało i znaleźć tę malutką, zaskorupiałą sferę, w której zamknięta została ogromna energia eksplodującej bomby? Ale w tym momencie nie myślałem o stawianiu takich pytań ani o udzielaniu na nie odpowiedzi, wiedziałem tylko, że Ganeś Gaitonde został po prostu

unicestwiony. Już nie istniał. Ukryłem swojego ojca doszczętnie i na zawsze, nawet przed samym sobą, i zapomniałem o swojej matce. Ale teraz Garu-dźi zadał pytanie, wiedział, że coś się wydarzyło. I już nie mogłem udzielić swojej zwyczajowej odpowiedzi: „Mój ojciec umarł, moja matka nie żyje”. Zrobił wyłom w moim murze i tej wyrwy nie dało się już zamknąć. Zachowałem więc milczenie.

Przyciągnął mnie do siebie. Byłem zupełnie bezwładny, nie potrafiłem się opierać. Usiadłem na ziemi, ramieniem dotykając jego kolana. Położył rękę na mojej łysej głowie i poczułem, że mnie głaszcze.

– Widzę żółtą ścianę – odezwał się. – Widzę krew, cienką strużkę krwi, spływa po ścianie i skapuje na ziemię.

Płakałem. On wiedział, Garu-dźi jakimś cudem to wiedział, a ja nie potrafiłem ukryć się przed nim.

– Ale tylko tyle widzę, Ganeśu. Opowiedz mi. Co się stało?

Opowiedziałem więc mu o moim ojcu, Raghawendrze Gaitondem, synu biednego kapłana świątyni w Karwarze, biednym braminiem, żonatym z Sumangalą. Nie chciałem zbyt długo rozwodzić się nad nieszczęśliwym mężczyzną i kłamliwą kobietą, więc całą ohydną historię opowiedziałem bardzo szybko. Raghwendra głodował w Karwarze, starając się odprawiać śluby i pudze, ale nie miał zbyt wielu okazji, ponieważ był bardzo młody, poczciwy i nieudolny. Dlatego też, kiedy jego kuzyn Surjakant wezwał go do Naśiku, bez wahania tam pojechał. Surjakant Śenoj posiadał trochę ziemi uprawnej, prowadził prace z zakresu budownictwa komunalnego, a do tego zajmował się polityką na szczeblu lokalnym. Przez krótki okres pełnił funkcję sekretarza regionu w lokalnym biurze Kongresu. Niedawno ukończył budowę gmachów szkolnych, stawianych na zlecenie rządu w wiosce o nazwie Digadh, a po zakończeniu tego projektu przekazał sporą sumę na znajdującą się tam nową świątynię Lakszmi i Narajany.

Raghawendra objął więc posadę kapłana w tej świątyni, miał mały, ale schludny pakka dom, cieszył się względami swojego kuzyna, i chociaż nie żył bogato, to nie brakowało mu niczego, a Sumangala była w końcu szczęśliwa. Powoli warunki życia mieszkańców wioski poprawiły się, głównie dzięki projektowi nawadniania, który zatwierdził Surjakant Śenoj, więc również Raghawendra i Sumangala zaznali trochę dostatku, ponieważ wzrosły datki na świątynię. A do tego częstym gościem w ich domu był Surjakant Śenoj, który zawsze przynosił torbę pełną warzyw, ghi, masła, i przynajmniej pół potli ryżu. Miał bardzo dużo pracy w okolicznych wioskach, a że z radością odwiedzał kuzynostwo, nie było żadnych powodów do zachowywania niepotrzebnych formalności, wszak miał obowiązek pomagać. I tak pod jego zbawienną opieką płynęło życie, a półtora roku później w domu urodził się syn. Oczywiście, było świętowanie i obrzędy, w których uczestniczył Surjakant. Zgodnie z jego sugestią chłopcu dano na imię Kiran. Kiran rósł na rozgarniętego i żywego chłopca. Mając osiem miesięcy i jeden tydzień, już chodził, kiedy miał dwa lata, mówił, a w wieku czterech lat czytał, i to nie tylko śledził litery znad ramienia ojca, ale potrafił przeczytać całe słowa. Ale właśnie wtedy chłopiec częściowo zatracił swoją wrodzoną radość, zamknął się w sobie i zrobił się nieufny. Był już na tyle duży, żeby dostrzec, jak zewnętrzny świat postrzega jego ojca. Zauważył, że zarówno dzieci, z którymi się przyjaźni, jak i ich rodzice lekceważą pandita, ignorują go, traktując go z góry, może nie uważają go za głupiego, ale nieszczęsnego, raczej godnego pożałowania niż współczucia. Kiran nie potrafił tego zrozumieć, ale zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze, jak z tego, że jego matka jest uznawana za piękność. W tym właśnie roku do Naśiku ponownie, po dwunastoletniej nieobecności, przybyła pielgrzymka na Kumbh Mełę. Kiran wybrał się oczywiście wraz z matką i Surjakantem Śenojem oraz sąsiadami, aby zanurzyć się w wodach

świętej rzeki, aby zachwycić się i zdumieć niewyobrażalną liczbą pielgrzymów, aby podziwiać sprzedawane przez Cyganki gruczoły piżmowe. Surjakant Śenoj kupił Kiranowi lody, a ten niespotykany smakołyk przepełnił Kirana tak przemożną radością, że chłopiec uwiesił się u szerokiej dłoni Surjakanta Śenoja. W końcu dotarli do Ramkund, do miejsca, w którym podobno Śri Ram brał codzienną kąpiel, i tam, w falującym mrowiu łokci i bioder, Kiran dostrzegł swojego ojca. Raghawendra stał na prowadzącym do wody i śliskim od wilgoci kamieniu, w jednej dłoni dzierżąc thali z kupką białego kumkumu, a w drugiej małą metalową pieczętkę. Nakładał podchodzącym pielgrzymom tilakę, taką samą, jaką on sam miał na czole. Pielgrzym zatrzymał się, i kiedy Raghawendra nakładał mu naamam, Kiran zauważył, jaki jego ojciec jest chudy, jak bardzo obwisła jest skóra na jego ramieniu, jak garbi się, okazując szacunek i upokarzając się, a ten widok napełnił Kirana gniewem. Pielgrzym wrzucił monety do dłoni Raghawendry, a Kiran po raz pierwszy w życiu poczuł, że gardło wypełnia mu gorycz pogardy, lekceważenia dla własnego ojca. To był człowiek słaby, człowiek nieudolny. Kiran zrozumiał, dlaczego sąsiedzi śmieją się z jego ojca, dlaczego zawsze wołają: „Aj, pandita”, a ta świadomość przyprawiła go o mdłości. Nie dał się już zaprowadzić bliżej wody, chociaż wszyscy go nakłaniali i namawiali, a po tym wydarzeniu cała rodzina uważała, że Kiran boi się wody. Tak już pozostało, i chłopiec wciąż żywił tę pogardę, aż pewnego popołudnia, kiedy Kiran wrócił ze szkoły pierwszego dnia drugiej klasy, zobaczył, że wokół jego domu zebrał się tłum. Coś się wydarzyło. Czyjeś ręce próbowały go chwycić, ale on wyrwał się, i kopiąc i gryząc na lewo i prawo, przedarł się do drzwi. W środku zobaczył starszyznę wioski, wszyscy byli przerażeni, ale jednocześnie podnieceni. Jeden z nich pokazywał w górę. W tym momencie Kiran zobaczył, co pokazuje ten mężczyzna – po ścianie

spływała struga krwi, tworząc u dołu kałużę. Krzyknął i pędem rzucił się w górę po schodach, pięścią uderzył w kolana mężczyzny, który tarasował drzwi, i wypadł na dach. Ale na dachu nie leżały zwłoki ojca Kirana, tylko Surjakanta Śenoja. Nagi do pasa leżał twarzą na ćarpai. Kiran znał te szerokie plecy, rozłożyste ramiona. Ale tył głowy Surjakanta Śenoja przedstawił papkowatą mieszaninę czerni, czerwieni i jakiejś innej barwy, kremowej z odpryskami bieli. Jeszcze jeden niepewny krok i Kiran zobaczył, że z przodu głowa była nietknięta, Surjakant Śenoj w jakimś skupionym zdumieniu patrzył na leżącą w dole ziemię, jakby te nierówne cegły zawierały całe wszechświaty znaczenia. Surjakant Śenoj opowiadał Kiranowi o nazwach gwiazd i kształtach gwiazdozbiorów. A teraz została z niego tylko połowa.

Jeden z sąsiadów chwycił Kirana za ramiona, próbując go stamtąd zabrać. Kim był ten człowiek? Kiran znał ten jego zapach, tę poźółkłą koszulę i te długie ręce, ale nie mógł przypomnieć sobie jego imienia.

– Kto to zrobił? – zapytał Kiran, chociaż, nie wiadomo skąd, znał już odpowiedź. Ten mężczyzna pokręcił tylko głową i próbował go odciągnąć. Kiran krzyknął i wyrwał się mu, wciąż powtarzając swoje pytanie: „Kto? Kto? Kto?”.

– Powiedźcie mu – zabrzmiał czyjś poważny głos, ale przez chwilę wszyscy nadal milczeli. W końcu odezwał się ten trzymający Kirana mężczyzna.

– To twój ojciec. A potem uciekł. – I po chwili, jakby po namyśle, dodał: – Twoja ai jest na dole. Z kobietami.

Kiedy przybyła policja, kobiety odeszły, a po nich odeszli mężczyźni, zabrano ciało i Kiran został sam ze swoją matką, która z włosami zmierzwionymi na twarzy skuliła się przy drewnianej szafie w sypialni.

– I tak – powiedział Gaitonde do Garu–dzi – mój ojciec zabił tego Surjakanta, a potem uciekł. Nigdy więcej go nie widziano. Nie mam pojęcia, gdzie może być.

– A twoja matka?

– Byłem z nią do dwunastego roku życia. Wtedy uciekłem. Przyjechałem do Bombaju.

– I nie wiesz, gdzie ona jest?

– Nie.

Cała wioska odwróciła się do nich plecami. Cała wioska, oprócz tych mężczyzn, którzy przychodzili i zapewniali Sumangalę, że nie musi się obawiać, że oni się nią zaopiekują i że niczego jej w życiu nie będzie brakować. Ci mężczyźni – podobnie jak wcześniej robił to tamten mężczyzna – przynosili warzywa, sari i pieniądze. Nie mogła wrócić do maike, ponieważ rodzice nie przyjęliby jej. Została więc w tym samym domu, na nowo pobielonym dzięki pieniądzom od jednego z jej nowych klientów. Bo oni byli właśnie klientami. Kiran dopiero teraz poczuł pełnię pogardy wioski. Prosto w oczy mówiono mu, że jest harami, a starsi chłopcy wulgarnie żartowali sobie z jego matki, z jej ciała, zachowania i skłonności. Nie było dnia, żeby na jego ciele nie widniały siniaki, czasami stare, czasami zupełnie świeże. Obrywał we wszystkich bójkach, ale po tym, jak chwycił duży kamień i o mało co nie trafił nim w głowę jednego z prześladowców, chłopcy uzmysłowili sobie, że chciał zabić jednego z nich i później już tylko z daleka obrzucali go wyzwiskami. Zaczął chodzić z nożem i mówiono o nim, że jest szalony. Uzbrojony w cierpliwość czekał, aż pewnego dnia, kiedy był już w stanie pokonać strach przed ogromną, nieznaną przestrzenią, kiedy ciężar noża pod koszulą dał mu dostatecznie dużo sił, poszedł na oddaloną o osiem kosów stację kolejową i czekał na pociąg. Już wcześniej dowiedział się, jak ten pociąg się nazywa, dokąd

jedzie i o której godzinie. Kiedy pociąg przybył, Kiran wcisnął się do zatłoczonego wagonu.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie było wolnych miejsc, więc oparł się o stos stojących w przejściu wielkich, metalowych kufrów i czekał. Krawędzie kufrów wbijały mu się w żebra i nogi, ale ten ból sprawiał mu przyjemność. Odjeżdżał. Na każdej stacji pytał: „Czy to jest Bombaj?”. Kiedy w końcu jakiś człowiek powiedział „Tak”, wyskoczył na peron. Ale okazało się, że ten człowiek zażartował sobie z niego. Chciał dźgnąć tego mężczyznę nożem, ale pociąg już odjechał. Kiran musiał poczekać na następny. W końcu dotarł do miasta, i zaczekał, aż budynki staną się wielkie i bardzo stłoczone, a drogi zapełnią się samochodami. Teraz już nikogo nie pytał. Wsiadł, kiedy był już pewien.

– I dotarłeś do domu – powiedział łagodnie Garu–dzi. – A kiedy zostałeś Ganeśem?

– Kiedy tylko ktoś po raz pierwszy zapytał mnie, jak się nazywam. Sam nie wiem, dlaczego. Po prostu tak powiedziałem.

– Ganeś to ten, który ocalał. On zawsze żyje, cokolwiek by się działo. On zwycięża.

Siedziałem tak przez dłuższą chwilę, w ciszy, z dłonią Garu–dzi na mojej głowie. Byłem wyczerpany, jakbym wspiął się na wielką górę i zszedł po jej drugiej stronie, ale odczuwałem jakiś spokój. I z każdym uderzeniem tętna, nabierałem sił.

– Ganeśu, beta – odezwał się Garu–dzi – powinieneś już iść. W przeciwnym razie moi pomocnicy zaczną coś podejrzewać.

– Tak, Garu–dzi.

– Podjąłeś wielkie ryzyko, ale cieszę się, że tu przybyłeś. Spotkajmy się w Singapurze, zgodnie z planem.

– Tak, Garu–dzi.

Uściskał mnie mocno, przytulił do policzka moją łąsą głowę. A potem kazał mi odejść. Jeszcze raz dotknąłem jego stóp i wyszedłem. Ale rozstałem się tylko z jego ciałem, z jego kaleką fizycznością. On spojrział na mnie, wejrzał we mnie. Udzielił mi darśanu i przyjął mój. Teraz był już we mnie. Tętnił w moim sercu. Zabrałem ze sobą tę jego wielką siłę i czułem, jak pulsuje w moich ramionach, równie rzeczywista jak moja własna krew. Przemknąłem przez miasto, swobodnie i z łatwością gnałem przez znane mi aleje i przez skupiska przejeżdżających o tak późnej porze pojazdów. Potrafiłem przewidzieć, kiedy samochody i motoriksze zbliżą się do siebie, w którym miejscu się rozsuną, dostrzegałem geometrię ich trajektorii. Wiedziałem, dokąd zmierza ją, znałem przyszłość mknących świateł. Zanurzyłem się w tym błyszczącym strumieniu, niczego się nie bałem, moje ciało rozpoznawało prąd tej rzeki. Jej wody przenikały mnie.

Po powrocie do domu zjadłem posiłek z Bantim i powiedziałem mu, żeby zarezerwował mi miejsce na pierwszy lot do Singapuru. Ale musiałem odbyć jeszcze jedną krótką podróż. Ponownie wsiadłem na skuter, machnięciem ręki odgoniłem przestrogi Bantiego, który gderał jak stara baba, i odjechałem. Znowu z przyjemnością mknąłem gładkimi drogami, mijając zielone światła, i nie minęło dwadzieścia pięć minut, a ja już dotarłem do Jari Road. Tam musiałem dwóch taksówkarzy pytać o kierunek, ale po pokonaniu ostatniego zakrętu, ze sklepikiem z papierosami na rogu, poznałem już drogę. Chyba z tuzin razy Dźodźo opowiadała mi to na moją prośbę, więc potrafiłem wyobrazić sobie okoliczne uliczki i jej dom. Pojechałem łukiem w lewo i zaparkowałem przy bramie jej domu. Jej niebieska honda stała na drugim miejscu parkingowym po prawej, pod numerem 36A. Policzyłem kondygnacje, raz, dwa, trzy, i znalazłem narożne mieszkanie. Paliło się u niej światło. Wykręciłem numer telefonu.



- Ganeś? – zapytała. – Ganeś?
- A kto inny miałby dzwonić z tego telefonu?
- Nie bądź taki mądry. Gdzie byłeś?
- Musiałem wyjechać.
- A jak wyjeżdżasz, to nie możesz zadzwonić? Co się z tobą dzieje?
- Wszystko w porządku, Dźodźo. Dlaczego tak się złościł?
- Bo jesteś bezmyślnym wariatem.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Nikt na świecie tak ze mną nie rozmawiał.

- Chyba mnie lubisz, Dźodźo.
- Nie za bardzo. A i tak nie wiem, dlaczego. Chyba zwariowałam.

Przez drugie okno przesunął się jakiś cień. Wyobrażałem ją sobie, jak stąpa po pokoju i ze złością wymachuje wolną ręką przed nosem odległego wariata.

- Dźodźo, jeśli lubisz mnie choć trochę, mam pewien pomysł.

– Jaki?

– Spotkajmy się.

– Gaitonde, wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy.

– Ale teraz jest inaczej.

– Niby dlaczego?

– Bo ja jestem innym człowiekiem.

– Pod jakim względem?

– Musisz się ze mną spotkać i sama zobaczyć. W przeciwnym razie nigdy się nie dowiesz.

Zastanowiła się nad tym. Za oknem ponownie przesunął się ten cień.

– Gaitonde – powiedziała – ale ja wciąż jestem taka sama.

– Nie chcesz się więc spotkać?

– Nie chcę się spotkać.

– Ostatnia szansa.

– Gaitonde, nie spieraj się ze mną. Jestem zbyt zmęczona.

Nie spierałem się z nią. Porozmawiałem z nią jeszcze przez dziesięć minut, o jej pracy, nowym thoku, o jej dziewczynach. Miło było porozmawiać z nią, powrócić do tego naszego przekomarzania się i do tej naszej przyjaźni.

– Mówisz, jakbyś był szczęśliwy – stwierdziła.

– Bo jestem – odparłem. – Jestem. – Uniosłem dłoń w stronę pilnujących jej budynku dwóch strażników, którzy w końcu mnie dostrzegli i wstali ze swoich wygodnych krzesełek, żeby podejść do bramy. – Muszę już iść, Dźodźo – powiedziałem, i rozłączyłem się.

– Hej, bohaterze! – zaczepił mnie przez bramę jeden ze strażników. – Zatarasowałeś naszą bramę.

Niczego nie tarasowałem, a oni byli nieuprzejmi. Czułem jednak życzliwość do wszystkich.

– Już jadę – odparłem cicho. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i włączyłem światła. W tym momencie Dźodźo podeszła do okna. Musiała dostrzec w ciemnościach pas żółtego światła. Ja ją zobaczyłem, to muśnięcie światła na jej głowie i ramionach. Ale jestem pewien, że ona mnie nie widziała.

Kiedy nasi ludzie zlikwidowali tego mułę w Londynie, przebywałem w Singapurze. *Maulana Mehmud Ghose zamordowany w Londynie*, brzmiał napis u dołu pierwszej strony „Straits Times”. BBC World Report poświęcił temu zabójstwu cały program, a potem przedstawił dyskusję panelową, w której uczestniczyło dwóch dziennikarzy i jeden profesor. Omawiali konsekwencje tego zabójstwa i listę potencjalnych zamachowców: konkurencyjne organizacje wojujące w Pakistanie, rewolucyjne grupy

Afgańczyków, różne agencje wywiadowcze, Izraelczyków, Indusów, Amerykanów. Ostatecznie doszli do przekonania, że to prawdopodobnie Izraelczycy.

Data wizyty mułły w Londynie została przesunięta, w związku z czym pan Kumar przesunął również datę operacji na pierwszy dzień pobytu mułły w Londynie.

– Postarajcie się dorwać go, zanim jeszcze zacznie rozmawiać z mediami – powiedział pan Kumar.

Tak też zrobiliśmy. Pomimo tego całego pośpiechu wykonaliśmy robotę bez zarzutu. Akcja nie należała do łatwych. Był podwójnie chroniony, przez własnych ludzi i przez brytyjską policję. Powiedziano nam, żebyśmy nie używali dużej bomby, nie można bowiem dopuścić do masakry osób cywilnych w stolicy zaprzyjaźnionego państwa. Wykonaliśmy więc tę robotę za pomocą małej bomby. Jego pokój w hotelu został dokładnie przeszukany, podobnie jak i jego samochód. Cała akcja była bardzo precyzyjnie opracowana. Pan Kumar zawczasu poznał nazwę małego, luksusowego hotelu, w którym mułła miał się zatrzymać, dowiedział się też, że na najwyższym piętrze tego hotelu są tylko dwa apartamenty. W szczegółowych wytycznych, przesłanych nam przez pana Kumara, podkreślono, że mułła w przeszłości był inżynierem elektrykiem, że podróżuje z laptopem, z którego korzysta do czytania gazet z całego świata i do – jak można przypuszczać – wymiany szyfrowanych e-maili ze swoimi ludźmi. Z kartoteki pana Kumara dowiedzieliśmy się, że lubi to robić wieczorami, leżąc w łóżku i pogryzając orzeszki pistacjowe. Pomajstrowaliśmy więc w tych dwóch apartamentach przy gniazdkach po obu stronach łóżek. Ochrona sprawdziła pomieszczenie pod kątem bomb i urządzeń podsłuchowych, ale gniazdka nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Kiedy pierwszej nocy w hotelu mułła podłączył do prądu swojego laptopa,

spalił zarówno zasilacz, jak i komputer. Zaczął przeklinać i wymyślać, i w końcu kazał swoim ludziom wezwać recepcję. Recepcjonistka przeprosiła go i zaproponowała, że otworzy mu umieszczoną na dole salę centrum biznesu, gdzie będzie mógł skorzystać z łącza szerokopasmowego. Wciąż przeklinając, mułła chwycił swoją miseczkę z orzeszkami i ruszył do centrum biznesu. Jego ochroniarze zabrali się za sprawdzenie tego pomieszczenia, ale on aż gotował się ze złości, wściekał się i stojąc tuż za drzwiami, poganiał ich. Komputer w pomieszczeniu był już uruchomiony, a mułła chciał wreszcie skorzystać z połączenia. Był bardzo niecierpliwy. Wszedł do środka i usiadł przy komputerze. Przez dziesięć minut przeglądał jedną gazetę po drugiej, zaśmiecając podłogę łupinami orzeszków pistacjowych. W pewnym momencie jakiś mężczyzna, siedzący w holu biały Europejczyk, zadzwonił ze swojej komórki. A chwilę później inny człowiek, siedzący w zaparkowanym przed hotelem samochodzie Indus, nacisnął coś w swojej kieszeni. Nagle klawiatura pod dłońmi mułły eksplodowała, urywając mu obie ręce w łokciach i miotając małe, plastikowe, oznaczone angielskimi literami klawisze wprost w jego mózg.

Nasza operacja została przeprowadzona w sposób elegancki i olśniewający. Nawet pan Kumar to potwierdził.

– Nikt nie uwierzy, że to była indyjska operacja – rzekł.

– Dlaczego, czyżby sądzili, że moi ludzie nie są na tyle mądrzy, żeby czegoś takiego dokonać? Jesteśmy zbyt dehati, żeby zrobić coś z komputerami?

– To nie tylko o to chodzi, Ganeśu – odparł pan Kumar. – Cały świat, włączając w to naszą własną, wolną prasę indyjską, nie zdoła uwierzyć, że my to zrobiliśmy.

– Sahibie, mogę dostarczyć dowody...

– Niech już tak zostanie, Ganeśu. Niech sobie myślą, że to byli wspaniali Izraelczycy. Niech nas lekceważą. Lepiej, kiedy wróg jest zdezorientowany, niż kiedy my mu imponujemy, a on ma się na baczności. Niech już tak zostanie. Mówiłem ci, jesteśmy niewidzialnymi żołnierzami, nie dostajemy orderów.

Postanowiliśmy więc nic nie robić, nic nie zmieniać. Było to trochę frustrujące, że tak wielkie zwycięstwo nie przyniosło rozgłosu, ale rozumiałem punkt widzenia pana Kumara. Przez całe życie omijały go wyrazy uznania, ale muszę przyznać, że dla nas było to wyjątkowo trudne. Wszystkim moim ludziom, którzy zaangażowali się w tę akcję, przyznałem potrójną premię i zafundowałem wakacje na Bali. Oczywiście, powstrzymałem się też przed opowiedzeniem o tej operacji Garu-dzi, którego zafascynowały szczegóły tego wydarzenia.

– Ci Izraelczycy naprawdę potrafią poznać psychikę obiektu ataku – powiedział.

Czasami cieszyłem się, że jego dar jasnowidzenia nie wszystko obejmuje. Ale ponieważ Garu-dzi zobaczył obrazy jakiejś grupy agresywnych ludzi, którzy go szukali, polowali na niego, postanowił wzmóc własne środki bezpieczeństwa. Udzielałem mu w tym zakresie rad. Przecież w Bombaju udało mi się zbliżyć do niego i ani razu nikt mnie nie przeszukał.

Psychiki Garu-dzi zupełnie nie rozumiałem, ale wiedziałem o nim tyle: urodził się w pobliżu Sialkotu, 14 lutego 1934 roku, o godzinie 21:42. Dorastał na terenie całego Pendżabu, przenosząc się z jednej bazy lotniczej do drugiej w ślad za swoim ojcem, który pracował jako technik lotniczy. Po podziale kraju znaleźli się na wschodzie, ale bezpiecznie, pod ochroną wojska, przejechali na drugą stronę i najpierw osiedlili się w Dźodhpurze, a potem w Pathankocie. Wkrótce Garu-dzi został znanym sportowcem, od

ósmej klasy był kapitanem wszystkich drużyn krykieta, w których grał. Zrodziły się nadzieje i oczekiwania, że być może zagra w drużynie narodowej. W Pathankocie, na tydzień przez swoimi osiemnastymi urodzinami, pożyczył motocykl ojca, żeby pojechać do kina i spotkać się tam ze swoimi kolegami. Wypadł z drogi w pobliżu głównego wejścia do garnizonu, niedaleko zdobycznego pakistańskiego czołgu z obwisłym działem. Dzień był jasny, słoneczny, żadnych płam wody czy oleju na drodze. Nikt nie wiedział, jak do tego doszło. Żandarmeria wojskowa zabrała go do pobliskiego szpitala wojskowego, gdzie udzielono mu natychmiastowej opieki lekarskiej. Ale miał uszkodzony kręgosłup lędźwiowy i stracił władzę w dolnej części ciała.

– Kiedy obudziłem się pierwszego dnia mojej męskości – powiedział mi w Singapurze – okazało się, że jestem tylko w połowie mężczyzną. Ale wtedy, Ganeśu, pojawiło się coś innego.

Czymś innym były jego wizje. Przed wypadkiem był normalnym chłopakiem z Pendżabu, interesującym się krykietem, szybkimi motocyklami, dobrym jedzeniem, swoimi jarami i egzaminami. Tak jak wszyscy, w zasadzie wierzył w nieustraszonego Hanumana, chodził z matką do świątyni i plotkował na weselach, podczas śpiewów kapłanów. Na tym kończyła się jego duchowość. Ale po wypadku zaczęły nawiedzać go wizje. Widział przeszłość i przyszłość. Nie były to jakieś obrazy odrealnione, bezładne i rozmyte. Dokładnie widział szczegóły, potrafił rozpoznać kolor języka mężczyzny, haft na chusteczce kobiety. Wyczuwał zapach oleju do gotowania, słyszał, jak rozbryzguje się woda na ceglach. Dwa dni po odzyskaniu świadomości powiedział do pielęgniarki:

– Ten mężczyzna, Fred czy Philip, który dał pani złoty naszyjnik, wciąż o pani myśli.

Personel szpitalny jest przyzwyczajony do mających pacjentów. Ale ta pielęgniarka była zakochana w dużo starszym kuzynie męża i nigdy nikomu o tym nie mówili, a już z pewnością nie mówiła nic temu rannemu chłopcu. Od tego czasu jego sława zaczęła rosnąć i rozprzestrzeniać się po całym mieście, a także poza jego granice. Wtedy też zaczęła się jego wielka wewnętrzna podróż, podjął próbę zrozumienia natury własnego ja, czasu i wszechświata.

– Musiałem postarać się zrozumieć, co się ze mną działo, Ganeśu – powiedział.

Kiedy tylko wstał z łóżka szpitalnego, zaczął medytować i czytać, spotykał się z filozofami, sadhu, znawcami tantryzmu i panditami. Było to długie, nieustanne poszukiwanie.

– Odnalazłem się w swoim kalectwie. Ze świata zewnętrznego trafiłem do świata wewnętrznego.

Ale to nie oznaczało, że przestał go interesować świat zewnętrzny. Pasjonowała go nauka, nowa wiedza dnia dzisiejszego. Czytał wszystkie czasopisma naukowe, które wpadły mu w ręce, grube książki na temat tego, co chodziło po ziemi przed pojawieniem się na niej człowieka i co w przyszłości będzie latać w kosmosie. Żywo interesował się najnowszymi wynalazkami i innowacjami w dziedzinie komputerów i rozmawiał ze mną o medycynie, laserach i klonowaniu. Miał wózek inwalidzki, który potrafił samodzielnie wspinać się po schodach, pokonywać zakręty na dwóch kółkach i utrzymywać równowagę na jednym. Oczy mu płonęły, kiedy mówił o żyroskopach, o oprogramowaniu i ekologicznym generowaniu energii. Był członkiem zarządu na trzech uniwersytetach. Był człowiekiem świeckim. Nie żywił tej irracjonalnej nienawiści do muzułmanów, którą tak często spotykałem w Indiach i poza ich granicami, tego obrzydzenia dla burek, jedzenia wołowiny i brudnych przyzwyczajień. Garu-dži chętnie

witał muzułmanów, widząc ich na swoich kazaniach, cieszył się, kiedy znajdowali się wśród jego wyznawców. Nie lubił natomiast tej skłonności muzułmanów do ekspansji, do zabierania wszystkiego dla siebie i tej ich nieustannej chęci rządzenia. Podkreślał, że zawsze stanowili przyczynę problemów społecznych we wszystkich krajach, w których zamieszkiwali, i że nigdy nie szli z postępem. Powiedział mi to oczywiście w zaufaniu. W swoich publicznych wystąpieniach był powściągliwy. Ale kiedy był sam, mówił mi:

– Po upadku masdżidu i po zamieszkach, Ganeśu, zaczęli ściągać broń z zagranicy.

To prawda. Moje własne źródła też to potwierdzały. Zjeżdżały ogromne dostawy karabinków automatycznych i granatów. Opowiadano nawet o dostawach broni przeciwpancernej i pocisków stinger.

Gdyby tylko oni chcieli współżyć z nami w ramach naszej kultury, powiedział Garu–dzi, gdyby tylko znali swoje miejsce i starali się zintegrować, nie byłoby żadnych problemów. Ale w ich religii istnieje pewna skłonność, która czyni ich niebezpiecznymi.

– I dlatego – stwierdził Garu–dzi – my również musimy być przygotowani. My również musimy się zbroić, pomimo tchórzostwa naszych polityków.

Przygotowywaliśmy się więc. Zbroiliśmy się, a on dalej finansował tę potajemną działalność i nie ustawał w swoich wysiłkach zdążających do poinformowania świata i przygotowania go na nadciągający kataklizm, na koniec Kalijugi.

Siedzieliśmy w Singapurze na dachu, a on opowiedział mi o swojej pracy na uniwersytetach, o swoich nadziejach edukacyjnych na przyszłość. Byliśmy w Singapurze, musiałem więc powstrzymać się przed spluwaniem za balustradę, na ulicę i na zdyscyplinowanych Singapurczyków. Ale Garu–



dźi uwielbiał to miejsce. Podobała mu się ta higiena, przepisy i rygor, i Singapurczycy, korzystał z tego miasta jako punktu pośredniego między podróżami. Mieszkał tu jego inny bogaty wyznawca, wielki właściciel ziemski, który oddał Garu-dźi do dyspozycji ogromny, luksusowy apartament na ostatnim piętrze budynku przy Tanglin Road. Apartament był wyposażony w spory balkon, na którym znajdowały się naturalnej wielkości drzewa i gruby dywan darni. Z tego balkonu oglądaliśmy mieniące się światłami dachy na tle nieba. Garu-dźi lubił ten wysoko położony ogród.

– Ganeśu, gdyby tylko dobrze rządzono naszym krajem – powiedział mi – moglibyśmy to wszystko mieć. Dlaczego tego nie mamy? Przecież mamy środki. A i talentów u nas nie brakuje. Ale brakuje nam woli politycznej i brakuje nam odpowiednich struktur. Brakuje nam dyscypliny, zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

– Garu-dźi, ty nas poprowadzisz do Ramradźji.

– Czyżbyś mi schlebiał, Ganeśu?

Chrupał marchewki i patrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

– Oczywiście, że nie, Garu-dźi. – Siedziałem rozparty na fotelu obok, z podniesionymi do góry gołymi stopami. Wyjeżdżając z Indii, z Delhi, użyłem innego paszportu i nazwiska, a także zgoliłem brodę. W Singapurze co wieczór przychodziłem do Garu-dźi jako konsultant handlowy i wspólnie jedliśmy kolację w ogrodzie. Rozmawialiśmy o wszystkim: o świecie, o moim życiu. Opowiadałem mu o początkach w Gopalmacie, o śmierci mojego syna. Znał mnie nie gorzej niż inni, znał mnie lepiej niż ktokolwiek.

– Niecierpliwisz się? – zapytał.

– Miałbym się niecierpliwić?

– Minęło już pięć dni. Pewnie chciałbyś już przejść tę inicjację i wrócić do domu, do pracy.

– Nie, Garu–dzi, wcale tak nie jest. Moja praca trwa nieprzerwanie, a ja i tak zajmuję się nią przez telefon. Natomiast czas spędzany z tobą jest dla mnie ukojeniem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. Ale martwię się.

– Czym?

– Bezpieczeństwem. Im dłużej tu przebywam, tym bardziej jest to niebezpieczne. I dla mnie, i dla ciebie. Gdyby ktoś mnie rozpoznał...

– To prawda.

– A ludzie ciągle mnie szukają.

– Twoi wrogowie.

– Nie chciałbym cię narażać, Garu–dzi.

– Rozumiem. I zgadzam się z tobą. Ale to jest niezbędne. – Zjadł kolejną marchewkę. – Ganeśu, czy wiesz, jak wygląda inicjacja? Co będziemy robić?

– Nie, Garu–dzi. To chyba coś w rodzaju puja. Jakaś tajemna mantra. Jakiś obrzęd.

Znowu się uśmiechał do mnie.

– Jakiś obrzęd ofiarowania człowieka? Dziecko mordowane na ołtarzu jakiejś potwornej bogini?

– Jeśli jest to niezbędne...

Uniósł ramiona w górę.

– Are ćup, Ganeśu. Nie, nic z tych rzeczy. Obrzęd ma wielką moc, ale ty przeszedłeś już ze mną pewien obrzęd. Przeszedłeś ze mną przez ofiarę. Nie, ty teraz nie potrzebujesz obrzędu. Nie. Chcesz wiedzieć, na czym polega twoja inicjacja? Proszę bardzo: minione pięć dni stanowiło twoją inicjację.

– Garu–dzi?

– Siedziałeś tu i opowiadałeś mi o sobie. Oddałeś mi każdą cząstkę siebie. Opowiedziałeś mi rzeczy, których nigdy wcześniej nikomu nie wyznawałeś.

To prawda. Mówiłem mu o swoim strachu przed kulami, o pożądaniu kobiet, o tym złocie, dzięki któremu zacząłem swoją karierę, i o tym, jak wszedłem w jego posiadanie. Opowiedziałem mu wszystko, z wyjątkiem tego, że pracowałem dla pana Kumara. To dotyczyło mojego innego ja, którego nie mogłem Garu-dzi wyjawić.

Następnego dnia wyjechałem z Singapuru. W drodze na lotnisko po raz ostatni spotkałem się z Garu-dzi, tylko na pięć minut. On również przygotowywał się do podróży, tym razem wybierał się do Afryki Południowej. Spotkaliśmy się w kuchni centrum kongresowego, w którym wygłaszał wykład dla grupy badaczy historii hinduizmu. Dotknąłem jego stóp.

– Czuję światłość, Garu-dzi – powiedziałem. – Jakby rozsunięto zasłony. Jakby otwarto okno.

Był ze mnie dumny, promieniał zadowoleniem. Radował się, patrząc na mnie.

– Wiem – odrzekł. – Jesteś prawdziwym wirą. Najwięcej odwagi trzeba, aby podjąć podróż do wnętrza. A ty byłeś nieustraszony. I jesteś teraz gotów ruszyć dalej.

Widziałem, że ma jakiś plan. Również i ja lepiej go poznałem. Właśnie to daje darśan. Zajrzeliśmy sobie nawzajem do wnętrza.

– Dokąd ruszyć, Garu-dzi? Dokąd teraz zmierzam?

– Do tej dziewczyny.

– Jakiej dziewczyny?

– Już zapomniałeś? Tej dziewczyny, o której mi mówiłeś, przecież przesłałeś mi o niej szczegółowe informacje.

– Ach, ta wielka dziewczyna.

– Tak, ta muzułmańska dziewica. Poślij po nią, Ganeśu.

– Czyli nasze gwiazdy pasują do siebie, Garu-dzi?

– Ganeśu, ty zmieniłeś ruch gwiazd. Jesteś dzielnym człowiekiem. Bierz tę dziewczynę. Teraz my poruszymy ten świat. Bierz tę dziewczynę. I od tej chwili musisz mieć tylko dziewice.

– Dziewice?

– Jesteś wirą, a największą moc dadzą ci dziewice. Będziesz wiedział, że są czyste, i będzie cię to wzmacniać. A w nadchodzących czasach moc będzie ci potrzebna.

Musiał już wracać do czekających na niego historyków. Pożegnaliśmy się więc, objęliśmy się mocno, spowici zapachem kwiatów i gotującego się jedzenia. Pojechałem do domu, do mojego zamku na wodzie. I kazałem przywieźć sobie tę wielką dziewicę.

## Śledztwo w sprawie miłości



**K. R.** Dżajant, poket-mar, zadzwonił do Sartadza w sobotę, późnym wieczorem.

– Mam tego chokrę w czerwonym T-shircie – powiedział.

W rzeczywistości nie miał tego chłopca przy sobie, ale znał jego imię i nazwisko, znał imiona chłopców, którzy z nim pracowali, a także wiedział, na którym ganku śpią. Dżajant bardzo dokładnie opisał, jak to baczenie rozglądał się za czerwonym T-shirtem, jak stale zachowywał czujność, jak to zostawał pod kinem dłużej, już po godzinach swojej pracy. I w końcu, w ten sobotni wieczór, kiedy przewaliły się tłumy zdążające na wieczorny spektakl, zauważył Czerwonego T-shirta, który kręcił się po parkingu i zebrał wśród spóźnialskich. Dżajant był sprytny i trzymał się z dala. Kiedy ostatni widzowie zniknęli z uliczki i parkingu, skinął na Czerwonego T-shirta. Chłopiec był podejrzliwy, ale podszedł, w towarzystwie dwóch swoich jar. Dżajant odpowiednio się ustawił, tak żeby patrzeć pod najlepszym kątem, i kiedy tylko Czerwony T-shirt się odezwał, Dżajant dostrzegł ten czarny ząb. Znalazł właściwego chokrę. Byli to mali twardziele, bosonodzy, zawzięci i nieufni. Ale udało mu się ich skusić, głównie dzięki pieniądzom, które im wręczył. Powiedział im, że znajomy szuka do pewnej roboty takich właśnie chłopaków.

– Do jakiej roboty? – zapytał Czerwony T-shirt, wsuwając środkowy palec w utworzone z palców drugiej ręki kółko. Dżajant zapewnił ich, że nikt nie miał zamiaru ich ćodać, że ten jego znajomek handluje różnymi ciekawymi towarami i potrzebuje kilku bystrych chłopaków, którzy

mogliby coś mu przynosić i służyć za posłańców. Dał im też sto rupii i powiedział, że czekają ich następne pieniądze, i to zupełnie spore.

– Powiedziałeś im, że jestem bhai? – spytał Sartadź.

– Nie, skądże – odrzekł Dżajant. – Tylko gościem zajmującym się importem i eksportem. W przeciwnym razie niczego bym od nich nie wyciągnął. A tak, jak widzisz, wszystko zagrało. Mamy tych małych sukinsynów. Jutro ich przyprowadzę.

Informatorzy lubią czuć się dowartościowani, jeszcze bardziej niż świadkowie, więc Sartadź pochwalił Dżajanta. Niektórzy z nich wyobrażali sobie, że dzięki dostarczanym informacjom stają się częścią zespołu walczącego z przestępczością, że razem z Sartadżem przeciwstawiają się innemu, sukinsyńskiemu przestępcom. Sartadź słyszał to z tysiąc razy i wciąż odczuwał lekki dreszczyk zdumienia, że nawet najmarniejsze złodziejaszki potrafią uważać się za detektywów. Jakże łatwo przystroić własne występki w piórka taniej moralności. Wszyscy śmierdzimy, pomyślał, ale nikt z nas nie lubi wachać swojego smrodu. Powiedział więc:

– To prawda, mamy tych małych sukinsynów. Dobra robota.

Sartadź zapisał sobie imiona tych ćhokrów i umówił się z Dżajantem na następne popołudnie. Odłożył słuchawkę, czując lekkie podniecenie na myśl, że sprawa rusza do przodu, że udało się znaleźć ten niepewny punkt oparcia na urwisku nieznanego. Ale w tym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, jak gorączka monsunowa, opadły go zmartwienia z powodu bomb i zagłady. Poczul się głupio, że potrafi cieszyć się z informacji Dżajanta, że pracuje nad innymi sprawami. Jakież sens zajmować się tymi codziennymi przestępstwami szantażu, kradzieży, zabójstw, kiedy nad głową kłębi się ten przeogromny strach? To niebezpieczeństwo nie miało związku z rzeczywistością, ta ponura wizja pożogi była nierealna. Ale pod zimnym prysznicem atakujących go obrazów sprawy przyziemne

traciły na znaczeniu. Sartadź zamrugał. Siedział przy biurku, w swoim obskurnym, małym biurze, w otoczeniu zniszczonych ławek i nieuporządkowanych półek. Kamble garbił się nad raportem. Na zewnątrz, na korytarzu, dwóch policjantów z czegoś się śmiało. Z okna padała wąska smuga światła, a na parapecie podskakiwały małe wróbelki. To wszystko sprawiało wrażenie snu, było zwiewne jak tchnienie wczesnego poranka. Jeśli tylko dopuścić do siebie myśl, że ta inna, ta potworna rzecz może być w choćby niewielkim stopniu realna, to ten pozornie normalny świat przekupstwa, rozwodów i rachunków za prąd gdzieś znika. Ginie, pożerany przez ten obraz.

Trzymaj się szczegółów. Sartadź przetarł oczy, pokręcił głową. Trzymaj się szczegółów. Rzeczywiste są tylko detale. Nagle uznał za ważne zainteresowanie sprawami pani Kamali Pandej, jej wstrętnym cudzołóstwem i tym ćhokrą w czerwonym T-shircie. Sartadź poczuł lojalność wobec normalności, nagłą sympatię dla pani Pandej, dla jej blichtru, wymalowanej twarzy i pragnienia, aby być atrakcyjną. Ale to pytanie go nie odstępowało: kim był guru Gaitondego? Nie miał pojęcia. Guru byli wszędzie, na każdym rogu, w każdym miejscu. Guru dla mahometan i guru wedyjscy, guru urodzeni na Hawajach z japońskich rodziców, a także guru, którzy przeczyli istnieniu Boga. Niektórzy guru sprzedawali proszki ziołowe, inni chorym na raka zalecali łykać magiczną złotą rybkę. Gaitonde mógł być wyznawcą każdego z nich. Może miał jakiegoś guru, który dla nikogo innego nie był guru, może był cełą jakiegoś prywatnego guru. Sartadź znał pewnego człowieka piastującego wysokie stanowisko w przemyśle farmaceutycznym w Ćemburze, żywiącego się wyłącznie owocami. Jedynymi jego uczniami byli synowie, córki i najbliżsi przyjaciele. Nie przyjmował żadnych podarków i rzekomo w dzień Guru Purnimy świecił złotym blaskiem. Tajemniczy guru Gaitondego mógł być

nieznanym guru. Ludzie znajdowali związki duchowe w najbardziej dziwnych i nieoczekiwanych miejscach, potrafili znaleźć pomoc i pocieszenie w rolnikach i pracownikach poczty. Zdarzali się i policjanci, którzy przepowiadali przyszłość i praktykowali tantryzm lewej ręki. Gdzie szukać guru Gaitondego? Tego Sartadź nie wiedział.

– Masz jakiegoś guru? – zapytał Sartadź Kamblego w niedzielne popołudnie, kiedy spotkali się w pobliżu Apsary. Czekali w restauracji niedaleko kina i popijali coca-colę. Kamble przyszedł w swoim najlepszym świątecznym ubraniu, w szarym garniturze typu bandhgala z materiału przetykanego srebrną nicią. Później wybierał się na ślub.

– Oczywiście, że mam guru – odparł Kamble, zdejmując marynarkę. Pod spodem miał srebrzystą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem *à la* Nehru. – Mieszka w Amrawati. Raz do roku jeżdżę tam, żeby przyjąć jego darśan. Spójrz. – Pochylił się i wyjął jeden z dwóch złotych łańcuchów, które nosił na szyi. W sześciokątym wisiorze widniała mała podobizna jego guru, mężczyzny o okrągłej twarzy okolonej bujną brodą. – Nazywa się Sandilja Baba i jest wyznawcą Ambadewi. Ona udzieliła mu wielu darśanów.

Sartadź z trudem tłumił ironię w głosie.

– Ona do niego przychodzi i z nim rozmawia?

– Tak, rozmawia z nim. Jest najbardziej zadowolonym człowiekiem, jakiego znam. Zawsze jest szczęśliwy. – Kamble wsunął wisior z powrotem za koszulę. – A wy, sardarzy, macie swoich guru? Oprócz tych pierwotnych?

– Tak, mamy przeróżnych babów. Niektórzy ludzie podążają za nimi.

– A ty nie?

– Nie, ja nie.

– Nie masz swojego guru. Dlaczego?



Pytanie było zupełnie racjonalne, ale Sartadź nie potrafił na nie odpowiedzieć. Postukał w zegarek.

– Już prawie czas – powiedział. – Lepiej się przygotujmy.

Kamble wysunął się z boksu, zabierając swoją butelkę.

– Powinieneś znaleźć sobie guru – stwierdził. – Każdy potrzebuje życiowego przewodnika.

Oddalił się od Sartadźa, usiadł przy stoliku w pobliżu drzwi i zajął się gazetą. Jego zadaniem było udawać nieznanego, miał pozostać w odwodzie na wypadek, gdyby chłopcy chcieli uciec. Prawdopodobnie jego przydatność jako rezerwowego byłaby większa, gdyby miał nieco mniej pretensjonalne ubranie i koszulę, ale Kamble taki już był. Sartadź wytarł chusteczką higieniczną nierówny laminat stolika, zastanawiając się, co Sandilja Baba myśli o świecących garniturach, o łapówkach i o policyjnych zasadkach. Może jego zadaniem było uzyskiwanie rozgrzeszenia za występki w jakimś większym, niebiańskim systemie sprawiedliwości, może jemu nie przeszkadza aż tak bardzo, że gdzieś tam naginano przepisy. Ten Sandilja Baba był w końcu przewodnikiem do życia w Kalijudze.

Właściciel restauracji stał na krześle i kręcił gałkami radiodbiornika wciśniętego na małą półeczkę nad szafką wnękową. W końcu udało mu się odpowiednio ustawić odbiór i wśród cichego furkotu wentylatorów sufitowych zabrzmiały dźwięki piosenki *Gota rahe mera dii, tu hi meri manzi*<sup>34</sup>. Sartadź dopił colę i poprosił o następną.

Kamble wierzył zatem w Ambadewi, a jego pośrednikiem był Sandilja Baba. Sartadź pomyślał, że chyba dobrze mieć wiarę. On sam nigdy tego nie doświadczył. Nawet w dzieciństwie, stojąc w gurudwarze obok Papydźi, kiedy zamykał oczy i modlił się, jak go nauczono, zmuszał się, żeby wywołać w sobie odpowiednie uczucie oddania. Dla Papydźi Waheguru był żywą siłą, obecną w każdym dniu jego życia, co rano modlił się do

niego, i szeptał jego imię, kiedy palec u nogi nabrzmiewał mu podagrą. Dla Sartadża Waheguru zawsze stanowił jakieś odległe, mgliste wyobrażenie, jakieś nieokreślone pojęcie, w które z chęcią by uwierzył, gdyby tylko potrafił. Ale kiedy starał się sięgnąć do Waheguru, znajdował jedynie bolesną pustkę. Nadal jednak chodził z ma do gurudwary, nie ścinał długich włosów, nosił na ręce karę, a w kieszeni miniaturowy kirpan. Robił tak, ponieważ ta tradycja dodawała mu otuchy, i ze względu na uczucie, które żywił do rodziców, ze względu na dumę, że jest sikhem. W głębi duszy zawsze była jednak ta tajemna pustka, ta nieobecność Waheguru. Tak, miło byłoby mieć jakiegoś guru, jakiegoś pośrednika, który osobiście rozmawiał z wszechmocnym. Ale Papa-dzi z dezaprobatą odnosił do tych wszystkich nowomodnych babów, tych wszystkich szarlatanów – khalsa ma Guru Granth Sahib, powiadał, a ta księga jest jedynym guru, jakiego sikh potrzebuje. W tym zakresie był bardzo ortodoksyjny.

Do dhaba weszło trzech chłopców, a za nimi Dżajant. Kiedy minęli Kamblego, Sartadź skinął na Dżajanta.

– Siadajcie – rzekł.

Trzech chókrów usiadło po jednej stronie boksu, ramię przy ramieniu. Najmniejszy z nich, który zajął miejsce z prawej strony, na końcu, od razu sięgnął po łyżeczkę i zaczął obracać ją w ręce. Dżajant wsunął się na miejsce obok Sartadża i dokonał prezentacji, zaczynając od lewej.

– To są Ramu, Tedź i Dżatin. A to jest sahib Singh, o którym wam mówiłem.

– Co to za robota? – To zapytał Ramu, najstarszy i najwyraźniej ich prowodyr. Tym razem miał na sobie czarny T-shirt ze srebrnymi gwiazdami, nie ten czerwony, w którym widział go Dżajant. Był tak samo chudy jak pozostała dwójka, pokryty taką samą warstwą brudu i z tak samo sztywnymi od kurzu włosami, ale widać było, że ma klasę, jego czarne oczy

rzucali pewne spojrzenie i nie bał się. Po prostu był nieufny. Sartadź sam wybrałby go na odbiorcę paczki.

– Napijcie się coca-coli? – zapytał Sartadź. – Może coś zjecie? – Ramu pokręcił głową. Pozostała dwójka nie poruszyła się, posłuszna jego przywództwu, ale Sartadź wyczuwał ich głód, jak drżenie rozgrzanego powietrza nad stolikiem. Uniósł dłoń. – Hej! – zawołał. – Cztery coca-cole i trzy kurczaki birjani. Tylko szybko.

Ramu nie podobała się ta zwłoka w omawianiu interesów, ale jeszcze nie był gotów rzucać się do ucieczki. Siedział spokojnie, a pozostała dwójka szła za jego przykładem. Mieli po dwanaście, może trzynaście lat, wszyscy nieokrzesani i przedwcześnie rozwinięci. Na szyi Tedża widać było szramę, która ciągnęła się aż do włosów. Kiedy tylko na stole pojawiły się talerze, cała trójka z zapalem zabrała się za ogromne sterty ryżu i kurczaki. Mały Dżatin jadł równie szybko jak pozostała dwójka, ale teraz zafascynowała go stojąca przed nim szklanka z wodą. Między jednym kęsem a drugim zataczał nią szybkie kręgi, nawet nie podnosząc wzroku. Sartadź zobaczył ponad ich podskakującymi głowami, że Kamble stuka w zegarek. Musiał zdążyć na ślub.

– Kto to? – zapytał Ramu, odwracając się. Zauważył spojrzenie Sartadźa. Kiedy się odwracał, Sartadź dostrzegł ten poczerwiałą ząb. Kamala Pandej nieźle się spisała, zauważając tę kosmetyczną wadę w tak krótkiej chwili, kiedy Ramu znalazł się w jej pobliżu. Tak, ona jest niezłą ćhuri, żeby urządzać sobie romans tuż pod nosem męża. Ale trzeba było skupić się na tym Ramu, dzierżącym nogę kurczaka i sprawiającym wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– To mój znajomy – odparł Sartadź.

– Dlaczego nie siedzi tutaj?

– Woli siedzieć tam. Posłuchaj, Ramu. Wiesz, kim jestem?

Ramu odłożył kurczaka.

– Sahib o coś cię zapytał – odezwał się Dżajant. Wypił coca-colę i teraz wycierał kąciki ust czystą, białą chusteczką. – Czy wiesz, kim jest sahib?

Ramu i Tedź starali się przejrzeć Sartadźa, patrzyli na niego z szeroko otwartymi oczami, zapominając o jedzeniu. Nagle Ramu spojrzął przez ramię. Na miejscu za nim już siedział Kamble, z ręką ułożoną wzdłuż oparcia boksu.

– Behenćod – odezwał się Ramu do Dżajanta, głosem kipiącym od gorzkości. – Ty stary gandu, zaprowadziłeś nas na policję. Behenćodzie, ja cię jeszcze dorwę. Zobaczysz.

– Dokończ posiłek – powiedział Sartadź. – Nic wam się nie stanie.

Ramu chciał uciec, ale Kamble położył dłoń na jego ramieniu, głaszcząc go lekko.

– Posłuchaj sahiba – odezwał się Kamble. – Jedz.

Tedź i Dżatin czekali na polecenia swojego przywódcy. Ramu zabrał łokcie ze stołu i usiadł prosto, mocno zaciskając szczęki. Był bardzo uparty. Spodobał się Sartadźowi.

– W porządku – odezwał się. – Możemy ubić interes. – Położył na stole banknot pięćdziesięciurupiowy i wygładził go. – To dostaniecie tylko za to, że mnie wysłuchacie. Nie mam zamiaru was dręczyć, nie chcę wsadzić was do izby dziecka. Chcę tylko uzyskać od was pewne informacje. Nie mam zamiaru was przymuszać ani robić nic podobnego. Ja wam dam to, a wy mnie wysłuchacie. Zgoda?

Sartadź przesunął banknot po stoliku aż na jego drugi kraniec. Ramu jeszcze przez pół minuty patrzył na niego wzrokiem pełnym wrogości, ale w końcu wziął banknot. Przyjrzał się mu, uniósł do światła, odwrócił na drugą stronę. Kamble uśmiechał się, zaglądając znad jego głowy. Ramu schował pieniądze do kieszeni.

– Niech pan mówi – rzekł.

Sartadź trącił krawędź talerza Ramu.

– Spokojnie, nie denerwujcie się tak. Nie mam powodu, żeby się nad wami znęcać. Spokojnie. Kurczak wam wystygnie.

Ramu skinął głowa i pozostali chłopcy zabrali się do jedzenia. Ale sam Ramu skupił wzrok na Sartadżu, zupełnie nie interesując się kurczakiem.

– Chodzi mi o to – zaczął Sartadź – że jakiś miesiąc albo pięć tygodni temu miałeś małą robótkę koło kina Apsara. Podszedłeś do samochodu i odebrałeś od siedzącej w nim kobiety pakunek, który potem gdzieś dostarczyłeś. Pamiętasz?

Ramu bezczelnie pokręcił głową.

– Niczego takiego nie pamiętam.

– Jesteś pewien?

– Jasne, że tak. A nawet jeśli coś takiego zrobiłem, codziennie mam z dziesięć takich robótek. Jak miałbym pamiętać coś, co zdarzyło się tak dawno temu?

Tedź i Dżatin siedzieli z głowami pochylonymi nad jedzeniem, ale Sartadź był pewien, że zauważył lekkie napięcie mięśni w ramionach Tedża. Taka ledwo zauważalna przerwa w równym rytmie przeżuwania.

– Zastanów się – powiedział Sartadź. – Miałeś na sobie czerwony T-shirt. To było wieczorem. – Ramu był bardzo dobry, wciąż patrzył tym swoim nieprzeniknionym wzrokiem, ale Sartadź nabrał pewności, że tego wieczoru był z nim również Tedź. Denerwował się, choć bardzo starał się nie przerywać jedzenia.

– Nie – odparł Ramu.

– Może jednak wyprowadzilibyśmy ich za dhabę? – odezwał się Kamble.  
– I wsadzimy im lathi w gandy? Wtedy sobie wszystko przypomną.

Sartadź wyciągnął z kieszeni zdjęcie i położył je na stoliku, między Ramu a Tedżem.

– To od tej kobiety wzięłeś pakunek – nie ustępowałeś. – Teraz sobie przypominasz?

– Już powiedziałem – stwierdził Ramu, udając przesadną cierpliwość. – Nic takiego nie zrobiłem. – Już wszedł w odpowiednią rolę. Uniósł ręce do góry, a potem je opuścił.

Ale Tedż przerwał jedzenie i wpatrywał się w to zrobione w atelier, wspaniałe zdjęcie pani Kamali Pandej.

– Ty może nie pamiętasz – powiedział Sartadź. – Ale Tedż chyba zna ją doskonale.

Tedż, z brodą umazaną ryżem i tłuszczem, robił co mógł, żeby zatuszować wrażenie.

– Nie, nie, nie znam jej – powiedział.

Sartadź położył obok jego talerza kolejny banknot pięćdziesięciurupiowy.

– Ależ tak, znasz ją. Widziałem, jak na nią patrzysz. Wygląda jak gwiazda filmowa, prawda?

– Zamknij się – odezwał się Ramu do Tedża, który z rozmarzeniem wpatrywał się w pieniądze, jednocześnie zbierając palcami kolejne, spore porcje ryżu.

– Ramu – powiedział Sartadź. – Dlaczego chcesz ze mną walczyć? Czy ci goście, którzy wynajęli cię do przyniesienia tego pakunku, są twoimi przyjaciółmi? Uważasz, że powinieneś ich chronić? A może boisz się ich? Sądzisz, że jeśli mi coś powiesz, to będziesz miał kłopoty?

– Nikogo się nie boję.

Ramu siedział z opuszczoną głową, barki miał nieco uniesione, i mówił bardzo cicho. Sartadź rozpoznał ten gniew – tak wyglądał Amitabh Baććan

w *Diwarze* albo *Śahruxh* w którymś ze swoich filmów.

– Nie chciałem cię obrazić, szefie – rzekł Sartadź. – Ty masz informacje, które mi są potrzebne. Podaj cenę.

Ramu odchylił się i wierzchem dłoni potarł nos. Wyglądał na bardzo zamyślnego. Sartadź pomyślał, że chłopiec już ma w głowie gotową cenę, ale ze względu na swoich kolegów próbuje zachowywać się jak człowiek interesu.

– Pięćset rupii – powiedział w końcu.

– To za dużo – stwierdził Sartadź. – Mogę dać dwieście.

Ramu nachylił się do przodu, obrzucając go bystrym spojrzeniem. Oparł łokcie na stole. – Trzysta pięćdziesiąt.

– Zgódźmy się na trzysta – zaproponował Sartadź. – Ani to twoje, ani moje.

– Zgoda. Pokażcie pieniądze.

Sartadź powstrzymał uśmiech i położył pieniądze na stoliku.

– A teraz informacje – powiedział. – Kim są ci ludzie?

Ramu wziął banknoty, przeglądając je jak zawodowiec i odłożył na bok.

– Nie wiem, kim są. Po prostu znaleźli nas koło kina.

– Ilu ich było?

– Dwóch.

– Starzy, młodzi?

– Starzy.

– Jak starzy? Tak jak ten wujek? Albo jak ja?

Ramu pogardliwym gestem wyciągnął kciuk w stronę Kamblego.

– Nie, tacy starzy jak ten tutaj.

Kamble stuknął Ramu kłykiem w czubek głowy, na tyle mocno, żeby chłopak się skrzywił. Tedź i Dźatin wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

– Uważaj, ćutijo – odezwał się Kamble. – Nie jestem taki miły jak ten sahib. Dobra, było dwóch ludzi, wiesz jak się nazywają?

– Nie. Nie mówili, jak się nazywają.

– Opowiedz, jak to było? – zapytał Sartadź.

– Podeszli do nas tuż przed wieczornym spektaklem. Powiedzieli, że zapłacą nam za przyniesienie paczki.

– I co potem?

– Poszliśmy z nimi.

– Ulicą?

– Tak, kawałek. Pokazali nam ten samochód. Oni zostali po jednej stronie ulicy, a ja przeszedłem na drugą. Zapukałem w szybę. Ta kobieta opuściła szybę i dała mi pakunek.

– Powiedziałeś coś?

– Tak, powiedziałem: „Daj mi paczkę”. Oni rozmawiali z nią przez komórkę. Czekala na mnie.

– I co dalej, przyniosłeś im pakunek?

– Tak. Dałem im go. Jeden z nich zadzwonił z komórki. A potem odeszli, gdzieś sobie poszli. Bas, to wszystko.

– Widziałeś potem tych dwóch ludzi?

– Nie.

– Jak wyglądali?

– Normalnie. Nic specjalnego.

– Ramu, twoje informacje nie są warte naszych pieniędzy. Postaraj się trochę.

– Nie ma o czym mówić. Byli ubrani w koszule i spodnie. Bas, co mam jeszcze powiedzieć?

– Coś użytecznego, Ramu. Coś użytecznego. Byli wysocy?



– Niżsi od pana. Tacy jak on – odparł Ramu, pokazując kciukiem na Dżajanta.

Ramu nie miał już nic więcej do powiedzenia.

– Tedź, a ty zauważyłeś coś? – zapytał Sartadź.

Tedź wzruszył ramionami.

– Nie, byli tacy, jak on mówił.

– Chciałbym jednak, żebyś mi opowiedział. Powiedz, co widziałeś.

Podpuszczanie Tedża niewiele jednak dało, ukazał się ten sam, nieokreślony wizerunek dwóch przeciętnych mężczyzn ubranych w przeciętne ubrania.

Jak na razie mały Dżatin słowem się nie odezwał. Nawet nie podniósł wzroku, ciągle bawił się szklanką.

– Dżatin, ty też opowiedz. Jak wyglądali ci mężczyźni?

– Obaj byli ubrani w czarne dzinsy – odezwał się Dżatin. Kamble zamrugał i wychylił się znad oparcia siedzenia, żeby przyjrzeć się Dżatinowi. A ten mówił dalej: – Jeden z nich był trochę taklu, tutaj nie miał włosów. Ten z telefonem, ten drugi, tutaj był taklu. – Dżatin poklepał się po głowie nad czołem. Mówił, nie podnosząc wzroku, cichym, przygaszonym głosem, i na „dzinsy” mówił „dzinksy”, ale nie miał wątpliwości co do tych dwóch mężczyzn.

– Świetnie – stwierdził Sartadź. – Powiedz nam, a ten taklu, jaką miał koszulę?

– Biały T-shirt. A ten drugi miał niebieską koszulę z długimi rękawami.

Dżatin był mniejszy od kolegów i miał chudą, mysią twarz. Kiedy mówił, lekko przechylał głowę w stronę górnej kieszeni koszuli Sartadża, i w tym krótkim momencie Sartadź dostrzegł, że chłopiec ma lekkiego zezę. Sprawiał wrażenie, że patrzy gdzie indziej, i chyba dlatego ten chłopiec, z tymi jego kościstymi ramionami i opadającą głową, nigdy nie przyciągał

uwagi. Sartadź wziął w rękę serwetkę i zaczął ją składać na pół, a potem jeszcze raz, nie spuszczając z niej wzroku.

– Rozumiem, Dżatin – odrzekł – powiedz, co jeszcze zauważyłeś.

Dżatin zawstydział się. Odwrócił głowę od stolika, splatając dłonie. Ramu, mając już pieniądze w kieszeni, zrobił się wspaniałomyślny.

– Aj, Dżatin – odezwał się. – Jeśli coś wiesz, powiedz im. Wszystko jest w porządku. – A potem zwrócił się do Sartadźa, lekko kręcąc przytkniętym do czoła palcem wskazującym: – On zawsze jest taki. Ale wszystko pamięta.

Sartadź rozwinął swoją serwetkę i ponownie zaczął ją składać.

– Dżatin, czy oni przyjechali samochodem? Skąd się wzięli?

– Nie widzieliśmy, żeby czymś przyjechali – powiedział Ramu pewnym głosem. – Oni nie wyglądali na takich, którzy mają samochód. Mogli przyjechać autobusem.

Kamble pokręcił głową do Sartadźa. Dżajant zaczynał patrzeć sceptycznie, już nie było widać po nim tego entuzjazmu, że uda im się wykryć sprawców. Również Sartadź czuł rozczarowanie: być może faktycznie chłopcy nic więcej nie wiedzieli. Może to był ślepy zaułek.

– Dżatin, czy oni coś mieli ze sobą? – zapytał. – Jakąś książkę, albo gazetę?

Ramu cierpliwie pokręcił głową.

– Już mówiłem, on ma przegrzaną bhedzę. – Przechylił głowę na bok i sparodiował zezowatego Dżatina. Tedź zachichotał. A Dżatin siedział nieruchomo, z kamiennym wyrazem twarzy.

– Dobra – odezwał się Sartadź. – Dżatin, masz chęć na faludę?

Kamble podniósł rękę.

– Będę się zbierał – powiedział. – Zgoda, szefie?

– Tak – odparł Sartadź. – Zobaczymy się jutro na komisariacie. – Skinął na przechodzącego kelnera. – Trzy razy Royal Faluda, tylko szybko.

Dżatin sięgnął przez stolik po serwetkę. Kamble wygramolił się z boku i ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze naciskał klawisze telefonu komórkowego. Dżatin dalej składał swoją serwetkę.

– Pip–Piip– Piip–Pip – odezwał się Dżatin, a jego serwetka miała już kształt trójkąta.

– Co? – zapytał Sartadź.

– Pip–Piip– Piip–Pip– Pip. – Dżatin starał się ustawić trójkąt na jednym z boków. Serwetka stała, utrzymując się w równowadze.

Ramu sięgnął za głowę Tedża i zdzielił Dżatina.

– On jest moim bratem, ale to prawdziwy jeda.

Dżatin zabrał się za składanie kolejnej serwetki.

– Pip–Piip– Piip–Pip– Pip–Pap.

Sartadź obserwował palce Dżatina na serwetce. Jakimś cudem pierwszy trójkąt stał niewzruszenie.

– Kamble! – krzyknął Sartadź, budząc przerażenie właściciela, kelnerów i trzech innych klientów. – Kamble!

Dżatin zdążył dokończyć drugi trójkąt, zanim Kamble, wyraźnie zirytowany, wrócił do stolika.

– O co chodzi?

– Podaj mi komórkę – powiedział Sartadź. Wziął telefon, przetaił wyświetlacz i położył aparat na stole przed Dżatinem i przed jego trójkątami.

Dżatin sięgnął po telefon i swoimi bardzo chudymi i bardzo brudnymi palcami stukał po przyciskach aparatu. Kiedy dotarł do góry klawiatury, telefon zaczął realizować połączenie. Sartadź nacisnął przycisk „Rozłącz”.

Kamble stał nachylony nad ramieniem Dżatina.

– To numer telefonu komórkowego – powiedział tonem pełnym podziwu, jaki zazwyczaj zachowywał dla nowych szesnastoletnich tancerek w barze Delite. – Ten numer właśnie wybrałem.

Sartadź skinął głową i ponownie nacisnął przycisk „Rozłącz”, żeby usunąć numer z wyświetlacza.

– Dżatin, pamiętasz może, jaki numer tego dnia wykręcił ten taklu? – zwrócił się do Dżatina. – Jaki to był numer?

– Pip–Piip– Piip–Pip– Pip–Pap – odparł Dżatin. Dalej pipkał i bibkał, wydając dźwięki różniące się wysokością i tonem. Po chwili skinął głową i zaczął naciskać klawisze telefonu, niespiesznie, ale z absolutną pewnością siebie przechodząc od jednego do drugiego. Zakończył zamaszystym ruchem i zajął się składaniem kolejnej serwetki.

– Dżatin, czy ten numer wybrał ten taklu? Kiedy już daliście mu ten pakunek? – zapytał Sartadź, odwracając w swoją stronę leżący na stoliku telefon.

– Tak – odparł Dżatin, odkładając kolejny trójkąt na stół. Wraz z pozostałymi dwoma trzeci trójkąt utworzył idealny, większy trójkąt.

Kamble wsparł ręce na biodrach.

– Maderćod – powiedział. – To zdumiewające. Kup temu gościowi faludę.

– Bardzo często – mówił Sartadź do Mary – wykrycie sprawy to kwestia wyłącznie szczęścia. Najczęściej tak jest. Człowiek siedzi sobie spokojnie, i nagle coś mu wpada w ręce. Wtedy udajemy, że przez cały czas wiedzieliśmy, co robimy.

– Ale w tym przypadku jest inaczej – odezwała się Mary. – Ty nie siedziałeś spokojnie. Znalazłeś tego kieszonkowca. Zmusiłeś go, żeby

odnalazł tych chłopaków. Kupił im lunch. Był dla nich miły, nie bił ich, jak zrobiłby ten twój głupi partner.

– Kamble – powiedział Sartadź. Siedzieli na ławce przy bulwarze nadmorskim Carter Road, w scenerii wspaniałego, spektakularnego zachodu słońca otoczonego pierzastymi kręgami zabarwionych na czerwono chmur. Spacerowicze mijali ich żwawym krokiem, a w tym właśnie momencie podbiegł do nich prowadzony na smyczy szczeniak i trącał nosem ich kostki.

– On tylko odgrywał swoją rolę. A poza tym dorwanie tego apradniego nie będzie takie łatwe. Jestem tego pewien. Próbowaliśmy do niego zadzwonić, z dwóch różnych rozmównic publicznych, ale on nie odebrał. Sukinsyn jest ostrożny. Czuję to.

– Dopadniesz go. A ten twój Kamble z pewnością źle by ich potraktował, gdybyś tylko mu na to pozwolił, i ten mały nigdy nie podały ci tego numeru. Odniosłeś sukces w tym śledztwie, ponieważ byłeś do niego przygotowany. Nadstawiałeś uszu, żeby słyszeć, co w trawie piszczy. Przecież dobrze o tym wiesz.

Sartadź rzeczywiście o tym wiedział. Od lat w to wierzył, nauczył się tego od ojca, zanim jeszcze sam wstąpił do policji, i to samo powtarzał wielu praktykantom. Ale i tak miło było słuchać tych słów płynących z ust Mary, która dodawała mu otuchy trzymaną na jego nadgarstku dłonią. Drepczący w przeciwnym kierunku szczeniak znowu do nich wrócił, a ona schyliła się, żeby podrapać go za uszami, i chociaż zdjęła już rękę z dłoni Sartadźa, nadal czuł jej dotyk na skórze, teraz chyba nawet wyraźniejszy.

– Tak – odparł w zamyśleniu. – Tak.

– Co tak? – Szczeniak odbiegł na swoich nieproporcjonalnie wielkich łapach, a Mary przyglądała się Sartadźowi z jakąś przekorną wesołością.

– Tylko tyle – Sartadź odrzekł pospiesznie. – Trzeba słuchać, ale czasami problem polega na tym, że nie wiesz, na co czekasz. To tak, na przykład, jakby chodziło o jakąś piosenkę, a ty nie znasz jej melodii. Musisz więc błąkać się, wypatrując i nasłuchując. Można poczuć się jak głupiec.

Popatrzyła mu w oczy i powiedziała wprost:

– Ty nie jesteś głupcem.

To zabrzmiało jak wyznanie, i tym razem Sartadź już się nie zawahał. Wyciągnąwszy rękę, chwycił jej dłoń, i siedzieli tak razem, trzymając się za rękę. Bardzo chciał ją pocałować, ale wokół pełno było spacerujących babć z dziećmi i przebiegających urwisów. Siedzieli więc tylko nieruchomo. Sartadź myślał o tym, co przed chwilą powiedziała Mary. „Ty nie jesteś głupcem”. Gdyby powiedział o tym Kamblemu, ten naigrywałby się z tego tak skromnego romansu, z tego drobnego, dwuznacznego komplementu, który w końcu ich zbliżył. Ale Kamble był bardzo młody. To prawda, trudno szukać w ghazalach jakiegoś żarliwego wyznania, że ukochany nie jest głupcem, w żadnej piosence miłosnej Madźruha Sultanpuriego nigdy nie uznano tego za godne podkreślenia. Kamble wierzył w wielki romans i wielką tragedię, co było zupełnie zrozumiałe. Ale Sartadź był zadowolony – ocalenie od głupoty to dowód największej czułości. Wszyscy jesteśmy głupcami, pomyślał. Wiem, że sam nim jestem. Ale znalezienie jednej osoby, która ci to wybaczy, to duża sprawa. To naprawdę coś wielkiego.

Zostali na bulwarze aż do zmierzchu, kiedy morze wycofało się w ciemności, a fale przybrały postać wijących się białych wstążek. Nagle Mary uścisnęła jego dłoń i zapytała:

– Co się stanie z tymi chłopcami?

– Z jakimi chłopcami? Tym małym w czerwonym T–shircie i z jego bandą?

– Tak.

– Poradzą sobie.

– Tak, ale jak?

Sartadź wzruszył ramionami.

– Tak jak wszyscy.

Skinęła głową. Ale Sartadź widział, że nie przestała myśleć o tych chłopcach, że jej nie odstępowali. Położył rękę na jej ramieniu. Nie chciał jej mówić, co powiedział Kamble, kiedy w końcu opuścili chłopców, poket-mara Dżajanta i restaurację. Rozmawiali o tym zdumiewającym, zwariowanym dzieciaku, i Kamble stwierdził:

– Ten łobuz Ramu to prawdziwy przywódca. Zobaczysz, za dziesięć lat będziemy mieli z nim problemy. – Sartadź zgodził się z nim, Ramu był bystry, odważny i żądny sukcesu. Będzie z niego dobry apradhi, może i superbandzior. A potem Kamble dodał jeszcze: – Powinniśmy już teraz zaciągnąć go w jakąś gali i tam go załatwić. Zaoszczędziłoby to nam w przyszłości kłopotu polowania na niego, a jemu problemów dorastania.

Sartadź roześmiał się i z dezaprobatą walnął Kamblego w plecy, ale zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie ma on rację. Niektóre dzieci miały przyszłość wypisaną na czole. Widać było, jak bardzo pragną życia na odpowiednim poziomie i jak to życie przed nimi ucieka. Ale teraz nie chciał myśleć o Ramu, o jego problemach i nadciągających nieszczęściach. Objął więc Mary i opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o tym, jak nigdy nie chciał iść w ślady ojca i zostać policjantem, ale jakoś i tak nim został.

W końcu oboje umilkli. Chociaż znajdowali się po drugiej stronie szerokiej drogi, Sartadź słyszał piski, śmiechy i krzyki grupy nastolatków, chłopców i dziewcząt, zgromadzonych w pobliżu przystanku autobusowego. Porozsiadali się na maskach samochodów, przycupnęli bokiem na siodełkach motocykli, młodzi, pewni siebie, szczęśliwi i dobrze sytuowani. Teraz flirtowali między sobą, a później, wieczorem, niektórzy z

nich ruszą w poszukiwaniu jakiegoś ustronnego zakątka, w którym będą mogli się dotykać, pożądliwie sięgać po siebie. Ale Sartadź cieszył się, że może trzymać Mary za rękę, a później, kiedy odwoził ją na motorze do domu, cieszył się, że czuje jej ciężar na swoich plecach. Zatrzymał się na skrzyżowaniu, a ze stojącego po lewej samochodu dobiegł refren starej piosenki *Tu kahaje bata, is nasili rat me*<sup>35</sup>. Mary zanuciła ją w jego ramię.

– Znasz tę piosenkę? – spytał Sartadź.

– Oczywiście – odparła. – To Dew Anand, zgadza się?

To faktycznie był on, to był sahib Dew kroczący przez mglistą noc w jakimś starym, czarno-białym filmie, choć Sartadź nie potrafił przypomnieć sobie tytułu. Ale pamiętał, że była to chłodna noc – być może w Majhuri albo Nainitalu, raczej nie, Śimla, to było w Śimla – sahib Dew, lekki jak sama melodia, poruszał się zwinnie i żwawo, a piękna Nutan czekała na niego.

Światła zmieniły się i Sartadź ruszył powoli obok tego samochodu, jechał za nim, chociaż oddalali się od domu Mary, żeby mogli dalej słuchać tej piosenki. *He, cand tarq ne suna, in baharq ne suna, dard ke rag mera, rehguzarq ne sunq*<sup>36</sup>.

Wiatr muskał policzki Sartadźa, Mary śpiewała mu do ucha, a on się śmiał, myśląc, to jest właśnie szczęście, właśnie tyle wystarczy – jechać przez te niebezpieczne, dobrze znane ulice, przy akompaniamencie starej piosenki, z ręką wspartą na biodrze, czując nową miłość. Właśnie tyle, w zawieszeniu między przeszłością a przyszłością – ta kobieta, ta piosenka, to brudne i piękne miasto.

Piosenka skończyła się, Sartadź gwałtownie skręcił i dodał gazu, zostawiając auto za sobą. Kiedy znaleźli się pod domem Mary, pocałował ją dwa razy, a potem jeszcze raz. Jakież to było łatwe. Zsiadła z motoru i położyła mu dłoń na ramieniu. Była bardzo blisko niego, wystarczyło, że



nachylił się i ją pocałował. Zamknęła oczy, a on pocałował ją ponownie. Patrzyła na niego spod długich rzęs i uśmiechnęła się szeroko, a on ją pocałował.

– Jedź – powiedziała i delikatnie pchnęła go w piersi. Ruszył, śpiewając – beznadziejnie, doskonale zdawał sobie z tego sprawę – przez całą drogę do domu.

Wciąż jeszcze czuł te pocałunki, kiedy następnego dnia rano zmierzał do domu Katekara. Zaparkował motocykl i przekroczył rynsztok. O tej dosyć wczesnej porze – dopiero dochodziła siódma – wąska uliczka była cicha. Ale Śalini siedziała już w drzwiach i wyjmowała z kupki ryżowych ziaren kamyki i odpadki. Na widok Sartadźa wstała i weszła do domu. Rohit wyniósł krzesło dla Sartadźa. Chłopakowi zaczął już się sypać wąs, pojawiło się kilka rozwichrzonych kosmyków, przez co wyglądał jeszcze młodziej, ale robił, co mógł, żeby sprawiać odpowiednie wrażenie.

– Hi – odezwał się.

Sartadź przestał się uśmiechać, słysząc tak modny ostatnio angielski, i również odpowiedział mu „hi”.

– Jak tam kurs? – zapytał. Usiadł i wyciągnął kopertę z tylnej kieszeni spodni. Rohit zaczął chodzić na wieczorowy kurs komputerowy i przez telefon opowiadał Sartadźowi o e-mailach, Linuksie i innych sprawach, których Sartadź zupełnie nie rozumiał. Rohit wziął kopertę do ręki i przerzucił znajdujące się wewnątrz sturupiowe banknoty.

– Dziękuję. Kurs w porządku – powiedział. – Bardzo ciekawe zajęcia.

Ale sprawiał wrażenie zamyślonego. Miał na sobie nowe niebieskie dżinsy i banian, widać też było, że coś zrobił z włosami. Sartadź zauważył, że chłopak, zmieniając ubranie, próbował stać się nową osobą, kimś, kto mówi „hi” i „thank you”, i dla kogo kurs komputerowy jest bardzo

interesujący. Ale niezupełnie mu się to udawało. Dżinsy były liche, z luźnym, pomarańczowym szwem, który nie dorównywał standardom międzynarodowej finezji. Tuż za drzwiami leżała para niebieskich tenisówek, podobnie przywodzących na myśl gasnące nadzieje. Na kursie komputerowym z pewnością są chłopcy i dziewczęta, którzy płynnie mówią tym językiem, którzy znają subtelności różnych rodzajów T-shirtów i okularów przeciwsłonecznych. Rohitowi nie będzie z nimi łatwo i Sartadź poczuł, jak ogarnia go współczucie, kiedy tak patrzył na chłopaka, który oparty o ścianę opowiadał, jak dużo robią na zajęciach i że po skończeniu kursu niektórzy uczestnicy dostają propozycje pracy w Bahrajnie.

Śalini przyniosła szklankę herbaty. Sartadź usiadł prosto – ta kobieta z kolei wyglądała na zupełnie odmienioną. Słuchał jej, popijając herbatę, i starał się dojść, co jest w Śalini takiego dziwnego. Opowiadała o swojej pracy, nie o tej pracy dźharu–katka, którą wykonywała dla pieniędzy, ale o pracy społecznej, którą zajmowała się w swojej organizacji. Grupa nazywała się ŚMM, co stanowiło skrót od Śakti Mahila Mañć, a Śalini chodziła do basti, żeby kształcić kobiety.

– Mówimy im o higienie i o planowaniu rodziny – powiedziała do Sartadźa. – Ale mężczyźni najbardziej denerwuje, kiedy mówimy kobietom, żeby otwierały własne konta bankowe.

Sartadź roześmiał się.

– Tym mężom wydaje się, że zabieracie im ich papierosy i drinki. Lepiej żebyście były ostrożne.

Śalini roześmiała się.

– Robią dużo hałasu. Ale nam nic nie robią. Biją swoje żony. Tacy dzielni mężczyźni.

– Doszło do jednego incydentu – odezwał się Rohit. – W Bangalore.

– To prawda – powiedziała Śalini. – Opowiadała nam o tym szefowa naszego zespołu. To było w zeszłym miesiącu. Oddział w Bangalore posłał zespół do znajdującego się tam basti. Grozili im pewni mężczyźni z jakiejś organizacji religijnej, z tej czy tamtej pariśad. Nasz oddział w Bangalore złożył skargę na policji, ale tamtejsze władze nawet palcem nie kiwnęły. Trzeba było skontaktować się z lokalnym MLA, żeby zainterweniował. Ale to nie koniec kłopotów.

Sartadź myślał o Mary, o tym, jak jej górna warga układała się pod jego ustami. Nagle zrozumiał, w czym rzecz – Śalini miała wyskubane brwi. W miejsce prostych, nierównych kresek, jak od pociągnięcia pędzlem, widniały teraz delikatne, dokładnie narysowane łuki. Zmiana podkreśliła jej kości policzkowe i oczy. Sartadź nigdy wcześniej nie zwracał specjalnej uwagi na Śalini, zawsze była żoną Katekara, bhabhi. Teraz przyjrzał się jej. Miała na sobie ciemnoniebieskie sari i bluzkę z tego samego materiału, wykończoną niebieskim szwem przy kołnierzu i rękawach. Już nigdy nie ubierze nic w kolorze czerwonym, żółtym czy zielonym, przynajmniej dopóki ponownie nie wyjdzie za mąż. Nie nosiła żadnej biżuterii, a włosy miała schludnie związane z tyłu w kok. Nie była piękna, ale biła od niej jakaś skromna elegancja, której Sartadź nigdy wcześniej nie zauważył.

– Zawsze są kłopoty – stwierdził, z sercem nagie przepełnionym myślą o martwym koledze Katekarze. Czy Śalini mogła mieć jakiegoś przyjaciela, kochanka? Zdawała się zachowywać spokój, nawet kiedy mówiła o mężczyznach i ich gniewie, i groźbie użycia przemocy.

– My musimy dalej pracować – powiedziała z nutką stanowczości w głosie. – A oni niech robią, co chcą.

W drzwiach pojawił się Mohit, przecierając oczy. Miał na sobie tylko krótkie, brązowe spodenki. Na jego wąskiej klatce piersiowej, tuż pod lewym sutkiem, widniało czarne znamię. Wokół szyi miał zawiązaną czarną

nitkę, na której wisiał srebrny amulet. Sartadź pamiętał, że Katekar sprzeciwiał się noszeniu tego amuletu, on potępiał ciemnotę i przesady. Ale to Śalini nalegała, żeby chronić Mohita przed smutkiem i nieszczęściem.

– Eh, Mohit.

Mohit drgnął, zaskoczony. Dopiero się obudził, i w tym krótkim momencie, kiedy już nie był nieprzytomny, ale jeszcze nie w pełni rozbudzony, Sartadź dostrzegł jego gniew. Nie cierpiało Sartadź, absolutnie i zawzięcie, tą dziecięcą, ogromną jak słońce, nienawiścią. Tylko Sartadź to dostrzegł, i aż się wzdrygnął. W tym momencie oparty o futrynę Rohit postukał Mohita w głowę i powiedział:

– Obudź się, Kumbhkaranie. Przyszedł wujek Sartadź.

Mohit schylił głowę, a kiedy ponownie ją podniósł, sprawiał wrażenie słodziutkiego i łagodnego.

– Ai, chce mi się jeść – powiedział.

– Przygotuj się do szkoły – odparła Śalini. – Spóźnisz się. Zaraz coś ci dam. – W jej głosie wyczuwało się napięcie, jakąś nutkę smutku.

– Ja też się spóźnię – odezwał się Sartadź. – Powinienem się zbierać.

Rohit odprowadził Sartadźa aż do rogu.

– Ciągłe wdaje się w bójki – powiedział nagle. – I już dwa razy w tym tygodniu opuszczał lekcje.

– Mohit?

– Tak. Staram się go pilnować, na ile tylko się da. Ale i ai, i ja mamy tyle roboty. Wcześniej nigdy taki nie był.

Wcześniej, przed tym wydarzeniem, przed tą śmiercią, zanim ten uciekający apradhi wpadł w pułapkę pod płotem. Zanim to się wydarzyło. Mohit będzie dzielił swoje życie na to, co było wcześniej i co było później. I będzie wiedział, kogo za to winić.

– Wyrośnie z tego – powiedział Sartadź. – To musi potrwać. Jeszcze jest za wcześnie. To musi potrwać.

Rohit skinął głową.

– Ai też tak mówi. Codziennie się modli, zwłaszcza za niego.

– Jak ona się czuje?

– Ai? – zapytał Rohit w roztargnieniu. – Zupełnie dobrze.

Sartadź pomyślał, że chyba jednak nie mogła czuć się zbyt dobrze. Spędziła wiele lat z Katekarem, wspólnie wychowali dwóch synów. Ale dzisiejszego ranka sprawiała wrażenie bardzo silnej. Wystarczyło popatrzeć na te jej brwi, na tę jej pracę dla SMM. Czy Śalini zmieniła się, czy może nigdy wcześniej nie widział jej dość wyraźnie? Wiedział, że kobiety są silne. Ma przeżyła śmierć Bapy-dzi, a po dwóch dniach płaczu stwierdziła, że dom jest niedopuszczalnie zapuszczony. Zabrała się więc za sprzątanie, nie tylko wnętrza domu, ale również malutkiego ogródka przed nim, na tyłach podwórka. Wynajęła robotników do wyszorowania tylnej ściany i do jej pobielenia. Dalej wiodła swoje życie, może nieco bardziej surowa niż wcześniej, ale jeszcze bardziej sprawna, bardziej nieustępliwa. Raz czy dwa Sartadź pomyślał nawet – i nawet zrobiło mu się trochę niedobrze na tę myśl – że po śmierci Papy-dzi sprawia wrażenie spokojniejszej, jakby bardziej niewzruszonej i opanowanej.

Sartadź kopnięciem uruchomił motocykl i zakręcił nim w miejscu. Musiał jednak chwilę poczekać. Jakiś mężczyzna z nogą w długim białym gipsie starał się pokonać opadający w dół zakręt w lewo. Musiał ostrożnie stawiać kule, przenosząc gips przez rynsztok, ale przychodziło mu to z trudem, bo uliczka była cała poślubiona, nierówna i bardzo wąska. Towarzyszyła mu kobieta, która łąpała go za ramię, pomagając mu ustawić kule. Mężczyzna przeklinał ją. Twarz miał nabrzmiałą wściekłością, a jego kula skrobała po krawędzi rynsztoka, aż w końcu obsunęła się.

– Proszę – odezwał się Rohit.

Sartadź patrzył, jak chłopak przeprowadza mężczyznę ze złamaną nogą przez rynsztok i podprowadza jeszcze kawałek dalej. Rohit był dobrym dzieckiem. Był odpowiedzialny, spokojny i kochał matkę. Po chwili wrócił do Sartadźa.

– To nasz sąsiad, Amrytrao – powiedział Rohit. – Pewnej nocy wypadł po pijaku z pociągu pospiesznego wjeżdżającego na dworzec Andheri. Miał dużo szczęścia, że nie stracił nóg. Ale upadł na peron i uderzył w beton, phaćak. Dlatego teraz kuśtyka.

– I przeklina żonę.

Rohit uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc, to oni oboje nawzajem się przeklinają. Ich kłótnie są już słynne. A ta nasza Arpana klnie lepiej niż on. Raz powiedziała mu, że w gand jego ojca mógłby wjechać piętrowy autobus, tak był wielki od tego, że dawał się bambu tym wszystkim lichwiarzom, od których pożyczał pieniądze. Teraz jest dla niego miła tylko dlatego, że jest chory. Za kilka dni, kiedy on poczuje się lepiej, da mu popalić.

Ale w tym momencie Arpana była oddaną żoną, która trzymała swojego męża pod rękę. Dreptał chwiejnym krokiem, kołysząc się na boki na końcu uliczki, tuż przed niewielkim wzniesieniem prowadzącym do domu Katekara.

– Zaraz się przewróci i złamie drugą nogę – stwierdził Sartadź. – Powinna załatwić mu wózek inwalidzki.

Rohit powątpiewał w takie rozwiązanie.

– Wózek inwalidzki na tych uliczkach? Nie poradziłby sobie tu. A jak go pchać pod górkę, po tych wszystkich krzywiznach i nierównościach? Tutaj wózek by się nie sprawdził. – Patrzył na ziemię, oceniając jej pochyłość i jej stan. Naprawdę był bardzo poważnym chłopcem.

Sartadź przegazował silnik.

– Skomputeryzowany wózek mógłby sobie poradzić – powiedział przez metaliczny huk silnika. – Kiedyś widziałem taki, mógł zasuwać po takim wzniesieniu jak samochód wyścigowy. Po prostu nie do uwierzenia.

– Skomputeryzowany wózek? – Rohit był zaskoczony takimi możliwościami. – Pewnie był napędzany mocnym silnikiem elektrycznym. Każde koło miało osobny napęd?

– Nie wiem – odparł Sartadź. W tej rozpromienionej młodej twarzy dostrzegł tak dobrze znaną, ogromną wiarę w naukę, która charakteryzowała Katekara, tę ufność w wielkość techniki, i poczuł falę uczucia, która boleśnie ścisnęła mu serce. – Ale świetnie działał. Właściciel mówił, że potrafił na nim wspinać się po schodach.

– To był jakiś zagraniczny wózek? Nigdy niczego takiego nie widziałem. To wprost niewiarygodne.

– Tak, wózek był z importu. Ale chyba nie nadawał się na indyjskie warunki, na ten cały kurz i monsuny. Biedny właściciel nie mógł dostać do niego części zamiennych. Trudno było go konserwować.

Rohit pokręcił głową.

– Nasz kraj naprawdę jest prymitywny. – Tak bardzo przypominał swojego ojca, kiedy mówił te słowa, że Sartadź odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Ucz się pilnie, guru – powiedział Sartadź i klepnął go mocno w piersi, a potem poprowadził motor uliczką, w stronę głównej drogi. Wokół zaroilo się już od zdążających do pracy ludzi, i musiał jechać bardzo wolno. Ściany wciąż jeszcze jarzyły się blaskiem wczesnego poranka, a z małych domków wysypywały się gromadki dzieci ubranych w szkolne mundurki. Sartadź często musiał przystawać, przepuszczając przechodniów, i zaczęły go już boleć łydki od pedałowania po ziemi. Co będzie z tymi chłopcami? Co się

stanie z Mohitem? Sartadź rozmyślał o bójkach, w których Mohit uczestniczył, o tej jego złości i nienawiści. Co się z nim stanie za dziesięć lat? Na kogo wyrośnie?

W końcu Sartadź dotarł na skrzyżowanie. Wprowadził motor na szeroki asfalt, skręcił w lewo i z ulgą szybko odjechał. Z radością wydostał się z basti, z tego krętego bałaganu. Przyspieszył. Ale strach podążał za nim, nie opuszczał go ten obraz starszego Mohita leżącego na brudnej uliczce, z plecami zgiętymi nad rynsztokiem. Sartadź nie widział dokładnie jego twarzy, ziała tam tylko pustka, ale wiedział, że to Mohit, który krwawił z ran postrzałowych, i że był martwy. Sartadź potrząsnął głową i próbował skupić się na bieżącym śledztwie. Nie, nie. Mohit wyjdzie z tej traumy, zapomni, w końcu dojdzie do siebie. Nie wyrośnie na tapori, na zbir, na bhai. Nie. Kamble nie będzie musiał go likwidować, nie, ani za dziesięć lat, ani nigdy. Sartadź o to zadba, na pewno.

Pomknął drogą ekspresową na południe. Jechał szybko, lawirując w porannym ruchu ulicznym. Ale ani ta szybkość, ani mijanie autobusów o centymetry, nie potrafiło uwolnić go od tej okazywanej przez Mohita odrazy i od tej pewności co do przyszłości chłopca. Mohit w kraciatej koszuli, krwawiący z trzech ran od kul wystrzelonych z bliska w piersi, Sartadź widział wypalone ślady prochu na bawełnie. To było tak rzeczywiste. Zaczynasz być przesądny, powiedział do siebie, daj spokój z tymi głupstwami. Mohitowi nic się nie stanie. Nic mu się nie stanie.

Pojechał dalej.

Parulkar oczekiwał Sartadźa w mieszkaniu swojej siostrzenicy w Santa Cruz. Na jakiś czas dostawy pieniędzy do jego konsultanta, Homi Mehty, stały się rzadsze, ale teraz ponownie nabierały tempa. Niewątpliwie wydał niezliczone sumy pieniędzy, na powrót wkupując się w łaski polityków, i



wreszcie rekompensował sobie straty. Jeszcze nie minął miesiąc od ostatniej dostawy, a Sartadź po raz kolejny zachwycał się zielonymi marmurami w holu budynku, w którym znajdowało się mieszkanie siostrzenicy. Odniósł wrażenie, że za każdym razem, kiedy tu wraca, kamienie nabierały większego blasku. Może to jedna z zalet włoskiego marmuru. Stalowe płyty windy wciąż były nieskazitelne, dzięki czemu Sartadź mógł przyjrzeć się swojej twarzy i poprawić wąsy. Doszedł do wniosku, że od dawna nie wyglądał tak dobrze, i zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, zważywszy na te trapiące go ostatnio stresy. A może po prostu sam to sobie wymyślił.

Ale również Parulkar to zauważył.

– Świetnie wyglądasz, Sartadźu. Dobrze, bardzo dobrze. – Walnął Sartadźa w plecy i wpuścił go do mieszkania. Na szklanym blacie stołu jadalnego stały naczynia, porozkładane na białych podkładkach z koronkowymi brzegami. – Poczęstuj się pohą i ćajem. Poha jest wyjątkowo dobre.

– Już jadłem, sir.

– Ale i tak skosztuj, beta. Raz na jakiś czas trzeba cieszyć się małymi rzeczami w życiu. Wypiję z tobą filiżankę.

Poha rzeczywiście była doskonała. Sartadź zjadł małą porcję, a potem dołożył sobie jeszcze jedną stertę. Parulkar pił ćaj i patrzył łagodnym wzrokiem. Rozmawiali o sprawach bieżących i o rodzinie Parulkara. Ostatecznie skończył się remont domu Parulkara i teraz jego córka Mamta – której sprawa rozwodowa właśnie trafiła do sądu rodzinnego – z dziećmi mogła żyć wygodnie z Parulkarem. Życie toczyło się dalej. Parulkar wyglądał na zadowolonego, w dwójnasób powróciła jego dawna werwa.

– W przyszłym miesiącu, po Diwali, zaczynamy nowe projekty w ramach interakcji ze społeczeństwem – powiedział. – Nowa praca na nowy rok.

Wysłuchał relacji Sartadźa na temat sprawy Gaitondego, przekonany, że wszystko skończy się na niczym. Pokręcił głową i rzekł:

– To tylko niepotrzebne obawy, nie poparte prawdziwymi dowodami. Ta kobieta łączy ze sobą bardzo różne fakty, sama sobie wymyślając sprawę, którą się potem zajmuje. Ludzie robią coś takiego, kiedy ich kariera nie posuwa się do przodu. Guru i bomby! Co za bzdura.

Jego słowa nie rozwiały, co prawda, wątpliwości Sartadźa, ale pewność siebie Parulkara stanowiła pociechę. W końcu szef był człowiekiem o bezbłędnym instynkcie, mającym na swoim koncie niezrównany wykaz aresztowań i zakończonych sukcesem śledztw.

– Tak, sir – odparł Sartadź. – Ta cała historia jest oparta tylko na pogłoskach. – Odsunął talerz. – Naprawdę było bardzo dobre.

– Chodź – powiedział Parulkar. – Mam coś dla ciebie.

Sartadź spodziewał się, że otrzyma standardową partię pieniędzy do przetransportowania, ale Parulkar zaprowadził go do sypialni i wręczył mu szare pudełko. – Otwórz, otwórz – nalegał.

Sartadź zdjął wieczko – na którym widniało wytłoczone zupełnie nieznanemu mu logo – i ujrzał bibułkę, bardzo miękki papier, a w niej najbardziej lśniące i eleganckie buty, jakie w życiu widział. Były proste, ale sztywne, a biegnące wokół podeszwy szwy świadczyły o staranności wykonania i jakości. Miały idealny kolor, brązowy z odcieniem czerwieni, nie krzykliwe, ale wiele mówiący. Po prostu doskonałe buty.

– Włoskie, Sartadźu – powiedział Parulkar – prosto z Włoch. Nosisz szeroką dziewiątkę, prawda?

Sartadź z trudem ocknął się z transu.

– Tak, sir.

– No, przymierz. Poprosiłem znajomego, żeby przywiózł je z Mediolanu, podałem mu rozmiar i wszystko, co potrzeba. Zobaczmy, czy pasują.

Sartadź usiadł na łóżku, pociągnął za sznurówki. Kiedy tylko wsunął nowy but na prawą stopę, od razu wiedział, że pasują.

– Dobrze, sir. – Założył drugi but i wstał. – Pasują idealnie, sir. – Przeszedł z jednego końca pokoju do drugiego, kręcąc głową z zachwytem. Nie tylko pasowały, leżały jak ulał, nie dociskając jednak zanadto stopy, ale miały też doskonałą wagę i konstrukcję. Sartadź spacerował po pokoju. To był włoski but, godny swojego zagranicznego rachunku.

– Dobrze – odezwał się Parulkar. – Możemy więc wyrzucić te stare. Bardzo mnie dziwiło, że tak długo je nosisz.

– Mam je nosić na ulicy, sir?

– Oczywiście, Sartadźu. Nie po to wymyślono dobre rzeczy, żeby trzymać je w szafie. Życie jest zbyt krótkie, trzeba się nim cieszyć. Noś je, niech ci służą.

Sartadź spojrzał w dół. Tak, takie buty można nosić na służbie. Nie rzucały się w oczy i trzeba było wprawnego oka, żeby dostrzec ich prawdziwą jakość.

– Dziękuję, sir.

– Nie ma za co – odparł Parulkar, kwitując to zamaszystym ruchem ręki. Bardzo zadowolony, skinął głową. – Teraz znowu wyglądasz jak Sartadź Singh.

Homi Mehta przeliczał stosiki pieniędzy Parulkara w zwykłym, niespiesznym i dokładnym tempie. Sartadź rozsiadł się w wygodnie w biurowym fotelu, ręce założył za głowę i wyciągnął nogi, czując lekkie odprężenie. Zdumiewające, że para butów mogła stworzyć mu taką oazę spokoju, ale, z drugiej strony, w końcu to właśnie małe rzeczy miały w życiu największe znaczenie. Pomimo niszczycielskich starań globalizacji porządne rzemiosło wciąż było możliwe i, co więcej, potrzebne. Sartadź

poruszył palcami u stóp i westchnął, co zaskoczyło i Homiego Mehtę, i jego samego.

– Dwadzieścia. Wszystko, jak należy – odezwał się Homi Mehta i poklepał leżące przed nim pieniądze. – Wyglądasz dzisiaj na szczęśliwego.

Sartadź wzruszył ramionami, ale mimowolnie się uśmiechnął.

– Po prostu dobrze się czuję.

– Przyniosłeś jakieś własne pieniądze?

– Nie. Dzisiaj nie, wujku.

– Are, ileż razy mam ci powtarzać? Oszczędzaj, póki jesteś młody.

– Tak, wiem. Powinienem myśleć o przyszłości. Może następnym razem.

– Następnym razem, następnym razem, tak upłynie twoje życie. Posłuchaj, pewnego dnia obudzisz się jako stary człowiek. I gdzie będzie twoje zabezpieczenie? Z czego utrzymasz żonę?

– Nie jestem żonaty.

– Owszem, teraz nie, ale będziesz. Mogę cię zapewnić, że nie będziesz chciał być zależny od dzieci. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. – Homi Mehta wstał i zaczął wkładać paczki banknotów do czarnego, plastikowego worka. Śnieżna biel jego lnianej koszuli dokładnie odpowiadała odcieniowi schludnie spiętych włosów. – Na pewno będziesz miał dobre dzieci, ale to wstyd, kiedy człowiek musi je o coś prosić.

– Wujku, ty już mnie ożeniłeś i narobiłeś mi dzieci. A ja mam jeszcze daleko do emerytury. Jeszcze zostało trochę czasu.

– Tak, tak, właśnie to mówię. Owocnie korzystaj z czasu, Sartadźu. Przygotuj sobie strategię. Ustal cele i opracuj plan. Mogę ci w tym pomóc.

Sartadź widział, że jego niefrasobliwość zupełnie zbija z tropu Homiego Mehtę, który żyje według planów długoterminowych i misternie opracowanych koncepcji.

– Zgoda, wujku. Masz absolutną rację. Kiedy przyjdę tu następnym razem, siądziemy sobie i wszystko omówimy. Zapiszemy cele i zrobimy... – Sartadź wykonał kilka ruchów ręką, jakby pokazywał schody.

– Wykresy.

– Tak, wykresy. Nie martw się. Wszystko zrobimy. Zajmiemy się wszystkim. Przygotujemy się.

W windzie, wciśnięty w kąt przez sabdzi-wałę i jego wypełniony pomidorami i cebulą koszyk, Sartadź wpatrywał się w pomarszczony kark windziarza. Winda zatrzymywała się na wielu piętrach, a windziarz z brzękiem otwierał drzwi i wpuszczał do środka służących i Sahibów, matki i dhobi. Sartadź rozmyślał nad życiem, które jest takie dziwaczne, człowiek jednocześnie je chwyta i wypuszcza z rąk, cieszy się nim i w tym samym momencie snuje plany, przeżywa każdą minutę i w każdej minucie umiera. A katastrofy? Gdyby tak lina urwała się i winda by spadła, pociągając ze sobą całą masę mężczyzn i kobiet w czyhającą w dole otchłań, czy podczas tego opadania oni wszyscy opłakiwaliby dni i lata, których nie zobaczą, czy też te minione? Padające między prętami drzwi światło migotało przed oczami Sartadźa, który czuł się dziwnie lekki i niematerialny, choć przecież pełen krwi, mięśni i energii.

Winda zakołysała się, uniosła lekko i opadła na parter, a Sartadź, otrząsnąwszy się z tych wszystkich nękających go pytań, przypuszczeń i wyobrażeń, wyszedł na ostre światło dnia. Musiał zająć się swoją pracą. Dochodził do bramy budynku, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Sartadź saab, salam.

– Salam, Iffat-bibi. Wszystko w porządku?

– Tak. Ale mógłbyś nieco rozjaśnić mój dzień.

– W jaki sposób?

– Słyszałam, że jesteś na mieście, niedaleko nas. Może byś tak skorzystał z naszej gościnności?

Sartadź stanął w miejscu.

– Skąd wiesz, gdzie jestem?

– Are, sahibie, nie chodzimy za tobą. Nie, nie. Po prostu też robimy interesy z tym gościem, któremu zanosisz pieniądze Parulkara. Jeden z naszych ludzi cię widział i powiedział mi o tym, tylko tyle.

Sartadź był już na ulicy. Szybko rozejrzał się dokoła, ale zobaczył tylko normalnych przechodniów, nie dostrzegł nikogo, kto przypominałby reprezentanta przeciwnej drużyny.

– Wszędzie masz ludzi.

– To prawda, mamy wielu pracowników. Sahibie, przecież wiesz, że znajdujemy się niedaleko, w Forcie. Przyjdź do nas i zjedz coś z nami.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Po prostu dobrze ci życzę i mam nadzieję, że z wzajemnością.

– Dlaczego tak nagle chcesz się ze mną spotkać?

Iffat–bibi westchnęła głęboko. Kiedy odezwała się ponownie, już nie była uprzejmą staruszką.

– Mam dla ciebie ważną propozycję – powiedziała, a jej głos był już ostry i zmrożony, jak kawałek lodu. – Taką propozycję wolałabym złożyć ci osobiście.

– Nie interesuje mnie to.

– Przynajmniej posłuchaj, co chcę ci powiedzieć.

– Nie.

– Dlaczego? Przecież już robiliśmy ze sobą interesy.

– W drobnych sprawach, a ja jestem małym człowiekiem. Zbyt małym do wielkich propozycji.

– Wystarczy ci to, że jesteś mały?

– Jestem z tym szczęśliwy.

W jej śmiechu zabrzmiała nieskrywana drwina.

– To szczęście tchórza. Jak długo będziesz załatwiał drobne sprawy Parulkara? Ten człowiek zarabia całe krory, a ty co? Już dawno powinieś awansować, a czy on pomaga ci w czymś? Sahibie Sartadźu, on wcale ci dobrze nie życzy.

– Nic o nim nie mów. – Sartadźowi drżała ręka i z trudem panował nad głosem. – Nic nie mów. Rozumiesz?

– Jesteś wobec niego bardzo lojalny.

Sartadź czekał. Teraz już był w stanie uwierzyć, że ta stara kutija pomaga w zarządzaniu firmą, że dyryguje mordercami i szantażystami.

– Ale on nie jest lojalny wobec ciebie – powiedziała Iffat–bibi. – Nawet wobec twojego ojca nie był lojalny.

– Behenćod, zamknij się – Sartadź się rozłączył. Zdecydowanym krokiem ruszył ulicą i dopiero po chwili zorientował się, że minął gypsy. Zawrócił, wspiął się na fotel kierowcy i usiadł z rękami opartymi na kierownicy, starając się uspokoić. Nie ma co się denerwować. Ta randi po prostu próbowała manipulować ludźmi. I to z dobrym skutkiem. Spokój, spokój.

W końcu Sartadź uruchomił samochód i włączył się do ruchu. Pozbierał myśli. Pozostawało pytanie, dlaczego Iffat–bibi mówi mu takie rzeczy o Parulkarze, właśnie jemu, nikomu innemu? Kiedy i dlaczego Parulkar popadł w niełaskę u niej i u jej firmy? Prawdopodobnie rzeczywiście zbliżył się teraz do obecnego rządu, ale to była tylko kwestia przetrwania. Iffat–bibi i jej ludzie z pewnością to rozumieją. Dlaczego więc Sulejman Isa stał się teraz wrogiem Parulkara?

Sartadź nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi, nie chciał też pytać o to Parulkara. Zawsze trzymał się na uboczu wielkich interesów przełożonego, nie chciał poznawać misternej siatki powiązań, wpływów i pieniędzy. Nie pragnął wiedzieć, bo nie miał zamiaru w tym uczestniczyć. Obawiał się, że ogromna siła tej gigantycznej konstelacji ambicji, bogactwa i władzy przyciągnie go, a on zostanie w nią wessany, bezradny. Tak, może Iffat–bibī miała rację, może był tchórzem. Brakowało mu odwagi, aby znaleźć się w tym wirującym kręgu, bał się – bał się jak dziecko – że ten pęd go zdruzgocze.

Kiedy przejeżdżał przez Mahim, dręczyło go już tylko jedno pytanie – czy Papa–dźi też się bał? Może ta prawość Papy–dźi, której nędzne resztki kołatały się w Sartadźu, tak naprawdę pochodziła ze strachu. Może obaj nie byli na tyle wielcy, żeby za dużo żądać. Drobne nagrody dla ludzi małego serca. Ale nie dało się przeskoczyć tej ciernistej bariery. Sartadź nie miał zamiaru wchodzić w układy z Iffat–bibī. Nic więcej nie chciał wiedzieć o Parulkarze, i tyle. Przyspieszył, próbując zostawić to wszystko za sobą.

Sartadź spotkał się z Kamalą Pandej w kawiarni przy S.V. Road. Jak wyjaśniła mu wcześniej, po południu wybierała się na zakupy w Bandrze i ta kawiarenka stanowiła odpowiednie miejsce na spotkanie. Zajęła miejsce w głębi lokalu, w towarzystwie dwóch toreb wypchanymi zakupami i Umeśa. Sartadź nie spodziewał się zastać tu Umeśa, ale ten piękny i wspaniały mężczyzna, w czarnych dżinsach i białym T–shircie, się pojawił. Siedział blisko Kamali, dotykali się ramionami, i chociaż Sartadź nie miał pewności, czy przypadkiem znowu nie są sekretnymi kochankami, był pewien, że ostatnio doszło między nimi do jakiegoś haramkhori. Jakby to powiedział Kamble: jakiejś ruchawki.

– Dzień dobry – przywitał się Umeś.



Sartadź przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Skinął głową, ale nic nie powiedział. Kamala poprawiła się na fotelu i odezwała się bardzo cichym, dziewczęcym głosem:

– Poprosiłam Umeśa, żeby tu przyszedł. Pomyślałam, że może nam pomóc.

Sartadź starał się mówić tonem łagodnym i bardzo obojętnym.

– Jeśli zależy pani na tym, żeby to była sprawa osobista, niech pani traktuje ją jako osobistą.

Umeś uśmiechnął się i pochylił się nad stołem.

– Sahibie inspektorze – powiedział – ma pan absolutną rację. Ale chyba pan rozumie, Kamala jest zupełnie sama z tym problemem. A potrzebuje jakiegoś wsparcia. Tylko ze mną może o tym porozmawiać. Rozumie pan, kobiety potrzebują wsparcia.

Był rzeczywiście bardzo czarujący, w taki przyjazny, chłopięcy sposób. Włosy opadały mu na czoło i uśmiechał się słodko, bardzo młodzieńczo. Sartadź nie mógł odmówić słuszności jego słowom.

– Tak – powiedział. – Ale...

– Napije się pan kawy, sahibie inspektorze? – zapytał Umeś. – Polecam. Podają tu bardzo dobrą.

– Nie – odparł Sartadź. – Spieszę się.

– Niech pan spróbuje cappuccino – nalegał Umeś. Uniósł palec i zawołał do chłopca za barem: – Hariś! Jedno cappuccino.

Sartadź się nie sprzeciwił. Miał dosyć mgliste pojęcie o tym, czym jest cappuccino, ale wiedział, że nie chce go pić. Nie było jednak sensu spierać się z uroczym Umeśem.

– Jest pewien postęp w pani sprawie – zwrócił się do Kamali. – Odnotowaliśmy kilka sukcesów. Wkrótce dowiemy się, czy coś z tego wyniknie.

– Jakich sukcesów? – zapytała Kamala. Była podniecona i przejęta.

– Proszę pani, nie mogę teraz mówić o szczegółach. Sprawa wciąż jest na etapie śledztwa.

– Proszę – powiedziała Kamala. – Co się wydarzyło?

Sartadź pokręcił głową.

– Powiem pani, kiedy będziemy już dysponować czymś bardziej konkretnym. Na razie mamy tylko trop.

– Czy ma to coś wspólnego z Rachel?

– Być może.

– Z pewnością może pan powiedzieć o tym Kamali – odezwał się Umeś.

– Zważywszy na okoliczności.

– Jakie okoliczności? – zapytał Sartadź.

Umeś tylko wzruszył ramionami. Skłonił głowę w kierunku jednej z toreb z zakupami Kamali. Wystawała z niej brązowa koperta, wetknięta między ozdobne, kwadratowe, bibułkowe opakowania z butiku.

– Ach, o te okoliczności chodzi – rzekł Sartadź. Sięgnął ręką ponad stołem i chwycił kopertę kciukiem i palcem wskazującym. Wewnątrz wyczuł plik banknotów. Sartadź upuścił kopertę z powrotem na poduszeczkę paczuszek Kamali i wstał z miejsca.

– Dokąd pan idzie? – zapytała Kamala.

– Proszę zrozumieć jedno – odparł Sartadź, patrząc na Umeśa. – Nie jestem waszym pracownikiem. Nie jesteście moimi szefami. Nie podlegam wam. Możecie zatrzymać swoje pieniądze. – A potem dodał po angielsku:

– Good luck.

– Niech pan zaczeka – odezwała się rozgorączkowana Kamala.

– Are, szefie – dodał Umeś. – Niech pan się nie obraża. Niczego takiego nie chciałem powiedzieć. – Zdążył już zerwać się na nogi. – Przepraszam pana, przepraszam. – Położył dłoń na ramieniu Sartadźa, ale zaraz ją cofnął.

Sartadź zdawał sobie sprawę, że wyraz jego twarzy jest teraz przerażający i że Kamala naprawdę się przestraszyła. Nigdy wcześniej nie widziała tego jego beznamiętnego wzroku policjanta, tego drapieżnego zwiastuna przemocy. Sartadźowi zrobiło się trochę żal, że przestraszył piękną Kamalę, ale Umeś tak wił się pod tą jawną niechęcią, że Sartadź poczuł dziką satysfakcję z jego konsternacji. W tym momencie inspektor zauważył, że przy jego łokciu ktoś stoi.

– Cappuccino – odezwał się wesoło chłopak, zupełnie nie zdając sobie sprawy z unoszącego się nad stolikiem napięcia. Sartadź spojrział na pianę w filiżance, a kiedy ponownie podniósł wzrok na Umeśa, na powrót był on obleczony w swoją charyzmę.

– Sahibie inspektorze – zaczął Umeś. – Naprawdę, bardzo mi przykro. Jestem głupcem, wielkim głupcem. Jestem idiotą. Kamala nie powinna cierpieć z mojego powodu.

Hariś, chłopiec z cappuccino, przyglądał się tej scenie z szeroko otwartymi oczami. Sartadźowi zrobiło się głupio. Dzisiejszego ranka przeraził go gniew Mohita i jego własne obawy o przyszłość tego dziecka. Potem zdenerwowała go Iffat–bibi. A teraz wyładowywał swoją złość na Kamali. Poza tym ten Umeś naprawdę kajał się teraz z żalu i smutku. Sprawiał wrażenie tak bezbronny, Sartadź nigdy wcześniej nie widział, żeby tak się zachowywał. Policjant pokręcił głową i wziął filiżankę z rąk Hariśa.

– W porządku – powiedział. Usiadł, czekając, aż Hariś odejdzie na bezpieczną odległość. – W porządku – powiedział do Kamalii. – Jak tylko będę miał coś konkretnego, natychmiast pani o tym powiem.

Kamala szybko skinęła głową.

– Tak, tak – odparła. – Bardzo dobrze.

Umeś z powrotem zajął miejsce na swoim fotelu, daleko od Sartadźa.

– Proszę skosztować cappuccino – powiedział. – Jest naprawdę bardzo dobre.

Sartadź wypił łyżeczek. Napój był w smaku bogaty i wyrazisty, tak jak jego zagraniczna nazwa. Inspektor rozejrzał się po barze, po pretensjonalnych, pomalowanych na pastelowe kolory ścianach i po obrazach europejskich ulic. Hariś obsługiwał grupkę osiemnastolatków przy barze. Wszystkie stoliki od frontu okupowali studenci, olśniewający w swoich ciężkich buciorach i ze starannie zmierzwionymi włosami. Za moich czasów w college’u nie było takich miejsc, pomyślał Sartadź. Megha i on tulili się do siebie w irańskich restauracjach, popijając zwietrzałą herbatę i znosząc spojrzenia łysiejących biznesmenów.

– Może cukru? – zapytał Umeś.

– Jest wystarczająco słodkie – odparł Sartadź. Obok filiżanki Umeśa leżał malutki, zielony samochodzik, przyczepiony do kluczy. – Co to takiego?

– Ferrari – odrzekł Umeś.

Sartadź czubkiem palca odwrócił autko, przesunął nim po stoliku w przód i w tył. Model był doskonały, działał i miał kierownicę, a z boku widać było malutkie literki i numery. – Ostatnim razem był chyba inny. Czerwony?

– Tak. Tamten to było porsche.

Sartadź skinął głową.

– Czyli teraz bardziej podoba się panu ferrari?

Umeś uniósł obie ręce, udając konsternację i zdumienie.

– Are, sahibie inspektorze – powiedział. – Czy mężczyzna może mieć tylko jeden gadi? Mężczyźnie potrzeba ich więcej. – Dowcip był ciężki jak ten podtekst seksualny. Ale Umeś doskonale zdawał sobie sprawę, że gra rolę niegrzecznego chłopca, i to bardzo pięknego, więc nikt nie może się na

niego gniewać. Nawet Kamala, która wprawdzie przewróciła oczami, ale z jej twarzy nie zniknęło rozbawienie.

– I pan ma te samochody? – spytał Sartadź. To pytanie było wredne, ale Sartadź musiał je zadać. Przy Umeśu czuł się staro. Kiedyś, przed laty, Sartadź też był mężczyzną, który marzył o wystrzałowych kobietach i wystrzałowych samochodach, i wydawało mu się, że na nie zasługuje.

– Widzi pan – odparł Umeś. – W zasadzie...

Kamala klepnęła Umeśa w ramię.

– Zamknij się – powiedziała, a zwracając się do Sartadźa, dodała: – On marzy, że je posiada. Co miesiąc kupuje sześć czasopism samochodowych. Na ścianie ma plakaty z samochodami.

– To moje hobby – stwierdził Umeś, z dosyć obłudnym wyrazem twarzy. – To wspaniałe maszyny. – W jego głosie słychać było głęboko skrywany zapach, stłumioną energię kinetyczną prawdziwego fanatyka. – A poza tym akurat mylisz się. Nie mam już plakatów na ścianie. Teraz mam tam ekran.

– Och, tak – roześmiała się Kamala. – Nowe kino domowe.

– Ma pan kino domowe? – zapytał Sartadź. – Z projektorem i wszystkimi bajerami?

– Nie, to nie jest projektor filmowy – odrzekł Umeś, wyrozumiałym uśmiechem kwitując ignorancję Sartadźa w zakresie nowinek technicznych.

– Mam najwyższej jakości odtwarzacz DVD firmy Sony, połączony z projektorem LCD. Daje obraz o ponad czterometrowej przekątnej. – Umeś rozłożył ręce. – Jakość obrazu jest lepsza niż w większości kin w tym kraju. Kupiłem też nowy wzmacniacz Sanyo i głośniki Bose. Kiedy podkreści się dźwięk, czuć go aż tutaj. – Uderzał dłonią w klatkę piersiową, a z jego oczu biła namiętność. – Musi pan kiedyś przyjść, pooglądać filmy.

– Zamęczy pana jakimś amerykańskim filmem o wyścigach – powiedziała Kamala. – Przez dwie godziny tylko jeżdżące w kółko

samochody.

– Nie, nie. – Umeś zbył ją męskim, lekceważącym ruchem prawej ręki. – Możemy obejrzeć film policyjny. Już panu mówiłem, że lubię kryminały.

Sartadź wciąż jeszcze próbował wyobrazić sobie ponad czterometrowy ekran i projektor w Bombajskim mieszkaniu.

– Ma pan specjalny pokój na ten ekran?

– Nie, jar, wisi w mojej sypialni. Na to nie trzeba zbyt wiele miejsca, projektor jest niewielki, mniej więcej taki. Musi pan przyjść i zobaczyć.

– Może kiedyś – odrzekł Sartadź. – Teraz mam na za dużo pracy. Ile coś takiego kosztuje, taki projektor, dźwięk i to wszystko?

– Och, nie tak dużo – powiedział Umeś. – Oczywiście, to wszystko jest specjalnie ściągane zza granicy, więc trzeba ponieść pewne koszty, ale nie tak duże, jak mogłoby się wydawać. – Czubkami palców klepał się po twarzy.

– O co chodzi? – zapytał Sartadź.

Umeś, z czułością w głosie, powiedział:

– Przyjacielu, ma pan pianę na wąsach. – W jednej ręce trzymał papierową serwetkę, a w drugiej brązową kopertę. – Proszę to wziąć.

Sartadź wziął jedno i drugie.

– Proszę się nie martwić – zwrócił się do Kamali, wycierając twarz. – Jesteśmy na tropie. – Kamala starała się sprawiać wrażenie, że się uspokoiła, ale widać było, że tuż pod pięknym blaskiem jej policzków kłębią się wątpliwości. Sartadź przez chwilę wahał się, a potem dodał: – I jeszcze jedno, zanotowaliśmy pewien postęp w sprawie Rachel. Jak już powiedziałem, proszę się nie martwić.

Kamala wyprostowała się i z uśmiechem skinęła głową. Również Umeś wyglądał na usatysfakcjonowanego. Może jednak na swój sposób kochał Kamalę, pomyślał Sartadź. Luluś, ale sympatyczny.

– Dobrze – powiedziała Kamala. – Dziękuję.

Sartadź zostawił ją w towarzystwie Umeśa, który szeptał jej coś do ucha. Pewnie jakieś czułe słówka albo wspomnienia wspólnej przeszłości. Nie, Sartadź był pewien, że Umeś mówi o wątpliwych kwalifikacjach wynajętego przez nią detektywa. Przekładając nogę nad siodełkiem motocykla, Sartadź dostrzegł swoje rozcięte odbicie w szklanych drzwiach kawiarni. Sam ruch był elegancki, ale wykonujący go mężczyzna nie wyglądał zbyt imponująco, ubrany w smętną, staromodną koszulę w kratę i niebieskie dżinsy. Turban był wciąż obcisły i leżał jak należy, ale twarz poniżej naznaczył upływ czasu. Bez wątpienia detektywi w zagranicznych filmach Umeśa lepiej wyglądali, lepiej się ubierali i w ogóle byli lepsi. Bez wątpienia, akurat to nie ulegało wątpiwości.

Jadąc na północ i mijając lotnisko Santa Cruz, Sartadź rozważał inne prawdy. W rzeczywistości był pracownikiem Kamali. Opłacał go wielki rząd Indii, według kusych stawek GOI, ale przecież czeki z jego wypłatą częściowo pochodziły od Kamali Pandej, obywatelki o odpowiedniej pozycji. Pieniądze, wręczane mu przez nią w brązowej kopercie, tylko podwajały jego zależność wobec niej, a mimo to potrafił wstać i oświadczyć, że nie jest jej pracownikiem, wyrobnikiem ani kulisem. Po lewej wzbił się w niebo lekki samolot i Sartadź obserwował, jak przelatuje obok niego, unosząc się coraz wyżej. Pojazdy poruszały się teraz bardzo szybko i przez kilka sekund Sartadź łudził się, że może nadążyć za samolotem, który jednak chwilę później zniknął. Sartadźowi wydawało się już, że nie dotyczy go rywalizacja z ludźmi w rodzaju Umeśa i Kamali, że udało mu się uwolnić z wabienia syreniego śpiewu sukcesu i zwycięstwa, ale najwyraźniej jego duma jeszcze nie umarła. Wciąż denerwowało go, kiedy przypominano mu, kim tak naprawdę jest, urzędnikiem służby

cywilnej, ni mniej, ni więcej tylko prostym urzędnikiem. Cholernym sardarem, pomyślał Sartadź. Cholernym policjantem.

Tego popołudnia Kamble czerpał korzyści z tego, że jest policjantem. Rozwiązał zagadkę włamania – sprawcami byli stróż pilnujący budynku i jego dwóch znajomków – i zarobił na sprawie o sprzeniewierzenie, dostając pieniądze od oskarżonego. Sartadź znalazł go piszącego raport w pokoju przesłuchań.

– Sahibie, wchodź, wchodź – powiedział. – Siadaj, proszę. – Jedną ręką pisząc, głośno siorbał chaas z trzymanego w drugiej ręce kubka i opowiedział Sartadźowi o swoich sukcesach. Kiedy już skończył i złożył swój raport, wybrali się na tyły komisariatu i przeszli się wzdłuż wewnętrznej strony otaczającego go muru, wokół stojącej tam świątyni. Zatrzymali się pod zwiędłym, młodym drzewkiem i wdali się w rozmowę.

– Ten numer telefonu, pod który dzwonił taklu, jest zarejestrowany na pewne nazwisko – zaczął Kamble – ale poczekaj. Nie uwierzysz. Jak myślisz, kto to może być?

Kamble miał kontakty u operatora sieci telefonów komórkowych. Wcześniej bardzo narzekał, jak to trudno będzie uzyskać jakąś pomoc i informacje, skoro śledztwo jest nieoficjalne, i że będzie potrzebował więcej pieniędzy, żeby sprawa ruszyła z miejsca. Ale teraz był bardzo zadowolony z siebie i ze sprawności swoich informatorów oraz z ich wiarygodności.

– Daj spokój, Kamble – powiedział Sartadź. – Jest za gorąco.

Posadzone przez Parulkara młode drzewka wyrosły, wyskoczyły w górę, ale ogołoczone z liści i gałęzi sprawiały smętne wrażenie. Nie rzucały nawet najmniejszego cienia. Ramiona Kamblego skąpane były w świetle słonecznym, a on sam pocił się.



– Szefie, nie masz szans zgadnąć – powiedział. Z namaszczeniem wyjął z kieszeni zwitek złożonego papier, jakiś komputerowy wydruk, wciąż jeszcze okolony dziurkowanymi paskami. Potrząsnął kartkami. – Spróbuj chociaż raz.

Sartadź wzruszył ramionami.

– Minister Bipin Bhonsle?

Kamble nachylił się do przodu i parsknął śmiechem.

– Tak, on z chęcią pozamykałby wszystkie rozwiązłe kobiety w Indiach. Ale nie, to nie on. Posłuchaj. Podany adres w Konkoli jest fikcyjny, nie istnieje. Ale nazwisko brzmi... Kamala Pandej.

– Nie.

– Tak. Tak właśnie tu jest napisane. Kamala Slut Pandej.

– Pokaż – Sartadź chwycił pierwszy z wierzchu wydruk. – Tego nie czyta się „slut”. Tylko „slat”.

– A co to znaczy?

– To angielskie słowo. Oznacza kogoś takiego jak randi [dziwka].

– Randi? – Kamble przesunął dłonią po spiętych na głowie włosach. – Taklu dzwoni do swojej szefowej, tej kutiji Rachel, a ta sali [siostra żony; również łagodne wyzwisko] śmieje się z nas.

– Sądzę, że raczej z Kamali – stwierdził Sartadź. – Nie wydaje mi się, żeby Rachel spodziewała się, że ktoś odkryje ten numer. Jej wydaje się, że jest naprawdę sprytna. Ona uważa to za dowcip.

– Behenćod. Teraz naprawdę chcę ją złapać – powiedział Kamble. – I to nawet niezależnie od pieniędzy.

Sartadź wręczył Kamblemu brązową kopertę, teraz już o połowę chudsza.

– Złapiemy ją. Co jeszcze udało ci się zdobyć?

– Miesięczny billing z tego telefonu, wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące. Wszystkie z tym samym numerem. To musi być komórka tego taklu, ta, której używał pod kinem.

Czyli taklu i jego wspólnik mieli telefon komórkowy, którego używali tylko do połączeń z tym numerem, do kontaktów ze swoim szefem. A ten ich szef, którym – sądząc po tej dodatkowej wulgarności słowa „slut” – była Rachel Mathias, korzystał ze swojej komórki wyłącznie do kontaktowania się z nimi. Bardzo skuteczna i przezorna metoda.

– A ten drugi telefon, telefon tego taklu, na jakie jest nazwisko?

– Na to samo nazwisko, na jej nazwisko. Dokładnie tak samo, z tym slut i tak dalej.

Czyli Kamala była slut dwukrotnie. Również Sartadź pragnął teraz złapać Rachel, i to nie dla pieniędzy. Ale te dwa dzwoniące do siebie telefony komórkowe to nie była łatwa sprawa. Oba były zarejestrowane pod zmyślonymi adresami, a płatności dokonywano gotówką, doładowując kartę SIM. Koło się zamykało.

Ale Kamble stał z rozdziawionymi dziko ustami, jak wilk, który przed chwilą pożarł kawałek świeżego mięsa.

– Nie martw się, przyjacielu. Ktoś tu popełnił błąd. Z telefonu taklu dzwoniło na telefon stacjonarny. Trzy tygodnie temu, jedna rozmowa trwająca półtorej minuty. To telefon w mieszkaniu. Mam nazwisko i adres. I tym razem to rzeczywisty adres.

Jeszcze tego samego wieczoru udali się pod ten rzeczywisty adres. Musieli długo jechać, przez korki w godzinach szczytu, aż do Bhandup. Kamble siedział za Sartadźem, który czuł na plecach jego ciężar i zniecierpliwienie. Co chwilę Kamble wskazywał mu wolne miejsce między stłoczonymi pojazdami i krzyczał, żeby przyspieszyć. Sartadź jechał swoim zwykłym,

równym tempem, nie korzystając ze skrótów, które tylko wydłużyłyby drogę. Kiedy zatrzymali się za długim sznurem stojących na skrzyżowaniu wspaniale pomalowanych ciężarówek, Sartadź musiał odwrócić twarz od rozgrzanej fali cuchnących spalin. Nad drogą wisiała pomarańczowa banieczka latarni, a nad nią przytłaczająca czerni nieba. Po prawej, między poruszającymi się samochodami i ponad nimi, Sartadź widział rozciągające się nisko światła, gęste punkciki biegnące na wschód i na północ. Za tymi światłami, ledwo widoczne, wznosiły się wzgórza. Tutaj widać było, jak miasto się rozszerza, jak wgryza się w glebę i przedziera przez ziemię. Być może na tych wzgórzach wciąż jeszcze były jakieś plemiona, trzymające się pazurami małych skrawków ziemi i pielęgnujące dziwaczne zwyczaje. Ale ciężarówki zwiozą tu cement, maszyny i pieniądze, i wraz z nimi długie dokumenty prawne, a członkowie plemion złożą podpisy i sprzedadzą ziemię albo zostaną wysiedleni. Tak to wszystko funkcjonowało.

Kamble roześmiał się. Sartadź odwrócił się i zobaczył, że Kamble patrzy na tylną burtę ciężarówki. *Agar ek barpjar kija to bar bar karna* – głosił fantazyjny biały napis w języku hindi, umieszczony pod standardowym Horn-OK-PLEASE, a dalej *Agar mudzhe der ho dzaje to mera intazar karna*<sup>37</sup>. Błotniki były pomalowane na czerwono i pomarańczowo i obramowane zielonym, liściastym wzorem.

– Cztery błędy ortograficzne – powiedział Kamble. – W dwóch liniijkach.

Rzeczywiście tak było.

– Biedny poeta – stwierdził Sartadź.

– I to w zupełnie niezłych liniijkach – dodał Kamble.

Światła zmieniły się i ciężarówki obudziły się do życia z potężnym rykiem klaksonów i silników. Sartadź jechał za ostatnią, tą poetyczną, rozmyślając nad kłopotami poetów i łamiących prawo spryciarzy. Można było skrupulatnie opracować najbardziej elegancką zbrodnię i ukryć ją za

całą siecią telefonów komórkowych, ale problem polegał na tym, że robotę wykonują kretyni. Trudno znaleźć dobrego pomagiera. Zawsze zdarzy się ktoś, kto nie wykona najprostszych instrukcji i popełni błąd, a nawet wiele błędów. Z pozoru wykrywanie przestępstw mogło świadczyć o mądrości detektywów, ale często rozwiązanie pojawiało się w postaci prezentu od głupców. Sartadź przypomniał sobie teraz, jak Papa-dźi rozwodził się na temat ogólnego upadku klasy przestępców, objaśniając swoją teorię, że obecni bandyci mają do pokazania tylko mięśnie, pozbawione jakiegokolwiek subtelności, i że używanie kałasznikowów zamiast lśniącego ostrza rampuri prowadzi do tego, że przestępca staje się drobnym łajdakiem i małym człowiekiem. Papa-dźi zawsze przytaczał przykłady – potrafił sięgać aż do dziewiętnastego wieku – legendarnych włamywaczy i oszustów, których działalność przestępcza opierała się na inteligencji i odwadze. Każde pokolenie ma takich apradhich, na jakich zasługuje, powiadał.

Zapadł już głęboki wieczór, zanim dotarli do dwupokojowego kholi tego apradhięgo, na tyłach basti Satguru Nagar, na samym końcu krętej uliczki. Ruszyli za inspektorem, który miał na imię Kazimi, włosy zafarbowane za pomocą mehndi i sztywno stawiał kroki. Kamble przewrócił oczami, widząc to dziwaczne podskakiwanie spiczastych butów Kazimi, że tak wysoko podnosi nogi, kiedy przekraczają wężowisko rur wodociągowych. Kazimi był znajomym ich znajomego, a Satguru Nagar znajdowało się w jego rewirze. Nie stawiał żadnych pytań o śledztwo, a tysiąc rupii spowodowało, że bardzo elastycznie dostosował się do ich harmonogramu. Stanowisko tego policjanta nie wiązało się ze specjalnymi korzyściami i Sartadź był pewien, że ten człowiek ma dorastające dzieci, które powinny się ustatkować. Czuło się w nim tę udrękę, uwidaczniała się w zgarbionych, przytłoczonych ramionach. Niemniej jednak Kazimi był człowiekiem

kompetentnym. Z miejsca rozpoznał nazwisko, Śrimati Wina Mane, i teraz pewnie poprowadził ich przez bezimienne alejki.

– Ile jeszcze? – zapytał Kamble. Zatrzymał się i, wsparłszy się ręką o słupek, wycierał podeszwę buta o narożnik muru. – Nie cierpię chodzić w takie miejsca. Behenćod.

– Już blisko – odparł Kazimi. – Jeszcze minuta, może dwie. – Jedną ręką tarł swoje biodro.

– Co się stało? – zagadnął go Sartadź, wskazując na biodro.

– Rana postrzałowa – wyjaśnił Kazimi. – Pamiątka po zamieszkach. Odzywa się zawsze, jak chodzę cały dzień. Chociaż upłynęło już tyle czasu.

Sartadź nie musiał pytać, w jakich zamieszkach, nie chciał też pytać, jak i dlaczego Kazimi został ranny. Kamble już się wyprostował i ruszyli w dalszą drogę.

– Przez ostatnie dwa lata to basti poważnie się rozrosło – stwierdził Kazimi. W ciemnościach widzieli jego profil oświetlony blaskiem padającym z mijanych drzwi. – Teraz jest tu prawie pięćset kholi.

Pięćset ciasnych, małych domków, z cegły, drewna, plastiku i blachy, tworzących małe przestrzenie, które mieściły wiele ciał. Chociaż Kamblego prawdopodobnie nie dzieliło zbyt wiele od takich domów, jedno pokolenie, może dwa, nie krył jednak wyższości uciekiniera, emigranta. On dokądś zmierzał, miał określone cele i już nie chciał się cofać. Sartadź starał się uważać na swoje włoskie cudeńka, ale jeśli buty się ubrudzą, trzeba się z tym pogodzić i jakoś sobie z tym poradzić. Ludzie tu mieszkali i takie właśnie było ich życie. Tak naprawdę to basti i tak było lepsze od wielu innych, które Sartadź już widział. Mieszkańcy awansowali na wyższy poziom, udało im się wyrwać z obskurnych przybudówek, stawianych przez nowych imigrantów tymczasowych konstrukcji z wyrzuconych kartonów. A tutaj, proszę bardzo, była pompa z wodą, wymurowane rynsztoki i prąd w

większości kholi, a Śrimati Wina Mane miała telefon. Sartadź nigdy jeszcze nie widział pięciu toalet ustawionych rzędem przed basti, oblepionych niebieskimi plakatami organizacji pozarządowej. Ci ludzie pięli się w górę, powoli, lecz systematycznie.

Ale mieszkańcy Satguru Nagaru nie lubili policjantów. Dwóch nastolatków siadło na murku pomiędzy kholi i objąwszy się ramionami, obrzucali Kazimiego wrogim spojrzeniem, a kiedy Sartadź ich mijał, zdążył dostrzec w ich oczach resztki nienawiści. Siedząca w drzwiach łysiejąca babina, trzymająca między kolanami thali załadowane ziarnami ryżu, zawołała do nich:

– Jaki grzech zamierzasz dzisiaj popełnić, inspektorze? – W samym tym jej „torze” było dostatecznie dużo jadownej pogardy, żeby ściąć mleko, które gotowała na kuchence w domu.

– Dzisiaj nie szukam twojego syna, Ammo – odezwał się Kazimi, nie odwracając wzroku. – Ale przekaz mu pozdrowienia.

Miała jeszcze dużo do powiedzenia, ale Sartadź nie dosłyszał jej słów, zginęły w brzęczącym ryku piosenki *Je sam mastani, madhoś kije dzaje*<sup>38</sup> dochodzącym z bardzo głośno nastawionego telewizora po lewej.

Na końcu uliczki stał szary, betonowy mur. Na jego szczycie widać było kawałki szkła i zwoje drutu kolczastego. Za nim rozciągała się pusta przestrzeń, tylko drzewa i jałowa ziemia.

– To tu – powiedział Kazimi. – Przedostatnie drzwi po lewej.

– Dobra – odrzekł Kamble, mijając przewodnika. – Chodźmy.

– Powoli – rzekł Kazimi. – Powoli.

Sartadź położył dłoń na ramieniu Kamblego, żeby go nieco pohamować, i zaraz ją cofnął, tak mokra była od potu.

– On ma rację – stwierdził, wycierając rękę w dzinsy. – Nie wiemy, kim jest ten apradhi. To może być jeden z tych tapori, których mijaliśmy na

rogu. Spokojnie, Kamble. Tylko spokojnie.

Kamble nie był przekonany, ale puścił Kazimiego przodem. Przedostatnie drzwi po lewej były świeżo pomalowane na żywy, pomarańczowy kolor, a nad wejściem widniała biała postać Ganeśi. Przez lekko uchylone drzwi dochodził szmer elektronicznego urządzenia. Kazimi powoli przeszedł dalej, jakby szedł na sam koniec uliczki. Nagle odwrócił się, oparł dłoń na pomarańczowych drzwiach i mocno je pchnął.

Rozległ się ostry trzask, drewna czy też ciała, i jęk bólu. W powstałej szparze, obok Kazimiego, Sartadź dostrzegł rękę na kolanie, zaciśnięte palce, nagie plecy, chude łydki. Na ziemi, tyłem do ściany i drzwi, siedział mężczyzna, oglądając telewizję. Podniósł się, stanął na jednej nodze i utykając, zapytał:

– Kto to? Kim jesteście?

Sartadź, który już do połowy wszedł przez drzwi, poczuł na karku bijące od Kamblego ciepło.

– Sukinsyn – rzucił Kamble. – To przecież ten taklu.

Rzeczywiście, ten szczupły osobnik z zapadniętą klatką piersiową mógł być owym taklu, którego opisał mały Dżatin. Wiek i wzrostu się zgadzały z opisem, a włosy uciekały mu już z samego czubka głowy.

Kazimi przyparł go do półki.

– Chyba jesteś tu nowy – odezwał się Kazimi – bo w przeciwnym razie znałbyś mnie. Jak się nazywasz?

– Kim jesteście? – nie ustępował taklu.

– Jesteśmy twoimi ojcami – odezwał się Kamble od drzwi. – Nie poznajesz nas?

Sartadź obszedł Kazimiego i skierował się na tyły kholi. Znajdowało się tam drugie pomieszczenie, a w nim dwie drewniane szafy i trzy stalowe kufry, poustawiane jeden na drugim. Rozmyte szare światło przedzierało się

przez gęsto okratowany wentylator, umieszczony wysoko na ceglanej ścianie. W sumie dom był spory, dobrze utrzymany i czysty. Znajdującą się w pomieszczeniu od frontu część kuchenną wyposażono w podwieszony ruszt i rzędami sprzętów kuchennych oraz w dwupalnikową kuchenkę. Po lewej, przy drzwiach, na małym, drewnianym taborecie przykrytym białą, koronkową serwetą, stał olśniewający, zielony telefon.

Taklu się nie odzywał. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Pod niebieską dzianą bielizną widać było rozdygotane nogi, tuż obok filmu z Sunilem Śettim lecącym w telewizji.

– Nazywam się Anand Agawane – powiedział. Dotarło do niego, że jest w towarzystwie trzech policjantów, i głos mu drżał.

Kazimi zrobił krok w jego stronę.

– Kim jesteś, Anandzie Agawane? Co robisz tutaj, w domu Winy Mane?

– To moja atja. To dom mojej atji. Czasami tu się zatrzymuję. Jeżdżę samochodem dla setha, który ma tu w okolicy warsztat. Czasami muszę zwrócić auto późno wieczorem, więc przychodzę tu na noc.

– Twoja atja jest bogata, tak? – zapytał Sartadź. – Ma telefon i inne udogodnienia. – Kucał właśnie przy taborecie. Tarcza telefonu zablokowana była kłódką, a obok stało pudełko wypełnione monetami i banknotami o drobnym nominale. Wina Mane pobierała od sąsiadów opłaty za korzystanie z telefonu. – Jaki jest numer tego telefonu?

– Numer?

– Tak, numer. Nie pamiętasz numeru telefonu swojej atji? Kamble, jaki tu jest numer?

Kamble był w drugim pokoju, i Sartadź słyszał, jak wywraca kufry i trzaska drzwiczkami szaf. Odkrzyknął numer, śpiewnym głosem podając kolejne cyfry.



– Zgadza się, ćutijo? – zapytał Kazimi. Stał bardzo blisko Ananda Agawanego, z twarzą tuż przy jego twarzy. – Czy to jest numer do twojej atji?

– Ja nic nie zrobiłem.

Kazimi wymierzył mu policzek. Na uliczce podniosło się zawrodoenie, wydobywające się z gardeł całej gromadki ludzi, którzy się tam stłoczyli. Anand Agawane zgarbił się przy telewizorze, trzymając się za twarz.

Sartadź wystawił głowę za drzwi.

– Zjeżdżać mi stąd – warknął. – Albo wami, sukinsyny, też się zajmę. Chcecie, żebym wsadził wam lathi w gandy? To nie kino. – Sąsiedzi Winy Mane wycofali się, a potem odwrócili się do niego tyłem. Ale Sartadź zdawał sobie sprawę, że i tak będą słuchać, wiedział, że to, co się dzieje w jednym kholi, słyhać w następnym. Wrócił do pokoju i podkręcił telewizor. Jakaś ubrana w zielone sari modelka śpiewała o wspaniałej kawie.

– Popatrz tutaj – powiedział Kamble, pojawiając się w wąskim przejściu z tylnego pokoju. W ręce trzymał sześcienną czarną wtyczkę, z której zwisał kabel. – Wygląda na ładowarkę do telefonu komórkowego. Powiedz no, ile telefonów ma ta twoja atja? Czym ona się zajmuje, co dziesięć minut dzwoni do Ambanich?

Sartadź wziął wtyczkę od Kamblego. Położył uspokajającą dłoń na ramieniu Ananda Agawanego, tuż przy jego karku.

– Posłuchaj – zaczął. – Nam nie chodzi o ciebie. Wiemy o telefonach do tej kobiety, wiemy, że posłałeś tych ćhokrów, żeby pod kinem Apsara odebrali pieniądze. – Sartadź czuł pod palcami tętno Ananda Agawanego, szybkie jak u ptaka. – Chcemy tylko, żebyś powiedział nam, jak nazywa się twój szef. Do kogo dzwonisz? Wystarczy, że nam to powiesz. Wszystko będzie w porządku, nic ci się nie stanie.

Ale Anand Agawane stał jak otępiały, z zaciśniętymi oczami i szczękami. Sartadź już wcześniej widział takie zachowanie, tę próbę zebrania odwagi, kiedy człowiek jest przyparty do muru. Anand Agawane zamierzał zachować się z honorem, chciał chronić swoich przyjaciół. Załamie się, ale będzie wymagać to pracy, przesłuchań, bicia, przynajmniej raz, może dwa razy. Będą musieli zabrać go gdzieś i tam nad nim popracować.

Kazimi skinął głową w stronę Sartadźa, a potem ponownie uderzył Ananda Agawanego na odlew w twarz, jakby od niechcenia. Nie wkładał w to uderzenie specjalnej siły, ot, taki znak przestankowy.

– Chyba słyszałeś pytanie? – powiedział Kazimi. – Odpowiadaj.

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzach – odparł Anand Agawane.

– A co z tą komórką? – zapytał Sartadź. – Gdzie ją masz?

Kamble zdjął z haczyka białą koszulę i upuścił ją na ziemię. Następnie pogrzebał w białych spodniach i wyjął z nich portfel.

– Jesteś kierowcą i masz tyle pieniędzy w portfelu? A ty, sukinsynu, nawet nie masz własnego samochodu. – Rzucił spodniami w stronę Ananda Agawanego, a one odbiły się od jego twarzy i spadły na podłogę.

Sartadź zaczął zrzucać pudełka z kuchennej półki. Po drugiej stronie kuchenki, na czarnej półce, stały podobizny Dewi z Tuldżapuru i Khandoby, oraz czarno-białe zdjęcie ślubne w ramce, mężczyzny i kobiety z lekka przypominającej Ananda Agawanego. To musiała być Wina Atja, obwieszona biżuterią i nieśmiała przed ślubem. Sartadź jednym ruchem ręki zmiotł metal, i na podłodze zachręściło szkło. Kazimi postawił stopę na spodniach Agawanego i schyliwszy się, wyciągnął pasek ze szlufek. Złożył go w pół i zaczął smagać nim po ramionach i biodrach Agawanego.

– Jeśli mnie rozzłościś – powiedział – będziesz musiał, sukinsynu, spędzić ze mną noc. Nie ze swoją atją. I muszę ci powiedzieć, że dla mnie,

w przeciwieństwie do ciebie, będzie to spora zabawa. Gdzie to jest, gdzie jest ta maderćod komórka?

Sartadź odwrócił się od półek, w stronę pokoju. Kholi wyglądało, jakby nagle zostało spustoszone, jakby jakiś silny wiatr zerwał kolorowe kalendarze ze ściany, rozerwał je na pół, i rozsypał po podłodze cały pojemnik dobrego ryżu. Sartadź próbował się skupić, choć przeszkadzał mu w tym trzask skóry uderzającej o skórę i nieustanne przekleństwa Kamblego. Anand Agawane siedział na podłodze i oglądał telewizję, tu, w tym miejscu. Nie mógł być zbyt daleko od głosu swojej pani, telefon musiał się znajdować gdzieś blisko drzwi. Gdzieś tutaj. Było tu okno z zamkniętymi okiennicami ale ich okaleczone, powykręcane drewno pozostawiała na parapecie tylko miejsce na paczkę Wills i zapalki. Sartadź strzepnął złożonym materacem, na którym Agawane siedział, ale nic to nie dało, oprócz zapachu stęchlizny i małego obłoku kurzu. Sartadź przekroczył telefon i taboret, ale nie miał już gdzie iść. Tu się kończył ten pokój, w tym kholi nic więcej nie było.

W kącie, na wysokości głowy Sartadźa, na białym sznurze wisiał drucziany koszyk. Pusty. Być może atja była na zakupach, kupowała attę, ziemniaki i baraninę, które umieści później w tym koszyku, bezpieczne przed niewątpliwie obecnymi w tym miejscu szczurami. Siostrzeniec był apradhim, ale w jej domu panował porządek. Anand Agawane siedział w kucki, z głową schowaną między kolanami mocno obejmował się rękami. Barki mu poczerwieniały, a łysa głowa pokryła się potem. Uparty sukinsyn. Sartadź trącił koszyk, który zakołysał się i lekko uderzył o ścianę. Sznur biegł do umieszczonego w krokwi haka. Na ścianie wisiało zdjęcie, niedawno zrobiona fotografia portretowa, w jasnych kolorach i dramatycznym oświetleniu przedstawiająca młodą parę. Mogła to być córka atji, ubrana w czerwone sari, z ciemnymi okularami przesuniętymi na

czubek głowy. Obok stał jej mąż, w skórzanej marynarce i z rękami wspartymi na biodrach, w eleganckiej pozie modela. Marynarka prawdopodobnie została wypożyczona od fotografa, który upozował ich na nowoczesną młodą parę na tle nocnej panoramy miasta. Światła rozświetlały wszystko po lewej i prawej stronie, i migotały na wodzie. Tło mogło przedstawiać Marine Drive albo Nowy Jork. Z wystającej cegły zwisała oprawiona w czarną ramkę fotografia. Na całej długości tej frontowej ściany, jakieś trzydzieści centymetrów powyżej głowy Sartadza, wystawały pod kątem parami ułożone cegły. Atja musiała kazać je celowo wmurować, co jakieś pół metra. Praktyczna kobieta. Sartadz sięgnął do pierwszej półeczki i przesunął po niej dłonią, ale wyczuł jedynie nierówną powierzchnię i szpagat, na którym wisiała fotografia. Sprawdził drugą, kopnięciem odsunął materac i zrobił krok do przodu. Kiedy sięgał ręką do góry, poczuł, że ogarnia go pewność. Tak. Czubkami palców wyczuł gładki plastik. To był telefon.

– Mam go – powiedział.

Kamble odrzucił blaszanką puszkę na ciasteczka, którą właśnie sprawdzał, a guziki, łyżki i igły zagrzechotały o ścianę.

– Pokaż, pokaż – powiedział, wyciągając rękę.

Ale Sartadz nie puszczał telefonu, należał do niego, przynajmniej przez tę krótką chwilę. To był ten moment, gdy sprawa zaczynała się odkrywać, kiedy czuł, że przedziera się przez ciemną zasłonę, kiedy napływało uczucie triumfu i apetytu na więcej. Poddał się temu, czując, że na jego twarzy pojawia się uśmiech. Nacisnął klawisze na telefonie, a potem podał go Kamblemu.

– Dziesięć ostatnich połączeń – powiedział. – Z tym samym numerem, z tą drugą komórką.

– Mamy cię – zanucił Kamble – dorwaliśmy cię, sukinsynu. – Wziął telefon i palcem wskazującym postukał w wyświetlacz. Cieszył się, jak mały chłopiec z lodów.

Ale Kazimiego ogarnął niesmak. Kopnął Agawanego, a potem odszedł chwiejnym krokiem i usiadł na odwróconej do góry dniem skrzyni.

– Maderćodzie – odezwał się do Agawanego. – To po to musiałem się tak napracować? Myślałeś, że nie znajdziemy tam tego gandu telefonu? Siedzisz w kholi wielkiej jak mysia nora, behenćodzie. Co za dureń. Ale teraz cię mamy. – Rozpostarł wielką, niebieską chusteczkę i wytarł sobie twarz i kark. – Jak tam, skończyłeś już grać bohatera? Będziesz mówić?

Agawane uniósł twarz do światła. Szlochał.

– Saab – powiedział. – Saab.

Była już jedenasta, kiedy Sartadź dotarł do domu Mary. Zatrzymał się, nagle uzmysłowiwszy sobie, ile hałasu robi jego motocykl. Samotna, mrugająca żarówka na końcu uliczki znajdowała się bardzo daleko od klatki schodowej, na której panowały nieprzeniknione ciemności. Sartadź szedł na palcach, po raz pierwszy zauważając na ścianie po lewej pnącza, to gęste i miękkie jak poduszka okrycie liści i winorośli. Zapukał dwa razy i kiedy już chciał ruszyć schodami w dół, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Mary miała nieprzytomny wzrok i wyglądała na bardzo zaspaną. Coś wymamrotała i szurając nogami, cofnęła się, żeby wpuścić go do środka.

– Zasnęłam – zdołała w końcu powiedzieć, ziewając szeroko. Miała na sobie wielką, żółtą koszulkę z kaczą mamą i kaczuszkami.

– Przepraszam – powiedział Sartadź. – Nie dałem rady się wcześniej wyrwać. Mogę sobie pójść.

– Nie, nie. – Zamknęła drzwi. – Oglądałam telewizję i tylko przymknęłam oczy.

Na ekranie stado imponujących zebr przeskakiwało przez górski grzbiet. Sartadź wyciągnął rękę i dotknął policzka Mary.

– Sartadźu Singhu – odezwała się – śmierdzisz.

Cofnął się.

– Przepraszam – powiedział. – Zrozum, cały dzień w pracy. – Nagle zdał sobie sprawę z własnego smrodu, z tych wstrętnych, tracących benzyną pokładów brudu i potu, które osiadły na jego całym ciele. – Powiniennem sobie pójść. Miałem zamiar najpierw udać się do domu, ale zrobiło się bardzo późno.

Mary się roześmiała.

– Zaczerwieniłeś się – powiedziała. – Nie wiedziałam, że policjanci się czerwienią. Daj spokój, wcale nie musisz iść. Chcesz się wykapać? – Głową wskazała na drzwi za Sartadźem.

– Wykapać się? – Miała rację, zaczerwienił się, czuł rumieniec oblewający jego piersi i szyję. Nigdy nie był wstydlivy, ale na samą myśl, że miałby zdjąć ubranie za tą cienką deską, poczuł się nieznośnie obnażony.

Ale Mary już się rozbudziła.

– No idź – powiedziała. – Przyniosę ci ręcznik. Podgrzeję kolację, będzie gotowa, kiedy wyjdiesz.

Sartadź schylił się przy drzwiach wejściowych, żeby zdjąć buty, ale zmienił zdanie i zdjął je na zewnątrz, na klatce schodowej. Brązowe skarpetki wcisnął głęboko w buty i uśmiechnął się do Mary.

– Czy zdejmujesz ten twój, ten...? – zapytała, podając mu zielony ręcznik.

– Pagri. Zazwyczaj tak.

– Na co więc czekasz?

Usiadł na krześle w nogach jej łóżka i odwinął pug. Bacznie mu się przyglądała. Już od bardzo dawna nie robił tego w obecności kobiety. Serce

waliło mu jak młotem i czuł, że palą go policzki.

– Bardzo długi – odezwała się Mary. – Sporo do noszenia na głowie.

– Można się przyzwyczaić. – Sartadź zdejmował z głowy i nawijał na łokieć długi pas niebieskiego materiału. – Jak kobiece sari, prawda?

Mary skinęła głową.

– Udało ci się ją złapać?

– Kogo?

– Kobietę, która szantażowała tę dziewczynę?

Sartadź zamarł. Czuł, jak w środku gotuje mu się od złości zaprawionej jakimś niewytłumaczalnym wstydem. Mężczyźni to łajdacy, pomyślał, rakszasy. Nie chciał jej mówić, kim był apradhi, ale wiedział, że nie ma wyjścia. Odetchnął głęboko, zakładając kolejny zwój na łokieć.

– Nie, złapaliśmy tylko jednego z drugorzędnych najemników. Ale wiemy już, kim jest szantażysta. Ten złapany sukinsyn wszystko nam powiedział.

Mary klasnęła w dłonie, raz, a potem jeszcze raz.

– Płonę z ciekawości, mów. Kto to jest?

Sartadź pokręcił głową i otworzył zaciśnięte szczęki.

– To ten jej kawaler – powiedział.

– Jaki kawaler? Czyj kawaler?

– Dawny facet Kamali. Ten pilot. Umeś.

– Zaraz, zaraz. Ten przystojniak? Ten, z którym się spotkałeś?

– Tak, ten. – Sartadź wstał i z namaszczeniem ułożył turban na krześle. – Matka faceta, którego dzisiaj złapaliśmy, przed śmiercią pracowała u rodziny tego pilota. Pilot wynajął go do tej pracy. Miał telefonować i odbierać pieniądze.

Na twarzy Mary odmalowało się zaskoczenie.

– Szantażował kobietę, która... – przerwała – która... – Odwróciła się do ściany, ukazując naprężony kark.

– Umeś lubi wydawać pieniądze – powiedział Sartadź. – Podejrzewam, że kiedy zobaczył w portmonetce Kamali dużo pieniędzy, stwierdził, że przyda mu się trochę tego majątku.

– Co zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Nie możemy go zaaresztować. Ta sprawa nie jest oficjalna. Jeszcze nie zdecydowaliśmy.

Mary zdjęła z koszulki niteczkę i odrzuciła ją na bok.

– Zbijcie go – powiedziała. – Zbijcie.

– Tak – rzekł Sartadź, nie bardzo wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć. Pod cienkim, żółtym materiałem rysowały się skulone ramiona Mary.

– Możesz skorzystać z mojego czepka pod prysznic, jeśli chcesz – zmieniła temat.

– Dobrze. – Sartadź był zadowolony, że może ukryć się w łazience. Przyniósł z sobą do domu Mary rysztokowy odór zbrodni, a do tego ją zdenerwował. W tej jej złości zawierał się ból jej własnej historii. Mary z ciebie zalotnik, pomyślał, zamykając drzwi do malutkiej łazienki. Na parapecie, pod wentylatorem, stały rzędem szampony, toniki i mydła. Na drzwiach po wewnętrznej stronie widniały dwa haczyki, obwieszane ręcznikami i ubraniami. Nie chciał kłaść swojej lepkiej koszuli na jej koszuli nocnej. Czubkami palców chwycił jej szlafrok – miękki, bardzo miękki – oraz wiszący pod spodem ręcznik, i przewiesił je na drugi haczyk. Rozpiął koszulę. Kamble też chciał zbić pilota, kiedy Anand Agawane powiedział im, kim jest szantażysta. Kamble był wściekły. Chciał od razu wyciągnąć tego sukinsyna z jego kokpitu albo udać się do jego domu i sprać go na środku tego jego behenćodowego pokoju z kinem domowym. I Kazimi, i Sartadź byli zaskoczeni porywcznością Kamblego, i w końcu



Kazimi stwierdził: „Bhai, dlaczego chcesz go bić? Ten sukinsyn ma furę pieniędzy”. A Sartadź tylko przytaknął skinieniem głowy.

Sartadź nałożył czepek Mary na swoją patkę i odkręcił kurek. W łazience nie było prysznicza. Sartadź czekał, aż napełni się czerwone wiaderko, i patrzył na pieniącą się wodę.

Kamble był bardzo młody. Pod tym jego cynizmem, który nosił jak zbroję, kryła się romantyczna dusza.

– Are, ja mam wiele dziewczyn – powiedział do Kazimiego i Sartadźa – ale nie ciągnę z nich pieniędzy. Wydaję na nie moje maderćod pieniądze, tyle ile mogę, a nawet więcej niż mam. Ten pilot to badhwa. – Dobrą chwilę trwało, zanim go uspokoili, zanim go przekonali, że bicie może przynieść tylko chwilową satysfakcję, że dla takiego faceta jak ten pilot to nie będzie prawdziwa kara. Kiedy się rozstawali, wciąż jeszcze mruzczał pod nosem.

– Ona dała mu miłość – powiedział, używając angielskiego słowa „love” i wymachując przed nimi palcem wskazującym – a on ją po prostu wykorzystał. Sukinsyn.

Sartadź nabierał kubkiem wodę z wiaderka i polewał sobie ramiona i brzuch. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na białym, aluminiowym taborecie, naprzeciwko kranu. Tak byli pewni, że tym apradhim jest Rachel Mathias, ta wzgardzona, znieważona i mściwa kobieta. A okazało się, że to ten piękny kochanek skrzywdził swoją ukochaną. Kamble, ten niezwykle człowiek, wierzył w nieskalane uniesienie czystej miłości, w marzenia, o których śpiewano piosenki. *Gata rahe mera dii, tu hi meri manzil?*<sup>39</sup>

Sartadź powiesił kubek na krawędzi wiadra i zamknąwszy oczy, siedział z rękami opartymi na kolanach. Czy można było powrócić do takiej wiary, zapomnieć o nadmiernym doświadczeniu i porzucić wygodny dystans wygnania? Sartadź myślał o tej kobiecie za drzwiami, obecnej tak blisko, i o tym, jakie to dziwne i nieoczekiwane, że znajduje się w jej domu, w jej

łazience. Trąc kostką mydła Lux po ramionach, pomyślał o tej innej kobiecie, tej, która kochała pilota.

Umeś nie był porządnym człowiekiem, ale Kamala również nie postępowała uczciwie. Sartadź nie miał jednak zamiaru przypominać Mary, że Kamala ma męża, że jest samolubna, niepoważna i niewierna, nie chciał o tym dyskutować. Nie tu i nie teraz. Teraz pragnął tylko spokoju i chciał, żeby Mary była blisko niego. Zawsze mogli porozmawiać o tym później, w przyszłości, o zdradzie, bólu i krzywdzie, ale tego wieczoru potrzebował przytulnego zacisza wiary. Przyszłość jeszcze nie nadeszła, a przeszłość już minęła. Odkręcił maksymalnie kurek i wylewał pełne kubki wody na swoją głowę, piersi i uda. Uśmiechał się i nucił sobie „*Kahi bitę na je ratę, kahin bitę na je din*”<sup>40</sup>. Właśnie wycierał się ręcznikiem, kiedy do drzwi zastukała Mary.

– Proszę – powiedziała. Uchylił lekko drzwi, na tyle, żeby mogła wsunąć rękę. – Możesz to włożyć.

Była to wytarta, biała kurta. Zamknął drzwi i uniósł ją do góry. Rękawy były trochę za krótkie, ale w ramionach i na klatce piersiowej leżała całkiem nieźle. Zastanawiał się, czy należała do jej byłego męża, czy chłopaka, ale zaraz odrzucił tę myśl. Jakie to miało znaczenie? Kurta była czysta, bił od niej świeży zapach prania, krochmalu i prasowania. Podwinął rękawy, naciągając palcami krawędzie fałd, żeby je wygładzić i wyprostować. Bez problemów ponownie zawiązał patkę, ale niewiele można było zrobić z podkrążonymi oczami i mizernie zapadłymi policzkami. Przyglądał brodę, skinął swojemu odbiciu w lustrze i wyszedł z łazienki.

Na małym stoliku przy łóżku Mary stała przygotowana przez nią kolacja. Tak się wstępnie umówili przez telefon, że on po pracy zje jej maćci kari z ryżem.

– Mam nadzieję, że ty już jadłaś – powiedział. – Bardzo się spóźniłem. Na buzującym małym palniku stał garnek, w którym szemrała para.

– Byłam zbyt zmęczona, żeby jeść – odparła. – Siadaj.

Usiedli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, po dwóch stronach stolika. Przygotowane przez Mary maćci kari było ostre, ale nie palące. Sartadź sapał przy jedzeniu, pił dużo wody i opowiadał historie z dzieciństwa. Mówił o tym, że kiedyś zjadł tak dużo hol-bhatur w przydrożnym sklepiku w Shimla, że Papa-dzi musiał zanieść go do domu, i o swojej nastoletniej namiętności do Royal Faludy podawanej w pewnej irańskiej restauracji w Dadarze, i o Gokulu w Santa Cruz, gdzie sprzedawano lody mango tak kremowe, że przypominały się czasy, kiedy latem można było objadać się mango, łowiąc owoce daśehri w wielkich wiadrach zimnej wody. Opowiadał jej o popołudniach, kiedy przez szkolne ściany wciskał się czerwcowy upał, a siedemdziesięciu chłopców w białych mundurkach nie mogło usiedzieć na miejscach, robili się niesforni, a najbardziej dziarscy i lubiani z nich – Sartadź z kolegami – po prostu musieli wyskakiwać przez okno, żeby zjeść kulfi na rogu ulicy. Śmiała się z tych opowieści i dokładała mu ryżu na talerz.

– Nie wiedziałam, że masz taką słabość do słodczy – powiedziała. – Nie mam żadnego kulfi. Może znajdę jakieś stare toffi. Miałam czekoladę, ale się skończyła.

– Dziękuję bardzo – odrzekł Sartadź. – Dziękuję, już wystarczy.

Ale zjadł dokładkę. Kiedy już skończył, kiedy umył ręce i dyskretnie wyszorował zęby odrobiną jej pasty do zębów, usiadł, plecami oparty o łóżko, ssąc cukierek o smaku pomarańczowym. Tylko trzy udało się jej znaleźć gdzieś na samym końcu półki. Myła talerze i garnki, a dla Sartadźa to pobrzękiwanie było kojącą muzyką. Westchnął, rozprostował ramiona,

przełknął ostatni okruch cukierka i zamknął oczy. Tylko na minutkę, pomyślał.

Obudził się w ciemnym pokoju, czując rękę Mary na twarzy.

– Sartadzu – szepnęła. – Kładź się do łóżka.

Zasnął i śnił o Ganeśu Gaitondem. Treść tego snu umknęła, kiedy tylko podniósł się na łokciu, ale pozostał ostatni obraz – Gaitonde mówił do niego przez ścianę: „Posłuchaj, Sartadzu”.

Leżał zwinięty na podłodze obok łóżka. Pod ręką miał poduszkę.

– Jestem śpiący – powiedział, czując się dosyć głupio. – I chyba też zmęczony.

Nie potrafił dostrzec jej oczu, ale wiedział, że wpatruje się w niego. Wstał i usiadł na skraju łóżka, tuż obok niej. Przesunęła się i położyła z drugiej strony łóżka, przy ścianie.

– Jeśli tu się zasiedzę – odezwał się – i zostanę, czy twoi sąsiedzi nie będą mieli pretensji? Albo właściciel mieszkania?

Wyciągnęła rękę i delikatnie pociągnęła go za przegub dłoni.

– Nie martw się. Przecież ty jesteś wielkim, pendzabskim policjantem. Za bardzo się ciebie boją, żeby coś mówić.

Ułożył się obok niej i przez chwilę leżeli nieruchomo, dotykając się ramionami. Kiedy Sartadź wziął oddech i przewrócił się na prawy bok, zobaczył, że ona leży twarzą do niego. Pocałowali się. W ciemnościach jej usta były pełne i miękkie, inne niż wcześniej. Wtuliła się w zagłębienie jego ramienia i przycisnęła usta do jego ust. Poczł czubek jej języka i przeszły go ostre ciarki. Jej oddech przeniknął go.

Sartadź cicho chrząknął i poczuł erekcję przy jej ciele. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, jej biodra i brzuch. Kiedy już do połowy wsunął się na nią, zauważył, że ona się wycofała, gdzieś odeszła. Jej ramię spoczywało sztywne na jego plecach. Odsunął się lekko.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja...

Sartadź czuł jej podenerwowanie, jej niepokój. Próbował ją uspokoić, palcami głaskał jej włosy. Aż do bólu odczuwał erekcję, pożądał jej, chciał ją posiąść, ale jednocześnie samo leżenie obok niej sprawiało mu ogromną przyjemność. Oddychali miarowo, jednocześnie, i po chwili dostrzegł błysk uśmiechu. On również się uśmiechnął i się pocałowali. Pomyślał, że ona różni się od tych innych kobiet, z którymi był, i nie chodziło tu o brak doświadczenia, ale o jej wstydlivość. Ostrożnie muskała nosem jego podbródek, jakby próbowała robić coś, czego nauczyła się zupełnie niedawno. Trzymał jej dolną wargę między zębami, bawił się kącikami jej ust. Roześmiała się, a on jej zawtórował. Spokojnie leżeli jedno przy drugim. Jej włosy pachnące szamponem dla niemowląt były ostatnią rzeczą, z której Sartadź zdał sobie sprawę, i z wdzięcznością zanurzył się w tym zapachu.

W rozkoszonym chłodzie wczesnego poranka, Sartadź wiedział, że śni. Szedł niekończącą się krętą uliczką w basti. Dachy z blachy falistej błyszcząły od czarnego deszczu, a jakiś mężczyzna rozkładał na swojej chacie porwany kawałek plastikowej folii. Sartadź szedł, a obok niego kroczył Katekar. Rozmawiali o zamieszkach. „To były złe czasy” – powiedział Katekar. Obaj szli za Kazimim, który ich prowadził. Szli. A potem rozmawiali o wybuchach bomb. Sartadź opowiedział Katekarowi o widzianej na drodze odciętej stopie, o drzewie odartym z wszystkich liści. „Miał szczęście” – stwierdził Katekar, brodą wskazując na Kazimiego. Katekar wyglądał na przygnębionego. Śnię, pomyślał Sartadź.

I nagle się obudził. Śpiąca obok Mary trzymała go za przedramię. Oddychała powoli i lekko w panującej wokół ciszy. Sartadź poczuł, że zeszywniało mu biodro, ale nie chciał się odwracać, łóżko było wąskie i

nie chciał jej budzić. Kazimi miał szczęście, pomyślał. To były złe zamieszki. Te niekończące się noce płonących basti, uciekający muzułmanie, mężczyźni z mieczami. Krzyki. Odgłosy wystrzałów odbijające się echem od budynków, tam i z powrotem. Kto postrzelił Kazimiego, hindus czy muzułmanin? A może jakiś inny policjant, strzelający na oślep? W każdym razie miał szczęście. Udało mu się, miał szczęście, że tylko utyka, miał szczęście, że nie wylądował na wózku inwalidzkim. Gdyby został kaleką, nie mógłby chodzić po tych wyboistych uliczkach. Chyba że miałby wózek jak Banti.

Sartadź usiadł. Był już zupełnie rozbudzony, krew dudniła mu w głowie. Mary obróciła się obok niego; poruszył ją, kiedy się podnosił.

– Co? – zapytała.

Sartadź przypominał sobie wózek inwalidzki Bantiego, tę jego zgrabną, zagraniczną stylistykę. I w jego uchu zabrzmiał głos sprzed wielu lat, głos nauczającego człowieka. Piękny głos, pełen przekonania do prawd, które głosił. Nie widział tego człowieka bezpośrednio, ale on tam był, widoczny na ekranie monitora. Wielki guru, słynny guru, odprawiał jaźnię.

Ekran telewizora Mary był czarny i Sartadź widział teraz w nim swoją twarz. Na tamtym ekranie telewizora widniało koło, koło za głową guru. Lśniące koło sprzed lat. Guru jeździł na wózku inwalidzkim. Na szybkim wózku, nietypowym. Sartadź przypominał sobie dobiegające od niego ciche elektroniczne brzęczenie.

– Muszę iść – powiedział.

– Co się stało?

– Nic, nic. Muszę iść do pracy. Zadzwoń do ciebie.

Pocałował ją, podciągnął prześcieradło wysoko na jej ramiona i pozbiierał swoje rzeczy. Na korytarzu było ciemno, jedynie leciuteńkie zaczątki światła przezierały na fragmentach horyzontu, widocznym między

budynkami. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na najwyższym stopniu schodów, żeby założyć buty. Spieszył się i palce mu drżały z podenerwowania. Trzema susami pokonał schody, i kiedy tylko znalazł się na pewnym gruncie, sięgnął po telefon komórkowy. Wyświetlacz był zupełnie szary. Maderćod, nie naładował go ubiegłej nocy. Chwilę później siedział już na motocyklu i mknął pustymi ulicami. W pobliżu dworca Santa Cruz znajdowała się otwarta całą noc rozmównica publiczna, dotarł tam w niecałe dziesięć minut. Zapukał w okno i obudził drzemiącego za ladą chłopaka. Szybciej, szybciej. Chwilę później wsłuchiwał się w trzaski na linii, oczekując na połączenie. Na zielonej ścianie, oddzielającej kabinę od kontuaru, wydrapane było w drewnie wielkie serce. Przebijała je strzała, a po obu stronach zamaszystym pismem wryto imiona „Reśma” i „Sandźaj”. Z serca skapywały drobne kropelki krwi, całym sznureczkiem spływały łukiem na ziemię. Sartadź przesunął palcem po strzale.

– Halo? – Głos Andźali Matur był cichy i ostry, ale uważny.

– Pani komendant – odezwał się Sartadź. – Mówi Sartadź Singh z Mumbaju. Przepraszam, obudziłem panią.

– Co się stało? Powiedz.

– Pani komendant. Chyba wiem, kim był guru Gaitondego.

## Ganeś produkuje film



Nakładasz cień do oczu, ciemniej w kącikach powiek.

Leżałem w atlasowej pościeli, na łóżku ze srebrną ramą, patrząc, jak Dżamila się maluje. Siedziała bardzo blisko lustra, wokół którego jaśniał krąg światła, i ze spokojnym obiektywizmem lekarza oceniała swoją twarz. Była obnażona do połowy, ale kiedy pracowała nad swoją twarzą, mogłem skupiać uwagę tylko na jej oczach, na jej policzkach.

– Teraz eyeliner, czarny Lakme. W zewnętrznym kąciku robisz taki ogonek, widzisz? Jak malutka rybka. Jakbyś robił mały balonik. To przydaje oku sztucznego konturu. No dobra, dalej. Jeśli górna powieka jest wyraźnie podkreślona kredką, na dolnej nie dajemy zbyt ostrej linii, bo wtedy zatraci się wyrazistość górnej. Jeśli chcesz, żeby oczy wyglądały na duże, trzeba podkreślić zewnętrzną krawędź dolnej powieki. Używamy do tego kredki, którą można rozmazać, i lekko pocieramy do góry.

Mówiła głośno, żebym ją słyszał pomimo bardzo rytmicznej muzyki disco, ale wyraźnie wypowiadała słowa. Ćwiczyła prawidłową wymowę. Spojrzała na mnie, sprawdzając, czy słucham, a ja się uśmiechnąłem. Czuję przyjemne zmęczenie, tego wieczoru dwa razy się kochaliśmy, w tym raz na podłodze. Miała sześć stóp, cała gładka, młoda, prężna i uległa, a ja zbadałem cały ten teren, do ostatniego kawałka.

– Twoje oczy wyglądają na ogromne – powiedziałem.

– No dobra. Kości policzkowe. Na policzki nakładamy róż, żeby nadać im połysk. Ja lubię kolor Bronze Blitz. Widzisz? Potem trzeba określić, czy mają wyglądać delikatnie, czy bardziej wyraziście. To zależy, gdzie się



wybierasz, jakie chcesz zrobić wrażenie. Jeśli masz znaleźć się w świetle, w blasku fleszów, lepszy może być wygląd bardziej uderzający, żeby wyróżniać się na zdjęciach. Ale my nigdzie się nie wybieramy, a zatem delikatny. Na delikatny wygląd lubię stosować kredkę do warg niemieckiej firmy MAC. Rysujemy kontur ust. Dzisiaj używam koloru Plum Preserved. Wystarczy tylko obrysować wargi. Jeśli nałoży się kredkę do warg na całą ich powierzchnię, efekt będzie za ostry. Dlatego też używam błyszczyka zamiast szminki.

– Bardzo sprytne – powiedziałem. – Ty sama jesteś ostra, Dżamilo. – Nie obdarzyła mnie nawet najdrobniejszym uśmiechem. W swojej pracy była poważna, jak jakiś pandit. Chociaż w jej przypadku raczej jak muła.

– Nakładamy błyszczyk i rozprowadzamy go palcem. W ten sposób. No, to wargi mamy zrobione. Teraz tusz do rzęs. – Szerzej otworzyła usta, żeby nałożyć tusz do rzęs. Widziałem to za każdym razem, kiedy patrzyłem, jak ona się maluje, a potem zaobserwowałem to u wszystkich innych kobiet, z którymi byłem. Podnosiły szczoteczkę do oczu, ale szeroko otwierały usta. Kobiety to dziwny gatunek. – Przykładasz aplikator u nasady rzęs, po czym przesuwasz go w górę. A kiedy przesuwasz go w górę, potrząsas nim lekko i przekręcasz. Widzisz? Przykładasz, potrząsas, przekręcasz. I co uzyskujemy? Grube, piękne rzęsy. Właśnie to. Okay, powoli zbliżamy się do końca. Ale to jeszcze nie koniec. Tajemnica polega na tym, żeby wszystko wymieszać, zmieszać, przemieszać! Wszystko. Żadnych ostrych krawędzi.

Ona mieszała, a ja patrzyłem.

– Przyjrzyjmy się teraz. Co jeszcze? Okay, dzisiaj, żeby wyglądać zmysłowo, użyję błyszczyka barwiącego. Daje efekt zabarwienia, lekko przydymiony. Skorzystam z purpurowego błyszczyka barwiącego MAC. Trzeba wyrównać barwnik. Jeśli nie masz pędzelka, możesz użyć końcówki

kredki. W ten sposób. – Odwróciła się do mnie, szeroko rozpościerając ręce. – Skończone. Widzisz. Jestem zrobiona.

I faktycznie, tak, była zrobiona. Przekształcona, z interesującego i plastycznego kawałka niepolerowanej stali z Lucknow w przejrzystą, zwiewną emanację światła. Wstała, wyprostowała się na całą wysokość i narzuciła błękitny szlafrok na delikatnie opadające ramiona. Poza tym miała na sobie tylko czarne majtki tanga i lekkie czółenka. Zapłaciłem Dźodźo niesłychane pieniądze za tę wysoką dziewczycę, a potem już samej Dźamili dawałem jeden lakh po drugim, i za każdym razem, kiedy stała przede mną tak prosta i wysoka, myślałem: paisa wasul. Zrobiła kilka kroków, oddaliła się ode mnie, przeszła po całym apartamencie i kołysała biodrami na tle odcinających się na niebie dachów Singapuru. Kiedy dotarła na koniec dywanu, przybrała pozę z wybiegu i rzuciła mi powłóczyście spojrzenie przez ramię. Mignął mi wzwidziony sutek, pobudzony i wyraźnie zarysowany. W tym momencie, kiedy stała cała złota, podświetlona jasnym błękitnym światłem, a przed nią tylko ciemność, oglądałem obraz jak z telewizji, jakby to był program Fashion TV, Star TV albo Zee TV. Wróciła do mnie, przechadzając się tym samym krokiem, a ja poczułem, że coś rozdziera mi piersi, ogarnęło mnie pragnienie, jakie czuje mężczyzna, patrząc na bogatą, szalową i piękną kobietę. Takie pomieszanie żądz i rozpaczy, rozbudzane na widok czegoś unoszącego się wysoko w niebiosach. Różnica polegała na tym, że ja w każdej chwili mogłem mieć tę kobietę klęczącą przede mną. Moja, pomyślałem, ona jest moja. Odczuwałem więc ból, ale jednocześnie przyjemność. Patrzyłem tylko, jak chodzi. Wiedziała, że lubię na nią patrzeć, i zrobiła mi pokaz. Kiedy już nie mogłem wytrzymać, kazałem jej ustawić się na czworakach przy oknie, w złotawobrazowym, gasnącym świetle, i klęknąłem przed nią, przed jej

ustami. To już trzeci raz tego dnia, bolało mnie i cały drżałem, aż w końcu poczułem ulgę.

Potem siedliśmy do posiłku. Byłem dosyć głodny, ale widok jedzącej Dżamili niejednego mógł przerazić. Jadła dosyć elegancko, nożem i widelcem, jak należy wycierała kąciki ust serwetką, ale pałaszowała jedzenie za trzech. Jeśli ktoś uparł się, żeby z nią rozmawiać, potrafiła na odpowiednim poziomie prowadzić rozmowę o bieżących wydarzeniach. Ale jeśli miała wolny wybór, zachowywała absolutne milczenie. Pochłaniała kolejne półmiski kurczaka, po nich porcję baraniny, a czasami dwie, i kończyła pucharkami lodów. Zamiast herbaty czy kawy piła szklankę lassi albo mleka, jeśli niczego innego nie było. Podczas naszego pierwszego wspólnego posiłku powiedziała, że nie potrzebuje kofeiny, że w jej ciele każda komórka obdarzona jest własnym impetem. Wystarczało jej pięć godzin snu w nocy, żeby zachować wypoczęty i zdrowy wygląd, i nie przeszkadzałoby jej, gdyby spała tylko cztery.

Z kolei ja byłem wyczerpany po całodziennym wysiłku, chociaż nie opuszczałem mieszkania. Zjadłem więc w ciszy, a potem wziąłem kąpiel. Kiedy wyszedłem z łazienki, Dżamila odsunęła już kołdrę, a na nocnym stoliczku stała szklanka ciepłego mleka. Dobrze ją wyszkoliłem. Podczas gdy ona brała prysznic, ja sączyłem mleko i przez interkom rozmawiałem z Arwindem. Znajdował się poniżej nas, w dolnej części tego dwupoziomowego mieszkania, wraz ze swoją Suhasini, która już nie wyglądała jak Sonali Bendre. Garu-dži nie mylił się co do ich małżeństwa; wzmocniło ich oboje. Arwind nadal był zadumany, ale też stanowczy i pragmatyczny. Suhasini zrezygnowała ze swoich krzykliwych, puszczałskich zachowań i emanowała łagodną szczęśliwością, a jej energia dawała bodziec mężowi. Mianowałem Arwinda rewidentem naszych działań na wschodzie i pomogłem mu urządzać się w pięknym mieszkaniu

przy Havelock Road, który w rzeczywistości składał się z dwóch mieszkań. Tylko tu spotykałem się z Dżamilą, w tym apartamencie na ostatnim piętrze, tylko w tym miejscu. Swoje relacje utrzymywaliśmy w jak najgłębszej tajemnicy, i to nie tylko ze względu na mnie. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę, i ja, i Dżamila, i Dźodźo, że dla dziewczyny, która chce zostać Miss Universe, lepiej będzie, jeśli nie nikt nie skojarzy jej z międzynarodowym królem zbrodni. Dlatego też trzymaliśmy język za zębami. A wysoka Dżamila też milczała. Nigdy nie śpiewała, nawet biorąc prysznic, kiedy oglądała filmy, nigdy się nie śmiała, nie płakała, nie klaskała. Leżąc w łóżku, słyszałem tylko plusk wody, i to wszystko. Rozmawiałem z Arwindem o interesach i zapytałem go, jak czuje się brzemienna Suhasini. Potem zadzwoniłem do Bombaju, do Bantiego. Kolejna rozmowa o interesach, a nim skończyliśmy, Dżamila dokonała swoich wieczornych ablucji. Umywarka w łazience wyglądała jak drogeria, rzędem stały tam przeróżne maści, płyny i szampony. Ale kiedy Dżamila przychodziła do łóżka, z upiętymi wysoko włosami, jakoś nie miała tego lepkiego, nakremowanego wyglądu, z którym tyle kobiet kładło się do łóżka. Po prostu była czysta, wyszorowana i kwitnąca.

Wyłączyłem światło i leżeliśmy obok siebie. Wiedziałem, że teraz nie zaśnie, przynajmniej przez godzinę lub dwie, ale ona podporządkowała się mojemu trybowi życia i była uprzejmie uległa. Jadła, spała i budziła się, kiedy tego chciałem. A ja teraz chciałem spać. Tylko że jej ciało nie dawało mi zasnąć.

Nie tylko pożądanie pobudzało i drażniło mój umysł. Byłem zaspokojony, przynajmniej na razie. Myślałem jednak o kształcie jej ciała, o jego liniach, kompozycji i proporcjach. Zmieniliśmy ten kształt. Tyłeczek Dżamili został poprawiony. To znaczy, jej pośladki – u wszystkich ludzi z natury asymetryczne – zostały wyrównane. Tłuszcz z małych wałeczków na

biodrach wyssano i umieszczono w jej gandzie, który zrobił się idealnie pulchny i jędrny. Z dolnych części ud oraz z ich boków i górnych, tylnych partii tuż pod pośladkami odessano tkankę tłuszczową. Z talii również. A także z ramion i z podbródka. W piersiach miała nowe implanty z soli fizjologicznej, o naturalnym kształcie, które sprawdzaliśmy, macaliśmy i szczegółowo omawialiśmy. Wszystko to zrobiliśmy w gabinecie cudów doktora Langstona Lee na Orchard Boulevard. Doktor Lee cieszył się niezrównaną reputacją, miał czystą i bardzo nowoczesną klinikę, a także niesamowicie wysokie stawki. Ale był prawdziwym mistrzem, ten śmiesznie mówiący człowiek o malutkich oczkach był maha-sztukmistrzem ciała, potrafił nim poruszać, przemieniać je, powodować, że znikало, a pojawiało się gdzie indziej. Dżamila wyszukała go dzięki swoim zakrojonym na szeroką skalę poszukiwaniom po całym świecie, a on nie zawiódł pokładanych w nim oczekiwań. Nawet ja, bezmyślny konsument ciała, zwykły, niewybredny ćodu, który wiedział, czego chce, ale nie wiedział, dlaczego, nawet ja wiele się nauczyłem, słuchając ich rozmów. Pojąłem ten język piękna, jego gramatykę i wspaniałą składnię. Słuchając tej dwójki poetów, zrozumiałem, że dobrze skonstruowana pieśń krągłości, struktur i przestrzeni może bez trudu zauroczyć nawet najbardziej skamieniałe serce. Wspólnie tworzyli magię, ten doktor i obiekt jego działań. Nikt by się nie obronił przed zmyślnym czarem, który z niej wykrzesali.

Ten proces kosztował już wiele pieniędzy, a także niewyobrażalnego bólu. Ani razu nie odwiedziłem Dżamili w klinice, ale spędzałem z nią czas po zabiegach, w naszym mieszkaniu. Nigdy nawet nie jęknęła, nie narzekała, ale wiedziałem, ile kosztowało ją przejście z łóżka do łazienki, kiedy dysza sondy atakowała i rozdzierała tkanki pod jej udami. Pot na jej czole mówił mi o straszliwej udręce. Widziałem to w jej siniakach, w żółto-

zielonych obrzękach na jej piersiach, w tym, jak kurczowo trzymała narzutę. Tyle bólu, tyle dni w tym bólu. A to jeszcze nie był koniec. Teraz mieliśmy zająć się jej twarzą. Doktor Lee zamierzał wyrzeźbić wgłębienia w policzkach. Wypełnić tłuszczem wargi. Chciał dopracować jej nos, użyć implantu, żeby go nieco wyostrzyć. I podnieść linię włosów. Również do podbródka zaplanowano implant, żeby był dłuższy, mocniejszy, bardziej kształtny, żeby stanowił idealny kontrpunkt dla brwi. Jego zamiarem było stworzenie Dżamili pełnej harmonii, doskonale proporcjonalnej, idealnej. Dopiero wtedy – według jej własnych obliczeń – będzie kompletna i skończona.

– Jak to się zaczęło? – zapytałem.

– Saab? – Odpowiedziała natychmiast, nie sprawiając wrażenia zaspanej czy nieprzytomnej. Muszę jednak przyznać, że moje pytanie nie było zbyt precyzyjnie sformułowane.

– Kiedy po raz pierwszy pomyślałaś, że chcesz zostać gwiazdą? Kiedy zaplanowałaś przyjazd do Bombaju? Jak tego dokonałaś? – Nic nie zmieniło się w jej oddechu ani też w ruchach jej ciała, ale zauważyłem, że teraz ma się na baczności. Czuję to na moich przedramionach i na karku.

– To nudna historia rodem z małego miasteczka, saab.

– Opowiedz mi.

– Dobrze, saab – odparła. Była grzeczną dziewczynką. Zawsze mówiła do mnie „saab”, była cicha i posłuszna. Teraz zaczęła mówić bardzo spokojnym tonem. – Po raz pierwszy zobaczyłam modelki, kiedy miałam sześć lat.

– Tak – odparłem. Kiedy ona mówiła, ja co jakiś czas wydawałem z siebie dźwięk, jakieś „tak”, żeby wiedziała, że jej słucham. A ona ciągnęła opowieść.

– Wcześniej widziałam je w czasopiśmie i w gazetach, widziałam też aktorki w filmach, ale wówczas zobaczyłam żywe modelki, w naszym Lucknow. Matka zabrała mnie do domu mojego ćiaci, a wracając, przeszłyśmy przez Hazratgandź. Modelki wychodziły z domu towarowego, przyjechały do Hazratgandź na uroczyste otwarcie. Wychodziły ze sklepu, szły chodnikiem, przez tłum odpychany przez policjantów, i wsiadały do klimatyzowanego autobusu. Tylko tyle, trwało to trzydzieści sekund, może minutę. A ja, wciśnięta między matkę a jakiegoś mężczyznę, zadzierałam głowę i patrzyłam na nie. Mijały mnie tak blisko, że gdybym tylko sięgnęła ręką, mogłabym dotknąć ich spódnic, dłoni. Ale nie zrobiłam tego. Trzymałam się matczynej burki i patrzyłam na te modelki. Były tam, właśnie tam, w Hazratgandź. Sprawiały jednak wrażenie osób z zupełnie innego świata. Księżniczki z bajki. Kiedy potem ktoś opowiadał mi bajki o księżętach, dżinach i magii, przed oczami zawsze suwały mi te modelki. Nigdy ich nie zapomniałam. Tego wieczoru zapytałam matkę, kim one były. Nie wiedziała. Była pobożną kobietą, która zawsze nosiła burkę, cóż mogła wiedzieć o modelkach? Kiedy przyszedliśmy do domu, próbowałam opowiedzieć o tym mojemu ojcu, na co on roześmiał się i zapytał matkę, o czym ja mówię, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Jakieś bezwstydne, ostrzyżone zagraniczne dziewczyny, powiedziała.

One nie pochodziły z zagranicy, tylko z Indii; to była grupa najlepszych modelek z Bombaju. Ale dla mojej matki to już oznaczało prawie zagranicę. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, kim one były. Mój ojciec był skromnym, bardzo pobożnym człowiekiem, miał niewielką restaurację na ćauk Bazarze. Codziennie dziękował Allahowi za powodzenie restauracji, słynącej kebabami kakori nawet poza granicami Lucknow. Był też jednak bardzo postępowy. W restauracji prenumerował gazety, nie tylko dwie wydawane w języku urdu, ale również „Times of India”. Sam nie potrafił

czytać po angielsku, ale miał nadzieję, że jego dzieci będą się uczyć i zajdą daleko. Prawdę mówiąc, swoje nadzieje wiązał głównie z synami, moimi starszymi braćmi. Ale ja – najmłodsza i jego ulubienica – również przeglądałam te gazety i czasopisma, które dla nich kupował, i przysłuchiwałam się dyskusjom ojca i braci. Tego ranka mój najstarszy brat, Azim, który najlepiej z całej rodziny znał angielski i przygotowywał się do egzaminu na urzędnika stanu UP, roześmiał się i powiedział: patrzcie, to te zagraniczne kobiety Dżamili. A one tam były, na fotografii na trzeciej stronie, płynęły po długim, podwyższonym wybiegu. Rozpoznałam tę dziewczynę z samego przodu, która między innymi była tematem właśnie słyszanej przeze mnie rozmowy. Azim tłumaczył mojemu ojcu, że to modelki ściągnięte z Bombaju na zorganizowany w pięciogwiazdkowym hotelu pokaz, w którym uczestniczyli wszyscy bogaci ludzie z Lucknow, a także zastępca głównego inspektora i komornik. Wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy usłyszałam określenie „pokaz mody”. Nie do końca wiedziałam, o czym oni mówią. Wyobrażałam sobie tłum, jak ten stojący na chodniku w Hazratgandżu, i przechodzące nad nimi wszystkimi modelki. Nic więcej, jakby po prostu unosiły się w powietrzu. I tłum patrzących na nie ludzi.

Wtedy tylko tyle wiedziałam. I tylko tego trzymałam się przez długi czas, przez wiele lat, żyjąc w moim świecie, na który składała się moja ulica, mój dom, szkoła, ojciec, matka, bracia, ciotki i kuzyni. Ten wybieg powracał do mnie co wieczór, i kiedy w końcu zasypiałam, przed oczami miałam obraz pięknych modelek z Bombaju mijających mnie na chodniku, z którego zniknął tłum, w jakiś sposób wymieciony z Lucknow. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej, ale instynktownie nie zadawałam pytań, nikogo nie dopuściłam do swojej tajemnicy. Wiedziałam, że kobiety nie powinny marzyć o takich sprawach, że grzeczne dziewczynki uczą się na pamięć sur



i hadisów, są skromne i ciche nie tylko na jawie, ale także we śnie. Dobrze o tym wiedziałam, wystarczyło, że jadłam posiłki wraz z matką, kiedy już chłopcy skończyli. Siedziałam więc cicho i uczyłam się, słuchając wszelkich urywków i fragmentów zdań, jakie tylko udało mi się uchwycić. Próbowałam czytać z Azimem „Times of India”, aż w rodzinie zaczęto nawet z tego żartować. Chodź tu, mówił Azim co rano, rozkładając gazetę. W ten sposób moja wiedza nieco się poszerzała. Wiedziałam, że modelki mieszkają w Bombaju, że większość to dziewczyny mówiące po angielsku, że w tym mieście dorastały, że zarabiają krocie i obracają się wśród bardzo, ale to bardzo wysoko postawionych osób. Ale tak naprawdę zaczęłam coś rozumieć dopiero, kiedy pojawił się u nas kolorowy telewizor i telewizja kablowa.

To nastąpiło wkrótce po moich jedenastych urodzinach. Wtedy, po założeniu kablówki, zaczęłam oglądać popołudniami telewizję i jednocześnie rosłam. Jeszcze tego lata byłam zupełnie przeciętną dziewczynką, tylko ojciec poświęcał mi więcej uwagi, a wszyscy pozostali myśleli, że jestem zwyczajna, cicha i porządna. Ale wtedy zaczęłam rosnąć. Rosłam i rosłam. Moja matka była dosyć wysoka jak na tamte czasy, miała około pięciu stóp i pięciu cali. Ojciec o jakiś cal więcej. Azim był najwyższy w rodzinie, miał pięć stóp i osiem cali. Ale wtedy ja zaczęłam rosnąć. Oglądałam w telewizji MTV i programy realizowane na podstawie pokazów mody i rosłam jak na drożdżach. Na kanale Zee przeprowadzali wywiady z projektantami mody, choreografami i fotografami. Ja to oglądałam. W nocy czułam bóle. Bolały mnie stawy, moje ścięgna naciągały się i rozciągały. Oglądałam program Fashion–Guru, ćwiczyłam angielski i rosłam. W wieku czternastu lat przegoniłam wszystkich braci, z wyjątkiem Azima, a rok później byłam już wyższa od niego. Byłam chuda, straszliwie chuda. Dziewczyny z mohalli prosto w twarz mówiły mi niemiłe

rzeczy, a moja matka mruczała coś pod nosem. Ojciec tłumaczył, że w rodzinie był pewien stryjeczny dziadek, który miał pięć stóp i dziewięć i pół cala, a ja wdałam się w niego. Ale kiedy kończyłam szesnaście lat, byłam już wyższa niż ten stryjeczny dziadek, i dalej rosłam.

Moja rodzina się martwiła. Gdzie oni znajdą dla mnie męża wyższego niż ja? A nawet jeśli im się to uda, czy ten wysoki mężczyzna będzie chciał mieć tak rozciągniętą żonę? Ale ja się tym nie martwiłam. Wiedziałam, gdzie mile widziane są wysokie dziewczyny. Wiedziałam, kim jestem. Przyglądałam się nie tylko modzie, ale i samej sobie. Nawet jeśli nikt wokół mnie tego nie widział, ja wiedziałam, że we mnie drzemie jakiś potencjał. Dwa lata po wygraniu konkursu przez Aiśwaję i Suszmitę tuż przy naszym mohalli otwarto salon piękności. Chodziły tam dziewczyny i młode żony, żeby wyskubać sobie brwi, na zabiegi kosmetyczne twarzy i żeby zrobić makijaż na ślub. Ale te wszystkie dziewczyny, które powszechnie uważane były za piękne i o których marzyli moi bracia, one wszystkie miały jasną karnację, były nieco pulchne i skromnie wyglądały. A ja znałam swoje barwy i kształty, i w niczym ich nie przypominałam. Uważano mnie za brzydką, byłam zbyt ciemna. Ale wiedziałam swoje. Stojąc przed lustrem, wiedziałam, co już mam, a co trzeba jeszcze zrobić. Przeczytałam wszystko na temat odpowiedniej postawy, o ćwiczeniach i chodzeniu po wybiegu, o wyglądzie modelki i o chirurgii plastycznej. Wiedziałam, gdzie mogę się udać. Wiedziałam, gdzie udać się muszę. Dla mnie istniało tylko jedno miejsce – Bombaj. Przyjechałam więc.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tyle mówiła, nigdy nie powiedziała tak dużo naraz. Podejrzewam, że złożyły się na to te ciemności, moje nieoczekiwane pytanie i wypowiedane szeptem potwierdzenia – ostatecznie to nawet nie mnie opowiadała tę swoją historię, tylko sobie samej. Pozostałą część tej jej podróży już znałem z relacji Dźodźo. Dżamila

odczekała do swoich osiemnastych urodzin. Następnego dnia, późnym popołudniem, ubrana w burkę opuściła swój dom, zabierając tylko torebkę, w której miała siedem tysięcy czterysta rupii, częściowo uzbierane przez lata za cenę wielkich wyrzeczeń, a w większości skradzione z matczynej almiry. Miała trzy złote bransolety i trochę srebrnej biżuterii o niewielkiej wartości. Rykszą pojechała do Nakkhy, przez Kasmiri Mohalli, gdzie kupiła tanią walizkę. Z zasłoniętą twarzą szła zgarbiona, starając się na wszystkich mijających ją osobach sprawiać wrażenie pobożnej, starej kobiety. Już wtedy jej zdolności aktorskie były niezrównane. Poszła z tą walizką do domu przyjaciółki, gdzie przez ostatnie tygodnie znosiła ubrania, organizując tajny magazyn. A potem udała się na dworzec kolejowy i poczekała na ekspres Puszpak. Miała już bilet i zrobioną dwa tygodnie wcześniej, pod przybranym nazwiskiem, rezerwację na kuszetkę. Usiadła cichutko w pociągu i patrzyła, jak uciekają mile, jedna za drugą. W Lucknow zostawiła tylko krótki list, który jej matka znalazła późną nocą w kuchni. Napisała w nim: „Odchodzę z własnej woli. To mój wybór. Proszę, nie próbujcie mnie szukać”. Ani słowem nie wspomniała, dokąd się wybiera ani dlaczego, czy też po co. A ponieważ nigdy wcześniej nikomu nie zdradziła swoich pragnień ani tego, co chce osiągnąć, nikt nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Nawet ta przyjaciółka, która służyła jej pomocą, sądziła, że pomaga Dżamili spotkać się z jakimś tajemniczym, żonatym chłopakiem. Ale nie było żadnego mężczyzny, żadnego chłopaka, jedynie to jej marzenie. W Bombaju wyrzuciła burkę, zmieniła imię i zatrzymała się w położonym nieopodal Hadzi Ali małym pensjonacie dla kobiet, w sali sypialnej, w której każda kobieta miała łóżko, mały stoliczek i półmetrową półeczkę. Wiem, ile wycierpiała przez kilka pierwszych miesięcy, dorywcza sprzedaż, pazerni szefowie, trzygodzinne jazdy autobusem na spotkania z fotografami, nieprzyzwoite propozycje, miotanie się i upokorzenia. Już

wcześniej o tym wszystkim słyszałem, ale tę ogromną siłę Dżamili pojąłem dopiero tej nocy, kiedy opowiedziała mi, jak w końcu zrozumiała samą siebie, to, kim była i kim mogła zostać. Dźodźo miała rację, między mną a Dżamilą istniało duże podobieństwo. Pewne umysły są w stanie zmieniać świat. Od Garu-dźi nauczyłem się, że ziemia, po której chodzimy, niebo, pod którym się tłoczmy, to wszystko jest snem. Mówił mi, że ludzie posiadający tapas i dostateczną siłą woli mogą poruszyć wszechświatem. Sam tworzyłem własne życie. Teraz dowiedziałem się, że również Dżamila ma w sobie tę zdolność, to pragnienie. My, ta garstka ludzi, którzy doświadczyli owej wspaniałej wizji, możemy na nowo napisać swoje losy. Gdzieś między zapadnięciem tej nocy w sen a obudzeniem się następnego ranka, we śnie lub może już na jawie, postanowiłem zrobić dla niej film.

– Widzę, że rzeczywiście wpadłeś i zakochałeś się w Samolubnej Żyrafie – powiedziała Dźodźo zdecydowanym tonem, kiedy opowiedziałem jej o pragnieniu sfinansowania produkcji filmu. Jak zawsze zadzwoniłem do niej do Bombaju.

– Dlaczego sądzisz, że w coś wpadłem? – zapytałem. – Już od dawna chciałem zrobić film.

– Może, może. Ale właśnie teraz zdecydowałeś się na ten krok. Masz fideę na jej punkcie. Przyznaj się. Samolubna Żyrafa cię złapała.

Nic nie było w stanie zmienić jej stanowiska, tej jej pewności, i nieustannego określania Dżamili mianem Samolubnej Żyrafy. I wcale nie przeszkadzało jej, że Dżamila była jej protegowaną, że to ona była najlepszą sponsorką tej dziewczyny, i że to sama Dźodźo mi ją przysłała.

– Dźodźo, jesteś zazdrosna o tę biedną dziewczynę.

Na te słowa Dźodźo wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Mam być zazdrosna o to, że co dwie minuty jej wsadzasz, Gaitonde? – W chwili niefrasobliwego odprężenia i zadowolenia zwierzyłem się jej, jak bardzo lubię ustawiać Dżamilę w estetycznych pozach, jak to biorę ją w różnych pozycjach i egzotycznych miejscach. Przekazywanie kobietom jakichkolwiek informacji jest głupotą, i zawsze odradzałem to moim ludziom. Cokolwiek powiemy, pewnego dnia zostanie wykorzystane przeciw nam. Ale przy Dżodźo często łamałem zasady. Zbyt długo już się znaliśmy, zbyt dobrze. Czasami nawet w trakcie samego aktu – powiedzmy, kiedy posuwałem Dżamilę w limuzynie w drodze do restauracji – zdawałem sobie sprawę, że już myślę o tym, jak opowiem o tym Dżodźo. Najistotniejsze było opowiadanie, sam akt służył jedynie za temat. Musiałem o tym opowiedzieć Dżodźo. I dlatego też wiedziała zbyt wiele, łącznie z tym, jak lubiłem dmuchać tę Samolubną Żyrafę. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż oddawać ci mój gand, Gaitonde – powiedziała.

– Ale to gand Dżamili będzie na wielkim ekranie – odparłem. – A to piecze cię w tyłeczek.

– Dziesięć lat temu może by mnie piekło. Może nawet pięć lat temu. Ale teraz jestem szczęśliwa, baba. Rozumiesz? Szczęśliwa. Lubię swoją pracę i lubię to, co mam. Odnoszę sukcesy w tym, co robię. I zdaję sobie sprawę, że nawet gdybym trafiła do filmu, nie wytrzymałabym długo w tym biznesie. Byłam po prostu małą dziewczynką, bawiącą się w zbyt wielkie gry. Z niczego nie zdawałam sobie sprawy.

– Dżamila już od dzieciństwa starała się poznać ten biznes.

– Tak. Ona przez długi czas bardzo, bardzo ciężko pracowała. A to dlatego, że jest Samolubną Żyrafą.

I znowu to samo, na samym końcu misternie rozwiniętego komplementu musiała wetknąć to żądło.

– Nie bądź kutiją – powiedziałem. – Żywisz się takimi baćcami, jak ona. A także ich nauką i ciężką pracą.

Dźodźo grzecznie zgodziła się z moimi słowami. Potrafiła być ostra jak nóż japońskiego szefa kuchni, ale była też uczciwa.

– To prawda – odparła. – A niektóre z nich tobie wysyłam, Gaitonde. Dla twojej uciechy.

– Tak. Może przeczytasz mi jakiś list. – To również należało do moich przyjemności. Przez ostatnie dwa czy trzy lata Dźodźo otrzymywała listy. Nadchodziły w tych brązowych kopertach, jakie sprzedawano w pobliżu urzędów pocztowych i na bazarach obok ogłoszeń z ofertami państwowej pracy i drukami podań.

– Tak, tak – odparła Dźodźo. – Poczekaj chwilkę. W piątek dostałam bardzo ciekawy. Zachowałam go dla ciebie.

Słyszałem, jak grzebie po swoich półkach. Listy nadchodziły z całego kraju, ale głównie z północy, z miejsc takich, jak Azadnagar, Maithon Farm, Dhanbad, i Asabpura, Moradabad, i Mangaon, dystrykt Raigar i Mallik Tola, Banka, Bihar. Jakaś wydawana w języku hindi lokalna gazeta przedrukowała opublikowany w niedzielnym wydaniu „Times of India” artykuł o pracy modelek, razem ze zdjęciami kilku kobiet, które przybyły z małych miejscowości do Bombaju i odniosły sukces jako modelki i aktorki. W tym artykule podano nazwisko Dźodźo jako jednej z agentek zajmujących się kandydatkami. I zaczęły nadchodzić listy. Napływały stałym, choć niezbyt szerokim strumieniem, który zmieniał się w potok, kiedy artykuł był po raz kolejny powielany i kradziony przez następne gazety. Listy w większości pochodziły od mężczyzn, a my wspólnie z Dźodźo zastanawialiśmy się, dlaczego kobiety nie piszą częściej. Dźodźo uważała, że prawdopodobnie dziewczyny obawiają się, że mogą otrzymać odpowiedź do domu.

– Co by to było, gdyby jakiś ojciec otworzył wysłany przeze mnie list, w którym zapraszam dziewczynę do Bombaju? – mówiła Dźodźo. Powiedziała też, że dziewczyny po prostu uciekają z domu. Albo czasami wygrywają lokalny konkurs piękności i namawiają rodziców, żeby przyjechali z nimi do Bombaju. W dzisiejszych czasach nawet rodzice słyszeli w swoich snach brzęk lakha rupii, więc przyjeżdżali.

– Okay, Gaitonde – odezwała się Dźodźo. – Mam. Nadszedł z wioski Cabilapur, poczta w Gobindpurze, rejon Begu Sarai.

– Skąd?

– To Bihar, baba.

– Co jest z tymi Biharczykami?

– To przystojni ludzie, inteligentni, ambitni i twardzi. A teraz siedź cicho i słuchaj.

– Tak, tak. Czytaj.

W języku hindi czytała bardzo powoli i z trudnością, dopiero po przybyciu do Bombaju nauczyła się mówić tym językiem. A czytać – choć niezbyt dobrze – nauczyła się jeszcze później. Poprawiała swój hindi, czytając mi listy. Zanim mi o nich powiedziała, wciskała je za szafkę, nie otwierając kopert, i raz na tydzień wyrzucała. Ale kiedy już napomknęła mi o ich istnieniu, poprosiłem ją, żeby mi przeczytała jeden z nich, a potem następny. Teraz rzucała okiem na każdy po kolei i najlepsze zachowywała dla mnie.

– Ten – odezwała się – zaczyna się standardowo. Gość czytał w gazecie o konkursie Mister International, a w tym artykule wymieniona była moja firma. Chciałby dowiedzieć się, jak mógłby wejść do świata modelingu.

– Are, czytaj Dźodźo.

– Gaitonde, on naprawdę pisze trudnym hindi, jakimś z północy, pełno tam tych wszystkich *kam* i *hamarapata* i *kaszt karę*.

– Czytaj, czytaj.

– No dobra. Facet mi się spodobał, bo sporządza wykazy. Znajomość języków: hindi, angielski, magahi, maithili. A tak przy okazji, nazywa się Sandżaj Kumar. – Już teraz w jej głosie zabrzmiało rozbawienie. – Sandżaj Kumar nie chce przysyłać typowych danych biograficznych. Przedstawił natomiast listy „Ulubionych”. Ulubiony kwiat: róża. Ulubieni bohaterowie: Anil Kapur, Salman Khan, Amir Khan. Ulubione bohaterki: Rani Mukherdżi, Kadżol, Aiśwarja Rai.

– Czemu on sądzi, że ty chcesz to wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Słuchaj dalej, Gaitonde. Ulubione filmy: *Karan Ardżun*, *Sole*, *Dilwale Dulhanija Le Dzaege*, *Pardeś*. Ulubione zagraniczne miejsca: Londyn, Szwajcaria, Nowa Zelandia.

– Ten sukinsyn nigdy nie wystawił nosa poza Cabilapur.

– Widział Nową Zelandię w filmach, Gaitonde. Jego ojciec kupił rodzinie magnetowid i codziennie oglądają filmy. Ulubione kremy: *Fairever*, *Ponds Cold Cream*. Ulubione perfumy: *Rexona*. Ulubione mydło: *Lux*, *Pears* i *Pears Face Wash*. Ulubione szampony: *Clinic All-Clear* i *Nyle Herbal Shampoo*. Ulubiony olejek do włosów: *Dabur Mahabrahmraj*. – W tym momencie śmiała się już tak mocno, że ledwo mogła czytać. – Ulubiony puder: *Denim* i *Nycil*. Ulubiony zestaw do golenia: *Denim* i *Old Spice*. Ulubione pasty do zębów: *Colgate Gel Blue* i *Aquafresh*. Ulubione dżinsy: *Levis*. Ulubione samochody: *Cielo*, *Tata Safari*, *Maruti Zen*, *Maruti 800*, *Ferrari 360 Spider*.

– Ten mały maderćod nawet nie powąchał ferrari w tym behenćodowym okręgu Begu Sarai. Przecież oni nawet nie mają tam ćutijowych dróg, które zasługiwałyby na to miano.

– Ale pozbierał informacje, Gaitonde. Słuchaj, słuchaj.



Od tych wykazów Sandżaja Kumara poczułem, jak coś ściska mnie w dołku, a w żyłach powoli rozpląwa się panika. Był śmieszny, bez dwóch zdań. Dźodźo odczytywała jego listy i wspólnie się śmialiśmy. Słuchałem jej śmiechu i sam również się zaśmiewałem. Ale przez cały czas czułem w piersiach jakiś osobliwy ciężar. Nie chciałem mówić o tym Dźodźo, a nawet gdybym chciał, gdybym spróbował, nie wiedziałbym, jak to nazwać. Nigdy nie byłem w Biharze, ale dokładnie wiedziałem, jak może wyglądać okręg Begu Sarai, jak wyglądała wioska Chabilapur. Jedyna zniszczona droga wiała się przez pola, a błotniste wąskie kaćce dróżki prowadziły do małych skupisk chat i domów. Coś o szumnej nazwie szkoły podstawowej, w rzeczywistości grupka dzieciaków siedzących na patio tamtejszej świątyni Siwy, z nauczycielem – jeśli w ogóle był tam nauczyciel – dyktującym alfabet. Długi mur okalał sad sarpanća, a na tym murze widniały reklamy oleju silnikowego i nasion. Przy stawie kucała robotnicza rodzina, oczekując wypłaty dniówki. Trzypiętrowy budynek college’u, w którym grupki uczniów kręciły się bez celu po obskurnych korytarzach. Na dworze motocykle bogatych chłopaków, z rodzin kupieckich i ziemskich. A w górze puste niebo. I w takiej wiosce, w tym okręgu, Sandżajowi Kumarowi udało się poskładać swoje wykazy, złożyć je do kupy. I wszystko spisał. Jak? Z pożyczonych gazet, z używanych czasopism? Z telewizji, oglądanej w domu znajomego między kolejnymi przerwami w dostawie prądu? Przygotował ten swój list, przepisał go na czysto i wysłał do Bombaju. Kiedy myślałem o tym Sandżaju Kumarze, w świetle latarni pochylonym nad swoim listem, robiło mi się niedobrze.

– A na samym końcu tego listu – powiedziała Dźodźo – po podpisie, dodał jeszcze prośbę. – Prychnęła. – Na początku, jako jeden ze znanych mu języków podaje angielski. Ale na samym końcu pisze „Będę czekał na Pani szybką i uprzejmą odpowiedź. Proszę pisać wyłącznie w języku

hindi”. Ten cały Sandżaj Kumar nie jest zbyt bystry. Albo uważa, że w Bombaju agenci modeli to same ćutije.

– Dżodżo, któżby śmiał pomyśleć, że jesteś ćutiją? Nie, nie. Po prostu ten biedny chłopak stara się poprawić swoją sytuację życiową. Przypomnij sobie, też kiedyś taka byłaś.

– Nigdy nie byłam takim gand, jak on. Żeby wysyłać listy do Bombaju. Prosić o odpowiedź w hindi. Posłuchaj, już od pewnego czasu siedzę w tym biznesie. Mam wycucie do ludzi, wiem, kto może pójść w górę, a kto nie. I mówię ci, ten facet nie ma żadnych szans. Nawet gdyby wyglądał jak Hrytik Rośan, nie ma najmniejszych szans. Jeśli przyjedzie do Bombaju, zjedzą go tu.

Trudno mi było z tym dyskutować.

– Tak – odparłem. – Tak. – Sandżaj Kumar nie miał żadnych szans. Prawdopodobnie nie miał też żadnych szans, zostając w tej swojej gnijącej, przytłaczającej wiosce. Ale, czy wyjedzie, czy zostanie, na pewno będzie oglądał filmy, sporządzał wykazy i nadal będzie pisał listy. Głupi sukinsyn. Ale w każdym zakątku kraju były całe krory takich jak on. Wszędzie tam byli, i to oni stanowili naszą publiczność. Zamierzałem zrobić dla nich film.

Oczywiście, zanim zdecydowałem się zainwestować pieniądze, skonsultowałem się z Garu–dżi. Chciałem ujrzeć Dżamilę na ekranie i byłem pewien, że odniesie ona sukces na miarę gwiazdy, ale potrzebovałem rady. Nie miałem zamiaru pakować się w grę, której zasad nie znałem, nie wiedząc, co może się wydarzyć.

Ale Garu–dżi nic nie zobaczył, patrzył w przyszłość i nie potrafił dostrzec żadnych szczegółów dotyczących mojego filmu.

– Mam dobre przeczucia co do tego projektu, beta – powiedział. – Ale nic więcej. Czasami tak się zdarza, jakbym patrzył przez zwichrowaną

soczewkę, niektóre rzeczy są zaciemnione, a inne stają się bardzo wyraźne. Ale nie widzę niczego złego.

– Ale nie widzisz też niczego dobrego – odrzekłem.

– Zgadza się, tego też nie. Ryzyko jest jednak niewielkie, w porównaniu do niektórych twoich przedsięwzięć z przeszłości. I obecnych.

Jak zawsze miał całkowitą rację. Wielokrotnie kładłem na szalę swoje życie, a tym razem w grę wchodziły tylko pieniądze. Przypomniałem sobie wówczas, co mawiał Paritosz Śah: jeśli pozwolisz odejść Lakśmi, ona powróci zwielokrotniona, a jeśli będziesz starał się ją uwięzić, ucieknie ci i nigdy nie wróci. Dla Dżamili musiałem wypuścić swoją Lakśmi w świat, postąpić zgodnie z jej życzeniem. Nie było innego wyjścia.

Zrobiłem więc film dla Dżamili. Bez problemu skompletowałem ekipę filmową. Dysponowałem pieniędzmi, więc zatrudniłem najlepszych. To Dżodzo znalazła mi producenta, niejakiego Dhiradźa Kapura, a on zajął się doborem ekipy. Dhiradi zrealizował ostatnio trzy filmy, które odniosły sukces, wszystkie mieszczące się w budżecie od czterech do sześciu krorów, z przyzwoitą obsadą aktorską i porządnym scenariuszem. Teraz szukał szansy, by przeskoczyć do wyższej ligi, chciał uczestniczyć w grze, w której obracało się kwotami przekraczającymi dwadzieścia krorów i gdzie były prawdziwe gwiazdy. Lubilem, kiedy pracowali dla mnie ludzie żądni sukcesu. Trzeba było ich pilnować, ale świetnie się spisywali. A ten Dhiradź był człowiekiem z przyszłością, czułem to. Powinien odnieść sukces.

Tymczasem odmieniona Dżamila święciła triumfy. Nadaliśmy jej nowe imię, pasujące do gwiazdy, którą się stawała – teraz nazywała się Zoja Mirza. Brzmiało dobrze i nowocześnie, było krótkie, łatwe do zapisania i wymówienia, a na początku i pod koniec miało to najmodniejsze „zet”. Takie nowe nazwisko, które mogło istnieć w tym nowym świecie. A po

ukończeniu prac nad jej twarzą stała się czymś więcej niż nową osobą. Była przyszłością. Wprowadzone przez doktora Langstona Lee zmiany w jej policzkach, linii włosów, podbródka i nosie nie były radykalne. Tu zdjęto nieco ciała, tam coś o włos wydłużono. Wciąż była tą samą osobą, a jednak zupełnie inną. Wcześniej jej uroda była uderzająca. Teraz – olśniewająca. Czasami aż nie mogłem na nią patrzeć, odnosiłem wrażenie, że ona jest gdzieś w innym świecie, chociaż siedziała obok mnie. Jej uroda budziła we mnie wprost nieznośne pragnienie. Jej doskonałość otwierała gdzieś w głębi mojej duszy ogromną, bolesną pustkę, jakąś ranę, która doskwierała, kiedy Zoja była daleko, i stawała się jeszcze dotkliwsza, kiedy Zoja była blisko.

Dżamila odnosiła sukcesy. Była najbardziej rozchwytywaną modelką w mieście, w ciągu miesiąca pojawiła się na okładkach dwóch magazynów ilustrowanych. Mówiono o niej, jeszcze zanim została Miss Indii, a potem aż wrzało na jej temat. Bez trudu wygrała konkurs piękności, nie musiała wchodzić w standardowe układy. Stała się irytująco nieuchwytna, niedostępna dla fotografów, sędziów i wydawców, i odbierała koronę. Doprowadziła do tego, że redaktor naczelny gazety, która była głównym sponsorem konkursu, uwierzył, że z łatwością wślizgnie się między jej nogi, jeśli ona wygra konkurs, a potem mistrzowsko mu się wymknęła. To dzięki mojemu wsparciu mogła to wszystko zrobić. I nie wywieraliśmy żadnych nacisków, nikogo nie przekupiliśmy i nie stosowaliśmy żadnej ze swoich typowych metod. Nie, po prostu stworzyłem jej możliwości, które pozwoliły jej zostać tą nieziemską Zoją i dzięki którym mogła powiedzieć „nie”. Pieniądze tworzą piękno, pieniądze dają wolność, pieniądze pozwalają zachować moralność. Pieniądze produkują filmy. Zacząłem więc z Manu Tewari pracę nad moim filmem.

Ten Manu napisał już scenariusze do trzech pomniejszych filmów, z których ostatni zdobył nagrodę krajową za najlepszy film. Oglądałem ten

obraz i stwierdziłem, że jak na film artystyczny traktujący o problemach hidźrów nie jest aż tak nudny, a scenariusz ma zupełnie przyzwoity. Ściągnęliśmy więc Manu Tewari samolotem z Tajlandii. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby Dhiradź z zespołem decydowali o wielu sprawach, ale chciałem zachować kontrolę nad fabułą. Miałem parę własnych pomysłów, ostatnio oglądałem wiele filmów i śledziłem cotygodniowe zestawienia w Indiach i za granicą. Wiedziałem, czego oczekuję po moim filmie. Okazało się jednak, że ten Manu jest socjalistą, a do tego człowiekiem z zasadami. Przez pierwsze trzy dni pobytu z nami był cichutki i spokojny jak królik, który rozgląda się, szukając miejsca w legowisku tygrysów. Dhiradź Kapur powiedział mu tylko, że poleci do Bangkoku na spotkanie z osobą finansującą film, ani słowa więcej. W Bangkoku został odebrany, wsadzony do samolotu odlatującego na Phuket i nagle znalazł się na jachcie z Ganeśem Gaitondem i mnóstwem nieprzyjemnych gości z wielkimi spluwami. Był sparaliżowany, nie wiedział, gdzie usiąść, kiedy wolno mu wstać i czy może się wysikać bez pytania. Przez kilka pierwszych dni chłopcy zabawiali się, starając się w jego towarzystwie sprawiać wrażenie szczególnie krwiożerczych, przeładowywali pistolety i wymachiwali nimi, napędzając biednemu pisarzynie śmiertelnego stracha.

W końcu ich przegoniłem, posadziłem Manu Tewari ze szklanką whisky i postarałem się go uspokoić. Pochwaliłem jego wszystkie filmy, wyznałem, że przy ostatnim się rozplakałem, i to też ze względu na hidźrę, a to stanowiło dla niego dużo większy wyraz uznania niż jakaś behenćodowa National Award. Uspokoił się nieco, pociągnął szkockiej i nieśmiało się uśmiechnął. Pisarze są wprost beznadziejnie łasi na pochwały. Pracowałem z politykami, gangsterami i ludźmi świętymi, i muszę ci powiedzieć, żaden z nich nie do pięt nie dorasta pisarzowi pod względem gigantycznie

rozdętego ego i niepewności duszy rodem z mysiej dziury. Obsypałem Manu sporą ilością jego własnej chwały i chłopak się odprężył. Zachwyty samego Ganeśa Gaitondego był, oczywiście, dziesięć razy wspanialszy. Po pewnym czasie Manu Tewari odprężył się na sofie, przyjął kolejną szklaneczkę szkockiej i zaczął opowiadać mi o tym, jak kręcili ten film o hidźrach, jak musieli przekonywać bohatera, że zagranie hidźry bez laury, ubranego w spódniczkę i klaszczącego, nie przekreśli raz na zawsze jego kariery. Sam Manu Tewari był średniakiem, średnim pod każdym względem. Można by go uznać za wzorzec wszystkiego, co na świecie jest średnie, nie był niski, ale też nie był zbyt wysoki, dorastał w Bandra East jako syn drugorzędного pracownika stanowego ministerstwa finansów, uczęszczał do college'u w Rizwi, a jego kariera na uczelni absolutnie niczym się nie wyróżniała.

O tym wszystkim wiedziałem już wcześniej, z informacji dostarczonych mi przez Dhiradźa, ale żadne informacje nie mogły oddać tego szaleństwa, które skrywał gdzieś głęboko, we wnętrzu niczym niewyróżniającego się ciała, a które wychodziło z niego dopiero wtedy, kiedy zaczynał mówić o filmach.

– *Nadźajaz* jest niezły, bhai – powiedział. – Te sceny z Nasirem i Adźajem Dewganem są bardzo dobre, ale w drugiej połowie film zaczyna się nieco ciągnąć. Podobny problem pojawia się we wszystkich ostatnich filmach Maheśa Bhattya, u niego albo wszystko zbyt szybko gna, albo za bardzo się przeciąga. I biedna publika jest albo zdezorientowana, albo znudzona.

Mnie osobiście *Nadźajaz* całkiem się podobał, ale nie protestowałem i tylko go słuchałem. Manu Tewari bez wątplenia znał się na filmach, wiedział wszystko nawet o jakimś mało znanym, gangsterskim filmie

realizowanym od 1987 roku do lata roku 1990, który wszedł na ekrany w roku 1991 i zaraz z nich zniknął, przez nikogo niezauważony.

Przez nikogo, oprócz Manu Tewari. Wiedział, kto był dyrektorem muzycznym, jakie reklamówki nakręcił operator filmowy po tym filmie i kogo mógł ćodać reżyser podczas odbywającej się w Australii sesji do piosenek, a także to, że film przeciętnie przyjęto w Bombaju i w Hyderabadzie, zupełnie zaś się nie przyjął w Pendźabie. Mówił dalej: – Ale najlepszym filmem gangsterskim początku lat dziewięćdziesiątych był *Parinda*. Ten film otworzył nowy kierunek w naszej kinematografii pod względem faktury i realistycznego klimatu. Widać było, że w tym filmie Jackie odnalazł się jako aktor i później był już zupełnie innym Jackiem Shroffem. A do tego przedstawił krajowej publiczności Nanę Patekara. Ważne też jest, że kino Binoda Pradhana ustanowiło zupełnie nowe standardy.

Opowiadał o *Nadźajaz* i *Parindzie* z powagą człowieka perorującego o naturze boga lub historii ludzkości. Filmy stanowiły cały jego świat. Dorastał w cichym, malutkim mieszkaniu, z siostrą i bratem, wiodąc bezbarwne i przykładne życie. Ale przez cały czas hodował w sobie tego robaka, tego pytona, który żywił się filmami, który pochłaniał je w całości i już na zawsze zatrzymywał. Wystarczył najmniejszy pretekst, żeby przez godzinę opowiadać o *Mugal–e–Azam*. Musiałem go jednak mocno nakłaniać, żeby wyciągnąć z niego coś o jego matce. A i wtedy rzucił tylko: – A co można o niej powiedzieć, bhai? Jest gospodynią domową. Zajmowała się nami.

Przy tym całym jego żywym zainteresowaniu przygodami i udrękami innych ludzi nic więcej nie potrafił powiedzieć o własnej matce. Ale ja tylko próbowałem nawiązać rodzinną pogawędkę, stosując technikę, której

nauczyłem się od Garu-dzi. Manu Tewari poczuł się dostatecznie swobodnie. Można już było przejść do interesów.

– Dobra – rzekłem. – W takim razie porozmawiajmy o fabule.

Na te słowa usiadł prosto. Kiedy trzeba było zająć się pracą, natychmiast się koncentrował, tak było za pierwszym razem i już zawsze.

– Tak, bhai – odparł. – Słucham.

Płynęliśmy z Kata Beach do Patongu. Gładka tafla morza przesuwała się pod nami w szarości późnego popołudnia. Na wschodzie piętrzyła się chmura, nieruchoma, idealna i nierealna. Wziąłem głęboki oddech.

– Myślałem o thrillerze – powiedziałem.

– Tak, tak, bhai – odrzekł Manu. – Doskonały pomysł. Thriller.

– Lubię takie filmy, w których wyczuwa się niebezpieczeństwo, a główny bohater musi zapobiec katastrofie.

– Film trzymający w napięciu. Podoba mi się to, bhai.

– Bohaterowi pomaga dziewczyna, zakochują się w sobie.

– Oczywiście. I zrobimy z tego thriller międzynarodowy, żeby można było kręcić piosenki za granicą.

– Thriller międzynarodowy, tak. – Ten chłopak zaczynał mi się podobać.

– Czy masz jakieś pomysły, jeśli chodzi o głównego bohatera, bhai? Kim jest? Przeciętnym człowiekiem? Policjantem? Tajnym agentem?

– Nie. Jest jednym z nas.

– To znaczy... ?

– To thriller kryminalny.

– Okay, okay. Już to widzę. Główny bohater jest na bakier z prawem, ale do świata przestępczego trafił przez zbieg okoliczności.

– Tak. Chciałbym zacząć od jego przyjazdu do Bombaju.

– Tak, dobrze – odparł Manu.

Wyglądało jednak na to, że ma jakieś wątpliwości.



– O co chodzi? – zapytałem.

– Bhai, w thrillerze nie ma czasu, żeby rozwinąć całą historię.

– Dlaczego? Przecież masz całe trzy maderćod godziny.

– To prawda, bhai. Ale zdziwiłbyś się, jak szybko te trzy godziny się zapełniają. Mamy pięć czy sześć piosenek, a one już zajmują prawie czterdzieści minut. Potem jest miejsce na jakieś czterdzieści scen przed przerwą i trzydzieści albo trzydzieści pięć po przerwie. A thriller musi zaczynać się od zagrożenia, od razu trzeba zakomunikować widzom, czego mają się bać, o co idzie gra, a potem powinien szybkim tempem zmierzać do finału. A poza tym...

– Co?

– Chłopak przybywa do Bombaju i zostaje przestępcą. To już było, w *Satji*. No i w *Wastawie* również wykorzystano ten temat kontaktu ze światem przestępczym.

– Nic mnie nie obchodzi, że ten temat już wykorzystywano. Nadal jest prawdziwy. Popatrz tylko na tych ludzi, którzy są tu ze mną.

– Oczywiście, bhai. Oni opowiadali mi swoje historie. Ale, widzisz, publiczność przyzwyczaja się do pewnych rzeczy. Za pierwszym razem podoba im się to nadzwyczajnie. Za drugim już mniej. A za trzecim mówią: „To jest za bardzo filmi, jar” i całkiem odrzucają prawdę. Rozumiesz?

Rozumiałem. Sam tak robiłem.

– Publiczność to sukinsyny – powiedziałem.

Aż podskoczył na te słowa i złapał mnie za rękę.

– Tak, bhai, zgadza się, publiczność to gandu, to szaleńcy, to taki monstrualny niemowlak, którego trzeba nakarmić. – Nagle zdał sobie sprawę, że chyba zachowuje się zbyt swobodnie, puścił więc moją rękę i wycofał się. Ale jego oczy rozjarzyły się nagłym entuzjazmem dla moich słów i widziałem, że nie potrafi powstrzymać się przed dalszym gadaniem.

– Nikt nie wie, czego chce ta maderćodowa publiczność, bhai. Wszyscy tylko udają, ale tak naprawdę nikt nie wie. Można zrobić wspaniały film, wydać fortunę na reklamę, a w salach kinowych nawet wrona nie zakracze. A tymczasem jakiś drugorzędny, tandetnie zrobiony film z marną fabułą może przynieść setki krorów.

– A ty i tak starasz się przewidzieć, czego oni chcą. I kierujesz się tymi wszystkimi zasadami. Dlaczego tylko czterdzieści scen przed przerwą? Dlaczego nie sześćdziesiąt?

– Nie da się, bhai. Publiczność jest nieprzewidywalna, ale jednocześnie jest bardzo mało elastyczna. Chce tylko tego, czego sama chce, i musi to dostać w sposób, do jakiego jest przyzwyczajona. Nawet przy bardzo dhansu fabule, jeśli się zmieni formy opowieści, publiczność zacznie rzucać w ekran czym popadnie, będą niszczyć fotele i się buntować. W tym rzecz, bhai. Nowe rzeczy trzeba robić w stary sposób. Albo stare rzeczy w nowym przebraniu. Twój film musi być hatke, lecz nie za bardzo hatke. Podobno w filmach artystycznych robi się zupełnie nowe rzeczy, ale nawet w nich trzeba przestrzegać zasad. To tylko inne zasady i inna publiczność. Nie ma ucieczki przed zasadami.

– My nie robimy filmu artystycznego – rzuciłem w złości. Zamierzałem wydać trzydzieści krorów na to przedsięwzięcie. Już dwóch wielkich aktorów podpisało z nami umowę na ten film, a w przyszły wtorek Dhiradź miał się spotkać z sekretarzem Amitabha Baćcana. Powiedziałem też Dhiradźowi, że życzę sobie fultu efekty specjalne, a także pierwszorzędne kostiumy i plenery. Chciałem, żeby ten film był wystawny i wielki, miał porażać ogromem. A taki ogrom kosztował określone pieniądze, ogromne sumy pieniędzy. Robiłem to dla Zoi, ale chciałem, żeby te pieniądze mi się zwróciły, a przynajmniej nie chciałem na tym stracić. – Nawet nie myśl o sztuce – powiedziałem Manu. – Masz napisać thriller z wartką akcją. Do

każdej sceny wsadź coś, od czego publiczność poczuje, że to do ich goli ktoś podłączył drut pod napięciem. Żeby nie zasnęli i żeby byli podekscytowani. Musisz im to dać, to ma być ostre i mocne.

Kiwał głową, szybko i energicznie.

– Tak, tak, bhai. Rozumiem. Akcja, widowisko i wielki, wielki przepych.

– Szeroko rozłożył ręce. – Wzruszenia, jak w *Matce Indiach*, skala jak w *Śole*, tempo, jak w *Amar Akbar Anthony*. Tego nam trzeba.

Tego właśnie było nam trzeba. Zabraliśmy się więc do pracy.

Nadal pracowałem dla ludzi pana Kumara. Pan Kumar przeszedł na emeryturę w zeszłym roku, chociaż próbowałem przeciw temu protestować.

– Sahibie, dlaczego musi pan odejść? – zapytałem. – W naszej działalności nie ma emerytury, tylko droga na górę.

– Ganeśu, moje interesy to nie twój interes.

Zawsze taki był, szorstki i szczerzy. Ale nie był nieuprzejmy, ten przebiegły stary zawodnik, który od dawna uczestniczył w tej grze. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale przez lata poznaliśmy się, rozumieliśmy siebie i nasze wzajemne potrzeby. Byłem mu potrzebny, żeby wydobywać informacje z Kathmandu, Karaczi i Dubaju i żeby czasami doprowadzać do tego, że pewni ludzie znikali, a ja potrzebowałem go, żeby wywierać naciski na policjantów w Delhi i w Bombaju i żeby dostarczał mi informacje, a czasami pomagał logistycznie i zapewniając niezbędne środki. Nie mieliśmy co do siebie żadnych złudzeń, ale pozostawaliśmy w dobrych stosunkach, jak sąsiedzi, którzy wspólnie się zestarzelili. Próbowałem więc powiedzieć mu, że jeszcze nie jest tak stary, żeby zaczynać sanjasę.

– Sahibie, jeśli rząd wysyła pana na emeryturę w momencie, kiedy pan, tak słynny khilari, jest u szczytu formy, to ten rząd musiał oszaleć.

– To nie tylko kwestia rządu, Ganeśu, również ja chcę usiąść spokojnie i odpocząć.

– Dobra, saab, w takim razie niech pan siedzi spokojnie w jednym miejscu i rozmawia ze mną przez telefon. Jako konsultant, rozumie pan.

– Miałbym pracować dla ciebie? – odparł. Zauważyłem, że go to rozbawiło.

– Pracować ze mną.

– Nie, Ganeśu. Już wystarczająco dużo zrobiłem i czuję się zmęczony. Nie był niegrzeczny, a ja nie poczułem się urażony.

– Ale co pan będzie robił?

– Będę czytał. Myślał. Jak już mówiłem, będę siedział w jednym miejscu.

Z długiego doświadczenia wiedziałem, że jego nie da się przekonać ani skusić, a zatem dyskusja dobiegła końca.

– Dobrze – poddałem się. – Bardzo dobrze mi się z panem pracowało, panie K. D. Jadaw. – Chciałem, żeby wiedział, że znałem jego prawdziwe nazwisko, ale bardzo go szanowałem i przez cały okres naszej współpracy nazywałem go panem Kumarem, jak sobie życzył.

– Świetnie, Ganeśu. Byłem pewien, że mnie sprawdzisz i że się dowiesz.

– Wiele się od pana nauczyłem, saab.

W ten sposób daleki nauczyciel odszedł z mojego życia. Zapoznał mnie ze swoim następcą, panem Dźoszi, i jeszcze przez jakiś miesiąc kontaktował się z nami, żeby służyć pomocą w okresie przejściowym. Szybko dowiedziałem się, jak pan Dźoszi naprawdę się nazywa – Dineś Kulkarni – i bez ogródek powiedziałem panu Kumarowi, co o nim myślę.

– Sahibie, ten człowiek to głupiec. Siedzi sobie w Delhi i chce mi mówić, gdzie mam posłać pieniądze, ile ma być tych pieniędzy i ilu ludzi wysłać na

operację. Nie wierzy ani mnie, ani moim źródłom informacji i mówi do mnie, jakbym był jego służącym.

– Cierpliwości, Ganeśu – odparł pan Kumar. – Z czasem się dopasujecie...

Staralem się więc okazać cierpliwość, ale ten sukinsyn Kulkarni nie dopasował się ani do mnie, ani do niczego innego. Nie posiadałem się ze zdumienia, że bezpieczeństwo narodowe można złożyć w ręce takiego gandu, ale przecież w każdej profesji widziałem gandu, którzy zawędrowali na same szczyty. Mnie akurat przypadło współpracować z nim. Tymczasem pan Kumar w końcu odszedł na emeryturę. A ja dalej pracowałem.

Scenariusz do mojego filmu napisaliśmy między Ko Samui a Patong. Mnie bardziej odpowiadał spokój Samui, ale chłopcy tęsknili za zamętem i wrzawą Patong. Co trzeci tydzień dawałem im wolny, na walenie się po barach i plażach, a potem ponownie kierowałem łódź w stronę spokoju. Kiedy na pokładzie przebywał Manu Tewari, chłopcy mieli dodatkowe zajęcie, oprócz niekończących się partii kart, którymi mogli zapełnić czas nawet w trakcie rejsów. Bardzo ich ekscytowało obserwowanie, jak tworzy się fabuła, jak nabiera kształtu i formy. Bez końca dyskutowali o narracji, wiercili Manu dziurę w brzuchu, żeby tworzył nowe sceny, chętnie dzielili się swoimi opiniami i sugestiami, a także opowiadali mu swoje przygody. Bardzo przejmowali się losem głównego bohatera i każdy z nich po kolei chodził naburmuszony, kiedy Manu nie chciał zaakceptować jakiegoś zwrotu akcji, który wymyślili dla tego bohatera. Kilkakrotnie musiałem osobiście interweniować i ostatecznie oprotestować jakiś pomysł, zanim Manu został pobity albo wyrzucony z burtę. Tymczasem, oczywiście, dalej prowadziliśmy swoją normalną działalność i swoją grę – co tydzień rozmawiałem z Kulkarnim i organizowałem jego operacje wywiadowcze,

wyszukiwałem informacje i raz na jakiś czas zabijałem jakiegoś sukinsyna dla dobra mojego kraju; konsultowałem się z Garu-dźi i zajmowałem się dostawami jego towaru; rozmawiałem z Dźodźo i wraz z nią się śmiałem; spotykałem się z Zoją i z nią się kochałem. Ale w okresie tych sześciu miesięcy, niezależnie od innych zajęć, głównie ta historia snuła się po naszych umysłach i ciałach, prześladując nas wszystkich. Rozmawialiśmy o niej rano, wieczorem i w nocy, omawialiśmy obsadę i namiętnie słuchaliśmy piosenek, kiedy napływały ze studiów nagraniowych. I bezustannie wisieliśmy nad Manu Tewarim.

Należał do osób średniej postury i nie miał nic z twardziela, ale potrafił być uparty. Jadł wszystko, co mu się położyło na talerz, i nie narzekał, jeśli zmieniono program telewizyjny, kiedy on oglądał wiadomości, ale jeśli ktoś próbował ingerować w jego sceny, robił się groźny jak żółtozęba locha broniąca swoich przerażonych prosiaków. Byłem jego finansistą i jego mocodawcą, a przede wszystkim byłem Ganeśem Gaitondem, ale nawet ze mną się spierał, bronił swoich racji i dyskutował. Czasami moi ludzie krzywili się, kiedy atmosfera podczas naszych sesji nad scenariuszem robiła się gorąca, kiedy mówiliśmy podniesionymi głosami, a Manu Tewari śmiał być niegrzeczny. Tolerowałem go jednak, ponieważ dobrze pisał. Pisał dla mnie dobry scenariusz. A poza tym uczyłem się od niego. W miarę jak upływały kolejne tygodnie i toczyły się kolejne dyskusje z Manu Tewarim, zaczynałem rozumieć, o czym on mówi. Wprowadzał mnie w tajniki kinematografii, mówił o tym, jak proste przejście od rozpalonej zapałki do płonącej pustyni potrafi eksplodować w piersiach widza i wtłoczyć go w oparcie fotela. Wspólnie oglądaliśmy filmy DVD, a ja uczyłem się, co znaczy detal, a co plan ogólny, co daje rozciągnięcie przestrzeni i ściśnięcie czasu, jak prosty przejazd kamery po nieruchomych szynach potrafi powiedzieć więcej niż tysiąc książek. Uczyłem się tych narzędzi i

oglądałem *Mugal-e-Azam* i *Kagaz ke Phul*; dziesiątki razy je oglądałem i dowiedziałem się, jak niewielka grupka mistrzów rzemiosła, ekipa zdeterminowanych szaleńców, może manipulować światłem, dźwiękiem i przestrzenią, aby stworzyć świetlane pomniki, które materializowały się na płóciennych ekranach, na brudnych murach wiosek, na jachcie pływającym po morzach południowych. Dostrzegłem, że dobra opowieść ma określoną geometrię, tworzoną przez szereg krzywych, przez wydymające się wzniesienia grzbietów i płaskowyzów, które prowadzą do ostatecznej erupcji uczuć i zadowolenia. Jeśli stworzy się opowieść koślawą, nieprzejrzystą, ta brzydota przyniesie jedynie znużenie i pustkę. W pięknie jest rozkosz.

– Oczywiście – powiedział mi pewnego popołudnia Garu-dzi. – Ale nie tylko rozkosz. Również przerażenie. – Czerpał nadzwyczajną radość z powolnych narodzin naszej opowieści. Spodziewałem się, że będzie uważał ten cały projekt za zbyt pospolity i dziecinny, ale on znowu mnie zaskoczył. Uważnie wysłuchiwał naszych pomysłów i innowacji, i udzielał rad, nie próbując rządzić. Okazało się, że odnajduje w naszym na poły skończonym scenariuszu nie tylko piękno, ale również przerażenie.

– Przerażenie, Garu-dzi? – zapytałem. – Jakże to?

– Wszystko, co naprawdę piękne, jest zarazem przerażające.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Czy Zoja była przerażająca? Nie. Czuję do niej pociąg, a czasami przechodził mnie dreszcz zaniepokojenia, że to pożądanie jest tak mocne, ale przecież nie bałem się jej. Oczywiście, że nie. Nie chciałem jednak spierać się z Garu-dzi. Powiedziałem natomiast:

– Garu-dzi, przecież mówiłeś, że świat jest piękny, ponieważ jest uporządkowany i symetryczny. Czy to oznacza, że jest przerażający?

– Tak, właśnie tak. Dla przeciętnego człowieka, który dostrzega jedynie przypadkowość, świat jest po prostu przygnębiający. Kiedy się jednak nieco rozejrzysz, zaczynasz dostrzegać jego prawdziwe piękno. Wtedy zdajesz sobie sprawę, że ta wyjątkowa doskonałość jest po prostu straszna, przerażająca. Dopiero kiedy pokonasz ten strach, uzmysłowisz sobie, że piękno i przerażenie to jedno i tak właśnie powinno być. Nie ma się czego bać. Żeby świat był piękny, musi się skończyć. Jeśli jest początek, musi być też koniec. I jeśli jest koniec, musi być początek.

– Symetria?

– Tak, Ganeśu. Właśnie tak.

Zaczynałem dostrzegać w tym jakiś sens. To dlatego scenariusz przebiega w pewnych cyklach sekwencji, ale nieuchronnie zmierza do momentu kulminacyjnego, po którym nic już nie ma. Albo, jak sugerował Garu-dzi, może coś jest, ale pojawi się dopiero po zniknięciu świata zawartego w tym scenariuszu. Ale ja wciąż szukałem – często mi się to zdarzało – całości jego słów.

– Przepraszam, Garu-dzi, ale nie do końca rozumiem. Widzę potrzebę porządku. Ale ja lubię piękno, nie boję się go.

Roześmiał się, ale z życzliwością.

– Nie martw się Ganeśu. Ty jesteś wirą. Ty wejdiesz na sam szczyt i zobaczysz otchłań. Ujrzysz zarówno piękno, jak i przerażenie. Ale na razie robisz to, co należy. Uwiedziesz widzów i zarobisz dużo pieniędzy.

Tak, tu chodziło o pieniądze. I o pieniądze też spierał się Manu z chłopakami. Pracował w przemyśle najbardziej ze wszystkich nastawionym na zysk, ale chciał, żeby bogaci oddawali pieniądze biednym. Wierzył w państwową własność kluczowych gałęzi przemysłu, wysokie podatki dla klasy średniej i jeszcze wyższe dla klas wyższych, oraz w ochronę przemysłu indyjskiego przed międzynarodowymi przedsiębiorstwami i



importem. Wszyscy moi ludzie pochodzili z rodzin o niskich dochodach, ale każdy z nich był zaciekle kapitalistą.

– Myślisz, że ja jestem takim ćutiją, żeby dawać pieniądze biednym? – pytał Amit. – Zdajesz sobie sprawę, ilu musiałem zabić sukinsynów, żeby do tego dojść?

– Co nam dało pięćdziesiąt lat kontroli państwa? – dołączył Nizin. – Od pięćdziesięciu lat chałupnictwo przynosi straty, społeczeństwo cały czas i energię poświęca na omijanie kretyńskich przepisów, a wszędzie kwitnie korupcja.

– A gdzie jest teraz ten twój wspaniały Związek Radziecki, sala? – rzucił z kolei Sureś. – No powiedz, gdzie?

Manu Tewari przedstawiał swoje argumenty, starał się przekonać ich, że kapitalizm musi runąć, bo nękają go wewnętrzne sprzeczności, że marsz historii jest nieuchronny, a oni są tylko bandą ignorantów, którzy nie potrafią i nie mogą dostrzec sił działających pod powierzchnią wydarzeń.

– Nasza historia może mieć tylko jeden koniec – powiedział Manu. – Ostatecznie zapanuje władza proletariatu.

– Zgadza się – rzekł na to Amit. – Szefie, to ja jestem proletariatu. I chcę mieć trzy mercedesy, land-lahsun trzy razy dziennie i dużo dobrych kurczaków w maśle. Kiedy już to wszystko będę miał, kim zostanę? Władcą jakichś biednych, proletariackich sukinsynów.

Polityczne wykłady Manu Tewariego nie przysporzyły mu przyjaciół na moim jachcie. Ale wszyscy z uwagą wysłuchiwalismy jego zasad tworzenia dobrego filmu, a było ich wiele. Chłopcy zaczęli nazywać go Manu Człowiek z Zasadami. Miał zasadę na każdą okazję, na każdą scenę i sytuację, a także przykłady na jej poparcie. Powiedział nam, że czarny charakter musi być silniejszy niż główny bohater, a do tego dosyć atrakcyjny. Nigdy też nie należy umieszczać obok siebie dwóch piosenek,

chyba że robi to Suradž Bhardżatja. A główna bohaterka musi być bardzo seksowna, ale nigdy nie może się kochać. Poza tym pierwsza scena, a nawet dwie, po przerwie musi być nieistotna, luźno związana z akcją, ponieważ widzowie dopiero po kilku minutach powracają z foyer, obładowani samosami i napojami. Kiedy zaś dochodzimy już do momentu kulminacyjnego, akcja musi rozwijać się bardzo szybko, bo publiczność ma skłonność wstawać i wychodzić, żeby uniknąć korków na zewnątrz. I w początkowej części filmu powinna pojawić się matka bohatera, a wszyscy muszą ją darzyć bezgraniczną miłością. Tej ostatniej zasadzie musiałem się sprzeciwić.

– A dlaczego musimy zagracać film jakąś matką? – zapytałem. – Scenariusz i tak jest za długi i musimy obcinać sceny. Ona tylko zajmie czas na ekranie.

– Bhai, musimy mieć matkę. To podstawowy wymóg. W przeciwnym razie kim byłby bohater? Skąd by pochodził? Zupełnie nie miałby sensu.

– Nic nie wiem o twojej matce. Ale jakoś nie uważam, że jesteś bez sensu, sukinsynu. Po co musimy ją pokazywać? Matka jest i już, nie trzeba jej pokazywać.

– Ze względu na współczucie, bhai, tu chodzi o współczucie. Bohater, który nie ma matki, którego nie wiąże z nią miłość, jest niepełny. Dobra matka powoduje, że on też jest dobry, nawet jeśli jest zły.

– A jeśli ma złą matkę? Czy wtedy jest lepszy?

Manu uśmiechnął się.

– Bhai, w filmach nie ma złych matek. Są tylko złe macochy.

Na świecie były złe matki, ale z tym, że w filmach nie ma złych matek, nie mogłem dyskutować, więc w naszym filmie też była matka. Występowała w dwóch scenach na początku, w jednej zaraz po przerwie, a potem pojawiała się w ostatnim ujęciu, uśmiechając się łagodnie w tle,

podczas gdy chłopak i dziewczyna mknęli motorówką ku szczęściu. Na tyle mogłem się zgodzić. Kiedy już scenariusz był ukończony, zawierał wszystkie dialogi, odczytaliśmy go w całości. Zrobiliśmy to wczesnym rankiem, nieopodal Patongu. W ciszy poranka Manu opowiedział nam całą historię, rozpoczynając od wprowadzenia głównego bohatera, kiedy obrabowuje sklep jubilerski, przechodząc do tego, jak zostaje zdradzony przez kumpli ze świątka przestępczego, a potem opisując odkrycie spisku terrorystycznego, i jak bohater zakochuje się w dziewczynie, która stanowi jego kontakt z terrorystami, jak przez miłość do tej dziewczyny odkrywa w sobie patriotyzm, potem walczy z terrorystami i zdradzieckimi bhai, i w końcu moment kulminacyjny. Zajęło nam to trzy godziny, słońce zdążyło już się wznieść, rozżarzone ogniem paląc nasze plecy, ale nikt z nas tego nie zauważył. Byliśmy zauroczeni opowiadaniem Manu, ekspresją, z którą przedstawiał kolejne sceny, oraz opisami, dzięki którym widzieliśmy chłopaka, dziewczynę i ich desperacką ucieczkę przez Indie i przez Europę. Kiedy już skończył, siedzieliśmy wycieńczeni i szczęśliwi, jakbyśmy rzeczywiście widzieli ten film.

– To jest dobre – odezwał się Arwind. Dwa dni wcześniej przyleciał z Singapuru, porzucając ukochaną Suhashini, tylko po to, żeby usłyszeć tę opowieść. – Moim zdaniem jest dobre. Myślę, że będzie z tego świetny film. Historia jest pasjonująca, ale też napisana z wyczuciem.

– A kim ty jesteś, Basu Bhattaćarją? – zapytałem wśród ogólnego śmiechu. Uśmiechałem się jednak. Historia była naprawdę dobra i uwzględniała wszystkie moje wcześniejsze zastrzeżenia. Dokładnie wiedziałem, co się w niej wydarzy, ale i tak czułem ściskanie w dołku, a podczas sceny, w której chłopak żegna się z matką i rusza na swoją wojnę, poczułem, że coś mnie chwyta za gardło.

– Okay – zwróciłem się do Manu. – Chyba możemy zaczynać zdjęcia.

Potrząsnął zaciśniętymi pięściami i aż trzy razy podskoczył, a potem chwycił mnie za rękę.

– Tak – odrzekł. – Zgadzam się, bhai. Możemy. Zaczynamy. Ruszajmy.

Nie mogłem się doczekać rozpoczęcia zdjęć, a Zoja czekała jak na szpilkach. Pojechała na wybory Miss Universe do Argentyny, gdzie zajęła piąte miejsce. Byliśmy pewni, że wygra ten konkurs, że przez następny rok będzie zajęta obowiązkami Miss Universe, ale jury podjęło niewytłumaczalną decyzję i teraz była wolna i niecierpliwa.

– Natychmiast zaczynamy – powiedziałem do Manu. – Ale chcę, żebyście trochę poświątowali. Macie na to dwie noce. I wszyscy dostaną premię. Zabierzcie łódkę i lećcie. Możecie spać w bungalowie.

Dałem każdemu po dwadzieścia tysięcy tajlandzkich batów i odesłałem ich. Zostawiłem przy sobie tylko Arwinda i minimalną, trzyosobową załogę oraz ten scenariusz. Jeszcze raz cały przeczytałem, studiowałem fanatycznie staranne pismo Manu Tewariego, te jego uporządkowane linijki, w których potrafił zawrzeć tyle strzelanin, pocałunków, wypadków samochodowych, łez i złamanych serc. Przeczytałem to dwukrotnie, a potem zadzwoniłem do Dźodźo i jej też przeczytałem cały scenariusz.

– Światła gasną i obraz zupełnie się ściemnia – wyrecytowałem, a potem zapytałem: – I jak?

– Dobrze.

– Dobrze, i co?

– Are, o co ci chodzi? Powiedziałam, że to jest dobre.

– Znam cię, sali. Ty czasami mówisz „tak”, które w rzeczywistości oznacza „nie”. Powiedz mi prawdę.

– Powiedziałam. Jak na to, czym to ma być, jest dobre.

– A tak dokładnie, czym to ma być?

Westchnęła przeciągle.

– Gaitonde, nic specjalnego nie miałam na myśli. To świetny scenariusz. To będzie prawdziwy hit.

Odetchnąłem głęboko i przez chwilę hamowałem gniew, aż wreszcie mogłem odezwać się w miarę rozsądnym głosem.

– Nie, nie, Dźodźo. Musimy wiedzieć, jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości. Musimy to wiedzieć teraz, żebyśmy mogli to naprawić.

Wiedziała, że nie pozwolę jej się wycofać, więc zebrała się w sobie i powiedziała, co myśli.

– W porządku. Chciałam powiedzieć, że to wystarczająco dobre na to, czym jest. A to jest... To jeden z tych filmów, w których mężczyźni wysadzają wszystko w powietrze, ciągle walczą i płaczą nad sobą nawzajem.

– Na tym jachcie i ja, i moi ludzie walczymy i płaczemy. I co w tym złego?

– Nic. Powiedziałam ci, twój film będzie hitem.

– Ale?

– Nie ma żadnego ale. Po prostu nie jest to gatunek filmu, który ja lubię najbardziej.

– Chcesz powiedzieć, że nie przyjdą na niego kobiety? Zobaczysz, z taką gwiazdorską obsadą, z tak nakręconymi piosenkami, przyjdą wszystkie kobiety, a do tego zabiorą swoje dzieci i babcie. Wszyscy będą chcieli zobaczyć Zoję.

– Baba, przecież powiedziałam, że to będzie hit, prawda? Ja tylko mówię, że to specyficzny rodzaj filmu.

– Zgadza się, to nie jest film, w którym trzy kobiety paplają do siebie przez półtorej godziny, jak to jest im smutno i jak są upokarzane, a potem przez następną godzinę inne dwie kobiety rozprawiają, jacy to mężczyźni są niedobrzy. Gandu, możesz sobie robić dziesięć takich programów

telewizyjnych, jeśli ci się podoba, ale nie wpakujesz mojego filmu w ten cuchnący kanał.

Jej spokojny, rześisty śmiech podziałał na mnie uspokajająco.

– Gaitonde – powiedziała. – Ja nie staram się nigdzie wpakować twojego maderćodowego filmu. Ty i tak zmusisz do oglądania tego filmu całe Indie, łącznie z kobietami. Nie uciekniemy przed tym. Nie martw się więc. Powiedz mi tylko, jak nazwiesz tego sukinsyna?

– Nie obrażaj mojego filmu – odparłem. – Bez przerwy mnie obrażasz, ale nie waż się obrzucać wyzwiskami mojego filmu. – Uśmiechałem się. – Myślałem, żeby go nazwać *Barud*.

– Był już film o tej nazwie, w latach siedemdziesiątych.

– Wiem, ale i tak mi się podoba. Tobie nie?

– Niespecjalnie. Nie sugeruje międzynarodowej skali.

– Chcesz, żebym dał mu tytuł *International Barud*?

Położyłem się na łóżku i poczekałem, aż Dźodźo skończy się śmiać. Sam też trochę się śmiałem.

– Bądź poważna. To ważne, dobry tytuł naprawdę może pomóc w sprzedaży filmu.

– Tak, tak. Szkoda tylko, że był już *International Khilari*. To byłoby idealne.

To rzeczywiście byłby idealny tytuł. Ale wykorzystano go już, i to niezbyt dawno temu, zaczęliśmy więc szukać innych pomysłów, od *Miłości w Londynie* do *Haman Dharti*, *Unki Dbarti*. Bardzo mi się to podobało, to grzebanie w starych, na poły zapomnianych tytułach, wyszukiwanie słów i wyrażeń, bawienie się nimi i układanie ich jak puzzli, żeby odnaleźć zwrot, który odda atmosferę scenariusza, życia w ogóle. Ale w pewnym momencie tę przyjemność przerwała moja własna banda międzynarodowych khilarich.

Odezwał się telefon, ktoś dzwonił z lokalnej Unii – aresztowano Manu Tewarię i trzech innych chłopaków.

– Co takiego? Gdzie? Jak? – warknąłem na Arwinda. Wyraźnie powiedziałem chłopakom, że mają się nie wychylać, nie pakować się w kłopoty, mają być niewidoczni. Wszyscy przybyliśmy do Tajlandii drogą morską i nigdy nie przechodziliśmy żadnej odprawy paszportowej, w związku z czym dla władz tajlandzkich nie istnieliśmy.

– To ten sukinsyn pisarz, bhai – wyjaśnił Arwind. – W barze Typhoon wdał się w bójkę z amerykańskim marynarzem.

– Ten mały ćodu? – Nie posiadałem się ze zdumienia. Manu pisał świetne sceny walki, ale sam nie potrafił się bić. Obserwował, czekał, zastanawiał się, a potem z reguły pisał. – O co się pobił?

– W barze Typhoon spodobała mu się dziewczyna.

– I co z tego?

– Ona była z amerykańskim marynarzem z tego okrętu. – U wejścia do zatoki stał amerykański lotniskowiec, a obok dwie mniejsze jednostki. Szary i potężny jak góra lotniskowiec dwa dni temu wypłuł z siebie na plażę w Patong trzy tysiące żołnierzy. – Ten marynarz zapłacił za nią i wziął ją z baru na ostatnie dwie noce. Kiedy chłopcy przyszli do baru, ona siedziała u niego na kolanach. Marynarz opowiadał po angielsku swojemu koledze sprośne rzeczy na jej temat, mówił, jak ciągnęła mu laurę. Dziewczyna nic nie rozumiała, ale rozumiał to Manu. Powiedział coś do tego marynarza, a ten mu coś odpowiedział. I Manu rozbił mu na głowie butelkę po heinekenie.

– Behenćod.

– No to marynarz przyłożył Manu przez stół. Do tej wymiany zdań przyłączyli się kumple marynarza. Wtedy doskoczyli nasi ludzie. I wylądowali w areszcie.

Miałem ochotę ich tam zostawić, ale Manu był mi potrzebny. Wyciągnąłem więc ich z tego aresztu. Oczywiście, nie mogłem się do tego osobiście mieszać, ale posłałem Arwinda z niezbędną kwotą, a sam usiadłem do telefonu i zadzwoniłem, gdzie trzeba. Trzy dni, dwóch adwokatów, później sto dwadzieścia tysięcy batów na łapówki, i wrócili na jacht. Po lewej stronie twarzy Manu Tewari widniał wściekle zielony ślad po uderzeniu, a on sam był rozdygotany jak upadające państwo socjalistyczne. Chłopcy powiedzieli mi, że od trzech dni nie spał. Chociaż tak bardzo sympatyzował z uciśnionymi, okazało się, że nigdy jeszcze nie był w areszcie, a tajlandzkie cele fatalnie wpłynęły na stan jego nerwów. Posłałem go do łóżka, a chłopaków porządnie zrugąłem.

– Bhai – odezwał się Amit. – A co mieliśmy robić? Siedzieliśmy sobie spokojnie i popijaliśmy. Ni z tego, ni z owego ten sukinsyn Manu wstaje i wali Amerykanina w łeb swoją butelką. A ten Amerykanin to był jeden z tych ogromnych gorów, był wielki jak ciężarówka. Pokręcił tylko głową i tak przywalił Manu, że ten poleciał na koniec sali. Wtedy doskoczyli jego koledzy. Co mieliśmy robić, też się ruszyliśmy. – Pokręcił głową. – I to wszystko przez jakąś dziwkę. A on nigdy nawet nie zerznął jej w gand.

Opowiedzieli mi wszystko. W barze Typhoon pracowała tajska dziwka, która mówiła o sobie Debbie. Pół roku wcześniej Manu poszedł z chłopakami do baru, postawił Debbie drinka i zaczął ją wypytywać, skąd pochodzi, ile ma braci i sióstr, w jakim domu mieszkają. Debbie była bystrą małą ćuri, błyskawicznie dostrzegła swoją szansę i podała Manu tyle materiału, że wystarczyłoby mu na napisanie czterech tragedii. Łamaną angielszczyzną opowiedziała mu o kalekim ojcu rolniku i małomównej, pracowitej matce, o walącym się drewnianym domku na wzgórzach nad Nong Khai, o bosonogich i zarobaczonych braciach i siostrach i tak dalej, i tak dalej. Przez następne sześć miesięcy, zawsze kiedy przyjeżdżaliśmy do



Patongu, Manu Tewari zabierał Debbie na obiad i na kolację, kupował jej sukienki, paski i perfumy, i może nawet – chociaż nie chciał się do tego przyznać – dawał jej pieniądze, żeby mogła posłać rodzeństwo do szkoły na odległych wzgórzach Nong Khai. Zrobił to wszystko, ani razu nie dotknąwszy jej wzgórz i dolin. Ale to była zwykła barowa prostytutka. Amerykański madercodowy marynarz zapłacił prawdziwymi dolarami za ćut Debbie, za jej land-lahsun i za prawo opowiadania o tym, naruszając w ten sposób socjalistyczne pojęcie honoru Manu Tawarięgo. A to kosztowało mnie dużo pieniędzy.

– Sukinsyński pisarzyna – rzuciłem. – Tylko taki człowiek z zasadami, jak Manu Tewari, mógł żeglować przez sześć miesięcy po tajlandzkich wodach i nawet nie zamoczyć swojego laury.

Wyjaśniłem ludziom, co mają zrobić. W następnym tygodniu chłopcy wrócili do Patongu i zabrali ze sobą Manu Tawarięgo. Jeszcze tej samej nocy, kiedy on spał, wpakowali mu do pokoju dwie dziewczyny. Obie miały po siedemnaście lat, obie miały czarne, jedwabiste włosy sięgające aż po ich jędrne, małe tyłeczki, obie miały apetyczne małe piersi i obie nago weszły do łóżka Manu. Obudził się, sapiąc, ale one nie dały mu czasu na zadawanie tych jego pytań, jedna włożyła mu coś w usta, a druga sobie włożyła do ust coś należącego do Manu. Jego socjalizm upadł z kretelem, ale jego laura stał jak trzeba, i Manu wykorzystywał je bezlitośnie do samego rana. Potem zasnął, a kiedy się obudził, bardzo żałował tego, co się stało, opanowały go wyrzuty sumienia i zaczął mówić im, że bardzo je przeprasza. Dziewczyny zaczęły bawić się nawzajem swoimi ćut i wciskać mu swoje piersi do ust. Manu jęknął, ale przestał mówić, a potem do późnego wieczoru uciskał te dziewczyny. Ani razu nie wspomniał o pięknej Debbie z baru Typhoon.

To właśnie trzeba czasami zrobić z pisarzami: trzeba zamknąć im usta. Są tak pochłonięci językiem, opowieściami i zasadami, że nie dostrzegają rzeczy najprostszyc. Ani tych wszystkich pięknych, ciepłych krągłości, które można kupić za pieniądze. Ale laura czuje, nie da się oszukać. Trzeba tylko dać mu szansę.

Zrobiliśmy film. Zdjęcia kręcono w Bombaju, Londynie, Lozannie, Monachium, Tallinie i Sewilli. Co tydzień oglądałem kopie robocze i dzieliłem się uwagami i radami, ale zawsze robiłem to przez Dhiradźa Kapura i Manu Tewari. Cała reszta ekipy, a zwłaszcza aktorzy, nie miała pojęcia, dla kogo tak naprawdę pracują. Zdawałem sobie sprawę, że muszę chronić Zoję i jej przyszłość, i dlatego bardzo dbałem o środki bezpieczeństwa. Obserwując ją, tydzień po tygodniu, widziałem, że ma przed sobą naprawdę wspaniałą przyszłość. Wiedziałem, że Zoja jest piękna, ale kiedy zobaczyłem ją na wielkim ekranie, poczułem się jak dziecko olśnione eksplozją złotego światła. Miała dziewięć metrów wzrostu, była zwiewna jak marzenie, a kiedy się uśmiechała, serce mi uderzało w kręgosłup i wstrząsało mną jak pocisk. Jej kości policzkowe były ostre jak opadające miecze, a kiedy odwracała się i odchodziła od kamery, jej plecy ukazywały tak wężową linię, że aż ciarki przechodziły po karku. Nie tylko ja tak to odbierałem, wraz ze mną te kopie robocze oglądał Arwind, który był równie zachwycony i wprost zaniemówił. Po sześciu tygodniach wysłuchiwania naszych zachwyków nad tą dziewczyną przyjechała do nas Suhasini i obejrzała jeszcze niezmontowany fragment z piosenką nakręconą w Estonii. Po projekcji cały jej sarkazm i zazdrość rozwiały się, i kiedy włączono światła, odwróciła się do nas i powiedziała:

– Okay, macie rację. Ta dziewczyna rzeczywiście dobrze wygląda.

– Tylko dobrze? – spytał Arwind. – Daj spokój. Powiedz prawdę. Jeśli nie mnie, to przynajmniej bhai.

Suhasini włożyła mu rękę pod pachę i pochyliła się ku mnie.

– Dobrze, już dobrze. Bhai, ta dziewczyna to zdecydowanie świetny wybór. Odniesie wielki sukces. Jest oszałamiająca.

Nawet kobiety dostrzegały, że Zoja naprawdę jest oszałamiająca. Jej sława rosła w miarę realizacji filmu, kiedy ukazywały się dokładnie rozplanowane w czasie informacje dla prasy, a na okładkach czasopism filmowych pojawiały się jej zdjęcia, i kiedy telewizja zaczęła emitować fragmenty piosenek. Była teraz bardzo zajęta, i tylko od czasu do czasu mogła przylecieć do Singapuru, dużo rzadziej niż kiedyś. Ale muszę przyznać, że mi to odpowiadało. Niesamowicie ciężko było mi wówczas się do tego przyznać, ale miałem wrażenie, że tuż pod moim pępkiem trą o siebie dwa głazy. Ta cuchnąca, podchodząca mi do gardła prawda mówiła, że w miarę jak Zoja rośnie, ja sam maleję. Oczywiście, nadal byłem potężny, budziłem strach, byłem bogaty, mogłem dawać życie i je odbierać. Wspomagałem rodziny, a w pobudowanych przeze mnie domach narodziły się całe pokolenia dzieci, które rozkwitały pod moją ochroną. Nie obawiałem się jej sukcesu, w końcu to ja go skonstruowałem, to ja ją stworzyłem. A jednak coś było nie tak. Trudno było się do tego przyznać, ciężko żyć z tą wiedzą, i niełatwo jest teraz to wypowiedzieć – w miarę jak Zoja wyrastała na boginię tego kraju, mój laura się kurczył.

Nie kłamię, to nie było złudzenie, nie oszalałem. Mój mały robił się coraz mniejszy. Nie tyle na długość, co w obwodzie i w udźwigu. Pamiętałem go twardym, muskularnym i zdrowym, a teraz zdawał się skruszony i mizerny. Kiedyś był dziarski i ochoczy, a teraz osłabiony nieustannymi wątpliwościami. I nie wynikało to z jakichś słów Zoi. Ona nadal z energią zabierała się do ssania, jak zawsze uległa, sugestywnie

wyrażała swoją przyjemność. Jęczała, kiedy w nią wchodziłem, zamykała oczy i wyciągała ręce nad głową – jak zawsze – podczas gdy z jej ćut rozchodziły się dreszcze. Kiedyś, bębniąc w jej dane, doprowadzając ją na szczyt i dalej w otchłań radości, byłem przekonany o słuszności swojego postępowania i czułem się zwycięzcą. Byłem panem jej żyznych, brązowych przestworów. Ale teraz zobaczyłem, jaką zręczną jest aktorką. Widząc ją na ekranie, bezgranicznie wierzyłem, że jest kimś innym. Ale w takim razie skąd mogłem wiedzieć, że ta Zoja, którą znałem, a przynajmniej sądziłem, że znam, w rzeczywistości nie jest kimś innym? Czy ta moja Zoja to tylko odegrana rola? Czy te jęki to tylko aktorstwo?

Z takim bólem musi się liczyć człowiek, który jest na tyle nieszczęśliwy, żeby troszczyć się o to, co czuje i myśli opłacana przez niego kobieta. W tym właśnie ujawnia się tragizm tego paradoksu. Im bardziej ona krzyczy pod naciskiem twojej rozkoszy, tym bardziej podejrzewasz, że jej westchnienia są przesadne, że wcale nie dajesz jej przyjemności. I nigdy nie poznasz prawdy.

Jeśli ją zapytasz, uzyskasz odpowiedź taką, za którą, jej zdaniem, płacisz. Jeśli nie zapytasz, będziesz się irytował. A twój gniew będzie tak wielki, że jedyną jej reakcją, którą zdołasz uznać za prawdziwą, będzie dowód jej bólu. Zacząłem traktować Zoję brutalnie. Ciągnąłem ją za włosy, gryzłem jej piersi i szarpałem sutki, a ona krzywiła się i zwijała, ale nigdy nie próbowała mnie powstrzymać. Doskonale rozumiałem, dlaczego tak się zachowuje. W końcu dawałem jej pieniądze. To ja częściowo opłaciłem tę idealną budowę ciała. A jednak nigdy nie miałem pewności, czy ono nie jest na mnie niewrażliwe, czy nie wymyka mi się dokładnie w tych momentach, kiedy najgłębiej je biorę w posiadanie. Ogarniał mnie gniew. Pewnego ranka wziąłem ją tak, jak wcześniej rzadko mi się zdarzało, jak brałem chłopców w więzieniu, jak brałem Mumtaz z ponętym gand. Wbiłem się w

Zoję od tyłu, chwyciłem ją za włosy i pchałem z całych sił. Krzyczała i poddała mi się. Moje palce pozostawiły na jej bokach purpurowe pręgi.

– Sali – rzuciłem w wygięty łuk jej pleców – randi, weź go, no bierz, bierz. Weź go.

Odwróciła głowę szarpnięta moją pięścią, czułem jej pot spływający po moich palcach, i powiedziała:

– Tak, tak, daj go, daj – i roześmiała się. Roześmiała się na głos. – To dobre, saab. Daj. Dawaj go.

Rozkosz bijąca od tego ochrypłego śmiechu ostudziła moje goli jak chluśnięcie lodowatą wodą. Nie minęła nawet chwila, a już nie byłem w stanie nic z siebie dać. Nie potrafiłem. Wysunąłem się z niej i chwiejnym krokiem wybiegłem do drugiego pokoju. Usiadłem na sofie, a Zoja przysłała za mną i zwinęła się obok mnie.

– Co się stało? – zapytała. – Co jest?

Kazałem jej odejść. Nie miałem jej nic do powiedzenia, nie byłbym w stanie wyjaśnić jej, co się stało, czego od niej potrzebowałem. Znalazłem się w pułapce wprost doskonałej. Nie wierzyłem w to, że odczuwa przyjemność, i wyglądało na to, że nawet nie potrafiłem jej zranić. Byłem tak mały. Siedziałem w ciemnościach. Ciągle myślałem o partnerującym jej na planie Niradżu Senie. Ten sukinsyn miał sześć stóp i dwa cale, szare oczy i wielkie jak granaty bicepsy. Tak, on z pewnością miał laureę odpowiedniego do reszty tego ciała. Zamknąwszy oczy, zobaczyłem Zoję i Niradża stojących w drzwiach, symetrycznych, pasujących do siebie i równych sobie. Obejmowała go za szyję, uniesioną nogą sięgała do jego prawego ramienia i w ekstazie przyjmowała jego gigantyczne urządzenie. Jej rozkosz była rzeczywista, wiedziałem o tym. Byłem tego pewien. Budzący się brzask oświetlił ich na czerwono, a oni stali tam szczęśliwi.

Podskoczyłem i otwartą dłonią zacząłem okładać się po głowie. Obudź się, sukinsynu. Musisz dojść do siebie. Zoja nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Zoja wie, co ci zawdzięcza. Zoja rozumie, że to ty ją stworzyłeś. Zoja pojmuję twoją władzę, zna zasięg twoich rąk. Zoja nigdy by cię nie zraniła. Zoja jest dobrą dziewczynką. Niech to do ciebie dotrze.

Pojmowałem to, trzymałem to w zaciśniętych pięściach. Doskonale wiedziałem, jak bardzo boją się mnie mężczyźni, jak dominuję nad kobietami. Nikt nie śmiałyby mnie obrazić. Jeśli gdzieś na tym świecie znalazłby się głupiec, który przez przypadek obraziłby mnie, następnego dnia wymazałbym go z powierzchni ziemi, zniknąłby, jakby nigdy nie istniał. Mogłem sprawić, że Niradź Sen zostałby porwany i usunięty. Mógł zniknąć, zaginać, odejść. Mógł przestać istnieć.

Ale nie, nie, on był mi potrzebny. Wydałem już szesnaście krorów na ten film, a budżet wciąż się powiększał, stale rósł, trzeba było pokryć te wszystkie gonitwy helikopterami, te zmiany lokalizacji w piosenkach. Zainwestowałem w Niradźa Sena? Ale dlaczego ten bengalski sukinsyn był taki wielki? Sześć stóp i dwa cale i tak dobrze rozwinięty? Kto to słyszał, żeby Bengalczyk był taki wysoki? No tak, jego babcia była aktorką filmową, ta Śakira Bano, jedna z tych tancerek prostytutek, które zostały aktorkami w czasach filmów czarno-białych. Nie odniosła zbyt dużych sukcesów, pod filmowym nazwiskiem Naina Dewi w kilku filmach zagrała siostrę Madhubali, i wykonała słynny barowy taniec z Dewem Anandem. Wyszła za bengalskiego operatora filmowego i zupełnie wycofała się z aktorstwa. Jej synowie zajęli się dystrybucją filmów, a teraz ten jej wnuk, Niradź Sen, był gwiazdą, miał za sobą trzy filmy i piął się w górę. Wspiął się po szczeblach kariery, coraz wyżej, tak wysoki po babce, po niej też miał te pasztuńskie muskuły. Oboje powinienem zastrzelić, Niradźa i Zoję. W stoliczku przy moim łóżku leżał glock, z nabojem wprowadzonym do

komory i z dwoma dodatkowymi magazynkami. Mógłbym wejść, unieść broń i rozwalić jej głowę. Mógłbym wpakować po dwie kule w każdą jej kończynę, jedną w jej brzuch, jedną w ąt i jedną w to niedostępne serce.

Odesłałem ją jednak do domu. Wymówiłem się nagłym telefonem z Tajlandii, jakąś pilną pracą, która wymagała mojej obecności. Wiedziała, że coś się stało, ale była na tyle inteligentna, żeby mnie nie naciskać. Pocałowała mnie (musiała się nisko pochylić, żeby to zrobić) i wróciła do Bombaju, do swojej pracy. Ja zaś powróciłem do Tajlandii i popłynąłem jachtem do Ko Samui. A tam sprawdziłem się z kilkoma dziewczynami. Zgodnie z radą Garu-dzi brałem tylko dziewice, nie żałując na nie pieniędzy. Dżodźo przysłała mi jedną dziewczynę z Andhry, drugą z Kerali, i jeszcze jakąś Bengalkę. Ta ostatnia była muzułmanką, z włosami do kolan i skośnymi, brązowymi oczami. Nie była tak wysoka jak Zoja, tylko mniej więcej równa mi wzrostem. Kiedy ją położyłem, a ona zakryła twarz dłońmi, natychmiast poczułem, że twardnieję. Krzyczała, kiedy kończyłem, z impetem wsuwając się w nią po raz ostatni. I w tym momencie wiedziałem już, jak będzie nazywał się mój film – *Międzynarodowa Dhamaka* [eksplozja]. Leżałem na tej dziewczynie i się śmiałem, a chwilę później zadzwoniłem do Dhiradźa Kapura i do Manu. Obaj zgodzili się, że tytuł jest dhansu i że ściągnie całe masy i wszystkie klasy.

– Suniemy teraz pełną parą, bhai – powiedział Manu. – Tak jak mówi ten twój tytuł, wybuchniemy na międzynarodową skalę. – Sam nawet nie wiedział, ile w jego słowach jest racji. Kiedy byłem z tymi dziewczynami, posuwałem je pełną parą. Przy każdej z nich byłem sprawny, w pełni wydolny, a nawet więcej niż sprawny. Były zbyt młode i zbyt niedoświadczone, żeby udawać swoje reakcje. Ich przyjemności były równie prawdziwe, jak ich ból. Nie miałem wątpliwości, byłem tego zupełnie pewien.

Ale jednocześnie miałem pewność, że sam odczuwam tylko połowiczną przyjemność. Doznania, które przebiegały ciarkami po moich plecach, były, jak zawsze, przejmujące, a szmer w mojej głowie, wywoływany widokiem debiutującej Bengalki nieporadnie liżącej moją aureę, nadal upajał i budził euforię. Ale gdzieś tam, w tym obwodzie biegnącym we mnie z góry na dół, między moją głową a kroczem zabrakło łącznika, a szczelina powodowała przerwę w przepływie impulsu i jego stłumienie. Czułem podniecenie, ale jakieś bardzo odległe. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, z czego to wynika. Byłem Ganeśem Gaitondem i wystarczająco długo już żyłem na tym świecie, dostatecznie wiele już na nim widziałem, żeby nieco go rozumieć, a siebie samego rozumiałem jeszcze lepiej. Wiedziałem, dlaczego przy tych dziewczynach mogę być pewny siebie i mocny – one były nieważne, nie obchodziły mnie ani one, ani to, co czuły. Kiedy nocą brałem tę Bengalkę, kiedy nachylałem łuk jej ciała przez reling, kiedy woda uderzała o dziób jachtu, a pokorne wiatry goniły chmury nad naszymi głowami, ja wchodziłem w nią z impetem, ale moje serce było zupełnie nieruchome. Nie poruszało się.

Zoja mną wstrząsała, powodowała, że wprost drżałem od ekstazy. Kiedy byłem z nią, przenikało mnie nieustanne poruszenie, wibracje, tarcie, ciepło, sprawiające mi zarówno przyjemność, jak i ból. To moje pobudzenie zanikało, kiedy byłem od niej daleko, ale nigdy nie zanikało zupełnie. Zoja mnie niepokoiła, i za to ją nienawidziłem. I kochałem ją. Przyznawałem się do tego przed sobą, musiałem się do tego przyznać: byłem w niej zakochany. Ogarniał mnie wstyd, że wpadłem w tę właśnie pułapkę, przed którą ostrzegałem moich ludzi, ale nie mogłem temu zaprzeczyć. Ważne stało się to słowo, słowo miłość, a teraz rozumiałem, co ono oznacza. Nagle nie chciałem już przewijać do przodu tych wszystkich miłosnych piosenek w filmach. Nie, ja chciałem szybować przez cztery i pół minuty wraz z *Ke*



*kitni muhabbat he tumse, topos ake to dekho*<sup>41</sup>. Siedząc w swojej kabinie, śpiewałem do wtóru:

*Abhi na dżao ćhorkar, ke dilabhi bhara nahi  
Abhi abhi to ai ho, bahar bankar chaji ho.  
Hawa zara mahak to le, nazar zara bahak to le  
Je iam dhal to le zara, je dii sambhal to le zara...  
Me thori derdźi to lu, naśe ke ghuntpi to lu  
Abhi to kuch kaha nahi, abhi to kuch sunq nahi  
Abhi na dżao...*<sup>42</sup>

Chłopcy zauważyli to moje nowe upodobanie do tkliwej, sentymentalnej muzyki i zaczęli sobie z tego żartować. Reagowałem na to śmiechem, śmiałem się wraz z nimi, ale nic im nie powiedziałem. Nikomu nie mogłem tego powiedzieć, na samą myśl, że mógłbym wyjawić moją miłość, oblewałem się rumieńcem i czułem dreszcze, jakbym miał gorączkę, jakbym był małym chłopcem porażonym nagłym błyskiem światła z otwieranych drzwi. Zamknąłem swoją miłość w bunkrze, ukryłem ją i trzymałem tam bezpieczną. Nic nie powiedziałem moim ludziom, nie powiedziałem Garu–dźi, nie powiedziałem Dźodźo. Nawet Zoi nic nie powiedziałem. Dałem jej tylko brylanty, nowy samochód i regularnie posyłałem jej pieniądze.

Jestem pewien, że ona to zrozumiała. Rozmawialiśmy codziennie, nawet kiedy przedpremierowe szaleństwo miksowania dźwięku, sesji fotograficznych i wywiadów przerzucało ją z jednego krańca Bombaju na drugi. Podążyłem za nią dzięki specjalnemu, różowemu, najnowszemu modelowi aparatu Nokia, który jej sprezentowałem i z którego ona, oczywiście, korzystała wyłącznie do rozmów ze mną. Przez ten telefon

mówiła do mnie „Bill” i opowiadała, co wydarzyło się danego dnia, opowiadała o spotkaniach z redaktorami czasopism i z producentami, i o tym, jak podnieca ją myśl o przyszłości. Słuchałem, udzielałem jej rad i wraz z nią marzyłem. W tamtym okresie, tuż przed wejściem filmu na ekrany, wszystko zdawało się możliwe. Nawet większy laura.

Tak bardzo kochałem Zoję, że zdecydowałem się być dla niej większy. W Bangkoku można było kupić penis tygrysa, który po utarciu przerabiał się na tabletki, rzekomo zapewniające potencję i wytrzymałość. Ale już dawno przestałem wierzyć w takie zabobony. Wiedziałem już, jak zadbać o potencję i wytrzymałość – spożywałem jedzenie o niskiej zawartości oleju, codziennie ćwiczyłem, obok maszynowni kazałem ustawić nowy stepper, umożliwiający wykonywanie ciężkich ćwiczeń poprawiających wydolność oddechową. Nie, jedyne, czego potrzebowałem, to rozmiar. A w tej epoce daleko posuniętej działalności badawczo–rozwojowej mogłem powiększyć się w sposób naukowy. Obecnie już dużo lepiej radziłem sobie z komputerem i potrafiłem znaleźć drogę do wyszukiwarki. Powiedziałem chłopakom, żeby nikt mi nie przeszkadzał, zamknąłem drzwi i zacząłem poszukiwania. Początkowo miałem problemy językowe. Po wpisaniu słowa „lauda”, tak jak się zapisuje laureę po angielsku, pojawiła się strona z liniami lotniczymi o dokładnie takiej nazwie, a także strona o jakimś kierowcy wyścigowym, i jeszcze inna, z lekarstwem o nazwie „laudanum”. Ty pieprzony głupku, powiedziałem do odbicia połówki mojej twarzy, które widziałem na ekranie, przecież trzeba użyć angielskiego słowa. Wiedziałam, jak ono brzmi po angielsku, znałem je z filmów pornograficznych, które chłopcy przynosili na pokład, z tych splątanych akrobatycznych pozycji prezentowanych na tych filmach, z tych przeróżnych zbliżeń. Wpisałem „big cock”. Teraz pojawiły się strony z linkami do dziesiątek witryn proponujących zdjęcia gigantycznych laura we

wszystkich kolorach. Nie tego potrzebowałem. Dopiero po kilku minutach udało mi się przypomnieć słowo „penis”, które spotkałem w artykule z „Times of India”, traktującym o słoniach i ich zwyczajach godowych. Spróbowałem wpisać „rozmiar penisa”, dzięki czemu uzyskałem przegląd średnich rozmiarów penisów, ale także, na dole tej strony, adresy, [www.100percentpenisenlarge-ment.com](http://www.100percentpenisenlarge-ment.com), [www.big-penis-enlargement-size.com](http://www.big-penis-enlargement-size.com) i [www.betterpenis.info](http://www.betterpenis.info). Tak, to było już dużo lepsze.

Czytałem, uczyłem się i rozmyślałem, podjęcie decyzji zajęło mi wiele dni. To nie była decyzja błaha. Pragnąłem urosnąć i zorganizować swoją przyszłość, a także siebie samego. Chciałem zacumować jakoś moją miłość, chciałem, żeby moja ukochana była szczęśliwa, szczęśliwsza. Uczyłem się i myślałem. Poznałem fizjologię penisa. Na przekrojach zobaczyłem, jak funkcjonują mechanizmy działające pod powierzchnią skóry, rozgałęziające się rurki z krwią, które doprowadzają do tego, że on podnosi się i nabiera mocy. Bardzo szybko odrzuciłem zastosowanie pompek powiększających, jako niewątpliwie szkodliwych dla naczyń włoskowatych i powodujących drobne pęknięcia w tkance, kiedy penis rozszerzał się w próżni. Pomyślałem, że pomoc powinny obciążniki. Jeśli powiesi się odpowiednie obciążniki na tkance, ona się rozciągnie, to było dosyć oczywiste. Jeszcze w rodzinnych stronach widziałem na wsi kobiety z małżowinami usznymi wydłużonymi przez noszone kolczyki. Ale wydłużone uszy zawsze wydawały mi się czymś ohydny. Rozciągnięty penis będzie dłuższy, ale będzie cieńszy, jak kawałek odkształconej gumy. Nie, mi nie o to chodzi. Zależało mi na długości, ale przede wszystkim chciałem zyskać na obwodzie. Musi być twardy jak stal, potrzebuję kształtnego, niez mordowanego urządzenia, które Zoja pokocha.

I wtedy znalazłem doktora Reinnesa. Po tygodniu przedzierania się przez gęstwinę stron z penisami trafiłem na stronę [www.scientificpenis.com](http://www.scientificpenis.com). Już

sama nazwa mi się spodobała, więc od razu kliknąłem na ten adres. Ukazała się witryna, która ujęła mnie swoją prostotą. Nie było tam tych powszechnie spotykanych krzykliwych kolorów, żadnych pretensjonalnych czcionek błyskających na zielono i czerwono. Nic z tych rzeczy, tylko czyste, równe, czarne litery na białym tle. Cała witryna była sensowna i schludna, bardzo czysta. Zarówno ta strona, jak i całe podejście doktora Reinnesa wydawały się zrównoważone i poważne, co wynikało z faktu, że on był lekarzem medycyny. Jak sam pisał na tej stronie, prowadził praktykę lekarską w Kalifornii. Stosowane przez niego metody powiększania stanowiły owoc całych lat badań i zdobytych doświadczeń, i bazowały na głębokim, naukowym poznaniu funkcjonowania ludzkiego ciała. A to wszystko oferowano w sposób dyskretny przez Internet za skromną kwotę 49,99 w dolarach amerykańskich. Prosta transakcja z zastosowaniem karty kredytowej pozwalała użytkownikowi uzyskać dostęp do ukrytych stron, na których opisana była metoda doktora Reinnesa, i rozpocząć poszukiwania na drodze do samodoskonalenia.

Miałem sześć kart kredytowych, każdą na inne nazwisko. A czym było 49,99 w solidnych, starych dolarach za taką wiedzę? Użyłem platynowej karty Visa, wystawionej na fałszywe nazwisko „Jerry Gallant”, zarejestrowane pod adresem skrzynki pocztowej w Belgii. Już po dwóch minutach wpisywania danych uzyskałem dostęp. Szybko przejrzałem wielokolorowe wykresy i porady na temat zaburzeń czynności hormonalnych i odpowiedniego odżywiania. Nie byłem chory, a proteiny spożywałem na poziomie zrównoważonym. Tylko potrzebowałem wielkości. A tajemnica polegała na tym: w tętnice penisa należy pompować więcej krwi. Można to osiągnąć przez codzienne ćwiczenia, najpierw trzeba stosować ciepłe kompresy, ręcznik namoczony w gorącej wodzie należało owijać wokół członka. A potem ćwiczenie główne, polegające na

wykonywaniu ruchów przypominających dojenie – trzeba było ułożyć kciuk i palec wskazujący w pierścień i przesuwać go od nasady lekko nawilżonego penisa aż po główkę. Od razu spróbowałem się za to zabrać, jeszcze siedząc przed ekranem komputera, to znaczy za to dojenie, a nie za gorący ręcznik. Tak, wszystko się zgadzało, kiedy przeciągało się utworzony z palców pierścień wzdłuż na wpół pobudzonego penisa, widać było, że krew jest przepychana w stronę główki. Były jeszcze inne ćwiczenia, jedno z nich polegało na ciągnięciu w celu zyskania większej długości, a inne, obejmujące wewnętrzny obszar miednicy, służyło zwiększeniu wytrzymałości. Widziałem sens tej procedury, to, że opiera się w budowie wewnętrznej, dostrzegałem logikę sekwencji tych poczynań. Jasne, że można ćwiczyć członka tak, jak każdy inny mięsień naszego ciała, a dzięki temu wzmacniać go i powiększać. Genialność doktora Reinnessa polegała na tym, że on proponował cały system. Wydrukowałem sobie wykresy, umożliwiające śledzenie codziennych postępów przez cały sześciomiesięczny okres ćwiczeń i dodawania kolejnych centymetrów, kiedy to można było przejść do części „Dla zaawansowanych”. Zacząłem jeszcze tego samego wieczoru.

Po czterdziestu siedmiu dniach regularnych i nieprzerwanych ćwiczeń penisa odnotowałem jego centymetrowy wzrost. Cztery dni przed wejściem na ekrany *Międzynarodowej Dhamaki* Zoja przyjechała do Singapuru na spotkanie ze mną. Z konieczności była to bardzo krótka wizyta, Zoja przyleciała w czwartek rano i tego samego dnia wieczorem odleciała. Nie dało się utrzymać jej wizyty w mieście w tajemnicy, wszystkie stewardessy wiedziały już, kim ona jest, a małe dziewczynki przychodziły do kabiny pierwszej klasy z prośbą o autografy. Wymyśliliśmy więc oficjalną wersję, zgodnie z którą przyjechała na zakupy przed premierą, żeby wybrać jakąś

biżuterię i sukienki. Zamieszkała w hotelu Ritz–Carlton i prywatną windą zjechała do oczekującej limuzyny. Zadzwoiła do mnie z samochodu.

– Jestem w drodze, saab.

Jak zawsze traktowała mnie z szacunkiem, jak zawsze wyczulona na mój czas i moje uczucia. Natomiast ja byłem zdenerwowany. Miałem na sobie nowy garnitur od Armaniego i dopasowaną, złotą koszulę. Moje buty były wypolerowane, a paznokcie lśniły po świeżym manicure. Siedziałem w komfortowym, głębokim fotelu naprzeciwko drzwi, ale sam nie czułem się komfortowo. Piłem wodę Evian ze szklanki i zdawałem sobie sprawę, że wyglądam śmiesznie. Słyszałem jej kroki na schodach. Wstałem z fotela. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła Zoja, zrywając z siebie płaszcz z kapturem i odrzucając burzę włosów. Ledwo zdążyłem zauważyć spodnie w płowym kolorze i skąpy top, a ona już podbiegła do mnie. W jej objęciach, w ukojeniu jej piersi, wszystkie moje wątpliwości zniknęły.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała. – Tak bardzo za tobą tęskniłam.

I tę dziewczynę Dżodzo nazywała Samolubną Żyrafą. Całowała moją szyję, po chwili powróciła do ust, a potem ponownie opuściła głowę na moje piersi. Z przeciągłym westchnieniem opadła na kolana i zaczęła tulić się do mojego rozporka, wciąż wyciągając ręce do moich ramion. Położyłem dłoń na jej czole i uniosłem jej twarz w moją stronę.

– Poczekaj. – Zobaczyłem, że jest zaniepokojona, patrzyła na mnie jak skarcone dziecko. To był nasz zwyczajowy obrzęd powitalny, to szalone, pierwsze obciążanie. Uwielbiałem patrzeć, jak otwiera usta przede mną. Ale dziś delikatnie trzymałem ją za podbródek. – Zaraz, poczekaj – powiedziałem. – Za dwie minutki. Najpierw chciałbym usłyszeć, co u ciebie.

Podsłoczyła, śmiejąc się, uszczęśliwiona. Usiedliśmy na fotelu, oparła się plecami o poręcz fotela, na drugiej rozkładając nogi, objęła mnie

ramionami i wszystko mi opowiedziała. Zamiast dwóch minut, zajęło nam to dwie godziny. Mówiła mi o swoich problemach przy kręceniu, o tym, że sztuczne jezioro, które miało udawać szwajcarskie, zaczęło śmierdzieć, bo pieprzeni oświetleniowcy ciągle do niego sikali. Na planie był taki piękny biały koń, zupełnie spokojnie uczestniczył w ośmiu ujęciach, to był koń, który od dawna grał w filmach. A potem, podczas przerwy w celu zmiany oświetlenia, jakiś elektryk przeciągnął kabel po trawie i ten biały koń przeraził się, wierzgnął i się cofnął, spadając dziesięć metrów ze skały. Musieli go zastrzelić.

– To faktycznie niebezpieczna robota – powiedziałem.

– I jaka męcząca. A do tego taka wolna, to trwa strasznie długo, bhai – odparła Zoja. – Mam wrażenie, że od zawsze kręcę ten film. Ale jest też dużo zabawy. Na planie są takie oryginały.

Wstała i zaczęła naśladować Dhiradźa Kapura, jak nawołuje operatora, żeby pospieszył się z oświetleniem.

– Proszę pana, już przekroczyliśmy budżet o czterdzieści cztery procent i jesteśmy trzydzieści dni spóźnieni. – Doskonale odgrywała jego postać, ten jego krok grubasa i jego pendzabską serdeczność, to, jak delikatnie trzymał papierosa między palcem środkowym i kciukiem, a nawet jego krótszą górną wargę, nadającą mu wygląd lekko zdziczałego psa. Ta moja Zoja ożywiała się, kiedy grała. Kiedy była Dhiradźem Kapurem, znikał dystans, który zazwyczaj oddzielał Zoję Mirzę od świata zewnętrznego i od nas, w nim żyjących. Już nie skrywała się gdzieś daleko, za czarnym blaskiem oczu, niedostępna. Była tu, w pokrytej meszkiem skórze swych ramion, w spacerowym kroku producenta. Jej życie skrzyło się i iskrzyło, było tu, właśnie tu, dla mnie. Roześmiałem się i przyciągnąłem ją do siebie, ale zaraz wstała, żeby zagrać kogoś innego. Doskonale naśladowała Manu Tewarię. Ukazała mi jego kwadratową, komunistyczną bródkę, a także

sposób, w jaki przebierał po niej palcami, kiedy starał się zrobić wrażenie zamyślnego. Sam nie wiem, jak to zrobiła, ale odczułem tę jego ciężką powagę, aptekarską dokładność jego umysłu, jego namiętną wiarę w bajki o przyszłości. Podejrzewam, że właśnie to powinny robić wielkie aktorki. Powodowała, że chciałeś wierzyć, więc wierzyłeś.

Kiedy w końcu wziąłem ją do łóżka, nie miałem żadnych wątpliwości. Czułem się kompletny. W tej naszej rozmowie i w tym wspólnym śmiechu ponownie odnalazłem siły. Tego dnia cztery razy w nią wszedłem, a ona szczytowała we mnie. Nie wątpiłem w jej rozkosz, ani też w moją. Wszystko stanowiło jedność. A mój penis zachowywał się bohatersko. Nie zwracałem jej uwagi na ten jego wzrost, nie było takiej potrzeby. Wystarczającym dowodem było dla mnie jej jęczenie, kiedy czerpała przyjemność.

*Międzynarodowa Dhamaka* zrobiła klapę. Pomimo całej reklamy, pomimo wpompowania tych wszystkich pieniędzy w klipy z piosenkami dla MTV, w największe z dostępnych billboardów i w specjalne, wykonane z jasnoczerwonego plastiku, pudełka na drugie śniadanie promujące *Dhamakę*, nikt tego nie chciał oglądać. W dniu premiery frekwencja w Bombaju wyniosła sześćdziesiąt procent, a poza miastem jeszcze mniej. Krytycy nie zostawili na filmie suchej nitki, ale tego w sumie nawet się spodziewaliśmy, i nikt w świecie filmu nie przejmował się tym, co mówią krytycy, jeśli tylko ludzie przychodzili do kina. Jeśli publiczność płaciła za bilety. Ale w połowie drugiego tygodnia sprzedaż biletów w kraju spadła poniżej czterdziestu procent. Na rynkach zagranicznych, gdzie spodziewaliśmy się ogromnego sukcesu, sytuacja wyglądała tylko trochę lepiej. Nie przyszły też te madercody NRI. Nieustannie rozmawiałem przez telefon z Dhiradźem Kapurem, umieściliśmy w metrze nowe billboardy,



zwiększyliśmy częstotliwość ukazywania się spotów reklamowych w MTV, do których dodaliśmy napisy zapraszające publiczność do oglądania „Superhиту *Międzynarodowa Dhamaka*”. Zapraszaliśmy do uczestnictwa w magii. Kusiliśmy, żeby zobaczyli świat.

Ale ci gandu nie przychodzili. Obcięliśmy siedem scen, na nowo zmontowaliśmy czternaście innych i nakręciliśmy dodatkową piosenkę, w której wystąpiły już nie jedna czy dwie, ale trzy supermodelki, ubrane tylko w odblaskowe bikini i trochę tiulu. Puszczano tę piosenkę w kinach w Bombaju i Delhi przez rekordowy okres trzynastu dni, ale ta cholerna publiczność wciąż nie chciała przychodzić. Pod koniec trzeciego tygodnia pisma branżowe nieodwołalnie i jednogłośnie uznały *Międzynarodową Dhamakę* za klapę. Nie byłem w stanie temu zaprzeczyć. To była klapa.

Do tego momentu Dhiradź Kapur radził zachować cierpliwość, wiarę, odporność. Opowiadał mi, jak to G. P. Sippy przez miesiąc utrzymywał w kinach *Śole*, chociaż cały przemysł śmiał się z niego, a on tracił pieniądze. I w końcu wszystko zmieniło się po przekazanych pocztą pantoflową informacjach o Gabbarze Singhu, publiczność zaczęła pchać się do kina, a *Śole* był wyświetlany bez przerwy przez pięć niesamowicie dochodowych lat. Ale teraz nawet Dhiradź Kapur przyznał, że *Międzynarodowa Dhamaka* jest klapą.

Był to również jego film, w takim samym stopniu jak mój, ale on w czwartym tygodniu się poddał.

– Wystarczy, bhai – powiedział mi przez telefon pewnej nocy. – Już i tak za dużo wydałeś. Musimy się z tym pogodzić i jakoś z tym żyć.

Pozwoliłem więc, aby zdjęto film z ekranów. Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy – *Międzynarodowa Dhamaka* była klapą. Nie mogłem przyłożyć publiczności pistoletu do głowy i kazać im siedzieć w kinie, więc *Międzynarodowa Dhamaka* zrobiła klapę. Ale to był dobry film. Tak często

go oglądałem, że podejrzewam, że już w ogóle nie widziałem, co się dzieje na ekranie, tak byłem zatopiony w szczegółach kadrowania, dźwięku i tempa. Teraz ponownie go obejrzałem. Tak, to naprawdę był dobry film. Bez wątpienia. Była w nim akcja, miłość, patriotyzm i niezapomniane piosenki. Był piękny i doskonały. Dlaczego więc został odrzucony? Dlaczego publiczność waliła drzwiami i oknami na *Tera Mera Pjar*, bezsensowną, marnie zrealizowaną opowiadkę o romantycznych bzdurach typu chłopiec traci dziewczynę, a potem płacze i płacze, wyprodukowanym za trzy krory przy udziale zupełnie nieznanym aktorów?

– Tego się nie dowiemy – powiedział Dhiradź Kapur. – Nigdy się tego nie dowiesz, bhai. Publiczność to sukinsyny. Każdy ćutija w przemyśle da ci teraz trzydzieści sześć powodów, dlaczego nasz film nie odniósł sukcesu, ale podczas pokazów przedpremierowych wszystkim się bardzo podobał. Wszystkie analizy dokonane po wejściu filmu na ekrany są bezużyteczne. Nie da się przewidzieć przyszłości. I, tak naprawdę, nie da się poznać przeszłości. Tego się nie dowiemy.

Ale ja chciałem się dowiedzieć, musiałem. Zapytałem Garu–dźi. W tym czasie przebywał w RPA z cyklem wykładów, ale znalazł czas, żeby do mnie zadzwonić. Wiedział, że mam kłopoty, wiedział, jak jest mi smutno i jaki jestem bezradny. Zrozumiał, że jeszcze nigdy nie czułem się tak bezradny, więc się mną zajął. Był kimś więcej niż ojciec, był jak matka. Wiedziałem, że nie potrafił przewidzieć przyszłości tego filmu, ale poprosiłem, żeby spróbował zajrzeć w jego przeszłość.

– W tym filmie było wszystko, Garu–dźi – powiedziałem. – Każdy element, którego oczekuje w filmie widz. Dlaczego więc się nie udało?

– Szukasz przyczyny?

– Tak, szukam przyczyny, Garu–dźi.

– Kłopot w tym, że szukasz jednej przyczyny.

– Ale, Garu–dzi, to ty wciąż powtarzasz, że świat nie jest chaosem. Wczoraj wygłosiłeś wykład dla siedmiu tysięcy ludzi o cyklach czasu i o tym, jak powoli zmierzamy w kierunku nowej ery.

– Tak powiedziałem?

Miał na twarzy ten swój szeroki uśmiech, czułem to, ten błysk w oku, który po prostu pożerał zmieszanie słuchacza.

– Tak, tak mówiłeś. Czytałem twój wykład na stronie internetowej. Powiedziałeś, że to co robimy, ma swój cel.

– Rzeczywiście tak powiedziałem, beta. Ale błąd tkwi w twoim pytaniu. Kiedy pytasz o przyczynę.

Zatrzymałem się i pomyślałem. Wciąż nie potrafiłem uchwycić, dokąd on mnie prowadzi.

– Nie rozumiem, Garu–dzi. Powiedz mi, proszę.

– Pytasz o przyczynę, o jedną przyczynę. Ale tych przyczyn są setki, tysiące. Nie ma tylko jednej, bezpośredniej przyczyny. Jest ich wiele. Wszystkie te przyczyny spotykają się, krzyżują i płyną naprzód, służąc wielkiemu celowi. A ty stoisz w miejscu, w którym przecinają się tysiące tych przyczyn, i chcesz poznać jedną.

– Czyli być może przyczyna zupełnie nie leży w samym filmie.

– Tak. Może ten czas potrzebował czegoś zupełnie innego. Może rzeka czasu podążała w określonym kierunku, kiedy twój film wszedł na ekrany.

– A tak było? Było tak? – Mój zbyt mały umysł nie mógł ogarnąć tego przemieszania różnych prędkości i nie pęknąć jak nadmuchana papierowa torba. Ale on był moim Garu–dzi, i tego odeń potrzebowałem. On to wszystko widział, a ja pragnąłem, żeby dał mi nieco wiary w tę rzekę, która mną miotła. – Proszę, Garu–dzi. Powiedz mi.

– Tak, Ganeśu – odrzekł. – Zebrało się wiele przyczyn, które nie miały żadnego związku z samym filmem. Ty wyraziłeś prawdę, ale w tej chwili

publiczność cieszy się szczenięcą miłością. Oni obudzą się na twoją prawdę, ale nie teraz. A poza tym, Ganeśu, dlaczego martwisz się o przyczyny? Jest tyle celów. Ściąganie publiczności do kina i zarabianie pieniędzy istnieje jako cel tylko w bezpośrednim znaczeniu tego słowa. Twój film znajdzie swoją dharmę w dalekiej przyszłości, w sieci konsekwencji, która rozrasta się od momentu jego wejścia na ekrany. Odniosłeś sukces, tylko że jeszcze tego nie wiesz.

Widziałem tę pajęczynę działań, celów i skutków, o której on mówił, a przynajmniej jej blady cień. On był Garu-dźi, on widział tę ogromną historię, o wiele większą niż ta moja historia, wykraczał poza ograniczenia, których ja przekroczyć nie mogłem, te, w których ramach pisał Manu Tewari. My wierzyliśmy, że bohater już w pierwszym akcie widział swój cel i swoich wrogów, przez co jego poszukiwanie wznosiło się pięknym łukiem w stronę punktu kulminacyjnego, zmierzając do zwycięstwa. Wierzyliśmy, że skoro ten bohater jest nieustraszony i mocny, na osiemnastej szpuli filmu zdobędzie należną nagrodę. Ale teraz widziałem, że nam nie miało być dane poznanie przyczyn ani też skutków. Tylko oświeceni wiedzieli, czym jest ta historia. Tylko Garu-dźi mógł rozbić w drobny mak więzienie czasu i spojrzeć wprost w płonący chaos stworzenia.

– Garu-dźi, dobrze, że mi to powiedziałeś – stwierdziłem. – A ja myślałem, że zostałem pokonany.

– Nie zostałeś pokonany – odparł. – Zachowaj wiarę i wykonuj swoją pracę.

Starałem się. Wciąż medytowałem i ćwiczyłem, i pogrążyłem się w pracy, której miałem bardzo dużo. Prowadziłem trzy operacje dla Kulkarniego i oczywiście przy okazji udało mi się znaleźć sposób, żeby zlikwidować kilku moich osobistych wrogów podczas tej drobnej rzezi, która następnie

się wydarzyła. To było miłe. Ale nękało mnie rozkojarzenie. Byłem na tyle zdyscyplinowany, żeby zajmować się codziennymi obowiązkami, ale nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Z kolei Zoja dzwoniła do mnie co drugi dzień i z wielkim przejęciem opowiadała o swoich aktorskich triumfach na różnych planach filmowych. Podpisała sześć kontraktów na filmy realizowane przez największe wytwórnie, trzy z nich po tym, jak *Międzynarodowa Dhamaka* weszła na ekrany i zakończyła się klapą. Z nas wszystkich tylko ona wyszła z tej katastrofy bez szwanku. A nawet, prawdę mówiąc, wyszła mocniejsza, piękniejsza i co pół godziny pojawiała się w telewizji. Z jakiegoś niewiadomego powodu cały przemysł filmowy i publiczność uznali, że ona nie odpowiada za ten niewypał *Dhamaki*, więc wprost rozkwitała. Tymczasem mój centymetrowy przyrost zmalał już do pół centymetra, a nawet tego nie byłem pewien, bo wynik zależał od sposobu, w jaki przykładałem linijkę do swojego laury. Czasami, późno w nocy, łapałem się na myślach, że to ja sam wcześniej wmówiłem sobie ten wzrost i to, że doktor Reines pomógł mi swoją nauką. W takich chwilach kusząco wabiła mnie biała otchłań rozpacz. Ale nie, umiałem wytrwać. Pamiętałem, co mówił Garu-dzi, i nie ustawałem w wysiłkach. Wciąż jednak byłem przygnębiony. Czasami budziłem się wcześnie rano, otwierałem czarny segregator i przeglądałem recenzje. Gazety wydawane w języku hindi i gudżarati bardzo entuzjastycznie przyjęły *Międzynarodową Dhamakę*, a pendżabskie niewiele im ustępowały. Recenzentowi z „Dainik Samaćar” ogromnie podobała się muzyka i napisał, że „debiutująca w filmie Zoja to talent, jaki już od lat u nas się nic pojawiał”. Ale wszystkie bez wyjątku anglojęzyczne gazety i czasopisma były wobec nas nieprzychylnie. „Times of India”, „Indian Express”, „Outlook”, te wszystkie szmatławce. Zachowałem również te niepochlebne recenzje i czasami czułem się w obowiązku je przeczytać, łącznie z tym snobistycznym

angielskim. *Międzynarodowa Dhamaka* jest zbyt głośna, zbyt długa i zbyt głupia, żeby była z niej jakaś dhamaka” napisała pewna krytyk dla „India Today”. Kutija, randi. „Te wszystkie międzynarodowe sztuczki i pusty patriotyzm pogłębiają wrażenie nudy”. To recenzent „Outlooka”. Sukinsyny.

Ale jeden z nich irytował mnie, jak jakiś gryzący pod skórą owad, jak drobinka węgla w moim nabiegłym krwią oku. Nazywał się Randźan Catterdzi i pisał dla „The National Observer”, od trzydziestu dwóch lat zamieszczał tam cotygodniowe recenzje filmowe. Czasopisma pisały o nim „zasłużony krytyk filmowy Randźan Catterdzi” a on wylewał na nas swoje nagromadzone frustracje i wściekłość. „Człowiek załamuje się, widząc tak bezczelne niedbalstwo”, napisał. „Po prostu truchleje”. Musiałem poprosić Manu Tewariego, żeby wyjaśnił mi, kim miał być ten „człowiek” i dlaczego Randźan Catterdzi pisze o tym bezosobowym obywatelu.

– Daj sobie spokój z tym maderćodzie, bhai – odparł mi Manu Tewari. – To stary zgorzkniały burhau, nikt już nie czyta jego wycopin.

Ale ja czytałem. Przeczytałem cały jego tekst do samego końca, a potem przeczytałem go raz jeszcze, po kilku miesiącach. A potem jeszcze raz. „Nawet przy najlepszych chęciach człowiekowi trudniej jest uwierzyć w historię *Międzynarodowej Dhamaki* niż w przypadku innych, typowych produkcji z Bollywood” – napisał. „Oglądamy ciąg oklepanych chwytów kinowych połączonych w jedną całość. Ci bhai żyją w nierealnych, złożonych luksusach i latają po świecie, jakby łapali poranny pociąg do Nasiku. Są sprytniejsi od Jamesa Bonda i mają więcej oglądy niż Casanova. Już dawno temu człowiek stracił nadzieję, że komercyjne kino będzie miało jakiś związek z rzeczywistością. Ale z pozoru pretensjonalna „*Międzynarodowa Dhamaka* powoduje, że zastanawiam się, czy ci filmowcy spotkali kiedyś w życiu prawdziwego gangstera”.

Zauważyłem, że myślę o tym Randźanie Ćatterdźi podczas spotkań, a także z samego rana, kiedy otrząsałem się z pierwszego snu, a ten jego „człowiek” kołatał się po mojej głowie. Musiałem coś z nim zrobić. Wydałem więc odpowiednie polecenia. Ten stary, pomarszczony ćutija mieszkał w Bandra East, w bloku mieszkalnym zbudowanym przez rząd dla dziennikarzy i pisarzy. Tego wieczoru, kiedy wydałem rozkazy – a było to w piątek – Randźan Ćatterdźi wracał do domu z prapremierowego pokazu połączonego z kolacją, opłaconą przez producentów, którzy mieli nadzieję, że w ten sposób uda im się go zjednać. Szedł szybkim krokiem, zmierzając z garażu w kierunku windy. Sukinsyn z pewnością spieszył się, żeby dotrzeć do swojego mieszkania i upleść wianuszek zjadliwej krytyki na temat filmu, który właśnie obejrzał, żeby w niedzielny poranek obsypać obelgami całą ekipę stu pięćdziesięciu osób. Staruszek szedł sprężystym krokiem. Ale nie udało mu się dotrzeć do swojej maszyny do pisania – na rogu budynku czekał na niego Banti z czterema ludźmi. Chwycili go pod ramiona i zanieśli na tyły kompleksu budynków. Po drodze cicho popiskiwał z bólu. Ustawili go pod ścianą, a potem połamali mu obie nogi. Posłużyli się drągami, których robotnicy drogowi używają do podważania bloków betonu. Kiedy na jego prawym udzie wylądowało pierwsze, miażdżące uderzenie, Randźan Ćatterdźi padł na ziemię i zaczął krzyczeć. Okna w budynku rozświetliły się, a z za rogu wypadli ćaukidarzy, którzy jednak natychmiast się zatrzymali, widząc wymierzony w ich stronę pistolet. Po uderzeniu w drugą nogę Randźan Ćatterdźi zaczął krzyczeć jeszcze głośniej, wydierał się tak mocno, że z pewnością pobudził wszystkich mieszkających tam ludzi. Banti spokojnie czekał, aż on się uspokoi.

Kiedy w końcu krzyk przeszedł się w mokry szloch, Banti poklepał go lekko po policzku.

– Cześć – powiedział Banti. – Are, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Posłuchaj.

Randżan Ćatterdzi uniósł głowę i zaczął wymiotować. Banti skrzywił się z odrazą, ale po chwili sięgnął ręką w dół i chwyciwszy w garść włosy sukinsyna, podniósł jego głowę.

– Boli? – zapytał Banti. – No powiedz, boli?

Randżan Ćatterdzi zamrugał mokrymi od łez, szeroko otwartymi oczami i w końcu udało mu się odszukać wzrokiem Bantiego. Zaczął jęczeć, cicho miauczał jak porzucony kociak.

– Tak – powiedział. – Ach, ach, ach. Tak, boli.

– To dobrze – stwierdził Banti. – To teraz będziesz wiedział, że to prawda. I że spotkałeś prawdziwego bhai.

He slammed Ranjan Chatterjee's head down

Walnął głową Randżana Ćatterdzi o ziemię i poszedł sobie. Wsiedli z chłopakami do czekającego samochodu i odjechali, bez żadnych kłopotów i bez żadnego zamieszania. W samochodzie wszyscy śpiewali motyw przewodni z *Międzynarodowej Dhamaki*: „*Rehne do, jaro, medurdża rahahu*”<sup>43</sup>. Znam dokładnie przebieg całego zdarzenia, bo jeden z moich ludzi wszystko nagrywał na kamerce cyfrowej canon z małym reflektorkiem. Nawet przy tym pojedynczym, ostrym świetle canon doskonale uchwycił szczegóły, a takiej rozdzielczości na wideo nigdy jeszcze nie widziałem. Dostrzegłem spływające z nosa Randżana Ćatterdzi smarki i jego małe źrenice. Następnego dnia po południu dostarczyli mi tę taśmę, została przekazana do Bangkoku, a stamtąd na Phuket. Wieczorem obejrzałem ją czternaście razy, potem wziąłem sobie chińską dziewczynę i tej nocy spałem mocno, długo i głęboko. Odprężyłem się, usunąłem Randżana Ćatterdzi ze swojego systemu. Może na świecie istniał wyższy porządek, który widzieli tylko ludzie oświeceni. Może opowiadane przez



nas, zwykłych śmiertelników, historie są jedynie drobnymi kłamstwami, wygodnym wytłumaczeniem tego, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Ale i tak połamanie nóg Randżanowi Catterdzi dało mi coś, co Manu Tewari pewnie nazwałby „zamknięciem wątku”. Zrobiłem to i poczułem się lepiej, historia była kompletna. Nareszcie uwolniłem się od *Międzynarodowej Dhamaki* i znowu mogłem zająć się swoim życiem.

Zanurzałem się we śnie jak nurek głębinowy poszukujący spokojnych wód pod wzburzonymi falami. Każdej nocy spałem do późna, a potem budziłem się i ponownie zasypiałem. Minęły trzy miesiące i powróciłem do stałego porządku ćwiczeń i pracy. Zarabiałem pieniądze, omawiałem kwestie wywiadowcze i taktykę z Kulkarnim, rozmawiałem z Garu-dzi i Dźodźo, dwa razy poleciałem do Singapuru na spotkanie z Zoją. I bardzo dużo spałem. Zauważyłem, że potrzebuję w nocy dziewięciu godzin snu, chociaż wcześniej zawsze wystarczało mi sześć, a do tego jeszcze ucinałem sobie drzemki w ciągu dnia. Zwijałem się na sofach i chowałem w sypialni po lunchu. Pewnego razu, podczas surfowania po Internecie, zdarzyło mi się nawet położyć pod biurkiem, żeby zasnąć na kwadransik. Po prostu potrzebowałem snu.

Dźodźo stwierdziła, że wpadłem w depresję, a Garu-dzi – że jestem tylko wyczerpany po tym dodatkowym napięciu i stresie, w którym żyłem przez półtora roku kręcenia filmu. Cokolwiek to było – rozpacz, niepokój czy coś jeszcze zupełnie innego – spałem. Tego wrześniowego wieczoru zasnąłem na pokładzie, siedząc w fotelu, który specjalnie dla mnie ustawiono na dziobie. Kotwiliśmy w pobliżu Ko Samui, przeglądałem jakieś arkusze kalkulacyjne, a chwilę później już spałem. We śnie zdawałem sobie sprawę, że śpię. Wiedziałem, że jestem na „Szczęśliwym trafie”, że unosimy się na spokojnych wodach, że niebo znika gdzieś przede

mną w ciemności. Spałem, ale sen nie dawał mi odprężenia. Pragnąłem odpoczynku, ale nie mogłem go znaleźć.

W pewnym momencie Arwind rozbudził mnie lekkim klepnięciem.

– Bhai – powiedział. – Chodź. Musisz to zobaczyć. – Co?

– W telewizji, bhai. To niesamowite.

– Gandu, budzisz mnie, żebym zobaczył jakiś program telewizyjny? Która godzina?

Ale on był już w połowie drogi do rufy, i to ten Arwind, zawsze tak pełen szacunku. Pomyślałem, że w telewizji musi być coś naprawdę zdumiewającego.

– Dochodzi ósma, bhai – odrzekł i pospieszył do drzwi prowadzących do głównej kabiny. Podniosłem się z wysiłkiem i ruszyłem za nim, chociaż kręciło mi się w głowie i zataczałem się od zawirowań czasowych. Straciłem kontakt z dniem i nocą. Wieczór wydawał mi się nierzeczywisty, chociaż przesuwając dłonią, wyczuwałem pod palcami drewno.

W telewizorze płonął budynek. Widać było linię dachów na tle nieba i jakiś płonący budynek Usiadłem.

– Co to jest? – zapytałem.

– Nowy Jork, bhai – odrzekł Arwind. Siedział na skraju krzesła, pochylony do przodu. Również pozostali chłopcy tłoczyli się w pokoju. Jakiś głos mówiący po tajsku z podnieceniem komentował obrazy na ekranie.

– To film?

– Nie, bhai. To dzieje się naprawdę. W ten budynek uderzył samolot.

A wyglądało jak jakiś film. Jak jeden z tych amerykańskich filmów katastroficznych, pełnych przygód i terroryzmu.

– Wypadek? – zapytałem.

Arwind tego nie wiedział, uniósł tylko rękę.

– Przełączcie na angielski program – poleciłem. Krew buzowała mi w żyłach.

Na wszystkich kanałach widzieliśmy te same obrazy, przedstawiające płonąca wieżę i obok drugą, bliźniaczą. W końcu znaleźliśmy program z Hong Kongu, który nadawał satelitarny przekaz z programu Fox.

– Północna wieża nadal się pali – mówił reporter. Dym wylewał się z bocznych ścian budynku. W pewnym momencie z prawej strony w kadr kamery nadleciał jakiś srebrny kształt. Zerwałem się na nogi, patrząc z zapartym tchem. Samolot pasażerski zniknął za płonącym wieżowcem i chwilę później na drugiej wieży rozbłysnął pióropusz płomieni. A wszystko działo się w absolutnej ciszy.

Nie odzywaliśmy się. W tym momencie wiedziałem już, co to jest. Po prostu wiedziałem.

– To nie jest wypadek – powiedziałem. – To terror.

Siedziałem przed telewizorem do trzeciej nad ranem. Przynoszono mi jedzenie, a kiedy szedłem do toalety, z której korzystałem przy otwartych drzwiach, chłopcy podkręcali głośność. Patrzyłem tak długo, aż oczy same mi się zamykały. Potem kazałem moim ludziom czuwać na zmianę i budzić mnie, jeśli pojawią się dalsze ataki lub nowe rewelacje.

Samotność w kabinie była nieznośna. Woda uderzała o burty, a ja zrzuciłem ubranie i próbowałem oddychać. Dlaczego tak mnie to poruszyło? To prawda, że prawdopodobnie zginęło wielu ludzi, ale ludzie umierali codziennie. Co takiego rozpałiło więc we mnie tę gorączką wzburzenia? Wraz z chłopakami doszliśmy do wniosku, że ten atak przygotowali muzułmanie, może Arabowie. Ale co z tego? To prawda, że była to eskalacja agresji, i teraz Ameryka zaatakuje całymimi swoimi ogromnymi siłami, przysparzając sobie kolejnych wrogów, ale tak już było

nieprzerwanie od długiego czasu. Nie potrafiłem znaleźć żadnych odpowiedzi i potrzebowałem snu. Zmusiłem się, żeby pójść pod prysznic, a potem położyłem się i wziąłem tabletkę na sen.

Wielokrotnie zapadałem w płytką, pełną dymu i kurzu drzemkę i krztusząc się, wydobywałem się z niej. Wciąż pojawiała mi się ta rzeczywista linia, którą zatoczył samolot, zmierzając na spotkanie ze zgrabnym pionem budynku. Obróciłem się na bok, próbowałem myśleć o pracy, o kobietach, ale ten kształt wciąż do mnie powracał. Tak, to był terror.

Usiadłem na łóżku. Gdzie teraz był Garu-dzi? Gdzieś w Europie. W Pradze. Tak, mogę do niego zadzwonić. Sięgnąłem po telefon.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Ganeś? Wszystko w porządku?

– Garu-dzi, widziałeś to w telewizji?

– Tak.

– To było straszne.

– Tak.

– To znaczy, te amerykańskie sukinsyny zachowują się, jakby cały świat do nich należał, i wcześniej czy później ktoś musiał ich trafić. Ale i tak, to było...

– Tak, Ganeśu?

Nurtujące mnie pytanie wirowało po mojej głowie rozrzucone na tysiąc fragmentów. Szarpałem za brodę, tarłem oczy, starając się poskładać to w całość.

– Mówiłeś, że świat jest piękny.

– Tak.

– Miał początek.

– Tak.

– A to oznacza... że będzie miał koniec.

– Musi. Żeby ponownie mógł się narodzić.

Napięcia i walki tego świata będą zatem narastać, będą wznosić się cudownym łukiem prowadzącym do ogłuszającej eksplozji, do punktu kulminacyjnego, po którym nastanie całkowita pustka. Już wcześniej słyszałem, jak ludzie mówili o końcu świata, widziałem wiele filmów o różnych katastrofach, ale nigdy, przenigdy nie było to dla mnie realne. Ale oto nadszedł ten koniec, czułem go w moim brzuchu, twardy i ciężki jak diament. Był zupełnie realny.

– To się wydarzy – powiedziałem.

– To nieuniknione. Dlatego właśnie wszystkie wielkie religie mówią o nadchodzącej zagładzie. Pralaj, kajamat, apokalipsa. Ale nie bój się, Ganeśu. Ten strach pochodzi z małego ego, które cię więzi. Ale ty jesteś nieskończenie większy. Patrząc z tej szerszej perspektywy, nie ma powodu do obaw.

Wiedziałem, że on chce dobrze, ale nie znajdowałem w jego słowach pocieszenia. Tak, może potrafiłbym wyobrazić sobie siebie w postaci jakiegoś chłodnego, obiektywnego oka unoszącego się gdzieś wysoko nad ziemią, po której stąkam, i odczytującego – z przyjemnością – wszystko, co leży poza granicami wiedzy mojego ciała i poza horyzontem, ale to do mnie nie trafiało, nie czułem tego. Nie. Pożegnawszy się z Garu-dźi, położyłem się i wyobrażałem sobie tę wielką pajęczynę odbijających się rykoszetem wydarzeń, nieustannie prących do przodu, zawsze w stronę ognia i wody, w kierunku rozpadu, i poczułem, że zupełnie zaschło mi w ustach. Oparłem się na łokciu i sięgnąłem po wodę. Kiedy odstawiałem szklanę, cicho brzęknęła o złotą tackę, a ten dźwięk odbił się grzmotem w mojej głowie. Czułem, że ręce mi drżą. Ogarniał mnie cały ten ruch, każde działanie napędzało następne, z drobnej fali robił się bałwan, z którego powstawał

rwący potok przewalający się w nieuchronną otchłań. Może nawet ten delikatny brzęk szkła w jakimś sensie zbliżał nas odrobinę do rozbrzmiewającego echem nieszczęścia. Uderzył we mnie jakiś dźwięk, może moje tętno, a może jakieś echo, na które składało się wszystko pozostałe, obejmujące i początek, i koniec, i narodziny, i życie, i nieokiełznaną śmierć.

## Interludium: pięć fragmentów rozproszonych w czasie

### I

Surjakant Triwedi pije cappuccino w kawiarence w pobliżu British Museum. Już od prawie dwóch lat przebywa w Anglii, i to jedyna wilajacka słabostka, na którą sobie pozwala. Nie uległ żadnej innej pokusie ani naciskom. Ubiera się dokładnie tak samo, jak w Mirucie, w długie, krochmalone kurty i stateczne pizamy. Czasami zimą idzie na ustępstwo i wkłada termoaktywną bieliznę, którą przysłał mu z Saint Louis jego mieszkający w Ameryce syn. Najstarszy syn Triwediego, ten, z którym mieszka tu, w Hounslow, martwi się, że ojciec jeździ metrem w tak prowokacyjnie zagranicznym stroju, ale on wie, że jeśli włoży jakąś wymyślną marynarkę, wcale nie będzie mniej wyglądał na Indusa. A jeśli zaatakują go chuligani, trudno, on nie obawia się, że ktoś może go zranić czy zabić. Garu-dźi poprosił go, żeby przez pewien czas mieszkał w Londynie i żeby zajął się tym, co trzeba, a Triwedi wszystko zawdzięcza Garu-dźi. Nawet tu, kiedy tak siedzi, patrząc na turystów przechodzących w jasnym, majowym słońcu, czuje obecność Garu-dźi. To nieustanne wsparcie to nie tylko pociecha, ale też podstawa, na której zbudował całe swoje życie. Tylko ludzie, którzy spotkali na swojej drodze takiego guru, mogą zrozumieć, że ten nauczyciel jest jednocześnie ojcem, matką i przyjacielem, że sama myśl o nim znosi przeszkody i przewycięża strach. Ale w tej chwili Triwedi nie czuje żadnego strachu, cappuccino jest bardzo

gorące, dokładnie tak, jak lubi, z przepyszną pianką i posypane niewielką szczyptą mokki. Delektuje się, trzymając smakołyk na czubku języka, a potem czeka, aż rozpułynie się po całych ustach. Triwedi jest rozleniwiony i zadowolony, i nawet pozwala sobie na chwilę zapomnienia, powracając myślami do swojej żony, która dała mu wiele dzieci i nagle odeszła, zmarła w 1987 roku na zatorową niewydolność serca. Dzięki pomocy Garu-dzi zdołał spojrzeć dalej, przejrzeć tę iluzję śmierci i ogarniające człowieka opary krzywdy, i teraz potrafi myśleć o żonie tylko z czułością i radością.

Dlatego też, kiedy do kawiarni wchodzi Milind, Surjakant Triwedi jest nieco zdezorientowany i jakby nieobecny. Milind ma dwadzieścia dwa lata, jest przystojny, wysoki i ma szczere spojrzenie. Wylewnie wita się z Triwedim, i na podłodze między nimi stawia okazałych rozmiarów torbę sportową.

– Wszystko w porządku? – pyta Triwedi.

– Tak, sir. Żadnych problemów. – Milind urodził się w Londynie i w Indiach był tylko pięć razy, najdłużej przez dwa miesiące. Ale jego język hindi jest ortodoksyjny i bezbłędny. Chłopak pochodzi ze starej rodziny członków Dżana Sangh, jego dziadek był wybitnym profesorem zajmującym się sanskrytem na uniwersytecie Benares Hindu. Dorastał w klimacie szacunku dla nauki i pobożności i jest zagorzałym patriotą. Uważa Triwediego za przywódcę małej, ale radykalnej partii Akhand Bharat i sądzi, że zadaniem Triwediego w Londynie jest rozbudowanie organizacji i rozpowszechnienie jej przesłania. Bardzo chętnie wykonuje tajne zadania, które Triwedi mu zleca. Z wielkim entuzjazmem odbiera torbę z przechowalni bagażu na dworcu Kings Cross i z zachowaniem wszystkich środków ostrożności szybko przynosi ją do Triwediego-dzi, zawsze bardzo ostrożny i czujny.



Triwedi zdaje sobie z tego sprawę i dlatego starannie obmyśla odpowiednie dla Milinda zagrożenia, których chłopak może się bać, i opowieści, które rozpalają jego wyobraźnię. Mówi mu, że torba zawiera dokumenty wojskowe z pewnego wschodnioeuropejskiego kraju, które zostaną przekazane jego rządowym kontaktom w kraju. A poza tym Triwedi płaci Milindowi za jego usługi solidnymi angielskimi funtami i od czasu do czasu kupuje mu jakiś prezent: zegarek czy też średniej klasy pióro.

– Napij się kawy – mówi dzisiaj. – Tu dają dobrą.

Ale Milind pije coca-colę, a potem jeszcze jedną. Ostrzeżono go, żeby nie rozmawiać o wykonywanej pracy, więc mówi o lokalnej polityce. Triwedi nie śledzi przebiegu angielskich wyborów, więc tylko z grubsza wie, o czym chłopak mówi, ale kiwa głową i od czasu do czasu rzuca jakieś słowo, pozwalając Milindowi wygadać się ze swojego podniecenia. Pije kolejne cappuccino, rozkoszując się ironią tego, co – po raz kolejny – dokonał dla Garu-dzi. Torba zawiera pieniądze, dziesięć lakhów w pięćsetrupiowych banknotach. Smaczku temu triumfowi dodaje pochodzenie szeleszczących, świeżutkich pieniędzy. Między Triwedim a źródłem pieniędzy są trzej pośrednicy. Pierwszym jest Milind, potem jest inny roznosiciel, chłopak o imieniu Amir, a na końcu tajna i wyjątkowo ekstremistyczna grupa muzułmańska o nazwie Hizbuddin. Założenie Hizbuddinu było pomysłem Garu-dzi. Ale nazwa pochodziła od Triwediego. Dostyc dobrze mówi językiem urdu i z łatwością wpadł na tę nazwę, Hizbuddin, Armia Dnia Ostatecznego. Nazwa od razu spodobała się Garu-dzi, który pochwalił Triwediego za tak szybkie i precyzyjne rozumowanie. Tak, tego typu organizacja może nosić taką nazwę. Fałszywa, działająca pod obcą flagą, ekstremistyczna grupa islamistów to nieodzowny element w planach Garu-dzi. Ale przyjmowanie pieniędzy przez Hizbuddin to już wyłącznie pomysł Triwediego. W końcu zbieranie pieniędzy jest

jednym z głównych celów takich ugrupowań. Hizbuddin zaczął zbierać fundusze na swoją działalność, i kiedy okazało się, że Pakistańczycy chętnie dokonują wpłat, sytuacja stała się wręcz ironiczna, a ta ironia była jedną z najwspanialszych nagród za całą wieloletnią pracę Triwediego. W londyńskiej ambasadzie Pakistanu jest pewien człowiek, niejaki Śahid Khan, który na liście pracowników figuruje jako pierwszy sekretarz ambasady, ale ponad wszelką wątpliwość jest oficerem wywiadu. Osiem miesięcy temu Śahid Khan nawiązał kontakt z Hizbuddinem, zatroszczył się o nich, zaproponował im szkolenie, wsparcie, pieniądze. Na początku tego tygodnia Pakistańczycy przekazali fundusze na Hizbuddin, te pieniądze trafiły do Amira, a on zostawił je Milindowi, który je odebrał, i teraz są u Triwediego. A Triwedi użyje ich, żeby dofinansować działalność Garu-dzi. Część pieniędzy przekaże do Kalki Seny, potrzebującej dużo pieniędzy na uzbrojenie, na rekrutację, na zgromadzenie zasobów. Muszą być gotowi na ostateczny dzień. Triwedi uważa Kalki Sena za operacyjne ramię Akhand Bharat, i podoba mu się, że ta organizacja jest niewielka, operatywna i dobrze uzbrojona. Czasami, chociaż lat ma już niemało, wyobraża sobie, że jest współczesnym Śiwadżim albo Raną Pratapem. Triwedi wypija kolejny łyżeczek cappuccino. Naprawdę jest doskonałe.

– Kiedy spotkamy się następnym razem, Triwedi-dzi? – pyta Milind.

Zazwyczaj Milind zadaje takie pytanie, kiedy już ochłonie z napięcia towarzyszącego bieżącej pracy. Triwedi zawsze odpowiada w ten sam sposób:

– Jeszcze nie wiem. Będziemy w kontakcie.

Ten chłopak był przydatny, ale trochę irytujący. Gdyby Triwedi mógł wybierać, wolałby pracować z kimś spokojniejszym, może nieco mądrzejszym. Trzeba było jednak współpracować z takimi ludźmi, jacy byli dostępni. Odsyła Milinda, płaci kelnerowi i zarzuca na ramię sportową

torbę. Czuje jej przyjemny ciężar. Pakistańczycy dobrze płacą swoim. Co miesiąc ich człowiek spotyka się z przedstawicielem Hizbuddinu i przekazuje pieniądze. I co miesiąc Triwedi zbiera ten ich wkład finansowy, a potem przesyła go ludziom Garu–dzi. Co miesiąc doświadcza tych chwil wspaniałej satysfakcji. Niech te sukinsyny same zapłacą za własną porażkę, która z pewnością będzie ostateczna i rozstrzygająca.

Triwedi idzie obok muzeum. Był w nim raz i nigdy już tam nie wrócił. Zdumiały go i zbulwersowały te korytarze wypełnione wspaniałymi łupami zrabowanymi na całym świecie przez Imperium Brytyjskie i umieszczonymi w tym gmachu, żeby idioci mogli się na to gapić. Czuł obrzydzenie na myśl o brytyjskiej fladze powiewającej nad Delhi. Nigdy więcej, powiedział wtedy sobie, i teraz ponownie się zarzeka. Triwedi nauczył się zasad tej Ważnej Gry. Teraz już wie, do czego służą skrzynki kontaktowe, na czym polega działanie pod obcą flagą; stłumiwszy niechęć, współpracował z ludźmi złymi, ludźmi ohydnyimi. Zasiadał do posiłków z pijakami, ścisnął dłonie przestępców. Przybrał imię Śarma i godzinami wysłuchiwał Ganeśa Gaitondego oraz tych prymitywnych ludzi z jego firmy, udawał, że bawią go ich nieprzyzwoite dowcipy. Tak, Triwedi poniżył się i zbrukał. Ale zrobił to wszystko dla Garu–dzi, a także dla przyszłości. Robi to, co należy. W tej chwili jest jednak zmęczony, bolą go stopy i doskwiera mu wiek. Zanim dotrze do domu, zdążą go jeszcze rozboleć ramiona. Będzie się trochę bał, przemierzając o zmierzchu ten ostatni odcinek drogi ze stacji, kiedy niebo będzie odmieniać się w ten tak bardzo obcy mu kolor szarego błękitu, a dźwigana na grzbiecie odpowiedzialność przytłoczy go swoim ciężarem, ale będzie szeptał do Garu–dzi i będzie szedł dalej. Wie, że postępuje słusznie. Wraca myślami do terażniejszości, stara się utrzymać ten dziarski krok, który zaczął ćwiczyć prawie trzydzieści lat temu, kiedy po raz pierwszy spotkał Garu–

dzi. Mijając angielską rodzinę, uśmiecha się do małego chłopczyka, który idzie między rodzicami i trzyma ich za ręce. Miło jest popatrzeć na tę nieskalaną niewinność dziecka, ten widok zawsze był dla niego skarbnicą nadziei. Triwedi myśli o pieniądzach, o tym, co go czeka, i jest szczęśliwy.

## II

Ram Pari szoruje garnek. Siedzi w kucki na dziedzińcu domu Bibi-dzi, przed pompą ręczną, trąc popiołem poczerniałą powierzchnię. Lubi to uczucie, kiedy jej dłoń przesuwa się po wykrzywionej ścianie garnka, ale odczuwa już w ramionach ból, który nie odstąpi jej aż do samego końca dnia, dopóki Ram Pari nie zaśnie. Robi się już za stara na tę pracę, ale czy ma wybór, czy jest jakaś inna praca? Nos ją swędzi, pociera go więc, choć z mizernym skutkiem, wewnętrzną stroną przedramienia. Obserwuje Nawnit, córkę Bibi-dzi, która leży na brzuchu w baithaku i pisze list. Jest jak zawsze rozmarzona i już od godziny ślęczy nad tą samą kartką papieru. Ram Pari wie, że ona pisze list do narzeczonego. Zdaniem Ram Pari dziewczyna zachowuje się bezwstydnie, a jej rodzice są niemądrzy. Taka rozwiązłość może jedynie doprowadzić do nieszczęścia. Ram Pari mogłaby na poparcie swojego zdania przytoczyć wiele skandali, zarówno wśród ludzi bogatych, jak i biednych. Ale nie ma sensu nic mówić Bibi-dzi, ona jest kobietą upartą i dumną, nieznoszącą krytyki osób, które uważa za niższe od siebie. A poza tym nie ma powodu, żeby Ram Pari tym się przejmowała, to nie jej sprawa, co robią ci ludzie. Nagle zdaje sobie sprawę, że przestała trzeć garnek, i lada moment Bibi-dzi zauważy tę

pauzę, wyjdzie z domu i zacznie jej docinać, więc sadowi się wygodnie i powraca do szorowania.

Nawnit siada, ziewa, a potem wstaje i przechodzi przez dziedziniec. Wchodzi do pokoju, który zajmuje z dwiema siostrami, a potem wychodzi, ubrana w swoje wyjściowe ćappale. Pewnie znowu idzie do tego college'u. Ram Pari nie ma pojęcia, jaki pożytek może być z tak wielkiego wykształcenia dziewczyny, szanuje jednak umiejętność czytania i pisania. Ona sama nie potrafi ani jednego, ani drugiego, i zdaje sobie sprawę, że jest już za stara, żeby się nauczyć. Ale wie, że ludzie, którzy potrafią czytać i pisać, są uprzywilejowani. Na dowód tego mogłaby opowiedzieć o własnych, gorzkich doświadczeniach. Ale nie chce myśleć o takich nieszczęściach ani o niepowodzeniach swojego męża, szepce więc: – *Rab mehar kare* – i pompuje wodę, a uszy wypełnia jej chlupot wody.

Obok niej stoi Nawnit.

– Ram Pari – mówi w zamyśleniu. – Twoja najstarsza córka jest bardzo piękna. Kiedy dorośnie, będziesz musiała znaleźć jej przystojnego chłopaka.

Ram Pari czuje podchodzące jej do gardła rozdrażnienie. Ta próżna krowa z tą swoją białą skórą myśli, że wszyscy mają czas, żeby przez cały dzień przeglądać się w lustrze i myśleć o przystojnych lafangach.

– Ona już ma męża – rzuciła szorstko.

– Co, taka mała?

– Nie jest taka mała. Wkrótce przeniesie się do swojego sasurala.

– Ile miała lat, kiedy wyszła za mąż?

Ram Pari przesuwając ułożoną poziomo dłonią w powietrzu, nieco poniżej poziomu pompy.

– W naszych stronach tak już jest.

Nawnit przykłada dłoń do ust i siada na stojącym przy filarze taborecie, z którego jej ojciec co rano korzysta, zakładając buty.

– I od tego czasu nigdy nie widziała swojego męża?

– Nie. A po co miałyby go oglądać? – Mówiąc te słowa, Ram Pari trochę się boi, że zachowuje się zbyt szorstko. Ale ponieważ nie wie, jak teraz okazać stosowną pokorę i szacunek, podnosi karhai i podkłada ją pod pompę. Nabiera pełną garść popiołu i przy grzechocie szorowanej karhai zaczyna rozumieć, o co chodzi Nawnit. Odwróciwszy się ze słodkim uśmiechem, mówi: – Ale ty z nim cały czas rozmawiasz, prawda?

– Nie, nie. Ja z nim nie rozmawiam. Tylko raz na jakiś czas piszę list. – Różowe policzki dziewczyny nabierają ciemniejszej barwy i widać, że ona też potrafi się zawstydzić.

Teraz już Ram Pari jest pewna swego. Śmieje się i mówi:

– Może i tak, ale on pisze cały czas, codziennie.

Nawnit wzrusza nieśmiało ramionami, a Ram Pari czuje – choć wcale tak nie myśli – że łączy ją z nią jakąś więź. Tak, jakże miło jest być bardzo młodą, pełną oczekiwań i pragnień, i odczuwać tę odrobinę rozkosznego strachu, tak unosić się na krawędzi nowego życia. Postanawia okazać pobłażliwość.

– Czy on jest bardzo przystojny?

– Chcesz zobaczyć zdjęcie? – Nawnit już podrywa się na nogi, i zanim jeszcze Ram Pari zdążyła wydobyć z siebie „tak”, jest w połowie dziedzińca, i nawet Ram Pari była w stanie rozpoznać – bez śladu zawiści – podświadomą grację w tym jej młodzieńczym biegu. Niech ta dziewczyna cieszy się szczęściem. To jej czas, aby być szczęśliwą.

Nawnit powraca i kuca przy Ram Pari. Otwiera notes wypełniony niemożliwymi do rozszyfrowania znaczkami, przerzuca stronę, i oto jest jej mężczyzna. Ma spiczasty turban na głowie i patrzy na Ram Pari z

niefrasobliwą arogancją, a na jego wargach igra uśmieszek. Rzeczywiście jest bardzo przystojny. Fotografia jest podbarwiona i czerwień jego policzków wyraźnie kontrastuje z oślepiającym blaskiem zębów.

– Wah – mówi Ram Pari – wygląda jak jakiś aktor filmowy.

– Tak, ciągle mu powtarzam, że gdyby pojechał do Bombaju, bez trudu zostałby aktorem. Ale on, oczywiście, nie ma zamiaru zgolić brody, a ja też nie chcę, żeby to zrobił. W college’u grał na scenie i wielu jego znajomych mówi, że wygląda jak Karan Dewan, ale ja uważam, że bardziej przypomina Aśoka Kumara.

Ram Pari kiwa głową.

Ale dla Nawnit to za mało.

– Nie zgadasz się?

– Nie znam Aśoka Kumara.

– Co takiego? Nie widziałaś filmu *Kismet*?

Ram Pari wybucha rehotliwym śmiechem. Cała jej uraza znika bez śladu.

– Nie, nie widziałam tego filmu. – Teraz czuje już tylko sympatię do tego dziecka, któremu wydaje się, że wszyscy mają pieniądze i czas, żeby chodzić na jakiś *Kismet*, które widzi swoją przyszłość rozwijającą się przed nią na ekranie, mieniącym się romanssem i nadzieją. Gdzieś wewnątrz, głęboko w trzewiach, Ram Pari przeczuwa oczekujący Nawnit zawód miłosny, który nadejdzie jedynie dlatego, że ta dziewczyna pokłada w tym wszystkim tak wielkie nadzieje. Ram Pari nie wie, na czym polegać będzie ta katastrofa, ale wie, że nadejdzie. Jak najuprzejmiej mówi: – Być może kiedyś zobaczę *Kismet*.

Nawnit uzmysławia sobie, że chyba powiedziała coś głupiego, i widać po niej lekkie zmieszanie. Zaczyna się jąkać i ponownie oblewa się rumieńcem. Ram Pari chciałaby wyciągnąć rękę i pogłaskać tę dziewczynę,

ale nie robi tego. Wie, że w każdej chwili z domu może wyjść Bibi–dii, która zacznie krzyczeć, że Ram Pari marnuje czas. Ale może zlekceważyć te wieczne wrzaski Bibi–dzi, i teraz, w tym tylko momencie, kocha tę Nawnit.

– Opowiedz mi o *Kismet* – mówi i rozsiada się wygodnie, żeby jej wysłuchać.

### III

Rehmat Sani obserwuje nocne niebo wyłaniające się z więdnącego kwiatu racy. Rozmarzył się, siedząc wygodnie w dziurze w ziemi, którą zdążył już doskonale poznać przez prawie trzy miesiące, od kiedy pokonuje tę trasę. Leży pięćdziesiąt metrów od płotu, po stronie pakistańskiej, i nigdzie mu się nie spieszy. Do pierwszego brzasku zostało jeszcze pięć godzin, a on uzbroił się w cierpliwość. Po raz pierwszy przekroczył granicę jako chłopiec, wówczas można było po prostu przejść z jednej strony na drugą, uważając na patrole i pola minowe. W tamtych czasach łapówki dla Rangersów i ludzi z BSF były niższe, miny rzadziej rozmieszczone, i nie stało jeszcze ogrodzenie. Ale i tak nie ma to znaczenia. Rehmat Sani zna każdą piędź ziemi na odcinku stu mil w kierunku południowym i północnym, a granica ma wiele tysięcy mil długości. Nawet jeśli cała będzie ogrodzona, on i tak przejdzie na drugą stronę. Po obu stronach prowadzi interesy i oczywiście po obu ma rodzinę.

Tym razem dobrze mu poszło. Zamiast zwykle noszonych ćwiartek rumu, przeniósł na stronę pakistańską dwie wielkie butelki zagranicznej



whisky dla swojego kuzyna. Musztak zna pewnego kapitana, któremu ta whisky jest potrzebna, a taki kapitan może bardzo się przydać, więc Rehmat Sani załatwił whisky od Aijera i zaniósł ją na drugą stronę. Aijer jest niski, ma ciemne włosy, nosi bardzo grube okulary i wcale nie wygląda na kogoś pracującego w wywiadzie, ale jest nie w ciemny bity. Wie, kiedy trzeba być elastycznym. Rehmat Sani zarobił więc na tym kapitanie i na pieniądzech przeniesionych dla kuzyna hawaidara, a także na butelce rumu, którą przeniósł dla własnych korzyści. Nie ma żadnych nowych informacji dla Aijera, ale Aijer poczeka do czasu, aż będzie można rozpracować kapitana. Aijer jest młody, ale szybko się uczy. Rehmat Sani wiąże z nim wielkie nadzieje.

Rehmat Sani przeciąga się, rozluźniając mięśnie. Może już jest na to za stary. Czuje wilgoć ciągnącą z głębokiej, wodnistej nali, którą ma zamiar przedostać się przez ogrodzenie. Kiedy przeczołga się przez kręty wąwóz, będzie przemoczony i przemarznięty. Pokonując ten ostatni fragment drogi, zawsze żałuje, że nie ma synów, którzy mogliby już zarabiać. Ale jego pierwsza żona dała mu tylko cztery córki, a młodsza żona zaszła w ciążę dopiero po trzech latach, po tym, jak wybrał się do Ajdźmer Sarif, zawiązał supeł, płakał i zanosił błagania do Khwadża sahiba. Dopiero wtedy urodził się Khalid. Teraz chodzi do szkoły, jest w piątej klasie, a Rehmat Sani zamierza zapewnić mu pełną edukację. Rehmat Sani zdaje sobie sprawę z wymagań, które stawiają współczesne czasy, wie, że człowiek bez wykształcenia – jak on – daleko nie zajdzie i nie będzie żył na odpowiednim poziomie. Ale ciężko jest zaspakajać potrzeby dwóch wydanych już córek i dwóch, które wciąż jeszcze są w domu. Kiedy Rehmat Sani był w wieku Khalida, zawędrował z ojcem aż do Lahore. Niewiele mu zostało w pamięci z czasów przed tą pierwszą podróżą, ale pamięta dachy Lahore, jarzące się w porannym słońcu.

Rehmat Sani otrząsa się z nostalgii i przygotowuje się do zejścia do nali. Znowu panują zupełne ciemności, a z jego oczu ustąpiły już oślepiające pozostałości po błysku racy. Nawet nie musi podnosić głowy, żeby sprawdzić, czy są jakieś zagrożenia. Mówi mu o tym krzycząca cisza nocy, nieustanne brzęczenie owadów, odprężenie własnego ciała. Na piersiach wyczuwa plastikową paczkę, którą wsunął za banian. Pakistański kapitan zapłacił za whisky nowiutkimi, szeleszczącymi indyjskimi banknotami, co bardzo odpowiada Rehmatowi Sani. Po powrocie do domu wyjmie te pieniądze z plastiku i wręczy swojej starszej żonie, żeby złożyła je w banku i uaktualniła stan jego książeczki oszczędnościowej. Nie potrafi odczytać, co w tej książeczce jest zapisane, ale lubi przyglądać się zapisom, kiedy żona powraca z trwającej pół dnia wyprawy do banku. Te gryzmoły dają mu poczucie bezpieczeństwa. Zastanawia się teraz, skąd ci Pakistańczycy mają tak dużo nowych indyjskich pieniędzy. To dziwne, że świeżo wydrukowane banknoty jedną drogą trafiają za granicę, a potem inną drogą powracają wraz z nim do kraju. Ale tak wyglądało całe jego życie, ciągłe wędrowanie tam i z powrotem, przez tę przeogromną linię w ziemi, pod ogrodzeniem i wokół niego. Nie zastanawia się specjalnie, dlaczego ona tak wije się przez pola, ale skoro istnieje, on dzięki niej zarabia na życie. Ziewa i przewraca się na drugi bok. Czas się zbierać. Dwie godziny zajmie mu pokonanie ogrodzenia, a upłyną jeszcze dwie, zanim znajdzie się bezpiecznie po drugiej stronie. Dopiero wtedy wstanie, otrzepie się z błota i pójdzie do domu.

Doktor Anaita Kharas siedzi w kucki i wsypuje wermikulit do doniczki. Już nałożyła ziemię, piasek i torfowiec, w dokładnie odmierzonych proporcjach, a teraz przesiewa całą mieszankę przez palce, ciesząc się jej szorstkością. Mogłaby użyć do tego celu rydla – synowie mówią, że jej ręce wyglądają jak ręce robotnika, a nie lekarza – ale każdego ranka przed wyjściem do pracy ten ciężar ziemi na dłoniach jakoś ją uspokaja. Przychodzi tu co rano, na taras swojego domu w Wasant Wiharze, i zajmuje się ogrodem. Hoduje fikusa i kufliki, bugenwillę i zioła, żółte ćampy i dżuhi. Grudniowy chłód szczypie ją w opuszki palców, ale nawet w tym znajduje przyjemność. Zauważyła, że potrzebuje tych chwil samotności, a wkładanie do doniczki nasion suwy dostarcza jej sił na cały dzień spędzany z pacjentami i chorobami. Kończąc sadzenie, rozmyśla o K. D. Jadawie, który zmarł trzy dni temu. Był dobrym pacjentem, nawet jeszcze zanim jego guzy doprowadziły do tego, że zupełnie ucichł i przestał się ruszać. Z godnością znosił utratę swoich umiejętności i zdolności pojmowania. Tylko raz zastała go płaczącego przy oknie, a i tak potem z uśmiechem przyjął jej lekarskie napomnienia. Był od niej dużo starszy i bardzo staromodny, za każdym razem mówił „namaste” i wstawał, kiedy ona wchodziła do sali, albo przynajmniej starał się to zrobić, i zawsze uważnie słuchał jej słów. Raz czy dwa zauważyła, że opowiada mu rzeczy, które nie mają nic wspólnego z medycyną, a bardzo wiele z jej własnym życiem. W tak specyficzny sposób zadawał pytania, albo też niepostrzeżenie prowadził przesłuchanie, że człowiek przekazywał mu informacje, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A po kilku dniach potrafił powiedzieć: „Tak, prawdopodobnie byłem w Kalkucie, kiedy pani ojca tam oddelegowano” – i dopiero wtedy przypominała sobie, że mówiła mu o tym, jak to w wieku

jedenastu lat przez rok mieszkała w Kalkucie. K. D. Jadaw był bardzo sprytnym człowiekiem, jak na kogoś, kto tyle szarych dziesięcioleci przepracował w Ministerstwie Rozwoju Zasobów Ludzkich.

Anaita podnosi się i próbuje rozruszać kolana. Obchodzi dach dookoła, bacznie przyglądając się roślinom. Dwa miesiące temu walczyła z plagą mączniaka, tracąc dwa drzewka Płomień Afryki, i postanowiła na przyszłość być bardziej czujna. Choroba szybko się rozwija i wszystko ze sobą zabiera. Ale dziś jej rośliny wyglądają bardzo dobrze. Rozpościerają się na tarasie szerokim łukiem pożogi kolorów, a winorośle pną się aż na szczyt tanki na wodę, całe piętro wyżej. To duży dom, w dzisiejszych czasach ona i Adi nie byliby w stanie takiego kupić ani zbudować. W latach sześćdziesiątych, kiedy Wasant Wihar wciąż jeszcze było pustkowiem za Ridge, rodzice Adiego kupili dwie działki. Dwadzieścia lat później jedną z nich sprzedali, a na drugiej postawili dom, dzięki czemu obecnie Adi i Anaita mieszkają z synami w tej kolonii dostatku. Mają dużo szczęścia, ale i tak w tej okolicy ceny są obłądne. Synowie nie zdają sobie sprawy, ile trzeba zapłacić, żeby na stole pojawiło się ich ulubione jedzenie, mięso, porządny chleb i owoce. Są w wieku, kiedy chłopcom zależy tylko na tym, żeby nie różnić się od kolegów, a ci koledzy – którzy w większości chodzą z nimi do tej samej klasy w Modern School – to synowie przemysłowców i biznesmenów. Anaita przypomina sobie dawne czasy, kiedy miała dziesięć rupii tygodniówki, i ponownie z troską myśli o synach. W dzisiejszych czasach ludzie mają za dużo pieniędzy i szastają nimi, jakby nic nie znaczyły. Ich dzieci noszą okulary przeciwsłoneczne za tysiące rupii, przyjęcia urodzinowe kosztują całe lakhi. Na podjazdach domów ich sąsiadów z dzielnicy E stoją po trzy lub cztery samochody, a czasami jeszcze jeden parkuje gdzieś dalej. Dlatego też nierzadko chłopcy mają żal do Anaity i Adiego, uważając ich za skąpych rodziców.

Anaita zakończyła inspekcję i podeszła na środek tarasu, w pobliże schodów, skąd spogląda w dół na dziedziniec. Ojciec Adiego uparł się, żeby zbudować małe patio w środku domu, a jego żona żadną miarą nie potrafiła wybić mu tego z głowy. „Chcę widzieć światło” – powiedział ten starszy człowiek, i kiedy już dom był zbudowany, postawił fotel na otaczającej jego ukochany dziedziniec galerii i co rano czytał tam gazetę, obojętnie, czy był czerwiec, czy najzimniejszy styczeń. Anaita była mu nawet za to wdzięczna. Właśnie dostrzega Adiego, który niesie tacę z kuchni. Lada moment ją zawoła, a potem pójdzie obudzić chłopców. Ona zejdzie na dół i wypije zaparzony przez niego čaj, pożartuje z chłopcami i zje jajecznicę. Adi jest dobrym człowiekiem. Zdarzały im się kłótnie, czasami bardzo ostre, po których oboje przez całe tygodnie mieli wyrzuty sumienia, ale jakoś im się udało i wytrwali. Adi czasami mówi, że stępił sobie nawzajem ostre krawędzie. Często ją rozśmiesza, uczestniczy w codziennym mozole wychowywania rodziny, i jest im razem dobrze.

Anaita musi już zejść, nie lubi wychodzić z domu za późno, kiedy na alejach zaczynają się tworzyć korki, ale wciąż nie potrafi przestać myśleć o tym K. D. Jadawie.

Dlaczego? Sama tego nie wie. Lubiła go, ale przecież lubiła też tych innych pacjentów, których straciła. Śmierć nie jest dla niej niczym nowym, spotyka ją na co dzień, dobrze wie, jak nadchodzi, zna ten jej dźwięk, a także bezwład i zapach tego, co następuje później. Zdaje sobie sprawę, że przyjdzie i po nią, i po Adiego, a nawet potrafi wyobrazić sobie – prawie niewzruszona – śmierć własnych dzieci. Dlaczego więc nie odstępuje jej K. D. Jadaw? Głaszcząc liście kwiatu tulsi, wciąga powietrze i czuje nieomal ból w nozdrzach, tak jest chłodne. Jakież to musi być straszne, zatracić możliwość rozróżniania między zimnem a ciepłem, między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz. Na koniec, kiedy K. D. Jadaw zupełnie

już znieruchomiał, nie wyglądał ani na szczęśliwego, ani na smutnego. Czy wtedy potrafił jeszcze rozróżnić, czy jest dzień, czy noc, czy żyje, czy już umarł? Anaita powiedziała tej jego młodej przyjaciółce czy też koleżance z pracy, kimkolwiek ona była, tej Andźali Mathur: „Proszę się nie martwić. On nie czuje bólu, nie cierpi”. Ale sama zastanawia się, jak to musi być, kiedy się nie cierpi, kiedy istnieje się w jakiejś ogromnej pustce, i teraz czuje przebiegające ją ciarki. Biedaczysko, myśli. Tak bardzo lubił czytać, ale w końcu litery i strona musiały zlać się w jedno, które nic nie znaczyło. Biedak, prawdziwy biedak.

– Anaita!

Adi stoi na dziedzińcu, z patelnią w ręku. Anaita chichocze na jego widok, Adi wygląda absolutnie komicznie w tym beznadziejnie sznurowatym, przyozdobionym smokiem zaciskającym szpony, chińskim szlafroku, z którym za żadne skarby nie chce się rozstać.

– Co ty robisz, jar? – pyta. – Idź się wykapać, bo spóźnię się przez ciebie.

– Już idę, baba, idę – odpowiada Anaita. Po raz ostatni rzuca okiem na ogród i schodzi w dół, powraca do swojego życia.

## V

Choć jeszcze nie zdążył się nacieszyć swoim zwycięstwem, major Śahid Khan już martwi się o porażkę. Przycinając brodę, widzi w lustrze, że ani w jego twarzy, ani w oczach nie ma śladu tego jego niepokoju. Wyćwiczył się w udawaniu obojętności. Ma taką samą czystą pendżabską skórę, jak jego ammi, ale trudno w nim doszukiwać się tej jej gładkiej ekspresywności.

Jego żona zastanawia się czasami, jak to możliwe, że dwie tak blisko spokrewnione osoby mogą tak bardzo się od siebie różnić. Śahid Khan wie jednak, że odziedziczył po ammi całą melancholię, jej nienasyconą wściekłość, jej nieoczekiwany, gorzki sarkazm. Ale nauczył się panować nad sobą. Nigdy nie zdradza swoich uczuć. Chociaż ammi jest bardzo smutna, czasami tak bardzo rozpromienia się radością i czerwienieje na twarzy, że można się wystraszyć o jej zdrowie, ale trudno ją w tym momencie ostrzec, kiedy samemu trzeba trzymać się, żeby się nie przewrócić ze śmiechu. Jej miłość do Śahida, do jego brata i ich sióstr, jest tak niepojęta, że inne matki nawet sobie z tego żartują, a jej poświęcenie dla tych dzieci obrosło już legendą. Ale Śahid Khan stłumił te wszystkie emocje, które kłębiąc się, wypływają z jego genów, i już bardzo wcześnie – na wyboistych uliczkach swojego dzieciństwa – nauczył się nosić zbroję obojętności. Ta umiejętność bardzo mu się przydała przez lata służby. I właśnie ta umiejętność, a także jego wiara, która pozwala mu stać na niewzruszonych podstawach, dają mu siłę przetrwania.

Ale dziś się martwi. Wczoraj, późną nocą, tuż przed opuszczeniem swojego biura w londyńskiej ambasadzie Pakistanu, dowiedział się o pewnej śmierci na drugim końcu świata. Niejaki Gurćaran Singh Bhola został zabity przez indyjską policję w dystrykcie Gurdaspur, w wiosce o nazwie Werok. Gurćaran Singh Bhola był dowódcą Tygrysów Khalistanu, których oddziały w ostatnim roku nieustannie były dziesiątkowane przez indyjskie siły zbrojne. A teraz Gurćaran Singh Bhola nie żyje. Śahid Khan spotkał się z nim raz, w czasach kiedy był porucznikiem i spędzał swoją młodość na polach i w wioskach Pendżabu. Gurćaran Singh Bhola był człowiekiem wysokim, robiącym wrażenie swoją muskularną budową zapaśnika i żarliwym oddaniem dla Khalistanu. Ale Śahid Khan spotkał się z nim tylko raz, tej nocy, kiedy Bhola przeszedł przez jego oddział, i

ogarniające Śahida Khana dzisiejszego poranka przygnębienie nie wynika z żalu za tym sardarem. Chociaż jest bardzo daleko od Pendżabu, świetnie zdaje sobie sprawę, że Indusi dławią ruch w Khalistanie. Są brutalni i bezwzględni. Przy wsparciu centralnego i stanowego rządu ich armia i siły paramilitarne tropią rewolucjonistów, jednego po drugim. Śahid Khan doskonale wie, ile to kosztuje – zarówno w wymiarze finansowym, jak i w zaangażowaniu środków i poświęceniu ludzkiego życia – aby stworzyć, a potem wspierać taki ruch. Ale teraz jest zlikwidowany, skończony. To ta porażka burzy się w żyłach Śahida Khana. Wyszkolono go tak, aby potrafił pogodzić się ze stratami. Wierzy w ostateczne zwycięstwo, tak samo jak wierzy w istnienie tego lustra przed nim, jak w coś, co po prostu istnieje, ale zawsze do szału doprowadza go upokorzenie towarzyszące porażce. Zdaje sobie sprawę, że taki gniew to oznaka słabości. Zaburza zdolność oceny sytuacji. Miał nadzieję, że z wiekiem nauczy się opanowania, ale wściekłość go nie odstępuje. Próbuje myśleć o swoich sukcesach, zwłaszcza podczas tej ostatniej operacji na zgliszczach ZSRR, którą on wskrzesił i uratował, po tym, jak Indusi prawie ją doszczętnie rozbili. Przez całe dziesięciolecia, przez te lata kumoterskiego sojuszu między Indiami a ZSRR, większość indyjskich banknotów o najwyższym nominale drukowano na Ukrainie. Po upadku imperium radzieckiego agencja Śahida Khana wysłała na Ukrainę tajnych agentów w celu odszukania drukarni, z której pochodziły te pieniądze. Tajnym agentom udało się zawrzeć transakcję – za pokaźną sumę pieniędzy Ukraińcy zgodzili się przekazać im oryginalne matryce do indyjskich banknotów. Byłby to prawdziwy sukces, gdyby można było drukować fałszywe indyjskie pieniądze z oryginalnych matryc. Indusi coś jednak zwietrzyli – na Ukrainie wszystko było przeżarte korupcją – wystąpili o zwrot tych matryc i je odzyskali. Zapowiadało się już na kompletne fiasko całej akcji, ale Śahidowi Khanowi udało się



odnieść pewne zwycięstwo i zachować nieco godności. Przybył na miejsce już po fakcie i od razu zaczął działać. Co prawda matryce już zniknęły, ale był tam jeszcze papier, zalegał w ogromnych magazynach, których nie strzeżono zbyt dobrze. Śahid Khan szybko przystąpił do działania, wszedł w układy, zajął się logistyką, miejscowe zbiry porwały pomniejszego pracownika ambasady indyjskiej i przez dwa dni przytrzymały go w ukryciu. Odwróciwszy w ten sposób uwagę Indusów, Śahid Khan skradł ten papier na banknoty. I teraz pieniądze, wydrukowane na oryginalnym, w pełni autentycznym papierze – zdobytym z narażeniem życia przez Śahida Khana – krążą po całych Indiach, a Śahid Khan wie, że on sam jest na najlepszej drodze do awansu na podpułkownika. Tak, to mu się udało, ale ten osobisty sukces nie może uratować go przed narodową porażką.

Otrząsa się z zadumy, odkłada nożyczki i puszcza wodę. Kąpie się bardzo szybko i kiedy wyciera się ręcznikiem, chcąc nie chcąc znowu myśli o tym, że ten wielki, mechaty kawałek materiału jest absurdalnym luksusem. Od pewnego czasu pozwala sobie na to, nie żałując też tych wygod swojej rodzinie, ale został ukształtowany przez twardszą szkołę. Modli się, je, a potem zabiera się za porządkowanie papierów i za regulowanie rachunków. Jest niedziela i wszystkie mieszkające w domu kobiety – jego matka, żona, córka – wybrały się w odwiedziny do krewnych w East Ham. Jest sam, i kiedy w końcu przynajmniej chwilowo wypełnia wszystkie obowiązki, uznaje, że może zrobić sobie godzinę przerwy. Idzie do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Frontowe drzwi są zamknięte na klucz i Śahid Khan wie, że nikt nie będzie mu przeszkadzał, ale czuje się w obowiązku upewnić, że nic nie zagraża jego prywatności. Jak na razie tylko żona wie, że on robi to, co właśnie ma zrobić.

Siada w swoim ulubionym fotelu, naprzeciwko okna. Dobre światło to kwestia podstawowa. Na kolanach kładzie poduszkę, a po prawej kłębki

przędzy. I zaczyna robić na drutach. Robi kolejny szal. Żona przekazuje je później w darze, zazwyczaj do madrassa lub do sierocińca w ojczyźnie. Druty stukają o siebie, stuk puk, a barki Śahida Khana rozluźniają się i opadają. Robi to od dwóch lat, od kiedy doktor w Karaczi powiedział mu, żeby nauczył się relaksować, bo w przeciwnym razie wrzody go zabiją. „Musi się pan nauczyć odpoczywać – powiedział mu lekarz. – Proszę znaleźć sobie jakieś hobby”. Najpierw Śahid Khan zaczął grać w squasha. Zawsze chciał się tego nauczyć i wydawało się, że to dobry trening. Ale szybko zauważył, że pragnie zwyciężać. Wykupił dodatkowe treningi i zaczął czytać książki o technice gry. Kiedy zorientował się, że śni o rewanżach, dał sobie z tym spokój. W tym okresie wysłano go na Ukrainę, gdzie zainteresował się szachami. Obawiając się rywalizacji z inną osobą, zakupił kieszonkowy automat do gry w szachy. Inteligencja tego urządzenia była zachwycająca, tak zgrabnie rozkładało się i z trzaskiem formowało pełną szachownicę, miało wbudowany pojemnik na figury i czerwone światełka, informujące, którą figurę i gdzie maszyna chce przesunąć. Kiedy uczył się korzystać z tego urządzenia, jego wnętrzności uspokajały się. Ale później zapragnął grać na wyższych poziomach i bóle ponownie się nasiliły. Ta wojenna metafora była zbyt oczywista, ten hetman i jego pionki oraz czarno-białe pole bitwy powodowały, że zanadto powracał myślami do świata rzeczywistego. Oddał urządzenie znajomemu i przez pewien czas cierpiał w milczeniu. Potem spróbował jazdy konnej, ale ta forma relaksu skończyła się, kiedy trafił na krnąbrnego konia.

Zadzwoił z Moskwy do lekarza w Karaczi i niewiele brakowało, żeby rzucił słuchawką, kiedy usłyszał, co ten człowiek mu proponuje. Dwa miesiące trwało, zanim kupił przędzę, i kolejne trzy tygodnie, zanim się za to zabrał. Ale już za pierwszym razem, siedząc w hotelowym pokoju w Tallinie, zauważył, że jego dłonie jakoś naturalnie odnajdują ten rytm.

Dostrzegł istnienie naprężonej opozycji między oczkiem prawym a lewym, i nie musiał myśleć. Nie musiał robić tego ani szybciej, ani lepiej, ani nawet fachowo. Po prostu coś robił, coś czerwonego i wielkiego o dziwnym kształcie, dopiero później zdecydował, że ma to być szal.

Şahid Khan siedzi twarzą do południowego słońca. Oczy ma szeroko otwarte, a w jego brzuchu pozostało tylko drobne palenie, którym jednak on się nie przejmuje. Za chwilę nawet to ustąpi zupełnie. Oddycha powoli. Biała przędza naciąga się na jego skórze, i po chwili robi się luźniejsza. Druty stukają o siebie. Tworzy się osnowa i wątek, które przesuwiają się miarowo. Jego umysł i serce wypełniają się olśniewającym blaskiem łaski Allacha. Materia się powiększa, a jego ogarnia spokój.

## Ganeś Gaitonde tworzy się na nowo



Tej zimy zmieniłem twarz. Już od pewnego czasu martwiło mnie, że wiele moich zdjęć zostało opublikowanych w gazetach i czasopiśmie w Indiach. W programach telewizyjnych regularnie puszczano urywki, na których wychodziłem z budynków sądów w Bombaju. Byłem zbyt łatwo rozpoznawalny, zanadto znany. Pewnego razu na plaży w Ko Sumai jakaś grupka młodych indyjskich turystów odwróciła się i zaczęła mi się przyglądać, szepcząc coś nerwowo między sobą. Wyjechałem z Indii nie tylko dlatego, że chciałem uniknąć więzienia, ale również żeby wymknąć się swoim licznym wrogom. Musiałem zmienić wygląd. Widziałem przemianę Zoi, wiedziałem więc, jak można tego dokonać, ile to kosztowało, i bólu, i pieniędzy, i jakie były możliwości. Musiałem zostać nowym człowiekiem.

Wiedziałem, że ta przemiana jest mi potrzebna, i to nie tylko ze względów bezpieczeństwa. Czułem, jak pod skórą wzbiera we mnie jakieś niezadowolenie, rozgoryczenie. Każdego ranka patrzyłem w lustro i widziałem twarz, która nie była twarzą człowieka, jakim, moim zdaniem, byłem. Znałem się jako mężczyznę o szczupłej, rzeźbionej sylwetce, jakby lęki i sukcesy mojego życia wyciosały mój nowy kształt. Ale z biegiem lat moje policzki zapadły się, nos zrobił się grubszy. Podbródek zniknął w wybrzuszeniu ciała, kąciaki oczu opadły. Nie mogłem już znieść tych swoich rozmytych rysów. Pragnąłem zmienić zewnątrz, aby pasowało do mojego wnętrza.

Wybrałem się, oczywiście, do lekarza Zoi, do doktora Langstona Lee. Dałem mu dwa miesiące, mnóstwo pieniędzy i doświadczyłem tak wiele bólu, jak jeszcze nigdy w życiu. A on w zamian dał mi długi, elegancki nos, z ostrym grzbietem, nowe kości policzkowe, węższy podbródek, stanowiący przeciwwagę dla nosa, i zupełnie zlikwidował obwisłą skórę. Zajął się też delikatnie moimi brwiami, a w obu na nowo napiętych policzkach umieścił po dołeczku. Stałem się innym człowiekiem. Kiedy po tych wszystkich zabiegach, po zdjęciu bandaży po raz pierwszy spojrzałem w lustro, chciałem uściskać doktora Langstona Lee, tego małego, chińskiego skubarka. Nawet przez pozostałe jeszcze obrzęki i szwy dostrzegłem, że on doskonale wiedział, kim chciałem zostać. Talent Langstona Lee nie zamykał się w czubkach jego palców, ale tkwił także w jego oczach i w wyobraźni. Doktor Lee potrafił uczestniczyć w twoim śnie, a potem ciąć skórę i tłuszcz, aby ten sen się ziścił. Zupełnie nie przypominałem dawnego Ganeśa Gaitondego. Byłem takim Ganeśem Gaitondem, jakim chciałem zostać. Byłem sobą.

– Zoja nie będzie wiedziała, kim jesteś, bhai – powiedziała Suhasini, kiedy tego popołudnia odwiedzili mnie wraz z Arwindem. – Sama z trudnością cię rozpoznaję. Ten Langston Lee to prawdziwy czarodziej.

Chociaż mnie to bolało, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Spodobało mi się to, że Zoja nie będzie wiedziała, kim jestem, że będzie zaskoczona pojawieniem się nowego mężczyzny. Chciałem, żeby była zdezorientowana, roztrzęsiona, żeby straciła pewność siebie. Kręciła dwa filmy w Ameryce, w Detroit i w Houston, i nic nie mówiłem jej o planach zmiany wyglądu. Moje operacje trzymano w tajemnicy, zarówno przed nią, jak i przed wszystkimi, którzy nie musieli o tym wiedzieć.

– Zaskoczmy Zoję – powiedziałem.

– Podskoczy jak krowa, której wsadzono patyk do gandu – stwierdził Arwind. – Gdyby nie głos, też bym cię nie poznał, bhai. – Przyglądał mi się, stojąc nachylony w nogach łóżka. – W zasadzie nic aż tak się nie zmieniło, ale te wszystkie zmiany razem wzięte odmieniły cię całkowicie.

Moje rany szybko się goiły. Kiedy tylko doktor Langston Lee wyraził zgodę, poleciałem do Ameryki. Zoja nie mogła zrobić sobie zbyt długiej przerwy w zdjęciach, a mnie naprawdę bardzo zależało, żeby się z nią zobaczyć. A raczej zależało mi, żeby ona mnie zobaczyła. Pojechałem więc do niej. Nasze działania w USA były bardzo ograniczone, nie było więc żadnych chłopaków, którzy mogliby dla mnie zająć się logistyką, nie miałem też ochroniarzy. Podróżowałem samotnie, z nienagannym indonezyjskim paszportem, przekonany, że nic mi nie grozi. Chronił mnie ten mój nowy wygląd. Miałem też nowe ubrania, walizkę pełną lekkich, lnianych garniturów i bawełnianych koszul w pastelowych kolorach. Arwind denerwował się tym, że jadę sam, ale powiedziałem mu, że w pojedynkę jestem bezpieczniejszy, że bez całej świty nie będę przyciągał uwagi. Tym bardziej, że w ten sposób zrywałem ze swoimi starymi zwyczajami, których spodziewali się i wypatrywali moi wrogowie, wiedząc, że od lat zawsze jestem otoczony swoimi ludźmi. Nie będą szukać samotnego Ganeśa Gaitondego.

Powiedziałem mu to i sam w to wszystko wierzyłem. Ale kiedy samolot wystartował z Bangkoku i wznosiłem się, lecąc w stronę tego nowego świata, wpadłem w przerażenie. Byłem zupełnie sam. Na jachcie „Szczęśliwy traf” słyszałem, jak moi ludzie chodzą po pokładzie, ich śmiech był pierwszą rzeczą, jaka docierała do moich uszu każdego ranka. A teraz, w tej banieczce kabiny pierwszej klasy, która mknęła wysoko nad ziemią, znajdowali się poza moim zasięgiem. Nie było ich tu. Dotknąłem policzka, potem nosa. Pod tą moją elegancką, nową skórą byłem tylko ja,

zupełnie sam. Czułem, że jestem bardzo daleko, daleko od wszystkich i od wszystkiego, co znałem. Uspokoilem się, wytłumaczyłem sobie, że to tylko nieoczekiwana, ale naturalna reakcja na sytuację, do jakiej nie byłem przyzwyczajony, nic dziwnego więc, że moje ciało po zmianie postaci odczuwa niepokój. Poprosiłem o wodę i zamknąłem oczy. Pot spływał mi po karku i wiedziałem, że zwracam na siebie uwagę. Nie będąc w stanie opanować tego przerażenia, w końcu poddałem się i, korzystając z telefonu w samolocie, zadzwoniłem do Arwinda. Był bardzo wzburzony, kiedy odebrał telefon i usłyszał mój głos, wcześniej umówiliśmy się, że podczas tej podróży będziemy kontaktować się telefonicznie tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

– Bhai – odezwał się. – Co się stało?

Rzecz jasna nie mogłem mu powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi, ani o tym metalicznym posmaku tęsknoty i samotności, jaki czułem w głębi gardła. Nie mogłem mu przecież powiedzieć: „Chciałem tylko usłyszeć twój głos, sukinsynu”. Pogadałem o jakichś poczynionych tydzień wcześniej inwestycjach i o przerwaniu pieniędzy z konta w Hongkongu na fundusze w Indiach. Były to wyłącznie sprawy błahe, absolutnie nieusprawiedliwiające tego alarmowego telefonu. Arwind był zaskoczony, ale uprzejmy, i nie zadawał żadnych pytań, tylko wysłuchiwał moich poleceń. Rozłączyłem się i zadzwoniłem do Bombaju, do Bantiego. Nie miałem z nim nic do omówienia, nawet żadnych pozornie pilnych spraw, porozmawiałem więc z nim o Sulejmanie Isie i o naszych ostatnich informacjach na temat działań firmy S. Pożegnałem się z Bantim, równie zdezorientowanym jak Arwind, i zadzwoniłem do Dźodźo.

– Jestem właśnie na spotkaniu – powiedziała. – Oddzwonię do ciebie.

– Nie możesz.

– Dlaczego nie? Za pół godziny będę wolna.

Nie mówiłem jej o wyjeździe do Ameryki ani o operacjach plastycznych. Jasne też było, że nie mogę jej tego powiedzieć w tym momencie, siedząc obok obdarzonej doskonałym słuchem tajskiej babci, która patrzyła na mnie srogo zza okularów w drucianych oprawkach.

– Też będę miał spotkania – odparłem. – Jutro. Zadzwoń.

– Gaitonde, czy coś się stało?

Ta Dźodźo za dobrze mnie znała.

– Nie, nie – odparłem. – Wracaj do pracy. Jutro, porozmawiamy jutro.

– Dobrze – stwierdziła. – Jutro.

Rozłożyłem się na fotelu i pogrążyłem w myślach o Dźodźo. Była moją przyjaciółką i lepiej niż ktokolwiek inny potrafiła rozpoznać, w jakim jestem nastroju, czy akurat jestem wspaniałomyślny, czy wściekły, czy jestem surowy, podekscytowany, czy po prostu smutny. Ufałem jej, ale ze względu na swoje bezpieczeństwo musiałem ukrywać przed nią pewne fakty. Żyłem w ciągłym i niesłabnącym zagrożeniu, a to wymagało zachowywania tajemnicy. Musiałem być ostrożny. Musiałem zakładać, że ta siedząca na fotelu obok siwowłosa tajska kobieta, zajadająca orzeszki samymi czubkami lśniących palców, ta nieszkodliwa babcia jest szpiegiem, który mnie skrzywdzi. Może znała hindi, w którym rozmawiałem z Dźodźo, może pracowała dla Sulejmana Isy i jego sojuszników. Było to niewiarygodne, ale musiałem uwzględnić taką możliwość.

Nic dziwnego, że czuję się samotny, pomyślałem. Żyłem w świecie tajemnic i podejrzeń. Musiałem odizolować się nawet od swoich znajomych, taką cenę płaciłem za władzę. Byłem władcą, królem, więc nie wolno mi było nigdy się odprężyć. Nawet nowa twarz nie uwalniała mnie zupełnie od lęków. Moim przeznaczeniem była samotność. Ale ta samotność, którą poczułem podczas lotu do Ameryki, była czymś zupełnie nowym. Nigdy wcześniej niczego takiego nie odczuwałem. Czuję się jak



piłeczka wirująca w bezkresnej przestrzeni. Wisiałem zawieszony w absolutnej próżni. Tak, to była wolność, byłem niezależny i samotny. I przerażony.

Złamałem swoją wieloletnią zasadę i poprosiłem o whisky. Wstrzymałem oddech i wypłem gorzkie, brązowe lekarstwo. Potem wypłem jeszcze dwie porcje i w końcu mogłem zasnąć.

Kiedy się obudziłem, po mojej prawej stronie rozciągała się długa plama Los Angeles. Miasto było przeogromne, a ja czułem się bardzo malutki. Nie potrafiłem się otrząsnąć z tego uczucia małości, z tego dziecięcego lęku. Nie odstępował mnie w limuzynie, która wiozła mnie do hotelu. Ulice były szerokie i czyste, samochody poruszały się w uporządkowanych szeregach, i wszystko wokół wyglądało bardzo obco. Ani w Tajlandii, ani nawet w Singapurze nigdy nie czułem się tak odmienny, tak różny od pędzących obok kierowców. Zobaczyłem jakiegoś Indusa, który zaparkował samochód koło sklepu i siedł w kierunku telefonu. Był łysy, gruby i gdyby przechadzał się dowolną gali w Bombaju, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Prawdopodobnie miał na imię Ramesz, Nitin albo Dharam. Mimo to czułem, że dzieli nas jakiś ogromny dystans. Może wrażenie to wywołało ogromne, mgliste niebo nade mną i czyste, bezbarwne światło. Tutaj przestrzeń była jakaś inna, podobnie zresztą jak i ciężenie. Miałem wrażenie, że nic nie ważę.

Mój pokój w hotelu Mondrian wznosił się dwanaście pięter nad Bulwarem Zachodzącego Słońca. Samochody przesuwwały się w dole milczącą wstęgą metalu. Wokół panowała niepokojąca cisza. Włączyłem telewizor, zrobiłem głośniej, wziąłem szybki prysznic i zadzwoniłem do Zoi. Była w pokoju na siódmym piętrze. Dzisiejszego ranka przyleciała porannym lotem z Houston i zameldowała się pod nazwiskiem Madhubala.

Dwa razy musiałem przeliterować to nazwisko telefonistce, w końcu jednak uzyskałem połączenie i usłyszałem głos Zoi.

– Halo? – odezwała się. Nabrała amerykańskiego akcentu.

– To ja – powiedziałem. – Jestem w pokoju 1202. Przyjdź tu. Drzwi są otwarte. Czekam.

– Oczywiście – odparła. – Już idę.

Była grzeczną dziewczynką i nie musiałem nic więcej jej mówić. Zaciągnąłem zasłony, tak że przez pokój przebiegała tylko pojedyncza smuga światła. Usiadłem w fotelu, podświetlony od tyłu. Z miejsca, w którym miała stanąć, musiało to być bardzo dramatyczne ujęcie. Chciałem wyrzeć na niej jak największe wrażenie, miał to być absolutnie przejmujący moment, w którym ona zaniemówi z wrażenia. Dopiero potem miała objawić się moja twarz.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Weszła, zatrzymała się na moment, i zamknęła drzwi.

– Saab?

Miała na sobie białą spódniczkę, bardzo krótką, a do tego wysoko związaną, białą bluzkę. Widziałem to przejmujące wcięcie jej talii, kształtne wybrzuszenie jej bioder. Wiedziała dokładnie, co lubię. Ta sali była bardzo sprytna. Ale dzisiaj to ja ją zaskoczyłem. Włączyłem stojącą obok mnie lampę, a Zoja szybko powiedziała:

– Kim jesteś? Kim jesteś?

Wystraszyła się.

Chciałem wybuchnąć śmiechem, ale pohamowałem się. Zbyt rozkoszne było to malujące się na jej twarzy zaskoczenie i przerażenie. Skrzyżowała ręce na długim wcięciu pępka i zdążyła jeszcze dodać: „Gdzie on jest? Gdzie jest...?”, zanim urwała. Zacisnęła szczęki i powiedziała po angielsku:

– Przepraszam, pomyliłam pokoje. – Byłem z niej dumny. Trzymała się na baczności. Dobrze ją wyszkoliłem. Odwróciła się i energicznym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

– Zoja – zawołałem.

Zatrzymała się i odwróciła w moją stronę.

– Na Allacha – powiedziała. Wtedy po raz pierwszy i ostatni usłyszałem, jak wzywa swojego boga. – To ty?

– Tak, to ja.

– Ale jak to możliwe?

– A co, myślałaś, że tylko ty możesz się odmienić?

Podeszła bliżej i uklękła u moich stóp. Wyciągnąwszy rękę, czubkami palców dotknęła mojego policzka. Przechodzące przez jej rozluźnioną twarz zdumienie powoli ustępowało, w miarę jak mrużyła oczy, oceniając i rozważając sytuację. Delikatnie zwróciła moją twarz do światła.

– To doktor Langston Lee? – wyszeptała.

– Tak.

– Och, to prawdziwy mistrz. Doskonała robota. Tak subtelnie, a zarazem tak skutecznie.

– Naprawdę ci się podoba?

– Doktor Langston Lee jest aż za dobry.

Czas zamknąć temat doktora Lee. Lewą ręką chwyciłem przegub dłoni Zoi, a drugą ująłem ją pod brodę.

– Sądzisz, że to mi pasuje? Uważasz, że nadal jestem sobą?

Natychmiast zniknęło to jej taksujące spojrzenie modelki, uśmiechnęła się do mnie, z oczami rozpalonymi zachwytem.

– Jesteś niesamowicie przystojny, saab – odparła. – Nawet bardziej niż uprzednio. Mógłbyś być gwiazdorem filmowym.

– Co takiego, ja?

– Tak, tak. Powinieneś nakręcić taki film. Ze mną w głównej roli kobiecej. *Międzynarodowa Dhamaka Dwa*.

– Sequele się w Indiach nie sprawdzają – zauważyłem. – A poza tym pierwszy skończył się klapą.

– Z nowym Ganeśem Gaitondem w roli głównej – odparła – to byłby superhit.

Nachyliła się i pocałowała mnie, a w tym momencie rzeczywiście czułem się bohaterem. Poprowadziłem ją do sypialni, a tam złączyliśmy się w prawdziwej, międzynarodowej dhamace. Ta przynajmniej była hitem. Nawet nie zdążyliśmy zdjąć ubrań. Podciągnęła spódniczkę, a ja szarpnąłem za cienki kawałek materiału pod spodem i go zerwałem, a potem wszedłem na nią i w nią. Leżeliśmy na łóżku po przekątnej, a niezastłonięte okna za jej głową ukazywały mi miasto Los Angeles. Wykrzywiałem tę moją nową twarz, śmiejąc się jak oszalały, i w ten właśnie sposób dotarłem do Ameryki.

Następnego dnia rano wybraliśmy się na zwiedzanie studiów wytwórni Universal. Trochę się opierałam, ale Zoja nalegała, mówiąc, że z moją nową twarzą nikt mnie nie rozpozna, że nic nie ryzykuję.

– A co z tobą? – zapytałem. Na tych wycieczkach było mnóstwo maderców turystów z Indii, którzy gromadzili się po całym świecie z aparatami fotograficznymi, dziećmi i pieniędzmi nowobogackich. Jej fani byli wszędzie. Zapewniła mnie, że potrafi wyglądać zupełnie inaczej, że jeśli tego nie będzie chciała, nikt jej nie rozpozna. Wyglądało na to, że jest tego pewna, i naprawdę chciała się tam wybrać, więc poszliśmy. I bardzo dobrze się bawiliśmy. Mnie sprawiało przyjemność oglądanie radości Zoi – zachowywała się jak dziecko na swoim pierwszym jarmarku w wiosce. Pędziła z jednej trasy na drugą i głośniej niż inni krzyczała, kiedy wielki rekin otworzył przed nami swoją paszczę. Widziałem tylko kilka filmów

stanowiących temat tras wycieczkowych, ale Zoja знаła je wszystkie i opowiadała mi ich fabuły. Założyła okulary – proste i bardzo duże – na czubek nosa, niebieską czapkę, wielką, białą koszulkę z długimi rękawami i czarne dzinsy. Włosy związała w dwa długie kucyki, i zupełnie się nie umalowała. Ludzie patrzyli na nią, nie mogła ukryć swojego wzrostu, ale nikt jej nie rozpoznał, nawet nastolatki z Delhi, które podczas zwiedzania trasy poświęconej Parkowi Jurajskiemu siedziały w następnym samochodzie i mówiły do mnie „wujku”.

Zoja potrafiła odegrać również zwyczajność. Dysponując swoimi oczami, twarzą i ciałem, była w stanie zrobić wszystko. Była prawdziwą aktorką.

Dwa razy zabrała mnie na przejażdżkę z Terminatorem w trójwymiarowym kinie.

– Raz to za mało – powiedziała. – Uwielbiam tego Arnolda.

Wiedziałem, kim jest ten Arnold, w zeszłym roku jeden z moich ludzi przyniósł na jacht piracką kopię DVD jednego z jego filmów. Podobały mi się, rzecz jasna, efekty specjalne, ale w sumie film mnie znudził. Jak większość tych amerykańskich filmów, opierał się na jednym dobrym pomysle, którego jednak trzymano się tak ściśle i tak go eksploatowano, że prawie zupełnie zatracaly się emocje i rozmach. Sceny wydawały się beznamietne, nawet w najbardziej dramatycznych momentach amerykańscy aktorzy mówili do siebie bardzo spokojnie, jakby dyskutowali cenę cebuli. I żadnych piosenek. A poza tym większość amerykańskich filmów była miętka, nierealistyczna i niezbyt mnie interesowała. Ale miałem przy sobie Zoję, która patrzyła na błyszczący, stalowy szkielet Terminatora, na jego czerwone, świdrujące oczy w taki sam sposób, jak poprzedniego dnia na mnie. Nawet przez okulary widziałem ogień w jej oczach, taki sam, jak w

jego spojrzeniu. Zauważyła, że na nią patrzę, i szybko pocałowała mnie w policzek.

– Wiesz – szepnęła mi do ucha – czasami marzę, że zdobędę Oscara. Że będę mogła tam stanąć. Ale najważniejsze, że poznam Arnolda.

Arnold. Wymówiła imię tego sukinsyna, jakby już go znała, jakby razem jedli pani-puri w Ćaupati. Zaliczyliśmy wszystkie pozostałe trasy, pooglądaliśmy wystawy, i kiedy już dzień się kończył, ona promieniała i chichotała. Ja natomiast byłem wyczerpany. O piątej wyszliśmy ze studia Universal, i kiedy wracaliśmy limuzyną, Zoja snuła opowieści o kolejnych amerykańskich filmach i o grających w nich gwiazdach. Słuchałem jej, aż w końcu zapytałem:

– Sali, ile tych filmów oglądasz?

– Z reguły jeden dziennie. Mam taki przenośny odtwarzacz DVD. Mogę go zabierać na zdjęcia. Czasami oglądam więcej niż jeden, nawet w dni, kiedy coś kręcimy. To pomaga mi szlifować angielski. Ty też powinieneś to robić. Czy wiesz, że Sulejman Isa codziennie ogląda filmy po angielsku?

Uszczypnąłem ją w dolną wargę.

– A skąd ty to wiesz?

– Are, wszyscy o tym wiedzą.

To prawda. Każdy, kto cokolwiek wiedział o świecie przestępczym, widział też coś o filmowych namiętnościach Sulejmana Isy.

– I wszyscy się myślą – odparłem. – On nie ogląda filmów. On tylko w kółko ogląda trzy filmy. Co wieczór ogląda jeden z nich. A potem następny i następny. A potem zaczyna od nowa.

– Co ty powiesz?

– To prawda. Mamy na ten temat rzetelne informacje, od ludzi z jego otoczenia. W kółko ogląda wszystkie części *Ojca chrzestnego*.

– Nie! Naprawdę?

– Naprawdę.

– Dlaczego?

– Sama zapytaj tego sukinsyna. To wariat.

Skinęła głową.

– A ty widziałeś te filmy, saab?

– Widziałem pierwszy.

– I nie podobał ci się?

– Był niezły. Uważam jednak, że *Dharmatma* był lepszy. A nawet *Dajawan*.

Wybuchnęła śmiechem i objęła mnie ramionami.

– Chociaż podróżujesz po całym świecie, bhai, masz takie deśi upodobania. Jesteś taki ć–lit. – Pocałowała mnie, położyła mi dłoń na spodniach i pokazała mi, jaki to ja jestem słodziutki, a ja od razu zapomniałem o Sulejmanie Isie i o tym jego ćutijowym *Ojcu chrzestnym*. Ale w nocy, kiedy ona już spała, ja nie mogłem zasnąć, leżałem i rozmyślałem o amerykańskich filmach. Moi ludzie nieustannie oglądali amerykańskie kino akcji. Mówili, że podobają im się wyczyny aktorów i efekty specjalne. Dlaczego Sulejman Isa ciągle oglądał *Ojca chrzestnego*? Nigdy wcześniej nad tym się nie zastanawiałem, ale teraz, kiedy leżałem w łóżku pod obcym niebem, unoszony rozciągającą się na wszystkie strony konstelacją światła tego miasta, przyszło mi na myśl, że być może on oglądał te filmy z tych samych powodów, które mnie pchnęły do zrealizowania *Międzynarodowej Dhamaki*. Chciał zrozumieć, co mu się przydarzyło, kim sam się stał. I po raz pierwszy w życiu poczułem, że coś nas łączy.

Kim się stałem? Stałem się kimś innym, czymś innym. Ale kiedy starałem się to uchwycić, dowiedzieć się dokładnie, o ile się zmieniłem i co mi się przydarzyło, poczułem małego robaka wątpliwości, który wił się

gdzieś w moim brzuchu i krążył wokół serca. Zoja powiedziała, że teraz jestem przystojny, że gdybym chciał, mógłbym zostać gwiazdą filmową. Wiedziałem, że mój wygląd się poprawił, że tak młodo nigdy jeszcze nie wyglądałem i że moje rysy się wyostrzyły. Ale ona marzyła o spotkaniu z Arnoldem, a czy mógłbym być tak umięśniony jak Terminator? Jeśli Terminator nachodził ją w snach, nawet kiedy spała tuż przy mnie, czy ona mogła naprawdę mnie kochać? Powtarzałem sobie, że Terminator to tylko fikcja, że jestem mocniejszy niż jakiś tam tani amerykański aktorzyzna. Mówiłem sobie, przecież zabiłeś więcej ludzi niż ten udawany Terminator. Jedno twoje słowo powoduje, że pieniądze i broń przepływają z jednego kontynentu na drugi. Jeśli ktoś zasługuje na miano Terminatora, to właśnie ty.

Ale wczesnym rankiem, kiedy Zoja poruszyła się i sennie wtuliła się w mój bok, z mojego wnętrza na jej powitanie wyłonił się ten wijący się pasożyt niedowierzania. Spojrzałem na obejmujące ją ramię, na to moje własne ramię, i nie mogłem uciec od myśli, że jest tak mizerne w porównaniu do ramienia Arnolda. Prawdę mówiąc, to nawet ten aktor, z którym kręciła film w Teksasie, bardziej przypominał Arnolda niż ja. Był niski, ale miał wydatną, rozwiniętą na sterydach klatkę piersiową i wyćwiczone ramiona. Wiedziałem, że stać mnie na najlepsze sterydy, mogę zbudować sobie siłownię, wynająć trenerów, ale czy udałoby mi się zbliżyć do wizji, jaką Zoja stworzyła sobie w swojej główce, do obrazu tego mężczyzny, którego mogłaby naprawdę pokochać? Czy ona mnie kochała, ta Zoja, ta Samolubna Żyrafa?

To pytanie było absurdalne, i chociaż zdawałem sobie z tego sprawę, nie odstępowało mnie. Śniadanie zjedliśmy przy stole w saloniku i jak zawsze nie mogłem wyjść z podziwu, patrząc, jak ona potrafi jeść. Wypiła dzbanek soku pomarańczowego i wsunęła trzy omlety. Patrzyłem na nią, a ona



znowu była piękna, była prawdziwą gwiazdą filmową, Zoją Mirzą. Ciesz się szczęściem, powiedziałem sobie. Ona jest przy tobie. I w tym momencie zadzwonił telefon. Nie był to telefon w pokoju hotelowym ani mój normalny telefon komórkowy, ale leżący na nocnym stoliku mój bezpieczny telefon satelitarny. Pospiesznie sięgnąłem po niego. Tylko Arwind i Banti znali ten numer i tylko w wyjątkowej sytuacji wolno im było z niego korzystać.

Dzwonił Arwind.

– Bhai? Powinieneś wracać.

– Dlaczego?

– Chodzi o nasz handel ziemniakami – odparł. Handel ziemniakami oznaczał nasze związane z przerzutem broni działania, które prowadziliśmy dla Garu-dzi. Już od lat tym się zajmowaliśmy, ściągając na wybrzeże Konkanu dostawy broni i amunicji, a potem przekazując je jego ludziom, którzy transportowali to dalej. – Dowiedzieli się o tym. Przejęli jedną z naszych dostaw.

– Kto taki?

– Ludzie z Delhi. – A to oznaczało Dineśa Kulkarniego, znanego również jako pan Dźoszi, i jego organizację, a w związku z tym ten maderćod rząd Indii.

– Wracam najbliższym samolotem – odparłem.

– Proszę, bhai, wracaj jak najszybciej – powiedział. – Oni są wściekli.

Chciał przez to powiedzieć, że obawia się o moje bezpieczeństwo, boi się, że jestem wystawiony na niebezpieczeństwa w tym obcym kraju, w tym apartamencie wielkiego hotelu, bez żadnych ochroniarzy. To dlatego był tak ostrożny i tajemniczy, chociaż rozmawialiśmy przez bezpieczne połączenie.

– Rozumiem – odrzekłem. – Nie martw się. Natychmiast ruszam w drogę.

Pożegnałem się z Zoją i wyjechałem.

– Ganeśu, dlaczego to zrobiłeś? – To mówił Kulkarni, który nagle zrobił się surowy jak szkolny nauczyciel. – Dlaczego?

– Nasi ludzie potrzebują samanu.

– Nie kłam. W przechwyconej przez policję dostawie były sto sześćdziesiąt dwa karabiny AK-56, czterdzieści automatycznych pistoletów i osiemnaście tysięcy naboji. Nie powiesz mi, Ganeśu, że to do osobistego użytku. To uzbrojenie na wojnę.

– Część z tego możemy sprzedawać. To dobry interes, a ostatnio spadły dochody z wszystkich innych źródeł. Cała gospodarka kuleje. Pewnie pan o tym wie, saab.

Odpowiedział mi szybko i stanowczo:

– Pracujesz dla kogoś? Czy ta broń była przeznaczona dla kogoś konkretnego? Dla jakiejś grupy czy partii?

– Nie, nie, saab. Po prostu potrzebujemy pieniędzy, a to jest dobry rynek. Sam pan wie, jak teraz wygląda sytuacja w kraju, wszyscy chcą się zabezpieczyć przed wszystkimi. My byliśmy tylko dystrybutorami, sprzedawaliśmy wszystkim, którzy chcieli kupić.

Byłem zlany potem. Wróciłem na jacht, stojący na wodach w okolicy Phuket, i chociaż pilnowano mnie i strzeżono ze wszystkich stron, zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Mieliśmy problem. A Kulkarni bardzo wyraźnie starał się uzmysłwić mi, jak wielki on jest. W tym momencie żałowałem, że K. D. Jadaw przeszedł na emeryturę, że to już nie on prowadzi moje sprawy z ramienia ich organizacji. On był człowiekiem praktycznym, rozumiał nasze potrzeby. A ten sukinsyn Kulkarni rozmawiał ze mną, jakbym był jakimś małym chłopaczkiem, przyłapanym z kradzionym towarem.

– Przymykaliśmy oczy na twoją działalność i na te twoje interesy – powiedział. – Ale to... Nie wiem, czy będziemy mogli być pobłażliwi w tej sprawie. Okazuje się, że członkowie naszej organizacji, którzy byli przeciwni utrzymywaniu z tobą jakichkolwiek stosunków, mają absolutną rację. – Bez wątpienia on sam był bardzo rozzłoszczony. – Ile było tych dostaw?

Wiedziałem, że nie uwierzy w tylko ten jeden transport, powiedziałem mu więc, że był jeszcze jeden, dużo mniejszy. Obiecałem też, że to już się nie powtórzy. Staralem się uspokoić go, mówiłem, że przecież byłem bardzo lojalny. Przypomniałem mu o tych wszystkich operacjach, które przeprowadziłem dla jego organizacji, o trudnych do uzyskania i w pełni rzetelnych informacjach, które dla nich zebrałem. Odwołałem się do naszych wielokrotnych rozmów i do lat mojej współpracy z panem Kumarem. Ale on przez cały czas był ponury i nieugięty i nieustannie próbował wyciągnąć ode mnie informacje na temat naszego handlu bronią. Odpierałem jego ataki, mówiąc mu jak najmniej, i w końcu odłożyłem słuchawkę, udręczony i wystraszony.

Arwind, który przyjechał z Singapuru, chodził tam i powrotem po pokładzie. Rozmawiał przez telefon z Bombajem, starając się dowiedzieć czegoś o rozwoju policyjnego śledztwa i zbierając dane od naszych informatorów w wydziale śledczym. Czekałem. Noc była bezksiężycowa, i kątem oka widziałem srebrzysto–czarne falowanie wody. Ktoś mnie obserwował. Byłem tego pewien. Oni gdzieś tam byli. Być może nawet słuchali tej rozmowy telefonicznej Arwinda. Urządzenie miało być bezpieczne, ale wszystko, co bezpieczne, można rozpracować. Nauczyłem się tego od pana Kumara.

Arwind wyłączył kciukiem telefon.

– Nic nowego, bhai – powiedział. – Jutro rano o dziesiątej organizują konferencję prasową. Może wtedy uzyskamy jakieś nowe wiadomości.

Nadal nie wiedzieliśmy, skąd policja dowiedziała się o naszych dostawach. Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób udało się im powiązać je z nami. Musieli mieć jakieś solidne informacje. Kto mógł im je przekazać? Sulejman Isa i jego ludzie? A może policja miała własnych informatorów, gdzieś wysoko w naszej firmie? To było bardzo możliwe. Będziemy musieli to sprawdzić. Ale teraz miałem inny, bardzo pilny i nie cierpiący zwłoki problem. Nasza operacja przetrzutu ziemniaków nie powiodła się. Trzeba powiadomić naszego klienta. Musiałem skontaktować się z Garu–dzi.

Garu–dzi po raz kolejny przepowiedział moją przyszłość i tym razem uratował mi życie. Spotkałem się z nim w Monachium, gdzie prowadził pięciodniowe warsztaty i jadźnię. Arwind i Banti próbowali odwieść mnie od tego wyjazdu, a potem chcieli wysłać ze mną pół batalionu żołnierzy. Powiedziałem im, że będę bezpieczniejszy, jeśli pojedę sam, że chroni mnie moja nowa twarz. Zdecydowałem się nawet na małą próbę – przedefilowałem przed chłopakami, którzy od lat dla mnie pracowali, i nikt mnie nie rozpoznał. Jeśli tylko będę starał się nie zwracać na siebie uwagi, nic nie powinno mi się przytrafić.

Sprawą nadrzędną, oczywiście, była dla mnie kwestia bezpieczeństwa Garu–dzi i bardzo zależało mi, żeby nie splamić jego reputacji. Nie ufałem już naszym standardowym metodom komunikowania się, nie wiedziałem, czy technika, z której korzystamy, jest jeszcze bezpieczna. Nasi specjaliści wprowadzali nowe urządzenia, nowe oprogramowanie, nowe metody. Ale musiałem porozmawiać z Garu–dzi. Postanowiłem więc podjąć to ryzyko i samotnie udać się do obcego kraju. Zrobiłem to tak samo jak uprzednio, kiedy pojechałem do Bombaju. Uczestniczyłem w jadźnie w Monachium, a

potem czekałem na audiencję. Tylko że tym razem on wiedział, że przybędę.

Przyjechałem do Monachium o piątej wieczorem i znalazłem salę, w której Garu-dzi prowadził warsztaty. Jadźnia była miniaturową wersją obrzędu, który prowadził w Bombaju. Przy podskakujących i roztańczonych płomieniach opowiadał o cyklach historii. Usiadłem na końcu sali i obserwowałem go ponad uporządkowanymi rzędami głów flrangich. Spod sufitu zwisały ekrany telewizyjne, ale ja patrzyłem prosto, prościutko na Garu-dzi, wyteżądałem wzrok i skupiałem go na nim. Po tych wszystkich miesiącach, przez które słuchałem jego głosu w słuchawce telefonu i oglądałem jego oczy na niewyraźnych fotografiach w gazetach, pragnąłem bezpośredniego darśanu. I czułem tę jego obecność, ten jego wielki atman oraz spokój, jaki mi przynosił. Czułem się ukojony, uzdrowiony, wskrzeszony. Tylko ci, którzy widzieli Garu-dzi osobiście, wiedzą, jakie światło z niego wypływa, jaką rozległą przejrzystą jasność daje jego darśan. Siedziałem jak pilny uczeń, słuchając jego nauk. Mówił o naszych czasach, o niepokojach, które trapią nasz świat.

– Nie obawiajcie się – powiedział tym swoim grzmiącym językiem hindi, symultanicznie tłumaczonym na niemiecki. – Przez kilka ostatnich stuleci słyszeliście, jak ludzie mówią o „postępie”, ale widzieliście tylko cierpienie i zniszczenia. Przeraża was sama nauka, jej zachłanność i amoralna siła. Wasi politycy powtarzają, że jest coraz lepiej, ale wy widzicie, że jest coraz gorzej. I opanowuje was strach. Mówię wam, nie obawiajcie się. Zbliża się czas wielkich zmian. To jest nieuniknione, niezbędne, nadejdzie, bo musi nadejść. A znaki tych zmian są wszędzie wokół nas. Czas i historia są jak fala, jak nadciągający sztorm. Zbliżamy się do grzbietu, do wybuchu. Wiem, że sami to wyczuwacie, bo częścią tego jest również narastanie

uczuc w was samych. Wydarzenia piętrzą się, nasilają, nadciągają jedno po drugim. Ale w tym wirze jest obietnica pokoju. Dopiero po eksplozji odnajdziemy ciszę i nowy świat. Tego możecie być pewni. Nie powinniście wątpić w przyszłość. Zapewniam was, ludzkość wkroczy w złoty wiek miłości, obfitości i pokoju. Nie lękajcie się.

Słuchałem jego słów i nie lękałem się, chociaż miałem do tego powody. Przybyłem do niego z rozstrojonymi nerwami, targany kłopotami, z umęczoną duszą i z odwagą wystawioną na ciężką próbę. Przybyłem do niego, opuszczając moich ludzi i moją ochronę, ponieważ potrzebowałem jego obecności. A kiedy się tam znalazłem, natychmiast, już po kilku minutach, odnalazłem spokój. Dorastałem w sceptycznym nastawieniu do sadhu i santów, zawsze uważałem, że to szarlatani, oszuści i szalbierze, ale oto był człowiek, który swoją niesłychaną mocą rozbił pancerz moich wątpliwości. Może z gorzką satysfakcją będziesz patrzeć na mnie sceptycznie, może uznasz mnie za człowieka słabego, sparaliżowanego głupca szukającego pociechy, trzęsącego się kalekę potrzebującego podpory. Te wszystkie myśli – a mnie też one nachodziły – przesłaniają prawdę, przesłaniają samą rzeczywistość, którą stanowi po prostu spokój, jaki znalazłem, siedząc w tym samym pomieszczeniu, co on. Oczywiście nie tylko ja uzyskałem ten spokój, ale również ci wszyscy Niemcy obok mnie. I tysiące innych na całym świecie, którzy odpowiedzieli na jego wezwanie, na jego naukę. On tak oddziaływał. Możesz nazywać to „charyzmą”, jeśli to ci w czymś pomoże, jeśli pomoże ci zaspokoić potrzebę jakiejś ograniczonej logiki. Na tym właśnie polegała ta pułapka rozumowania, o której na końcu swojego kazania mówił tej nocy Garu-dźi.

– Słuchajcie sercem – powiedział. – Rozum może stanąć na drodze do wiedzy, jak strażnik z lathi. Logika ma swoją wartość, jest potężna, korzystamy z niej każdego dnia. Dzięki niej panujemy nad tym naszym

światem, ona umożliwia nam codzienną egzystencję. Ale nawet sama nauka mówi nam, że codzienna logika nie jest w stanie opisać rzeczywistości świata, w którym żyjemy. Czas kurczy się i rozszerza, jak wytłumaczył nam Einstein. Przestrzeń się zakrzywia. Poniżej poziomu atomu cząstki przechodzą przez siebie, jedna cząstka w tym samym momencie istnieje w dwóch miejscach. Sama rzeczywistość, ta prawdziwa rzeczywistość, jest wizją szaleńca, halucynacją, z jaką nie potrafi poradzić sobie mały, pojedynczy ludzki umysł. Człowiek musi zaprzeczyć swemu ego, dostrzec w tym naszym codziennym umyśle małego i ograniczonego więziennego strażnika, jakim on tak naprawdę, jest. Musi go minąć i przejść w leżący dalej, nieograniczony przestwór. Tam czeka na was rzeczywistość.

Po zakończeniu kazania czekałem na niego cierpliwie. Jak zawsze, cała kolejka wyznawców oczekiwała na możliwość odbycia z nim rozmowy. Siedziałem na krześle w pustoszejącej sali, a sadhu po kolei wprowadzali Niemców do znajdującego się z boku, prywatnego pomieszczenia. Nie obawiałem się, że zakończą audiencje, zanim przyjdzie kolej na mnie; tym razem Garu-dzi wiedział, że przychodzę. Zadowolony siedziałem i obserwowałem tych firangi uczniów, którzy wychodzili po swoich osobistych darśanach, uśmiechnięci, odmienieni.

– Jesteś Indusem?

Obok stała Niemka. Miała na sobie ciemnoczerwone sari, a jej blond włosy były upięte z tyłu głowy w dżurę. Na jej szyi wisiał mangalsutra, a we włosach widać było sindur. Była młoda, mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała jak tradycyjna hinduska matka sprzed trzydziestu lat, i to z małej miejscowości.

– Tak – odparłem.

– Skąd pochodzisz? – zapytała. Jej angielski był wyraźny i dźwięczny. Znałem ten akcent z plaż Phuket.

– Z... z Nasiku – odrzekłem.

– Tam nie byłam – powiedziała. – Ale Nagpur, znasz Nagpur?

Skinąłem głową.

– Garu–dźi poślubił mnie tam i dał mi nowe imię.

– Garu–dźi poślubił cię?

– Nie, nie, poślubił mnie mojemu mężowi. Sukumarowi.

– Sukumar to Indus?

– Nie, on też jest Niemcem. To po spotkaniu z nim zostałam uczennicą Garu–dźi. A potem Garu–dźi udzielił nam ślubu.

– I dał ci nowe imię.

– Jestem Sita.

– To bardzo dobre imię.

– Garu–dźi mówi, że to dobry wzór.

– Proszę?

Zrobiła gest w górę, wysoko, w stronę nieba.

– Sita to dobra kobieta.

Ta Sita miała jasne, niebieskie oczy i rozpromienione szczęściem oblicze. Również uśmiechnąłem się do niej.

– Sita była najlepszą kobietą. – W tym momencie skinął na mnie jeden z sadhu. Nadeszła moja kolej. – Do zobaczenia – powiedziałem do Sity.

– Namaste – odparła, elegancko składając dłonie w głębokim ukłonie. – Zawsze miło jest spotkać kogoś z domu.

Wstając, musiałem przezwyciężyć nagłe zawroty głowy. Rzeczywiście byłem zmęczony, zbyt dużo podróżowałem w tak krótkim czasie. Stanąłem przy zielonych drzwiach prowadzących do prywatnego pokoju, w towarzystwie dwóch firangi sadhu, i jeden, i drugi mieli gęste, brązowe brody. Stali w absolutnym milczeniu, obaj niesamowicie spokojni. Chwilę później drzwi się otworzyły i znalazłem się w środku.



Garu–dźi siedział na gaddzie w pobliżu kominka, a jego włosy tworzyły srebrzystą aureolę. Krzesła i kanapy – musiała to być jakaś salka konferencyjna – były odsunięte pod ściany, pozostawiając wolną przestrzeń, którą on tak lubił. Obserwował mnie, kiedy do niego podchodziłem. Uklęknąłem przed nim, czołem dotknąłem posadzki i chwyciłem w dłonie jego stopy. Położył prawą rękę na mojej głowie i powiedział:

– Dźite raho, beta. – Chwycił mnie pod ramiona i pomógł mi wstać.

Nie odzywałem się. Powinienem coś powiedzieć, podziękować za błogosławieństwo, ale się powstrzymałem.

– Jak się nazywasz, beta?

Nie planowałem tego milczenia, nie miałem zamiaru wystawiać Garu–dźi na próbę. Ale nagle zapragnąłem, żeby mnie rozpoznał. Żaden inny mężczyzna, żadna kobieta, nikt nie potrafił mnie rozpoznać pod przebraniem mojej nowej twarzy. Ale Garu–dźi znał moją duszę, poznał nawet te malusieńkie, ukryte gdzieś głęboko w moim wnętrzu twarde węgielki, których nigdy nikomu nie pokazywałem. On znał tę słabość i tęsknotę, które zalegały po czarną powierzchnią. Teraz trwał w wyczekiwaniu, oczekując, co powiem.

– Jesteś niemową? – zapytał. – Nie potrafisz mówić?

Przez moją twarz przemknął uśmiech. To było niemądre, ale bardzo mnie to rozbawiło, że uznał mnie za niemowę. Klęczałem i uśmiechałem się.

– Ganeś? – zapytał.

Byłem zaskoczony. Pragnąłem, żeby mnie rozpoznał, ale nie spodziewałem się, że mu się to uda. To zaledwie życzenie, dobywające się z najgłębszego jądra mojego jestestwa. Wiele naszych pragnień unosi się tuż pod powierzchnią skóry, a mnie udało się sporo z nich spełnić – władza, pieniądze, kobiety. Ale istnieją też potrzeby tak głębokie, że pozostają

nienazwane, nawet sami przed sobą ich nie nazywamy. Działają jak podziemne prądy roztopionej ciecchy, na których poruszają się kontynenty. Czasami wybuchają gwałtownością wulkanów, a potem znikają, ponownie skrywają się pod ziemią. To jest ten prawdziwy świat podziemny, gdzie pragnienie wrze wiecznie. Jak dziecko pragnąłem, żeby mnie nazwano i rozpoznano. A Garu-dzi to zrobił.

– Jak? – zapytałem. – Jak mnie rozpoznałeś?

– Czy naprawdę sądzisz, że możesz się przede mną ukryć? – Poklepał mnie po policzku i uściśnął mnie mocno.

– Garu-dzi. – Śmiałem się. Tym jednym dotknięciem zostałem wybawiony z mojego wyczerpania, złości i tych moich obaw. To dlatego do niego przyszedłem, pokonując pół świata, zupełnie sam. Trzymałem jego ręce w moich dłoniach. – Garu-dzi, wiem, że spotkanie ze mną jest...

Pokręcił głową.

– Nie tutaj.

Zawołał jednego z sadhu, powiedział mu, że nazywam się Ardżun Kerkar i jestem bhaktem, że mam bardzo osobisty problem, który wymaga długich konsultacji. Wyglądało na to, że jego ludzie są do tego przyzwyczajeni. Jednym mocnym ruchem Garu-dzi wspiął się na swój wózek i zszedłem za nim go garażu. Od wyjścia z windy na poziom garażu prowadziło siedem schodków, które z łatwością pokonał. Grube czarne koła cichutko zaterkotały i szcęknęły, a wózek zatańczył w dół schodów, doskonale wyważony.

– Wspaniale, Garu-dzi – odezwałem się.

– Najnowszy model, Ardżunie – powiedział, błyskając zębami z nadramienia. – Wszystko jest skomputeryzowane. Mogę balansować na dwóch kółkach. Patrz.

I faktycznie, utrzymał się w równowadze, powoli kręcąc się na dwóch kółkach. Klasnąłem w dłonie. W garażu czekała specjalna furgonetka, z rampą umożliwiającą wjazd wózka, i pomknęliśmy do domu, w którym Garu-dzi się zatrzymał, do zlokalizowanej tuż za miastem rezydencji jego ucznia. Wszystko było świetnie zorganizowane, sadhu komunikowali się za pomocą małych, podręcznych krótkofalówek, nie było żadnych spóźnień ani niepotrzebnego zamieszania. Po piętnastu minutach byliśmy już w apartamencie Garu-dzi, zaaranżowanym dokładnie tak, jak on lubił, ze świeżymi kwiatami w każdym pokoju, owocami na stole i ułożonymi przy łóżku kompaktami z religijnymi śpiewami i muzyką graną na sitarze. Zdjąłem buty i znalazłem sobie wygodne krzesło w małym przedpokoju. Czekałem. Garu-dzi wziął kąpiel, podyktował swoim asystentom jakieś ważne listy, a potem ich odesłał. Kiedy wezwał mnie do środka, zobaczyłem, że siedzi na łóżku, ustawionym pośrodku pokoju, ubrany w jedwabną kurtę i dhoti.

– Podejdz tu – powiedział, wskazując na krzesło przy łóżku. – Siadaj. Powiedz, kiedy odmieniłeś swoją twarz? Dlaczego?

Opowiedziałem mu wszystko. Oczywiście, zgodził się z moimi troskami o bezpieczeństwo, ale stwierdził też, że tę nieodpartą chęć odnowienia swojej osoby czułem z powodu nadchodzącej zmiany.

– Nowy świat potrzebuje nowego człowieka. A ty się odnowiłeś. Czujesz potrzebę, żeby to zrobić, posłuchałeś wezwania czasu, Ardżunie. Wydaje mi się, że jest to odpowiednie nowe imię dla tego nowego człowieka, którym się stałeś. Od dziś będę na ciebie mówić „Ardżun”. Będiesz Ardżunem, który mnie zwiódł.

– Tylko na dziesięć sekund, Garu-dzi. Tylko ty mnie rozpoznałeś.

– To dobra twarz, Ardżunie. Nikt jej nie rozpozna. A teraz powiedz mi, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać.

Słuchał mnie uważnie, kiedy opowiadałem mu o ostatnim nieszczęściu. Powiedziałem mu, że oczywiście żadna operacja nie jest w stu procentach bezpieczna, że moje zaangażowanie w działalność przemytniczą było chronione przez kilka poziomów odpowiedzialności w ramach firmy i że korzystałem z częściowo niezależnych grup. Ponadto podsuwaliśmy policjantom z UP okazje do dokonywania aresztowań, poświęcaliśmy ludzi z niższego szczebla, żeby ich zaspokoić i uspokoić. Ale oni dysponowali lepszymi informacjami, niż nam się wydawało, przeprowadzili dogłębne śledztwo i w końcu doszli do tego, że jestem w to zamieszany. Podejrzewałem, że ten ich niepohamowany zapał jest częściowo finansowany i podsycany informacjami dostarczanymi z Dubaju i Karaczi przez Sulejmana Isę i jego pomagierów. Wykorzystywali swoich ludzi w policji do prowadzenia nowej kampanii w wojnie przeciw nam. I dlatego właśnie policja – zarówno w UP, jak i w Maharasztrze – mocno na nas naciskała.

– Tak – stwierdził Garu–dzi. – Tak, Ardżunie. – W obliczu tych wszystkich katastrof wciąż był niewzruszony, jak posąg w świątyni. – Czy oni wiedzą coś o mnie?

– O tobie? Nie, nie, Garu–dzi. Nigdy. Ty nigdy nie miałeś nic wspólnego z tą operacją, twoje imię nigdy się nie pojawiło. W mojej firmie nikt nawet nie wie o twoim istnieniu. Zachowałem wszelkie środki bezpieczeństwa. W tę podróż wybrałem się zupełnie sam, bez ludzi, bez żadnej ochrony. Z mojej strony nic ci nie grozi, o to zadbałem. Ale wydaje mi się, że będziemy musieli wstrzymać się z przerzutem broni. Zrobiło się za gorąco.

– Tak, Ardżunie. W zasadzie zgadzam się z tobą. Ale pozwól, że się nad tym zastanowię. – Wyciągnął rękę w moją stronę i położył mi ją na ramieniu. – Wyglądasz na zmęczonego. Połóż się spać. Rano porozmawiamy. W małym pokoju czeka na ciebie łóżko.

Miał rację. Odbyłem podróż przez pół świata, poprzedzoną wieloma dniami konfliktu i złych wieści. Byłem wykończony, wycieńczony, ledwo trzymałem się na nogach. Otoczył dłońmi moją głowę w geście błogosławieństwa, a ja poczułem, jakbym bezpiecznie osuwał się w sen. Jego oczy były ciemne, nieprzejrzyste, ogromne. Pomógł mi wstać i objął mnie.

– Idź spać. Zastanowię się nad tym. Rano zdecydujemy, co dalej robić.

Chwiejnym krokiem poszedłem do pokoju położonego w bocznej części apartamentu i padłem na łóżko. Ledwo wystarczyło mi sił, żeby odwrócić się na bok, i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie dźwięki mantr. Usiadłem, natychmiast rozbudzony. Kiedy cichym krokiem przechodziłem przez apartament, nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem głodny i jak pełen życia. Moje ramiona były silne i wypoczęte, czułem krew krążącą w piersiach, a w gardle posmak drewna sandałowego. Roześmiałem się. Miałem wrażenie, że na nowo się narodziłem. Jedna noc przespana w bliskości Garu–dźi i znowu byłem młody.

Wielkie okna po wschodniej stronie apartamentu wychodziły na ogród, w którym dostrzegłem Garu–dźi i sadhu odprawiających pudżę. Ich siedzące postaci tworzyły kwadrat, w którego centrum znajdował się Garu–dźi, twarzą zwrócony do małego ognia. Usiadłem po turecku w pobliżu okna, z dala od nich, i obserwowałem. Było bardzo wcześnie i pod głęboką szarością tego obcego nieba ich twarze oświetlał słaby blask. Nie znałem tych mantr. Musiał to być jakiś obrzęd zarezerwowany tylko dla sadhu, pomyślałem, i cieszyłem się, mogąc siedzieć i słuchać.

Później Garu–dźi wytłumaczył mi znaczenie tego obrzędu. Z nadejściem świtu, powiedział, sadhu prowadzą medytacje nad zmianą. Ta ich mała

jadźnia miała służyć wprowadzeniu zmiany na świecie. Wszechświat był samą świadomością, wzajemnie oddziałującą z materią, która z kolei sama była po prostu energią. Połączona świadomość mnichów i własna ogromna siła duchowa Garu-dźi poruszały świadomość absolutną w kierunku przemiany.

– Historia ma swój kształt, Ardżunie – powiedział. – Wszechświat stanowi cudowny projekt. Już wcześniej o tym rozmawialiśmy. Spójrz na ten ogród. Każdy owad ma przyporządkowanego drapieżnika. Każdy kwiat ma jakąś funkcję. Niektórzy uczeni patrzą na to cudo, ale wciąż upierają się, że to wynik przypadkowej selekcji, czystego trafu, nic więcej. Ale to są ślepcy. Boją się. Jeśli odrzuci się przypadek i spojrzy się w odpowiedni sposób, w chaosie ukazują się prawidłowości. I tu rodzi się pytanie, czy jesteś w stanie odczytać te znaki, zrozumieć ich język? Rzecz w tym, czy potrafisz spojrzeć w głąb? Ty i ja siedzimy tu sobie, Ardżunie, i rozmawiamy w ogrodzie. Słońce wschodzi. Czy to tylko kwestia przypadku, czy w tym nie ma żadnego znaczenia? Czy wszystko nie zmierza w jakimś kierunku? – Szerokim ruchem ręki objął całą ziemię, nas i niebo. – Spójrz na siebie, Ardżunie. Poczuj prawdę w samym sobie. I powiedz mi, kto jest stwórcą tego kierunku?

Znałem odpowiedź na to pytanie.

– Świadomość.

– Bez wątplenia. A czy wiesz, gdzie jest świadomość? Gdzie przebywa?

– Wszędzie?

– Tak. Także w nas samych. Ty nią jesteś, Ardżunie. Twoja świadomość jest świadomością absolutną. Nie ma żadnej różnicy jeśli jesteś w stanie to pojąć, naprawdę pojąć, nie ma rzeczy, której nie mógłbyś dokonać. Możesz kształtować samą historię. Pozostawiając umysł na boku, wiara może

kierować wydarzeniami. Może poruszać czasem i pchać go w kierunku przemiany.

Skinąłem głową.

– Rozumiem, Garu–dzi. Co mam zrobić?

– Musimy zrobić to jeszcze raz, Ardżunie, ostatni raz.

Chciał zorganizować jeszcze jeden kurs, ściągnąć jedną partię towaru. Ładunek nie był zbyt duży ani też ciężki. Chodziło o pewne pieniądze – w większości rupie, ale również trochę dolarów – zebrane za granicą, które trzeba było przewieźć do kraju. Poza tym była jeszcze jakaś aparatura laboratoryjna, potrzebna ludziom Garu–dzi do prowadzenia eksperymentów rolniczych w Pendżabie. Ten sprzęt można było przewieźć normalnymi kanałami, ale odprawa celna trwałaby całe tygodnie, a nawet miesiące, a to wstrzymałoby wykonanie ważnych prac. I na koniec trochę sprzętu komputerowego, również pilnie potrzebnego. Tym razem żadnej broni czy amunicji. Bardzo proste, a poza tym nieobciążone tymi działaniami, o które tak wściekał się Kulkarni.

– Nie prosiłbym cię o to, Ardżunie – powiedział Garu–dzi – gdyby nie było to tak ważne. Bez tej dostawy nasza wieloletnia praca pozostanie niedokończona, niespełniona. Oczywiście, z łatwością mógłbym przesłać to inną drogą. Ale nas, ciebie i mnie, łączy wspólna przeszłość. Mamy do siebie zaufanie. Tylko tobie mogę zaufać, wiem, że to dla mnie zrobisz. I przy tej dostawie nie można popełnić żadnego błędu. Ardżunie, wiem, że dla ciebie to wielkie ryzyko. Dlatego też nie powiem ci, że musisz to dla mnie zrobić. Ale proszę cię o to, a decyzję pozostawiam tobie.

Oczywiście zgodziłem się. Miałem obowiązek to zrobić, jako jego uczeń. Przecież tak wiele mu zawdzięczałem, nieraz mnie ratował, w różnych sytuacjach. Powiedziałem mu, że się tego podejmę, że zaraz po powrocie na rajskie wody zabiorę się za przygotowania. A potem zapytałem go, czy

mógłbym zostać z nim jeszcze jeden dzień. Dla nas obu stanowiło to ryzyko, ale musiałem go o to poprosić. Miałem jakieś przeczucie, jakieś głębokie przekonanie, że już nigdy go nie zobaczę. Powiedziałem mu o tym, a on spokojnie zgodził się ze mną.

– Tak, to prawda – powiedział. – Ja też to wiem.

– Widzisz to?

– Tak.

– Dlaczego? Co się wydarzy?

– Nie wiem. Nie wszystko potrafię zobaczyć, ale to widzę. To, że widzimy się po raz ostatni.

– Jak to możliwe, że obaj widzimy coś takiego? Czy to już się wydarzyło, cokolwiek by nie miało się wydarzyć? Ale jak to możliwe?

– Nasze ograniczone umysły sądzą, że czas przypomina tor kolejowy, Ardżunie, biegnący w przód, zawsze ku przyszłości. Ale czas jest dużo bardziej skomplikowany.

– Czy myśmy już się rozstali, w przyszłości?

Garu–dzi pokręcił głową.

– W każdym momencie zawartych jest wiele możliwości. W każdej minucie możemy dokonywać wyborów. Nie jesteśmy maszynami poruszającymi się po wyznaczonym torze, nie. Ale nie ma czegoś takiego jak całkowita wolność. Wiąże nas nasza przeszłość, konsekwencje naszych poczynań. Poruszając się po siatce wydarzeń, możemy skłaniać się ku takiemu czy innemu wyborowi. I czasami prawdopodobieństwa zbiegają się w jakimś węźle, tworząc coś, co bliskie jest pewności. I wtedy, jeśli potrafisz słuchać i potrafisz patrzeć, wtedy wiesz.

Obaj więc wiedzieliśmy. Nie udawałem jasnowidza, którym był Garu–dzi, nie dysponowałem jego duchowymi możliwościami ani przenikliwością. Ale wiedziałem.



– Dobrze, Garu–dźi. Pamiętam, jak w jednym ze swoich prawaćanów powiedziałeś, że każde spotkanie niesie w sobie początek straty.

– Tak. Znajdujemy się nawzajem jedynie po to, aby się stracić. Strata jest czymś nieuniknionym.

– Czyli nie ma powodu rozpaczać. Być może znowu się odnajdziemy.

– Być może. Niemniej jednak Ardźunie, jeśli nawet nie spotkamy się już osobiście, nie chciałbym za wcześnie stracić cię w tym życiu.

– Proszę?

– Widzę na wschodzie czyhające na ciebie niebezpieczeństwo. Widzę wielkie niebezpieczeństwo.

– Z jakiej strony, Garu–dźi? Z czyjej?

– Nie potrafię tego powiedzieć. Ale twemu życie zagraża niebezpieczeństwo. Bądź bardzo ostrożny.

– Będę. Jak zawsze. Będę jeszcze ostrożniejszy. Jeszcze bardziej.

– A ja będę czuwał nad tobą.

Poszliśmy na spacer. Już nic więcej nie pozostało do powiedzenia czy zrobienia. Żyłem w zagrożeniu, już od wielu lat tak wyglądało moje życie, a teraz Garu–dźi mnie ostrzegł. Mogłem zwiększyć czujność, jeśli to w ogóle było możliwe. Garu–dźi lubił zielen, uwielbiał kwiaty i drzewa, często w swoich naukach mówił o potrzebie ratowania środowiska. W centrum Monachium znajdował się park, do którego poszliśmy wraz z nim i dwoma sadhu. Sadhu szli za nami w pewnej odległości, na tyle daleko, żeby nie słyszeć naszej rozmowy. Garu–dźi i ja rozmawialiśmy o rzeczach zupełnie normalnych, o cenie złota, o rosnącej liczbie dzieci z nadwagą wśród indyjskich rodzin klasy średniej, o komputerach nowej generacji, o globalnych zmianach pogody i jak to wpływa na monsuny. Po tych prowadzonych ostatnio kosmologicznych rozmowach odczuwałem ulgę, mogąc powrócić na ziemię, do tego letniego dnia, w którym spacerowały

całe rodziny, dzieci przeglądały się Garu-dźi, a psy wesoło podskakiwały. Najodważniejsze dzieciaki podchodziły do Garu-dźi, a on z nimi rozmawiał i śmiał się wraz z nimi. Kiedy tak na nich patrzyłem, pomyślałem, że to wspaniałe ujęcie: pofałdowana trawa, poruszające się na wietrze ciężkie korony drzew, silne słońce, pochylona, wspaniała głowa Garu-dźi i te smukłe blade szyje gromadzących się wokół niego dzieci. Zapamiętaj ten obraz, powiedziałem sobie, bądź tego świadkiem i na zawsze to zapamiętaj.

Starłem się wyraźnie widzieć Garu-dźi. Był tak oświecony, tak bliski doskonałości, że zdawał się bardzo daleki od świata mężczyzn i kobiet. Wiedziałem, że ceni sobie czystość, że lubi ogrody i zielen, że dysponuje rozległą wiedzą o sprawach tajemnych i że lubi zdobywać wiedzę o najnowszych nowinkach technicznych. Ale pomimo tego on zdawał się unosić nieco nad ziemią, nie potrafiłem poznać go tak, jak znałem Arwinda, Suhasini czy Bantiego. Ich znałem jak samego siebie, znałem kształt ich pragnień, wiedziałem, czego się obawiali, w jaki sposób myśleli. Umiałem przewidzieć, co zrobią, potrafiłem sterować ich pragnieniami, kierować nimi i sprawować nad nimi kontrolę. Byli moją własnością.

Kiedy natomiast zastanawiałem się nad Garu-dźi, kiedy go sobie wyobrażałem, jawił mi się jak jeden z tych wizerunków z kalendarzy Wiwekanandy czy Paramahansy, żywy i niezapomniany, ale nie do końca ludzki, a raczej wykraczający poza ludzki wymiar. Nie potrafiłem do końca pojąć tego mojego Garu-dźi. Nawet kiedy toczył się na swoim wózku metr przede mną, odchylając się tak, że jechał tylko na dwóch kółkach, a za nim, na podobieństwo warkocza komety, ciągnęła się gromadka roześmianych dzieci. Kiedyś zapytałem go o rodzinę, a on zupełnie otwarcie opowiedział mi o swoim służącym w siłach powietrznych ojcu, który dbał o sprawne działanie krajowych myśliwców i miał problemy z alkoholem. A także o

swojej matce, która cierpiała na astmę i zalewała się łzami po tym jego wypadku motocyklowym, ale też najbardziej wspierała go w duchowych poszukiwaniach i została jego pierwszą uczennicą. Znałem jego gusta kulinarne, wiedziałem, że jest wegetarianinem i że zupełnie nie jest wybredny, potrafi z takim samym entuzjazmem zachwycać się skromnym obiadem biednego rolnika, jak i wyszukaną herbatą u premiera. Chociaż to wszystko wiedziałem, zdawałem sobie sprawę, że wcale go nie znam. Pozostawał ukryty za tym swoim powściągliwym spojrzeniem, tym wchłanianiem wszystkiego, co w zamian oddawało miłość, spokój i pewność. Krocząc za nim, myślałem, że może jestem zbyt bezczelny, żywiąc nadzieję, że mógłbym zrozumieć go tak, jak rozumiałem innych ludzi. Pozostawił za sobą własne ja i stał się czymś boskim. Byłem jeszcze zbyt daleko od boskości, żeby móc pojąć tę jego boską naturę. Z mojej strony nawet próba osiągnięcia takiej wiedzy byłaby przejawem miłości własnej, świadectwem pychy. Tak naprawdę mogłem jedynie mieć nadzieję na ten moment darśanu, na chwilę przelotnej więzi. Niemniej jednak nadal kusiło mnie, żeby spróbować. Mijając dzieci, podszedłem do niego i odezwałem się.

– Garu–dzi?

– Tak, Ardżunie.

– Mam pytanie. Być może nawet trochę bezczelne.

– Tym lepiej. Pytaj.

– Czy byłeś kiedyś zakochany, Garu–dzi?

– Przez cały czas jestem, Ardżunie.

– Ale nie tak, Garu–dzi. Wiem, że kochasz mnie, i te dzieci... – wskazałem naszych małych towarzyszy – ale w jakiejś osobie. Iśk, pjar, muhabbat, Garu–dzi. Czy byłeś kiedyś diwana?

– Byłem bardzo młody, kiedy to się wydarzyło – powiedział, pokazując na swoje nogi.

– Czyli nigdy? – Wydawało mi się, że już poznałem odpowiedź. Człowiek, który zrealizował swoją najwyższą istotę, kochał jednakowo wszelkie stworzenie, taki człowiek z pewnością nie odczuwał potrzeby tego częściowego, fragmentarycznego zaślepienia, jakim była miłość drugiej osoby. Jeśli jesteś samym braminem, dlaczego miałbyś chcieć być Madźnunem? Jednak on mnie zaskoczył.

– Diwana? Tak, być może raz. Przed tym wypadkiem. Kiedy byłem bardzo młody.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Widywaliśmy się codziennie, ponieważ mieszkaliśmy w sąsiednich domach, a i tak cierpieliśmy katusze, kiedy nie byliśmy ze sobą. – Uśmiechnął się. – O to pytałeś, Ganeśu?

– Tak, Garu–dźi – odparłem skwapliwie. – A kiedy ją widziałeś, obawiałeś się każdej tak szybko uciekającej minuty.

Uśmiechnięty, niebieskooki chłopiec odezwał się po niemiecku do Garu–dźi, a on odpowiedział mu bardzo poważnie. Skinął głową w moją stronę – ponad ramieniem tego chłopca – i powiedział:

– Tak. Jakbyś przez chwilę miał swoją drugą połówkę blisko siebie, ale wiesz, że ona zostanie ci odebrana.

O mało co się nie zakrztusiłem. Czyli on jednak był człowiekiem, normalnym śmiertelnikiem, którego serce ścisnęło uczucie i który odczuwał stratę.

– Jak ona miała na imię, Garu–dźi?

Poklepał chłopca po ramieniu i pożegnał się z nim. Patrzył się na mnie, ale widział coś zupełnie innego, kogoś bardzo odległego.

– A jakie to ma znaczenie, Ardżunie? Imiona giną w czasie. Zauroczenie prowadzi do straty.

– To co się stało, Garu–dźi? Odesłano ją gdzieś?

– Tak się stało. A ja odszedłem, do mojego wypadku, a potem do samego siebie.

Potem stał się naszym guru, i teraz zamiast ją, kimkolwiek była, kochał nas. Z pewnością również ona pamiętała tę ich miłość, ale być może pocieszał ją fakt, że on wciąż ją kocha, w sposób dużo głębszy i bardziej gruntowny niż tylko tą zwykłą miłością jednego małego, nieświadomego śmiertelnika do drugiego. Poczułem się jednak lepiej, wiedząc, że kiedyś był podobny do mnie.

– Dziękuję – powiedziałem. – Garu–dźi, dziękuję, że mi to powiedziałaś.

– To nic takiego – odparł, patrząc przez ramię na grupkę dzieci, które odeszły na bok i pod przewodnictwem tego chłopca pobiegły przez pola, błyskając złotymi nogami.

W tym momencie do Garu–dźi zbliżyli się sadhu, a ja zostałem nieco z tyłu, niosąc w piersiach jak skarb tę moją wiedzę o młodym, zakochanym mężczyźnie. Poszliśmy dalej.

Jeden z sadhu mówił coś do Garu–dźi po francusku. Ten sadhu był Szwajcarem, łysiejącym rudzielcem, który otrzymał imię Prem Santam. Wśród uczniów Garu–dźi byli przeróżni ludzie, a on mówił po trochu w wielu językach. Odwrócił się w moją stronę.

– Ardżunie!

Podszedłem do niego.

– Tak, Garu–dźi?

– Prem właśnie powiedział mi, że w dalszej części parku jest miejsce, w którym Niemcy porzucają wszelką skromność. Leżą tam bez żadnych ubrań. Sugeruje, żebyśmy tam nie szli.

– Może faktycznie powinniśmy tego uniknąć, Garu–dźi.

– Dlaczego? Czyżbyś bał się zobaczyć ich ciała?

– Ja? Nie, skądże. Jestem do tego przyzwyczajony, Garu–dźi, z Tajlandii i z innych takich miejsc.

Poszliśmy więc dalej wzdłuż mieniającej się rzeki. I faktycznie, zobaczyliśmy tych Niemców, przeważnie mężczyzn, którzy leżeli na trawie i spacerowali jak gdyby nigdy nic, zupełnie się nie wstydząc. Widywałem ich już na tych odległych plażach, ich biała skóra czy pomarszczone pupy nie były dla mnie niczym nowym. Ale tutaj budziło to mój lekki niepokój. Tutaj, w tym mieście kościołów i wież z wysokimi iglicami, to widowisko nie miało żadnego sensu.

Prem coś powiedział, a Garu–dźi przetłumaczył mi to, nie odrywając wzroku od brzegu rzeki.

– Prem mówi, że oni nazywają to Freikörperkultur, kulturą wolnego ciała. Nie sądzę, żeby było to wolne czy kulturalne. Oni po prostu dali się zwieść. Na wszystko jest odpowiedni czas, miejsce i wiek. W życiu istnieją etapy, w których pewne rzeczy są stosowne. Medytujący nago w dżungli sadhu jest prawdziwie nagi. On porzuca całą kulturę. A ci ludzie wciąż są odziani w pułapki języka. Sądzą, że są wolni, ale w rzeczywistości są skrepowani swoim buntem przeciw słusznemu wstydowi. My rzeczywiście żyjemy w Kalijudze, gdzie wszystko stoi na głowie.

Wśród tych nagich ludzi było kilka kobiet, z których dwie właśnie na nas patrzyły. Jedna była jasnowłosa, typową Niemką, natomiast druga miała gęste, kręcone, czarne włosy i była bardzo wysoka. Bez wątplenia była Niemką, ale skórę miała opaloną na brązowo.

– Chodźcie – powiedział Garu–dźi. Złożył dłonie w geście namaste, kierując go w stronę tych dziewczyn. – Bo pomyślą, że patrzymy z jakiejś nieprzyzwoitej ciekawości.

Zawrócił wózek. Kiedy odchodziliśmy, oddalając się od rzeki, obejrzałem się i zobaczyłem, że ta ciemnowłosa wciąż śledzi nas wzrokiem. Garu-dzi miał rację, była bezwstydną, zuchwałą. Kutija. Ale zanim doszliśmy do wejścia do parku, zupełnie już o niej zapomniałem. Przebywałem z Garu-dzi i miałem dużo lepszy nastrój niż zazwyczaj. Moja irytacja odeszła, tak jak przyszła. Wróciliśmy do rezydencji i w ciszy zjedliśmy obiad w wielkiej sali, sadhu, Garu-dzi i ja. A potem ponownie usiedliśmy w ogrodzie przylegającym do sypialni, ciesząc się słonecznym światłem. Odczuwałem senność i odprężenie, zupełnie zapomniałem o smutku. Jeśli to był jakiś węzeł w czasie, prawdopodobieństwa sprowadzały się do tej ciszy. Czułem spokój.

– Nie powiedziałeś mi o czymś, Ardżunie – nagle odezwał się Garu-dzi.

– Czy jest coś jeszcze?

Oczywiście, że coś było. Nie powinienem był tego przed nim ukrywać. On zawsze wiedział. I to nie tylko w moich sprawach, na jego witrynie internetowej znajdowały się świadectwa dziesiątek, a nawet setek uczniów z całego świata, którzy opowiadali, że Garu-dzi ma umiejętność wyczuwania ich kłopoty, przejrzeć ich wątpliwości. On po prostu to wiedział.

– To błaża sprawa, Garu-dzi. Po tych wszystkich wielkich sprawach, o których rozmawialiśmy, głupio wydaje się w ogóle to poruszać. To dlatego nic nie mówię.

– Ardżunie, jeśli coś cię trapi, to znaczy, że nie jest tak błahe. Drobne ziarenko piasku potrafi zatrzymać całe wielkie urządzenie. Twoja świadomość panuje nad światem, który ty tworzysz, a jeśli twój umysł jest okaleczony, również twój świat jest uszkodzony. Powiedz mi, więc.

– Chodzi o tę dziewczynę.

– Tę muzułmankę?

– Tak.

– Co się stało?

– W zasadzie nic. Ostatnio rzadko ją widuję. Jest bardzo zajęta filmami i pracą. Ja też mam sporo zajęć. Kiedy się spotykamy, wszystko jest dobrze. Ona jest piękna, a także posłuszna.

– Ale?

– Ale czasami boję się. Sam nie wiem. Nie wiem, czy ona naprawdę mnie kocha. Obserwuję ją, patrzę jej w oczy, ale nie jestem w stanie tego powiedzieć na pewno. Ona mówi, że mnie kocha. Ale czy tak jest naprawdę?

Garu–dzi pokręcił głową.

– To nie jest błahe pytanie, Ardżunie. To wielkie pytanie. Nawet mędracy nie potrafią zajrzeć do serca kobiety. Sam Watsjajana napisał: „Nigdy nie wiadomo, jak bardzo kobieta jest zakochana, nie wie tego nawet jej kochanek”. Właśnie to samo dzieje się teraz z tobą.

– Ale ty, Garu–dzi, czy ty to wiesz?

– Nie, ja nie wiem. Ale nawet gdybym powiedział ci: „Tak, ona cię kocha”, co by to dało? Jaką masz pewność, że jutro będzie tak samo? Kobiety są zmienne, Ardżunie. Nie potrafią zapanować nad własnymi uczuciami, zmieniają się jak prakryti. Czy potrafiłbyś pokochać pogodę za jej stałość albo rzekę za to, że przez całą wieczność nie rusza się z miejsca? Ta miłość cielesna nie jest miłością. To tylko chwilowe zauroczenie. To mija.

– Dlaczego więc ona do mnie powraca? I udaje?

– Jest bezwzględna, Ardżunie. Dopóki zyskuje na znajomości z tobą, będziesz miał wrażenie, że może cię kocha. Na tym polega talent dziwki. Kobiety są z natury obdarzone tą umiejętnością. To nie ich wina, one muszą zachowywać się tak, jak zostały stworzone. Są słabe, a słabi mają właśnie



taką broń: kłamstwa, wybiegi, udawanie. – Chyba wyglądałem na zasmuconego, a może wyczerpanego, ponieważ zbliżył się do mnie i położył rękę na przegubie mojej dłoni. – Tę prawdę możesz poznać dopiero, kiedy sam jej doświadczysz, Ardżunie. Gdybym powiedział ci, żebyś z nią się nie wiązał, posłuchałbyś mnie. Ale mógłbyś pomyśleć, że jestem zręcznym starcem, podejrzliwie patrzącym na przyjemności. Ale teraz sam już wiesz. Przejrzałeś mają. Musimy pójść dalej, wznieść się ponad to wszystko. – Kciukiem i długim palcem wskazującym chwycił skórę na moim nadgarstku. – Jest to przydatne, ale jednocześnie nas oślepia. Ból, jaki w tej chwili odczuwasz, stanowi bramę do wiedzy. Czerp z tego naukę.

Wiedziałem, że ma rację. Ale moje ciało buntowało się przeciw temu, broniło się przed tą decyzją, którą, zdawałem sobie z tego sprawę, muszę podjąć. Mój żołądek kipiał rozpaczą. Czy po rozwiewającym się złudzeniu miłości miała pozostać tylko ta wielka beznadziejność? Miałem wrażenie, że stoję na bezkresnej, otwartej przestrzeni, na której każda piędź martwej, brunatnej ziemi oświetlona jest jakimś dziwnym, wszystko zrównującym światłem. Wzdrygnąłem się na widok tej pustki.

– Tak, Ardżunie – powiedział Garu-dzi. – Wszystko się spaliło, a tobie pozostały tylko popioły. Ale również ta szara pustka jest złudzeniem, jest tylko kolejnym krokiem na twojej drodze. Zaufaj mi. Podążaj ze mną. Za tym cmentarzem romansu jest spokój i wspanialsza miłość.

Spędził ze mną pozostałą część dnia. Byliśmy razem aż do mojego wyjazdu, późnym wieczorem. Uścisnął mnie mocno, a ostatnie słowa, jakie do mnie skierował, brzmiały:

– Nie trać wiary, Ardżunie. Nie chwiej się w swojej wierze. Będę nad tobą czuwał. Nie bój się, beta.

Nie bałem się. Nocą pojechałem samochodem do Dusseldorfu, gdzie wsiadłem w samolot do Hongkongu. Postąpiłem zgodnie z wszystkimi przyjętymi procedurami i praktykami, stosując zarówno moje własne sztuczki, których w życiu się nauczyłem, jak i fortele K. D. Jadawa, ponieważ chciałem mieć pewność, że nikt mnie nie śledzi. Robiłem to z przyzwyczajenia, chociaż wiedziałem, że nic mi nie grozi. Chronił mnie Garu-dzi. W samolocie odchyliłem fotel do tyłu i zasnąłem. Byłem bardzo zmęczony. W dwa dni narodziłem się na nowo. Coś we mnie umarło, a w to miejsce pojawiło się nowe. Garu-dzi ponownie mnie stworzył.

W trakcie tego długiego lotu śniłem o rękach Garu-dzi. Zabrałem ze sobą tę jedną jego część, to jedno zbliżenie. On sam mógł być boski, ale jego dłonie były z tego świata. Były małe i bardzo białe. Paznokcie idealnie czyściutkie. Po obudzeniu zastanawiałem się, dlaczego we śnie ciągle widziałem te ręce, dlaczego były tak doskonale realne, tak obecne, tak ludzkie. On dał mi nowe imię i nową wizję. I wspólnie możemy uruchomić nowy cykl czasu.

W Singapurze czekała na mnie zasadzka. Najpierw udałem się na Phuket, na jacht, i zorganizowałem dostawę dla Garu-dzi. W ciągu dwóch tygodni nasze kanały komunikacyjne zostały ustanowione i sprawdzone, zabezpieczone przed ewentualnymi próbami włamania. Byłem pewien, że ten sukinsyn Kulkarni bacznie mnie obserwuje, ale dopilnowałem, żeby nic do niego nie dotarło. Zadzwoiłem do Pascala i Gastona, moich towarzyszy sprzed wielu lat. Korzystaliśmy z ich statków i ich usług, które przez lata rozwinęły się (tak, oni też przy mnie się rozwinęli), ale tym razem powiedziałem im, że tę podróż muszą dla mnie odbyć osobiście. Jak za dawnych czasów, musieli przeobrazić się w załogę i kapitana. Gaston próbował się sprzeciwić, zrobił się krnąbrny jak rozkapryszone dziecko.

Mówił, że jest chory na cukrzycę i że już dawno temu wypadł mu dysk, który teraz przy najlżejszym uderzeniu podskakuje jak oszalały. Powiedziałem mu, żeby przestał jęczeć jak stara baba, żeby założył gorset i przygotował łódź. Gderał, ale zrobił, co mu kazałem. Był mi co nieco winny. Trzy tygodnie zajęło nam przygotowanie wszystkiego, a potem Gaston i Pascal, wraz z dwoma swoimi najlepszymi ludźmi, wyruszyli w drogę. Odbiór towaru przy wybrzeżu Madagaskaru poszedł gładko jak po maśle, a powrotna podróż też przebiegła bezproblemowo, po spokojnym morzu.

Rozładowali towar w pobliżu Wengurli i wrócili do domu. Ludzie Garuda odebrali dostawę i zajęli się jej dalszym transportem, do tylko im znanego miejsca przeznaczenia. Zapłaciłem Gastonowi i Pascalowi ich zwykłą stawkę, i było po wszystkim. Żadnych problemów, żadnego zamieszania.

Pomyślałem wtedy, że nadszedł czas wybrać się do Singapuru. Chciałem po raz ostatni zobaczyć Zoję i ostatecznie zerwać z nią kontakty. Pozbyłem się już tego pragnienia jej osoby, wyrosłem z tej potrzeby miłości. Chciałem do końca załatwić sprawy z Zoją i się z nią pożegnać. Nie pozostała we mnie już ani gorycz, ani gniew, i chciałem zamknąć nasz układ z honorem, bez żadnych niedomówień czy uraz. Od pewnego czasu nie widziałem się osobiście z Arwindem, a zależało mi na tym, żeby regularnie spotykać się z moimi głównymi menedżerami. Choć to ciało było tak bezużyteczne, pewnych rzeczy można nauczyć się tylko dzięki niemu. Wybrałem się więc do Singapuru, dwa dni przed przybyciem tam Zoi. Poleciałem nocnym lotem. Jak zawsze, Arwind odebrał mnie z lotniska i pojechaliśmy do jego mieszkania, przestrzegając po drodze wszystkich procedur bezpieczeństwa. Zawróciliśmy, sprawdzając, czy ktoś za nami nie jedzie i czy nas nie obserwują, a w połowie drogi zmieniliśmy samochody. To profesjonalne

podejście weszło nam już w krew, wykonywaliśmy te czynności, nawet nad tym się nie zastanawiając. Nisko nad nami wisiała pyzata tarcza księżycy. Rozmawialiśmy o interesach, o inwestycjach i o sprawach osobistych. Trochę też plotkowaliśmy o jednym z asystentów Sulejmana Isy, niejakim Hamidzie. Ten Hamid mieszkał w Karaczi i za pośrednictwem poczty elektronicznej i telefonu romansował z żoną swojego najważniejszego rewidenta na Bombaj, kiedy ten biedny maderćod gnił w więzieniu. Arwind niedawno miał okazję odsłuchać taśmę z założonego na telefon tej żony policyjnego podsłuchu i opowiadał mi o tym, naśladowując stękanie i jęczenie tej randi, która mówiła Hamidowi, jak to będzie lizać jego drąga.

– Bhai – powiedział – żyjemy w zdumiewających czasach. Jej mąż siedzi w więzieniu. A ona wysyła do Hamida e–maile ze swoimi zdjęciami, fotografie przedstawiające ją w stroju bikini.

– Dla nas to akurat dobrze, że mają takie metody zarządzania. Dzięki temu nowego znaczenia nabierają te słowa, które mówi się chłopakom: „Jeśli będziecie musieli pójść za nas do więzienia, my zajmiemy się waszymi żonami i dziećmi”.

– Zgadza się, bhai. W końcu ten mąż siedzi już od pięciu lat. A kobieta ma swoje potrzeby, które trzeba zaspokoić. – Arwind wychylił się przez okno samochodu, wsuwając kartę do szczeliny w ścianie, żebyśmy mogli wjechać przez podwójnie zabezpieczoną bramę do budynku mieszkalnego. – Wiesz, bhai, na koniec tej rozmowy Hamid wyznaje jej: „Nigdy w życiu nikomu tego nie mówiłem”. A potem dodaje po angielsku: „I love you”. A ona odpowiada mu, też po angielsku, „I love you”.

– Pewnie nigdy nie powiedział tego swoim trzem żonom, sukinsyn.

Arwind uśmiechnął się.

– Może nie po angielsku.

Obfite kształty i wyraz zadowolenia na twarzy jego żony świadczyły o tym, że on w wielu językach mówi jej, że ją kocha. Dzieci spały, ale zatrzymałem się w drzwiach ich oddzielnych pokoi, żeby rzucić okiem na chłopczyka i dziewczynkę. Powiedziałem Suhasini, że wyrosły, od kiedy widziałem je ostatnio, dwa miesiące temu. To nie były tylko komplementy. Nawet kiedy leżały w łóżkach, zauważyłem gigantyczną długość ich nóg. Jedno miało dopiero siedem, a drugie pięć lat. Zanim te cudaczne kwiaty z ogrodu Arwinda przestaną się rozwijać, oboje osiągną sześć stóp wzrostu. Zjadłem trochę ryżu z dalem i porozmawiałem z dumnymi rodzicami o tych błyskawicznie rosnących maluchach.

– To wszystko kwestia protein – powiedziała Suhasini, ocierając gruby podbródek końcem palu. – Za naszych czasów w Indiach zawsze czegoś nam brakowało. Wszyscy byliśmy niedożywieni. Ale teraz, dysponując odpowiednią wiedzą, można dać dzieciom wszystko, co jest im potrzebne. Tylko nam wydaje się dziwne, że tak szybko rosną. A tak naprawdę to zupełnie normalne.

Te całe jej singapurskie proteiny powodowały, że sama rozwijała się w idealnie okrągłą piłkę futbolową, ale nie powiedziałem jej tego. Pochwaliłem dzieci i poszedłem spać. Kiedy już miałem zasnąć, Zoja zadzwoniła do mnie z Bombaju.

– Tak mi przykro, bhai – powiedziała. – Jestem spóźniona.

Tego dnia zakończyła zdjęcia o czasie, kręcili na miejscu, ale w drodze powrotnej do miasta utknęli w siedmiomilowym korku na autostradzie. Trzy jadące z nadmierną prędkością ciężarówki okręciły się wokół siebie. Sześć godzin zajęło uprzątnięcie tej pozwijanej płataniny. Było jej bardzo przykro i bardzo się bała. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej spóźnić na spotkanie ze mną.

Ale ja już naprawdę wykroczyłem poza sferę namiętności i gniewu. Spokojnie powiedziałem jej, żeby dobrze wypoczęła w nocy i przyleciała następnego dnia. A potem zamknąłem oczy i odpoczywałem.

Następnego dnia rano czułem znudzenie. Odbyłem poranną naradę z Arwindem, zadzwoniłem do Bantiego. Zajmowałem się interesami, ale zaplanowałem, że ten dzień spędzę z Zoją. Spodziewałem się poważnych rozmów, być może łez. A tu okazało się, że nie mam nic do roboty. Pooglądałem telewizję. Pobawiłem się z tymi baćcami. Kiedy przyszła pora obiadu, rozgorzała dyskusja, skąd zamówimy jedzenie. Arwind chciał zjeść coś z kuchni indyjskiej, ale przegłosowaliśmy go.

– Bhai, w centrum handlowym Singapuru jest nowa, kantońska restauracja – powiedziała Suhasini, aż drżąc z łakomstwa. – Mają fantastyczne jedzenie. Ale nie dostarczają do domu. Powiedz mu, żeby pojechał.

– To kawał drogi – odparł Arwind. – A na naszej ulicy są trzy chińskie restauracje.

– Ja pojedę – odezwałem się.

– Co? – zapytali jednocześnie, oboje tak samo skonsternowani.

– Muszę wyjść na świeże powietrze – powiedziałem.

– Ależ, bhai? – odezwał się Arwind.

Nie musiał nic dodawać. W Singapurze nigdy nie wychodziłem z domu, nie zdarzyło się to ani razu. Nawet w Tajlandii rzadko opuszczałem jacht. Odkryłem się, żeby udać się do Niemiec, ale rozumiano, że sytuacja jest nadzwyczajna, wyjątkowa. A tu nagle, ni z tego ni z owego, proponowałem, że skoczę po chińszczyznę.

– Muszę się przewietrzyć – powiedziałem. Znał mnie na tyle, żeby nie dyskutować.

– Wyślę z tobą kilku chłopaków.

– Are, baba, nie. – Pokazałem na swoją twarz. – Ona dostatecznie mnie chroni. Nikt już mnie nie zna.

Pojechałem po jedzenie. Kiedy już znalazłem się na głównej drodze, pozwoliłem samochodowi się wykazać. Jechałem szybko, lawirowałem między pojazdami i upajałem się wolnością. Miło było czuć się zwyczajnym, nieznanym nikomu człowiekiem, który jedzie po chińskie jedzenie. Ta rola chłopca na posyłki sprawiała mi prawdziwą przyjemność, kiedy wchodziłem do restauracji i zamawiałem jedzenie, a potem za nie płaćłem i dziękowałem małej, chińskiej recepcjonistce. Próbowałem wyobrazić sobie, co ona widzi – Indusa po trzydziestce, czystego, w śnieżnobiałym T-shircie, szarych krótkich spodenkach i białych butach Nike, dosyć przystojnego, ale poza tym zupełnie przeciętnego. Czy w moich oczach mogła dostrzec coś, co mówiło by, kim naprawdę jestem? Ale ja byłem bezpieczny za szarymi, przyciemnionymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

Kiedy z powrotem rozsiadłem się w fotelu samochodu i włączyłem klimatyzację, która uderzyła we mnie szybką i mocną falą, naszła mnie myśl, że siedzę w bardzo droгим samochodzie. Czułem skórę pod udami, mięciutką jak policzek młodej dziewczyny. Był to nowy model mercedesa, wyposażony we wszystkie najnowsze gadżety, łącznie z systemem GPS. Ależ sukinsyn z tego Arwinda. Po co mu był GPS w tym ćutijowym małym mieście? Skąd było go stać na to wszystko? Czy zbyt dużo pieniędzy zatrzymywał, czy zbyt wysoki procent dostawał? A może mnie okłamywał, kiedy podawał mi swoje różne przychody? Te pytania dręczyły mnie przez całą powrotną drogę. Słuchałem kompaktu z muzyką z *Międzynarodowej Dhamaki* i trapiłem się tym.

Parkując samochód i wjeżdżając na górę windą, wciąż jeszcze myślałem o tych pieniądzach. Moja firma miała się dobrze, ale tempo rozwoju spadło. Być może powinienem wprowadzić drastyczne środki oszczędnościowe, w celu uświadomienia moim ludziom potrzeby finansowych ograniczeń i odpowiedniego zarządzania zasobami. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo głodny. Trzymane przeze mnie w obu rękach paczki z jedzeniem pachniały przyprawami i mięsem. Kiedy w końcu winda zatrzymała się na naszym piętrze, palcem u nogi zastukałem w jej drzwi. Otwieraj się, gandu.

Wyszedłem na korytarz. Po obu stronach windy, twarzą w jej stronę, stało dwóch ludzi.

Nie znałem ich. Jeden z nich był Chińczykiem, a drugi Indusem. Obaj mieli krótkie włosy, wysoko przycięte po bokach na wojskową modłę.

– Gdzie idziesz? – zapytał Chińczyk.

Co cię to obchodzi, maderćodzie? – już chciałem powiedzieć. Czułem, jak to pytanie wzbiera w moich trzewiach, ale zdążyłem się jeszcze zastanowić. W tej wieczności, zamkniętej w jednym ułamku sekundy, zdążyłem znaleźć czas, żeby nad tym pomyśleć. Dzięki ci, Garu-dzi. Powiedziałem więc:

– Jedzenie. – Uniosłem trzymane w obu rękach torby. – Dostawa – dodałem. – Na ostatnie piętro.

– Oni już tego nie potrzebują – odezwał się ten Indus, mówiąc w języku hindi. – Nie ma ich.

Moje ciało odruchowo zapragnęło odwrócić się i rzucić do ucieczki. Do windy, po schodach w dół, gdzieś daleko. Ale wciąż myślałem. Nie wzbudzaj ich podejrzeń.

– A pieniądze? – zapytałem. – Muszą mi zapłacić.

– Zjeżdżaj – odparł Chińczyk.

– Spływaj – dodał Indus.



Zacząłem kląć pod nosem i odwróciłem się w stronę windy. Nacisnąłem przycisk, nadal przeklinając. Indus zrobił krok do przodu i położył rękę na drzwiach.

– Pracujesz dla ludzi z ostatniego piętra?

– Nie. W restauracji Wongs Garden.

– Jak się nazywasz?

– Nisar Amir.

– Ściągnij okulary.

Wciąż miałem na nosie moje okulary firmy Gucci. Odłożyłem jedną torbę i je zdjąłem. Przyjrzał się mojej twarzy, obrzucił mnie tym policyjnym spojrzeniem, które w jednej chwili przeglądało tysiące zapamiętanych wizerunków apradhich, szukając podobieństwa. Nie odwróciłem wzroku i starałem się nie czuć do niego nienawiści. Pomyślałem, że muszę być roznosicielem.

– W porządku – puścił drzwi.

Cichy stukot gumy i metalu ukrył mnie przed nimi, a ja opadłem na znajdujące się z tyłu windy lustro. Nogi mi drżały. Torby z jedzeniem zabrałem ze sobą do podziemi budynku, trzymając je przy piersiach, jak tarczę. Wsiadłem do ekstrawaganckiego samochodu Arwinda i odjechałem.

Dopiero po trzech dniach udało mi się wyjechać z Singapuru, i to ze sporymi trudnościami. Nie wiedziałem, kim byli ludzie, którzy odnaleźli mnie w tym apartamencie na ostatnim piętrze. Ale po przeszukaniu mieszkania mieli już mój nowy paszport, a więc znali też moją nową twarz. Miałem tylko dwa telefony komórkowe i trzysta siedemdziesiąt trzy singapurskie dolary. Ale mogłem skontaktować się z moimi ludźmi i miałem swój rozum. W końcu wydostałem się małą łodzią wiosłową, która zawiozła mnie na większy statek, a tam leżałem pod drewnianymi deskami, ukryty w cuchnących rybami ciemnościach. Ten statek przewiózł mnie

przez cieśninę Johor, do kolejnej małej łodzi, która w końcu wyrzuciła mnie na malezyjskiej plaży. Dzień później dotarłem do Tajlandii.

Byłem bezpieczny, ale Arwind zginął. Dzień po moim wypadzie po chińskie jedzenie singapurska policja podała do wiadomości, że znaleziono go martwego, w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze budynku. Dostał trzy kule. Suhashini została tylko raz postrzelona, w głowę. Zginęły również ich dzieci. Zgodnie z wersją podaną przez władze Singapuru w apartamencie na ostatnim piętrze doszło do strzelaniny. Suhasini otworzyła drzwi nieznanym napastnikom i zginęła na miejscu. Arwind zaczął strzelać do atakujących, a oni odpowiedzieli tym samym, i w tym krzyżowym ogniu zginęła dwójka dzieci. A potem padł również Arwind, trafiony seriami z broni zabójców.

I tyle. Singapurska policja wyraziła oburzenie tak bezprecedensowym przykładem gwałtownej fali brutalnych działań wojennych na terenie ich miasta–ogrodu i zapowiedziała zaostrzenie kontroli imigracyjnej. Cztery dni zajęło im rozszyfrowanie fałszywego nazwiska Arwinda, dojście do tego, kim w rzeczywistości był, a potem indyjskie gazety na pierwszych stronach publikowały artykuły o tej masakrze, snując domysły o tożsamości zabójców. Przypisano zasługi Sulejmanowi Isie i jego ludziom, chwalono ich plan oraz zuchwałość we wprowadzeniu go w życie, w tak surowym mieście jak Singapur, i drukowano schematy przedstawiające wszystkie pomieszczenia tego apartamentu wraz z uproszczonymi postaciami ludzi, którzy strzelały do siebie nawzajem. Stawiano też pytanie „Ale jak udało się uciec Ganeśowi Gaitondemu?”.

To prawda, udało mi się uciec. Ale komu uciekłem? Łatwo było uwierzyć, że po raz kolejny chodziło o ludzi z Dubaju. Ale to byłoby zbyt łatwe, zbyt proste. Wciąż pamiętałem te ich krótkie włosy. Czyż ci dwaj mężczyźni przed windą nie przypominali policjantów albo żołnierzy? Może

to nie Sulejman Isa zorganizował ten zamach, może to sprawka rządu? Kulkarni i jego organizacja byli na mnie wściekli, może doszli do wniosku, że nadszedł czas, żeby zakończyć operację i zamknąć sprawę. Może postanowili wykończyć Ganeśa Gaitondego. Przecież sam wykonywałem podobne zlecenia, kiedy oni szukali jakiegoś cennego, ale już skompromitowanego współpracownika. Zlikwiduj tego faceta, mówili mi, on kiedyś dla nas pracował, ale teraz jest przeciwko nam. A przynajmniej nie jest z nami. I robiłem to, znajdowałem biednego ćutiję w Kathmandu, Brukseli czy Kampali i go zabijałem. Każdego, kogo tylko wskazali, wszystkich bez wyjątku. Wykonywałem takie zadania. A teraz oni mnie ścigali.

Nie, nie – starałem się nie dawać temu wiary. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, mówiłem sobie. Nie zadrećzaj się tak, nie wierz, że twój własny kraj tak bardzo tobą gardzi i chciałby, abyś zniknął, został wymazany, skończony. W tym tygodniu trzykrotnie rozmawiałem z Kulkarnim, a on zawsze sprawiał wrażenie zatroskanego tym, co się stało. Powiedział mi, że ze swojej strony prowadzi bardzo dokładne śledztwo, i obiecał, że wszystkie nadchodzące z Singapuru informacje zostaną mi natychmiast przekazane. Po tych rozmowach telefonicznych zawsze odkładałem słuchawkę pokrzepiony na duchu, ożywiony. Już jednak pięć minut później dogrzebywałem się subtelnej trucizny w tym całym jego miodzie. To prawda, że mnie uspokajał, ale być może po prostu zastawiał na mnie pułapkę przed kolejnym atakiem. Może oni już mieli na miejscu obserwatorów, może już zaczęło się rozstawianie ludzi i lada moment mieli wykluczyć mnie z gry. Tak. Kto mógł mnie zdradzić w Singapurze, kto znał adres apartamentu na ostatnim piętrze, szyfry zabezpieczające bramę budynku i windę, i dostatecznie dużo wiedział, żeby odciąć rozmieszczone wzdłuż wszystkich korytarzy kamery wideo? Skąd nadeszły informacje?

Czy to Zoja mnie zdradziła? Dlaczego spóźniła się na samolot? Tego dnia rzeczywiście był korek na autostradzie, sprawdziłem to, ale dlaczego tak późno wyjechała z planu? A może to Arwind wszedł z kimś w układ, a potem sam został zdradzony? Czy zabójcy dostali polecenie thoknąć również informatora, żeby sprawa była czysta? To było możliwe. To wszystko było możliwe.

Leżałem pod oświetlonym pełnią księżyca tajskim niebem, nie mogąc zasnąć i wciąż analizując różne możliwości. A rano, po przebudzeniu, czułem strach. Garu-dzi powiedział, że mojemu życiu zagraża wielkie niebezpieczeństwo, a ja zdawałem sobie sprawę, że ono nie minęło. I znowu, po tylu latach, zacząłem chodzić z bronią. Po dwóch dniach dołożyłem jeszcze dodatkowy pistolet, przypięty do łydki. Kazałem ściągnąć z Ameryki najlepszą kamizelkę kuloodporną i za dnia nosiłem ją pod koszulą, uspokojony jej zabezpieczeniem klasy III, dającym gwarancję powstrzymania kul z magnum. 44, zanim dosięgłyby mojej piersi czy pleców. Zwiększyłem liczbę uzbrojonych strażników na jachcie i trzy razy dziennie zmieniałem wachty. Czasami spałem na łodzi, a czasami w różnych domach na lądzie, zmieniałem też trasy, po których się poruszałem. Zachowywałem wszystkie możliwe środki ostrożności.

Tymczasem na moją głowę spadały kolejne nieszczęścia. Pewnego popołudnia zadzwonił do mnie Banti, był jakiś bardzo przygaszony, zupełnie nie czuło się tego jego zwykłego, radosnego nastroju.

– Bhai – powiedział. – Jestem w klinice.

– Co się stało? – Wyobrażałem sobie tuzin tragedii naraz: syfilis, kule, jego dzieci wyniszczone przez malarię.

– Chodzi o Pascala i Gastona. Obaj są tutaj, bhai. Zostali przyjęci do szpitala.

– Co takiego, przecież tylko Gaston ma cukrzycę, zgadza się? A ten drugi złapał to od niego, tak?

Trochę go rozbawiły moje słowa, ale tylko troszkę.

– Nie, bhai. To coś innego. Obaj są chorzy. A także ci dwaj ludzie, którzy wraz z nimi popłynęli wtedy łodzią w ten ostatni kurs. Wszyscy przez cały czas bez przerwy wymiotują.

Mówił o tej podróży, którą zorganizowaliśmy dla przeznaczonego dla Garu-dzi ładunku, tego ostatniego i bardzo specjalnego, o który mnie poprosił.

– Musieli zjeść jakąś zepsutą rybę, głupie palanty – powiedziałem.

– Gastonowi wypadają włosy z głowy, bhai.

– Tak dzieje się już od lat.

Banti nic nie odpowiedział. Nastrój miał zdecydowanie posępny. Już sam fakt, że znalazł czas, żeby pojechać do kliniki, był niezwykły. Należał do ludzi bardzo zajętych, sam o to dbałem. Ale teraz wcale nie było mu do śmiechu, temu Bantiemu, który codziennie żartował sobie z ludzi postrzelonych w goli. Stan Gastona faktycznie musiał być poważny, zbyt poważny.

– No, dobra – powiedziałem – posłuchaj, załatw im lekarzy. Jeśli potrzebne są jakieś pieniądze, nie szcędź ich. Zajmij się tymi ludźmi.

– Tak też właśnie myślałem, bhai. Od tak dawna są z nami.

Przez następne dwa dni czuwał nad nimi, próbując zmusić lekarzy, żeby wyleczyli naszych przyjaciół. Tymczasem zadzwoniłem do inspektora Samanta i zorganizowałem mu dwie akcje, wystawiłem mu dwóch rewidentów Sulejmana Isy w Bombaju. Jeszcze tej samej nocy zlikwidował tych dwóch ludzi, jednego po drugim. Chociaż te sukinsyny z Dubaju nie przypisywały sobie zasług za atak na Arwinda, i tak chciałem im pokazać, że nie śpimy, że jesteśmy w stanie odpowiedzieć w zrozumiałym dla nich

języku. Te akcje sprawiły mi satysfakcję, zwłaszcza kiedy Samant przesłał mi e-mailem zdjęcia z kostnicy, na których zobaczyłem tych martwych sukinsynów z głowami roztrzaskanymi przez kule. Ale radość trwała krótko, a ja nieustannie czułem stały, stłumiony werbel strachu.

– Może przysłać ci jakąś dziewczynkę? – zapytała Dźodźo tego sobotniego wieczoru. – Mam jedną czy dwie nowe, które mogą cię trochę rozerwać.

– Are, ja z tym już skończyłem.

– Nie wierzę ci, Gaitonde. Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Już nigdy nie weźmiesz żadnej dziewczyny? W całym twoim życiu?

– Może wezmę, a może nie. Ale teraz to nie jest już tak istotne. Jestem już ponad to.

Jęknęła piskliwie, jak szczeniak przeszyty bólem. Pomyślałem, że może również ona nagle się rozchorowała. Ale po chwili wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem. Odsunąwszy słuchawkę od ucha, powiedziałem:

– Dźodźo, maderćod, posłuchaj mnie.

Ale jej nie w głowie było słuchanie, odłożyłem więc telefon i czekałem. Odczekałem minutę, potem drugą i w końcu podniosłem telefon. Teraz chichotała, ale kiedy ja tylko wypowiedziałem jej imię, wszystko zaczęło się od nowa.

– Zwariowana ćutija – powiedziałem i rozłączyłem się. W tym momencie pragnąłem, żeby mogła stanąć tu przede mną, żebym mógł chwycić ją za gardło i zdławić ten ohydny dźwięk. Chciałem, żeby charczała, żeby jej twarz nabiegła czerwienią, aż w końcu ona umilkłaby, a ja ściszałbym i ściszał. Przechadzałem się tam i z powrotem po kabinie, wyszedłem na pokład i po chwili powróciłem na dół. Kutija. Za bardzo pozwoliłem jej

spoufalić się ze mną, na zbyt wiele sobie pozwalała. Może trzeba dać jej nauczkę. Od samego początku bardzo dużo uchodziło jej na sucho.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, zadzwoniła.

– Sali – zacząłem.

– Przepraszam cię, przepraszam – powiedziała. – Naprawdę. Gaitonde, musisz mi wybaczyć. Po prostu ogromnie mnie to zaskoczyło. Kto jak kto, ale właśnie ty. Ty, który tak lubisz kobiety. Trudno uwierzyć, że coś takiego mówisz.

– Gandu, ty po prostu boisz się, że tracisz klienta. Chciałabyś, żebym wydawał pieniądze na kolejną Zoję, żebym ją stworzył, a ty dostałabyś swoją działkę.

– Ja tylko próbuję cię uspokoić, Gaitonde. Nigdy taki nie byłeś. A przecież sam mówiłeś mi kiedyś, że przy prowadzeniu firmy trzeba zachować spokój i dystans. Teraz wcale nie jesteś spokojny.

Miała rację, nie byłem spokojny. Byłem wzburzony, przestraszony, wściekły.

– Teraz dziewczyna mnie nie uspokoi – odezwałem się. – Musisz spróbować czegoś innego.

– Może poczytać ci listy?

Już od dawna nie zabawialiśmy się tymi podaniami od potencjalnych modeli.

– Tak, tak – odparłem. – To dobry pomysł. Przeczytaj coś.

Miała przygotowanych kilka listów, leżały tuż obok, na jej biurku. Napływały do niej stałym strumieniem, który wzbierał i wylewał po telewizyjnych konkursach „Twarz roku” i „Światowy mężczyzna”.

– Okay. Posłuchaj. Przeczytać ci list z wioski Golgar, poczta Fofural, okręg Dhar, Madhja Pradeś? A może wolisz z miasta Kuchaman, okręg Nagaur, Radżasthan?

– Fofural? Nie, w to nie uwierzę.

– Może to jest Fofunal. On nie pisze zbyt wyraźnie po angielsku. Adres jest napisany po angielsku. Przeczytać ci tę jego widokówkę?

W wiosce Golgar, poczta Fofumaderćod i tak dalej, pisano po angielsku, no, no. Na samą myśl zakręciło mi się w głowie.

– Nie, zostawmy tego bhadwaję w Golgarze. Rzadko słyszymy coś z Radżasthanu. Niech głos zabierze ktoś z Radżasthanu.

– Dobra. Nazywa się Śailendra Kumar. Kumar pisze... – Zwolniła nieco, mozoląc się nad językiem hindi. – U góry widokówki umieścił coś takiego: *Om Ewam Saraswatie Namah*<sup>44</sup>. A pod spodem małe zawijasy.

– Czyli nasz Śailendra to pobożny chłopak. Bardzo dobrze.

– Pisze, *Dear Sir/Madam*. To po angielsku. Ale potem przechodzi na hindi. „Mam na imię Śailendra. Obecnie uczę się w dwunastej klasie. Pragnę zrobić karierę jako model. Mam osiemnaście lat i pięć stóp i jedenaście cali wzrostu. Mam imponującą osobowość. Brałem udział w wielu szkolnych przedstawieniach”.

Dźodźo urwała. Wiedziałem, na co ona czeka – w tym momencie ja miałem powiedzieć coś uszczypliwego, coś zabawnego na temat tego Śailendry, aktora ze wsi, który marzył o tym, żeby w wielkim mieście chodzić po wybiegu. Potem wspólnie mieliśmy się śmiać, dwójka szczęśliwców, którzy wyrwali się ze swoich własnych wsi, a potem czytaliśmy dalej. Ale dziś czułem tylko smutek, myśląc o tym Śailendrze, o tym regionalnym bohaterze, obdarzonym osobowością, która stanowiła temat rozmów idących polami dziewczyn, on może nawet czasami jeździł na motocyklu, pożyczonym od wujka. Był wysoki, więc doszedł do wniosku, że powinien przyjechać do Mumbaju. Żeby być jeszcze większym.



– Dźodźo – powiedziałem. – Jestem bardzo zmęczony. Chyba spróbuję zasnąć.

– Tak wcześnie?

– Zobaczę – odparłem. – Może rano poczuję się lepiej. – Przez chwilę zawahałem się, a potem zapytałem: – A ty, jak się masz, Dźodźo?

Moje pytanie na moment ją uciszyło. Nigdy wcześniej o to nie pytałem.

– Are, Gaitonde, u mnie świetnie. W interesach nie najlepiej, ale w końcu cała gospodarka kuleje, nikt nie ma pieniędzy. Jakoś sobie radzę.

– Masz jakiegoś thoku?

– Jasne. Nawet dwóch. Ty może skończyłeś już z kobietami, ale ja jeszcze potrafię zrobić jakiś pożytek z mężczyzn. – Roześmiała się w ten swój charakterystyczny sposób, i tym razem wywołała nieznaczny uśmiech na mojej twarzy. – Chociaż tyle jest z nimi kłopotów, Gaitonde. Ciągłe chcą tego i tamtego. Czasami sama zastanawiam się, dlaczego się tym przejmuję. I tak żaden mężczyzna nie potrafi zaspokoić mnie tak, jak mój wibrator.

Teraz już musiałem się roześmiać.

– Jesteś bezwstydna.

Naprawdę była bezwstydna. Jeszcze tej samej nocy rozmyślałem o mojej przyjaciółce Dźodźo. Inni przychodzili i odchodzili, umierali, znikali, ale Dźodźo – ta, z którą nigdy osobiście się nie spotkałem, z którą nie zjadłem nawet jednego posiłku, której nigdy nie dotknąłem, nigdy nie wziąłem – ona wciąż była przy mnie. Czasami całymi dniami nie rozmawiałem z Dźodźo, ale ona zawsze była obok mnie, i we mnie. Nie bała się niczego, mówiła mi wprost, co myśli o moich poczynaniach, udzielała mi rad i mnie wysłuchiwała. Znała mnie, a w tych ostatnich dniach, kiedy tak bardzo targały mną obawy, jej jedynej ani przez chwilę nie podejrzewałem o zdradę. Po prostu nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby przekazać jakąś informację gangsterom, chociaż faktycznie wiedziała o mnie więcej

niż wiele innych osób. Staralem się teraz pomyśleć o Dźodźo obiektywnie, zapomnieć o swoim osobistym zaangażowaniu i spojrzeć na nią oczami kogoś zupełnie obcego – była kobietą interesu, producentką, burdelmama, kobietą rozwiązłą, zarówno pod względem zachowania, jak i myśli. Z każdego logicznego punktu widzenia była osobą niegodną zaufania, ale ja jej ufałem. Nie mogłem wyobrazić sobie niczego – że zrobiła to dla pieniędzy, wydała mnie, ulegając groźbom wrogów, zrobiła to z kaprysu czy przez pomyłkę – absolutnie niczego, co mogłoby poruszyć moje niewzruszone zaufanie do niej. Dałem sobie spokój.

To była po prostu Dźodźo, istniała w moim życiu, wplątana w jego losy, jak ścięzna oplatające moje kości. Nie wiedziałem, jak do tego doszło ani dokładnie kiedy, ale wiedziałem, że bez niej zostałyby po mnie tylko jałowa, rozdygotana kupka. Ona musiała zostać przy mnie, musiała być ze mną.

Tej nocy nie mogłem zasnąć i dwa razy do niej dzwoniłem. Opowiedziała mi różne historie o swoich thoku, a ja bez przerwy chichotałem i rechotałem. Nagle zrobiła się czwarta rano, leżałem z otwartymi oczami i było już zbyt późno, żeby znowu do niej dzwonić. Garu-dźi był w podróży i nie miałem z nim kontaktu. Pomyślałem, żeby wyjść na pokład, ale byłem wyczerpany, tak zmęczony, że dokładnie odczuwałem każde drgnięcie łydek, aż po uda. Zegar przy łóżku migotał coraz wolniej, powolnym, niespiesznym rytmem, i w końcu zupełnie się zatrzymał. Czas rozplynął się w lepkiej głębinie światła księżyca, a ja się w niej unosiłem, jakaś przejrzysta forma cofała się i odpływała do tyłu, niesiona kłębiącymi się falami. Przez chlupoczące bagno idę szybkim krokiem za Salimem Kaka. Po mojej prawej kroczy Mathu. Mamy złoto, udało się nam uciec. Jesteśmy szczęśliwi. Przed nami widzę wodę, wąski strumień przecinający błoto. Salim Kaka staje nad krawędzią. Wpatruję się w twarz Mathu, staram się

dostrzec jego oczy. Salim Kaka opuszcza nogę, stawia ją w wodzie. A ja trzymam pistolet w dłoni.

Wystarczy, trzeba wstać. Wyskoczyłem z łóżka. Otworzyłem szeroko drzwi i ruszyłem korytarzem, pukając po drodze do wszystkich drzwi. Obudziłem chłopaków i zabrałem ich na górę.

– Pooglądajmy jakiś film – zaproponowałem.

Nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, byli rozespani, ale o nic nie pytali. Po dziesięciu minutach wszyscy siedzieliśmy przed telewizorem, kłócąc się, co oglądać. Zaproponowali, żebym zobaczył *Company*, film, którego jeszcze nie widziałem. Ale już znałem fabułę, kryjące się w niej zdrady, poznałem też prawdziwych aktorów, Chotę Madhawa i jego dawnego przyjaciela z Karaczi. Dzisiejszego ranka nie chciałem oglądać ani strzelaniny, ani krwi. Zaczęli więc grzebać w pudłach pełnych kaset i filmów na DVD, i w końcu zgodziliśmy się oglądać *Humdźoli*.

Oglądaliśmy Dźitendrę i Mehmuda, którzy skakali po ekranie i rozbijali w pył swoich wrogów, jednocześnie śpiewając *One, two, ćalsuru hodźd*<sup>45</sup> a wypełniający pokój śmiech pomógł mi oderwać się od problemów. Żywe kolory z lat siedemdziesiątych działały kojąco, i nawet obcisłe, białe spodnie Dźitendry poprawiały mi samopoczucie. Ta przeszłość była jakimś obcym krajem, do którego mogłem uciec; schronieniem, które już się wydarzyło i którego nic nie mogło już zakłócić. Przez następne dwa dni zobaczyliśmy *Dii Dija Dard Lija*, *Anand* i *Hathi Mere Sathi*. Kiedy zadzwonił telefon z Bombaju, oglądałem właśnie tę scenę pod koniec *Guide*, kiedy Rosie przychodzi zobaczyć głodującego przewodnika.

– Bhai, dzwoni Nikhil, z Mumbaju. Asystent Bantiego. – Otarłem łzy z oczu i wziąłem telefon. Rzadko rozmawiałem z tym Nikhilem, który już od czterech lat pracował z Bantim. Nikhil odpowiadał przed Bantim, a Banti przede mną, tak wyglądała nasza hierarchia.

- O co chodzi? – zapytałem.
- Postrzelono Bantiego, bhai.
- Kto?
- Nie wiem.

Przez cały czas przełykał ślinę, czkając mi prosto do ucha, i miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Nikhil – powiedziałem. – Usiądź spokojnie. Siedzisz? Usiądź. Nie martw się. Chłopcy są już w drodze. Powiedz mi tylko, co się stało.

Zajęło mi to dwadzieścia minut, podczas których on dwukrotnie się zapluł, ale w końcu udało mi się wyciągnąć z niego całą historię. Tego ranka Banti wybrał się do Dźuhu Maurji, na tajski masaż. Potem miał spotkanie przy śniadaniu w kawiarni, gdzie zapakowano mu kawałek toru czekoladowego dla jego dzieci. Zaczekał w holu, aż podjedzie jego samochód, i w otoczeniu trzech ochroniarzy zszedł po schodach. Na podjeździe stało trzech wysokich odźwiernych, w turbanach i w liberii, którzy zajmowali się otwieraniem i zamykaniem drzwi, a także czterech strażników hotelowych, w szarych ubraniach w stylu safari. W pewnym momencie tych czterech strażników sięgnęło pod koszule, wyciągnęli glocki i strzelili do Bantiego i do jego ludzi, oddając po dwa strzały w każdy z celów. Zrobili to bardzo elegancko i śmiertelnie skutecznie. Ochroniarze zostali zdmuchnięci z powierzchni ziemi, padli na drogę martwi. Banti schylił się, żeby wejść do samochodu, i dostał przez otwarte drzwi. Właśnie to go uratowało, to, że się schylił, oraz jego kierowca. Zamiast w tył głowy, kule trafiły go w plecy i w kark, a kiedy padł twarzą na fotel, kierowca nacisnął pedał gazu i wyrwał do przodu. Banti zwisał z auta, ciągnąc za sobą nogi, i stracił cztery palce w prawej stopie, ale przeżył. Kierowca wywiózł go przez bramę hotelu, chociaż tylna i lewe boczne szyby eksplodowały od pocisków. Jeden z sikhijskich odźwiernych

zaatakował gangsterów i za sprawianie kłopotów dostał kulkę w brzuch. Ale w tym momencie przed budynek przybiegli już prawdziwi strażnicy hotelowi, z ćauki na skrzyżowaniu dotarli policjanci, i gangsterzy musieli się zrywać. Zniknęli bez śladu.

Oni uciekli, a Banti przeżył. Leżał w szpitalu Lilawati, podłączony do rurek i kablek. Trzymał się jakoś. Walczył. Ale moi ludzie bali się, byli wściekli, dezorientowani i zagubieni. Wyczuwałem to ich przerażenie, zapowiedź tego strachu wisiała w powietrzu, jak pierwsza, słaba woń zgnilizny. Zrobiłem to, co powinienem był zrobić: zacząłem nimi kierować. Przerzucałem ich z miejsca na miejsce, szastałem pieniędzmi, poruszyłem swoje wpływy. Chcąc stworzyć chłopakom wrażenie, że kontratakujemy, w ciągu następnych dwóch dni zorganizowałem dwie akcje. Zabici ludzie Sulejmana Isy byli tylko funkcjonariuszami niskiego szczebla, jakąś hołotą, ale czasami morale zależy od śmierci małych ludzi. Dlatego też to zrobiliśmy.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie wiemy, z kim walczymy. Jeśli nawet zasługi przypisano tym sukinsynom Sulejmana Isy – a tak rzeczywiście się stało – nie miałem żadnego powodu, żeby wierzyć, że to faktycznie oni zorganizowali tę akcję. Nie, to była banda maderćodowych kłamców, i jeśli mówili, że to oni postrzelili Bantiego, pewne było, że tego nie zrobili, że to ktoś inny go obserwował, poznał i jego, i jego zwyczaje, i próbował go wykończyć. Ale kto to był? Kto?

Wiedziałem, kto. Następnego dnia porozmawiałem z Nikhilem, a potem bezpośrednio z jednym z prowadzących tę sprawę policjantów, który przeczytał mi zeznania naocznych świadków. Każdy z nich mówił o krótko przystrzyżonych włosach napastników. Jeden z sikhijskich odźwiernych użył słowa „faudzi”, opisując tych sukinsynów. Pamiętałem tych dwóch gości w korytarzu w Singapurze, tych, którzy mnie zatrzymali i

wypytywali, podczas gdy ich kumple w mieszkaniu Arwinda zajmowali się mokrą robotą. To była ta sama ekipa, wiedziałem o tym, czułem to. Może byli to nawet ci sami ludzie, sprowadzeni samolotem z Singapuru do Bombaju, przez ich szefów, przez organizację, która mnie obserwowała i wszystko o mnie wiedziała. Wiedzieli, gdzie mieszkam, gdzie jeżdżę i co robię, polowali na mnie. Chcieli mnie wyeliminować. Wykorzystali mnie, wypełniłem swoją rolę i teraz – ponieważ zajmowałem się własnymi sprawami w sposób, który im się nie spodobał – chcieli mnie sprzątnąć, wymazać, żeby nie została po mnie nawet mała plamka w ich kartotekach. Miałem przestać istnieć, a oni udawaliby, że nigdy nie istniałem.

Byłem pewien, prawie pewien, że wiem, kim są moi zabójcy. Żeby jednak mieć absolutną pewność, musiałem skonsultować się z Garu-dzi. Był mi potrzebny, chciałem, żeby ujrzał prawdę i opowiedział mi o niej. Ale powiedziano mi, że jest w podróży, nawet dla mnie był nieosiągalny. Zostawiałem mu pilne wiadomości, prosząc go i błagając, żeby się do mnie odezwał. Nie zadzwonił jednak i byłem zdany wyłącznie na siebie. Zaskoczyło mnie to. Zawsze mogłem się z nim skontaktować, nawet kiedy miałem do niego tak błahą sprawę, jak pytanie, czy przyszły wtorek to dobry dzień na rozpoczęcie nowej diety. A teraz, w godzinie wielkiego kryzysu, kiedy moi sojusznicy polowali na mnie i na moich ludzi, Garu-dzi zniknął. Zachowywałem cierpliwość, jak długo tylko potrafiłem, ale w końcu skląłem sadhu, z którymi rozmawiałem przez telefon.

– Czy wy wiecie, kim ja jestem? – zapytałem. – Czy wiecie, jak jestem z nim blisko? Ja was załatwię, sukinsyny, załatwię, że wylecicie na wygnanie do aśramy w Afryce.

Oni nadal jednak uparcie twierdzili, że nie wiedzą, gdzie on jest. Dziesięć dni po tym, jak Garu-dzi stał się nieosiągalny, na jego stronie internetowej pojawiła się informacja z wyjaśnieniem, że wycofał się w

ustronne, nieznanne miejsce, że jest pogrążony w głębokich medytacjach, w których nie można mu przeszkadzać, ale że wkrótce wróci, żeby przynieść nową i głębszą mądrość swoim uczniom, będących jego ukochanymi dziećmi.

Ale przecież ja jestem twoim najstarszym synem, gandu, a ty gdzie jesteś? Tak, już wprost go przeklinałem. Potrzebowałem go, a on zniknął bez słowa. On wszystko wiedział, musiał wiedzieć, że wyjedzie, jeszcze wtedy, kiedy żegnał się ze mną w Monachium, przecież wystarczył jakiś znak, ręka położona na moim ramieniu, jedno dotknięcie mojego policzka. Ale jego nie było.

Cztery dni po postrzeleniu Bantiego zostałem jeszcze bardziej sam – zmarli Gaston i Pascal, pierwszy rano, a drugi w nocy.

– Bhai, lekarze mówią, że wiedzą, co to było – powiedział mi Nikhil. – Wiedzą, dlaczego oni umarli. Mówią, że to była choroba popromienna, bhai.

Musiałem zapytać, co to takiego, ta choroba popromienna.

Nikhil wytłumaczył mi to, powiedział, czego dowiedział się od lekarzy.

– Oni pytali, czy Gaston i Pascal odwiedzali ostatnio jakąś elektrownię atomową, bhai. Na przykład w Trombaju. Albo czy przypadkiem nie pili wody ze studni w pobliżu Trombaju i czy nie jedli ryby złowionych w strumieniu Thane. Czy nie zbliżali się do zakładów w Tarapurze. Oczywiście powiedziałem im, że nie. Po co Gaston i Pascal mieliby odwiedzać Tarapur?

– Nikhil, czy coś im powiedziałeś?

– Nie, nie, nic. Zupełnie nic, bhai. Powiedziałem im prawdę, że Gaston i Pascal są szanowanymi biznesmenami, dobrymi mężami i ojcami. Że nigdy nie byli w takich paskudnych miejscach.

Ale oni ostatnio odbyli podróż, podróż na pełnym morzu. Ocean sam w sobie nie był paskudny, ale istniało prawdopodobieństwo złapania choroby popromiennej z tego, co przynosiły fale. Ponownie zadzwoniłem do Garu-dzi, i kiedy on i tym razem się nie odezwał, posłałem swoich ludzi do jego biura w Delhi, a także do jego domów w Noidzie i w Mathurze. Ani jego służba, ani sadhu nie wiedzieli, gdzie on jest, a jego matka powiedziała, że nic nie wie. Zniknął, ulotnił się, jakby nagle wykroczył poza swoje ciało i stał się jednością z całym wszechświatem. Ale zniknęli też najbliżsi mu sadhu, Prem Santam i ci wszyscy z jego najbliższego kręgu, którzy podróżowali z Garu-dzi i nim się zajmowali i opiekowali. Wszyscy byli w podróży. Garu-dzi nie opuścił tej ziemi, dokądś zmierzał. Ale gdzie? Gdzie miała zakończyć się jego podróż i kiedy?

Staralem się znaleźć odpowiedź na to pytanie, próbowałem przypomnieć sobie moje rozmowy z Garu-dzi, i na tej podstawie domyślić się jego zamiarów. Ale już podczas tych prób wiedziałem, że nic to nie da, że mój przeciętny umysł nie jest w stanie objąć – nawet przez moment – jego nadzwyczajnego rozumu. Moje myśli sprawiały wrażenie postrzępionych, porwanych przez strach i te tysiące trosk o moją chwiejącą się firmę. Zupełnie nie mogłem się skupić, pojawiło się zbyt wiele problemów, które trzeba było rozwiązać, zbyt wiele kwestii związanych z reorganizacją, o których musiałem pomyśleć i je wprowadzić, zbyt wiele wdów i rannych mężczyzn, którymi trzeba było się zająć. Nie potrafiłem skoncentrować się na żadnej sprawie i zauważyłem, że w ciągu dnia poruszam się w jakimś mglistym śnie, a w nocy nie mogę zasnąć. Zdawałem sobie sprawę, że mój stan pozostawia wiele do życzenia, ale nie potrafiłem zrobić nic, żeby go poprawić. Garu-dzi odszedł. Ogarniał mnie strach. Bałem się pójść do łazienki, bo tam zwijałem się z bólu i zostawiałem na muszli krwawe



smugi. Pascal krwawił z wrzodów wokół ust, widziałem zdjęcia jego twarzy, a na nich ten jego szklisty wzrok.

Coraz więcej czasu spędzałem w sali komputerowej, gdzie chłopcy pomagali mi znaleźć informacje o promieniowaniu, poparzeniach i śmierci. Oczywiście czytałem w gazetach, że nasz kraj dysponuje niesamowitą, nową bronią, a także o pociskach, które miały ją przenosić, ale moja wiedza na temat Trombaju, uranu czy Nagasaki była bardzo ograniczona, więc teraz się tego uczyłem, i to bardzo szybko. Rozmawiałem też z Dźodźo o tym wszystkim, o tym stojącym u naszych granic zagrożeniu dla świata.

– Are, Gaitonde – powiedziała. – Przecież nikt nie odpali tych rzeczy. Nikt nie jest tak szalony.

– Nigdy nie wiadomo. Przecież może się zdarzyć, że ktoś nie będzie wcale szalony, a którąś zdetonują. Mogą mieć jakieś swoje powody.

– Jakież oni mogą mieć powody, Gaitonde?

Naprawdę miała do mnie cierpliwość, potrafiła o tym ze mną rozmawiać, nie przeklinając i nie rzucając słuchawką. Przypuszczam, że wiedziała, jak bardzo jestem roztrzęsiony i wykończony, i starała się być miła. Z reguły nie miała cierpliwości do obaw czy urojeń, ani też do tego, co nazywała męskimi strachami. Nie chciałem mówić jej o tym dręczącym mnie z powodu Garu-dźi przerażeniu, o tym, co kazał nam przemyścić, ani o jego zniknięciu, przede wszystkim dlatego, że sam niewiele z tego rozumiałem, czułem jedynie lęk, nękały mnie jakieś fragmentaryczne wizje ognia, nieustannie powtarzającego się ognia. Próbowałem nakłonić ją do wyjazdu z Bombaju.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedziałem. – Pakistan może coś zrobić. A potem my możemy zrobić coś w odpowiedzi. Jakiś generał dojdzie do wniosku, że to odpowiedni moment na atak. Bombaj to pierwsze miejsce, które zostałyby zaatakowane.

– Gaitonde, przecież my teraz jesteśmy w przyjaźni z Pakistańczykami. A nawet kiedy sobie wygrażamy, robimy to tylko na pokaz. Oni zawsze podnoszą hałas, a potem my robimy hałas, bas. Gaitonde, nie przejmuj się tak bardzo.

Staralem się przekonać ją, żeby wyjechała na wakacje do Nowej Zelandii, żeby chociaż pojechała do Dubaju na zakupy. Ale nie, ona miała pracę w mieście, zajmowała się produkcją i zarządzaniem, musiała zarabiać pieniądze i spotykać się z ludźmi, po prostu była zbyt zajęta.

– Jeśli nawet coś takiego się wydarzy, Gaitonde – powiedziała w końcu – to co z tego? Wszyscy kiedyś musimy umrzeć. A kiedy nie będzie Bombaju, to gdzie będę mieszkać? Nie mogę wrócić do mojej wioski. – Roześmiała się. – A może chcesz, żeby zamieszkała z tym facetem, jak on się tam nazywał, w mieście Kućaman? Posłuchaj, baba: jeśli nie będzie tego miasta, to nie będzie mojego biura, nie będzie mojego domu i mojej pracy, zniknie wszystko, co znam. Wtedy i tak nie będzie po co żyć.

Zlekceważyła moje próby wysłania jej do Australii i wybuchła dzikim śmiechem na sugestię, że może rozszerzyłaby swoją działalność, na przykład na Londyn.

– Nie przejmuj się tak, Gaitonde – powiedziała. – W zeszłym miesiącu widziałam coś takiego w amerykańskim filmie, ktoś detonuje wielką bombę atomową w amerykańskim mieście. W czasie seansu byłam przerażona, ale później zupełnie się uspokoiłam. Coś takiego może zdarzyć się tylko w filmie. To jest zbyt filmowe. Jeśli coś takiego dzieje się w filmie, nie wydarzy się w prawdziwym życiu. Nikt nie doprowadzi do dhamaki. Ty już nakręciłeś ten film. Nie podniecaj się tak bardzo, nie ma powodu, odpręż się. Prześpij się.

Dałem sobie spokój, nie sprzeczałem się już z nią i porozmawialiśmy o innych sprawach. Ale wpadłem na pewien pomysł. Nie podzieliłem się z nią

tą myślą, nic jej nie powiedziałem, tylko kazałem moich ludziom zabrać się do roboty. Powiedziałem im, że jest to dla nas sprawa priorytetowa. Spore pieniądze wpakowałem w ten projekt, z Tajlandii i Belgii ściągałem materiały do samego serca Bombaju. Bacznie śledziłem przebieg budowy. Co godzinę przysyłano mi pocztą elektroniczną zdjęcia, a ja obserwowałem, jak z dokładnie odmierzonego kwadratu ciemności na pustej działce w Kailaśpadzie wzrastają niesamowicie grube ściany. Powodem tego mroku były ogromne prace ziemne, głębokie wykopy. Budowałem kryjówkę, schronienie. Stawiałem ściany, które mogły oprzeć się ogniovi, tworzyłem absolutną głębię, która ochroni skórę Dżodzo przed trucizną. To dla niej zbudowałem ten dom, w razie niebezpieczeństwa będzie mogła w nim się ukryć. Ale jednocześnie zauważyłem, że jeśli myślę w nocy o tym małym, białym budynku, nie mam problemów z zaśnięciem. I co noc, na moim jachcie, właśnie to robiłem – kiedy upewniłem się, że straże zostały wystawione, a czujniki ruchu i zabezpieczające radary krótkiego zasięgu sprawdzone, ustawione i włączone, zamykałem się w sypialni. Rozsiadałem się na wygodnie na podłodze i medytowałem. Starłem się wyciszyć swój umysł, koncentrowałem się na jakimś punkcie i próbowałem doświadczyć świadomości będącej całym wszechświatem, będącej mną samym. Wykraczałem poza sferę bogów i bogiń, poza Krysne z ciemnobłękitną skórą i skrwawionymi, otwartymi ustami rzucającymi groźby rozpadu, wędrowałem poza wszelką formę, aż do tej samej istoty, której nie można już było opisać słowami. Potem kładłem się do łóżka. Zwijałem się w kłębek i przenosiłem się do Bombaju, do Kailaśpady do mojego białego sześcianu, gdzieś głęboko pod powierzchnię ziemi, gdzie otaczała mnie i chroniła solidna, gruba stal i najlepszy, najtwardszy na świecie cement. W tych wyimaginowanych objęciach znajdowałem ostatecznie spokój. Byłem bezpieczny.

## Koniec świata



Kamble wciąż nie mógł pogodzić się z zakończeniem sprawy Kamal Pandej.

– Ten maderćod, behenćod pilot – powtórzył po raz kolejny – on jest gorszy nawet od tych bhadwa. Oni biorą pieniądze od kobiet, to jeszcze mogę zrozumieć. Każesz randi pracować, pomagasz załatwić klientów, poświęcasz swój czas i środki, i coś za to dostajesz. Ale ten Umeś, ten sukinsyn, on nawet nie ma na tyle odwagi, żeby stanąć twarzą w twarz z Kamalą i zażądać: „Daj mi pieniądze”. Ukrył się i robił zdjęcia tej kobiecie, a potem kazał innym mężczyznom wyciągać od niej pieniądze. A ona go kochała.

– Zdumiewające – odparł Sartadź. – To po prostu zdumiewające, że mężczyzna może zrobić kobiecie coś takiego.

Kamble gniewnym wzruszeniem ramion zbył sarkazm Sartadźa.

– Are, szefie, dobra, zgadza się, mam mnóstwo kobiet. Być może też je krzywdzę, ale daję im wszystko, co mam, a i one też mnie ranią. I nie mówię tylko o pieniądzach. Daję im to – uderzył się w pierś – i wszystko, o co tylko poproszą. Pieniądze? Obsypuję je pieniędzmi, szastam pieniędzmi. Rozdaję je i na później odkładam własne plany, bo jestem gotów pozwolić tym kobietom, żeby mnie krzywdziły. Rozumiesz?

Był przekomiczny, a jednocześnie zupełnie poważny, Sartadź sięgnął więc ręką przez stół i poklepał go po ramieniu.

– Zgadza się, ten pilot to prawdziwy sukinsyn – powiedział łagodnie. – Zajmiemy się nim, nie martw się.

Sartadź powiedział Kamblemu o tym, że kiedy przebudził się rano, powróciło do niego wspomnienie tego wygłaszającego kazanie guru, i przypomniał sobie wtedy, że przed laty uczestniczył w bandobaście podczas wielkiej, publicznej ceremonii w Andheri West, kilkudniowego religijnego obrzędu prowadzonego przez obdarzonego niskim głosem guru, który poruszał się na ekskluzywnym, zagranicznym wózku inwalidzkim.

– Było to wiele lat temu – powiedział Kamblemu – ale całkiem niedawno wybrałem się obejrzeć zwłoki pewnego apradniego, niejakiego Bantiego, którego thoknęli jacyś pomniejsi ćillarowi bandyci, kiedy rozpadła się jego firma.

– Banti, bole to, człowiek Gaitondeggo?

– Ten sam. Rozmawiałem z nim przez telefon na kilka dni przed tym, jak został zamordowany. Opowiadał mi o swoim bajeranckim wózku inwalidzkim, który potrafił wchodzić po schodach i po nich schodzić, i robić przeróżne sztuczki. Mówił też, że to Gaitonde sprezentował mu ten wózek.

– Sądysz więc...

– Mówię ci, Kamble, ten guru miał dokładnie taki sam wózek, jak Banti. Dokładnie to pamiętam. Może nie ten sam model, ale tej samej produkcji.

Kamble patrzył bardzo sceptycznie, i Sartadź, opowiadając mu o tym w ostrym świetle popołudnia, musiał przyznać, że przedstawione powiązania wyglądały na dosyć niepewne i mało solidne. Niemniej jednak starał się mówić z entuzjazmem i opowiedział Kamblemu o tym, jak wczesnym rankiem wskoczył na swój motor i pognał do rozmównicy publicznej w pobliżu dworca Santa Cruz, skąd zadzwonił do Delhi, do Andźali Mathur, i ją obudził. A także o tym, że ona oddzwoniła tego samego ranka, żeby powiedzieć mu, że jej organizacja zajęła się śledztwem w sprawie tego guru.

– Oni teraz to sprawdzają – dodał Sartadź – i zbiorą wszystkie informacje. Mają ogromne możliwości. Jeśli faktycznie istnieje zagrożenie dla naszego miasta, oni się tego dowiedzą i wszystko załatwią.

Ale Kamble nie potrafił się rozchmurzyć, nawet na myśl o tej wszechmocnej narodowej organizacji, która uratuje przed termonuklearną zagładą i to miasto, i jego samego. Sartadź zaprosił go na obiad do restauracji Mugal–e–Azam w Goregaonie, żeby uczcić rozwiązanie sprawy szantażu Kamali Pandej. Ale Kamble wciąż ponuro marszczył brwi. Pokręcił głową i machnął ręką w stronę okna, w stronę miasta i leżącego dalej świata.

– Szefie, i ty chcesz to ocalić? – powiedział z goryczą w głosie. – Po co? Dlaczego?

Siedzieli w klimatyzowanym boksie na pierwszym piętrze, pośród niezbyt udanej scenerii imitującej czasy świetności Mogołów. Przy każdym boksie na okiennym parapecie stał mosiężny surahi, a na ścianie dwa wyblakłe obrazy księżniczek prezentujących długonose profile. Ale w umywalce obok toalety zalegały stosy brudnych naczyń, a szyby w oknach były wysmarowane i poplamione. W ten wściekły październikowy dzień widziane teraz przez Sartadźa miasto – w kierunku wskazanym mu przez pogardliwy gest Kamblego – przedstawiało równie nędzny i brudny obraz. Rzężąca klimatyzacja w restauracji Mugal–e–Azam chroniła ich przed gęstym wirem spalin i zgiełku ulicznego, ale tylko chwilowo. Wkrótce będą musieli wyjść z tego obscurnego schronienia i wkroczyć w świat brudu nieposprzątanых ulic, chaotycznych i niekończących się robót ziemnych, prowadzonych przez ekipy z Wydziału Robót Publicznych, wzburzonych potoków pojazdów łamiących wszelkie przepisy, ponurych i spoconych pieszych. Trudno dostrzec w tym piękno, ale czy to wszystko było aż tak złe, że zasługiwało na śmierć?

– Daj spokój – rzucił Sartadź. – Zbyt emocjonalnie do tego podchodzisz.  
– Sartadź był rozbawiony romantyzmem Kamblego i jego wściekłością na tego pilota, ale żeby pragnąć ostatecznego upadku, to zdecydowana przesada.

– Nie, mówię zupełnie poważnie – odparł Kamble. – Lepiej żeby to wszystko uległo zniszczeniu. – Przesunął dłonią nad powierzchnią stołu, jakby coś sprzątał. – Dopiero wtedy wszystko może zacząć się na nowo, zupełnie świeże. W przeciwnym razie nic się nie zmieni. Będziemy brnąć dalej, tak jak teraz, bez żadnej szansy na poprawę.

Zaskoczyło Sartadźa to, że Kamble wciąż wierzy w możliwość zmiany. Jakże podstępna i niezniszczalna musiała być ta jego nadzieja, skoro nie chciała ustąpić z serca tego skorumpowanego, zachłannego i porywczego mężczyzny.

– Ale pomyśl tylko, jeśli coś się wydarzy, jeśli bomba rzeczywiście wybuchnie, wszyscy znikniemy. Nie tylko ty i ja. Twoi rodzice, twoje siostry i twój brat, wszyscy i wszystko. Chciałbyś tego?

Kamble wzruszył ramionami.

– Are, bhai, jeśli znikniemy, to znikniemy. Wszystko musi kiedyś umrzeć. Chyba lepiej, żeby wszystko zginęło razem.

Sartadź nie potrafił powstrzymać śmiechu, słysząc, jak wzniosłymi słowami Kamble wyraża swoje rozgoryczenie. W końcu Kamble był bardzo młody. Jego rozczarowanie domagało się absolutnego oczyszczenia, ni mniej, ni więcej tylko zupełnie nowego początku.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Sartadź. – Zajmij się lepiej kurczakiem.

Kelner właśnie podał wspaniale czerwonego kurczaka tanduri oraz talerz pełen rumali roti.

– Raita – odezwał się Kamble – przynieś raitę, jar. – Oderwał wielki kawałek piersi i żuł w zamyśleniu. – Cholera, to jest dobre.

Na tym polegał problem tej brudnej restauracji Mugal–e–Azam. Nie potrafiła się wysprzątać, kelnerzy byli powolni i posępni, ale przygotowywano tu wspaniale kurczaki tanduri. Sartadź wziął nóżkę i rozkoszował się jej soczystością, lekko zaprawioną posmakiem gliny. Kamble nabrał garść rumali roti i oderwawszy kolejny długi pasek mięsa, przymknął oczy w uniesieniu.

– A przynajmniej – odezwał się Kamble – temu krajowi potrzebny jest dyktator. Wiesz, chodzi o to, żeby wszystko uporządkować. – Głośno przeżuwał jedzenie. – Z tym chyba musisz się zgodzić.

– Gdyby wszystko uporządkował, to pewnie i ciebie by zgarnął, zgadza się? I całą twoją działalność.

– Nie, nie. Nie, saab. Gdyby wszystko działało jak należy, nie musiałbym angażować się w żadną z tych moich działalności. Rozumiesz? Ja tylko robię to, co muszę, żeby przeżyć w tej Kalijudze.

Był to argument nie do obalenia, wprost doskonały w swojej pokrętności. Kamble należał do zagorzałych zwolenników perfekcjonizmu – jeśli świat nie był doskonały, pragnął doskonałej zagłady, a przynajmniej doskonałego dyktatora. Sartadź poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, nie mógł już doczekać się na raitę. Próbował przypomnieć sobie, czy on sam kiedyś wyznawał tak czyste ideały, czy kiedykolwiek był tak młody. Z pewnością wierzył kiedyś, że Megha jest nieskończenie piękna i że on sam jest najprzystojniejszym sardarem w całym Bombaju, a może nawet w całej południowej połowie kraju. Ale było to dawno temu.

– Jeśli już przyszło nam żyć w Kalijudze, kolego, zdecydujmy, co zrobimy z tym pilotem.

– Chyba wiesz, co ja bym z nim zrobił.

– Nie możemy mu poprzetrącać gnatów. Możemy mu trochę przyłożyć, ale nic więcej. Tylko pomyśl, Kamble. Nie mamy nawet zgłoszenia



przestępstwa, a poza tym to nie jest jakiś tam robotnik budowlany z Andhry. Ten ćutija mógłby sprawić sporo kłopotów, gdybyś złamał mu nogę albo zrobił coś podobnego.

– Znam paru gości, którzy mogliby mu coś połamać.

– Nie – powiedział Sartadź.

– No dobra, dobra. – Kamble pomachał ponuro kostką kurczaka. – W takim razie zabierzmy mu pieniądze.

– I jego zabawki.

– Kino domowe?

– Tak.

Kamble zarechotał. Po raz pierwszy tego dnia w jego oczach rozbliła ta dzika, świdrująca żywiołowość.

– Płyty DVD – powiedział. – Chcę wszystkie jego filmy na DVD. – Rozerwał na dwie części pierś kurczaka i wgryzł się w sam środek. – Mówiłeś już jej o tym?

Sartadź pokręcił głową. Nic jeszcze nie powiedział Kamali i wcale mu się z tym nie spieszyło. Był pewien, że ona zacznie płakać, a może nawet wpadnie w histerię. Prawdopodobnie zacznie przeklinać tego pilota, a potem samą siebie.

– Może ty jej to powiesz?

– Zwariowałaś, szefie? Ja? Przez całe życie zajmuję się rozłuszczonymi kobietami. Mogę pójść do tego pilota, obwieścić mu nałożone na niego kary. Mogę wyrecytować mu wszystkie grzywny, jakie musi zapłacić. Ale do niej? Nie, nic z tych rzeczy. – Kamble, z ustami wilgotnymi od kurczaka, wyglądał, jakby znowu miał dobry humor. – W końcu, to ciebie ona lubi – powiedział z uśmiechem i sięgnął po kolejną porcję roti. – Ty się nią zajmij. – Nagle, z ręką znieruchomiła w powietrzu, zwrócił głowę w stronę Sartadźa. – Szefie, a dlaczego dworzec Santa Cruz?

– Proszę?

– Powiedziałeś, że pojechałeś na dworzec Santa Cruz, żeby zadzwonić.

Dlaczego tam?

– Po prostu tamtędy przejeżdżałem.

– O szóstej rano przejeżdżałeś obok dworca Santa Cruz?

– Nie mówiłem, że to było o szóstej.

– Powiedziałeś, że obudziłeś tę kobietę z Delhi. – Kamble oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu. – Powiedz no, przyjacielu – dodał – gdzie spałeś ubiegłej nocy?

– Nigdzie.

– Nigdzie?

– W domu.

– W domu. W domu. Aha, w domu. – Kamble wyduł policzki i wyglądał teraz jak skruszony buldog.

– W domu, w domu. O co chodzi?

– Dobrze jest znaleźć dom, sahibie Sartadżu. A zwłaszcza dom w pobliżu dworca Santa Cruz. – Kamble odwrócił się i ryknął: – Are, pojechałeś do Aurangabadu po nasze roti? – Po czym uśmiechnął się szeroko do Sartadża.

– Co, czy ja coś powiedziałem? No jedz, jedz.

– Muszę już iść – powiedziała tylko Kamala Pandej, kiedy wyjawiał jej tożsamość szantażysty. Siedzieli w pustej restauracji Sindur, przy tym samym stoliku, co zawsze, po lewej stronie w głębi. Było późne popołudnie i nisko wiszące słońce rzucało przez matowe okno złotą poświatę, w której ubrana na biało Kamala wyglądała bardzo ładnie. Kiedy usłyszała o pilocie i jego perfidii, zacisnęła szczęki, żyłka na jej czole zaczęła pulsować, a ona powiedziała tylko: – Muszę już iść.

Zgarnęła klucze ze stolika i wstała, chociaż Sartadż mówił:

– Proszę poczekać, proszę poczekać. – Poszedł za nią do drzwi, a potem wrócił po jej torebkę. Kiedy wyszedł z restauracji, ona siedziała w samochodzie, patrząc gdzieś w dal, obok panwałów i przechodniów. – Proszę pani?

Oparta drżącą ręką o kierownicę, skrobała kluczykiem o metal. Opuściła wzrok, starając się wziąć w garść, i spróbowała ponownie. Tym razem udało się jej włożyć kluczyk do stacyjki.

– Proszę pani – powiedział Sartadź łagodnie. – Proszę teraz nie jechać samochodem.

Otworzył drzwiczki, a ona pozwoliła, żeby wziął ją pod ramię i wyciągnął z auta. Stała z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, kiedy on nachylił się do samochodu po kluczyki, po czym musiał odwrócić ją i zaprowadzić z powrotem do restauracji. Najpierw usadowił ją, a potem sam usiadł naprzeciwko. Patrzyła przejrzystymi, złocistożółtymi oczami przed siebie, jakby go nie widziała.

– Proszę pani – odezwał się Sartadź. – Chce pani wody? – Podsunął jej szklankę, a kiedy Kamala Pandej nie zareagowała, sięgnął po jej dłoń i zacisnął jej palce na szkle.

Rozpłakała się. Zabrała rękę, położyła ją sobie na kolanach i w tym momencie rysy jej twarzy rozmyły się, a ona zaszlochała tak przejmująco, że Sartadźowi ciarki przeszły po plecach. Wiele razy słyszał ten dźwięk, ten gardłowy, dziecięcy płacz. Tak płakali rodzice, których dzieci zamordowano, bracia, którzy stracili siostry w wypadku, stare kobiety doprowadzone przez krewnych do nędzy i – tak – zdradzeni kochankowie. Zazwyczaj nie wiemy, jak się zachować, kiedy słyszemy to ciche wycie, ponieważ wiadomo, że nic nie można poradzić. Sartadź nauczył się, że trzeba to przeczekać. Kamala zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności i ryczała bez opamiętania, zupełnie nie wstydząc się łez. Kelner

wytknął głowę przez drzwi do kuchni, a potem na salę zajrzał Śambhu Śetti. Sartadź uniósł dłoń, nieznacznie, i pokręcił głową. I czekał dalej.

Kamala wypłakała się i przycisnęła obie dłonie do twarzy. Sartadź wyjął ze stojącej na stole szklanki pęk serwetek i podał je Kamali. Wytarła twarz i odetchnęła głęboko.

– I love him – powiedziała.

– Proszę pani, to bardzo niedobry człowiek. On panią okradł. Wykorzystał panią.

– Nie, nie o nim mówię. Mój mąż. To o nim mówiłam.

Sartadź zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Zaczął grzebać w poszukiwaniu następnych serwetek, próbując ukryć swoje niedowierzanie, i odchrząknął.

– Tak, proszę pani, rozumiem.

Pochyliła się do przodu, rozwścieczona.

– Nie, pan nic nie rozumie. Wiem, że pan uważa mnie za złą kobietę. – Makijaż rozpląnął się i Sartadźowi ujrzał jej twarz tak obnażoną, jak nigdy wcześniej, nawet tego pierwszego poranka, kiedy awanturowała się, ubrana w nocną bieliznę. – Ale pan nic nie rozumie. Ja chcę być żoną mojego męża. Nie chcę go opuszczać. Nie chcę rozwodu. Gdybym chciała odejść, już dawno bym to zrobiła. Ale nie chcę odejść. Chcę z nim zostać. Rozumie mnie pan?

Widać było, że czuje dokładnie tę samą, co apradhi, potrzebę wytłumaczenia się, nawet kiedy groźba kary już minęła.

– Tak, proszę pani? – zapytał Sartadź.

– Jest pan żonaty?

– Nie.

– Nie?

– Nie. – Sartadź nie miał zamiaru tłumaczyć się Kamali Pandej, nie chciał opowiadać tej nieszczęśliwej kobiecie o swoich własnych niepowodzeniach.

– W takim razie pan nic nie może wiedzieć.

– Czego nie mogę wiedzieć?

– Małżeństwo to ciężka sprawa. Zakochać się, pobrać się, nie ma nic łatwiejszego. Ale potem zostaje nam całe życie. Te całe, długie lata. A człowiek nie chce odchodzić, naprawdę tego nie chce. Ale żeby z kimś zostać, czasami potrzeba czegoś więcej. Wiem, że to brzmi jak kłamstwo, jak jakaś wymówka. Ale to prawda. Kiedy był ze mną, on, rozumie pan...

– Nie chciała wymieniać tego imienia – Umeś – zbyt wielką goryczą paliło ją na języku.

– Ten pilot? – zapytał Sartadź.

– Tak, ten pilot. – Pokręciła głową na boki, jakby zdumiona własną osobą, swoim własnym życiem. – To dzięki niemu mogłam zostać z moim mężem. Naprawdę. W przeciwnym razie odeszłabym. Mam swoją pracę, mam też dom, do którego mogę pójść, mieszkają w nim moi rodzice. Ale Kocham męża. – Ramiona jej zadrżały, cicho zapłakała i wytarła nos w serwetkę. Wyglądała bardzo młodo, z tymi przylepionymi do policzków pasmami włosów. – Po tym, jak widział pan tę naszą awanturę, z pewnością ma pan złe zdanie o mnie i o moim mężu. Ale w rzeczywistości nie jesteśmy tacy źli. Dobrze jest nam razem. Nigdy nie miał pan okazji tego zobaczyć.

Sartadź był pewien, że to prawda, że Kamala Pandej i pan Maheś Pandej są szczęśliwym małżeństwem, kiedy tylko się nie biją. W małżeństwie, tak jak wszędzie, nic nie jest proste. Może faktycznie Kamala potrzebowała tego pilota, tak jak jej mąż potrzebował Kamali, tak jak ona potrzebowała

swojego męża. Gdzieś w tej plątaniu potrzeb, rozterek i kłamstw kryła się prawda o miłości.

– Proszę pani – powiedział, patrząc jej prosto w oczy – rozumiem.

– Ale nigdy już tego nie zrobię. Nie zrobię już nic podobnego, z żadnym innym mężczyzną. Nie warto. – Nadal była zdenerwowana, czuła się winna i nie za bardzo wiedziała, jak będzie wyglądać jej przyszłość. Dotknęła swoich włosów i wsunęła je za ucho. – Ależ muszę wyglądać. Czy tutaj toalety są czyste?

– Raczej średnio – odparł Sartadź. – I czasami nie ma bieżącej wody.

– Poczekam, aż wrócę do domu. Jadę tam. – Zaczęła zbierać klucze i torebkę.

– Proszę pani, my zajmiemy się tym pilotem i przemówimy mu do rozumu. Ale proszę nic nie robić. Proszę z nim nie rozmawiać i nie widywać się z nim. Jeśli będzie próbował skontaktować się z panią, proszę odmawiać jakichkolwiek spotkań. I proszę nas o tym powiadomić.

– Nie chcę z nim rozmawiać. Nawet nie chcę go już nigdy widzieć.

– Dobrze. Gdybyśmy dysponowali zgłoszeniem przestępstwa i prowadzili oficjalne dochodzenie, on trafiłby za kratki. Ale damy mu nauczkę. Proszę się nie martwić, wyciągniemy z niego te wszystkie taśmy i posiadane przez niego informacje. Postaramy się też odzyskać od niego pani pieniądze.

Wzdrygnęła się.

– Nic od niego nie chcę. Tylko trzymajcie go ode mnie z daleka.

– Tak zrobimy, proszę pani.

Nic już nie pozostało do powiedzenia. Wsunęła się z boksu i lekko zachwiała się na wysokich obcasach. Choć jeszcze drżała, widać było, że nic jej nie będzie. Bez problemów trafi do domu. Kobiety były silne,

silniejsze niż mogłoby się wydawać. Nawet takie ekscentryczki jak Kamala Pandej.

– Ach, pańskie pieniądze. – Pogrzebała w torebce i podała mu brązową kopertę.

– Dziękuję pani.

– Dziękuję – odparła. Wyprostowała się. Patrzył, jak zbiera się w sobie, jak ponownie zaczyna panować nad swoim ciałem, składa je po kawałku, i po chwili była już prawie tą samą Kamalą, jaką znał wcześniej. Odwróciła się na pięcie i wyszła, bardzo zdecydowana i energiczna.

Sartadź patrzył za nią, na jej jędrne, uformowane w siłowni pośladki, na ten pewny krok, i pomyślał, że jeśli będzie miała szczęście, on nigdy już jej nie zobaczy ani o niej nie usłyszy. Zależało to tylko od tego, czy uda się jej zachować w pamięci ten żal i lęk, które cierpiała przez ostatnich kilka tygodni, a także tę całą złość na pilota, która za dzień lub dwa nadejdzie. Ale raczej wyglądało na to, że ta jej pewność siebie i opanowanie wcześniej czy później sprowadzą ją na złą drogę. Puści w niepamięć nauczkę, którą właśnie dostała od życia. Dojdzie do wniosku, że nic podobnego już się jej nie przytrafi. Znowu zapragnie wieść życie z mężem, a jednocześnie trochę obok niego. Życie jest długie, a małżeństwo ciężkie. Może znowu popełni błędy, bo kocha swojego męża. Miłość, zadumał się Sartadź, jest jak żelazna pułapka. Kiedy znajdziemy się w jej szponach, rzucamy się jak oszalali, próbujemy nawzajem się ratować i nawzajem się niszczyć.

Tak czy owak, sprawa zamknięta. To już nie był jego interes, chyba że ona ponownie do niego zadzwoni. Włożył pieniądze do kieszeni i udał się z powrotem na komisariat.

Parulkar właśnie zakończył oglądanie prezentacji nowego laptopa, kiedy Sartadź zapukał do drzwi jego gabinetu.

– Wchodź, wchodź – zawołał. Machnięciem ręki dał znać, że zauważył salut Sartadźa, i wskazał mu krzesło przy biurku. Skrzyżowawszy ręce na brzuchu, łagodnym wzrokiem przyglądał się sprzedawcy, który związał przewody i kable, wciskając je do torby.

– Będę czekał na pana telefon, sir – odezwał się mężczyzna.

– Nie będę dzwonił, zadzwoni ktoś z wydziału technicznego – odparł Parulkar. – Ale proszę się nie martwić. Oferujecie doskonałą technologię. – Odczekał, aż sprzedawca zabierze wszystkie swoje teczki i wyjdzie z pokoju, a potem uśmiechnął się do Sartadźa. – Mają świetne urządzenia, ale bardzo drogie. I nie chcą spuścić z ceny, nie chcą przyczynić się do wzmocnienia policji i kraju. Dlatego też muszą pocierpieć.

Prawdopodobnie miał na myśli to, że ta firma nie chciała przyczynić się do odpowiedniego wzmocnienia osobistego finansowego statusu Parulkara, ale Sartadź nie chciał nic o tym wiedzieć. Opowiedział więc Parulkarowi o cierpieniach Kamali Pandej, o tym, jak to się zakończyło, a także o karze, jaka miała być wymierzona temu pilotowi.

– Ciekawa sprawa – stwierdził Parulkar. – Moje gratulacje. Ile ten pilot ma zapłacić?

– Jeszcze nie wiemy, sir. Dziś wieczorem odwiedzimy go z Kamblem. Ale sądzę, że będzie tego kilka lakhów, w gotówce i w towarze. Ten gnojek ma furę pieniędzy.

– Świetnie – Parulkar był zadowolony. Sartadź przekaże pieniądze Madźidowi Khanowi, który podeśle coś do góry, do ACP, a ten z kolei przekaże coś Parulkarowi. Kiedy pieniądze dotrą do Parulkara, suma nie będzie już zbyt duża. Ale on zbierał małe kwoty, które razem dawały wielkie sumy.

– Doskonale pan wygląda – powiedział Sartadź. Rzeczywiście tak było. Parulkar miał włosy zaczesane do tyłu i ułożone za pomocą brylantyny.



Zrzucił parę kilogramów i wyglądał młodo.

– Cała tajemnica kryje się w przestrzeganiu diety i odpowiednich ćwiczeniach, Sartadżu. Trzeba dbać o siebie. Jeśli nie jesteś zdrowy, wszystko jest do niczego. Zupełnie przestałem jeść pokarmy, które nie są wegetariańskie, i od razu spadł mi poziom cholesterolu. Życie jest pełne tych wszystkich pokus, ale człowiek musi planować na dłuższą metę.

– Tak, sir. – Sartadź wiedział, jak bardzo Parulkar lubił swojego kurczaka w pandhara rasie, bardzo tikha, i z sunti, a do tego całe góry biriani. Jeśli zdecydował się z tego wszystkiego zrezygnować, oznaczało to, że planował bardzo długie życie i prawie tak samo długą karierę. Miło było patrzeć, jak powraca do gry, pewny siebie i szczywany jak zawsze. Sartadź uśmiechnął się i odpowiedział oczywistym pytaniem: – W takim razie co pan obecnie je?

Parulkar usiadł prosto, poprosił o čaj i opowiedział Sartadżowi wszystko o badźra roti, o owocach bogatych w błonnik i o drzemiących w cukrze rafinowanym zagrożeniach.

– Sartadżu – rzekł – trzeba zachowywać ciało w równowadze, żeby dusza mogła się rozwijać.

Potem musiał wyjść na zebranie do komendy policji. Sartadź odprowadził go do samochodu i patrzył za oddalającym się małym konwojem. Biały ambassador Parulkara jechał w eskorcie dwóch gypsy, załadowanych po brzegi uzbrojonymi policjantami, i nieoznakowanego samochodu, w którym siedziało jeszcze więcej policjantów w mufti. Był dobrze strzeżony.

Sartadź przeszedł przez budynek komendy strefy i wrócił na komisariat. Miał sporo papierkowej pracy, musiał zająć się innymi sprawami. Czekał go kolejny długi wieczór, następne nieuniknione porcje marnego, restauracyjnego jedzenia, którym się żywił na co dzień. Nie było łatwo

dobrze się odżywiać w sposób, który pozwalałby długo żyć. Potrzebny był czas i pieniądze, odpowiednie stanowisko, a może nawet i ochrona. W każdym razie, pomyślał Sartadź, jeszcze nie jestem taki stary, moje ciało wciąż jeszcze funkcjonuje. W przyszłym roku o tym pomyślę. Zrobił porządek na biurku i zabrał się do pracy.

Sartadź i Kamble zaplanowali na ten wieczór odwiedzin u Umeśa, ale o szóstej trzydzieści do Sartadźa zadzwoniła Andźali Mathur.

– Dokładnie o ósmej ląduję na lotnisku krajowym. Spotkajmy się tam.

Z budynku lotniska wyszła w otoczeniu gromadki mężczyzn. Na końcu przejścia czekała na nich kolejna grupka, ale wreszcie wyłoniła się z rozgorączkowanego kłębowiska ubrań w stylu safari i machnęła ręką do Sartadźa. Jak zawsze miała na sobie te swoje praktyczne buciki i ciemnozielony šalwar kamiz, ale wyglądała na bardzo zmęczoną.

– To mój szef, pan Kulkarni. Proszę wsiąść z nami do samochodu.

Sartadź ruszył za nimi do stojącego na parkingu białego ambassadora.

Ten szef, w grubych okularach, sprawiający wrażenie skrupulatnego biurokraty, wskazał Sartadźowi miejsce na fotelu z przodu. On i Andźali wsunęli się na tylne siedzenie. W aucie włączona była klimatyzacja, kierowca stał na zewnątrz, ale najwyraźniej nigdzie się nie wybierali. Kulkarni skrzyżował ręce na piersiach i powiedział:

– Zaczynaj, Andźali.

Relacja była bardzo dokładna i dogłębna. Andźali sprawdziła dostarczoną przez Sartadźa informację o Gaitondem i guru. Ten guru – niejaki Śridhar Śukla – w zeszłym roku zniknął czy też „udał się w ustronne miejsce”, jak to określili jego ludzie, którzy nie byli w stanie podać żadnych aktualnych informacji o możliwości skontaktowania się z nim. Po zniknięciu guru w jego organizacji zapanował zamęt, zaczęły się konflikty wewnętrzne, walki,

a nawet morderstwa, o czym szeroko pisała krajowa prasa. Do pierwszego z tych niemiłych epizodów, podwójnego morderstwa, które miało miejsce w aśramie niedaleko Candigarhu, wezwano policję. Jeden z przybyłych na miejsce policjantów, praktykant IPS na swojej pierwszej operacji, znalazł trochę pieniędzy w pomieszczeniu, w którym dokonano morderstw, było tego dokładnie dziewięćdziesiąt tysięcy rupii. Złożył je na komisariacie, a tam starszy inspektor zauważył, że banknoty są fałszywe. Podczas przesłuchania władze aśramy zeznały, że pieniądze prawdopodobnie pochodziły z anonimowych datków, i nikt nie był w stanie podać żadnych dalszych informacji. Całą sprawę więc odłożono ad acta, pozostało po niej tylko trochę notatek w kilku zapomnianych kartotekach oraz stos fałszywych pieniędzy w magazynie dowodów.

Sześć tygodni później, po uzyskaniu informacji od pewnego niezadowolonego dhobi, uzbrojony oddział policji z Dżalandaru przeprowadził nalot na mieszkanie w jednym z tamtejszych budynków. Kilka dni przed tą akcją ów dhobi przyniósł trzem mieszkającym tam mężczyznom wyprasowane koszule, ale ponieważ rzekomo jedna z nich była zniszczona, pokłócił się z jednym z tych ludzi, i zapłacono mu mniej, niż mu się należało. Wtedy dhobi skontaktował się z policjantem z lokalnego rewiru, twierdząc, że tych trzech mężczyzn – z których jeden był pochodzącym zza granicy blondynem – zajmowało się w tym mieszkaniu handlem narkotykami, dhobi opowiadał, że przez cały czas wchodziły tam i wychodziły jakieś podejrzane osoby. Zorganizowano więc tam nalot sił specjalnych. Żadnych narkotyków nie znaleziono. Nikogo nie zatrzymano, chociaż kiedy policjanci weszli do mieszkania, w kuchni jeszcze gotowała się miska ryżu. Najwyraźniej trzech wynajmujących to mieszkanie mężczyzn zdążyło zbiec przez ukryte z tyłu schody, których nie znalazła i nie zabezpieczyła ekipa dokonująca nalotu. W mieszkaniu policja znalazła

trzy walizki, przeróżne ubrania, kilka książek, laptop i dziesięć tysięcy rupii w gotówce. Po zbadaniu pieniędzy wyszło na jaw, że są fałszywe. Sprawdzone laptop ThinkPad, ale okazało się, że jest zabezpieczony hasłem. Wyjęto z niego twardy dysk, podłączono do innego komputera i zeskanowano. Wszystkie pliki były przechowywane na dysku logicznym zakodowanym szyfrem dwustupięćdziesięciosześciobitowym za pomocą dostępnego na rynku programu DeepCrypt. Wynajęty przez policję lokalny specjalista komputerowy podejmował specjalne ataki słownikowe, ale nie udało mu się złamać szyfru. Chociaż interesujące było, dlaczego ci mężczyźni uciekli, policja w Dżalandarze nie miała specjalnych powodów, żeby dalej prowadzić śledztwo, a przede wszystkim brakowało jej środków na takie działania. Sprawa została więc skierowana do archiwum i zapomniana. Zapomniana, ale tylko do czasu, kiedy wzmianka o tych fałszywych pieniądzach wypłynęła przez kanały i wielorakie warstwy stworzonej w Delhi przez Andźali Mathur bazy danych, zawierającej wszelkie informacje o tego typu fałszerstwach. A ona, podczas żmudnego, powolnego i nieustannego przeszukiwania całej listy przypadków fałszerstw, zauważyła, że w tej kartotece, zawierającej opis sprawy w Dżalandarze, znajduje się wzmianka o guru Śridharze Śukli. Przeglądarka internetowa w zabezpieczonym laptopie przechowywała pamięć podręczną na niezaszyfrowanej części twardego dysku, a w okresie ostatnich trzech tygodni odwiedzane były tylko trzy, zapisane w plikach historii, witryny. Jedna to Hotmail, druga to pornograficzna witryna o adresie [www.hotindianchicks.com](http://www.hotindianchicks.com), a trzecia to witryna tego guru.

Andźali Mathur zebrała te dosyć niejednoznaczne powiązania i poszła do pana Kulkarni, tłumacząc mu, że w obu przypadkach w grę wchodzi jednakowe fałszywe pieniądze, drukowane na tym samym papierze i z tych samych matryc, i że zarówno w pierwszą, jak i w drugą sprawę zamieszany

jest ten sam guru. Pan Kulkarni – w swojej mądrości – zezwolił jej zlecić działowi komputerowemu w ich organizacji próbę złamania szyfru chroniącego laptop z Dżalandaru. Ale do tego czasu laptop zniknął z tamtego komisariatu. Tamtejszy oficer gorąco przepraszał i obiecał, że w przyszłości magazyn dowodów będzie lepiej strzeżony, że przeprowadzi śledztwo i ukarze wszystkich odpowiedzialnych za tę stratę policjantów. To wstrzymało całe dochodzenie, ale tylko na pewien czas, ponieważ Andźali przypomniała sobie, że zajmujący się tą sprawą specjalista usunął dysk twardy z laptopa, i ponownie zadzwoniła na ten komisariat. W końcu, we wtorkową noc, o drugiej nad ranem odnaleziono dysk twardy, leżał w brązowej kopercie zabezpieczonej gumką recepturką, na górnej półce biblioteczki w biurze tego specjalisty. Natychmiast wysłano go kurierem do Delhi, do Andźali Mathur. Po kolejnych dwóch dniach i siedmiu godzinach zaszyfrowany dysk logiczny został rozszyfrowany, odblokowany i udostępniony.

– Dysponujemy pewnymi możliwościami w zakresie szyfrowania – powiedziała Andźali Mathur z lekką dumą w głosie – które wyprzedzają nawet osiągnięcia krajów zachodnich. A ten, użyty przez nich, program szyfrujący DeepCrypt nie był zbyt dobry.

– Czyli mieliśmy szczęście – odezwał się Sartadź.

– Dużo szczęścia – sprecyzował Kulkarni. – Jak się okazuje.

Andźali skinęła głową.

– Na zaszyfrowanym dysku znaleźliśmy plany, specyfikacje techniczne i sprawozdania z postępu prac. Na podstawie ich analizy doszliśmy do wniosku, że rzeczywiście istnieje bomba, wykonana z importowanych materiałów, i że pod względem technicznym jest bardzo solidna. Kupowali zużyte paliwo nuklearne na międzynarodowym czarnym rynku i przywozili je do kraju. Następnie, używając przerobionych spektrometrów masowych,

oddzielali i wydzielali z tego zużytego paliwa wzbogacony materiał, nadający się na broń. Spektrometry masowe są urządzeniami powszechnie używanymi na uczelniach i w laboratoriach. Można je legalnie kupić na wolnym rynku. Spektrometr masowy przerobiony do pracy jako kalutron jest w stanie pozyskać bardzo niewielkie ilości wzbogaconego materiału nadającego się na broń, nawet pracując całymi tygodniami i miesiącami, ale jeśli jest się cierpliwym, można ostatecznie uzyskać ilość materiału wystarczającą do skonstruowania bomby. A my wiemy, że oni korzystali z kilku kalutronów, być może z kilkunastu, piętnastu. Dysponowali więc materiałem, a także umiejętnościami i wiedzą fachową. Wiemy, że skonstruowali bombę. Wiemy też, że została już przewieziona do tego miasta. Jasno to wynika z e-maili i dokumentów, które znaleźliśmy na dysku twardym.

– Bomba – odezwał się Sartadź. – Ma pani na myśli bombę atomową.

– Tak.

– Gdzie ona jest? Gdzie?

– W tym jest właśnie problem – odparła Andźali. – Tego nie wiemy.

– Nie ma nic więcej? Żadnych tropów? – Sartadź miał wrażenie, że on sam stoi gdzieś z boku, jakby ktoś inny uczestniczył w tej dziwacznej rozmowie, prowadzonej z tyłu samochodu zaparkowanego przed terminalem numer 2, w ten parny wieczór, niczym nie różniący się od innych, w otoczeniu podróżnych i ich krewnych wkładających walizki do bagażników. Starał się skoncentrować, uruchomić swój nawyk poszukiwania szczegółów i zmusić go do zajęcia się bieżącym problemem. Ważne, żeby nie przerywać pracy, żeby zachowywać się profesjonalnie w obliczu tego złego urojenia, które przeobrażało się w jeszcze gorszą rzeczywistość. – Przecież musi coś być.

– Niestety, niewiele mamy. Jest jakieś odniesienie do domu w Mumbaju. To zdanie dokładnie brzmi: „Mam nadzieję, że Garu–dži podoba się taras w tym domu”, można też wywnioskować, że ten dom jest gdzieś w środku miasta. To wszystko.

– Dlaczego oni to robią?

Kulkarni zdjął okulary i zaczął je czyścić.

– Nie mamy pewności. Na tym dysku twardym – powiedział – znajdują się również pliki z programu graficznego. Są tam teksty, ilustracje i czcionki na trzy broszurki. Te broszury wyglądają na przygotowane przez ekstremistyczną islamską organizację o nazwie Hizbuddin. – Ponownie założył okulary, z miną roztargnionego profesora. – Podczas nalotów na różne nielegalne organizacje zebraliśmy wydrukowane egzemplarze tych broszurek. Odnosiliśmy wrażenie, że Hizbuddin jest fundamentalistyczną organizacją z powiązaniami sięgającymi do Pakistanu. Wiedzieliśmy, że Hizbuddin finansował inne tego typu organizacje i być może planował wielką operację terrorystyczną. Ale te ostatnio uzyskane informacje wskazywałyby na to, że Hizbuddin w rzeczywistości jest fałszywką, sfingowaną organizacją stworzoną przez tego guru Śridhara Śukłę i jego ludzi. Obecnie podejrzewamy, że oni planują zdetonować tę bombę i rzucić winę na islamskich fundamentalistów. Zebrane dotąd dowody na temat Hizbuddin są najwyraźniej fałszywym tropem, sfabrykowanym przez tego Śukłę i jego organizację. Rzecz w tym, że po nuklearnym wybuchu przyzna się do tego Hizbuddin, a wszyscy w to uwierzą.

– Ale dlaczego? Co oni chcą przez to uzyskać?

Światło padło na okulary Kulkarniego, przekształcając je w malutkie półksiężycy. Wzruszył ramionami.

– Nie wiemy na pewno, jakie są ich intencje czy też motywy. Może zależy im na wzroście napięcia, na eskalacji agresji, może chodzi im o

działania odwetowe.

Sartadź nie chciał nawet myśleć, co w tym wypadku mogą oznaczać działania odwetowe, ale nie potrafił powstrzymać się przed zapytaniem o to najbliższe, wiszące w powietrzu nieszczęście.

– Jeśli oni doprowadzą do wybuchu tej... tej bomby, co się stanie? Jak duża jest ta bomba?

Kulkarni lekko uniósł okulary i zdał się na Andźali. Wyglądało na to, że w tym zespole to ona jest osobą znającą szczegóły.

– Z tego, co wiemy – powiedziała – nie jest to mała bomba. Jej konstrukcja mogła w rzeczywistości zająć więcej czasu, bo im zależało na przygotowaniu dużego ładunku wybuchowego. I zupełnie nie dbają o miniaturyzację. Prawdopodobnie przywieziono ją do miasta na pace ciężarówki. Jeśli wybuchnie... – Przełknęła ślinę. – Można założyć, że obejmie większą część miasta.

– Wszystko?

– Prawie. Jeśli dobrze to zaplanują i umieszczą ją w odpowiednim miejscu.

Sartadź nie wątpił, że umieszczą ją w idealnym miejscu. Dobrze obliczyli to urządzenie, a także cel swojego ataku, żeby zniszczenia były odpowiednie. Pozostało tylko jedno pytanie.

– Co możemy zrobić?

Kulkarni przygotował wstępny plan.

– W tym momencie organizujemy zespół roboczy – powiedział – w komendzie policji w Kolabie. W ciągu dwóch godzin ogłosimy alarm. Ale nic nie powiemy o bombie. Stwierdzimy tylko, że dysponujemy wiarygodnymi informacjami o poważnej akcji terrorystycznej. Gdybyśmy wspomnieli o bombie, mogłoby to doprowadzić do wybuchu paniki, ludzie



zaczęliby masowo uciekać z miasta, mogłyby się wydarzyć przeróżne rzeczy. Tego nie chcemy. Nad tym nie dałoby się zapanować.

Sartadź potrafił wyobrazić sobie tę panikę, autostradę zatkaną samochodami i ciężarówkami, rozpaczliwe przepychanie się, żeby dostać się do pociągu, krzyki zagubionych dzieci. Jednocześnie, w jakimś zupełnie innym zakamarku umysłu, poczuł rodzącą się potrzebę, żeby ostrzec Mary, żeby wywieźć z miasta dzieci Madżida Khana. Ale tylko skinął głową i powiedział:

– Tak, tak.

– Gdyby informacja o bombie przedostała się do społeczeństwa – powiedziała Andżali – dowiedzieliby się o tym również ludzie zajmujący się tą bombą. Mogą ją wtedy od razu zdetonować, żeby uprzedzić ewentualne jej wykrycie i udaremnić nasze działania. W trakcie śledztwa należy przez cały czas o tym pamiętać. Dochodzenie musi być prowadzone z zachowaniem największej ostrożności.

– W pełni tajne – odrzekł Sartadź. – Ale na co my czekamy?

– Nie mamy żadnych informacji na temat ich harmonogramu – powiedziała Andżali. – Chcielibyśmy, żebyś nadal prowadził dla nas tę sprawę. Świetnie się spisałeś. Korzystaj ze swoich źródeł i dalej prowadź dochodzenie.

Na tym zakończyli i pożegnali się z Sartadżem, zostawiając go spowitego spalinami z kilku ambassadorów. Był w pełni skupiony, ale jednocześnie zupełnie oszołomiony. Na budynku terminala paliły się pomarańczowe światła. Sartadź poczuł spływającą mu po obojczyku strużkę potu, efekt gromadzącego się gorąca. Przeanalizuj te informacje, powiedział sobie. Ale niewiele tego było: wśród apradhich mógł być słynny guru na wózku inwalidzkim i żółtowołosy obcokrajowiec, prawdopodobnie mieszkali w domu z tarasem, ten dom był na tyle duży, żeby zmieściła się tam wielka

maszyna, być może gdzieś w pobliżu stała ciężarówka. Tylko tyle, nic więcej. Od tego wszystko zależało. Nie przejmuj się, powiedział sobie Sartadź. Po prostu zajmij się swoją pracą. Skup się na pracy.

Pospieszył do swojego motocykla, ale kiedy przełożył przez niego nogę, zamarł w bezruchu. Czy te ostatnie kilka minut rzeczywiście się wydarzyło? W jego pamięci wszystko, co zaszło w samochodzie, sprawiało wrażenie jakiegoś migającego, odtwarzanego w przyspieszonym tempie filmu. Sartadź starał się uspokoić oddech i przeanalizować tę rozmowę, przypomnieć ją sobie kawałek po kawałku, ale znajdował jedynie bezładną plątaninę zdań i słów: „nie jest to mała bomba”, „zamierzone konsekwencje”, „ładunek wybuchowy”. Jak Andźali i jej szef mogli mówić o czymś takim tak spokojnie i swobodnie? Może tego typu ludzie zdążyli się przyzwyczaić do rozmów o sprawach niewypowiedzianych. Może międzynarodowi szpiedzy zawsze używali takiego języka. Sartadź już wcześniej rozmyślał o tym urzędzeniu, o tej bombie, spotykał ją w literaturze i w relacjach gazetowych, ale teraz, kiedy już znalazła się w mieście, w jego domu, nie potrafił jej sobie wyobrazić. Próbował ją sobie przedstawić jako urządzenie leżące na platformie ciężarówki, ale widział jedynie pustkę, jakąś dziurę w świecie. A z tej próżni wylewały się potoki rozpacz, palący żal w brzuchu, za tym wszystkim, co pozostawił niedokończone, i za wszystkimi wspomnieniami z przeszłości. Pochylił się. W zaokrągleniu posrebrzanej kierownicy dostrzegł odbicie blasku latarni oraz tysięcy twarzy, chłopca, z którym się bił w trzeciej klasie i którego upokorzył na oczach całej szkoły, panwali Camanlala z rogu głównej ulicy, pięknej dziewczyny, o której Katekar powiedział mu kiedyś, że pracuje na terminalu międzynarodowym w liniach Gulf Air, kulawego żebraka, który kręcił się po skrzyżowaniu przy drodze na grobli Mahim. Wszystko zniknie, nie tylko osoby ukochane i wrogowie. Wszyscy. Taką nieznośną obietnicę,

teraz już zupełnie realną, niosła w sobie ta bomba. Było to śmieszne, ale jednak prawdziwe. Sartadź usiadł na parkingu i próbował to wszystko ogarnąć, zamknąć w głowie, żeby móc się nad tym zastanowić i zdecydować, co ma teraz zrobić. W końcu – nie zdawał sobie sprawy, ile czasu tak siedział – poddał się. Chyba lepiej będzie zostawić tę pustkę w spokoju i o niej nie myśleć. Przynajmniej można wtedy pracować. Tak, pracować. Zabierz się do pracy. Uruchomił motocykl i ruszył w drogę.

Trzy dni pracy nie przyniosły żadnych przełomów, żadnych rewelacji ani aresztowań. Ogłoszono alarm, ale brakowało konkretów. Niewiele można było przekazać informatorom, tylko tyle – czy widzieliście grupkę trzech lub czterech mężczyzn? Jeden jasnowłosy obcokrajowiec i jeden guru na wózku inwalidzkim, może widzieliście, może coś słyszeliście? Pojawiały się całe setki informacji, ale, zgodnie z przewidywaniami, prowadziły do niewinnych staruszków na skrzypiących wózkach i do oburzonych zagranicznych kierowników o włosach tylko nieco jaśniejszych od szatynów. Żadnych postępów w sprawie. A życie toczyło się dalej.

We wtorkowy wieczór Sartadź odwiedził Rohita, Mohita i Śalini. Wręczył Śalini kopertę z dziesięcioma tysiącami rupii, usiadł na progu i wypił filiżankę ćaju.

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego – powiedziała Śalini. Siedziała wewnątrz domu, w pobliżu kuchenki, gdzie zabierała się za gotowanie obiadu dla chłopców.

– Tak – dorzucił Rohit. Stał oparty o ścianę, obok Sartadźa. – Rzeczywiście.

– Ostatnio marnie sypiam – odparł inspektor. – Za dużo pracy.

Rohit przetarł kołnierzyk śnieżnobiałej koszulki.

– A do tego jest pan bardzo chudy.

– Nadal nie znalazłem dobrej kucharki.

Śalini uśmiechnęła się. Miała na sobie lśniące, zielone sari i prezentowała się wyjątkowo dobrze. Rzuciła Sartadźowi chytre, znaczące spojrzenie.

– To jak, ta chrześcijańska dziewczyna ci nie gotuje? Czy może nie lubisz jej jedzenia?

Sartadź poderwał się, rozlewając sobie ćaj na piersi.

– Jaka dziewczyna? – wybełkotał, wycierając koszulę.

Rohit klasnął w ręce i roześmiał się:

– Niech pan nie robi sobie kłopotu, nie warto nawet próbować – powiedział. – Ona wszędzie ma szpiegów, naprawdę. Wszystko wie.

Ramiona Śalini podskakiwały. Sartadź nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak się śmiała, nawet w czasach, kiedy żył jej mąż.

– Tak – powiedziała. – Nawet nie wiesz, skąd wiem. – Pomachała w jego stronę pokrytym mąką belanem, sprawiając wrażenie niezwykle zadowolonej. – I nie myśl, że poszłam na łatwiznę. Nie powiedział mi o tym żaden policjant.

Widać było, że przy Śalini nie ma sensu zapierać się tej chrześcijanki. Sartadź poddał się, mając nadzieję, że robi to z odrobiną wdzięku. Przechylił głowę na bok i zapytał:

– Powiedz, kto ci powiedział?

– Przecież nie mogę zdradzić ci moich khabarich. Nie, za żadne skarby.

Sartadź próbował domyślić się, kto to mógł być, kto wiedział o Mary i mógł się wygadać. Wiedział o niej Kamble, który mógł o tym powiedzieć komuś na komisariacie, a ta osoba przekazała informację jakiemuś cywilowi. A może Śalini miała jakąś znajomą, która pracowała w pobliżu

domu Mary i widziała Sartadźa, jak on przychodzi, zostaje, a potem wychodzi. A może był to ktoś z salonu, w którym pracowała Mary. Istniało tysiąc dróg, którymi mogła dotrzeć do Śalini historia o Sartadźu i Mary, przez to miasto przebiegały niezliczone powiązania, łączące każdą osobę z wszystkimi innymi. Również Sartadź wielokrotnie korzystał z tej wszechwładnej sieci, a teraz sam wpadł.

– Twoja matka naprawdę jest pakka profesjonalistką – powiedział do Rohita. – Powinni zatrudnić ją w naszym wydziale.

Śalini roześmiała się i wrzuciła garść brązowych przypraw do garnka, z którego dobiegało głośnie trzaskanie i syczenie.

– Opowiedz nam o tej dziewczynie.

– Ale ty już przecież wszystko wiesz – powiedział Sartadź. Miał właśnie coś jeszcze dodać, rzucić jakiś frazes, jak to mężczyźni nigdy nie mogą nawet marzyć, że cokolwiek umknie uwagi kobiet, kiedy zobaczył Mohita, który, potykając się, wyszedł zza rogu uliczki. Na koszuli miał krew.

– Co się stało? – zapytał Rohit i ukląkł, żeby chwycić brata za ramiona. – Kto to zrobił?

Nos Mohita otaczały szkarłatne kręgi, a na brodzie widniała prawie czarna plama. Śalini przemknęła obok Sartadźa, szeleszcząc swoim sari.

– Beta – powiedziała – co się stało?

Ale na twarzy Mohita pojawił się uśmiech.

– Nie martw się – odrzekł. – Oni jeszcze gorzej wyglądali. To były te sukinsyny z Nehru Nagaru. – Triumfował, zadowolony. – Aleśmy im pokazali, musieli zmykać.

Śalini chwyciła Mohita za koszulę na ramieniu, w miejscu, w którym zaczynało się rozdarcie na szwie, ciągnące się aż na plecy.

– Znowu biłeś się z tymi chłopakami? – Chwyciła jego twarz i przyciągnęła w swoją stronę. – Przecież mówiłam ci, żebyś się do nich nie

zbliżał. Mówiłam, żebyś się nawet nie zbliżał do tamtej okolicy. – W złości cofnęła szczękę i Sartadź zauważył, jak jej paznokcie wbijają się w policzki chłopca. Ale Mohit nie okazywał strachu. – Powiem sahibowi, żeby zabrał cię do poprawczaka – powiedziała, odwracając go w stronę Sartadźa. – On cię zbije.

Sartadź podniósł się.

– Posłuchaj, Mohit, nie powinienes...

– Maderćod sardar – odrzekł Mohit, a jego nienawiść przesączyła się między palcami matki. – Zabiję cię. Pokroję cię na kawałki.

Śalini westchnęła, a potem mocno uderzyła Mohita w tył głowy. Zaciągnęła go do domu, mijając zbierających się już ciekawskich sąsiadów, i zatrzasnęła drzwi za sobą. Ale Sartadź wciąż słyszał ciche pomruki Mohita, zacięte i bezlitosne.

– Muszę już iść – odezwał się Sartadź do Rohita, dotknął jego łokcia na pożegnanie i odszedł. – Spieszę się na spotkanie.

– Przykro mi – powiedział Rohit. Nerwowo bawił się kluczem zwisającym z jego szyi. – Pomimo naszych wysiłków Mohit schodzi na złą drogę. Obraca się w nieodpowiednim towarzystwie. Mają bandę czterech czy pięciu chłopaków. Ciągłe biją się z tymi starszymi tapori z Nehru Nagaru. Sam mu przylałem, ale on robi się coraz gorszy. Ma beznadziejne stopnie w szkole.

– Jest jeszcze młody – odparł Sartadź. – Po prostu przechodzi trudny okres. Z wiekiem wyrośnie z tego.

Rohit skinął głową.

– Tak, też tak myślę. Ale bardzo mi przykro.

Sartadź stuknął Rohita w pierś i powiedział:

– Nie martw się, ma jeszcze dużo czasu, prędzej czy później sam sobie zda z tego sprawę – po czym kopnięciem obudził motocykl do

rozdygotanego życia.

Wjeżdżając po podziurawionym zboczach, pomyślał, że być może Mohit nigdy nie wydobędzie się z tej splamionej krwią spirali, nawet gdyby czasu miał bardzo dużo. Może już był stracony, stracony dla brata, matki, a także dla samego siebie. Sartadź miał swój udział w kierowaniu Mohita na tę wyboistą drogę, we wpychaniu go w ten dołek, z którego nie było już powrotu. Każde działanie rodziło zagmatwaną pajęczynę powiązań, która samoistnie rozprzestrzeniała się i wzmacniała, a potem zniknęła, aby zaraz ponownie się pojawić. Próbujeś aresztować jakichś apardhich, a syn policjanta schodzi na złą drogę. Nie można uniknąć reakcji na własne działania, nie można też ukryć się przed odpowiedzialnością. Tak to już było. To po prostu było życie.

Rachel Mathias czekała na Sartadźa w komisariacie. Siedziała w korytarzu przed jego biurkiem, wciśnięta w kąt ławki obok beznamyślnie patrzących przedstawicielek społeczności Koli. Była zdenerwowana i nieszczęśliwa, ale kiedy wstała, spore wrażenie zrobiło na nim jej elegancko opadające niebieskie sari i prosta, srebrna bransoleta na nadgarstku prawej ręki. Widać było, że nie przytłoczyła jej nędza komisariatu, ta kobieta stała teraz wyprostowana jak struna i patrzyła Sartadźowi prosto w oczy.

– Długo pani czeka? – zapytał.

– Niedługo. To mój syn, Thomas.

Sądząc po ponurym wyrazie twarzy Thomasa, musieli spędzić na komisariacie przynajmniej kilka godzin.

– Proszę – powiedział Sartadź i wprowadziwszy ich do biura, poprosił, żeby usiedli. Thomas rozsiadł się na krześle, ale zaraz się wyprostował, zmitygowany groźnym spojrzeniem matki. Miał jakieś piętnaście lat, był

przystojny, pewny siebie i umięśniony. W dzisiejszych czasach wszyscy chłopcy ćwiczyli, i Sartadź był pewien, że Thomas zaczął bardzo wcześnie.

– Chodzi o to, o czym wtedy mówiliśmy – odezwała się Rachel.

– Tak? – odrzekł Sartadź. Wiedział już, że nie szantażowała Kamali, ale przecież wszyscy mieli coś na sumieniu. Już wcześniej zdarzało się w jego karierze, że groźby policjantów doprowadzały ludzi do przyznawania się do występków, które nie były przedmiotem śledztwa.

– Thomas chciałby panu coś powiedzieć.

Młodzieniec niczego nie chciał mówić, siedział ze spuszczonej oczami i zaciśniętymi pięściami, ale jego matka była nieprzejednana.

– Thomas? – powiedziała.

Jej syn poruszył szczęką, odchrząknął.

– Chodzi o to, że... – zaczął, ale nic więcej nie był w stanie powiedzieć. Wytarł dłonie w dzinsy, oblał się rumieńcem, a Sartadź poczuł nagły przypływ współczucia. Thomas rozwijał bicepsy i smarował włosy żelem, ale wciąż był jeszcze dzieckiem.

– A może Thomas porozmawia ze mną sam na sam – zaproponował Sartadź.

Rachel skinęła głową.

– Poczekam na zewnątrz.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Sartadź zastukał w biurko. Tym razem Thomasowi udało się oderwać wzrok od podłogi.

– Słucham – powiedział Sartadź.

– Proszę pana, chodzi o tę kamerę wideo... Przepraszam.

– Za co przepraszasz?

– Że nakręciłem ten film.

Sartadź poczuł, że zaczyna gubić się w delikatnej mgiełce otumanienia.

– Ten film. Rozumiem.



– To nie był mój pomysł. – W końcu Thomas był w stanie wszystko opowiedzieć, potykając się i co chwilę zaczynając od początku. To nie jego pomysł. To pomysł Lality. Jego dziewczyny, o rok starszej. Chodzili ze sobą od roku. Kiedy Thomas dostał nową kamerę wideo, zabrali ją ze sobą i sfilmowali wszystkich kolegów, miasto i przypadkowych ludzi na ulicach. Przez kilka dni nagrywali krótki film według scenariusza napisanego przez Thomasa, ale kiedy doszli do połowy, znudziło im się to i zrezygnowali. Wtedy Lalita zapragnęła, żeby nakręcić ich oboje, jak wspólnie siedzą w jego pokoju. A skoro już kamera została włączona, zapomnieli, że ona pracuje.

– Zapomnieliście? – zapytał Sartadź.

– Tak. – Na chwilę zapomnieli. Kiedy już sobie o tym przypomnieli, Lalita nie chciała jej wyłączać. I nagrało się, jak oni się całują.

Sartadź przetarł oczy i po chwili zniknęły z nich wirujące, ogniste koła fajerwerków. Opuścił ręce, ale Thomas nadal tu siedział, młody i przystojny w swojej białej koszulce z krótkim rękawem, ze sznurkiem koralików na szyi. Nadal tu był, nie wiadomo dlaczego, niemniej jednak realny i obecny.

– Tylko to, jak się całujecie? – zapytał Sartadź.

– Tak, tak. Przez cały czas mieliśmy na sobie ubrania.

Nie rozebrali się, a jednak jego matka wpadła we wściekłość, kiedy przez przypadek wzięła kamerę, włączyła ją i zobaczyła ich na wyświetlaczu. Tak, pokazał ten film jednemu czy dwóm kolegom, ale nikomu więcej. A Rachel Mathias natychmiast zniszczyła to nagranie. I było po wszystkim, do momentu, kiedy pojawił się Sartadź, i zaczął wypytywać o kamery wideo.

Sartadź wiedział, że teraz powinien coś powiedzieć, może krzyknąć na tego chłopca, nastraszyć go. Był pewien, że to nagranie było pomysłem Thomasa, nie Lality. A może jednak nie. Może ta opisana przez Thomasa

Lalita rzeczywiście istniała. Tak, Sartadź był pewien, że tak było. Cóż on mógł wiedzieć o tym świecie, w którym żyli ci chłopcy i te dziewczyny, z tymi ich kamerami wideo, Internetem i randkami w wieku piętnastu lat? Kim byli ci ludzie? Żył obok nich, obok tysięcy innych istnień w tym mieście, i chociaż ich znał, tak naprawdę nie miał o nich bladego pojęcia. To wszystko jakoś ze sobą współistniało. Sartadź zmobilizował się i w końcu udało mu się spojrzeć srogim wzrokiem na Thomasa.

– Jeśli teraz będziesz robił takie rzeczy – powiedział – zrujnujesz sobie życie. – Sam wątpił w swoje słowa. Odprowadzając Thomasa do drzwi i trzymając rękę na jego ramieniu, Sartadź sam się swoim słowom dziwił. – Posłuchaj – rzekł. – Opiekuj się swoją matką. Ona jest zupełnie sama i bardzo ciężko pracuje na ciebie i twojego brata. Bądź dobrym synem. Nie sprawiaj jej kłopotów.

Wcześniej wcale nie zamierzał prosić o względy dla Rachel Mathias, ale widać było, że na Thomasie zrobiło to wrażenie, większe niż ostrzeżenia i napomnienia, których przed chwilą Sartadź mu udzielił.

– Tak, proszę pana – odparł Thomas, ze łzami w oczach. – Przepraszam, proszę pana. Będę o nią dbał.

Sartadź ocknął się z głębokiego snu, w którym nic mu się nie śniło, i zobaczył wentylator, rysujący mglisty, biały okrąg na zielonym suficie. Z wysiłkiem odwrócił głowę. Mary siedziała na podłodze i przerzucała strony jakiegoś czasopisma. Telewizor był zupełnie ściszony, a na ekranie wielkie, nieme stado gazeli przeskakiwało przez wzniesienie i znikało w żółtej trawie.

– Która godzina? – zapytał Sartadź. Za oknami było ciemno.

– Dziewiąta trzydzieści. Byłeś bardzo zmęczony.

– Faktycznie byłem. Co czytasz?

– To czasopismo turystyczne. Jest tu artykuł o nurkowaniu na Andamanach. Tak pięknie jest pod wodą. Spójrz. – Wstała i usiadła obok niego na łóżku. Pomarańczowe i czerwone ryby pływały w wodzie tak błękitnej, że aż wypływała ze strony magazynu.

Sartadź wsparł się na łokciu.

– Może byś tam pojechała? – powiedział. – Powinnaś pojechać na urlop.

– Pojedziesz ze mną?

– Ja? Nie, nawet nie potrafię pływać.

– Prawdę mówiąc, to zbieram na wyjazd do Afryki.

– Tak, ale tymczasem mogłabyś zrobić sobie wakacje. Może byś pojechała do Kodaikanal?

– Już tam byłam.

– To wybierz się do swojej wioski.

– Nie ma tam do czego wracać. Dlaczego chcesz mnie gdzieś wysłać?

Sartadź usiadł. Wziął od niej czasopismo i ujął jej dłonie w swoje ręce.

– W tym mieście jest teraz bardzo niebezpiecznie. Spodziewamy się bardzo poważnego ataku terrorystycznego. Wiemy, że oni coś zamierzają. Może więc powinnaś gdzieś wyjechać.

Mary zgarbiła się.

– Pojedziesz ze mną?

– Muszę tu zostać.

– Dlaczego?

– Taką mam pracę.

– Musisz ich znaleźć?

– Tak.

– Co oni planują?

– Coś, coś bardzo złego i bardzo poważnego.

Nagle wybuchnęła śmiechem. I równie nagle przestała się śmiać i bardzo spoważniała.

– Przepraszam. Wierzę ci absolutnie. To dlatego się śmiałam. Już chyba tylko śmiech nam pozostał.

– Jesteś bardzo dzielna.

– Nie. Wcale nie jestem dzielna. Ja się boję. Ale to jest zbyt obłądne, żeby o tym myśleć.

– Pojedziesz więc?

– Nie. Sama nie jadę. Po co miałabym to robić? Tutaj jest wszystko, co mam.

Oczy miała wilgotne. Pocałował ją, a ona wtuliła się w niego. Nie odrywała ust od jego warg, jej język był ciepły i gibki, a po chwili zaczęła się na niego wspinać. Wspólnie śmiali się, kiedy on skrzywił się i wysunął udo spod jej kolana. Całowała go, w kąciaki ust, a potem sięgnęła po jego rękę i uniosła ją, kładąc ją na swojej piersi. Znieruchomieli na moment w ciszy i Sartadź zauważył, jak w świetle lampy poruszają się w jej oczach drobne plamki, za którymi czaiła się tylko stonowana, niepoznawalna ciemność. Uśmiechnęli się do siebie. Sartadź zaczął rozpinać guziki jej bluzki, powoli, jeden po drugim. Guziki były bardzo małe i każdy z nich sprawiał mu spore kłopoty. Miał wrażenie, że jest bardzo niezdarny. Mary chichotem skwitowała jego próby i wygięła plecy w łuk, kiedy on posuwał się w dół bluzki, ułatwiając mu zadanie. Sartadź zaczął naśladować jej chichot, a ona ponownie przytuliła się do niego, przycisnęła policzek do jego brody i teraz już wspólnie się śmiali. Zsunęła koszulę z ramion, ukazując lśniący przestwór brązowej skóry, i ułożyła się obok niego. Sartadź nachylił się nad nią. Położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go do siebie.

Leżąc z Mary pod prześcieradłem, czując na skórze dotyk jej skóry, Sartadź opowiedział jej o swoim dzieciństwie. Chciała poznać jego życie od samego początku.

– Opowiedz mi – poprosiła.

Doszli właśnie do jego szczenięcych lat. Było już bardzo późno, dawno minęła północ, ale Sartadź czuł się rozbudzony i dziwnie zadowolony. Jego ciało było odprężone, a przyjemny ból w mięśniach przypominał o niedawno odbytym stosunku. Wiedział, że był trochę niezdarny, brakowało mu wiary w siebie, a potem był przesadnie troskliwy, ale to wszystko jakoś nie miało żadnego znaczenia. Tak dobrze mu było w jej ramionach, kiedy czuł pulsujące w niej życie. Tak dobrze było leżeć obok niej, odsuwać jej włosy za uszy i odpowiadać na jej pytania. Kolejne brzmiało:

– To jak ona się nazywała?

Sartadź opowiadał o swojej pierwszej dziewczynie.

– Sudha Śarma. Mieszkała dwa domy dalej, a w tym czasie jej brat był moim najlepszym przyjacielem.

– I co, kiedy się o was dowiedział, zbił cię?

– Nie, on nigdy się o tym nie dowiedział. Chyba by mnie zabił. Ale my byliśmy bardzo ostrożni.

– Ile miałeś lat?

– Piętnaście.

– Piętnaście! Kiedy ja miałam piętnaście lat, nic nie wiedziałam o seksie, absolutnie nic. Byłeś tak zepsuty, gdy miałeś piętnaście lat? – Mary uszczypnęła go w ramię, i to mocno.

– Are, przecież nie powiedziałem, że się kochaliśmy. A gdzie niby mieliśmy się kochać? W sypialni jej ojca? W tym ich domu było tyle ciotek i babć, że co chwilę natykałem się na jakąś kobietę, która pytała mnie, co tam robię.

– Ale i tak udało ci się zdemoralizować tę biedną dziewczynę.

– Miałbym ją zdemoralizować? Ha! Nawet nie miałbym odwagi na nią spojrzeć. Była ode mnie trzy lata starsza i to ona podawała mi dodatkowe ampapary za każdym razem, kiedy tam przyszedłem. I trzymała mnie za rękę pod stołem. Byłem tak przerażony, że nie mogłem wypić szklanki wody.

– Te dziewczyny z Bombaju są bardzo zepsute. I co było dalej?

– Spotykaliśmy się po południu, po jej lekcjach.

– I wtedy ją pocałowałeś?

– To ona mnie pocałowała.

– Tak, jasne. Gdzie?

– Jak to gdzie? Oczywiście, że tu – odparł Sartadź, pokazując na usta.

– Nie o to chodzi, głuptasie. – Mary zrobiła minę na poły komiczną, na poły rozgniewaną, ale i tak go pocałowała, cmoknęła go w pokazywane przez niego miejsce. – Pytam: gdzie? W sypialni ojca?

– Pierwszy raz to było w restauracji w Kolabie, w sali rodzinnej. Przyszła w towarzystwie dwóch dziewczyn, które później zostawiły nas samych. A potem, po tym pierwszym razie, na skałach w Bandrze.

– Nad morzem? Naprawdę, co za bezwstydną dziewczyną.

– Sudha? Nie, ona po prostu taka była.

Chyba zbyt czule się uśmiechnął, bo Mary ponownie go uszczypnęła.

– I co było dalej? Ożeniłeś się z nią?

– Byłem zbyt młody. Kilka lat później wyszła za kogoś innego. Jej rodzice wszystko zaaranżowali. Byłem na jej ślubie.

– Och. Biedak.

– Nie, wcale nie. Nigdy nie myśleliśmy, że się pobierzemy. Byłem zbyt młody. A do tego pochodziliśmy z różnych kast.

– A jednak cię uwiodła. Mój Boże. – Ale teraz Mary drażniła się z nim i głaskała jego piersi. – Pewnie nie potrafiła się oprzeć Sartadźowi Singhowi.

– Tak. Już wtedy byłem prawie tak wysoki, jak teraz.

– I prawie tak przystojny, jak teraz. Prawdziwy bohater, no prawie.

Choć delikatnie, jednak naśmiewała się z niego, więc przyciągnął ją do siebie.

– Kpisz sobie ze mnie? Tak? – Zdążył już zauważyć, że ma łaskotki, i teraz ona zaczęła piszczeć i skręcać się pod czubkami jego palców.

– Tylko troszeczkę – wydusiła w końcu z siebie.

Jej piersi rozpląszczyły się na jego ciele, na chwilę skrywając, a potem ukazując ciemne kręgi sutków. Zauważyła, że na nią patrzy, i sięgnęła po prześcieradło. Jak na swój wiek zachowała wiele wstydu, chociaż miała za sobą i ślub, i rozwód. Ale może właśnie takie były wiejskie dziewczyny. Sartadź nigdy wcześniej nie zetknął się z taką kobietą. A ta, z którą właśnie był, leżała na boku, z prześcieradłem podciągniętym pod brodę, i bacznie mu się przyglądała.

– O co chodzi? – zapytał Sartadź.

– O nic nie chodzi. Nie myśl, że uda ci się tak łatwo odwrócić moją uwagę. No dobra, czyli ta zepsuta dziewczyna wyszła za jakiegoś nieszczęśnika. I co się potem stało? Z kim ty się ożeniłeś?

Przyciągnął ją do siebie i opowiedział jej o żonie, o wspaniałej żarliwości ich niesamowitego romansu w college'u, który przeniknął przez klasę i przez szczelne granice akcentu, ubrań i muzyki. O tym, jak Megha nie mogła zrozumieć, dlaczego on tak bardzo upodobał sobie stare kawałki Śammiego Kapura, i jak oduczyła go noszenia dzwonów. I jak w końcu pobrali się, a potem im się nie udało. Choć może w pewnym sensie odnieśli sukces, zbytnio się nawzajem nie raniąc.

Mary mruzczała życzliwie, kiedy to opowiadał, i po chwili westchnęła, a jej oddech wyrównał się. Jej ciało lekko drżało, ręce i nogi prostowały się i kurczyły, a Sartadź uśmiechnął się. Czuł, jak jej włosy muskają go po

nozdrzach, i przypominał sobie te dawne dni, kiedy wraz z Sudhą chodził po Marine Drive, jak był wówczas szaleńczo podniecony i przerażony, kiedy w ustronnym boksie irańskiej restauracji jego udo dotykało jej ud. W tamtych czasach często myślał o seksie i miłości, czasami miał wrażenie, że nie ma minuty, w której przez jego umysł nie przewijają się jakieś obrazy seksu. A do tego to bolesne pragnienie jakiejś wyimaginowanej osoby, jakiejś mglistej, ale jednocześnie olśniewającej kobiety, która jest piękna i dobra, i wyrozumiała, i powabna, i oddana, i tak dalej, i tak dalej. Kiedyś wydawało mu się, że Megha jest właśnie taką kobietą, a jedynie Waheguru może wiedzieć, co Megha wyobrażała sobie na jego temat. Rozczarowali się nawzajem. Myślał już, że nigdy nie podniesie się z tego rozczarowania, i przez długi czas uważał się za prawdziwego cynika. Później zauważył jednak, że nadal w dużym stopniu jest sentymentalny, że późną nocą płacze nad Dilipem Kumarem w *Dil Dija Dard Lija*, że coś ściska go za gardło, kiedy czyta w gazetach relacje o biednych chłopcach, którzy uczą się w świetle latarni ulicznych i nawet zdają egzaminy do IAS. A teraz był z tą kobietą, z tą Mary, która odpoczywała u jego boku. To nie było złudzenie czy gorący filmi romans, ani cynizm czy sentymentalizm, to było coś zupełnie innego. Okazało się, że miłość może być czymś zupełnie innym, niż to sobie wyobrażał jako piętnastolatek.

Sartadź wysunął ramię spod głowy Mary i złożył ją na poduszce. Odwrócił się twarzą w stronę Mary, oparł palce na jej udzie i próbował zasnąć. Ale teraz ponownie naszły go myśli o bombie. Czując się bezpiecznym, próbował wyobrazić sobie, jak to urządzenie może wyglądać, ale widział tylko jakiś bezsensowny obraz splątanych drutów na tle stali, jakieś zamontowane tam wyświetlacze, na których błyskawicznie zmieniają się neonowe cyferki. Może ta bomba zabierze mu Mary, właśnie teraz, kiedy w końcu ją znalazł. Wiedział, że to prawda, ale nie odczuwał tych



oczekiwanych, silnych emocji, nie czuł wściekłości, przygnębienia ani czarnej rozpacz. Dotknął policzka Mary. Już teraz jesteśmy dla siebie straceni, pomyślał. Jeszcze w tym samym momencie, kiedy mamy ich przy sobie, tracimy tych, których kochamy, odbiera ich nam śmiertelność, historia, a także oni sami. W rzeczywistości dysponujemy jedynie tymi okruchami wspaniałomyślności, tymi darami wiary, przyjaźni i pożądania, które możemy sobie nawzajem przekazać. Cokolwiek przyjdzie później, nie jest w stanie wymazać tych chwil leżenia w ciemnościach, tego wspólnego oddychania. A to już wystarczy. Tu jesteśmy i tu zostaniemy. Może Kulkarni mylił się, kiedy mówił o mieszkańcach Bombaju, może oni zostaliby w tym mieście, nawet wiedząc, że nadciąga wielka pożoga. Może czekali na tę bombę w labiryncie uliczek, który wyrósł z ziemi bez żadnego planu czy zamysłu. Ludzie nadciągali tu ze wsi i z Wilajatu i znajdowali tu miejsce, na którym mogli usiąść, kładli się na brudnym kawałku ziemi, a ona się posuwała i układała, żeby ich przyjąć, a potem oni tu żyli. I dlatego też tu zostaną.

Oczywiście, nadal trwały poszukiwania guru i jego ludzi. Sartadź badał tropy, jeździł do bloków mieszkalnych w Kailaśpadzie i Narain Nagarze, skąd nadchodziły sygnały o podejrzanych sąsiadach. Odwiedzał też basti w odległym Wirarze.

W piątkowe popołudnie wpadł do Delite Dance Bar. Śambhu Śetti podał mu pepsi i zapytał:

– Szefie, co się dzieje? Przynajmniej dwa razy dziennie nachodzą mnie posterunkowi. Pakują się tu i wypytyują mój personel o jakiegoś gościa na wózku inwalidzkim i o obcokrajowca. A sam powiedz, po co sadhu miałby przychodzić do knajpy? Ale wasi ludzie codziennie tu włączają. To szkodzi interesom.

– Śambhu, to tylko jeden z tych alarmów, które przychodzą z Delhi – odrzekł Sartadź. – Oni mają jakieś informacje, więc kazano nam je sprawdzić. To wszystko. Sprawa jest bardzo pilna, dlatego wszędzie musimy zaglądać. Nigdy nie wiadomo, gdzie można czegoś się dowiedzieć. Ci posterunkowi wypełniają rozkazy.

To jednak nie uspokoiło Śambhu.

– Ale dlaczego oni tak przeszkadzają w pracy? Potrafią przyjść w porze największego ruchu, a to bardzo się odbija na naszych obrotach. W tej sytuacji nasze całe interesy są zagrożone. Krążą pogłoski, że jeśli po najbliższych wyborach zmieni się rząd, to te sukinsyny z Kongresu mogą zupełnie zakazać prowadzenia nocnych klubów. Zawsze jakiś gandu będzie próbował chronić indyjską kulturę, jak nie jeden, to drugi. Pieprzeni politycy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak często różni MLA i ministrowie proszą, żeby podesłać im dziewczynki na prywatne przyjęcia? – Śambhu narzekał, ale wyglądało na to, że dobrze mu się wiedzie i że jest dobrze odżywiony. Najwyraźniej małżeństwo mu służyło.

– Tak, Śambhu, wiem o tym. Ale na razie pozwól tym posterunkowym wykonywać ich pracę. Mamy do czynienia z kryzysową sytuacją. Sprawa może być poważna. Naprawdę, jeśli cokolwiek wiesz, powiedz mi. Zgoda?

Śambhu przeciągnął się i podrapał po brzuchu.

– O co chodzi, znowu te muzułmańskie sukinsyny?

– Nie – odparł Sartadź. – Tym razem nie chodzi o muzułmanów. Zupełnie nie o to chodzi. Tylko uważaj na wózek inwalidzki i na obcokrajowca, Śambhu. Sprawa jest bardzo ważna.

Śambhu nie był jednak przekonany. Zgarbił się i coś mamrotał pod nosem. Ostatnio wszedł w kontakt z kimś z MTNL, kto załatwił mu możliwość prowadzenia darmowych rozmów zamiejscowych z czerwonego telefonu w jego biurze. Zaprosił Sartadźa, żeby skorzystał z tego

dobrodziejstwa, i przy okazji zaczął narzekać na posterunkowych. Inspektor podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Jeśli Śambhu denerwował się tym ciągłym wypytywaniem i zauważyli to jego klienci, istniało prawdopodobieństwo, że również apradhi wiedzieli, że są ścigani. Wielkie śledztwo pozostawiało wielkie ślady, a raczej nie zdarzało się, żeby posterunkowi na koniec służby zachowywali dyskrecję.

– Halo?

– Peri pauna, ma.

– Dźite raho. Gdzie się podziewałeś, Sartadźu?

– Pracuję, ma. Mamy tu bardzo dużą sprawę. Największą. Zachichotała.

– Dokładnie to samo mówił twój Papa–dźi. Każda prowadzona przez niego sprawa była największą sprawą w historii policji w Bombaju.

Sartadź zauważył, że mówi to z przyjemnością, z jakimś wzruszeniem wspominając dawne, małżeńskie wybiegi.

– Tak, ma. Mnie też to mówił. Ale ta sprawa jest naprawdę bardzo ważna. Wyjątkowo ważna.

Ale ma chciała rozmawiać o Papie–dźi.

– Kiedyś prowadził śledztwo w sprawie kradzieży psa, szczeniaka owczarka alzackiego. Powiedział mi, że to też wyjątkowo ważna sprawa. Całymi nocami go nie było, badał wszystkie tropy. I nawet nie chodziło mu o tych właścicieli psa. Oni, oczywiście, byli bogaci i za tydzień czy dwa mogli kupić sobie nowego psa. Ale twój Papa–dźi ciągle mi powtarzał: „Wyobraź sobie, jak musi się czuć to biedactwo, tak nagle zabrane z domu”. Znalazł tego psa, tydzień później.

– Wiem, ma. – Sartadź już wiele razy słyszał tę historię, zarówno od ma, jak i od Papy–dźi. Kiedy opowiadał ją Papa–dźi, ta sprawa stanowiła lekcję poglądową, w jaki sposób należy prowadzić dokładne śledztwo i jak dbać o

kontakty z informatorami. Nigdy nie wspominał o uczuciach tego szczeniaka. Ale ma, tak jak zawsze, również teraz, opowiadała o Papie-dzi krążącym po ulicach, zamartwiającym się losem tego psa, i o tym szczeniaku, nieustannie wyjąłym gdzieś w domu porywacza. Papa-dzi odnalazł psa po czterech dniach, po zataczających coraz szersze kręgi przesłuchaniach w sąsiedztwie i po delikatnym przyciśnięciu sklepikarzy na rogu ulicy. Kiedy złapano tego apradniego, okazało się, że jest bratankiem właściciela sklepu wielobranżowego, położonego na sąsiedniej uliczce. Ten bratanek miał bzika na punkcie nowego szalu gier wideo i sprzedał psa swoim sąsiadom przy Nepean Sea Road, żeby móc bez końca grać w „Missile Command” w niedawno otwartym przy jego ulicy pierwszym salonie gier wideo w tej części miasta. Skończyło się więc na tym, że psa oddano właścicielom, a tego bratanka zaaresztowano i ukarano.

– I wiesz, Pinky była taka szczęśliwa, że wróciła do swojego prawdziwego domu – powiedziała ma, kończąc tę wielokrotnie powtarzaną rodzinną opowiastkę.

– Kto to jest Pinky?

– Sartadźu, no wiesz, czasami w ogóle mnie nie słuchasz. To ona, ten szczeniak.

– Ten szczeniak wabił się Pinky?

– Tak, tak. Czy to tak trudno zrozumieć?

– Nie, nie, ma. Teraz sobie przypominam.

Kiedy już Sartadź pożegnał się, odłożył słuchawkę i podziękował Śambhu, zatrzymał się pod drzwiami Delite Dance Bar i pomyślał o Pinky. Nie przypominał sobie, żeby Papa-dzi kiedykolwiek wspominał, że szukane zwierzę tak się wabiło. Pewnie uważał, że nie ma to specjalnego znaczenia. A jednak miało. Kiedy się wiedziało, że to była Pinky, cała historia zagubionego psa robiła się bardziej wzruszająca. Pinky z pewnością

już nie żyła, ale być może gdzieś w tym mieście biegały jej dzieci czy wnuki. Może nawet Sartadź niektóre z nich głaskał. Przypominał sobie przynajmniej trzy, a nawet cztery dosyć urodziwe wilczury, które miał okazję poznać. Dwa z nich to były zalęknione i cierpiące na neurotyczne zaburzenia psy, ale Sartadź składał to na karb faktu, że przez całe życie musiały mieszkać w małych mieszkaniach. Od czegoś takiego każdy by zwariował.

Przełożył nogę przez motocykl, usiadł na siodełku i na moment znieruchomiał. Od okien biur po drugiej stronie ulicy odbijał się blask wieczornego słońca, spowijając mgiełką przemieszczające się poniżej samochody. Uliczni sprzedawcy uzyskiwali zupełnie niezłe obroty, sprzedając przechodniom ubrania, kartki i obuwie. Po lewej, trzy budynki dalej, na zatłoczonym podejściu schodów przy centrum handlowym Eros dostrzegł grupkę ćatwalów. Poczł zapach podgrzanego paobhadzi i nagle poczuł chęć na papri ćat. Jako dziecko tak to uwielbiał, że Papa-dzi musiał wydzielać mu jeden talerz na tydzień, zawsze w piątki.

Dzisiaj jest piątek, pomyślał, zsiadł z motoru i poszedł w kierunku centrum handlowego.

Pośród skwierczenia przyrządzanej na tawach mieszaniny Sartadź stanął w kolejce za rozchichotaną grupką uczniów college'u. Dziewczyny były wystrojone w skąpe bluzeczki i obcisłe dzinsy i wszystkie nosiły na przegubach dłoni jasnoczerwone i niebieskie kółka, coś w rodzaju gumowych bransolet. Jedna z dziewcząt zauważyła, że Sartadź przygląda się ręce koleżanki, i odwróciła się, patrząc wyniośle. Zaszepotały między sobą. Sartadź popatrzył w inną stronę, żeby ukryć uśmiech. Z pewnością wymieniały uwagi na temat tego lubieżnego wujka, tego marnego, ulicznego Romeo. Ale on czuł do nich tylko sympatię, nie mogąc wyjść ze

zdumienia, że już tyle lat minęło, od kiedy on sam chodził do college'u, a dopiero teraz do mody wróciły dzwony.

Kiedy w końcu dostał swoje papri ćat, obszedł krąg stojących wokół patio białych, plastikowych krzesełek, aż w końcu znalazł jedno wolne. Dopiero wtedy pozwolił sobie zakosztować przyjemności papri ćatu, tej chrupiącej, cudownej kwaskowatości tamaryndy. Chyba musiał westchnąć z zadowolenia, bo wyglądający zza kolana swojej matki trzylatek roześmiał się i pokazał go palcem. Sartadź zrobił minę w jego stronę i ugryzł kolejny kęs.

– Mmmm – mruknął.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Inspektor przez chwilę starał się coś zrobić z papierową tacką, wytarł dłoń w serwetkę i w końcu odebrał telefon. Dzwoniła Iffat–bibi.

– Jak to, zapominasz o starych znajomych? – zapytała. Jak zawsze miała chropawy głos.

– Are, nie, Bibi – odparł Sartadź.

– W taki razie dalej się na mnie gniewasz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo skoro czegoś potrzebujesz i nie prosisz o pomoc bliskich ci osób, to znaczy, że się gniewasz.

– Czegoś potrzebuję?

– Ty może nie, ale twój wydział szaleje po całym Mumbaju.

– Niby dlaczego?

– Może faktycznie nie zależy ci na znalezieniu tych ludzi, skoro chcesz się bawić w te dziecinne gierki.

– Jakich ludzi?

– Tego mężczyzny na wózku inwalidzkim. Tego obcokrajowca. I pozostałych.

– Wiesz, gdzie oni są?

– Może wiem.

– Iffat–bibi musisz mi to powiedzieć. To bardzo ważne.

– Wiemy, że to ważne.

– Nic nie rozumiesz. Znasz miejsce ich pobytu? To bardzo pilna sprawa.

– Czy może ten guru uciekł z dużą ilością pieniędzy? Nieładnie z jego strony.

– Dobra, mów, czego chcesz.

Iffat–bibi westchnęła.

– Wreszcie mówisz, jak człowiek rozsądny. Ale nie teraz, nie przez telefon.

– Gdzie jesteś?

– W rejonie Fortu.

– Dojazd do Fortu zajmie mi za dużo czasu. A tu liczy się każda minuta. Iffat–bibi, nawet nie zdajesz sobie sprawy, co może się wydarzyć.

– To chyba lepiej będzie, jeśli zaraz wskoczysz do pociągu, prawda?

– Powiedz tylko, czego chcesz. Obiecuję, że to zrobię.

– Nie mogę ci teraz tego powiedzieć. Przyjedź. Moi ludzie będą na ciebie czekać na dworcu.

Sartadź ruszył w drogę. Pospiesznym dojechał do Victoria Terminus, gdzie przed budynkiem dworca czekało na niego dwóch ludzi. Wyszli z tłumu i podeszli do niego, a jeden z nich odezwał się:

– Sahibie Sartadźu. Jesteśmy od Bibi. – Sartadź poszedł za nimi do bramy, a potem w kierunku budynku gazety „Times of India”, gdzie czekał na nich niepozorny, czarny fiat. Razem wsiedli do samochodu, Sartadź na tylnym siedzeniu po lewej, i odjechali. Nikt się nie odzywał. Kierowca zatoczył koło i, minąwszy kino Metro, zawrócił w kierunku D. N. Road. Sartadź patrzył na znajome ulice. Papa–dzi spędził w tej okolicy znaczną

część swojej kariery. Zabierał młodego Sartadza na spacer po swoim rewirze, wskazywał mu miejsca, w których popełniono zbrodnię, i gdzie aresztowano apradhich. Samochód zawrócił w lewo, potem skręcił w prawo i policjant zobaczył małą, pstrokatą świątynię, która tak bardzo podobała mu się w dzieciństwie, ze ścianami pokrytymi rzeźbami bogów i bogiń malowanych w jaskrawych barwach. Spotykali się tu z Papą-dzi, „przy świątyni”, nie było potrzeby mówić, przy której.

Ale dawne sklepy gdzieś zniknęły. Sartadz niczego nie poznawał na uliczce, w którą teraz skręcili, chociaż chaotyczne skupiska skuterów i rowerów wciąż były takie same. Tłumy były jednak gęstsze, nawet o szóstej po południu.

– To tutaj – powiedział kierowca i zatrzymali się.

Ludzie Bibi poprowadzili Sartadza wokół restauracji serwującej owoce morza, przez wąską alejkę, na tyły budynku. Weszli klatką schodową cuchnącą zgniłymi rybami, a potem otworzyły się przed nimi drzwi. Znaleźli się w malutkim biurze, przypominającym kantor księgowych. Na półkach widać było księgi rachunkowe, które zajmowały całą przestrzeń aż po sufit. Stłoczone biurka stały jedno obok drugiego, a nad nimi dostrzegł kilku pracowników pochylonych przed monitorami komputerowymi. Po prawej stronie podwojono powierzchnię użytkową, dzięki skonstruowaniu antresoli, na której mieściły się trzy kompletne stacje robocze, sprawiające wrażenie zawieszonych w powietrzu. Jeden z mężczyzn wskazał Sartadzowi drugi koniec biura, gdzie w kącie pomieszczenia wciśnięto wydzielony boks. Inspektor otworzył drzwi i schyliwszy się, wszedł do środka.

Iffat-bibi siedziała po turecku na czerwonym dyrektorskim fotelu w rogu trójkątnego pomieszczenia. Odrzucona z głowy burka odsłaniała młodzieńczo gęste włosy z nałożoną henną.



– Chodź, chodź – odezwała się. – Are, Muna, przynieść čaj dla sahiba. – Gestem wskazała Sartadźowi fotel, prawie równie wspaniały jak ten, w którym sama siedziała, i zamknęła studiowaną właśnie księgę. – Może chciałbyś, saab, żeby podkreślić klimatyzację? Ja tu marznę do szpiku kości, tak wychładzają to pomieszczenie. Ale ty jesteś młody, a młodzi tak lubią.

– Nie, nie ma potrzeby, jest dostatecznie chłodno.

Pokoik zmuszał ich do bliskości i Sartadź zauważył, że Iffat–bibi wygląda tak, jak ją sobie wyobrażał. Była wielka, miała surowe rysy, kwadratową szczękę i młodzieńczą skórę. Zdumiewające były jej bezzębne usta pod tymi uważnymi oczami i spiczastym nosem. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać w młodości. Może już od stu lat była w tym samym wieku. Sprawiała wrażenie, że bez problemów może przeżyć kolejną setkę.

– Co byś zjadł, saab?

– Nic, Bibi. Proszę, przejdźmy do tej twojej informacji. Pojawiło się wielkie niebezpieczeństwo, a ci ludzie są bardzo groźni.

– Zawsze jest niebezpieczeństwo, saab. Jeśli stracisz okazję, żeby coś zjeść, niebezpieczeństwo i tak nadejdzie. – Ktoś zapukał w drzwi z matowego szkła i chłopiec postawił przed Sartadźem parującą filiżankę z cąjem. – Przynieś dla sahiba tanduri maćci. I te specjalne dźhingi.

Sartadź rozsiadł się w fotelu i podporządkował się obrzędowi gościnności. Koniec świata może poczekać, już od miesiąca nadchodzi, a w zasadzie od zawsze. Iffat–bibi była nieustępliwa w swojej gościnności. Nie było sensu spierać się z nią, już lepiej współpracować i starać się miło spędzić czas.

– Powiedz mi teraz, Bibi – odezwał się – jaką masz dla mnie wiadomość?

Iffat–bibi poprawiła swoje cielsko na fotelu, przenosząc ciężar z jednego poślądka na drugi.

– Sahibie, jestem tylko starą kobietą, niewiele wiem. Ja tu tylko dzisiaj przyszedłam sprawdzić rachunki. – Ale potem zaczęła opowiadać o drobnych taporich, o żołnierzach z konkurencyjnej organizacji i o panienkach z baru. Kiedy przyniesiono jedzenie, Sartadź symbolicznie skubnął z każdego dania. Czuł pulsowanie krwi w głowie. Zimne powietrze przepływało po jego policzkach, zawijając się wokół jego karku, i nagle naszło go jakieś złe przecucie, które ulokowało się w jego udach, wywołując w nich kurcze. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, starając się odprężyć i prowadzić rozmowę.

W końcu Iffat–bibi była gotowa przejść do rzeczy. Siorbiąc, dopiła resztki ćaju ze spodeczka, odłożyła go i powiedziała.

– Chcesz złapać tych ludzi.

– Tak.

– Wiemy, gdzie oni są.

– Skąd?

– Wynajęli dom od jednego z naszych współpracowników. Oczywiście, nie mieli pojęcia, że właściciel tego domu jest naszym przyjacielem. Zapłacili gotówką z góry, bardzo dużo, za dwumiesięczny wynajem i kaucję.

– Kiedy to było?

– Prawie dwa miesiące temu. Okres wynajmu już się kończy.

Sartadź poczuł, że coś go ściska w żołądku.

– Co to za dom? Mieszkanie? Bungalow?

– Nie bądź taki sprytny, beta. Powiedzmy, że to jakiś dom. I nawet o tym nie myśl, nie znajdziesz ich. Tylko jeden z nich wychodzi. Pozostali pozostają wewnątrz, i ten człowiek na wózku inwalidzkim, i ten

obcokrajowiec, ale nigdy i nikomu się nie pokazują. Tylko właściciel domu widział, jak tam wchodzili. I nikt nie zwracał na to uwagi, aż do teraz, kiedy wasi policjasi wszędzie za nimi biegają. – Iffat–bibi wyciągnęła ze swoich przepastnych okryć srebrną szkatułkę i zaczęła przygotowywać sobie pan. – Co oni takiego zrobili?

– Jeszcze nic. – Sartadź siedział zupełnie nieruchomo, z dłońmi opartymi na stole.

Iffat–bibi rozłożyła srebrzystą pastę na liściu, a potem zręcznie go zwinęła i wsunęła do ust.

– Wiem, że myślisz, że może ci się uda ich znaleźć. Wydaje ci się, że dysponujesz jakimiś informacjami, dom, dom z ogrodem i schodami. Ale uwierz, nie znajdziesz ich. Nie bądź głupcem, nawet tego nie próbuj.

– Tak. – Sartadź wypił łyżeczek letniego ćaju. Czuł, jak naciskają na niego otaczające go ściany, i zamrugał na Iffat–bibi, na jej poczerwienione, żujące usta. – Tak – powtórzył. – Czego chcecie?

Wyraźną przyjemność sprawiło jej, że w taki dojrzały sposób okazał zrozumienie wymagań. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Chcemy Parulkara.

– Sali, nawet się do niego nie zbliżaj. Jeśli tylko go dotkniecie, ja...

– Siadaj – Iffat–bibi nie obruszyła się na jego wściekłość, wciąż siedziała nieporuszona jak góra. – Siadaj.

Sartadź zwolnił bolesny chwyt na stole i opuścił się z powrotem na fotel.

– Nie zbliżajcie się do niego.

– Are, baba, czy ktoś coś mówił o dotykaniu go? Nie jesteśmy głupcami, nie mamy zamiaru thoko go, nic z tych rzeczy. Nie zależy nam na tym, żeby mieć na karku całą policję Mumbaju.

Sartadź uznał, że to brzmi rozsądnie. W tym mieście jeszcze nigdy nie zabito policjanta tak wysokiego rangą.

– Ale dlaczego chcecie mu coś zrobić? – zapytał. – Przecież on z wami współpracuje, jest blisko z twoimi przełożonymi. Dlaczego?

Iffat–bibi splunęła czerwoną śliną do stojącego obok biurka śmietnika.

– Tak, my też myśleliśmy, że on jest z nami. I od dawna byliśmy przyjaciółmi, wspieraliśmy go, kiedy miał kłopoty. Ale teraz jemu wydaje się, że jest bezpieczny, ma nowych przyjaciół.

– Masz na myśli nowy rząd? Ale trzeba jakoś żyć. Musi pracować pod ich zwierzchnictwem, więc musiał się też trochę dostosować.

– Tak, tak, Oczywiście. My to rozumiemy. Nigdy nie zazdrościliśmy nikomu ani pracy, ani środków do życia. Are, Parulkar saab zatrzymał pieniądze, które nam się należały, były ich całe khokhy Ale stwierdziliśmy: niech już tak będzie. To tylko pieniądze, dobre układy są ważniejsze.

– W takim razie o co chodzi? Co się stało?

– W ciągu ostatnich czterech miesięcy zginęło siedmiu naszych ludzi. I to nie byli jacyś tam ćillarzy, chyba rozumiesz. Sami najważniejsi żołnierze i rewidenci. Wszyscy byli inteligentni, potrafili doskonale się ukrywać i przemieszczać. Ale policja, te całe lotne brygady, dokładnie wiedziała, gdzie ich szukać. I zasadzili się na nich. Rząd chwali się tym w gazetach, twierdząc, że udało mu się zniszczyć przestępczość. A my pytamy, jak to się stało, że nagle policja tak świetnie radzi sobie z wyszukiwaniem naszych najlepszych ludzi? – Iffat–bibi pochyliła się do przodu i jej twarz znalazła się w świetle lampy. – Przeprowadziliśmy własne dochodzenie i teraz już wiemy, że to Parulkar wydał rządowi naszych ludzi.

– Iffat–bibi, przecież informacje, które posłużyły do zorganizowania tych zasadzek, mogły nadejść z tysięcy źródeł. Wasi ludzie zginęli, to przykra sprawa, ale to nie znaczy...

– Mamy własny wywiad. Jesteśmy tego pewni. On przeszedł na drugą stronę i teraz wykańcza naszych ludzi.

Pomimo panującego chłodu ręce Sartadźa były zlane potem. Wytarł dłonie w spodnie i starał się trzymać je nieruchomo.

– On do was wróci. Jeśli chcesz, mogę z nim porozmawiać.

– Nie, on teraz nie chce z nami nawet rozmawiać. Nie odbiera moich telefonów. Nie chce odbierać telefonów od bhai. Wyobrażasz to sobie?

Sartadź nie potrafił sobie tego wyobrazić. Jeśli Parulkar nie odbierał telefonów od Sulejmana Isy, to faktycznie dokonał wolty, zabrał cały szereg lat swojego życia, spakował je i przekroczył bardzo niebezpieczne granicę. Sartadź nie chciał w to uwierzyć, ale to brzmiało logicznie – rehabilitacja Parulkara pod aktualnymi rządami partii Rakszak, nagłe sukcesy tego rządu w polowaniu na ludzi z firmy S. Parulkar faktycznie to zrobił, wykonał ten ruch.

– Opuśćcie sobie – powiedział Sartadź. – Wybaczcie mu. Tak jak wybaczyliście mu te pieniądze.

– Już za późno. Zbyt wiele szkód wyrządził. – Uniosła palec prosto do góry, wskazując na sufit i gdzieś jeszcze wyżej, i pokręciła głową. – Rozkaz nadszedł z góry. Bhai jest bardzo rozgniewany, bhai czuje się urażony. To są słowa bhai. Należy usunąć Parulkara z jego pracy, z policji. Bas.

Czyli o to chodziło, Parulkar musiał odejść. Jeszcze raz wyszedł zwycięsko ze swojej ostatniej walki, i udało mu się tego dokonać, bo odwrócił się od starych przyjaciół. A teraz oni go wykończą.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Jesteś z nim bardzo blisko.

– Tak. I co z tego? – Sartadź znał odpowiedź i ciągnął tę rozmowę, żeby tylko zyskać na czasie: taki drobny i głupi manewr przeciwko wywieranym na niego twardym naciskom, które właczały go w bardzo ciasne i ciemne miejsce.

– Możesz nam pomóc.

Sartadź zamknął oczy. Gdzieś w środku, w grzmiącej kipieli jego krwi, znowu był dzieckiem, czekającym w ciemnościach, aż spod jego skóry znikną potwory, aż ktoś przyjdzie i wybawi go z tej rozpacz, aż sen skryje go przed przerażeniem. Starał się uspokoić, ale uderzyła w niego zawierucha wspomnień, Papa-dźi, puszczający latawiec na pochmurnym niebie, Parulkar, schylony nad zwłokami podczas pierwszego, prowadzonego przez Sartadźa śledztwa w sprawie morderstwa, przejażdżka w deszczu monsunowym motocyklem z Meghą, i ma, krocząca przez rynek w Delhi. Sartadź potarł dłońmi twarz i otworzył oczy. Co mam robić, co robić?

– Ty nic nie rozumiesz – powiedział. – Nie rozumiesz, że jutro wszyscy możemy być martwi. Wszystko może być skończone. Uwierz mi.

– Mogę ci uwierzyć – Iffat-bibi wzruszyła ramionami – ale oni, bhai i cała reszta, nie uwierzą. Oni będą myśleć, że to jest wybieg. Oni chcą Parulkara.

– W takim razie nie zważaj na nich, nie zważaj na swojego bhai. Nie oglądaj się na nich. Sama powiedz mi, gdzie jest ten dom.

– Nie mogę.

Sartadź zaczął grzebać przy kaburze pistoletu.

– Powiedz mi – warknął. – No, mów.

Iffat-bibi klasnęła w dłonie i zachichotała.

– Co ty chcesz z tym zrobić, wariacie? Zastrzelisz mnie?

Sartadź trzymał już pistolet w dłoni. Kciuk osunął się po bezpieczniku, a Sartadź uspokoił się i wymierzył w jej twarz.

– Mów.

– Myślisz, że boję się śmierci?

– Strzełę. Mów.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, bo sama nie wiem. Tylko tyle mi powiedziano. Możesz strzelać. Zbiegną się moi ludzie i chwilę później ty też będziesz martwy, będzie po wszystkim, khatam śud.

Mogę strzelić, pomyślał Sartadź. Przynajmniej będzie to jakieś działanie. Mógłby zrobić dziurę w tym unoszącym się przed nim bladym obliczu, tuż nad rozdziawionymi ustami, a potem już sam będzie martwy. A co się wydarzy później, on już tego nie będzie wiedział, ktoś inny będzie się tym przejmował. Cokolwiek się stanie, co stanie się Parulkarowi, i Andźali Mathur, i ma, i Kamblemu, i wszystkim innym, a także Mary, to już się stanie.

Odłożył pistolet na stół i rozprostował zaciśnięte na nim palce.

– Wytrzymaj sobie twarz – powiedziała szorstko Iffat–bibi. Podsunęła mu przez stół pudełko chusteczek.

Sartadź wytarł nos.

– Zgoda – odrzekł. – Co mam zrobić?

Pociąg właśnie opuszczał dworzec Dadar, kiedy zadzwoniła Kamala Pandej.

– W ciągu ostatnich dwóch dni Umeś dzwonił do mnie trzy razy i zostawiał mi wiadomości w poczcie głosowej – powiedziała. – Chce się dowiedzieć, jak idzie śledztwo. Nie rozmawiał pan z nim?

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie. Nagle spiętrzyło mi się dużo pracy. Muszę się zajmować bardzo ważną sprawą.

– Rozumiem.

Nie było nic dziwnego w tym, że podejrzewała Sartadźa o wzięcie pieniędzy i uchylanie się od swoich obowiązków i że to się jej nie podobało.

– Proszę się nie martwić – dodał Sartadź. – Dziś wieczorem zajmiemy się nim.

– Okay.

– Naprawdę. Bardzo mi przykro. Ale zapewniam, że dziś wieczorem policzymy się z nim. – Rzeczywiście tak chciał zrobić. Spotkanie z Umešem z pewnością będzie miłą odmianą. Sartadź przeczytał wszystkie porozlepiane na ścianach przedziału reklamy, a potem wyjął notes i przeczytał bazgrały sprzed dwóch miesięcy, starając się nie myśleć o tym, co ma zrobić dla Iffat–bibi. Tak, zastanowi się nad tym pilotem i zajmie się nim. – Niestety, mieliśmy pewne nieoczekiwane opóźnienie – powiedział – ale teraz go dorwiemy. – Wpatrywał się przesuające za oknem budynki i żółknące niebo, które pojawiała się zniecka w przerwach między domami.

Sartadź i Kamble zaczęli stukać i dobijać się do drzwi domu pilota o dziewiątej trzydzieści, kiedy on wraz z rodzicami i trzema siostrami jadł kolację. Po domu biegały dzieci, a w powietrzu unosił się zapach ryżu i dal. Ojciec pilota był korpulentnym, starszym dżentelmenem ubranym w banian i piżamę w niebieskie paski. Pojawił się za plecami służącego, który otworzył im drzwi i zapytał gniewnie:

– O co chodzi? Kim jesteście? Czemu robicie takie hungama?

– Policja – warknął Kamble i przecisnął się do środka, obok tego ojca i służącego.

Sartadź ruszył za nim, nieco spokojniejszym krokiem, ogarniając wzrokiem szczęśliwy obrazek. Dwie starsze siostry Umeśa były ubrane w eleganckie śalwar kamizy i wyglądały na bardzo przyzwoite i zameżne. Jedna była od niego młodsza, mogła chodzić do college’u. Bez wątpienia rodzeństwo odziedziczyło urodę po matce Umeśa, chociaż nie wszyscy



otrzymali po równo. Najstarsza dziewczyna była dosyć ładna, pomimo nadwagi, która zaznaczała się w ramionach i biodrach. Pozostałe dwie były zupełnie przeciętne. Bezdyskusyjnie gwiazdą w tej bajce był pilot, wspaniały obiekt uczuć matki, która sama była dosyć urodziwa. Miała podłużną, wąską twarz i proste, siwe włosy, które rozważnie pozostawiła niefarbowane, a teraz wprost szalała na widok nieoczekiwanych gości.

– Policja? – zapytała. – Po co tu policja?

– Nie przejmuj się, ma – powiedział pilot, wyciągając rękę i głaszcząc jej dłoń. – To moi znajomi.

Kamble wybuchnął śmiechem tak teatralnie złowieszczym, że najmłodsza siostra poderwała się z miejsca i stanęła z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Tak – stwierdził Kamble – jesteśmy bardzo, bardzo dobrymi znajomymi Umeśa. Jesteśmy jego langotija jarami. Wszystko o nim wiemy.

Umeś już zdążył wstać i starał się odsunąć ich od stołu jadalnego, oddalić ich od rodziny. Klepnął Sartadża w ramię i uśmiechnął się.

– Miło się widzieć, sahibie Sartadżu. Zapraszam. – Nie okazał nawet najłżejszej nerwowości, był odprężony i pewny siebie.

Wprowadził ich do swojego kina domowego i zamknął białe drzwi na zatrask. Pokój był na tyle duży, że mieściło się w nim białe łóżko i z pół tuzina ustawionych półkolem czarnych, skórzanych foteli. Był tam też, oczywiście, ekran, rozciągający się na całą ścianę.

– Czego chcecie? – zapytał Umeś. Był zbyt cwany, żeby pozwolić sobie na niegrzeczność, ale mówił oschłym tonem.

Kamble stał z rękami opartymi na biodrach i z głową wysuniętą do przodu.

– Czy te drzwi są dźwiękoszczelne? – zapytał bardzo łagodnie. Podniecone rozmowy przy stole umilkły, jak nożem uciął, i wokół

zapanowała absolutna cisza, nie dochodził tu nawet hałas samochodów, które błyskały reflektorami na zakręcie pod oknem.

– Tak, tak. – Pilot był zdezorientowany i bardzo zaniepokojony. – Lubię bardzo głośno słuchać filmów. Mam doskonały system dźwiękowy. Jeśli na ekranie rozbija się samolot, można to wprost poczuć. – Próbował uśmiechnąć się niewinnie, tym swoim chłopięcym uśmiechem.

Kamble uderzył go w policzek.

– A to słyszałeś? – zapytał Kamble. – Ha? Słyszałeś to?

Pilot trzymał dłoń przy policzku, a drugą, zaciśniętą w pięść, przy piersi. Widać było, że bardzo go to uraziło. Prawdopodobnie nigdy nie dostał klapsa, nawet od swojej matki. Kamble czekał, gotowy i skłonny kontynuować, oczekiwał jakiegoś agresywnego zachowania, jakiegoś przekleństwa, czegokolwiek. Ale Umeś był na to za sprytny, za bardzo się kontrolował.

– Co to ma znaczyć? – zapytał. Opuścił ręce i wydał pierś w świętym oburzeniu. Zwrócił się do Sartadża: – Co mu się stało?

Sartadź przyglądał się małym, białym głośnikom, zamontowanym wysoko pod sufitem, było ich wiele, z pewnością miały oddać dźwięk dookólny. Uśmiechnął się.

– Podejrzewam, że on jest bardzo zły na ciebie. Bo chciałeś go oszukać.

– Oszukać go? Nigdy nic mu nie zrobiłem.

Kamble chwycił pilota za białą koszulkę i przyciągnął go do siebie.

– Ale za to wiele zrobiłeś Kamali, ty sukinsynu.

Umeś zaczął szarpać Kamblego za rękę. Sartadź dostrzegł teraz pierwsze oznaki strachu, po jego pięknych oczach widać było, że coś kombinuje.

– Wszystko wiemy – powiedział Sartadź. – Znaleźliśmy tego twojego Ananda Agawanego. Mamy jego komórkę. Wszystko nam powiedział.

Opowiedział nam, jak kazałeś mu dzwonić do Kamali i jak odbierał od niej pieniądze. Wiemy, że szantażowałeś swoją dziewczynę.

– Nie – zaprzeczył Umeś. – Nie. Ja nic nie wiem... – Jego jasna skóra poczerwieniała, mówił szeptem.

– Nawet tego nie próbuj, Umeśu – powiedział Sartadź. – Chcesz, żebyśmy zakuli cię w kajdanki i wyprowadzili na oczach całej rodziny? Przeszukamy cały dom, przewrócimy go do góry nogami i znajdziemy ten telefon komórkowy, z którego dzwoniłeś do Arwinda Kawadego. A potem wsadzimy cię do paki. Niczego więc nie próbuj. Bo w przeciwnym razie będziemy musieli wszystko powiedzieć twojej matce.

Pilot poddał się, zrezygnowany. Usta mu się wykrzywiły i wydobył się z nich cichy szloch. Zaczął pospiesznie sapać, wciągał i wypuszczał powietrze, a na przegub dłoni Kamblego spłynęła ślina.

– Gnojek – Kamble puścił Umeśa.

– Czy mogę usiąść? – zapytał pilot. Kamble odsunął się, a tamten ruszył chwiejnym krokiem w kierunku jednego z wielkich, czarnych foteli, a dotarwszy tam, przysiadł na brzeżku, z opuszczoną głową i rękami opartymi na udach.

Kamble przysunął sobie drugi fotel i rozsiadł się w nim wygodnie. Czubkiem buta stuknął Umeśa w kolano i powiedział:

– I co, myślisz, że jak pooglądasz sobie kilka amerykańskich filmów, to już wszystko wiesz? Wydaje ci się, że jesteś jakimś maharathi? Are, my codziennie łapiemy takich pospolitych sukinsynów jak ty. A potem bierzemy ich za gand. Ale ty jesteś gorszy niż każdy inny maderćod, ty szantażujesz swoją dziewczynę. Zabierasz jej pieniądze. – Kamble przechylił się na bok i splunął na podłogę. – Behenćod, widziałem wielu ćutijów, którzy sprzedali swoje siostry dla pieniędzy, ale ty jesteś od nich gorszy. – Jeszcze raz splunął.

– Przepraszam – odezwał się pilot. – Przepraszam. – Rozpłakał się, i teraz ocierał oczy dłońmi i opiętą na bicepsach koszulką.

Sartadź dostrzegł, że Kamble bardzo stara się nie trafić plwociną w biały dywan, a to mogło oznaczać, że planował go dla siebie. Nie miał nic przeciwko temu. W tym mieście biały dywan był głupią oznaką pretensjonalności. Mając coś takiego, trzeba zamykać okna, a urządzenie klimatyzacyjne musi pracować przez całą dobę, żeby nie zbierał się tam kurz, żeby brud nie osiadał.

– Umeśu – odezwał się Sartadź. – Posłuchaj. Spójrz na mnie. Patrz na mnie. A teraz powiedz. Dlaczego to zrobiłeś?

Pilot pokręcił głową, jeszcze raz przetarł zaczerwienione oczy.

– Tato miał angioplastykę – odparł. – Tyle to kosztowało. I jest też Ćhoti, ona powinna wyjść za męża.

Kamble strzelił palcami, a na jego ustach pojawił się szydery uśmiech.

– A ty jesteś taki biedny, prawda? Natomiast twoja dziewczyna ma po prostu za dużo pieniędzy, prawda?

Umeś był zbyt podekscytowany, żeby dostrzec sarkazm w jego słowach.

– Are, a jakie ona ma wydatki? Mieszka ze swoim mężem, który płaci nawet za jej benzynę. Ona co miesiąc odkłada swoją – szeroko rozłożyła ręce – tak wielką wypłatę, i dostaje pieniądze od rodziców. Ale i tak chciała, żebym za nią płacił. Mogę się założyć, że nie mówiła wam o tym. Chce dostawać prezenty, chce mieszkać w samych najlepszych hotelach. Możecie mi uwierzyć, to bardzo kosztowna kobieta.

Sartadź westchnął i powiedział łagodnie:

– Tak, a ty przecież musisz jeszcze kupować ten drogi sprzęt, potrzebujesz więc pieniędzy. Porządny dywan kosztuje fortunę. Nawet nie mam pojęcia, ile musi kosztować zestaw siedmiu zagranicznych głośników.

Umeś skulił się w fotelu, a kiedy ponownie się odezwał, dało się zauważyć, że postanowił być czarujący. Niefrasobliwie wzruszył ramionami, łobuzersko mrugnął do Sartadźa, jak światowiec do światowca.

– Wszyscy mają swoje potrzeby, szefie. Wszyscy. Jestem pewien, że możemy dojść do porozumienia.

– Co takiego?

Pilot oparł się o poręczę fotela i wstał. Gładkie obwódki jego zębów idealnie dopasowały się do łuku wygiętych warg.

– Kamala naprawdę ma za dużo pieniędzy, jar. Możemy się podzielić.

Sartadź wydał z siebie jakiś gardłowy jęk i walnął Umeśa pięścią w usta.

Poczuł ostry ból w ramieniu, ale suchy trzask kości uderzającej o kość natychmiast przyniósł mu sporą satysfakcję. Sartadź ponownie się zamachnął i już pilot spadał z fotela, fotel się wywracał, a inspektor przekraczał go i podążał za Umeśem. Bardzo dokładnie wymierzał kopniaki, a kiedy trzeci przewrócił Umeśa na plecy, Sartadź poczuł w głowie pulsowanie rozkoszy. Uszy rozbrzmiewały mu krzykiem. Siwowłosa kobieta przycupnęła nad Umeśem, na całym dywanie widać było plamy i smugi krwi, a Kamble mocno obejmował ramionami ręce i piersi Sartadźa, starając się odciągnąć go do tyłu. Sartadź wyrwał się mu i odwróciwszy się, przedarł się przez grupkę wrzeszczących kobiet, a potem przez drzwi, i w końcu znalazł się na zewnątrz. Stojąc na ulicy przed budynkiem, poczuł ból w piersiach i w ręce, uniósł ją do światła, po palcach spływała mu ciemna krew. Pragnął uderzyć jeszcze kogoś, jeszcze coś, ale przejeżdżając samochody omijały go, były poza jego zasięgiem, a on mógł jedynie chwycić się krawędzi kruszącego się muru i tylko bez końca przeklinać.

## Ganeś Gaitonde udaje się do domu



Dźodźo powiedziała mi, że „jeśli coś się dzieje w filmie, nie wydarzy się w prawdziwym życiu”. Kiedy opowiedziałem jej, że boję się bomb i poparzeń po promieniowaniu, i tego, że budynki zostaną zdmuchnięte z powierzchni ziemi przez porywisty wiatr, ona odparła:

– To za bardzo filmi.

Ale ja wiedziałem swoje, wiedziałem lepiej. Sceny z mojego własnego życia widziałem w dwóch tuzinach filmów, czasami przesadzone, a czasami uproszczone, niemniej jednak zawsze prawdziwe. Byłem filmi i byłem rzeczywisty.

Znałem Dźodźo od lat i zdawałem sobie sprawę, że jestem dla niej trochę nierealny. Byłem jej przyjacielem, ale jednocześnie Ganeśem Gaitondem, królem przestępstwa, bezlitosnym międzynarodowym khilarim, jednym z tych żyjących w pałacach krorepatic i arabpatic. Dla przeważającej większości ludzi gangsterzy i szpiegdy istnieli tylko jako forma światła, jako skrzące się chwilowe wyobrażenia generowane przez urządzenia elektroniczne i taśmę celuloidową. Ale ja rzeczywiście byłem i gangsterem, i szpiegiem, wiedziałem więc dobrze, co może się wydarzyć. Moje własne życie nauczyło mnie, co jest rzeczywiste, i widziałem, że jeśli ludzie potrafią sobie coś wyobrazić, potrafią to również urzeczywistnić. I dlatego byłem przerażony.

Codziennie rano powtarzałem sobie, że nie ma powodu do obaw. W końcu może Gaston, Pascal i inni na tej łodzi wystawieni byli na działanie materiałów radioaktywnych gdzieś w dokach czy w innym miejscu.

Przewożono bardzo różne materiały, niektóre z nich należały do agencji rządowych. Może doszło do jakiegoś wycieku, kiedy transportowano materiał do jednej z wielkich elektrowni atomowych. A nawet jeśli przywieźliśmy na łodzi jakiś niebezpieczny materiał, to przecież on mógł po prostu znajdować się w jednej z tych maszyn, które miały być używane przy prowadzonych przez Garu-dźi pracach rolnych. Tak, z pewnością o to chodziło. W końcu to był wypadek. Dlaczego więc byłem tak przerażony? Nie ma się czym martwić. Może na tyle długo żyłem w tym strachu o swoje życie, że on żywił się już samym sobą, robiąc się większy i silniejszy, i w końcu ten potworny strach zupełnie wniknął we mnie, ten dręczący i jadowity lęk, który groził zagładą całego świata.

Ale wszystko będzie dobrze. Garu-dźi wróci ze swoich tajnych medytacji czy też podróży albo jądźni, cokolwiek to było, powie mi dokładnie, co stało się Gastonowi i Pascalowi, i będzie po wszystkim. On mnie uspokoi, a życie wróci do normy. Pamiętałem wszystkie nasze rozmowy, starałem się prześledzić – w wyobraźni – naszą wspólną historię. Wyciągnąłem segregatory, w których trzymałem wszystkie jego pracaćany i ponownie je przeczytałem, raz jeszcze urzeczony jego mądrością, uspokojony jego współczuciem. Płakałem, oglądając nagrania z jego kazaniami. Całymi godzinami przeglądałem witrynę internetową Garu-dźi, czytając setki i tysiące dowodów uznania, zamieszczonych tam przez jego uczniów, i oglądając szczęśliwe twarze osób wyzwolonych z rozpacz, szaleństwa i choroby. Codziennie rano czułem, że wszystko będzie dobrze, że człowiek, którego obchodzi los tylu ludzi – osieroconych dzieci, pozbawionych środków do życia kobiet, ludzi starszych i porzuconych – musi być przepełniony dharmać. Jeśli Garu-dźi ściaćał do kraju broń, to dla ochrony moralności, dla wzmocnienia dobra i powstrzymania zła. Byłem jego uczniem i chronił mnie parasol jego miłości. Byłem bezpieczny.

Śmiałem się z siebie i karcilem się za brak wiary. Zabrałem się do pracy. Ale wkrótce znowu opanowywało mnie przerażenie, otaczały mnie cuchnące, obdarte ze skóry zwłoki, dręczył mnie wiatr, który hulał po mojej głowie, zostawiając tylko pustkę.

Strach rodził się w tej pustce i w niej się tuczył, jak jakiś robak. Obawiałem się zabójców, którzy mogą pojawić się na powierzchni wody lub pod nią. Arwind i Suhasini zostali zabici w Singapurze, Bantiego postrzelono w Mumbaju, wielu innych zginęło. Wiedziałem, że Sulejman Isa próbuje mnie zabić, podejrzewałem też, że mojej śmierci pragnie ten Kulkarni i jego organizacja, a w niektóre ranki przychodziło mi na myśl, że oni łączą siły i działają razem. Ale pod tymi obawami zawsze było coś jeszcze, cichy strach, jasny i ostry jak błękit porannej fali. Popołudniami pluskał na lśniąącym szkle iluminatorów, kiedy chciałem się zdrzemnąć, kiedy wciskałem twarz w białe prześcieradła, próbując znaleźć drogę do zapomnienia. Jedzenie zdawało się być stratą czasu, kolacje z moimi ludźmi były długą udręką, a kobiety nie dawały mi żadnej satysfakcji. Tak, odprawiłem dziewicę z mojego łóżka, ponieważ doszedłem do wniosku, że ten jeden, ostatni spazm rozkoszy nie jest wart całej pracy, którą wkładam w ten śmieszny akt. Czułem się stary i pusty. Całymi godzinami nie potrafiłem zasnąć, a kiedy w końcu mi się to udawało, spałem lekko, dręczony snami o nagich pustkowiach, o płonących miastach.

Czasami, we wczesnych godzinach porannych, śniłem o Mumbaju. W lekkim półśnie powracałem do tych uliczek, znowu byłem młody i szczęśliwy. Przypominałem sobie swoje zwycięstwa, chwile, kiedy byłem tak blisko śmierci, sukcesy taktyczne i strategiczne. I nie tylko doniosłe momenty – historyczne i przełomowe wydarzenia, które pamiętało całe miasto – wracałem myślami do drobnych szczegółów i przelotnych rozmów. Nir dosy, spożywane wraz z Paritoszem *Śahem* w przydrożnym



stoisku Udipi niedaleko Pune. Kanta Bai rozdająca karty na odwróconym do góry dnem kartonie. Partia carrom z chłopakami na dachu mojego domu w Gopalmacie, przy monsunowych wiatrach, które kołysały drutami nad całym basti. W takie ranki budziłem się szczęśliwy. Wiedziałem, że wszystko jest w porządku, że nie ma powodu do zmartwień. Ale wieczorem znowu drżałem ze strachu.

Gdybym tylko miał szansę porozmawiać z Garu-dzi. Nigdzie go nie mogłem znaleźć. Mijał miesiąc za miesiącem, a Garu-dzi wciąż nie było. Co prawda moi ludzie szukali go, ale wiedziałem, że zaczynają się niecierpliwić, bo zabierałem im czas, który woleli spędzać na zarabianiu pieniędzy. Wszyscy byli posłuszni i robili, co im kazano, ale wiedziałem, że w tych ich staraniach nie ma entuzjazmu i że ich nieodmienne raporty „Niczego nie znaleźliśmy, bhai” jedynie ujawniały fakt, że tak naprawdę wcale nie szukają. Banti dopiero co wyszedł ze szpitala, wciąż żył, ale został kaleką, od pasa w dół nie miał czucia. Oczywiście zapewniliśmy mu najlepszą opiekę medyczną i najnowsze rozwiązania techniczne. Codziennie z nim rozmawiałem, a on podejmował się zadań i brał na siebie odpowiedzialność, ale brakowało mu energii, żeby wziąć chłopaków do galopu, zmusić ich, by poświęcili się poszukiwaniom. Dodatkowe utrudnienie stanowił też fakt, że nie mogłem ujawnić im przyczyny poszukiwań Garu-dzi. Jedyne, czym dysponowałem, to wytwory mojej szalonej wyobraźni, a nie chciałem robić z siebie wariata, nie chciałem też wzbudzać paniki. Życie toczyło się dalej, a my musieliśmy dalej pracować, dalej zarabiać pieniądze. A poza tym nie mogłem powiedzieć im, dlaczego go poszukujemy, jednocześnie nie ujawniając swoich powiązań z Garu-dzi, nie zdradzając tego wszystkiego, co od tak dawna ukrywałem. Stwierdziłem więc tylko, że musimy znaleźć Garu-dzi, i to wszystko. Ale w tej misji nic się nie działo, nie było żadnych sukcesów, nie było nawet żadnych tropów.

Postanowiłem więc pojechać do Bombaju.

Przyleciałem samolotem z Frankfurtu, wyposażony w najlepszy niemiecki paszport na nazwisko Parthy Sirura, i bez żadnych problemów przeszedłem kontrolę paszportową i celną. Godzinę później byłem już w bungalowie w Lokhandwali. Podawałem się za NRI, biznesmena z Monachium, który powraca do Indii po wielu latach spędzonych na obczyźnie i szuka możliwości prowadzenia interesów. I oto znalazłem się tu, w trzcinowym fotelu na dachu domu o nazwie „Aśiana”. Koszulę miałem przesiąkniętą potem, ale byłem zadowolony. Poprosiłem o wodę kokosową i popijałem ją, rozkoszując się tym wiszącym w gęstym powietrzu charakterystycznym smrodem Bombaju: zapachem spalin, zanieczyszczeń i bagien. Bloki mieszkalne tworzyły mur za moimi plecami, przede mną biegła droga gruntowa, przy której stały latarnie, a dalej czerniły się liściaste ciemności. Czułem przypływ nowej energii, moje wyczerpanie po locie samolotem ustąpiło natychmiast, kiedy usłyszałem śpiew świerszczy. Za rogiem czaiła się sfora psów, ujadających na siebie. Byłem zadowolony.

Usłyszałem jakiś hałas na schodach, a po chwili dobiegł mnie cichy warkot i wycie wózka inwalidzkiego. Ale to nie był Garu-dzi, lecz Banti, pokonujący mały stopień w dachu. Nie zważając na koszty, załatwiliśmy mu dokładnie taki sam wózek, jaki miał Garu-dzi. Przynajmniej na to zasługiwał.

– Banti – odezwałem się. – Ty stary sukinsynu, jeździsz tym jak kierowca wyścigowy.

– Bhai – odparł. – To świetne urządzenie.

Tonął we własnej skórze, wyglądał, jakby zapadł się w siebie samego. Musiałem się schylić, żeby go uściskać.

– Najlepsze, przyjacielu. Wjechałeś nim po schodach?

– Nie, nie, bhai – roześmiał się. – Nie jestem tak w tym dobry, jak ten twój stary przyjaciel. To oni mnie wnieśli. – Kciukiem wskazał na trzech młodych chłopaków, stojących przy drzwiach po drugiej stronie dachu. Widziałem ich twarze w świetle padającym od schodów i zauważyłem, że wszystkie są mi obce. Nikogo z nich nie znałem.

– Każ im odejść – powiedziałem.

Skinął im ręką, a oni się wycofali.

– Nie mają pojęcia, kim jesteś – rzucił. – Gdybym spotkał cię na ulicy, też bym cię nie poznał.

– Najlepszy chirurg i wykonał świetną robotę – odparłem.

– Tak. Ale musimy zachować ostrożność, bhai. Tylko jedno spotkanie.

– Tylko jedno. – Taki mieliśmy plan. Pozostanę w mieście, ale potajemnie. Działając na podstawie MCOCA, rząd zamykał naszych ludzi w więzieniu, a specjaliści od policyjnych zasadzek zabijali ich szybciej niż kiedyś. Nastaly bardzo niebezpieczne czasy. Dla mojej firmy nadal byłem w Tajlandii albo w Luksemburgu czy Brazylii. Z Bantim miałem kontaktować się za pomocą sprzętu do bezpiecznej komunikacji i poczty elektronicznej. Choć byliśmy tak blisko siebie, swoją zwyczajną działalność mieliśmy prowadzić tak, jakby dzieliła nas wielka odległość. Ale raz musieliśmy się spotkać, przynajmniej jeden raz. Sam mu to powiedziałem, a nawet rozkazałem, chociaż stanowiło to dla mnie ryzyko. Powiedziałem mu, że nie obchodzi mnie, czy jest obserwowany przez policję i ludzi Sulejmana Isy, czy nawet przez CIA z tymi ich wszystkimi satelitami. To z mojego powodu został postrzelony i chciałem spotkać się z nim osobiście. Od tak dawna byliśmy razem. Przysunąłem krzesło do jego wózka i siadłem przy nim, ramię przy ramieniu.

– Proszę – powiedziałem. – Dla ciebie, ćutijo. Prosto z Belgii. Oryginalny platynowy rolex, z diamentami na tarczy i na pasku. Mam go

dzięki naszym tamtejszym przyjaciołom, ale i tak to dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

– Bhai. – Trzymał go w złożonych dłoniach, jakby to był przyniesiony przeze mnie z pielgrzymki pobłogosławiony bożek. – Dwadzieścia dwa tysiące dolców. To naprawdę za dużo. To takie mast. To nawet więcej niż mast. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie musisz mówić, sukinsynu. Założ go.

Założył zegarek i uniósł rękę, żeby podziwiać swojego roleksa. Uśmiechał się jak zachwycona dziewczyna kipiąca radością z biżuterii nieoczekiwanie otrzymanej w prezencie. Obawiał się, że go porysuje, że gdzieś nim uderzy i zgubi diament. Podczas naszej rozmowy trzymał ostrożnie rękę opartą na nogach, na swoich uschniętych udach. Rozmawialiśmy o interesach i o jego rodzinie, o eksporcie, imporcie, o inwestycjach i akcjach, o tym, kto zginął, a kto jeszcze żyje. To była miła i potrzebna rozmowa, ale już w trakcie plotkowania, żartowania czy teoretyzowania zdawałem sobie sprawę, że w tym wszystkim wcale nie jest ważna sama rozmowa, tylko widok poplamionych od pan zębów tego lojalnego, małego gandu, możliwość wyciągnięcia ręki i klepnięcia go w ramię. Można słuchać dźwięków generowanych przez telefon, ale nie jest to prawdziwy głos człowieka. Tak dobrze było siedzieć przy nim i rozmawiać do późnej nocy, aż ptaki podniosły zgiełk przed świtem. Było jak za dawnych czasów.

Zjadł ze mną śniadanie i odjechał. Odprowadziłem go do bramy ogrodu i patrzyłem, jak żwawo wjeżdża po składanej rampie do swojej furgonetki. Zakręcił wózkami w miejscu, żeby być zwróconym w moją stronę, i uniósł dłoń na pożegnanie. Podniosłem rękę, jeszcze raz nie mogąc się nadziwić i temu wózkowi, i zapałowi Bantiego, który nauczył się nim manewrować na tak małej przestrzeni. Furgonetka odjechała w kłębach kurzu – w tym

mieście zawsze był ten kurz, już teraz doskwierał mi brudny, zanieczyszczony pot – a ja wróciłem do domu. Czułem zmęczenie, ale jednocześnie pewność siebie, bo byłem Ganeśem Gaitondem, za którego ludzie oddawali swoje kończyny i potencję, znosili ból i paraliż, a mimo to – chociaż wycierpieli wstyd sikania do plastikowych woreczków – nadal chcieli mi służyć. Byli szczęśliwi, że mogą dla mnie pracować, że mogą należeć do mojej firmy. Zegarek otrzymany ode mnie był dla nich wart tyle, co medal od prezydenta. Tak, znajdę Garu-dzi. Byłem tego pewien. Nie ucieknie mi. To było moje miasto, ten kraj należał do mnie. Miałem i broń, i pieniądze, na pewno go znajdę. Wróciłem do domu, szczelnie zasunąłem zasłony przed oślepiającym światłem, włączyłem klimatyzator i zasnąłem.

Ludzie Bantiego nie rozpoznali mnie i nie miałem też żadnych trudności z przekonaniem wszystkich ludzi w firmie, że wciąż jestem na obcych wodach. Ale Dźodźo, ta bystra kutiya, od początku coś podejrzewała. Zadzwoiłem do niej pierwszego dnia po południu, i zanim jeszcze zdążyłem się z nią przywitać, od razu na mnie naskoczyła.

– Gaitonde – odezwała się. – Co się stało?

– Nic się nie stało. Dlaczego coś miałyby się stać?

– Nigdy nie dzwonisz do mnie tak wcześnie po południu.

– Mam dzisiaj wolne i postanowiłem do ciebie zadzwonić. Będiesz mnie za to ciągać po sądach?

Umilkła, ale tylko na moment. Chwilę później znowu zaatakowała, tym razem tonem niebezpiecznie łagodnym.

– To gdzie teraz jesteś, Gaitonde?

– A gdzie mam niby być? Jestem w moim pokoju. W domu.

– Ale gdzie?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Po prostu pytam. Tak po prostu.

– Nigdy w życiu niczego nie robiłaś „tak po prostu”.

– W takim razie gdzie jesteś?

– W Kuala Lumpur.

Za oknem zza zakrętu wyjechał samochód.

– To chyba był ambassador. W Kuala Lumpur jeżdżą ambassadorami?

Ta Dźodźo powinna była zostać szpiegiem. Miała absolutną rację, ambassador właśnie pokonał zakręt przy bramie i z klekotem pojechał dalej.

– Przecież to japoński džip, wariatko – odparłem.

– Chcesz mi powiedzieć, że Japończycy robią teraz hałaśliwe khatary? Niech ci będzie. Ale czy ptaki tak śpiewają w Malezji? A dzieci grają w krykieta?

Znajdowałem się w luksusowym bungalowie, ale oczywiście nie można było ukryć się przed hałasem. Słyszałem wrony i rozgrywany gdzieś przy ulicy mecz krykieta, a także robotników pracujących na budowie dwie parcele dalej, i pokrzykujących do siebie w języku telugu. A do tego muzyka filmi dochodząca z jakiegoś radia, chociaż bardzo cicha i oddalona. Zasłoniłem słuchawkę dłonią i schowałem się w kącie pokoju.

– W tym budynku jest bardzo dużo Indusów – powiedziałem. – Nie kłóć się ze mną. Nie jestem w nastroju.

– Już dobrze, dobrze, Gaitonde. Co tam u ciebie?

Co u mnie? Czuję się stary, byłem sam i bałem się.

– U mnie wszystko w porządku – odparłem. – Po prostu doskonale. Powiedz mi lepiej, co u ciebie?

Opowiedziała mi o swoim życiu – o problemach z dziewczynami, którym wydawało się, że są więcej warte i że dostają za mało pieniędzy, o przeciekającej ścianie w mieszkaniu, z której sączą się krople wody, chociaż już dwukrotnie była impregnowana, o zleceniu na program

telewizyjny, które wymknęło się jej z rąk. Słuchałem jej i myślałem, jak ona dobrze mnie zna. Nie miało znaczenia, czy jest daleko, czy blisko, zawsze czułem jej obecność, jakby siedziała tuż przy mnie. Poznaliśmy rytmy swoich oddechów i teraz rozmawialiśmy i żartowaliśmy ze swadą, jak chłopak i dziewczyna siedzący na dwóch końcach huśtawki, na przemian posyłający się wysoko w górę, jak cyrkowi akrobaci, którzy wykonują salto i odnajdują się w powietrzu.

Dźodzo była dla mnie kimś absolutnie realnym, a dzieląca nas odległość nie miała tu żadnego znaczenia. Znajdowałem się zaledwie dwa kilometry od jej mieszkania, a nawet mniej, jeśli mierzyć w linii prostej, przez bagna i morze. Mógłbym być u niej za dziesięć minut. Mógłbym wejść po schodach, zapukać do jej drzwi i poprosić o filiżankę ćaju. Ale nie czułem takiej potrzeby, nie musiałem jej widzieć. Była ze mną, chociaż tak odległa. Czułem ją w moim wnętrzu. Była dla mnie bardziej realna niż ja sam. Bo jakoś przygasłem i rozpadłem się na kawałki. Naprawdę. Nie chciałem się do tego przyznać, ale tak było. To coś, co nazywałem sobą, tę moją osobę, odczuwałem jak jakiś stary, brunatny koc, porwany i połatany, ledwo trzymający się kupy. Ja, który kiedyś byłem Ganeśem Gaitondem, którego w przeszłości cały świat znał jako człowieka wielkiego i zdrowego, nie byłem już sobą. Czułem się jak mały chłopczyk, idący samotnie przez nieskończoną równinę oświetloną stosami pogrzebowymi, przerażony i zagubiony. W tej przesyconej popiołem mgłę, gdzie już nie potrafiłem rozróżnić, co jest dobre i co warto mieć, kurczowo trzymałem się Dźodzo. Była moją siłą i moją jedyną przyjemnością, moją kotwicą i jedynym przyjacielem. Słuchając jej i śmiejąc się, próbowałem wziąć się w garść przed poszukiwaniami.

– Gaitonde – powiedziała – mam wrażenie, że siedzisz na rogu w Tardeo. Ale ty się tak ciągle kręcisz, że nawet ja się w tym gubię, nie tylko ty.

Powinieneś na chwilę zatrzymać się w jednym miejscu. Nawet w tym Kala Langur.

Powiedziałem jej, gdzie może wsadzić sobie to swoje Kala Langur, na co ona zachichotała, a potem opowiedziała mi historię pewnej kobiety, która pojechała na wakacje do Nepalu i została tam uprowadzona przez zakochanego w niej niedźwiedzia.

– Naprawdę, Gaitonde, tak się stało. Niedźwiedzie często porywają kobiety.

Sądzę, że w ten zawołowany sposób chciała mi zasygnalizować, że powinienem zostać w domu. Nie powiedziałem jej, że nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu, że nie mam wyboru, muszę podróżować. Po prostu jej wysłuchałem, a następnego dnia wyjechałem do Delhi. Czekają tam na mnie pięciu moich ludzi, cała podstawowa załoga mojego jachtu. Przylecieli na lotniska rozrzucone po całym kraju, z Sydney, Singapuru i Mombasy, i spotkali się w dwóch hotelach w Greater Kailash. Mieli stanowić moją drużynę, mój tajny oddział do zadań specjalnych. Z Mumbaju przybył Nikhil, asystent Bantiego, żeby dowodzić tymi siłami. Niezbyt uśmiechało mu się pozostawianie intratnych działań i rodziny w Mumbaju, ale ponieważ nalegałem, spakował się i przyjechał. Znał mnie dostatecznie dobrze, żeby nie oponować. Chociaż miał dopiero trzydzieści lat, był już zupełnie łyсы i cechowała go powściągliwa cierpliwość starego człowieka. To on zajął się szczegółami przygotowań – wszyscy ludzie mieli porządnie przygotowane fałszywe życiorysy, nowe dokumenty, spreparowane i spatynowane, żeby wyglądały na odpowiednio stare, niepozorne ubrania i schludne fryzury. Kiedy przywiozłem pieniądze i broń, mogliśmy ruszać w drogę.

Zaczęliśmy od Candigarhu. Garu-dzi został kaleką po wypadku motocyklowym w Pathankotu, skąd przewieziono go do szpitala w



Candigarhu, a podczas rekonwalescencji związał się z tym miastem. To właśnie tutaj, wśród tych szerokich alei i rond ostatecznie ulokował swoich rodziców i także tu założył swoją pierwszą aśramę i główną siedzibę. Kompleks budynków, w którym mieściła się aśrama, od początku był duży, ale teraz obejmował obszar sto akrów rozciągających się na peryferiach Sektora 43. Dotarliśmy do Adarś Nagaru późnym popołudniem, czując na plecach ciepło zachodzącego słońca. Potężnej błękitnej bramy strzegli odziani na biało sadhu, reprezentujących typową mieszaninę Indusów i obcokrajowców. Nikhil zadzwonił tam wcześniej i umówił nas na spotkanie z sadhu Anandem Prasadem, który zarządzał Adarś Nagarem i był naczelnym sadhu krajowej organizacji. Kiedy Nikhil rozmawiał z telefonującymi strażnikami, ja, nie mając nic do roboty, wysiadłem z samochodu i podszedłem do szlabanu. Już sama brama była swoistym monumentem, przypominającym jedną z tych ogromnych wartowni, które można spotkać przed zamkami czy fortecami, mieszczącą pokoje, komnaty i zbrojownie. Budynek straży Garu–dźi, we wspaniałym połyskującym błękicie, miał subtelnie zaokrąglone wieżyczki, spiczaste iglice oraz małe balkony, i pomimo swojej masy sprawiał wrażenie lekkiego, jakby został przeniesiony z innej epoki. Mógł strzec pałacu w Hastinapur albo stać przed złotą fortecą Rawany. Wewnątrz kompleksu budynków widać było gęsty dywan zielonej trawy, równo i prosto przyciętej, oraz długie bulwary i porozrzucane budynki, wszystkie w kolorze białym i błękitnym. Drzewa były przyszyżone, a przy drogach łopotały pomarańczowe i czerwone flagi. Ocieniony łuk sklepionego przejścia bramy przepelniał aromat ułożonych w schludne bloki żółtych kwiatów, które rosły wzdłuż stalowego ogrodzenia.

– W porządku, bhai – powiedział Nikhil. – Możemy wejść.

Wjechaliśmy do środka, po drodze mijając sadhu, którzy z determinacją kroczyli małymi grupkami. W tych ogrodach panowała jakaś nieskończona cisza, jakiś bezczasowy spokój, i nawet zbierające się stada wieczornych ptaków odzywały się tylko łagodnymi głosami. Po łąkach spacerowały dzieci, ale wszystkie szły w uporządkowanych kolumnach, a na widok starszych osób skłaniały głowy z pozdrowieniem namaste. Widziałem tę aśramę na filmie wideo, w naturze jednak wyglądała na mniejszą, niż ją sobie wyobrażałem. Ale miała idealny kształt, doskonale wyważony i kwadratowy. Po drugiej stronie tego campusu znajdowała się następna błękitna brama, kolejne dwie na wschodzie i zachodzie, a dokładnie w samym geometrycznym środku terenu, w połowie drogi między tymi bramami, wznosiła się potężna, schodkowa piramida z białego marmuru, jak filar wymierzony w niebo. To właśnie był główny budynek administracji. Zaparkowaliśmy przed nim i przeszliśmy przez następny kordon sadhu, którzy pełnili rolę sekretarzy. Następnie wprowadzono nas do poczekalni zastawionej rzędami niskich kanap, i tam zaczekaliśmy. W końcu Nikhil powiedział to, co wszyscy myśleliśmy.

– Bhai, tu jest fura szmalu. Może my bawimy się nie w tę grę, co trzeba.

– Nigdy za późno na zmiany – odparłem. – Chciałbyś stworzyć jakąś nową religię?

– Nie ma sprawy. – Podrapał się w goli. – Ty możesz być głównym bogiem człowiekiem, a ja zajmę się finansami.

– Czyli będę wykonywał całą robotę, a tobie przypadnie największa działka, ty pazerny maderćodzie. Może przynajmniej podsunąłbyś jakieś zasady tej nowej wiary. Jaka jest twoja filozofia?

Ten ćutija bez problemów wymyślił kredo. Legł się na sofie, złożył dłonie na odprężonym brzuszku i położył nogi na stole.

– Jest tylko jedna zasada. Łaskę można uzyskać, oddając pieniądze bhai. Im więcej dasz, tym więcej pozbędziesz się karmy. Jeśli oddasz wszystko, co masz, uzyskasz moksę.

Wszyscy chłopcy zarechotali i ja też się uśmiechnąłem. Poczulem jednak, że ten cynizm, to łatwe szyderstwo, rani mi serce. Garu–dźi z pewnością zebrał wiele pieniędzy, ale nie wierzyłem, że chodziło mu tylko o pieniądze. Wiedziałem, że było inaczej. Nawet nie udawałem, że pojmuję, jak działał jego umysł, ale byłem pewien, że za tymi pieniędzmi krył się jakiś plan, że za tym nienagannym porządkiem jego aśramy była jakaś głębsza logika. Po prostu nie byłem w stanie odczytać znaczenia tej mantry, nie umiałem mówić językiem Garu–dźi i nie potrafiłem uchwycić znaczenia tego kwadratu z zawartym wewnątrz kręgiem.

Kiedy wciąż jeszcze zmagalem się z tymi zagadkami religii i estetyki, sekretarz Ananda Prasada poprosił nas do biura. Puściłem Nikhila przodem, i wszedłem jako ostatni. Rozmowę prowadził Nikhil, on miał być szefem organizacji NRI, która chciała przekazać pieniądze na charytatywną działalność Garu–dźi. Słuchałem ich rozmowy, zaskoczony urodą Ananda Prasada. Jego skóra wyglądała jak wypolerowana czekolada, lśniąca na tle noszonych przez niego białych szat, i chociaż musiał mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat, jego długie, ciemne włosy opadały na gładkie, pozbawione zmarszczek czoło. Mówił z delikatnym akcentem ludzi z południa, i muszę przyznać, że w całym swoim życiu nie spotkałem tak przystojnego Tamila. Jego sekretarzem był bardzo wysoki Holender, blondyn o tak wyrazistych rysach, że mógłby być aktorem. Sekretarz stanął za fotelem Ananda Prasada i ta dwójka – w tym przestronnym biurze pełnym obitych jedwabiem mebli – wyglądała jak reklama technik Garu–dźi. Byli po prostu piękni.

Nikhil nalegał na spotkanie z Garu–dźi. Powiedział Anandowi Prasadowi, że nasza organizacja może przekazać miliony, że należą do niej

rozrzućeni po całym świecie indyjscy biznesmeni, programiści komputerowi i lekarze i że oni wszyscy z chęcią ofiarują pieniądze. Ale wszyscy byli uczniami Garu-dźi, i żeby przekazać mu pieniądze, koniecznie muszą się z nim spotkać. Jeśli nie osobiście, to może podczas telekonferencji. Albo przynajmniej, na początek, skontaktować się telefonicznie.

– Bardzo mi przykro – odparł Anand Prasad. – Ale Garu-dźi wycofał się w ustronne miejsce. Jeszcze przed wyjazdem zostawił nam wyraźne instrukcje. Absolutnie nie można mu przeszkadzać, nawet w nagłych wypadkach. Szczerze mówiąc, sam nie jestem w stanie z nim się skontaktować. Nie wiem, gdzie przebywa ani jak się z nim skomunikować.

– Czyli on do pana dzwoni? – zapytał Nikhil.

Anand Prasad wzruszył ramionami z gracją tancerza.

– Nie, nie – odrzekł. – On rzeczywiście zniknął. – Wykonał rękami gest iluzjonisty. – Można by powiedzieć, że wyparował. Wróci, kiedy sam będzie tego chciał.

– Nie wróci nawet po milion dolarów? – zapytał Nikhil. – Nawet dla biednych dzieci? I dla przymierających głodem kobiet?

Bardzo się starał, ale sam widziałem, że na próżno. Anand Prasad nie wiedział, a jeśli wiedział, z pewnością nie chciał podzielić się tym, co wiedział.

– Daj spokój – powiedziałem do Nikhila. – Ten madercod to tylko sługus. On nic nie wie.

Anand Prasad popatrzył na mnie zszokowany. Był człowiekiem pochłoniętym swoją świętością i nieskazitelnym dobrym wyglądem i nigdy wcześniej nikt do niego w ten sposób nie mówił.

– Co?! – zapytał. – Kim jesteście?

Zrobiłem dwa kroki w kierunku jego biurka. Obok wymyślnej obsadki pióra i trzech telefonów stał złoty ołtarzyk w kształcie orła, wielkości dwóch rozłożonych dłoni. Wziąłem go do ręki. Wykonano go z ogromną pieczołowitością, widać było poszczególne cegły, a także samagri, przygotowane wewnątrz ołtarzyka i gotowe do spalenia. Czułem jego wielki ciężar, pasował do mojej dłoni swoją imponującą masą. Nozdrza wypełniał mi dym składanej ofiary, ten aromat oznaczający jednocześnie życie i śmierć. Dusiło mnie pragnienie, wprost w nim tonąłem. Gdzie był Garu-dzi? Dlaczego nie chciał ze mną rozmawiać? Co zrobiłem źle?

– Co to jest? – zapytałem. – Złoto?

– Posłuchaj tylko... – zaczął.

Podniósł się ciężko ze swojego fotela, bardzo pewien swoich racji i bardzo wzburzony. Zrobiłem jeszcze jeden krok, jednocześnie wykonując zamach tym ołtarzykiem, i rozbiłem czoło Ananda Prasada.

– Nie – powiedziałem. – To ty słuchaj. – Metal zabrzączał jak dzwon, a na czystej szybie okna pojawiło się kilka kropel krwi. – Twarde – powiedziałem z satysfakcją.

– To nie jest ze złota. – Anand Prasad miotał się po podłodze obok fotela, a szaty owijały mu się wokół bioder. Stałem okrakiem nad tym sukinsynem, chwyciłem go za ramiona i podniósłszy go, dalej pracowałem ołtarzykiem. Te ciosy dawały mi jakiś spokój, jakieś skupienie, które spływało na mnie jak strumień czystej wody. Wypływały ze mnie równym rytmem, wraz z moim oddechem, jakbym medytował. Zagubiłem się w tym ukojeniu, w tej satysfakcji zniknęły całe noce strachu i gniewu. W końcu ołtarzyk cały pokrył się krwią, a Anand Prasad leżał martwy.

Puściłem go, a jego czaszka gruchnęła cicho o marmur. Chłopcy patrzyli na mnie z szeroko otwartymi oczami. Nikhil trzymał ghorę wymierzonego w Holendra, który siedział w kucki w kącie.

– Nie – powiedziałem. – Żadnych kul. To ma być komunikat. Zrób tak samo. – Upuściłem ołtarzyk.

Holender zdążył tylko raz krzyknąć, zanim chłopcy go dopadli. Otworzyłem drzwi i znalazłem za nimi nieskazitelną toaletę, w pełni luksusową ubikację. Ci sadhu wyższego szczebla niczego sobie nie odmawiali, nie, z pewnością nie. Włączyłem światło i zobaczyłem swoje odbicie w lustrze – płonące oczy, krew na twarzy. Myłem się, a w sąsiednim pokoju Holender umierał w kaskadzie łomotów i jęków. Kiedy wszedłem do pokoju, chłopcy właśnie się podnosili.

– Lepiej to powycierajmy, bhai – odezwał się Nikhil, ciężko oddychając falującą pierśią. – Odciski palców.

Do ołtarzyka przylepiły się jakieś włosy i kawałeczek ciała.

– Weź to – powiedziałem. – Później się tego pozbędziemy.

Chłopcy doprowadzili się do porządku i opuściliśmy biuro. Opanowanym, powolnym i luźnym krokiem podeszliśmy do samochodu, wsiedliśmy do środka i spokojnie podjechaliśmy do bramy. Pomachaliśmy sadhu i już nas nie było.

Wcześniej zaplanowaliśmy drogę ewakuacyjną. W kryjówce czekały na nas nowe ubrania i czarne tata sumo. Dobrze wyszkoliłem swoich ludzi. Po niecałych piętnastu minutach pokoje były wysprzątane, a sumo załadowane. Posprzątaliśmy maruti zen, którym byliśmy w aśramie, i odjechaliśmy. Udaliśmy się na południe, w stronę Delhi. Mijaliśmy kolumny autobusów i załadowanych ciężarówek, i przez chwilę jechaliśmy za weselem. W tym półmroku czułem ogromny spokój. Teraz Garu-dzi będzie musiał się do mnie odezwać. Zrobiłem coś bardzo złego i będzie musiał mnie ukarać. Będzie musiał do mnie zadzwonić, żeby mnie zganić. Oczywiście, przeproszę go, ale też wytłumaczę mu, dlaczego to zrobiłem, a on mnie zrozumie. On mi wybaczy.

Zostawiliśmy za sobą tereny przemysłowe, sklepy i dhaby, i teraz przed nami aż po czerniejący horyzont rozciągały się pola sarsy [gorczyca] i pszenicy. Elektryczne słupy zbliżały się do nas, wznosząc i opuszczając przewody nad naszymi głowami. Kiedy w dzieciństwie jeździłem rozklekotanym autobusem z Digadh do Nasiku, wyobrażałem sobie, że mijane słupy elektryczne wołają za mną, znikając z tyłu i odchodząc w przeszłość. Ale w tych dawnych czasach nigdy nie widziałem tylu dobrze prosperujących gospodarstw, tych pakka domów z sięgającymi w niebo antenami satelitarnymi i naziemnymi. Wszystko się zmieniło.

Ale w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Tę prawdę widziałem w całym kraju. Przez szereg następnych tygodni podróżowałem z Nikhilem i resztą chłopaków, pokonując zygżakiem nasz bharat–darśan. Odwiedzaliśmy aśramy Garu–dźi, jego biura i miejsca, w których prowadził interesy. Sprawdzaliśmy wszystkie tropy i pogłoski, kierowaliśmy się intuicją i wyobraźnią. Pojechaliśmy z Candigarhu do Delhi i do Adźmeru, z Nagpuru do Bhilai i do Siliguri. I z powrotem do Dźaisalmeru, a potem do Dżammu i Bhopalu, i do Digboi. Zatrzymaliśmy się na tydzień w Koci, żeby Nikhil mógł zaaplikować sobie antybiotyki w celu pozbycia się grypy żołądkowej, z powodu której co pół godziny stękał w toalecie. Wynajęliśmy bungalow na nabrzeżu i obserwowaliśmy chińskie sieci rybackie, wynurzające się z wody. Tymczasem Nikhil dalej walczył ze swoimi dolegliwościami, a lekarz zapisywał mu kolejne badania. Po jedenastym badaniu powiedziałem temu sukinsynowi, że przejrzałem jego taktykę i wiem, że uprawia cut–practice.

– A co to jest cut–practice, saar? – zapytał z akcentem języka malajalam.

– Może tu inaczej to nazywacie – odparłem – ale chodzi o te same trzydzieści procent, które dostajesz od laboratorium. Mogę założyć się o cały lakh. Chcesz dostać trzydzieści procent? To ja ci dam te trzydzieści

procent. – I zobaczył grzbiet mojej dłoni. Po tym incydencie był już cichutki i uległy, jak zbita randi, dał kapsułki, ukłonił się i odszedł. Nie mogłem się powstrzymać, musiałem pokazać temu sukinsynowi, gdzie jest jego miejsce, chociaż ten odruch zawodowy był raczej teraz niepożądany. Przecież wiedziałem, że powinniśmy starać się nie zwracać na siebie uwagi. Ale ten gandu rozzłościł mnie. Nosił džinsy, jeździł fordem capri i ciągle powtarzał, że podaje „najnowsze, nowiuteńkie” lekarstwa, ale interesy prowadził dokładnie tak samo jak każdy wiejski lekarz, który aplikuje niepiśmiennym pastuchom zastrzyki z wody. W całych Indiach było podobnie – spotykaliśmy rolników, którzy nosili telefony komórkowe i potrafili zabić córki czy synów, za to, że pobrali się niezgodnie z systemem kastowym, kupowaliśmy butelki wody mineralnej od parszywych, bosych ćhokrów, których skóra na ramionach pokryta była grzybicą. Co wieczór zgorzkniały Nikhil narzekał na trzeszczące połączenia telefoniczne, kiedy próbował podłączyć swojego laptopa do Internetu i odebrać pocztę, aż w końcu w Coimbatore jakieś nieuziemione gniazdko doprowadziło do tego, że jego elegancki sony vaio spalił się i ostatecznie padł. Nikhil teraz srał już dwanaście razy na dzień i powiedział, że boi się, że jeśli dalej będzie go męczyć huggoing, to zdechnie na tym behenćodowym białym tronie w tym maderćodowym mieście, gdzie wszyscy mówią językiem malajalam, w tym harami kloacznym kraju.

Nawet w aśramach Garu–dźi odczuwało się zamieszanie. Sam to dostrzegałem. Chaos sączył się do środka przez stalowe ogrodzenia, błękitne bramy i ochronne mantry. W całym kraju aśramy były pobudowane według tego samego planu. Niezależnie od tego, czy duża, czy mała, czy w mieście, czy na wsi, każda aśrama miała ten sam układ południowo–północny i takie same cztery błękitne bramy. Budynki i odległości mogły się zwiększać lub zmniejszać, ale układ był taki sam. Po odwiedzeniu kilku



aśram wiedzieliśmy już dokładnie, jak się w nich poruszać, wiedzieliśmy, że pierwszy budynek po lewej po przekroczeniu głównej bramy mieści sklepik z rzemiosłem artystycznym, a pralnia zawsze jest ukryta w północno-zachodnim narożniku. I zawsze, ale to zawsze w samym środku stała piramida, miejsce najświętsze, najmocniejsze, główna siedziba. Kiedy tak podróżowaliśmy od jednej identycznej aśramy do drugiej, poszukując informacji o miejscu pobytu Garu-dźi, zaczynałem powoli dostrzegać sens w tej geografii, rozumieć znaczenie tego rozplanowania. Patrząc na te miejsca, powielone w jego umyśle i w pełni stworzone przez jego przenikliwość i wyobraźnię, miałem wrażenie, że prowadzę rozmowę z Garu-dźi. Cała sceneria zawsze ogniskowała się na marmurowej piramidzie, przypominającej nasze stare, indyjskie świątynie, ale trochę się od nich różniącej. Tutaj, w tym budynku zupełnie pozbawionym wszelkich wizerunków, istniało tylko to dzieło umysłu i to, co leżało poza umysłem. Tu była administracja i medytacja, dharmy i moksza. W oddali od tego punktu centralnego, na samych peryferiach, znajdowały się podrzędne budynki, pralnie, generatory, toalety publiczne i pawilony sztuki. Pomędzy nimi stały szkoły dla dzieci, sypialnie dla małżeństw, kliniki medyczne i zaplecze komunikacyjne. Bliżej samego centrum, z dala od budynków, do których wstęp mieli prości świeccy wyznawcy, znajdowały się rezydencje w kształcie łuku, wihary i sale sadhu, tych, którzy odizolowali się od świata. Okrężały one idealnym kołem tę białą piramidę, za którą było już tylko pełne wyzwolenie.

Dostrzegałem w tym wszystkim logikę i jakiś postęp, ruch przebiegający z zewnątrz do wewnątrz. Związki między tymi punktami a kątami, architektura tych budowli, reprezentowały geometrię czasu i samego życia. Wielokrotnie słyszałem, jak Garu-dźi mówi o etapach w życiu człowieka, o odpowiedniej przynależności do kast i grup, o miejscu kobiety w

sprawiedliwym społeczeństwie, o edukacji dzieci – i właśnie tu, w tych aśramach, wprawne oko mogło to wszystko dostrzec. Panował tu porządek, porządek intelektu Garu–dźi. Odczytywanie tych tak zaaranżowanych scenerii kojarzyło mi się ze słuchaniem kazania i teraz bardzo wyraźnie widziałem jego wizję, jego ideę, jak powinno wyglądać państwo, a potem cały świat. Pragnął przekształcić i wprowadzić całe Indie do tych przepojonych pokojem zielonych ogrodów, poprowadzić je do doskonałości. W niektórych częściach Singapuru można było znaleźć tę czystość, której on pragnął, ale na całej ziemi nie znalazłoby się miasto o tak idealnej symetrii, takiej wewnętrznej spójności, z tak doskonale wyważoną proporcją sklepów i centrów medytacyjnych, pozwalającej widzieć centralną świątynię przez precyzyjnie zaprojektowane łuki biblioteki i pralni. Te budynki i błękitne bramy przywodziły na myśl naszą przeszłość, jak złote dekoracje z mitologicznego serialu telewizyjnego, ale w rzeczywistości stanowiły wizję przyszłości Garu–dźi. Były jutrem, które on chciał nam przynieść, tą satjugą, którą chciał stworzyć.

Teraźniejszość stawiała jednak opór. Pewnego ranka, w Coimbatore, tuż przy wschodniej bramie aśramy, stary figowiec zwałił się na ogrodzenie, niszcząc jedenaście metrów płotu, a przez powstały wyłom do środka weszło stado kóz i zanim je spędzono i wyrzucono, zdążyły pożreć trzy różane ogrody. W Candigarhu doszło do skandalu obyczajowego z udziałem głównego sadhu, trzech nastoletnich wyznawczyń i tamtejszego zastępcy komendanta policji. Na własne oczy widziałem stan biur administracyjnych w Allepej, zaatakowanych przez nieustępliwą plagę termitów i czerwonych mrówek. A do tego doszedł jeszcze sposób, w jaki potraktowaliśmy wyniosłego Ananda Prasada i jego Holendra, co zapoczątkowało walkę o władzę w organizacji Garu–dźi. W „Asian Age” pojawił się nagłówek *Brutalne podwójne morderstwo pod nieobecność*

*guru*, a w dalszej części artykułu spekulowano, że Anand Prasad został usunięty przez zbuntowany odłam sadhu. Zauważyliśmy, że w aśramach pojawili się wynajęci strażnicy, jeszcze bardziej zaostrzono procedury bezpieczeństwa, słyszeliśmy też o kłótniach i przepychankach, do których dochodziło między głównymi kandydatami na stanowisko po Anandzie Prasadzie. Gazeta „Asian Age” tylko w połowie miała rację – sadhu nie mieli nic wspólnego z likwidacją Ananda Prasada, ale teraz rzeczywiście w organizacji wybuchły zacięte spory i konflikty wewnętrzne. Nikt z tych sadhu nie wiedział, kim jesteśmy, więc każda z ich grup uważała, że moja co chwilę pojawiająca się i znikająca ekipa poszukiwawcza składa się z gundów wysłanych przez inną frakcję, i oskarżali się nawzajem o morderstwa. Nie ustawaliśmy więc w swoich poszukiwaniach, nie przebierając w środkach i bez skrupułów korzystając zarówno z pieniędzy, jak i z metod zastraszania. Nikogo już nie zabiliśmy, ale w Bangalore musieliśmy złamać rękę jednemu z programistów, żeby jego dziewczyna – będąca drugim programistą – podała nam hasło do poczty elektronicznej. I tak się to ciągnęło.

Niczego nie znaleźliśmy. Krążyło mnóstwo plotek na temat losów Garudzi. Niektórzy naprawdę wierzyli, że udał się do samadhi, choćby tylko czasowo, a inni mówili, że umiera na raka. Każdy miał coś do powiedzenia, ale nikt nie umiał podać nam żadnych konkretnych informacji. Moich ludzi ogarniało zniechęcenie. Nieustanna podróż była męcząca, a oni przez cały czas byli daleko od swoich normalnych zajęć związanych z robieniem pieniędzy. Już od tygodni nie widzieli swoich żon i ćhawi. Gdy dzwoniłiśmy do chłopaków w Mumbaju, słyszeliśmy narzekania, że naciska ich policja, że nasi żołnierze i agenci z niepokojącą regularnością są likwidowani przez władze. Kiedy więc Nikhil nabawił się tej swojej paskudnej dawki wewnętrznego chaosu, zarządziłem odpoczynek w Koci.

Powiedziałem chłopakom, żeby sobie odpoczęli i że wkrótce ruszymy w dalszą drogę. Ale sam już zaczynałem myśleć, że nigdy nie znajdziemy Garu-dzi, że on jednak mi uciekł.

Po dziesięciu dniach spędzonych w Koci Nikhil w końcu pozbył się swoich dolegliwości. Stracił całe pięć kilogramów i wyglądał na wycieńczonego. Tej nocy mieszkańcy Koci urządzali paradę, i my, siedząc na balkonie na drugim piętrze swojego bungalowu, patrzyliśmy, jak przechodzą w nieskończonym korowodzie żywych obrazów i hałaśliwie przedstawianych scenek. Przed naszymi oczami kroczył słoń, prawdziwy, przystrojony w złoty pióropusz. Za nim podążała grupa mężczyzn przebranych w różowe atlasowe suknie, ze sztucznymi piersiami i w krzykliwym makijażu. Następnie pojawiła się ciężarówka, na której zobaczyliśmy wyroby i ludzi z Kerali, a byli wśród nich hindusi, muzułmanie, chrześcijanie i żydzi, a także siedząca na leżaku jasnowłosa turystka. Chwilę później, na innej ciężarówce, przedstawiano scenkę z Mahabharaty, a jej bohaterowie w świecących zbrojach tańczyli w rytm disco. Moi ludzie stali w tłumie gapiów. Nikhil sączył piwo, ja popijałem sok ananasowy, i patrzyliśmy.

– Bhai – odezwał się Nikhil. – Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał, nie chcę stawiać żadnych pytań. Ale chodzi mi o chłopaków. Oni zaczynają się niecierpliwić. Dlaczego tak uparcie szukamy tego Garu-dzi?

– Stawiasz jednak pytania – odparłem.

– Z całym szacunkiem, bhai, ale chyba sam rozumiesz, Banti mówił, że zawsze mu powtarzałeś, że ważne jest morale. A chłopaki...

– Twoje morale też jest niskie? Tak bardzo brakuje ci żony?

– Brakuje mi dzieci, bhai. I interesów... Kiedy jesteśmy tutaj, nie dbamy o swoje interesy.

Wcześniej nic im nie powiedziałem, ale zrozumiałem teraz, że chyba trzeba podać im jakieś wyjaśnienie. Jeśli Nikhil, człowiek, który wszystko mi zawdzięczał, potrafił powiedzieć mi coś takiego prosto w oczy, trzeba było jakoś podnieść morale w zespole.

– Dobra – powiedziałem. – Słuchaj uważnie, bo nie będę tego powtarzał.  
– Na przejeżdżającej pod nami ciężarówce ustawieni kręgiem członkowie jakiegoś plemienia tańczyli wokół ognia zrobionego z czerwonego reflektora i trzepoczących, czerwonych wstążek. Wszyscy mieli okulary przeciwsłoneczne. – Nie mogę zbyt wiele ci wyjawić, ale powiem ci choć tyle. Szukamy tego Garu–dźi tylko w związku z interesami. On nas oszukał. Wystawił nas do wiatru.

– Jest nam winny pieniądze?

– Tak, bardzo dużo pieniędzy. Zdradził nas.

– Sukinsyn – odrzekł Nikhil. Chyba usatysfakcjonowała go moja odpowiedź. Nasze działania nabrały sensu, cały świat nabrał dla niego sensu. – W takim razie musimy go znaleźć.

– Powiedz chłopakom, że dopóki jesteśmy w tej misji, wszystkim podwajam stawki. A na koniec będzie premia.

Wyraźnie poprawiło mu to humor. Zostawiłem go na balkonie i udałem się do swojego pokoju. Ustawiłem klimatyzację na maksimum i wyłączywszy światła, położyłem się na łóżku. Niedługo Nikhil zadzwoni do swojej żony i porozmawia ze swoimi dziećmi. Przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Dźodźo, ale byłem zbyt wycieńczony. Od powrotu do Indii miałem problemy ze snem. Początkowo myślałem, że to zmęczenie po długiej podróży samolotem, zmiana środowiska, że przeszkadza mi szczenie psów i trzeszczenie świerszczy. Ale minął tydzień, a ja tylko przelotnie drzemałem. Przez trzy noce z rzędu otumaniałem się tabletkami nasennymi, i każdego kolejnego ranka budziłem się coraz bardziej

zmęczony. Teraz minęły już całe tygodnie, a dla mnie każda noc była długą, ciężką podróżą i za dnia chodziłem nieprzytomny jak duch. Choć Nikhil tego nie powiedział, widziałem, że również on martwi się o mnie. Zdarzało mi się zasypiać w ciągu dnia, kiedy siedziałem wyprostowany i omawiałem interesy z naszymi ludźmi w Mumbaju, czy też po obiedzie, w oczekiwaniu na deser. Zawsze budziłem się przestraszony i przerażony tym samym snem, tą samą scenerią popiołu i ciemności. Wiele wysiłku kosztowało mnie, żeby się skupić na kwotach pieniędzy i na kwestiach taktyki i zarządzania.

Potrzebowałem snu, ale dzisiejszej nocy z pewnością nie miałem go zaznać. Przez ryk urządzenia klimatyzacyjnego przedzierała się muzyka parady, która wciskała się do wnętrza mojej głowy. Wciąż słyszałem trzy, może cztery piosenki, w różnych językach, i wszystkie odbijały się od siebie i czasami mieszały w głośnie, nieznośne dudnienie. W tle słyhać było szmer tłumu, który od czasu do czasu wybuchał radosnym wrzaskiem. Przeklinałem tych wszystkich sukinsynów Indii, mnożących się bez opamiętania w lakhach i krorach. Żałowałem, że nie mają jednej wspólnej głowy, którą mógłbym odstrzelić i w ten sposób zabić ich wszystkich naraz. Ale nie, mnie cisza nie była pisana. Ilu ludzi zastrzeliłem? Nie tak dużo mniej niż ich tu było. Choćbym zabijał jednego co sekundę, i tak zostałyby ich wielu, wystarczająco dużo, żeby bębnić w moją głowę swoimi beczącymi głosikami, tą ich miauczącą radością. Było ich tyle, co drobinek srebrnego kurzu w żółtym, wpadającym przez szybę okna promieniu światła, który przechodził nad moją głową. Przed nimi nie było ucieczki.

Dlaczego ten pokój pachniał mogrą? Pamiętałem ten attar, którego używał Salim Kaka i którego użył tej nocy, kiedy go zabiłem, żeby zdobyć jego złoto. Zawsze brał zieloną buteleczkę i zraszał nim swoją brodę i piersi, zanim wyszedł do jednej ze swoich kobiet. Pamiętałem, jak odchyłał

głowę do tyłu i potrząsał buteleczką nad szyją, i jak potem rozchodził się ten gęsty, oleisty zapach attaru. A także wygolone pachy Salima Kaki, te jego różowe dziąsła oraz wspaniałe, białe zęby.

Pokój był szczelnie zamknięty, wiedziałem, że w pobliżu nie rosną żadne kwiaty. A jednak czułem ten aromat, gęsty i nieodparty. Podparłszy się na łokciu, wypilem łyk wody i ponownie się położyłem. Wciąż jednak to czułem, w głębi gardła i gdzieś głęboko w głowie, czułem tę mogrę. Otworzyłem oczy.

Ale cóż czaiło się tam, w kącie, rozświetlone skrajem bijącego od okna blasku? Jedwabny, czerwony rękaw, ręka. Tak. Broda. Długie włosy opadające na gruby kark. To był Salim Kaka. Strzeliłem sukinsynowi w plecy, a on powrócił. Ręce mi drżały, a w mojej głowie podniósł się szum głośniejszy niż dobiegająca z zewnątrz wrzawa. To był Salim Kaka, to on. Widziałem jego oczy. Gandu Pasztun.

– Myślisz, że się ciebie boję, behenćodzie? – zapytałem. Nic nie odpowiedział. Ale nawet nie mrugnął, tylko patrzył na mnie z wyraźną, silną i uporczywą pogardą.

Po chwili zniknął, pozostało tylko okno i czerwona zasłona. Wstałem i chwiejnym krokiem podszedłem do tego miejsca, wyciągnąłem rękę i czubkami palców dotknąłem ściany. Zdawałem sobie sprawę, że widziana z łóżka w tym tak niewyraźnym świetle zasłona mogła się wykręcić i przekształcić w ramię. Ale przecież widziałem jego twarz, poplamione od pan wargi i głębokie obojczyki. Te jego wielkie dłonie.

Nie, nie, nie. Ganeśu Gaitonde, zaczynasz wariować. To brak snu i wyczerpanie tak cię osłabiły, doprowadziły do szaleństwa. Wyprostowałem się i szybkim krokiem przeszedłem z jednej strony pokoju na drugą. Oddychaj, powiedziałem do siebie. Usiadłem po turecku na podłodze przy łóżku i zacząłem oddychać w sposób, jakiego nauczył mnie Garu-dzi.

Pozwalałem, aby z każdym wydechem wypływała ze mnie obawa, a na jej miejsce wciągałem energię. Powoli, powoli. To tylko halucynacje. Tak. Wciąż jednak czułem mogrę.

On tu był, tu, w moim pokoju. Szaleństwem było w to wierzyć, ale wiedziałem, że to prawda. Salim Kaka sam mocno wierzył w magię i co dwa lub trzy miesiące odwiedzał Malanga Babę w Aurangabadzie. Malang Baba dał mu czerwony tawiz na szyję i drugi, błękitny, na prawe ramię, żeby chroniły go przed nożem i kulami. Ale Salim Kaka padł pod moimi kulami, ja skradłem jego złoto, a teraz byłem bardziej szalony niż Mathu. Zdawałem sobie sprawę, że jestem obłąkany, mimo to wiedziałem, że Salim Kaka mnie odwiedził. Może to Malang Baba wysłał go do mnie, żeby rzucił mi to złe spojrzenie psa.

Następnego dnia wyruszyliśmy do Chennai. Kiedy samolot wznosił się nad niskimi, zielonymi wzgórzami, w pomieszczeniu pierwszej klasy unosił się słodki smród Salima Kaki. Podążał wraz ze mną, gdziekolwiek się udawałem. Skoro Garu-dzi mnie opuścił, Malang Baba mógł rzucać na mnie swoje czary. Mógł posłać Salima Kakę tysiące metrów w powietrze i przerzucić przez ocean. Starłem się ignorować ten zapach i skupić się na swoich planach. Przez moment sądziłem, że wprowadzony przez nas zamęt w jego aśramach zmusi Garu-dzi do wyjścia z ukrycia, że on wyłoni się, aby mnie ukarać i obronić swoich ludzi.

Ale kiedy teraz unosiłem się w powietrzu, kiedy patrzyłem na pola w dole, nie miałem już wątpliwości, że człowiek, który widział przeszłość i przyszłość, który pojmował czas w kategoriach kolejnych jugach i widział stulecia wirujące zgodnie z jakimś tajemnym planem, który potrafił zapomnieć o własnych pragnieniach i własnym ja, taki człowiek nie będzie



się przejmował, że jakaś organizacja się rozpada czy że ginie jakiś człowiek, albo i kilku ludzi. Nie obchodziło go, co zrobiłem. Zupełnie o mnie nie dbał, niezależnie od tych wszystkich gestów sympatii, które w przeszłości mi okazał. Byłem dla niego niczym. Wzniósł się wyżej niż jakikolwiek odrzutowiec i teraz patrzył na nas z góry, jak na mrówki. Jeszcze zanim wylądowaliśmy, wiedziałem, że obraliśmy błędną strategię. Ale nie miałem żadnej innej, więc nic nie mówiłem. Pojechaliśmy do naszej kryjówki, odczekaliśmy do zapadnięcia zmroku i włamaliśmy się do biura administracyjnego. Zgodnie z moimi oczekiwaniami niczego nie znaleźliśmy. A Salim Kaka wciąż mnie nie odstępował, podążał ze mną w drodze powrotnej do domu i był ze mną aż do brzasku. Zakrzusiałem się porannym mlekiem, które pod migdałowym smakiem trąciło lepkiem smrodem kwiatów.

Moi ludzie sprawiali wrażenie przygnębionych. Leżeli na sofach i łóżkach, wyglądali na niewyspanych. Obojętnie, czy mieli dostać premię, czy nie, ciężko im było znieść kolejne, sromotne porażki. Grałem rolę pogodnego przywódcy, ale im musiało udzielić się to moje uczucie beznadziejności. Wiedziałem, że powinienem im mówić o kolejnej operacji, ale moje oczy były nabiegłe krwią i zaognione, ból ścisnął kleszczami lewą połowę mojej głowy, i po prostu brakowało mi energii. Nikhil siedział rozparty na swoim fotelu, z nogami opartymi o balustradę balkonu, apatycznie przerzucając strony jakiegoś starego, tamilskiego magazynu filmowego, który ktoś zostawił w łazience. Wyglądało na to, że nie robią na nim specjalnego wrażenia pyzate gwiazdki z południa ani niezrozumiałe reklamy, na których mężczyźni obnażają bicepsy. Odłożył czasopismo na stolik, a ja wziąłem je do ręki i otworzyłem na chybił trafił.

Z zajmującego całą stronę zdjęcia patrzyła na mnie Zoja. Była ubrana na biało i skąpana w srebrzystym blasku, w którym wyglądała bardzo pięknie i absolutnie niewinnie.

Wyglądało na to, że ostatnio kręciła film na południu. Fakt, że występowała w filmach realizowanych w przeróżnych miejscach, i nietrudno do myślenia się, dlaczego. Była piękna. Ale ja, o dziwo, nie pragnąłem jej. Już nie czułem tego rozdzierającego ściskania w dołku, które w przeszłości wywoływała samą swoją obecnością. Kiedy teraz tak na nią patrzyłem, widziałem, że jest ideałem, osiągnęła proporcje, nad którymi tak ciężko pracowaliśmy, tę równowagę między górą a dołem, tę doskonałą grę światła i cienia. Dostrzegalem to nawet na tanim papierze tego czasopisma, przez mało czytelny druk. Ale nic nie czułem. Nie pragnąłem jej ani jej nie kochałem, ani też nie nienawidziłem. Była mi zupełnie obojętna.

Poczułem, jak wzbiera w moich piersiach pragnienie rozmowy z Dźodźo. Wiedząc, że się rumienię, wstałem z miejsca.

– Muszę zadzwonić. – Zostawiłem ich wszystkich, zamknąłem drzwi do sypialni i zadzwoniłem do Dźodźo. Obudziła się w złym humorze i odezwała chropawym głosem.

– Gaitonde, czego ty chcesz? – zapytała. – Dzwonisz w samym środku nocy.

– Jest ósma rano. Chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym, Gai-ton-de? – powiedziała, lekko zawodząc na ostatniej sylabie.

Nie miałem żadnego konkretnego tematu, który chciałbym z nią omówić, po prostu pragnąłem słyszeć jej głos, jej oddech. Ale wiedziałem, że Dźodźo zawsze rano cierpi, dopóki nie wypije trzech filiżanek kawy, i zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli nie podam jakiegoś rozsądnego

powodu, dla którego ją obudziłem, ona rzuci słuchawką, wyzywając mnie od najgorszych. Musiałem coś wymyślić.

– Szukam kobiety – powiedziałem.

– Co za sukinsyn – warknęła. – W takim razie zadzwoń do mnie wieczorem.

– Czekaj, czekaj – odparłem. – Nie chcę jakiejś kobiety, tak po prostu. Chodzi mi o to, że szukamy kobiety, która zniknęła. Ukradła nasze pieniądze i uciekła. Nie możemy jej znaleźć. Już od miesiący jej szukamy.

– Znam ją? Jak ona się nazywa?

Musiałem wymyślić jakieś imię. Przede mną na stole leżał ten tamilski magazyn, a wirujący wentylator przewracał jego kartkami.

– Śri – powiedziałem. – Śridewi.

– Co? Śridewi uciekła z twoimi pieniędzmi?

– Nie, nie. Nie chodzi o tę gwiazdę filmową. To inna kobieta. Ma tak samo na imię.

– I dlaczego nie możesz jej znaleźć? Wzięłeś jej rodzinę pod obserwację?

– Dźodźo ziewnęła.

– Ona nie ma żadnej rodziny. Nie jest mężatką, nie ma nikogo. Byliśmy we wszystkich miejscach, w których ona pracowała, ale nic nie znaleźliśmy.

– Czyli masz problem, Gaitonde.

– Zgadza się.

– I zwracasz się do mnie. – Była bardzo z siebie zadowolona. – Próbowaleś porwać jej chłopaka?

– Ona nie ma żadnego chłopaka. Ani nawet dziewczyny.

– Co to za potwór? Nie ma przyjaciół ani chłopaka, ani dziewczyny.

– Przesłuchaliśmy ludzi, którzy z nią pracowali. Nic to nie dało.

Dźodźo kręciła się teraz po mieszkaniu, już wstała i zaczęła coś robić.

Znałem jej codzienne czynności, szurając nogami szła do kuchni, gdzie ubiegłej nocy służąca postawiła na palniku garnek z wodą. Prawie nie otwierając oczu, Dźodźo włączy gaz i sięgnie po dzbanek z mlekiem, przygotowany na górnej półce lodówki. Właśnie usłyszałem trzask zapalarki.

– Dobra, czyli nie masz żadnych informacji o tej Śridewi. Po tym całym poszukiwaniu twoja cała firma nic nie znalazła.

– Nic.

– Już ci mówiłam, że zatrudniasz głupców.

– Tak, tak. Wielokrotnie.

– Jeśli dasz chłopakowi ghorę, to wcale nie znaczy, że zaraz musi być mądry. Jest po prostu ćutiją z pistoletem.

– Sali, i to jest twoja pomoc? Wracajmy do Śridewi.

– Dobra. – Wiedziałem, że stoi oparta o blat, czekając, aż zagotuje się woda. Rozłupywała teraz trzy ziarna ilaići, jak zawsze. – Skąd ona pochodzi?

– Znikąd.

– Każdy ma jakieś rodzinne strony.

– Ale jej już zniknęły. W Pakistanie. Czemu pytasz?

– Nawet twój mózg zmienia się w faludę, Gaitonde. Wiesz dobrze, że ludzie są głupi. Wszyscy chcą wracać do domu. I zawsze to robią, nawet kiedy wiedzą, że nie powinni.

Miała rację. Wystarczy obserwować wioskę, z której pochodzi jakaś osoba, a wcześniej czy później dopadnie się ją. Jeśli umieści się informatora w określonej okolicy, można być pewnym, że przyjdzie taki dzień, kiedy wpakuje się kulę w tył głowy tej poszukiwanej osoby. Policja tak robiła, i ja również. Dźodźo miała rację, ludzie są głupi, krążą w kółko i w końcu wracają do miejsca, w którym zaczęli, jakby uwiązani do jakiegoś

nieustannie ciągnącego ich z powrotem sznura. Ale co zrobić, kiedy człowiek nie ma już domu, jeśli nie ma gdzie pójść? Gdzie można się udać?

– Pomyślę o tym – powiedziałem. – Niezły pomysł. To jest jakaś możliwość.

– Świetnie – odparła. – Pomyśl o tym. A teraz pozwól mi w spokoju wypić mój čaj.

Ale nie dałem jej spokoju, jeszcze nie teraz. Nie pozwoliłem jej się rozłączyć i rozmawiałem z nią o jej kłopotach przy produkcji, o jej bai, która miała męża alkoholika, oraz o rosnącym zanieczyszczeniu miasta.

– Będę kończył – powiedziałem wreszcie pół godziny później, kiedy ona już skończyła čaj i była gotowa wykąpać się i iść do pracy. Poczułem się lepiej, mając jakiś kierunek działania. Wezwałem Nikhila i zabraliśmy się do pracy. Podczas nalotów zebraliśmy trochę papierów i dokumentów i przechwyciliśmy też dwa laptopy. Dysponowaliśmy sporą ilością informacji. Było ich aż za dużo, dwie pełne walizki, a do tego to wszystko, co było w komputerach. Wytłumaczyłem Nikhilowi, o co mi chodzi, powiedziałem, czego oczekuję, i zaczęliśmy wszystko przeglądać. Oczywiście problem polegał na tym, że nie wiedzieliśmy, czego szukamy.

– Dom – powiedziałem do Nikhila – to może być dowolne miejsce, które dla niego może być domem.

Wyglądał na zdziwionego, jednak nie bardziej niż ja sam. Dokąd mógł udać się taki człowiek jak Garu-dzi? Do Candigorhu? Ale przecież już tam byliśmy i niczego nie znaleźliśmy. Dokąd zatem mógł się udać? Z drugiej strony, dokąd pojechałby ktoś taki jak ja albo Dźodźo? Dokąd zmierzamy, kiedy nie ma już domu? Nie znałem odpowiedzi na te pytania, ale nadal szukaliśmy. Zajęło nam to pięć dni, i w końcu Nikhil znalazł.

W prywatnych rejestrach księgowych Garu-dzi, obejmujących rok bieżący i poprzedni, znajdowały się wpisy pod nazwą „Farma Bekanur”. Po

stronie „ma” figurowało osiemdziesiąt cztery tysiące oraz jeden lakh i trzydzieści cztery tysiące. Nie mieliśmy zapisów z pięciu poprzednich lat, ale znaleźliśmy jeszcze jedną pozycję w ubiegłym roku, tym razem był to czek – ponownie z prywatnego konta Garu–dźi – wystawiony na zakup „traktora na farmę Bikanur”. W jednym z komputerów znajdował się ponadto list, z bieżącego roku, do zakładu energetycznego stanu Pendżab, w sprawie zaległości w opłatach za farmę Bikanur. Ten list był podpisany przez niejakiego Ananda Prasada, naszego niedawno poznanego sadhu.

Dlaczego osoba tak wysoko postawiona w organizacji, taki boss jak Anand Prasad pisał do zakładu energetycznego w sprawie jakichś dwóch lakhów i iluś tam tysięcy? Co mogło znajdować się na tej farmie? Przeszukaliśmy wszystkie dostępne materiały na temat Garu–dźi i niczego nie znaleźliśmy. Ani jednej wzmianki o farmie położonej osiemdziesiąt kilometrów na południe od Amrytsaru, ani słowa o żadnej farmie. Byłem pewien, że nigdy nic mi nie mówił o posiadaniu farmy. Wiedziałem, oczywiście, że interesuje się rozwojem wsi i rolnictwa, ale tym zajmowała się zupełnie inna jednostka. Ich wydział rolnictwa miał odrębną strukturę organizacyjną, odrębny łańcuch zarządzania i własne konta bankowe. To Bikanur było zupełnie innym przedsięwzięciem, którym zajmował się osobiście Garu–dźi i jego najbliżsi współpracownicy. I widać było, że trzymano to, na ile tylko się dało, w absolutnej tajemnicy.

Wybraliśmy się tam, żeby rzucić okiem na tę farmę. Powiedziałem swoim ludziom, że to już ostatni etap naszej podróży, że niezależnie od tego, czy odniesiemy sukces, czy nam się nie uda, po tym wyjeździe kończymy misję. Ucieszyli się i odczuli ulgę, a kiedy wylądowaliśmy w Amrytsarze, wszyscy byli pokrzepieni na duchu i gotowi do działania. Zastosowaliśmy standardową procedurę i w dwóch grupach udaliśmy się do wcześniej przygotowanej kryjówki, gdzie zjedliśmy późne śniadanie, i po

odebraniu samochodów mogliśmy ruszać w drogę. Czułem senność, siedząc z przodu samochodu w ten słoneczny i gorący poranek. Samochód prowadził Nikhil. Siedzący za nami chłopcy spierali się o złoto w Złotej Świątyni, ile dokładnie go tam może być i jaką przedstawia wartość. Dżati, który pochodził z Pendżabu, ale wcześniej tylko raz odwiedził te tereny, autorytatywnie stwierdził, że wartość złota można liczyć w arab, a nie w krorach. Pozostali podkpiwali sobie, a Candar wystąpił z inicjatywą, żeby pojechać do Dżallianwala Bagu.

– Skoro już tu jesteśmy – dodał.

Chciałem mu powiedzieć, że nie jesteśmy turystami, ale zbyt wiele energii kosztowałoby mnie wypowiedzenie słów w moim półśnie. A poza tym sam trochę byłem turystą. Z zaciekawieniem podziwiałem elegancką pewność siebie mieszkańców Pendżabu, ich wyzywające spojrzenia i podniesione głosy. Po lewej dostrzegłem stojącego przed warsztatem samochodowym sardara, z włosami zebranymi w wielki węzeł na czubku głowy, rozmawiającego przez telefon komórkowy. Kiedy go mijaliśmy, uniósł swoją kurtę, żeby podrapać się w pępek, ukazując okazały i owłosiony brzuch. Uśmiechał się. Być może ten warsztat należał do niego, podobnie jak i ten wielki, różowo–zielony dom z tyłu, wyposażony we wszystkie udogodnienia, z anteną satelitarną i toyotą na podjeździe, oraz uzbrojonym w karabin stróżem. Amrytsar był obskurnym, małym, prowincjonalnym miasteczkiem, ale widać było tu duże pieniądze, a także sporo broni. Wyprzedził nas policyjny dżip z siedzącymi z tyłu trzema posterunkowymi, i każdy z nich trzymał na kolanach dżharu, wyposażone w zapasowe magazynki obwiązane taśmą. Nigdy wcześniej, na żadnej ulicy nie widziałem tyle broni automatycznej. W moim samochodzie unosił się zapach mogry. Zamknąłem oczy, a kiedy otworzyłem je ponownie, zobaczyłem, że pędzimy przez pola sarson, za ciężarówką połyskującą

stalowymi prętami. Na tylnych drzwiach miała wymalowane tygrysy, a między nimi widniała postać jakiejś bogini.

– Już dojeżdżamy, bhai – odezwał się Nikhil.

Skreślił w lewo, w stronę nabrzeża. Droga zwężyła się, a my zaczęliśmy podskakiwać i kołysać się nad jakimś kanałem.

– Jesteśmy teraz na prawdziwej dehat – wymamrotał Ćandar. – Popatrzcie na tych dehati. – Środkiem drogi dwóch mężczyzn prowadziło wołu. Kiedy Nikhil zatrąbił, bardzo powoli usunęli się na bok, żebyśmy mogli się przecisnąć. Schylili się trochę, zaglądając do mijającego ich samochodu. Prawdziwi wieśniacy, i do tego bogaci. Tutejsza ziemia była żyzna i dobrze nadawała się pod uprawę, słyszeliśmy huk pompy wodnej pracującej gdzieś w pobliżu. Pojechaliśmy dalej. W pewnym momencie, na rozwidleniu dróg, musieliśmy zapytać o drogę młode małżeństwo na motocyklu. Kobieta zagryzała w zębach koniec czerwonej dupatty, starając się przytrzymać ją ciasno zawiniętą na głowie, ale i tak widziałem, że to niezła babka. To samo pomyśleli moi ludzie, zauważyłem to po tej pełnej napięcia i zaciekawienia ciszy, która zapadła za moimi plecami. Mężczyzna był żylasty, niechlujny i zupełnie nieciekawym, ale podał nam prawidłowy kierunek. Tuż po drugiej dotarliśmy do farmy Garu-dzi.

Nie było żadnego stalowego ogrodzenia wokół pól, nie napotkaliśmy też żadnej bramy. Tylko zielone pola pszenicy oraz wysadzone drzewami i dobrze utrzymane drogi na grobli. Przez sad bielił się dom.

– To mango – powiedział Dżatti, kiedy zbliżaliśmy się do równych rzędów drzew. Droga była gładka, wysypana żwirem, który chrząścił pod kołami. Dobiegł nas krzyk pawia, który nieoczekiwanie mignął gdzieś między drzewami.

Zakręciliśmy za grubym, starym drzewem neem, i w końcu zatrzymaliśmy się przed domem.



Dom był parterowy, rozciągnięty wzdłuż i wszerz. Nie było żadnych okien na frontowej ścianie, przeciętej jedynie przez sklepione przejście prowadzące na małą, otwartą werandę. Wrota w tym przejściu były zielone, masywne i ciężkie, a w lewej ich części znajdowały się mniejsze drzwi, na tyle szerokie, żeby mogła przez nie przejść tylko jedna osoba. Te drzwi były otwarte i Nikhil pociągnął za wiszący obok nich łańcuch.

– Are – zawołał. – Koi he?

Odpowiedziały mu tylko gołębie spacerujące po krokwiach sklepionego przejścia. Zajrzałem przez drzwi do środka. W znajdującym się po lewej stronie boksie krowa i jej cielę radośnie coś przeżuwały. Na wprost nas cztery ceglane stopnie prowadziły na podest przed jakimś pomieszczeniem. Dostrzegłem tam staromodny takht i dwa krzesła, a także duży, okrągły zegar. W świeżym powietrzu czuło się ciężki, dobrze znany zapach krowiego łajna i bhusy. Tynk na ścianach przed podestem był spękany, a cegły na werandzie zupełnie zdarte przez lata użytkowania. To był stary dom, stary, a do tego staromodny. Kapiąca z ręcznej pompy woda równomiernie stuknęła o żelazną pokrywę studzienki nieopodal boksu dla krów.

– Jesteś pewien, że trafiliśmy, gdzie trzeba? – zapytałem Nikhila.

Pokazał na przeciwległą stronę podestu. Za filarem, wzdłuż schodów biegł podjazd, w sam raz dla wózka inwalidzkiego. Zgadzało się więc, to mógł być dom Garu-dźi, chociaż zupełnie nie przypominał innych jego budowli, które wcześniej widzieliśmy. Co to właściwie miało być? Nikhil jeszcze raz zadzwonił łańcuchem.

Aż podskoczyliśmy na dźwięk klaksonu samochodu. Obok auta stał Dżatti i szczyrzył zęby w uśmiechu. Kilka razy zagrzmiał klaksonem, i w końcu wrzasnąłem do niego:

– Wystarczy, maderćodzie.

Posłuchał, obdarzając mnie jednak pełnym urazy spojrzeniem. Po tym całym zgiełku cisza była zdumiewająca, jedynie gołębie trzepotały nerwowo skrzydłami na werandzie. Po chwili usłyszeliśmy szuranie i z za rogu budynku wyłonił się jakiś człowiek.

Był stary, musiał mieć przynajmniej siedemdziesiąt lat, od razu rozpoznałem to po jego sztywnym kroku. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłem, że z pewnością przekroczył już osiemdziesiątkę. Ubrany był w workowatą piżamę, wyświechtany, pomarańczowy sweter i szary szal, zawinięty ciasno aż po uszy. Patrzył na nas zza swoich grubych okularów w czarnych oprawkach. Dokładnie przez środek lewego szkła biegło pęknięcie.

– Hain? – zapytał.

– Namaskar – odezwał się Nikhil. – Namaste. Czy pan jest malikiem tego domu?

Nietrudno było zauważyć, że to tylko pochlebstwo, temu burhau zdecydowanie dużo brakowało do tego, żeby być właścicielem czegokolwiek. Ale staruszek przyjął jego słowa z uśmiechem.

– Nie, nie – powiedział. – Ja jestem tu menedżerem.

– Aha, menedżerem – stwierdził Nikhil, przedrzeźniając pendzabi tego człowieka – „munajdzer” – ale tylko nieznacznie. – Tak. Czy moglibyśmy dostać trochę wody? Jechaliśmy bez przystanku aż z Amrytsaru.

Staruszek podał nam parujący, gorący čaj. Zaprosił nas do środka, usadowił w pokoju przylegającym do werandy, a piętnaście minut później pojawił się z mosiężnymi kubeczkami i wielkim, poczerniałym dzbankiem. Nalał nam ćaju, każdemu po pół kubka, i dopiero wtedy zapytał, kim jesteśmy. Nikhil opowiedział mu jakąś historyjkę, o tym, że jesteśmy biznesmenami z Delhi, którzy chcą kupić kawał dobrej ziemi. Dodał też, że pewien spotkany na drodze człowiek opowiedział nam o tym sadzie drzew

mangowych, i o tej farmie, więc przyjechaliśmy tu, żeby rzucić okiem. A tak przy okazji, kto jest właścicielem tej pięknej posiadłości?

– Sahib przyjeżdża z Delhi – odparł mężczyzna.

– A jak się nazywa?

– Nazywam się Dźagat Narain.

– Tak, Dźagat Narain. Dobry ćaj parzysz. – Nikhil pociągnął długi łyk, siorbiąc przy tym, i rzucił mu pełne zachwyty spojrzenie. – A jak nazywa się sahib?

– Jaki sahib?

Wyglądało na to, że trochę to potrwa. Wstałem i wymknąłem się z pokoju. Obok podestu znajdowały się drzwi prowadzące do ciemnego przejścia. Po omacku przeszedłem przez korytarz i wyszedłem na wielki, wyłożony ceglami dziedziniec. W samym środku rósł krzew tulsii, a po jego czterech stronach znajdowały się pomieszczenia. Obszedłem dziedziniec dookoła, otwierając po kolei wszystkie drzwi. Skrzypiąc, odsłaniały nagie posadzki, stare, drewniane kredensy, proste półki na bielonych ścianach, zapadnięte ćarpai przykryte szorstkimi kocami. W jednym z pokoi, na drewnianym biurku stał czarny wentylator, a obok niego buteleczki z niebieskim i czerwonym tuszem oraz zielone pióro wieczne. Poszedłem dalej. Kolejna sala, otwarta na dziedziniec, zajmowała całą długość ściany placu. Na posadzce leżały ćatai, a na drugim końcu pomieszczenia pod ścianą rząd okrągłych poduszek. W małych niszach wisiały obrazy Ramy, Sity i Hanumana, oraz jakiegoś dziadka w okularach i turbanie. Nachyliłem się bliżej nad tym czarno-białym zdjęciem i dostrzegłem bardzo wyraźne podobieństwo do Garu-dźi. Kim on był, ojcem czy dziadkiem Garu-dźi? A może wujkiem?

Odwróciłem się w prawo, w stronę kuchni i pozostałych trzech pomieszczeń. Zobaczyłem wróbla spacerującego po krawędzi niewielkiej

platformy, na której rosło tulsi, i na moment oślepił mnie słoneczny blask. Kuchnia była ciemna, zawieszona mosiężnym sprzętem kuchennym, a na posadzce widziałem dwa poczerńiałe ćulhe. Nie było tu żadnego pieca, żadnej kuchenki gazowej. Zobaczyłem jeszcze dwa pokoje z łózkami i składzik, w którym znajdowały się tylko trzy puste, stalowe skrzynie. Wyszedłem z powrotem na światło słoneczne. Drżałem nieco i poczułem w ustach suchość. Co to za dziwne miejsce? W kącie za kuchnią znajdowała się jeszcze jedna ręczna pompa, a leżące pod nią cegły były zawilgocone. Nacisnąłem na rączkę i zacząłem pompować, i po kilku cienkich skrzypnięciach pojawił się migoczący sznureczek wody, która rozbijała się o ziemię. Napilem się, pochylając się nisko pod tym strumień. Woda była chłodna i czysta.

Przez prowadzące na dziedziniec wszedł Nikhil, wyciągniętą ręką trzymał się ściany, szukając drogi.

– Nic tu nie ma – powiedziałem mu. – Puste pokoje, wszystko tu jest stare. Tutaj ledwo mają prąd.

– Ale zbudowano to zaledwie dwanaście lat temu, bhai. – Był zdenerwowany i podekscytowany. – Ten sahib mieszka w Delhi, podobno nazywa się Mrytjundżaj Singh. Farmę kupili w szczytowym okresie kryzysu pendżabskiego, bardzo tanio. Zburzyli doskonały dom, który tu stał, nawet fundamenty wykopali. A kilka lat później zbudowali to, co teraz tu mamy. Sahib przyjeżdżał tu raz do roku. Pytałem o ten podjazd. Dziadek powiedział, że wybudowano go dla jeżdżącego na wózku inwalidzkim przyjaciela sahiba, który pojawił się tu jakieś dwa czy trzy razy. Nie wie, jak ten człowiek na wózku się nazywa, wszyscy mówili do niego po prostu baba-dźi.

To Garu-dźi postawił ten dom, a potem przez ponad dziesięć lat był tu trzy razy. Dlaczego ten właśnie dom, dlaczego tutaj? Więcej musiało

kosztować go nadanie mu wyglądu starej budowli niż postawienie nowego, współczesnego domu.

Nikhil nalał sobie trochę wody, napił się i otarł usta.

– Bardzo smaczna woda – powiedział. – Ten menedżer powiedział, że Baba-dzi lubił spędzać czas na dachu. Menedżer poszedł po klucze, pokaże nam to.

Na dziedziniec wszedł Dżagat Narain, a za nim reszta moich ludzi. Dzwonił żelaznym kółkiem z pękiem wielkich kluczy. Zaprowadził nas – bardzo powoli – po schodach, które wznosiły się na ukos z narożnika dziedzińca i też były wyposażone w podjazd. Pięć minut zajęło mu odnalezienie właściwego klucza, a kiedy już go znalazł, zaczął skrobać nim po drzwiach. Stałem, czubkami palców u nóg wyczuwając krawędź stopnia, nagle ogarnięty wspomnieniami własnego dzieciństwa, świątecznego poranka i wbiegania po schodach na dach, z nowiutkim, kruchym latawcem w dłoniach.

– Maderćód – odezwałem się. – Nikhil, weź od niego te klucze.

Ale w tym momencie temu wiekowemu sukinsynowi udało się w końcu otworzyć zamek. Wyszliśmy na jasne światło słoneczne. Na dachu było jedno pomieszczenie, podobnie jak poprzednie skąpo umeblowane i z pustymi półkami. Płaski dach biegł wokół całego dziedzińca, zabezpieczony balustradą tylko po zewnętrznej stronie. Przeszedłem na drugą stronę, starając się zmusić mój umysł, żeby uchwycił coś, co nieustannie mu się wymykało. Miałem wrażenie, że uciekło mi z pamięci coś, co jeszcze niedawno wiedziałem. Słyszałem, jak pod drugiej stronie dziedzińca Nikhil rozmawia z tym menedżerem.

– Mamy tysiąc sto jednaście akrów ziemi – powiedział Dżagat Narain. – Ciągnie się aż do głównej drogi, a nawet jeszcze dalej. Sięgamy aż po samo ogrodzenie.

– Jakie ogrodzenie?

– To ogrodzenie graniczne, szefie – stwierdził Dżatti.

– Bardzo długie ogrodzenie – powiedział Dżagat Narain, kiwając głową. Szerokim gestem obu rąk objął cały horyzont.

Dżatti, z właściwą mieszkańcom Pendżabu dumą, wytłumaczył Nikhilowi, co to za ogrodzenie. Było długie na tysiące kilometrów, ciągnęło się od Radżastanu do Pendżabu i jeszcze dalej, do Dżammu. Dżatti widział je pod czas swojej ostatniej i jedynej wizyty w Pendżabie, w Wagah. Ogrodzenie było podwójne, dużo wyższe od wyprostowanego człowieka, i pod napięciem. Rozwieszono na nim dzwonki, które miały ostrzegać, że ktoś próbuje przedostać się na drugą stronę. Caćca Dżatti widział kiedyś Pakistańczyka, który pewnej nocy został zastrzelony podczas próby przedostania się na teren naszego kraju. Kula z broni maszynowej pozbawiła go twarzy. Dżatti machnął ręką przed swoją twarzą, jakby rozszarpując ją pazurami.

– Rozumiecie? – powiedział. – Ten sukinsyn stracił całą twarz.

Oparty o balustradę, starałem się dostrzec to mordercze ogrodzenie. Ale widziałem tylko delikatną białą mgiełkę nad horyzontem, gdzieś daleko po drugiej stronie drzew. Dżagat Narain przyczłapał do mnie i stanął obok.

– Baba–dźi też patrzy.

– Na co patrzy?

– Tam. Lubi przesiadywać tu wieczorami. Patrzeć, jak słońce zachodzi.

Co mógł widzieć Garu–dźi, kiedy tak patrzył? Widok był bardzo ładny, nawet w tej chwili. O zachodzie słońca musiało być tu pięknie. Ale wszędzie były piękne zachody słońca. Dlaczego trzeba przyjeżdżać aż tutaj, na to zupełnie odludzie, wydawać masę pieniędzy na tę całą ziemię i na stary dom, który w rzeczywistości był zupełnie nowy? Zmrużyłem oczy, starając się zobaczyć to, co on widział. Przedemną rozpościerała się

niewyraźna plama zieleni, w powietrzu unosił się zapach ziemi i dźwięk płynącej wody, zobaczyłem dom mojego dzieciństwa i przez krótką chwilę poczułem się szczęśliwy. Gwałtownie otworzyłem oczy i zauważyłem, że się uśmiecham.

Ale dlaczego?

Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad tą tajemnicą – drogą w naszą stronę zawzięcie pedałowal jakiś człowiek. Kiedy się zbliżył, dostrzegłem, że jest młody, mógł mieć jakieś trzydzieści lat, i jest bardzo wysoki.

– Kto to? – zapytałem Dżagata Naraina. Rowerzystą patrzył na mnie wściekłym wzrokiem, naciskał na pedały, i widać było, że mój widok go nie cieszy.

– To tylko Kirpal Singh. Był dzisiaj na polach w Tupa Naharze. Opryskujemy tam dla Karnala Banta.

Kirpal Singh był już przed domem. Rzucił swoim rowerem i chwilę później usłyszeliśmy tupot kroków na schodach. Jeszcze zanim zdążył wbiec na dach, zaczął krzyczeć:

– Dżagacie! Kim są ci ludzie? – Nikhil zaczął swoją bajeczkę o szukaniu farmy do kupienia, ale Kirpal Singh nie chciał tego słuchać. – Saab – powiedział, ciężko oddychając – musicie stąd odejść. Nikt nie może wchodzić na tę farmę bez zgody naszego sahiba. – Spojrzał z wyrzutem na Dżagat Narain.

– Ale oni też są z Delhi – powiedział Dżagat Narain, jakby to wszystko wyjaśniało.

Widziany z bliska Kirpal Singh okazał się wielkim, grubo ciosanym zbirem, ze strzechą włosów stojących we wszystkie strony. Wymachiwał bez opamiętania brudnymi, popękkanymi rękami, przynajmniej dwa razy większymi niż moje własne. Miał na sobie znoszone, szare, pasztuńskie

ubranie, i chociaż był zarośnięty brudem, wyglądał jak policjant albo dżawan.

– Posłuchaj, przyjacielu – odezwał się Nikhil. – Uspokój się. Zadzwoń do swojego sahiba, a my z nim porozmawiamy.

– Tu nie ma telefonu, saab. – Pod cienką przykrywką uprzejmości był bardzo bezpośredni, stanowczy i agresywny. – A teraz już idźcie.

– Mam telefon. I silny sygnał. – Nikhil pokazał swoją komórkę. – Widzisz? Możemy z nim porozmawiać. Jaki jest jego numer?

– Farma nie jest na sprzedaż. Idźcie już.

Kirpal Singh naprężył się i lekko zgarbił. Gotował się do walki. Skinąłem Nikhilowi głową.

– Dobra, jar, w porządku – powiedział. – Już idziemy. Nie ma sprawy. Dziękujemy za ćaj. Tu jest mój numer, przekaż go twojemu sahibowi, na wypadek gdyby był zainteresowany.

Wyciągnął wizytówkę i trzymał ją tak długo, aż w końcu Kirpal Singh, ociągając się, wziął ją do ręki. Jeden po drugim zeszliśmy po schodach. Czuję nad sobą postać tego wielkiego bydlaka, słyszałem, jak ciężko dyszy. Był wzburzony, ale dlaczego? Dlaczego tak się zdenerwował? Szedł za nami przez całą drogę, przez przejście, potem na werandę przed domem, i aż za bramę. Nikhil uruchomił samochód i zawrócił, a ja czekałem pod murem. Rower Kir-Pala Singha leżał po prawej, tam gdzie go porzucił. Do bagażnika przywiązana była duża, sześcienna puszka pestycydów. Na puszcze widać było wymalowaną na czerwono trupią czaszkę i skrzyżowane piszczele. A do tego czerwony szczur, martwy, leżący do góry brzuchem i przykryty własnym ogonem.

– Wyjadają wam uprawy? – zapytałem Kirpala Singha. – Te szczury?

Chyba poczuł ulgę na widok moich ludzi wsiadających do samochodu.



– Tak, saab. – Próbował zatrzeć niemiłe wrażenie swojej gburowatości. – I nie tylko pszenicę. Wszystko jedzą. Rośliny, gumę. Jedzą nawet kable elektryczne, wyżerają z nich plastik. Bardzo trudno je powstrzymać.

– Zabijcie je wszystkie – powiedziałem, a on w końcu się uśmiechnął.

Wsiadłem do samochodu i odjechaliśmy.

Nikhil spoglądał we wsteczne lusterko.

– I co sądzisz, bhai?

– Coś tu nie gra.

– Tak. Gdyby to była normalna farma, ten sukinsyn nie groziłby, że nas pogryzie.

Pobieżnie przyjrzeliliśmy się tej posiadłości i niczego nie znaleźliśmy. Czy warto było wracać i przycisnąć tego Kirpala Singha, żeby wszystko dokładnie sprawdzić? Jakoś dziwnie brakowało mi chęci. Widziałem ciągnącą się przede mną drogę. Może lepiej pojechać nią aż do Amrytsaru, wsiąść do samolotu do Delhi, a potem do Bangkoku, i wrócić do swojego życia. Ale ta perspektywa niezbyt mi się uśmiechała. Dopóki nie znajdę Garu-dzi, nie mam do czego wracać. Nawet w tym momencie, chociaż tak bardzo byłem na niego wściekły, jedyne czego chciałem, to ponownie usiąść u jego stóp. Zdawałem sobie z tego sprawę. Mogłem go przeklinać, wyzywać od oszustów i mówić, że z nim skończyłem, ale tak naprawdę pragnąłem poczuć jego dłoń na głowie, usłyszeć błogosławieństwo jego głosu. Miałem, co prawda, do niego kilka pytań. Chciałem zapytać go, dlaczego odszedł, dlaczego Gaston i Pascal zmarli, co znajdowało się w transporcie, który dla niego przewoziliśmy, co teraz robił i jakie miał plany. W tych pytaniach krył się sens mojego życia. Ale nawet gdyby nie chciał udzielić mi odpowiedzi na żadne z nich, byłem w stanie pogodzić się z tym, gdyby tylko do mnie wrócił. Byle tylko nie zostawiał mnie w ten sposób, samego, bez jego osoby, przewodnictwa i opieki. Wiedziałem, że muszę go

znaleźć. Ale Garu-dzi tak bardzo mnie przewyższał, był tak doskonały. Chociaż przez całe życie pobierałem nauki i byłem tak przebiegły, nigdy go nie znajdę. Mogę dać sobie spokój i odjechać stąd. Ale czego się bałem? Jeśli czegoś w życiu się nauczyłem, to ufać własnemu strachowi. Z drugiej jednak strony, byłem przecież taki zmęczony. Droga wznosiła się ponad polami, w moją stronę jedna po drugiej nadciągały głębokie fale zieleni. Mogłem usnąć. Przewody elektryczne unosiły się i opadały spokojnym, rozkołysanym ruchem. Zbliżały się w moją stronę, niosąc kryształowy światła z zachodzącego słońca. A szczury je jadły. Szczury jadły kable.

– Zatrzymaj się – powiedziałem.

– Bhai?

Samochód już stał, zatrzymał się w pobliżu kanału. Przez bulgotanie wody słyszałem leciuteńki wiatr, wzbudzający leniwe fale uginających się łodyg pszenicy. Odwróciłem się na fotelu i spojrzałem za siebie, na drogę i na znikające w oddali słupy elektryczne. W pewnym miejscu jeden rząd odłączał się od drogi i, maszerując przez pola i sad drzew mango, zmierzał w stronę wiejskiego domu Garu-dzi. Na dachu, tak, na dachu tego domu, nad tym pojedynczym pokojem, stał słup, na którym zbiegały się trzy linie zasilania. Jeśli ten dom był tak stary i jeśli pracowały w nim tylko te skrzypiące wentylatory stołowe, po co tyle prądu? We wnętrzu domu nie widziałem żadnych przewodów, a w takim razie co te szczury jadły? Odwróciłem się do Nikhila i podzieliłem się z nim swoimi przemyśleniami.

– Tak, bhai – odparł. – Ale może potrzebują prądu do prac irygacyjnych. Te wszystkie pompy wodne i temu podobne rzeczy.

Może. Może. Ale przecież był tam ten nowy dom, który tylko wyglądał na stary.

– Zawracaj – powiedziałem. – Wracajmy tam.

W zapadającym zmierzchu pomknęliśmy z powrotem obok mangowego sadu. Tym razem na nasze spotkanie wyszedł Kirpal Singh. Stał w rozkroku na środku drogi. Nikhil zatrzymał samochód, a ja wysiadłem. Słyszałem, jak za mną otwierają się pozostałe drzwi.

– Are – odezwałem się – znalazłeś może moje okulary? Takie czarne?

– Nie – odrzekł. – Nie było tu żadnych okularów.

– Sprawdźmy – powiedziałem. – Mogą być na dachu.

Kirpal Singh nie wiedział, co ma robić. Nie życzył sobie naszej obecności, ale jednocześnie nie chciał, żeby coś mojego znalazło się w tym strzeżonym przez niego domu. Był dosyć uprzejmym prymitywem. Wziąłem go pod rękę.

– Nie widzę bez okularów, jar. Jestem prawie ślepy. – Odwróciłem go w stronę bramy. – Sprawdźmy, proszę.

Był głupi, ale bardzo szybki. Ćandar podszedł do niego z prawej strony, jak zawsze doskonale zgraliśmy się w czasie. W minionych tygodniach robiliśmy to tyle razy, że doszliśmy już do perfekcji. Mówiłem do gościa, odwracając jego uwagę, a w tym czasie Ćandar mógł przyłożyć mu w tył głowy swoją skórzaną pałką z metalową wkładką. Ale Kirpal Singh przewidział to, wyrwał mi się i odwrócił, a cios trafił go w kanpati, częściowo odrywając mu prawe ucho. Walczył jak szatan. Rzuciliśmy się na niego w piątkę, a on nas wszystkich powalił, boleśnie przy tym raniąc. Złamał trzy palce Ćandarowi, prawie ogłuszył Nikhila jednym ciosem, którym rozbił mu też nos. Dżatti leżał na ziemi, kaszląc, krztusząc się i trzymając się za kark. Ponownie rzuciliśmy się na Kirpala Singha. W pewnym momencie znalazłem się na ziemi, nie mogąc złapać oddechu i z obolałym brzuchem, starałem się odczołgać od kłębiącego się gąszczu ciała. Wyciągnąłem pistolet, ale nie mogłem dobrze przymierzyć. Zobaczyłem, że Kirpal Singh rusza w moją stronę. Miałem czas tylko na jeden strzał, kula

trafiła go w obojczyk i wykręciła jego ciało, już zmierzające w moją stronę. Wciąż jednak trzymał mnie prawą ręką, a ja czułem jego ciężar na sobie, widziałem jego szeroko rozdziawione, straszne, szkarłatne usta. Mięśnie przenosiły siłę uderzenia i czułem, jak kolejne kule wstrząsają jego ciałem, aż w końcu zwałił się na mnie całym ciężarem.

Kiedy go ze mnie podnieśli, wstałem na chwiejących się nogach.

– Ile kul? – zapytałem.

Dżatti oddychał chrapliwie, z twarzą mokrą od łez.

– Ten gandu był chyba jakimś komandosem.

– Cztery kule, bhai – stwierdził Nikhil. Jego biała koszula aż do pasa był poplamiona ściekającą mu z nosa krwią.

Cztery strzały to dużo, ale to była wielka farma. Może nikt nas nie słyszał. Może nikt nie zwróci uwagi.

– Dżatti – warknąłem. – Idź do domu i zajmij się tym starym.

– Behenód – powiedział Dżatti, szeroko otwierając oczy. Pobiegł do budynku.

W czwórkę chwyciliśmy Kirpala Singha i wciągnęła go przez bramę. Byliśmy tak osłabieni po walce, że bardzo nam wszystkim ciążył. Słyszałem drżący oddech Candara, kiedy każdy kolejny krok wstrząsał jego połamanymi kośćmi.

– Trzymaj się, beta – powiedziałem mu. – Wkrótce stąd się zmywamy. – Rzuciliśmy ciało przy oborze. Poleciałem Ćandarowi, żeby zasypał żwirem krew na drodze i żeby stanął na czatach przy bramie. Pozostali zajęli się przeszukiwaniem domu. Dżatti znalazł Dżagata Naraina na dziedzińcu, gdzie starzec beztrosko mył naczynia pod pompą. Musiał słyszeć strzały, ale najwyraźniej nie zrobiły na nim specjalnego wrażenia. Zamknęliśmy go w jednym z pustych pomieszczeń i kazaliśmy iść spać. Sami natomiast zajęliśmy się poszukiwaniami.

Powiedziałem chłopakom, że musimy podążać tropem elektryczności. Śledziliśmy jej przebieg z dachu, od słupa, doszliśmy do ukrytych w ścianie kabli prowadzących do skrzynki przyłączowej na parterze. Z tyłu domu znaleźliśmy osobny mały pokój, zamknięty na dwa stalowe zamki, i w nim właśnie znajdowała się ta skrzynka. Musieliśmy wyciągnąć Dżagata Naraina z jego celi, żeby dał nam klucze do tych zamków. Do tego czasu on już zdążył zrozumieć, że jest się czego bać. Był skłonny do współpracy i nie sprzeciwiał się, ale ręce mu się trzęsły i przez cały czas szeptał:

– Gdzie jest Bardzinder? Nie zostawiajcie Bardzindera.

– Kto to jest Bardzinder, kaka? – zapytał Nikhil, klepiąc go po ramieniu.

– O czym ty mówisz?

Dżagat Narain pokręcił głową.

– Musimy się dostać do Amrytsaru – powiedział. – Nasz dom spłonął. Musimy się dostać do Amrytsaru. – Wciąż jeszcze to powtarzał, kiedy Nikhil zamykał za nim drzwi.

Sam lekko się trząsałem, gdy ponownie wyszliśmy na wieczorne powietrze, głośnie od krzyku ptaków. Doszedłem do wniosku, że to podniecenie pościgu tak mnie wykończyło. Wiedziałem, że jestem na tropie, a kiedy otworzyliśmy ten pokój z tyłu domu i ujrzałem skrzynki przyłączowe, wyłączniki i liczniki, upewniłem się w swoich podejrzeniach. Zobaczyliśmy najnowsze, zaawansowane rozwiązania techniczne, czyściutki, błyszczące i doskonale funkcjonujące. Cyfry na licznikach zmieniały się, powoli, ale nieustannie, co do tego nie było wątpliwości. Coś ciągnęło prąd.

Podążyliśmy za kablami. Starano się je ukryć, pod warstwą tynku i między cegłami, musieliśmy więc uzbroić się w kilofy i łopaty. Zabraliśmy się do kopania. Jeden obwód zasiliał dom, ale dwa inne zakręcały i wychodziły na zewnątrz, ukryte pół metra pod powierzchnią ziemi.

Pracowaliśmy ciężko, zmuszając się do rozłupywania leżącej pod warstwą żwiru zbitą ziemię. Powoli dotarliśmy do cienia pod drzewami mango. Nikhil przyniósł z domu dwie lampy naftowe i w ich rozchybotanym świetle posuwaliśmy się dalej. Była już późna noc, kiedy znaleźliśmy podziemny kompleks. W samym środku gaju znajdował się pusty kwadrat, kształt, który wyróżniał się jedynie brakiem drzew. Zdawał się zupełnie niewinny, dopóki nie znaleźliśmy przewodu w otulinie z PCV, prowadzącego do trójnika, a potem biegnącego prosto w dół. Zaczęliśmy kręcić się w koło. Najpierw Džatti znalazł wywietrznik, usłyszał cichutki syk powietrza. A potem, pod leżącym obok kawałkiem słomy, małą metalową płytę pomalowaną na maskujące barwy, brązowe i matowo zielone. Nikhil przyłożył do niej ucho.

– Pod spodem jest klimatyzator – powiedział.

Położyłem dłoń na płycie i poczułem, jak to buczenie przebiega po moim ramieniu. Teraz już wiedzieliśmy, że się nie mylimy. Chłopcy zabrali się za drapanie ziemi, rzucili się z pazurami na trawę, wołali, żeby przynieść im latarnie. Wyszedłem poza krąg światła, nie zważając na piekący ból w kolanach, szedłem przez korzenie i skały. Tajemnica leżała pod spodem, czułem, że jest blisko. Złoto było bardzo blisko. Zawsze potrafiłem je odszukać, znaleźć nagrodę, odnieść korzyść. I teraz też znalazłem.

Zobaczyłem kawałek tego samego metalu, z którego zrobiona była płyta klimatyzatora. Leżał między dwoma starymi drzewami, tworząc lekkie wzniesienie na powierzchni ziemi. Pod cienką pokrywą liści i gałązek znajdowała się nitowana stal.

– Tutaj – zawołałem. – Tutaj.

Po oczyszczeniu tej górnej warstwy w świetle latarni zauważyłem, że to kłapa wjazdu. Półtora metra na półtora metra, z umieszczonymi po jednej

stronie otworami, które umożliwiały jej uniesienie. Dżatti chwycił za płytę i spróbował pociągnąć.

– Zamknięte – powiedział, pokazując na znajdującą się między uchwytami dziurkę od klucza.

– Przeszukajcie tego martwego ćutiję – powiedziałem.

Tej nocy trafiałem bezbłędnie, ani razu się nie pomyliłem. Znaleźli klucz na brudnej nadzie wiszącej na szyi Kirpala Singha. Wielki, ciężki, trzycalowy kawałek stali, jeden z tych kluczy z cyfrowym zapisem, teraz wysmarowany krwią. Ale bez problemów obrócił się w zamku i mogliśmy wejść do środka. Od włazu biegła ukośnie ustawiona drabina. Po przekręceniu dogodnie umieszczonego przy wejściu przełącznika wszystko zalało czyste, równomierne, biało-niebieskie światło. Zobaczyliśmy trzy duże pomieszczenia, znajdujące się jedno za drugim, od największego po najmniejsze. Pierwsze dwa były całkowicie zapełnione półkami, szafami na dokumenty i stolikami komputerowymi. Ale wszystkie półki były puste, nie było tam ani dokumentów ani komputerów. Przedłużacze nadal jednak leżały na swoich miejscach, a za biurkami kłębiły się kable komputerów. Na białych blatach biurk widniały niewyraźne ślady po desktopach. Nikhil przeciągnął palcem po brązowym zarysie spodu filiżanki na jednej z wysuwanych półek pod klawiaturę, na której ktoś postawił ćaj. W kącie drugiego pokoju stała wielka drukarka, tylko tyle sprzętu po sobie zostawili.

W trzecim pokoju znajdował się kiedyś składzik, teraz zupełnie pusty. W drucianym koszu na śmieci leżały tylko opakowania po dwóch ryzach papieru do drukarki. Dżatti przeszedł przez ten pokój, po drodze otwierając szafki. Przy ostatniej zatrzymał się.

– Bhai.

Na dolnej półce leżała stalowa skrzynia, od razu widać było, że nie jest to jedna z tych blaszanych skrzynek, jakie można kupić na bazarze, ale porządna, zagraniczna foremna kostka. Już same wbudowane zamki wskazywały na solidne wykonanie.

– Wyciągnijcie ją – poleciłem.

Była bardzo ciężka. Dopiero w dwójkę udało się im wyciągnąć ją do środkowego pokoju.

– Ten komandos miał tylko ten jeden klucz, bhai – odezwał się Nikhil.

Dżatti wyciągnął ghorę, nachylił się nad pierwszym zamkiem i pociągnął za spust. Przez pomieszczenie przebiegł gwizd, który śmignął koło mojej głowy, i wszyscy padliśmy na ziemię, rzucając przekleństwa.

– Maderćod – zakląłem. – Nikomu nic się nie stało?

Skinęli głowami. Ale w drukarce była dziura, a na zamku skrzyni widniało tylko niewielkie wgłębienie.

Teraz krew już w nas wrzała. Spojrzeliśmy po sobie, a potem na błyszczące, krągłe kształty skrzyni.

– Dajcie mi jakiś pręt – rozkazałem – albo coś podobnego.

Dopiero po czterdziestu minutach przymierzania się kilofami i łopatami do tych zamków udało się nam lekko uchylić wieko skrzyni i zobaczyliśmy biegnące po obwodzie łączenie. Wsunęliśmy do szczeliny dwa łomy i nacisnęliśmy na nie w przeciwnych kierunkach. W końcu otworzyła się z piskiem dręczonego metalu, a my wszyscy upadliśmy na posadzkę. I zamarliśmy w ciszy.

Skrzynia była w trzech czwartych wypełniona, a jej zawartość stanowiły dolary. Wyciągnąłem rękę – zauważyłem, że jest obtarta, krwawiąca i drżąca – i wziąłem jeden z małych stosików, obwiązany papierową banderolą. Same setki.

– Ile tego jest, bhai? – zapytał Nikhil.



– Bardzo dużo.

Teraz już pogoniłem chłopaków. Zabraliśmy skrzynię, zamknęliśmy włącznik i wróciliśmy do domu. Zanim wsiedliśmy do samochodu, kazałem wszystkim umyć się pod pompą na dziedzińcu. Mieliśmy jechać wczesnym rankiem drogą w pobliżu granicy i nie chciałem wdawać się w strzelaninę z powodu skrwawionej koszuli, gdyby nas zatrzymano. Niewiele mogliśmy zrobić z ręką Ćandara, spuchniętą jak futbolówka. Zaczął też gorączkować. Zawinęliśmy go w koc i wsadziliśmy na tylne siedzenie samochodu. Byliśmy już gotowi do drogi. Ale jeszcze niezupełnie. Pozostała jeszcze jedna sprawa do załatwienia, i wszyscy o tym pamiętaliśmy. W końcu Dżatti zadał to pytanie.

– A co z tym starym, bhai?

Tak, ten starzec. Był zniedołężniały i zdziecinniały, na poły szalony, ale widział nasze twarze. W domu zostały zwłoki i ten starzec mógł powiązać je z naszą obecnością. Nauczyłem chłopaków, co należy robić w takiej sytuacji.

– Ja się tym zajmę – powiedziałem. Wróciłem do domu, minąłem sapiącą krowę, przeszedłem przez korytarz – kierując się w stronę powoli kapiącej wody – i dotarłem na dziedziniec. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Dżagata Naraina, który siedział na łóżku z dłońmi wspartymi na udach i patrzył przed siebie. Czekał na mnie.

– Chodź – odezwałem się. – My już jedziemy. Możesz wyjść.

Nie ruszył się. Wszedłem do środka, wziąłem go za ramię i z łatwością postawiłem na ziemi. Wyprowadziłem go na dwór, a kiedy przekraczaliśmy wysoki próg, zapytał szeptem:

– Która godzina?

– Około piątej.

– Rano czy wieczorem?

W świetle gwiazd widziałem teraz wielką strzechę jego siwych włosów i wysokie czoło. W pękniętych szklach jego okularów odbijała się moja twarz, złamana na pół.

– Rano – odrzekłem, nagle ogarnięty tkliwością wobec bezradnej starości. Nie wiedział, czy jest dzień, czy noc, ani gdzie jest, czy gdzie szedł. Było mu wszystko jedno. – Spójrz, tam jest księżyc.

Uniósł twarz i, niezdarne podnosząc ręce, próbował mi się wyrwać.

– Tak – powiedział, pokazując na księżyc obiema rękami.

Widać było malutki rąbek księżycy, fragment łuku, wznoszący się albo zachodzący – tego nie wiedziałem. Zrobiłem krok do tyłu, wyjąłem ghorę, wymierzyłem i wystrzeliłem. Błysk wypełnił mi oczy, a kiedy przejrzałem, dziadek leżał na ceglach, z rozrzuconymi rękami. Nachyliłem się nad nim i jeszcze raz wypaliłem w jego głowę.

Rzuciłem się do biegu. Sam nie wiem, dlaczego, ale biegłem aż do samochodu, a kiedy do niego wskoczyłem, Nikhilowi nic nie trzeba było mówić. Zakreślił kierownicą i ruszyliśmy. Przez całą drogę do kanału nie odstępował mnie jednak zapach mogry, przebijając się przez grad żwiru i niespodziewany odór spalin. Pędziliśmy bladym świtem i bezpiecznie dotarliśmy do Amrytsaru. Zatrzymaliśmy się tylko na krótką wizytę u lekarza, a potem rozdzieliłem zespół, rozsyłając moich ludzi w różnych kierunkach. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nasza misja się skończyła. Nie znaleźliśmy Garu-dzi, ale mieliśmy zdobycz, która jest na tyle cenna, że musi przyciągnąć uwagę. W skrzyni znajdowały się ni mniej, ni więcej tylko dziewięćset osiemdziesiąt cztery tysiące trzysta dwadzieścia dwa dolary. Moi ludzie mówili, że mamy milion, ale w rzeczywistości było tego trochę mniej. Nikhil i Dżatti pojechali pociągiem do Delhi, Ćandar poleciał samolotem do Bhopalu i jeszcze tego samego wieczoru ja poleciałem z pieniędzmi do Mumbaju. Na lotnisku czekał na mnie

samochód, a w Dźuhu nowa kryjówka. Ale zanim jeszcze znalazłem się w bezpiecznym miejscu, zadzwonił mój telefon satelitarny. Kiedy przedzieraliśmy się przez ruch na autostradzie, usłyszałem dzwonek, stłumiony, ale wyraźny. To był mój telefon służący do kontaktów z Garu-dźi, mój najnowszy szyfrowany telefon satelitarny. Krzyknąłem do kierowcy, żeby zjechał na pobocze, potem uderzyłem go w tył głowy, gdy za wolno przeciskał się przez wijące się potoki samochodów, i w końcu wyciągnąłem go z auta, żeby otworzył bagażnik. Dokładnie wiedziałem, gdzie jest telefon, leżał w zewnętrznej kieszeni mojej torby na ramię, wyciągnąłem go i przyłożyłem do ucha.

– Halo?

– Zabrałeś moje pieniądze.

– Owszem. – Tak, to był Garu-dźi. Tak, to był ten znajomy głos, to rezonujące dudnienie z głębi piersi, uspokajające i podnoszące na duchu. Tak, znowu słyszałem te jakże precyzyjnie wypowiedane słowa, zwłaszcza to ostatnie. W końcu, po tym całym poszukiwaniu, miałem Garu-dźi. Udało mi się przyciągnąć go do siebie. – Gdzie jesteś?

– Ganeśu, dlaczego zabrałeś te pieniądze?

– Dlaczego wyjechałeś?

– Powiedziałem ci, że już nigdy się nie zobaczymy.

– Ale nie mówiłeś, że zupełnie znikniesz.

– Ganeśu – westchnął. – Ganeśu. Minęło już tyle czasu, a ty wciąż nie pojąłeś tej podstawowej nauki, którą starałem się ci przekazać. My już dla siebie jesteśmy straceni. Kurczowe trzymanie się miłości jest zdradą jej miłości.

– To wielkie słowa – odparłem. – Bardzo wielkie słowa. – Oto ja, Ganeś Gaitonde, stałem przy autostradzie, przestępując z nogi na nogę, otoczony setkami mężczyzn i kobiet jadących do domu i do pracy. Mijały mnie

grupki ubranych w niebieskie spódniczki uczennic, które mogły dostrzec, jak ocieram z oczu łzy. Ale to wszystko nie miało dla mnie żadnego znaczenia. – Dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie odbierał – powiedziałem. – A ty zdecydowałeś się do mnie zadzwonić dopiero wtedy, kiedy straciłeś kilka dolarów.

– Tu nie chodzi o te dolary, Ganeśu – odrzekł Garu-dźi. – Przysporzyłeś mi kłopotów. Realizuję bardzo ważny projekt. Potrzebuję gotówki, żeby uiścić pewne należności. Dla mnie pieniądze nie mają żadnego znaczenia, ale reszta świata chce twardej waluty.

– Co to za projekt?

– Mogę ci tylko powiedzieć, że bardzo ważny, Ganeśu.

– Czy w nim uczestniczę?

– Wszyscy w nim uczestniczą.

– Nie próbuj mnie zwodzić. Odpowiedz mi. Odpowiedz. – Z trudem panowałem nad sobą, zniżyłem głos. – Zleciłeś nam transport jakiegoś materiału nuklearnego. Tylko nie zaprzeczaj. Moi ludzie umarli.

Westchnął.

– Tak, Ganeśu. To akurat jest prawda.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytałem. Nic nie mówił. – Powiedz, a oddam ci twoje pieniądze.

– Naprawdę, Ganeśu? Naprawdę oddasz, jeśli wyjawię ci cel?

– Tak – odparłem. – Oddam.

– Nie wiem, czy starczy ci odwagi. Ale dlaczego mnie pytasz, Ganeśu? Wydaje mi się, że ty już powinieneś to wiedzieć.

Poczułem ukłucie oburzenia, że ten starzec może podawać w wątpliwość moją odwagę. Moją, człowieka, który tyle dla niego ryzykował. Opanowałem się jednak i nic nie powiedziałem. Do czego miałyby mi być potrzebna odwaga? Odwróciwszy się, spojrzałem na rozciągające się

poniżej drogi bezładne dachy basti i na skupione za nimi budynki. Ten człowiek najpierw skontaktował się ze mną, szukając broni. Gotował się do wojny. Nie bałem się zbrojnych starć, przez całe życie rzucałem się w wir walki. Ale jeśli miała nadejść jego wojna, to będzie ona wielka, rozgorzeje w każdym zakątku Indii. Przyniesie wiele bólu, sam mi to mówił, ale po niej wszyscy staniemy się lepsi. Odnajdziemy pokój. I w tym momencie przypomniałem sobie, jak stałem na dachu domu, który on zbudował tak blisko granicy, jak patrzyłem na morze zieleni i jak przez krótki moment mignęło mi idealne szczęście, wszystko było tak świeże, zupełnie nowe i bez skazy, a ja, ja znowu byłem młody i pełen nadziei, cały świat ponownie jak nowo narodzony i ogromny, i jak wówczas się uśmiechałem.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że wiem.

Usłyszałem własny głos, mówiący wśród ryku żyjącego miasta.

– Ty pragniesz większej wojny.

– Doskonale, Ganeśu. Wojny większej niż ta, do której wydawało ci się, że się przygotowujemy.

– Skonstruowałeś... skonstruowałeś bombę?

– Ganeśu, nie zadawaj mi takich pytań. Nie mogę na nie odpowiadać. Powiedziałem ci przecież, ty już wiesz. Cóż mógłbym zrobić z czymś takim?

– Zdetonować ją. Gdzieś w mieście. W Mumbaju.

– A kogo by za to obwiniono?

– Zadbałbyś o to, żeby obwiniono jakąś islamską organizację.

– Doskonale. A potem?

Potem? Rzeź. Wszędzie masakra. Jeśli sytuacja na granicy będzie napięta, może nastąpi jakaś akcja odwetowa. A nawet jeśli sytuacja nie będzie napięta, może wybuchnąć wojna, prawdziwa wojna, która pochłonie miliony ofiar, wojna, o jakiej nigdy nawet nie śniliśmy. To były jednak

ledwie słowa. Próbowałem wyobrazić sobie to wszystko, ale nie potrafiłem. Czuję tylko jakąś wewnętrzną pustkę, tak głęboką, że mogłaby wchłonąć cały Mumbai, cały kraj, wszystko.

– Posłuchaj – odezwałem się. – Nie powinieneś tego robić.

– Dlaczego? – zapytał. – Boisz się? Tyle razy byłeś bliski śmierci, że nie możesz się jej bać. A i tak przecież wiesz, że umrzesz, jeśli nie dziś, to jutro. Wykopałeś groby tylu ludziom, że ktoś wykopie i tobie. Sam mi to kiedyś powiedziałeś.

– Nie martwię się, że sam umrę.

– A martwisz się, że umrze wielu ludzi? Kilka tysięcy albo kilka milionów? Ale dlaczego, Ganeśu? W swoim życiu zabiłeś ich przynajmniej kilkuset. Jakie to ma znaczenie, kilku więcej?

Nie potrafiłem udzielić na to odpowiedzi. Nie wiedziałem, jakie to ma znaczenie, ale miało. Wyobrażałem sobie to pełzające gniazdo mrówek, którym było miasto, pożerane przez płomienie, całe zmięte, czarne, skręcone i ostatecznie znikające. Te gnające bez celu miliony wiodły nędzne, nieważne życie. Kiedy już znikną, po przejściu tego oczyszczającego wiatru, który zabierze nie tylko to miasto, ale wszystkie inne, zrobi się miejsce na nowy początek. Te wszystkie wysłuchane przeze mnie kazania, te urywki lekcji i powierzchowna znajomość sanskrytu, niosły w sobie tę konkretną wiedzę – tego chciał Garu-dźi, absolutnego zlikwidowania wszystkiego, co znałem. I byłem przerażony. Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

On to rozumiał.

– Jesteś słaby, Ganeśu – powiedział. – Pomimo moich starań brakuje ci sił. Jesteś uparty i agresywny, ale to tylko cienka przykrywka dla twojej słabości. W głębi duszy jesteś sentymentalny jak kobieta. Ale to nie twoja wina. Taka jest ogólna kondycja ludzka w tej Kalijudze, Ganeśu. Ta cała

Organizacja Narodów Zjednoczonych, ci wszyscy marzyciele, na siłę uszczęśliwiający innych, którzy gnają, żeby przerywać konflikty, oni nie są w stanie pojąć, że niektóre wojny muszą się toczyć, że trzeba zabijać. Im się wydaje, że zatrzymali wojnę, ale w rzeczywistości zapewniają jedynie stan permanentnej, nieustannie tłącej się wojny. Spójrz na Indie i Pakistan, wykrwawiające się nawzajem od ponad pięćdziesięciu lat. Zamiast ostatecznej, wspaniałej bitwy, mamy ciągnący się, wstrętny marazm. Ci pełni dobrych chęci idioci nieustannie mówią o postępie ludzkości, ale nie rozumieją, że nie ma postępu bez zniszczenia. Każdy złoty wiek musi poprzedzić apokalipsa. Zawsze tak było i znowu tak będzie. Ale teraz jesteśmy zbyt bojaźliwi, żeby pozwolić czasowi robić swoje. Zatrzymujemy jego koła, blokujemy go swoimi obawami. Pomyśl o tym, Ganeśu. Od ponad pięćdziesięciu lat odsuwamy walki na teren naszych granic, każdego dnia doświadczając drobnych upokorzeń i drobnych rozlewów krwi. Zostaliśmy pozbawieni honoru i zhańbieni, a do tego przyzwyczailiśmy się żyć w tym upokorzeniu. Staliśmy się całą rasą struchlałych Ardżunów, uciekających przed czymś, o czym wiemy, że jest naszym obowiązkiem. Ale wystarczy już tego. Będziemy walczyć. Walka jest konieczna.

– Ale wszystko się skończy – powiedziałem drżącym głosem dziecka. – Wszystko.

– Oczywiście. Ganeśu, wszystkie wielkie religie przepowiadają tę pożogę. Wszyscy wiemy, że nadchodzi.

– Dlaczego? Powiedz, dlaczego?

– Sam mi to powiedziałaś, kiedy kręciłeś ten twój film. Jak on się nazywał?

– *Międzynarodowa Dhamaka.*

Ponownie zagruchał z radości.

– Tak, *Dhamaka*. Powiedziałaś, że w każdej historii potrzebny jest punkt kulminacyjny, a im większa historia, tym ten punkt kulminacyjny musi być większy. Odczytuj znaki na tym świecie, znaki widoczne w całym naszym życiu, a zobaczysz, czego ono potrzebuje. Potrzebuje zakończenia, Ganeśu. Potrzebny jest mu koniec, żeby mogło zacząć się od nowa. Boisz się, bo patrzysz na to ze środka. Wyjdź na zewnątrz i przyjrzyj się, a zobaczysz, że to nie może skończyć się inaczej.

– Powstrzymam cię.

– Jak, Ganeśu? To od ciebie nauczyłem się, jak dbać o bezpieczeństwo. A ty byłeś dobrym nauczycielem. Kiedyś, dawno temu, odnalazłeś mnie, ponieważ moi ludzie nie byli dość ostrożni. Ale po raz drugi już mnie nie znajdziesz. Chociaż spędziłeś tyle miesięcy na poszukiwaniach, nie udało ci się mnie znaleźć. Nic nie możesz zrobić. Czas będzie biegł dalej. Nadejdzie to, co nieuniknione. Zabrałeś mi pieniądze i osiągnąłeś jedynie to, że odwlekłeś coś, co musi się wydarzyć, co się wydarzy. To wszystko.

– W takim razie czego ode mnie chcesz?

– Nie walcz ze mną. Nie sprzeciwiaj się mechanizmowi historii. Oddaj mi moje pieniądze.

– Nie. Nie chcę w tym uczestniczyć.

– Już w tym uczestniczysz, Ganeśu. Przecież ty to umożliwiłeś, sam przeprowadziłeś część tego wszystkiego, i cokolwiek teraz robisz, przyspieszysz bieg wydarzeń. Niezależnie od tego, czy coś zrobisz, czy nie, wojna wybuchnie, poleje się krew. Nie możesz tego zatrzymać. Nie możesz zatrzymać samego siebie, Ganeśu.

– Wszystko powiem... wszystko powiem władzom.

– I myślisz, że oni ci uwierzą, Ganeśu? Gangsterowi, który setki razy im kłamał, który zabił tysiące ludzi?

– Zabiję więcej twoich sadhu.



– Oni i tak muszą umrzeć pewnego dnia. Kilka dni nie robi różnicy.

Już niczym nie mogłem go zastraszyć.

– Ganeśu, czy kilka dni może tu sprawić jakąkolwiek różnicę? – zapytał.

– Im wcześniej nadejdzie koniec tego bagna, w którym żyjemy, tym lepiej. Pomyśl o przyszłości, Ganeśu. O przyszłości. O tym, co nadejdzie potem.

Usłyszałem trzask i już go nie było.

Obok mnie pędziły samochody, zostawiając za sobą krwawy ślad świateł. Miałem wrażenie, że spadam. I wówczas, w tym właśnie momencie, nie myślałem o moich chłopakach ani o milionach ludzi, o kraju ani o świecie. Myślałem tylko o sobie. Ten cichy metaliczny szczęk w moim uchu przegryzał się przez moją szyję, sięgając aż do żołądka i pozostawiając mnie zupełnie samym. Wiedziałem, że on już nie powróci. Nie znajdę go, a on już do mnie nie zadzwoni. Zostałem sam. Znowu byłem Ganeśem Gaitondem wyruszającym w nieznaną świat, z nożem ukrytym pod koszulą. Do ust podeszła mi żółć. Odwróciłem głowę i splunąłem, brunatny płyn ściekał po niskim, białym murku biegnącym wzdłuż chodnika. Kiedy patrzyłem, jak płynie, ponownie poczułem, jak coś mi w środku pęka, otworzyła się we mnie jakaś bezkresna otchłań o ostrych krawędziach i wciąga mnie. Byłem sam. Z kupy śmieci po drugiej stronie drogi unosił się dym. Zacząłem gwałtownie dygotać, moje nogi, ręce i ramiona drżały. Zataczając się, podszedłem do samochodu i wsiałem do środka. Kierowca starannie omijał mnie wzrokiem i ruszyliśmy w dalszą drogę. Leżałem na tylnym siedzeniu, obejmując się kurczowo.

Nową kryjówkę w Dźuhu stanowiło mieszkanie na górnej kondygnacji wznoszącego się nad plażą dwupiętrowego bungalowu. Banti wystawił strażę, a cały teren został przeczesany i zabezpieczony. Chłopcy oprowadzili mnie po całym budynku i pokazali dwa tylne wyjścia na osobne klatki schodowe, które również były strzeżone. Poszedłem na górne

piętro, zamknąłem za sobą dwoje drzwi i padłem na łóżko. Jesteś wyczerpany, powiedziałem do siebie. To całe wielotygodniowe podróżowanie, podniecenie polowaniem, nieustanne zmiany wody i pożywienia. Musisz odpocząć. Wciąż jednak drżałem, przepęniała mnie jakaś dzika energia, która szalała gdzieś pod moją skórą i powodowała, że na całym ciele czułem świerzbiecie i swędzenie. A do tego ta woń. Tym razem nie był to zapach mogry, ale coś dącego się pod spodem, ciężka masa palonego ciała. Jakiś sukinsyn musiał wrzucić martwego szczura lub coś podobnego do ogniska na plaży. Powinienem posłać tam chłopaków, żeby załatwili tego madercoda. Chwiejnym krokiem podszedłem do okna. Nie, nie było widać żadnego ognia, nie było tam nic, tylko fale, równomiernie uderzające o piasek. Ale co z tymi oknami? Przez całą, wychodzącą na morze ścianę ciągnęły się okna, od podłogi po sufit. Kolejne znajdowały się w drugiej ścianie, wychodzącej na budynek po drugiej stronie drogi. Cóż to za kryjówka? Z tamtego dachu mógł oglądać mnie Sulejman Isa i cała jego organizacja. Policja mogła rozmieścić na plaży cały batalion snajperów, gotowych rozwalić mi głowę. Zawołałem moich ludzi. Sukinsyny, chodźcie pozamykać te okna.

Kazałem im pozamykać i zaryglować okna, i zaciągnąć zasłony. Ale nadal utrzymywał się ten pogrzebowy smród kwiatów i płonącego mięsa. Znowu zawołałem chłopaków. Poleciałem im przynieść taśmę izolacyjną i pozaklejać ramy okienne. Byli zaskoczeni, i chociaż się mnie bali i od lat darzyli mnie szacunkiem, niektórzy nie skrywali sceptycyzmu i rozbawienia. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Poleciałem im udać się na plażę i szukać ogniska, mieli też przeszukać teren wokół wszystkich okolicznych domów. Zgaście wszystkie ogniska, jakie znajdziecie, zadepczcie je. Skinęli głowami, tak, bhai, tak, bhai, i odeszli, powłócząc nogami. Zamknąłem za nimi drzwi i szerokimi pasami taśmy zakleiałem

wszystkie szpary, szczeliny i dziurkę od klucza. Następnie przyciągnąłem fotel na sam środek pokoju i podciągnąwszy nogi, usiadłem w nim, trzymając się za kostki u nóg. Nie było wątpliwości, ten zapach wciąż jest w pokoju. Trzeba odczekać, pomyślałem, niech to zatrute powietrze wymrze i wtedy się go pozbędziesz. Minuty ciągnęły się, a ja powoli oddychałem. Zamknąłem oczy i wykonywałem ćwiczenia pranajamy. Potrzebowałem spokoju, chciałem tylko odrobiny odprężenia. Ale w moje oczy wciskało się światło, pomarańczowo–czerwone błyski na jaśniejszym, szafranowym tle. W pokoju panowały ciemności, zasłony były złote i grube, chyba z brokatu. Skąd docierało to światło? Uświadomiłem sobie, jak delikatny jest ten budynek, jakże kruche są szyby w oknach. Jakbym siedział po turecku na swoim własnym stosie pogrzebowym, czekając, aż zostanę uśmiercony przez moich wrogów, przez jakąś katastrofę, która właśnie czai się na horyzoncie. Musiałem się bronić.

Banti miał wyłączoną komórkę. W ciągu następnych dwóch godzin dzwoniłem do niego chyba ze trzydzieści razy i zawsze słyszałem ten behenćodowy głos, mówiący z obcym, miękkim akcentem. W końcu Banti oddzwonił, słyszałem panikę w jego głosie.

– Przepraszam, bhai, przepraszam. Miałem komórkę ustawioną na wibracje i schowaną głęboko pod koszulą i innymi rzeczami. Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Nogi tego sukinsyna nie działały, ale inne części ciała i owszem. Okazało się, że był z jakąś szesnastolatką i tak bardzo musiał się skoncentrować, że zapomniał o swojej pracy i powinnościach. Musiałem znowu pouczyć go o obowiązkach związanych z zajmowanym stanowiskiem, wypomniałem mu, jaki się z niego zrobił bezmyślny ćutija, i powiedziałem, czego chcę. A wtedy on stał się jeszcze bardziej skruszony i potulny. Wyznał, że nie ma kluczy do mojego podziemnego schronu, do mojej kryjówki, którą

wybudowałem dla Dźodźo w Kailaśpadzie. Zaczął opowiadać mi jakąś długą historię, jak to budowniczowie potrzebowali tych kluczy, żeby dokończyć instalację elektryczną, i dali je komuś tam, i tak dalej, i tak dalej. Przerwałem mu i powiedziałem, że o dziewiątej rano chcę być w swoim schronie, a jeśli nie, to on straci coś jeszcze oprócz swoich nóg.

– Ale, bhai – powiedział – czy nie chcesz wracać do domu?

– Do domu? Do jakiego domu?

– Do Tajlandii, bhai. Na jacht. Skoro misja już skończona.

Kazałem mu pilnować swoich spraw i rzuciłem słuchawką. Czy znowu powinienem wyjechać za morze? Gdzieś daleko, tam, gdzie jest bezpiecznie? Ale gdzie jest bezpiecznie? Oczywiście, mogłem wyjechać na Nową Zelandię albo jeszcze dalej, na jakąś skalistą wysepkę. Ale kiedy nadejdzie pożoga, kiedy po morzach przetoczy się przygotowane przez Garu–dzi wielkie zniszczenie, co wtedy pozostanie?

Zacząłem krążyć po pokoju, zaciskając i rozwierając pięści, próbowałem pozbyć się skurczy w ramionach. Gdzie może być dom, kiedy nie ma domu? Czy można mieć dom gdzieś daleko od domu, kiedy nie ma domu? Czego człowiek może pragnąć, o czym marzyć, kładąc się spać? A kiedy ktoś zapyta, skąd pochodzisz, co się odpowiada? Nie, nie miałem dokąd jechać, nie mogłem wyjechać. Zostanę tutaj, tuż przy polu bitwy, w samym jego środku, i powstrzymam Garu–dzi. Był przekonany, że nie powstrzymam go, nie możesz tego zatrzymać, powiedział, ale przecież jestem Ganeśem Gaitondem. On potrafił zajrzeć w przyszłość i w przeszłość, lecz wielokrotnie wymykałem się przeznaczeniu. Pokonałem los, zmieniałem go. Przetrwałem. I teraz też przetrwam. Uratuję swój dom. A żeby to zrobić, musiałem być absolutnie bezpieczny.

Banti zdążył trzy godziny przed wyznaczonym terminem. Zadzwoił o szóstej, a o szóstej trzydzieści czekał już na mnie samochód. W ogóle nie

spałem, ale jadąc przez dopiero budzące się i przeciągające się miasto, czułem się silny i zupełnie świeży. Patrzyłem na kierowcę rikszy, który wygrzebuje się z tylnego siedzenia swojego pojazdu, na matkę poganiającą synka niemrawo idącego do toalety publicznej. W ogrodzie przechadzali się starsi ludzie, dziarsko wymachując ramionami. Na czubkach drzew pojawiło się słońce. Jakiś program radiowy nadawał bhadźan, i kiedy mijaliśmy długi rząd kholi, słyszeliśmy urywane fragmenty pieśni.

Skręciliśmy w lewo i pojechaliśmy na rynek. Większość sklepów była jeszcze zamknięta. Zmagający się z okiennicą jakiś ziewający seth i pomagający mu chłopiec zupełnie nie zwrócili na nas uwagi, kiedy parkowaliśmy obok stojącego na środku pustej parceli białego sześcianu. Podeszliśmy do drzwi, a ja przeciągnąłem dłonią po nienagannej białej ścianie i od razu poczułem się lepiej. Pamiętałem wszystkie dane techniczne, dokładną grubość jego wzmocnionych ścian i koszt użytego cementu. Jeden z chłopaków Bantięgo tak długo grzechotał kluczem w drzwiach, że w końcu się zdenerwowałem i zabrałem mu go. Klucz był komputerowo wycinany, miał niewielkie wgłębienia po obu stronach, trzeba było wsunąć go do połowy i przekręcić o pół obrotu w lewo. Następnie wystarczyło lekko go docisnąć i obracał się jak w maśle.

– Dobra – powiedziałem. – Powiedzcie Bantiemu, że do niego zadzwonię.

– Bhai, gdybyś czegoś jeszcze potrzebował...

Zamknąłem drzwi – musiałem naprzeć na nie ramieniem – i stanąłem w całkowitych, upragnionych ciemnościach. Przez stopy czułem cichy szmer odpowiednio wyregulowanych urządzeń, ale krakanie wron na dworze ustało, jak nożem uciął. Z kopii projektu dokładnie pamiętałem, gdzie jest wyłącznik światła, na ścianie po mojej prawej stronie, ale nie chciałem tam sięgać. Przez moment cieszyłem się, mogąc pławić się w tym

bezpieczeństwie, wiedząc, że nic tu nie może mnie osiągnąć. Mój umysł się wyciszył, a ja tylko tak stałem nieruchomo.

Nagle ocknąłem się z tej zadumy. Nie miałem pojęcia, ile to trwało, minutę czy pół godziny. Nie mógłbym powiedzieć, że spałem, ale wypocząłem. Zmusiłem się do ruchu, włączyłem światło i podniosłem metalową klapę w środku pomieszczenia. Krótka drabina prowadziła do sterowni. Wszystko było tak, jak zaplanowałem, zobaczyłem przeróżne ekrany wideo i komputery, radia i maski gazowe. Budowniczowie i technicy dokładnie wykonali polecenia, zadbali nawet o zapasy suszonych owoców i szczelnie zamknięte butelki wody. Była tam mała salka gimnastyczna i półka z płytami DVD zawierającymi stare filmy z Dewem Anandem i Dilipem Kumarem. W stalowej szafce znajdowały się rzędy broni, AK-56 i Glocki. Dało się tu żyć.

Żyłem więc w tym moim domu, tym domu pod ziemią, przez dwa tygodnie. Byłem w kontakcie z Bantim i chłopakami, co rano i co wieczór odbierałem telefony od Nikhila z Tajlandii i prowadziłem interesy z Brukselą i Nowym Jorkiem. Chłopcy przynieśli mi moje kartoteki, a nowe ważne dokumenty przekazywano mi niezwłocznie. Wszystko było jak przedtem, jedyna różnica polegała na tym, że nie snułem się gdzieś po obcych morzach ani nie latałem z jednego obcego miasta do drugiego. Wykonywałem swoją pracę, siedząc bezpieczny w brzuchu Mumbaju. Nie wpadłem jednak w samozachwyt i nie lekceważyłem niebezpieczeństwa tylko dlatego, że wróciłem w domu. Przestrzegałem wszystkich procedur bezpieczeństwa i zawsze nosiłem gotowego do strzału Glocka 34 w wygodnej nylonowej kaburze na ramię. Przebywałem w strefie walki, więc się zabezpieczyłem.

Nie mogłem jednak spać. Leżałem w łóżku, na podłodze albo na specjalnym, dopasowującym się do kształtu ciała materacu, który przynieśli

mi ludzie Bantiego, ale nigdzie ani na chwilę nie mogłem się zdrzemnąć. Jadłem całe garście calmpose i mandraksu, ściągnąłem nawet z Nowego Jorku butelkę ambienu. Ale te amerykańskie tabletki też nie umiały zanurzyć mnie w nieświadomości. Mogłem jedynie starać się znaleźć półsen, gdzieś między bezsennością a prawdziwym snem, jakiś stan sparalizowanego zawieszenia, w którym moje ciało było ciężkie i nieruchawe, ale umysł wciąż czuwał w pełni świadomy. Spod na wpół przymkniętych powiek obserwowałem iskierki ognia, pełzające po ścianie w górę. Wiedziałem, że nie ma żadnego ognia, że te iskry to jedynie odbicie monitorów i czerwonych lampek twardego dysku, ale nawet kiedy ustępowało działanie substancji chemicznych, wciąż czułem – tak, wciąż to czułem – mogle i swąd palonych ciał. Pocieszałem się myślą, że system wymiany powietrza nie jest w stanie całkowicie usunąć zapachów miasta. W końcu te filtry węglowe nie generowały zupełnie nowego powietrza, nie mogły zlikwidować czegoś, co już w nim było, na tym najniższym, podstawowym poziomie. Ja po prostu czułem zapach zanieczyszczeń tych mieszkających nade mną milionów, wyziewy ich życia. Przed tym nie było ucieczki, nie mogło być, i nauczyłem się z tym żyć. Odczuwałem to w postaci dziwnej cierpkości gdzieś w głębi gardła, delikatnego podrażnienia oczu. Byłem Ganešem Gaitondem, większy ból już znosiłem.

Ale nie potrafiłem przyzwyczać się do zmartwień. Nie śpiąc w dzień i w nocy, miałem dużo czasu, żeby usiąść i pomyśleć. Kiedy już załatwiłem interesy, kiedy uporałem się z listą spraw do załatwienia, rachunkami i planami, siadałem w fotelu obrotowym przed komputerami i monitorami i myślałem. Oczywiście starałem się zweryfikować i jeszcze raz przeanalizować swoje ostatnie poszukiwania tego sukinsyna, który sam nazwał siebie guru, skrupulatnie przeglądałem wszystkie kartoteki i dokumenty, które zabraliśmy z jego biur, próbowałem przypomnieć sobie

wszystkie wypowiedziane przez niego podczas naszej ostatniej rozmowy zdania. Być może gdzieś znajdowała się ukryta wskazówka, która mi umknęła. Może istniała jakaś szczelina, przez którą mógłbym się precyzyjnie. Rozważałem to na wszystkie strony, przypominałem sobie naszą wspólną historię, skrupulatnie sprawdzałem wszystko, ale w końcu wycofałem się, pokonany. Przegrałem. I wtedy zacząłem się martwić. Starłem się od tego oderwać, włączałem jednocześnie różne programy telewizyjne, wiadomości, filmy i muzykę, ale te zmartwienia wyłaniały się z map, umieszczonych za prezenterami wiadomości, z tańców, w które ruszali bohaterowie i bohaterki filmów, i ze spokojnego głosu Lata.

– Czym tak się martwisz, Gaitonde? – zapytała mnie Dźodźo. Nareszcie uwierzyła, że wróciłem gdzieś za granicę, ponieważ dzwoniłem do niej z miejsca, gdzie było cicho. Jak zawsze, potrafiła rozpoznać, w jakim jestem nastroju, kiedy tylko się odezwałem, a nawet wcześniej, już po moim milczeniu.

– Martwię się o ciebie – odparłem. Rzeczywiście tak było. Jeśli wybuchnie wojna, przetrwam w swoim schronie. Ale jeśli Dźodźo pozostanie na zewnątrz, stracę ją. Czy potrafiłbym żyć bez tego głosu w moim uchu, bez tej świadomości, że Dźodźo mnie zna? Jeszcze nigdy nie czułem się tak samotny. Bywałem już zupełnie sam, w latach młodości, kiedy byłem beznadziejnie biedny, nieświadomy i nie miałem nikogo, ale wtedy samotność zupełnie mi nie ciążyła, była tak lekka jak skłębiona, rozwiana pelerynka dziarskiego bohatera. Scenariusz mojego życia prowadził mnie nieustannie w górę i bez żalu pozostawiałem za sobą kochanki, moich jarów i wrogów. To było konieczne. Tak wyglądała zasadnicza cecha mojej natury i bez niej nigdy nie stałbym się Ganeśem



Gaitondem. Ale teraz miałem w sobie Dźodźo i pozbawiony jej, rozpadłbym się w proch. Byłem tego pewien.

– Tylko o ciebie się martwię, Dźodźo – powiedziałem. – Chociaż jesteś ćutiją. Sam nie wiem, dlaczego.

– Chyba zupełnie zwariowałeś – odparła. – Skoro sam nie wiesz, dlaczego, po co się martwić?

– Nie, nie. Wiem, dlaczego się martwię. Nie wiem tylko, dlaczego martwię się o ciebie. Jesteś arogancką, bezwstydną i złośliwą ćutiją.

Ryknęła potwornym śmiechem, stosownym do jej natury.

– Are, Gaitonde, po tych wszystkich latach wciąż nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? No dobra, dobra, to nieważne. Dajmy temu spokój. Ale powiedz mi, o co się martwisz.

– Powinnaś mieszkać w bezpieczniejszym miejscu.

W tym momencie przestała zachowywać się racjonalnie, jak zresztą zawsze. Zaczęła obrzucać mnie wyzwiskami, powiedziała, że powinienem zbadać sobie głowę albo goli, albo i jedno, i drugie. A potem dodała, że z jej życiem wszystko jest w porządku, interesy idą dobrze, a ona niczego się nie boi. I żebym przestał snuć te irytujące dywagacje, bo w przeciwnym razie będzie musiała wsadzić je w mój gand.

Z kolei ja, w przeciwieństwie do niej, zachowałem rozsądek. Zacząłem podkreślać rosnącą przestępczość w mieście, niepokojącą liczbę przypadkowych kradzieży, gwałtów, a także agresywne zachowanie rządów i bojówek, prowadzące do wybuchów bomb w restauracjach, i tłumaczyłem jej, co to może oznaczać w kontekście sytuacji na granicy. Słyszając to, szepnęła z wściekłością:

– Szkoda, że nie wsadzili jednej z tych bomb do twojego łba – i odłożyła słuchawkę.

Ostatnio, od kiedy wkroczyłem do bunkra, nasze rozmowy coraz częściej kończyły się w ten właśnie sposób. Jak zawsze dyskutowaliśmy o dziewczynach, które Dżodžo reprezentowała, o programie telewizyjnym, którego była producentką, i o trendach w świecie biznesu, ale w końcu zawsze sprowadzałem rozmowę na temat natury świata, w którym żyjemy, i tych śmiertelnych zagrożeń rzucających nam pod nogi. I wtedy, z jękiem, przekleństwem lub krzykiem, ona się rozłączała. A ja wracałem do swoich zmartwień.

Dzisiaj zacząłem zastanawiać się, co jeszcze mógłbym zrobić z Dżodżo. Mógłbym zaoferować jej schronienie, które przypominało dom, i zwabić ją w bezpieczne miejsce. Ale czy miałem gwarancję, że ona będzie zamykać drzwi i że nie będzie pytać, gdzie są okna? Nie, to było niemożliwe. Przełączając kanały, zobaczyłem reklamę egzotycznych wczasów za granicą. Po plaży spacerowała szczęśliwa para. Mogłem wysłać ją gdzieś w odległe miejsce, sprezentować jej bilet pierwszej klasy na jakąś wyspę na morzach południowych. Tak. Wysłać ją samolotem do jakiegoś kurortu, w którym będzie dużo muskularnych chłopaków na plaży i luksusowe sklepy. Tak, już ją sobie wyobrażałem, jak kupuje parę botków na wysokim obcasie. Oto ona, ubrana w kusą, czerwoną spódniczkę, odsłaniającą młode i umięśnione nogi. Za nią cały rząd toreb na zakupy, a ona jest szczęśliwa. Obok mała, czarna torebka z bardzo miękkiej skórki. A w torebce dwa telefony, normalny telefon komórkowy, którego używała na co dzień, oraz czerwony, szyfrowany, zapewniający jej łączność ze mną. Była bezpieczna i szczęśliwa, a ja czułem zadowolenie, kiedy to sobie wyobrażałem. Nawet gdyby coś się wydarzyło, gdyby za horyzontem przetoczyła się pożoga, ona byłaby bezpieczna.

Gdyby coś się jednak wydarzyło, gdyby to się wydarzyło, telefony przestaną działać. Samoloty nie będą latać, być może w ogóle ich nie będzie. Z pewnością posłuszeństwa odmówią wszystkie systemy sterujące lotami i telefonami. Dostatecznie dużo już wiedziałem. Z oglądanych filmów i programów telewizyjnych wywnioskowałem, że mogę spodziewać się całkowitej awarii wszystkiego. Nawet te urządzenia, które będą jeszcze pracować, wkrótce zatrzymają się z braku energii. To dlatego w mojej kryjówce, oprócz wzmocnionych linii zasilających z sieci, zainstalowaliśmy potrójny zestaw generatorów i akumulatorów i przygotowaliśmy się do korzystania z energii słonecznej. Dżodzo będzie na wyspie, a ja w swoich podziemnych komnatach. A między nami rozległe oceany i bezlitosne słońce. Przez te wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy nie przeszkadzała mi dzieląca nas odległość, ponieważ wiedziałem, że nawet kiedy spaceruję ulicą w Belgii czy lecę nad arabską pustynią, Dżodzo jest ze mną, zawsze wtulona w moje biodro, oddalona o dwa naciśnięcia przycisków. Mogłem ją teraz odesłać, ale jak miałbym ją ściągnąć z powrotem? Przemierzałem sterownię w tę i we w tę, zastanawiając się, ile wysiłku wymaga przejście jednej mili. Już od lat nie istniały dla mnie odległości, liczył się tylko czas. Lokalizację różnych miejsc określałem na podstawie liczby godzin, potrzebnych na pokonanie drogi do nich odrzutowcem, i nauczyłem się odejmować jeden dzień od daty albo dodawać pół nocy do porannej godziny. Teraz jednak, stojąc na twardej ziemi, ujrzałem długie linie południków i równoleżników, widziałem, jak rozciągają się poza ściany, zobaczyłem okropną krzywiznę ziemi i skalistą otchłań, która rozdzielała Dżodzo i mnie. Byliśmy tacy mali, a ten świat tak ogromny. A nie słysząc jej głosu, czułem się jeszcze mniejszy.

Musiałem ją tu ściągnąć. Tak. Będzie się opierać, początkowo będzie zła, ale w końcu zrozumie. Przedstawię jej powagę problemu, przekonam o

grożącym niebezpieczeństwie, pokażę dowody, i ona zrozumie. Zawsze potrafiliśmy ze sobą rozmawiać, od samego początku. Była upartą wiedźmą, ale jednocześnie kobietą rozsądną. Dla niej liczył się jej własny interes, a ja jej udowodnię, że nie może pozostać na zewnątrz. Zgodzi się ze mną.

Chwyciłem za telefon, zadzwoniłem do Bantiego i wydałem polecenia.

– Ściągnij ją tu – powiedziałem.

Będzie przerażona i wściekła, kiedy po nią przyjdą, ale nie miałem wyboru. Gdybym zaprosił ją na spotkanie ze mną, odmówiłaby, bez względu na to, jak bardzo bym błagał. Dlatego też moi ludzie zrobili to, co powinni – do rana czekali pod domem Dźodźo. Wyjechała o dziesiątej trzydzieści, sama w swojej błękitnej toyocie. Pojechali za nią Jari Road, a potem na północ w kierunku Goregaonu. Jechali dwoma samochodami osobowymi i furgonetką i już po dziesięciu minutach zgrabnie zamknęli ją między sobą, podążając tym samym tempem, co ona, z furgonetką z tyłu. W pewnym momencie jadący przed Dźodźo samochód ostro zahamował, furgonetka uderzyła w tylny zderzak jej auta i pchnęła je do przodu, powodując lekką stłuczkę z udziałem trzech pojazdów. Nie jechali szybko, więc nie istniało niebezpieczeństwo, że komuś coś się stanie, ale Dźodźo wyskoczyła ze swojego samochodu, wyzywając ich od maderćodów i behenćodów. Była zbyt wściekła na dziewczynę prowadzącą furgonetkę, żeby zauważyć trzech mężczyzn wysiadających ze stojącego przed nią samochodu, i jeszcze dwóch innych, w aucie z boku. Powiedziałem im wszystkim, że nie wolno im uderzyć Dźodźo, ale nie byłem pewien, czy sam widok ghory wystarczy, żeby powstrzymać ją od krzyków i próby obrony, nawet jeśli przyłożą go do jej głowy. Dlatego też użyli paralizatora. Kiedy Dźodźo zajmowała się wymyślaniem dziewczynie, jeden z chłopaków przyłożył paralizator do jej biodra, tuż nad paskiem, i

zaaplikował jej trzydziestosekundową dawkę ładunku. Rozległ się trzask, Dźodźo wydała cichy okrzyk, który po chwili przeszedł w jęk, i padła na ziemię. Używanie paralizatora może być ryzykowne – czasami zdarza się, że zaatakowana osoba doznaje szoku, czuje zjadliwe ukąszenie węża, a potem wpada w jeszcze większą wściekłość i rozbija agresorowi czaszkę. Obawiałem się, że Dźodźo może zacząć kopać chłopaków po goli, ale ona tylko zasłabła, wzdrygnęła się, przewróciła oczami i zemdlała na dobre dziesięć minut. W tym czasie znalazła się już z tyłu furgonetki, z rękami i nogami delikatnie związanymi, tak otepiała, że mogła tylko ślinić się na fotel. Pozostałe samochody – łącznie z autem Dźodźo – ruszyły za nimi, i w ten sposób ta mała karawana przywiozła ją do mnie.

Odebrałem przesyłkę w drzwiach – schowany za furgonetką przed oczami sprzedawców – wzięłem ją na ręce, zamknąłem drzwi i zniosłem ją na dół. Położyłem na łóżku, podparłem jej głowę miękką poduszką i przyniosłem zimną wodę. Przytrzymałem szklanekę przy jej wargach, a potem wytarłem ślinę z brody i szyi. Coś wymamrotała, mówiąc nieskładnie grubym głosem. Usta miała jak z gumy i zupełnie nad nimi nie panowała, ale wzrok miała skupiony, a oczy bardzo żywe. Popatrzyła na mnie, rzuciła wzrokiem na lewo i prawo, starając się ogarnąć spojrzeniem całe pomieszczenie.

– Spokojnie, Dźodźo – powiedziałem. – Za parę minut wszystko będzie dobrze. Proszę, napij się wody.

Ale ona tylko oparła brodę na dłoni i spiorunowała mnie wzrokiem tak ostrym, że mógłby ściąć mi głowę. Chciała coś powiedzieć, ale jej słowa znowu przemieniły się w spływające śliną mamrotanie. Powycierałem ją i usiadłem, nie spuszczając z niej wzroku. Była chudsza, niż pamiętałem ją z fotografii, wokół warg dostrzegłem lekkie zmarszczki. Na zdjęciach miała rozkosznie czerwone usta, i przez te wszystkie ostatnie lata zawsze,

każdego dnia, wyobrażałem sobie ją właśnie taką. Ale również ten jej wygląd mi nie przeszkadzał. Dla niej to był jeszcze wczesny ranek, dopiero wstała i jechała na siłownię, nie miała czasu nałożyć szminki. Rozumiałem kobiety i ich malowanie się. Dźodźo wyglądała trochę starzej, niż się spodziewałem, nic nie wiedziałem o liniach na jej szyi ani o pomarszczonej skórze na dłoniach. Ale i tak była atrakcyjna, sprężysta, dobrze utrzymana laska z gęstymi, rozjaśnionymi brązowymi włosami i szczupłym ciałem. Widziałem jej płaski brzuch nad niskimi džinsami, odkryty w miejscu, gdzie top nieco się podwinął.

Dostrzegła, że się jej przyglądam, i uniosła głowę z poduszki. Tym razem robiła pauzę przed każdym słowem, formułując je z mozolną, wymagającą wysiłku, starannością.

– Kim. Ty. Jesteś?

Chwyciłem się za brodę i wybuchnąłem śmiechem.

– Are, Dźodźo. Przepraszam, jar. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej. Zmieniłem twarz. Ze względów bezpieczeństwa. Jestem Ganeś. Ganeś Gaitonde. Gaitonde.

Pokręciła głową.

– Zoja mi mówiła.

Zoja powiedziała jej o mojej operacji. Nigdy nie zawieraj kobiecie swojego bezpieczeństwa. Może powinienem był zastrzelić tę kutiję Zoję, kiedy się jej pozbywałem. Ale mniejsza o tę randi, tutaj była Dźodźo, wciąż bardzo przestraszona, podejrzliwa i wrogo nastawiona. Musiałem ją przekonać, że to ja, Ganeś Gaitonde, który codziennie z nią rozmawiał. Czy mój głos był tak inny, zmieniony przez odległość i elektryczność? Ale to nie ma znaczenia. W tym naszym bezpośrednim spotkaniu musiałem dla Dźodźo stać się Ganeśem Gaitondem, nawet jeśli nasze twarze zmieniły się i nie wyglądały już tak, jak to sobie wyobrażaliśmy przez długie lata

przyjaźni. Powiedziałem jej, jak się spotkaliśmy, tak dawno temu, i jak staliśmy się jarami. Opowiedziałem jej o dziewczynach, które mi podsyłała, i o tym, jak później razem sobie żartowaliśmy. Mówiłem o dziewicach, które rozdzwiczyłem, i o pieniądzach, które jej przekazywałem za ich czystość. Powiedziałem jej o projektach, które finansowałem, i o problemach, które z nią omawiałem. Przypomniałem, jak mnie przeklinała i zwracała się do mnie per Gaitonde.

Kiedy zakończyłem swoją opowieść, siedziała już na łóżku, ramionami obejmując przyciśnięte do piersi kolana. Wiedziała, kim jestem. Ale nie miałem pojęcia, czy jest ciekawa, czy wściekła, przerażona, czy zaskoczona. Nie byłem w stanie jej przejrzeć. Znałem jej głos, ale zupełnie nie znałem jej ciała. Musiała coś do mnie powiedzieć, żebym mógł się dowiedzieć, co ona czuje. Czekałem.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Sprawdzała swoje możliwości, język i wargi, i w końcu stwierdziła, że już doszła do siebie.

– Co się z tobą stało, Gaitonde? – zapytała.

Oczekiwałem jakiegoś wściekłego przekleństwa, i to nie jednego, żądania wyjaśnień, dlaczego ją sparaliżowałem i bez jej zgody tu ściągnąłem. Miałem przygotowane wytłumaczenie i od razu zacząłem wyrzucać je z siebie w wielkim pośpiechu, opowiedziałem jej o jadźniach i bombach, o dolarach i sadhu, o ogniu i końcu jugi. Kiedy ja mówiłem, ona wstała z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Wciąż jeszcze niezbyt pewnie stała na nogach i musiała oprzeć się ręką o ścianę, żeby zachować równowagę. Ale była bardzo czujna, badała pokój, sprawdzała, co w nim się znajduje, gdzie są drzwi. Już podczas tej swojej paplaniny czułem, jak bardzo jestem z niej dumny. Robiła to, co sam bym robił. Zajrzała do małej siłowni, otworzyła drzwi do ubikacji. W pewnym momencie ruszyła do

drzwi prowadzących do sterowni. Poszedłem za nią, nie przerywając swojej przemowy.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała. – Po co ci ten pistolet?

Dostrzegłem przyczynę jej zdezorientowania. Włączone były cztery monitory, na trzech z nich widać było wiadomości z Ameryki, Indii i Chin, a na ostatnim z Internetu. Zupełnie się pogubiła, straciła świadomość i nie miała pojęcia, ile minęło czasu. Sądziła, że może jest w Malezji albo w Hiszpanii. W dowolnym miejscu.

– Nie martw się, Dźodźo – powiedziałem. – Nadal jesteśmy w Bombaju. Ale jesteśmy bezpieczni. Nie martw się.

Nagle odwróciła się do mnie. Była niższa ode mnie, ale stała wyprostowana jak struna, ściągnęła łopatki i wdzięcznym ruchem głowy odrzuciła włosy za ramię. Ten jeden drobny ruch wystarczył, żebym zrozumiał, dlaczego mężczyźni ciągle ustawiali się w kolejce do niej, żeby być jej następnym thoku. Było to zupełnie obiektywne spostrzeżenie, stwierdzenie faktu o Dźodźo. W tym momencie, w stanie, w jakim byłem, nie odczuwałem żadnego fizycznego pożądania, a już najmniej do Dźodźo. Pragnąłem jedynie, żeby do mnie mówiła.

– Gaitonde – odezwała się – ty zwariowałeś. – Mówiła do mnie tonem, jakim rugała swoją służbę, cichym, stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu. – Musisz iść do doktora i zbadać sobie bhedżę. Chociaż nie, na to jest już za późno, po prostu idź do domu wariatów i niech cię tam przyjmą. Powiedz pielęgniarzom, żeby skuli ci ręce i nogi kajdanami, żebyś nie niepokoił innych ludzi.

– Dźodźo, posłuchaj tylko.

– Nie, to ty mnie wysłuchaj. Za kogo ty się uważasz? Wydaje ci się, że jesteś jakimś królem, możesz tak po prostu porywać ludzi? Możesz tak sobie ogłuszyć kogoś, jakby to było jakieś zwierzę, i kazać go do ciebie



przyciągnąć? Ty sukinsynu, tylko dlatego, że wszyscy na świecie boją się ciebie, wydaje ci się, że możesz robić, co ci się żywnie podoba? Ja się ciebie nie boję, ty maderćodzie!

Skierowała twarz w moją stronę, wymachując mi palcami przed nosem. Ponownie mnie przeklęła, poczułem, że na moim policzku rozbryzguje się ślina, i po chwili jeszcze raz.

Chciałem ją uderzyć.

Ale przecież to była Dźodźo, pragnąłem się nią zaopiekować. Cofnąłem się, podniosłem ręce i wziąłem głęboki oddech.

– Jesteś wzburzona. Rozumiem to. Ale pozwól, Dźodźo, że ci coś wyjaśnię. Od tylu lat jesteśmy przyjaciółmi. Pomyśl, ile to już czasu. Mogłem to zrobić w każdej chwili, ale nigdy do niczego takiego nie doszło. Posłuchaj więc mnie spokojnie. Potem, jeśli się ze mną nie zgodzisz, będziesz mogła zrobić, co chcesz.

Opuściła głowę i patrzyła na mnie. Widziałem, że zastanawia się, myśli, przyglądała się mi, ogarnia wzrokiem pokój i ocenia swoje szanse. Nie byłem jednak w stanie stwierdzić, czy ma zamiar się poddać, czy wymierzyć mi policzek. Szkoda, że nie umieściłem u niej kamery do wideokonferencji, mógłbym przez te wszystkie lata obserwować jej szyję i rozsztoszczone ramiona. Wydawało mi się, że ją znam, ale powinienem był lepiej ją poznać.

– Dobra – powiedziała. – Ale mów szybko. Mam dzisiaj dużo roboty.

Usadawiłem ją w fotelu w sterowni i podałem jej nową szklanekę wody. Zapytałem, czy nie jest jej zimno, i przykręciłem klimatyzację. Następnie przedstawiłem jej prawdę o tym, co się działo. Wszystko jej powiedziałem, punkt po punkcie. Pokazałem jej tabelę zamieszczoną w starym numerze „India Today”, gdzie podano prawdopodobne liczby ofiar śmiertelnych i rannych w Mumbaju w wypadku wybuchu nuklearnego. Przedstawiłem jej

znalezioną w Internecie stronę, na której widać było rzeczywistą, zarejestrowaną kamerą eksplozję i drżących ludzi ocalałych po wybuchu. Pokazałem jej zalecenia, jak należy postępować w wypadku zagrożenia, a także całą listę materiałów niezbędnych do przetrwania.

– Zaczekaj – odezwała się. – Czekaj.

– Co?

– Chcesz, żebym tu została? Żebym żyła w tej skorupie?

Patrzyła z niedowierzaniem, przez chwilę to do niej nie docierało, a potem spojrzała na mnie z pogardą. Bez trudności rozszyfrowałem bruzdy na jej czole, sposób, w jaki marszczyła brwi. I nagle to całe moje wzmocnione schronienie, na które nie szczędziłem niezliczonych walizek pieniędzy, zdało mi się małe i niegościnnie.

– Tu nie jest tak źle – powiedziałem. – A nawet jest tu zupełnie wygodnie. Masz tu najlepsze łóżka, wszystko jest klimatyzowane. Jest salka gimnastyczna, będziesz mogła ćwiczyć. Woda jest filtrowana. System komunikacji działa doskonale. Bez problemów możesz tu pracować.

– Jak długo?

– Proszę?

– Jak długo masz tu zamiar siedzieć?

Zaskoczyła mnie. Przecież odpowiedź była zupełnie oczywista. Tamta Dźodźo, z którą rozmawiałem przez telefon, była zdecydowanie mądrzejsza od tej tu, jej nigdy nie trzeba było niczego tłumaczyć.

– Aż to się skończy – odrzekłem. – Albo nie skończy.

W tym momencie Dźodźo zniknęła. Schowała się za tą swoją niepojętą twarzą i nie mogłem dojść, o czym myśli. Ale kiedy się odezwała, ponownie ją rozpoznałem. Teraz była bardzo delikatna, była tą łagodną kobietą o gołębim sercu, która rozmawiała ze mną o moich problemach, o moim stresie i o tym, jak powinienem się odżywiać.

– Gaitonde, może byś usiadł? Powinieneś się odprężyć, bo w przeciwnym razie znowu nabawisz się hemoroidów.

Na jej twarzy malował się uśmiech i pomyślałem, że ona tak właśnie musi wyglądać, kiedy wydaje z siebie ten zdławiony chichot. Nawet nie zauważyłem, że stoję.

– Tak, tak. – Usiadłem.

Przysunęła swój fotel do mnie, podciągnęła nogi i usiadła po turecku. Roześmiałem się na ten widok, taką ją właśnie znałem – pamiętałem, że opowiadała mi, jak czasami podczas oficjalnych spotkań z ważnymi facetami zapomina się i siada właśnie w ten sposób, jak prawdziwa, wiejska bai z Konkanu. Skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie. Od razu poczułem się lepiej. Taką Dźodźo znałem.

– Okay, Gaitonde – odezwała się. – Powiedz mi, jak co się skończy?

– Czy ty w ogóle mnie słuchałaś? To wszystko – wyjaśniłem. – Jeśli go znajdę, to będę mógł go powstrzymać. Wtedy to się skończy. A jeśli go nie znajdę, to się nie skończy. Aż wszystko się nie skończy.

– Rozumiem – odparła. – Chodzi o tego Garu-dźi. Chcesz go znaleźć. Dobra, w porządku. Ile to może potrwać?

– Nie mam pojęcia. To może się stać w każdej chwili.

– Na przykład dzisiaj, tak?

– Albo jutro.

– Albo za kilka dni?

– Może miesięcy. Ale jeśli go nie znajdę, to i tak wszystko kiedyś musi się skończyć. To nieuniknione. Chyba to jest jasne.

– Ale Gaitonde, ja nie mogę tu tak długo zostać. Mam swoje interesy. Nie mogę ich stąd prowadzić. Muszę spotykać się z ludźmi, spotykać się z dziewczynami. Muszę biegać w różne miejsca.

– Możesz tu ich zapraszać. Możemy przerobić pokój na górze na salon. Wstawimy tam sofę, biurko. Nie ma problemu.

– Ale... – zaczęła – ale, Gaitonde...

Już ze mną nie walczyła, ale, oczywiście, uważała, że stojące przed nią zadanie jest nierealne. Każdy tak by pomyślał, kto nie przeżył mojego życia, kto nie osiągnął mojego poziomu zrozumienia, kto nie odrzucił od siebie tylu pewników, które okazały się tylko złudzeniami. Znałem prawdę, wiedziałem, że bezpieczeństwo daje wyłącznie kajuta na jachcie lub jaskinia pod ziemią. Musiałem powoli poprowadzić ją za sobą.

– Dźodźo – powiedziałem – spróbuj tylko na jeden dzień.

– Tylko jeden?

– Jeden dzień i jedną noc. Jeśli jutro będziesz chciała odejść, wrócisz do domu.

– Obiecujesz?

– Muszę ci to obiecywać? Jeśli Ganeś Gaitonde mówi, że coś zrobi, zawsze to robi. Ale dla ciebie, Dźodźo – przyłożyłem dłoń do gardła – przysięgam.

Pokazałem jej ciężarki do ćwiczeń i bieżnię. Ona jednak nie chciała ćwiczyć, powiedziała, że już jest za późno, że i tak nie zdąży zadzwonić w kilka miejsc i nie pojawi się na kilku spotkaniach. Posprzątałem więc dla niej jedno z biurk – zrzuciłem gazety, mapy, czasopisma i wykresy finansowe – i oddałem do dyspozycji jeden z telefonów. Kiedy ona dzwoniła, zająłem się własną pracą. O godzinie drugiej – dokładnie o jej ulubionej porze – przyniosłem lunch. Jej ulubione jedzenie z Konkani, ostra ryba przyprawiona kokumu. Jadła bez apetytu, obserwowałem ją. Jakoś trudno mi było z nią rozmawiać. Już wcześniej wspólnie jadaliliśmy lunch, ja na jachcie, a ona w swoim domu. Wtedy przeżuwaliliśmy i chrupaliśmy sobie nawzajem w uszy, nie przerywając rozmowy. Dźodźo nazywała to

naszymi spotkaniami przy rybie gazal i raczyła mnie wówczas najnowszymi plotkami o swoich znajomych, a ja rozśmieszałem ją najświeższymi wygłupami moich ludzi. Nie było żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy ponownie wspólnie sobie żartować, razem się pośmiać. Przygotowałem dla niej nowe wysoki chłopaków, chciałem podzielić się z nią pomysłem nowego serialu telewizyjnego. Między nami wisiała jednak cisza, jak wielka, czarna kurtyna na stole. Ale przecież byłem Ganeśem Gaitondem, niczego się nie bałem, odrzuciłem więc to zakłopotanie.

– Dźodźo – odezwałem się. – Może chciałabyś wieczorem obejrzeć jakiś film? Mamy dostęp do kopii przedpremierowych, zupełnie nowiutkich.

Odsunęła talerz na środek stołu.

– Jak sobie życzysz.

– Wiem – odrzekłem. – Ale pytam, co ty byś chciała.

– Jest mi wszystko jedno. Możemy oglądać to, co ty chcesz oglądać.

– Ale musisz mieć jakieś zdanie.

– Powiedziałam ci, jest mi wszystko jedno.

Znowu siedziała z podciągniętymi kolanami, a włosy zakrywały jej twarz jak zasłona. Wyciągnąłem rękę i odwróciłem jej fotel w moją stronę, ale widziałem tylko jej dzinsy i dłoń mocno zaciśniętą na drugiej ręce.

– Are, baba – powiedziałem łagodnie – oczywiście, że nie jest ci wszystko jedno. Przecież zawsze, kiedy tylko na ekrany miał wejść jakiś film, ty z góry albo go uwielbiałaś, albo nienawidziłaś.

Naskoczyła na mnie.

– Maderćod, Gaitonde, powiedziałam ci, że jest mi wszystko jedno! – Policzki jej pociemniały od nabiegłej krwi, – Możesz sobie wybrać dowolny ćutijowy film, jaki sobie chcesz!

Nikt do mnie w ten sposób nie mówił. Nikt na mnie nie krzyczał. Miałem chęć ją uderzyć.

Ale wstałem i odszedłem. Nie patrząc na nią, powiedziałem:

– Idę odpocząć. Na chwilę.

Położyłem się na łóżku i zasłoniłem rękami oczy. Słyszałem, jak Dźodźo chodzi po drugim pokoju. Usłyszałem jakiś lekki trzask, jakby plastik ocierał o plastik. Czy zamierzała zadzwonić? Do kogo dzwoniła? Czy zadzwoni do moich wrogów? Albo na policję? Powie im, gdzie jestem, żeby mogła się stąd wydostać? Nie, tego by nie zrobiła. Nie mogłaby. Bez względu na to, jak bardzo by była zdenerwowana, pomimo tego napięcia, które przenikało przez jej ciało, przyprawiając ją o drzenie, nigdy by mi tego nie zrobiła. To była Dźodźo, a ja byłem Ganeśem Gaitondem. Byliśmy razem, potrzebowaliśmy się nawzajem. Chodziła z jednego końca pokoju w drugi. Co ona tam robiła? Drewno zazgrzytało o beton. Może przesuwiała stół? Po co? Nagle zapadła cisza. Gdzie ona jest? Leciutkie skrzypienie metalu. Aha, wspina się po schodach. Próbuje się wydostać. Chciała spróbować. Nieważne. Dobrze zamknąłem stalową klapę. Żeby ją otworzyć, trzeba było nacisnąć odpowiednią kombinację dziewięciu przycisków albo – w wypadku awarii elektryczności – zdjąć płytkę i równocześnie przekręcić dwa koła. Teraz chyba musiała ciągnąć za uchwyt u spodu klapy. Niech sobie ciągnie.

– Gaitonde – powiedziała. Stała w drzwiach. – Gaitonde, czy chciałbyś jakąś kobietę?

– Co takiego?

Wyszła z cienia.

– Mam dwie nowe, niezłe panienki. Prosto z Delhi. – Jej twarz i ramiona lśniły od potu. – Mogę ci przysiąc, są lepsze od wszystkich, jakie wcześniej

miałeś. Kiedy z nimi będziesz, stwierdzisz, że Zoja była jakąś trzeciorzędną randi pracującą za dworcem Andheri.

– Nie chcę żadnych pańienek.

– Gaitonde, to szesnastka, każe ufarbować jej włosy na złoty kolor.

Wygląda jak zagraniczna modelka, ma skórę jak malai.

– Nie.

Kiedy próbowała cię o czymś przekonać, opuszczała głowę i patrzyła w górę, przez rzęsy, a jej włosy opadały łagodnie wokół policzków, jak ciemny hełm.

– Nie chcę tu być.

– Spróbuj tylko do rana...

– Gaitonde, już teraz mówię ci, że nie chcę tu być.

– Przynajmniej spróbuj przez kilka godzin.

– Już teraz wiem, czego chcę. I mówię ci, muszę stąd wyjść.

– Dlaczego?

– Bo to doprowadza mnie do szału. I wiem, że wcale nie będzie lepiej, tylko gorzej.

– Wszystko możemy zmienić, ściągniemy tu wszystko, co tylko będziesz chciała.

Zaczęła krzyczeć. Jej ciało skurczyło się, pochyliła się i nagle rozległ się długi, rozdierający wrzask, który poderwał mnie na równe nogi.

– Zamknij się – powiedziałem. Ale jej oczy były pełne łez i pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, nabrała powietrza i ponownie wydała z siebie to żalosne zawodzenie, które uderzyło mnie jak policzek.

Chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem nią. Opierała się, wiała się w moich ramionach, wbijając ostre łokcie w moje żebra. Poczułem, że coś pali mnie na podbródku, puściłem ją i czubkami palców dotknąłem twarzy.

Kiedy je odsunąłem, zobaczyłem, że są umazane śliską warstwą różu. Ta behenćod ćutija miała pazurki.

Wymachiwała rękami w powietrzu, zataczając nimi kręgi przed swoimi piersiami.

– Czy ty nie rozumiesz? Nie mogę tu zostać. Po prostu nie mogę. Muszę stąd wyjść. Nie możesz mnie trzymać w tym więzieniu.

– Czy ty nic nie rozumiesz? Tam na górze zginiesz.

– I co z tego? Wolę już umrzeć, niż zostać w tej dziurze.

Odwrociłem się ze wstrętem.

– Teraz już opowiadasz bzdury. Wiesz, że to nieprawda. Przecież nie chcesz umrzeć.

Ruszyła za mną.

– Gaitonde, mam ci powiedzieć prawdę? Jesteś tchórzem. Kiedyś byłeś naprawdę kimś, byłeś prawdziwym mężczyzną, ale teraz jesteś tylko roztrzęsionym, małym szaleńcem, który chowa się w dziurze. – Stała tuż przy mnie, czułem na ramieniu jej kwaśny oddech, tę woń jej przerażenia.

Odwrociłem się, jednocześnie uderzając ją grzbietem dłoni. Cios był mocny, poczułem, jak szczęknęły jej zęby, a ona zatoczyła się do tyłu.

– Ach – powiedziała – ach. – Z nosa tryskała jej krew.

– Ty randi. – Słaniając się na nogach, cofała się, szedłem za nią po całym pokoju. – Chcesz zobaczyć, jaki naprawdę jestem. Zaraz ci pokażę. Nie, chodź tu, no podejdź. Chcesz jeszcze? Kto się trzęsie, ha? No, kto drży?

Jej białe zęby błyskały w plamie ciemnej krwi.

– Ty, ty nie jesteś mężczyzną – powiedziała. Zaśmiała mi się prosto w twarz, nie ustępowała, nie podawała się. – Kupowałeś sobie kobiety, więc wydaje ci się, że jesteś wielkim bohaterem. Ani jedna z nich nawet cię nie lubiła, ty sukinsynu. Bez tych swoich pieniędzy nawet nie mógłbyś do nich podejść.



– Bas – ostrzegłem ją. – Wystarczy. Lepiej nic nie mów. Spróbuj zrozumieć, chcę ci pomóc. Próbuję uratować ci życie.

– One się z ciebie śmiały, gandu. Razem sobie żartowały, jaki to z ciebie jest żalosny, słaby, mały szczur. Wydaje ci się, że dla takiej kobiety jak Zoja jesteś kimś? Powiedziała nam, że ani razu nie miała z ciebie pożytku w łóżku.

– To kłamstwo. Zoja mnie lubiła.

Odrzuciła głowę do tyłu i zawyła.

– „Zoja mnie lubiła” – aż piała z zachwytu. – „Zoja mnie lubiła”. – Zgięła się w pół i oparła dłonie na kolanach. – „Zoja mnie lubiła”. – Krew spływała i opadała na ziemię, ale Dżodzo tylko się śmiała i śmiała. – „Zoja mnie lubiła”.

– Naprawdę mnie lubiła. – Wydobywający się z mojego gardła głos brzmiał zupełnie obco, był jakiś cichutki i żalosny. – Powiedziała mi to już tej pierwszej nocy ze mną. Mówiła, że jestem wyjątkowy. Naprawdę. Całą noc to robiliśmy. Naprawdę tak było.

– Gaitonde, ty durniu. – Triumfowała. – Ty głupcze. Zrobiła z ciebie ćutiję. To nie była twoja zasługa, głupku. Dała ci szklankę mleka i badamy. A w środku podała ci rozkruszoną viagrę, jedną całą, wielką, błękitną tabletkę. Chciała dać ci dwie, ale bałam się, że cię zabijemy. Powiedziałam jej, nie ma nic złego w tym, kiedy się pragnie zajść daleko; chcesz dolecieć na księżyc, ja to rozumiem, ale nie wysadź w powietrze rakiety, która ma cię tam zanieść. I wszystko było jak trzeba. To nie ty, sala. To viagra.

Oczy zakryła mi niebieska mgła wściekłości, przez którą widziałem Dżodzo, wyprostowaną i roześmianą. Zupełnie się mnie nie bała.

– „Zoja mnie lubiła” – powtórzyła. – Gaitonde, ty durniu, myślisz, że ona była jakąś dziewicą, na której twoja ogromna męskość zrobiła wrażenie. Ty ćutijo. Miała cały tuzin mężczyzn przed tobą i wielu po tobie, a z nich

wszystkich ty byłeś najżałośniejszy. Ty byłeś, ty byłeś po prostu najmniejszy.

– Łzesz. Ona była dziewicą. Sama mi mówiłaś. I ona mi to mówiła.

– Dziewicą?

– Tak.

– Ty, głupcze. Jak myślisz, jak udało się jej przetrwać w tym mieście, zanim trafiła do ciebie? Wy behenćody, mężczyźni zawsze więcej płacicie za dziewice, więc dla ciebie została dziewicą.

– Nieprawda. Sam widziałem krew.

Śmiała się tak mocno, że musiała chwycić się stołu.

– Gaitonde, ze wszystkich napuszonych gandu mężczyzn na świecie ty jesteś najbardziej ślepy. Are, w promieniu dziesięciu mil od tego miejsca znajdziesz przynajmniej dwudziestu lekarzy, którzy z każdej kobiety zrobią na nowo dziewicę. Zabieg trwa pół godziny, a kosztuje jakieś dwadzieścia pięć lub trzydzieści tysięcy rupii. I po trzech tygodniach nowiutka dziewica jest już gotowa rozłożyć nogi na białym prześcieradle, żeby jakiś malutki Gaitonde mógł zobaczyć upragnioną krew i pomyśleć, że jest wielki.

Strzeliłem do niej.

Trzymałem glocka w dłoni. W powietrzu unosił się zapach jakiegoś kwiatu, jakiegoś podszytego goryczą liścia. Nie pamiętałem dźwięku wystrzału, ale byłem ogłuszony.

Upadła w drzwiach prowadzących do sypialni. Spojrzałem w dół, na ten pokrępiający kawałek czarnego metalu w dłoni, i podszedłem do niej. Tak, nie żyła. Widziałem krew, która wciąż jeszcze płynęła. Delikatne trzepotanie rzęs od cichego podmuchu z urządzeń klimatyzacyjnych. Jej zupełnie znieruchomiłe źrenice. I tę dziurę, ziejącą w jej klatce piersiowej. Nie spudłowałem.

Usiadłem. Opuściłem się w dół i usiadłem przy niej. Dźodźo. Dźodźo. Przed sobą widziałem tylną ściankę komputera, a obok luźno zwisający biały kabel. A za nim biała ściana. Zamknąłem oczy.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze, a jej stopa znajdowała się tuż przed moją twarzą. Nie mogłem liczyć na żadne wybaczenie, nie mogłem uciec przed tym, co zrobiłem. Nagle odzyskałem pełną świadomość, w mojej pamięci nie było żadnej luki. Zdawałem sobie sprawę, że leżę na twardej ziemi obok martwej Dźodźo i że to ja ją zabiłem. Ale jednocześnie zauważyłem też coś zupełnie nowego, jakbym widział to po raz pierwszy, świeżym, wyostrzonym wzrokiem, dostrzegłem, jak bardzo skomplikowana jest ludzka stopa. Na jej powierzchni pełno jest drobnych poduszeczek, łukowatych kształtów, a pod spodem zawila sieć mięśni i nerwów, a także kości, tyle kostek. Ta stopa zgina się, porusza, chodzi i wszystko wytrzymuje. Jej skóra nabiera koloru mijających lat, aż jej pęknięcia utworzą siateczkę tak skomplikowaną jak samo życie.

Trzymałem stopę Dźodźo. Chwyciłem w dłonie jej kostkę i trzymałem ten bezwładny chłód. Zegarek na przegubie mojej dłoni migał do mnie cyferkami. Szósta trzydzieści sześć. O drugiej zjedliśmy lunch. Czyżbym przespał tylko kilka godzin? Ale czułem się wypoczęty, znowu miałem jasny umysł. I dopiero wtedy to dostrzegłem, zauważyłem, że nastał już kolejny dzień. Przespałem ponad dwadzieścia cztery godziny.

Do roboty. Do roboty, ale jakiej? Czy mam znowu zarabiać pieniądze, znowu brać kobiety, znowu zabijać? Już to przeżyłem, nie miałem ochoty na ciąg dalszy. W takim razie co mam teraz robić? Zadawałem sobie to pytanie, leżąc na podłodze obok Dźodźo. Znowu byłem w pełni sił, długi odpoczynek na zbrukanej krwią ziemi uwolnił mnie od tych zawrotów głowy, od tego obłądzenia i wyczerpania. Widząc teraz wyraźnie, potrafiłem dostrzec, że Śridhar Śukla – Garu-dźi – miał rację. Nie byłem w stanie tego

powstrzymać. Niczego nie mogłem powstrzymać. Zostałem pokonany. Pokonał mnie, ponieważ znał mnie lepiej, niż sam siebie znałem. Znał moją przeszłość i znał moją przyszłość. To, co ja zrobiłem, czy też czego nie zrobiłem, było nieistotne. Albo, co gorsza, bardzo istotne. Cokolwiek bym zrobił, wszystko stanowiło wkład do jego planu, przyspieszało koniec w poździe. Świat pragnął umrzeć, a ja mu w tym pomagałem. Garu-dzi przygotował tę ofiarę, a wszystkie moje działania dostarczały mu paliwa. Nie potrafiłbym tego powstrzymać.

Czubkami palców delikatnie pogłaskałem pęknięcia na pięcie Dźodźo. Czy jej śmierć również była przepowiedziana? Pomyślałem, że nie miała łatwego życia. Starła się dbać o stopy, nakładała na nie różne płyny, ale skóra była popękana od ciągłego chodzenia. Tyle wysiłków, tyle starań, i taki koniec. Żeby tak nagle skończyć z rąk przyjaciela. Ale tak właśnie jest, pomyślałem, to przynajmniej możemy wybrać. Nie możesz tego zatrzymać, powiedział Garu-dzi, nie możesz zatrzymać samego siebie.

Mogę jednak. Mogę zatrzymać samego siebie. To jest ta jedyna i ostatnia rzecz, którą mogę wybrać. I w tym nawet ciebie, Garu-dzi, mogę pokonać. Mogę zatrzymać samego siebie.

Okay, Dźodźo. Niech będzie. Usiadłem. Gdzie jest pistolet? Tutaj. Załadowany i gotowy. Wystarczy jedna kula. Nie chciałem patrzeć w jej twarz. Nie spuszczać wzroku z jej stóp, cofnąłem się, aż oparłem się plecami o ścianę. Okay.

Ale nie mogłem tego zrobić. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Ale dlaczego nie? Przecież chciałem tego. Nie bałem się, pragnąłem tego. Może po drugiej stronie czekała na mnie Dźodźo. Może mnie zrzyzywa i uderzy, ale w końcu zrozumie. Porozmawiam z nią i ona zrozumie, zawsze mnie rozumiała. To tylko kwestia rozmowy, i czasu. Też ją przeklnę, że mnie zdradziła, że mnie okłamywała. Ale ostatecznie jej wybaczę. Wybaczymy

sobie nawzajem. Jeszcze jednak nie mogłem tego zrobić, nie potrafiłem włożyć lufy do ust. Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny – co oni sobie o mnie pomyślą, kiedy mnie już nie będzie? Czy powiedzą: Ganeś Gaitonde oszalał w swojej kryjówce w Mumbaju, zabił dziewczynę, a potem samego siebie? Czy powiedzą, że byłem tchórzem i słabeuszem? Jeśli im nie wytłumaczę, nigdy tego nie zrozumieją. Będą rozpowszechniać plotki i kłamstwa, wymyślać przyczyny i snuć przypuszczenia o ewentualnych powodach.

Ale kto mógł mnie wysłuchać? Nie było już Dźodźo, a Garu–dźi zniknął. Mogłem zadzwonić do dowolnego reportera, wiedziałem, że każdy z nich w te pędy tu przybiegnie. Ale reporterzy to chytre sukinsyny, im zależy tylko na sensacji i ostrych artykułach, szukają skandalu i chwytliwego tematu. W „Mumbai Mirror” był jeden bardzo dobry dziennikarz, ale nawet on będzie mnie traktował jak Ganeśa Gaitondego, króla zbrodni i międzynarodowego oszusta. Nie, to musi być ktoś porządny, jakiś prosty człowiek. Ktoś, kto mnie wysłucha, tak jak człowiek może wysłuchać drugiego człowieka na peronie kolejowym, uprzejmie, ze współczuciem, czekając godzinę lub dwie na przyjazd pociągu. Ktoś, kto dostrzeże we mnie nie tylko Ganeśa Gaitondego, ale również ludzką istotę.

I właśnie wtedy pomyślałem o tobie, Sartadźu Singhu. Przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z Garu–dźi, kiedy po raz pierwszy usiadłem z nim twarzą w twarz. Pamiętałem, jak pomogłeś mi dostać się na to spotkanie, jak ze mną rozmawiałeś i – w ten ostatni dzień – zaprowadziłeś mnie do niego, do mojego przeznaczenia. Pamiętałem tę wielkoduszność, tak rzadko spotykaną u ludzi i wprost niewiarygodną u policjanta, i pamiętałem ciebie. W twoich oczach, w twojej pewności siebie, Sartadźu, widać było to policyjne okrucieństwo, ale pod tą wyuczoną obojętnością dostrzegłem też człowieka wrażliwego. Chociaż tak bardzo się pysznisz,

sardarze—dzi, moja osoba cię wzrusza. Ścieżki naszego życia przecięły się, a moje na zawsze się zmieniło.

Wiedziałem już, co zrobić. Energicznie wstałem, podszedłem do biurka i zadzwoniłem w kilka miejsc. Po piętnastu minutach miałem już twój domowy numer telefonu. Zadzwoniłem i usłyszałem twoje zaspane mamrotanie. I wtedy zapytałem:

– Czy chcesz dorwać Ganeśa Gaitondego?

Przyszedłeś. Popatrzyłem na ciebie, kiedy zaglądałeś w oko kamery. Byłeś starszy, bardziej nieprzystępny, ale nadal byłeś tym samym człowiekiem. I opowiedziałem ci, co się stało z Ganeśem Gaitondem.

Ale ty, Sartadżu, nie wysłuchałeś mnie do końca. Ty też nie jesteś wolny od ambicji. Chcesz mnie zatrzymać, dodać aresztowanie mojej osoby do listy swoich sukcesów. Usiadłeś przed stalowymi drzwiami do bunkra i słuchałeś, ale w tym samym czasie wezwałeś spychacz. Wyłamałeś drzwi, właśnie drugi monitor po prawej pokazuje mi, jak ostrożnie, z pistoletem w dłoni, posuwasz się do przodu. Wchodzisz do środka. Wciąż jeszcze mówię, ale ty już mnie nie słuchasz. Widzę ogień w twoich oczach. Chcecie mnie dopaść, i ty, i ci twoi strzelcy. Ale posłuchaj mnie. Moją głowę wypełnia wir wspomnień, kręcą się w niej pojedyncze, porwane twarze i ciała. Widzę, jak przenikają się nawzajem, wiem, kiedy się łączą, a kiedy rozdzielają, jestem w stanie śledzić kierunki ich ruchów. Posłuchaj mnie. Jeśli chcesz dopaść Ganeśa Gaitondego, musisz pozwolić mi mówić. W przeciwnym razie Ganeś Gaitonde ci ucieknie, tak jak uciekał za każdym razem, jak uciekał każdemu zabójcy. Nawet mnie samemu Ganeś Gaitonde nieomal uciekł.

Teraz jednak, w tej ostatniej godzinie, uchwyciłem Ganeśa Gaitondego, wiem kim był, kim się stał. Wysłuchaj mnie, musisz mnie wysłuchać. Ale ty już jesteś w bunkrze. Zostawiłem klapę otwartą. Słyszając twoje kroki,

widzę, jak mijają kolejne dziesiątki moich lat. Widzę teraz to wszystko razem, od samego początku do tego pierwszego domu, który sobie zbudowałem, mojego pierwszego domu w Gopalmacie. Wszystko to pamiętam, od świątyni w wiosce aż po Bangkok. Ale ty jesteś już w środku, wszedłeś do schronu.

Mam tu pistolet. Lufa pasuje do ust jak ulał. Myślę, co teraz powiedziałyby Dźodźo: „Co jest, sukinsynu, boisz się? Mam to zrobić za ciebie?”.

Nie, Dźodźo. Nie boję się.

Sartadźu, czy wiesz, dlaczego to robię? Robię to z miłości. Robię to, bo wiem, kim jestem.

Bas, wystarczy.

## Bezpieczeństwo



Następnego ranka Parulkar się spóźnił. Sartadź siedział na ławce przed jego biurem i obserwował cztery wróble latające między krokwiemi a filarami. Przemieszczały się z jednej strony korytarza na drugą, następnie wylatywały na dwór i przez dziedziniec na stojący po drugiej stronie mur. A potem wracały. Jeden z nich wykonał leniwe salto i usiadł na końcu ławki, pochylając główkę i unosząc grzbiet. Nastroszył – a może nastroszyła – skrzydełka, przeskoczył w lewo i błysnął w stronę Sartadźa malutkimi, brązowymi oczkami. Chwilę później już go nie było. Boją się nas, pomyślał inspektor, ale poza tym jesteśmy im zupełnie obojętni. Nasze dramaty nie mają dla nich żadnego znaczenia. Znajdował jakąś dziwną pociechę w tej myśli. I co z tego, że ten sukinsyn Ganeś Gaitonde odstrzelił sobie pół głowy w białym bunkrze, co z tego, że być może w Bombaju jest bomba? Życie będzie toczyć się dalej. Sartadź starał się skupić na tej myśli i śledzić wróble, które lądowały na ziemi i gwałtownie wzbijały się w górę.

Przez drzwi po lewej wszedł osobisty asystent Parulkara, niosąc w ręku plik papierów.

– Eskorta sahiba przekazała nam z drogi informację przez radio. Będą tu za dwadzieścia minut.

– Dobrze, Sardesai saab – powiedział Sartadź. – Tutaj jestem tylko ja.

Sardesai skinął głową i ruszył po schodach w dół. Parulkar miał długą listę umówionych spotkań i wszyscy petenci czekali po drugiej stronie schodów, w długiej kolejce, którą Sartadź beztrósco minął. Sartadź zadzwonił do Parulkara do domu, wczesnym rankiem, wiedząc, że o tej



porze siedzi on w starym fotelu ze swoimi papierami i z ćajem, i po znajomości załatwił sobie wczesne spotkanie.

– To bardzo pilne, saab – powiedział. Dlatego też teraz tu siedział, przed całą kolejką. Starał się wykorzystać umiejętności nabyte podczas ćwiczeń gotowości bojowej, czyli przede wszystkim próbował nie myśleć o tym, co wkrótce miało nadejść. W końcu nie mogło to być zbyt trudne. Kłamał przed podejrzanymi, przed apradhimi, przed rodzicami, przed Meghą i innymi kobietami, przed samym sobą, przed zwierzchnikami, dziennikarzami, innymi policjantami. Był mistrzem kłamstwa, opanował je w sposób doskonały. Ale nigdy nie okłamywał Parulkara. To właśnie dlatego czuł się spięty, a Parulkar może wychwycić tę jego nerwowość. Parulkar był guru, który nauczył Sartadża, jak i kiedy kłamać. To on dał obdarzył go tą umiejętnością. Czy wykryje wahanie Sartadża, jego nadgorliwość? W ten sposób można przyłapać podejrzanego na kłamstwie, nauczał kiedyś Sartadża, nie tylko szukasz sprzeczności, ale kontrolujesz, czy relacja za każdym razem nie jest dokładnie taka sama, czy pojawiają się te same słowa, czy to nie jest przećwiczone. Sartadź widział, jak Parulkar potrafi w pół godziny doprowadzić do łez najtwardszych twardzieli.

Znajome cztery wróble usiadły rzędem na linii elektrycznej luźno zwisającej między słupami i pomachały ogonkami do Sartadża. Uspokój się, powiedział inspektor do siebie. Przestań ciągle o tym myśleć. Potrząsnął rękami i rozluźnił ramiona. To praca, to tylko praca. Pomyśl o czymś innym. Pomyślał o Mary, o jej drobnych dłoniach i o odcisniętych na jej palcach latach. Poczuł, jak ogarnia go delikatna fala czułości i niesie go w żywe wspomnienie tego, jak się kochali, przypomniał sobie, jak po raz pierwszy w nią wchodził. I nagle znowu opadł go strach – dlaczego nie mogła wyjechać z miasta? Jakże była uparta w swoim fatalizmie. Znowu się bał. Parulkar, podobnie jak każdy starszy oficer, będzie zorientowany w

szczegółach ogłoszonego przez Delhi alarmu wysokiego stopnia. Będzie miał się na baczności, będzie nastawiony sceptycznie i trudno go będzie oszukać. Niepokój śpiewał w żyłach Sartadża i bębnił po jego czole. Czuł się słaby i bezradny.

Ale Parulkar, wchodzący sprężystym krokiem po schodach w towarzystwie trzech ochroniarzy, był u szczytu formy.

– Sartadź Singh – zagrzemiał – wchodź, wchodź.

Poprowadził go do swojego gabinetu, polecił przynieść dwie filiżanki ćaju, mocnego i z imbirem, i odsunął sięgające od sufitu do podłogi zasłony w głębi pomieszczenia, żeby mogli spojrzeć w dół na ogród, który zdołał stworzyć przez te lata swojego urzędowania. Klimatyzacja była ustawiona na odpowiednim poziomie, w kątach pokoju tryskała mgiełka odświeżacza powietrza, przyniesiono dwa wazony świeżych kwiatów, i w końcu obaj, Parulkar i Sartadź, usiedli twarzą w twarz.

– W porządku, możesz mówić – odezwał się Parulkar. – Co to za pilna sprawa?

– Sahibie – zaczął Sartadź. – Wczoraj poprosiła mnie o spotkanie Iffat-bibi. A w zasadzie nalegała na to spotkanie. Powiedziała, że to niesamowicie ważna sprawa. Nie chciała nic zdradzić przez telefon.

Parulkar spoglądał w dół, na swój ćaj. Zmarszczył brwi, sięgnął łyżeczką do filiżanki i usunął z powierzchni warstewkę kożuszka.

– Gdzie się z nią spotkałeś?

Znał Parulkara, właśnie w takich momentach był najgroźniejszy, kiedy z pozoru zachowywał się swobodnie, nie wykazując niemal żadnego zainteresowania.

– W Forcie – odparł Sartadź. – Za restauracją o nazwie Kišti, serwują tam owoce morza. – Tego też nauczył się od Parulkara, że kiedy opowiada się wielkie kłamstwo, ważne, żeby w małych szczegółach trzymać się

prawdy. Przesłuchujący musi otrzymać wiele szczegółowych informacji, które mógłby zweryfikować, żeby w końcu stwierdzić, że są prawdziwe. – W biurze księgowości.

– Tak, zgadza się. To biuro Walii. On prowadzi wiele ich legalnych interesów. Czego chciała?

Sartadź nachylił się bliżej. W biurze, oczywiście, nie było nikogo, ale i tak uważał, że należy mówić szeptem.

– Sahibie, Sulejman Isa chce z tobą rozmawiać.

Parulkar odstawił filiżankę i przesunął ją po blacie stołu.

– Niemożliwe. Moja obecna sytuacja jest zbyt delikatna. A w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy nasłuchuje Biuro Antykorupcyjne.

– To samo jej powiedziałem, sir. Ale ona nalega. To znaczy, mówiła, że on nalega. Powiedzieli, żeby pan wybrał czas i miejsce. Przez telefon albo przez telefon satelitarny, w dowolny sposób. Sam pan wszystko wybierze.

– Nawet jeśli wybiorę, skąd zadzwonię, nie będę miał przecież pewności, czy drugi koniec linii jest bezpieczny. Kto wie, jaka agencja ich podsłuchuje?

– Pomyśleli o tym, sir. Jeśli nie chce pan dzwonić do Sulejmana Isy w Karaczi, może pan porozmawiać z Salimem w Dubaju. – Salim był najważniejszym rewidentem Sulejmana Isy i jego wieloletnim przyjacielem, na co dzień zawiadywał interesami firmy z Dubaju. – Powiedzieli, że może pan posłać Salimowi nowy telefon w dowolne miejsce, jakie uzgodnicie, a on zadzwoni z tego telefonu na wybrany przez pana numer w Indiach. W ten sposób będzie zapewnione bezpieczeństwo na obu końcach linii.

– Miałbym rozmawiać z chłopcem na posyłki Sulejmana Isy. Te sukinsyny zrobiły się zbyt bezczelne.

– Sahibie, jeśli ma pan jakiś kontakt w Karaczi i ktoś może dostarczyć tam telefon Sulejmanowi Isie, może pan porozmawiać bezpośrednio z nim. Jak pan sobie życzy, powiedziała Iffat–bibi.

– Czy Dubaj, czy Karaczi, to akurat nie stanowi problemu. Problem stanowią ci gandy, którym się wydaje, że są panami świata.

– Rozumiem. Czy w takim razie mam powiedzieć Iffat–bibi, że pan się nie zgadza?

Parulkar podrapał się po brzuchu, ponownie wziął swoją filiżankę.

– Co jeszcze ci powiedziała? Opowiedz mi wszystko.

Sartadź opowiedział mu więc wszystko, o tym jak wezwano go przez telefon komórkowy, o podróży do biura księgowego, o tym, jak znalazł Iffat–bibi w malutkim gabinecie, jak go poprosiła o rozmowę z sahibem Parulkarem, o tym, że Sulejmanowi Isie bardzo zależy na rozmowie z Parulkarem, że oni zdają sobie sprawę z jego delikatnej sytuacji wobec aktualnego rządu, ale że istnieje pilna potrzeba rozmowy. – Powiedziała, że chodzi o jakieś pieniądze, że Sulejman Isa chciałby o tym porozmawiać.

– Co za sukinsyn – odezwał się Parulkar. – Moje rozliczenia z nimi zawsze były pełne i czyste.

– Oczywiście.

Za komisariatem pracowała brygada robotników remontujących świątynię Hanumana. Rozebrani do banianów i bielizny w niebieski paski, gramolili się po białej kopule. Parulkar obserwował ich, drapiąc się po nosie.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Chce pan rozmawiać z Sulejmanem Isą?

– To stuknięty facet. A teraz, po tych wszystkich latach spędzonych za granicą, to już prawie zupełnie zwariował. Lepiej będzie z nim porozmawiać, wyjaśnić wszystkie nieporozumienia. Bas, zakończyć

sprawę, rozumiesz. Nie ma sensu, żeby nabierał coraz większych podejrzeń. W takim razie, zgoda, porozmawiam z nim. Przez nowy telefon, który zostanie mu osobiście dostarczony do Karaczi na kilka minut przed tym, jak on do mnie zadzwoni. Mój człowiek dopilnuje, żeby dzwonił tylko z tego telefonu, i potwierdzi mi, że zachowano wszelkie środki ostrożności. Pozostaje pytanie, gdzie mógłbym odebrać ten telefon.

– Tak, sir. Sahibie, zastanawiałem się nad tym. Czy nadal wybiera się pan w czwartek do Pune? – Właśnie na czwartek rano Parulkar miał zaplanowane spotkanie z wyższymi rangą policjantami w Pune.

– Tak, tak.

– W takim razie, sir, może po lunchu przyszedłby pan do naszego domu? Proszę nikomu nic nie mówić, aż do ostatniej chwili, po prostu proszę powiedzieć, że chce pan odwiedzić ma. Już tam będę, przyjadę z samego rana. O drugiej czterdzieści pięć zatelefonuję z komórki do Iffat–bibi i powiem jej, żeby Sulejman Isa o trzeciej zadzwonił na stacjonarny telefon ma. Mogą poprosić mnie do telefonu, przekażę panu słuchawkę. Żadnych problemów, żadnego zamieszania, i oba końce połączenia będą zabezpieczone. Będzie pan mógł rozmawiać.

Parulkar odłożył filiżankę i wytarł ręce w serwetkę. Przyglądał krótkie włosy nad uszami, wykonując gest, którego musiał się nauczyć jeszcze w latach młodości. Sartadźowi skojarzył się z jakimś bohaterem filmu z lat pięćdziesiątych, ale nie mógł przypomnieć sobie, z jakim. Parulkar skinął głową.

– Tam jest tylko jeden telefon?

– Tak, sir.

– I tylko twoja ma z niego korzysta?

– Tak, sir. Nawet ja przestałem go używać, od kiedy mam telefon komórkowy, sir, taniej jest dzwonić z komórki niż z telefonu stacjonarnego.

Ale ma nie lubi telefonów komórkowych, sir. Mówi, że są za małe i mają za dużo przycisków. – Sartadź nagle zdał sobie sprawę, że za często powtarza to „sir”. Uspokój się, powiedział do siebie. Spójrz na tego człowieka. Ale nie przyglądaj mu się. Wypij ćaj. Nie trzęś filiżanką.

– W porządku – stwierdził Parulkar. Zawsze w taki nagły sposób podejmował decyzje. Rozwagał możliwości, starał się przewidzieć jak najwięcej ruchów do przodu, a potem śmiało rzucał się do działania. Cechowała go odwaga i wiara dobrego gracza, a także przeświadczenie, że wygra. – W porządku. Ale powiedz Iffat–bibi, żeby zadzwonili dokładnie o trzeciej. Jeśli spóźnią się o dwie minuty, mnie już tam nie będzie. I rozmowa będzie krótka. Najwyżej dziesięć minut.

– Tak.

– I podczas rozmowy Sulejman Isa nie wymieni ani mojego nazwiska, ani swojego.

– Przekażę im to.

– Dobra. Śabaś, Sartadźu. Miejmy to już za sobą. I nie mów matce, że przyjadę. Jej też zrobimy niespodziankę.

– Oczywiście – odrzekł Sartadź. Wstał, zasalutował. Czuł, że koszula przylepiła mu się do krzyża. Mokra plama na plecach musiała być wielka, pomimo mruczącej klimatyzacji. Odsunął fotel, niezgrabnie, i wycofał się do wyjścia. Był już prawie w drzwiach, kiedy Parulkar go zawołał.

– Sartadźu?

– Tak?

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego. O co chodzi?

– To ten alarm z Delhi. Wszyscy biegamy jak oparzeni.

– Zupełne bzdury. Te ich informacje wywiadowcze są mało precyzyjne, nie ma żadnych konkretów. To wszystko jest bardzo śmieszne. Nie ma żadnej bomby–trąby. Powinieneś odpocząć.

– Tak.

Po wyjściu Sartadź skinął głową strażnikom przed biurem Parulkara i ruszył w stronę schodów. Chociaż bardzo chciał usiąść na jednej z ławek i dać odpocząć swoim roztrzęsionym nogom, zdołał zejść na dół i ruszył dalej, wyszedł z komisariatu, mijając tłumy ludzi i straże, przez wysoką bramę, nad którą widniał sierpowaty znak, szedł dalej niepewnym krokiem, między zatroskanymi pieszymi, przemykającymi samochodami i bezpańskimi krostowatymi psami. Zatrzymał się na rogu i zamrugał powiekami. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Kiedy odwrócił się, żeby spojrzeć na witryny sklepów i znaki drogowe, zdał sobie sprawę, że jakoś przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy. Była szeroka jak czarna rzeka, w której nieustannie przelewały się żarłoczne wiry pojazdów. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że, ryzykując życiem, znalazł się po drugiej stronie, ale tu był. Czuł bolesną suchość w ustach, ale nie chciało mu się pić. Chciał tylko wrócić do pracy. Tam dalej, po lewej, były światła i przejście dla pieszych. Jasne kręgi migwały na pomarańczowo i zielono, na zielono i pomarańczowo. Sartadź pokonał drogę z powrotem na komisariat.

W czwartek Sartadź wcześniej wyjechał z domu. Sam sobie wmówił, że chce wcześniej przyjechać do ma i się przygotować, że woli jechać w chłodzie wczesnego poranka. Ale nie mógł spać, i w końcu łatwiej mu było wstać, uruchomić samochód i wyruszyć, niż przewracać się z boku na bok w zatęchłej pościeli. Miło było znaleźć się w górach, pokonywać zakręty i pętle starej drogi. Kiedy jechał szybko i brawurowo, to niebezpieczeństwo jakby wypychało wszystko inne z jego głowy, a on przejeżdżał przez Matheran i Khandalę, słysząc ryk silnika, tylko z lekka zakłócany piskliwym zawodzeniem wspomnień, które się za nim ciągnęły, Meghi,

pikników w college'u i wspinania się na kopulaste wzgórze. A potem był już w Pune i nie pozostawało mu nic innego, jak iść do domu, do ma.

Siedziała w kucki w pokoju od frontu, w otoczeniu otwartych kufrów.

– Popatrz tylko na te swetry – powiedziała do Sartadźa. – Zapomniałam, że w ogóle je mam.

Sartadź nachylił się do niej nisko.

– Peri pauna, ma. – Opuścił poobijane wieko czarnego kufra i usiadł na nim, łydkami dotykając wyblakłego nazwiska i imienia Papy-dźi, wypisanego przez szablon na bocznej ścianie. – Co ty robisz?

– Beta, tu jest za dużo rzeczy. Jeśli ty też tego nie chcesz, to po co to trzymać?

Od śmierci Papy-dźi raz na pół roku wpadała w ten szal sprzątania. Rozdawała rzeczy osobiste i wyposażenie domu kuzynom, ciotkom, wujkom, służącym, sąsiadom i żebrakom. Czasami wprawiała Sartadźa w zdumienie i zgorzzenie swoją bezwzględnością, brakiem sentymentu do starych foteli, spacerowych lasek i niebieskich marynarek. Wyglądało na to, że bezpieczne są tylko stare fotografie i listy, ale być może i one znikną, kiedy przyjdzie na nie kolej weryfikacji. Jedno ze starych zdjęć ma trzymała blisko siebie, na podłodze. Sartadź dobrze znał tę poczerniałą srebrną ramkę, od kiedy tylko sięgał pamięcią, ma zawsze trzymała ją w kredensie, opartą o jej dupatty, tak że każdego ranka mogła ją oglądać. Wziął fotografię do ręki i znowu zobaczył tę, na zawsze już rozkwitającą młodością, zaginioną siostrę ma. Naprawdę była piękna, śmiejąc się i odwracając do aparatu, przerzuciła kaskadę kruczoczarnych włosów przez ramię, a jej ciało kreśliło smukłą linię na tle dalekiego horyzontu. Sartadź znał na pamięć to zdjęcie, wiedział, że ona miała na imię Nawnit, ale niewiele więcej. Ma nie lubiła o niej opowiadać. Być może teraz również zniknie piękna Nawnit.



Sartadźowi nie podobało się to, ten powolny rozpad domu, który tak dobrze pamiętał, który w sobie nosił. Czasami po przyjeździe do Pune z przerażeniem stwierdzał, że zniknęło kilka kolejnych rzeczy. Pomyślał, że pewnego dnia zostaną tu tylko te białe ściany. A potem nawet ich już nie będzie.

Ale nie potrafił powstrzymać ma. Bo czy można dyskutować z hojnością? A poza tym z upływem lat ma zrobiła się uparta i niezależna. Robiła to, co chciała.

– Tak, ma. Masz rację. Ale czy naprawdę chcesz oddać ten rozpinany sweter? Przecież tak go lubiałaś.

Trzymała uniesiony sweter za ramiona, a potem przeciągnęła palcem po jego czerwonej lamówce w kwiaty.

– Gdzie mogę go włożyć? Ci wszyscy mieszkańcy Maharashtra w grudniu noszą ciężkie płaszcze, a ja nawet nie zauważam, że jest zima.

Była dumna ze swojego północnego upodobania do niskich temperatur, i ze swojej odporności rodowitej mieszkanki Pendżabu.

– Przyda ci się – powiedział Sartadź – jak pojedziemy do Amrytsaru.

– Niby kiedy? Już od miesiący mi to obiecujesz, beta.

– Już niedługo, niedługo, ma. Przyrzekam.

Zupełnie nie wyglądała na przekonaną, ale odłożyła ten zielony, rozpinany sweter na prawo, na mały stosik rzeczy, które miały zostać w domu. Sartadź nie chciał już więcej na to patrzeć, na to cierpliwe wykopywanie i usuwanie ich wspólnego życia.

– Przejdę się – powiedział.

Skinęła głową, zmagając się z upartym zamkiem na kolejnym kufrze.

– To wszystko będzie tu leżeć cały dzień? – zapytał.

– Przecież muszę skończyć porządki. Dlaczego pytasz?

Nie mógł ostrzec ją o wizycie Parulkara, więc tylko wzruszył ramionami.

– Potrzebujesz coś z ryneczku?

Niczego nie potrzebowała. Sprawiała wrażenie zdecydowanie bardziej samowystarczальной, niż to pamiętał ze swojego dzieciństwa, kiedy Papa-dzi i służba, a czasami nawet i sąsiedzi, musieli się jej wysługiwać, załatwiać sprawunki i eskortować ją z miejsca na miejsce. Sartadź nie mógł się zdecydować, czy ona rzeczywiście się zmieniła, czy też tak bardzo zredukowała swoje potrzeby, że wystarczyła jej już tylko własna osoba. Nie wątpił, że darzy go miłością i że wierzy w Waheguru, ale obecnie nawet te jej więzi trochę się rozluźniły. Chciała tylko pojechać do Amrytsaru i może przygotowywała się już do innej podróży. Sartadź wzdrygnął się i ruszył szybszym krokiem.

Na uliczce prowadzącej na rynek tłoczyły się siwowłose kobiety i mężczyźni, którzy nieśli dzole wypełnione warzywami i owocami. Sartadź witał się z niektórymi ludźmi, z tymi, których znał z gurudwary czy ze spacerów z ma. W tej okolicy, gdzie mieszkało wielu emerytów, wychodzący na poranne zakupy zawsze mieli czas, żeby zatrzymać się i pogawędzić, a Sartadź z przyjemnością słuchał relacji o ich synach i córkach, tego, co myślą o przestępczości, i ich narzekań na polityków. Ale w końcu i tak trzeba było wrócić do domu, do tego, co miało się wydarzyć, więc powlókł się z powrotem. Szedł obładowany pakunkami. Było gorąco, nawet pod drzewami rainu i gulmoharu, i czuł, że jego stopy w butach spływają potem i bardzo go bolą.

– Co przyniosłeś? – zapytała ma. Leżący obok niej stos rzeczy do pozostawienia był mniej więcej tej samej wielkości, co przedtem, kiedy Sartadź wychodził, natomiast ten drugi wyraźnie urósł.

– Tylko kilka bananów, ma. – Sartadź poszedł do kuchni, przekraczając czerwoną narzutę. Wyjął z papierowej torebki małe banany ćini i położył je na blacie.

– To piwo? – zapytała ma. Stała w drzwiach do kuchni. – Po co?

– Tak, po prostu.

– Myślałam, że nie lubisz piwa.

– Polubiłem. Może byśmy coś zjedli? Zgłodniałem.

Sartadź otworzył butelkę Michelob i popijając piwo, skubał jedzenie.

Po posiłku położył się na łóżku w swoim pokoju i mocno zacisnął powieki przed oślepiającym popołudniowym światłem, sączącym się przez zasłony. O drugiej wstał i poszedł do kuchni. Stojąc przy zlewie, otworzył kolejną butelkę piwa i wlał w siebie jego gęstą gorycz. Następnie cicho przeszedł obok ma, która wciąż była zajęta swoją pracą pośród kufrów, i pogrzebał na półce w łazience, aż znalazł tubkę swojej pasty Wadźradanti. Dwukrotnie wymył zęby, a potem usiadł na łóżku i czekał. Obserwował zegar.

O drugiej trzydzieści usłyszał pukanie do drzwi. Począł, aż ma się podniesie i powłóczęc nogami, podejdzie i je otworzy, a potem słuchał, jak Parulkar wylewnie się z nią wita.

– Bhabhi – powiedział – doskonale wyglądasz. Po przejściu na emeryturę też przeniosę się do Pune. Tu jest o wiele lepsze powietrze.

– Are, Sartadź nic mi nie mówił, że przyjedziesz. Sartadź? Sartadź?

Ale Sartadź nie chciał wstawać z łóżka, jeszcze nie teraz.

Ponownie zawołała:

– Are, Sartadź, przyszedł Parulkar–dzi. Beta, gdzie jesteś? Nie mam pojęcia, co on robi.

Sartadź wiedział, co robi, tak, dokładnie wiedział. Zmusił się, żeby wstać, wyszedł do gościa, udając zaskoczenie wizytą Parulkara, przywitał się z nim, zrobił mu miejsce na sofie i zaproponował piwo i małe banany ćini. Parul kar jak zawsze pił z ochotą i poprosił o specjalnie

przygotowywane przez ma pikantne pakoras do piwa. Stał w drzwiach i mówił do ma, która wносиła swoje garnki.

– I wówczas sardar–saab powiedział: „Muszę wracać do domu, mam młodą żonę, której od trzech dni nie widziałem”. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że on od czterech dni nie zmrużył oka.

Parulkar opowiadał historyjkę o Papie–dži, który sływał w wydziale z tego, że potrafił nie spać przez kilka dni i nocy z rządu, a także że czasami zapadał w gigantyczne drzemki. Pomimo ambiwalentnego stosunku ma do Parulkara urzekła ją ta opowieść o jej zmarłym ukochanym, o jego talentach i oddaniu pracy. Z nową energią kroїła warzywa, śmiała się i mówiła Parulkarowi, że pamięta tamten tydzień i tę sprawę porwania, nad którą wówczas pracowali.

– To było wtedy, kiedy wujek porwał tego chłopczyka – powiedziała.

I zaczęli rozmawiać o bardzo dawnej przeszłości.

Kiedy Parulkar zerknął na zegarek, Sartadź tylko skinął głową. Była druga czterdzieści pięć. Poszedł do sypialni, wziął telefon komórkowy i zadzwonił do Iffat–bibbi. Oczywiście ona znała odpowiedni numer telefonu, ale trzeba było odegrać cały spektakl do końca.

– Podaj mi go – powiedziała Iffat–bibbi, a Sartadź wyrecytował swoją kwestię.

W kuchni Parulkar właśnie opowiadał o Sartadźu, podkreślając jego sukcesy sportowe, a ma uśmiechała się, słuchając jego słów. To były dwa wielkie dary Parulkara: niezawodna pamięć i urok. Nie sposób było pozostać obojętnym na jego troskę o samopoczucie drugiej osoby, tę jego osobistą znajomość jej historii i marzeń. Stali więc teraz w trójkę, tworząc przy drzwiach do kuchni małą, rodzinną grupkę. Parulkar zapytał ma o zdrowie, o koszty utrzymania domu i o wypłaty renty po Papie–dži.

– Bhabhi–dzi, jeśli tylko masz jakieś problemy, zaraz do mnie dzwoń. Oczywiście Sartadź zawsze ma numer mojej komórki.

Ma zrobiła się wyjątkowo rozmowna. Pytała o córki Parulkara i o ich dzieci. Parulkar z dumą opowiadał o osiągnięciach i radościach swoich córek. Nawet ta rozwiedziona (całe szczęście, że rozstała się z tym rozrzutnym pijakiem) miała się bardzo dobrze, otworzyła własną firmę odzieżową. Na początek były to tylko nowoczesne śalwar kamizy i wymyślne ghagry dla kobiet z osiedla, ale obecnie miała klientki z daleka, aż z Parku Śiwadźiego.

– I to wszystko – mówił Parulkar – osiągnęła z bardzo niewielką pomocą z mojej strony. Wszystko zrobiła sama. A przecież była taką kurą domową, dbała o dom, zawsze siedziała z dziećmi, nawet nie wiedziała, jak wypisać czek. A teraz zarządza tysiącami rupii, czterech mistrzów krawieckich przez cały dzień pracuje u nas w domu. I jeszcze mówi, że zamierza kupić warsztat gdzieś w pobliżu.

– Świat się zmienił – powiedziała ma. – Te wszystkie młode dziewczyny stały się bardzo dzielne.

– Tak, tak, bhabhi–dzi, takie zmiany, w trakcie naszego życia.

Ma wskazała pokrojone cebule i kalafiory.

– To nie potrwa długo.

– Nie ma znaczenia, jak długo – odrzekł Parulkar. – Muszę je zjeść. Staram się unikać oleju i smażonych potraw, ale muszę zrobić wyjątek dla twoich wyśmienitych pakoras. Ale tylko dzisiaj, i tylko dlatego, że jestem tu, w Pune.

Ma przyjęła tę jego galanterię zadowolonym skinieniem głowy.

– Smażone jedzenie od czasu do czasu nikomu nie zaszkodzi. Ale ten mój Sartadź cały czas tak źle się odżywia. Tylko to tłuste jedzenie w restauracjach, to dlatego ciągle wygląda na zmęczonego.

– Tak, tak, bhabhi–dźi – stwierdził Parulkar. – Ciągłe mu powtarzam, że tak nie można żyć. Nie ma zmiłuj, młody chłopak nie może żyć sam. Mężczyzna potrzebuje rodziny.

Oboje wyczekująco zmierzyli wzrokiem Sartadźa, jak dobroduszni lekarze szukający oznak poprawy u szczególnie opornego w leczeniu pacjenta. Sartadź zdawał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć, ale czuł się bardzo zdystansowany, oddzielony od nich obojga jakąś szczeliną w powietrzu, jakimś pęknięciem, które odrzuciło go gdzieś daleko. Ich postacie kojarzyły się mu z jakąś starą fotografią, jakby pomarańczowy blask nostalgii już uczynił ich nierzeczywistymi.

– Tak – powiedział Sartadź.

– Co tak? – zapytał Parulkar.

Telefon zabrzmiał trelem swojego staromodnego dzwonka.

– Telefon – odezwał się Sartadź, jednocześnie z ulgą i przerażeniem. Wstał i lawirując między kuframi, podszedł do aparatu. – Halo?

– Daj sahiba do telefonu. – Męski głos był stanowczy, agresywny.

– Sahibie – powiedział Sartadź – telefon do pana.

– Och – odrzekł Parulkar – w porządku. – Nie spieszył się. Pociągnął długi łyk piwa, wytarł dłonie w chusteczkę.

– Może pan odebrać tam. W sypialni.

Parulkar skinął głową i wszedł do pokoju.

Ma nie spodobało się to, że Parulkar wchodzi do jej pokoju, ale nie mogła już go zatrzymać. Drzwi sypialni zamknęły się za nim, a ona pokręciła głową do Sartadźa, który odczekał, aż usłyszy trzask podnoszonej słuchawki i głos Parulkara mówiący: „Halo”, i odłożył swoją słuchawkę.

– To ważny telefon, ma – powiedział. – Bardzo ważny. Z samej góry.

Nadal jej się to nie podobało, ale wciąż jeszcze była na tyle żoną policjanta, żeby wiedzieć, iż nie można unikać telefonów z samej góry, i

czasami trzeba je odbierać na osobności. Posprzątała i wytarła stół. Sartadź pił kolejne piwo i patrzył na zegar. Minęło piętnaście minut, a potem dwadzieścia. Parulkar przekroczył swój limit, ale może spierali się o pieniądze. Może kłócili się o śmierć gangsterów i rewidentów Sulejmana Isy. Może sobie nawzajem grozili.

– Co on tam robi? – odezwała się ma. – Jestem zmęczona. Jego pakory są już gotowe, wystygną mu.

Nie zdążyła się położyć tego popołudnia, a do tego przeszkadzono jej w zajęciach.

– Ma, to nie jego wina, że ktoś zadzwonił.

Wzruszyła ramionami i ze stanowczą miną usiadła na podłodze, opierając się plecami o kufry.

– Sam powinien o tym pomyśleć, przychodząc do ludzi po południu. Ale on zawsze taki był.

Zrzędziła jak stara kobieta i Sartadź próbował ją uciszyć.

– Ma, on cię usłyszy. Nie martw się, zaraz skończy.

Ale minęło jeszcze całe dziesięć minut, zanim Parulkar wyszedł z sypialni. Triumfował. Mrugnął do Sartadźa, wziął swoją szklankę ze stołu i pociągnął łyk piwa. Usiadł w starym fotelu Papy-dźi i jadł pakory, niespiesznie delektując się nimi. Był spokojny, pewny siebie i wyraźnie zwycięski. Głęboko wierzył, że pokonał Sulejmana Isę i jego pachółków. Rozmawiał z ma o starych czasach, kiedy byli młodzi, kiedy Papa-dźi słynął z lustrzanego połysku swoich butów. W końcu Parulkar powiedział:

– Aćca, bhabhi-dźi. Muszę się już zbierać. Ale wkrótce wrócę na twoje pakory. Nie, nie wstawaj, proszę.

Ma nie wstała, ale zdobyła się na tyle uprzejmości, żeby powiedzieć: – Tak, koniecznie – i przekazała Parulkarowi pozdrowienia dla jego dzieci.

Sartadź wyszedł z nim na werandę; po drodze Parulkar czyścił swoje błyszczące, srebrno–czarne okulary przeciwsłoneczne.

– Wszystko poszło, jak trzeba?

– Tak, tak. Musiałem tylko wyjaśnić z tym gościem kilka spraw. On potrafi być zupełnie rozsądny, jeśli się wie, jak z nim postępować. – Teatralnym gestem założył okulary. – W każdym razie sprawa jest załatwiona. Zamknięta. Świetnie się spisałeś, Sartadżu, Dziękuję.

– Sir, nie trzeba...

Parulkar poklepał go w ramię.

– Twoja matka bardzo dobrze wygląda. Macie dobre geny. Długo pożyjesz, Sartadżu, jeśli będziesz o siebie dbać. Okay, ćalo, zobaczymy się w Bombaju. Odpocznij, odpręż się. Wybierz się do kina albo zrób coś w tym stylu.

Odwrócił się energicznie i potruchtał do samochodu. Ochroniarze wsiedli do dżipów, szcękając bronią i drzwiami, i cała procesja ruszyła w drogę okryta odświętnym obłokiem kurzu, a za nią pobiegły dwa ujadające psy.

Ma stała przy drzwiach.

– Banany i piwo – powiedziała. – Wiedziałaś, że on przyjedzie.

– Tak. – Nie na darmo słuchała tych wszystkich policyjnych opowieści. Potrafiła rozebrać na części wszystkie motywy i poczynania, konsekwencje i przyczyny.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak.

– Masz jakieś kłopoty? Coś zrobiłeś?

– Nie.

– Odpocznij sobie.

Kiedy ją mijał, położyła dłoń na przegubie jego dłoni, tym ruchem tak dobrze znanym mu od dzieciństwa. Sprawdzała, czy nie ma gorączki, czy



wszystko jest w porządku, czy nie trzeba się nim zająć. Ale dziś, tego popołudnia, nie miał problemów ze zdrowiem, nie było żadnych fizycznych przyczyn jego wyczerpania i zaczerwienionych oczu.

Mijając otwarte drzwi sypialni ma, dostrzegł, że coś błyszczy na stoliczku przy jej łóżku. A jednak ma zdecydowała się zatrzymać fotografię swojej ukochanej Nawnit. Ma była już coraz mniej przywiązana do przedmiotów, ale nadal łączyło ją coś z ludźmi. Wciąż jeszcze czuł jej dłoń na swoim nadgarstku. Miała tak małe dłonie i tak małe stopy. W ogóle była małą osobą, tak drobną, że w dzieciństwie Nawnit i cała rodzina mówili na nią „Nikki”. Trudno było wyobrazić sobie ją jako chichoczącą dziewczynkę, ale z czasem Nikki dorosła i stała się jego ma, która troszczyła się o niego, chociaż sama powoli traciła kontakt ze światem. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, włączył wentylator na pełną moc i rozebrał się do bielizny. Sen szybko nadszedł, a kiedy Sartadź się obudził, wokół panowały ciemności. Leżał nieruchomo, wsłuchując się w dźwięki nocy. Słyszał, jak ma przestawia rzeczy w kuchni, a z oddali dochodziły go głosy sąsiadów, delikatny ruch wiatru i samochodów oraz odległe wrzaski dzieci. Wciąż tu jesteśmy, pomyślał, wciąż jeszcze żyjemy. Przetrwaliśmy kolejny dzień. Ale ta myśl wcale nie poprawiła mu humoru.

Tej nocy Sartadź dzwonił do Iffat–bibi cztery razy, a potem od rana co godzinę w drodze powrotnej do Bombaju. Za każdym razem powtarzała to samo.

– Powiedz mi, kiedy będą gotowi. A wtedy podam ci adres tego twojego sadhu. Dostaniesz swoje informacje, saab. Nie martw się. Trochę cierpliwości, jeszcze trochę.

Ale Sartadźowi, który przez całą służbę w policji ćwiczył się w cierpliwości, teraz właśnie jej brakowało. Po powrocie do komendy strefy

trzynastej, patrząc z patio komisariatu, obserwował Parulkara, który tego ranka przybył do pracy, jak zawsze wesoły i pełen energii. To oznaczało, że wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z pułapki, która już chwyciła go w swoje zęby. Nie wiedział też, na razie, kto go wystawił. Wkrótce się dowie.

Sartadź wyszedł z komisariatu i do południa bez przekonania zajmował się badaniem tropów w sprawie włamania. O dwunastej stwierdził, że powinien zjeść wczesny lunch, i skierował się do restauracji Sindur. Zamówił papar i tikki z kurczaka i podał kelnerowi plastikową torbę z butelką whisky Royal Challenge. Zanim godzinę później dołączył do niego Kamble, Sartadźowi udało się już przytłumić światło w Sindur w delikatną mgiełkę. Kamble usiadł i patrzył, jak kelner stawia na stoliku kolejną szklankę wypełnioną płowym płynem.

– Szefie – odezwał się Kamble – może być coś zjadł?

– Nie jestem głodny. To mi wystarczy.

– Podaj nan – powiedział Kamble do kelnera. – Dużo placków nan. I jakąś warzywną raitę. A do tego dal. – Rozsiadł się w boksie, wyprostował ramiona i łagodnie powiedział: – Co się stało? Jakieś problemy z dziewczyną? Powiedz.

Sartadź roześmiał się na moment, pohamował się i po chwili znowu wybuchnął śmiechem. Kamble mu współczuł, chciał mu udzielić rad na temat kobiet. Kamble salonowiec. Był porządnym facetem. Był też podłym sukinsynem, maczał palce we wszystkich lewych interesach, ale był również szlachetny. Był życzliwy. Był dobrym człowiekiem.

– Kamble – powiedział Sartadź – z ciebie jest porządny chłop.

– Jar, jestem porządny, jak trzeba. Proszę, napij się wody. Co ty wyprawiasz?

– Co ja wyprawiam?

– Tak.

– Właśnie jem lunch. Siedzę w Sindurze i jem lunch z moim dobrym kumplem.

– To wszystko?

– Czekam jeszcze na bardzo ważne informacje.

– Od kogo? W jakiej sprawie?

Sartadź pomachał palcem przed nosem Kamblego.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Nie można ujawniać informatorów. Nawet przyjacielowi. A już na pewno nie tego źródła informacji. Ale ta wiadomość jest rzetelna. Mówię ci, jest naprawdę rzetelna. A my jej potrzebujemy, dotyczy bardzo ważnej sprawy. Największej sprawy. Rozumiesz. – Wskazał palcem na wzorzysty sufit i wydał z siebie dźwięk eksplozji.

– Tak, rozumiem. Jedz.

Kamble nałożył kawałek kurczaka na talerz Sartadźa. Inspektor skinął głową, wziął mięso i zaczął żuć. Kamble cackał się z nim przez cały lunch, zmuszał go do zjedzenia ogromnych porcji i do wypicia szklanki ćhasu, ale Sartadźowi i tak udało się utrzymać odpowiedni poziom alkoholu w organizmie, chociaż Kamble wyprawiał sztuczki z oddawaniem przechodzącym kelnerom na wpół opróżnionych szklaneczek. Kiedy więc do restauracji przyszedł Śambhu Śetti i przysunął krzesło do ich boksu, Sartadźowi wciąż przyjemnie kręciło się w głowie.

– Chłopcy mówili mi, że tu jesteś – rzucił. Wyglądał na zadowolonego, korpulentnego jegomościa.

– Śambhu, powinieneś zabrać się za ćwiczenia – stwierdził Sartadź. – Nie jest miło oglądać cię w takim stanie.

Kamble szepnął coś do Śambhu, który z kolei szepnął coś do niego. Następnie rozwinął gazetę i położył ją na stoliku.

– Saab – powiedział. – W barze wcześniej dostajemy „Samaćar”. Pomyślałem, że będziecie chcieli rzucić na to okiem.

Przez całą stronę biegł potrójnej wysokości nagłówek: *Wysoki oficer policji przyłapany na rozmowie z mafiosem prowadzącym antypaństwową działalność*. A pod spodem zdjęcie Parulkara w mundurze. Umieszczony poniżej podtytuł informował *Opozycja domaga się zawieszenia w obowiązkach i śledztwa*. Sartadź odwrócił głowę. Nie chciał czytać dalej.

– Piszą, że ACB dysponuje półgodzinnym zapisem rozmowy Parulkara z Sulejmanem Isą w Karaczi, a to nagranie przedostało się do wszystkich gazet – powiedział Śambhu. – Można już je znaleźć na kilku stronach internetowych, można posłuchać całej rozmowy. Parulkar omawia z Sulejmanem Isą kwestie płatności, określone zadania, tego typu sprawy. A do tego... gdzie to jest... tu: „Niezależni eksperci od rozpoznawania głosów już potwierdzili gazecie, że ich zdaniem jest to nagranie DCP Parulkara i Sulejmana Isy”.

– Behenćod – odezwał się Kamble. – Niech popatrzę. – Chwycił gazetę, szybko przeczytał tekst, rozłożył stronę i przebiegł ją wzrokiem do końca szpalty. – Maderćod. Ten gość jest skończony. Nie ma już tego sala.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Śambhu. – Żeby on popełnił taki błąd...

– Wszyscy popełniamy błędy – stwierdził Sartadź – wcześniej czy później. Jeśli nie dziś, to jutro.

Obaj nic nie mówili. Kamble wskazał na gazetę.

– Chcesz przeczytać?

– Nie.

– No, dobra. Muszę wracać do pracy. A ty, co będziesz robił?

– Będę tu siedział i czekał na moje informacje.

Wyglądało jednak na to, że Kamble nie uważa tego za dobry pomysł. Zaczął się sprzeciwiać i spierać, aż Sartadź wpadł we wściekłość, ale Kamble dalej go przekonywał. Pozostali goście w restauracji, siedzący przy stolikach pracownicy szczebla kierowniczego i gospodynie domowe, rzucali niespokojne spojrzenia, zaczęli mrużyć coś pod nosem i w końcu Sartadź się poddał. Poszedł z Kamblem na bardzo nudny obchód, do meliny gry w matkę i fabryki butów, a potem do basti Nehru Nagarw Andheri, poszukując jednego tadipara, który rzekomo wśliznął się z powrotem do Kailaśpady i ponownie się ulotnił. Sartadź ciągnął się po uliczkach za Kamblem, czując w głowie zamęt od feerii zapachów, przyjemnych i nieprzyjemnych. Już nie był pijany, ale ten marsz i nieustannie napierające na niego twarze dawały mu zajęcie i spowijały przyjemnym otępieniem. O szóstej zadzwonił telefon.

– Bhai jest zadowolony – odezwała się Iffat–bibi.

– Tak.

– Powiedział, żeby dać ci prezent. Taki symboliczny. Pięć peti.

– Nie chcę żadnych maderćodowych pieniędzy. Daj mi tylko ten adres.

– Jesteś pewien? To niegrzecznie odrzucać prezenty od bhai.

– Możesz powtórzyć mu dokładnie, co powiedziałem. Chcę tylko ten adres, jasne? Adres.

Iffat–bibi westchnęła.

– Dobrze – odparła. – Młodzi potrafią czasami zachowywać się bardzo głupio. Masz coś do pisania?

Pod wskazanym adresem, na zachodnim skraju Cemburu, stał dwukondygnacyjny bungalow, oddzielony od sąsiednich, średnio zamożnych domów dobrze utrzymanym, trzymetrowym murem. Sartadź zapisał adres w swoim notesie wyraźnymi, drukowanymi literami, trzy razy

kazał go powtórzyć Iffat–bibí. A potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Zadzwońił do Andźali Mathur i wraz z Kamblem spotkali się z nią i jej ludźmi na ulicy w pobliżu Wryndawan Cauk w Sionie. Następnie udali się na północ do Cembur, w towarzystwie inspektora generalnego i gromady bardzo wysokich rangą policjantów oraz kilku, wyglądających na bardzo bezwzględnych, wojskowych, którzy nie chwalili się swoimi kwalifikacjami. Miejscowi gliniarze z Cemburu – żadnego z nich Sartadź nigdy wcześniej nie spotkał – dostarczyli informacji o tym terenie i doprowadzili ich pod sam bungalow. Dyskretnie otoczono teren i zorganizowano stanowisko dowodzenia, nad mleczarnią, położoną sześćdziesiąt metrów dalej, za zasłoną drzew.

Sartadź nie widział bungalowu. Wraz z Kamblem siedzieli w kącie pokoju, w którym panowała gorączkowa krzątanina, i obserwowali, jak pomieszczenie zapełnia się nadajnikami, nieznanym im sprzętem i kompetentnymi, pewnymi siebie ludźmi. Andźali Mathur naradzała się ze swoim szefem i innymi oficerami, ale kiedy przyniesiono ćaj, nie zapomniała, żeby podesłać go Sartadźowi i Kamblemu.

Kamble trącił łokciem Sartadźa.

– Szefie – szepnął – idź tam i stań koło nich. Mogą potrzebować twojej rady. Albo o coś cię zapytają. To ty znalazłeś im ten maderódowy dom. To ty jesteś bohaterem dnia. Idź i zachowuj się, jakby to była twoja zasługa, bo w przeciwnym razie jeden z tych gandu oficerów IPS ukradnie ci to.

Ale Sartadź nie palił się do udzielania rad komukolwiek. Był gotów siedzieć w blasku ekranów laptopów i obserwować, jak niebo za oknem zmienia barwy. Kiedyś ktoś mu powiedział – nie pamiętał już kto – że te fantastyczne kolory wieczoru w Mumbaju biorą się z tych wszystkich zanieczyszczeń, które unoszą się nad miastem, z tych nieprzeliczonych milionów ludzi, którzy tłoczą się na tak małej przestrzeni. Sartadź nie miał

wątpliwości, że tak rzeczywiście jest, ale dla niego te fiolety, czerwienie i pomarańcze i tak były piękne i wspaniałe. Można było patrzeć, jak się zmieniają, stają się coraz głębsze, aż zupełnie zatracają się w czerni.

O dziesiątej przyszła Andźali Mathur i usiadła obok nich.

– Mamy potwierdzenie – powiedziała. – W domu jest siedem osób. Mamy dwa wyraźne sygnały o radioaktywności, a z tyłu, za bungalowem, stoją dwie trzytonowe ciężarówki. Podejrzewamy, że mieli zamiar wywieźć te bomby na miejsce detonacji.

– Dwie bomby? I co teraz będzie? – zapytał Kamble. Aż zeszywniał z podniecenia i niecierpliwości.

– Mamy tu już na miejscu ekipę. Wkroczą w nocy. Decyzję podejmie dowódca operacyjny. – Pochyliła lekko głowę w stronę frontowej części pokoju, wskazując żołnierza nachylonego nad radioodbiornikiem. Zdawała się czekać na odpowiedź Sartadźa.

Odchrząknął.

– Jestem pewien, że wasza ekipa odniesie sukces. – Sartadź poczuł, że z niewiadomych powodów chce mu się śmiać. Oczywiście pohamował się, ale ona, wstając, zmierzyła go wzrokiem.

Kamble ruszył za nią, lawirując między stołami, i kilka minut później wrócił, jeszcze bardziej zaniepokojony i zdenerwowany. Oczy mu błyszczały, nachylił się nad Sartadźem i walnął go w ramię.

– Mamy tutaj Czarne Koty, szefie. W tych czarnych kominiarkach komandosów, z bronią i w pełnym wyposażeniu.

Sartadź próbował wykrzesać trochę entuzjazmu wobec obecności Czarnych Kotów, ale on tylko czuł senność. Zauważył ten swój brak entuzjazmu w obliczu szansy ratunku, ale złożył to na karb wyczerpania. To ta bezsenność, pomyślał, i ta cała ostatnia huśtawka nastrojów, wszystkie stresy się skumulowały. Pewnie już jutro coś poczuję. Ale w tej chwili

chyba będę tu tylko siedział, zupełnie niczego nie odczuwając. Pewnie to kwestia wypitego piwa i whisky, to dlatego czuję ten ciężar, który miażdży mi uda jak żelazo. Chyba po prostu jestem bardzo zmęczony.

Obudziło go brutalne trącanie, poczuł na policzkach jakieś uparte i ciężkie dłonie.

– Sartadźu, obudź się. – To był Kamble. – Gandu, jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, który potrafi przespać swoje najważniejsze chwile. Szefie, zaraz będzie punkt kulminacyjny. Zaraz będą wchodzić. Obudź się. Obudź się.

Sartadź usiadł i przetarł oczy, starając się odpędzić sen.

– Która godzina?

– Czwarta trzydzieści.

W ciszy przedświtów odezwało się pohukiwanie samotnego ptaka. Na stanowisku dowodzenia panowało pełne napięcia milczenie, absolutny bezruch przepełniony oczekiwaniem. Sartadź chciał zapytać Kamblego, skąd będą wiedzieli, że ekipa wkroczyła, że wydano już rozkazy, ale Kamble zasłaniał usta dłonią, mocno przyciskając kciukami policzki. Wyglądał jak mały chłopiec czekający na ogłoszenie wyników egzaminu.

W pokoju nic się nie zmieniło, ale nagle, gdzieś z oddali, dotarła do nich seria wystrzałów, a potem druga, trach–trach–trach, trach–trach–trach–trach. A potem ostatni, cichy wybuch. Minęła chwila i z frontowej części pomieszczenia podniósł się okrzyk radości, który zaraz rozszedł się po całym pokoju. Andźali Mathur przebiegła przez tłum klaszczących ludzi.

– Jesteśmy bezpieczni – powiedziała. – Jesteśmy bezpieczni.

Sartadź skinął głową i zmusił się do uśmiechu. Nagle otoczyli go policjanci, ludzie z RAW i z Czarnych Kotów, wszyscy trącali się, obejmowali i ściskali mu ręce. Najwyraźniej Kamble postarał się, żeby wiedzieli, komu należy się uznanie. Sartadź odwrócił się w otaczającym go



tłumie, powoli udało mu się przez niego precyzyjnie i zejść po schodach. Ruszył przed siebie, na tyły zabudowań za mleczarnią, zastawione pojazdami policyjnymi i innymi nieoznakowanymi samochodami. Czuł przede wszystkim zapach mleka i nawet pomyślał, że wyczuwa ostrą woń gobaru. Ale było to mało prawdopodobne, przecież w ilu mleczarniach w mieście trzymano jeszcze krowy? Ten zapach stawiał go na nogi. Powoli zaczynał trzeźwo myśleć.

Te ciche, odległe dźwięki wystrzałów musiały zatem oznaczać, że świat został uratowany. Sartadź wcale nie czuł się jednak bezpieczniej. W jego wnętrzu, nawet w tej chwili, palił się bezpiecznik, słyszał tykanie strachu.

Oparł się o słupek drucianego ogrodzenia i próbował poczuć zadowolenie. Nasza drużyna wygrała. Jasne. Wewnątrz domu Kamble tańczył, był szczęśliwy. Ale Sartadź nie potrafił pozbyć się tego pytania: „Chcesz to ocalić? Po co? Dlaczego?”.

Awans Sartadźa nadszedł po trzech tygodniach. Nikt nie wiedział o jego pracy nad sprawą Gaitondego, nad tymi bombami, więc nie było żadnego oficjalnego powodu, żeby wyjątkowo przyspieszyć rozkaz i przesyłkę papierów. Jeszcze kiedy byli w tej mleczarni, tamtego ranka, Andźali Mathur powiedziała mu, że te bomby oficjalnie nie istniały i nigdy nie zaistnieją. Że decyzja zapadła na samej górze, ze względu na kwestie bezpieczeństwa narodowego. Potem tylko wzruszyła ramionami, a on to zrozumiał, ponieważ był policjantem, i wiedział, że czasami zakończonej sukcesem operacji nie można ujawnić, żeby ochronić reputację kogoś wyżej postawionego, żeby jakiś polityk nie musiał przyznać się, że o mało co nie doszło do katastrofy.

Sartadź z łatwością pogodziłby się z nie ujawnianiem tego, co zrobili tego ranka, gdyby nie plotki, które pojawiły się natychmiast, wypełniając

puszkę stworzoną przez brak faktów. W wydziale powszechnie uważano, że Sartadź w jakiś sposób usunął Parulkara, że to on zaaranżował ten zaskakujący upadek szefa. Dostępne na taśmach ACB i na witrynach internetowych nagranie rozmowy telefonicznej Parulkara z Sulejmanem Isą zostało okrojone z pierwszych kilka sekund. Usunięto „Halo” Sartadźa, a rozmowa zaczynała się dopiero od momentu, kiedy Parulkar podnosi słuchawkę i mówi „Słucham”. Nikt nie wiedział, że rozmowę przeprowadzono z domu matki Sartadźa, ale w policji wszyscy po cichu zgadzali się, że Sartadź miał coś wspólnego z tą sprawą. Wiadomo było, że jego awans stanowi nagrodę, której towarzyszył podarunek od Sulejmana Isy, w wysokości jednej, okrągłej khoki. Krążyły również pogłoski, że Sartadź pobił niewinnego człowieka, bardzo go poranił, i powszechnie uważano, że nawet tej sprawie ukrecono łeb w zamian za zniszczenie Parulkara. W wydziale nikt jednak nie żywił za to do Sartadźa urazy, a nawet z wielu dzielnic zaczęły napływać wyrazy większego szacunku. Parulkar od dawna uczestniczył w tej grze i zdążył narobić sobie mnóstwo wrogów. Wiele osób nie zmartwiło się jego upadkiem. Nawet ci, którym był obojętny, uważali, że prawdopodobnie zbyt wiele chciał. I przyjaciele, i wrogowie Parulkara uważali Sartadźa za zasługującego na szacunek stratega, za osobę, z którą warto podtrzymywać znajomość.

Tymczasem Parulkar zniknął. Dwa dni po ujawnieniu rozmowy telefonicznej wystąpiono z interpelacjami w zgromadzeniu ustawodawczym, a także w parlamencie. Tego samego wieczoru wydano nakaz aresztowania Parulkara. Jeszcze przed wydaniem nakazu nadszedł jego wniosek o zwolnienie za kaucją i Parulkar został uznany za zbiegłego. Następnego dnia reprezentujący go adwokat powiedział prasie, że całe postępowanie zostało przeprowadzono w sposób pochopny i mało

profesjonalny i że głos na taśmie nie należy do Parulkara, który poświęcił wiele lat bezinteresownej służby dla dobra kraju. Ponadto nie było żadnego dowodu, że ten drugi głos na taśmie rzeczywiście jest głosem Sulejmana Isy. Stwierdził także, że zarejestrowana na taśmie rozmowa bynajmniej nie stanowi świadectwa nieuczciwego zachowania urzędnika państwowego ani też działalności na szkodę państwa.

Ale jeszcze tego samego dnia szef rządu stanowego ogłosił poważne zmiany na wysokich stanowiskach w policji, a w odpowiedzi na pytania reporterów oświadczył kategorycznie, że ani on, ani nikt z jego gabinetu nie będzie ingerował w prawidłowe działanie prawa.

– Śledztwo trwa. Bardzo szybko poznamy jego wyniki. Sami się, państwo, przekonacie. DCP Parulkar powinien oddać się w ręce władz. Będziemy surowi, ale sprawiedliwi.

Sam Sartadź nie miał pojęcia, gdzie jest Parulkar. Miał kilka pomysłów, jak przesłać mu informację, zostawił więc dyskretne wiadomości u kilku khabarich, a także u Homi Mehty, zajmującego się finansami Parulkara. Nie dostał jednak żadnej odpowiedzi. W ciągu tych dwóch tygodni dwa razy zadzwonił jego telefon komórkowy, ale za każdym razem dzwoniąca osoba nie odezwała się. Sartadź słyszał powolny oddech, mozolne wypuszczanie powietrza przez starego człowieka. Za drugim razem powiedział: „Sahibie? Czy to pan?”, ale nikt mu nie odpowiedział, na wyświetlaczu nie pojawił się też numer dzwoniącego. Rankiem, po otrzymaniu przez Sartadźa awansu, komórka zadzwoniła, kiedy Sartadź był w łazience. Po omacku poszedł do pokoju, wciąż z mydłem na twarzy, i znalazł telefon wibrujący na łóżku.

– Halo? – powiedział.

I znowu ten sam oddech. Tym razem Sartadź wyczuł, że ten milczący człowiek jest na niego bardzo zły.

– Sahibie – powiedział. – Musi mnie pan wysłuchać. To bardzo ważne, wszystko panu wyjaśnię.

Ale telefonująca osoba rozłączyła się. Usłyszał trzask, a potem nastąpiła cisza. Tego wieczoru, kiedy Sartadź kończył swoją zmianę, do pokoju przesłuchań wszedł Kamble.

– Szefie – odezwał się.

– Co? – warknął Sartadź. Nadzorował przesłuchanie osoby oskarżonej o napad z bronią w ręku. Od kiedy awansował, nie uważał za niezbędne osobiście pracować nad aresztowanymi. Tylko pouczał i obserwował. W pokoju unosił się zapach potu i uryny.

– Lepiej, żebyś wyszedł na zewnątrz – powiedział Kamble. I dodał, po angielsku: – Please.

Sartadź wyszedł za Kamblem z pokoju, do korytarza prowadzącego na ogrodzony teren. Kamble chwycił go za ramię i poprowadził na skraj sadzawki. Nad ich głowami krążyły ptaki.

– Dziś po południu znaleźli Parulkara.

– To dobrze. Gdzie się poddał? – Bo gdyby Parulkar nie chciał, żeby go złapano, to by go nie złapano.

– Nie, to nie tak. Znaleźli go.

Kamble powiedział, że czterdzieści pięć minut wcześniej oddział obserwujący dom Parulkara został zaalarmowany dochodzącymi z wnętrza budynku krzykami. Weszli do środka i zastali dwie wnuczki Parulkara w ataku hysterii. Okazało się, że Parulkar przez cały czas był w domu. W tym starym domu rodzinnym pod schodami znajdowała się drewniana płyta na zawiasach, po której odsłonięciu ukazał się mały, wciśnięty za kuchnię pokój, o wymiarach trzy na trzy metry. Parulkar bezpiecznie ulokował się w środku i mógł tam pozostawać bez końca, ponieważ z łatwością można było mu przekazywać jedzenie i wszystko, co trzeba, a główne

poszukiwania skierowane były w zupełnie inne miejsca, gdzieś daleko w Pune i Koci. Ale tego wieczoru Parulkar wyszedł z ukrycia i poszedł do swojej sypialni, nie zważając na światło dnia, którego dotychczas starał się unikać. Ogolił się, wykąpał, zmienił kurtę na świeżą. Zdjął zegarek i położył go na stoliku przy łóżku. Następnie wziął klucze do stojącej obok jego łóżka szafki Godrej, otworzył ją, a potem znajdujący się wewnątrz niej schowek i wyjął swój służbowy rewolwer. Poszedł do łazienki, zdjął ćappale i wszedł do wanny. Dziewczynki usłyszały huk pistoletu, pobiegły do łazienki i tam go znalazły.

– Bas – powiedział Kamble. – Tyle na razie wiem.

Sartadź cofnął się o krok. Po wodzie przesuwały się cienie, a z przeciwnych stron sadzawki nadciągały drobne, nakładające się na siebie fale. Tyle na razie wiemy, pomyślał Sartadź. I niczego więcej już się nie dowiemy. Umieramy za rzeczy, których nie pojmujemy, poświęcamy tych, których kochamy.

– Powinienem tam pojechać – powiedział.

– Do tego domu? Szefie, nie teraz. Nie jedź tam.

– Tak, masz rację. Oczywiście, że nie powinienem teraz tam jechać. Dobra. Chyba przez jakiś czas tu zostanę.

Kamble wrócił na komisariat, ale Sartadź został na dworze. Wsłuchiwał się w trzepotanie flagi na świątyni i wpatrywał się w wodę. Miał wrażenie, że zaraz coś się zmieni. Czekał na tę zmianę. Ale wcale nie miał pewności, że ona w ogóle nadejdzie.

## Interludium: dwie śmierci daleko od domu

### I

Ansari Tola w Radźpurze znajdowała się na wschodnim krańcu miasta, po przeciwnej stronie skrzyżowania niż nala, i za linią drzew khadźuru. Stało tam zaledwie dwanaście chat, skupionych w nieuporządkowanym kręgu. Od przepustu do Toli biegła błotnista droga gruntowa, a pierwsza, położona najwyżej chata należała do Nura Mohammeda. Był właścicielem siedmiu katth lichej ziemi, na której hodował ziemniaki i makkai, i jeździł ikką zaprzęzoną w rachityczną, brązową chabetę. Jego żona nazywała się Mumtaz Khatun i mieli trójkę dzieci, chłopca i dwie dziewczynki. Nur Mohammed był najmniej biednym człowiekiem w Ansari Toli, a to oznaczało, że jego rodzina ledwo wiąże koniec z końcem, a dzieci bardzo często muszą iść spać z żołądkiem oszukanym chilli i wodą. Nur Mohammed i Mumtaz posyłali swoje dzieci do szkoły, ale nie chodziły tam one regularnie, zależało to od pory roku i aktualnie prowadzonych w polu prac. Niczego im nie zbywało, ani czasu, ani jedzenia, ani pieniędzy. Ale i tak dziękowali Allahowi, kiedy urodził się im następny syn. Na imię dali mu Adil.

Adil już od małego był bardzo ciekawski i szukał przygód. Kiedy miał dwa lata, pewnego deszczowego popołudnia zniknął sprzed nosa swoich dwóch sióstr. Jego matka wróciła do Toli i zastała cały dom pogrążonych w chaosie, a córki zapłakane. Wszyscy biegali po polach, szukając chłopczyka, w tym celu opuszczono nawet do studni jednego z kuzynów.

Nur Mohammed zaciskał pięści i krążył po skraju nali. W końcu Adila znalazł brat Nura Mohammeda, Salim, w miejscu, w którym nikomu nawet nie przyszło do głowy szukać, na drodze po drugiej stronie nali.

– Po prostu sobie tam spacerował – opowiadał o swoim bratanku Salim – golusieńki, ale zupełnie nie zmęczony ani nie przestraszony.

Wyglądało na to, że Adil postanowił zwiedzić świat i wybrał się na wędrówkę zupełnie sam. Matka przycisnęła go do siebie i zapytała:

– Gdzie ty poszedłeś? Czego ty szukałeś?

Adil nic nie powiedział. Cierpliwie zniósł całe zamieszanie, rozglądając się wkoło swoimi wielkimi, czarnymi oczami. Był bardzo poważnym chłopcem.

– Gdybym akurat nie wracał z Kurku Kothi – stwierdził jego stryjek – nasz mały poszukiwacz przygód zaszedłby aż do Patny.

Do Patny było tylko sto dwadzieścia osiem kilometrów, ale Adil dotarł tam dopiero po osiemnastu latach. Do tego czasu, zamknięty w granicach Radżpuruu, borykał się z ograniczeniami tej miejscowości zamieszkałej przez półtora lakha obywateli i bezładnie rozłożonej na południowym brzegu rzeki Milani. Milani była pomniejszym ciekim wodnym odchodzącym od Burhi Gandak, sześćdziesiąt kilometrów przed ujściem tej rzeki do Gangesu. Na nagiej skale przy Milani, naprzeciw ulokowanego na pobliskim wzgórzu białego meczetu, stała średniowieczna świątynia Kali. Latem oraz późną zimą woda w rzece cofała się, odkrywając szare skały pokryte rzeźbami bogów i bogiń z powykręcanyimi kończynami, pochodzące z jakichś pradawnych, zapomnianych już czasów. Na południu i na wschodzie, na najwyższych w okolicy wzgórzach, powoli popadało w ruinę haweli radży Dżadunatha Singha Caudhari, nawiedzane – co potwierdzała cała ludność Radżpuru – przez szalone duchy i gdaczące ćurail. Radża Dżadunath stracił większość swoich ziem i pod względem

świątliwości czy szczodrości nie mógł równać się z tutejszym MLA, Nandanem Prasadem Jadawem, który w czasach dzieciństwa Adila zrobił z Kurku Kothi wspaniałe, błękitno-różowe cudo, otoczone trzyipółmetrowym murem i uzbrojonymi strażnikami. Nur Mohammed zawsze powtarzał, że radża nie miał głowy do współczesnej polityki, natomiast Nandan Prasad Jadaw był w tej brudnej grze mistrzem nad mistrzami. I tak jeden robił się coraz mniejszy, a drugi rósł w siłę. Radża czasami wynajmował Nura Mohammeda do wożenia swoich dzieci zabytkowym powozem radży na dworzec kolejowy, ale większość mężczyzn z Ansari Toli pracowała w Kurku Kothi jako robotnicy.

Niektórzy chłopcy z Ansari Toli umieli trochę czytać, jeden nawet skończył aż osiem klas. Ich ojcowie byli analfabetami, a w całej historii tej osady żaden jej członek nie skończył szkoły średniej. Ale od samego początku widać było, że Adila fascynuje słowo pisane. Jeszcze zanim nauczył się czytać, śledził kształty liter w starych gazetach. W dwupokojowej szkole podstawowej, położonej nieopodal należącego do Prema Śankera Dźha sadu z drzewami mango, Adil z tak ogromną uwagą przykładał się do lekcji, że nie uszło to uwagi innych dzieci. Jeden z synów Jadawa powiedział:

– Patrzcie, kiedy nauczyciel coś mówi, ten Adil wygląda jak dibba – i zrobił śmiertelnie poważną minę z wybałuszonymi oczami. – Adil–Dibba – zakpił, nadymając policzki, a zebrane na ćabutrze budynku szkolnego trzy klasy wybuchły śmiechem. Od tego momentu Adil był nazywany Dibba i zyskał sławę parhaku. Nawet nauczyciel, kiedy akurat był w szkole i uczył, a nie próbował zarobić trochę przy hurtowej sprzedaży cebuli, zauważył jego spokój i zaangażowanie i starał się chronić go przed szkolnymi łobuzami. Ale to, oczywiście, poskutkowało tylko tym, że grupy wyrosniętych lafangów zwracały jeszcze większą uwagę na Adila, kiedy



szedł do szkoły i z niej wracał. Ale on i tak przetrwał to wszystko. Po skończeniu piątej klasy poszedł do szkoły średniej Zila. Już dotarcie do szóstej klasy było bardzo trudne, ponieważ rodzice Adila nie mieli pieniędzy na książki, tabliczki i ołówki. Teraz jednak zrobiło się jeszcze trudniej, i nie tylko dlatego, że potrzeba było więcej książek, pióra i przyrządów kreślarskich. Adil musiał przez wiele dni pracować w polu, zwłaszcza w porze siewu i żniw, a w inne dni musiał pracować ze swoimi kuzynami i wujkami przy piecu ceglarskim. Wyrósł już na tyle, żeby zarabiać, więc musiał to robić. Trzeba było wykarmić rodzinę, naprawiać domy i płacić za małżeństwa. Nadal jednak był wytrwały w nauce. Wbrew wszystkim przeciwnościom wytrzymał. Czytał pożyczone książki, całe wieczory spędzał na czytaniu przy świetle migoczącej żarówki w Śiwnath Dźha Sarwadźanik Pustakalaja. Ta biblioteka została ufundowana przez znanego miejscowego bramińskiego posiadacza ziemskiego i otrzymała imię jego bardzo uczonego ojca. Początkowo personel biblioteki był nieco zakłopotany, widząc muzułmańskiego chłopca tak bezczelnie siedzącego pod okolonym girlandą zdjęciem starca, który całe życie spędził na kąpielach, oczyszczaniu i uświęcaniu. Wkrótce jednak przyzwyczajono się do widoku Adila siedzącego w drewnianej ławce, pochylonego nad książką lub gazetą. Czasy się zmieniały, a ponadto te dwa pokoje oraz tuzin półek biblioteki miały być sarwadźanik, i Adil bez wątpienia należał do tych wszystkich ludzi, chociaż był brudny i nie było łatwo pogodzić się z jego obecnością. I tak Adil poznawał Radźpur i wszystko, co leżało dalej. Umieścił się nie tylko w przestrzeni, ale również w czasie. Pewnego dnia pomyślał sobie: należę do dwudziestego wieku.

Ale Radźpur uparcie trwał w jakiejś innej epoce, w czasach, które nie należały do terażniejszości i z pewnością nie były przyszłością. Prowadząca z miasteczka wyboista droga zupełnie nie przypominała radzieckich

autostrad, które Adil oglądał w czarno-białych czasopiśmie, a widok całych amerykańskich wiosek zelektryfikowanych i wyposażonych w telefony napełniał go podziwem. W Radźpurze był tylko jeden telefon, w domu Nandana Prasada Jadawa, ale Adil nigdy go nie widział. Obejrzał trzy filmy, z czego dwa pod gołym niebem, wyświetlone przez właściciela kina objazdowego, który przyjeżdżał dżipem i rozwijał brudny biały ekran. Po zapadnięciu zmroku ten ekran rozjaśniał się światem technicoloru. Później Prem Sanker Dźha zbudował kino, które nazwał Parwati, i tam Adil zobaczył film *Bobby*. Siedział na ziemi przed samym ekranem, a po seansie nie marzył o lśniącym motocyklu Ryszi Kapura ani o lśniącym, prawie zupełnie obnażonym ciele Dimple Kapani, ale o czystych, dwukondygnacyjnych pakka domach, o telefonach, drogach i o wodzie, w czarodziejski sposób lejącej się z kranu. Dopiero teraz Adil zaczął zdawać sobie sprawę, jak brudny jest Radźpur, z otwartą kanalizacją i uliczkami zbudowanymi bez żadnego planu, po których włączą się stadami wychudzone na wiór psy. Pola ciągnęły się aż po horyzont, długa kolumna defilujących słupów elektrycznych pozbawionych miedzi i drutów kończyła się nagle w samym środku spękanego pustkowia, a nad okapami dachów Ansari Toli wrony podnosiły swój nieustający zgiełk. Rodziły się dzieci, zawierano małżeństwa, starzy ludzie umierali, ale nic się nie zmieniało. W pobliżu sadu Prema Sankera Dźha Adil grał w piłkę nożną i w gilli-dandę z chłopakami braminów, jadawów i bhumiharów, ale nigdy nie bywał w ich domach, a ich noga nigdy nie przekroczyła progu Ansari Toli. Żaden paswan nie mógł wejść nie tylko na wewnętrzny dziedziniec domu braminów lub bhumiharów, ale także na zewnętrzny, biedak musiał kucać na ziemi, kiedy chciał rozmawiać z osobą z wyższej kasty, która leżała wygodnie na khattiji. Ludzie niskiego stanu nie mieli prawa ani do krzeseł, ani do dumy, ani do godności.

Kiedy Adil był w dziewiątej klasie, jego chachu, ten dobry Salim – który przed laty znalazł go wałęsającego się po drodze do Patny – zmarł na bolesne dolegliwości żołądka, które wypróżniły go zupełnie w potokach biegunki. Pograżeni w żałobie krewni wyłożyli zwiotczale zwłoki, przemyli je, zawinęli w biały całun i zanieśli na muzulmański cmentarz na zachodnim krańcu Radżpuru. Ale mieszkający w tamtejszym meczecie maulwi nie chciał ich wpuścić, i wkrótce zbiegli się tam również sajjidzi i Pasztunowie. Nie możecie tu nikogo chować, powiedzieli, macie własny cmentarz. Ludzie z Ansari Toli protestowali, wzywali imię Allacha, a potem zaczęli błagać potężnego Makbula Khana, najbogatszego muzulmanina w Radżpurze, syna zamindara i – jak powiadano – potomka amirów i nawabów. Krewni zmarłego prosili o litość, o współczucie, o reham. Mówili Makbulowi Khanowi i Pasztunom, a także sajjidom, że ich cmentarz już nie istnieje, że został zalany wodą, kiedy po monsunie rzeka zmieniła koryto. Ale tego dnia w Radżpurze nie było zmiłowania, nawet dla zmarłego, który pięć razy dziennie odmawiał namaz i był najhojniejszym z ludzi. Makbul Khan dał żałobnikom pięć rupii i powiedział im, że powinni założyć nowy cmentarz. Dopiero po dwóch dniach pochowano Salima, ponieważ wokół Radżpuru nie była ani kawałka wolnej ziemi, nie było nawet paru metrów twardej gleby, która pomieściłaby człowieka. Ojciec Adila znalazł porośnięte krzakami zbocze, kawałek nagiej, wilgotnej ziemi, mniej więcej w kształcie trójkąta wciśniętego między nale a drogę, i kiedy mężczyźni oczyścili i wyrównali ten teren, zrobiono tam cmentarz i pochowano Salima.

W tym okresie Adil zaczął się budzić targany gniewem, który rozsadzał mu głowę. Ten gniew czekał na niego, gotów powitać go swoją natarczywą jednostajnością, jeszcze zanim Adil zdążył otworzyć oczy i spojrzeć na błotnistą brunatność ściany, zanim usłyszał westchnienia matki, która

zmagala się z nieustającym bólem pleców. To ciche zgrzytanie gniewu nie odstępowało go przez cały dzień, wypalając mu ciało aż do samych kości, przez co chłopak bardzo schudł. Teraz był wysoki, zupełnie nie przypominał dibby, ale przewisko pozostało. Matka zaczęła żartować, że trzeba mu znaleźć jakąś dziewczynę: Dla Adila tak przedwczesne rozmowy na temat małżeństwa stanowiły kolejną torturę. Jego rówieśnicy w Toli flirtowali z dziewczynami, a Anwarul – chłopak o szerokiej klatce piersiowej, którego sposób chodzenia niejednego mógł przestraszyć – miał stały romans z mężatką z toli Camarów. Ale namiętnością Adila były książki i nie pragnął niczego innego, jak tylko rozkosznej przyjemności uczenia się. Trudno jednak było znaleźć w Toli zrozumienie dla takiego podejścia, nawet wśród tych niewielu mężczyzn i kobiet, którym udało się choć kawałek wyjechać za Radżpur. Nur Mohammed i Mumtaz Khatun nigdy nie zajechali dalej niż do Alaghy, czterdzieści cztery kilometry od Radżpuru. Dla nich Patna było miejscem z legend, mieli bardzo niejasne pojęcie o Delhi i nigdy nie słyszeli o Pekinie. Urodzić się, pracować w Radżpurze, przetrwać – to jedyne, co wiedzieli o życiu i czego od niego oczekiwali. Przekonanie ich, że Adil może skończyć szkołę średnią, było bardzo ciężkim zadaniem, a uświadomienie im, że to słuszne, wymagało nieustającej kampanii, która nigdy do końca nie została wygrana. W Toli wiele osób mówiło im, że jeśli za bardzo wykształcą tego chłopaka, wkrótce zobaczą, że nie będzie chciał pracować na polu, niech zatem uważają. Ale w jakiś sposób, pomimo tych wszystkich przeszkód, Adilowi udało się skończyć dziesiątą klasę i zdać egzaminy końcowe. Zabrakło mu dwóch wysokich ocen do ukończenia szkoły z wyróżnieniem, ale w końcu żaden inny uczeń nie pracował nad pożyczonymi tekstami, nie mając zeszytów, piór ani lampy. Nikt nie świętował tego wydarzenia w Ansari Toli, ale rodzice Adila byli z niego dumni, a spora część Radżpuru uważała

go za coś wyjątkowego, jak cielę z pięcioma nogami, które urodziła krowa w oborze radży. Adil zdał sobie sprawę, że jest traktowany z lekceważeniem, kiedy bramini, jadawowie i Pasztunowie wołali za nim na ulicy, nazywając go profesor-saab. Nie zwracał na to uwagi. Ten ich śmiech karmił jego gniew, a ów gniew go napędzał.

Ale teraz chciał iść do szkoły średniej i potem do college'u; żeby tam się dostać, sam gniew nie wystarczy. Opłaty za szkołę były jeszcze znośne, ale trzeba było płacić za dużo więcej rzeczy. Wiedział już co nieco o edukacji i rozumiał, że wymaga dużych pieniędzy. Trzeba płacić za książki, pióra, formularze, trzeba wnosić specjalne opłaty za egzaminy i za każdą promocję, trzeba mieć rower, żeby dojechać do college'u imienia Lali Candana Lala przy ulicy Dżawaharlala Nehru, po przeciwnej stronie Radżpuru. Trzeba kupować ubranie, dwie pary spodni i dwie koszule, żeby móc siedzieć w ławce obok chłopców ubranych w marynarki i błyszczące buty. A poza tym trzeba jeszcze płacić za inne rzeczy, za kaćori kupowane u ćat-wali Makhaniji, który rozstawiał swój stragan naprzeciw bramy college'u, za bilety do Parwati, za poczucie koleżeństwa i beztroski śmiech. Za te nieuchwytnie rzeczy, rzeczy nienazwane, które jednak również stanowiły elementy kształcenia i za które nigdy nie zapłacisz. Adil wiedział o tym wszystkim, ale i tak chciał dostać się do college'u. Zrezygnował z małżeństwa i upierał się, żeby iść do szkoły średniej, a potem do college'u. Żadne argumenty starszych mieszkańców Toli nie mogły zachwiać jego postanowieniem. Adil powiedział im, że na same opłaty, książki i egzaminy raz na sześć miesięcy potrzeba siedemset rupii, a może więcej. Pytano go, skąd na to weźmie. Ale Adil był niewzruszony. Nie był niegrzeczny, spuszczał tylko głowę i w kółko powtarzał jedno zdanie: „Chcę iść do college'u”. W końcu Nur Mohammed zabrał go do radży.

Adil nigdy wcześniej nie był w haweli. Znał otaczający ją ceglany mur na szczycie wzgórza i widywał dzieci radży ubrane w lśniące czystością ubrania. Zdziwił się, kiedy ujrzał pozbawiony głowy posąg przed domem oraz rzędy powybijanych okien i połamane balustrady na balkonach. Ale i tak zaparło mu dech w piersiach, kiedy zobaczył sam rozmiar i wielkość haweli, zarośnięte ogrody, którymi kiedyś musiało się zajmować z pięćdziesięciu ogrodników, puste stajnie tak wysokie, że mogły w nich mieszkać słonie. Radża przyjął ich na patio za domem. Zaciągał się powoli dymem ze swojej huki, wpatrując się w odległy blask rzeki. Miał na sobie białą koszulę i niebieską lungi i z bliska zupełnie nie przypominał członków rodziny królewskiej, których wizerunki Adil oglądał w swoich książkach do historii. Nawet huka była dosyć wytarta i miała pękniętą miseczkę. Nur Mohammed kucnął przy fotelu radży i pociągnął Adila za rękaw, żeby on również się obniżył. Radża wysłuchał Nura Mohammeda i rzekł: „Nura, twój chłopak ma absolutną rację. Powinien się kształcić. W dzisiejszych czasach trzeba się kształcić. Ale jestem w bardzo trudnej sytuacji. Ci łajdacy zabrali mi teraz moją ziemię aż po sad”. Gestem ręki pokazał za swoje ramię.

Ci łajdacy, o których mówił, to byli Gangotijowie, do zeszłego roku mieszkający u zbiegu Milani i Burhi Gandak, kiedy to w ciągu jednego katastrofalnego tygodnia te rzeki zmieniły koryta, a oni zostali wywłaszczeni. Pojawili się w Radźpurze wszyscy razem, jakieś sześćset pięćdziesiąt obdartych mężczyzn, kobiet i dzieci, i z dnia na dzień na ziemi radży wyrosła osada. Zajęli mniej więcej trzydzieści bigha, wokół dwóch dużych stawów, i oświadczyli, że to ich ziemia. Powiedzieli, że dał im ją zmarły ojciec radży, który – według ich słów – po spotkaniu z Aćarją Winobą Bhawe przeszedł przemianę i natychmiast stał się wyznawcą ideologii Aćarji, mówiącej o redystrybucji ziemi. Jako dowód przedstawili

zapis dokonany na obszarpanej kartce papieru, rzekomo podpisany przez ojca radży i datowany na dwa tygodnie przed jego śmiercią. Gangotijowie uzyskali poparcie polityków opozycji, i chociaż radża próbował wykorzystać swoje słabnące wpływy i kontakty, były jednak zbyt mizerne, żeby usunąć tych ludzi z jego ziemi. Wniósł oczywiście sprawę do sądu, ale orzeczenie w tej sprawie mogło zapaść po dziesięciu lub dwudziestu latach. Tymczasem Gangotijowie zasiali zboże, pobudowali wiele chat i siedem pakka domów, a także szkołę i świątynię.

– Radžo–dži, czasy są bardzo ciężkie – odezwał się Nur Mohammed. – Ale nasza rodzina od pokoleń do was należała. Zawsze się nami opiekowaliście.

Mówił prawdę. Zgodnie z tradycją mężczyźni z Ansari Toli pracowali w stajniach haweli, ale po uzyskaniu niepodległości konie i słonie zniknęły. Dawniej cała ziemia od haweli aż do samej rzeki, łącznie z ruchomą glebą diara przy samej wodzie, należała do radżów. Ale haweli nie dysponowała już setkami lathi, więc jadawowie zajęli żyzne pola diara, a Gangotijowie pola przy stawach. Radża był naciskany z dwóch stron. Pociągnął w zamyśleniu ze swojej huki i spod przymrożonych oczu spojrzął w dal. Adil zauważył pod fotelem, że gumowe ćappale radży pękają przy palcach. Ojciec Adila powtórzył: „Radžo–dži, nasza rodzina od pokoleń do was należała”. Spędzili z radżą całe popołudnie, patrząc, jak on pyka, wzdycha i spogląda na pola. Kiedy już zrobiło się ciemno, wręczył Nurowi Mohammedowi pięćdziesiąt jeden rupii i powiedział Adilowi, żeby ciężko pracował. Wtedy wrócili do Toli.

Następnego ranka poszli do domu Makbula Khana.

– Mir, saab – rzekł do niego Nur Mohammed – nasza rodzina od pokoleń do was należała.

Makbul Khan siedział przy biurku i rozmawiał przez trzy telefony naraz. Nie miał już tyle ziemi, co kiedyś, ale obecnie był właścicielem siedmiu ciężarówek i trzech tempo, a do tego posiadał udziały w brudnym interesie wydobywania żwiru i produkcji cegieł. Mimo to miał na sobie nieskazitelnie czystą kurtę, i nosił bujne, wywinięte do góry wąsy, godne jego wielkopańskich przodków. Nur Mohammed kucnął przy jego biurku, Adil skulił się obok ojca i słuchał, jak Makbul Khan załatwia interesy. Jacyś mężczyźni przychodzili, siadali na krzesłach, rozmawiali z Makbulem Khanem i wychodzili.

Po godzinie Makbul Khan odchylił się w fotelu, przygładził włosy i spojrzawszy z góry na Adila, powiedział:

- Chłopcze, chcesz więc się uczyć? Co chcesz studiować?
- Biologię.

Z jakiegoś powodu Makbul Khan uznał to za bardzo śmieszne. Wybuchł śmiechem, ukazując poplamione na czerwono zęby.

– Konie i krowy? – zapytał. – Nura, twój syn pójdzie do college'u, żeby uczyć się o kurczakach. Dlaczego nie nauczysz go tego w domu?

Nur Mohammed nie odzywał się. Po kilku minutach, kiedy wydawało się, że Makbul Khan zapomniał o ich obecności, wyszeptał swój stary refren:

- Mir, saab, nasza rodzina zawsze do was należała.

Wyszli dopiero wtedy, kiedy Makbul Khan wstał i udał się na lunch. Mijając ich, nawet nie obdarzył ich spojrzeniem, tylko włożył jakieś banknoty w złożone dłonie Nura Mohammeda. Nur Mohammed podziękował mu, wielokrotnie powtarzając: „Mir, saab”, wsadził pieniądze za koszulę, i policzył je dopiero, kiedy znaleźli się na drodze, wstrząsani wibracjami mijających ich ciężarówek. Makbul Khan dał im osiemdziesiąt jeden rupii.



Następnego dnia udali się do Kurku Kothi. Nandan Prasad Jadaw był zbyt zajęty, żeby ich przyjąć. Nur Mohammed i Adil nawet nie weszli do domu. Czekali wraz z tłumem petentów przy świeżo odmalowanej tylnej bramie. Robotnicy postawili rusztowanie w celu dokonania naprawy szczytów murów i zdążyli już nałożyć na cegły nową warstwę niebieskiej i białej farby. Czterej strażnicy uzbrojeni w przerażające karabiny stali oparci o bramę i raz na jakiś czas spluwali w trawę. Kiedy Nur Mohammed i Adil czekali już trzy godziny, z domu wyszedł sekretarz, usiadł na krześle w cieniu i zaczął przyjmować prośby. W końcu Nur Mohammed i Adil podeszli do niego, ale on tylko przez chwilę słuchał, co Nur Mohammed miał do powiedzenia, i przerwał mu szorstko.

– Napiszcie prośbę. – Tylko tyle.

Ojciec i syn wycofali się na koniec kolejki. Adil miał pióro i mały notes, ale Nur Mohammed stwierdził, że taką prośbę należy napisać na porządniejszym papierze. Następnego ranka opóźnił swoje wyjście na pole i patrzył, jak Adil pisze list na czystej kartce papieru kancelaryjnego. Oczywiście Nur Mohammed nie potrafił przeczytać, co tam jest napisane, ale kazał Adilowi trzy razy odczytać na głos ten list. Następnie polecił mu zanieść go natychmiast do Kurku Kothi i wręczyć go sahibowi sekretarzowi. Adil posłusznie poszedł, minął nale i wyszedł na drogę. Słońce paliło go w ramiona i uda. Mrużył oczy i włókł się noga za nogą, walcząc z przygniatającą go niechęcią. Kiedy mijał prowadzący do haweli zakręt w lewo, w jego głowie obudziło się bębnienie towarzyszące jego kolejnym krokom, równomierne pulsowanie nienawiści do samego siebie. Adil przeszedł przez bazar, widząc po prawej, w pobliżu dworca kolejowego, biuro Makbula Khana. Poczuł, że coś go gniecie w żołądku, i chciał się zatrzymać, żeby zwymiotować. Zmusił się jednak do dalszego marszu. Ponownie użył swojej woli, tego instrumentu, który od dzieciństwa

doskonalił, i przewyciężył własne ciało. Pokonał całą drogę aż do Kurku Kothi, do wczesnego wieczoru siedział w tłumie, wreszcie wręczył list sekretarzowi i wrócił do domu.

Nur Mohammed chodził potem raz na tydzień do Kurku Kothi i pytał o swój list. Adil zaczął już uczęszczać do college'u, bez nowego ubrania i bez roweru, gardząc samym sobą za to, że potrzebuje pieniędzy, i gardząc ojcem, że o nie prosi. W święto Diwali, przy bramie pojawił się sam Nandan Prasad Jadaw, i w końcu Nur Mohammed wrócił, przynosząc sto jeden rupii. Adil przebrnął przez pierwszy i drugi rok średniej szkoły, a potem przez trzy lata licencjatu z zoologii, dzięki pieniądzom zarobionym, wyżebranym i wyblaganym, i z ciągnącymi się za nim długami. Pocięgę stanowiła dla niego zoologia. Kiedy myślał o dwóch metrach cienkiego łańcucha DNA, wciśniętych w nieskończenie małą przestrzeń pojedynczej komórki, nie mógł wprost wyjść ze zdumienia. Adil modlił się, był człowiekiem wierzącym, ale obecnie prawdziwe ukojenie, pocięgę i miłość Allacha odnajdywał jedynie w chwilach, kiedy kontemplował piękno typów i klas, kiedy obserwował zdjęcia fagocytozy i pinocytozy. Minęło pięć lat, pięć bardzo trudnych, długich, choć jednocześnie szybko mijających lat. Adil wiedział, że musi dalej studiować zoologię. Po uzyskaniu licencjatu chciał zacząć studia magisterskie, tego był absolutnie pewien. Istotne też było, że w Radźpurze nie prowadzono studiów magisterskich, ani w zakresie zoologii, ani w żadnym innym kierunku. Sześćdziesiąt kilometrów dalej, na uniwersytecie Naw Niketan, był wydział zoologiczny, ale Adil chciał jechać do Patny. To miasto leżało bardzo daleko, ale Adil pragnął właśnie tego dystansu. Bardzo zależało mu na tym, żeby wyjechać daleko od Radźpuru, i wyobrażał sobie Patnę jako rozciągniętą sieć oświetlonych bulwarów, oazę anonimowości, gdzie nikt nie będzie znał ani jego, ani jego rodziny. Był pewien, że zostanie przyjęty

na tamtejszy uniwersytet. Ciężko pracował, a jego profesorowie byli z niego zadowoleni. Nie miał wyjątkowo dobrych ocen, ale przez cały okres nauki udawało mu się uzyskiwać wyniki na dolnym i średnim poziomie najwyższej kategorii. Jak zawsze pozostawała kwestia pieniędzy. Skąd miał je wziąć, te dwieście, a może nawet dwieście pięćdziesiąt rupii miesięcznie, niezbędne, żeby przeżyć i studiować w Patnie? Nie miał szans na stypendium. Wiadomo było, że żadne wysoko postawione osoby nie wywrą swoich wpływów, żeby dostał fundusze z Patna Science College, żaden polityk nie sprezentuje mu wykształcenia. Adil sam musiał o to zadbać.

Wybrał się więc do Makbula Khana.

– Chcę być u pana kierowcą – powiedział.

Makbul Khan nagle zaczął bronić godności wykształcenia Adila.

– Taki wykształcony chłopak jak ty nie może być kierowcą – powiedział.

– Dlaczego nie udzielasz korepetycji czy czegoś w tym rodzaju?

– Hindusi nie chcą, żebym uczył ich dzieci – odparł Adil. – A w Radżpurze jest za mało muzułmanów, za mało jest takich, którzy by zapłacili.

Makbul Khan w zamyśleniu podrapał się po klatce piersiowej.

– Potrzebny jest mi pomocnik. Nie jestem w stanie spamiętać tych wszystkich liczb. Ty jesteś uczciwy, pomóż mi w rachunkach i fakturach. – Ale Adil zapytał, kto więcej zarabia, kierowca ciężarówki czy pomocnik od rachowania. – To nie jest takie proste – odrzekł Makbul Khan. – Na początku musisz zacząć od sprzątanía. Dopiero później zarobisz więcej.

– Będę sprzątał – powiedział po prostu Adil. – Kiedy mam zacząć?

I tak Radżpur miał okazję zobaczyć nowe przedstawienie, wielce uzdolnionego Dibbę sprzątającego ciężarówki. Dzień po uzyskaniu licencji zaczął pracę u Makbula Khana.

– Are, a czego się spodziewaliście? – mówili na bazarze mądrzy ludzie.

– Może myśleliście, że syn Nura zostanie premierem?

Adil ze spokojem nosił swój nowy kostium brudu i smaru. Jego rodzice byli jednak niepokieszeni, i musiał ich przekonywać, że ta praca to tylko stan przejściowy, wyglądało na to, że wykształcenie przeszkadzało w wykonywaniu pracy fizycznej. Również sam Adil odczuwał to obrzydzenie, ale powiedział sobie, że również ta praca stanowi formę edukacji. Ciężarówka Makbula Khana kursowała po wyboistych drogach wokół Radżpuru i Adil osobiście poznał te wszystkie setki kilometrów. Jeździł z ładunkami żwiru i wracał z drewnem i cementem. Raz na tydzień pomagał Makbulowi Khanowi w rachunkach i objaśniał tajemnice bankowych książeczek oszczędnościowych. Pod koniec pierwszego roku mógł już jeździć jako kierowca i wysyłano go w trwające cały tydzień podróże.

W tym okresie włosy Adila, po lewej stronie jego głowy, zaczęły pokrywać się siwizną. Matka winiła za to tę jego edukację, długie noce spędzone na wpatrywaniu się w książki przy migoczącej lampie, to, że się nie ożenił, stresy związane z jeżdżeniem w trasy tydzień po tygodniu. Ojciec radził mu, żeby zafarbował te szare plamy za pomocą mehndi czy też nawet przy użyciu kosztownych nowych farb, które ostatnio można było kupić na bazarze. Adilowi podobała się ta siwizna. Uważał, że nadaje mu dojrzałego wyglądu wielkiego uczonego. Sam jednak czasami był zaskoczony widokiem własnej twarzy migającej w pękniętym wstecznym lusterku i zastanawiał się, do kogo ona należy. Pod koniec drugiego roku pracy, kiedy już odłożył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pojechać do Patny, cała jego głowa, od przodu do tyłu i z lewej do prawej, była upstrzona srebrnymi pasemkami. Przybył na uniwersytet w Patnie przedwcześnie posiwiały i pełen nowej energii.

Patna różniła się od jego oczekiwań. Miasto było wielkie, większe od wszystkich innych miejscowości czy miast, które dotychczas widział.

Gdzieś tam były tam szerokie drogi, a także ogrody, ale niektóre części miasta wyglądały jak skupione jedna przy drugiej wioski albo jak ściśnięty i dużo droższy Radżpur. Widział tam takie same niechlujne budy, kręte uliczki, sterty śmieci. Ale na terenie wokół uniwersytetu stało kilka imponujących, starych budynków, niektóre z nich zbudowano jeszcze w czasach kolonialnych, a inne zostały ufundowane przez późniejszych ofiarodawców. Rosły tam stare drzewa, a Adil lubił przesiadywać wieczorami na ghacie i patrzeć na drugi brzeg rzeki. Liczba studentów, uczących się na uniwersytecie i pobliskich college'ach, była olbrzymia. Adil czuł ulgę, kiedy szedł na jakąś większą uroczystość, na wiec, wykład czy okolicznościową ceremonię, i widział całe rzędy twarzy, wiedział, że setki i tysiące innych osób podąża tą samą drogą, że przynajmniej tutaj można znaleźć innych, którzy cierpieli ten sam głód. Oddalony od rodziny i Ansari Toli, Adil odczuwał samotność, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał, ale starał się traktować ją jako początkową trudność. Jestem teraz w mieście, pomyślał, i muszę nauczyć się żyć nowocześnie. Tak trzeba.

Wśród laboratoriów i tanich restauracji Patny Adil próbował stworzyć się na nowo, ale jego dawne ja wciąż go nie odstępowało. W jakiś sposób koledzy z roku dowiedzieli się o jego starym przezwisku, o Dibbie. Być może jeden z dawnych profesorów z Radżpuru wspomniał o tym swojemu znajomemu z wydziału zoologii w Patnie, a może jakiś chłopiec z Radżpuru przyjechał do innego college'u i zobaczył go na ulicy. Bez względu na to, jak do tego doszło, Patna wiedziała, kim był Adil, kim był jego ojciec. Wiedzieli, że jeździł ciężarówkami i że je sprzątał. Jego wyjątkowa historia stanowiła nawet przedmiot pewnych pochwał, a jeden z profesorów Adila powiedział mu, prywatnie, w pokoju wykładowców, że powinien stanowić przykład dla początkujących naukowców, że tak biedny chłopiec mógł tak daleko zajść, ale Adil odczuwał w tym wyrazie uznania jakieś

niezrozumiałe podkłady pogardy. Po wygłoszeniu tego wspaniałomyślnego komplementu chwalać go profesor nie zwracał już na niego żadnej uwagi, w niczym mu nie pomógł, niczego nie doradzał, nie zaproponował żadnego grantu czy stypendium. Adil dalej pracował w samotności. Trzy razy, kiedy już odmówił namaz, poszedł na spotkanie muzułmańskiej organizacji studenckiej, ale czuł się tam przytłoczony ograniczonością ich dyskusji, zawężających wszystko do kwestii wiary i historii. Trzymał się więc swojej pracy, do późna wieczorem przesiadywał w laboratoriach, i wciąż czytał, chociaż w tym czasie cały akademik rozbrzmiewał rehotliwym śmiechem, a potem kładł się spać.

Na początku drugiego roku, w pierwszym miesiącu nauki, Adil spotkał Dżagarnatha Caudharięgo. Dżaggu, jak go nazywano, był braminem bhumiharem z Gopalgandżu, położonego daleko na północnym zachodzie. Jeździł motocyklem, nosił olśniewające czerwone i żółte marynarki i aksamitnym barytonem śpiewał piosenki z filmów, pewnym krokiem chodząc po korytarzach. Tego popołudnia siedział na tylnym siodełku swojego motoru, z jedną stopą opartą wysoko na biegnącym wokół akademika murku.

Głośno pokrzykując i przekomarzając się ze swoimi kumplami, planował wybrać się na sztukę wystawianą przez Kala Manć tego wieczoru. Adil przecisnął się obok nich bokiem, trzymając przy piersiach stos książek, i kiedy już prawie dotarł do schodów, Dżaggu zawołał za nim:

– Are, jak cię tam zwa, chodź z nami. – Adil próbował się wymówić, ale Dżaggu nie chciał słuchać jego protestów, tego, że musi się uczyć i przygotowywać do zajęć. – Nie bądź taki sarial – powiedział. – Mamy już bilety. Idziesz z nami, harami.

Pieszczotliwe wyzwisko w ustach Dżaggu było jakoś przekonywujące i Adil bez słowa protestu poszedł wraz z innymi. Przedstawienie było

beznadziejne, nawet Adil, który nigdy wcześniej nie widział żadnej sztuki, zauważył, że to fatalnie odegrany melodramat o prześladowanych synowych, do którego na siłę wepchnięto szczęśliwe zakończenie. Mimo wszystko jednak odczuwał jakąś ogromną przyjemność, siedząc na drewnianej ławce w zaciemnionym pomieszczeniu i wymieniając dowcipne uwagi, rechocząc i zajadając tłuste samosy. Po spektaklu poszli do restauracji, gdzie zjedli kurczaka i tanduri roti. Adil odmówił proponowanego piwa, ale pozwolił sobie na coca-cole. Szczypiący smak napoju spowodował, że odprężył się, śmiał się z dowcipów Dźaggu, a nawet sam opowiedział historyjkę o starym Ramdasie, rolniku z Radźpuru, który nie chciał przyjąć do wiadomości, że ktoś mógł wylądować na księżycu. Chociaż zostali do późna i wracali do domu przez puste ulice, następnego dnia rano Adil obudził się zupełnie wypoczęty. Rozpoczął dzień, czując, że z jakiegoś niewiadomego powodu jest mu lekko na duszy, a praca idzie mu z łatwością. Po powrocie do akademika przez godzinę siedział przy bramie z Dźaggu i innymi kolegami.

Stało się to codziennym zajęciem Adila. Był zdyscyplinowany i codziennie wcześnie rano wychodził na zajęcia, ale wieczorami przesiadywał z chłopakami, rozmawiając o polityce, korupcji, filmach, wydarzeniach międzynarodowych, zmianach klimatu, o kobietach i krykcie. Rozmowa toczyła się wartko, w mieszaninie języków hindi, bhođpuri i magahi, z wtrącanymi gdzieniegdzie angielskimi słowami. Czasami Adil nie odzywał się, jeśli nie rozumiał aluzji lub nie nadążał za zbyt szybkim slangiem. Dzięki tym spotkaniom, dzięki wieczorom spędzonym w restauracjach, uzmysłowił sobie, jak niewiele wiedział o życiu swoich nowych znajomych o ludziach, którzy nie mieszkali w Ansari Toli. Chociaż tak dużo czytał, jego świat był bardzo ograniczony, i to nie tylko z powodu niewielkiej wielkości Radźpuru. Spotkawszy chłopaków,

którzy dorastali w domach z telewizorami, dla których motocykle i wyjazdy do Kalkuty były czymś zupełnie normalnym, których rodzice prenumerowali gazety i czasopisma, Adil zrozumiał, że ubóstwo to jakiś zupełnie odmienny kraj, że jest cudzoziemcem niezdarnie stąpającym po nieznanych okolicach. Ale szybko się uczył i bardzo przykładał do tej nauki. Panicznie bał się niezręcznych sytuacji, był więc nieśmiały i niechętnie się spoufalał. Ale Dżaggu zawsze pukał do jego drzwi i włączał go do wszystkich planów grupy.

– Wstawaj, Dilip saab – mówił. – Czas się zbierać.

Dżaggu uparcie twierdził, że Adil wygląda dokładnie jak młody Dilip Kumar, łącznie z łagodnym głosem i dramatycznym mamrotaniem.

– Wystarczy ci włożyć broń do ręki – powiedział kiedyś – i będziesz wyglądał, jakbyś wyszedł prosto z *Gangi Dżamuny*.

Adil rozumiał, iż w słowniku Dżaggu oznacza to wielki komplement. Ale zważywszy na to, że Dżaggu uważał, że on sam jest jak dwie krople wody podobny do Jackie Shroffa, i z wyraźną przesadą naśladował swojego imiennika, Adil nie traktował tego komplementu zbyt poważnie. Dżaggu w równym stopniu był szczodry, jak i oszukiwał samego siebie. Szczerze wierzył, że studiując historię i angażując się w teatralne i poetyckie kręgi Patny, w pełni odrzuci swoje pochodzenie bhumihara i średniej wielkości zamindara, ale utrzymywał się z pokaźnych przekazów pieniężnych, które co miesiąc otrzymywał z domu. Mówił, że nie wierzy w podział według kast i wyznań, ale pewnego razu – późną nocą, po wielu butelkach piwa – zwierzył się Adilowi, że uważa ludzi z niższych kast za nieczystych.

– Oni się nie myją – szepnął mu w zaufaniu. – Sam rozumiesz, oni nie mają tego w swoich sanskarach. Temu chyba nie zaprzeczysz.

Nigdy nie powiedział Adilowi, czy muzułmanie się myją, ale najbardziej lubił patriotyczne filmy o walkach z Pakistanem. Namiętnie jadł kurczaki



tanduri i uważał, że historyczne relacje powinny być oparte na potwierdzonych faktach i dowodach archeologicznych, ale potrafił wpaść we wściekłość, kiedy przeczytał w gazecie o profesorze, który w swojej książce dowodził, że wedyjscy hindusi jedli wołowinę.

– To wszystko spisek – mruzczał pod nosem, z pąsową twarzą – jakiś maderćodowy plan. – Nie powiedział, kto miałby być autorem tego planu, a Adil nie zapytał go o to. To rozumiało się samo przez się.

Mimo to Dźaggu był serdecznym i wiernym przyjacielem. Chętnie pomagał Adilowi i innym kolegom z akademika, organizował wspólne wyjścia, a jeśli ktoś był chory, siadał na swój motor i jechał po lekarstwa. Chociaż nie był na wydziale Adila, zbierał plotki o profesorach Adila i służył mu radą w sprawach układów w kręgach naukowych. Stale służył wsparciem i Adil cieszył się, że ma takiego powiernika. Nikomu nie chciał się do tego przyznać, nawet Dźaggu, ale było mu bardzo ciężko na uniwersytecie, a z czasem rozbiło się coraz trudniej. I nie chodziło tylko o same studia i badania, które kosztowały Adila wiele godzin, wysiłków i energii. Z tym potrafił sobie poradzić, chociaż obecnie rywalizował z chłopakami naprawdę zdolnymi, a nie z jakąś obszarpaną zbieraniną prymitywów z Radżpuru. Wykańczał go brak pieniędzy. Jak można czytać, koncentrować się na tekście, jeśli żołądek skręca się i boli z głodu? Z każdym tygodniem kurczyły się niewielkie, przechowywane w banku rezerwy gotówki Adila. Zawsze były jakieś nieoczekiwane wydatki, jakieś opłaty, zbiórki w akademiku czy antybiotyki na nagłą gorączkę. Pojawiały się książki, które nie zostały ujęte w programie nauczania, ale które profesorowie mimochodem uznali za niezbędną lekturę do egzaminu. A do tego doszły nowe pragnienia, teatr, obiady w restauracjach, a może nawet coca-cola. Ale rupie szybko znikwały, więc Adil walczył, starając się ograniczyć wydatki. Nie miał jednak już co ciąć i miał wrażenie, że

narzucona samemu sobie dyscyplina wpija się już w jego własne ciało. Cierpiał i skrywał swoje cierpienie.

– Beta, co się dzieje z twoimi włosami? – zapytał go pewnego wieczoru Dżaggu, chwytając Adila za ramię i przyciągając do siebie, żeby bliżej się przyjrzeć jego głowie. Siedzieli na murku przed akademikiem, czekając na resztę grupy, z którą mieli pójść do kina w Aśoku.

– Z moimi włosami? Nic szczególnego – odparł Adil. Pogłaskał przedziałek, uspokojony obfitością czupryny.

– Jar, całe robią się białe.

– Nie.

– Przecież ci mówię.

– Są takie same. Już od dawna takie są.

– Nie, nie. Zupełnie białe, mówię ci. Sam zobacz.

Wrócili do akademika i weszli na piętro do pokoju Dżaggu, w którym było wiele luster. Dżaggu ustawił Adila przed lustrem wiszącym na ścianie, a drugie przytrzymał za jego głowę.

– Spójrz – powiedział.

Adil popatrzył i zauważył, że rzeczywiście tył jego głowy był bardzo biały. Z tyłu wyglądał jak stary mężczyzna.

– Wydaje mi się, że to rozprzestrzenia się od tyłu do przodu – stwierdził Dżaggu. – Ale nie ma się czym martwić. – I od razu zaczął wymieniać całą listę farb do włosów, wyrażał opinię o zaletach poszczególnych produktów i instruował Adila, jak ich używać. Oburzył się, kiedy Adil tylko pokręcił głową i stwierdził, że nie będzie farbował włosów.

– Ale dlaczego, bhai, dlaczego? Pytam, dlaczego? Przecież to zupełnie łatwe. Nie musisz tego robić codziennie. Musisz o siebie zadbać, a ty nie chcesz zrobić czegoś tak drobnego.

Adil trzymał Dżaggu za nadgarstek i, uśmiechnąwszy się tylko, pokręcił głową i poprowadził go na dół, z powrotem do bramy, do reszty chłopaków. Nie mógł przecież tłumaczyć Dżaggu, że zakup farby do włosów, nawet raz na miesiąc, byłby wydatkiem nie do wytrzymania, luksusem zarezerwowanym dla ludzi innych niż Adil. Dżaggu, który co dwa tygodnie wyrzucał szczoteczkę do zębów, ponieważ uważał, że jest zniszczona i wytarta, nie mógł wiedzieć, co to znaczy żyć, nie dysponując przez cały czas grubym zwitkiem rupii. Nie brakowało mu inteligencji, współczucia ani przenikliwości. Po prostu był inny, nie mógłby tego zrozumieć, a Adil nie powinien mieć mu tego za złe. Adil nie mógł mu również powiedzieć, że rzeczywiście już od wielu dni czuje się jak starzec. Być może Adil przedwcześnie się postarzał i dlatego też w jego żyłach sączyło się to wyczerpujące znużenie. Każdego ranka zmuszał się, żeby wstać z łóżka, walczył ze zmęczeniem podczas wykładów, nauki, egzaminów. To wyczerpanie nie ograniczało się jedynie do jego mięśni czy komórek, z tym mógłby sobie poradzić, odizolować to, opanować i zwalczyć. Ale on czuł się wewnętrznie zrujnowany, przygniatał go jakiś ciężar, pozostawiając mu tylko strzępy woli, stalowej, ale kruchej. Był na krawędzi załamania, ale musiał to przetrzymać. I to mu się udało. Wytrzymał to wszystko i z końcem roku akademickiego, kiedy egzaminy były już zdane i snuto plany na przyszłość, Adil miał już tego dość. Chciał wrócić do domu.

– Dlaczego? – zapytał go Dżaggu. – Do czego chcesz wracać? Musisz zrobić doktorat, to jedyne, co możesz zrobić.

Doktorat był niezbędny, jeśli absolwent chciał zostać wykładowcą, a tego właśnie chciał Adil. Ale opłacanie nauki na kolejny stopień naukowy, przez następne trzy lub cztery lata, przerastało go, już nie był w stanie ciągnąć dalej. Może istota ludzka ma ograniczony potencjał, pomyślał, a on tak bardzo starał się od pierwszej klasy, i potem przez te wszystkie lata, że nie

miał już sił. Wiedział, że nie może już jeździć ciężarówkami, że nie ma sił rezygnować z kolejnych posiłków czy pożyczać książek, za każdym razem obiecując solennie, że zwróci je przed świtem. Próbował wytłumaczyć się przed Dźaggu.

– Jestem po prostu zmęczony.

Dźaggu rozzłościł się na jego słowa.

– Co to ma znaczyć, co to za lenistwo? Wydawało mi się, że masz więcej zapału. Jak możesz zaprzepaścić całe lata nauki? Przynajmniej spróbuj.

Po raz pierwszy w życiu Adil poczuł ponurą wściekłość na Dźaggu, na przyjaciela, który z taką łatwością ukończył jedno studia i wybierał się na następne, który niewątpliwie śpiewająco ukończy i te drugie, który uzyska doktorat, a stanowisko wykładowcy po prostu wpadnie mu w ręce. Będzie uważał, że naprawdę ciężko zapracował sobie na te nagrody, będzie wierzył, że musiał się poświęcać i pracować w pocie czoła. Z pewnością pewnego dnia, siedząc w towarzystwie kolegów profesorów w jakimś przyjemnym pokoju wykładowców, opowie historię swojego znajomego Adila, biednego chłopaka ze wsi, któremu zabrakło hartu ducha, żeby ukończyć edukację. Ach, ci ludzie, powie, a potem tylko westchnie i napije się ćaju. I ten Dźaggu, ten wielkoduszny, prawy i oburzony Dźaggu stał właśnie przed nim. Adil chciał go spoliczkować.

Ale tylko odwrócił się do niego plecami. Jeszcze przez trzy tygodnie znosił usilne prośby i drwiny Dźaggu, a potem pojechał do domu, do Radźpuru. A tam, na bazarze, zaczęto dyskutować i spierać się, co mogło się przydarzyć Dibbie w Parnie. Niektórzy uważali, że mu się nie udało, inni sądzili, że nawet nie pojechał do Patny. W przeciwnym razie po cóż miałby wracać, podobno tak wykształcony, i pracować w polu? Taką zagadkę próbował rozwiązać Radźpur, a niektórzy z bardziej ciekawskich nawet wybierali się do Ansari Toli, żeby zobaczyć Adila na polu, jak ubrany

w lungi w pocie czoła pracuje obok swojego ojca. Adil lekceważył wszelkie pytania i szyderstwa i trzymał się na uboczu. Rzadko przychodził do miasta, czasami tylko kupował nasiona i nawóz, i zaraz wracał do domu. Mijały kolejne miesiące i znudzeni Dibbą bazarowi kpiarze zajęli się innymi sprawami. Zainteresowanie ponownie wzrosło, kiedy stało się jasne, że Dibba zamierzał uzyskać wyjątkowe plony z tego małego skrawka ziemi patii w pobliżu Ansari Toli. Po wiosennych żniwach w Radźpurze często kiwano mądrymi głowami.

– Ten mały Dibba zwróci swojemu ojcu wszystkie pieniądze wydane na Patnę. Ze swoich upraw ekfasli Dibba uzyska dwa zbiory. Stary Nur musi być szczęśliwy.

Ale Nur Mohammed nie był szczęśliwy. Był przerażony. W trakcie zbierania plonów Adil zauważył, że ich ziemia się skurczyła. Sąsiednie pole należało do Nandana Prasada Jadawa i podczas żniw okazało się, że to pole, na całej długości przylegającej do ziemi Nura Mohammeda, poszerzyło się o piętnaście centymetrów. Ludzie Nandana Prasada Jadawa zebrali plony, a kiedy już skończyli, rozdzielający dwa gospodarstwa adda ni z tego, ni z owego przesunął się piętnaście centymetrów na zachód. Jedno pole rosło, a drugie malało. Kiedy Adil zwrócił na to uwagę, początkowo Nur Mohammed twierdził, że to nieprawda. Wtedy Adil zdenerwował się i, zaprowadziwszy ojca na tę granicę, pokazał mu, w którym miejscu teraz przebiega, że po ich stronie jest bliżej drzewa babul, a po stronie ziemi Nandana Prasada Jadawa dalej od pompy. Nur Mohammed nie mógł już zaprzeczać. Przyznał, że zabrano im ziemię, ale prosił Adila, żeby za żadne skarby nic z tym nie robił.

– My jesteśmy bardzo malutcy – powiedział. – A oni są wielcy jak słonie.

Adil zachował spokój. Na tle odległej, unoszącej się nad rzeką mgiełki płonęły żółte kwiaty drzewa babul.

– Ile nam wzięli? – zapytał.

– Mówiłeś, że tyle, kja? – odparł Nur Mohammed, pokazując stwardniałą dłoń z rozciągniętymi palcami.

– Nie – Adil wziął ojca za rękę. – Ile w sumie wzięli przez te wszystkie lata?

Nur Mohammed spojrział na posiadłość Nandana Prasada Jadawa, rozciągającą się aż po wzniesienie i sięgającą do drogi. Nie musiał tego mierzyć, wiedział dokładnie.

– Kiedyś mieliśmy półtora bigha. Jeden bigh zabrali, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Mój abba pożyczył pieniądze i podpisał dokument.

– Jaki dokument?

– A kto to może wiedzieć? Nie mógł zapłacić, więc wzięli ziemię.

Nur Mohammed nie wiedział, kto teraz może mieć ten dokument ani gdzie można go znaleźć.

– Beta – powiedział. – Ta ziemia teraz należy do nich. Jest ich.

Adil pokazał na nową addę.

– A co z tym?

Nur Mohammed nie okazywał ani smutku, ani złości. Jego brwi i policzki były twarde, jakby wyrzeźbione w czarnym kamieniu.

– To też – odrzekł – należy do nich.

Odwrócił się i pomaszerował do Toli, jak zawsze, ani wolno, ani szybko.

Nur Mohammed zaczął się bać dopiero następnego dnia, kiedy okazało się, że Adil nie ma zamiaru, albo nie potrafi, siedzieć cicho. Tego ranka Adil wybrał się do Kurku Kothi, żądając spotkania z Nandanem Prasadem Jadawem. Po czterogodzinnym bezowocnym oczekiwaniu poszedł do thany policji w Radźpurze i chciał zgłosić przestępstwo, a kiedy pełniący służbę posterunkowy go wyśmiał, wrócił do Ansari Toli, wziął łopatę i począpał na pole. Godzinę później zobaczył go jeden z robotników pracujących na

polu Nandana Prasada Jadawa, jak zapamiętała kopie. Przesunął addę z powrotem o prawie pięć metrów. Po następnej godzinie do Ansari Toli przyszło dwóch ludzi z lathi i dwóch ze śrutówkami i porozmawiali z Nurem Mohammedem. Nur Mohammed wraz z dwoma kuzynami pobiegł na pole, gdzie zaczęli dyskutować i szamotać się z Adilem. Musieli siłą wyrwać mu łopatę. Przeklinał ich wszystkich, a ludzie Nandana Prasada Jadawa tylko się śmiali. Adil odszedł z pola. Nur Mohammed i jego kuzyni z powrotem przesunęli addę tam, gdzie była tego ranka.

Nazajutrz Adil poszedł do karamćariego, a stamtąd do inspektora okręgu. Wytworny sposób jego wyrażania się zdawał się na obu zrobić wrażenie i poradzili mu, żeby wytoczył sprawę o ziemię, a oni zainteresują nią okręgowego urzędnika, który w rzeczywistości był zastępcą poborcy, i z kolei on zainteresuje nią samego poborcę. Ani karamćari, ani okręgowy inspektor nic nie wiedzieli o wekslu podpisanym przez dziadka Adila, ale karamćari obiecał, że sprawdzi w rejestrze numer tej działki i zobaczy, czy coś tam można znaleźć.

Adil zrozumiał, że nic tam się nie znajdzie i że nic nie zostanie zrobione. Nie miał pieniędzy, żeby przekupić karamćari, nie dysponował też żadnymi wpływami, których mógłby użyć, żeby wywrzeć nacisk na okręgowego inspektora. W Ansari Toli brakowało i ludzi, i woli, żeby pokonać Nandana Prasada Jadawa. Utracona ziemia nigdy już nie zostanie odzyskana. Było to dla niego tak jasne, jak to, że Milani płynie z zachodu na wschód, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Zdawał sobie sprawę, że w Radźpurze rządy prawa są tylko złudzeniem, w które nawet dzieci nie wierzą, ale nie potrafił odnaleźć w sobie tego hartu ducha, jaki mieli jego rodzice. Już nie potrafił siedzieć cicho. Idąc na bazar, ze złością mówił o Nandanie Prasadzie Jadawie. Wyzywał go od złodziei i sukinsynów. W Patnie nigdy nie pił piwa, ale teraz zaczął sięgać po tari. Jego krewni często teraz widywali go,

jak, zataczając się, idzie drogą do Ansari Toli. Siadywał nad przepustem, mówiąc do siebie i obrzucając wszystkich przechodzących ludzi gniewnym spojrzeniem swoich zaczerwienionych oczu. Jego matka i ojciec błagali go, grozili mu, prosili maulwi, żeby z nim porozmawiał, ale nic nie mogło ukoić rozpachy Adila. Matka nalegała, żeby się ożenił, uważała, że żona i obowiązki uspokoją go, ale żaden rodzic nie był skłonny oddać swojej córki powszechnie znanemu szaleńcowi, niezależnie od jego wykształcenia.

Adil nadal codziennie wytrwale pracował na polu. Każdego dnia przechodził wzdłuż addy, upewniając się, że nikt go znowu nie przestawił. Pewnego wieczoru, w sierpniu, spotkał dwóch mężczyzn, czekających na niego na końcu pola. Jeden z nich był wysoki, miał niesamowicie umięśnione przedramiona i bardzo agresywny wygląd. Ale najwyraźniej przywódcą był ten drugi, niski, ciemny i z okrągłą twarzą.

– Ty nazywasz się Adil Ansari? – zapytał, trzymając się za końce swojego gamcha i kołysząc się na piętach.

– Zgadza się.

– Lal Salam. Jestem Kişore Paswan.

Adil nie za bardzo wiedział, jak zareagować na uniesioną pięść Kişore Paswana. Nigdy wcześniej nie spotkał się z czerwonym pozdrowieniem, więc pokręcił ręką i przyłożył ją do piersi. Wyglądało na to, że Kişore Paswanowi to nie przeszkadza. Z uśmiechem patrzył na Adila.

– Słyszałem, że masz spore kłopoty.

– Kim jesteś? – W okolicy Radżpuru nigdy nie kręcili się naksalici i Adil wcześniej nie słyszał o Kişore Paswanie.

– Już mówiłem, kim jestem. Nazywam się Kişore Paswan Dżansewak. Chodź. Powiedz mi, co się stało.

Kişore Paswan wziął Adila pod ramię i poprowadził go na skraj pola, gdzie razem kucnęli w cieniu drzewa. Paswan miał bardzo łagodny głos, a



jego sposób bycia działał jakoś kojąco. Adil sam nie wiedział, kiedy opowiedział mu całą historię, i to nie tylko o zagrabionej ziemi, ale o ciężkim losie w szkole podstawowej i o czasie spędzonym w Patnie. Paswan wysłuchał go, a potem opowiedział Adilowi o sobie. Pochodził z okolic Gaya, był synem robotników dorywczo zatrudnianych na godziny. Jego rodzina czynnie działała na rzecz zniesienia feudalizmu, a ojciec, jeden z naksalitów, pracował z wielkim rewolucjonistą Čanderem Ghoszem. Kiedy Kiśor Paswan miał trzy lata, jego ojciec i Čander Ghosz zostali zastrzeleni przez przebranego za biznesmena policyjnego agenta. Nic dziwnego, że Paswan od wczesnej młodości był zaangażowany politycznie, walczył przeciwko stosowanemu przez wyższe klasy i państwo uciskowi. Historia odmieniła go w Kiśora Paswana Dżansewaka. Obecnie był funkcjonariuszem w Ludowej Radzie Rewolucyjnej, będącej jawną, legalnie działającą organizacją, której celem było polepszenie losu najbiedniejszych.

– Jesteśmy oddani sprawie sprawiedliwości, mój przyjacielu – powiedział Kiśore Paswan. – Jeśli interesujesz się polityką, jesteś z nami. Jeśli jesteś człowiekiem inteligentnym, nie masz wyboru, musisz być z nami. Chcemy zjednoczyć cały proletariat. Członkami naszej organizacji są przedstawiciele wszystkich kast, wszystkich religii. Wśród naszych przywódców są nawet bramini. To nie ma żadnego znaczenia. Jeśli zdajesz sobie sprawę ze struktury ucisku, nie masz wyjścia, musisz przyłączyć się do nas.

Kiedy Kiśore Paswan zaczął przedstawiać tę strukturę, Adil zauważył, że jego rozumowanie jest w pełni logiczne. Nie było dla niego niczym nowym, że w Radźpurze wciąż istnieje feudalizm, nie ulegało wątpliwości, że reakcyjne klasy uciskają proletariat. Ale kiedy Paswan zaczął wprowadzać go w subtelności marksizmu, leninizmu i maoizmu, Adil zauważył, że

teoria dokładnie pasuje do faktów. Oczywiście Adil słyszał już o Marksie, idee Lenina omawiał z kolegami z akademika, ale zbyt było zajęty zoologią, żeby zagłębiać się w prace Mao, żeby czytać i badać, żeby zrozumieć długi marsz Wielkiego Sternika Narodu i tę wiosenną burzę, którą kiedyś jego partia wzbudziła nad Indiami. Adilowi zdawało się, że to, co teraz mówi mu Paswan, niesie w sobie jakąś naukową elegancję. Oczywiście, to było jasne. Państwowe instytucje z natury rzeczy były reakcyjne, a ich działania definiowane przez pozycję klasową tych, którzy nimi sterowali. Policję i inne organy wykonawcze państwa wykorzystywano do niszczenia i tępienia rozwijającej się walki klasowej bezrolnych chłopów. To, co w reakcyjnych gazetach zawsze określano mianem „problemu prawa i praworządności”, w rzeczywistości stanowiło naturalny efekt systemu społeczno–politycznego, który był odpowiedzialny za biedę, bezrobocie, analfabetyzm i ogólne zacofanie ponad dziewięćdziesięciu procent ciężko pracującej ludności, w większości zamieszkałej na terenach wiejskich, jednocześnie przynosząc ogromne bogactwa i luksusy garstce pasożytniczych klas w miasteczkach i dużych miastach. Celem walki klasowej było wyeliminowanie feudalizmu i biurokratycznego kapitalizmu. Sprzeczności obecnego, podzielonego klasowo społeczeństwa skutkują jego zniszczeniem, prowadząc do prawdziwie bezklasowego społeczeństwa na ziemi. Sama dialektyka stworzy niezbędny, kolejny etap, prawdziwy raj robotników. Z tym nie sposób polemizować. To nieuniknione.

Paswan mówił szybko, ani na chwilę nie przerywając. Jego słowa spływały na Adila jak oczyszczający lek, wypalając z jego umysłu i serca resztki burżuazyjnych złudzeń. Zdał sobie w tym momencie sprawę, jakie to śmieszne, żeby pokładać nadzieję w tak zgniłym systemie. Ufanie

klasom reakcyjnym to oznaka słabości i ciemnoty. Adil chciał w tym wszystkim uczestniczyć, w jakiś sposób wziąć udział w rewolucji.

– Łatwo powiedzieć – stwierdził Paswan – ale trudno to zrobić.

– Zrobię wszystko.

– To dobrze. Pamiętaj – powiedział bardzo poważnie Paswan – najpierw rewolucjonista musi stoczyć bitwę z własną niewiedzą i złymi nawykami. Oczekujemy ni mniej, ni więcej, tylko wzorowej postawy społecznej, godnej prawdziwego rewolucjonisty. Musisz panować nad sobą. Stale musisz sprawdzać i siebie, i swoje poczynania, i w pełni oddać się walce. Tylko taką postawę akceptujemy.

Adil natychmiast, tego samego dnia, przestał pić tari. Nigdy już po nie nie sięgnął. Poświęcił się walce. Towarzysz Dżansewak polecił mu, aby zaczął kształcić biednych w Radźpurze i okolicy, w celu podniesienia świadomości rewolucyjnej, i żeby dalej uprawiał rolę i nie tracił ducha. W ten sposób wzmocniony, Adil pracował dalej. Z poparciem LRR i wraz z towarzyszem Dżansewakiem Adil ponownie wybrał się do karamćari, który tym razem był wyjątkowo chętny do pomocy i skuteczny. Bezzwłocznie wytoczono Nandanowi Prasadowi Jadawowi proces o zabór ziemi.

Tydzień później okazało się, że Adil nie ma wody. Woda służąca do nawadniania jego pola pochodziła z rzeki na wschodzie i przepływała przez ziemię Prema Śankera Dźha. Ten układ obowiązywał już od całych dziesięcioleci, od wielu pokoleń. Ale teraz Prem Sanker Dźha zamknął wąski kanał i stwierdził, że potrzebuje tej ziemi pod uprawę, a przepływająca przez jego pole woda stanowi zbyt wielkie obciążenie, którego nie miał już zamiaru znosić. Nie chciał słuchać żadnych argumentów. Tym razem Adil nie zamierzał już prosić. Stosunki między Premem Sankerem Dźha a Nandanem Prasadem Jadawem nie układały się najlepiej. Rywalizowali o wpływy, pieniądze i ziemię, a popierani przez

nich kandydaci polityczni czasami się ścierali. A jednak teraz się dogadali. Jak zauważył towarzysz Dżansewak, jest to charakterystyczne dla świata kapitalistycznego, najwięksi wrogowie zostaną braćmi, żeby bronić interesów klasowych. Nie martw się, powiedział towarzysz Dżansewak Adilowi, będziemy walczyć.

Ale w następny poniedziałek Adil został aresztowany. O piątej rano wyrwano go z ciężkiego, nerwowego snu i zabrano do thany. Tam czekało już na niego zgłoszenie przestępstwa – niejaki Adil Ansari, działając w zмовie z grupą jedenastu nieznanym mężczyzn, otoczyli dwóch posterunkowych przy ćauki Garhi i ich obezwładnili. Następnie napastnicy włamali się do zbrojowni w ćauki i zbiegli z dziewięcioma karabinami Lienfield kaliber .303 i czterysta sześćdziesięcioma sztukami amunicji. Chociaż dwaj policjanci byli spętani i mieli zawiązane oczy, wyraźnie widzieli prowodyra tej grupy i rozpoznali w nim osławionego przywódcę Naxalite, Adila Ansari.

Na podstawie tego kłamstwa Adil został tymczasowo aresztowany na dziesięć dni. Policjanci bili go codziennie, pasami, a także smagając go lathi w pięty. Nur Mohammed krzyczał jak szalony pod bramą Nandana Prasada Jadawa, i całymi dniami przesiadywał przed thaną i tam płakał. Po dziesięciu dniach odrzucono wniosek Adila o zwolnienie za kaucją, argumentując, że stanowił zagrożenie dla społeczeństwa w ogólności, a szczególnie dla dwóch świadków jego przestępstwa. Wysłano go sto kilometrów na południe, do Hasli Adarś Kary, żeby tam oczekiwał na proces. Następne dwa lata i trzy miesiące Adil spędził w tym areszcie. Tymczasem ustanawiano kolejne daty procesu i je odwoływano, a to dlatego, że ci dwaj posterunkowi nie mogli stawić się w sądzie, żeby złożyć zeznania. Najpierw obaj byli chorzy, potem wysłano ich na placówkę przy granicy nepalskiej, a później znowu byli chorzy. Po prostu byli nieosiągalni.

A proces, co rozumiałe, musiał się odbyć, więc trzymano Adila w areszcie. Sam był zdziwiony swoją cierpliwością i dobrym nastrojem w tym cuchnącym, popadającym w ruinę gmachu, który złamał już tylu ludzi. Areszt zbudowano przed pięćdziesięciu laty i miał mieścić sześciuset więźniów, ale obecnie przebywało w nim dwa tysiące zatrzymanych. Jedzenie śmierdziało zgnilizną, a gorączki i czerwonka zbierały stałe żniwo. Ale Adil nigdy nie wpadł w depresję, nigdy się nie bał. Przestał już się modlić, nie robił tego już w ogóle. Poświęcił się studiowaniu marksizmu, leninizmu i maoizmu oraz zapoznawał się z kampaniami, które chłopcy i robotnicy toczyli w różnych miejscach świata. Czytał broszury i książki, które przysyłał mu towarzysz Dżansewak, edukując wszystkich ludzi, z którymi się zetknął. W areszcie Hasli Adil szybko zyskał sobie przydomek Profesora, który później zabrał ze sobą na wolność.

Adil wraz z czterema innymi więźniami uciekł pewnego grudniowego poranka, kiedy tamtejszy region był wizytowany przez premiera stanu. Wielu pracowników aresztu wysłano do pełnienia służby na drogach i do zapewnienia bandobastu dla premiera, a w więzieniu pozostała tylko szczątkowa załoga. Adil i jego koledzy za więzienną pralnię obezwładnili dwóch strażników, a potem wspięli się na mur, za pomocą drewnianych półek i splecionych sznurów z prania, które utworzyły prowizoryczne drabinki. Dwa dni później Adil był już w Radźpurze i rozmawiał z towarzyszem Dżansewakiem.

– Chcę dorwać tych sukinsynów – powiedział.

– Jesteś tego pewien? – zapytał towarzysz Dżansewak. – Jeśli zabijesz dwóch policjantów, zawsze będziesz uciekał.

– Już zacząłem ucieczkę. Nie martw się. Już podjąłem decyzję. Wszystko zostawiłem za sobą.

Cztery dni później Adil zabił dwóch posterunkowych wymienionych w zgłoszeniu przestępstwa. W wybuchu zginęło pięciu policjantów, ale Adila interesowało tylko tych dwóch jego oskarżycieli. Pozostali stanowili dodatkową korzyść. Towarzysz Dżansewak skontaktował Adila z Komitetem Walki Ludowej, zbrojnym ramieniem LRR. To KWL dysponował niezbędnymi danymi wywiadowczymi i wyposażeniem potrzebnym do wykonania tego zadania. Wiedzieli, że inspektor wraz z czterema posterunkowymi będą jechać dżipem do wioski Ganti, w celu przeprowadzenia dochodzenia w sprawie starcia między dwoma rywalizującymi o ziemię grupami. Przez trzy dni ukryci zwiadowcy KWL obserwowali drogę gruntową, którą policja miała jechać. Czwartego dnia, o jedenastej rano, zauważono zbliżającego się dżipa policyjnego. Potwierdzono, że dwaj posterunkowi Adila znajdują się na tylnym siedzeniu. Pojazd minął punkt obserwacyjny, i kiedy tylko zniknął im z oczu, ludzie z KWL i Adil zabrali się do pracy. Adil obserwował członków KWL, którzy umieszczali minę lądową na drodze. Używali do tego lasek RDX, na które mówili „żelatyna”. Dowódca plutonu uśmiechał się, wkładając zawierającą ładunek wybuchowy puszkę po oleju Dalda do wykopanego dołu. Ze względu na bezpieczeństwo operacji Adilowi nie podano imion członków plutonu.

– Profesorze, czy wiesz, co to jest? – zapytał dowódca plutonu.

– Wiem.

– I mimo to stoisz tak blisko?

– Towarzysz Dżansewak powiedział, że jesteś ekspertem.

Dowódca plutonu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Adil pomógł mu rozwinąć czarny przewód, pociągnęli go za drogę, przez addę i jeszcze dalej. Dwóch ludzi przeszło wzdłuż przewodu, żeby zasypać go ziemią. Potem wszyscy położyli się za wzniesieniem, ludzie z KWL mocno

przycisnęli do piersi swoje karabiny. Słońce uniosło się wysoko nad nimi, a oni trwali w oczekiwaniu. Adilowi głowa pękała z bólu. Dowódca plutonu opowiedział mu o ataku na kopalnię w Singhbhum, który przyniósł im tysiąc dwieście lasek żelatyny. Dalej czekali. O drugiej trzydzieści nadszedł sygnał od zwiadowcy ze wschodu.

– Nadjeżdża dżip – powiedział dowódca plutonu. – Sam chcesz to zrobić? – Uniósł koniec czarnego przewodu, rozdzielonego na dwie żyły. Przed nim znajdował się czerwony akumulator samochodowy. – Trzeba to zrobić w odpowiednim momencie. Chwilę za wcześnie lub za późno i nic z tego nie będzie.

Adil pokręcił głową. Chciałby to zrobić, ale przede wszystkim chciał mieć pewność. Ręce mu drżały i nie wiedział, czy będzie potrafił poradzić sobie z obliczeniami tego poruszającego się obiektu, odległości i prawie natychmiastowego działania elektryczności. Adil słyszał, jak dżip się zbliża, podskakując po drodze. Zdawało, że już minął miejsce, które Adil wybrał na lokalizację miny, ale w tym momencie auto zniknęło w białobrunatnym spazmie ziemi, który zmusił Adila do zamknięcia oczu. Kiedy zamrugał i je otworzył, ujrzał chmurę czarnego kurzu i dymu oraz poczerniały metalowy kadłub rozbijający się gdzieś daleko od drogi, po tej stronie, gdzie znajdował się pluton KWL. Ludzie wiwatowali i gwizdali.

– Dwanaście metrów – odezwał się dowódca plutonu. – Poleciał przynajmniej dwanaście metrów.

Adil pobiegł za nimi, w uszach wciąż mu dzwoniło, kiedy wraz z innymi ruszył do przodu. Spadł na niego drobny deszcz papieru, a powietrze wypełnił zapach benzyny. W tym momencie Adil dostrzegł ciało policjanta, a w zasadzie tylko jego połowę. Buty i nogi były zupełnie nienaruszone, a brązowy skórzany pas wciąż jeszcze zachował swój blask. Ale powyżej pasa widać było tylko kłębowisko wnętrzości i nic więcej. Adil poczuł, że

coś chwyta go za gardło, i musiał się odwrócić. Opanuj się, powiedział do siebie. Przeprowadziłeś wiele dysekcji. To przecież nic nowego.

– Na początku zawsze jest trudno – odezwał się dowódca plutonu. Kopnięciem odtrącił tłącą się jeszcze metalową rozpórkę i pochylił się, żeby przyjrzeć się kolejnemu, leżącemu pod spodem ciała. Znajdująca się za nimi karoseria dżipa pokryta była cienką warstwą rozochoconych błękitnych płomieni. – Nie przejmuj się. Przyzwyczaisz się. Pewnego dnia sam to zrobisz.

– Ja się nie przejmuję – odparł Adil. Mdłości, które przed chwilą go męczyły, były tylko spazmem ciała, a jego mózg i tak wiedział swoje. Policjanci to wrogowie klasowi i należy ich eliminować. Tu nie było żadnego wyboru.

Zgodnie z własnymi przewidywaniami Adil przyzwyczał się do zabijania. Działał głównie w Bhagalpurze i Mongerze. Towarzysz Dżansewak uważał, że zbyt dobrze znano go wokół Radżpuru, a ponadto obecnie zbyt wielu informatorów i wrogów było osobiście zainteresowanych wyrządzeniem mu krzywdy. Adil toczył więc swoją wojnę z dala od domu. Nosił karabin i nóż rampuri, ale jego głównym zadaniem było prowadzenie edukacji i indoktrynacja. Przenosił się z wioski do wioski, poruszając się głównie nocą i nigdy za dnia nie przekraczając otwartego pola. Prowadził lekcje dla chłopów, zbierając ich o północy przy świetle jednej latarni. Opowiadał im ich własną historię i przedstawiał wizję przyszłości: równość, dobrobyt, żadnych właścicieli, długów, każdy człowiek panem swego losu.

Z każdym tygodniem Adil cieszył się coraz większym zaufaniem dowódców KWL. Ponieważ był Profesorem, nigdy nie dowodził oddziałem, ale szybko awansował, stając się zaufanym taktykiem. Kapitałiści dysponowali swoimi armiami, a policja siłą i brutalnością, i tak



ta gra toczyła się na wzgórzach i nadrzecznych labiryntach diary. Adil planował operacje, egzekucje, które stanowiły odpowiedź na masakry, zasadzki na konwoje policji, porwania inżynierów i lekarzy. Odkrył w sobie instynktowny talent do prowadzenia kontrataków, do stosowania manewrów mylących, do podstępów i forteli. Rozkoszował się sukcesem swoich planów, nie był też obojętny na wyrazy podziwu swoich towarzyszy, więc szkolił się, aby być dobrym żołnierzem. Już nie mdlił go zapach ludzkiej krwi. Wziął udział w kilku operacjach, a przede wszystkim w zasadzce na składający się z ośmiu policyjnych pojazdów konwój, który wracał po przeprowadzeniu dochodzenia w sprawie zabójstwa sarpanća.

Ogarnęła go jakaś rozgorączkowana euforia, kiedy strzelał z karabinka automatycznego w ubrane w mundury khaki postaci, biegnące w dole po drodze, zupełnie zdezorientowane i przerażone minami, które wysadziły w powietrze ich trzy pierwsze ciężarówki. Plan w całości przygotował Adil. Ten sarpanć, który był informatorem i reakcyjnym pravicowcem, został stracony w wyjątkowo demonstracyjny sposób, ucięto mu głowę na środku wioski, we wtorek, kiedy był tam duży ruch. Sarpanć był bliskim znajomym lokalnego MLA, więc Adil wiedział, że policja wyśle pokaźny konwój w celu przeprowadzenia dochodzenia i przywrócenia spokoju. Dlatego też Adil wraz z dwoma oddziałami czekał na nich na drodze i w końcu się doczekał. Ostateczny wynik to trzydziestu sześciu policjantów zabitych, wielu rannych, a po stronie KWL żadnych ofiar. Profesor ponownie zdobył uznanie, ale po tym wydarzeniu Adil najbardziej cenił sobie wspomnienie karabinu tłukącego go w policzek i ten zapach prochu. Te doznania mówiły mu, że nie jest bezużyteczny czy osamotniony. Naparł ramieniem na pochylający się świat i z powrotem naprowadzał go na jego prawidłową oś.

Upływały kolejne lata. Bitwy nadchodziły i mijały jedna po drugiej. Odeszli rodzice Adila, jedno po drugim w ciągu niecałego miesiąca, podczas pewnej mroźnej zimy. Matka zmarła pogodna, wiedząc, że jej syn w końcu się ożenił. Żona Adila była od niego dużo młodsza. Na imię miała Dźhannu, pochodziła z Muśaharu, kształciła się do dziesiątej klasy i obecnie była zagorzałym ideologiem partii oraz sprytną, doświadczoną bojowniczką. Adil spotkał się z nią, kiedy przedstawiał w skrócie plan zadania dla jej oddziału w Singhbhumie. Wytykała mu błędy w planie, ale była pod wrażeniem jego siwych włosów i sławy człowieka oddanego sprawie. Pobrali się i Adila nagle owładnął żar szczupłego, brązowego ciała Dźhannu oraz pragnienie pewnego mięciutkiego miejsca u dołu jej szyi, tuż obok twardego mięśnia jej ramienia. Ale nie minęły dwa lata, a musieli się rozstać. Przydzielono jej stanowisko dowódcy oddziału w Hazaribagh; żeby się teraz z nią spotykać, musiał bardzo ostrożnie i sprytnie przysyłać wiadomości i podejmować niebezpieczne wyprawy. Ponadto Adil zastanawiał się, czy aby żona nie zaczęła podawać w wątpliwość jego oddania dla sprawy. Wciąż ciężko pracował, ale zauważył, że wraz ze wzrostem swojej wiedzy, zaczynał potrzebować czegoś więcej niż tylko prostych prawd. Nie był bynajmniej cynikiem, ale zdarzało się, że, leżąc w łóżku, lekko odprężony dotykiem jej włosów na policzku, rzucił jakąś uwagę na temat przywódców partii. Na przykład, kiedy skarżył się towarzyszowi Dźansewakowi, że wysyłają Dźhannu tak daleko, towarzysz Dźansewak stwierdził:

– Członek partii musi podchodzić do takich spraw spokojnie. Adilu, mój przyjacielu, może jednak małżeństwo to nie jest najlepszy pomysł dla żołnierza. My musimy wszystko poświęcić.

Adil wiedział jednak, że towarzysz Dźansewak ma nie jedną żonę, lecz dwie. Z jedną ożenił się dawno temu, jeszcze w dzieciństwie. I była też

druga, prawie jeszcze dziecko, słynąca swoją rozkwitającą urodą. Towarzysz Dźansewak trzymał ją w domu w Gaya, w trzykondygnacyjnej rezydencji wyposażonej w antenę satelitarną, z telewizorem w każdym pokoju i dwoma generatorami firmy Kirloskar. Adil wiedział o tym wszystkim i być może powiedział coś swojej żonie. I raz, tylko jeden raz, bardzo późno w nocy, szepnął coś do Dźhannu o tym całym zabijaniu, egzekucjach i akcjach odwetowych. Ona na to zacytowała słowa przewodniczącego Mao.

– Kraj trzeba zniszczyć i stworzyć na nowo – powiedziała i zeszywniała przy jego boku.

Adil wiedział również, skąd pochodzą pieniądze na tę rezydencję towarzysza Dźansewaka: zostały zabrane z podatków i opłat, które KWL ściągał z rolników i biznesmenów. Adil poznał zasady biznesu rewolucji. Przez jego ręce przepływała większość pieniędzy przesyłanych z dołu do góry. Zdawał sobie sprawę, że logistyka wojny wymaga funduszy, znał cenę kałasznikowa i koszt – liczony na tysiąc sztuk – amunicji. Pozostawały też inne wydatki, na wypłaty, broszury, podróże i lekarstwa. O tym wszystkim wiedział, ale czasami nie potrafił się powstrzymać od myśli, że to, co sam robił, dokąd zmierzał, jest niczym więcej, jak bezprawnym wymuszaniem. Brał pieniądze. Wręczał broń chłopcom i dziewczynom, mówiąc im, żeby przynieśli pieniądze. Starał się nauczyć swoich żołnierzy historii, ale zdawał sobie sprawę, że wielu z nich powtarza jego nauki dokładnie tak samo, jak śpiewają religijne hymny, bez żadnego zainteresowania i bez zrozumienia. Dźhannu w każdej rozmowie cytowała przewodniczącego Mao i codziennie ćwiczyła materializm dialektyczny, ale na każdą taką osobę jak ona przypadało dziesięciu chłopaków, dla których przewodniczący Mao był tylko mglistym, żółtym bogiem, dającym im broń. Jakiś sukinsyn zamindar zabrał im ziemię siłą swoich lathait, a teraz to oni

mieli karabin i dużo amunicji. Tylko tyle wiedzieli i więcej wiedzieć nie chcieli.

Adil zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę i wspominał o tym żonie, więc ją stracił. A jednak nie był kontrrewolucjonistą, nie był recydywistą. Jego idee były czyste jak woda w górskim strumieniu. Szczerze i absolutnie wierzył, wciąż wierzył w obiecaną przyszłość. Rewolucja zniesie wszelkie formy wyzysku, aż zostanie osiągnięty prawdziwie bezklasowy i bezpieczeństwa światowy komunizm. To było nieuniknione. Rewolucja będzie toczyć się dalej. Wyzwolenie bez rewolucji było niemożliwe, tak jak rewolucja bez wojny ludowej. To, co mogło wyglądać jak niedoskonałe urzeczywistnienie idei marksizmu, leninizmu i maoizmu, często podyktowane było tylko kwestiami praktycznymi. Doskonałość musiała być zdobywana za pomocą niedoskonałych środków. Zaletami uciemienionych były przebiegłość, podstęp i oszustwo. Obowiązkiem aktywistów było posłuszeństwo wobec dyktatu partii. Adil to wszystko akceptował i w to wierzył. Nie miał żadnych wątpliwości co do czystości celów partii – niezależnie od tego, ile zielonych sof towarzysz Dżansewak kupiłby swojej żonie – i chciał dalej służyć z najwyższym zaangażowaniem i energią. Mógłby oddać życie za partię i za przyszłe pokolenia robotników. On znał tylko walkę, ale oni poznają szczęście. To dla nich, i dla ich przyszłego życia, był gotów nie zważać na dodatkowe korzyści towarzysza Dżansewaka, na brzemie nakładane na chłopów i drobnych sklepikarzy, znosić egzekucje niepoprawnych grzeszników i ten cały rozlew krwi.

Zabijanie stało się dla Adila czymś powszechnym. W tym chaosie i hałasie zasadzek trudno było prowadzić rachubę, ale Adil obliczył, że własnoręcznie zabił z tuzin ludzi, może dwudziestu, a może jeszcze kilku. Ale nie więcej. Widział natomiast dużo więcej zabitych, pociskami, wybuchami, siekierami czy lathi. Nie był w stanie spamiętać tych

wszystkich zwłok, które oglądał, niewielkich stert ciała i szmat, które przekraczał. Wciąż kroczył do przodu, z twarzą zwróconą ku przyszłości, za sobą pozostawiając zmarłych. Początkowo każda śmierć, której Adil był świadkiem, stanowiła doniosłe wydarzenie, zmianę w świecie, uderzającą w niego z siłą objawienia. Zwracał baczną uwagę na symptomy, wykręcone ramię, otwarte oko, którego twardówka straciła swój połysk i zrobiła się czarno-żółta. Poszarzała siatkówka. Wówczas, dawno temu, każda z tych przemian stanowiła obietnicę wielkiej transformacji jutra, każdy zabity zapowiadał nadchodzące światło nowego dnia robotników. Ale kiedy teraz padały trupy, Adil już ich nie liczył. Śmierć była terenem, po którym stapał, stanowiła krainę jego istnienia. Żył wewnątrz śmierci, więc już jej nie dostrzegał.

To jednak życie wytrąciło go w końcu z tego stanu i kazało mu uciec od rewolucji, od towarzysza Dżansewaka, od KWL i Bihar. Dowódca plutonu, który zabrał Adila na pierwszą zasadzkę, był obecnie komendantem okręgu, a Adil mógł już poznać jego imię – Natwar Kahar. Natwar Kahar działał głównie w Dżamui i Nawadzie, wspomagany przez swojego zastępcę, niejakiego Bhawaniego Kanara. Ten Bhawani, zaledwie dwudziestoczteroletni, był dalekim krewnym i protegowanym Natwara Kahara. To Natwar Kahar wprowadził do partii Bhawaniego, kiedy on był jeszcze chłopcem, i przygotowywał go do roli żołnierza i potencjalnego przywódcy partyjnego. Chłopak miał charyzmę i był nieustraszony. W noc Diwali policja zgarnęła młodego Bhawaniego w wiosce Rekhan. Znaleźli go pogrążonego w mocnym, pijackim śnie w domu pewnej wdowy. I tak przystojny Bhawani zniknął w zgrzytliwych szczękach sprawiedliwości, a Natwar Kahar szalał z wściekłości. Nie ulegało wątpliwości, policja musiała dostać informację, i to bardzo dokładną. Natwar Kahar przesłuchał podejrzanych, wszystkich mieszkańców wioski, i ostatecznie doszedł do

wniosku, że zdrady musiała się dopuścić ta kobieta Bhawaniego. Tylko ona wiedziała, że Bhawani tej nocy Diwali trafi do jej łóżka i że ma słabość do dobrego rumu. I właśnie na tę noc odesłała dwójkę dzieci do domu swojej matki. Natwar Kahar rozkazał więc ją pochwycić i przyprowadzić do swojego obozu. Zapytał ją o imię, które brzmiało Ramdulari – i kazał jej się przyznać. Ramdulari protestowała, mówiła, że jest niewinna, nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, a już na pewno nie zdradziłaby Bhawaniego. Ramdulari była wysoką kobietą, nie była piękną, ale miała długie, okazałe ciało i chodziła szybkim krokiem. Jej mąż zmarł na kalazar podczas powodzi, jakieś osiem lat wcześniej. Wychowywała dwóch synów, utrzymywała dom i jakoś udawało się jej wiązać koniec z końcem. Kiedy mówiła do Natwara Kahara, miała głowę zakrytą, ale patrzyła mu prosto w oczy, nie błagała, nie trzęsła się, nie wyglądała na przestraszoną. Natwar Kahar nalegał, żeby się przyznała, ale ona tylko pokręciła głową i ze zniecierpliwieniem odpowiedziała mu, że Bhawani był jej bardzo bliski, tak bliski jak Natwarowi Kaharowi.

W tej sytuacji jeszcze tego samego wieczoru Natwar Kahar zwołał sąd ludowy. Ramdulari została osądzona, zbadano dowody i uznano ją za winną. Ponownie odmówiła przyznania się do winy i złożenia samokrytyki. Wyrok mógł być tylko jeden, oczywiście śmierć, jak zawsze za zdradę. Ale Natwar Kahar chciał przykładowo ukarać Ramdulari. Zamiast dokonać zwyczajowego ścięcia, obkrawał ją po kawałku. Następnego dnia rano wezwał swój oddział i na ich oczach odciął jej wszystkie palce u rąk i nóg. Zrobił to małym kulhari, którego używano do korowania palików i młodych drzewek. Krzyczała i krwawiła, a Natwar Kahar tylko się śmiał, i polecił obozowemu lekarzowi, żeby się nią zajął.

– Trzymaj ją przy życiu – polecił Natwar Kahar. Ten lekarz w rzeczywistości wcale nie był lekarzem. W przeszłości zajmował się

przygotowywaniem leków i nigdy nie miał do czynienia z wielokrotnymi amputacjami. Ale miał pewne doświadczenie z ranami postrzałowymi i ciętymi, więc Ramdulari przeżyła. Była bardzo silną kobietą. Trzymali ją w jamie za chatą Natwara Kahara. Regularnie podawano jej jedzenie i wkrótce jedną z obozowych rozrywek stało się oglądanie jej, jak próbuje jeść poduszczkami dłoni i jak zgina się w pół, żeby zlizać z ziemi ziarenka ryżu.

Adil zobaczył Ramdulari trzy tygodnie po tym procesie. Kiedy po raz pierwszy usłyszał o karze, którą wymierzył Natwar Kahar dziwce donosicielce, nie uwierzył w nią. Wydawało mu się, że to dobre działanie propagandowe, które miało zapobiec powtórzenia się sytuacji z Bhawanim. I dlatego, kiedy Adil przybył do obozu Natwara Kahara, żeby odebrać dostawę gotówki, nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zapytać o tę kobietę. Myślał, że ona już nie żyje i że sprawa jest zamknięta. Właśnie skończył wkładać zawinięte w plastik paczuski banknotów do swojej dzoli, kiedy Natwar Kahar uśmiechnął się i zapytał:

– Chciałbyś zobaczyć Ramdulari?

Adil nie wiedział, o kim mowa, więc Natwar Kahar wyjaśnił mu to z dumą właściciela interesującego eksponatu. Adil poszedł za nim, niosąc na ramieniu ciężką torbę. Smród z jamy wciskał się w twarz Adila, ale Natwar Kahar szedł dalej, niewzruszony. Stanęli nad stromym dołem. Na samym dnie, w mokrych żółtobrunatnych nieczystościach poruszało się coś wielkiego. Adil nie umiał rozpoznać, co to jest. Nie mógł to być ani człowiek, ani zwierzę, nigdy czegoś takiego nie widział. Poruszało się z boku na bok gwałtownymi ruchami, szarpnięciami, przypominając małego kraba, który wyskoczył z piasku nad brzegiem rzeki.

W tym momencie Adil lekko poruszył głową i ją uniósł, słoneczne światło padło pod nieco innym kątem, i dostrzegł, że w dole znajduje się

kobieta, ale w jakiś dziwny sposób zmizerniała. Wyraźnie czegoś jej brakowało.

– Cztery dni temu obcieliśmy jej ręce u łokci i nogi u kolan – powiedział Natwar Kahar, kantem dłoni rąbiąc swoją rękę. – Byłem pewien, że to ją załatwi. Tyle było krwi. Ale ta suka nie umiera.

Ramdulari patrzyła na Adila, który poczuł, że siania się na nogach, ale nie potrafił oderwać od niej spojrzenia. Patrzyła nieobecny wzrokiem swoich ogromnych, ciemnych oczu, w których on nic nie potrafił dostrzec, ani bólu, ani smutku. Czarne włosy owinęły się wokół jej twarzy, a jej usta rozchyliły się. Coś mówiła. Ale co? Był pewien, że ona coś mówi. Nie słyszał jej, nic do niego nie docierało przez ten ryk, jaki dobywał się z jego własnego ciała, zewsząd, z rąk, nóg, brzucha, głośny jak trzepotanie tysięcy skrzydeł. Natwar Kahar coś do niego mówił. Ale co?

– Jeśli położymy jedzenie i wodę po drugiej stronie, o tam, ona dopełźnie. Zajmuje to jej całe godziny, ale dotrze tam. Ona po prostu nie umiera.

Dźwięk głosu Natwara Kahara, zachrypnięty i niski, wyrwał Adila z tego transu. W końcu mógł odwrócić wzrok. Natwar Kahar patrzył na Ramdulari, prawie z podziwem, prawie z szacunkiem. Pocierał brodę. Adil słyszał skrobanie jego palców po białym zaroście. Natwar Kahar odezwał się:

– Jest silna jak koń.

Adil zatoczył się do tyłu. W końcu oparł się o pień drzewa i zwymiotował na jego korzenie. Kiedy skończył, zobaczył Natwara Kahara, który czekał na niego spokojnie, z jedną ręką założoną na piersi, a drugą głaszcząc wąsy.

– To ten zapach – powiedział Adil. – Obrzydliwy.



– Are, Profesorze – odparł Natwar Kahar, szeroko się uśmiechając – po tych wszystkich latach, wciąż taki sam.

Adil nie próbował dowodzić swojej wytrzymałości, nie wspomniał o wielu zasadzkach i operacjach, nie spierał się. Chciał jedynie jak najszybciej wynieść się z obozu Natwara Kahara. Godzinę później, chociaż do zmroku pozostało jeszcze sporo czasu, już go tam nie było. Zabrawszy swoich ochroniarzy, ruszył w drogę i przez całą noc parł do przodu, wędrując ścieżkami i przekraczając kolejną nałę. Do swojej kryjówki w Jamui dotarli wczesnym ranem. Chłopcy poszli spać, ale Adil usiadł przy oknie i patrzył na drogę. Bał się zamknąć oczy, bo kiedy to robił, czuł dreszcze rodzące się pod skórą, jakieś nerwowe i przerażające drzenie.

Zastanawiał się, czy wciąż jest tym samym człowiekiem, czy się zmienił. O drugiej po południu, kiedy z ziemi podniósł się buchający żar, wymknął się za drzwi. Torbę z przyniesionymi od Natwara Kahara pieniędzmi zostawił na podłodze pokoju od frontu, niczego nie zabierając ze sobą, nie wziął nawet pistoletu. W kieszeni miał osiemset rupii, swój nóż rampuri i prawo jazdy, wystawione na nazwisko Makbula Khana. Poszedł na dworzec, kupił bilet drugiej klasy na miejsce siedzące w pociągu ekspresowym i kilka minut po wpół do siódmej był w Patnie. Ruszył prosto do kasy biletowej, zapłacił czterysta czterdzieści dziewięć rupii i czekał na peronie, aż o jedenastej dwadzieścia przyjechał jego pociąg. Ponieważ nie miał miejscówki, kucnął w korytarzu wagonu z miejscami nieobjętymi rezerwacją, wciśnięty między uczestników jakiegoś wesela. W Dźhansi wysiadł z wagonu i wręczył łapówkę konduktorowi, w ten sposób załatwiając sobie kuszetkę. Potem zasnął. Kołysanie pociągu jakoś tłumilo podniecenie jego ciała i mógł drzemać przez całe popołudnie, wstając jedynie do toalety i żeby napić się wody. Zanim minęło pięćdziesiąt godzin, był już w Mumbaju.

Mumbaj znajdował się bardzo daleko od Dżamui, od Bhagalpuru i od Radżpuru, był rozległy i anonimowy, a Adil chciał się w nim ukryć. Ale miasto przerażało go. Było dla niego nieznaną dziczą w stopniu większym niż wszystkie porośnięte dżunglą grzbiety górskie. Tego pierwszego dnia wysiadł z pociągu i poszedł wzdłuż torów kolejowych, czując dławiący, ciężki zapach i zupełnie nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Wzdłuż torów stały prowizoryczne domy, a dzieci bawiły się dosłownie przy samych szynach. Śmiały się z niego, kiedy on nerwowo reagował na mijające go pociągi. Stojące za chatami wyższe budynki upstrzone były szarymi i czarnymi plamami i przystrojone drutami. Adil minął ogromną stertę śmieci z plastikowymi workami, a potem bardzo starego mężczyznę, który siedział przy ograniczającym ten odcinek torów żelaznym ogrodzeniu. Starzec miał siwą brodę, zapadniętą pierś pod rozdartą kurtą i małą, białą torbę, która leżała obok niego na ziemi. Patrzył gdzieś w dal, gdzieś dalej niż odległy płot i znajdujące się za nim budynki, dalej niż niewyraźne wzgórza. Adil zadrżał, mijając tego starca. Przyspieszył kroku. Był bardzo głodny. Zatrzymał się, przeliczył posiadane pieniądze i, znalazłszy dziurę w ogrodzeniu, przeszedł na drugą stronę. Bał się przekroczyć szeroką ulicę, po której nieustannie przelewał się potok samochodów, ale w końcu udało mu się znaleźć po przeciwnej stronie i zanurzył się w mieście.

Najpierw Adil zamieszkał w Thane, potem w Maladzie, potem w Boriwili, a potem w Kailaśpadzie. Unikał basti, w których mieszkali Biharczycy, i często się przeprowadzał. Ogarniał go niepokój, kiedy tylko kątem oka zobaczył coś znajomego, a nocami śniło mu się, że Natwar Kahar i grupa strzelców polują na niego po ulicach Mumbaju. Dwa miesiące po przyjeździe, na rogu w Andheri, Adil zobaczył kogoś z Radżpuru, chłopca o imieniu Santosz Nath Dźha – mówiono na niego

również Bablu – który w szkole i college’u chodził trzy klasy niżej. Bablu odliczał monety, płacąc panwałę, i nie zauważył Adila, który poderwał się i wycofał za mur, kryjąc się w bocznej uliczce. Adil jeszcze raz spojrzał, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście to Bablu, żeby upewnić się, że tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności mógł się wydarzyć i że się wydarzył, a potem pospiesznie się oddalił, schylając głowę i trzymając się blisko skraju drogi. Następnego dnia zmienił kholi, przenosząc się do mniejszego pokoju w Boriwili. Jego kholi znajdowało się na końcu bardzo wąskiej uliczki, przyciśnięte tyłem do muru. Adil wdychał miazmaty odpadków, leżących na wysypisku po drugiej stronie muru, ale tymczasowo czuł się tu bezpieczny. Dostrzegał potworną nędzę panującą w tej okolicy, w porównaniu do której obóz KWL był komfortowy, ale nie miał gdzie pójść. Nie minął miesiąc, on znowu się przeprowadził, ponieważ jego tamilscy sąsiedzi byli zbyt wścibscy, a do tego mieli znajomych i gości z różnych stron, nawet z Biharu. Tym razem znalazł kholi w Nawnagarze, w Bengali Burze. Tutaj mieszkali tylko ludzie z Bangladeszu. I tutaj, w końcu, Adil poczuł się bezpieczny. Ci wszyscy Bengalczyki byli nielegalnymi imigrantami, którzy kupili sobie dokumenty i sfałszowali miejsce urodzenia. Byli ostrożni i trzymali się z dala od innych ludzi. Nie kwapili się do obdarzania Adila zaufaniem, milkli, kiedy on przechodził, a on dobrze czuł się w towarzystwie tej nieufności. Otoczony tym obcym mu językiem bengalskim był bezpieczny.

Nie chciał wychodzić z basti, więc czasami dawał mieszkającym przy tej samej uliczce chłopcom pieniądze, żeby kupili mu jedzenie, żyłki i lekarstwa na ból głowy. Doskwierał mu ból w skroniach, te męczarnie bywały tak intensywne, że przez całe dwa albo trzy dni leżał, spocony i rozdygotany, nagi w kholi, w którym gazetami pozatykał wszystkie szpary i szczeliny. Tutejsi chłopcy przynosili mu opakowania advilu z apteki przy

autostradzie i podawali mu filiżanki ćaju. Było ich trzech, Śamsul, Bazil i Faradž. Wszyscy mieli po osiemnaście lat, wszyscy zakończyli edukację na dziesiątej klasie i snuli te same marzenia o bogactwie. Śamsul i Bazil pracowali jako posłańcy w firmie kurierskiej, a Faradž włóczył się po basti i wykonywał dorywcze prace dla handlarzy na rynku. Wszyscy byli zapalonymi miłośnikami filmów i każdy miał swojego bohatera, którego starał się naśladować w sposobie mówienia i intonacji głosu. Wszyscy przybyli do Mumbaju mniej więcej w tym samym czasie i obecnie, jakieś piętnaście lat później, byli już dosyć miastowi i traktowali swoich rodziców z pobłażliwością typową dla zarozumiałych miejskich światowców spotykających pełnych najlepszych intencji kmiotków. Adil słuchał rozmów chłopaków. Lubili przesiadywać na murku obok jego drzwi, gdzie trzęśli się ze śmiechu i roztrząsali problemy całego świata, jednocześnie przyglądając się przechodniom, a zwłaszcza dziewczynom. Adil był dla nich „bhai Rejazem”, a jego kholi miłą, małą kryjówką. Faradž chował tam papierosy, a wszyscy trzej cenili sobie te drobne pieniądze, które otrzymywali od Adila za załatwianie mu sprawunków. Tylko raz spróbowali go oszukać, na samym początku, ale wtedy on chwycił Bazila za gardło, a jego beznamiętny szept tak ich przestraszył, że natychmiast zwrócili te kilka rupii, które zatrzymali z jego pieniędzy za ryż i olej jadalny. Przez kilka dni trzymali się z dala od niego, ale on ich przywołał i dał im kolejne zadanie, tym razem była to prośba o cebulę i gazetę. Od tego czasu traktowali Adila z ostrożnością i szacunkiem, a on pozwalał im przychodzić do swojego małego pokoiku.

Bawiła go ta ich żądza samochodów, telefonów komórkowych i dziewczyn wychowanych w szkole prowadzonej przez siostry zakonne, a także to, że nieustannie powtarzali, jakie to wielkie mieszkania kupią, kiedy już zdobędą fortuny. Byli pełni pragnień i nie mieli żadnego rozsądnego

planu, jak je zrealizować. Czasami coś szeptali między sobą, a Adil domyślał się, że namawiają się na jakieś małe przestępstwo, jakieś drobne kradzieże, żeby mieć pieniądze na bilety do kina albo na żel do włosów. Ich rodzice byli spokojnymi, ciężko pracującymi ludźmi, którzy bali się policji, ale chłopcy byli ambitni. Podnieconym głosem opowiadali sobie historie o wielkich gangsterach tego miasta, o Sulejmanie Isie, Ganeśu Gaitondem i Chocie Madhawie. Odegrali przed Adilem fabułę filmu *Company*, calutką, od Afryki do Hong Kongu, na jednym metrze kwadratowym błotnistej uliczki przed jego drzwiami. Ale Adil wiedział, że chłopcy nigdy nie ukradli nic więcej niż jakiś kawałek złomu u handlarza w Kailaśpadzie i że nigdy nie dotrą do Singapuru. Chyba że on ich poprowadzi.

– Przestańcie paplać – powiedział im – i posłuchajcie. Jeśli chcecie się dorobić, potrzebujecie dyscypliny. I czterech siekier.

Adil wezwał ich pewnej kwietniowej nocy, kiedy po zachodzie słońca długo jeszcze utrzymywał się upał. Usiedli rzędem na podłodze w jego kholi, jak wilgotne szczeniaki z wybałuszonymi oczami. Kiedy dotarło do nich, że on mówi o napadzie, skulili się w sobie i zupełnie ucichli. Adil widział już, oczywiście coś takiego, u rekrutów, kiedy uzmysławiali sobie, że walka, w której mają uczestniczyć, jest czymś rzeczywistym. Nakreślił im swój plan, i w końcu Faradz zapytał:

– Robiłeś to już kiedyś?

Adil odparł, że robił to już wielokrotnie, nie podał im jednak żadnych szczegółów. Ale to im wystarczyło. Już od pewnego czasu stanowił dla nich tajemnicę, a teraz wiedzieli o nim dostatecznie dużo, żeby wymyślać sobie różne historie. Jak większość młodych mężczyzn, potrzebowali kogoś, kto ich poprowadzi, i chętnie oddali się pod jego rozkazy. Wyznaczał im zadania, chwalił ich, a oni należeli już do niego. Nie potrzebowali żadnej ideologii, już teraz byli przekonani, że pragną pieniędzy, które tylko na nich

czekają. Nie musieli wierzyć w przyszłe niebo robotników, bo wierzyli w teraźniejszy raj gotówki. Zresztą Adil nie miał już ideałów, którymi mógłby się z nimi podzielić. Czuł, że zupełnie wypaliły się w nim wszelkie wyższe cele, została tylko czystość widzenia. Kończyły mu się pieniądze, a przecież musiał coś jeść i gdzieś mieszkać. Mógł pracować jako kierowca albo robotnik, ale nie miał zamiaru tego robić. Nie był w stanie. Nie czuł gniewu na gigantyczne nagromadzenie bogactwa w tym mieście ani na codzienny ucisk biedy nękającej całe miliony ludzi. Wszystko było tak, jak miało być. Adil potrzebował niewiele: jedzenia, miejsca do spania, spokoju i zamierzał zaspokoić swoje potrzeby.

Dwa tygodnie później Adil i chłopcy przeprowadzili swoją pierwszą akcję. Jej celem było mieszkanie na trzecim piętrze w Bandrze, w pobliżu Hill Road. Śamsul trzy razy dostarczał w to miejsce paczki, do córki mieszkającej tam rodziny, trzydziestojednoletniej kobiety, kierowniczką w agencji reklamowej. Za dnia w tym domu przebywali tylko jej rodzice. Ojciec był człowiekiem słabowitym, cierpiącym na przewlekłą astmę. To matka otworzyła drzwi Bazilowi, ubranemu w specjalnie zamówiony u krawca strój firmy kurierskiej. Bazil trzymał w rękach wielką, brązową paczkę. Faradz i Adil czekali na schodach. Adil powiedział stojącemu przy bramie stróżowi, że jest elektrykiem, a Faradz jego pomocnikiem. Starsza pani otworzyła drzwi, Śamsul podał jej kartkę do podpisania i w tym momencie doskoczył do niej Adil, ukazując jej podniesioną do góry siekierę. Wepchnęli kobietę do środka, jednocześnie budząc jej męża. Faradz sięgnął do torby elektryka i podał Adilowi gruby zwój liny. Przywiązując małżonków do krzeseł, Adil starał się ich uspokoić.

– Nie bój się, Maty–dzi – mówił. – Nic wam się nie stanie. Dopilnuję tego. Siedźcie cicho, nie sprawiajcie kłopotu, to się o was zatroszczę.

Wyjaśnił wcześniej chłopakom, że grożenie przemocą zawsze daje lepszy skutek niż jej użycie. Strach, powiedział, daje władzę. Siekiery kosztowały ich tylko dziewiętnaście rupii za sztukę, ale były bardzo skuteczne. Adil położył jedną przed Mata–dźi i Papa–dźi, i rzekł:

– Posłuchajcie, jeśli będziecie grzeczni, nie będę musiał używać mojej patra. Dajcie nam dwadzieścia minut i znikamy.

Adil najpierw posłał na dół Śamsula, niosącego kurierską torbę wypchaną biżuterią. Dokładnie po dwudziestu minutach on i Faradź wyszli z pieniędzmi, wśród których były indyjskie rupie i nieoczekiwany zwitek dolarów znaleziony w głębi sejfu Godredź. Faradź chciał przed wyjściem pozabijać staruszków.

– Widzieli nasze twarze – powiedział. – Tak będzie bezpieczniej.

Adil trzepnął go w tył głowy i pchnął w stronę drzwi. Cicho szepnął coś jeszcze Macie–dźi i luźno zakneblował i ją oraz Pape–dźi.

– Pamiętajcie – ostrzegł ich – że wiemy, gdzie pracuje wasza córka. Ani mru–mru. – Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie ta ich córka pracuje, ale wiedział, że ta groźba wystarczy, żeby siedzieli cicho, aż on i Faradź znajdą się na dole, miną strażnika i znikną na ulicy. I tak też się stało. Bezpiecznie opuścili to miejsce, bez żadnego hałasu, żadnego zamieszania i bez zabijania.

Chłopcy nie posiadali się z radości, widząc łup, na który składało się sześćdziesiąt siedem tysięcy w gotówce, dwieście dolarów i biżuteria. Śamsul znał pewnego pasera i zorganizował całą transakcję. Jeszcze tego samego dnia spieniężyli biżuterię, za jeden lakh i czterdzieści tysięcy. Dolary były w banknotach o niskim nominale, w jednodolarówkach, piątkach i dziesiątkach, więc stawka za nie była niska. Ale przecież ci chłopcy nigdy w życiu nie wiedzieli tylu pieniędzy naraz, a do tego we własnych rękach, i nagle poczuli się królami. Adil przekonywał ich, że

muszą być ostrożni, że jeśli ktoś nagle jest przy forsie, ma nowe ciuchy, okulary słoneczne i buty, może wzbudzić podejrzenia, a nawet ściągnąć uwagę posterunkowego. Przyznali mu rację i obiecali, że będą uważać, ale Adil widział, że to po prostu dzieciaki, które dostały nowe zabawki, i nie mają szans dotrzymać obietnicy.

Następnego dnia ponownie się przeprowadził, na drugi koniec Nawnagaru. W nowej izbie była gładka, wykafelkowana posadzka, pozostałość po poprzednim mieszkańcu, i bieżąca woda. Zabronił chłopakom przychodzić i spotykał się z nimi tylko poza terenem basti. Początkowo protestowali, zwłaszcza Bazil, ale Adil wytłumaczył im konieczność stosowania środków bezpieczeństwa i zachowania dyskrecji.

– Jeśli chcecie działać dalej – powiedział – musicie być niewidzialni, musicie poruszać się jak ryba w morzu. I róbcie, co wam każę, jeśli rzeczywiście chcecie dalej ze mną pracować.

A chłopcy naprawdę chcieli dalej z nim pracować, nawet kiedy mieli kieszenie wypchane pieniędzmi. Chcieli mieć więcej.

Adil chciał niewiele. Miał pokój, gotował sobie jedzenie, w ciągu dnia pił kolejne filiżanki bardzo słodkiego ćaju. Oprócz książek był to jedyny zbytek w tym jego nowym życiu. Dni spędzał na czytaniu książek traktujących o zoologii. W większości były to używane teksty uniwersyteckie, kupowane od ulicznych handlarzy. Sam się zdziwił, że tak dużo materiału jeszcze pamięta i że tak łatwo wszystko sobie przypomina. Czytał te książki bez określonego celu, jedynie dla przyjemności. Samo analizowanie gatunków należących do określonej gromady, śledzenie systemu w jedną stronę, a potem z powrotem, stanowiło wystarczający powód. Nie trzeba było bawić się w politykę. Adil wiódł więc spokojne życie, a raz na miesiąc wraz z chłopakami planował i wykonywał kolejną robotę. Šamsul chciał, żeby robili to częściej, ale Adil zalecał cierpliwość i



ostrożność. Chłopcy już nie tylko chcieli przebudować swoje kholi i kupić matkom nowe kuchenki. Teraz marzyły im się samochody. Niemniej jednak, przynajmniej na razie, byli mu posłuszni. Jedna porządna robota na miesiąc, na obiekcie wybranym starannie, na podstawie sprawdzonych informacji, przynosiła tyle łupów, żeby ich zadowolić. Pracowali tak przez siedem miesięcy. Adil od czasu do czasu sięgał nie tylko po książki zoologiczne, lecz także po chemiczne. Przeczytał już wiele pozycji o organizmach i komórkach, i chciał teraz dowiedzieć się, jak działają na siebie różne substancje, jak tworzą coś nowego. Dostrzegał nieokreśloną przyjemność w tym łączeniu się pierwiastków, powodującym powstawanie ciepła, ognia i życia. Z tego, co zdążył zauważyć, w tych interakcjach nie było żadnego wzniosłego celu. Po prostu wydarzały się, to wszystko. Doskonale pasowało to do sensu jego obecnego życia. Czasami rozmyślał o samobójstwie, w jakiś pełen dystansu, teoretyczny sposób, ale doszedł do wniosku, że pragnie żyć. Nie wiedział dokładnie, dlaczego, nie przychodziły mu do głowy inne powody niż słodczy ćaju i paliatywne działanie wydarzeń. Może przyczyna chęci dalszego funkcjonowania jest bardzo prosta, pomyślał. Wirus pragnie się reprodukować, a owad ucieka przed niebezpieczeństwem. Adil zaś pragnął żyć.

Żył więc Adil w ciszy i ukryciu. Gdyby nie bóle głowy, byłby zupełnie zadowolony. Dziwiło go, że nie czuje się samotny, po latach spędzonych w towarzystwie kolegów w obozach, ale książki dawały mu wystarczającą pociechę. Odczuwał jakąś litość do samego siebie, do swojego przedwcześnie postarzałego ciała, i od czasu do czasu pozwalał sobie na odrobinę luksusu – nowy materac, dwie zmiany pościeli, butelka szamponu. Niespecjalnie przejmował się przyszłością, chociaż przeczuwał, że gdzieś w pobliżu czai się nieszczęście, skryte pod zwodniczą beztroską, jaką mu dawał Mumbai. Był tego pewien, ale kiedy w końcu zdarzyła się katastrofa,

nadeszła ze strony, którą zaczął już lekceważyć. Wydawało mu się, że chłopcy nabrali rozsądku. Podczas akcji nie byli już stremowani, zachowywali się profesjonalnie, wykazując opanowanie i czujność. Po pierwszym zachłystnięciu się pieniędzmi i trwonieniu ich na ubrania, telewizory i kobiety Śamsul, Bazil i Faradz stali się rozważnymi biznesmenami, którzy inwestowali w drobne interesy prowadzone przez swoich kuzynów i ciotki; uzyskiwali z tego spore zyski. Wszyscy przybrali na wadze i, ogólnie rzecz biorąc, sprawiali wrażenie zamożnych. Adil zaczął już wierzyć, że przypadkowo udało mu się dobrać porządną i niezawodną drużynę. Chłopców łączyła przyjaźń, interesy, doświadczenia i zagrożenia.

I wtedy Faradz i Bazil zabili Śamsula. Tego popołudnia Adil spał u siebie, kiedy Bazil zaczął dobijać się do drzwi. Szaleńczy łomot wyrwał Adila ze snu o dzieciństwie, w którym szedł nad przepustem, patrząc na płynące w wieczornej mgiele dachy niskich chat. Moment później był już rozbudzony i trzymał siekiere w dłoni.

– Bhai – odezwał się Bazil. – Bhai?

Adil otworzył drzwi i ujrzał roztrzęsionego Bazila, wspartego o ścianę i obryzganego krwią. Adil wciągnął go do środka.

– Co jest? – zapytał.

Bazil wszystko mu opowiedział. Już od wielu tygodni, a nawet miesięcy podejrzewali z Faradzem Śamsula o jakieś układy z paserem, który brał od nich towary. Zawsze Śamsul sam załatwiał kwestię kupna i sprzedaży i niechętnie rozmawiał o cenach, które zapłacono za poszczególne towary, nie chciał też mówić, co paser powiedział podczas spotkania ani nawet czy powiedział, co łatwiej upłynnić. To wszystko było bardzo dziwne. Bazil i Faradz zauważyli, że przez całe miesiące Śamsul miał więcej pieniędzy niż każdy z nich, a nawet więcej – tak naprawdę – niż oni razem. Faradz

żartował z Śamsulem i nawet zapytał go, czy więcej zaoszczędził niż oni, ale Śamsul zawsze ignorował te aluzje. Nie chciał się bronić, a Faradz uznał to za jeszcze bardziej podejrzane. W zeszłym tygodniu Śamsul kupił drugie kholi, wspaniałe nowe mieszkanie, z czterema pokojami i podwójnym tanki na wodę. Nic im, sukinsyn, nie powiedział o tym okazałym, nowym domu, ale dowiedział się o tym Bazil, ponieważ jego matka czasami haftowała coś dla żony przedsiębiorcy budowlanego. Bazil powiedział o tym Faradzowi, a ten wpadł we wściekłość. Faradz obmyślił plan. Upiją Śamsula, zabiorą go w pobliże nali, za wielkie rury wodociągowe, i karzą mu się wytłumaczyć. Jeśli będzie trzeba, będą mu grozić. Ale muszą się dowiedzieć, co się dzieje. Co za dużo, to niezdrowo. Bazil miał się do tego przygotować. Zaprosili więc Śamsula, zupełnie zwyczajnie, żeby wpadł wypić z nimi butelkę doskonałego wilajati rumu. Oczywiście bardzo chętnie się zgodził. Śamsul lubił wypić, a po rumie zawsze robił się sentymentalny i śpiewał. Ale tym razem spotkanie od samego początku przebiegało niezręcznie, Faradz drżał z napięcia od pierwszej chwili, kiedy powitał ich w drzwiach swojego nowego kholi. Czekwały już na nich gotowane jajka, sól i pieprz, a także talerz tangdi, i kiedy tylko weszli, nalał im rumu do wysokich szklanek. A potem cały plan zginął w zamęcie głośnych rozmów, sprośnych dowcipów i złości. Śamsul zaczął śpiewać, ale potem zaczął domagać się więcej tangdi. Faradz powiedział mu, żeby sam za siebie zapłacił, bo ma za dużo pieniędzy. Śamsul zbył śmiechem jego uwagę i przez chwilę wraz z Bazilem dyskutowali o dziewczynach. Rozmawiali o Rani Mukherdzi, o Zoi i Zinat Aman, a potem Śamsul wspomniał o młodszej siostrze Faradza, która też miała na imię Zinat i o której powiadano w basti, że przypomina piękną Zinat z lat siedemdziesiątych. Nie powiedział nic zdroźnego, tylko że nasza Zinat jest już gotowa do swojej pierwszej głównej roli. Ale Faradz,

który przez cały czas pił szklankę za szklanką i siedział cicho w kącie, w końcu się odezwał.

– Ty sukinsynu, zabrałeś nasze pieniądze.

Dopiero teraz Bazil zdał sobie sprawę, że jest pijany, prawdopodobnie bardziej pijany niż Śamsul. Próbował wstać, podejść do Faradża i przypomnieć mu o planie, o tym, że mają iść do nali. Ale było za późno. Faradz i Śamsul już się przepychali. Bazil nagle zdumiał się, bo Śamsul zaczął na niego krzyczeć, chociaż on przecież nic nie zrobił i niewiele powiedział. Śamsul nie chciał się przyznać, i wtedy Faradz wyciągnął zza łóżka siekiere, więc Bazil chwycił za swoją, Śamsul atakował ich na oślep i wymachiwał rękami, starając się wydostać z kholi. Na jego piersiach pojawiła się krew. Zaczął uciekać uliczką, a oni powalili go na ziemię, a potem jeszcze raz. Próbował dostać się do czyjegoś domu. Może myślał, że to jego własny. Jeszcze raz go uderzyli, a on upadł, i było po wszystkim.

Adil wytarł twarz Bazila z łez, dał mu czystą koszulę i wypchnął go na dwór.

– Idź – powiedział. – Uciekaj. – Ale Bazil stał na środku uliczki, bezradny jak ślepy wół, więc Adil wyznaczył mu zadania: idź do domu, zabierz pieniądze, wyjdź z domu, znajdź jakieś lokum gdzieś daleko i tam zostań, spotkamy się w hotelu Maharadża w Andheri East, w niedzielę o pierwszej. Polecenia ruszyły Bazila z miejsca. Adil opróżnił swoje kholi. Zabrał pieniądze, dwie koszule, dwie pary spodni i parę butów. Dziesięć minut później wyszedł, spokojnym krokiem i nie oglądając się za siebie.

Zatrzymał się na noc w hoteliku w pobliżu dworca Dadar, a następnego dnia podążył do Mahim. Nie miał zamiaru pojawić się w niedzielę w hotelu Maharadża i doskonale wiedział, że powinien opuścić Mumbaj. Ale dokąd miał się udać? Były inne wielkie miasta, inne ogromne skupiska mężczyzn i kobiet, gdzie mógłby się zgubić, ale on był tu, w Mumbaju, a to miasto go

wchłonęło. Brakowało mu już energii, żeby pobudzić się do ruchu, żeby ponownie udać się w podróż do jakiegoś nowego miejsca, żeby znaleźć nowy język i nowych ludzi. Tu był dom, a on w nim zamieszkał. Decyzja została już podjęta. Dwa dni później miał już pokój niedaleko Film City, a w niedzielę pojawił się w hotelu Maharadża. Może popełniał błąd, ale ci chłopcy stanowili jego drużynę. Pozwalali mu zarobić na życie. Znalezienie innych wymagałoby zachodu i czasu, a zbliżał się koniec miesiąca. Nadeszła pora na kolejną robotę. Znalazł więc sobie miejsce w pobliżu hotelu Maharadża i zajął się obserwacją. Tuż przed pierwszą riksą motorową przyjechali Faradz i Bazil. Weszli do środka, a Adil czekał dalej. Cierpliwości nauczyli go jego instruktorzy, a potem te wszystkie przygotowane przez niego zasadzki. Minęła godzina, potem druga. Nigdzie nie było widać przyczajonych policjantów, niemniej jednak Adil wciąż czekał.

Tuż po trzeciej Faradz i Bazil zeszli po schodach hotelu, sprawiając wrażenie zniechęconych. Ruszyli ulicą, a Adil za nimi. Pozwolił im się oddalić, przeszedł na drugą stronę ulicy i ponownie się do nich zbliżył, wciąż idąc drugą stroną. Nie widział nigdzie żadnego policjanta. Zobaczył, że Faradz obejmuje Bazila za ramię i że Bazil chyba płacze. Adil podszedł do nich od tyłu i wziął go za łokieć.

– Nic nie mów – powiedział do Faradza. – Idź dalej.

Adil poprowadził ich na środek ronda, gdzie na skrawku ogrodu rośło samotne drzewo. Przykucnął pod nim. Chłopcy usiedli zażenowani, z nogami skrzyżowanymi, kolebiąc się niepewnie z boku na bok. Adil pozwolił, żeby pocili się w gorącym słońcu, i powiedział im, jakimi są idiotami. Nie dał im dojść do słowa i dodał, że nie ma usprawiedliwienia na to, co zrobili. Narazili na niebezpieczeństwo i jego, i ich cały zespół, a także ich działalność. Ich czyny były nieodpowiedzialne, a ich pijaństwo

niereligijne. Nic nie zrozumieli z tego, czego ich uczył o właściwym korzystaniu z siły.

Bazil znowu zaczął płakać. Faradz przełknął ślinę i rzekł:

– Wiem, że to było złe.

Adil pozwolił im teraz mówić i wymógł na nich obietnicę, że już nigdy nie tkną alkoholu. Następnie zabrał ich z ronda, przeprowadził przez wirujące kręgi samochodów i kupił im sok z arbuza. Omówili następny skok. Ich najlepszym źródłem informacji był Śamsul, budzący zaufanie łagodnym głosem i drobną budową ciała. Lokatorzy i ćaukidarzy uważali go za niegroźnego i chętnie z nim rozmawiali. Teraz ich zespół został okaleczony, ale niewiele mogli na to poradzić, musieli się przystosować do nowej sytuacji. Nie minął tydzień, a już mieli wyznaczony cel i plan działania. Tym razem adres dostarczył Bazil, chodziło o rodzinę mieszkającą niedaleko lotniska Śahar, której syn pracował w Dubaju i często przysyłał im paczki. Adil przez cztery dni wstrzymywał się z wykonaniem tej roboty, chcąc mieć pewność, że dysponują rzetelnymi informacjami. Rozejrzeli się po tym terenie, weszli między budynki i wyszli z powrotem. Cała operacja przebiegła gładko, chłopcy zachowali spokój, wynieśli sześćdziesiąt tysięcy w gotówce, cały worek złotej biżuterii oraz sztabki złota. Ten gość z Dubaju przygotowywał się do wesela siostry. Adil był zadowolony.

Faradz otrzymał polecenie znaleźć jakiegoś godnego zaufania pasera i udało mu się zdobyć namiar na jednego przy Tulsi Pipe Road. Skontaktowali się z nim przez telefon, umówili się na spotkanie i właśnie teraz szli zanieść mu towar.

Adil postanowił, że pójdą wszyscy razem, żeby zapobiec nieporozumieniom. Szli wzdłuż torów kolejowych, omijając stojące przy ogrodzeniu budy. Na spotkanie umówili się późnym wieczorem, ale Adila

dopadł ból głowy, który jak burza kłębił się u podstawy czaszki. W oczach rozbłyskiwały wybuchy ognia, zupełnie przesłaniając mu widok. Nawet teraz, dobrze po północy, kiedy czuł się już lepiej, rozpalone latarnie uliczne otaczała pomarańczowa, widmowa poświata. Obok nich przemknął pociąg, a w ogarniających ich ciemnościach każdy brzęk i stukot rozbrzmiewał z potężną mocą i ranił uszy Adila. Zatroškani chłopcy szli w milczeniu po obu jego stronach.

Adil ożywił, rozbudził ten ból. Chrząst ziemi pod stopami przywoływał jakieś odległe wspomnienia, coś do niego napływało i zaraz się cofało, przychodziło i odchodziło. Czuł, jak ziemia oddycha.

Nagle przed nimi i za nimi rozległy się bardzo głośne krzyki. Adil znalazł się w blasku latarki i usłyszał okrzyk: „Policja!”. Adil skręcił w lewo i zaczął biec, nisko pochylony. Przed sobą zobaczył jakichś ludzi. Tuż obok jego prawego ramienia stała blaszana buda, z zamkniętymi drzwiami. A dalej, przed następną budą, mała przerwa. Adil wsunął się w tę szparę i zatrzymał przed prętami ogrodzenia. Po drugiej stronie biegły tory, ale ogrodzenie było wysokie. Adil wyciągnął ręce do góry, ale jego dłonie ześlizgnęły się po żelazie. Odwrócił się. W dłoniach trzymał siekiere.

– Wyłaż, behenćodzie. Rzuć to.

Policjant miał pistolet. Adil widział lufę, biegnącą po niej linię światła, a za nią ciężkie barki mężczyzny. Rzucił siekiere na drogę. Rozległ się cichy brzęk. Policjant czekał, a lufa jego pistoletu nieznacznie się obniżyła. Adil wciągnął w płuca głęboki, słodki haust powietrza, nagle ogarnięty absurdalną myślą, że mogliby już tak zostać na zawsze, w pewnej odległości od siebie, na zawsze w spokoju. Ale jego dłoń już znalazła nóż, jednym ruchem go otworzyła, a ciało znowu zaczęło się poruszać. Policjant nie zdążył wystrzelić, może Adil zniknął mu w cieniu. Adil skoczył na niego, uderzył, jak go uczono, jak się nauczył, jak to wyćwiczył.

Adil rzucił się do biegu. Policjanci deptali mu po piętach, a on biegł. Wciąż w dłoni miał nóż i chciał go puścić, ale nie potrafił. Biegł. Chwilę później już się nie poruszał. Zamknął oczy, otworzył je i wiedział, że leży na ziemi, twarzą w dół. Powierzchnia drogi uciekała od niego łukiem, a gdzieś obok blado świeciła cienka strużka wody. Nie było bólu, czuł się jedynie jakiś ospały i zwiotczały, jakby właśnie się budził. Chyba zabiłem człowieka, pomyślał. A potem przyszło mu do głowy, że sam umiera. Nie bał się, zupełnie się nie bał. Poczł tylko jakiś ogromny smutek, ale nie wiedział, dlaczego ani za czym, zastanawiał się i czekał. Chwilę później już nie żył.

## II

Śarmin lojalnie broniła swojego ulubieńca.

– Twój problem, Aiszo Akbani – powiedziała do przyjaciółki – polega na tym, że co pięć minut zmieniasz zdanie. Raz Candraćur Singh jest dla ciebie wszystkim, a tydzień później mówisz, że nawet nie spojrzalabyś na niego, gdyby pojawił się pod twoim oknem z bukietem róż. Wiesz, co ci powiem? Jesteś kapryśna. – Śarmin poznała wyraz „kapryśny” zupełnie niedawno; spotkała go w jednej ze swoich książek do ósmej klasy i używała z ogromną satysfakcją.

Aisza przekrzywiła swój niewątpliwie przepiękny nosek i zdecydowanym ruchem dłoni zbyła Candraćura Singha.

– Śarmin Khan, gdyby to była kwestia jednego tygodnia czy miesiąca, mogłabym się z tobą zgodzić. Ale ten gość już się skończył. Tyle czasu minęło od *Maćis*, i ani jednego dobrego filmu. No dobra, może jeden czy



dwa. I tu nie chodzi tylko o filmy. Przecież ciągle ci to powtarzam, po prostu go nie lubię.

Leżały na łóżku Śarmin, w jej pokoju na drugim piętrze domu w Bethesda. Śarmin uwielbiała widoczne za oknem wyraźne obniżenie w krajobrazie Maryland, powodujące, że średniej wielkości dęb zwisał nad czymś, co jej zdaniem było urwiskiem, a co Aisza uważała ledwie za małą górkę. Aisza potrafiła czasami być irytująco przekorna, potrafiła spierać się dla samego spierania, ale Śarmin i tak ją uwielbiała. To właśnie z nią pierwszą zaprzyjaźniła się, kiedy dwa lata temu przyjechała do Ameryki, kiedy jeszcze z na poły pendzabskim i na poły londyńskim akcentem mówiła „Amrika”. Aisza – wówczas jeszcze nie tak ładna – była sympatyczna i miła, i chociaż teraz wypiękniała, i chodziły już do ósmej klasy, nadal się jej trzymała. Stanowiły nierozłączną parę najlepszych przyjaciółek. Aisza lubiła udawać, że nie jest romantyczką, że cynicznie patrzy na świat, i dlatego nie chciała uznać, że pejzaż za oknem Śarmin naprawdę jest pełen dramatyzmu, zwłaszcza kiedy w całości przykrywa go styczniowy śnieg, tak jak w tej chwili. Był tam dąb, było urwisko i długa, pofałdowana łąka, kończąca się płataniną wysokich krzaków. Przy pełni księżyca wszystko się skrzyło i sprawiało wrażenie zupełnie dzikiego, a Śarmin mogła leżeć z na wpół otwartymi, sennymi oczami i wyobrażać sobie Candraćura Singha, który na białym koniu galopuje przez jeżyny i wspina się na urwisko.

– Znowu się rozmarzyłaś – odezwała się Aisza i uszczypnęła Śarmin w ramię.

Śarmin też ją uszczypnęła.

– Odwróć kartkę – poleciała.

Leżały na brzuchach na narzucie w kwiaty, z nogami opartymi o poduszki, wspierając brody na samym skraju łóżka. Najnowszy numer

magazynu „Stardust” rozpościerał się tuż przed ich oczami, na podłodze, skąd bardzo szybko mogły go wsunąć pod łóżko, gdyby tylko słyszały pierwsze, ostrzegawcze skrzypienie schodów. Rodzice Śarmin bardzo rygorystycznie podchodzili do doboru jej lektur, a „Stardust” był do tego stopnia zabroniony, że nigdy nawet nie wymieniono w tym domu jego nazwy. Zwłaszcza ojciec Śarmin starał się ją zdyscyplinować i już od najmłodszych lat nakłaniał ją do pielęgnowania wartości i rodzinnego izzatu. Nazywał się Śahid Khan, był pułkownikiem, który wcześniej pracował w londyńskiej ambasadzie, i podróżował po całym świecie, ale nigdy nie zaniedbał praktyk ani modlitw, a wśród swoich przyjaciół i kolegów z pracy słynął z pobożności i prostego życia. Dlatego też Śarmin nigdy w domu nie rozmawiała i nie czytała o pakistańskich filmach czy aktorach, a tym bardziej o odrażająco bezwstydnym przemyśle filmowym po drugiej stronie granicy. Teraz jednak Śarmin i Aisza czytały „Stardust”. Umiarkowanie interesowały się krajowymi talentami, takimi jak Nur i Zara Śaikh, ale namiętnie chłoneły filmy indyjskie. To opatrzone kolorowymi zdjęciami trzystronicowy artykuł o Čandraćurze Singhu wywołał ich ostatni spór, który przebiegał dokładnie tak samo jak poprzedni, i jak wszystkie wcześniejsze. Śarmin, zawsze niezłomna w uwielbieniu dla Candraćura Singha, broniła go przed niesprawiedliwymi zarzutami i atakami przyjaciółki, aż w końcu pogrzyżyła się w zadumie nad swoim bohaterem. Z tego stanu wyrwała ją Aisza, szczypiąc ją po raz kolejny. Aisza przewróciła stronę i spojrzały na dwustronicowy artykuł o Zoi Mirzy.

– No! No! – powiedziała Aisza z podziwem. – Ona jest przepiękna.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Gwiazda leżała zwinięta na czerwonej sofie, ubrana w czerwoną, satynową sukienkę mini, odsłaniającą długie, złociste nogi, a jej piersi wypełniały głęboki dekolt.

– Uhm – przyznała Śarmin. Zoja Mirza budziła w niej mieszane uczucia. Podobał się jej wzrost Zoi oraz niektóre role, w których była tak dobra, jak kreacja wojującej prawniczki, którą grała w swoim drugim filmie, *Adź ka Kanun*. Uważała jednak, że muzułmanka nie powinna w ten sposób ukazywać swojego ciała. Taki widok krępował ją. W pewnym okresie uważałyby, że to coś bardzo złego, całym sercem zgadzałyby się z abbą i ammi, że bezdyskusyjnie to samo zło. Ale dużo czasu spędziła z Aiszą, która z kolei uważała, że Zoja Mirza jest po prostu super.

Śarmin powiedziała więc: – Jest w porządku – i na tym poprzestała, próbując odwrócić stronę.

Ale Aisza położyła rękę na płaskim brzuchu Zoi Mirzy.

– O co ci chodzi? – zapytała. – Wygląda nie gorzej niż Candraćur Singh. A nawet dużo lepiej. Chyba nie zaprzeczysz.

Śarmin nie chciała wdawać się w dyskusje, ponieważ wiedziała, dokąd mogą ją zaprowadzić. Rodzice Aiszy chlubili się tym, że są nowocześni. Jej matka pracowała w agencji handlu nieruchomościami, a ojciec prowadził firmę programistyczną. Najstarszy brat Aiszy ożenił się z białą Amerykanką, która nawet po ślubie nie zmieniła wyznania. A zarówno siostry Aiszy, jak i ona sama, chodziły z odsłoniętymi głowami. Aisza była bardzo dumna ze swoich długich, brązowawych włosów, i Śarmin zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka współczuje jej, Śarmin, że poza domem musi nosić tak konserwatywny strój. Nie docierały do niej zapewnienia, że z przykrytymi włosami Śarmin czuje się bezpieczniej i bliżej Allacha. Aisza powiedziała, że to tylko uwarunkowania społeczne, a Allah nigdy nic nie mówił o tym, że należy zakrywać się od stóp do głów. Nie miało więc sensu spieranie się z nią, ale i tak Śarmin widziała, że nie uda się jej uciec od tej dyskusji. Westchnęła tylko.

– Ona po prostu zawsze sprawia na mnie wrażenie łatwej – powiedziała.

Aisza przetoczyła się po łóżku, przycisnęła dłonie do oczu i wybuchła:

– Łatwej?! Łatwej?! Śarmin Khan, po tak długim czasie w Ameryce wciąż jesteś taką fundu! [fundamentalista (forma skrócona)].

– Nie jestem fundu!

– Tak, jesteś fundu!

Tym razem wyjątkowo szybko znalazły się w tradycyjnym impasie. Przed opuszczeniem Pakistanu, w Rawalpindi i Karaczi, nikt, ani przyjaciel, ani wróg, nigdy nie nazwał Śarmin fundu. Zawsze chodziła do szkół dla dzieci wojskowych, gdzie większość koleżanek ubierała się tak jak ona, nawet starsze dziewczyny nosiły hidżab, i prawie wszyscy mieli podobne poglądy na to, co jest złe, a co dobre. Ale upłynęła już cała wieczność od tego czasu, kiedy ona miała osiem, dziewięć lat. Obecnie miała prawie czternaście lat mieszkała na drugim krańcu ziemi, jej najlepszą przyjaciółką była Aisza i wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Musiała teraz się bronić i odeprzeć zarzut o fundamentalistyczne poglądy.

– Jeśli ktoś jest skromny – odezwała się Śarmin – wcale nie oznacza, że jest fundu.

Aisza natychmiast się odcięła:

– A jeśli jesteś dumna ze swojego ciała, to wcale nie oznacza, że jesteś łatwa.

Śarmin poczuła, jak jej ciało kurczy się w sobie. Nie cierpiała tych odwiecznych sporów, które wywoływały ucisk w samym środku jej brzucha.

– W porządku – spróbowała przerzucić stronę.

– Co w porządku?

– W porządku, ona nie jest łatwa. Och. Możemy już skończyć z Zoją Mirzą?

Aisza odwróciła stronę i ukazały się kolejne dwa zdjęcia Zoi Mirzy. To Aisza przyniosła „Stardust” w swojej czarnej torbie, więc jej przysługiwały prawa właściciela. Pozwalano jej czytać „Stardust” w domu, przy rodzicach, którzy z pewnością uważali rodziców Śarmin za fundu. Śarmin czekała cierpliwie, aż Aisza skończy czytać artykuł o Zoi Mirzy, i w tym czasie rozmyślała o swoich rodzicach i ich dewocji. To abba był bardziej ortodoksyjny, bardziej rygorystyczny. Na jego czole widniał namaz ka gatta, świadczący o tym, że pięć razy dziennie klęczał i pięć razy dziennie się modlił, i kiedy Śarmin leciała z nim samolotem, za każdym razem dodawał jej otuchy, czytając z małego, cudnego Koranu podczas startów i lądowań. Opowiadał Śarmin, jak wiara dodaje mu sił, jak dzięki niej może zostać kimś, pomimo wszystkich trudności. Musiał zмагаć się z biedą i z wywłaszczeniem, z kłopotami rodzinnymi i dyskryminacją, ale uczył się pilnie i modlił, i stopniowo pisał się po kolejnych szczeblach kariery wojskowej. Obecnie piastował bardzo ważne stanowisko w ambasadzie w Waszyngtonie, a Śarmin ogromnie go podziwiała i kochała. Wbrew temu wszystkiemu, co o nim myśleli Aisza i jej emigranccy rodzice. Nic to Śarmin nie obchodziło.

– Dobra – powiedziała Aisza. Skończyła już artykuł i była gotowa przejść do następnego. Ale nie mogła zostawić Zoi Mirzy, nie powiedziawszy na koniec, głosem pełnym zachwytu: – Mówię ci, ona jest taka szykowna.

Śarmin ugryzła się w język i zaczęła powoli przeglądać artykuł o karierze Anila Kapura, a potem analizę aktorów sprzed lat. Śarmin oglądała filmy tylko u Aiszy, na DVD, więc jej wiedza na temat filmowych bohaterów i bohaterek oraz ich życia nie była tak szeroka i głęboka jak Aiszy, ale miała doskonałe wyczucie, co stanie się przebojem, a co nie, i już po jednokrotnym wysłuchaniu potrafiła zapamiętać całe piosenki. Z bohaterów

filmów czarno-białych, realizowanych na długo przed narodzinami jej i Aiszy, Śarmin lubiła Dewa Ananda. Po nim miała słabość do Amitabha Baćcana. Aisza w zasadzie zgadzała się co do tych dwóch faworytów, poglądy dziewcząt zaczynały się różnić dopiero, kiedy dochodziły do Candraćura Singha. Śarmin nieraz zastanawiała się, dlaczego częściej dzieliły je obecne czasy, a nie te dawno minione. Obie zgodziły się co do Feroza Khana – dwa kciuki powędrowały w dół – ale miały odmienne zdania na temat Fardina, którego pierwszy film jeszcze nie wszedł na ekrany, ale jego fotografie można było spotkać na każdym kroku, i Aisza sądziła, że on jest super, chociaż Śarmin uważała go za świrniętego. „Świrnięty” niedawno weszło do jej słownika.

– Śarmin! – doszło ich wołanie. – Beta?

Ostrzeżenie nadeszło z wystarczającym wyprzedzeniem. Kiedy ammi otworzyła drzwi, „Stardust” leżał wsunięty bezpiecznie głęboko pod łóżko, a Śarmin i Aisza siedziały naprzeciwko siebie na środku posłania. Śarmin miała nadzieję, że wyglądają jak dwie grzeczne dziewczynki, prowadzące przyzwoitą rozmowę o czymś stosownym.

– Salam alaikum, khaladżan – odezwała się Aisza. Była mistrzynią takich błyskawicznych przemian. Nagle miała włosy wsunięte za uszy, ramiona otaczały kolana, i Aisza wyglądała słodko niewinnie jak jedna z bohaterek filmów z lat czterdziestych, mizdrząca się do patrzącej na nią z aprobatą starszej osoby.

A ammi rzeczywiście patrzyła z aprobatą.

– Wa alaikum as-salam, Aisza – odparła, ocierając usta skrawkiem ćunni.  
– Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, khaladżan, w najlepszym porządku. – Aisza lekko pokiwała głową na boki, jak zawsze, kiedy starała się być dobra dla ciotek i wujków. – Świetnie pani wygląda. To ten ziąb tak pięknie rumieni policzki.

To pochlebstwo nie było niezbędne. Początkowo ammi była zaskoczona, a potem oczarowana doskonałym językiem urdu Aiszy i jej skromnymi manierami. Nie pochwałała rodziny Aiszy, ale nie przeszkadzało jej, że ta miła dziewczynka przychodzi do jej domu i jest ulubioną koleżanką jej córki. Aiszy nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale nigdy nie przepuściła okazji, żeby się trochę przypocholebić. Ammi uśmiechnęła się, po raz kolejny dając się zwieść aktorstwu dziewczyny.

– To tylko gorąco w kuchni – powiedziała. – Śarmin, idź i przypilnuj przez chwilę daddy. Nie mam czasu tam biegać.

– Teraz, ammi?

– Nie, w przyszłym roku.

– Ammi, właśnie rozmawialiśmy o egzaminach.

– Możecie rozmawiać na górze. Staruszka nie będzie wam przeszkadzać.

Śarmin nie mogła powiedzieć ammi, że nie cierpią stęchłego zapachu w tamtym pokoju, że to bezwolne, leżące na wznak, pomarszczone ciało, które kiedyś było jej daddy, teraz ją przerażało. Zrobiła minę i zaraz skrzywiła się, kiedy Aisza uszczypnęła ją w palec u nogi.

– Zaraz pójdziemy, khala – zapewniła Aisza. – Za minutkę.

Ammi wyszła z pokoju, rzucając jeszcze Śarmin ostrzegawcze spojrzenie. Aisza pozbierała swoje rzeczy i pogoniła Śarmin przez kuchnię, a potem po schodach, w górę, do pokoju na tyłach domu. Nawet ciężki zapach z kuchni ammi nie był w stanie stłumić ponurego odoru starości, tego odizolowanego zaduchu, niosącego w sobie woń kamfory, gorzkich lekarstw, a także moczu. To ta ostatnia, chociaż delikatna, przyprawiała Śarmin o mdłości. Pomimo tego, że pokój był ciepły, ogrzewany kanałami ciepłowniczymi i położoną zaraz pod nim kuchnią, daddy leżała pod grubą warstwą kołdry i koców. Śarmin usiadła na krześle przy drzwiach, starając się nie wdychać zbyt głęboko powietrza. Aisza podeszła do łóżka i klapnęła

na stojącą obok kanapę. Chociaż z daddi pozostało już niewiele więcej poza skuloną pod kocami bryłką, Aisza bardzo się nią interesowała. Mówiła, że daddi zmienia się za każdą jej wizytą, robi się coraz mniejsza, bardziej pomarszczona i zakonserwowana. Śarmin zgadzała się z tym, uważała, że to, co pozostało w tym pokoju, w niczym nie przypomina tej wysokiej, sarkastycznej kobiety o wielkich ciemnych oczach, jaką przez mgłę pamiętała z wczesnego dzieciństwa, ale wolała nie patrzeć. Wolałaby zostawić to cuchnące ciało w spokoju, na tyłach domu.

– Ma dwa kolejne włosy na brodzie – powiedziała Aisza. Nachyliła się jeszcze bliżej, i swoim hip-hopowym głosem szepnęła: – Hey, dadds, how you doin’ ?

Nagle odskoczyła do tyłu.

– Co się stało? – zapytała Śarmin.

– Odezwała się.

– I co z tego? To się jej zdarza. Myśli, że jest w Rawalpindi i że rozmawia z rzeźnikiem.

– Nie, idiotko. Odpowiedziała po angielsku. Powiedziała „I am very well, thank you”.

– Musiała to gdzieś usłyszeć. Chodź tu.

Ale Aisza przysunęła kanapę bliżej łóżka i odwróciła twarz bokiem, żeby móc zajrzeć w szparę w kołdrze. Śarmin już wcześniej widziała swoją przyjaciółkę zachowującą się w ten sposób. Kiedy Aiszę coś pochłaniało bez reszty, skupiała się tak bardzo, że naprawdę nie słyszała, nawet jak się do niej mówiło z odległości pół metra. Było to bardzo irytujące, a gdyby dostała bzika na punkcie daddi, przez następny tydzień musiałyby codziennie tu przychodzić. Śarmin wstała, obeszła łóżko i położyła rękę na plecach Aiszy.

– Aisza – powiedziała.



– Cicho, na. Ona coś mówi.

– Cały czas coś plecie. – Daddi mamrotała i rano, i w południe, i w nocy, mówiła do ścian pokoju, opowiadała różne historie, od czasu do czasu przeklinając, czym wywoływała śmiech ammi i zmarszczenie brwi abby. To wszystko jednak, i te jej ślepe oczy, sterczące jak strąki siwe włosy i poniżej rozpadające się ciało, przerażało Śarmin. Słyszała dochodzący spod kołdry głos, piskliwy i łamiący się. Żałowała, że nie jest w jakimś innym miejscu, gdzieś na dworze, na tym amerykańskim, trzaskającym mrozie.

– Mówi po angielsku – odezwała się Aisza.

– Pleciesz głupoty. Daddi nie zna angielskiego. A dadda nawet nie potrafił czytać. Oni nie znali angielskiego, to pewne. – Mąż daddi był analfabeta, a ona potrafiła czytać w języku urdu, cała rodzina o tym wiedziała. Ale daddi poświęcała się i odmawiała sobie wszystkiego, żeby wykształcić abbę, mówiła, że jej najmłodszy syn będzie miał prawdziwy zawód, nie będzie jakimś tam kierowcą tempa, jak jego ojciec. Pierwsza żona daddi i jej dzieci śmiały się z niej i zaraz po przedwczesnej śmierci daddi wyrzuciły ją z domu. Daddi znalazła się na ulicy, z trójką dzieci i bez grosza przy duszy, nie miała zupełnie nic, ale i tak sobie poradziła. Doprowadziła do tego, że abba został kimś zupełnie innym niż kierowca tempo. Tę całą historię rodzinną Śarmin знаła, od kiedy tylko sięgała pamięcią, ale przez całe jej życie nikt nawet nie wspomniał, że daddi potrafi mówić po angielsku. To było po prostu absurdalne.

– Podejź tu – powiedziała Aisza i, wyciągnąwszy rękę do tyłu, przyciągnęła do siebie Śarmin. – Posłuchaj!

Śarmin znalazła się twarzą w twarz z daddi. Błada skóra była teraz cętkowana, oszpecona plamami, ale Śarmin wiedziała, że w przeszłości była wprost legendarnie wspaniała i olśniewająca. Dadda poślubił daddi, zachwycony jej pendzabską urodą, a jego pierwsza żona gardziła nią,

wyzywała ją od prostytutek, nie mogła znieść jej obecności pod jednym dachem i starała się ją usunąć. Dadda nazywał daddi różą, mówił na nią zannat ki hur. Trudno było w to uwierzyć, patrząc na daddi, ale wszyscy tak mówili. Oddech daddi był teraz obrzydliwy, cuchnął jak stary klej. Śarmin obiecała sobie, że nigdy nie dopuści do tego, żeby sama stała się aż tak odrażająca. Już wolałaby najpierw umrzeć. Śarmin zrobiła zdziwioną minę.

– Przecież to nie jest angielski.

– Teraz nie. Teraz mówi coś w pendzabi. Co to jest?

Wypowiadane przez daddi słowa brzmiały jak pieśń czy modlitwa, ale były zupełnie nieznanne.

– Nie wiem – odparła Śarmin. – Chodźmy już.

– Gdzieś to słyszałam. To jakaś pieśń.

– Tak, jasne, śpiewa ci jakąś piosenkę Dalera Mehendi.

Aisza nie miała zamiaru reagować na ten marny sarkazm Śarmin, przynajmniej nie teraz, kiedy badała tę nową tajemnicę. Nachylona trzymała głowę blisko twarzy daddi. – Przestała.

– To dobrze. W takim razie chodź tu. A za pięć minut będziemy mogli stąd wyjść.

Ale Aisza uparła się, żeby siedzieć przy daddi i czekać, aż ona znowu się odezwie. Nie dało się jej ruszyć. Uważnie przyglądała się staruszce. Śarmin odwróciła się od tych wilgotnych, pomarszczonych ust i próbowała zachęcić Aiszę do rozmowy, powrócić do jakiegoś innego tematu, rozmawiać o czymkolwiek. Zaczęła mówić o Ćandraćurze Singhu, o Bradzie Picie, o szkole i wymagających nauczycielach. Aisza wciąż była jakby nieobecna, odpowiadała zdawkowymi „ha” i „na”. Śarmin, chociaż bardzo się starała, nie mogła zagłuszyć tego popiskiwanego daddi, tego dźwięku, który daddi co kilka sekund wydawała swoimi wargami. W końcu Śarmin umilkła i obie czekały, aż daddi coś powie.

Kiedy to zrobiła, Śarmin aż podskoczyła, chociaż wiedziała, że to nadejdzie. Tym razem głos daddi był głośniejszy, mocniejszy, wciąż jednak brzmiał, jakby dochodził z innego miejsca, gdzieś z daleka. Ponownie usłyszały monotony śpiew – *Nanak dukhija sab sansar*<sup>46</sup> – i tym razem ta pieśń również Śarmin wydała się znajoma.

– Co to jest? – wyszeptała.

– Nie wiem – odparła Aisza.

Daddi przerwała. W tej krótkiej ciszy pendzabskie słowa poukładały się w głowie Śarmin w całość i już wiedziała, co to jest. Nie chciała dać tego po sobie poznać, ale zeszywniała przy boku Aiszy, która natychmiast domyśliła się, że przyjaciółka wie.

– Co to jest? – zapytała Aisza.

Śarmin nie chciała odpowiedzieć. To zupełnie nie miało sensu. Wzruszyła ramionami.

– To po pendzabsku.

– To słyszę. Ale ty nieźle znasz pendzabski. Co ona mówi?

Aisza była uparta i ani myślała odpuścić.

– To taka piosenka – wyszeptała Śarmin. – Takie śpiewają ci sardarzy w swojej świątyni czy gdzieś tam.

Aisza pokręciła głową.

– Twoja daddi odmawia modlitwę sikhów?

Śarmin skinęła głową.

– Nanak, to ten od sardarów, prawda?

– Tak – odrzekła Aisza. Mocno trzymała Śarmin za rękę, i w końcu zadała to najważniejsze pytanie: – Ale dlaczego?

– Nie wiem. – Śarmin nie miała najmniejszego pojęcia.

Dadda pochodził z Pendzabu, a daddi była pendzabskim uchodźcą z drugiej strony. Całą jej rodzinę zabili hindusi. Dadda ją uratował i zabrał do

domu. Ożenił się z nią, a jego pierwsza żona wściekła się i po śmierci daddy ta ćurail pierwsza żona wyrzuciła ją i abbę z domu. Dadda kochał daddi, i gdyby tylko żył, wszystko byłoby inaczej. Ale daddi i abba – który wówczas był jeszcze chłopcem – musieli cierpieć, ale w końcu abba odniósł sukces. Ta cała historia ani trochę nie wyjaśniała, dlaczego daddi miałyby odmawiać sikhijskie modlitwy.

– Dowiedz się. – Na twarzy Aiszy widać było wypieki wywołane tym dramatycznym momentem, tą szansą odkrycia jakiejś tajemnicy.

– Ale jak?

– Zapytaj go.

Zapytaj go. Łatwo jej było mówić. Śarmin nie chciała pytać rodziców o sikhijskie modlitwy. Aisza nie mogła tego zrozumieć, ale Śarmin czuła przez skórę, że takie pytanie może wywołać katastrofę. Abba nienawidził sikhów prawie tak samo jak hindusów. Mówił, że ci sardarzy to ludzie barbarzyńscy, niewykształceni, gwałtowni i pełni nienawiści. Hindusi, oczywiście, byli gorsi. To pozbawieni skrupułów kłamcy, tchórze i bałwochwalczy, ale sikhowie niewiele się różnią od hindusów. Abba całe życie poświęcił walce z jednymi i z drugimi, za swoje oddanie sprawie i sukcesy otrzymywał odznaczenia i awansował. Śarmin nie miała zamiaru w jego własnym domu zaczynać z nim rozmowy o sikhijskich modlitwach. Kochała go, ale był człowiekiem surowym i zdyscyplinowanym, potrafił też być bezwzględny. Chodził do pracy w ambasadzie, spędzał tam długie godziny i dom, do którego powracał, musiał być posprzątany, cichy i spokojny, pełen pobożnej łaski. Śarmin doskonale wiedziała, że nie należy robić zamieszania jakimiś głupimi pytaniami o mamrotanie dzieciństwa, starej daddi. W końcu udało się jej wyprawić Aiszę do domu i schowała się w swoim pokoju, próbując się uspokoić. Wciąż jednak nie dawało to jej spokoju i po lunchu wróciła do pokoju daddi.

Daddi nadal leżała skulona dokładnie tej samej pozycji, z głową zwróconą w lewo. Śarmin wiedziała, że ammi podnosi ją rano i wieczorem, żeby ją nakarmić i dać lekarstwa, a czasami abba sprowadzał daddi na dół, do saloniku, żeby posiedziała z wszystkimi domownikami. Ale przeważnie spędzała życie tu, w tym jednym pokoju, drzemiąc i mówiąc do siebie. Śarmin wzdrygnęła się i jeszcze raz poprzysięgła sobie, że nigdy nie będzie tak straszliwie stara, a potem czekała, aż daddi znowu zacznie mówić coś z tych sikhijskich rzeczy. Ale daddi tylko mamrotała i mruczała sobie pod nosem coś, co trudno było rozróżnić, i chociaż mówiła w pendżabi, nie była to żadna modlitwa. Śarmin usiadła cierpliwie. Wzięła ze sobą podręcznik do matematyki, i usadowiwszy się wygodnie na niskim zielonym fotelu, zabrała się za czytanie. Sama była teraz ciekawa, nie tak podniecona, jak Aisza, ale czuła w żołądku jakiś niespokojny napływ niecierpliwości, lęku i mdłości. Chciała, żeby daddi znowu powiedziała to samo, co przedtem, tę modlitwę. Ona jednak nic takiego nie mówiła.

Śarmin powoli zaczęła się budzić, oparta policzkiem o drewnianą poręcz fotela. Po drugiej stronie okna w szybę uderzały delikatne kłęby śniegu, a światło zmieniło się w lśnienie luminescencyjnej płytki skalnej, przypominającej Śarmin o pewnym dawnym śnie, w którym szła przez rozległą równinę, zmierzając w stronę wysokich gór. Kiedy miała ten sen? Nie mogła sobie przypomnieć. Podniosła się na fotelu i rozmasowała twarz. Pewnie na policzku odcisnął się jej od drewna jakiś wstrętny wzór. Czasami, kiedy wraz z Aiszą drzemały po południu, chichotały rozbawione tymi wzorami odcisniętymi na twarzach i ramionach i bawiły się, że są to trwałe znamiona, jakieś szramy. Ale Aisza nie lubiła zbyt długo spać po południu. Mówiła, że kiedy budzi się po długim śnie za dnia, czuje się zagubiona, wydaje się jej, że nie wie, gdzie ani kim jest. Natomiast Śarmin zawsze lubiła spać, czy to za dnia, czy w nocy, i spała, kiedy tylko

przychodziła jej na to ochota. Nigdy nie powiedziała tego Aiszy, ale uważała, że pomimo pozorów skandaliczności i ryzykanctwa Aisza jest na swój sposób osobą wyjątkowo delikatną. Bardzo denerwowała się przed klasówkami i egzaminami oraz bała się jaszczurek. Czasami Śarmin miała wrażenie, że to ona chroni Aiszę, a nie na odwrót.

Śarmin poderwała się. Daddi siedziała na łóżku. Przykrycie opadło wokół jej pasa, a pod białym swetrem rysował się bardzo kruchy obojczyk. Patrzyła na Śarmin.

– Nikki – powiedziała. – Zabierz mnie do domu.

– Co mówisz, daddi? Co? – Śarmin pozbierała się i, uklękawszy przy łóżku, chwyciła dłoń daddi. Nic nie ważyła. – Daddi, co mówiłaś? Kto to jest Nikki? Jaka Nikki?

– Nikki, gdzie jest Mata-dzi? Zabierz mnie do domu, Nikki.

– Jaka Mata-dzi? Mówisz o swojej ammi?

Ale daddi znowu wycofała się w swoją nieobecność. Jej wzrok wędrował przez Śarmin, przez okno i gdzieś dalej. Śarmin wcale nie była pewna, czy daddi widzi śnieg, drzewa, czy w ogóle coś widzi. Posiedziała chwilę przy daddi, a potem ją ułożyła i nakryła kołdrami. Tego wieczoru przy kolacji Śarmin zapytała ammi:

– Skąd pochodzi daddi?

Ammi wzruszyła ramionami.

– Zapytaj o to abbę.

Tylko tyle mogła w tym momencie uzyskać Śarmin, ku wielkiemu rozczarowaniu Aiszy, która została telefonicznie poinformowana o poleceniu, jakie daddi wydała Nikki, kimkolwiek ona była. Ale tego wieczoru abby nie było w domu, pracował do późna, i wszystkie pytania musiały poczekać do rana.

– To strasznie dziwaczne, że tylko jego możesz o to zapytać – stwierdziła Aisza. – Moja matka może ci wszystko opowiedzieć o rodzinie papy.

Śarmin tylko nieznacznie zaprotestowała. Nie podobała się jej myśl, że jej rodzice mogą być dziwaczni, ale rzeczywiście było to dziwne, że ammi tak wiele mówiła o swojej rodzinie i jej przodkach, natomiast nigdy o krewnych daddi. Tego milczenia ammy nie dało się jednak złamać, więc Śarmin odczekała do rana, aż abba skończy kąpiel, modlitwę fadźr i śniadanie. Codziennie, zanim wyszła do szkoły, przez chwilę rozmawiali, a abba najchętniej dyskutował z nią o jej nauce. Omawiali właściwy religijny punkt widzenia na tematy, które pojawiły się w klasie, a on przedstawiał jej swoje poglądy na wydarzenia na świecie. Doskonale znał się na sprawach międzynarodowych i był już prawie wszędzie – a przynajmniej tak jej się wydawało. Uwielbiała słuchać go, jak opowiada o dżungli w Myanmarze i o ukraińskich stepach. Gładził swoje siwiejące wąsy i niskim głosem mówił o napotkanych w Nepalu tygrysach i o koniach w Szwecji.

Dzisiaj rozmawiali o Afganistanie i o Iraku, a potem, kiedy już pakowała książki, Śarmin zapytała:

– Abba, skąd pochodzi daddi?

Abba rozprostował serwetki na stole.

– Z Pendżabu. To teraz jest po drugiej stronie granicy.

– Tak, ale skąd dokładnie?

– Z okolic Amrytsaru.

Abba rozmawiał bardzo swobodnie, ale Śarmin zdawała sobie sprawę, że gdyby zapytała teraz o coś jeszcze, mógłby uznać ją za zbyt wścibską. Poszła do szkoły, uspokoiła niecierpliwą Aiszę i czekała na właściwy moment. Przez następne trzy dni zadawała abbie niewinne, rzucane mimochodem pytania o rodzinę, jej zdaniem zupełnie naturalne w ustach dziewczynki. Dowiedziała się, że przed ślubem daddi nazywała się Nauśin

Sharif i że faktycznie miała braci i siostry, ale wszyscy zaginęli, kiedy próbowali uciec do Pakistanu, że po jej stronie nie mieli żyjących krewnych, nigdzie nie było nikogo z jej rodziny, że chodziła do szkoły, ale nie ukończyła college'u, że lubiła dżalebi i khari lassi.

– A kto to jest Nikki? – w końcu zapytała Śarmin.

– Nikki? – powtórzył abba.

– Kiedy siedziałam z daddy, mówiła coś o Nikki.

– Ostatnio dużo czasu przy niej spędzasz.

Śarmin i Aisza w każde popołudnie chodziły do pokoju daddy, czuwając w oczekiwaniu na kolejne sikhijskie modlitwy, angielskie słowa czy wzmianki o Nikki. Ammi była bardzo zadowolona z tego nagłego zainteresowania Śarmin domowymi obowiązkami, natomiast abba sprawiał wrażenie, że jest mu ono obojętne. Często trudno było stwierdzić, co on myśli czy czuje. Potrafił coś powiedzieć, odezwać się głosem, który niczego nie zdradzał, a potem zapadała cisza. Milczał, czekając, a kiedy końcu jego rozmówca się odzywał, natychmiast odnosił wrażenie, że abba potrafi przejrzeć człowieka na wylot.

Śarmin poczuła, jak niepokój wspina się w górę jej kręgosłupa jak lawa. Starając się zachować spokój, powiedziała: – Jest taka stara. Musi czuć się samotna.

Złagodniał, posadził Śarmin obok siebie, chociaż była już spóźniona, i opowiedział jej o świetle księżycy na szczytach Himalajów.

– Ale nic ci nie powiedział o Nikki? – zapytała Aisza tego popołudnia. – Ani tak, ani nie, zupełnie nic?

– Nic nie powiedział.

– Ta historia z „Matą-dzi” też jest pewnie od sardarów. Musisz dowiedzieć się czegoś o tej Nikki.



– Nie mam zamiaru już go o to pytać.

– Tak, rozumiem. Ten twój pułkownik Śahid Khan naprawdę potrafi być przerażający, z tymi wielkimi wąsami i tym swoim głosem. Nawet kiedy mówi „Dobranoc, beta”, ciarki przechodzą mi po plecach.

Śarmin poczuła, że kręci jej się w głowie, nagle cały świat zawirował jej przed oczami – dla niej abba zawsze był abba, wysokim, wymagającym, mówiącym barytonem, pachnącym skórą i olejkiem do włosów Arnolive, niezmiennym jak morze. Nagle zobaczyła go oczami Aiszy, czy też tak, jak mogli postrzegać go inni, jako srogiego, niebezpiecznego, skrywającego tajemnice. Nagle poczuła się starsza, jakby w niej samej coś się zmieniło, i wcale jej się to nie spodobało.

– On nie jest przerażający – odparła cichutko.

Aisza znowu nagle zmieniła przedmiot zainteresowania i już nie słuchała Śarmin. Wpatrywała się w daddy. Znajdowały się w pokoju daddy, wyczekując tuż przy niej na wypadek, gdyby powiedziała coś tajemniczego, wstrząsającego czy rzucającego nowe światło. Ale daddy mówiła czystym językiem urdu lub pendżabi i – podobnie jak już od wielu dni – tylko o rzeźnikach, koniach i dawno minionych podróżach.

– Jest strasznie nudna – stwierdziła Aisza. – Nic nowego, prawda?

– Tak – odparła Śarmin – nic nowego.

Ani Nikki, ani modlitw, zupełnie nic. Jeśli nawet istniała jakaś tajemnica, nawet o krok nie zbliżyły się do jej rozwiązania. A może nie było czego rozwiązywać. Śarmin nie była nawet przekonana, czy w ogóle jeszcze chce coś znaleźć. Mur pokrętnych odpowiedzi abby – teraz to widziała – wstrzymywał jakiś gigantyczny, przytłaczający ciężar, coś, co nawet jego samego przerażało. Śarmin nie potrafiła wytłumaczyć tego Aiszy, ponieważ nie miała pojęcia, skąd to wie, ale przerażało ją to i wolała zostawić to w spokoju. Patrząc teraz na daddy, na ostry łuk jej nosa, który zarówno abba,

jak i sama Śarmin odziedziczyli, Śarmin chciała, żeby daddi po prostu siedziała cicho, żeby przestała mówić, żeby nie powiedziała już nic zaskakującego ani dramatycznego czy wybuchowego. Pragnęła, żeby Aisza sobie poszła, żeby opuściła ten pokój i wszystkie znajdujące się w nim pęknięte wspomnienia, ale dobrze wiedziała, że nie powinna się teraz odzywać. Kiedy mówiło się Aiszy, żeby czegoś nie robiła, ona często właśnie to robiła, nawet jeśli wcześniej nie miała takiego zamiaru. Śarmin czekała więc, wykazując się cierpliwością i wytrzymałością. To była tylko kwestia czasu.

Zainteresowanie Aiszy osobą daddi trwało dłużej, niż Śarmin się spodziewała. Przez całe zimowe ferie co drugi dzień ciągnęła Śarmin na górę, do tego ciemnego pokoiku, i musiały siedzieć przy łóżku daddi, rozmawiając o aktorach, muzyce i chłopakach ze szkoły. Daddi zamilkła już prawie zupełnie, tylko czasami ciszę przerywały pociągnięcia nosem, kaszel i jakiś dochodzący z głębi gardła odgłos gulgotania. Przez trzy tygodnie tylko raz się odezwała, i to żeby zapytać kogoś, kiedy odjeżdża pociąg. Śarmin i Aisza nawet dowcipkowały sobie z tego, jakoś wydawało im się to bardzo zabawne, kiedy ni z tego, ni z owego jedna pytała drugą, mówiąc z mocnym, pendzabskim akcentem:

– Are, słuchaj, kiedy odjeżdża pociąg?

Kiedy szkoła na powrót otworzyła swoje podwoje, a ich tornistry ponownie się zapełniły, i Aisza znowu szokowała Śarmin swoim bezwstydnym rozmowami z chłopakami, nawet ta jedyna wypowiedź daddi odeszła w niepamięć. I obecnie Śarmin musiała chodzić na górę do pokoju daddi tylko wtedy, kiedy ammi jej o tym przypominała. Aisza nie nalegała już na popołudniowe wizyty, a Śarmin to odpowiadało.

Daddi zmarła na początku wiosny, w dzień, w którym gazety rozpisywały się o wczesnie kwitnących kwiatach wiśni. Śarmin wróciła ze szkoły i zastała abbe siedzącego w kuchni przy stole i trzymającego w dłoni filiżankę parującego ćaju. Ammi stała przy kuchennym blacie, z dłońmi złożonymi na brzuchu. Śarmin od razu zorientowała się, że zdarzyło się coś niedobrego. Abba nigdy nie przychodził do domu tak wcześnie.

Pierwsza odezwała się ammi.

– Beta, dziś po południu odeszła twoja daddi.

Dopiero teraz Śarmin dostrzegła łzy na twarzy abby, nogi jej zadrżały i zaczęła się trząść. Ammi rzuciła się do przodu i pomogła jej usiąść na krześle. I abba, i ammi zaczęli wokół niej skakać, dali jej ćaj do wypicia i przytulali ją. Podczas pogrzebu, a także później, krążyła plotka, że Śarmin prawie zemdląła na wiadomość o śmierci swojej daddi, zupełnie nieznani jej ludzie podchodzili do niej i mówili o potrzebie pogodzenia się z losem, o woli Allacha, i o długim, bardzo długim życiu i wiecznej miłości. Śarmin nigdy nikomu nie powiedziała, że to, co tego dnia tak ją przestraszyło, co wbiło jej w pierś kolec beznadziejnego przerażenia, to nie wiadomość o śmierci daddi, ale ten dziecięcy smutek na twarzy abby, boleść tęsknoty, strata i niepewność, jakiej nigdy wcześniej nie widziała i nigdy więcej nie chciała oglądać. Śarmin stała z opuszczoną głową, nic nie mówiąc, i czekała, aż to wszystko się skończy.

Było jeszcze coś, czego Śarmin nigdy nikomu nie powiedziała, nawet Aiszy.

Przez miesiąc po śmierci daddi Śarmin każdej nocy budziła się po kilka razy. Przytomniała, spocona i z wypiekami na twarzy, a w głowie kręciło się jej od myśli o daddi, o pieśni, którą wtedy śpiewała, o tym, jak kiedyś trzy razy chodziła wymieniać sandały w centrum handlowym Crystal City, a sprzedawczynie kręciły głowami, kiedy tylko na korytarzu pojawiała się

jej kuśtykająca postać. Śarmin siadała na łóżku, piła wodę, kładła się i starała z powrotem zasnąć. Wciąż jednak miała wrażenie, że w jej serce powbijane są cienkie, czarne haczyki, które szarpią ją drobnymi ukłuciami winy, nie pozwalając jej zasnąć. Te piekące, bolesne ranki spowodowała nie tylko świadomość, że od kiedy Śarmin skończyła trzynaście lat, nie spędzała dość czasu z daddy, że zbyt zajęta była nauką, Aiszą i Candraćurem Singhem. Nie, to nie tylko to. Było jeszcze coś innego, Śarmin uzmysłowiła sobie z goryczą, że teraz daddy na zawsze już odeszła, i ona nigdy już się nie dowie tego wszystkiego, co można było się o niej dowiedzieć. Jeszcze nie tak dawno temu była znudzona tym, co mówi daddy, jej relacjami o świecących podczas burz monsunowych laltenach. A teraz wyglądało, jakby w to wtorkowe popołudnie amerykańskiej wiosny jakiś cały świat mrugnął i zniknął, cały wszechświat tak po prostu zgasł. A Śarmin już nie będzie mogła przywołać go z powrotem.

Znowu była wtorkowa noc, miesiąc po śmierci daddy, a Śarmin leżała rozbudzona w łóżku. Starła się nie otwierać oczu, nie myśleć, że się obudziła. Ostatnio doszła do wniosku, że właśnie ta jej niepewność, czy uda się jej zapaść w sen, powoduje, że faktycznie nie może zasnąć. Starła się więc nie ruszać i oddychała głęboko. Próbowwała przywołać miłe, przyjemne myśli, a przeciw nacierającym wspomnieniom stworzyła szaniec z wymyślnego krajobrazu, porośniętego lasem wzgórza, a raczej nie, plaży i rozciągającego się daleko turkusowego morza. Po chwili jednak poddała się z westchnieniem. Nie spała. Otworzyła oczy, a na łóżku, w jego nogach, siedziała daddy. Ubrana była w swój ulubiony, ciemnoniebieski szal z paśminy, ten, który dostała trzy lata temu, ale była bardzo młoda i piękna. Miała wysokie czoło, a jej czarne włosy opadały staromodną kaskadą bujnych loków. Ja śnię, pomyślała Śarmin. W każdej chwili mogę się

zbudzić. Obudź się. Nie mogła jednak tego zrobić i wciąż wyraźnie widziała siedzącą na jej łóżku daddi, a za nią okno i światło księżyca. Śarmin pomyślała sobie, że jeśli usiądzie i napije się wody, to wszystko się skończy. Ale ramiona i nogi leżały wzdłuż jej ciała ciężkie jak biały gład i pomimo wysiłków, nie zdołała się ruszyć. W tym momencie przyszło jej na myśl, że powinna się pomodlić, ale zaraz poczuła w sercu drgnienie winy, że boi się daddi. Spojrzała wprost na daddi i zrobiło się jej okropnie smutno, ze względu na daddi i na nią samą. I wtedy daddi odezwała się, cichym głosem, który nie był nieszczęśliwy, był natomiast pełen czułości:

– Nikki, zabierz mnie do domu.

Nagle Śarmin uzmysłowiła sobie, że jest rozbudzona. Mogła się poruszyć, usiadła i schowała twarz w dłoniach. Odczuła ulgę, ale jednocześnie zrobiło jej się głupio. Pomyślała, że jutro opowie Aiszy o tym zabawnym śnie jak z filmu i o tym, jak bardzo był realny. Może opowie o tym też abbie i ammi. Wyobrażała sobie, jak im to opowiada, już teraz widząc wyraz zdumienia i zainteresowania, który odmaluje się na ich twarzach. Widziała, jak opowiada to rodzicom, Aiszy i innym ludziom w przyszłości.

Nigdy nikomu jednak o tym nie opowiedziała. Po kilku miesiącach jej własne wspomnienie tego snu zaczęło blaknąć, a jaskrawa, żywa czerń włosów daddi i błękit jej szala straciły ostrość i zrobiły się niewyraźne. Na najbliższe urodziny Śarmin dostała od Aiszy różowy pamiętnik z malutkim, złotym zamkiem. Tego samego dnia, późnym wieczorem, Śarmin przypomniała sobie sen o daddi i pomyślała, że powinna go zapisać. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, co dokładnie daddi powiedziała w tym śnie, więc po kilku minutach zrezygnowała z tego pomysłu i napisała o Amirze Khanie. Napisała o jego filmach i aktorstwie, a kiedy już skończyła,

zamknęła pamiętnik i wsunęła go pod materac. Potem zasnęła i już nigdy nie przyśniła się jej daddi.

## Mere Sahiba



Melodyjny głos w głośnikach zapytał: „*Mere sahiba, kon dżane gun tere?*”<sup>47</sup>.

Sartadź nie był w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na werandzie Złotej Świątyni, na skraju parikarmy. Po jego prawej znajdował się grobowiec Baby Dipa Singha, a na wprost w porannym słońcu różowił się delikatnym czerwonym złotem Harimandir Sahib. Sartadź i ma przybyli pod bramę świątyni punktualnie o trzeciej, a potem weszli do środka i oglądali procesję, która przenosiła Guru Granth Sahib przez wodę, na miejsce. Sartadź przepchnął się przez tłum i na kilka sekund przyłożył ramię do palki, pomagając nieść świętą księgę, po czym powrócił do ma, z rozrzewnieniem wspominając te nagłe przypływy podniecenia i pewności, które kiedyś odczuwał na tym świętym miejscu. Kiedy już usiedli ramię przy ramieniu, a słońce wzeszło wyżej i na parikramie zrobiło się tłoczno od ludzi, przodownik chóru zadał to pytanie.

Sartadź i ma przybyli do Amrytsaru poprzedniego dnia. Ma była bardzo zmęczona, kiedy dotarli do domu syna jej mausa–dźi, a potem, przy przeciągającej się kolacji, siedzieli do późna z wieloma kuzynami, ciotkami i ledwo pamiętanymi dalszymi krewnymi. Niemniej jednak kazała mu nastawić budzik na drugą trzydzieści i w ciemnościach wyruszyli do Harimandir Sahib. Teraz, z rękami złożonymi na kolanach, kołysała się lekko do przodu i do tyłu, poruszając wargami.

– Nie jesteś głodna, ma?

– Nie, beta. Ale ty idź, zjedz coś.

– Nie, mnie nic nie brakuje. – Sartadź czuł się w miarę dobrze, ale martwił się o ma. Zamknęła się w jakimś swoim prywatnym świecie wspomnień, żalu i modlitwy, gdzieś bardzo daleko od niego. Oczy miała wilgotne i często ocierała ćunni kąciki ust. I modliła się, tak delikatnie, że nie mógł rozróżnić, jaki śabad odmawia. Nie wiedział, kogo czy co oplakuje ani jak jej pomóc. – Myślisz o Papie–dzi? – zapytał.

Powoli uniosła głowę i odwróciła się w jego stronę. Patrzyła na niego oczami brązowymi, ogromnymi i zdumionymi, a on nagle odniósł wrażenie, że patrzy na zupełnie nieznaną mu osobę.

– Tak – odparła. – Papa–dzi.

Ale nie mówiła mu wszystkiego, o pewnych sprawach nie chciała mówić. Sartadź zdawał sobie z tego sprawę i poczuł się zażenowany, jakby wszedł do jakiegoś ciemnego pomieszczenia, którego nie powinien oglądać.

– Coś bym jednak zjadł – powiedział. – Zostaniesz tu?

– Tak. Idź.

Zostawił ja więc i wzdłuż parikramy ruszył wokół pomarszczonej tafii stawu. Na werandach siedzieli pielgrzymi, a przed Sartadźem biegło dwóch małych chłopców, uciekających przed matką. Kiedy ich złapała i chwyciwszy za ramiona, odprowadzała z powrotem do ich ojca, starszy chłopczyk wyszczerzył w stronę Sartadźa zęby w uśmiechu, ukazując ubytek z przodu. Sartadź uśmiechnął się i kroczył dalej. Kamienie rozgrzewały jego bose stopy. Pierwsze wspomnienie Harimandir Sahib kojarzyło się mu z zimnymi palcami u nóg, z Papą–dzi trzymającym go za rękę i prowadzącym szybko przez brodzik położony tuż za całym kompleksem. Zbiegł po chłodnych marmurowych schodach, oślepiony złotym odbiciem świątyni w wodzie sarowaru. Wiedział, że już wcześniej go tu przywieziono, jeszcze jako małe dziecko, ale teraz pamiętał właśnie



to, ten zimowy poranek, kiedy szedł z Papą-dzi i ma, trzymając ich za ręce. Wtedy jeszcze nie potrafił odczytać imion męczenników i poległych żołnierzy, wypisanych na wmurowanych w ściany i filary marmurowych płytach. Teraz trudno mu było nie patrzeć na te imiona zmarłych, uciekać wzrokiem od list umieszczonych tam przez regimenty armii indyjskiej i pogrążone w żałobie rodziny. Właśnie mijał jedną z takich płyt, na murze tuż obok drogi na grobli prowadzącej do Harimandir. Kapitan z 8 batalionu lekkiej piechoty Dżammu i Kaszmiru poległ pod Sijaćin. Dwa lata po tej śmierci jego żona – również w stopniu kapitana – ofiarowała siedemset jeden rupii i umieściła tu płytę dla uczczenia jego pamięci. Minęło już ponad dziesięć lat i Sartadź zastanawiał się, czy ta żona wciąż jeszcze opłakuje męża.

Na pewno tak. Wyobrażał sobie tego mężczyznę, jak wspina się po lustrzanej tafli lodu gdzieś wysoko nad poszarpanymi szczytami. Ten mąż był bardzo młody, dzielny i dotarł powyżej wszelkich ludzkich osad, wspinając się ku śmierci. Sartadź widział też tę żonę, w mundurze wojskowym, z twarzą zwróconą w górę, w stronę wschodzącego słońca. Sartadź szedł i czuł spływające mu policzkach łzy.

Dlaczego płakał? Opłakiwał zmarłych, tego kapitana, ale też jego wrogów, którzy czekali na niego na tym zamarzniętym polu walki, z trudem łapiąc powietrze i rujnując sobie płuca. Ronił łzy żalu nad tymi wszystkimi imionami na tych płytach i sikhijskimi męczennikami na obrazach w muzeum na górze, którzy stanęli w obronie swojej wiary, których torturowano, miażdżono i tracono. Opłakiwał te sześćset czterdzieści cztery imiona na liście w muzeum, tych sikhów zabitych, kiedy wojsko oblegało świątynię w 1984 roku, oraz tych żołnierzy, powalonych przez kule na tych właśnie kamieniach. Sartadź szedł dalej. Otarł twarz i zamknął okrąg wokół sarowaru. Ma wciąż była tam, gdzie ją zostawił, z zamkniętymi oczami

siedziała oparta plecami o filar. Minął ją i zaczął kolejną rundę wokół parkarmy. Jakiś starzec spojrział na niego łagodnie i z zaciekawieniem, a Sartadź uzmysłowił sobie, że znowu płacze. Trudno było szukać jakiegoś rozliczenia, które pozwalałoby stwierdzić dokładnie, ile poświęcono i co zyskano, istniało tylko uświadomienie straty, tego bólu, jaki trzeba było wycierpieć i wchłonąć. Żar ziemi uderzył w stopy Sartadźa, który z zadowoleniem przywitał to pieczenie i szedł dalej. Znajdował spokój w krążeniu wokół stawu, tego Stawu Nektaru. Nie oczekiwał, że Waheguru mu wybaczy ani nawet że ta jego rozbita na kawałki wiara w Waheguru upoważnia go do prośby o wybaczenie. Nie wiedział, czy jest człowiekiem złym, czy dobrym, ani czy jego działania wynikają z wiary, czy ze strachu. Ale podjął działanie, coś zrobił, i teraz to chodzenie sprawiało mu ból, a zarazem przynosiło ulgę. Szedł więc dalej, krążył w kółko, mijał Dukh Bhandźani Ber, który leczył wszelkie dolegliwości, i podest z Ath-sath Tirath. Zatoczył koło, a potem jeszcze jedno. Zapomniał już, ile razy pokonał tę trasę i że w ogóle szedł, istniał tylko ten ruch jego ciała, błyszcząca woda i pieśń.

– Sartadźu?

Ma trzymała rękę na jego łokciu.

– Tylko spacerowałem – powiedział Sartadź. Rękawem otarł twarz i odprowadził matkę w cień korytarza.

– Co się stało? – zapytała. Wyciągnęła rękę i poprawiła mu kołnierzyk. Znowu była jego matką, z tą swoją lekko zatroskaną miną i pragnieniem, żeby zawsze był schludny i elegancki. Zniknęła ta obca osoba, którą przedtem w niej widział. A może się ukryła.

– Nic, ma. Jesteś gotowa, możemy iść?

Była gotowa, więc ruszyli wzdłuż parkarmy w stronę wyjścia. Ale w pewnym momencie Sartadź zatrzymał się. W tamten zimowy poranek,

dawno temu, kiedy przyszedł tu z Papą-dzi i ma, Papa-dzi chciał, żeby Sartadź zanurzył się w basenie. Papa-dzi zdjął koszulę i spodnie i wszedł do wody w swoich kaćcas w niebieskie paski. „Chodź, Sartadź!” – wołał go. Ale Sartadź schował się za ma i nie chciał iść. „Taki ser jak mój syn nie boi się zimna” – powiedział Papa-dzi. „Chodź!.” Ale Sartadź nie bał się chłodu. Nagle się zawstydział. Widział potężne, brązowe ramiona Papy-dzi, i poczuł się chudziutki i malutki, zupełnie nie jak ser. Nie chciał, żeby ci wszyscy ludzie na niego patrzyli. Pokręcił więc głową i kurczowo trzymał się ma, a ona go poparła. „Daj mu spokój, dzi, tylko się przezięb!” Papa-dzi roześmiał się i wyszedł z basenu, strząsając kaskadę wody na stopnie, a na jego mocnym nadgarstku jaśniała kara.

Teraz było lato, a Sartadź wyzbył się już całej nieśmiałości.

– Chyba się zanurzę – powiedział do ma. Ucieszyła się, ale jak zawsze myślała praktycznie. – Przecież nie masz ręcznika ani nic takiego.

Tylko pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Czekała na niego przy Dukh Bhandźani Ber, trzymając jego ubranie porządnie poskładane na ręce. Zszedł po stopniach, ostrożnie stawiając stopy bokiem na mokrych kamieniach. Woda była zaskakująco chłodna i napierała na jego ciało. Obok siebie widział wielu mężczyzn, a dookoła rozchodził się szmer modlitw. Skrzyżował ramiona i wsunął twarz do wody, a dźwięki przycichły. Gdzieś daleko w dole znajdowało się prądowe źródło, prowadzące do ziejącego życiem centrum świata. Poczował, jak w jego piersi uderza długa fala, jak ten powolny ruch wody ogarnia go, obejmuje i unosi. W uszach rozbrzmiewał delikatny pomruk, jakiś szelest, jakby słyszany z oddali odgłos tal na plaży. Ten dźwięk dochodził gdzieś z jego wnętrza. Przez chwilę Sartadź czuł, że zniknął cały jego ciężar, że jego starzejące się ramiona i zwiotczały brzuch unoszą się, a on leży na wodzie.

Po chwili stanął, z jego rzęs spadały skrzące się kropelki, i uśmiechnął się do ma.

Uniosła w jego stronę wolną rękę i też się uśmiechnęła.

W drodze powrotnej do Mumbaiu jechali w jednym przedziale z dwiema siostrami, osiemnastoletnią i dwudziestoletnią, które podróżowały ze swoimi rodzicami. Dziewczyny miały na sobie eleganckie śalwar–kamizy w kolorze czerwonym i zielonym, i słuchały piosenek Kiśorego Kumara płynących z przenośnego odtwarzacza kasetowego. Były bardzo grzeczne i wcześniej zapytały ma, czy nie będzie to jej przeszkadzać. Ma nie miała nic przeciwko temu i teraz pędzili przez krajobraz Pendżabu do rytmu *Gitgata hu me*<sup>48</sup> i *Ane wala pal*<sup>49</sup>, któremu towarzyszył dochodzący spod podłogi równomierny stukot kół. Ma wkrótce pogрузzyła się w rozmowie z matką dziewczyn, dyskutowały o wszystkim, począwszy od tego, jak bardzo zmienił się Amrytsar, po jubilera, którego obie znały w Andheri. Sartadź rozmawiał z ojcem sióstr.

– Przyjechałem do Bombaju dwadzieścia trzy lata temu – powiedział mężczyzna.

Nazywał się Satnam Singh Birdi i był stolarzem. Przybył do miasta, dysponując tylko swoimi umiejętnościami i wypisanym na kartce papieru nazwiskiem znajomego ojca. Ale ten wioskowy kontakt nic mu nie pomógł, znajomy ojca zupełnie się nim nie przejął, i w tym początkowym okresie Satnam Singh sypiał na chodnikach i chodził głodny. Ale że był porządnym pracownikiem, znajdował zatrudnienie u innych stolarzy i w firmach zajmujących się wystrojem wnętrz. Specjalizował się w wymyślnych szafach, ozdobnych stołach, meblach do eleganckich pomieszczeń. Po siedmiu latach wraz z dwoma braćmi założyli własny warsztat, który pomysłnie się rozwinął. Najmłodszy z braci spędził prawie połowę życia w

mieście i zawsze chodził dobrze ubrany, nosił telefon komórkowy i mówił po angielsku. To on kontaktował się z klientami, załatwiał zlecenia i negocjował kontrakty. Rozwinęli swoją firmę i już sami zatrudniali innych stolarzy. Waheguru pobłogosławił jego rodzinie i obecnie Satnam Singh i jego żona mieli ładne mieszkanie w Ośiwarze. Dziewczynki dorosły i świetnie się uczyły, były prymuskami.

– Ta starsza – powiedział Satnam Singh – chce zostać lekarką. A młodsza mówi, że będzie pilotować samoloty.

Młodsza dziewczyna natychmiast zareagowała na pobłażliwe westchnienie ojca.

– Papo – powiedziała cierpko – w dzisiejszych czasach wiele kobiet jest pilotami. To nic takiego nadzwyczajnego.

I natychmiast cała rodzina wdała się w radosny spór, który najwyraźniej ciągnął się od dawna. Ma – matka Sartadźa – ku zaskoczeniu swojej nowej znajomej, tej drugiej matki, wzięła stronę młodszej córki.

– To bardzo dobrze – powiedziała. – Dlaczego dziewczyny mają być gorsze?

Sartadź przysłuchiwał się im wszystkim, Satnamowi Singhowi Birdi i jego żonie Kulwinder Kaur, oraz ich córkom Sabrinie i Soni, zaskoczony falą radości, która rozlewała się w jego piersiach jak ciepły syrop. Opierał się temu, bo przecież nie miał podstaw, żeby robić sobie jakieś nadzieje. To tylko jedna rodzina, tylko jedna historia. A jednak tak to wyglądało: ten mężczyzna i ta kobieta odbyli długą podróż, pracowali i zbudowali sobie własne życie. A teraz ich córki z niecierpliwością oczekiwały czegoś więcej. To nie jest zbyt dużo. Z pewnością zdarzały się im już tragedie i zmartwienia, a Sabrina i Sonia z czasem napotkają własne rozczarowania i porażki. Ale Sartadź nie potrafił pozbyć się uśmiechu z twarzy i głośno roześmiał się na cięte uwagi Sabriny kierowane do matki.

Wspólnie zjedli lunch, dzieląc się paranthami, bhindi, puri i kupionymi na dworcach owocami. Po lunchu starsi się zdrzemnęli, a dziewczyny zaczęły go prosić o policyjne historie o znanych ludziach. Sartadź opowiedział im kilka historyjek odpowiednich dla ich wieku, o filmowych gwiazdach i wielkich biznesmenach, aż sam zrobił się senny. Musiał się pogodzić z tym, że w końcu należy do starszych, wspiał się więc na swoją kuszetkę i ukołyszany miarowym rytmem pociągu, zapadł w mocny sen.

Obudził go zapach ćaju i pakor. Przez kilka minut leżał nieruchomo, rozkoszując się skrytą w tej chwili oczekiwania obietnicą, przyjemnością własnego wypoczętego ciała, rosnącą niecierpliwością gwizdu pociągu i jego szybkości, powrotem do domu i myślą o czekającej na niego Mary. W końcu zszedł na dół i zabrał się do jedzenia. Dziewczyny wyciągnęły dwie talie kart i rozdały wszystkim do partii remi. Ma powiedziała, że już od lat nie grała, że jest już za stara, żeby dobrze grać, ale okazało się, że jest znakomitym i przebiegłym graczem. Z błyskiem w oku zbierała karty z kolejnych wygranych rozdań i z energią przebijała atutem, ciskając kartą na stolik.

– Wah, dži – odezwała się Kulwinder Kaur – pani jest prawdziwym ekspertem. Wspaniale pani wybiera karty do dołożenia!

Dużo później, po kolacji, kiedy już rodzina Birdi zasnęła, Sartadź usiadł na końcu dolnej kuszetki ma. Wiedział, że jego matka jeszcze długo nie zaśnie. Leżała z podciągniętymi kolanami. Za jej głową widział przemykające pola, niesamowite i piękne w świetle księżyca.

– Ma? – odezwał się Sartadź łagodnie.

– Tak, beta?

– Ma, jest pewna dziewczyna...

– Wiem.

– Wiesz?

Zachichotała. Sartadź nie widział jej twarzy, ale na pamięć znał tę jej minę, kiedy opuszczała brodę i kiwała głową z boku na bok.

– Też jestem policewali – powiedziała. – Mam przyjaciół, którzy mówią mi różne rzeczy. Dużo wiem.

– To prawda.

Przewróciła się na bok, układając policzek na dłoni.

– To dobrze, beta. – Teraz już nie żartowała. – Mężczyzna powinien być z kobietą. Tak to już jest. Nie można samotnie iść przez życie.

– Ale ty lubisz samotność – odparł Sartadź. Być może to ciemność pozwoliła mu mówić do niej tak szczerze, wytknąć jej, jak skrupulatnie broniła swojej niezależności.

– To nie to samo – powiedziała. – Przeżyłam moje życie, Sartadźu. Spełniłam swój obowiązek.

Użyła angielskiego słowa, „duty”, i Sartadź przypomniał sobie, jak Papa-dźi wołał *Are ceñ kar, djutipar dianq be*<sup>50</sup>. Trudno było traktować miłość jako obowiązek, wyobrazić sobie, że śalwar-kamiz i czerwona parandama to coś w rodzaju munduru, że może jej nieustanna troska o niego i Papę-dźi, o ich zdrowie, czystość i odpowiednie odżywianie nie są czymś naturalnym, ale czymś, co w sobie jakoś wykształciła i świadomie złożyła w ofierze. Wyglądało na to, że ta leżąca obok niego, znajoma mu postać prowadziła własne życie w tych wszystkich domach, w których wspólnie mieszkali, i inaczej przeżywała wszystkie urodziny i podróże. Sartadźa ponownie ogarnęło to niepokojące uczucie, że ta kobieta jest nie tylko jego własną matką, Prabhdźot Kaur, ale również kimś, kogo nie znał.

Poczuł ukłucie w sercu, nieznaczne, ale z tego lekkiego bólu zrodziło się nowe uczucie dla tej obcej osoby, z którą przeżył tyle lat. Bardzo ciężko pracowała, bez pochwał, bez nagród. Może nawet była bardziej podobna do źle opłacanej policewali, niż jej się to wydawało. Uśmiechnął się i zapytał:

– Czy bolą cię stopy?

– Troszkę.

Sartadź rozmasował jej kostki i roztarł stopy. Pociąg nabrał prędkości i z grzmiącym łoskotem, w którym mieszała się żywiołowość i nostalgia, przejechał przez długi most. Kimkolwiek była ta kobieta, siedzący u jej stóp Sartadź nie czuł się samotny ani osamotniony. Jej osoba miała dla niego wiele znaczeń. Byli matką i synem, ale byli również Prabhdźot Kaur i Sartadźem Singhem, od wielu lat służyli sobie nawzajem wsparciem i byli przyjaciółmi.

Rzeka za oknem wznosiła się aż po horyzont ogromnym rozlewiskiem lodowatego, srebrnego światła. Sartadź trzymał stopę matki i, czując w dłoni kruchy ciężar jej kości, pomyślał, że jest już stara. Dopuścił do siebie myśl o jej śmierci, ale chociaż nagle przeszły go ciarki, nie czuł smutku. Każdy związek był obciążony stratą, każde przywiązanie możliwością zdrady. Nie można było uniknąć tej przewrotnej łamigłówki, przed nią nie było ucieczki i nic nie pomoże narzekanie na nią. Miłość była obowiązkiem, a obowiązek był miłością.

Sartadź przyłapał się na tym filozofowaniu i aż się uśmiechnął na swoją głupotę. Chyba jestem zmęczony, pomyślał. Pogłaskał stopy ma i po cichu wspiał się na swoją kuszetkę. Zwinął się pod pachnącym czystością prześcieradłem, a spod toczących się kół do jego uszu dotarła pieśń z wczorajszego popołudnia. Czy to była piosenka Kiśorego Kumara, co to było? Słyszał melodię, ale gdzie się podziały słowa? Podciągnął prześcieradło pod brodę i, bardzo cichutko, nucił tę piosenkę, starając się ją sobie przypomnieć.

Mary próbowała nałożyć błoto na twarz Sartadźa.



– To nie jest błoto – powiedziała z oburzeniem, ale tak właśnie wyglądało, jak błoto w różowym słoiczku.

– Właśnie że tak – odparł Sartadź. – Zeszłaś na dół i zebrałaś je spod jednego z tych kwiatków. – Siedzieli naprzeciw siebie w jego łóżku. Po raz pierwszy przysła do jego mieszkania, w związku z czym spędził całe popołudnie porządkując i ścierając kurz, który zebrał się podczas jego wyjazdu do Amrytsaru. Przyjechała o szóstej trzydzieści, niosąc na ramieniu mały, niebieski plecak. Droczył się z nią, mówiąc, że wygląda młodo jak elegancka studentka college’u, a potem się kochali. Później opowiedział jej o podróży i o tym, że ciągle ma wrażenie, że jest brudny, chociaż w obie strony jechali w klimatyzowanym przedziale. I właśnie kiedy o tym mówił, ona zeskoczyła z łóżka i pogrzebawszy w swoim plecaku, wyciągnęła ten słoik z błotem.

– Sartadźu, to bardzo drogi zabieg kosmetyczny twarzy – powiedziała. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile ludzie płacą za to w naszym salonie. Spójrz, zawiera owoce i różne wyciągi. Odmłodzi twoją skórę, usunie wszelkie zanieczyszczenia po tym pociągu, ten cały kurz i pył. To działa jak multani mitti, tylko lepiej. – Przysunęła się do niego i siadła okrakiem na jego udach. W pasie owinęła się prześcieradłem, a jej włosy opadały na łuk nagich ramion. – Are, nie ruszaj się, baba. – Zanurzyła dwa palce w słoiczku i posmarowała mu czoło tą substancją. Poczul chłód na czole, preparat był zimny i gładki. – Odsuń włosy.

Mary pracowała dokładnie i powoli, z językiem między zębami. Sartadź wyciągnął szyję, na co ona roześmiała się i pozwoliła mu się pocałować, ale tylko na moment, zaraz położyła dłoń na jego ramieniu i odepchnęła go z powrotem. Oparłszy się na poduszce, obserwował jej oczy i pociemniały brąz jej skóry. Dostrzegł płytkie zmarszczki na wargach i przyjrzał się łukom rzęs. Kiedy już skończyła i zadowolona skinęła głową, wyjął z jej

rąk słoiczek i nabrawszy nieco tej masy, roztarł ją na jej policzku. Substancja była czerwona i bardziej miękka niż normalne błoto, bardzo jednorodna i drobnoziarnista, i z łatwością się rozprowadzała. Pomalował twarz Mary, nakładając preparat od góry do dołu. Kiedy dotarł do szyi, cofnął głowę, czując, że glina już ściąga mu skórę, a kiedy zobaczył Mary w całości, przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, ponieważ przed nim była Mary, ale jakby nie ona. Czerwień utworzyła na niej maskę, i chociaż rozpoznawał jej rysy, cała twarz była znieruchomiła, nieprzejrzysta i nieznana.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – stwierdził Sartadź.

Skinęła głowę.

– Musimy poczekać, aż to wyschnie – powiedziała. – Jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

Siedzieli spokojnie tuż obok siebie, ona opierała ręce na jego piersiach, a on obejmował ją w pasie. Widział, jak początkowo czerwona substancja zmienia kolor, jaśniej, jak pojawiają się w niej rysy. Jakby obserwował jakiś starożytny, kamienny posąg, z tą różnicą, że w samym środku tkwiły jej oczy, jasne i płonące. To przekształcenie Mary w coś innego, coś anonimowego, budziło w nim jakiś nieokreślony niepokój, odwrócił więc wzrok i spojrzał nad jej ramieniem. Drzwi do jego szafy były otwarte, a po ich zewnętrznej stronie znajdowało się długie lustro, które zamocował dawno temu, żeby codziennie przed wyjściem z domu sprawdzić swój wygląd. Widział w nim teraz odbicie swoje i Mary, ich symetryczny zarys, a także fragment własnej twarzy, czerwone policzki pod luźno opadającymi włosami. Ujrzał tam kogoś obcego, jakiegoś mężczyznę, również mu nieznanego. Odetchnął głęboko i bardzo spokojnie ponownie odwrócił się w stronę Mary, a potem przytulił ją do siebie.

Ich oddechy kłębiły się w ciszy, głośniejsze od dochodzących zza okna dźwięków ulicy, a krzyki ptaków cichutko rozpląwały się w tym ich wspólnym oddychaniu. Mary powiedziała, że ta kuracja odmłodzi jego skórę, ale oprócz naciągania skóry błoto zdawało się wywierać na niego jakiś głębszy wpływ. Był tu z Mary i nie obawiał się już ani szczęścia, ani zawodu miłosnego, które mogły go spotkać. Czuł, że odżył, jakby nagle został od czegoś uwolniony. Nie rozumiał, dlaczego tak jest, ale te braki w zrozumieniu zupełnie mu nie przeszkadzały. Wystarczyło, że żył.

– Już wyszło – odezwała się Mary. – Możemy to zdjąć.

Wziął ją za rękę i poprowadził do łazienki, tam zdjął z niej prześcieradło i wsunął je za ręczniki. Pokręciła gałkami na ścianie i po wąskim pomieszczeniu rozbryznął się strumień wody. Roześmiała się i odwróciła w stronę Sartadza, a jej uśmiech przebił się przez pękającą glinę. Sartadz też się uśmiechnął, chociaż sam nie wiedział, dlaczego. Zmywali sobie nawzajem z twarzy błoto, które spływało po ich ciałach, pokrywając je swoim połyskiem, a Sartadz zobaczył, jak spod warstwy czerwieni wyłania się Mary – Mary, którą już trochę znał – i ogarnęła go chęć dotykania każdej jej części, więc, nie zwlekając, zajął się tym.

Ekipa robotników komunalnych pracowała przy dziurze w drodze. W zasadzie nie pracowali, po prostu stali wokół tej dziury i do niej zaglądali, najwyraźniej czekając, że coś się wydarzy. Tymczasem w ulicznym zatorze gromadził się zwięzający się sznur pojazdów. Sartadz na swoim motocyklu znajdował się na przedzie. Stał zamknięty między autobusem sieci BEST a dwoma samochodami, a że żaden pojazd nie mógł ruszyć się z miejsca, wszyscy zgodnie czekali.

Autobus był wypełniony ludźmi jadącymi do biur, a samochody odwoziły uczniów college'u na zajęcia. Wzdłuż zamarłego korka pracowali

młodzi chłopcy, sprzedając czasopisma, wodę i jarmarczne chińskie statuetki, przedstawiające roześmianego mężczyznę trzymającego ręce uniesione nad głową. Para kalekich żebraków chodziła od samochodu do samochodu, stukając kikutami w przednie szyby. Gdzieś w pobliżu pomieszkała się muzyka z dwóch radioodbiorników, nastawionych na różne stacje. Sartadź wchłaniał to wszystko, nie mogąc uwierzyć, że za tym tęsknił, kiedy go tu nie było, i że cieszył się z powrotu. Nawet ten szczególny smród spalin, spaliny i rozgrzewanej smoły, nawet to było urocze. Chyba zwariowałem, pomyślał. I przypomniał sobie Katekara, który był właśnie takim wariatem: potrafił ciągle narzekać, ale jednocześnie przyznawał się, że tęsknił za miastem, kiedy odwiedzał swoich teściów na wsi. „Kiedy już raz naznaczy cię powietrze tego miasta” – powiedział kiedyś – „nie masz szans się odnaleźć w żadnym innym miejscu”. Przyłożył sobie wówczas palec do głowy i znacząco nim pokręcił, a potem roześmiał się, trzęsąc ramionami.

Kiedy autobus w końcu ruszył, Sartadź, ryzykując starcie z tonami metalu, gwałtownie skręcił, żeby go wyprzedzić, i chwilę później minął już robotników i wyjechał z korka. Przyspieszył. Wszedł w zakręt udekorowany jaskrawymi plakatami nowych filmów i dotarł w pobliże plaży, gdzie zobaczył rozpościerające się przed nim płaskie i brunatne morze. W pobliżu naki [skrzyżowanie] w Kailaśpadzie trwała nowa budowa, z ziemi wyrastało ciężkie, stalowe rusztowanie. Robotnicy postawili swoje czerwone i niebieskie namioty w jego cieniu, a po stertach żwiru raczkowały gołe dzieciaki. Sartadź zwolnił, żeby przepuścić parę smukłych, białych psów, które przechodziły przez ulicę zdecydowanym krokiem, sprawiając wrażenie, jakby za pięć minut miały bardzo ważne spotkanie. Lekka bryza uderzyła Sartadza w piersi, a on poczuł, że jest szczęśliwy.

Elegancko przejechał na luzie przez bramę komisariatu i zaparkował przed komendą strefy. Z miejsca, w którym siedział, widział cały dział obsługi klientów, aż do galerii prowadzącej do biura starszego inspektora i pokoju przesłuchań. Kamble siedział przy biurku dokładnie na wprost głównych drzwi, pochylony pisał coś w rejestrze. Naprzeciw niego siedział jakiś mężczyzna, a obok niego kobieta, nachylali się do siebie, dotykając się ramionami. Posterunkowy prowadził skutego więźnia. Z położonego wyżej balkonu dochodziły dźwięki szurania dźharu po kamieniu, jednostajne i powtarzające się. Madżid Khan zawołał coś do jakiegoś inspektora, a ten gromki stek jego przyjaznych obelg wywołał uśmiech na twarzy Sartadża.

Zsiadł z motoru. Oparł buty na pedale, najpierw jeden, a potem drugi, i wypolerował je chusteczką, aż zaczęły błyszczeć. Następnie przesunął palcem wokół talii, wzdłuż opinającego go paska. Poklepał się w policzki i na koniec kciukiem i palcem wskazującym przejechał po wąsach. Był pewien, że są wspaniałe. Czuł się gotowy. Wszedł do środka i zaczął swój kolejny dzień.

## Podziękowania

Część podróży, które odbyłem, przygotowując niniejszą książkę, sfinansowana została z grantu wspomagającego, udzielonego mi przez Uniwersytet Jerzego Waszyngtona. Chciałbym wyrazić wdzięczność swoim dawnym kolegom z tej uczelni za wsparcie i wyrozumiałość, zwłaszcza przyjaciółom z kursu kreatywnego pisania: Faye Moskowitz, Davidowi McAleaveyowi, Jody Bolz, Jane Shore, Masdne Claire.

S. Hussain Zaidi szczególnie szczerze dzielił się ze mną obszerną wiedzą, ofiarował mi gorącą przyjaźń i bezgraniczne wsparcie. Mam wobec niego wielki dług wdzięczności.

Również wiele innych osób służyło mi pomocą, informacjami i udzielało gościny podczas pisania tej książki. Są to:

Anuradha Tandon, Arup Patnaik, DIG, CBI, API Rajan Gule, CID, Fazal Irani, Akbar Irani, API Sanjay Rangnekar, Violet Monis, Iqbal Khan, Imtiaz Khan, Nisha Jamwal, Rajeev Samant, Rakesh Maria, DIG, Viral Mazumdar, Bandana Tewari, Shernaz Dinshaw, Nonita Kalra, A. D. Singh, Sabina Singh, Rajiv Somani, Afitab Khan, Rasna Behl, Ashutosh Sohni, Shruti Pandit, Kalpana Mhatre, Deepak Jog, DCP, Srila Chatterjee, Sherry Zutshi, Namita Waikar, Shashi Tharoor, Julia Eckert, Jaideep i Seema Mehrotra, dr Ashok Gupta, Namrata Śarma Zakaria, dr Amiq Gazdhar, Farzand Ahmed, Menaka Rao, Gyan Prakash.

W Delhi, Pendźabie, Jammu i Kaszmirze: Harinder Baweja, A. K. Sehgal, Amit Sehgal, Manohar Singh, Agha Śahid Ali, Shafi, Sumit (Surd) Nurpuri, Praveen Swami.

W Biharze: Sanjay Jha, Vinod Mishra, Ravinder Jadav, Ashok Kumar Singh, SP, Gaya, N. C. Dhoundial, DIG, Gaya, R. K. Prasad, zastępca SP, Gaya, Sunit Kumar, IGP, Patna, Subnath Jha, Bibhuti Nath Jha „Mastan”, Gopal Dubey, Surendra Trivedi, Sh. Shaiwal.

Niektórych osób nie mogę wymienić z nazwiska. Te osoby doskonale jednak wiedzą, że o nie właśnie chodzi.

Jak zawsze pozostaję wdzięczny rodzicom, Navinowi i Kamnie, moim siostram, Tanuji i Anupamie, nieustannie wspierającej mnie przyjaciółce Margo True, a także Ericowi Simonoffowi, Julian Loose, Davidowi Davidarowi, Terry Karten i Vidhu Vinodowi Choprze.

Oraz Melanie, która wszystko odmieniła.

Hymny w rozdziale „Ganeś Gaitonde odkrywa siebie” pochodzą z Rygwedy. Skorzystałem z przekładu Raimundo Panikkara (The Vedic Experience, Motilal Banarsidaas, 2001).

## Słowniczek

Wiele z podanych poniżej słów używa się w więcej niż jednym języku. Na przykład „ma” (matka) istnieje w języku hindi, pendżabi oraz w wielu innych językach północnoindyjskich.

**ai** matka

**ACB** Anti-Corruption Bureau – bombajskie biuro antykorupcyjne

**ACP** Assistant Commissioner of Police – młodszy komisarz policji

**Aćarja Winoba Bhawe** bliski współpracownik Gandhiego, uznany za jego duchowego spadkobiercę

**aćća** wyrażenie oznaczające zgodę („w porządku”) lub zaskoczenie („naprawdę?”)

**adda** niski wał ziemny rozdzielający dwa gospodarstwa

**Adhja-pika-aźi** oficjalna forma zwracania się do nauczycieli: „szanowny panie nauczycielu”

**adrak** imbir

**advil** ibuprofen

**Adź ka Kanun** „Prawo naszych czasów”

**Adźmer Szarif** najważniejsze sanktuarium muzułmanów w Indiach; cesarz Akbar co roku pielgrzymował tu piechotą z Agry

**agarbatti** kadzidełko

**aijedźhawnaja, aijedźhawnaji** skurwysyn, skurwysyński

**aii** z j. hindi i j. urdu: przyjemność, zabawa

**Aiśwarja Rai** gwiazda kina indyjskiego (ur. 1973), Miss World 1994

**aj!** okrzyk mający na celu zwrócenie czyjejs uwagi („hej!”)

**ajurweda** tradycyjna medycyna indyjska



**akha** zupełny, absolutny

**Akhand Bharat** Niepodzielone Indie; tereny zamieszkałe przez większość hinduską przed muzułmańskimi podbojami i podziałem kolonialnym

**akhara** regiment

**almira** kredens

**Ambabai** bogini, szczególnie czczona w stanie Maharasztra

**Ambadewi** bogini–matka czczona głównie w Gudźaracie

**Ambani** rodzina magnatów przemysłowych w Indiach

**ambien** lek nasenny, zolpidem

**amir** z j. arabskiego: emir

**Amitabh Baććan** popularny aktor, producent i prezenter telewizyjny (ur. 1942)

**ammi** z j. urdu używanego w Pakistanie: matka

**ampapar** rodzaj słodczy, liofilizowany miąższ mango

**anda** jajko

**angadia** tradycyjny kurier w Indiach; z jego usług korzystają często handlarze diamentów

**angula** dosł.: palec lub ręka; tu: miara długości

**antra** wstęp do gł. części pieśni; w trakcie pieśni *antra* może być powtarzana

**API** Assistant Police Inspector – młodszy inspektor policji

**appam** naleśnik ze sfermentowanego ryżu, popularny w Kerali

**apradhi** przestępca, więzień

**apsary** niebiańskie nimfy, częsta przyczyna upadku ascetycznych joginów i mistrzów

**arab** jednostka tradycyjnego indyjskiego systemu numeracji równa 1 miliardowi

**arabpati** miliarder

**Ardżuna** bohater Mahabharaty, syn boga Indy przyjaciel Kryszny, wzór męstwa i wytrwałości

**are** hej!

**Arszad Mehta** hinduski makler giełdowy, bohater skandalu w 1992 r.

**arhi** stos pogrzebowy, na którym zmarły jest zanoszony na miejsce spalenia

**Assam Rifle** najstarsze oddziały paramilitarne w Indiach; operują na pn.–wch. granicy państwa

**aśiana** gniazdo

**AsokKumar** indyjski aktor (1911–2001); zerwał z teatralnym sposobem gry

**aśrama** ustronne miejsce pobytu guru z uczniami

**Aśwathama** bohater Mahabharaty

**Aul–sath Tirath** marmurowy podest na terenie Złotej Świątyni; zgodnie z tradycją kąpiel w tym miejscu może pomóc spełnić marzenie o odbyciu pielgrzymki do 68 świętych miejsc Indii

**atja** ciotka, stryjenka; siostra ojca

**atman** w hinduizmie: dusza, jaźń nie zmieniająca się w cyklu reinkarnacji

**atta** mąka

**attar** olejek eteryczny z kwiatów

**Awadh** przed panowaniem Anglików (znane też jako Oude) królestwo w centrum obecnego stanu Uttar Prades; podczas angielskiej okupacji obszar ten włączono w tzw. United Provinces of Agra and Oudh

**baba** serdeczny sposób zwracania się do kogoś

**Baba Dip Singli** jeden z największych męczenników w historii sikhizmu

**babul** drzewo, Acacia nilotica; osiąga 5–20 m wysokości

**baćca** dziecko

**badam** migdał

**badbu** nieprzyjemny zapach

**badhwa** alfons, sutener

**badmaś** podejrzana postać, typ spod ciemnej gwiazdy

**Dadiah** cesarz, por. padyszach

**badža** instrument muzyczny

**badžao** dosł.: grać, łomotać (np. na bębnie); także: bić, odbywać gwałtowny stosunek seksualny, por. polskie „walić”

**badžra roti** proso perłowe; tańsze od mąki pszennej, pokarm klas niższych

**bai** pełne szacunku określenie kobiety, w Mumbaju częste w odniesieniu do służącej (np. „bai, która sprząta dom”)

**baithak** salonik

**Bakrid** muzułmańskie święto upamiętniające wiarę i ofiarę Hazrata Ibrahima (Abrahama), poproszonego przez Allacha, by złożył syna w ofierze (podczas święta składane są ofiary ze zwierząt); poza subkontynentem indyjskim znane jako Id-ul-Zuha lub Id-ul-Azha

**Bali, Sugriw** bracia-małpy z Ramajany. Bali podstępem wykradł królestwo małp Sugriwowi i porwał jego żonę. Rama zaprzyjaźnił się z Sugriwem, wciągnął Balego w zasadzkę i zabił. Sugriw, już jako władca małp, sprzymierzył się z Ramą w wojnie z Rawaną

**bambu** wykorzystywać seksualnie, dymać, dmuchać

**bambuing** akt wykorzystywania seksualnego, dymanie, dmuchanie

**ban** z j. konkani: wielkie metalowe naczynie do przechowywania i grzania wody

**bandh** dosł.: zamknięty; zamknięcie miasta lub miejscowości, strajk – często ogłaszane przez jakąś partię polityczną, czasami narzucane siłą

**bandngala** dosł.: zamknięta szyja; określenie marynarki lub płaszcza z okrągłym kołnierzykiem, zapinanym pod szyją (jak w marynarce Nehru)

**bandobast** przygotowania, działania logistyczne

**Bandra** przedmieście Mumbaju, zw. „królową przedmieść”

**bangda** kanagurta; gatunek ryby

**banian** podkoszulek

**banija** handlarz, sklepikarz

**bap; bap** IC ojciec; również okrzyk „O, mój ojcie!”

**barbale** prostytutki, kobiety pracujące w barach

**barud** proch strzelniczy

**bas** wystarczy, dość

**basta** tornister szkolny

**basti** dosł.: osada, miejscowość; slumsy, tereny zamieszkałe przez biedotę

**Basu Bhatta** twórca filmowy (1934–1997); łączył filmy głównego nurtu z kinem artystycznym i wyczulonym na problemy społeczne

**batasa** drażetki z cukru kandyzowanego

**batatawada** smażona przekąska z ziemniaków i mąki z ciecierzycy

**batchmate** kolega z klasy

**Begam Akhtar** wykonawczyni pieśni ghazal (zm. 1974)

**belan** wałek do ciasta.

**besan** mąka z ciecierzycy

**BEST** Brihanmumbai Electric Supply and Transport Zakład Transportowy i Energetyczny Rejonu Brihanmumbai

**beta** z j. hindi: syn

**bewda** pijak

**bhabhi–dźi** pełne szacunku określenie żony brata: „pani bratowa”

**bhadwa, bhadwaja** sutener

**bhadwi** żeńska forma „bhadwa”; także „madame” – szefowa domu publicznego

**bnadźan** hinduska pieśń religijna

**bhadźija** smażona przekąska

**bhai** dosł.: brat; w Mumbaju także określenie gangstera, członka „firmy” (każdy tapori chce zostać bhai)

**bhaigiri** czyn właściwy bhai

**bhaijja** brat

**bhakri** płaskie, okrągłe przaśne pieczywo

**bhakt** uczeń, wyznawca

**bhang** pochodna konopi indyjskich, produkowana z liści i żeńskiego kwiatostanu; może być palona lub używana w napojach

**bhangad** problemy, zamieszanie, nieporozumienia

**bhangi** zmiataacz

**bhangra** dynamiczny i żywy taniec ludowy z Pendżabu; także grana doń muzyka (uwspółcześniona i zmieszana z wieloma innymi gatunkami muzyki zachodniej, jest popularna w klubach na całym świecie)

**Bharat–darsan** sanskryckie określenie starożytnych Indii („ziemia, na której mieszkają ludzie bliscy Bogu”); pielgrzymka do starożytnych Indii

**bhaszan** wykład

**bhat** ryż

**Bhawani** bogini, straszliwe wcielenie Śakti lub Dewi; jednocześnie dawczyni życia i Karunaswa–rupini najwyższa postać miłosierdzia

**bhedźa** mózg

**bhełpuri** pikantna przekąska sprzedawana często z wózków na ulicach i plażach Mumbaju

**behenćod** skurwysyn (dosł.: „siostrójebca”)

**behendźi** pełen szacunku zwrot do starszej siostry: „szacowna siostró”

**bhidu** kumpel

**bbindi** ketmia

**Bhodź** średniowieczny król i filozof, władca królestwa Malwa w centralnej części Indii

**Bholenath** niewinny bóg, jedno z imion boga Siwy

**bhondu** głupiec

**bhusa** słoma

**bhut** duch

**bhumihar** wpływowa podkasta braminów

**bibi** pełen szacunku zwrot do kobiety: „szanowna pani”

**bigh** miara powierzchni ziemi, równa – zależnie od regionu – od 1/3 akra do 1 akra

**Bihar** stan w pn.–wsch. Indiach

**biri** tanie papierosy z tytoniu zawijanego w liść, zazwyczaj palone przez biedotę i wieśniaków

**birjani** potrawa południowoazjarycka: ostry, kolorowy ryż z mięsem, rybą lub warzywami

**Bisleri pani** nazwa butelkowanej wody

**bissi** darmowe jedzenie podawane w więzieniu; również kuchnia więzienna

**BMC** Bombay Municipal Organization – Przedsiębiorstwo Komunalne Bombaju

**bole to** zwrot slangowy: no wiesz, no nie

**bolo** dosł.: powiedz; tu – konik zaprasza przechodniów, żeby zgłaszali się, jeśli chcą kupić bilet za podaną przez niego cenę

**bombil** harpadon (bombajka) – gat. ryby

**bondhu** głupiec

**Rrahman** w hinduizmie i filozofii indyjskiej: moc zawarta w wypowiedzianych formułach ofiarnych; w upanisadach – absolut

**hrahmany** starożytne święte pisma indyjskie, zbiór nauk dla braminów, jak wykonywać rytuały wedyjskie

**Brama Indii** słynny wielki łuk na nabrzeżu Bombaju, upamiętniający pierwszą wizytę brytyjskiego króla Jerzego V i królowej Marii (1911)

**bramin** członek kasty kapłańskiej, najwyższej z indyjskich kast

**BSES** Brihanmumbai Suburban Electric Supply Zakład Energetyczny Przedmieścia Brihanmumbai

**BSF** Border Security Force – indyjskie służby graniczne

**bundal** niedobry, niskiej jakości

**burhau** dziadek, staruszek; określenie protekcyjne

**barfi** słodka potrawa z zagęszczonego mleka

**burka** zakrywające twarz luźne okrycie z otworami na oczy, noszone przez muzułmanki

**calmpose** środek uspokajający, diazepam

**carrom** gra planszowa

**CBI** TheCriminal Bureau of Investigation – Kryminalne Biuro Śledcze

**CID** Criminal Investigation Department – krajowy wydział dochodzeniowy

**CM Chief Minister** – najwyższe stanowisko w rządzie stanowym w Indiach

**Czerwony Fort** siedziba cesarza Shaha Jahana w Delhi

**ćabbis** dosł.: dwadzieścia sześć; popularne w Mumbaju slangowe określenie pięknej dziewczyny

**Ćabutra** platforma, patio, wolna przestrzeń – często przy meczecie

**ćaća, Ćaću** stryj, wujek

**Ćaj** herbata

**cakkar** wir, wirujący kłęb

**Ćal, ćalo** no dobra, chodźmy, w takim razie (np. „w porządku, ćalo, spotkamy się jutro rano”); zwrot zachęcający do zrobienia czegoś

**Ćam–Ćam** słodka potrawa z sera

**ćampa** drzewo radości (Michelia champaca), roślina wiecznie zielona, spokrewniona z magnolią; kwiaty używane w girlandach i do przystrojania włosów

**Ćampi** masaż głowy

**Ćanna** ciecierzycyca

**Ćapati** indyjskie placki, podpłomyki

**Ćappal** sandał przypominający japonki, z pętelką na palec

**Ćaras** haszysz

**ćarbi** tłuszcz

**Ćarpai** tradycyjne posłanie: taśmy parciane lub sznury rozpięte na drewnianej ramie; współcześnie używane przez biedotę i wieśniaków

**ćaserpanni; kesarpanni** paczuszka z proszkiem – tu: „brown sugar” (heroina)

**ćaska** obsesyjne upodobanie, gustowanie w czymś

**Ćaanu** okularnik; określenie o zabarwieniu szyderczym

**Ćat** surowe owoce i warzywa w pikantnym sosie

**ćatai** mata bambusowa lub wiklinowa

**Ćaak** skrzyżowanie

**Ćauki** posterunek

**ćankidar** stróż

**ati** słynna plaża w Mumbaju

**cela** uczeń, zwolennik

**Ćuakrawartin** z sanskrytu i j. hindi: wielki władca

**Ćhappan–ćhuri** przebiegła prostytutka (dosł.: „56 ran od noża”); od kurtyzany z Allahbadu, która przeżyła 56 ran zadanych nożem przez kochanka

**ćhas** orzeźwiający napój z maślanki

**ćhass** napój orzeźwiający z jogurtu z solą i proszkiem z nasion kopru włoskiego

**ćhaunka** kuchnia

**ćhawa** tygrysek

**ćnawi** dziewczyna, przyjaciółka

**ćhokra** dosł.: chłopiec; częste określenie uliczników

**Ćhol** kamienica czynszowa; mieszkańcy poszczególnych pięter korzystają z jednej toalety i łazienki

**Ćhole–bature** potrawa z Pendżabu: pikantna ciecierzycza z pieczywem z białej mąki.

chota, ćhota mały

**Ćiknjja** zbyt piękny jak na mężczyznę („ćikna” – gładki jak skóra dziewczyny)

**Ćillar** drobne pieniądze

**Ćitnta** szczypce

**ćingri maćer kari** krewetki po bengalsku

**ćiai** bardzo słodka odmiana małych bananów (od „ćini” – cukier)

**ćinki** chiński



**Ćirote** smażone słodkie kuleczki z białej mąki obtaczane w cukrze pudrze

**Ćiz** rzecz, stworzenie

**ĆKt** słodziutki (od ang. „sweet”)

**Ćodna** odbywać stosunek seksualny (określenie wulgarne, jak „dymać”)

**Ćodu** osoba wykorzystywana seksualnie; również przymiotnik w znaczeniu; „pieprzony”

**Ćoklet** czekolada; w slangu Firmy G: dolary

**Coli** indyjska bluzka

**Ćolka** piecyk

**Ćulha** prymitywny piecyk, gliniane palenisko

**Ćunni** długi szal noszony przez kobiety

**Ćup** bądź cicho

**Ćurail** wiedźma

**ćuri** nóż; także – osoba bystra, przebiegła oraz slangowe określenie pięknej dziewczyny używane przez Firmę G

**ćut–ćato** stosunek oralny, w którym stroną aktywną jest mężczyzna

**ćutija** pierdoła, głupek, kretyn (od „ćut” – cipa)

**ćutmari** pieprzony; zupełny osioł

**dabba–ispis** zabawa w chowanego (od ang. J spy”)

**dada** bandzior, chuligan

**dada–pardada** rodowy, z dziada pradziada **dajawan** litościwy

**dak bungalow** schronisko dla podróżnych

**daku** bandyta

**dal** potrawa z łuskanych roślin strączkowych

**Daler Mehendi** indyjski wykonawca piosenek pop i bhangra (ur. 1967)

**dalit** członek klasy uważanej za niższą od 4 tradycyjnych kast hinduskiego systemu

**dam** siła, moc

**dana** dosł.: ziarno lub guzek; tu: wulgarna nazwa łechtaczki. W liczbie mnogiej (dane): bombajskie slangowe określenie kul, naboju

**Dandi Ras** taniec mieczy, wykonywany wieczorami podczas święta Nawrati; przedstawia walkę boginią Durga z Mahiszasurą, królem demonów, używane w tańcu kije symbolizują miecz Durgi

**dandi–swami** wędrowny asceta; nosi żebraczą laskę (danda) na znak, że wkroczył w trzeci etap życia (wanaprasta aśrama); przeciwnie do sanjasinów i mnichów, żyje wśród ludzi, żebrząc o jedzenie i jałmużnę. Niektórzy z dandi–swami przechodzą następnie do kolejnego etapu (sanjas aśrama) i zostają mnichami, ale większość wcześniej umiera

**dao** zakrzywiona szabla, tradycyjnie używana przez plemiona z Nagalandu

**dari** bawełniany indyjski dywan

**darsan** dosł.: ujrzanie, zdolność widzenia twarzą w twarz; w kontekście religijnym: boskie widzenie. Pielgrzymi wędrują tysiące mil, żeby uzyskać darśan boga lub guru – jako błogosławieństwo

**dar–ul–harb** islam dzieli świat na dwie części: Dar–ul–Islam („Dom Pokoju” – świat muzułmański) i Dar–ul–Harb („Dom Wojny” – świat niewiernych)

**dawa** tradycyjna łódź arabska

**DCP** Deputy Commissioner of Police – zastępca komisarza policji

**DDLJ** Dilwale Dulhania Le Džaaęe; tytuł filmu (1995)

**dehat** wieś

**dehati** pejoratywne określenie człowieka ze wsi; chłopiec roztropek

**deśi** pochodzenie indyjskie, tradycyjne, domowej roboty (z sanskrytu: „des” – dom, kraj)

**dewa** bóstwo, dobry duch, bożek

**Dew Anand** wł. Dharam Dew Anand (ur. 1923), jeden z najpopularniejszych aktorów, uosobienie miłego dżentelmena

**dewar** młodszy brat męża (dosł.: drugi mąż)

**Dewi** bogini–matka o cechach dobrych i złych, najwyższa siła we wszechświecie; żona albo ucieleśnienie żeńskiej energii Siwy

**Dewdas** postać z powieści Sarata Candry Cattopadhjaji; określenie osoby, która przesadnie się nad sobą użala

**DG** Director General – dyrektor naczelny (w policji)

**dhaba** bardzo tania, prosta restauracja, odwiedzana przez kierowców ciężarówek i podróżnych

**dhakkam** dosł.: pokrywa, wieko; potoczne określenie głupka, kretyna

**dhand** praca, zajęcie

**dhansu** slangowe określenie czegoś wspaniałego, cudownego

**Dhanwantari** lekarz bogów i twórca ajurwedy

**dharam** z j. hindi: potoczne określenie dharmy

**Dharamwir** tytuł filmu (1977) Manmohana Desai

**dhanna** w hinduizmie: podstawowy porządek natury, norma postępowania nakazana przez tradycję i wynikająca z praw naturalnych i boskich; religijna i moralna doktryna praw i obowiązków każdej jednostki

**dharmatma** z j. hindi: wielki człowiek, przywódca duchowy

**Dharmendra** popularny aktor

dhobi pracz

**dhoti** długa przepaska na biodra noszona przez mężczyzn w Indiach

**diara** ziemia (w Biharze i zach. części stanu Uttar Pradesh) pokryta szlamem z himalajskich rzek ustępujących po powodziach; gleby bardzo żyzne, częsty przedmiot ostrych starć i rozlewu krwi

**dibba** w j. hindi: skrzynia; puszka

**didi** w j. hindi: pełna szacunku forma zwracania się do kobiety, niezależnie od spokrewnienia (dosł.: starsza siostra)

**DIG** Deputy Inspector General – zastępca głównego inspektora

**dija** tradycyjna lampka oliwna z gliny lub metalu, zaopatrzona w bawełniany knot zanurzony w ghee lub oliwie

**Dil Dija Dard Lija** Oddałem serce, a otrzymałem ból; tytuł filmu (1996)

**Dii To Pagal Te** Serce jest szalone; tytuł filmu (1997)

**Dilip Kumar** wybitny aktor (ur. 1922), członek parlamentu

**Dilwale Dulhanija Le Dżaęge** Narzeczona przypadnie najodważniejszemu; tytuł filmu (1997)

**Diwali** „Festiwal świateł”, w pn. Indiach obchodzony jako hinduski Nowy Rok; w całych Indiach – święto zwycięstwa dobra nad złem. Ludzie ubierają się odświętnie, częstują słodyczami, zdobią domy lampami, strzelają petardami; do tradycji należy hazard, zwł. gra w karty.

**diwana** zakochany, szalony z miłości

**Djazarists** działająca w Algierii frakcja islamistów o umiarkowanych poglądach

**dosza** jedna z 3 biologicznych energii w ajurwedzie

**Draupadi** bohaterka Mahabharaty, żona Ardżuny oraz pięciu braci Pandawów

**dudh–ki–tanki** dosł.: zbiornik mleka; duże piersi

**Dukh Bhandźani Ber** obrzęd zanurzenia w wodzie

**dupatta** długi szal kobiety

**Durga** bogini wojny, złowroga postać bogini Dewi

**duśman** wróg; termin używany przez oficerów i żołnierzy armii indyjskiej

**dźiad** w świecie muzułmańskim: starania

o wzmocnienie islamu, często oznaczające „świętą wojnę” z niewiernymi

**dźaj** zwycięstwo dla...

**Dźajalalitha** Dźajalalitha Dźajaram, do r. 2006 premier stanowego rządu w Tamil Nadu, w Indiach

**dźaldzira** napój zawierający bogatą mieszankę przypraw, m. in. liść mięty i imbir

**dźalebi** ciasto w kształcie zwoju, smażone w głębokim oleju i podawane w syropie

**Dźalianwala Bag** 13 kwietnia 1919 r. brytyjska armia otworzyła ogień do nieuzbrojonych mężczyzn, kobiet i dzieci, zgromadzonych na wiecu w ogrodzie Dźalianwala Bag w Amrytsarze; zginęło ponad 1000 osób

**dźamun** drzewo (*Syzygium cumini*) o owocach przypominających grejpfruty; występuje naturalnie w centralnych Indiach

**dźan** z j. hindi i j. urdu: życie, ukochany, kochanie

**Dźana San gili** członek Dźan Sangh, hinduskiej radykalnej partii politycznej

**dźanampatri** horoskop stawiany przez astrologa. Tradycyjne mają formę długich zwojów, pokrytych wykresami i symbolami; współczesne są zazwyczaj tworzone komputerowo

**Dźapdzi Sahib** początkowa część świętej księgi sikhów, Sri Guru Granth Sahib

**dźari** złoty brokat używany do dekorowania ubrań

**dźat** kasta lub grupa etniczna

**dźata** długie włosy noszone przez członków sekty naga

**Dźatt** grupa etniczna żyjąca w pn. Indiach i w Pakistanie

**dźawan** żołnierz, szeregowy

**dźehadi** z j. arabskiego i j. urdu: osoba uczestnicząca w dżihadzie

**dźhalli** szalona dziewczyna; określenie również używane pieszczotliwie

**dźhamura** z j. hindi: klaun

**dźhandźhat** kłopot, utrapienie

**dźharu** miotła

**dźharu–katka** zamiatanie i sprzątanie

**dźhatak–matak** fajerwerki i ruch, błysk i zmysłowość; kobieta efektowna i seksowna

**dźhaw** odbywać stosunek seksualny, pieprzyć; określenie wulgarne

**dźhinga** krewetki

**dźhola** torba z materiału

**dźhopaprati** osada chat, slums

**dźi** końcówka dodawana do imienia lub tytułu na znak szacunku dla rozmówcy

**dźinizm** religia powstała w VI w. p.n.e. jako forma buntu wobec hinduizmu

**dźite raho** żyj długo

**dźjotiszi** astrolog

**dźnhi** odmiana jaśminu (*Jasminum auriculatum*)

**Dźuhu** słynące z długiej plaży przedmieście Mumbaju

**dźura** włosy związane w węzeł

**ekdam** całkowicie, kompletnie

**ekfasli** system gospodarki rolnej: po wiosennych uprawach następują jesienne, a przez następny rok ziemia leży odłogiem

**Eklawja** bohater Mahabharaty, członek niskiej kasty, który pragnął się uczyć i osiągnął poziom umiejętności równy wielkiemu Ardżunie

**Enid Maty Blyton** brytyjska autorka książek dla dzieci

**FA** First Arts; dawniej zdanie egzaminu FA umożliwiało uczniom wstęp na uniwersytet

**faćcar** popsuty, spieprzony (określenie slangowe)

**fadžr** z j. arabskiego: świt, pierwsza z 5 codziennych modlitw praktykującego muzułmanina

**faltu** bezużyteczny, nic dobrego

**faluda** deser z ryżu; także napój z mleka, cukru, cienkiego makaronu, nasion bazylii i lodów

**Farhad** legendarny młodzieniec zakochany w Szirin, żonie króla Persji

**faudźi** wojskowy

**fida** bzik, słabość (do kogoś)

**filmi** filmowy; także melodramatyczny lub przesadnie egzaltowany

**firangi** zagraniczny, obcy

**flush** alternatywna nazwa indyjskiej gry w trzy karty („tin patti”)

**Fort** handlowa dzielnica Mumbaju, finansowe centrum miasta

**FSI** Floor and Space Index – wskaźnik powierzchni i przestrzeni; stosunek powierzchni użytkowej budynku do powierzchni zajmowanej przez niego działki

**fultu** pełny, znakomity

**gadda** materac

**gadhaw** z j. marathi: osioł; łagodna obelga np. wobec głupio zachowującego się przyjaciela

**gadźras** wianek kwiatów

**gali** przekleństwa, obelgi

**galli** uliczka, alejka

**gamća** ręcznik; także prostokątny kawałek materiału używany jako okrycie, chusta, turban

**Ganapati** Fan Gana, przydomek Ganeśi

gand dupa

**gandu** dupek, idiota (dosł.: bierny partner podczas stosunku analnego)

**gandugiri** idiotyczne zachowanie, na miarę gandu

**Ganeśa** hinduski bóg mądrości i przezorności, syn Siwy i Parwati; grubas z głową słonia

**Ganeśa Ćaturthi** święto boga Ganeśi, szczególnie uroczyście obchodzone w Mumbaju

**Ganga Jamuna** tytuł filmu (1961); Ganga, wrobiony w przestępstwo, zostaje bandytą, ale chcąc wykształcić młodszego brata, Jamunę, umieszcza go w mieście. Jamuna zostaje policjantem i zabija Gangę

**Gangotija** grupa etniczna z pn. Indii, znad Gangesu

**ganwar** człowiek nieokrzesany, kmiotek

**gany** istoty boskie służące Panu Siwie i jego synowi Ganeśi

**gaon** wioska

**garara** luźne, plisowane pod kolanami spodnie noszone przez kobiety

**garba** taniec z rejonu Gudżaratu, tradycyjnie wykonywany podczas święta Nawaratri; kręgi tańczących otaczają lampę lub wizerunek bogini

**gari** samochód, pojazd

**gazali** zj. konkani: plotka

**ghagra** tradycyjny strój kobiety: długa, bardzo luźna plisowana spódnica

**ghagra ćoli** tradycyjny strój kobiet w Radżastanie i Gudżaracie

**ghanta** wielki dzwon; w slangu Firmy G: coś popsutego, spieprzonego; w slangu bombajskim: kutas

**gharala paja...** tradycyjne powiedzenie z j. marathi: „Kobiety dla kraju są tym, czym fundamenty dla domu” (czyli powinny być silne, czyste i cnotliwe)

**ghat** taras nad rzeką, miejsce rytualnych kąpieli

**Ghatotkacha** bohater Mahabharaty, wojownik obdarzony magiczną mocą

**ghawan** pikantna przekąska z mąki ryżowej

**ghazal** wiersz liryczny w j. urdu, do którego skomponowano muzykę; popularny w indyjskich filmach

**ghi** sklarowane masło

**ghoć** w slangu bombajskim: kłopoty, tarapaty; tu – w odniesieniu do seksu

**ghonghat** kobieca zasłona na twarz

**ghora** dosł.: koń; w światku przestępczym: pistolet

**ghori** klacz

**ghotala** bałagan; w żargonie dziennikarskim: skandal

**GIA** Groupe Islamique Armé – terrorystyczna organizacja islamskich ekstremistów, działająca w Algierii w celu obalenia świeckiego rządu i stworzenia państwa muzułmańskiego

**gilli–danda** gra podobna do krykieta, popularna wśród młodzieży na subkontynencie indyjskim

**ginti** odliczanie, liczenie

**Gita** skrót od Bhagawadgita, święta Pieśń Boga (ok. 200 r. p.n.e.); część Mahabharaty

**gobar** z j. hindi: gnój, łajno



**goda masala** mieszanka wielu przypraw, charakterystyczna dla kuchni indyjskiej

**godown** magazyn

**Godrej** (wym. Godredź) nazwa firmowa stalowych szafek

**GOI** Government of India – rząd Indii

**goli** jądra (od „gol” – okrągły „goli” – małe i okrągłe); jądra są też nazywane „gotis” (jak szklane kulki do zabawy)

**gora** z j. hindi: osoby o jasnej karnacji

**gośt** curry z czerwonego mięsa (baraniny lub wołowiny)

**gotra** klan lub ród w hinduskiej społeczności, zwykle praktykujący egzogamię

**Greater Kailash** rejon pd. Delhi

**gryhastha** głowa rodziny; osoba uczestnicząca w drugim etapie hinduskiego życia (gryhastha aśramie)

**GTB Nagar** Guru Teg Bahadur Nagar obszar Bombaju zamieszkały przez wielu sikhijskich i pendżabskich imigrantów, „Mały Pendżab”

**Gudi–Padwa** w stanie Maharasztra: Nowy Rok, święto nadchodzącej wiosny i żniw

**Gudźdźu behen** dosł.: siostra Gudźaratu; określenie szydercze

**gulal** mieszanina kolorowego proszku i wody

**gulel** proca

**gulmohar** Płomień Afryki (*DelonixRegia*), ozdobne drzewo o pięknych, czerwonych kwiatach

**gunda** zbir, chuligan

**gur** nierafinowany brązowy cukier z soku palmowego

**Guru Gobind Singh** ostatni guru sikhów

**Guru Granth Sahib** święta księga sikhów

**Guru Purnima** święto, podczas którego wierni oddają cześć swoim guru; obchodzone w dniu pełni księżyca miesiąca Aszarh kalendarza hinduskiego

**gurudwara** dosł.: Brama do Boga; sikhijskie miejsce kultu, rodzaj świątyni

**hadis** krótka opowieść o czynach i słowach Mahometa i jego towarzyszy

**Hadzi Mastan** wł. Hadzi Mastan Mirza; słynny w latach 60. i 70. bombajski gangster i przemytnik

**hafta** haracz

**haldi** kurkuma

**halwai** cukiernia

**ham** my

**Ham Apke He Kon** Kim dla Ciebie jestem?; tytuł filmu (1994)

**Haman Dharti, Unki Dharti** z j. hindi; „Nasza ziemia, ich ziemia”

**han**, również **dzi-ha** z j. hindi: tak

**handi** tradycyjny mosiężny garnek

**hangama** zamieszanie

**Hanuman** bóstwo dobroczynne; w Ramajanie: małpa – sprzymierzeniec Ramy

**harami** sukinsyn

**haramkhor** osoba żyjąca z nielegalnych dochodów; złodziej, malwersant

**haramkhori** z j. hindi: czerpanie zysków z nielegalnej działalności, złodziejstwo

**haramzada** osoba nieznanego pochodzenia, dziecko z nieprawego łoża, bękart

**haramzadi** sukinsyn (dosł.: bękart)

**Harmandir Sahib** Złota Świątynia w Amrytsarze, święte miejsce sikhów, pielgrzymujących z całego świata, by wykąpać się w otaczającym świątynię jeziorze i wysłuchać czytań ze świętych ksiąg. Sikhowie wierzą, że zanurzenie w wodzie („dukh bhandian”) pozwala uchronić się od choroby i smutku.

**hathijar** broń

**hatke** odmienny, wyróżniający się; popularne w bombajskim światku filmowym określenie projektów ekscentrycznych i ryzykownych

**hawaldar** policjant

**haweli** rezydencja

**Hema Malini** aktorka i tancerka (ur. 1948), popularna w latach 70.

**hera–pheri** oszustwo, przebiegły podstęp

**hero–giri** bohaterskie wyczyny

**hidżab** nakrycie głowy i ciała muzułmanki

**hidźra** eunuch

**Horn OK please.** popularny napis na indyjskich ciężarówkach i taksówkach; zachęca do trąbienia przy wyprzedzaniu

**hugging** z j. hindi: wydalanie kału, sranie (określenie potoczne)

**huka** fajka wodna

**hul** w bombajskim slangu: oszustwo, podstęp, „numer”

**IAS** Indian Administrative Service – Indyjska Administracja Państwowa

**IB, Intelligence Bureau** biuro wywiadowcze, krajowa agencja wywiadowcza rządu Indii (prawdopodobnie najstarsza na świecie agencja wywiadowcza)

**idli** z j. tamilskiego: pasztecik z ryżem i nasionami roślin strączkowych gotowany na parze

**Iftekar** filmowy policjant

**IGP** Inspector General of Police – generalny inspektor policji

**ikka** wóz jednokonny

**ilaići** kardamon

**Imelda Marcos** niegdyś Pierwsza Dama Filipin; zasłynęła ogromną kolekcją butów

**Indra** wedyjski bóg burzy, nieba i wojny

**Inter** średni (od „intermediate”); egzamin po ukończeniu 11 – 12 lat szkoły średniej

**IPS** Indian Police Service – krajowe indyjskie służby policyjne

**ISI** Inter–Services Intelligence – pakistańska agencja wywiadowcza o dużej autonomii i sile militarnej, powiązana z Talibami i bojówkami islamskimi

**izzat** honor

**jadaw** prastara kasta, potomkowie królewskiego wedyjskiego klanu kśatrija

**jadźman** gospodarz, osoba prowadząca jadźnę albo ofiarę

**jadźña** obrzęd składania ofiary hinduskiemu bóstwu

**Jama** hinduski bóg śmierci i pan krainy cieni

**jar** kolega, przyjaciel; również członek gangu

**jeda** szaleniec, debil; określenie slangowe

**juga** jedna z 4 epok rozwoju życia (wg hinduskiej tradycji świat przechodzi cyklicznie przez wszystkie; po zakończeniu czwartej, Kalijug, zaczyna się Satjug)

**kaćća** surowy, prymitywny

**kaćcha** szorty; jeden z 5 symboli noszonych przez sikhów na znak religijnej przynależności

**kaćori** pikantne kuleczki mączne z farszem

**kadžus** orzechy nerkowca

**kafila** karawana

**kafir** niewierny; arabskie określenie osób niebę-dących muzułmanami

**kajasth** skryba, administrator; jedna z indyjskich kast

**kaka, kaku** stryjek (z j. hindi: kaka, z j. marathi: kaku)

**kakori kebab** kebab z mielonej baraniny i papai

**kalazar** leiszmanioza; śmiertelna choroba tropikalna, wywoływana przez ukłucie pchły ziemnej

**Kali** żona Siwy, czarnoskóra bogini, symbol niszczącej siły i okrucieństwa

**Kalijowie** slangowe, obraźliwe określenie Murzynów z Afryki i Ameryki

**Kalijuga** dosł.: Era Kali, era ciemności; wg hinduskich pism: ostatni, czwarty etap (juga) rozwoju świata; wg Surja Siddhanta, traktatu astronomicznego (podstawy hinduskiego kalendarza) rozpoczęła się o północy 18 lutego 3102 r. p.n.e. i ma trwać 432 000 lat

**kanća** szklana kulka

**kande pohe** ryż z cebulą i mieszanką przypraw

**kandżus** sknera

**kanja** młoda kobieta

**Kannariga** członek grupy etnicznej ze stanu Karnataka i jego okolic

**kanpati** skroń

**kapalika** grupa wyznawców Siwy, często oskarżanych o rytualny kanibalizm (używają czaszek jako naczyń i miseczek na jałmużnę)

**kara** stalowa bransoleta, jeden z 5 symboli noszonych przez Sikhów na znak religijnej przynależności

**karak** z j. hindi: mocny; „karak ćaj” – mocna herbata

**karamćari** urzędnik; określenie używane często wobec pracowników biur rządowych (ogół społeczeństwa obawia się kontaktów z nimi)

**Karan Dewan** bombajski aktor i piosenkarz (1917–1979)

**karhai** żeliwna patelnia używana do smażenia; przypomina chiński wok

**kari** przyprawy nakładane na potrawy pod koniec gotowania

**karma** suma uczynków człowieka spełnionych w poprzedniej egzystencji, decydująca o charakterze nowego wcielenie w reinkarnacji

**karo** zrób

**kartija** z j. marathi: szalenciec; pieszczotliwe określenie używane wśród przyjaciół lub rodziny

**kasam** obietnica, ślubowanie

**kaszt karę** „czy mógłbym uprzejmie prosić o...”; forma bardzo oficjalna

**katha** opowieść, przypowieść

**Kati Patang** tytuł filmu (1970)

**kattha** jednostka powierzchni, około 340 m<sup>2</sup>

**kattu** slangowe, pogardliwe określenie muzułmanina (dosł.: obrzezany)

**Kayamat** islamski Dzień Sądu Ostatecznego

**kelwan** jeden z obrzędów weselnych w stanie Maharashtra: ostatni posiłek panny młodej, jako dziewicy, w domu rodziców

**Kerala** stan w pd–zach. Indiach

**kesar** z j. hindi: szafran

**khabari** informator (od „khabar” – wiadomość)

**khadda** dosł.: dziura, jama; wulgarne slangowe określenie pochwy

**khadi** ubranie z bawełnianego samodziału

**khadi–kurta** koszula ze stójką *à la* Nehru

**khadźur** daktylowiec

**khaladźan** z j. urdu: droga ciociu

**khalsa** Czysty, imię nadawane przez Guru Gobind Singha wszystkim sikhom po obrzędzie inicjacji

**Khandoba** hinduskie bóstwo ludowe, czczone głównie w stanie Maharashtra, często przedstawiane jako dosiadające byka lub konia

**khata–khat** szybki, skuteczny

**khatam śad** ostateczny koniec

**khatara** rozpadający się wrak.

**khatija** proste łóżko: sznury lub taśmy rozpięte na drewnianej ramie

**khićri** prosu pottawa z ryżu i tego, co akurat jest pod ręką; także: mieszanina różnych składników

**khilari** dosł.; gracz, zawodnik; tu: osoba mądra, bystra

**khima** pikantna potrawa z mielonego mięsa (zazwyczaj z baraniny)

**khir** pudding z ryżu gotowanego z mlekiem i cukrem, z kardamonem i olejkiem pistacjowym

**khiskela** szalony (dosł.: przesunięty, przestawiony); osoba, której mózg jest „przestawiony”, nie na swoim miejscu

**khokha, knoka** w slangu przestępczym Mumbaju: krore

**kholi** pokój, pomieszczenie, mieszkanie zwykle jednopokojowe

**khud** dół, rów

**khun** morderstwo (dosł.: krew)

**khwab** marzenie

**Khwadża Sahib** Khawadża Moinuddin Ćiści, najszynniejszy święty sufizmu (1141–1230), w prostej linii potomek proroka Mahometa

**kira** dosł.: robak; potocznie: niewytłumaczalny upór, dziwactwo graniczące z obsesją

**kiri kara** rodzaj gry zręcznościowej popularnej w wioskach na subkontynencie

**Kirloskar** największy konglomerat inżynieryjno–budowlany w Indiach

**kirpan** ceremonialny, dziesięciocentymetrowy zakrzywiony sztylet, jeden z 5 symboli noszonych przez sikhów na znak religijnej przynależności

**kirtan** hinduska pieśń religijna

**kismet** przeznaczenie

**kja** zj. hindi: co

**koel** gatunek kukułki (*Eudynamys scolopace*)

**koi he** jest tam kto?

**kokum** nasiona drzewa owocowego (*Ganinia indkd*) o wysokiej zawartości oleju, używane w kuchni indyjskiej

**Koli** rybacka społeczność Marathi, zamieszkująca głównie wybrzeże stanu Maharashtra

**Kon Banega Krorpati?** dosł.: „Kto zostanie multimilionerem?”; ogromnie popularny teleturniej, oglądany przez miliony widzów w całych Indiach

**konkani** dialekt j. marathi używany na zach. wybrzeżu Indii, w nabrzeżnej części stanu Maharashtra

**kos** z j. hindi: lokalna miara odległości; różniaca się (w zależności od regionu) o mniej więcej 3 km

**kror** jednostka tradycyjnego indyjskiego systemu numeracji, równa 10 mln

**krorpati** multimilioner

**Kryszna** ósme wcielenie boga Wisznu, wojownik i filozof, bohater Mahabharaty

**kszatrija** druga z 4 kast hinduskich; w przeszłości jej członkowie byli wojownikami

**kulfi** indyjskie lody

**kulhari** siekiera

**Kumbh Mela** hinduska pielgrzymka milionów ludzi; odbywa się 4 razy na 12 lat między 4 miejscami: Prajagą, Haridwarem, Udźdźajanem i Nasikiem

**Kumbhkarana** brat Rawany, antagonistą w Ramajanie; z łaski Brahmę spał przez 6 miesięcy, budząc się tylko po to, by pochłonąć ogromną ilość jedzenia

**kumkum** proszek z kurkumy

**kurta** luźna koszula bez kołnierzyka, powszechnie noszona w Indiach

**Kurukszetra** bitwa na Kurukszetrze; zasadniczy element Mahabharaty

**kutti** suczka (zdrobnienie od „kutija” – suka)

**Kutub Minar** najwyższy na świecie (72,5 m) ceglany minaret

**laddu** słodka potrawa w formie kulek sznur petard, czasami bardzo długi

**lefang** łobuz

**lakh** jednostka tradycyjnego indyjskiego systemu numeracji, równa 100 tys.

**Lakṣmī** hinduska bogini bogactwa i dobrobytu, żona boga Wisznu

**Lal Salam** „czerwone pozdrowienie”, indyjskie pozdrowienie komunistyczne

**lallu** słabeusz, mięczak

**lalten** latarnia

**Lalu Prasad Jadau** indyjski polityk, słynący charyzmą i umiejętnością trafiania do szerokich rzesz

**lambi** dosł.: długi; w slangu więziennym: nóż lub sztylet z zawiasów lub innego kawałka metalu, dłuższy od nożyków do tektury, będących dostępną w więzieniu bronią; także: miecz

**lance-naik** odpowiednik starszego szeregowego

**land** kutas; wulgarnie określenie penisa

**Landjowie** obraźliwe określenie muzułmanów, używane przez Hindusów w stanie Maharasztra



**Langda–lulla** kaleka

**langotija jar** bliski przyjaciel, znany od dzieciństwa

**lassi** orzeźwiający napój z jogurtu, wody i przypraw

**Lat–saab** w j. hindi: wysoko postawiony sahib, osoba bardzo ważna i imponująca (najprawdopodobniej od przekręconego ang. „lord”); określenie używane najczęściej wobec Brytyjczyków, po odzyskaniu niepodległości odnosiło się do zanglizowanych Hindusów

**latapata** z j. hindi: trawa i siano, pokarm dla zwierząt

**lathait** osoba posługująca się lathi, zazwyczaj wynajęty bandzior

**lathi** drewniana pałka policyjna

**laura** kutas; wulgarne określenie penisa

**laura lahsun** zwrot wyrażający lekceważenie, określający coś nieistotnego (np.: „rząd robi lauda lahsun w sprawie problemów w Bombaju” – rząd gównem robi w sprawie problemów w Bombaju); Gaitonde przenosi to określenie w sferę seksu w znaczeniu „obciążanie druta” (od „lauda” – kutas, „lahsun” – czosnek)

**laziz** z j. urdu: smaczny Ulagra, wszechświat jako boska gra Stwórcy

**Loksatta** bombajska gazeta wydawana w j. marathi; ma oddziały w Nagpurze, Pune i Ahmednagarze

**loru** kutas; wulgarne określenie penisa

**lungi** rodzaj bawełnianej przepaski na biodra

**lurkao** dosł.: zwalić, przewrócić; tu: zabić

**maderćod** skurwysyn, pierdolony (dosł.: matkojebca)

**maderpat** z j. marathi: skurwysyn

**Madhubala** jedna z najpiękniejszych gwiazd Bollywood (1933–1969)

**Madrasa** sunnicka szkoła muzułmańska

**Madźnu, Madźnun** z j. arabskiego: szalony; wg starej bajki, popularnej w pd. Azji i na Bliskim Wschodzie, przydomek dobrze urodzonego młodzieńca o imieniu Kais,

rozdzielonego z ukochaną Lailą przez jej ojca, który chciał wydać ją za innego. Zrozpaczony Kais opuścił swój dom i wędrował po pustkowiu, samotny, głodny i obdarty, umarł, a Laila popełniła samobójstwo w dniu swego ślubu

**Madiruh Sultanpuri** poeta, autor tekstów i piosenek, w latach 50. i na początku 60. najpopularniejszy twórca w kinie indyjskim

**maghai** liście używane do robienia słodkiego panu

**maharadž** określenie księcia królewskiej krwi, z dynastii, której patriarcha nosi tytuł maharadży, również tytuł ważnych postaci religijnych

**Maharasztra** największy pod względem obszaru stan Indii, ze stolicą w Mumbaju

**maharathi** jeden z najwybitniejszych wojowników Mahabharaty, potrafiących walczyć z kilkoma tysiącami przeciwników

**maidan** otwarta przestrzeń, park lub plac

**Mai re** o, matko!

**maike** z j. hindi: dom rodziców mężatki

**maja** nierzeczywisty byt świata materialnego, stanowiący odbicie rzeczywistości brahmana; ułuda

**makkai** kukurydza (dosł.: zboże Mekki)

**mal** towar, w dwóch znaczeniach: kontrabanda i atrakcyjna dziewczyna

**mala badol** tradycyjna ceremonia ślubna bengalskich muzułmanów

**malai** śmietana

**Malajalam** język drawidyjski, używany w Indiach na Wybrzeżu Malabarskim przez około 30 mln osób

**malang baba** kapłan lub szaman lokalnego bóstwa

**malik** wódz plemienia lub wioski

**mamta** dosł.: matczyzna miłość; określenie używane często jako nazwa własna

**mamu** pieszczotliwe określenie „mama (wujka, brata matki); także – z j. marathi: głupiec, idiota; określenie slangowe

**mandap** święty namiot używany podczas hinduskich ceremonii weselnych

**mandrax** lek uspokajający

**mandwali** negocjacje, porozumienie, kompromis

**matlgalsutra** naszyjnik z czarnych koralii noszony przez mężatki

**mantra** rytualna formuła magiczna w hinduizmie i buddyzmie

**Mantralaja** siedziba władz administracyjnych lub ministerstwa stanu w Mumbaju

**mantri** termin określający różne urzędy publiczne (tu: ministra)

**manuwadi** zwolennik Manu, czyli kogoś z wyższych kast (Manu – autor tekstu Manusmriti, z którego ortodoksyjny hinduizm czerpie wiele praw i praktyk, m. in. prześladowanie i wykorzystywanie niższych kast)

**Marathowie** grupa kast (wg tradycji: wojownicy i hodowcy) ze stanu Maharasztra mówiąca j. marathi

**Marwari** ludzie z Marwaru, regionu Radżastanu, uznawani za dobrych handlowców

masdżid meczet

**masnad** dywanik do siedzenia

**mast** piękny, efektowny

**mastanda** z j. hindi: chuligan, łobuz

**maśuk** ukochany; zgodnie z poezją j. urdu (w której ukochany zawsze jest rodz. męskiego) światek podziemny Mumbaju używa terminu „maśuk” zamiast żeńskiego i gramatycznie poprawnego „maśuka”

**math** religijne seminarium w Indiach

**matnadi workers** tragarze, ładowacze (np. w stoczni), dokerzy

**matka** gliniany garnek do przechowywania wody; także – nielegalna gra liczbowa w Mumbaju, przynosząca duże zyski

**mauj–maza** przyjemność i zabawa

**maulwi** znawca Koranu i prawa muzułmańskiego

**tnausa–dźi** wujek, mąż siostry matki

**mausambi** słodka limeta

**mausi** ciotka, siostra matki

**MCOCA** Maharashtra Control of Organised Crime Act – ustawa stanu Maharashtra o zwalczaniu przestępczości zorganizowanej

**MEA** Ministry of External Affairs – Ministerstwo Spraw Zagranicznych (na szczeblu krajowym)

**mehndi** henna; tradycyjna sztuka malowania rąk i nóg, zwł. na wesela i święta

**mela** jarmark, wesołe miasteczko

**memsaab; mem** zwrot grzecznościowy („pani”, „dama”)

**mir saab** tytuł arystokratyczny

**Miśmi** członek grupy etnicznej z górskich rejonów Assamu w pn.–wsch. Indiach

**mithai** rodzaj deseru

**MLA** Member of Legislative Assembly – członek zgromadzenia ustawodawczego, wybierany do władz stanowych w Indiach

**mogra** jaśmin

**mohalla** okręg, np. część miasta, dzielnica

**mohammeddan** obraźliwe określenie muzułmanina

**moksza** w hinduizmie: duchowy cel uwolnienia od reinkarnacji

**monai** niski taboret

**motu** z j. hindi; tłuszcz, tłusty

**MTNL** Mahanagar Telephone Nigam Limited – państwowa firma telekomunikacyjna

**mućchar** wąsacz.

**mufti** ubranie cywilne; termin używany w odniesieniu do policjantów i wojskowych

**Mugal–e–Azam** epopeja hinduska (1960)

**muhurt** najlepszy układ planet do rozpoczęcia jakiegoś przedsięwzięcia

**multani mitti** rodzaj glinki kaolinowej

**Mumbaj** oficjalna nazwa Bombaju (od 1995 r.); w książce pojawiają się obie nazwy, w zależności od tego, kto i kiedy mówi o tym mieście

**Mumtaz** słynąca urodą żona cesarza mongolskiego; na jej cześć wzniesiono znane mauzoleum Tadź Mahal

**muni** człowiek święty, hinduski lub dżyński asceta słynący ze swojej świętości, pobożności lub wiedzy

**Murugan** bóstwo hinduskie, szczególnie popularne wśród Tamilów

**musahar** jedna z niskich kast robotniczych w Indiach

**na** dosł.: nie; często używane na końcu zdania, dla stworzenia formy pytającej (np. „czytasz książkę, na?”)

**Naćiketas** bohater Kathopanishady, syn pastucha Wadźaśrawy, złożony przez ojca w ofierze Jamie

**nada** tasiemka do ściągania

**naga** pradawna sekta sadhu, noszących miecze i włócznie, podzielona na regimenty; wśród sadhu naga są sadhu, chodzący zupełnie nago

**nagada** tradycyjny instrument, kocioł o średnicy około 50 cm, na którym gra się pałeczkami

**nagar** z sanskrytu: święte miasto, miejscowość

**najakan** w j. tamilskim: bohater, przywódca; także tytuł filmu z Kamalahasanem w roli Welu Naikeraj który zostaje potężnym donem bombajskiej mafii. Pierwowzór Naikera to Waradaradźan Mudaliar, zwany Waradą; zaczynał jako ubogi, by stać się jednym z najpotężniejszych ludzi w Bombaju. Warada, Tamil walczący z uprzedzeniami i dyskryminacją zdominowanego przez Marathów Bombaju, jest dla pokolenia Gaitonde'a postacią legendarną. *Najakan* był oficjalnym indyjskim kandydatem do Oskara jako najlepszy film zagraniczny (1987)

**nakabandi** kontrola pojazdów przez policję

**nakhra** z j. urdu: kokieteria, urok, delikatność; typowo południowoazjatyckie zachowanie (bardzo delikatne, kobiece flirtowanie, przy czym obie strony zdają sobie sprawę, że jest to częściowo udawane)

**Naksalbari** wioska w Bengalu Zach., w której lewicowe skrzydło Komunistycznej Partii Indii wywołało chłopskie powstanie (1967), aby wprowadzić w Indiach władzę rewolucyjną

**naksalita** nieoficjalna nazwa rewolucyjnych ugrupowań komunistycznych (od wioski Naksalbari)

**nala** mały, otwarty kanał wodny; ujście dla kanałów ściekowych

**namam** noszony na czole symbol o kształcie zależnym od wyznania

**namaskar; namaste** pełne szacunku powitanie, wypowiedane z dłońmi złożonymi przed piersią

**namaz** modlitwa odmawiana 5 razy dziennie przez muzułmanów

**namaz ka gatta** ciemna plama na czole pobożnych muzułmanów, ślad po dotykaniu czołem ziemi podczas modlitw

**namazi** pobożny muzułmanin

**namkin** dosł.: słony; o kobiecie: ostra

**namuna** dziwak, oryginał

**Nanak** Guru NanakDew (1469–1539), przeciwnik systemu kastowego, twórca i pierwszy z 10 guru sikhizmu

**Narajan** ważne sanskryckie imię Wisznu

**narangi** dosł.: pomarańcza; tu; nazwa aromatyzowanego alkoholu

**narial–pani** napój orzeźwiający z mleczka kokosowego

**natewaik** krewni, społeczność, do której człowiek należy

**naunumber** dosł.: numer 9; bombajskie slangowe określenie policjantów

**nawab** namiestnik; tytuł indyjskiego księcia muzułmańskiego za panowania Mogołów

**Nawaratri** dziewięciodniowe hinduskie święto (na przełomie września i października) ku czci boga Ramy i bogini Durgai

**nazrana** podarunek

**NEFA** North East Frontier Agency – obszar będący przedmiotem wojny chińsko-indyjskiej (1962)

**Netadźi** wł. Subhasz Ćandra Basu, jeden z gł. przywódców indyjskiego ruchu niepodległościowego przeciw panowaniu brytyjskiemu

**niklu** mały

**nim** miodla indyjska (*Azadirachta indica*) – drzewo o liściach i gałęziach mających właściwości lecznicze; gałązki są używane jako szczoteczki do zębów

**nimbu** pani lemoniada

**Nirodh** nazwa firmowa prezerwatywy, kilkadziesiąt lat temu wprowadzonej przez rząd Indii. Prezerwatywy są rozdawane za darmo; w przeszłości ich reklamy były wszechobecne

**NRI** Non-resident Indian – obywatel Indii, który wyemigrował

**OBC** Other Backward Caste – „Inna Zacošana Kasta”; jedna z kast uwzględnionych w klasyfikacji konstytucyjnej Indii

**om** uświęcona zgłoska hinduizmu, używana jako mantra i często umieszczana na początku świętych tekstów

**padźama** luźne spodnie wiązane w pasie

**paes; pej** potrawa z ryżu

**pagri; pug** turban

**paisa wasul** wartość pieniądza

**paja** curry z kozich nówek

**pakka, kaćca** zbudowany z cegieł i cementu („pakka” – stały, trwały, „kaćca” – miękki, nietrwały, z błota lub gliny i przypadkowych materiałów, po pierwszej ulewie rozpuszcza się lub przecieka); wszyscy chcą mieć dom „pakka”, ale nie wszystkich na to stać)

**pakory** przekąska: kawałki warzyw, mięsa lub mały w cieście z ciecierzycy, smażone w głębokim tłuszczu

**palki** palankin, lektyka

**pallu** luźny koniec sari, zazwyczaj przerzucony przez ramię

**paltu** obłaskawiony

**pan** betel, używka do żucia, słodki lub pikantny środek czyszczący podniebienie; w liście betelu zawija się nadzienie

**PAN Card** Permanent Account Number – numer rejestracji nadawany wszystkim podatnikom

**pan masala** charakterystyczna dla kuchni indyjskiej mieszanka wielu przypraw, popularnie używana do żucia

**panćnama** pierwsza lista dowodów i opis sytuacji, spisywane przez policję na miejscu zbrodni; dokument podpisany przez oficera śledczego i dwóch ponoć bezstronnych świadków

**pandal** tymczasowe schronienie, szopa, służące zwł. na zebrania ludzi

**pandhara rasa** sos z baraniny

**pandit** indyjski tytuł honorowy, nadawany uczonym – znawcom gramatyki, filozofii, teologii, prawa – zazwyczaj braminom

**pandita** z j. marathi: potarła forma zwracania się do pandita

**panga** niepotrzebna scysja, konfrontacja dla samej konfrontacji

**pani** woda

**pani–puri** popularna przekąska sprzedawana na ulicach: okrągłe wydrążone smażone chipsy z puri wypełnione wodnistą mieszanką owocu tamaryndowca, chili i ziemniaków

**paobhadźi, paw badźi** curry z ziemniaków i pieczywo przybrane kolendra i siekaną cebulą

**papar** cienki, chrupiący naleśnik z soczewicy, ciecierzycy lub ryżu

**paplet** ryba z rodziny bramowanych



**paplu** remik (gra w karty)

**paprićat** popularny fast food często sprzedawany na przenośnych straganach: chrupiące wafle z mąki i ghi, podawane z ziemniakami, chilli, jogurtem i ćatni z tamaryndowca

**Paramahamsa** Sri Ramakrishna Paramahamsa, hinduistyczny nauczyciel religijny

**Paramatma** w hinduskiej teologii; absolutny atman, najwyższa dusza, boska jaźń

**paranda** ozdobna wstążka wplatana w warkocz

**parantha** pieczywo razowe smażone na ghi lub oleju, zazwyczaj faszerowane warzywami

**parda** muzułmańska, później częściowo hinduska, praktyka osłaniania kobiet przed oczami obcych za pomocą specjalnych ubiorów, wysokich ogrodzeń, kotar wewnątrz domu

**parhaku** mól książkowy

**Parikrama** chodnik wokół świętej sadzawki w Złotej Świątyni w Amrytsarze

**Parimatma** Bóg

**parisad** organizacja, rada

**parsowie** wyznawcy mazdaizmu, mieszkający gł. w Mumbaju – dobrze wykształceni, odgrywają ważną rolę w społeczności miasta

**paśmina** delikatna wełna z kóz żyjących na dużych wysokościach w Himalajach

**Parśurama** Parśurama Bhargawa, szóste wcielenie boga Wisznu; dosł.: Rama z toporem

**paswan** jedna z niższych kast w Indiach; robotnicy lub ubodzy rolnicy

**Pasztun** członek grupy etnicznej z pogranicza Afganistanu i Pakistanu (w większości: muzułmanie sunnici)

**patak** wybuchowy, gwałtowny; dźwięk wybuchu

**patakri** seksbomba (dosł.: seksowny jak petarda; od „pataka” – petarda)

**patka** chustka noszona przez sikhijskich mężczyzn

**patli** cienki, marny

**patra** z j. marathi: siekiera; określenie slangowe

**patta** dosł.: pas; w komisariatach policji w Mumbaju: długi kawałek grubego brezentu z taśmy używanej do napędzania urządzeń – zamocowany do drewnianej rączki służy do

bicia więźniów podczas przesłuchań (korzystnie dla policjantów, patta zostawia mało śladów)

**paw** pieczywo; rodzaj bułeczek

**pelo** z j. hindi: walić, uderzać (określenie slangowe); tu w odniesieniu do seksu

**pera** rodzaj deseru

**peri panna** padam do stóp

**peti** popularne w Mumbaju slangowe określenie 100 000 rupii (1 lakh)

**phat** bach!; onomatopeja, dźwięk pękającego balonu; także określenie czegoś znikającego

**phatkari** ałun

**Phulaki Rani** tytuł fikcyjnego filmu *Królowa kwiatów*

**phuldźari** zimne ognie

**phulka** praśne pieczywo, bardziej puszyste i lżejsze niż ćapati lub roti

**pićkari** strzykawka używana do polewania ludzi kolorową wodą podczas Holi – święta wiosny i zwycięstwa dobra nad złem

**pir** święty i nauczyciel sufizmu

**pital** forsa

**Pjar ka Dija** *Lampa miłości*; tytuł fikcyjnego filmu

**pocha** szmata do sprzątnia

**podhina** mięta

**poha** pikantna przekąska z płatków ryżowych

**poket-mar** kieszonkowiec

**policijas** slangowe określenie policjantów

**potli** woreczek

**prakryti** wg wedanty, bramińskiego systemu filozofii klasycznej: podstawowa materia, z której stworzony jest wszechświat; substancja, natura

**Pralaj** z sanskrytu: zniszczenie; wg hinduskiej mitologii: dzień zniszczenia ziemi

**Pran** Pran Sikand (nr. 1920), weteran Bollywood, przez 60 lat występujący w filmach

**pranaam** pełne szacunku pozdrowienie

**prasad** jedzenie składane w ofierze bóstwu i konsumowane w przekonaniu, że bóg ją pobłogosławił

**prawaćan** nauka, wyjaśnienie zasad, którymi należy się kierować w życiu

**Prythwiradź Kapur** aktor (1906–1972), prekursor teatru i filmu indyjskiego, założyciel pierwszej indyjskiej rodziny filmowców

**PSI** Police Sub–Inspector – podinspektor policji

**pudża** modlitwa

**pudźari** kapłan

**puli** praśne pieczywo podawane na ciepło

**pura** kompletny

**puranpoli** słodka potrawa z mąki pszennej, oleju, startych kokosów i cukru

**puri** placki pszenne smażone w głębokim oleju

**pustakalaja** biblioteka

**PWD** wydział robót publicznych

**Rab mehar kare** z j. pendżabi: Boże, zmiłuj się

**raddi** nadające się do przetworzenia odpady i papier

**Radź Kapur** legendarny indyjski aktor, reżyser i producent filmów z Bollywood, zwany Charlie Chaplinem kina indyjskiego (1924–1988)

**radża** tytuł lokalnych władców w Indiach

**Radia Rawi Wanna** indyjski malarz (1848–1906), znany z przedstawiania scen z Mahabharaty i Ramajany; łączył indyjską tradycję z technikami sztuki europejskiej

**radima–ćawal** tradycyjny przysmak: fasola czerwona kidney z ryżem

**radźput** członek dominującej kasty wojskowych w pn. Indiach

**Rafi, Kumar, Mukeś** Mohammed Rafi, Kiśor Kumar i Mukeś – uznani za najlepszych wykonawców piosenek śpiewanych w indyjskich filmach

**rain** drzewo z gatunku *Albizia saman*, o ciekawych, różowych kwiatach

**raita** indyjska przystawka z jogurtu, pokrojonych ogórków i przypraw

**radź** posiadłości, władza, rządy; również rządy brytyjskie w Indiach

**rakszasa** w hinduskiej mitologii: demony, złe duchy

**rakszak** obrońca, opiekun

**Ram radźja** Królestwo Boga na ziemi

**Rama** siódme wcielenie boga Wisznu, bohater Ramajany

**rampuri** indyjski scyzoryk, automatycznie otwierający się pod działaniem siły grawitacji, popularna broń indyjskich bandytów na początku XIX w.

**RanaPratap** Maharana Pratap (1542–1597) władca Mewaru, kraju w pn.–zach. Indiach; uosobienie dumy i wyniosłości radźputów

**rand** zdzira; także prostytutka

**randi** dziwka

**rangoli** sztuka układania wzorów z kolorowych, sproszkowanych kamieni lub mielonego ryżu

**rangrut** rekrut

**rani** hinduska księżniczka lub żona radży

**Rani z Dźhansi** indyjska bohaterka narodowa, księżna osobiście walcząca z Brytyjczykami

**ras** z j. gudżarati: sok; tu: bardzo gęsty przecier z mango (mieszkańcy Gudżaratu jedzą go z puri)

**rasgulla** kulki ze smażonego twarogu moczone w słodkim syropie

**rasztra** naród

**RAW** Research and Analysis Wing – Wydział Badań i Analiz, indyjska agencja ds. obcego wywiadu

**Rawana** wielki król Lanki, antagonistą w Ramajanie; w rzeczywistości jogin i uczonego o wielkiej wiedzy

**reham** współczucie

**reśmi kebab** pieczone kawałki kurczaka w delikatnych przyprawach

**Ridge** oaza zieleni w Delhi; gęsty las (prawie 7800 hektarów) na terenie *miasta*

**rogan dżoś** curry z baraniny

**roti** praśne pieczywo

**roti, kapra, makan** jedzenie, odzienie i schronienie – podstawowe potrzeby człowieka

**RPI** Republican Party of India – Republikańska Partia Indii

**rumali roti** cienkie ciasteczka pszenne

**rysz** mędrzec, jasnowidz

**saab, sahib** pan; zwrot grzecznościowy

**sabdźi-wala** sprzedawca warzyw

**Sabse Bara Paisa** dosł.: „Największe pieniądze”; nazwa fikcyjnego teleturnieju

**sabudane ki khićri** khićri z sago

**Saćin Tendulkar** słynny krykiecista

**Sadhana** gwiazda kina indyjskiego z lat 60.

**sadhu** hinduski asceta żebrzący; święty człowiek

**sadi** dosł.: zwyczajny; tu: kategoria taniego destylowanego alkoholu lub tharra, często nielegalnie produkowanego i sprzedawanego

**Sadrakszanaja Khalanigrahanja** motto bombajskiej policji: „Chronić prawych, karać niegodziwych”

**Sai Baba** znany guru; zasłynął cudami dokonywanymi na oczach wielotysięcznych tłumów

**sajjid** zaszczytny tytuł nadawany mężczyznom uznanym za potomków Mahometa

**sala** brat żony; również łagodne wyzwisko

**salafijja** fundamentalistyczne muzułmańskie ugrupowanie religijne; odrzuca współczesną naukę islamu i dąży do powrotu praktyk stosowanych przez pierwsze trzy pokolenia muzułmanów

**sama** hymny Sama z Samawedy

**samadhi** stan głębokiej medytacji, prowadzący do duchowego oświecenia

**Samadźwadi** socjalistyczna partia polityczna w Indiach, przeciwna używaniu j. angielskiego

**samagri** materiał religijny używany podczas pudzi, składany na ołtarzu

**saman** rzeczy, bagaż; w świątku przestępczym Mumbaju: krótka broń palna

**sambhar** potrawka z mocno przyprawionej soczewicy i warzyw, podawana z ryżem

**samosy** smażone paszteciki nadziewane warzywami lub mięsem

**Sandźaj Datt** Sandźaj Pramit Datt (ur. 1959), jeden z najpopularniejszych aktorów Bollywood, aresztowany w związku z zamachami bombowymi w Bombaju (1993)

**sanjasa** ascetyczne życie mnisie, w którym człowiek, porzuciwszy życie materialne, jest w pełni włączony w świat duchowy

**sanjasin** osoba krocząca ścieżką pełnego oddania światu duchowemu, po odrzuceniu świata materialnego; mnich praktykujący medytacje

**Sankranti** Makar Sankranti, święto przesilenia zimowego w Indiach i Nepalu

**sanskara** w hinduizmie: religijne obrzędy doskonalenia, proces nauki odpowiedniego postępowania

**sant** święty hinduski lub sikhijski, zmarły czczony za świętość lub cnoty

**sar** sir

**Saraswati** hinduska bogini nauki, muzyki i poezji, żona Brahmy

**sardar** sikh

**sarial** osoba, która gnije we własnym nieszczęściu lub z zawiścią patrzy, jak inni się bawią

**sarkari** rządowy

**sarowar** w świątyniach sikhów: sadzawka służąca do kąpieli, Staw Nektaru

**sarpanć** wójt

**sarwadźanik** publiczny, dostępny dla wszystkich

**sarwamedha** najwyższa ofiara; ofiarodawcy składają wszystko, co posiadają

**sasural** dom teściów – dobrze znany i często odwiedzany, choć nie własny; zawodowi przestępcy nazywają tak więzienie

**Sat-sri-akal** Święty Pan jest przedwieczny, sikhijski okrzyk, m. in. na zakończenie modlitwy (w odpowiedzi na „Džo Bole So Nihal” – Kto wypowie te słowa, będzie szczęśliwy i spełniony)

**Sati-Sawitri** oddana żona; mitologiczne Sati i Sawitri były szczególnie oddane i wierne swoim mężom

**Satjanarajan katha** przypowieść o karze za niedotrzymanie obietnicy odprawienia pudzi

**Satjug** „Era prawdy”; epoka, w której wszystko jest doskonałe, a rządzona przez bogów ludzkość nie sprzeciwia się dominacji dobra

**satrangi** dosł.: siedmiokolorowy; tu: kategoria taniego destylowanego alkoholu lub tharra, często nielegalnie produkowanego i sprzedawanego

**sattwa** w hinduskiej filozofii: najwyższa z 3 części prakriti (prasubstancji, natury) oznaczająca dobroć, czystość

**seth** bogacz; jego żona – „sethani”

**sew-puri** ciasteczka ryżowe z jogurtem, cebulą, sosem z tamaryndowca itp.

**sewa** w hinduizmie i sikhizmie: bezinteresowna praca społeczna

**sikh** członek wspólnoty religijnej, powstałej w XVI w. w Pendżabie, uznającej jednego, wszechobecnego i ponadczasowego Boga (Wahe-guru); zgodnie z nauką sikhizmu wszyscy ludzie są równi, a w wyzwoleniu człowieka ważną rolę odgrywa praca

**sindur** cynober, czerwony proszek tradycyjnie noszony na przedziałku włosów przez hinduskie kobiety

**singh** Lew; nazwisko noszone przez wszystkich sikhów

**sof** nasiona anyżku

**soma** napój często używany podczas religijnych obrzędów wedyjskich; stan upojenia pozwala osiągnąć oświecenie i wiedzę

**Sonali Bendre** indyjska aktorka, modelka i tancerka (ur. 1975)

**SP Superintendent of Police**–komisarz policji

**subedar** żołnierz średniej rangi w armii indyjskiej i pakistańskiej, zazwyczaj dowodzący plutonem

**suhag–rat** noc poślubna

**Sunil Dutt** indyjski aktor filmów akcji (ur. 1929)

**sunti** kuleczki z baraniny

**supari** zlecenie morderstwa; w światku przestępczym: propozycja i przyjęcie mokrej roboty

(w rzeczywistości określenie dotyczące orzechów arekowych, jedzonych dla odświeżenia ust)

**sura** rozdział Koranu

**surahi** indyjski gliniany dzban z długą szyjką, do przechowywania zimnej wody

**suwa** koper ogrodowy

**swami** w hinduizmie: tytuł nadawany duchownym, mnichom

**sabad** słowo

**sabaś** brawo, dobra robota

**śagun** zapowiedź, wróżba

**Śahrukh Khan** aktor (ur. 1947), producent i gospodarz popularnego teleturnieju Kon Benega Krorpati

**Śajani Ekadaśi** jedenasty dzień miesiąca Aszarh; dzień, w którym bóg Wisznu zapada w czteromiesięczny sen, by obudzić się w dzień Prabodhini Ekadashi, w miesiącu Kartik

**śakha** z sanskrytu: gałąź; najmniejsza komórka nacjonalistycznej hinduskiej organizacji Rasztrija Swajamsewak Sangh (RSS). Każda śakha spotyka się rano lub wieczorem w celu rozgrywania meczów, nauki taktyki i posługiwania się bronią, oraz żeby odprawiać obrzędy i prowadzić debaty – spotkania odbywają się zazwyczaj na boiskach lub otwartych przestrzeniach, gdzie wiele osób może się spotykać, zajmować sportem i ćwiczyć



**Śakti Mahila Manč** organizacja kobieca (Sakti to żona Siwy i łaskawa postać bogini Dewi)

**Śalwar–kamiz** tradycyjny strój kobiet na subkontynencie indyjskim (długa koszula i luźne spodnie)

**śamiana** wielki namiot, używany podczas wesel i okazji, gdy zbiera się dużo ludzi

**Śammi Kapur** aktor Bollywood, popularny w latach 50. i 60.

**śammi kebab** kebab warzywny smażony w głębokim tłuszczu

**śamśan ghat** miejsce palenia zwłok

**śandar** wspaniały, cudowny

**Śani** jedna z 9 istot niebieskich astrologii wedyjskiej, reprezentowana przez planetę Saturn

**Śankaraćarja** wybitny hinduski filozof z VIII w.

**śanne** osoba przebiegła, podstępna lub starająca się taką być; także ktoś, kto próbuje być zbyt cwany

**śer** tygrys

**Śiwadźi** Śiwadźi Bhonsle, twórca imperium Marathów, założonego w 1674 r. w zach. Indiach

**śloka** forma hinduskiej modlitwy lub hymnu

**śośa** robienie czegoś na pokaz; prawdopodobnie od ang. „show” (Hindusi mają zwyczaj powtarzać słowa dla ich podkreślenia)

**śri** pan; wyrażający szacunek sposób zwracania się do mężczyzn (wobec kobiet: „śrimati”)

**Śri Ram** Bóg Rama

**TADA** Terrorist And Disrupted Activities Act – indyjska ustawa o działalności terrorystycznej i antypaństwowej

**tadipar** osoba wydalona z miasta

**tai** starsza siostra; zwrot grzecznościowy

**takht** z j. hindi: kanapa bez oparcia i poręczy; także tron

**takli** łysina

**taklu** łysy człowiek

**tamas** w hinduskiej filozofii: najniższa z 3 części prakryti (prasubstancji, natury) oznaczająca siłę ciemności, śmierci, niewiedzy i zniszczenia

**tamaśa** przedstawienie, widowisko

**tambi** z j. tamilskiego: chłopiec pracujący w przydrożnej restauracji; określenie slangowe

**tanduri** indyjski gliniany piec; również przyrządzona w nim potrawa (np. „tanduri maćci” – łosoś tanduri)

**tanga** rodzaj lekkiej bryczki

**tangdi kebab** udka kurczaka w zielonej marynacie

**tanki** cysterna, zbiornik

**tantra** tekst dotyczący ezoterycznych rytuałów hinduistycznych, praktyk religijnych, jogi, leczenia chorób itp.

**tantryzm** mistyczny kierunek w hinduizmie, związany z kultem bogiń i łączeniem praktyk religijnych, magicznych i ekstatycznych

**tapas** „podstawowa energia”; skoncentrowane wysiłki prowadzące do cielesnego oczyszczenia i duchowego oświecenia

**tapasja** medytacje, często związane z rygorystycznymi, surowymi zasadami fizycznymi i psychicznymi

**tapori** mały ulicznik, chuligan

**tara** nielegalnie pędzony alkohol, samogon

**Tardeo** popularna okolica mieszkaniowa i handlowa w południowym Mumbaju

**tari** alkoholowy napój ze sfermentowanego mleczka kokosowego

**Tathastu** z sanskrytu: zgoda bóstwa na prośbę wyznawcy („Niech tak się stanie”)

**tau** starszy brat ojca

**tawa** płaska patelnia lub zagłębiona blacha do pieczenia na wolnym ogniu

**tawiz** talizman, często pobłogosławiony przez świętego człowieka

**Tehelka** początkowo: serwis internetowy z wiadomościami; z czasem: najpopularniejszy na subkontynencie indyjskim niezależny tygodnik, znany z używania ukrytych kamer dla ujawniania przypadków korupcji

**telugu** język z rodziny drawidyjskiej używany przez grupę etniczną Telugu w pd.-wch. Indiach

**thal** talerz

**tbali** misa do podawania całego posiłku

**thana** komisariat policji

**thela** ręczny wózek ulicznego sprzedawcy

**thoko** dosł.: uderzyć, walnąć; slangowe określenie zabijania albo stosunku seksualnego („wydymać”)

**thoku** partner wykorzystywany dla zaspokojenia potrzeb seksualnych; określenie poniżające i wulgarne

**tiffin** lunch lub lekki posiłek; także kilkuczęściowy pojemnik

**tika, tilaka** z sanskrytu: czerwona plamka, malowana przez indyjskie kobiety na czole, nad nosem ozdoba lub oznaka sekty

**tikha** ostry, pikantny

**tikka** małe kawałki mięsa marynowane w ostrych przyprawach i pieczone

**tikkar-billa** gra w klasy

**tinpatti** gra w 3 karty

**tola** wioska, osada

**toli** grupa

**tope** dosł.: armata; slangowe i wulgarne określenie penisa

**topi** hełm korkowy

**TRP** Television Rating Points – wskaźnik oglądalności, służący ocenie popularności programów telewizyjnych

**tulsi; tulasi** niezrównana; określenie „świętej bazylii” (*Ocimum tenuiflorum*), rośliny będącej ważnym symbolem w hinduistycznej tradycji

**tuta–phuta** z j. hindi: połamany (o języku: łamany)

**Udupi** region w Karnataka; tutejsza kuchnia jest znana jako południowoindyjska

**UP** Uttar Pradesh, stan w pn. Indiach

**usal** zbiorowe określenie różnych roślin strączkowych (mug, matki, masur, wał, ćawli i in.)

**uttapam** południowa potrawa z ryżu i soczewicy

**Vicovajradanti** marka proszku do mycia zębów

**wadapau** rodzaj wegetariańskiego hamburgera: smażony kotlet z ziemniaków włożony między kromki chleba lub w przekrojoną bułkę.

**wah** godne najwyższego uznania; wykrzyknik

**Waheguru** określenie Boga w religii sikhów; jest przedwieczny, nie ma określonej postaci i wykracza poza wszelkie możliwości opisania

**waid** klan braminów z Pendżabu

**wala** osoba odpowiedzialna za wykonywanie jakiejś czynności, dostarczanie określonych usług; często używane w złożeniach określenie sprzedawcy jakiegoś produktu, np. ćajwala, panwala

**watan** dom, kraj; słowo o wyjątkowo silnym zabarwieniu emocjonalnym, wyraża żarliwe uczucia wobec miejsca urodzenia, ziemi ojczystej

**Watsjajana Mallanaga** indyjski filozof, autor Kamasutry

**wed–maharadž** specjalista medycyny wedyjskiej

**wedija** szaleniec, wariat

**Wedy** spisane w j. wedyjskim najdawniejsze księgi indyjskie, zbiór rytuałów i tekstów religijnych i filozoficznych

**wihara** z sanskrytu: klasztor; miejsce, w którym mieszkają wędrowni mnisi

**wilajat** zagranica

**wilajati** zagraniczny (w znaczeniu: angielski)

**wira** z sanskrytu: bohater, człowiek wybitny lub wojownik

**wirdźi** grzecznościowa forma zwracania się do starszego brata

**Wisnu** jeden z gł. bogów hinduizmu, zbawca i nauczyciel ludzi, pogromca potworów;  
legendy rozróżniają jego 10 wcieleń

**Wiwekananda** Swami Wiwekananda, jeden z najśłynniejszych przywódców duchowych  
filozofii Wedanty i Jogi

**zamindar** właściciel ziemski

**zannat ki hur** z j. urdu: niebiańska istota

## Przypisy

[←1]

Trwoń pieniądze i oglądaj spektakl

[←2]

Cytat z piosenki ze zrealizowanego w języku hindi filmu *Guide* (1965): „Moje serce śpiewa, a ty jesteś moim jedynym przeznaczeniem

[←3]

Cytat z piosenki z filmu *Upkar (Dobre uczynki, 1967)*: „Ziemia mojego kraju rodzi złoto, rodzi perły i klejnoty”; w filmie piosenkę śpiewa rolnik, zachwalając bogactwo swojej ziemi.

[←4]

Cytat ze starej piosenki Marath Laavani lub ludowej, która pojawiła się również w filmie. Tekst adresowany do kobiety: „Kroczysz z takim wdziękiem, z taką gracją”; „nakhrijača” jest formą wyrazu „nakhra”, a oznacza kokieterię

[←5]

Fragment piosenki filmowej: „Spójrz, co na naszych oczach się stało. Na naszych oczach moje serce się w tobie zakochało”

[←6]

Fragment piosenki z filmu *Sole (Płomienie, 1975)*: „Dopiero kiedy zdobędę życie, to życie tego świata... [wtedy będę tańczyć]”.

[←7]

z Guru Granth Sahib, świętej księgi sikhów; tu: śpiewany w formie kirtana, hymnu: „Maja [złudzenie] ze swoimi trzema gunami – trzema

zasadami natury – przybywa, aby mnie zwabić; z kim mogę podzielić się swoim bólem?”.

[[←8](#)]

Wypowiedź w typowym j. hindi z Mumbaju: „Te sukinsyny, mężczyźni, tacy właśnie są”

[[←9](#)]

Fragment piosenki z filmu *Yes, Boss (Tak, szefie, 1997)*: „Mam tylko to jedno małe marzenie, Żebym już zawsze żył w luksusie, Żeby piękne kobiety traciły dla mnie głowy, Niech to moje marzenie rozkwita. Żebym zamieszkał w złotym pałacu, A z nieba niech spadają perły i diamenty”.

[[←10](#)]

Fragment piosenki z filmu *Yes, Boss (1997)*: „Wysłuchaj mnie, Boże, spełnij tylko to jedno moje życzenie...”

[[←11](#)]

Fragment piosenki w j. gudźarati: „Lubisz Radhę czy Mirę

[[←12](#)]

Fragment piosenki z filmu *Sharmilee (The Shy One, 1971)*: „Ciemność jest jak aksamit...”.

[[←13](#)]

a nie mówiłem...

[[←14](#)]

Autor odwołuje się tu do słynnego zburzenia meczetu w Ajodhji, dokonanego przez hindusów. To wydarzenie wywołało starcia pomiędzy muzułmanami a hindusami w wielu miastach Indii [przyp. red.].

[ ← 15 ]

Fragment piosenki z filmu *Mere Džiwan Sathi* (*Mój towarzysz na całe życie*, 1972): „Kroczę jednym rytmem z pewną osobą...”

[ ← 16 ]

Autor najpewniej nawiązuje tu do pamiętnych zamachów bombowych w Mumbaju w 1993 roku. Mieli stać za nimi muzułmanie.

[ ← 17 ]

Porzekadło marathi: Kobiety dla kraju są tym, czym fundamenty dla domu.

[ ← 18 ]

fragment piosenki z filmu *Aradhana* (*Uwielbienie*, 1969): „Królowo moich snów, kiedy przyjdiesz? Nadeszła upajająca pora, a kiedy ty przyjdiesz?”

[ ← 19 ]

Powiedzcie mi. Wyduście to z siebie

[ ← 20 ]

Fragment piosenki z filmu *Tin Devija* (*Trzy damy*, 1965): „Jawą jesteś czy snem? Powiedz mi, kim jesteś”.

[ ← 21 ]

Fragment piosenki z filmu *Śarmili* (*Nieśmiała*, 1971): „Kwiaty tu kwitną, jedynie by zwiędnąć. Serca tu się spotykają, jedynie by się rozstać”.

[ ← 22 ]

Fragment piosenki z filmu *Namak Halal* (*Wierni*, 1982): „Przystrojona w bransolety na kostkach Mira tańczyła...”.

[ ← 23 ]



Fragment piosenki z filmu *Jewel Thief (Złodziej klejnotów, 1967)*: „Gdybyż to serce nie było tak opuszczone...”.

[ ← 24 ]

Zinat Aman – aktorka (ur. 1951), Miss Azji i Pacyfiku 1970, symbol seksu lat 70-tych

[ ← 25 ]

Urywek piosenki śpiewanej podczas tańców garba: „Leć, ptaku, leć...”. Cały fragment brzmi: *Pawagark re Kehje Ma Kali ne re Garbo ramwa re* W tłumaczeniu: Leć, ptaku, leć do Pawagarh. Powiedz matce Kali, aby tańczyła garbę

[ ← 26 ]

Fragment piosenki z filmu *Dii Se (Z głębi serca, 1998)*: „Cień, w cieniu...”

[ ← 27 ]

Fragment piosenki z filmu *Misja Kaszmir (2000)*: „Trzmielu, o, trzmielu...”

[ ← 28 ]

W Indiach powiada się, że sardarom w turbanach już o dwunastej w południe robi się tak gorąco, że tracą rozum [przyp. red.].

[ ← 29 ]

Fragment piosenki z filmu *Hum Dono (Nasza dwójka, 1961)*: „Poszedłem dalej, nadal wierząc w życie...”

[ ← 30 ]

Wers z filmu *Guide (1965)*: „Podróżniku, czy masz tam kogoś bliskiego? Dokąd podążysz?”

[ ← 31 ]

Fragment piosenki z filmu *Sholay (Żar, 1975)*: „Ukochana, moja ukochana...”

[ ← 32 ]

Gaitonde mówi tu szyfrem: „Wystawcie drużynę w Londynie. Wyślijcie dwa zespoły, i Saćina, i Saurawa. Czekać w pogotowiu, wkrótce nadejdą dalsze instrukcje”, każąc podwładnym przygotować się do operacji w Londynie.

[ ← 33 ]

Cytat z tradycyjnej pieśni w j. marathi: „Wiosłuj, o przewoźniku. Wiosłuj, o, Ramo”.

[ ← 34 ]

Fragment piosenki z filmu *Guide (Przewodnik, 1965)*: „Jesteś mym celem, moim jedynym przeznaczeniem”.

[ ← 35 ]

Cytat z filmu *Terę Gharke Samne (Przed twoim domem, 1963)*: „Powiedz, gdzie jesteś, w tej uponej nocy?”.

[ ← 36 ]

Cytat z tego samego filmu: „I księżyc, i gwiazdy to słyszały, słyszały to te piękne krajobrazy, nawet przechodnie słyszeli tę pieśń mojego bólu”.

[ ← 37 ]

Dwuwersze tego typu są często wypisywane na tyłach ciężarówek, taksówek i ryksz motorowych: „Jeśli już raz mnie pokochałaś, kochaj mnie więcej i więcej. Jeśli się spóźniam, czekaj na mnie”.

[ ← 38 ]

Fragment piosenki z filmu *Kati Patang (Szybujący latawiec, 1970)*: „Upaja mnie ten piękny wieczór...”

[ ← 39 ]

Fragment piosenki z filmu *Guide (1965)*: „Moje serce śpiewa, a ty jesteś moim jedynym przeznaczeniem...”.

[ ← 40 ]

Fragment piosenki z filmu *Guide* (1965): „Aby te noce trwały wiecznie, aby te dni trwały wiecznie

[ ← 41 ]

Fragment piosenki z filmu *Kasur (Zbrodnia, 2001)*: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak bardzo cię Kocham, podejdź i przyjrzyj się”

[ ← 42 ]

Fragment piosenki z filmu *Hum Dono* (1961):  
„Nie odchodź, nie opuszczaj mnie, moje serce jeszcze się nie nacieszyło.  
Dopiero przysłaś, przybyłaś jak wiosna.  
Niech najpierw wiatr nabierze aromatu, a moje oczy wchłoną to światło,  
Niech najpierw ten wieczór zatone w ciemnościach, a moje serce się uspokoi,  
Pozwól mi przeżyć tę chwilę, głęboko zaczerpnąć tego upojenia,  
Nic jeszcze nie zostało powiedziane, nic nie zostało usłyszane,  
Nie odchodź, nie opuszczaj mnie...”

[ ← 43 ]

Fragment piosenki z filmu Gaitonde’a *Międzynarodowa Dhamaka*: „Zostawcie mnie w spokoju, przyjaciele, odchodzę daleko”.

[ ← 44 ]

Inwokacja z klasycznego sanskryckiego tekstu: „Om! Oddaję cześć bogini Saraswati...”

[ ← 45 ]

Fragment piosenki z filmu *Humjoli (Przyjaciel, 1970)*: „Raz, dwa, zaczynamy...”

[[← 46](#)]

Nanaku, cały świat cierpi.

[[← 47](#)]

O Panie, kto może poznać twoje przymioty? – fragment hymnu z Guru Granth Sahib, świętej księgi Sikhów

[[← 48](#)]

Fragment piosenki z filmu *Lal Paththar* (*Czerwone kamienie*, 1971): „Śpiewam piosenki, nucę je sobie...”

[[← 49](#)]

Fragment piosenki z filmu *Gol Maal* (*Oszustwo*, 1979): „Nadchodząca chwila również przeminie...”

[[← 50](#)]

Z j. pendżabi: „Hej, pospiesz się, muszę zająć się moimi obowiązkami” – czyli służbą policjanta (w Indiach pracę podczas dniówki często określa się jako „zajmowanie się obowiązkami”)